BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

4767/47

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1852.

Tom trzeci.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVII.

[illegible]

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

—

1852.

4620. 1852. 3
II

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
X-14146
46201 II 3.
/1852
30,000,-

SWEWI SĄ SŁOWIANIE,

A

GERMANOWIE NIE SĄ WYŁĄCZNIE NIEMCY.

PRZEZ

W. A. Maciejowskiego.

W równym stosunku mają się do siebie ludy a państwa, co do zawiązku i rozwijania się swojego na drodze postępu; czyli: jednakowo powstaje i daléj się kształci pojedynczy a zbiorowy człowiek, jednakowo sił nabiera, słabieje i znowu się wzmaga, wspierany i kierowany ku dobremu lub złemu przez tego, z którym, pozbawiony czułéj opieki rodziców lub krewnych, wszedł w najbliższe stosunki w piérwszéj życia swojego wiośnie, i w stosunkach tych samowolnie lub koniecznością zmuszony zostając, zerwał je, gdy podrósł w rozum i siłę, i mógł już kierować się w dalszym zawodzie podług swéj woli. Jak człowiek przy pomocy człowieka wychowuje się i wykształca; tak ludy, wpływając na siebie wzajemnie, rozwijają domowe i polityczne swe życie, kierowane w tę lub ową stronę, aż do owego czasu, w którym, poczuwszy się na siłach, stawiają już dowolnie dalsze swe kroki. A jak temu, co życiorys człowieka kreśli, konieczną jest rzeczą wiedzieć, z kim naprzód zostawał ów człowiek w stosunkach blizkich, tudzież z kim następnie żył, i pod jakim wpływem przechodził wskazane wyżéj koleje; jak pisarz dziejów nie wywiedzie na jaw historyi ludu, nie zahaczywszy jéj o takowąż sąsiedniego

narodu, i nie zahaczając jéj ustawicznie o dzieje innych ludów; tak i ja, gdym się zastanawiał nad początkiem i wzrostem polskiego narodu, musiałem się obejrzéć na lud, z którym najpierwéj weszliśmy w blizkie stosunki, a to wtenczas, gdyśmy po raz piérwszy wystąpili na widownią dziejów, z oznaką życia takiego, które już niejaką uwagę świata zaczęło zwracać na siebie. Opuściwszy Scytów i Sarmatów, dzieciństwa naszego surowych przewodników, utkwiłem głęboko myśl swoję w Niemcach, dorozumiewając się, że naprzód z niemi przodkowie nasi głównie na zachodzie spółkowali, i w tym zostając związku, zasłynęli u starożytnego świata pod imieniem *Ligio-Swewów*; że pod tém mianem dali się piérwsi mocno we znaki Rzymianom, ówczesnym panom świata, i cios im zadali śmiertelny. Z wielką nieśmiałością wynurzywszy wtedy swe zdanie, które historyczno-prawnym wywodem politycznego i domowego życia rzeczonych Swewów głównie wsparłem, zdziwiony wielce zostałem, gdym w dziele najnowszém jednego z najuczeńszych dziś Niemców (1), toż samo znalazł na drodze filologicznéj udowodnione. Tém bardziéj zaś dziwowałem się temu, gdy właśnie ów uczony przeciwne dzisiejszemu niedawno objawił zdanie. Kiedy bowiem przed kilkunastu laty, toż samo co ja, ale pobieżnie i powierzchownie, powiedziawszy o Swewach p. Wersebe, został o to mocno przez p. Gauppa zganiony, wtedy znowu jego ganiąc p. Grimm, wyrzekł: „że Niemcy a Swewy byli i są jednym i tym samym narodem (2)." Dziś atoli, jak rzekłem, inaczéj twierdzi. Przytoczę jego słowa całkowicie w polskim przekładzie, z tą na czele mojego pisemka uwagą, że pragnąc ażeby jego wykład zrozumialszym był dla polskich czytelników, podopełniałem jego słowa w nawiasach. A ponieważ i niemiecki text ma nawiasy, przeto nawiasy moje położę kursywą, w niczém zro-

(1) *Geschichte der deutschen Sprache von Jakob Grimm. Leipzig, 1848.* Wyszedł dotąd tom I tego dzieła. Porównaj je na str. 322—324.

(2) Porównaj A. v. Wersebe *über die Völker und Völkerbündnisse der alten Deutschen, Hannover* 1826, którego zganił p. E. Th. Gaupp w dziele: *Das alte Gesetz der Thüringer Breslau. 1834*, str. 33, uważając „że coś podobnego twierdzić, jest to samo co dzieje z gruntu obalać." Jego znowu zganił p. Grimm w jednem z nowszych dzieł swoich, tudzież w swéj mitologii niemieckich ludów, a zganił za to, „że wszystkich Germanów na dwa działy: na Swewów i nie-Swewów podzielił", i powiedział, „że Swewów nazwa była jedną z licznych nazwisk, jakie niemieckie nosiły ludy, nie mając w sobie nic nadzwyczajnego."

sztą nie odmieniając słów badacza niemieckiego. Po przytoczeniu słów autora, zastanowię się nad niektóremi szczegółami rozprawy jego, i co o wynikłościach stosunków życia Słowian a ich sąsiadów na Zachodzie nastąpionych myślę, objawię to w krótkości.

Rozważając p. Grimm postęp języka niemieckich ludów, tak daléj mówi: „Naraz wyjaśnia się tu znaczenie dwóch sławnych dotąd, jak mniemam, niezrozumiałych nazwisk ludów, które się ściśle z wszystkiemi badaniami mojemi łączą. *Suevi* i *Slavi*, zdaje się jedno znaczyć. Cezar, Strabo, Tacyt, Ptolomeusz, piszą *Suevi*, Σοήβοι, Σουήβοι. Ale jakżeto, jeden z najznakomitszych ludów germańskich, miałżeby toż samo co Słowianie, wprawdzie spokrewnieni nam przed wieki, lecz mimo to, zawsze odróżniający się od nas, nosić miano? Objawię, co o tém myślę. Imię Suevi zdaje się niezaprzeczenie brzmieć po słowiańsku, i znaczyć jak się (*w yżéj*) powiedziało, wolnych (*ludzi*). Nadawali to miano Sarmatowie ludom wschodnio-niemieckim (*pod panowaniem Niemców zostającym*) sąsiadom swym, podobnie jak na Zachodzie dawali takimże Belgowie lub Galowie Germanów imię. Być może, iż późniéj (*wszyscy*) Słowianie, albo sami przyswoili sobie to piękne miano, albo wrócili im takowe (*ich*) sąsiedzi niemieccy, i że (*znowu*) zawojowani Słowianie zaczęli nosić nazwisko, które przez dziwną jakowąś ironię, znamionowało z czasem poddaństwo (sclavi, po włosku schiavi), chociaż pierwotnie oznaczało wolność (1). Przeciwnie, z postępem czasu, Niemcy ludowe swoje miano Vandalów, Vindilów, przekształcone na Venetów, Vinidów, Winidów, zastosowali do słowiańskich sąsiadów; ale niemieccy Suevi zatrzymali to (*dawne swe*) imię, zgrubiwszy je tylko w gotyckim (*wyrazie*) Suebos (?), brzmiącym po staro-górno-niemiecku Suâpâ, po anglo-saksońsku Suaefas, a to tém bardziéj, gdy już i po grecku pisało się Σοηβοί, zamiast *Suevi*. Zdaje się, że nazwa *Sloveni* wzięła swój źródłosłów u południowych Słowian; właśnie bowiem oni *sloboda* mówią, a nie *swoboda*. Byzanccy pisarze: Prokopiusz, Agatyasz i inni, pisząc Σκλάβοι, Σκλαβηνόι, kładą c, które się zwolna i w ła-

(1) Zapewne wyraz *(słowiański) swoi*, znaczy toż, co łacińskie *proprius*, wzięte w znaczeniu *zależności;* jak i *suus* nazywał się syn w stosunku do ojca. *(Tak więc Suevi byliby niby sui. Przechowała się moneta celtycka z tym napisem,* [porównaj Lelewela *Etudes numismatiques et archeologiques. Premier volume. Type Gaulois, ou Celtique. Bruxelles 1841* na stronnicy 187] *bita snadź przez Suewów, gdy nad Celtami panowali).*

cińskie wcisnęło pismo. Zkąd powstało *Sclavi*, *Sclaveni*, co jednakże pisownia słowiańska znowu odrzuciła. Nie ma pewnéj zasady wywodzić nazwisko Słowian od wyrazu *sława*, *gloria* (1), tudzież od *słowa*, *verbum* (2), nakoniec od miejscowéj jakowéjś nazwy, jak Szaffarzyk utrzymuje. Wszak i będący w mowie Suevi, nie nazywali się od rzeki Suevus, ale owszem rzeka ta wzięła od nich nazwisko swoje. Uwagi godną jest góra *Sevo*, *Suevo* (porówn. Mitolog. str. 337, wyd. 2), a u Ptolomeusza 6, 14, Τά σούηβα ορη, stojące obok ἄλανα ὄρη. Tenże 6. 5. scytyjskich Alanów, tudzież Suovenów (Σουοβηνοι) poza owemi σούηβα ὄρη, sadowi. Dobrze zauważył Szaffarzyk, że Ptolomeuszowi Suovenowie sąto Słowianie, wszelako nie zbliżył do siebie imion Suevi, Slovi. Dalsze kształcenie się wyrazu na-*eni-ini* (Sloveni, Slovini), przypomina rozwijanie się podobnież nazwiska (*Gotów ludu, zkąd powstali*) Γετηνοι, *Gothini*. Ten stosunek (*wyrazów*) utwierdza téż domniemywanie się uczonych mężów, o spółkowaniu odwieczném Germanów a Sarmatów. Nazwisko, które ci nadali tamtym, powróciło znowu do tych (*Sarmatów*) po upływie długiego czasu, lubo do nich nie ze wszystkiém wróciło, gdyż w części przynajmniéj jakiéjś pozostało się jeszcze ono u obdarowanych niém, (*czyli u zostających pod panowaniem niemieckiém Swewów*). Obadwa bowiem ludy (*Sarmatowie* i *Niemcy*) podzieliły się niejako imieniem owém (*Suewi* i *Słowi*) tak, iż u nas (*u Niemców*) zyskało nazwisko Suewów znaczenie szczególne, a u naszych sąsiadów miano Słowian uogólniło się.“

(1) Wyraz *Slav* znajdujący się w złożonych imionach czeskich *Bohuslaw*, *Miloslaw*, *Radoslaw*, wyrzuca w serbskiem narzeczu *l*; pisze więc Serb: *Bogusaw*, *Milosaw*, *Radosaw*.

(2) Miklosich (Radices 10) mniema, że wyraz *Slovienis*, znaczył toż samo co λόγιος, *distincta loquela praeditus*; dla odróżnienia od *Vlach*, *balbus* i od *Niemetz*, *mutus*. Nie przeczę temu, że może sobie lud jaki wyobrażać cudzoziemca sąsiada jako niemowę, jako niezdolnego mówić obcym językiem, bez szukania ztąd chluby, co natura dała; czyli bez chełpienia się z tego, że sam tylko posiada mowę ojczystą (*a jego sąsiad bynajmniéj*). Trudno przypuścić, ażeby pod wyrazem *Vlach* rozumiano u Słowian *bełkota*: jestto raczéj niemiecki wyraz, użyty na oznaczenie tego, który po obcemu, niezrozumiale mówi, *Walah-Gallus*. W nazwisku *Slavi* samogłoska *a* ma znaczenie staro-górno-niemieckiego *á*, a gockiego *é*; co mnie utwierdza w mniemaniu, że wyraz ten przeszedłszy do niemieckiego języka, z niego znowu przejęty został od Słowian. Późniéj pierwotne *o* przeważyło; mówiono więc *svob* (*za svov*, zkąd *svav*, *[niby Szwob, Szwab]*. *Przez zamianę v na ł jak dotąd polscy chłopi mówią, powstało owe Słov, Sław)*.

„Że się wzajemnie *Sv.* i *Sl.* krzyżowało, na to wskazują snadź wyrazy następujące: *suâdus* ἡδύς *suadvis* (1), gdzie *sv* przeważa, a znaczy tyle, co *sl.* Tu należy porównać starosł.: *sladk'*, czeskie *sladky*, polskie *słodki*. Inne miejsce naznaczają spółgłosce *L* litewskie *saldus*, lettońskie *sàlds*. Mają się one do siebie podobnie jak *dulcis* do γλυκύς, które że są spokrewnione sobie (równie jak γλεῦκος i δεῦκος, *glubok*, *dlubok*) wątpić o tém nie można. Naodwrót przypuścić trudno, ażeby wyrazy *dulcis* i *slad'k* były sobie spokrewnione. Czy *dulcis* poszło z *udcis*, *vudcis*, *svudcis*, *sludcis?* śledzić proszę."

„Odpowiada też anglosaks. *suate* vestigium, fryzońskie *swethe*, *swithe* terminus, starosłowiańskiemu *sljed* vestigium, (gdzie rozważ *sl*), pols. *ślad*, czesk. *šled*, (porównaj z tém staropólnocny wyraz *słódi*, callis). Wreszcie nie należy o tém wątpić, że się jeszcze inne pokażą przykłady, na dowód owego krzyżowania się wzajemnego *SV. SL.* (porównaj też *suovitaurilia* z *solitaurilia*)."

„Któryż z dwóch tych kształtów dawniejszym jest, lub się być zdaje? Ponieważ w sanskrycie są wyrazy *svapnas* i *suadus*; ponieważ wyraz *swoboda* coś szlachetniejszego znaczy i więcéj się do wyrazu *svoi* zbliża, aniżeli *sloboda*; ponieważ w historycznych pomnikach *suevus* prędzéj, a *slavus* późniéj występuje: powiedziałbym przeto, że *v.* (*sv*) jest starożytniejsze. Z przydechowéj spółgłoski powstaje miękka, z *S.* płynie *R.* Przeciwnie, *L* jest znowu starszém od *l* lub *U*, w które, jak to romańskie, niderlandzkie i serbskie narzecze pokazuje, przeszło."

Dotąd p. Grimm. Rozważmy jego słowa. Uderza w téj rozprawie naprzód ten szczegół, że Germanów nazwa, jak się tego w *Pierwotnych dziejach Polski i Litwy* dorozumiewaliśmy, nietylko Niemcom, lecz i Swewom owym czyli Słowianom służyła; powtóre, że Wenedów miano miało wyłącznie Niemców oznaczać, na co według tego, co w téj mierze p. Szaffarzyk szeroce[9] powiedział, przystać nie możemy. Lecz szczegół ten (o niemieckości Wendów) niczém zresztą przez uczonego Niemca nie poparty,

(1) W tém miejscu robi p. Grimm odsyłacz, powołując się na stronicę 303 swojego dzieła, gdzie czytamy: w skr. (sanskryckim) *suâdus*, na rodz. żeński *svâdvi*, łać. *suavis* za *suadvis*, gock. *sutis* za *suêtis*, anglo-saks. *suête*, angiels. *sweet*, staro-górn.-niem. *suozi*, nowo-górn.-niem. *süss*, gr. ἡδύς. Czy i irlandzkie *ir* tu należy? Że sansk. *suâdus* z *su* (bene) i *ad* (edere) powstało, o tém wątpię. Wyrazy *slad'k*, *dulcis*, γλυκύς rozważę niżéj (*rozważa je też tu*).

zostawiam do rozwagi temu, który gruntownie rozważywszy go niegdyś, zahaczył nim i o nasze dzieje. Wiadomo bowiem z Pliniusza (pisał r. 79 po Chr.) i Tacyta (pisał o Wenedach w swéj Germanii r. 97 po Chr.), że już w piérwszym po Chr. wieku mieszkali nad morzem Baltyckiém Wenedowie, przesiedliwszy się tu zza Karpat (1) w czasach przedhistorycznych; lubo p. Bielowski usiłuje dziś dowieść, że dopiéro Trajan Cesarz rzymski przerzucił ztamtąd w przedkarpackie strony słowiańskie ludy. Potrzecie, uderzają w rzeczonéj p. Grimma rozprawie sami Swewowie, których piérwszy dał nam dokładnie poznać Juliusz Cezar (2), a po nim Tacyt, w *Rocznikach* (annales) swoich i w dziele noszącém napis: *Germania*. Dziejów ich, będących niby wstępem do historyi słowiańskich ludów, nowo po p. Szaffarzyku napisać się mających, dotknę pokrótce.

W czasach przedhistorycznych po dwakroć głównie wylegla przeludniona Indya, wysyłając roje mieszkańców swoich na zachód, w przerwach kilku lub kilkunastu, a może kilkudziesiąt wieków, by wdarłszy się wewnątrz Europy, nowém w niéj ożyły życiem. Naprzód wyruszyły ludy występujące późniéj w historyi pod nazwiskiem: Celtów, Scytów i Sarmatów, które usadowiwszy się na zachodzie i wschodzie, wsiąkły z czasem w massę romańskich i słowiańskich pokoleń, nie rozwinąwszy do cała swéj cywilizacyi, czyli nie uzyskawszy i nie zostawiwszy po sobie nie mówię literatury, lecz nawet i piśmiennictwa jakowego bądź.

Za nimi, snadź przez Azyą mniejszą, udały się morzem ludy te, które z czasem pod mianem Słowian, a za temi w też tropy, a może wcześniéj albo późniéj, lądem przez Tataryą i Persyą postąpiwszy ku Wołdze, tak późniéj nazwani Niemcy, pociągnęli ztąd ku Szwecyi (3); zkąd następnie, zaległszy dzisiejszą Danią,

(1) Według tego, com w téj mierze w moich *Rocznikach* i *Kronikach* str. 83 nstęp. powiedział.

(2) De bello Gallico I. 37. IV. 1—4. 7.

(3) Wskazuje na to podanie, „że niegdyś wojował na Wschodzie Odin," i „że ponad Donem leżąca dziś Rossya, *Szwecyą* się *zimną* nazywała." Miało się rozumieć przze to, że ponieważ Szwecyą stale zamieszkiwali pierwotnie przesiedleni do Europy tak późniéj zwani Niemcy, przeto zaczęto Szwecyą nazywać z czasem kraj wszelki, w którym w czasach najdawniejszych ciż przesiedlcy mieszkali. Porównaj dzieło p. Kunika pod tytułem: *Die Berufung der Schwed. Rodsen. St. Petersb. 1844.* W dwóch tomach. Zobacz I 97 nstęp.

posuwali się ponad morzem ku Renowi, i tak z Celtami się i Słowianami zetknęli.

Domysł mój o takiéj wędrówce ludów opieram na Tacycie (1), który zza morza wyprowadza obrzędy relig. Suewów; tudzież na téj okoliczności, że gdy daléj na zachód posuwać się chciały swewskie ludy, wtedy zastąpiwszy im przeważający w tych stronach Galowie (Celtowie), nietylko ich do odwrotu zmusili, lecz nadto odpierali ich ciągle od Renu ku hercyńskim górom, które też za czasów Tacyta, głównym się stały na zachodzie krańcem swewskiéj rzeszy, sięgającéj w linii prostéj ku Dunajowi rzece. Snadź w ujście rzeki téj wpłynąwszy pierwotnie tak późniéj nazywani Swewowie (Słowianie), mieli ją odtąd w ciągłém posiadaniu, i dotąd mają. Tymczasem przez ujście Renu, w głąb dzisiejszych Niemiec, zapuszczając się owa rzesza, która niegdyś ponad Wołgą, Wołchowem i Newą, rzekami ku Szwecyi zdążała (2), zetknęła się również w swym pochodzie z Galami. Wtedyto snadź złączona w jedno polityczne ciało tak z temiż Galami, jak i Suewami, zasłynęła po raz piérwszy pod nazwą Germanów. Świadczy o tém samo nazwisko rzeszy (*Germani*, wyraz celtycki), świadczy Juliusz Cezar (3), który o władztwie Galów w Germanii, według dawnych pomników wspomina, nie powiadając wszakże nic o tém, czy rzeczeni Galowie wtedy lub późniéj swój druidyzm, wielce następnie u Litwinów rozgałęziony, zaszczepili w północnych Niemczech. Atoli Swewi odjąwszy z czasem przewodnictwo w rzeszy Galom, i samych za Ren odparłszy, gdy ścigając ich coraz się daléj w głąb ich kraju posuwali, i gdy tak zetknęli się z władnącemi tu podówczas Rzymianami, zostali z czasem za powództwem tychże Rzymian nietylko z Galii wyparci, lecz nadto wyzuci z władzy nad rzeszą germańską. Władzę tę przywłaszczywszy sobie odtąd Niemcy, w długie ją wykonywali wieki. Niżéj oni stojąc od Słowian w cywilizacyi, przewyższali ich tęgością charakteru. Powodem tego była styczność ich ciągła z północném barbarzyństwem, tudzież ostry klimat zamieszkiwanéj od nich w Europie strefy ziemskiéj; gdy przeciwnie Słowianie, w rozkosznych niegdyś nad Dunajem prze-

(1) Germ. 9.

(2) Nie mogąc iść jak Słowianie prosto na zachód, z przyczyny zastępujących jéj drogę Scytów i Sarmatów.

(3) De bello Gall. VI. 24.

mieszkując krajach, i z oświeconą Grecyą stosunki mając, wcześnie złagodniawszy, nie mogli mieszkających w Germanii swych spólbraci Suewów również zahartowanym ludem zasilać, jakim naodwrót swoich Niemców zlodowaciała zasilała Szwecya. To właśnie ułatwiło z czasem Niemcom zwycięztwo nad Suewami, zwłaszcza po rozpadnieniu się rzeszy tychże za sprawą Rzymian; po rozwinięciu u siebie feudalnych, od Tatarów snadź w przechodzie swym z Azyi do Europy przejętych stosunków, i po urządzeniu sobie sprężyście wykonywanych rządów monarszych, na czém rzeczonym Suewom, rządzącym się patryarchalnie, zupełnie zbywało. Szeroce się nad tą rozwiodłszy rzeczą w *Pierwotnych dziejach Polski i Litwy*, spuszczam ją tu z uwagi, a natomiast dotknę, jak zapowiedziałem, Swewów, i styczność ich dziejów z dziejami Niemców wykażę.

Ten z wodzów rzymskich, którego słusznie Napoleonem starożytnego świata nazwać się, godzi; ten który przekroczywszy z bronią w ręku Ren rzekę, zapuścił się piérwszy w głąb Germanii: ten mówię, wojując Niemców, usłyszał od nich o Swewach to zdanie, „że oni są jedynym na ziemi ludem, którym nikt, bogów nieśmiertelnych nie wyjąwszy, podołać nie jest w stanie, i że ich tylko, a nikogo więcéj, nie obawiają się germańskie ludy (1)." Struchlał na te słowa zwycięzca Galii, nie wziął ich, jakby się zdawać mogło, za bezbożną przechwałkę, i owszem rozmyślać zaczął nad przyszłym losem swéj rzeczypospolitéj, za panią wszystkich na zachodzie i wschodzie położonych krajów dotąd uchodzącéj. Aż dotąd bowiem były na ziemi dwa niejako światy: rzymski i barbarzyński, z których piérwszy panując nad narodami najucywilizowańszemi, sięgał po władzę nad resztą ziemskiego padołu, a drugi odpychał tę władzę i wolności swéj bronił, chociaż daremnie. Bo gdziekolwiek zatknęły swe orły legiony rzymskie, nikt się tam z wolnością nie wybiegał, i musiał uledz pod ich szponami, będących godłem zwycięzkich hufców plemienia, które niegdyś wykarmiła swém mlekiem wilczyca na ujarzmiciela narodów. Teraz atoli miała się zmienić postać rzeczy. Miał świat rzymski (myślał Cezar) przejść pod panowanie barbarzyńców, i niby obumarły olbrzym, stać się puścizną mło-

(1) *Sese unis Suevis concedere, quibus ne dii quidem immortales pares esse possint; reliquum quidem in terris esse neminem, quem non superare possint.* Caesar de bello Gall. IV, 7.

dzieńczego ludu, który w cnoty i męztwo ozdobny, ochoczo występował do walki z pogromcą świata, a tém straszniejszy był dla niego, im bardziéj z sił moralnych słynął. Łatwo przewidywał wódz rzymski trudność walki z ludem, który będąc jednolitym, brał się w zapasy z wojskiem, z różnych przeciwnych sobie narodów zlaném. Narody te, jak pomyślny los jednoczył, tak przeciwny mógł rozproszyć łatwo. Chcąc więc uniknąć nadal nieszczęścia, należało Rzymianom, po odparciu jakkolwiek piérwszego napadu ze strony Swewów, wziąć się do przebiegów, i raczéj im, niż orężowi zaufać. Należało probować, czy się nie da zwichnąć dotychczasowego stanu politycznego swewskiéj rzeszy; czyby nie można skazić obyczajów ludu, zaszczepiając w trzeźwym dotąd narodzie pijaństwo, wystawnością go i wygodami życia zarażając. I udało się to wybornie wojującym po Juliuszu Cezarze ze Swewami Rzymianom.

Na sto powiatów dzieliła się rzeczpospolita swewska, z których każdy rok rocznie wystawiał po tysiącu wybrańców do wojny, zaopatrywanych w potrzeby przez resztę pilnujących roli mieszkańców. Tych po upływie roku, luzowali w służbie wojskowéj wiejscy pracownicy, a wojacy szli znowu do roli, i na stotysięczną owę gromadę wojujących pracowali spółbraci. Czoło wojska stanowiła piechota, jazda znaczyła mniéj. Ta dosiadając rumaków oklep (za hańbę poczytywali sobie Swewowie używać siodeł) łatwo zeskakiwała z koni, by stawać i walczyć w szeregach piechotnych: czém właśnie najwięcéj łamała rzymskie szyki, w okamgnieniu napełniając przerzedzone od ich oręża piechotników swych kupy. Taki porządek rzeczy chcąc zwichnąć, zachęcali Rzymianie znakomitych obywateli swewskich do przywłaszczania sobie królewskiéj godności, przyrzekając im, jeżeli się rzecz nie uda, brać ich pod swą obronę i dać przytułek u siebie: a znowu naród swewski umacniali w wierności ku formie republikańskiego rządu, obiecując mu szanować ją, jeżeli z Rzymem trzymać będzie. W przeciwnym razie grozili, że wypuszczą na wolność trzymanego w swych prowincyach pod strażą tego lub owego zrzuconego z tronu króla, i wsadzą go powtórnie na królestwo. Taką komedyą odegrał z Marobudem (słowiańskie oczywiście miano) i Katualdą Tyberyusz, a z Wanniuszem (słowiański *Waniek*, *Wanko*) Klaudyusz Cezar; i znowu tegoż Marobuda tudzież Tudra (*Tudor*, słowiańskie miano) potomstwo osadził na tronie swewskim Trajan.

Przyczém zauważył Tacyt, że władza i potęga tych królów wypływała od Rzymian, którzy ich wspomagali częściéj pieniędzmi, niż wojskiem (1).

Tego samego fortelu, by osłabiać Słowian, używali w dalszém następstwie Rzymian, byzanccy cesarze i Niemcy. Panujący w VI po Chryst. wieku w Carogrodzie Maurycy mówi, że „ponieważ królikom ulegają niektóre słowiańskie ludy, wypada z polityki kłócić między sobą ustawicznie królików tychże, a mających wziętość u narodu przeciągać na swoje stronę; przestrzegając pilnie, by się nigdy nie schadzali na wspólne obrady, lub nie uznali nad sobą władzy jednego" (2). Wiadomo z dziejów, że cesarze niemieccy nasuwali Słowianom nadłabańskim myśl tworzenia u siebie królików i książąt, że namawiali ich, aby republikańskie zachowywali rządy, a usuwali się od uznawania nad sobą władzy królów polskich.

Zatrwożył się wielce Juliusz Cezar, gdy mu o Swewach i to doniesiono, że oni tylko po to wpuszczają do siebie kupców rzymskich, ażeby im odkupowali zdobycz zabieraną na wojnie, surowo im zresztą zakazując wnosić do swego kraju jakiebądź towary, a mianowicie téż nie wprowadzać wina: „gdyż, mniemali, że trunek ten osłabia ciało i zniewieściałém je czyni (3)." Z téj jego bojaźni mógł się uśmiać serdecznie znawca ludzkiego serca, skoroby, jak to uczynił Tacyt (4), zauważył „że nic łatwiejszego jak rozpoić lud młodzieńczy, i że skoro taki raz zakosztuje trunku, a miéć będzie napoju ile zapragnie, wtedy niemniéj go łacno można kuflem jak orężem zwyciężyć". I dokazali tego Rzymianie w przeciągu lat kilkudziesiąt po Cezara śmierci. Jakoż wierutnemi się wnet stali Swewowie, i wszyscy Germanowie, pijakami. Tenże sam Tacyt, który owe słowa wyrzekł o germańskich ludach (w dziele, które r. 97 po Chr. pisał, co przypominam),

(1) *Tacit Ann. II 63 mówi: Et Marobudus quidem Ravennae habitus, si quando insolescerent Suevi, quasi rediturus in regnum, ostendebatur.* Porównaj tegoż Ann. XII. 29. Germ. 42.

(2) Porównaj politykę Maurycego w moich Rocznikach i Kronikach str. 259.

(3) Caesar de bello Gall. IV. 2.

(4) W Germ. 23 tak mówi: „bez przypraw i wytworu głód opędzają. Atoli w napojach nie masz takiéj miary. Dodawszy im trunku, ile zapragną, aby się popili, niemniéj ich łacno kuflem jak orężem zwyciężysz" (przekład Ad. Naruszewicza).

obszernie pijatykę ich opisał, podobnież się w tym względzie, jak nasz Kitowicz (1), tudzież Ignacy Krasicki (2), o dawnych Polakach wyraziwszy. Posłuchajmy co o tém mówi (3):

„Przetrwać cały dzień i noc na pijatyce, nie masz wstydu: wszakże takowy przelej daje do zwad okazyą, i rzadko się na przymówkach bez krwi rozlania i zaboju zakończy. Bywa i to, że się podczas bankietów czynią przeprosiny, szykują małżeństwa, stanowią magistraty (urzędy), układa wojna i pokój: jakby w żadnym innym czasie ani się umysł do rzeczy potocznych lepiéj nie otwiérał, ani do wielkich zagrzewał. Swobodne żartów stołowych bezpieczeństwo wynurza najskrytsze tych ludzi prostych i nieobłudnych tajemnice. Nazajutrz roztrząsają potrzeźwu, co wczoraj w pełności wylanego z trunkiem serca ułożyli."

Nadmienić atoli muszę, że wyjąwszy pijaństwo, w niczém zresztą Niemcy nie naśladowali Swewów. Osobliwie téż pociąg do wystawności i strojów, tudzież język swewski, znajdował u nich tęż samą, co słowiański w dzisiejszych Niemcach odrazę. Albowiem sami tylko Łęczanie (Ligii) z całéj germańskiéj rzeszy, nosili się i mówili po swewsku. W czém nic dziwnego: gdyż tegoż samego, co oni, tojest tak późniéj nazwanego słowiańskiego pochodzenia byli (4). Za czasów Juliusza Cezara nie znali Swewowie żadnych piększydeł, skórami się dzikich zwierząt odziewając (5): przeciwnie za czasów Tacyta pilnie chodzili około trefienia włosów (6). Co lubo według niego „nie dla ponęt miłosnych czynili, jak raczéj, żeby idąc do boju roślejszemi się i okropniejszemi w oczach nieprzyjacielskich wydawali," jednakże sama ta okoliczność, że się wielce ubiegali za tak błahą rzeczą, dowodzi, iż musieli i około ubiorów chodzić troskliwie, i że już wówczas objawiał się u przodków naszych ten pociąg do strojów, który nas dotąd gubi.

To jednakże nie miało, jak rzekłem, u Niemców miru. Zostawili oni stroje, równie jak wiele innych a szkodliwych zwyczajów Słowianom wyłącznie, w niczém ich, prócz pijaństwa, nie naśladując. Atoli i pijatyka dawała się poskramiać, gdy władza

(1) W Obrazie Polski za panowania nam Sasów.
(2) W Przypadkach Mikołaja Doświadczyńskiego.
(3) Tacyt w Germ. 22, według przekładu Adama Naruszewicza.
(4) Tacyt Germ. 43.
(5) Caesar de bello Gall. IV. 1.
(6) Germ. 38.

rządu w niemieckich zostawała rękach, przez którą w każdym przypadku mogli nadać taki kierunek cywilizacyi, jaki im polityka doradzała uczynić. Tą powodując się, nakierowali z czasem cywilizacyą tak Swewów, jak w ogóle wszystkich władzy swéj uległych Słowian, na swój sposób, tą samą obawą, co niegdyś Rzymianie przejęci snadź będąc. Wygody życia wzięła sobie ta cywilizacya za godło, czém aż do samego rdzenia narodu, do ludu mówię, przedarła się i przedziéra.

Zdziwiony wielce zostałem rozmową, jaką niegdyś miałem z parobkiem polskim około Kent, miasta w cyrkule wadowickim w Galicyi austryackiéj położonego; tudzież z goralem tatrańskim, zamieszkałym we wsi Szczawnicy, z wód mineralnych słynnéj. Pytałem piérwszego, kogo więcéj lubi: rodaka czy cudzoziemca? Odpowiedział mi że woli Niemca, któremu dziś służy, gdyż dobrze masłem okraszone jada u niego krupy, nawet w dni postne; a przeciwnie Polak, u którego dawniéj służył, kazał mu jeść w piątek jarzynę przyprawioną olejem. Drugi na toż samo pytanie odpowiedział mi, że Polaka woli, z przyczyny, że Niemcy nie jadają z olejem nawet w Wielki tydzień. Słyszącemu mi to przyszły na pamięć Tacytowe słowa. Niechno (pomyślałem) zakosztuje goral niemieckiéj strawy, będzie i on podobnie śpiéwał, co ów parobek zpod Kent! Mniemam, że się nie mylę.

Zakończę ten artykuł uwagą, że po wielu przemianach losu, o których mi teraz mówić ani czas, ani zakres tego nie dozwala pisma, Swewowie zszedłszy na Szwabów, poszli w pogardę nietylko u Niemców, lecz i u Słowian. Dotąd albowiem gmin słowiański nazwisko *Szwab* pojmuje szyderczo, a niemiecki bierze je dziś nawet w znaczeniu takiém, jakie niegdyś do imienia *Mazur* przywiązywaliśmy. Nie zważając na to, co gmin mówi, który zawsze i wszędzie był i będzie sobie podobny, wartoby się zastanowić nad źródłem obelżywości miana, które nietylko wzgardy nie przyniosło nigdy naszemu i niemieckiemu imieniowi, lecz nawet było i jest jego zaszczytem. Bo wiadomo z dziejów, że cokolwiek się kiedy znakomitego pojawiło w Niemczech, od Swewów to czyli od Szwabów poszło, lub zostawało z imieniem ich w blizkiéj styczności. Że jeden na to przytoczę przykład: któż tego nie wié, że w okolicach Renu, a więc w pierwotnych siedzibach swewskich, porodzili się Göthe i Szyller? Dobrze ktoś powiedział, że nietylko czujemy, lecz i udajemy wzgardę; okazując drugą tym szczególnie, których się obawiamy, lub zazdrościmy

im sławy: że obelga biorąca swój początek z przesądu, przybiéra następnie pozór prawdy, i tém więcéj ma wiary, im bardziéj się oddala od źródła, z którego wyszła pierwotnie; a traci na wziętości, i znowu uronioną odzyskuje sławę, im bardziéj się wyświe, ca rzecz, i we właściwém przedstawia świetle. Dobrzeby uczynił, gdyby się kto zajął szczegółowym rozbiorem przedmiotu o który, że tak powiem, zawadziliśmy tu mimochodem. Znalazłoby się na to wiele zasobów w źródłach, które chętniebym wskazał chcącym obeznać dokładnie naszę publiczność z starożytnemi, a blizko obchodzącemi pierwotne dzieje Polski Swewami.

Po napisaniu tego artykułu doszedł mnie numer gazety francuzkiéj z d. 6 maja r. b. (1852), pod tytułem: *Journal des Débats* wychodzącéj; tudzież numer 13 *Dziennika literackiego*, obecnie we Lwowie wydawanego. W numerze gazety owéj zastanowiło mnie uczynione sprawozdanie o dziele p. Dareste, świéżo w Paryżu ogłoszoném (*De la propriété en Algérie*), w którém między innemi mówi autor o własności ziemskiéj, przez dzisiejsze pokolenia arabskie w Algieryi posiadanéj, co następuje: *Dans l'intérieur de chaque tribu, le territoire se divise en autant de parts qu'il existait primitivement de chefs de famille; mais la propriété de chaque part est indivise entre tous les membres de la famille, qui la cultivent et l'exploitent en comun. On peut reconnaitre ici le type de ces communautés patriarcales qui existaient en France avant la revolution, et dont il reste encore des vestiges dans quelques unes de nos anciennes provinces, notamment dans le Nivernais* (w téj prowincyi są źródła rzeki Loary). *Chez un certain nombre de tribus, notamment dans la province de Constantine, les terres sont annuellement réparties par le cheikh entre les membres de tribus. Il est à remarquer, que le même usage, d'après César et Tacite, existait chez les anciens Germains.* W numerze Dziennika uderzył mnie ustęp *O mniemanéj słowiańskości Suewów*, w którym bezimienny powiada autor, że z słów p. Jakóba Grimma wyżéj odemnie przywiedzionych wynika to twierdzenie: „że Belgowie czyli Galowie nazwali Niemców Germanami, a Sarmatowie mianowali ich Suewami.“ Powiada daléj: „że jak Belgów i Gallów nie uważa (p. Grimm) przeto za Niemców (?), że dali im nazwisko Germanów; tak téż Sarmatów (którzy w jego mniemaniu byli Sło-

wian przodkami) nie uważa bynajmniéj za Suewów." Powiada nakoniec: że chociaż p. Grimm wyraźnie to przyznał: „iż Swewy i Sławy zdają się być jedném i tém samém nazwiskiem", jednakże „Suewów za Słowian nie uznał." Krótko mówiąc, wynika, według autora artykułu owego ten wniosek: „że lubo Niemców nazywano Suewami (których miano za toż samo co *Slavi* bierze uczony badacz niemiecki), jednakże ci Słowianami nie byli nigdy."

Czy tak należy rozumiéć p. Jakóba Grimma, lub czy przeciwnie; czyli tak jak wyżéj powiedziałem, pojąć jego słowa potrzeba?—zostawiam to rozwadze czytelników mojego artykułu. Zauważam przytém, że chociażby rzeczeni Swewowie nie byli się owem czyli Słowian nigdy nie nazywali mianem, tobym się ich i tak za Słowian uważać nie wahał; a to z téj przyczyny: że nietyle z nazwiska, ile z instytucyj, a mianowicie prawnych, głównie wyrozumiewamy narodowość każdego ludu. Mieli zaś rzeczeni Suewowie takie, które na sam rzut oka dawały poznać, że lud używający ich nie może być niemieckiego pochodzenia, gdy instytucye jego pierwotne, zupełnie się z niemiecką nie zgadzają narodowością. Że się późniéj zniemczyli Suewowie, temu nikt nie przeczy.

Drużyn hufce wyprowadzali do boju Niemcy, hufce rolników, i to nie, jak było u tychże Niemców, niewolników, lecz obywateli wyprowadzali w pole Swewowie. Prawo obywatelstwa polegało u Słowian na udziale wyznaczonéj sobie do uprawy roli, którą wsiami obrabiali; gdy przeciwnie Niemcy folwarkami uprawiali ją, przez osadzanych na roli niewolników kupy: sami bowiem mieli odrazę do rolnictwa. Zwyczaj Swewów dzielenia gruntów, w całéj niegdyś Słowiańszczyznie znany, przetrwał dotąd w głębi Rossyi, tudzież u ludów siedzących na rolach dzierżanych niegdyś od Wandalów, (mieszaniną Niemców a Słowian będących, którzy, jak wiadomo, osobne przed wieki założyli państwo w Afryce) i rzeczonych Suewów, których władztwo w dzisiejszém królestwie Wirtemberskiém pierwotnie ukonstytuowane, wpływ swojemi instytucyami rolnemi na kraje sobie blizkie wywierało. Ztąd, wytłumaczyć sobie łatwo, zkąd wziął początek ów obyczaj dzielenia się wspólnemi gruntami, u algierskich i niwerneńskich mieszkańców dotąd istniejący, według opowiadania wyżéj przywiedzionego p. Dareste. Właściwi Niemcy nie znali téj instytucyi, również jak i tak nazywanéj społecznéj ręki (solidarności gmin) na któréj pierwotne rządy Słowian w długie

polegały wieki. Mówi wprawdzie Cezar i Tacyt o tém, że i Germanowie dzielili między siebie brane do uprawy role; aleć Germanowie nie z samych się wyłącznie składali Niemców, i jak opowiada Tacyt, nie ze wszystkiém ten sam obyczaj przy podziale gruntów, co Swewy, co wszyscy Słowianie rzeczywiście, zachowywali. Nadto, według tegoż Tacyta, późno przyszła Germanów nazwa Niemcom: dawniéj służyła ona, jak się wyraża p. Grimm, zachodnio-niemieckim, tojest, jak widać z dziejów, zostającym pod panowaniem Niemców na zachodzie różnego pochodzenia ludom.

Ale zkądże się wzięli nad Renem Swewy (Słowianie), jak tu przyszli? Przyszli znad Dunaju, idąc wciąż przez kraje częścią dotąd słowiańskie, częścią z czasem zniemczone, i dopiéro się tam zastanowili w pochodzie, gdzie im drogę zastąpili Celtowie. Marszrutą ich, że się tak wyrażę, są prawa, których zabytki najdawniejsze, jużto w zwyczajach prawnych Greków starożytnych (tak zwane *jus connubii*), już w ustawach niemieckich (w *lex Bojavariorum* w VI po Chr. wieku spisanéj) pozostały się, mianowicie w przepisach z ręką społeczną wiążących się ściśle. Wydobędę je ztamtąd i wykażę w zamierzoném wydaniu nowém historyi prawodawstw, przy czem zwrócę uwagę czytelnika na to głównie: że gdy prawa te były wprost duchowi niemieckości przeciwne, przeto niepodobieństwem jest brać za Niemców naród, który ich używał. Prawa te, częścią po zaprowadzeniu do Słowian chrześciaństwa w niepamięć puszczone, częścią aż do XVIgo wieku, a nawet dziś jeszcze w głębi Rossyi od tamecznych włościan zwyczajem zachowywane, (znalazłszy je w pełni życia u Słowian nadłabańskich, dawnych Swewów potomków w X i XI jeszcze kwitnące wieku), naprowadziły mnie na ów wniosek o Suewów rodowości, który w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy rozwinąwszy, dopełniam je pokrótce w tym artykule, szerszy ich wykład odkładając na poźniéj.

Winienem i to zauważyć, że w końcu swego artykułu wspomniał ów autor bezimienny o anachronizmie, który co do Sarmatów popełnić miał p. Jakób Grimm. Ale niech przeczyta przywiedzione od nas (w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy VI, przyp. 6) Hermana Mülera dzieło, a dowié się ztąd o bardzo dawném niegdyś w dzisiejszych Niemczech Sarmatów władaniu.

PODRÓŻ Z SZKOCYI DO ANGLII.

PRZEZ

Dra T. Trippliua.

(Dokończenie).

V.

Dickens mówi w jednym z najnowszych utworów: „*I have never had the good luck to be acquainted with a moneylender, either in his own hospitable mansion, or in society*;" co znaczy po polsku: „nigdy nie miałem szczęścia znać ludzi pożyczających pieniądze, ani w ich gościnnym domu, ani też w świecie." Niewielu literatów udzielić sobie może to świadectwo nietylko u nas, gdzie zawód literacki istnieje jak proletaryusz, lecz i w Anglii, gdzie literatura doznaje prawdziwéj zachęty ze strony magnatów. Pospolicie literaci i artyści w zapale poetyckim zapominają o względach winnych temu, co oni nazywają podłym kruszcem, a co istotnie nawet w ucywilizowanych krajach uchodzi za reprezentanta pracy, zdolności, talentu i czynności; często tedy wpadają żydom i lichwiarzom w ręce, i czasem nawet przy najlepszéj chęci przez całe życie z nich się wydobyć nie mogą. Nie mówię tu o biédnych pseudo-literatach, o nieborakach piszących dlatego tylko, że im się nie chce światu służyć skromniejszą, zdolnościom swoim więcéj odpowiadającą pracą.

Nie mówię o ludziach niewykształconych nauką, niedojrzałych długiém doświadczeniem, niezdolnych ocenić własnemi oczyma żadnego odcienia świata, życia lub towarzystwa, a porywających się do narzucania bliźnim swych myśli i mniemań. Tacy

improwizowani literaci, nawet gdy im się uda zwabić czytelnika i zdurzyć go zawikłano-napuszonym stylem, maskującym ubóstwo i nieład myśli: tacy literaci srodze igrają z rozumem ludzkim, a srożéj jeszcze z własnym losem. Tacy biédacy lat kilka najpiękniejszego wieku przepartaczą w usłudze jakiegoś spekulanta literackiego, ciesząc się nazwiskiem swojém wydrukowaném na okładzinie, durząc się jakąś tam sławą, która spaść może z tych okładzin; a odwykłszy od praktyczniejszéj pracy, nie uzdolniwszy się do żadnego, światu pożytecznego zawodu, rachują się ze swemi siłami, ze swym talentem dopiéro wtenczas, gdy czas kształcenia się przejdzie; przeklinają chwilę, w któréj po piérwszy raz do pisania siedli, i częstokroć (słyszałem to nieraz na własne uszy) zazdroszczą szewcowi buty szyjącemu, bo szewca *proszą* o pracę, bo szewc rękami swemi tworzy coś światu niezbędnie *potrzebnego, użytecznego*. Nie mówię o tych dzieciach próżności i próżniactwa, podrzucających się Apollinowi, igrających ze sławą jak komar ze świécą, zaczynających pisać, nim dobroć swych myśli, długim szeregiem działań sprawdzili: o nich w inném miejscu nie zapomnę. O gieniuszach także nic tutaj nie powiém; ale tu mowa o szermierzach umysłowych, wzrosłych w ciągłéj walce, jaką spostrzeżenia, myśli i pomysły wypowiadają rozwijającemu się rozsądkowi; o ludziach obdarzonych bystrym jak sokoł wzrokiem, wierną jak przyjaciel pamięcią; o mężach dojrzałych w długotrwałéj nauce, pojętnych, wielki przestwór wiedzy ludzkiéj rozumem swym odrazu obejmujących, posiadających dar natchnienia lub téż silną, niezłamaną, niczém niezwalczoną wiarę w dobroć swego sądu, albo téż trafność dowcipu, charakteryzującego w kilku słowach to, czego inny tomem całym nie opisze. Tu mowa o literatach, umiejących nauczać bez znudzenia, zabawić z pożytkiem dla rozumu, poprawić bez rozgniewania; znających doskonale duch swego czasu, swéj publiczności, nieodstępujących nigdy od zdania swego, powołującego do ogłaszania własnych myśli, a nie nękających powtarzaniem.

O takich literatach mówię, bo ci tylko są powołani i wybrani na oświecenie ludzkości swemi myślami, i ci tylko dobrą, społeczności potrzebną, użyteczną robotę wydać są w stanie.

A i tacy na nieszczęście niezawsze odbiérają plony swych prac i swego talentu; i pomiędzy takiemi znajdziesz, we wszystkich krajach świata ucywilizowanego, ludzi passujących się z biédą, znajdziesz ich nieraz pracujących jak bydlę w usłudze

spekulującego wydawcy, którego krwią swą szlachetną karmić, bogacić muszą, a który im wymierza skąpo, niechętnie, częstokroć nawet z pogardą, cenę ich nauki, pracy i natchnienia!

Tu, w Londynie naprzykład, musisz szukać nieraz w najnędzniejszym zaułku, na najwyższém piętrze od tyłu, literata, którego nazwisko chlubnie jest znaném w całym kraju, którego piérwsi magnaci Anglii do swych salonów zapraszają.

A nawiasem powiedziawszy, niepłonną jest w tym kraju sympatya, okazywana przez arystokracyą autorom. Szlachta angielska umié nosić godnie swe historyczne nazwiska: wié ona doskonale, że czasy bohaterstwa ustąpiły wiekom intelligencyi. Sama się téż doskonali w naukach, i świetność swego nazwiska nadal chce zapewnić nietylko własném ukształceniem, lecz także skuteczną protekcyą, udzielaną literatom i artystom. Bo talenta są dziś skrzydłami sławy narodów: i kto dla pięknéj sławy swego narodu nie poświęca chętnie cokolwiek czasu i pieniędzy, ten prawdziwie wyrzeka się sławy swych przodków, i nie jest godnym nosić nazwiska w dziejach słynącego.

Magnat angielski znajduje chlubę i przyjemność w wyszukiwaniu talentów, niemogących się wyjawić dla ubóstwa na nich ciążącego, i nigdy się nie wyrzecze powinności wspiérania sztuk i nauk w swym kraju, nigdy się nie ucieka (dla uchylenia się zpod zarzutu skąpstwa) do owego obłudnego pozoru: że artyści i literaci są najczęściéj utopistami, pragnącemi zbudować nowe światy na zgliszczach starego, targający się na to, co dotychczas świętém było i t. d. Owszem, umié on uszanować w saméj exaltacyi umysłowéj wpływ zapału młodocianego, wywierany na wiarę i przekonanie literata, nie kamienuje nigdy anatemem talentu rozwijającego się w plebejuszu; lecz owszem cieszy się, że ten talent nada może plebejuszowi prawo do dostąpienia równych jemu dostojeństw i godności.

Ale wróćmy do literatów angielskich, pędzących mozolne, kłopotliwe życie w owych ciemnych, brudnych zaułkach, których nie braknie w Londynie.

Nasz nowy znajomy Karol Dickens, idąc torem zakreślonym przez talent Teodora Hook, dostępuje majątku i znaczenia; a pierwotwór Dickensa, Teodor Hook, człowiek z gminu wyrwany siłą swego nieporównanego talentu, uczestnik zabaw dwóch ukoronowanych Anglików, Teodor Hook, obdarzony najmilszym dowcipem jaki może kiedykolwiek istniał w człowieku równym

jemu bystrością rozumu, światłem nauki, żywością temperamentu, Teodor Hook umiéra w nędzy, i winien tylko litości publicznéj swój pogrzeb.

Teodor Hook! Znałem go. Nie wówczas, kiedy mu się szczęście śmiało, kiedy opływał w dostatki i w poklaskach najdumniejszéj arystokracyi ziemi, czerpał zasoby życia tak świetnie błyszczącego; ale znałem go wtenczas, gdy ciężką złożony chorobą, z niecierpliwością wyglądał śmierci, gdy mu zabrakło pieniędzy na zakupienie ulgi, gdy na swą żonę, na swe dzieci spoglądał rozpaczającém okiem, i siłą bujnéj wyobraźni obrachowywał nieszczęścia spaść mogące na jego potomstwo.

Kto był Teodor Hook?—My tego nie wiemy. My najdoskonaléj znamy wszystkie ramoty Pigault le Brun'a, Balzaka, Dumasów i Korków; my nawet nieźle obznajmieni z oryginalnościami systemów Fourrier'a, Rollin'a, Blanca (o tyle, o ile nam potrzeba do prawienia o nich w salonach; tu w pochwalnym, tam w żartobliwym, owdzie szyderskim, w innych jeszcze miejscach zgrozą przejętym tonie); ale z literatury angielskiéj, tak poważnéj i zarazem miłéj, znamy tylko to, co Voltaire wyśmiał z Shakspear'a, A. M. pochwalił z Byrona, i Orgelbrand kazał przetłumaczyć z Maryat'a. Przepraszam: polska płeć piękna wprawdzie na nasze, a może jeszcze więcéj na swe własne nieszczęście daleko więcéj wykształcona, jak płeć męzka naszego kraju; płeć piękna, mówię, umiała ocenić zasługi położone przez Lady Margan, Lady Blessigton, Miss Burney, a mianowicie przez Hoffmanową angielską, panią Edgeworth.

Ja chcę dać poznać publiczności naszéj żywot mego pacyenta, autora pism, które niezmierne wywarły wrażenie, i które pozostaną na zawsze w literaturze angielskiéj; literata niegdyś zdumiewającego, bawiącego swemi utworami najwięcéj wymagającą publiczność, a zmarłego w nędzy. Może tą biografią niejednego zachęcę do czytania dobrych, a niejednego zniechęcę do pisania złych książek; uważałbym się szczęśliwym, gdybym tego dopiął celu.

Teodor Hook urodził się w ostatniém dziesięcioleciu ubiegłego wieku w Londynie. Synem był namiętnego muzykanta i matki wysoko wykształconéj. Wychował się w sławnéj szkole w Harrow, razem z Byronem i Robertem Peelem. Do ostatniego dnia swego życia wspominał z rozkoszą o tém koleżeństwie, ale też wyznawał, że nie był pilnym uczniem. Matka Hooka umiera: on sam, wraca do domu rodzicielskiego. Urodzony w świątyni

muz, wcześnie się przejął powiewem otaczającym jego kolebkę, tworzył pieśni i sam je pod muzykę podkładał. Mając zaledwie lat 15, pisał texta do muzycznych utworów swego ojca, i brał udział serdeczny w życiu artystycznóm. W wieku, w którym młody człowiek powinien najpilniéj być strzeżonym i pieczołowicie kierowanym, Hook żył i bujał w kole śpiewaków i aktorów bałamucących go, przypuszczających do wszystkich zakulisowych tajemnic. Drogo przypłacił Teodor ten powabny początek swego rózwoju.

Starszy brat Teodora, Jakób Hook, już wówczas dziekan w Worcester, obawiał się, aby młody artysta tak ognistéj duszy, nie zginął w gorączkowych namiętnościach podobnego towarzystwa. Zawiózł tedy pana Teodora do Oxfordu, aby się tutaj sposobił na adwokata. Kiedy miał zapisać swe nazwisko na matrykule uniwersyteckiéj, wice-kanclerz rzekł, zdziwiony młodocianym wyrazem twarzy kompetytora: „Czy pan zgadzasz się na podpisanie 39 praw uniwersyteckich?"—„Choć 40stu jeśli się panu spodoba", z lekceważeniem odpowiedział Hook. Za ten zuchwały wyskok, wymierzony na znane zasady anglikańskiego kościoła, o mało co nie odrzucono suplikanta. Nie na wiele mu się przydało wybaczenie: ławka szkolna nie była stosowna dla młodzieńca, który już był zachwycił w siebie tyle pierwiastków światowego życia. Hook ucieka z Oxfordu do Londynu dlatego jedynie, żeby zakommunikować dawnym towarzyszom artystycznym plan do nowo przez niego wymyślonéj farsy teatralnéj, i odtąd wzgardziwszy mądrością w książkach nabywaną, oddał się namiętnie sztuce dramatycznéj. W przedziwnym romansie pod tytułem: Gilbert Gurney, Hook bardzo zabawnie opowiada piérwsze swe wystąpienie na deskach teatralnych w roli głównéj opery, pod tytułem: „Powrót żołnierza" która była jego utworem i co do słów i muzyki. Doskonale przyjętą była ta sztuka w widowni Drury-Lane. Zachęcony tém powodzeniem Teodor Hook, w krótkim czasie utworzył ośm sztuk zastosowanych do talentu i charakteru swych towarzyszów. Hook zaczął żyć bujnie, wesoło. Przyjaciele jego do dziś dnia z zachwyceniem wspominają o radosnych chwilach spędzonych z żywym, utalentowanym, i przedsiębierczym Teodorem. Hook był wówczas może najdoskonalszym komikiem swego czasu, przewyższającym Keana w wielu względach. Improwizował na scenie bez najmniejszego wysilenia satyryczne ballady, zastosowane ze zdumiewającą zręcznością

do nieprzewidzianych okoliczności. Wkrótce sława jego dowcipu i talentów przeszła poza wszystkie zwyczajne obręby. Sheridan poznaje go, otwiéra mu swe podwoje i wprowadza do świetnego salonu margrabiny Herford. W tym czasie król Jerzy IV szukał zwykle wytchnienia po pracy i kłopotach w salonach szlachetnych lordów; Hook tego dostępuje zaszczytu, że mu był przedstawiony. Po wieczerzy, podczas któréj młody artysta utopił w szampańskim winie pamięć wysokiéj godności swego współbiesiadnika i zabawiał towarzystwo swym głębokim, porywającym a miłym dowcipem, król powiedział: „Mister Hook, pragnę pana częściéj widzieć i słyszéć.“ To życzenie stało się dla wszystkich magnatów Anglii rozkazem; Hook stał się najmodniejszym w Londynie człowiekiem, duszą najświetniejszych towarzystw. Byłoto zwycięztwo zaiste bardzo chlubne talentu i osobistéj wartości, nad dumą najpyszniejszéj arystokracyi świata; ale to zwycięztwo nie zachwiało ani na chwilę mocnéj głowy młodego i biednego jeszcze artysty. Zręcznie umiał się znaléźć w najdostojniejszém towarzystwie; usłużnym był bez nadskakiwania, skromnym bez przesady, a nigdy, nigdy nie przyjmował podarunków. Umiał cenić swój talent, i był również szlachetnym, jak najszlachetniejszy z jego współbiesiadników.

Król Jerzy IV dobrym był i wspaniałym panem. Dowiedziawszy się, że położenie finansowe Hooka nie było świetném, wstawił się za nim u ministrów i otrzymał dla młodego protegowanego urząd kassyera na wyspie śgo Maurycego, z pensyą 2,000 f. szt. rocznie. Nie dla niego była ta posada: on nigdy dobrym dla siebie samego nie był kassyerem.

Hook jednak pojechał do kolonii, tam został za tygodni kilka duszą towarzystwa i rzucił się na oślep we wszystkie rozkosze, jakie mieć można w osadach. Lady gubernatorowa była młodą, prześliczną kobiétą; lord gubernator starym grzybem, a Teodor Hook artystą umiejącym cenić wszystko co piękne. Odwołują gubernatora do Londynu, a on zmuszony zdać rachunek ze swych rządów, naznacza kommissyą do przejrzenia ksiąg swego kassyera. W kassie Hooka znaleziono 20,000 f. szt. deficytu. Druga kommissya wyznaczona; oskarżyciel nowy wezwany. Ten powtarza dawne oskarżenie, ale przy śledztwie wikła się zupełnie i gubi, bo go przekonano o fałszywe przypisanie czynu. Ale nie baczono na to, że oskarżenie okazało się fałszywém; śledzono jeszcze daléj, i znaleziono niedokładności i brak w kassie. Hooka

aresztowano i odwieziono pod sąd do Anglii. Prokurator generalny zawyrokował, że jakkolwiek Hook niedbale prowadził rachunki, nie zrobił jednakże nic takiego, za coby go kryminalnie ścigać można było. Brakło jednak w kassie 12,000 f. szt.

Hook aż do ostatniéj chwili życia swego utrzymywał, że wyrok ten był niesprawiedliwym, że brakło w kassie tylko 9,000 f. szt., ale nigdy wyjawić nie chciał, gdzie się uroniła tak wielka summa. Sąd zawyrokował, że Hook winien, nie za utajenie lub zabranie pieniędzy, lecz za nieprzebaczone niedbalstwo. Gdzie się podziały brakujące pieniądze? Hook wprawdzie tracił wiele na wyspie śgo Maurycego, trzymał wyścigowe konie, liczną służbę, dawał obiady; ale znowu podczas śledztwa dowiódł, że na wyścigach wygrywał bardzo znaczne summy, mogące pokryć wszystkie jego wydatki.

Kiedy z owéj niby świetnéj posady powrócił Hook do Londynu, miał całego majątku dwa luidory. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak wziąć się po dawnemu do pióra i zarabiać głową na swe utrzymanie. Najął sobie skromne mieszkanie i tam niewiele się troszcząc o wielkich ludzi, którzy go dawniéj do siebie wabili, żył otoczony niewielu towarzyszami młodości. Około tego czasu (r. 1824) Walter-Scott przybył do Londynu, był zachwycony niewyczerpanym dowcipem i miłą wesołością Teodora Hook, i ułatwił mu osiągnięcie głównego redaktorstwa ważnego organu Torysów, pod tytułem: „John Bull."

Szło tu głównie o pretensye królowéj Karoliny. Wróciła ona na ziemię brytańską, domagając się praw i honorów należących jéj jako królowéj. Stronnictwo Whigów wspierało jéj roszczenia. Zjawienie się John Bulla narobiło hałasu, jakiego dotąd żadne inne w Anglii pismo peryodyczne nie sprawiło. W niém, Whigi dotąd napadający, ujrzeli strasznego przeciwnika: i w saméj rzeczy, trzeba było mieć wiele humoru, śmiałości, aby zwyciężyć stronnictwo, które walczyło wszelkiego rodzaju bronią, a które wspierała wymowa Broughama i Denmana. To téż Hookowi należy się zupełna sława porażki Whigów. A co najdziwniejsza, że długo ani się domyślano, zkąd lecą te pociski zjadliwe. W końcu jednak wpadnięto na ślad. Tymczasem ciągnęła się przeciw Hookowi sprawa, wytoczona przez rząd W. Brytanii za niedbalstwo w pełnieniu obowiązków kassyera. Wyrok nareszcie zapadł: Hook skazany na dwa lata do więzienia. Ten areszt dla niego tak srogi, bardzo był korzystnym dla literatury angielskiéj; bez niego kto wié, czy-

by Hook wirem światowości zagłuszony, nie był zakopał swego świetnego talentu. Tu w więzieniu wydał sztukę dramatyczną pod tytułem: Jastrzębie i gołębie, i kilka romansów. Sława tych utworów przeszła wszelkie oczekiwania autora. Od roku 1825, w którym wydrukował piérwszy oddział swoich opowiadań: „Sayings and doings", aż do śmierci, tojest w przeciągu 15stu lat Hook wydał 38 tomów powieści, zawierających prócz wymienionych utworów: Pamiętniki komedyanta, Życiorys oficera sir Dawida Bird, Makewell, Córkę pastora, Gilberta Gurney, Urodzenie, Ślub i śmierć lig Brega, i prześliczną powieść pod tytułem: „Love and pride" (Miłość i duma). Za temi utworami idzie zbiór powieści pod tytułem: „Precepts and practice" (teorya i praktyka). Ostatni jego romans nosi tytuł: „Ojcowie i synowie", nad którego korrektą sam pracował jeszcze na godzinę przed śmiercią. Oprócz tego napisał Hook niezmierne mnóstwo artykułów, ballad, pieśni rozrzuconych w kilku dziennikach, a o zebranie których, Anglicy teraz głośno się dopominają.

Wypuszczono nareszcie Hooka z więzienia *by the benefit of the act of insolvency*, jak się Anglik wyraża, co znaczy: dobrodziejstwem prawa niewypłacalności. Odtąd zaczyna się nowa epoka jego życia. Pisma jego przynosiły mu znaczny dochód: jeden John Bull czynił mu więcéj jak 2,000 f. szt. (do 90,000 złp.) rocznie. Tyleż prawie przyniosło mu piérwsze wydanie jego Opowiadań i powieści. Gdyby był miał choć trochę oględności na przyszłość, to przy takich ogromnych dochodach mógłby był spłacić owe 12,000 f. szt. winnych rządowi, inne długi i jeszcze zebrać kolosalny majątek. Miał wtenczas zaledwie 34 lat, zdrowie silne, humor ciągle najlepszy. Ale gdzie tam! Hookowi i na myśl to nie przyszło. Po wielu latach pracy i nieszczęść myślał tylko o tém, jakby zapomnieć owych ciężkich dni i korzystać z tak ponętnéj teraźniejszości. Przyszłość nic a nic go nie obchodziła. Znowu zaczął wchodzić w towarzystwa, zpośrodka których tak długo był wyłączonym. Sława jego, miły i zabawny sposób opowiadania, a do tego doskonałe pańskie maniery, otwierały mu wszystkie znakomite salony. Hook wylewa się całkiem na rozkosze i zbytek, żyje wystawnie, trzyma konie wyścigowe, ekwipaże, zapisuje się na członka wszystkich arystokratycznych klubów, trawi z lordami, ministrami i książętami całe nocy za zielonym stolikiem, a przytém i o romansach nie zapomina. Hook żył sposobem, który literatowi potrzebującemu przedewszystkiém obco-

wania z samym sobą, nigdy nie może przynieść ani spokoju, ani niezależnego bytu. Ale na nieszczęście! częściéj znajdziesz w literacie płochą próżność, jak szlachetną dumę. Literat powinien być słońcem, które przyciąga magnatów, a nie ich trabantem.

Wkrótce rozchody Hooka przewyższyły jego dochody, chociaż te ostatnie zależały prawdziwie od jego własnéj woli. Już znowu piętrzą się długi około widnokręgu gienialnego, wesołego, a przecież tak próżnego literata. W świetném towarzystwie, które czarował Hook swoją wesołością, nie domyślano się nawet, co się tam działo w głębi jego duszy, albo téż może udawali, że się niczego nie domyślają; niejeden może z bogatych panów widząc Hooka tak wziętym w modném towarzystwie i zazdroszcząc mu téj wziętości, cieszył się już naprzód z przyszłego zajścia talentu poza obłoki kłopotów pieniężnych. Hook żył w ciągłéj walce z nieubłaganemi wierzycielami; do tego naciskany przez księgarzy wydawców, którym dawał zobowiązania przechodzące jego siły, pracował pospiesznie, wyczerpywał gorączkowém natężeniem swą wyobraźnię, nareszcie szukał w kieliszku sił, odetchnienia i natchnienia, ale napróżno: każdy dzień odnawiał jego męki, wierzyciele znów grożą więzieniem.

Gdyby kto wydał dziennik Hooka, dowiedzielibyśmy się wielu smutnych tajemnic. Czerpiemy z niego następujący ustęp, charakteryzujący niespokojny i dolegliwy żywot autora. Jednéj zimy, na kilka lat przed swą śmiercią, Hook zostaje zaproszonym do pewnego lorda na zamek wiejski. Zebrało się tam liczne i świetne towarzystwo. Hook był jedynym między niemi plebejuszem. Co czwartek musiał się on porozumiewać osobiście ze swoim drukarzem o numer gazety, mający wyjść w sobotę. Przez czas pobytu swych świetnych przyjaciół na polowaniu, Hook ukradkiem napisał artykuł. W środę wieczorem, kiedy wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, on znowu pocichutku oddalał się, wsiadał na rozstawne konie, i nocą pięćdziesiąt mil angielskich pędził do Londynu, porozumiał się z drukarzem, i téj saméj nocy wraca na wieś, ubiera się i schodzi wraz z innemi gośćmi na śniadanie, przy którém, po takiém znękaniu, zwykle jeszcze więcéj bywał zajmującym. Podczas polowania, Hook korzysta ze zgiełku, zsiada w lesie z konia, i znów pisze artykuł. Obiad następuje. Literat opowiada tysiąc awantur, które mu się niby miały wydarzyć podczas polowania. Wieczorem gra. Hook zgrywa się co do grosza, i gdy inni używają spoczynku, on znów pędzi

pocztą do Londynu, pożycza na najokropniejszą lichwę kilkaset funtów szterlingów, wraca na wieś, i wieczorem znów ani grosza nie posiada. Takie było życie syna muzykanta.

Po powrocie z wyspy Śgo Maurycego, Hook zawiązał bardzo blizkie stosunki z osobą młodą, która dotąd bardzo cnotliwe i pracowite prowadziła życie. Jéj miłości, sam to wyznaje, był jedynie winien spokojne a szczęśliwe chwile swego życia. Ale Hook i tu nie jest bez winy: nie ośmielił się on dać swego nazwiska téj dobréj istocie, która została matką jego dzieci. Wszędzie i zawsze ścigały go o to srogie wyrzuty sumienia, lecz i te rozbijały się o próżność. W wielu miejscach jego dzieł znajdziesz odbicie zgryzot, których musiał doświadczać autor z przyczyny własnych błędów. W czułych słowach wystawia on nieraz niedolę kobiéty, która ślepo wierzy przyrzeczeniom niesumiennego mężczyzny; a wydarta z towarzystwa, potém z niego wyrzucona, pędzi dni swoje w samotności, w kłopotaniu się o dzieci, gdy tymczasem uwodziciel nie śmié jawnie wyznać, że jest mężem *de facto* kobiéty, która zawierzyła jego honorowi. Hook maluje prześlicznie skromną i niewinną miłość swoich bohatérów i bohatérek, i z jakąś rozrzewniającą lubością rozwija myśl, że mężczyzna wtedy tylko może być szczęśliwym, kiedy się ożeni, bo pracuje dla téj, którą najwięcéj kocha, któréj powierzył honor swego nazwiska, któréj miłość przynosi mu pociechę w nieszczęściu, a szczęście podwaja. „Ale—pisze daléj Hook, tak jak gdyby był echem swego własnego sumienia—ale takato nasza natura; śmiejemy się z błędów i z wad drugich, które w porównaniu z naszemi są pięknościami; ganimy i potępiamy w naszych znajomych to, co sami robimy codziennie. Myślimy, że nasz czyn jest wyjątkiem od prawidła ogólnego, jest czémś najzupełniéj wyjątkowém; uważamy się za nieszczęśliwą ofiarę okoliczności, jeśli wpadamy w tę samą niedolę, za którą dopiéro co innym kazanie prawiliśmy."

Tylko próżność pociągnęła Hooka w błyszczące bogactwem towarzystwa. Zapomniał on o tém, że to samo towarzystwo, tak niestosowne do jego stanu i położenia w świecie, koniecznie musiało pozbawić go cichego, domowego szczęścia i zatruć spokojność duszy. Drogo zapłacił za tę próżność, tak niezgodną z polotem jego gieniuszu i poprostu powiedziawszy, tak niegodną jego powołania i wyższości umysłowéj; bo jeśli człowiek posiada-

jący wyższość umysłową nie pozna się na sobie, nie uczci siebie samego i ofiary składa jakiéjbądź innéj wyższości: wówczas zawód literacki stanie się źródłem nieprzebraném zawodów i poniżeń. Minęły już oddawna czasy, w których talent prawdziwy, raz wyrobiony, raz poznany, tak jak talent Hooka nim był, potrzebował pożyczać świetności od jakichsiś tam stosunków lub styczności historycznie brzmiących. Nie chcemy przez to ganić tego, że Hook wchodził pomiędzy znakomitości angielskie: boć on sam był bardzo głośną znakomitością; ale mu przebaczyć nie możemy tego, że tak wielkie ponosił ofiary, żeby żyć na równi z ludźmi, którzy tylko majątkiem imponować są w stanie. I to go téż nareszcie najzupełniéj zgubiło: sechł rozum, schło serce Hooka w towarzystwie tak drogo okupioném magnatów. Długi się piętrzyły, wierzyciele niecierpliwili, kłopoty i zgryzoty czepiły się aż pierwiastków życia. Przyszła niemoc i okrutna choroba wątroby i serca; trzeba było pożegnać się po raz ostatni z zabawami, ze zgiełkiem życia światowego, i w miłości srodze skrzywdzonego anioła domu, szukać pociechy.

I niedostatek wkroczył do domu, którego już nasz literat opuścić nie mógł.

Przy końcu swego życia Hook oddał się błogiéj nadziei, że stronnictwo, które on tak wiernie i z takiém wysileniem bronił, raz przyszedłszy do steru rządu, wydźwignie go hojną nagrodą z odmętu. Ale zapomniał on, że i w tym względzie położenie jego było wyjątkowém: skarbowy dług wiązał jego protektorom ręce. W czasie zarządów sir Roberta Peela, lord kanclerz hrabia Jersey chciał mianować Hooka inspektorem teatrów: byłato jedyna posada, zgodna z wyjątkowém położeniem jego; ale i tu znalazła się przeszkoda. Miejsce to było zajętém przez starego przyjaciela Hooka, przez Coalmana. Minister liczył na to, że starzec sam weźmie uwolnienie od tych obowiązków; ale Hook nie chciał przyjąć pod tym warunkiem żadnéj posady. Szlachetna to i zaszczytna dla serca jego bezstronność. Zresztą przewidywał swój blizki koniec, i ostatnie chwile życia chciał strawić w honorze swego talentu.

Wówczasto, gdy świetni, tytułowani magnaci zapomnieli wesołego uczestnika zabaw, od dwóch już lat złożonego niemocą; wówczas, gdy bieda zajrzała swą szkieletową twarzą do domu niegdyś tak gościnnego, a w którym nic już nie pozostało, coby można uważać po śmierci właściciela za relikwią, mogącą

być drogo sprzedaną miłośnikom ciekawości, jak będzie po wszystkiém; wówczas, gdy i lekarze, dawni przyjaciele Hooka sprzykrzyli sobie chodzić do pacyenta, którego choroby żadna siła ludzka już zwalczyć nie mogła: wówczas ja, wygnaniec, cudzoziemiec, sam z nędzą walczący, poznałem mego druha Teodora Hook. Dickens mnie do niego przyprowadził. Hook mnie polubił odrazu. Umysł jego jeszcze był rzeźwym i potrzebował sympatyi; znalazł też w mém sercu, w méj duszy, szczery, serdeczny odgłos. Godzinami całemi rozmawiałem z mym pacyentem skoro bóle przestały, i dawnéj bystrości rozumu, dawnéj nadobności charakteru wrócić na chwilę pozwoliły. Dane mi było miéć tę zasługę, że dzieci jego mogą poszczycić się jego nazwiskiem, że jedna z jego córek wyszła jeszcze przed śmiercią ojca za człowieka, umiejącego pełnić chlubnie obowiązki pokrewieństwa względem rodzeństwa swéj żony.

Téj agonii tak bolesnéj, w pamięci méj na wieki pozostałéj, towarzyszyłem tygodni kilka, aż do jéj końca. Wszystkie troski Teodora Hook, ja wespół z jego rodziną dzieliłem, w me łono przyjąłem, i jego zmartwienia, jego bóle uśmierzałem.

Umarł nareszcie meteor świecący tak długo nad wielkim światem angielskim, i zaledwie zamknął oczy, skarb zabrał całe jego mienie. Ze sprzedaży książek, pism i małéj ilości niezbędnych mebli, zebrano 2,500 f. szt.; ogromną summę, przewyższającą 10 razy wartość istotną przedmiotów.

Po śmierci przyjaciela ożywia się i uczucie litości w niejednem sercu, które na śmierć jego obojętnie spoglądało. Otworzono składkę na dobro familii i hojnie jéj dopomożono. Z wielu jednakże panów i dygnitarzy, którzy najwięcéj z życia i pracy Hooka korzystali, bardzo mała liczba wspomniała o nim, gdy go już na świecie nie było. Jeden tylko król hanowerski dał do składki 600 f. szt.

Tak skończył życie człowiek; z wielu względów znamienity; który, gdyby był wyżéj się cenił, byłby zarazem i znamienitszym jeszcze i szczęśliwszym. Łagodny, uczciwy, szlachetny, nigdy z swéj własnéj winy nie stracił przyjaciela. Żarty jego były tak delikatne, powiedziałbym miłe nawet, że nigdy nikogo nie obrażały i nigdy go z nikim nie poróżniły. La-Bruyère powiada, że zwykle tego, kto bawi, ludzie nie lubią; ale widzieć Hooka i nie lubić go, było niepodobieństwem. Łagodność swoję przeniósł on i do polityki. Chociaż wyrok, który Hook przez całe życie uwa-

żał za niesprawiedliwy, był wynikiem najbezecniejszéj intrygi, kilka razy zapewniał on jednak w swoim dzienniku, że przebacza wszystkim, których uważał za swych prześladowców. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że w napadach swoich na Whigów, nigdy nie szedł za jakąś osobistością lub nienawiścią osób, ale wszędzie i zawsze występował jako człowiek wierzący silnie w zasady swego stronnictwa. Jak wielu innych, umiał on jeszcze lepiéj mówić niż pisać. Jego improwizowana humorystyka, jego szczera, niepowściągniona wesołość były tego rodzaju, że wydawało się, jak gdyby zabawiając drugich, sam sobie tém przyjemność sprawiał. Nikt w całéj Anglii nie umiał tak opowiadać jak on: jednym wyrazem szkicował charakter; jednym ruchem dotykalnie pokazywał położenie rzeczy lub osoby. Gdyby był chciał tylko, byłby największym w świecie aktorem, artystą. Jako pisarz, Hook posiadał żywą wyobraźnię, najłatwiejszą humorystykę, styl energiczny, bystrą przenikliwość i smak wykształcony. Niektóre jednak jego utwory zdradzają pośpiech, z jakim były napisane, a w komizmie często przesadzał i wpadał w karykaturalność. Mimo to wszystko, nikt tyle nie zrobił co Hook pod względem opisu obyczajów swego czasu; a jako żurnalista, jest niezaprzeczenie piérwszym. John Bull miał wprawdzie przesądy starego thoryzmu, ale zawsze zostanie wzorem parlamentarnych dyskusyj. Wpływ jego był nadzwyczajny!

VI.

W piérwszéj części tego dzieła oddałem sprawiedliwość latu londyńskiemu, w sposób dla klimatu angielskiego bardzo pochlebny. To mi daje prawo mówić bez ogródki i sądzić z bezstronnością o reszcie pór roku. Coś szkaradniejszego jak jest druga połowa jesieni londyńskiéj i cała zima, nigdy w mém życiu nie widziałem. Zimno wprawdzie rzadko dochodzi do niezwykłego stopnia, np. do 7 lub 8 stopni; ale ciągłe ulewy, błoto, a przedewszystkiém mgły gęste i ciężkie, robią z zimy coś prawdziwie nieznośnego, w żadném inném mieście niedoświadczanego. Słońca nie ujrzysz nigdy ani odrobiny, żebyś patrzył przez teleskop długi na milę i przez szkła wielkie jak szalone koło maszyny. Mgły tak zaciemniają powietrze, że nieraz w południe do mieszkania trafić nie zdołasz; ciemność cię otula jak gdyby płaszczem

siwym i wilgotnym: żadna lampa, żadne światło najmocniejsze téj ciemności rozpędzić nie zdoła. Ludzie przewracają się na trotoarach jeden o drugiego; złodzieje wówczas szczęśliwi, bo żadne środki ostrożności, żadne *police-meny* nie pomogą.

A jak okropne to powietrze, które naraz z mgłą w płuca wciągasz i które się przez najszczelniéj zamknięte okna, przez kominy bezustannie dymiące do wnętrza domu wkrada! Jest jakiś smak metalowy, surowy, niewygodnie łechcący w tém powietrzu.

Tyle już rozbiérano rzeczy, a jeszcze żaden chemik nie wpadł na myśl zrobić analizę mgły londyńskiéj. Jestem pewien, że na 100 części powietrza, znajdzie się na wagę przynajmniéj 30% pary wodnéj, kwasu węglanego 15%, gazu wodorodno-węglistego 6%, węgla kamiennego w pyłku do 15% i jakiéjś jeszcze innéj, dotychczas może nieznanéj a bardzo szkodliwéj substancyi, także bardzo wiele. Przytém stosunek kwasorodu i azotu w skład powietrza wchodzący, także musi być zmienionym.

Zastraszające były skutki tego powietrza na organizm. Wszyscy ludzie kaszleli, ale przedewszystkiém cudzoziemcy, a pomiędzy niemi może najbardziéj Polacy: bo ci najmniéj posiadali sposobów zasłonięcia się wygodném mieszkaniem lub stosownym ubiorem od wpływu szkodliwego powietrza.

Raz, byłoto właśnie jednéj niedzieli około południa, wracam pokończywszy me wizyty, otulony nieprzejrzaną mgłą do domu. Ciągłe znoje, bezustanne umęczenie już mi się zaczynały dawać we znaki. Dzień cały będę mógł pracować w domu, rzekłem do siebie uszczęśliwiony, że nic nader naglącego nie zatruwało mi spokojności. Nawet na obiad nie pojdę: wolę się głodzić, bylebym mógł swobodnie pracować.

A głodzić się musiałem, bo w niedzielę angielską wszystkie sklepy zamknięte i żadna służąca nie śmié iść przynieść obiadu z traktyerni. Mój gospodarz wiele dbał o *decorum* niedzieli.

Siedzę tedy przy pracy i patrzę czasem w tlejący się *fire side*, aby w widoku rozgrzewającego ognia, zapomnieć o dokuczającym głodzie.

Wtém puka ktoś do pokoju.—*Come in*—wołam. Pakuje mi się do stancyi majtek jakiś już podeszły i prowadzi za rękę.....oczom mym nie wierzę, ale prawdziwie to on! Majtek prowadzi za rękę pana C.....skiego, kolegę mego z uniwersytetu królewieckiego, ubranego w surdut studencki niemieckiéj mody z bai piaskowego koloru, wyszywany pętlicami i okręcony sznurami

nakształt czamarki, nakrytego ową studencką czerwoną czapeczką, wielką jak spodek od filiżanki, przyklapniętą, dającą głowie podobieństwo do łebka zapałki chemicznéj.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! Co ty tu robisz C....ski? —krzyknąłem zadziwiony, strwożony.

Ale musimy zapoznać czytelnika z kolegą C...skim. W wszechnicy królewieckiéj istniały trzy stypendya, ufundowane przez jednego z Radziwiłłów dla trzech Litwinów, poświęcających się teologii protestanckiéj. Co cztery lata wysyłano tedy z Litwy do Królewca trzech uczniów, którzy uzyskali stopień *dojrzałości* w gimnazyum słuckiém; a gdy ci stopień kandydatów teologii otrzymali, wówczas wracali do ojczyzny i dostawali posadę pastora, inni zaś na ich miejsce przybywali.

Tak coś z pół roku przed mym wyjazdem z Królewca, panowie Kuncew....i Paszkiew....wrócili do Litwy, pan Kurnat....pozostał złożony chorobą, na którą późniéj umarł, a panowie Nat..... i Cer.....przybyli na uniwersytet.

Pamiętam ich jak dzisiaj. Nat.. dobry bardzo człowiek, nie był już młodym na poczynającego studya akademika, miał bowiem lat ze 30. Nosił wielką śpilkę szyldkretową wyobrażającą motyla w naturalnéj wielkości, i bardzo był przywiązanym do téj ozdoby, mówiąc, że to wielka myśl leży w tym motylu szyldkretowym.

Pan C....zaś młodziuchny, ledwo co z dzieciństwa wyrosł; rumiany był na twarzy, i spoglądał na wszystkie rzeczy z dziecinnym, zadziwionym wzrokiem.

Wielka była biéda z zapisaniem nowoprzybyłych kolegów do uniwersytetu i do fakultetu. Żaden z królewieckich profesorów po polsku nie umiał, a nowo przybyli teolodzy ani rusz po niemiecku i ani słowa po łacinie. „Jakżeż ich mogę zapisać w poczet uczniów, kiedy przed zapisaniem do rzeczypospolitéj literackiéj, winienem od rekwirujących odebrać deklaracyą, że ich obznajmiłem z prawami uniwersytetu, i że się chcą do nich pod karą relegacyi zastosować. A tu nie można się porozumiéć z temi panami" rzecze do nas zakłopotany prorektor. Ale Bóg przyszedł w pomoc. Pomiędzy professorami był jeden superintendent i radca konsystorza *Rheza*, który umiał po łotyszsku i litewsku, i języków tych znajomość religijnie pielęgnował. Litwini daléjże tedy *kalbajutys dzianaytys* i *Litwos gieros*, i tak mogli się porozumiéć; podpisali deklaracyą i zostali obywatelami rzeczypospolitéj literackiéj.

Pan N. wziął się do nauki języka niemieckiego, bo bez niego zrozumiéć nie sposób wykładów w uniwersytecie niemieckim. Pan C....zaś młody, niedoświadczony. poeta, czas przepędzał na klejeniu wierszyków polskich i litewskich o skowroneczku, o myślach jeżdżących na obłokach, o miłéj Wilii i o księciu Kiejstucie, bo się w nim dosyć niespodzianie poetycki talent odkrył.

Wyjeżdżam z Królewca i zostawiam mych Litwinów zatrudnionych zacięcie: jednego literaturą niemiecką, drugiego kształceniem ducha i serca na wzorach poetów ojczystych.

Półtora roku mija. Nat..... już rozumiéć zaczyna odczyty uniwersyteckie; Cer..... zapisał ryzę papiéru piosnkami o wiośnie, o nadziei, o myślach, duszkach i o Witołdzie. O teologii myślał tyle, ile don Quichotte o maszynach parowych. Szlachetną zagrzany żądzą obdarzenia ludzkości płodami swéj poetyckiéj rzewności, wiedząc przytém, że drukarnia polska od dawnego czasu w Królewcu nie istnieje, porzuca teologią i swe stypendyum (tojest 300 talarów rocznego wsparcia na 5 lat wyznaczonego), pożycza, zastawiając co tylko posiada 10 talarów, i wziąwszy ryzę zapisanego wierszami papiéru, dwie koszule i cygenhajner, puszcza się piechotą z Królewca do Hamburga, tojest na mały spacer długości 160 mil geogr.

Podróżuje od pastora do pastora: pastorowie nakarmią, przenocują i pobłogosławią, ale daléj nie odsyłają, bo koni nie mają, a piéniędzy nie pożyczą, bo mają żony i dzieci.

Staje kolega C. w Hamburgu, coś we dwadzieścia dni po wyjściu z Królewca, bo nogi miał godne apostołów, ale w kieszeni próżnia. Dészcz okropny i zimno; ale to nic nie zraża naszego podróżnika. Widzi w Cuxhaven parostatek angielski dążący do Londynu i gotowy do wyjazdu. Korzystając ze zgiełku i mgły, pakuje się z bulwaru na statek, chowa się w nim pomiędzy paki i mantelzaki pasażerów na pomoście rozstawione, i tam w najlepsze zasypia, podłożywszy pod głowę *ryzę* swemi poezyami zapisaną. Statek kotwicę wyciąga, koła go unoszą na falach Elby i ślą na wody oceanu. Majtkowie zaczynają porządkować pokład, znoszą paki do wnętrza statku, i znajdują naszego poetę w wyszywanym surducie, w czerwonéj czapeczce, z cygienhainrem przy boku i ryzą papiéru pod głową. Budzą go surowe i brutalskie Albionu syny, budzą go w języku angielskim, i nie wiem w jakim kolorze. Kolega Cer.... angielszczyzny nic nie zrozumiał; zaczyna wysłowiać się jak może po niemiecku. Sprowadzają go do kapitana. Ten

burczy i domaga się, grożąc i klnąc, zapłaty za drogę.—„Pieniędzy nie mam, ale oto adres przyjaciela mego rodaka i kolegi mieszkającego w Londynie,"—odpowiada jak może łamaną niemczyzną *studiosus theologiae* i podaje *mój* adres. Uspokaja się za pomocą tłumacza kapitan. Cóż miał robić? przecież nie mógł wyrzucić biédaka w morze; owszem, widząc go schudłego, zgłodniałego, z pieniędzy ogołoconego, żywił go nawet, prawda że moim kosztem, a za przybyciem do Londynu, kapitan parostatku oddał poetę w ręce najstarszego majtka, sławnego psa morskiego, i takim sposobem przyszedłem do szczęścia oglądania u siebie mego dawnego kolegę uniwersyteckiego.

— Winieneś pan kapitanowi 3 funty i 10 szylingów za pasaż i żywienie tego człowieka, a mnie pół funta za przyprowadzenie go tutaj—rzecze surowy żeglarz, i siada, nie zdejmując kapelusza, przy kominku.

Mój Boże! w mieście gdzie tak trudno cudzoziemcowi grosz jeden zarobić, gdzie tyle ubogich pomiędzy kolegami, wydać 168 złp. za przyjemność oglądania jednego nieszczęśliwego więcéj, za zdobycie nowych kłopotów! Ale cóż robić? Szczęście, że to po piérwszym. Cały mój majątek zaledwie wystarczył na wydobycie kolegi z niewoli angielskiéj.

— Kiedyż znów odjeżdżacie do Hamburga?—pytam majtka. —Jutro.—Chcesz mi zrobić grzeczność i wrzucić w Hamburgu list na pocztę? Błogo mi będzie ocalić kilka szylingów.—Dobrze, ale daj pan kroplę *gin and water*, i bierz się natychmiast do pisania listu.—Piszę tedy:

„Kolego Nat.....! Stanął tu u mnie Cer..., zdrów jak rydz, ubrany jak karykatura, głodny jak ogar przed polowaniem, przemokły jak siéć i goły jak święty turecki. Odeślę go wam, skoro tylko zarobię pieniądze na koszta podróży. Zasłaniajcie go od straty stypendyum, jak ja go zasłaniać będę od powietrza Babylonu, i od smutnego zawodu tułacza."

Majtek wyszedł. Biédny C.. siedzący dotychczas jak trusia, spozierający na wszystko zdziwionemi oczyma, zrywa się z krzesła i woła:—Jeść! jeść! zlituj się, jeść! każ stół zastawić.

— Drogi bracie, to niedziela; służąca za nic w świecie po obiad nie pójdzie.

— Jakto? w niedzielę nie jadają Anglicy?

— Jedzą i tęgo jedzą, ale tylko tacy, co własną mają kuchnię, lub téż iść mogą do traktyerni.

— Dobrze! to chodźmy do traktyerni—rzecze kolega porywając za czapkę i cygienhainer.

— Nie bracie, pieniędzy nie posiadamy dosyć; potém, ubrany jesteś jakoś po cudacku: wytykać cię będą palcami Anglicy, a może ci do stołu siąść nie dadzą.

— Aha! to dlatego tylu za mną ulicznikow chodziło i krzyczało *jump! jump!* Co to znaczy *jump?*

— To znaczy: skakaj! skakaj! Wzięli cię za pajaca.

Zesmutniał biédny poeta; rzeczywistość życia zaczęła na niego wyzierać brzydkiemi ślépiami ze wszystkich kątów pokoju mego; ale się pokrzepił jakąś miłą myślą, uderzył ręką w swą ryzę papiéru i krzyknął:

— Oho! nie bój się! lepsze przyjdą czasy. Oto skarb, o który dobijać się będą Anglicy. Co tam za myśli! jakie porównania! jakie uczucia życiodawcze! zobaczysz.

— Moje serce, nie łudź się próżnemi nadziejami. Żebyś miał sto ryz takiego papieru, a żołądek drobny jak u komara, tobyś z głodu umarł w Anglii. Tu o piękne myśli przybrane w jak najrozmaitsze wiérsze nietrudno, ale chléb tak drogi, że poeci nawet często z nędzy umierają.

Nie uwierzył mym słowom biédny, zbłąkany młodzieniec, ale wkrótce już nie wątpił o prawdzie mych słów. Kilku rodaków przyszło mnie odwiedzić. Zapoznałem ich z losem nowego ze świécą igrającego motyla. Bylito ludzie wybornego serca, którzy we własnéj nędzy nie postradali litości, lecz owszem nauczyli się jeszcze więcéj litować nad nędzą bliźniego.

— Będziemy wespół pracowali, abyś mógł wrócić do domu, nietknięty powietrzem tego kraju i nie zakosztowawszy nawet tułactwa; a teraz chodź z nami na porter i na rostbif—rzekli koledzy,—wieczorem nikt twego pajacowskiego ubioru nie dostrzeże. Włóż jednak kapelusz i płaszczem się okryj, a na ludzi nie spoglądaj z zbytniém zadziwieniem.

Biédny kandydat teologii pił angielski porter razem ze swemi własnemi łzami, ale się spoił jednakże, bo na frasunek dobry każdy trunek.

Przenocowałem go we własném łóżku i noc strawiłem obok niego, prosząc Boga, żeby mi dał siłę ocalić zbłąkanego, pracując, by téj łaski być narzędziem.

Mozoliłem się bardzo. Przyjąłem uciążliwe a słabo płatne obowiązki współpracownika literackiego u p. Graham professora

chemji przy uniwersytecie londyńskim. Od godziny 6téj po południu aż do 11téj w wieczór pisałem dzień w dzień za dyktandem tego uczonego, który żadnego nie umiał języka zagranicznego, któremu musiałem tłumaczyć wszystko, co Orfila, Raspail, Dumas i Thilorié wydali w francuzkim języku; i za tę pracę, za wszystkie okropne chwile strawione w oczekiwaniu mozolnego porodu myśli z głowy pana Graham, zarabiałem biédne dwa funty na tydzień.

Nudził się także niesłychanie kolega C. w méj stancyi, z któréj całemi nie wychodził dniami. Pojmował, dlaczego trzymam go zdaleka od zaraźliwego wpływu próżniaków, wyrabiających zasady, ale sam zatrudnić się nie umiał; nawet jakoś raptem odbiegła go, razem z nadzieją pożytku, ochota rymowania. Chodził tedy z kąta w kąt, tytuniu nawet nie mógł kurzyć wiele, bo tytuń niezmiernie drogi w Anglii i gospodyni dbała nadzwyczaj o czystość firanek. Ale się znalazł jak gdyby cudem towarzysz dla poety, przebudzonego jeśli nie do rzeczywistego życia, to przynajmniéj do jego przedświtu. Odwiózł mi kapitan duński pana Marcinę; nie chciał go trzymać dłużéj, bo córki swe wydał za mąż, nikt się już nie mógł opiekować niedźwiedziem: on sam ciągle zatrudniony *agenturą* kupiecką, nie był w stanie zajmować się wychowaniem dzikich zwierząt. Obok stancyi méj była komórka, w któréj przechowywałem suknie i węgle ziemne do opału: tam urządziliśmy Marcinowi legowisko. Teolog serdecznie pokochał towarzystwo *orła żmudzkiego*, jak go nazywał, zapewne dlatego, że Żmudź w swym herbie ma niedźwiedzia.

Kilka tygodni w ten sposób upłynęło, wichry przestały na chwilę panować, zima się ustaliła, morze uspokoiło. Pieniądze nawet zbierane z takiém wysileniem grosz po groszu, już leżały w pogotowiu. Daléj tedy kolego królewiecki! Innym razem, jak będziesz starszym i mędrszym, zwiedzisz Londyn, którego nie poznałeś, siedząc w nim miesiąc cały; a teraz jedź napowrót, zmień tryb życia, pracuj, Boga nie wyzywaj i niepotrzebnie jednym krokiem nie oddalaj się od ojczyzny.

Ah! ale zimno okropnie; biédny młodzieniec płaszcza nie ma, a pieniędzy nie wystarczy na kupienie.

Marcinie! drogi niedźwiedziu norwegski! miły orzełku żmudzki! towarzyszu tylu przygód i kolei! wychowańcze studenta teologii uniwersytetu królewieckiego! Marcinie! daj twą skórę professorowi!

Nie! żal mi go. Wołam jakiegoś Niemca, sprzedaję Marcina za 5 funtów, i przez to zabezpieczam niedźwiedziowi los, a Niemcowi sposób do życia; kupuję koledze za 3 ½ funta wyborny płaszcz flanelą podbity.

Tak wyposażony poeta wrócił ze swemi pismami do Królewca. Stypendyum swego nie stracił, dzięki pomocy przyjaciół; wziął się sumiennie do pracy i wiem, że na godnego, zdatnego wyszedł męża. Tego człowieka ochroniłem, sam sobie przyznać mogę, nietylko od śmierci, ale od długoletniéj nędzy, od zwątpienia, niewiary i zepsucia.

Niestety! rzadko kiedy dobre i złe rzeczy chodzą inaczéj, jak w parze. Ledwom kilka dni odetchnął z uciążliwéj pracy, i sam na siebie tylko pracować zacząłem, otwierają się raz jeszcze drzwi mego pokoju, wpada młodzieniec jakiś exotycznie ubrany, ale piękny, swobodnemi, szlachetnemi obdarzony rysami.

— Czy mam szczęście mówić z doktorem T....?—spyta piękny młodzieniec.

— Ja nim jestem—odpowiadam z bijącém sercem.

— Ah! mój drogi, kochany kuzynie!—krzyknie młodzieniec i skoczy mi do twarzy, całuje mnie, połyka mnie—Ah! mój drogi kuzynie! jak się cieszę, że cię nareszcie widzę; ale mnie nie znasz jeszcze, prawda? nigdyś mnie nie widział. Nazywam się Xawery K..... jestem od stryjecznych stryjecznym bratem ciotecznych twych braci K..skich, Teodora i Hippolita!

— Ah! jak mi miło! istotnie, nadzwyczajnie miło. Nie wiedziałem wprawdzie wcale, że na świecie istniejesz, ale skoro żyjesz, to mi niezmiernie przyjemnie liczyć cię do mych powinowatych. Ale cóż cię tu do Londynu sprowadza na całą zimę? Dziwny wybierasz czas do podróży!

— Wszystko ci opowiem, cały bieg życia mego ci opowiem, ale daj cygara, zaciągnę się; możebym się nawet napił porteru, angielskiego porteru na angielskiéj ziemi. Oh! jaka rozkosz mogąc sobie powiedzieć, że angielski porter piję w Albionie!

— Naściże cygaro, zaraz przyniosę porter.

— Teraz do Odyssei — rzecze napiwszy się piękny mój kuzynek, mogący mieć wówczas ledwie 22 lat, ale wygadany, ale wyrobiony, wygięty w manierach, jak bywalec wysokiego świata.

— Tak drogi bracie!— rzecze tedy pan Xawery—samo me nazwisko objawia ci, że należę do familii, która w swém gronie

posiadała generałów, biskupów, podkomorzych i dalibóg jednego wojewodę. Ale mój ojciec skromny człowiek, nie piął się wysoko, nie wyszedł na nic bardzo świetnego, nawet jakoś w klęskach trapiących kraj, majątek przesunął mu się pomiędzy palcami; dosyć, że prócz świetnego imienia i wybornéj edukacyi, niewiele nam się zostało. *A propos*, bo nas dwoje. Starszego mego brata przecież znasz doskonale?

— Nie przypominam sobie kochanie!

— Ale go znasz najdoskonaléj; ten sam, który służył w 2gim pułku. W piętę był rannym, sam go pielęgnowałeś w szpitalu ujazdowskim.

— Przypominam sobie teraz, przypominam doskonale. W piętę był rannym istotnie, niemałośmy się z tego naśmieli.

— Do rzeczy. Tedy brat mój obraca się gdzieś we Francyi, ja zaś o 10 lat młodszy, pobierałem nauki w Suwałkach: wiele czytałem i niepospolicie wykształciłem sobie ducha, gust i serce. Dorosłem, i jak widzisz, i nieźle i niebrzydko. Wchodzę w towarzystwa, puszczam się między damy. Świetne powodzenie! poczciwa matka łzy radości roni, ubiera mnie, pieniędzy daje. Ojca już nie było; nie doczekał się tego szczęścia biédak: umarł, nie zostawiwszy prawie nic majątku. Chcę się żenić, bo widziałem, że przez to dla losu mego węgielny postawię kamień. Panien nie braknie, partyj także nie; ale rodzice tych panien utrzymują żem zamłody, żem trzpiot, żem kawał seduktora, że nie posiadam majątku i urzędu nie pielęgnuję żadnego. Przymuszony uledz przesądom, chcę zdobyć majątek: wydostaję od matki kilka tysięcy złotych, jadę do Warszawy, gram w karty i zgrywam się jak Kolbuszowskie skrzypce. Oh! źle: takim sposobem nie dopnę celu, rzeczę do siebie. Rzucam się do urzędu. Za wielkiém staraniem przypuszczają mnie na applikanta. Wystaw sobie drogi kuzynie, na tym urzędzie nie płacą i jeszcze się domagają pracy. I jakiéj pracy?—mechanicznéj, umysł zabijającéj, duszę stępiającéj. Boże kochany! jeszcze téż żaden Kar...ski nie pracował i ja mam być piérwszym dobrowolnie do jarzma zaprzęgającym się wołem w méj rodzinie? Nie, doprawdy tego nie ścierpię. Wówczas zaszła w méj duszy owa szlachetna metamorfoza, która w sercu młodzieńczém jest rękojmią świetnéj przyszłości. Wówczasto poczułem, poczułem jasno i wyraźnie.....

— Że ci zaciasno? że ci powietrza brakuje? że dla twego życia trzeba rozwoju odpowiedniego skrzydłom twéj wyobraźni— dodałem, widząc, że się kuzynek zaciął w mowie i wygrząźć nie umiał z chaosu myśli.

— Tak, tak! że mi ciasno, że mi powietrza brakuje, że dla méj istności trzeba pola, obszarów niezmiernych, by się skrzydła méj duszy roztoczyć mogły swobodnie od widnokręgu do firmamentu. Tęskno mi téż było za bratem, który niezawodnie odpowiednie swemu szlachetnemu nazwisku zajmuje miejsce. Rzucam dobrą matkę, rozstaję się na czas niejaki z ukochaną mi ojczyzną i biegnę do Królewca, gdzie, jak wiész, brat stryjeczny mego ojca jest pułkownikiem w wojsku pruskiém.

— Tak, tak, był majorem landwery i dostał dymissyą w randze podpułkownika.

To na jedno wychodzi. Przybywam, ofiarując me hołdy, ale się porozumiéć nie mogliśmy: ja po niemiecku ani duchu, on po polsku ani słowa. Osm miał lat, kiedy go do korpusu kadetów do Berlina wzięto, a od tego czasu nigdy nie wrócił do Polski. Chciałem uczęszczać na uniwersytet, ale te Niemcy mają manią wykładania kursów we własnym swym języku. Nudno było w Królewcu okropnie; wszyscy zajęci, pracują, a ja, jak na niemieckiém kazaniu. Wtém ktoś mi podał myśl szukania w odleglejszych stronach wyższych żywiołów rozwoju. Mówiono mi, że jesteś w Londynie, że ci się świetnie wiedzie. Wiem dawno, jak czule kochasz ludzi umiejących cię pojąć. Żegnam stryja, stryjenkę i pół tuzina kuzynek, z któremi ani słowa przemówić nie mogłem, i oto mnie masz oddanego ci duszą i ciałem.

I daléjże znów do méj twarzy, całować mnie i połykać. Ja zaś jako przezorny człowiek, obeznany doskonale z głównemi warunkami życia, nie tracę chwili czasu i pytam:

— Kiedyś przybył na skończenie twych świetnie rozpoczętych nauk, toś zapewne nie przyjechał z próżnemi rękoma i z próżną kieszenią?

— Czy o pieniądzach mówisz? Nie! tych nie przywiozłem z sobą: ja kraju mego z pieniędzy ogołacać nie chcę, a zresztą nie miałem ich. Co do tego, to sobie pozwolę założyć u ciebie kuzynku ciągły kredyt, i potém spłacę jak na wiérzch wypłynę. Oho kuzynie! ja mam szalone szczęście do kobiét: nie wiész, co można zrobić z taką fizycznością jak moja!

Otóż tedy masz, rzekłem sobie w duszy, i serce mi rzewnie zapłakało. Otóż tedy masz! Jakieś przekleństwo mnie ściga; zaledwie z jednéj wybrnąłem biedy i jeszcze czuję w sobie skutki wysileń, aż tu wpadam z deszczu pod rynnę.

Przenoszę kuzyna do siebie i śledzę we wszystkich jego giestach, ruchach i mowach, do czego pan Xawery może zdać się światu lub przynajmniéj sobie.

Już w kilka dni téj smutnéj dociekłem prawdy, że pan Xawery o wiele się różni od kolegi Cer..., że jest jednym z najniepoprawniejszych próżniaków jakich świat widział, przytém upartym, dumnym i zarozumiałym do wysokiego, wszelkie pojęcie przechodzącego stopnia. Zdolności mu nie brakło, to rzecz pewna, ale na co wywiérał te zdolności? Całkiem na nadanie wykwintności swym wysłowieniom i na wymyślanie sobie najrozliczniejszych argumentów, któremi dowodził, że praca jest rzeczą niemoralną, wymyśloną na zbydlęcenie rodzaju ludzkiego; że człowiek całą swą usilność powinien wywiérać na zdobycie potęgi ducha, na wyrobienie w sobie duszy i t. d.; ale nękać się monotonną i mechaniczną pracą, to zgroza, podłość. Całą encyklopedyą podobnych dowodów posiadał w swéj głowie: nikt i nic go przekonać nie zdołało o potrzebie pracy. Ślepą zaś i niezwalczoną posiadał wiarę w swą świetną przyszłość, i z dumą spoglądał na biednych ludzi do pracy wnarowionych, wzgardliwie się litował nawet nad temi, którzy go żywili. Zdolności mu wcale nie brakło: codzień posiadł bawiąc się i igrając z dziećmi gospodarza kilkadziesiąt wyrazów angielskich, ale zdatnym był prawdziwie do niczego.

Co tu będzie robić z kuzynem Xawerym? pytałem sam siebie kilka razy na dzień. Apetyt ma godny najlepszego Anglika, a gnuśnym jest jak lazarone neapolitański. Muszę mu jednak koniecznie wymyśléć jakieś zatrudnienie, bo inaczéj legnę pod ciężarem biédy.

Niebo czuwało i tym razem nademną.

Miałem Anglika przyjaciela na téj saméj ulicy mieszkającego. Człowiek około 50 lat liczący, dosyć majętny i passyonowany do sztuk pięknych, bo sam nawet malował, ale tylko z natury; nie zatrudniał się portretami, ale raczéj malowaniem postaci dla przyszłych historycznych obrazów. Żonę miał niemłodą, chorowitą. Czasem mnie odwiedzał. Raz do mnie przyszedł właśnie w chwili, gdy pan Xawery ubrawszy się jak mógł najwykwintniéj, przyglądał się w lustrze własnéj postawie.

— To śliczny człowiek, ten gentleman — rzecze do mnie pocichu Anglik.—Postać prawdziwie Apollina! Kto jest ten gentleman?

Opowiedziałem Anglikowi całą historyą mego kuzyna; nie było bowiem nigdy żadnéj przyczyny tajenia prawdy w żadném z mych położeń!

— A toś pan biédny, doprawdy!—powié daléj Anglik— leczyć zadarmo po dniach całych i jeszcze miéć zawsze kogoś do żywienia, to zanadto na pańskie siły: stargasz je zawcześnie. Zrobię panu propozycyą, ale się pan nie gniewaj. Chciałbym wykonać w naturalnéj wielkości i to kolorami postać Apollina Belwederskiego, w postawie i ubraniu właściwém. Niech kuzyn pański zezwoli służyć mi za model 4 godziny codziennie, a będę mu płacić 2 funty na tydzień. Nie ma w tém wstydu. Hrabia jeden włoski służył mi za model; aktorki francuzkie służą mi za model. Jak się skończy Apollo, to się zacznie Laocoon, potém Antynos, potém Merkury. Najmuję kuzyna pańskiego na całe pół roku. Pięćdziesiąt funtów szterlingów, to nie fraszki; ale się pan gniéwasz na mą propozycyą, odgaduję to z twych spojrzeń.

— Mylisz się przyjacielu. Jest wprawdzie coś upokarzającego w tém zatrudnieniu służyć za model, ale dalibóg być próżniakiem i tak dumnym jak mój gentleman, to jeszcze gorsza. Jednakże nigdy nie przywiedziemy kuzynka do tego obowiązku, chyba fortelem. Mam sposób na niego, złapiemy go własną próżnością, jak mysz słoniną. Zaproponuję ci coś panie Mac-Allan, tylko się nie gniewaj: propozycya za propozycyą.

— Daléj tylko, daléj, nie będę się gniewał—odpowié Anglik strzelając chciwie oczyma na kuzynka.

— Otóż tak: powiem kuzynowi, że prześliczną i młodziuchną masz żonę; wmówię w niego, że go zna, że się w nim pokochała, że służyć ci (naturalnie bezpłatnie) za model, będzie najlepszym sposobem zawiązania stosunków. Jak raz rozpocznie swój zawód, to w nim zapewne zasmakuje, i tak pójdzie wszystko jak najlepiéj. Ale widzę, że się gniewasz, marszczysz czoło.

— Słuchaj doktorze, rzecz jest istotnie cokolwiek drażliwa, nawet łechczywa; ale dla oryginalności podpisuję i na to. Dalibóg, będziemy się śmiali jak opętani; żona moja zawsze chora, nic o tém wiedzieć nie potrzebuje. Starajże się przyprowadzić twój model o 10téj zrana; od 10téj do 3ciéj po południu, to czas najlepszy.

Anglik się żegna, chciwemi spojrzeniami obwodzi po całém pięknem ciele pana Xawerego i odchodzi.

— Co ten brzydki Anglik tak mnie przeszywa spojrzeniem? —spyta pan Xawery.

— To malarz, zajadły amator; podobasz mu się, radby zrobić twój portret.

— A! to się przecież poznał na mnie; jakiś niezły człowiek. Możebym mu pozwolił zdjąć mój portret, co to szkodzi?

— A jaką ładną ma żonę! ładna i młoda, a w oko jéj wpadłeś; kto wié nawet, czy to nie ona wysłała swego męża. Nie zauważyłeś jéj wczoraj w Regents-parku? Ta młoda dama z którą się witałem, któréj ciebie przedstawiałem.

— Ach! dalibóg! ta szatynka, z ciemno-niebieskiemi oczyma? Oh! teraz wiem. Prawda, że mnie nieźle głaskała spojrzeniami. Wiész co, zezwalam na portret, bylebym go nie potrzebował płacić. Cha! cha! cha! a to będzie figiel! nieźle, wcale nieźle! Oh, miała ona racyą ta pani Breduli, kiedy mnie nazwała Don Juanem. Cha! cha!

— Cóżto za pani Breduli?

— To żona cukiernika w Suwałkach, kobiéta z gustem, znana z tego. Słuchaj drogi bracie! zamów się do tego Anglika, dziś jeszcze jeśli możesz, i tak, w ciągu mowy, ale zręcznie, bój się Boga, zręcznie, daj poznać, że nie będąc jeszcze zatrudnionym, zapewnebym zezwolił. Czemu nie? nie widzę w tém nic złego.

Zamawiam się niby do pana Mac-Allan i przynoszę odpowiedź, że Anglik uszczęśliwiony, ale że chciwiec, egoista *wielki*, spożytkować chce razem z twarzą, całą postać kuzynka dla dobra sztuki i dla swéj sławy, i wystawić kochanego Xawercia w postawie Apollina Belwederskiego od stóp do głów, w ubiorze natury, zrobionym w ogrodzie botanicznym.

— I cóżeś mu na to odpowiedział? — zagadnie kuzynek.

— Że w tém nie widzę nic złego, że przecież pani de St. Edme córka i żona hrabi, przyjaciółka księżniczki Karoliny siostry Napoleona, kazała się wyobrazić w marmurze w postaci Wenery Medycejskiéj. Cóż w tém złego? nie każdy tak dobrze zbudowany, jak ty Xawereczku.

— Pal go djabli! będzie mnie miał od stóp do głowy, będzie mnie miał całkiem; ale byleby mu to nie zaszło za skórę! — Śmiał się do rozpuku próżny, wróblemi myślami karmiony szlachcic.

Usnąć nie mógł z radości; figlami rozbujana wyobraźnia przedstawiała mu we śnie tysiączne romansowe przygody.

Nazajutrz rozpoczęło się piérwsze posiedzenie. Stoi nadobny Xawerek *in naturalibus*; w lewéj ręce opartéj o pień drzewa trzyma lutnię, w prawéj zaś szlachetnie opuszczonéj, strzałę. Oczy swe zwraca ukośnie romansowo na drzwi i myśli, że ciemno-niebieskie oko patrzy się nań, topi się w nim przez dziurkę od klucza. Pan Xawery cieszy się lubą nadzieją, że Anglikowi wypłata figla; mniéjby się cieszył, gdyby wiedział, że sam sobie na chléb zarabia.

Angielka tymczasem ani wié, jakie wznieca uczucia. Ona na łóżku kwęka, służące łaje i narzeka na męża, że zamiast płacić lepiéj doktorom i wzywać coraz sławniejszych na radę, trwoni piéniądze na najmowanie coraz nowych łapserdaków na modele. Taka komedya trwała miesiąc cały. Pan Xawery widząc, że żadnego nie dopina skutku, zżyma się ze złości i ledwo mu starczy cierpliwości. Mac-Allan składał na me ręce najregularniéj co sobota wieczór 2 funty szterlingów, które ja religijnie chowałem do skarbonki.

Wtém nadszedł list z Francyi od pana Karola, brata pana Xawerego. Treść tego listu następująca: „Cieszę się drogi bracie że żyjesz, aleś niepotrzebnie matkę i kraj twój opuścił. Ja nic się w domu nie nauczyłem i dlatego widok wielkiego świata nie mógł mnie wykształcić. Nie chcąc być ciężarem ludzkości ani mych przyjaciół, wziąłem się do pracy, do jakiéj uczułem w sobie zdolność. Jestem stolarzem, bardzo miernym stolarzem. Pracuję od rana do wieczora: hebluję, polituruję, alem nikomu nic nie winien; wesprzéć mogę uboższego odemnie i sumienie mam spokojne. Kuzyn nasz, dawny kapitan T. K. kręci pigułki w tém samém mieście, w którém ja robię stołki, komody i trumny. Weź się i ty do pracy jakiéj Xawerku, porzuć twe pyszne myśli, bo tylko praca i uczciwość zawsze uszlachetniają człowieka, a rzadziéj zdolność. W chwilach wolnych od fizycznéj pracy, można się kształcić umysłowo, jeśli jest w duszy szczéra chęć doskonalenia się. Posyłam ci 100 franków; to mój cały kapitał. Poruczam cię łasce Boga i przyjaźni dobrego naszego kuzyna."

Zadrżał Xawery przeczytawszy list ten krótki a węzłowaty. Zadrżał na całém ciele i gorzko zapłakał. Rzeczywistość zaczęła przemawiać głośno i donośnie do serca bujającego dotąd w złudzeniu.

— Biédny, biédny Karol! Karol K...wski stolarzem, a Teodor, kapitan ozdobiony krzyżem, szlachcic herbu Samson, kręci pigułki! Ah! jak sromotne wyrzeczenie się godności! — krzyknie pan Xawery.

Na tę chwilę uroczystą, którą oddawna przysposabiałem, na to wzburzenie uczuć, zachowywałem najsilniejsze me środki. Kuj żelazo kiedy gorące; ratuj chorego wtenczas, gdy na chwilę zawre w nim życie we wszystkich systemach; poprawiaj człowieka, gdy się w nim burzą wszystkie uczucia.

— A ty! a ty panie Xawery, czémże byłeś przez całe życie, jeśli życiem nazwać można twą istność, któréj pożyczałeś żywioły od czegoś, co za to cierpiało? Kwiat młodzieńczy, tak hojną kolébkę szlachetności sponiewierałeś, w niedbalstwie i w uganianiu się za płochością. Wzniecając miłość w sercu niedoświadczonych panienek, liczyłeś na ich piéniądze. Matki twéj ostatni grosz zaryzykowałeś dla zdobycia majątku. Do wszystkiego się udawałeś, prócz do tego szlachetnego źródła życia i szczęścia:— do pracy. Cały twój rozum wywarłeś na to, aby zniweczyć, zagłuszyć w sobie głos honoru. Twych przodków sławę z grobu odkopywałeś, by nią żyć, tak jak robak żyje ich ciałem. Matkę twą i ojczyznę rzuciłeś wtenczas, gdy ci ani jedna, ani druga już nic dać nie mogła, gdyś wszystko z nich wyssał. A dziś co robisz? żyjesz z mozołu, potu i krwi twego powinowatego, do którego anibyś się przyznał, gdybyś go nie potrzebował. W nadziei, że figla wypłatasz człowiekowi, który ci chléb daje, szukasz uroku życia. Tak! w nadziei że zadrwisz z twego dobrodzieja! Wiédz bowiem, że pracujesz, myśląc że szalbierzysz, a pracujesz jak automat nieżywy. Patrz, oto w téj skarbonce 10 funtów szterlingów, któreś sobie zarobił u malarza, służąc poprostu za *model*, za automat, boś się do niczego innego nie uzdolnił. Ale wejdź w siebie Xawery: jesteś bardzo młodym, odkupić możesz łatwo wszystko coś nabroił. Teraz wiedząc za co służyłeś malarzowi, służyć mu daléj nie możesz: toby się nie zgadzało ani z szlachetnością szlachcica, a mniéj jeszcze z szlachetnością człowieczeństwa. Razem z tém co ci brat przysłał posiadasz kapitalik dochodzący do 600 złotych. Piszesz dobrze, co oznacza, że masz gust kalligraficzny i zdatność oddawania go. Radzę ci wziąć się do litografii, bo jestto sztuka w Anglii bardzo popłacana. Mam przyjaciela litografa, on niewiele będzie żądał za twą naukę, a reszta przecież się jakoś za pomocą Boską uda.

Wszedł w siebie Xawerek, napłakał się rzewnie, nawstydził, ale po jednéj nocy strawionéj bezsennie, widziałem w jego odważnych a jednak pogodnych spojrzeniach, mocne postanowienie odrodzenia się do lepszego życia. I tak też było, Bogu niech będą dzięki. Pan Xawery zasmakował w pracy, i wyszedł na porządnego człowieka.

Ta historya moich młodych współtułaczy niech służy za dowód, że z mniejszém wysileniem i równém postanowieniem we własnym kraju daleko większe można zdobyć szczęście, jak za granicą.

VII.

Gdybym był mógł przewidzieć czekające mnie cierpienia, tobym był nie pozostał w Londynie, aby pracować na tę okropną zimę. Koledzy niknęli jeden za drugim; widok umierających prawie nigdy nie schodził z oczu moich. Przy najlepszych chęciach nie mogłem zadość uczynić mym obowiązkom u pana Graham. Jakże odstąpić kolegę umierającego, niemającego żadnéj pomocy? A było ich tylu!

Dla mych kolegów zaniedbywałem nietylko pracę chléb mi dającą, ale także względy dla domów angielskich, do których uczęszczać przywykłem. Niezawsze było można wykładać powody mych zaniedbywań, i długiéj nieobecności. Byłobyto tchnęło żebraniną, gdybym w domach, do których mnie jako uczestnika przypuszczano, rozpowiadał cierpienia ludzi umierających w skutku niewygód, lub poprostu z braku. Zawsze kochałem ludzi, alem ich nigdy na wydatki nie narażał, i może po tylu przykrych doświadczeniach dlatego ich kocham, że im nieskończenie mniéj dowierzam, nieskończenie mniéj ufam jak sobie samemu. Mało też żądałem dla siebie samego od ludzi; byle mi tajemnie nie szkodzili, oto dalibóg wszystko, co pragnę, bo do jawnych nieprzyjaciół nie mam nienawiści:—oni mi pomimowoli częściéj pomagać musieli, niż szkodzić zdołali.

Lilia Indyów więdła, schła, ah! już nawet i krzepła. Boże drogi! jabym był wszystkie krople krwi méj oddał dla odwrócenia ciosu nad jéj głową zawieszonego. Ja ją kochałem, nie ową miłością, dla któréj w młodym, przedsiębierczym, śmiałym jak ogień człowieku zawsze pozostaje nadzieja zadowolenia, ale ową miłością, dla któréj na tym świecie nie masz żadnéj nadziei.

Okropne to położenie nie da się porównać z niczém w świecie, z żadną z tych licznych boleści, przez które przechodzić musi człowiek na tym padole płaczu i nędzy. Kochać tę, która wkrótce będzie nieboszką; kochać ją z zapałem pełnego, zdrowego, wszechstronnego jak promienie słońca życia,—to niewypowiedziana klęska.

Emilia umierając wiedziała ile mi była drogą. Tyle sobie zadawała pracy, żeby choć pozór życia zwabić na swe lica: ubierała się wtenczas w kolory żywe, obstawiała kwiatami czerwonemi, mówiła mi o raju niebieskim, tak jak gdyby była mówiła o kwitnącéj łące, którą zwiedzimy, jak znów wiosna przyjdzie. Ona się litowała nademną—nademną żyjącym, tyle zbytniego życia posiadającym. Może przeczuwała, że to zbytnie życie szkodzić musi szczęściu memu, i licznych cierpień stanie się powodem? Tak zapewnie myślała! Poznała we mnie człowieka kochającego swych bliźnich, i może przewidywała, że trudno człowiekowi serca znaléźć godne miejsce na téj nędznéj, chciwością i zawiścią trapionéj ziemi. Już skrzepłe ręce swe chowała w zarękawku futrzanym; ona, co tak chętnie rękę mi ściskała, i w wierne dla niéj oczy patrzała — ona się już lękała zetknięcia; jak gdyby wzdrygała się udzielić mi cząstki téj śmierci, tak nieubłaganie wdzierającéj się w jéj ciało.

Stan Miss Emily dotychczas ciągle jednostajnie, ale przynajmniéj wolno się pogorszający, w ostatnich czasach, skutkiem przesilenia się dnia z nocą i zmiany nagłéj, zaszłéj w temperaturze, raptownie się pogorszył. Już wstawać nie mogła z łoża, musiano ją przenosić wieczorem z kwiaciarni do pokoju sypialnego. Mgły śmierci grube, nieprzejrzane zaszły na tę twarz, przed kilkoma miesiącami jeszcze tak świetnie piękną.

I inne, wcale nieprzewidziane spotkało mnie zmartwienie. Pan Lee, handlarz drzewa i bankier, nagle tknięty apoplexyą skonał, doszedłszy zaledwie do 50 roku swego życia. Wydał on w ostatnich dwóch miesiącach wszystkie swe córki za mąż: jednę za pewnego lorda *by gentleness of the Queen*, drugą za baroneta, trzecią najstarszą piękną, idealną Augustę za jéj kuzyna, młodego, przystojnego, ale ubogiego i na domiar nieszczęścia poetę. Mówią, że to ostatnie ożenienie, *cette espèce de mesalliance* nadwerężyło zdrowie dotychczas tak silne pana Lee, że nigdy mu z głowy wyjść nie mogło, jak jego córka najpiękniejsza, największemi obdarzona urokami i doskonałościami, pójść mogła za biedaka, nie ma-

jącego ani stanu, ani urodzenia, ani tytułów, ani majątku. Wezwano mnie zaraz po niespodziewanéj śmierci pana Lee do jego familii: nie odstępowałem jéj przez dni kilka. Jeszczem nie ochłonął z trudów i umartwień, a już mnie pan Wood... przywołuje do siebie: „Spiesz do mnie przyjacielu! zbliża się koniec naszéj tragedyi", pisał biédny ojciec. Spieszę. Dorożkę zatrzymałem z 50 kroków przed domem, aby nią nie wstrząsać domu; smutne przeczucia ogarnęły moję duszę.

Pan W. czekał na mnie przed progiem. — „Cicho! cicho! ona śpi; kazała mi wyjść przed godziną i wrócić dopiéro jak ty przybędziesz, bo czeka na ciebie. Oh! jak ona cię kocha!" — Tak mówił ojciec Emilii i temi wyrazami przeszył mi serce. Nieraz mi zaręczała Emilia, że przy swéj śmierci nie pozwoli być ojcu obecnym. „Zaczekaj tutaj, ja wejdę i zobaczę co się dzieje" rzekłem do pana W. — Promień słońca oddawna niewidziany, błysnął przez szklany dach kwiaciarni. Wpośród kwiatów chylących kielichy i bluszczu zwieszającego liście, leży Emilia na łożu białém jak śnieg, sama blada jak liście kamelii. Obok niéj siedzi Abigail. Żadna łza w jéj oczach, a w twarzy śmiertelna pogoda. Emilia już nie żyła! Zasiadłem przy jéj łożu i długo siedziałem pogrążony w osłupieniu, a gdym z niego wyszedł, ujrzałem obok siebie ojca Emilii. Nie szlochał, nie płakał, rąk nie załamywał, a na twarzy bronzowa, wieczna rozpacz.

Pochowaliśmy Emilią. Ten sam grabarz, co prosił o jéj rękawiczkę, przysypał ją ziemią. Ja pożegnałem ojca Emilii; we cztéry dni późniéj zobaczyłem go po raz ostatni przy pogrzebie Abigaili.

I nie byłto cios ostatni dla mnie; jednocześnie prawie zapadł na zapalenie płuc, dawniéj przezemnie uratowany klient Olszewski, niegdyś kapitan artyleryi, a teraz kupiec tytuniu, i młody Aweyde, ojciec rodziny, zarabiający ciężko na chléb w fabryce cynku, na okropną tyfoidalną gorączkę. Pomimo natychmiastowéj lekarskiéj pomocy, kilkutygodniowych ciągłych wysileń, wszelkich ofiar ze strony kolegów, nie można było ocalić ani jednego, ani drugiego. Pierwiastki życia dawno już nadwątlone były tęsknotą, pracą i mozołami. Nawet Dr Ratajski, dawny uczeń uniwersytetu wileńskiego zapadł na suchoty zapalnego charakteru i umarł. Wielu innych, z któremi mniéj ściśle żyłem, umarło w téj okropnéj zimie, w któréj tylko wielkiém szczęściem lub dostatkami można się było obronić wpływowi temperatury. Nie wszyscy tułacze używali dobrodziejstw wsparcia rządowego;

wszystkich ze Szwajcaryi wygnanych i w więzach przez Francyą do Anglii przeprowadzonych, żywiono jednorazowemi wsparciami. Nędza doszła do najwyższego stopnia w téj zimie, Anglicy sami umierali z głodu po ulicach!

Ja sam oddawna trapiony niezwalczonym kaszlem, pomimo całéj usilności, nie mogłem więcéj ujść ani kroku. Zmartwienia, prace, ciągły ruch i niewygody nie mogły dobroczynnie wpłynąć na me zdrowie. Ustać nareszcie musiałem. Lekarze angielscy, którym byłem znanym, odwiedzali mnie kolejno. Wszyscy radzili mi wyjechać na kilka miesięcy z Anglii, gdziem tak trudne na siebie przyjął obowiązki, do Francyi, gdzie klimat lepszy i sposób do utrzymania się łatwiejszy. Przeczekałem Nowy Rok i miesiąc styczeń, ale nareszcie widząc, że stan mój ciągle się pogorsza, posłałem paszport mój w Królewcu wydany do ambassadora pruskiego, późniéj do francuzkiego, z prośbą o awizacyą. Angielscy moi przyjaciele sami za tém chodzili; dzięki im, uzyskałem com żądał.

Żegnam się na miesięcy kilka listownie z memi przyjaciołmi i jadę do Calais. Wielem ucierpiał podczas przeprawy; do Calais przybyłem znękany do najwyższego stopnia. Nim mnie na ląd wypuszczono, odebrano mi paszport.—„Pan w Kaliszu urodzony jesteś, nie masz zatém prawa świadczenia się ambassadorem pruskim. Marszałek Soult nie chce, żeby się Polacy gromadzili we Francyi. Bardzo nam niemiło, ale wypełniać musimy rozkazy ministra spraw zewnętrznych.“ — Tak mi odpowiedzieli urzędnicy policyjni w Calais, a ja nie miałem żadnego sposobu zmiękczenia ich wyroku. Z bólem w sercu wracam na niegościnną angielską ziemię. Jeszcze méj stancyi nie wynajęto, sprowadzam się więc do niéj, pracuję jak mogę, i nie wychodząc z domu, odnawiam stosunki z temi, którzy mi dotychczas pracę dawali. Ale zdrowie me coraz gorsze, siły codziennie ustają. Chodziło do mnie wielu ludzi, gdyż dotychczas protegowałem niejednego, niejednego z biédy i choroby wydobyłem. Anglik jeden młody, któremu udzielałem lekcye języka niemieckiego, wyjeżdżając na wieś, przyszedł do mnie z pożegnaniem. Dowiedziawszy się czemu mnie nie chciano przyjąć we Francyi i spostrzegłszy, żeśmy do siebie przynajmniéj rysopisami podobni, wiele nie mówiąc wyrabia sobie paszport do Paryża na Boulogne, i przysyła mi go wyjeżdżając na wieś. Wszystko było w regule, tylko brakło w paszporcie *visum* ambassadora francuzkiego. Sam do niego pojechałem, pomimo

miego osłabienia, pomimo zimna. Wyczekałem się z godzinę; nareszcie przypuszczono mnie przed oblicze sekretarza ambassady. Szczęściem, nie tęgo umiał po angielsku, bo byłby spostrzegł, żem nie Anglik. O wiek jakieś zachodziły trudności.— „Choroba przyspara wieku"—rzekłem po angielsku.— „To prawda, prawda"—rzecze Francuz—„dam panu adres doskonałego lekarza w Paryżu. Powiédz mu pan, że ja pana rekomenduję, nawet panu napiszę słówko."

Nareszcie wszystko ułatwione; wychodzę z biura ambassady, i w sieni, Boże drogi! jaki cios dla mnie! Spotykam znajomego, jednego z owych jegomości, którzy wszędzie są, zawsze się pięknie ubierają, uśmiéch mają na ustach, oczy w które trudno spojrzéć poczciwemu, a uszy wyciągnięte jak promienie słońca na wszystkie strony. Nawet mnie znał niegodziwiec, tylko udał, że mnie nie zna, że mnie nie poznał i prosto poszedł do biura.

— Zginąłem!—krzyczę w rozpaczy—zginąłem! będę zdradzony!

Biegnę jednakże co mam siły na Regents' Quadrant, dowiaduję się, że za trzy godziny z odpływem morza płynie parostatek do Boulogne. Wpadam do domu, zabieram rzeczy, pakuję, żegnam się, ładuję; już jestem przy London Bridge, zapisują mnie, wielu ludzi przybywa, wielu odchodzi. Ruszamy z miejsca. Jakiś grzeczny towarzysz ciągle się mną interesuje, wypytuje o to i o owo, radzi mi to i owo. Dalibóg nie wiedziałem, jak do tego szczęścia przyszedłem. Przeprawa dosyć szczęśliwa; jesteśmy w przystani Boulogne, w téj bramie Albionu, jak ją Anglicy nazywają.

Oddaję paszport. Wizują go urzędnicy, wysiąść pozwalają. Biegnę do hotelu. Słyszę, że ktoś woła za mną po francuzku: *Monsieur le Docteur! Mr le Docteur!* Odwracam się. Urzędnik policyjny za mną goni, prosi mnie w najgrzeczniejszych słowach do biura kommissarza paszportowego; prosi najuprzejmiéj, błagając, abym go nie zmuszał do użycia środków popiérających jego prośbę. Idę do biura. Pan kommissarz paszportowy kłania się najuniżeniéj:

— *Charmé de faire Votre connaissance, veuilllez bien avoir l'extrême obligeance de lire ce petit billet.* — Biorę bilet, na nim napisane: „Jegomość udający się za pana Artura Stell z Widing (Worchester shire) jest doktorem T. T. urodzonym w Kaliszu (*Pologne Russe*)."

— *Faché, extrêmement faché, brisé de douleur, ma parole d'honneur, mais il faut retourner, ou nous serions forcés de recourir aux grands moyens!*—powié p. kommissarz.

Darmo! darmo! trzeba złożyć moje kości w angielskiéj ziemi; może się zdadzą rezurekcyonistom lub na rafineryą cukru, rzekłem do siebie i uczułem jak gdyby kształt trumny w mém sercu. Róbcie ze mną co chcecie. O! Francuzi, już po drugi raz odpychacie mnie od siebie! powiedziałem głośno i o mało co nie zemdlałem na krześle, które mi podano.

Chciano się złożyć na mą przeprawę do Anglii w biurze kommissarza. Nie przyjąłem: ofiarą prawie całéj reszty méj gotowizny okupiłem sobie podróż do kraju, który opuścić tak gorąco pragnąłem.

Tymczasem mieszkanie moje już zostało wynajęte. Przeprowadzam się o dwa piętra wyżéj, do skromnego, z mebli prawie ogołoconego pokoiku. Rozpacz wkrada się w me serce. Tylko jednemu przyjacielowi, biédnemu wyrobnikowi francuzkiemu Guillard, śmiem oznajmić, że się moja druga wyprawa do Francyi nie udała. Wzburzone uczucia miotają krwią moją, zapalają się płuca, jawią się wszystkie oznaki ciężkiéj choroby. Gospodarz zaalarmowany biegnie do lekarzy. „Umrzesz niezawodnie umrzesz" mówią lekarze, krew puszczają jednakże, leczą sprężyście.

Guillard wyrobnik francuzki, któregom wprzódy wyleczył z niebezpiecznéj choroby, nie odstępował mnie prawie ani na chwilę; zresztą nikt do mnie nie zajrzał, bo nikt nie wiedział, żem wrócił.

— Czemuż nie dasz znać twym przyjaciołom że tu jesteś i że potrzebujesz pomocy? spyta Guillard.

— Mam dwa rodzaje przyjaciół: albo bardzo bogatych, a tym nie ufam, albo bardzo biédnych, a tym nie chcę przysparzać zmartwień — odpowiedziałem. On zaś na to: — *Vous faites bien, de mépriser la pitié des riches.*

Wielka téż do mnie wkradła się nędza: ostatni grosz wydany, nie ma za co kupić ani lekarstw, ani węgli, ani tyzanny; wyrobnik Guillard łoży na me utrzymanie.

Poczciwych kolegów lekarzy sympatya jednakże nie była płonna. Dali znać w *poor foreigner's burying office*, że jakiś cudzoziemski gentleman wybiéra się na tamten świat i że nie ma za co sprawić sobie pogrzebu.

Odwiédza mnie tedy duchowna osoba i mówi wiele o niebie, o życiu przyszłém, o grzechach i o żałowaniu za nie. Swoją drogą codziennie rano przychodzi agent towarzystwa filantropów, mającego na celu sprawiać *gratis* pogrzeby cudzoziemcom i pyta się gospodarza, czy jeszcze żyje doktor polski: „*All right till now*" „Wszystko jeszcze w porządku aż dotychczas" odpowiada pan Lobstertown,

i daléj czyta w swéj biblii, bo był nabożnym anabaptystą i nigdy o Bogu myśléć nie przestawał.

Jednakże pomimo méj rozpaczy, biédy, pomimo opuszczenia i niewygód, młodości siły brzemieniem nieszczęść przyduszone, ale nie zniszczone rozpustą, zaczęły odnosić zwycięztwo. Już daleko swobodniéj oddycham, już nie kaszlę tyle, już mnie nie trawi gorączka. Jakaś nawet nowa, silna wiara w łaskę Boga wstępuje w me zbolałe serce; alem jeszcze słaby, okropnie słaby, z łóżka wstać nie mogę.

Raz, gdy tak leżę samotny na trzeciém piętrze i myślami przyszłość mą ścigam, puka ktoś do drzwi i nie pytając się o odpowiedź, wchodzi do méj stancyi mężczyzna niedbale, a więcéj brudno ubrany, wysoki, bardzo ospowaty i na jedno oko zupełnie oślepły. Mógł miéć lat 35, może i więcéj.

— Czy pan jesteś doktorem T.....?— pyta nieznajomy, ze srogim, nieprzyjemnym wyrazem twarzy.

Na mą odpowiedź potwierdzającą, siada gość przy mojém łóżku i nie zdejmując kapelusza, rzecze:

— Pan mnie nie znasz, nigdy mnie nie widziałeś, a jednak zniesławiłeś mię, szkodziłeś mi. Jestem Ja...., ten sam, o którym pan przyjechawszy z Norwegii, tak piękne rzeczy wyplótł przed generałem Dw..

Prawda, w kilka dni po moim przyjeździe do Londynu, spotkałem przypadkiem na Straudzie generała D.....i zaraz go poznałem. On sam nawet, choć mnie tylko kilka razy w życiu widział, doskonale mnie sobie przypomniał, cieszył się nadzwyczajnie ze spotkania i zaprowadził mnie na *Albany-street* do swego domu, aby mnie przedstawić swéj młodéj żonie i swemu teściowi, staremu francuzkiemu artyście. Mówiłem wiele o Norwegii i pomiędzy innemi, wypytywany o to ściśle wyznać musiałem, że dwóch rodaków *umyślnie* w Norwegii podróżujących, a nie przypadkiem zarzuconych, zostawili po sobie niebardzo pochlebną pamiątkę. Jeden Dy..r dawny wojskowy udawał się za upoważnionego do zbiérania składek dla biédnych tułaczy. Samego króla Jana Bernadotte durzył w Sztokholmie figlami massońskiemi, zebrane niby dla kolegów pieniądze trwonił w sposób najwyuzdańszy, pił okropnie, młodzież niedoświadczoną zgrywał w karty i całą poczciwą Norwegią gorszył swą niemoralnością. W towarzystwie pana D..... jeździł pan Ja.... nowszéj daty wojskowy. Człowiek to był niepospolitéj odwagi; dał tego chlubne dowody w Chrystyanii podczas burzy zaszłéj w przystani: ratował z wielkiém poświęceniem tonących majtków, przyczém nawet

stracił oko. Ale na nieszczęście, odwaga była jedynym przymiotem pana Ja...., bo zresztą do tego stopnia obchodził się niemoralnie z kobiétami, i pił tak okropnie i tak często miewał karciane awantury kończące się pojedynkami, że o nim w całéj Norwegii, na wszystkich skałach, jak o czarcie mówiono. Trzeba bowiem wiedzieć, że dzienniki zastępują w całéj Norwegii miejsce naszych lekkoskrzydlatych plotek.

To wszystko opowiedziałem generałowi, z natury swéj bardzo ciekawemu i umiejącemu się wypytywać o najmniejsze szczegóły, a powiedziałem to w przytomności jego dawnego adjutanta kapitana Dun..a, tego samego, który wkrótce potém zastrzelonym został przez gwardyą narodową w Boulogne, chcąc dopomódz teraźniejszemu prezydentowi rzeczypospolitéj francuzkiéj do osiągnięcia korony cesarskiéj.

Anim mógł myśléć, że z téj rozmowy jakieś wynikną skutki, a tak jednakże było. Prawie w rok po mém przybyciu do Anglii, jawi się w niéj pan Ja.... przybywający Bóg wié zkąd, zgrany jak stary smyczek, biédny i z twarzą rubinami nabrzękłą. Wizytę składa generałowi D... i prosi, aby go tenże lordowi D. przedstawił. Wypytuje się generał pana J... jak się nazywa, i gdzie tyle lat przepędził. Supplikant wyjawia swe nazwisko, i nie kryje, że przepędził lat przeszło sześć w Danii, Norwegii i Szwecyi. Generał pomimo podeszłego wieku, tak bystrą posiadał jeszcze pamięć, że sobie odrazu przypomniał dawną rozmowę ze mną, poznał z mego opisu fizyonomią supplikanta, i wręcz powiedział panu J..., że go doszedł odgłos jego rozpusty, którą zniesławił imię polskie tak czczone w Norwegii.

— Nie będę cię protegował panie J..... — dodał generał — w chwili gdy tylu innych zacnych umiéra z głodu, nie ścierpię, żeby człowiek tak słynny z niemoralności, grosz jeden odbierał godniejszym od siebie.

— A kto mnie tak pięknie opisał panu generałowi? — spyta J.....

— A to nasz rodak doktor T., który do Norwegii burzą zarzucony, słyszał od końca do końca kraju, jak tam pięknie ciebie i Dy...ra wspominają—odpowié bez ogródki stary żołniérz, niewiele o to dbając, czy mnie tém na nieprzyjemności nie wystawi.

— Przyniosę panu generałowi odwołanie tego oszczerstwa, podpisane ręką dra T.—rzecze znów J....—Wiem, że tu gdzieś przebywa ten jegomość, ale go wyszukam, choćby się schronił do antypodów— krzyknął pan J....

A generał D. dodał:

— Jak mi przyniesiesz odwołanie podpisane ręką dra T., wówczas uwierzę, że on tchórz, ale nie uwierzę nigdy, żeś ty poczciwy człowiek.

Pomimo tego zaręczenia, pędzony żądzą zemsty i potrzebą rehabilitacyi, wybiéra się pan J.... na moje odszukanie, wynajduje w mieszkaniu złożonego ciężką chorobą, i widząc mnie za słabego na zredagowanie aktu odwołalnego, siada przy stole, pisze swój własny panegiryk i daje mi go do podpisu mówiąc:— „Podpisz pan, jestem J... znasz mnie aż nadto, i wiész najlepiéj, żem na wszystko gotów. Nitka twego życia słaba jak pajęczyna, łatwo ci ją przeciąć."

Ostatnich sił dobyłem, papiér potargałem, i czyto z trwogi, czy z wysilenia, omdlałem.

Nie wiem jak długo w tym stanie pozostałem.

Budzi mnie z niego jakiś zgiełk i hałas okropny. Widzę wyrobnika Guillard dosyć szczupłego z postaci, passującego się z olbrzymem J...., uzbrojonym w nożyce. Na ten widok siły mi przybywają nie wiedzieć zkąd: zrywam się, biegnę do drzwi i o pomoc wołam.

Gospodarz głos mój usłyszał i biegnie ku nam. J.... zadawszy kilka lekkich na szczęście ran Guillardowi, ucieka, rzuca gospodarza na ziemię, toruje sobie drogę pośród kilku wybiegłych z stancyj lokatorów, i tonie w mgle angielskiéj, jak ryba w oceanie. I śladu najmniejszego po sobie nie zostawił.

— Cośto miał za sprawę z tym jegomością?— pyta wreszcie Guillard ochłonąwszy z gniewu i rany swe przy pomocy gospodarza opatrzywszy.

Opowiadam tok całéj rzeczy szczegółowo.

— Dobrześ zrobił: w obronie prawdy niczego lękać się nie powinien człowiek honoru. Ale generał D... nie powinien był wymieniać twego nazwiska dla osłonięcia własnego zdania. Niestety! bohaterowie wojskowi niezawsze posiadają odwagę cywilną, a nigdzie to nie sprawdza się częściéj, jak u nas we Francyi! — rzecze Guillard. I po chwili dodał:—Słuchaj doktorze, powróciłeś mi zdrowie, a ja tobie ocaliłem życie. Dobre rachunki robią dobrych przyjaciół. Warto tedy rozpocząć nowe, bo od téj chwili pomiędzy nami *à la vie et à la mort*. Powiédz, słyszałeś kiedy o Teofilu de Ker...sim?

— A któż z nas nie słyszał o tym szlachetnym Bretończyku, o godnym wnuku piérwszego grenadyera Francyi la Tour d'Auvergne, o przyjacielu nieszczęśliwych ludzi?—odpowiedziałem.

— Wiédz tedy mój doktorze, że stojący przed tobą wyrobnik Guillard jest Teofilem K....., i twym przyjacielem. Oto wexle na 100,000 franków podpisane przez bankiera Lafitte. Jadę pod najłagodniejsze niebo, do Portugalii, i proszę cię z sobą.

A tak czuwała nademną Opatrzność w chwilach najkrytyczniejszych miotanego burzą życia, i wybawiła mnie cudem z biedy londyńskiéj.

LATOPIS MIASTA ŻYWCA,

WIADOMOŚCIĄ HISTORYCZNĄ O SZLĄZKU, A W SZCZEGÓLNOŚCI O KSIĘZTWACH OŚWIECIMIE I ZATORZE

POPRZEDZIŁ

Stanisław Krauss.

I.

Czyż się niegodzi z głębi wieków zaćmionych,
Wywołać stare duchy z grobów zapomnionych:
By świadczyły żyjącym o sprawach przeszłości,
Ku ich naprawie, i ku ich miłości.

Przeglądając w r. 1849 bibliotekę dekanatu żywieckiego, wpadła mi w rękę kronika m. Żywca Jędrzeja Komunieckiego, wójta miejskiego żywieckiego, którą od r. 1492 do 1730 doprowadził (1).

Jednakże już nie zastałem jéj w oryginale, lecz w tłumaczeniu niemieckiém, przez ś. p. ks. Fr. Augustyna proboszcza tamtejszego. Znalazłszy tak okwity plon do badań historycznych, począłem dochodzić napisy w kościele żywieckim; jakoż nie omyliłem się w nadziei, gdyż znalazłem epitafia Piotra i Jana Spytka Komorowskich, rozjaśniające wielce początek założenia miasta i przyczynę przybycia orawskiego i liptowskiego grabi do Polski. Powziąłem tedy myśl śledzenia dawnych wiadomości o osiedleniu żywieckiéj doliny i obwa-

(1) Był Komuniecki malarzem, a obrazy pędzla jego znajdują się w niektórych kościołach okolicy żywieckiéj. Żył lat 70, z których 50 szczęśliwie w małżeństwie spędził, zostawiwszy 9 dzieci, 50 wnuków, a 10 prawnuków.

rowaniu się na Turzéj górze, dziś Grójcem zwanéj, naprzód książąt szlązkich i oświecimskich, późniéj Skrzyńskich i Komorowskich. Gdy zaś pierwotne osiedlenie doliny téj spływa w jednę całość dziejową Oświecima i Zatora, wypadało mi tedy dotknąć się historyi Szlązka w ogóle, w szczególności zaś zająć się dokładném badaniem stosunków księztw oświecimskich do Czech, Szlązka i Polski. Ztąd tedy urosła rozprawa ta, która niejako za wstęp do latopisu żywieckiego, a następnie do kroniki Komunieckiego uważaną być może.

---

1. *Rozgraniczenie obszaru geograficznego Szlązka. — Nazwa Szlązka geograficznem pojęciem.*

Nazwa Karpat, które nastają w Dunaju, kiedy on wstępuje w równie węgierskie, pochodzi od *horbów*, co oznacza góry (1). Ztąd północne stoki Karpat obejmowano pod ogólną nazwą Chrobacyi, a mieszkańców mianowano Chrobatami. Wschodnią zaś część Chrobacyi, od Sanu począwszy, zwano Czerwoną Chrobacyą, albo Czerweńskiem; a zachodnią Białą Chrobacyą, która legła aż do źródeł Wisły.

Od źródeł Wisły począwszy wzdłuż rzeki Odry i całego jéj systematu wodnego ku północy, tam, kędy Warta wpada pod Kustrzyniem do Odry, przypierając na zachód o Korknosze (Riesengebirge) i Szumawy (Sudetty), aż tam, kędy od ostatniego dopływu Odry, poczyna się porzecze Łaby, a na wschód wzniesieniem tarnowieckich i trzebnickich wyżyn oddzielona od kraju równego, biorącego wagę swoję ku Wiśle, legła na stokach tych gór zachodnich, na górnym i średnim biegu Odry kraina szlązka. Na południu zaś odgranicza krainę tę dział wodny europejski, który na góry czeskie i morawskie, na źródłowiska rzeki Opawicy i Odry przypada.

Wszakże nazwa Szlązka ograniczała się pierwiastkowo tylko na krainę obszaru rzeki Ślezy (2); gdyż Dytmar merseburgski (3) pisze: *Posita est urbs haec* (urbs Nemetzii) *in pago Silensi, vocabulo hoc a monte quodam nimis excelso, et grandi olim sibi*

(1) Szafaryk w dziele: Starożytn. słow.
(2) Dziś rzeka Lohn.
(3) Ditmarus Merseburgensis. edit. Mad. p. 221

indito, qui mons ob qualitatem et quantitatem ab imolis omnibus nimis honorabatur, cum execranda gentilitas ibi Deos venerareturi. To samo w dyplomie z r. 1351 (1): *In oppido prope montem Zlesie.* W innym zaś dyplomie z r. 1376 (2) nazywa się już nie *Zlesie*, ale *mons Czobothus*, góra Sobota (3), która w księztwie świdnickiém położona, wzniesieniem swojém panuje nad wszystką okolicą.

Już w XIym wieku były znane miasta, prędzéj może osady, jakoto: urbs Nemetzii (4), dziś Nimmtsch, Krosno, Wortislavia, albo Vratislavia (5). Powiat ten wrocławski (provincia Vratislaviensis) nazywa Mart. Gallus (6) dopiéro od roku 1108 stale okolicą ślezką: *regionem silesiensem*, a ztąd poszło, że Piastowie młodsi dzierżący Wrocław, w dowód przewagi swojéj pisali się *duces Zlesie*, a późniéj *duces Silesiae*. Ponieważ zaś piérwsze ślady nazwania Szlązka znachodzimy na obszarze rzeki Ślezy, w powiecie Diedesi, a to naprzód jako nazwanie rzeki, powtóre jako nazwanie góry: nie można się tedy zgodzić na wywód tego wyrazu z Kromerem (7), który powiada, jakoby: „nazwisko Szlązka od różnych a wielu narodów zgromadzenia, ztąd Zlezakami, albo Zchodniami zwanych, nadane było." Także mylne jest twierdzenie Dobrowskiego, wykazującego pochodzenie tego wyrazu od źródłosłowa „*sled*" (ostatni, od czego pochodzi pośledni), a to ztąd, jakoby Ślęzacy mieli być ostatni, pośledni.

Idąc zaś krok w krok za historycznem szerzeniem się nazwiska tego w téj części ziemi; bacząc także na położenie geograficzne krainy téj, trzeba uznać nazwę tę za ściśle miejscową, oznaczającą spłazinę, ślezinę, stok gór ku równinom.

Widno tedy z powyższego, że nazwa Szlązka miała początkowo czysto geograficzne znaczenie, albowiem kraina położona na stokach gór Szumaw i Korknoszów, stacza się powoli, i przechodzi w równie europejskie. Jakoż jedno spojrzenie na kartę przekonywa, że kres

(1) Sommersberg (de) Scriptores rerum silesiacarum T. I, p. 934.
(2) Sommersberg. S. R. S. T. I, p. 936.
(3) Dziś Zobtenberg.
(4) Ditm. Mersb.: „ad urbem eo, quod a nostris olim sit condita, Nemetzii dictam." Ed. Mad. p. 221.
(5) Dokumentirte Geschichte und Beschreibung von Breslau. 1778. T. I, str. 73. 92.
(6) Dokumentirte Geschichte von Breslau. T. I, str. 175.
(7) W tłumaczeniu Błażowskiego.

przedzielający kontynentalną Europę na górzystą i równą, padł na owe pograniczne szlązkie, kędy, jako o krainę na wydmuchu leżącą, spierają się wiatry, wiejące z północy i wschodu wielkiego.

Zatém Szlązk (Zlezie, Slezie, Zlask) oznacza krainę stoków gór.

Dopiéro późniéj, kiedy Szlązk przeszedł w dzierżawę młodszych Piastów, przybrała nazwa ta szersze rozmiary. Jakoż Bolesław Kędzierzawy dodał do powiatów szlązkich Opole, o czém Gosław Baszek (1) powiada: *Impendens illis, Silesianam provintiam donat, Opoliensem ducatum adjungens.*

Również Opole otrzymało od geograficznego położenia nazwę swą, albowiem kraina ta stanowi przejście z lekkich pagórków do jednostajnych równin Wisły, t. j. przytyka o pola.

(1) Goslaus Basco. Sommersberg, T. II, p. 45. Idąc za zdaniem uczonego p. Helcla, wymieniłem tutaj Gosława Baszkę (Goslaus Basco) autorem kroniki, dawniéj za kronikę Bogufała poczytywanéj. Opiera on swoje zdanie na następnych powodach. Zwykle za najdawniejszego po Kadłubku kronikarza poczytywanym jest dziś Bogufał II biskup poznański, w roku 1253 zmarły, a Gosław Baszek uważanym jest za kontynuatora Bogufałowéj kroniki, który ją do r. 1273 doprowadził. Pod tym względem w zdaniu swojém różni się p. Helcel od powszechnego dziś mniemania, wzniecono dopiéro przez Sommersberga, za autorstwem Bogufałowem obstającego; zgadza się zaś z Wiszniewskim (T. II, str. 120 u.). Snadź tego zdania jest lub był Lelewel, skoro w dziele: „Początkowe prawodawstwo polskie" kronikę w zbiorze Sommersberga podaną (T. II, str. 18 — 78) za rzecz Bogufała wszędzie cytuje bez rozróżnienia, jako kronikę Baszka. Kownacki na zasadzie rękopismu willanowskiego już dawniéj był tego zdania. (Kronika Lechitów i Polanów [przedmowa]. Warszawa 1822. Jestto tłumaczenie Baszka). Cała ta książka, tak w części po r. 1253 dociąganéj, jako też w osnowie poprzedniéj, jest dziełem samego tylko Baszka. W obu bowiem tych częściach są wzmiankowane wypadki i cytowane pisma, które dopiéro po śmierci Bogufała nastąpiły. Używane tam są nazwy urzędów, które się w Polsce dopiéro przy końcu XIII wieku zjawiły. Ztąd koniec życia Baszka i czas pisania jego kroniki do ostatnich lat XIII lub do pierwszych XIV wieku odniesionym być powinien.

Jakoż rzeczywiście, pominąwszy zupełną zgodność co do stylu tych dwóch części, nigdzie nie występuje Bogufał, jakoby sam o sobie mówił, chociaż do różnych ważnych okoliczności wezwanym został. I tak np. (na str. 64) pod r. 1249 powiada kronika, że Bogufał, mówiąc zawsze o nim, jako o 3ciéj osobie, był przytomnym zaślubinom Salomei, córki Przemysława książęcia poznańskiego, z Konradem księciem głogowskim, a właśnie pod tymże rokiem (str. 64) mówi o sobie Bogufał, jakoby (ego Boguphalus) miał wizyą. Oczywiście musiało być tylko jego przypisek, na którym oparł się Sommersberg. Baszek zaś, chociaż późniéj (str. 67) mówi o konsekracyi Bogufałowéj przez Fulkona arcybiskupa gnieźnieńskiego, przecież

2. *Rody słowiańskie na Szląsku, w Miśnii i Luzacyi wzdłuż rzeki Łaby, aż po ujście.— Chrystyanizm i wpływ niemiecki.— Bierny odpór Słowian.— Polanie jako państwo polskie odpór czynią.—Szląsko przechodzi za wpływem niemieckim w dzierżawę synów Władysławowych* (1).

Od najdawniejszych czasów obywali Słowianie w Europie, a odkąd piérwsze ślady historyczne o nich pod różnemi nazwami wspominają, graniczą oni już począwszy od morza Adryatyckiego na południu ku ostatnim północno-wschodnim cieklinom alpejskim, wzdłuż porzecza Łaby ku północy do morza Baltyckiego z potężném państwem Franków. Na zachód od pomorza siedli Wilcy, Obotryci, między Łabą, Salą i Muldą Sorby, a obszar między Łabą a Wisłą zajęły lechickie rody Polanów.

Podług świadectwa współczesnego Karolowi W. Eginharda, położył aż po Wisłę Karol W. kres państwu swojemu.

Tu oparła się już stanowczo potęga Franków o potęgę słowiańską, i odtąd walka ta, nieobojętna, owszem arcyprzeważna w ogólnym toku dziejów świata, sprowadza na widownią historyczną zasiadłe między Łabą, Odrą a Wisłą rody słowiańskie.

Piérwsze początki organicznego ciała narodowego, piérwsze podwaliny stosunków społeczeńskich, stosunków prawnych, tak prywatnych, jak publicznych, odbywały się w téj epoce.

Widzimy w występujących, w jedno społeczeństwo narodowe połączonych rodach, tylko skutki tego procesu, sam zaś proces owego kształtowania się narodu jest nam niewiadomy. Ślady historyczne nie sięgają tak daleko, a wszędy, gdzie tylko Słowianie stykają

nigdzie nie powiada, że on kronikę pisał. Również Długosz kronikę zwykle za Bogufałową mianą, poczytywał za kronikę Baszki, mówiąc pod r. 1257: *Cui* (Przemislao duci poznaniensi) *in patris charitatem et memoriam, paternum in Baptismo nomen Przemislaus Boguphalus poznaniensis, episcopus indiderat hunc principem Baszko custos poznaniensis in suis scriptis et annalibus plurima laude celebrat.*

(1) Niniejszemu wywodowi rozwoju historycznego narodów u Słowian służyły za podstawę, naprzód: Rzut oka na umiejętność Geografii Wincentego Pola. Kraków. 1850. Także Dziejosłęby Szrzeniawy: *Wie der polnische Sprachgeist die Urgeschichte der slavischen Volksstäme auffast? Lemberg.* 1850. Roeppel w dziele swojém: *Geschichte Pohlens* str. 82 i nast. nie mogąc sobie zdać sprawy o genesie państw i narodów u Słowian, usiłuje wywieść ten proces ze stanowiska prawnego.

się z ludami zachodniemi, z któremi w jeden ogólny potok dziejowy spływają, wystawieni są, jako rozrzucone osady szczególne, nie zostające pod żadnym zwierzchniczym kierunkiem.

Te same warunki, powtarzające się wszędy, przyjąć także należy co do rodów słowiańskich między Odrą a Wisłą, w dzisiejszéj Wielkopolsce osiadłych. Rody te przyniosły z sobą z owéj pierwotnéj organizacyi społecznéj naddunajskiéj, którą Samo odpierał wpływ frankoński, piérwsze nasiona tradycyjne rodowe, z których wyrosła potém organiczna budowa narodu Polanów.

Chcąc pojąć znaczenie rozrzuconych osad rodów słowiańskich, ciągnących żywot swój cicho, a tak silnie do ziemi przywiązanych, konieczną jest rzeczą wyśledzić przyczyny, które na istnienie ich przeważnie wpłynęły.

Rozrodzona rodzina, mająca już stalsze siedliska, będąca już, jako przywiązana do pewnego miejsca, w stanie przechodnim do owładnienia pewnego obszaru ziemi: rozrodzona rodzina taka jest rodem w plemiennéj epoce swojéj.

Obszarem tym zawsze są porzecza rzeki, które jako wskazujące dalszy pochód, przeważną grają rolę; dlatego też rody rozszerzają się za rzeką, i rozgałęziają się na całéj sieci wodnéj, należącéj do jednego (systematu wodnego) dorzecza. Tu wpływ natury jest przeważny, a człowiek jeszcze na stanowisku natury stojący: ztąd zawarowane są rody naturą.

Jakoż pola rozległe od Odry do Wisły, należące do owéj wielkiéj niziny europejskiéj, ciągnącéj się od Wolchońskiego lasu, a mającéj swój kres u rzeki Wesery, utworzyły Polanów, rozchodzących się znowu na inne miejscowością nacechowane rody. Stoki Korkonoszów i Szumaw, owa miedza przechodnia Europy górzystéj na równą, stoki te mają odpowiednie rody Szląząków.

Więc wszystkie nazwy pojedynczych rodów, nie powstały z ich podmiotu indywidualnego, ale są istotne, przedmiotowe, mające za treść swoję pojęcia natury. Ztądto owa analogia w nazwaniu wszystkich siedlisk słowiańskich.

Rodzina, jak nas objawy idei prawnéj narodów słowiańskich późniéj przekonywają, była jednością żywą wszystkich członków familii.

Jedność rodziny sprowadziła jedność posiadania, jedność i wspólność majątku; jedność ta miała zarodem w sobie odpowiedzialność solidarną jednego za wszystkich, a wszystkich za jednego.

Rodzina zatém wzrosła w osobę, a każdy członek rodziny stał o sobie.

Tu nam się tedy rodzi pojęcie żywotności osoby, rodziny, jako takiéj, która z żywotnéj i w żywotnéj wszechności rzeczy, jako pojedynczość, osoba, występuje. Osoba zaś ta złączeniem samoistnie harmonijném, za pośrednictwem sił, lubo rodziny, lubo osoby, w nią wpłodzonych; osoba ta, mówię, prowadzi indywidualne istnienie swoje.

Te trzy pierwiastki i warunki życia wszego: wszechność, szczególność, i samoistne złączenie harmonijne, przechodzą z rodziny w ród, z rodu w naród, z narodu w państwo.

Ztąd u Słowian miał naród za wzór harmonijne spłynienie rodów, ród rodzinę, a rodzina miała za wzór w epoce przedchrześciańskiéj bogów, w chrześciaństwie zaś królestwo niebieskie.

Żywotność więc rodów słowiańskich sprzeciwia się wszelkim teoryom racyonalnym, na podstawie jakiéjś niby ugody powstałym.

Jedność tę żywotną rodów przechowywała pewna rodzina, od któréj rozchodziły się związki rodzinne, ogarniające ród w jednę całość żywotną, co z rozwojem dziejowym coraz bardziéj słabło, bo miejsce rodu zastąpił naród.

Rodzina ta przechowywała tradycyą, która trwała w zwyczaju, i stawała się starszyzną, szlachtą.

Jak dalece związek ten rodzinny tradycyjny rozciągał się, niejeden na to jest przykład: i tak, familia Turzów ciągnie się od ostatnich cieklin alpejskich, od Dunaju, ku Szlązku, do Wielkopolski na północ, zaś do ziemi spiżskiéj na wschód.

Ztąd szlachta była naturalnym przewodnikiem narodu, a na niéj, jako na rodach, osiadł naród.

Na téj jedności żywotnéj rodu, gminy i rodziny, spoczywają wszystkie stosunki własności, stosunki prywatne i publiczne u Słowian.

Dlatego, jeżeli żywioł obcy, pod jakąkolwiek formą się zjawia, ogarnia stosunki prywatne i publiczne Słowian: natenczas jedność żywotna nadwerężona sprowadza dezorganizacyą, śmierć.

Na owe rody słowiańskie uderzyła potęga Franków i Niemców, a w dalszym toku dziejów owładnęła je aż po Odrę, odkąd już rody słowiańskie Polanów lechickich, rozwijając z siebie silne wewnętrzne życie, spojone węzłem jedności rodowéj, organicznéj, żywotnéj, stanęły na straży słowiańskiego ducha.

Znany jest bowiem bierny odpór charakteru słowiańskiego; znane jest także wewnętrzne urządzenie Słowian, owa społeczność li na gruncie oparta, i ściśle do ziemi przywiązana: ztądto rozgraniczenie, a nawet odosobnienie owych rodów słowiańskich. Ponieważ zaś, gdzie jest nieograniczona autonomia gmin, tam nie ma narodu, nie ma państwa: potrzeba zatém było wielkiéj, silnéj, nieograniczonéj woli i energii, czyto pewnego rodu, będącego w sile plemienności, czy też zesłowiańszczonego obcego najezdzcy, by te cicho rody pobudzić do czynnego oporu.

Epoka zaś tworzenia się narodów i państw w Słowiańszczyznie poczyna się z wpływem niemieckim i szerzeniem chrześciaństwa, co najpiérwéj nastąpiło u Słowian wzdłuż rzeki Łaby, a zatém także w Miśnii, w Luzacyi i Szlązku.

Późniéj Henryk król niemiecki osadził na czeskiéj granicy margrabiego Gero, który zagrabiwszy powiaty łużyckie, zdradą na wendyjskich, słowiańskich książętach popełnioną, tak wpłynął przeważnie na słowian, że się poddali dobrowolnie (1).

Wślad za podbojem poszło także nawracanie Słowian na wiarę chrześciańską; łatwo sobie ztąd wytłumaczyć można owę niechęć Łużyczan, Serbów, Wilków z Germanami stykających się, i wstręt ich ku wierze zbawiennéj, kiedy na wschodnich krańcach Słowiańszczyzny już wtedy ewangelia na bujnym gruncie głębokie zapuściła korzenie.

Otto I cesarz rzymski założył biskupstwo w Miśnii w. 948 r. Gero margrabia potykał się także z Mieszkiem I książęciem Polanów, zwyciężył go i do posłuszeństwa majestatowi cesarza Ottona przywiódł.

Jakkolwiek z pewnością Mieczysław był zawisł od cesarza Ottona, jednak wpływ ten, nie sięgając w wewnętrzne stosunki oddalonego od Niemiec kraju, pociągnął za sobą następstwa wielkiéj wagi dla całego narodu. Wojna bowiem, jak wszędzie narody ku sobie zbliża, tak tu wciągnęła Polanów w związki z zachodnim światem chrześciańskim.

Jakoż po upływie dwóch lat od owego poddania się, Mieczysław pojął za żonę Dubrawkę, córkę Bolesława książęcia czeskiego. Tożsamość położenia zbliżyła do siebie tych dwóch książąt. Bolesław bowiem już od jednego dziesiątka lat uznał był zwierzchnictwo ce-

(1) Böhme: Diplomatische Beiträge zur Untersuchung schlesischer Rechte und Geschichte. I Theil, str. 5—7.

sarza. Zbliżenie to sprowadziło głównie chrześciaństwo do Polski, gdyż Mieczysław dał się ochrzcić, a z nim także część narodu.

Zachowanie się tutaj rodów Polanów znamionuje nam ich stanowisko względem książęcia, gdyż jeszcze po upływie blizko wieku jednego znalazło stare pogaństwo siły zadosyć w sobie, aby zachwiać nowe chrześciaństwo.

Jednakowoż dość rychło nastąpiła organizacya kościelna Polski, przy któréj wpływ niemiecki przeważnie występuje. Piérwsze więc na zewnątrz wystąpienie Polanów musiało się objawić z saméj natury rzeczy w wyłącznym ku zachodowi kierunku.

Z całą świadomością celu dążenia swego uchwycił się kierunku tego Bolesław Chrobry, który Polanów na rozległych obszarach między Łabą a Dnieprem, od Karpat do morza Baltyckiego uczynił panującym narodem. Myślą Bolesława, kierującą nim we wszystkich sprawach, było owładnąć słowiańskie rody między Łabą a Odrą położone, i tak wpływowi niemieckiemu stanowczy i skuteczny czynić odpór. Taki rozwój nadałby był zupełnie inną postać rzeczom.

Po zejściu Bolesława Chrobrego r. 1025, utraciła Polska pod Mieczysławem II znaczenie swoje. Z jednéj strony bowiem naciérał Konrad cesarz niemiecki, a z drugiéj Brzetysław, książę czeskie na dzierżawy polskie. R. 1029 odpadła Morawa aż po rzekę Oppę, a r. 1032 uznał Mieczysław Konrada cesarza panem swoim.

Po skonie Mieczysława, r. 1034, ośmielało ogólne rozprzężenie porządku, od Bolesława Chrobrego zaprowadzonego, sąsiednie narody do najazdów i podboju. Jakoż Brzetysław po śmierci ojca Ulrycha książęciem czeskiém uczyniony, wyruszył r. 1039 do Polski, a nie znalazłszy oporu żadnego, Kraków wziął i spalił, a Szlązko całe dla siebie zatrzymał.

Dopiéro r. 1055. oddał Polsce Wrocław i inne miasta z tém, aby 500 grzywien srébra a 30 grzywien złota rocznie płacono.

Odtąd po krótkich przerwach czasu ponawiały się częste napady Czechów na ziemie szlązkie, nie zostawiając jednak krom spustoszenia ziemi żadnych śladów po sobie. Także cesarze niemieccy nie zapominali, choć powierzchownie, utrzymać poszanowanie i wpływ Niemiec względem Polski. Trwał ten niepewny stosunek od 1055. do 1140 r., odkąd poczynają znowu Niemcy szerzyć ku wschodowi swoję potęgę. Wprawdzie interes państwa niemieckiego, jako całości, skłania się coraz bardziéj ku południowi, a cesarze niemieccy tylko na krótki czas w skutku pomyślnéj wyprawy zdołają książęta polskie, wszakże nigdy na długo, do uznania zwierzchności cesarskiéj

przyniewolić; jednakże miasto państwa obejmują książęta pojedyncze na wschodnich krańcach cesarstwa dziedziczną wojnę przeciwko Słowianom.

W okolicach na średnim biegu Łaby i Odry, a na dolnym biegu Wisły położonych, zbrojno sadowią się Niemcy, rozrywając tym sposobem węzeł łączący Słowian ze sobą, a Polaków odcinają zupełnie od morza. Jeszcze daléj sięgnął ich wpływ przeważny na drodze pokoju, objawiając się w licznych osadach, a z końcem XIIIgo wieku widzimy już Pomorze i Szlązko wciągnione w pochód germańskich dziejów i cywilizacyi.

Podawszy tedy w zarysie charakter dziejowego początku Polski i wyprzedziwszy niejako wypadki, przystąpić już teraz można do właściwego toku dalszych dziejów Szlązka, z szczególnym wszakże względem na tę część ziemi szlązkiéj, która w bliższych związkach z Polską zostając, powróciła do Polski napowrót.

W roku 1158 wypędzony od braciéj młodszéj Władysław II, ująwszy sobie wielu radnych panów Fryderyka cesarza, dopraszał się przywrócenia swego na sejmie walnym, na wszystką rzeszę niemiecką w Wirceburgu albo Herbipolu złożonym. Jakoż Fryderyk cesarz chcąc książęta polskie do uznania zwierzchności majestatu cesarskiego przyniewolić, wtargnął przez ziemię szlązką do Polski. Tu niepokojony zewsząd, i urywany z pokątnych rozsadzek, ku temu ciągnąc okolicą przez samychże Polaków wyniszczoną, którzy i miasta niepodłe, jak Bytom i Głogów, palili, o odwróceniu począł był przemyśliwać, tém bardziéj, że go odwabiały sprawy włoskie.

To gdy książęta z naprawy Władysława książęcia czeskiego wyrozumiewają, z Fryderykiem cesarzem pokój tém prawem stanowią: aby Bolesław na zjeździe w Magdeburgu sprawę wygnania i przywrócenia Władysławowego zdał na rozsądek Polaków i Czechów, a przedewszystkiém, aby Władysława przywrócił do dzierżaw szlązkich.

Wszakże przyrzeczenia Bolesław w niczém nie dotrzymał, a Władysław za żywota swego szlązkich dzierżaw nie dostąpił, zszedłszy ze świata w Starogrodzie (Altenburgu) r. 1159 w Holzacyi. Dopiéro r. 1163 za naleganiem Fryderyka cesarza, synowie Władysława: Bolesław, Mieczysław i Konrad przywróceni, wszystko Szlązko aż po granice czeskie, myszyńskie i saskie, na dzierżawy swe objęli.

Bolesław Długim albo Wysokim rzeczony, wrocławskie powiaty osiągnął, a ponieważ większą część obszaru rzeki Ślezy posiadł (pa-

gus Silensis), pisał się *dux Zlesie* (1), Mieczysław raciborskie i opolskie, a Konrad zasię głogowskie i krośnieńskie posiadł.

Tym tedy podziałem trzymali Szlązko synowie Bolesławowi, kiedy Konrad książę głogowskie bezpotomnie ze świata zeszło. Po nim wziął w posiadanie Bolesław powiat głogowski, przeciwko temu wystąpił Mieczysław zbrojno, i nietylko że mu Wrocław odjął, ale go z Szlązka wypędził (2); w co Kazimiérz włożywszy się, rychło ich pogodził przywracając Bolesława do Wrocławia, a zagodziwszy Mieczysława z własnéj dzierżawy Oświecimem r. 1180, który odtąd zostawał w połączeniu z Cieszynem. Syna zaś Mieczysławowego do chrztu trzymał, nadając mu własne imię Kazimiérza.

Jednakże Mieczysław, opolskie i raciborskie książę, niezawsze trwał w pokoju ku Polsce.

Jakoż gdy po zejściu (r. 1194) Kazimiérza książęcia polskiego, objął rządy ojczyste z Heleną matką Leszek Biały, jeszcze lat nie doszedłszy, pragnął Mieczysław Stary, dla złych rządów z księztwa zrzucony, dochodzić krzywdy swojéj, mniemając miéć większe prawo po sobie do księztwa, jako syn drugi Bolesława Kędzierzawego. Jął się tedy w lud pilnie uzbrajać, nie zaniedbując także zasiłków u postronnych. I tak książętom szlązkim wystawiał, jako na zjazd ów, na którym wspólnym rozsądkiem ma być obierany książę, wezwani nie zostali. Snadnie tedy podjęli książęta wspólnéj sprawy, gdyż i oni sądzili miéć większe prawo do księztwa, jako starsi Bolesława i Krzywoustego wnukowie.

Wyruszył tedy Mieczysław Stary z posiłkami Pomorzanów na granicę powiatu krakowskiego ku Mozgawie (3), rzéce, z wojskiem, i tam zwiódł bitwę, chociaż mu były posiłki szlązkie nie nadciągnęły, z Mikołajem, wojewodą krakowskim, któremu Roman łuckie albo włodzimierskie książę niemały przywiódł poczet Rusiej na pomoc. Źle się powiodło Mieczysławowi Staremu, gdyż syn jego Bolesław padł, a on sam ranny uchodzić musiał. Niedługo wszakże utrzymali się Małopolanie przy nabytém zwycięztwie, gdyż Mieczysław opolski z Jarosławem, Bolesława Wysokiego wrocławskiego książę-

(1) Sommersberg: S. R. S. T. I, str. 894.
(2) Goslaus Basco. Sommersberg T. II, str. 45.
(3) Stencel w dziele: *Scriptores Rerum silesiacarum* T. I, str. 19 w przypisku do *Chronicon Polonorum* mniema, że to była rzéka Skawa, która pod Zatorem do Wisły wpada, opierając swoje zdanie na tém, że wymieniona jest *Muscava circa Andreon claustrum.*

cia synem, nastąpili, i do ucieczki Polaków pojmaniem Goworzyca wojewody sandomierskiego, przywiedli. Sami zaś Szlązacy nawrócili do domów za Mieczysławem opolskim, którego w lektyce odniesiono, lękając się zapewne, aby im Małopolanie, siły pokrzepiwszy, klęski w dzierżawach własnych nie zadali.

Mieczysław opolski i raciborski założył i zbogacił klasztor w Rybniku zakonniczkom Praemonstrateńskim, który potém jedyny syn jego r. 1228 do Czarnowąsów pod Opole przeniósł.

Mieczysław zszedł ze świata r. 1211.

3. Postęp wpływu niemieckiego.—Prawo miejskie májdeburgskie i ziemskie; prawo saskie na wszystkim Szlązku zastosowane do obyczajów miejscowych.—Epoka reorganizacyi na liczne dzielnice podzielonéj Polski; ztąd niepewność położenia książąt szlązkich.—Punkt ciążenia Polski na wschód.— Rzeka Odra stracona.—Pochwycenie Szlązka przez Czechów.

Po Mieczysławie objął księztwo opolskie i raciborskie Kazimiérz, który umarł r. 1234 (1) 13 marca, zostawiwszy dwóch synów: Mieczysława i Władysława małoletnich, którym książęcia wrocławskiego Henryka Brodatego za opiekuna przydał. Ci lat doszedłszy, podzielili się ojcowizną: Mieczysław wziął Cieszyn z Oświecimem, Władysław zaś posiadł Opole i Racibórz.

Za czasów Mieczysława IIgo prawo niemieckie szeroko już było na Szlązku zaprowadzone, tak, że odtąd poczęło miéć zupełną nad polskiém prawem przewagę.

Razem z prawem niemieckiém weszło do Szlązka lennictwo, nieznane w prawie polskiém, przez które dziedzic utracał połowę swéj własności. To zetknięcie się jednakże prawa polskiego z prawem niemieckiém, zmodyfikowało to ostatnie do tego, że lennik mógł lenność przedawać, a nawet córki miały zdatność do dziedziczenia.

Już w ciągu XIIIgo wieku przekształciła się hierarchia społeczeńska na Szlązku i Oświecimie, zupełnie podług wyobrażeń niemieckich, zachowując jednakże w nazwach i attrybucyach urzędników ziemskich i publicznych charakter polski.

(1) Böhme: Diplomatische Beiträge zur Untersuchung schlesischer Rechte und Geschichte. I Theil, str. 5—7.

Były stany następne: stan panów (Comites, na początku XIVgo wieku grabia (1), barones), szlachty (nobilium) i właścicieli (terrigenialii), stan mieszczanów (cives, oppidam (2), czynszownicy (emphytheutae), mieszkańców (incolae) i chłopów (habitati (3), ascripticii, glebae adscripti (4), albo homines).

Wojewoda (dux belli) przemienił się później w Landeshauptmanna, urzędnika ziemskiego, któryto urząd przetrwał mianowicie w Szlązku austryackim do ostatnich czasów.

Pierwiastkowo byli zapewne kasztelani i starostowie, *comites Castellani* i *comites capitanei* i *Burggravii* jedni i ci sami (5). Bylito szlachta (nobiles, milites), która do służby wojskowéj obowiązana, ziemię jako wolną własność posiadała, a która różniła się wielce od szlachty Zachodu, do któréj inne znaczenie przywiązane było. Szlachta ta, zachowywała z dawnego spólnictwa rodowego wyniesioną równość wszystkich wolnych, że zaś na Szlązku w ciągu XIIIgo wieku zmieniła się w skutek zaprowadzonego lennictwa, wynika z saméj natury rzeczy. W tymże wieku włodarz (włodarius) oznaczał na Szlązku starostę.

W drugiéj połowie XIIgo wieku, osobliwie od tego czasu, w którym synowie Władysławowi objęli Szlązko, poczynają się liczne osiedlenia niemieckie na całém podgórzu Szumaw i Korknoszów, i trwają aż do połowy XVgo wieku, gdyż podgórze to, lasami pokryte, było zupełnie niezamieszkałe. Ztąd poszło, że Szlązacy zamieszkujący tylko równie, ujrzeli się w ciągu wieków otoczonemi zewsząd od Niemców.

Przyczyna tego była następna. Władysław wtóry, po wypędzeniu swojém z Polski został w Niemczech przyjaźnie przyjęty. Synowie jego, dzieci z matki Niemki, w Niemczech wychowani, przypuszczeni zostali jedynie za energicznem wstawieniem się cesarza Fryderyka Barbarossy do dzierżaw szlązkich, a w posiadaniu tych utrzymywał ich wpływ niemiecki; to wszystko sprawiło, że powiązani interesem własnym z Niemcami, przechylili się zupełnie na stronę germańskiéj cywilizacyi. Związki małżeńskie z niemieckiemi dworami książąt szlązkich utwierdzały ten stosunek, a przedewszystkiém

(1) Sommersberg w dyplomacie z r. 1310. T. I, str. 875.
(2) Sommersberg T. I, str. 804—805.
(3) Sommersberg T. I, str. 881.
(4) Sommersberg w dyplomie z r. 1331, T. I, str. 874.
(5) Bandtkie: Ueber die gräfliche Würde in Schlesien. Breslau, 1810.

wystąpił kościół, który łącząc po piérwszy raz zachodnich Słowian z zachodnim światem, i związek ten utrzymując, piérwszy począł zakładać osady niemieckie (mansos franconicos et gallicos).

Klasztory od książąt uposażone, wyjęte zpod prawa książęcego, polskiego, sprowadzały ku lepszéj uprawie ziemi niemieckich osadników. Od r. 1175 (1), w którym Bolesław Iszy Długi książę ślezkie, zakładając klasztor Leubus (coenobium Leubucinum) dla Cystersów, o czém najdawniejszy dyplom nam znany wspomina, uwalnia osadników w dobrach klasztornych na zawsze od wszelkich ciężarów prawa polskiego; od tego czasu poczynają się coraz liczniejsze napływy osadników niemieckich, którym książęta wielkie okazują względy. Gdyż nietylko że ich do uprawy ziemi ściągają, ale oddają im nawet miasta, albo pozwalają im nowe (Novifora) budować, aby tym sposobem pomnożyć dochody swoje.

Kolonizacya ta rozszerzała się na całe Szlązko; jakoż w r. 1222 pozwala Mieczysław książę opolskie biskupowi wrocławskiemu założyć w Ujeździe (Ujest) niemiecką osadę; r. 1225 daje osadnikom w okolicy Koźla te same prawa, które Niemcy we wsi Beli już dawniéj dzierżyli. Adwokacyą krajową w ziemi zatorskiéj sprzedaje Mieczysław IIIci książę cieszyńskie Arnoldowi kapelanowi roku 1292 (2), oraz wolność założenia miasta, wraz z prawami, które zwykle w takim razie udzielano, t. j. na prawie teutońskiém.

Także bardzo często wyrabiali sobie u książąt ludzie prywatni nadania na pewne, jeszcze niewykarczowane okolice i zakładali tam osady na prawie niemieckiém. Również wsi rządzące się prawem polskiém, i szlachta, idąc za przykładem duchowieństwa, dopraszały się zamiany prawa polskiego na prawo niemieckie, co się ciągło od końca XIIgo do końca XIVgo (3) a początku XVgo wieku.

Władza sądowa, razem z prawem miecza (jus capitis et manus) przechodziła także tym samym sposobem z rąk książęcych do klaszto-

(1) W Büsching'u: Urkunden des Klosters Leubus, str. 1, jest rok fundacyi podany 1175. Gdy tymczasem dyplom z r. 1178, w zbiorze Sommersberga t. I, str. 894 zamieszczony, uważa Roeppel: *Geschichte Polens* str. 185 w przypisku 18 za nieprawdziwy. W dyplomacie tym są wszystkie stosunki z nadzwyczajną, owemu wiekowi niezwykłą dokładnością, opisane.

(2) Sommersberg T. III.

(3) W Pamiętniku sandomierskim Warsz. 1820. T. I, str. 414 znajduje się dyplomat książęcia Przemysława cieszyńskiego z r. 1374, dozwalający właścicielom wsi Mirzowie rządzenia się prawem niemieckiém.

rów i prywatnych, w których ręku nazwała się *advocatio provincialis* albo *Landfoytye* (1).

Klasztory i prywatni oddawali władzę sądową w ręce sołtysów, *scultetorum*, z zastrzeżeniem odwołania się do wyroku swojego. Sołtys (scultetus) w właściwém znaczeniu prawa saskiego jest ten, któremu oddano sąd we wsi (in villa), a jest przełożony wieśniakom. Bywa on także w prawie niemieckiém nazywany niższym sędzią (pedaneus), bez którego nie obejdzie się w zastosowaniu prawo saskie. Adwokacyą ziemską, Landfoytye (Landvogter) sprawował niekiedy burgrabia, i ztąd adwokatów niekiedy burgrabiami zwano, którzy jako przełożeni sądowi, wyrokowali wspólnie z sołtysami (cum scultetis).

Sołtysi bywali nietylko niższego, ale także rycerskiego stanu, a nawet panowie (barones) bywali *advocati et scultеti*, z których niektórzy dzierżyli wsie w całości, inni częściowo z pewną liczbą poddanych (subditorum), do czego także należały sklepy (tabernae) i młyny. W nadaniach książęcych na osady zwykle uwolnieni są *scultеti* od służby wojskowéj za granicą, jednak w obronie kraju własnego stanąć byli winni konno (sculteti equites) (2). Kiedy tymczasem w Polsce wyjmując dobra klasztorne zpod jurysdykcyi swojéj książęta i królowie, nigdy scultetów nie uwalniali od służby wojskowéj za granicą, a statut wiślicki r. 1368 wyraźnie powiada, że *sculteti* z dóbr kościelnych obowiązani są służyć wojskowo za granicą. Również w tymże statucie Kazimiérz W. za radą baronów zawarował mnożenie się scultetów, gdy tymczasem w Szlązku miało się przeciwnie. Wyjątkowo tylko Kazimiérz W. uwolnił scultetów opactwa tynieckiego od pospolitego ruszenia (3).

Była także klassa czynszowników, *emphythеuti* (4), którzy lasy, w dobrach obcych położone, wytrzebiwszy, albo ziemię nieurodzajną uprawiwszy, z gruntów takich pożytek dla siebie ciągli za opłatą (sub sexto censu).

Dyplomata XII i XIII wieku nazywają włościan w odróżnieniu od szlachty ogólnie *ignobiles*, a to pod nazwami: *homines*, *incolae*, *coloni*, *rustici*. Pomiędzy temi odróżniają znowu włościan na

(1) Sommersberg T. I, 934.
(2) Sommersberg T. I, 894.
(3) Szczygielski: Tinecia, seu Historia monasterii Tyniecensis ordinis S. Benedicti. Cracoviae ex off. Schedelliana, 1668.
(4) Sommersberg T. I, 874.

liberi i *ascripticii*, *obnoxii*, a z początkiem XIVgo wieku (1) *ad glebam adscripti*. *Homines liberi* dają się o tyle tylko dokładnie oznaczyć, że ci włościanie nie występują nigdzie jako rzeczowo wolni właściciele ziemscy.

Powinności scultetów i włościan (sive incolae, coloni sint, seu judices, vel scholteti), były bardzo liczne, ale od tych coraz częściéj uwalniali książęta sposobem powyższym. Powinności te były następne: stróża, która we wszystkich dyplomatach prawie zawsze jest wymieniona, a oznaczała (2), naprzód stróżę właściwą, potém pewną summę pieniężną, którą się od téj właściwéj stróży uwalniano, a nakoniec zboże, oddawane gwoli utrzymania załogi w grodach. Budowa i naprawa grodów (3), podwody (vecturae) dostawy bydła (pecorales) i zboża (annonae) czyli sep.

Wymienione są także powinności podejmowania koni, psów, sokołów do łapania ptaków wprawionych, i strzelców książęcych; także strzeżenie bobrów, ludzie zaś tém się trudniący zwani byli bobrownikami (bobrovinci).

Uwalniali także książęta osady niemieckie i dobra duchowne od daniny, niejako dodatkowéj, pomocną zwanéj (4), w znaczeniu zbiorowém używanéj. Jakoż np. opłata w skutek uzyskanego w sądzie wyroku, krom opłaty za wręczenie (wrez) (5) i pozwu (pohonze) dodatkowo dawana, zwała się pomocną, od któréj jednak zwykle nie uwalniano.

W ogóle wszystkie te powinności, obejmowano pod trzema terminami prawnemi, a mianowicie: *turbatio*, która oznaczała wszelkie powinności wsi i miast, ściągające się do osoby książęcia i jego dworu (statio) wraz z wszelkiemi rzeczami do utrzymania tego dworu służącemi (pecoralia). Powtóre *datio*, która oznaczała np. stróżę, i była podatkiem publicznym; nakoniec *contributio* (np. pomocne).

Książęta dawali także osadom (Novoforensibus) pozwolenie zakładania sklepów z mięsem i chlebem, zezwalali na wystawianie

(1) Sommersberg T. I, 874.

(2) Sommersberg. Basco II, str. 25.

(3) Sommersberg T. I, str. 897.

(4) W dyplomacie z r. 1268, w którym Władysław książę opolskie potwierdza wsie (villas), pożytki (proventus) i uwolnienie od ciężarów publicznych (immunitates) opactwu Benedyktynów w Orłowie w zupełności. Szczygielski str. 156.

(5) W dyplomacie z r. 1229 w *Cod. dipl. Morav.* Boczka T. II, str. 211. Wyraz zaś *wrez* nie umié sobie Roeppel wytłumaczyć, str. 319.

młynów i sprowadzanie wody z rzeki do rybników, czasem za pewną opłatą lub bez opłaty. Oddawali także miastom lasy lub dawali wolny wręb do niego.

Włościanie na prawie niemieckiém osiedli, byli obowiązani do służby wojskowéj pieszo.

Taki był w XIII i XIV wieku stan Szlązka, który w ciągu XV wieku przeszedł zupełnie na prawo niemieckie.

Pod koniec piérwszéj połowy XIII wieku zaleli po piérwszy raz powodzią całą Europę wschodnią Tatarzy, zapuszczając aż do Szlązka głęboko zagony pustoszące. Mieczysław cieszyńskie książę, był w bitwie pod Lignicą (1), a niedługo potém r. 1246 (2) zeszedł ze świata bezpotomnie.

Tém prawem stał się tedy Władysław, brat jego młodszy panem Opola, Cieszyna i Oświecimia. Żył on od r. 1251 z żoną swą Eufemią (3) córką Przemysława książęcia poznańskiego w pobożności bożéj; założył klasztor Cystersów w Władysławiu, albo w Rudni nad rzeką Rudą r. 1258, i wyjął go zpod jurysdykcyi książęcéj; także klasztor Dominikanów w Raciborzu. Opactwu Benedyktynów w Orłowie, które matka jego Ludmiła założyła, nadawszy je 29 wsiami, potwierdził prawa i swobody od poprzedników swoich nabyte, oddając wszakże opactwo orłowskie pod jurysdykcyą opactwa tynieckiego r. 1268. Widno więc z téj zawisłości opata orłowskiegó, że stosunki kościelne wtedy jeszcze nie były zerwane z kościołem polskim, chociaż Innocenty IV papiéż, w Lugdunie r. 1246 uwolnił biskupstwo wrocławskie zpod zwierzchnictwa wszelkich innych biskupstw i metropolij.

Tutaj dla wykrycia stanowiska książęcia opolskiego w chwili, w któréj żywotna dla całéj ziemi szlązkiéj toczyła się sprawa, nieodzowną jest rzeczą opuścić dalszy tok wypadków, cofnąć się o kilkanaście lat wstecz, i obejrzéć się na sprawy, w które książęta opolskie, Mieczysław i Władysław, których opiekunem był Henryk wrocławski, czynnie wciągnięte zostały.

(1) Böhme: Diplomatische Beiträge zur Untersuchung schlesischer Rechte und Geschichte. I Theil, str. 5—7.

(2) W dyplomie n Sommersberga T. I, str. 914.

(3) Sommersberg. Basco II, 67 nazywa ją Eusanna, n bezimiennego (Sommersberg str. 84) zowie się Effeya. Długosz nazywa ją Euphemią; przytém powiada, że była w 4tym i 6tym stopniu pokrewna z Władysławem opolskim.

Śmierć Leszka książęcia krakowskiego dała powód Henrykowi książęciu szlązkiemu, do mieszania się w sprawy polskie. Jakoż objąwszy nad Bolesławem, synem Leszka opiekę, zawikłał się w wojnę z Konradem książęciem mazowieckiém, który go roku 1228 pochwyciwszy, w Płocku w więzieniu osadził. Po uwolnieniu swém za pośrednictwem św. Jadwigi matki, zrzekł się Henryk opieki nad Bolesławem, który dopominający się ojcowizny od Konrada, uwięziony, r. 1230 ucieka z Sieciechowa za pomocą Klemensa z Ruszczy, znajduje w Sandomierzu i Zawichoście licznych sprzymierzeńców, przywołuje w pomoc Henryka książęcia wrocławskiego, który już 1230 r. przybrał tytuł książęcia krakowskiego.

Konrad mazowiecki odstąpił pretensyj swoich do ziemi krakowskiéj, a Bolesław, syn Leszka, z wdzięczności za świadczone usługi, odstępuje praw swoich na Krakowskie i na część Sandomierskiego Henrykowi wrocławskiemu, który pisze się stale od r. 1233 w wszystkich dyplomatach: książęciem Szlązka a Krakowa.

Tém prawem tedy urosła najstarsza linia Piastów w przeważną potęgę w osobie Henryka wrocławskiego między polskiemi Piastami. Henryk w posiadaniu całego Szlązka dolnego, ziemi Lebus i ziemi krakowskiéj, równocześnie (od r. 1233) opiekunem synów Kazimierza opolskiego, jął praw swoich wypływających z senioratu, jako do książąt ziemi krakowskiéj przywiązanego, dochodzić.

Jakoż jeszcze w owéj walce z Konradem z Mazowsza, nagodziła mu się sposobność pomnożenia dzierżaw swoich. Po śmierci bowiem Władysława Laskonogiego, który go dziedzicem swym uczynił, prowadził Henryk już od r. 1230 tytuł książęcia polskiego. Władysław Odonicz zostawał jednakże w niezaprzeczoném posiadaniu ziemi téj, gdyż Henryk toczył natenczas wojnę z Konradem z Mazowsza o ziemię krakowską; chcąc zaś pewną podporę znaléźć w duchowieństwie, uwolnił biskupstwo poznańskie od wszelkich ciężarów. Wszakże szlachta, widząc w tém pomnożenie własnych ciężarów, wezwała Henryka wrocławskiego do rządów, w co kościół włożywszy się, nietylko że Henryka do uznania Władysława Odonicza, ale nawet do strzeżenia praw jego przyniewolił.

Niedługo wszakże trwali książęta w pokoju, albowiem z jednéj strony Konrad chciał pozyskać krakowską i sandomierską ziemię, z drugiéj zaś Henryk wrocławski pragnął posiąść ziemię

wielkopolską. Piérwsza walka z Konradem mazowieckim skończyła się korzystnie dla Henryka r. 1234, w drugiéj także wyszedł zwycięzko z Władysławem Odoniczem. W walce téj sprzymierzony Henryk z Mieczysławem i Władysławem, opolskiemi książęty, wziął Kalisz, Pyzdry, Środę i Szrem.

Stanął wreszcie pokój za pośrednictwem Fulkona arcybiskupa gnieźnieńskiego, 22 września 1234 r., mocą którego rzeka Warta miała stanowić kres obustronnego posiadania, a to tak, że wszystką ziemię, która poniżéj Santoku za biegiem Warty legła, miał objąć Henryk; Nakło zaś, Ujście, Czarników, Rudnią i Wieluń miał posiąść Władysław opolski; Szrem zaś, siostrzeniec Henryka wrocławskiego, Bożywój.

Przeciwko téj ugodzie, podając ją jako wymuszoną, protestował Władysław Odonicz do papieża; jednak za życia swego utraconych ziem nie pozyskał. Władysław opolski pozostał w posiadaniu Kalisza i Rudy, a Henryk wrocławski po zejściu swém r. 1238 pozostawił synowi swemu, Henrykowi Pobożnemu, wszystkie zdobyte ziemie, które rozległością swą przewyższały dzierżawy wszystkich innych książąt. Szlązk dolny, nie podła część Wielkopolski, wszystka także krakowska i sandomierska ziemia w jedno posiadanie połączona, mogła była stać się z czasem rdzeniem nowego jednolitego państwa polskiego, kiedy niezadługo po śmierci Henryka Igo nadchodząca od Wschodu ku Polsce nawała wojenna, któréj straszliwe zbliżanie napełniło trwogą wszystek zachodni świat chrześciański, przerwała zupełnie piérwsze początki nowego rozwoju dziejowego łączącego się Szlązka z Polską.

Jakoż przewaga Piastów szlązkich upadła zupełnie po bitwie pod Lignicą, r. 1241, 9 kwietnia, w któréj Henryk Pobożny zginął. Książęta bowiem polscy, po ustąpieniu Mongołów, oczekując do uzyskania utraconych dzierżaw swoich sposobnéj pory, znaleźli ją w osłabionéj potędze książąt szlązkich, którzy obyczajem Piastowskim szlązką i wielkopolską ziemię między siebie podzielili. Książęta polskie bowiem wspierała niechęć szlachty ku Piastom szlązkim, których, jako życiem niemieckiém oddychających, za obcych w Polsce poczytywano.

Ztąd szlachta krakowska, powstająca przeciwko Bolesławowi szlązkiemu, najstarszemu z braci, który także wielkopolską ziemię odziedziczył, przywołała do rządów Bolesława, syna Le-

szkowego; Wielkopolanie zaś oddali rządy synom Władysława Odonicza.

Wprawdzie Bolesław wrocławski starał się r. 1247 i 1248 pozyskać utracone dzierżawy wielkopolskie napowrót, jednak nadzieje jego spełzły na niczém.

Widno tedy, jak rychło przewaga na zwycięztwach Henryka Brodatego ugruntowana, pod następcami jego upadła, gdyż każdy z książąt szlązkich, rządzący niezawiśle od siebie, miał oddzielny swój interes, który popierał; a częste najazdy i wojny, także spory książąt z kościołem sprawiły, że pozbawieni punktu oparcia, ulegli wpływowi obcemu, uczynili się zawisłemi od tego państwa, od którego potęga i władza wówczas wychodziła. Raz tylko otrzymali z położenia swojego między zawichrzoném przez *interregnum* państwem niemieckiém, a wzbijającym się w potęgę Ottokarem czeskim, bo wówczas Polska była w niemocy, otrzymali wypływającą z sytuacyi téj przechodnią wagę i znaczenie, które z upływem i za przemianą chwili téj upadło na zawsze.

Mieli wszakże książęta jeden wspólny interes, a tym interesem było popieranie kolonizacyi niemieckiéj, która po spustoszeniach tatarskich większe przybrała rozmiary. Jakoż od r. 1240 do 1278 uzyskały już prawie wszystkie znaczniejsze miasta szlązkie niemiecką ludność i prawo niemieckie.

Szlązk już w tym okresie został dla Polski stracony w zupełności.

Do zrozumienia stosunku ziemi szlązkiéj do Polski, konieczną jest zatém rzeczą uchwycenie momentu owego, w którym rozwój dziejowy polski zdawał się w nowe wstępować stadium; jednakże organizacyi téj nowéj państwa polskiego, jako ciała narodowego stanęły na zawadzie: nawała Mongołów, opór wewnętrzny narodu, i niemoc i przychylność książąt szlązkich ku cywilizacyi niemieckiéj.

Wracając teraz do dalszego toku naszego historycznego, przechodzimy znów do książąt opolskich.

W owych tedy czasach, kiedy wielkopolscy książęta, a mianowicie Przemysław książę poznański, pozyskał utracone przez ojca Władysława Odonicza dzierżawy napowrót: utracił także Władysław opolski ziemię rudneńską, którą późniéj wieluńskim powiatem nazwano. Stało się to sposobem następnym:

Mieczysław, syn Kazimiérza opolskiego, pojąwszy córkę Konrada księcia mazowieckiego za żonę, któréj 500 grzywien

srébra *ratione donationis propter nuptias* był winien, umierając zobowiązał brata swego Władysława do wypłaty, który miasto téj, chciał gród i powiat rudneński dać Kazimiérzowi księciu kujawskiemu, bratu wdowy, w zastaw. Jednakże Przemysław poznański ubiegł go, gdyż na jego żądanie r. 1249 wydali mu *castrenses* gród (1). Pojednanie zaś nastąpiło r. 1251, w którym Władysław zaślubił Eufemią, córkę Przemysława.

Syn Władysława, Włodzimiérz, wstąpiwszy jako książę oświecimskie do zakonu Benedyktynów w Tyńcu, wieczyście ofiarował zakonowi od ojca swego wsie Łączany, Żorzów i Wolą Radzieszowską (2).

Po zejściu Władysławowém około r. 1283, podzielili się synowie jego: Mieczysław III wziął Raciborz, Kazimiérz II, Bytom, Bolesław I, Opole, a Przemysław I Oświecim (3), i tak powstały nowe księztwa, a mianowicie: Raciborz potém Cieszyn, Bytom, i Opole.

W Polsce po śmierci Leszka Czarnego (r. 1288, 30 września) przywołały miasta niemieckie, Kraków i inne Henryka IV książęcia wrocławskiego, który z powodu związków swych z Czechami i państwem niemieckiém, odpowiadał wielu ich oczekiwaniom, do rządów ziemi krakowskiéj; jednak śmierć jego r. 1293 23go czerwca w Wrocławiu i ciągłe wojny Władysława Łokietka stając połączeniu temu na zawadzie, przywołały potężniejszego króla czeskiego Wacława II do rządów.

W owych więc czasach, w których wewnętrzne rozterki i ciągłe niepokoje wstrząsały Polską, uprzykrzywszy sobie książęta opolskie stan ten niepewny, oddali się w opiekę i lenność Wacławowi II czeskiemu; a naprzód r. 1289 uznał Kazimiérz II opolskie książę króla czeskiego panem lennym swoim (4); w roku zaś 1291, 17 lutego hołdowali bracia: Kazimiérz opolski, Mieczysław cieszyński i Bolesław w Ołomuńcu królowi czeskiemu, który odebrał także w wyprawie swéj do Krakowa, w Opolu hołd osobisty tychże książąt i Przemysława raciborskiego.

Mieczysław III odstąpił księztwo raciborskie Przemysławowi, a wziął księztwo cieszyńskie, które nas odtąd jako kraj, do

(1) Sommersberg. Basco T. I, str. 63.
(2) Szczygielski: Tinecia str. 255.
(3) Stenzel T. I, str. 23 (4) Sommersberg T. I, str. 881.

którego odnosiły się zatorskie i oświecimskie ziemie, jedynie obchodzić będzie.

R. 1292 nadał Arnoldowi kapelanowi wolność założenia w Zatorze miasta na prawie niemieckiém (1). Jakoż dopiéro od tego czasu Zator, jako miasto, wzmiankowane bywa. Umarł on r. 1295, zostawiwszy pięknéj urody córkę Wiołę, którą Wacław III król czeski r. 1305 pojął za małżonkę (2).

Księztwo cieszyńskie odziedziczył Kazimiérz II, odstąpiwszy Oświecim synowi swemu Janowi, scholastykowi kapituły krakowskiéj, który uczynił zapis, aby scholastycy dziesięcinę z Oświecima pobiérali. Uposażył on także probostwo w Oświecimie nadaniem wieczystém wsi Włosiennicy, którą ciągle scholastyk z Krakowa wikaryuszem opatrować dawał.

Kazimiérz II umarł r. 1300 i zostawił z piérwszego małżeństwa trzech synów: Bolesława i Władysława, hołdowników czeskich, i Mieczysława, kawalera Mieczowego; z drugiego zaś małżeństwa Kazimiérza i Ziemowita.

W dziale swym otrzymał Kazimiérz III Cieszyn, Skoczów i Ostrowę aż po rzekę Białą, uznawszy Jana króla czeskiego, r. 1327 (3), lennym panem swoim, który mu także Oświecim, po śmierci wuja, Jana z Oświecima, scholastyka, objąć dozwolił; albowiem scholastyk oddał oświecimskie księztwo, z zatorskim grodem, z miastami (civitatis) Lant, Żypsa (Żywiec), Wadowicz i Spinowice, *cum oppidanis, Villis, Vasallis ac militibus*, roku 1327 (4) królowi czeskiemu w lenność.

Widno tedy z téj zawisłości książąt szlązkich ich stosunek do Czech. Początkiem tego był Przemysław Ottokar król czeski.

Tutaj dla wyjaśnienia tego stosunku wypada znowu cofnąć się wstecz o połowę wieku i pochwycić wątek dziejów ogólnych szlązkich w tym czasie, w którym połączenie ziemi ślezkiéj z Polską poczęte, do skutku nie doszło, a w którym książęta szlązkie z położenia swojego otrzymują wagę i znaczenie przechodnie.

Po zejściu Henryka II pod Lignicą r. 1241, w piérwszym dziale otrzymał Bolesław krom wielkopolskich i krakowskich ziem,

(1) Sommersberg T. III.

(2) Gebhardi Ludewig Albr. Genealogische Geschichte der erblichen Reichsstände in Deutschland. Halle 1776. T. III, str. 183.

(3) Sommersberg T. I, str. 804—805.

(4) Sommersberg T. I, str. 807.

wrocławskie; Henryk Lignicę z Głogową, a Mieczysław dostąpił ziemię Lubusz. Dwóch zaś braci: Konrada i Władysława arcybiskupa salcburskiego mieli później przypuścić do dziedzictwa.

Przychylność ku Niemcom pozbawiła Bolesława wrocławskiego ziem krakowskich i wielkopolskich, tak, że od r. 1248 praw swoich dochodzić zaprzestał, a ziemię wrocławską po zejściu bezpotomnie Mieczysława, po którym Lubusz na niego przeszedł, zamienił z Henrykiem III na ziemię głogowską i lignicką.

Nieprzypuszczony do dziedzictwa Konrad roznosił od r. 1248 do 1250 wojnę między szlązkiemi książęty, szukającemi w Niemczech pomocy, a wielkopolskim Przemysławem, którego wezwał Konrad na pomoc. Poczém w następnym roku stanął pokój, w którym Konrad ziemię głogowską uzyskał.

W wojnie téj utraca z jednéj strony Bolesław lignicki ziemię lubuską, która przeszła niepowrotnie dla Polski do dzierżaw Brandeburgów, na pierwotnie słowiańskiéj ziemi zdobytych, które zniemczały z czasem zupełnie (1); z drugiéj zaś strony oddaje Henryk III wrocławski, Henrykowi książęciu miśnieńskiemu Szydłów nad Odrą, który odtąd przy Luzacyi zostaje.

Niedługo wszakże trwali książęta w pokoju, gdyż od r. 1254 ponowiły się znowu zatargi wzajemne, a wojny i napady trwały po krótkich przerwach nieustannie do 1276 r., w którym uwięzienie Henryka wrocławskiego przez Bolesława dało powód Przemysławowi Ottokarowi do pogodzenia książąt szlązkich.

Spustoszenia dóbr i liczne nadwerężenia praw kościoła sprowadziły na Bolesława wrocławskiego i Konrada głogowskiego exkommunikacyą, w któréj kilkakrotnie zostawali. Gwałt na osobie Tomasza biskupa wrocławskiego przez Bolesława r. 1256 popełniony, dał powód arcybiskupowi gnieźnieńskiemu do wyklęcia go. Dopiéro na dniu 22 grudnia 1261, otrzymał od Jana arcybiskupa gnieźnieńskiego obsolucyą, jednakże r. 1267 zostawał znów w interdykcie.

Tymczasem (około r. 1273) Konrad głogowski skonał, a synowie jego podzielili się ojcowizną tém prawem, że Henryk głogowską ziemię, Przemysław stynawską, a Konrad sagańską posiadł.

Krosno zaś przeszłe jeszcze dawniéj do Konrada arcybiskupa magdeburskiego, wykupił Henryk IV, który r. 1270 po

(1) Wohlbrück, Geschichte des Bisthums Lebus T. I, str. 32.

zejściu ojca w Wrocławiu rządy objąwszy, także dzierżawę Władysława arcybiskupa salcburskiego posiadł. Bolesław lignicki, Łysym nazwany, na leciech zeszły, ale zawsze wichrzący, z niespokojnością pogląda na wzrastającą potęgę wrocławskiego książęcia, którego zdradą pochwyciwszy, w nadziei znacznego okupu, w więzieniu osadził; w co jednak sąsiednie książęta: Bolesław wielkopolski, Głogowianie i Wrocławianie, nareszcie potężny sąsiedni król Przemysław Ottokar włożywszy się, rychło Henryka uwolnili.

W Czechach bowiem od r. 1253 panujący król Przemysław Ottokar, objąwszy Austryą, a roku 1260 Styryą, postawił Czechy na najwyższym szczycie potęgi i świetności. Nie chcąc jednak roku 1273 uznać cesarzem niemieckim Rudolfa habsburskiego, ściągnął na siebie wojnę, w któréj ziemie austryackie utraciwszy, wszedł z Rudolfem cesarzem w ugodę, i wziął od niego Czechy i Morawę w lenność. Do ugody téj wezwał także Rudolf r. 1276 Henryka IV książęcia wrocławskiego (1).

Wszakże Przemysław Ottokar uwodził się nadzieją pozyskania utraconych ziem austryackich napowrót, co, gdy właśnie w tym czasie nastąpiło, w którym Henryk IV wrocławski uwięziony został, nie obojętną było ztąd rzeczą dla Przemysława czeskiego, książąt szlązkich, których już Rudolf cesarz pozyskać się starał, do zgody przywieść i ku sobie nakłonić.

Powodowany był w tém, krom interesu własnego także związkami krwi, gdyż Henryka IIIgo babka, była ciotką Przemysławową. Więc niedługo po uwięzieniu Henrykowem, wstawia się u Bolesława Łysego za Henrykiem, a nie wskórawszy tém nic, zabezpiecza Bolesławowi Łysemu i synowi jego Henrykowi książęciu jaworskiemu, listem żelaznym wolny przejazd do Gracu, albo gdziekolwiek indziéj, gwoli ułożenia warunków względem uwolnienia Henryka. Stanęła nakoniec ugoda, w któréj Henryk, niektóre ziemie Bolesławowi odstąpiwszy, wolność uzyskał.

W tym tedy czasie między Ottokarem a cesarzem niemieckim wybuchła wojna, w któréj król czeski ubiegał się o przymierze z książęty szlązkiemi, wzywając ich jako pokrewnych sobie, a po raz ostatni, jako książąt polskich, aby z panami, szlachtą, i wszystkim narodem w pomoc wspólnéj sprawie przychodzili.

(1) Stencel: Scriptores rerum Silesiacarum T. II, str. 473.

Przypomina im wspólność krwi: jako Czechy i Polska jednego są rodu, jednego języka; także o tém nie zapomina, że on, Ottokar, jest tarczą Szlązka, że klęska przez niego poniesiona, da powód nienasyconéj żądzy Teutonów zagrabienia ziem szlązkich (1).

Jakoż usłuchali głosu, książęta: Henryk IVty wrocławski, Henryk głogowski, i Władysław opolski, któremu już około r. 1270 odjął był Ottokar Opawę, oddając ją synowi swemu naturalnemu Mikołajowi.

Na polu morawskiém rozstrzygła się r. 1278, 26 sierpnia walka, a zwycięztwo utorowało Niemcom drogę do władzy w tych krajach. Henryk IVty wrocławski zawarł wcześnie przymierze z cesarzem Rudolfem, i wstąpił późniéj, piérwszy z ślezkich książąt, zrywając faktycznie z Polską, w ściślejszy związek z cesarstwem.

Książęta szlązcy byli wówczas następni: Henryk IVty wrocławski, Henryk lignicki i Bolesław świdnicki, synowie Bolesława Łysego; Henryk głogowski, Przemysław stynawski i Konrad zagański, synowie Konrada: i Władysław opolski, którego następcy Mieczysław IIIci, Kazimiérz IIgi i IIIci, książęta cieszyńscy i Jan z Oświecima scholastyk krakowski hołdują Wacławowi IImu i IImu, także Janowi luxenburgskiemu, królom czeskim.

Familia bowiem starodrzewnych Przemysławów, owych Piastów czeskich, gaśnie r. 1306 z Wacławem IIIcim królem, który dobijał się z Władysławem Łokietkiem korony w Polsce.

Po nim nastaje Jan luxenburgski r. 1311, który uznany r. 1327 od Henryka książęcia wrocławskiego i Szlązka, za pana lennego, zrzekł się w zamian ustąpienia Szlązka przez Kazimiérza W., wszystkich pretensyj i tytułu do korony polskiéj r. 1335 (2). Zdaje się jednakże, że zezwolenie zupełne Kazimiérza W. nastąpiło dopiéro po r. 1340 (3). Jakoż król Jan używał do r. 1335 tytułu: *Dei Gratia Bohemie ac Polonie Rex et Luceburgensis Comes* (4); od r. 1335 do r. 1340, *D. G. Bohemie Rex et Lu-*

(1) Stencel: S. R. S. T. II, str. 479—480. Cod. epistl.

(2) Sommersberg T. I, str. 774 w dyplomie z r. 1335 w Tenczynie, gdzie pełnomocnicy przyrzekają zezwolenie Kazimierza W. Tak w tym, jak w następnych dyplomatach, gdyż Kazimiérz W. zrzeka się jeszcze r. 1356 Świdnicy i Jaworu, wymienieni są: *duces Ossvicenses.*

(3) Sommersberg T. I, str. 775.

(4) Gebhardi Lud. Albr. Genealogische Geschichte T. II, str. 120.

cemburgensis Comes, a potém: *Dux Zlezie et dominus Vratislaviensis*, albo *Obrister Fürst zu Slezie und Herre zu Breslaw*. Następca jego Karol IVty połączył wszystkie dzierżawy książąt szlązkich z czeską koroną r. 1355 (1).

Herb Szlązka, jaki prowadzili królowie czescy z domu luxenburgskiego, a po nich dom austryacki, jest czarny orzeł w złotém polu, niekoronowany, z krzyżem na piersiach, od końca którego ciągnie się półksiężyc, przechodząc po obu stronach w liść koniczyny (2).

Herb ten znajduje się już na grobie Bolesława książęcia szlązkiego z r. 1201 w Wrocławiu. Wszakże zdaje się, że nie używał sam tego herbu, ale następcy jego, bo na pieniądzach Bolesławowych nic nie znachodzimy.

Herbu tego używali wszyscy książęta na Szlązku, zmieniając barwę orła i tarczy, jak książęta cieszyńskie i raciborskie. Prusy po objęciu Szlązka, używali, jako herb Szlązka, orła koronowanego, występując w oppozycyi przeciwko Austryi, a niszcząc, jak wszędzie, tak tu, grunt historyczny.

Podawszy stosunek do Polski i Czech wszystkiéj ziemi szlązkiéj z szczególnym względem na książęta opolskie i cieszyńskie, a wykazawszy, jak w ciągu dziejów przeszło Szlązko do Czech; wypada zwrócić się teraz znowu napowrót do jednéj tylko części Szlązka, a zamknąwszy się w tém ciasném kole, baczyć na rozwój historyczny małéj krainy oświecimskiéj.

(1) Sommersberg T. I, str. 776.
(2) Gebhardi: Genealogie T. II, Tabl. II.

(Dokończenie nastąpi).

WIEJSKIE ZARYSY.

przez

Jana Kantego Gregorowicza.

(Ciąg dalszy).

VI.

Swaty.

„Dobrze radzi, kto ludzi nie wadzi."
„Każdy przed ożenieniem powinien trzy lata szaleć."
Przyp. pol. *Salomona Rysińskiego.*

Napozór czas na wsi nadzwyczaj jednostajnie upływa w części tak dla ziemian, jak i ciężko pracujących włościan. W dzień powszedni od wschodu słońca aż do nocy, a nawet i w nocy czasami praca bez końca; w święto do południa nabożeństwo w kościele, potém wzajemne nawiedzania się lub zabawa w karczmie, i tak ciągle dzień dniowi podobny, jak bracia bliźniacy, jak kłosy zboża między sobą, jak liść liściowi, któremi Bóg z wiosną milionami każde drzewo okrywa.

Czasem tylko, szczególniéj w zapusty, przemknie się przez wieś po skrzypiącym śniegu z wrzaskiem, ze śpiewem i z muzyką wesele chłopskie lub szereg pańskich sani z dziarskim, wesołym kuligiem; wtenczas włościanie z ciekawością przypatrując się zabawie swoich panów, rzecze jeden do drugiego: „Oj ta szlachta, to różne ma wymysły; ale ciarachom ładno jakoś po chłopsku", albo zadźwięczy w kniei trąbka myśliwska, wtorowana hukiem strzałów marsowéj drużyny.

Pozorna ta jednostajność nie staje się jednak nudą, jakby może myślał niejeden z wychowańców miast wielkich, znających wioskę tylko z książek i z poezyi: bo przy pracy czyż się można nudzić? A pracować trzeba, choćby kto nie chciał, gdyż czas błogiego próżniactwa już minął bezpowrotnie, i każdy rolnik czyto głową, czy ręką musi szczerze pracować, żeby dla siebie lub dzieci zapewnić jakie takie utrzymanie.

Dlatego we dwa tygodnie po opowiedzianych wypadkach nic się nie odmieniło we wsi Świątnikach: ta sama cisza, ten sam spokój unosił się nad jéj mieszkańcami, tylko żyto lepiéj dojrzało i wołało prawie sierpa, i sady okalające chałupy poczęły się rumienić dojrzewającym owocem. Słońce już większe pół drogi przebiegło od południa do zachodu, i wisząc majestatycznie nad poziomem, nie z takim żarem słało promienie na ziemię, wyglądającą z upragnieniem chłodu i rosy wieczornéj.

Stary Sierpień w modréj swéj czapce, w świéżéj koszuli na białą kostkę spiętéj u szyi, siedział na ławie przed chałupą i kruszył w ręku kłosy żytne, chcąc się zapewne przekonać, czy już dojrzały i jak prędko żniwa rozpocząć wypadnie. Obok niego leżał gruby kij wiśniowy z rzemykiem przez dziurkę przewleczonym, a pot grubemi kroplami spadający z czoła świadczył o powrocie Wojciecha z pola, gdzie robił obgląd połanków, pokrytych jarém i ozimém zbożem.

Wykruszywszy kilka kłosów dmuchnął, aby plewy z wiatrem uleciały i ziarn parę zgniotłszy paznogciem, resztę wsypał w usta, bo to grzéch dar Boski na marność wyrzucać.

Wtém drzwi od sieni skrzypnęły i pokazała się Basia niosąc w jednym ręku dzbanek z wodą, a w drugim wieczorne pożywienie dla drobiu, który na jéj głos donośny, ze wszystkich stron, zza płotów, chlewów i obory z krzykiem na wyścigi, wachlując skrzydłami, biegł do znanéj im tak dobrze karmicielki. I niedługo pstrokata rzesza, ruchliwa jak gładka woda jeziora, gdy podmuch wiatru marszczy jéj powierzchnią pędząc kręgi za kręgami, taktowym stukiem dziobów dowodziła, z jakim smakiem i żarłocznością pożéra hojną ręką sypane jadło.

Wojciech z pewnym rodzajem zadowolenia patrzał na nadobną dziewoję, która cała w bieli, ze świeżemi kwiatkami georginii na głowie, kręciła się jak fruczka między różnobarwnym drobiem dokoła ją otaczającym, rozbrajając powaśnionych, gdy o kęs mały lub jedno ziarnko zabiérali się do zaciętéj walki.

Uśmiéch igrał na twarzy Basi, a smutku, jakiego należało się spodziewać, zupełnie nie było widać; owszem przeciwnie, oczy zdawały się błyszczéć radością, a pewna staranność w stroju, która nawet i Sierpnia uderzyła, najlepiéj świadczyły, że tam i w duszy i w serduszku nie ma żadnego frasunku, kiedy tak o powierzchowności nie zapomniano.

Czyżby Basia zapomniała już Janka? Kto to wié, może i zapomniała, bo:

Białogłowy na to się ćwiczyły,
Aby nas za nos prostaki wodziły;
A co komu rzecze białogłowa,
Pisz jéj na wietrze i na wodzie słowa (1).

Gdy Basia resztę wysypała jedzenia, przysunęła się do małego korytka, wylała znajdującą się w niém wodę i poczęła go napełniać świeżą w dzbanku przyniesioną.

— Cóżto Baśka — odezwał się Sierpień—takeś się pod wieczór wystroiła?

— Ja się wystroiła?—niby zdziwiona odpowiedziała dziewoja wzruszając ramionami, a jednak mimowoli cała oblewając się rumieńcem.—Ej! zdaje się wam, i pocóż miałabym się stroić?

— No tak, zwyczajnie, jak to wy młode, żeby zawdy ładno lasć w ludzkie oczy; a może jakie granie będzie w karczmie, to....

— Choćby było, mój tatusiu—przerwała Basia z powagą, dziwnie odbijającą na jéj młodéj buzi—tota już moja noga nie postanie, kiedy wam tak wadzi moja zabawa z ludźmi.

— Nie zabawa z ludźmi, moje dziecko—odpowiedział Wojciech kładąc czapkę z głowy obok siebie na ławie—bo jak święta nie ma bez nabożeństwa, tak i młodości bez tańca i zabawy; ale mi wadzi obmówisko ludzkie, kiedy sama po próżnicy poczynasz se tak, że ludzie mają o czém gadać.

Uśmiéch buzi i cała pogoda oblicza Basi na te słowa Wojciecha uleciały jak ptaszek spłoszony; a chcąc rozmowę skierować na inny przedmiot, bo widać, że weszła na tór nie nader dla niéj miły, po małéj pauzie milczenia odezwała się:

— Czy jutro wyprawicie parobka do lasu? boby trzeba mu co przyszykować na drogę.

(1) Kochanowski.

Stary Sierpień nic nie odpowiedział, tak cały utonął w dumaniu. Basia badawczo spojrzała na ojca, który jakby do siebie półgłosem mówił:

— Dobry, poczciwy chłopak, uszanował stare lata, i chociem już prawie rękę na niego podniósł, a jednak mi opadła. Bóg inaczéj wynagrodzi ci twoję potulność, ino niech cię zasłoni od Ziemby, choć on niby pragnący na ciebie: bo cóż ja mogę grzeszny człowiek? Żeby nie te *turbacyje*, co człek ma na głowie, tobym mu nie pożałował rodzonéj *krwie* z palca; ale te *turbacyje*, oj! *turbacyje!*

Basia przy końcu słów tych weszła do chałupy, a wkrótce za nią poszedł i Wojciech; ale jakże się zdziwił, kiedy ujrzał izbę świeżo zamiecioną, wysypaną w kawałki pociętym tatarakiem, którego długie kity maiły oba okna.

Łóżko Basi i ojca okrywały świeże prześcieradła, na kominie ślicznie umieciono, a dwa garnuszki astrów pomieszanych z georginiami, wyglądały przez szyby na dwór, jakby im tęskno było do słońca, do rosy i do ogródka, który ich wypiastował i w ładne odziawszy sukienki, kazał służyć ich krasnéj i młodéj ogrodniczce.

Stary Sierpień zobaczywszy to wszystko, zatrzymał się przy samym progu, spojrzał jeszcze raz po całéj izbie, rzucił potém okiem na Basię, i poruszywszy z zadziwieniem głową, nic nie mówiąc, usiadł na krześle przy stoliku.

Basia choć ukradkiem dobrze uważała wszystkie poruszenia ojca, i czy od niechcenia, czy umyślnie, żeby nie wydać powodów tak niezwykłego o téj porze ustrojenia izby, nucąc półgłosem przewracała w skrzynce, w owym składzie wszystkich strojów wiejskiéj dziewoi.

Nareszcie po małéj chwili milczenia stary Sierpień odezwał się:

— Czy się zalotów moje dziecko jakich spodziewasz? czy na obznajminy ma kto zajechać, coś tak w izbie wszystko umaiła? Ha! głodnemu chléb na myśli, a dziewusze wianek, co go dźwiga na głowie: to i nie dziwota, żebyś się od starego ojca rada wyrwać między ludzi. Wola Boska, moje dziecko, a i staremu przy téj *okazyi* błogoby było wyskakać się na weselisku.

— E, mój tatusiu — odezwała się Basia wykręcając się do ojca plecami—niech was o to głowa nie boli, bo ja nie pragnąca wesela, i nie wydzieram się między ludzi; i jakem rzekła, że już

was *bez* całe życie nie odstąpię, tak nie odstąpię; chyba, żem się wam naprzykrzyła i sami mnie z doma wygnacie.

— No, Bóg ci zapłać moje dziecko za twoję poczciwość — mówił z czułością Sierpień—aleć zawdy tak być nie może, i przecież na dziéwkostwie się nie postarzejesz?

— O! postarzeję się, mój tatusiu — odrzekła z pośpiechem Basia — a was już nie opuszczę; a cóż wybyście bezemnie poradzili?

— No, no, będzie tak, jak Bóg da. Ale powiédz mi moje dziecko, z jakiéjto *okazyi* i tyś się tak ładno ocharużyła, i w izbie nikiéj na Świątki, i w oknach i wis i kwiatki? No, no, przeciećto już słońce ino co ma się schować, to nikt nie nadejdzie.

Basi strasznie widać było nie na rękę odpowiadać na zrobione pytanie; aż biédaczka uklękła przy kufrze, co tak czegoś zawzięcie szukała, czy téż udawała że szuka, i tak w nim szeleściła i przewracała rzeczami, jakby chciała zagłuszyć słowa ojca i tym sposobem chociaż troszkę przewlec wyjaśnienie, które jeszcze nie chciała na jaw wykrywać. Prostując się więc cokolwiek, zapytała ojca:

— Co mówicie tatusiu?

Sierpień już nie zdążył drugi raz powtórzyć pytanie, bo z wielką radością Basi, pies na podwórzu zaszczekał, dając znać, że jakiś obcy się przybliża. Ojciec i córka z ciekawością ku oknu zwrócili głowy, a gdy pies ujadać nie przestawał, Wojciech mrucząc wyszedł z izby.

Nowoprzybyły był znany nam Andrzéj Łaza. Zobaczywszy Sierpnia wychodzącego z izby, zaraz się odezwał:

— A zawołajcież kumie tego szczekacza, bo żeby nie kij co mu się oganiam, toby mi się kamizelska dobrze naoporządzał.

— Cicho Burek, cicho!—odezwał się Wojciech karcącym do psa głosem — to przyjaciel, to swój, to po próżnicy nie drzyj se pyska; ot tam szczekaj na tego wilka w baraniéj skórze, co *hajnok* chodzi po polu.—Mówiąc to Sierpień, głową wskazywał na pole zasłane kołyszącém się zbożem, po którém o paręset kroków drożyną szedł przygarbiony Ziemba, podpierając się laską sakłakową, nabijaną w każdym sęczku mosiężnemi gożdzikami.

Gdy Sierpień z Łazą przywitawszy się zaczęli wchodzić do izby, Ziemba jak bocian wyciągnął szyję, z pilnością śledząc każdy ruch dwóch starców, jakby pragnął dosłyszéć rozmowy, którą między sobą prowadzili. Niedługo gość i gospodarz weszli do izby;

Ziemba przybrał dawną przygarbioną postawę i szepnął do siebie, głową ku zbożu zwrócony, niby przypatrując się z największą starannością, gdy oczami nie przestawał szpiegować całego podwórza Sierpnia:—To baba widać prawdę powiedziała; ciekawym jak się uda.— I zadumany, tu patrząc a tam wszystko widząc, wolno, z przestankami ciągle wlókł się drożyną.

Słońce tymczasem coraz się więcéj zniżało ku ziemi; wszystko zdawało się zapowiadać najpiękniejszą pogodę, bo i żadna chmurka nie czerniła się na niebie, i ptaszyny zawczasu szukały noclegu między drzew gałęziami. Wczesna obfita rosa, ta najpewniejsza przepowiednia pogody, jakąś świeżością, jakby zapachem balsamicznym napełniała całe powietrze, a ryk zbliżającego się bydła z paszy, między którém przesuwały się beczące gromadki owiec burych i czarnych, łącząc się z wołaniem gospodyń na drób' i trzodę, po całéj wsi rozlegającém się, w jednéj chwili owę tak poważną ciszę świąteczną, przemienił na hałaśliwą wrzawę, którą zdala pola i łąki zdawały się przedrzéźniać chóralném żab rechotaniem.

Wtém Ziemba obejrzał się poza siebie, słysząc turkot zbliżającéj się bryczki, cofnął się cokolwiek w zboże, żeby zrobić wolny przejazd, i oparty na kiju, z ręką w zanadrzu, oczekiwał nowoprzybywającego.

Było pan Józef w wołoszce z niebieskiego płótna obszytéj zielonemi sznurkami, i w kapeluszu słomianym z obszerném rondem, podbitém zieloną podszewką, od którego cień zasłaniał mu całą twarz ogorzałą, a przyozdobioną siwym, krótko podciętym wąsem.

Jak Ziemba zrównał się z panem Józefem, uchylił czapki, chociaż cokolwiek, ale zawsze z pewnym rodzajem uniżoności, i pokornie wyrzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków—odpowiedział pan Józef dając powożącemu znak zatrzymania koni.— A powiédzcie mi mój Jakóbie, czy ja dobrze tędy dojadę do Sierpnia Wojciecha, czy tam gdzie nie zagrodzona droga?

— Nie, nie, dobrze Wny Panie, prosto jak strzelił; ta droga sama Pana poprowadzi, ale chcąc daléj jechać *bez* wieś, to tędy niedobrze, bo to polna tylko drożyna do Sierpnia, a wedle stodół ino ścieszki daléj prowadzą.

— A to dobrze, bo ja właśnie do Sierpnia jadę. Zostańcie z Bogiem.

— Niech Pana Bóg szczęśliwie prowadzi — odpowiedział Ziemba, a gdy się bryczka zaczęła oddalać, szepnął półgłosem: — Co to znaczy, że i ten szlachcic tam zajechał? Żeby on tylko nie chciał popsuć wszystkiego. Tak, trzeba tam pójść, bo się już drugiéj takiéj *okazyi* nieprędko znajdzie. Wezmę wnuczka Jasia, całą moję pociechę, całe szczęście co mi zostało po synie, i pójdę do Sierpnia; przecież mnie nie zjé, choć mu Frankowa wszystko powiedziała, co jéj nakładłem w uszy, a mnie znowu nietrzeba uczyć jak mam z kim mówić: jakoś sobie z głupim Szpitalnikiem poradzę.

I spiesznym krokiem zaczął podążać ku swemu domostwu. W tój właśnie chwili bryczka zajechała na podwórze Sierpnia, zatrzymując się przed sienią. Ziemba widział jak Sierpień wyszedł, jak mu dopomógł wyjść z bryczki, i żwawo rozmawiając z gościem, poprowadził go przed sobą do izby, i jak potém chłopiec wysunął się, i dyrdakiem z flaszką pobiegł ku karczmie. O ile tylko mógł przyspieszył kroku, tak mu pilno było, tak się lękał spóźnić, bo czuł przez skórę, że się coś ważnego odbędzie u Sierpnia, co go rzeczywiście mocno może obchodzić.

Jednak piérwéj musiał pójść po wnuczka, bo tak samemu wejść do izby ni ztąd ni zowąd jakoś nie wypada; więc czémprędzéj zdążał, aby jeszcze i chłopaczynę ogarnąć, a tu dosyć spory kawał drogi nim się zajdzie tam i nazad, pan Józef może odjechać, i Ziemba nie dowié się celu jego przyjazdu.

Gdy więc nasz spekulant podąża co tylko nogi wystarczą, u Sierpnia nowo przybyli już toczą gawędę. Po piérwszém zwykłém przywitaniu, gdy pan Józef wszedł do izby, zdjął zaraz kapelusz z głowy i odezwał się:

— No, mój Wojciechu, jakże się miewacie, bo zdrowie to grunt!

— Tak *pomaluśku*, proszę Pana — odpowiedział Wojciech zdejmując czapkę — zwyczajnie jak to my starzy; ale niech Panosko nóg se nie psuje: ot stołczyna, ale nie miękki, zwyczajnie jak*ta* u chłopa.

— Dziękuję wam mój Wojciechu — odpowiedział pan Józef zajmując wskazane sobie miejsce; a spoglądając na Łazę przy piecu stojącego, mówił daléj: — Tyś mój gospodarzu nie ze Świątnik, bo ja znam wszystkich Świątniczan.

— Nie Wny Panie — odpowiedział Łaza, i jako zpod pańszczyzny niziutko się kłaniając — ja jestem z Kotlina.

— To mój szwagier! — dodał Sierpień zajmując drugie obok stołu siedzenie, i obracając się do Łazy dodał: — siądźcie se kumie choć na ławie pod piecem, bo to jeszcze spory macie kawałek do domu.

— E, postoję se — odpowiedział Łaza nie śmiejąc usiąść; tak się już wdrożył w uszanowanie dla panów przynależne.

— Ale siadajcie, siadajcie mój gospodarzu — odezwał się zachęcająco p. Józef — mnie korona z głowy nie spadnie, że przy mnie usiądziecie. Siadajcie, bo jak nie usiądziecie, to mnie wygnacie z izby i wskoczę na bryczkę, i pojadę.

Po długich wzdraganiach i ceregielach zdołano w końcu namówić, że zajął Łaza miejsce przy piecu i gawęda rozpoczęła się o urodzajach, o spodziewaném niedługo żniwie i innych podobnych szczegółach gospodarskich. Trwało to kilka chwil czasu, i choć rozmowa nie ustawała, każdy jednak czuł, że musi być skierowaną na inny przedmiot, bo przyjazd tak niezwykły sąsiedniego dziedzica do włościanina, musiał przecież mieć coś na celu.

— Ale — odezwał się raptem p. Józef, jakby sobie coś nagle przypomniał — zapomniałem mój Wojciechu, że przyjechałem ogromnie się z wami wykłócić.

— Ze mną? ej! nie boję się; kiedyśwa dotąd w zgodzie żyli, to może Bóg da, że się już nie będziewa z sobą kłócić.

— Kto to wié, kto to wié; ale gdzież wasza młoda gospodyni, co tak ładno izbę przystroiła i wisem posypała, i kwiatki w oknach ustawiła, no, no.

— Ha! musi być na dworze wedle drobiu, wedle gospodarstwa, boć to wszystko na jéj głowie.

— Proszę Wgo Pana — odezwał się powstając z ukłonem Łaza — młode dziewuchy, to zawdy ze strojeniem i z kwiatkami mają robotę, a która wedle tego nie ma za młodych lat upodobania, to potém jak se zostanie gospodynią, Bóg wié jak się u niéj wszystko dzieje, i kaj człowiek wrazi oczy, to wszędy śmieci i różnego paskustwa tyla, coby omało pługiem nie można orać.

— O! prawda mój Łazo — odezwał się p. Józef — a Basi to może bardziéj przystoi jak komu innemu, bo słyszałem, że dzie-

wucha śliczna co się zowie; a ja choć stary, jeszcze lubię spojrzéć na młodego ładnego buziaka.

— E! proszę Pana—odpowiedział Wojciech, gdy Łaza stał ciągle, a p. Józef z zadowoleniem pokręcał wąsa— zwyczajnie Baśka jak Boskie stworzenie, jak gospodarskie dziecko w pracy, w poniewierce.....

— A juścić—dołożył Łaza przestępując z nogi na nogę i wzdychając.—Nigdy chłopskie dziecko nie będzie miało takiéj urody, takiéj delikatności, jak pańskie.

— A to dlaczego? czyż to myślisz mój Łazo, że Pan Bóg nie tak samo stworzył szlachcica jak chłopa?

— No, to się wié—potwierdzili obadwa włościanie, a Sierpień dodał z pewną ironią w głosie—ale choć chłopskie dziecko nie będzie takie urodne jak szlacheckie, to będzie nauczne do pracy, do starunku, do zdrowia, i choćby mu Pan Bóg z mendel dał dzieci, to samo wykarmi i nie będzie szukało po świecie mamki, jak sięta teraz zawdy po wszystkich dworach dzieje, co i miesiąca nie zejdzie, żeby u nas we wsi nie szukali mamki.

Jakby na potwierdzenie słów Sierpnia drzwi się otworzyły i weszła do izby Basia z flaszką wódki, z kieliszkiem, z plackiem, masłem, serem, miodém i kiełbasą, a postawiwszy wszystko na stole, ujęła naprzód za nogi pana Józefa, a potém wuja Łazę, który ją w głowę pocałował.

Zdrowie i praca widne były w całéj postaci Basi: zwinna, gibka, przewiązana w pasie ponsową krajką, która ślicznie odbijała od zgrabnéj kibici okrytéj tylko białą koszulą, tak mile wpadała w oko, że aż ochota brała ukraść całusa z buzi kraśniejącéj rumieńcem skromności i niewinności.

Jak tylko ją zobaczył p. Józef, głaszcząc po twarzy chylącą mu się z powitaniem dziewoję, odezwał się:

— A do Judasza, Wojciechu, wielką sprawiliście mi waszą Basią *oskomę*; teraz ciągle mi tylko ślina w ustach będzie przybywać.

— E! panosko może nie pogardzi naszą wódką, tota wszystko z gęby pódzie do brzucha.

Basia cała zawstydzona, cichaczem wymknęła się z izby.

— Dobrze mój Wojciechu, z poczciwemi ludźmi to choćby trucizny; ale tak do ognia dolewać ognia, to jeszcze wam mogę narobić jakich breweryj, a wiecie, że w starym piecu djabeł pali.

— E! już nie zapali, proszę Wgo Pana—odezwał się z ukłonem żartobliwie Łaza—bo ptaszek uciekł z klatki na dwór.

— Dobrego zdrowia życzę—zagadł Wojciech do p. Józefa, powstając z pełnym kieliszkiem wódki—ino żeto Panosko niezwyczajny może takiéj wódki, bo to nie słodka; zwyczajnie jak u chudego pachołka.

— Mój sąsiedzie—odpowiedział pan Józef—czy wy ze mnie kpicie czy o drogę pytacie? czyżto ja nie gospodarz taki jak wy, czyto mój język nie taki kawał mięsa jak wasz? Jeżeli tak macie zawsze mi robić przytyczki, to lepiéj mnie przyjmijcie słowem a z serca, jak częstowaniem a nie ze szczerości.

— To też kum, proszę Wgo Pana ino tak żartują, i niech Wmu Panu nie będzie przykro, bo.....

— Niech Panosko nie ma złéj myśli na mnie— przerwał Wojciech—bo człowiek zawdy ma na myśli, że co chłopskie to zawdy krzywe jest dla szlachty; a to boli człeka, żeby se miał kto z tego wykpiwać, co człek ciężko zapracuje. No, życzę Panu zdrowia dobrego.

— Pijcie z Bogiem. A jaki sér łupki—mówił p. Józef opatrując koleją rozłożone przed nim przysmaki—masło żółciutkie, placek jak bułka, i miód, i kiełbasa, no, no; a wy mój Wojciechu powiadacie, że szlachcic zawsze się krzywi na chłopskie jedzenie; ja aż palce będę oblizywał, a nie krzywił się, zobaczycie.

— Niech Panu będzie na zdrowie—odrzekł udobruchany Wojciech, podając kieliszek z wódką—boć się to człek stara, żeby przy pomocy Boskiéj było w domu jako tako, a ta chałupina choć stara i niepozorna, żeby miała gębę i umiała gadać, toby powiedziała, że u wszystkich Sierpniów tak zawdy bywało.

— No, ani słowa mój Wojciechu, wszyscy to znają, że jesteście gospodarzem jakich mało, a daj Boże, żeby takich było jak najwięcéj; ale i mój dworek możeby się nie powstydził gospodarstwa, i żeby umiał mówić, takżeby wiele ciekawych rzeczy powiedział.

— Ho, ho! jużto choć dworek szlachecki, niech to nie będzie z przeszkodą pańską, ale się tam ani umywał do mojéj chłopskiéj chałupiny; boć ja przecie pamiętam, jak rodzic pański kupił tę wieś, co Panosko w niéj siedzi, teraz będzie temu na te żniwa już czterdzieści dwa lata, a w téj chałupie zawdy Sierpnie i Sierpnie, jak ino ludzie zapamiętać mogą.

— O! mój sąsiedzie Wojciechu—odezwał się żartobliwie pan Józef—widzę, że tak wypadnie, że my się z sobą pokłócimy; a pamiętajcie, że ja twardego karku i także przyjechałem po to, aby się z wami skłócić ząb za ząb. A dopiéro to będzie pięknie, że starzy sąsiedzi, co się z sobą tyle lat znają i zawsze w zgodzie żyli, jak się z sobą zeszli tak się pokłócili jak baby. Dlatego żebym nabrał większéj śmiałości, Łazo, daj wam Boże zdrowie.— I pan Józef musknął wąsy i jednym haustem połknął podaną sobie wódkę.

— Życzę zdrowia dobrego—odpowiedział Łaza z nizkim ukłonem, przyjaźnie się uśmiechając.—A bodaj was Bóg kochał mój kumie i z waszą gadką. Ot dobrze, że Wny Pan tyla ma w sobie poczciwości, że się-ta o takie rzeczy nie gniewa, i nie gardzi chudemi pachołkami, ale tak inny.....

— Poczciwemi ludźmi nigdy się gardzić nie powinno. A to już taka nasza natura, że wiele razy zejdziemy się z Wojciechem, zawsze sobie przygryzamy; ale dlatego lubimy się jak starzy znajomi i sąsiedzi, co już patrząc na siebie zęby powyjadali: nieprawda Wojciechu?

— Prawda, święta prawda, dlatego kiedy Pan nie zabaczył o starym Sierpniu i nie pogardził jego domostwem, wszystko co mam, choćby ostatnią koszulę, zdejmę z siebie i ofiaruję. Niech Panosko pozwoli sobie: jak to zjewa, to w komorze znajdzie się więcéj. Kumie jédzcie, Panu ta nie będzie przeciwne, że razem z nami będziecie brać po kąsiołku.

— Jédźcie Łazo, nic nie pytajcie: bo żebym was moi gospodarze obydwóch nie szanował, tobym tu nie był, a ja już mój Łazo od twego dziedzica słyszałem, żeś bardzo poczciwy człowiek. Ale wy, mój Wojciechu, chociaż z taką szczerą gościnnością zapraszacie mnie i tak radzi jesteście, to wam powiém, żeście mi wielkiego ambarasu narobili, i dlatego umyślnie do was przyjechałem, żebyście przecieć co poradzili, bo tak nie może zostać.

— Cóż to takiego?— zapytał zdziwiony Wojciech—czy Panosko ino tak bez żart zadaje mi takie rzeczy, czy naprawdę?

— Oj! nie żartuję, mój Wojciechu, bom przez was utracił parobka, a wiécie, co to w żniwa parobek znaczy, kiedy go się przez zimę i na przednówku przeżywiło.

— No, ani słowa, ale zkądże jabym był do tego *przyczyńcą*?

— Tak jest, wy mój Wojciechu i jeszcze ktoś, ale potém o tém. Ot krótko powiem, że od tego czasu mój Wojciechu, jakeście tak w karczmie Janka *wydonderowali*, tak chłopaczysko na piękne zgłupiał i tylko płacze i płacze: posmutniał, zrobił się jak mruk, że trudno się z nim dogadać, i jeżeli tak daléj będzie, to dalipan sam nie wiem, co robić. A szkoda chłopaka, bo chociaż czasem jakby bzika miał w głowie, ale poczciwe w nim serce: potulny, cichy, nikomu w drogę nie wejdzie. Raz chciałem mu skórę wyłomotać, ale jak płacząc poddał mi się i nie okazał najmniejszéj hardości, tak mój Wojciechu ręce mi opadły, i o mało sam się nie rozpłakałem.

— Oj! prawda, prawda—przerwał Wojciech ciężko wzdychając — ale....

— Czekajcieno mój Wojciechu — mówił daléj p. Józef— jak widzę, że i gadanie i straszenie nic nie pomaga, tak daléj zwerbowałem go do siebie, i jak ojciec synowi jak zacznę kłaść w uszy: że każdy pracować musi, że z pracy dopiéro człowiek dorabia się chleba, że w miejscu kamień porasta, a on nigdzie miejsca długo nie zagrzeje i wiele innych podobnych morałów; tak wystawcie sobie, tyle chłopaka poruszyłem, że płacząc jak dziecko powiedział mi, że mu się już sprzykrzyło na świecie, i gdyby nie to, że ma starą matkę, i musi o niéj pamiętać, toby albo do wojska poszedł, albo się powiesił, albo utopił....

— A co wszystko może być—odezwał się Łaza;—jak człek przypuści se co do głowy, to mu już nijak nie poradzi.

Sierpień nic nie mówił tylko słuchał i dumał, a ciężkie myśli musiały mu się snuć po głowie, bo i spochmurniał i ręką gładził włosy, często kładąc ją za koszulę, jakby mu ból serce ściskał.

Pan Józef po przerwie mówił daléj:

— Tak mój Wojciechu, długo potém używałem różnych sposobów, żeby przecie dojść przyczyny takiéj desperacyi: bo chociaż w części domyślałem się, ale sam sobie nie chciałem wierzyć. Nareszcie gdy widzę, że ani prośba, ani groźba nic nie pomaga, tak mu powiadam:—ej! Janku, pewno tobie Baśka tak w głowie siedzi, i dlatego takie błazeństwa robisz i mówisz.— Wtenczas dopiéro wyznał mi się ze wszystkiego, powiadając, że od czasu zabawy w karczmie, kiedyście tak ostro do niego przemówili i przekonał się, że Baśki nie dostanie, tak mu się wszystko w głowie do góry nogami przewróciło, że chodził i do spowiedzi, i dawał na nabożeństwo, ale wszystko nic nie pomagało; w głowie co-

dzień było gorzéj i czuję, że jeżeli tak daléj pozostanie, to przyjdzie mu się zmarnować. Na końcu, mój Wojciechu, jak mi nie padnie do nóg, jak nie zacznie przepraszać za wszystkie zmartwienia jakie mi sprawił, i prosić, że jak umrze abym matki nie wyganiał ze wsi i zawsze się nią opiekował: tak bądź co bądź postanowiłem przyjechać do was i opowiedzieć wszystko, żebyście co poradzili: bo powiadam, że to poczciwy chłopiec całą gębą, a że młody, to i wietrznik trochę, ale z latami jak przyjdzie lepszy rozum, to się ustatkuje i będzie z niego i dobry człowiek i dobry gospodarz; bo kto jest dobrym synem, ten będzie i takim człowiekiem, a o dobrym Bóg nigdy nie zapomina. Radźcie więc i róbcie jak uważacie najlepiéj.

— A i cóż ja poradzę — odpowiedział bez gniewu, jakby z boleścią, ale stanowczo Sierpień—czyż ja go wplątałem w taką biedę? Boże kochany, ja to rozumiem wszystko, co mi Pan powiedział, i nic naprzeciw tego nie rzekę przeciwnego; ale jeden widzi tak, a drugi inak; dlatego w tym interesie co mi Pan powiedział, ja nic poradzić nie umiém.

Po téj odpowiedzi wszyscy w milczeniu pozostali. Pan Józef raz po raz pokręcał wąsa. czém zdradzał wewnętrzne niezadowolenie. Wojciech wzdychał zabiérając się do nowego częstunku, a Łaza skrobiąc się w głowę to jedną, to drugą ręką, powstał nareszcie z ławy i kłaniając się nizko, piérwszy przemówił:

— Z przeproszeniem Wgo Pana i was mój kumie kochany, że ja tu wetchnę swoje trzy grosze, i choć chłopskim prostym rozumem powiém wszystko jak się patrzy, i jak se dawno o téj rzeczy umyśliłem. Gniewajcie się nie gniewajcie, ale u mnie już tak zawdy: co mam w pomyśleniu, to tego niczém w gębie nie zatrzymam, i powiem wam mój kumie po przyjaźni, że poczynacie se nie po katolicku, ino po żydosku, kiedy na *tyla* mówienia Wgo Pana, na *tyla* trudzenia się wy powiadacie, że nic nie możecie poradzić. Róbcie jak chcecie, ale gadajcie jak wypada po sprawiedliwości, bez żadnych ogródek i bez motania, bo się tak należy i dla Boga, i dla Wgo Pana, co nie żałował swoich kroków i tu aż się do was fatygował. Powiedzcie tak, albo nie, i juści.

— Dobrze, dobrze mój Łazo, poczciwie powiedziałeś, bo te faramuszki na psa się nie zdały. Przecież Wojciech wié dobrze o co tu idzie.

— Ba! nie mają wiedzieć; alboż to kum dziecko czy co?

Sierpień całą tę rozmowę w milczeniu wysłuchał. Zwykłą prędkością uniesiony zdawało się, że buchnie z całym ogniem gniewu: brwi zmarszczył i wyprostowawszy się przy stoliku podniósł rękę ze ściśniętą pięścią, jakby silném uderzeniem chciał poprzéć słowa, które prawie zdawały się być na wylocie; ale się powstrzymał, znowu przybrał dawną jakby od niechcenia postawę, rękę spuścił na kolano, i bez gniewu, bez uniesienia odezwał się głosem spokojnym:

— Sprawiedliwie mój kumie powiedzieliście, że se poczynam nie po katolicku, ino po żydosku, i Bóg wam zapłać za wasze słowa; dlatego zważając i na was i na Pana Józefa, co mi wielkie tém sprawił ucieszenie, że nie wzgardził starym Sierpniem, powiem wszystko sprawiedliwie boz ogródek, jak wypada na świętéj spowiedzi przed księdzem. Otóż mój kumie, ja wiem dobrze wszystko o co tu idzie, ale posłuchajcie. Dawniéj, kiedy mi kto wspomniał o wydaniu Basi za Janka, to aż się wszystko we mnie zagotowało, a dwie kobiety co przyszły od niego z wódką, żeby były nie uciekły, to może byłbym je i skrzywdził: tak bez upamiętania rozgniewałem się. Potém już i patrzéć na niego nie mogłem. Nakładłem Basi w głowę, co ino mogłem swoim głupim rozumem, i jakoś zdawało mi się, że moje gadanie przylgło przecież do niéj: boć chciałem własne dziecko zasłonić od zguby, od zmartwienia, bo czego innego przy Janku spodziewać się nie można było. Dlatego kiedy już w tém upewniony, zobaczyłem w karczmie jak moje dziecko samo leci do zguby, nikiéj ćma do ognia, tak mój kumie i proszę Pana zdawało mi się, że mi nóż kto w serce wraził i.....

Wojciech wstrzymał się chwilę, splunął, i westchnąwszy boleśnie, mówił daléj:

— Żeby nie *tyla* ludzi i nie to, że Baśka zaraz do mnie przybiegła jak ino mnie zobaczyła, sam nie wiem, cobym zrobił; bo po całym mnie nikiéjby mrówki chodziły, a w głowie tak mi się zrobiło gorąco, jakbyta kto ogień w niéj rozpalił. Ale zmiękłem, zwolniałem, i Bóg moim świadkiem, że wtedy, kiedy z płaczem zaczął mnie Janek ściskać za nogi, to tak jakoś dziwno mi się zrobiło, że ino, ino co się jak baba nie rozpłakałem. Potém różne mi myśli przychodziły. Dziewuszysko w piérwszych dniach dosyć się napłakać nie mogło, pochudło, pomizerniało; gdzie znów rzucę uchem między ludzi, wszędy dobrze o Janku mówią: że poczciwy i jak ino przyjdzie z latami do rozumu, to się wszystko

w nim ustatkuje; że nawet Ziemba, choć to taki na wszystko spekulant, a jednak radby go wziąć za zięcia, bo prosił Frankowéj w cichości, żeby go odwodziła od Basi, a namawiała do Maryny. Tak se myślę i to i owo, ale jakem se przypomniał swoje turbacyje i wszystko dobrze pokalkulował w głowie, tak rzekę sam do siebie: trudno, dobry chłopiec, poczciwy i zawdy w poczciwości chodzić będzie, ale za zięcia wziąć go nie mogę.

Łaza z nieukontentowaniem tylko potrząsł głową, a pan Józef odezwał się:

— A to dlaczego? tego wcale nie rozumiem; czy że biedny? Sami powiadacie, że dobry, że poczciwy, to i czegoż więcéj trzeba?

— Ej, proszę Pana, niech to już we mnie pozostanie, a ja nie młokosek: to kiedy co wyrzekę, to już z dobrego pomyślenia i dlatego muszę mieć swoję przyczynę. Ale co tam! nie gadajwa o tém, po co po próżnicy frasować się? Panosko pozwoli jeszcze trochę wódki, a nie, to Baśka zrobi nam krupniku, bo to dla téj chałupiny nie częste gody, żeby takich gości miała u siebie.

— Nie mój Wojciechu, nietrzeba, bo pić nic więcéj nie będę, a między ludźmi to tak mówią, że gdzie nie radzi mowie, tam nie radzi i osobie; dlatego trzeba się ku domowi zabierać.

— A niechże mi kochane Panosko — odezwał się Sierpień powstając—nie robi takiego wstydu, takiego despektu, żeby z takiemi słowami miał jechać do doma. Bóg świadkiem, że takem rad, takem dla panoska życzliwy, że nieba chciałbym przychylić.— W tém miejscu Sierpień zbliżył się do pana Józefa, pocałował go w rękę i mówił daléj:—Mój Boże kochany! my, co *tyla* lat z sobą się znawa i mielibyśwa krzywo się rozchodzić? A przecieżem katolik, nie farmazon, ani żaden heretyk. O mój Boże jedyny!

— Ja tego nie mówię, mój Wojciechu, ale jednak żal mi biednego Janka, bo to....

— Ale —przerwał Wojciech widocznie chcąc rozmowę zwrócić na inny przedmiot — jakże się tam miewa młody panicz, pan Władyś? Dzieciucha jużem dawno nie widział, a nigdy nie zapomnę, jak byłem u panoska i uczył mnie rachować, co udawałem, że nie umiem.

— Zdrów chłopczątko, żywy jak ogień, ale najlepiéj zrobicie, jak go kiedy sami obejrzycie.

— Zawdy się tam zbieram, ale jak to w gospodarstwie.....

Przy tych słowach Łaza, który z oznakami niecierpliwości ciągle słuchał toczącéj się między Wojciechem a panem Józefem

rozmowy, nagle przerwał i odezwał się głosem prędkim, zdradzającym gniéw wewnętrznie tłumiony:

— Mój kumie, wybaczcie, że wam jeszcze raz powiem, że se z nami poczynacie nie jak prawowierny katolik, ino nikiéj farmazon. Gadacie to o młodym paniczu, to o tém, to o owém, a to co mawa na myśli, to obchodzicie w gadce nikiéj żyd, kiedy co od chłopa kupuje. Ja mój kumie.....

— Ale bajecie mój kumie — przerwał Wojciech brwi marszcząc i rękę w pięść ściskając; ale powstrzymywany przez pana Józefa zamilkł i Łaza mówił daléj:

— Nie baję, mój kumie, bo ja na ogródkach i na innych takich wymysłach nic się nie znam, ino tak mówię, jak mam w pomyśleniu, i powiem wam po kumosku, po przyjaźni, że se źle poczynacie, kiedy nie chcecie słuchać ludzi, co lepszy mają rozum od was, jak ot Wny Pan, i co wam dobrze radzą.

— Co się tam nadstawiacie z waszém kumostwem — przerwał Wojciech w stół pięścią uderzając — wy nie możecie wszystkiego tak rozumiéć, jak-*ta* u mnie jest w głowie.

— Gniéwajcie się mój kumie, ale nie bijcie ręką po stole i miéjcie na baczeniu, że zawdy należy się uszanować Wgo Pana, co-ta nie żałował swoich kroków do chłopskiéj chałupy.

— Ja téż szanuję Pana — odpowiedział Wojciech zwracając się ku panu Józefowi głosem znacznie łagodniejszym, jakby się wstydził wybuchu swego uniesienia—i choć w prędkości co wyrzekę, to niech to Panu nie będzie w przeciwności; jużto ja taki gorączka.

— No, to wprzódy wysłuchajcie, a potém będziecie się gniéwać jak się wam spodoba, bo ja wam za dwa paciérze wszystko wypowiem.

— No, to mówcie — odpowiedział Wojciech, i podparłszy się na ręku, w milczeniu przysłuchiwał się dalszéj mowie Łazy.

— Mówicie mój kumie, że Janek dobre chłopaczysko, że mu Bóg wynagrodzi jego poczciwość, to i o cóż idzie więcéj? dlaczegóż Baśki *wagujecie się* wydać za niego? Powiadacie, że biédny, że nic nie ma. Mój kumie, to fracha, bo wszystko jest w woli Boskiéj i więcéj Pan Bóg ma, niż rozdał; a kiedy wam Bóg dał, to dobrze, że się taki siérota przytuli do was, co zawdy chodzi w poczciwości i umié szanować siwe włosy. Powiadacie, że on ladaco, że nie umié grosza szanować, i że wszystko rozmarnuje, co się do garści jego dostanie. I to fracha i bajki, mój

kumie, bo teraz choć prawda że utracił wszystko co miał, ale zwyczajnie jak młody; a jak z latami przyjdzie do rozumu, to wszystko będzie inaczéj: i ustatkuje się, i będzie umiał pracę szanować. Albożto nie znacie gadki ludzkiéj, że każdy przed ożenieniem musi trzy lata szaleć; a cóżbyto on lepszego miał być od drugich? Ale niechno przyjdzie mu się ożenić, to się tak utemperuje, że go potém nie poznacie: nikiéj ciołak, co póty brykał, póki jarzma nie zaznał, ale jak go zaprzęgli do pługa i pokalkulował, że to nie przelewki, głowę zwiesił, i potém już nie brykał, ino ciągnął i juści. Powiadacie także, że Janek *nie familijant*, bo to te głupstwa, to u was wiela znaczą; ale i to fracha, i jeszcze większa fracha jak wszystko.....

— Jakto fracha? — przerwał nagle Wojciech podnosząc pięść do góry; ale się zaraz powstrzymał w gniéwie, i podpierając się znowu na ręku, mówił daléj, jakby do siebie:—ale prawda, wy tego nie znacie i nie rozumiécie; mówcie daléj, mówcie.

— O! mój kumie, znam ja wszystko i rozumiem; niedarmo człowiek z szóstym krzyżykiem chodzi na grzbiecie, i dlatego wam powiadam jeszcze raz, że to fracha, i jeszcze większa fracha jak wszystko. Bo powiédzcie mi, gdybyście Bóg wié nie z jakiéj pochodzili *familii*, choćbyta, z przeproszeniem Wgo Pana i ze szlacheckiéj nawet, czy wam kto za to da co? czy wam do dołu przybędzie choć jeden ziemniak więcéj, choć jedno źdźbło ze zbożem do stodoły? Może powiécie, że uważanie między ludźmi wiela znaczy: głupstwo, z przeproszeniem Wgo Pana, uważanie chleba nie da, a bez poczciwości uważania nie ma. Mój kumie, wasz rodzic chociażta na *familiją* także wiela zważali, poszli jednak do dołu, i dziś się w proch obrócili, i możeta niejedne kościsko leży z nich w kośnicy, a czy wy poznacie, które waszego rodzica, albo jakiego przyjaciela, albo choćby jakiego szlachcica z przeproszeniem Wgo Pana, albo jakiego biédaka, co go nie było za co pochować? Tak i z wami będzie: zamkniecie oczy, jużcić po *familii*, i te same robaki, co jedzą teraz najgorszego może jakiego dziargana, to się *bez* pół rozdzielą, i jedne przyjdą jeść do was, a drugie do jakiego szlachcica, z przeproszeniem Wgo Pana, i jak zjedzą, to pójdą znowu daléj, a *familija* was nie obroni.

— To téż mój Łazo—odezwał się pół żartem p. Józef—my z Wojciechem każemy sobie murowane groby wybudować, to robaki nas nie znajdą.

O! znajdą, znajdą i trafią, a potém zjedzą, z przeproszeniem Wgo Pana.

— Nie macie mnie za co mój Łazo przepraszać, boć przecie wy nie robak i wy mnie jeść nie będziecie. Ale my gadamy o swataniu, o weselu, a wyście zjechali do takich smutnych rzeczy; cofnijcieno się i prowadźcie swoje tak, jakeście zaczęli.

— E! *jużta* niewiele rzekę i nie będę się kumowi z memi rozgadkami naprzykrzał, boć przecie ja nie żaden *faktor*, cobym gadał za zapłatę, ino co mówię, to wszystko z przychylności do kuma i do Baśki. Dziewuszysko biédna sierota nie ma matki, coby się za nią *ujęła*, to tak nią handlują, nikiéj szkapiną na jarmarku; a to kumie grzech, i Bóg ciężko skarze, jak się dziecko namówi wedle swéj myśli i przyjdzie mu się zmarnować. Janek wam będzie nikiéj syn, bo kiedy was dziś uszanował, jakeście na niego rękę podnieśli, to potém tém bardziéj. Weźmiecie go do siebie, będziecie mieli go pod swojém okiem, i we wszystkiém wyręczenie. Do Baśki ino świat się będzie uśmiéchał, co tak będzie rada, że się stało wedle jéj woli; a wy mój kumie ile razy spojrzycie na swoje dziecko i zobaczycie, że-ta nic mu nie brakuje, to się także uweselicie i podziękujecie mi, że z gadki chociaż grzesznego człowieka, a Bóg w wasze serce wstąpił. Tak mój kumie, róbcie jak wam się zdaje najlepiéj, ale zawdy zważajcie końca i pamiętajcie, co wam Łaza powiedział.

— Bardzo dobrze, słusznie mój Łazo: ja mam jednego tylko syna, ale nigdy nie myślę wybiérać mu żony, i niech nic nie ma, aby tylko była poczciwa, to przy Boskiéj pomocy wszystko przyjdzie pomału. W tém co do joty zgadzam się z Łazą, i to samo wam powtórzę, że nie ma się co namyślać: pobłogosławić, dać na zapowiedzi, potém sprawić wesele i jeżeli mnie zaprosicie, to przyjadę z moim Władysiem, i tak będziemy hulać, że aż podeszwy od butów poodlatują.

Sierpień, który jak podparł się na ręku słuchając, tak przez czas téj rozmowy nie zmienił pozycyi, na słowa pana Józefa uśmiechnął się cokolwiek i głosem wzruszonym odezwał się:

— Prawda, panie kochany, prawda mój kumie, jest *racyja*, bo Sierpień stary, Sierpień nie ma syna, to zgłupiał na piękne. Dla młodego kochanie to więcéj znaczy, jak chléb dla gęby; ja to wiem i jużta nareszcie nie broniłbym Jankowi do Baśki, bo wiém, że póki jabym żył, toby im niczego nie brakło; ale mój kumie, ja już letni dziś, jutro przyjdzie pójść ze świata, to po mojéj śmierci

cóż se te robaki poczną, gdzie się obrócą? Janek nie ma nic, dla Baśki choć się znajdzie i to i owo, zawdy nie tyla, coby se była jak się patrzy gospodynią; a jakby Bóg dał im wiela drobiazgu, toby wnet biéda do nich się przyplątała, i moje dziecko, moja krew rodzona, żyłaby we frasunku, w zmartwieniach, czego żaden ze Sierpni nie zaznał: boć wy wiecie, mój kumie, jakie ja mam *turbacyje* z ojcowizną, i że z niéj dla Baśki ani na owinięcie palca się nie dostanie, bo to ojcowizna, to ona zawdy w całości między Sierpniami musi chodzić.

— Wiecie co mój kumie, kiedy już ino to ma być na przeszkodzie, że Janek nic nie ma, otoż wiecie, że u mnie jest w chałupie nieostatnio: przy pomocy Boskiéj ma się kilka ogonów w oborze (1), i gęsi, i nierogaciznę, a w skrzyni znajdzie się jakie kilka złotówek. Bóg mi nie dał dziecka, niech się dzieje święta Jego wola, więc Janka weźniewa z kobiétą za syna, i co nasze teraz, to wszystko będzie jego po naszéj śmierci: bo i tak miało się to dostać waszéj Basi, a naszéj krześnicy. Więc cóż chcecie? ja swojéj pracy nie *waguję* się w Jankowych rękach zostawić, a wy się macie wagować?

— No Wojciechu, teraz już nie ma wam o co iść. Mój Władek ma konia, krowę, owce, z trzody sztuk kilka i z każdego gatunku drobiu; jak mu powiem, że trzeba Janka zapomódz, to zaręczam wybierze co i daruje, bo nie uwierzycie, jak go chłopczynka lubi. A za to, że Janek to mu skrzypki zrobił i uczył go grać, to małe basy, to go weźmie i wsadzi na konia i jedzie albo do wody, albo w pole, albo mu nareszcie da lejce i bicz w rękę i chłopak jedzie na łąki po siano lub z sianem do stodół, a zawsze z Jankiem, zawsze koło niego: więc mój Wojciechu macie obietnicę i od mego Władysia; a teraz nie możecie się skarżyć, że Janek ubogi, kiedy Łaza bierze go za syna.

— O! mój Panie kochany, mój kumie—odezwał się Sierpień—kiedyć się tak wszystko szykuje, a wszystko na Janka, toć może Bógby jako tém wszystkiém i dobrze rozporządził, i jabym nie był od tego: boć człowiek ino szczęścia dla swego dziecka pragnący; ale zawdy *turbacyja* jedna w głowie pozostanie, bo po mojéj śmierci, gdzie się te robaki obrócą? Nigdzie nie mając żadnego przytulenia, to może im przyjdzie walać się po pańszczyznach, albo się złączą z Ziembą i będą chcieli ojcowiznę rozdzielić mię-

(1) Czyli kilka sztuk bydła.

dzy siebie. O! jabym wtedy z grobu wyszedł, jabym i na tamtym świecie nie miał spokojności; dlatego, widzicie, Baśka musi iść za takiego, co ma swoję chałupę, bo kiedy jest grunt po matce, to cóż z nim zrobi jak nie będzie miała pobudynków? Ziemba to ptaszek. Ho, ho! on słyszy jak trawa rośnie. Już dawno ostrzy se zęby na moję chudobę, żeby ją dla wnuka po mojéj córce starszéj zagarnąć; a biéda, to do wszystkiego człeka namówi, i Ziemba nikiéj lis jak się zacznie łasić.....

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł do izby Ziemba z laską w ręku, przygarbiony, prowadząc małego dzieciaka ośmioletniego za rękę. Byłto Jaś, pozostały syn po Ziembach młodych, i dziwnie do Basi podobny. Gdy Jakób przeprowadził go przez próg z czułą troskliwością i napomnieniami, żeby przełaził ostrożnie, aby się nie przewrócił, poprawił mu potém ubranie, zdjął kapelusz, mówiąc:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Idź Jasiu przywitaj dziadusia, pocałuj w rękę i *uchyć* pod nogi.

Za ukazaniem się tego nowego gościa, rozmowa naturalnie ustała. Ziemba zaś mając ten szlachetny zwyczaj, zawsze poprzedniego podsłuchania co robią w izbie nim drzwi otworzył; i tu w sieni przystanął chwilkę i wysłuchał całéj odpowiedzi Sierpnia. Potrząsnął potém głową, jakby mówił—już teraz wiem o co idzie—i nie czekając więcéj, wszedł do izby.

Zdejmując czapkę, kiedy wymawiał: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, tylko śmignął oczami po rozmawiających i odrazu poznał po ogólném wszystkich pomieszaniu, że stał się niebardzo pożądanym gościem, i rozbicie toczącéj kwestyi jedynie na nim wstrzymane zostało. Nic to wszystko nie wpłynęło na zmianę jego rysów i z tym samym przyjaznym uśmiechem, bez najmniejszego pochmurzenia się, jakby wchodził między najlepszych przyjaciół, zaczął się posuwać, trzymając malca za rękę, ku środkowi izby.

Sierpień także w jednéj chwili został panem siebie, a bacząc na święte prawa gościnności, które nad możność zwykle przez włościan w podejmowaniu swych gości są zachowywane, powstał poważnie ze stołka i zakładając rękę w zanadrze, przemówił:

— Na wieki wieków amen! Witajcie sąsiedzie, zkądże Bóg prowadzi? Siadajcie, ot na mojém miejscu.

— Bóg wam zapłać, mój sąsiedzie, za witanie. Jasiu *uchyć* dziadusia za nogi i proś go, żeby nie zabaczał o tobie.—Obracając

się zaś do pana Józefa dodał: – Pan Dobrodziéj tutaj? wielkie to święto dla wsi naszéj, że Pan nie wzgardza chudobą świątnicką.

Wojciech zaczął gładzić po twarzy całującego go w rękę dzieciaka, dał mu kawałek kiełbasy, chleba z masłem i potém przy widocznie wymuszonéj gawędzie o upale, o spodziewanych żniwach, o potrzebie deszczu i t. d. rozpoczęło się ze zwykłemi ceremoniami częstowanie wódką.

Po małéj chwili pan Józef zabierając się do odjazdu powstał i przemówił:

— No. mój Wojciechu, trzeba ruszać do domu. Wy rozmówcie się z Łazą i zróbcie tak, jak wam radzimy, a zaręczam, że podziękujecie nam kiedyś, żeśmy was do tego namówili.

— Prawdę Wielmożny Pan mówi – odezwał się Łaza— i ja sam.....

— Dajcie pokój kumie – przerwał Wojciech.—Jak co wypadnie, to się znowu znajdziewa z sobą: bo zawdy trzeba miéć na baczeniu, kaj co gadać wypada.

— To może, mój sąsiedzie—odezwał się potulnie Ziemba— mnie się wystrzegacie, to ja pójdę i nie będę nikomu zawadzał. Ale mój sąsiedzie powiem wam zawdy, że źle robicie, kiedy się przedemną taicie; boć i ja przecie wam życzliwy i pragnąłbym wam nieba przychylić, a jeżeli dobrze nie poradzę, to źle także nie. Ja nie żaden młokosek, jadłem chléb nie z jednego pieca, to się umiem między ludźmi wykręcać.

— Ho, ho! wykręcacie się wy, i dobrze wykręcacie!

— Hę, hę, hę—z dobrze udaną dobrodusznością odrzekł Ziemba, przymuszając się do uśmiechu, bo aż drżał cały od wewnętrznego gniewu—żeby kto głupi słuchał, toby myślał, że wy tak z przymówiska do mnie mówicie; aleć ja przecie mam swój rozum, i wiem, że wy znacie co się należy naprzód Bogu i Matce Boskiéj królowéj nieba i ziemi, a potém ludziom i sąsiadowi. Bodaj was Bóg kochał, hę, hę, hę!

— Ja, mój sąsiedzie—odezwał się na to trochę zbity z tropu Wojciech—nie znam się na żadnych przymówiskach, ale już taka moja natura.....

— A bodaj was chléb obsiadł—coraz więcéj niby rozweselony przerwał Ziemba— tak się *składacie*, nikiéjbyście mi co przykrego wyrzekli. Boże kochany! żebyście nie mieli przyjaźni dla starego Ziemby, tobyście się byli z nim nie pokrewnili, i dlatego powiedziałem, że źle robicie, że przedemną zawdy wszyst-

ko skrywacie; ale widać, tak Bóg chce Przenajświętszy: niech się dzieje Jego święta wola, bo ja grzeszny człowiek, chociaż w tym robaku—wskazując na małego Jasia, mówił Ziemba—i wasza i moja krew płynie. Zostańcie więc z Bogiem. Chodź Jasiu, ucałuj dziadusiowi kolana i chodź, nie przeszkadzajwa.

— Ale mój sąsiedzie, przecież mi zadać nie możecie, żebym wam nie był rad w mojém chałupsku. Macie co jeść, macie co pić, to i czegoż wam trzeba?

— Bodaj was mój Wojciechu wszyscy Święci Pańscy mieli w swojéj opiece; nibyto jedzenie i picie wszystko waży u człowieka? A szczerość za nic to nie macie?

— To też....—odezwał się Wojciech, ale mu przerwał Łaza, i postępując troszkę ku środkowi, mówił z niecierpliwością:

— Mój kumie i wy mój Jakóbie gadacie, gadacie po próżnicy, ino gęby se psujecie; co innego macie w pomyśleniu, a co innego na języku, nikiéj żydy, kiedy jeden drugiego chce oszukać. Ja takiéj gadki nie nauczny, i choć ze swoim rozumem nie umywałem się do was, ale wiem, że to nieładno, kiedy w krewności nie ma przyjaźni.

— Co wy zaś gadacie—przerwał Ziemba—żeby między nami nie było przyjaźni....

— Nie przeszkadzajcie, mój Jakóbie, niech ja wygadam swoje, potém wy będziecie gadać. Ja się rozwodzić długo nie lubię i po sprawiedliwości powiem wam, że kiedyście mieli wejść do izby, tośwa z przeproszeniem Wielmożnego Pana mówili o tém, że jakby Baśka wyszła za Janka i przyszło im się z ojcowizny usuwać, co świątnickim zwyczajem zawdy chodzi w całości, i nie mieliby dla siebie przytuliska: toby się z biedy z wami złączyli i możeby potém chcieli ojcowiznę na dwoje podzielić, i dlatego kum *wagują* się wziąć Janka za zięcia.

— A cóżto ja taki pragnący chleba kawałka? czyżto już dla mego wnuka i dla dziewuchy nic się gruntu po mnie nie zostanie? a nareszcie, moi sąsiedzi, czyto ja wieczny? Wojciech zdrowi, niestyrani pracą za młodu, to mnie dziesięć razy pochowają, nie żebym ja myślał w ich pracy się rozpierać. Mój Boże jedyny! Widzicie, coto złe języki, coto plotki ludzkie nie mogą! Mnie taką rzecz zadawać, mnie co *bez* samą pomięć dla synowéj, świéć Panie nad jéj duszą, tego małego dzieciucha więcéj kocham jak rodzone dziecko, i mnie powiadać, że nie mam dla was przyjaźni, że się z innemi zmawiać będę na waszę chudobę? A moi są-

siedzi, czyto ja nie religiant, nie katolik, czyto ja się nie boję kary Boskiéj? A bodajem....

— Nie przeklinajcie się sąsiedzie, żebyście czego w złą godzinę nie wymówili—przerwał z niecierpliwością Wojciech, chociaż już nie w stół, ale w kolano pięścią uderzając—bo przecież ludzie tego z palca sobie nie wyssali.

— A że ludzie—dołożył Łaza—takie gadki wywodzą, to wybaczcie mój Jakóbie, że wam powiem po szczerości, że samiście temu winni: bo Bogiem i prawdą powiedziawszy, z przeproszeniem Wielmożnego Pana, strasznie jesteście na grosz *pazerni* (1), i na nic nie zważacie, ino na siebie samych.

Ziemba tak niespodziewanie wzięty we dwa ognie zmieszał się cokolwiek, lecz nie stracił przytomności: skrzyżował ręce na piersiach i poglądając to po Łazie, to po Wojciechu, chwiał głową w obie strony, i powtarzając: oj, oj, oj! myślał przez ten czas co ma odpowiedzieć, aby zadać stanowczy cios zarzutom przeciwników.

Poczciwy pan Józef tylko pogwizdywał, co z takiém zajęciem przypatrywał się rozwijającéj się przed nim scenie; Łaza coś z niezadowoleniem mruczał pod nosem; Wojciech cały spochmurniał, a mały Jaś z najobojętniejszą miną zajadał kiełbasę z chlebem. Wykiwawszy się nareszcie Ziemba i dostatecznie namyśliwszy, odezwał się z bolesnym wyrzutem:

— Oj, oj, oj! coto za świat, coto za ludzie! Że ja staranny, że ja zabiegliwy, że się okpić nie dam nikomu, bo ciężko zapracowany kawałek chleba, co mi go Bóg Przenajświętszy użyczył umiem szanować, to zaraz na mnie, że ja *pazerny* na grosz, że ja pragnący cudzéj pracy; ale ludziom się nie wymówi, i jak mają na niego uwzięcie, to wszystko przeinaczą. Ale Bóg wszystko widzi i Bóg nas wszystkich będzie sądził; dlatego moi sąsiedzi, żebyście dobrze poznali jakito jest stary Jakób Ziemba, i choć grzeszny człowiek, aleć przecie więcéj *warta*, jakta ludzie o nim po wsi roznoszą, co się im nie dał okpić: powiem wam jak mi przyszło do głowy, żeby dopomódz temu poczciwemu chłopakowi Jankowi. Powiadacie, że on nie ma chałupy, i dlatego może się ze mną potém złączyć i rozdzielić się ojcowizną, jakta Sierpień zamkną oczy. Mój sąsiedzie, powiadam wam jeszcze raz, że wy mnie pochowacie—w tém miejscu, mówiący ogromnie

(1) Czyli chciwi.

się zakaszlał — bo ja styrany.... schorowany ... dziś, jutro i może mnie nie być; a żebyście się znowu o Janka nie frasowali i o waszą Basię, jak im z ojcowizny wypadnie pójść na swoję pracę, to ja wam odprzedam pobudynki, co po synie zostały. Sąsiedzi oszacują, a pieniędzy mi zaraz nie dacie, ino mi będziecie płacić pokomorne, a potem-*ta* potrochu, po groszu, choćby i *bez* dziesięć lat wypłaci już Janek, ot temu chłopaczynie i mojéj Maryśce, bo mnie, to już trudno będzie tak długo po świecie się walać— i znów mocno zakaszlał, tak, że się ujął za prawy bok, i z boleścią mówił daléj: — O! Boże jedyny..... jak zacznie człeka dusić..... tak ledwo tchu złapać można. O! kiedy, kiedy to zadusi. Otóż widzicie moi sąsiedzi: sąsiad Wojciech z ojcowizną zrobi co się im będzie zdawać, boćto przecie ich praca; Baśce i Jankowi zrobi się uciecha, że się dzieciska z kochania pobiorą; wy Wojciechu będziecie mieli zięcia poczciwego, co daj Boże, żeby się był taki mojéj Marynie kiedy dostał; Janek będzie miał swoje pobudynki, wy spokojną głowę, a mnie przyjdzie to ucieszenie, że tak wy, jak ludzie powiedzą, że Ziemba ino dla złych jest zły, ale dla dobrych, dla poczciwych jak Janek, to ostatnią koszulę zdjąłby z siebie i oddał; a wtedy może się i wy nawrócicie do mnie z przyjaźnią, jak to bywało wtedy, kiedy..... nieboszczyka syna żeniłem..... z waszą córką.

Ostatnie słowa Ziemba wymówił z wielkiém wzruszeniem i podniósł rękę do oczu, niby dla obtarcia łez, a właściwie, żeby niepostrzeżenie przyjrzéć się twarzom słuchających, i poznać, jakie mową swą wywołał wrażenie. Łatwo bowiem możemy się domyśléć, że wszystko było udane, naprzód obmyślane i oddane z największą zręcznością: bo choć napozór ofiara Ziemby była bardzo korzystną, ale tylko dla niego jednego, gdyż on inaczéj rachował jak wszyscy, i niemal był pewny, że osadziwszy Janka w innych budynkach, część z osady Wojciecha przypadającą na Basię, czémkolwiek zbędzie, i sam zagarnie stare to gniazdo Sierpniów. Po niespodziewaném takiém oświadczeniu, wszyscy milczeli, i nikt nie śmiał piérwszy przemówić. Pan Józef bębnił palcami po stole, Jakób wycierał oczy i nos, a Wojciech wzdychał poglądając na poczciwego Łazę, który podnosił to ramion do góry, to skrobał się w głowę, to zakładał rękę w zanadrze. Nareszcie pan Józef porządnie się nabębniwszy palcami, widząc że wszyscy zachowują uporczywe milczenie, odezwał się piérwszy:

— No, mój Wojciechu, to kwestya zdaje się być rozwiązaną, i kiedy Ziemba tak szlachetnie sobie postąpił, to wam nic nie pozostaje, jak zawołać Baśki i Janka, i myśléć o weselu.

— Ha! dobrzeby to wszystko było, proszę Pana, żeby Jakób tak zrobili jak powiedzieli; chociaż ja ich straty nie chcę i zapłacę sam choć nie odrazu, ale zapłacę wprędce, ale mnie się coś wierzyć nie chce, bo to jakoś ho, ho!—i plasknięciem ust, zakończył zrobioną uwagę.

Łaza nic nie domówił, tylko filuternie się uśmiechnął, skrobnął się w głowę jedną ręką, drugą nos obtarł, i bokiem oparł się o piec. Ziemba odrazu poznał wszystko, a nie chcąc się dać pokonać dwom szpitalnikom, których za głupich uważał, zaraz głos zabrał z tonem wymówki:

— To już tak mało zważacie na starego Jakóba, że nawet nie wierzycie, co on mówi. O! mój sąsiedzie, wielką mi wyrządziliście krzywdę, i niech wam Bóg to przebaczy. Ale żeby was przekonać, że Ziemba chodzi zawsze prostemi drogami, i że co mówi, to robi: pójdziewa do gminnego, albo do sądu, albo gdzie chcecie, i podpiszę się na wszystko pod przysięgą, że tak zrobię jak wyrzekłem. No jakże, czy teraz wierzycie? Ot Pan Dobrodziéj i Łaza mogą być świadkami, i ja teraz was proszę, zróbcie jak powiadam, żeby przecieć my znowu z sobą żyli w przyjaźni, bo nie wiécie, jak to boli.... kiedy *bez* niewinność..... człeka szarpią na honorze.

— No, — odezwał się pan Józef — teraz i ja wierzę: boć przecie cóżby w tém Ziemba miał za interes?....

— No, ma się rozumiéć — przerywając dołożył Łaza, ostatniemi słowy Ziemby zupełnie przekonany o jego szczérości.— Poczciwie *se* poczynacie mój Jakóbie, za to wam Bóg pobłogosławi na waszém dziecku. No, to kumie podziękujcie, *naprawcie* w kieliszek, i na litkup wypijmy potrochu.

— Zapewne, mój Sierpniu, już teraz i wilk syty i owca cała. Weźcie się za ręce z Jakóbem, uściśnijcie na zgodę, bo już zupełnie teraz nie ma wam o co iść. Ziemba przekonywam się, poczciwy człowiek i poczciwie wam życzy.

— No kumie, i czegóż myślicie?—zapytał Łaza.

— Rękę podam—odezwał się nareszcie Wojciech zbliżając się do Ziemby—bo i cóż mi to wadzi żyć z wami w zgodzie i ucałować was po przyjaźni, kiedy tém, coście dziś rzekli, wszystkoście naprawili.—W tém miejscu poczciwe usta Sierpnia złożyły dwa

pocałunki na policzkach Ziemby, zeszpeconych fałszem — ale znowu powiem wam tak, że Sierpniom nie przystoi na cudzém dorabiać się chleba, i jak padło tak padło. Kiedy wy dla Janka tak jesteście szczerzy, Sierpień nie będzie od was gorszy, i przy Boskiéj pomocy pomału tak wyszykuje wszystko, że nikt co ino od Sierpnia pochodzi, pragnący na kawałek chleba nie będzie: bo na co ino tu spojrzycie, wszystko to przyszło z poczciwości, a takiéj pracy, to Bóg *zawdy* błogosławi. Tu każda belka, każda ściana, każda łata, krokwia, to *ino* przez samych Sierpniów stawiane. Widzicie ten siostrzan? Cieśla rok na nim wydłubał, a ja go wtedy zaciągnął, kiedy wielkie się rzeczy odbywały, co wszyscy mówili, że i w niebie lepiéj nie będzie jak u nas. Ale Bogać-*ta*, niedługo tego było i wnet poznaliśwa wszyscy, że się wszystko ino na gadce skończyło. Ten komin, tom go na dach wyprowadził w samą wojnę sandomierską, i choć stary, bo to już jedénasty rok, ale trzyma się krzepko i będzie długo jeszcze stał, żeby ino go kto nie zwalił. A przyciesie od podwórza to pięć lat temu zaciągnąłem wtedy, kiedy nas oddzielili od cesarskich (1), i ta tak zrobili, jak teraz jest. A ten piec co go widzicie, że do połowy od dołu ma kafle, to mój nieboszczyk rodzic zawdy mówili, że wtedy, kiedy się wybierali na wojnę z nieboszczykiem panem z Blichowa, co od niéj nazwali ich konfederakiem, to wtedy ich rodzic a mój dziaduś, własnemi rękami stawiali, i potém zawdy mu mówili, żeby go szanował, nikiéj swego ojca. To téż ja go szanuję, i chociaż już go pół *ino* zostało, bo z wierzchu rozrzucili, ale dlatego dolepiłem go z wierzchu, bo kafli nie było, i szanuję, Bóg świadkiem że szanuję; a wiela razy spojrzę na niego, to zawdy mi się zdaje, żeta słyszę nieboszczyka rodzica jak mi przy piecu różne rzeczy opowiadają. A mój kumie *śliczno* opowiadali; ale nie o tém gadka. Tu znów co widzicie nad mojém łóżkiem obrazy Świętych Pańskich, to *trocha* ja kupiłem, ale te co starsze, jakta moi ojcowie i dziadowie zawiesili, tak wiszą ciągle i poglądają het po Sierpniach; i póki ja żyję, choć poczerniały i zabrudziły się, ale żadna ręka nie zruci ich ze ściany: ja sam na Wielkanoc i Boże Narodzenie okurzam je z kurzu. Otóż to tacy byli zawdy Sierpniowie i ludzie ich mieli w poszanowaniu; dlatego mój Jakóbie choć was szanuję, ale Ziemba nigdy nie zakasuje Sierpnia. Coście dla Janka ofiarowali, zatrzymajcie u siebie, a ja Janka choćby

(1) Lud wiejski, rząd i wojsko austryackie nazywa *cesarskie*.

w jednéj koszuli przytulę do siebie jak zięcia i na ludzi wyprowadzę, aby ino zawdy zważał..... że zabiera mi..... jedyne dziecko z domu..... moję Basię kochaną..... bo syna Bóg mi nie dał.

Stary Sierpień zamilkł, bo rozrzewnienie głos mu zamknęło.

— Brawo, wybornie, mój Wojciechu—zawołał powstając p. Józef, gdy Ziemba jak jaki desperat zwiesił tylko głowę i milczał—tęgi jesteś człowiek, mój Wojciechu, i co hardy to hardy, ale poczciwy.

— To nie nowina—odpowiedział Wojciech z dumą—bo Sierpnie wszyscy zawdy tacy byli; i prędzéjby się ubić dali, jak-ta przypuścić kogo, żeby ich miał zakasować.

— A zatém nic nam nie pozostaje, jak przywołać państwa-młodych i oświadczyć im o waszém, mój Wojciechu, pozwoleniu, chyba że.....

— Co?— nagle zwracając się ku p. Józefowi zapytał Wojciech— może Panosko myśli, że ja cofnę się z mojém pozwoleństwem? To Panosko (niech mi Pan wybaczy, że tak mówię *panosko*), ale całkiem nie znacie Sierpniów: bo u nas już tak zawdy bywało, że co się przyrzekło, to jakby pod przysięgą; dlatego com rzekł, tom rzekł, i choćbym może zaraz żałował, gdyby tak wypadło, to już nie odmienię, bo sumienie więcéj znaczy, jak wszystko. Ale wprzódy trzeba się poradzić Baśki, bo może ona nie zechce.

Stary Łaza wyszedł, p. Józef coś mu także szepnął do ucha, a Ziemba ciągle milczał. Sądząc o rzeczach po sobie, co dla zarobku najlichszego dałby się prawie powiesić: odmówienie przez Wojciecha tak zyskownéj napozór ofiary nie uważał inaczéj, tylko wprost jako domyślenie się tajnych jego zamiarów, i dlatego z pewnym rodzajem wstydu, że pokonany został przez nienawidzonego a hardego szpitalnika, siedział ze zwieszoną głową, nie śmiejąc nawet spojrzéć po izbie.

Wtém drzwi się otworzyły i pokazał się w nich Janek. Przeszedłszy krokiem prędkim przez izbę, ucałował najprzód w kolana p. Józela, a potém przysunąwszy się do Wojciecha i obejmując mu w uścisku nogi, mówił z rozrzewnieniem:

— Mój tatusiu, mój drogi tatusiu, Bóg wam zapłać, niech wam Bóg wynagrodzi waszę dla mnie życzliwość, że ulitowaliście się nademną biedną sierotą. Mój tatusiu, mój Boże jedyny!.... póki żyć będę....—nie mógł już daléj mówić biedny a uszczęśliwiony chłopiec, tylko prawie łkając od płaczu obchodził wszyst-

kich znajdujących się w izbie, i ściskał ich i całował po nogach. Sierpień powstając z powagą, tonem spokojnym, z głową do góry podniesioną, lecz z wypogodzoném obliczem, przemówił:

— Moje dziecko, ale gdzież Basia?

Na uczynione zapytanie, zaledwie przez Łazę namówiona Basia, z oczami spuszczonemi i cała krasna jak świeżo dojrzała jagoda przeszła szybko przez izbę, i nic nie mówiąc, prawie dusząc się od płaczu, obejmowała nogi w uścisku wszystkich koleją. Najdłużéj jednak zawisła u nóg ojca. Rysy twarzy Wojciecha coraz bardziéj łagodniały, nawet łza się pokazała w oku; chciał coś przemówić, lecz od wzruszenia usta mu tylko drgały nie wydając żadnego głosu, i wzniosłszy oczy w górę zdawał się w myśli odmawiać modlitwę. Potém rękę położył na głowie dziewoi, zrobił znak krzyża śgo i tak zawisł przez chwilę. I cicho się zrobiło w izbie Wojciecha, westchnienia krzyżowały się z sobą, przerywane tłumionym łkaniem Janka i Basi, rozrzewnienie na wszystkich jaśniało twarzach, tylko na Ziemby przybrało jakiś wyraz prostéj ciekawości, dziwnie odbijający od ogólnego wszystkich rozczulenia.

Po małéj chwili scena się zmieniła: Basia ukryła się za Łazą pod piecem, Janek ze spuszczonemi oczyma pozostał na środku, obracając w ręku kapelusz, a Wojciech już znacznie uspokojony, przemówił:

— Moje dzieci, niech wam Bóg błogosławi! Jak chodziliście dotąd w potulności i uszanowaniu dla starszych, tak i daléj tego nie zabaczajcie. Póki ja żyję, będziewa razem pracowali, a potém, jak mnie Bóg weźmie do siebie, obmyśli się dla was kąt. Abyście statkowali, chleba wam nie braknie: bo kto się ino przytulił do Sierpniów i wszedł do ich *familii*, to nie zaznał co to jest biéda.....

— Ja nic nie chcę od was, mój tatusiu — przerwał Janek — i tak was we wszystkiém będę słuchał, tak będę pracował, że wystarczy nazawdy i dla mnie i dla Basi.

— Wiem o tém moje dziecko, wiem; a żeby Bóg wam we wszystkiém dopomagał, wystawię zaraz za wsią krzyż na uproszenie błogosławieństwa Boskiego, potém sprawimy wesele. ...

— Tak mój Wojciechu, i huczne wesele. Ja zawczasu zapraszam się z moim Władysiem; a jak on śpiewać ślicznie umié, jakie piosnki, a wszystko od Janka się nauczył, bo nie uwierzycie mój Wojciechu, jak on go lubi, i najwięcéj prawie mnie namówił,

żebym tu przyjechał i wstawił się za Jankiem do was. Zawsze mu grywa na skrzypcach.

— O! proszę Wielmożnego Pana — przerwał Janek — teraz się zabaczy i o graniu, i o skrzypkach....

— I o przepędzaniu nocy pod figurami — dołożył pan Józef.

— O! o wszystkiém, mój Wielmożny Panie i mój drogi tatusiu — odpowiedział Janek z ukłonem — bo co mi będzie po tańcu, po graniu i po mitrężeniu w nocy pod figurą, kiedy zawdy będę przy Basi!

— No, pamiętaj chłopcze, żebym się nie powstydził swatów.

Nie będziemy więcéj nudzić czytelnika opisywaniem dalszéj rozmowy między zgromadzonemi w chałupie Sierpnia. Nie szczędzono rad, napomnień, uwag, a gdy na dany rozkaz Basia upaliła krupniku z miodem, rozmowa coraz się więcéj zaczęła ożywiać. Wojciech wspominał dawne czasy i co słyszał od ojca swego; pan Józef mu wtorował i przypominaniem pomagał pamięci; Łaza za każdém odezwaniem się nie zaniedbał wprzód powiedzieć: z przeproszeniem Wielmożnego Pana; Ziemba dorzucił czasem słówko, głównie uważając, czy zaufanie jakie mu powrócono, nie jest tylko udaniem, i potulną minką, dobrodusznością w mowie, starał się otumanić ludzi, których pomału myślał oszukać; a Janek tylko wodził okiem za Basią, wybiegającą to do sieni, to do komory, albo krzątającą się po izbie.

Nareszcie uchwaliwszy, że po siewach zaraz odbędzie się wesele, najprzód wyruszył do domu pan Józef, późniéj Ziemba z małym wnukiem, a w godzinę dopiéro Łaza nieźle podchmielony, bo i szedł troszkę zygzakiem, i pośpiewywał, i nie na żarty garnął się z Baśką do tańca, ciągle mówiąc:

— Poczciwy ten Wny Pan Józef, że nie gardzi chudemi pachołkami. Niech mu Bóg w dwójnasób wszystkiego daje, bo poczciwy, nie hardy, nie tak jak inni....—Wówczas Sierpień zwykle przerywał, bo pochwałom nie byłoby końca, dodając z pewną dumą:

— Mój kumie, my się z panem Józefem od czterdziestu lat znamy i zawdy z sobą dobrze żyjewa; a dla Sierpniów to nie nowina, że do nich szlachta zajeżdża. Nieboszczyk pan....

I tu następował długi wywód różnych nazwisk pańskich, jak Sierpniów odwiedzinami zaszczycali, ze wszystkiemi towarzyszącemi im okolicznościami, który zwykle przerwany przez Łazę po-

chwałą i błogosławieństwem swego dziedzica i pana Józefa, kończył się domówieniem Wojciecha:

— Tak, tak, mój kumie, wy mało jeszcze znacie jakato nasza *familija*; to nie Ziembowie, nie Szajowie, ani Niezgodowie.

— Ho! ho! ho!—przerywał Łaza niby zdziwiony, chociażto już słyszał po raz setny—to wy tak wysoko chodzicie? Ho! ho!

— Tak mój kumie, oni ani się umywali do Sierpniów; gdzie, gdzie!....

— Ho! ho! ho!—zakończył Łaza, i ujmując się w boki, w zalotnych podrygach przysuwał się ku Basi śpiewając:

Da Tudruś, moja Tudruś,
Da kajś Tudrusię podział;
— Da wsadziłem ją za piec,
Da butamim ją odział.
Ha! ha!

I rozmowę w ten sposób prowadzoną, ciągle obracano wkółko, naturalnie innym tylko szykiem i z licznemi waryantami i zboczeniami; aż doszedłszy do wpół drogi, gdzie Wojciech z Basią Łazę ku domowi odprowadzili, po serdeczném kilkorazowém ucałowaniu się i wzajemném poleceniu opiece Boskiéj, rozstali się kumowie, i każdy poszedł w swoję stronę.

I wśród ciszy nocnéj, po ziemi sowicie zwilżonéj rosą, długo potém brzmiała wesoła piosnka Łazy o Tudrusi, którą sobie uweselał samotną pielgrzymkę; lecz co chwila piosnka stawała się słabszą, coraz niewyraźniéj wysuwała się z wąwozów ukrywających śpiéwaka, aż nareszcie rechot żab, przerywany dalekim poszczekiem psa czujnego, złączył się razem z wywodzonemi tonami i zagłuszył melodyjną pieśń Łazy.

Tak się ukończył wieczór pamiętny swatami Janka z Basią.

Wkrótce przeszły żniwa, za niemi i siewy jesienne. Janek ochoczo, żwawo zajęty obowiązkami służby, czekał z upragnieniem dnia na wesele przeznaczonego, w jedne tylko święta widząc Basię; ta znów krzątała się około gospodarstwa, a Wojciech zbliżony do Janka, coraz lepiéj poznając poczciwy grunt jego serca, z każdą bytnością więcéj przywiązywał się do chłopaka, mającego wkrótce przybrać tytuł zięcia.

Nadszedł nareszcie dzień z taką niecierpliwością oddawna oczekiwany. Pospraszano wszystkich krewniaków na starostów i starościny; te ostatnie poprzybierały sobie druchny. Janek zmówił ośmiu parobczaków na drużbów, najął muzykę, skrzypka z basa-

mi, i wkrótce wyszykowało się grono weselne, i liczbą i doborem godne Sierpnia i takiéj pary, jaką była Basia z Jankiem.

Wojciech zabił kupioną poprzednio krowę i dwóch baranów na obiady dla sproszonych gości, sprowadził beczkę piwa i sporą baryłkę wódki, z izby wszystkie sprzęty przeniesiono do komory, a tak wszystko kazało się spodziewać, że zabawa będzie co się nazywa: bo znając Sierpnia, wiedzieli, że wystąpi z całą gościnnością, z całą pompą odpowiednią i dawnéj z dziada pradziada zamożności, i godności rodu z którego pochodził.

Krętaniny więc w chałupie Wojciecha co niemiara. Kumoszki zlewają wódkę do flaszek i gąsiorków, inne zarabiają ciasto na placki, te palą w piecu, tamta robi masło, inna znów stołki pomywa lub płucze flaki, ten najlepszy przysmak weselny. Mięso poćwiertowane, drób' świeżo porznięty zalega ławy i stoły, daléj kiełbasy, wędzonki, séry i ogromne bułki świeżo upieczonego chleba razowego. Wojciech z parobkiem zajęty jest przygotowaniem sieczki i obroku dla dobytku, a Basia chowa do komory najmniejsze drobiazgi: bo dziś często się zdarza, że w chwilach tak uroczystych pozbawione właściwego dozoru, przechodzą na bezpowrotną własność ciekawych, choć nieproszonych przybyszów, którym, przyjętym przez włościan zwyczajem, nie można drzwi zamknąć przed nosem, ani ich wyprosić. Schodzi się ich tyle, że bez porównania przewyższają liczbę godowników, bo każdy biegnie na gapiówkę, kto tylko żyje we wsi.

Lecz nie na tém się kończy ta poczciwa wieśniaków gościnność; ci sami natrętni przybysze, szczególniéj wieczorną porą wziąwszy wszystkie drzwi, okna, sień, a nawet większe pół izby, małe zaledwie kółko zostawiając do tańca, jakby w oblężenie, niby zapraszani łączą się z weselnikami, jedzą, piją, tańczą i tylko powszednim strojem różnią się od właściwych gości, przywdziewających zwykle na wszystkie podobne uroczystości paradne świąteczne szaty.

Wesele więc na wsi staje się zabawą już nie kilkunastu osób, ale wsi całéj, i dlatego tak są kosztowne, pochłaniając massy jadła i wódki, coby prawie całą familią przy rządności przez rok cały mogły wyżywić.

Nareszcie przygotowania skończone, goście pozapraszani. Janek w dwóch sukmanach, w modréj i białéj, Basia z głową suto ustrojoną wstążkami i kwiatami, w niedzielę rano poszli do kościoła do spowiedzi, wieczorem odbyły się rozpleciny, a w poniedziałek z wrzawą, ze śpiewem, z turkotem wozów i tętentem ga-

lopujących pod drużbami koni, cała weselna drużyna udała się do kościoła parafialnego, zkąd inną drogą, aby śmierć drogę sobie zmyliła, już państwo młodzi jako Janowie Gruzdowie wrócili do wsi.

Żeby jednak nie zawadzać przygotowaniom domowym, zwykle powracające wesele wstępuje do karczmy, tam hula do północy, i potém dopiéro przy śpiewie, graniu i wesołych pokrzykach, wszyscy i goście i nie goście pospieszają do rodziców panny-młodéj na suty obiad.

Zaproszeni z grajkami na czele obsiadają stoły, jedzą, śpiewają, żartują; nieproszeni całym tłumem przypatrując się, wtorują śmiechem weselnemu gronu, a bliższe domu przyjaciółki zajęte przyrządzaniem jedzenia, muszą dobrze się tłoczyć, aby z kurzącemi miskami rosołu, flaków, kaszy jaglanéj na mléku, kapusty, grochu i t. d. mogły się przepchać do stołów. Nad ranem wszyscy się rozchodzą do domu, trochę dla spoczynku, głównie zaś dla obrządzenia własnego gospodarstwa; i głośno śpiéwając co tylko gardło wystarczy i udając pijanego, aby cała wieś wiedziała, jak suta była zabawa, rozłażą się po wsi, muzyka się wysypia, zabawa na chwilę milknie, rozpoczynając się na nowo z nowym ogniem, z nowém życiem, jak tylko słońce zaczyna zapadać w zachodzie.

I tak wesele jak się zacznie w niedzielę wieczorem, przeciąga się często do czwartku, a nawet do piątku, z bezmiłosiernem rozrzucaniem mięsa, chleba, séra, wódki, jakby *jutro* żadnych potrzeb nie miało, a tylko dla *dzisiaj* trzeba było jedzenia i picia (1).

(1) Dla lepszego pojęcia obfitości jedzenia, a szczególniéj mięsa znajdującego się na weselach włościańskich, może posłużyć jako dowód następne zdarzenie, za którego rzetelność poręczamy. Franek Kroczak, właściwie Niezgoda, z rodu Świątniczan, a ze zbiegu nieszczęśliwych dla siebie okoliczności przeszły na zagrodnika pańszczyznianego do wsi sąsiedniéj, okazywał wielkie skłonności do roztycia się; ale naturalnie przy ciężkiéj i ciągłéj pracy i przy mącznym i roślinnym pokarmie, wszystko kończyło się tylko na cechach zewnętrznych, przedstawiając Franka chociaż barczystego i z wydatnemi kośćmi, ale z twarzą dosyć mizerną, oczami i policzkami zapadłemi, słowem z miną człowieka dobrze wygłodzonego. Na raz jeden po weselu we wsi, na którém Franek był starostą, zaszła w całéj jego postaci zmiana nadzwyczajna: oczy wybiegły naprzód, twarz się wyrównała, policzki nie czerniły się zapadłemi dołami, pas ukrył się pod brzuchem, słowem Franek wyglądał jak napuchły, boć niepodobieństwem się zdawało, aby w przeciągu niespełna tygodnia, bo tak długo trwało wesele, mógł ktoś naturalnym sposobem nabrać tuszy i formalnie utyć. Obawę tę i postrzeżenie mając sobie

Wojciech Sierpień wierny przyjętym zwyczajom, ani na jotę od nich nie odstąpił. Już trzeci dzień wrzawa weselna rozlegała się w chałupie Sierpnia, a on tylko chodził między zgromadzonemi, poprawiając często na głowie znaną tak wszystkim czapkę niebieską: zapraszał, częstował, wyprowadzając lepiéj znajomych do komory, gdzie przy kieliszku toczono gawędy, śmiano się, żartowano, wtorując tém niejako w wesołych pokrzykach hulającéj w izbie młodzieży.

Na czepiny zjechał i pan Józef ze swoim synem Władysiem: i jakaż była radość Wojciecha, gdy mały dziesięcioletni chłopaczek zrzuciwszy z siebie płaszczyk, okazał się cały w sutém ubraniu Sandomierzaka.

Nie mogli mu się dosyć wszyscy napatrzéć, a gdy śmiały chłopaczek w duchu swojéj roli przysunął się do Sierpnia i kłaniając się nizko chciał uścisnąć za nogi; Wojciech nie dopuścił, ujął w pół chłopaczka i podnosząc ku twarzy, przemówił:

— Paniczu, choć to *bez* żart, ale i w żarcie niegodzi się pańskiemu dziecku ściskać nogi chłopskie.....

— Ja wam mój Wojciechu—przerwał chłopaczek cienkim głosem—chciałem podziękować za Janka. Ale cóż, ładnie mi po sandomiersku?

— O ładno paniczu, ładno: dzielny z panicza parobczak.

— Chodźmy Wojciechu do izby, tam grają, tam tańczą, ja wezmę Basię i będę wam śpiewał, a zobaczycie, co ja umiem różnych rzeczy śpiewać: Ho, ho! ale chodźcie prędzéj.

I wszyscy z komory wyruszyli do izby. Wojciech żeby uchronić Władysia od podeptania, niosąc go na ręku tłoczył się między zgromadzonemi; każdy z zajęciem przypatrywał się paniczowi w chłopskiém ubraniu, on znów witał znajomych po imieniu:

Franek udzielone, tylko się uśmiechnął z zadowolenia, a potém skrobiąc się w głowę odpowiedział: „Ej! nie, proszę Wielmożnego Pana, zdrów Bogu dzięki jestem i przecież mnie po pyskach nie prali (bili), żeby miały aż z tego popuchnąć. Ale się, proszę Wielmożnego Pana, było bez tydzień prawie na weselu, wszystkiego było nieskąpo, jedliśwa mo mięso i mięso, człekta tego nie *nauczny*, jak se też bez tyla dni pozwolił, ą samego mo mięsa, tak się trocha poprawiło (utyło)." I w tem miejscu boleśnie westchnąwszy zakończył nizkim ukłonem: „Ale to-ta wszystko, proszę Wgo Pana nie na długo, za tydzień to i znaku nie zostanie."

Zgadł biedny Franek, w tydzień powrócił do swojéj wygłodzonej fizyognomii, z upragnieniem oczekując zapewne nowego wesela, a tém samém i nowego poprawienia się.

— Jak się macie Józefie, jak się macie Grzesiowa; a ty Wojtek także tu? i Zośka, i Kaśka?—Chłopiska się tylko uśmiechali oddając witaniem za witanie, i potém częstując się tabaką, mówili między sobą:

— Już widać, że w dzieciuchu poczciwe serce, bo i nie hardy, i umié się przypochlebić.

— Rychtyk mój kumie, jak i stary: bo żywy nikiéj skra, i znowu dobry, że ino do rany przyłóż.

— Równie pan Józef, to ujdzie szlachcic.

— Ani gadania, że poczciwy to każdy to powié.

I wśród witań, całowań i żartów ze stroju małego Władysia, przetłoczył się nareszcie Wojciech do samego grajka. Muzyka zaraz ucichła, a on chłopaczka stawiając na ziemi, wyrzekł.

— No, panie drużbo, teraz tańcz i śpiewaj! Baśka! Janek!

Nadbiegli państwo młodzi nie mogli się dosyć nacieszyć zrobioną im niespodzianką; nachyleni nad Władysiem kładli mu w kieszonkę sukmany jabłka, orzechy, kawałki sera i placka, powtarzając ciągle: a jaki panicz ładny, a jaka ładna sukmana, i czapka, i buty i *fontaż* u koszuli; a to *rychtyk* wszystko jak u nas. A dziecina bawiąc się koralami u szyi Basi i gładząc ją po zarumienionéj tańcem buzi, ciągle szczebiotał:

— Ja nie panicz, tylko starszy drużba. A ty Baśka niedobra, bo zabierasz mi Janka: a kto mnie będzie uczył grać na skrzypcach, jak jego nie będzie? Ale ty przyjdziesz do nas do dworu?

— Przyjdę, paniczu.

— I z Basią?

— I z Basią, paniczu.

— I z Wojciechem?

— I ze wszystkiém, i z tatusiem, nasz kochany paniczu.

— Ale panicz trocha ze mną potańczy?—zapytała Basia obdarzając chłopaczka serdecznym pocałunkiem, którego kto wié czy Janek nie pozazdrościł.

— A jakże, potańczę, i będę śpiewał, zobaczysz.

— To ja paniczowi sam wtedy zagram—dołożył Janek.

— Dobrze, dobrze.

Gdy tak wszyscy zajęci Władysiem, w drugim końcu izby pan Józef, Łaza, Ziemba i dwóch innych gospodarzy gawędzą z sobą. Wojciech obczęstowawszy wódką chciał gości poprowadzić do komory, aby nie przy tak licznéj gawiedzi mogli sobie lepiéj pozwolić, ale pan Józef zostawił to na późniéj. Gospodarz już

więcéj nie nalegał, tylko podbiegłszy do małego chłopaczka dał mu troszeczkę wódki, namawiając do tańca.

Zaraz ruch się zrobił w całéj izbie, wszystko zaczęło się tłoczyć ku muzyce, któréj miejsce zajął Janek. Na przodzie z Basią stanął Władyś, za nim coś ze trzy pary, aby paniczowi raźniéj było hulać, a małe kółko przeznaczone do tańca opasała ściana głów ludzkich, ciekawie przypatrujących się.

Janek uciął na skrzypkach, basy zahuczały, a Władyś naśladując ruch i postawę starego chłopa, potrząsając głową, zakładając rękę za pas, wstrzymał się i śpiewał:

Hejże ino, hejże w tany,
Boćto dzisiaj jest wesele;
Nie bawią się lepiéj pany,
To najgorsze na nas ziele.
Hejże ino, hej! wesoło!
Obracajwa się wokoło,
A kiejśwa się rozhulali,
Hoppa! hoppa! hoppa daléj!

I przytupując Władyś, obraca się wkółko. Przypatrujący coraz więcéj uszczuplają miejsca do tańca, takby radzi wszystko usłyszéć co panicz śpiewa, a Wojciech z uśmiechem zadowolenia przysłuchując się śpiewowi, obraca się kiedy-niekiedy do pana Józefa, mówiąc z uwielbieniem:

— Coto za ucieszny dzieciuch! Jak to mu się w głowie nie pomiesza! O! niech Panosku Bóg da wszystko dobre, że nie zabaczył o swojém przyrzeczeniu.

— Ba! ba! ba! — odpowiedział pan Józef — za cóżto mnie macie, za hetkę pętelkę, czy co? Słowo się rzekło, kobyła u płotu. Tylko wy mój Wojciechu żebyście znów zjechali do mnie, jak Władysia będę żenił.

— Bóg świadkiem że będę, aby ino Bóg życia pozwolił. Tak, będę, będę.

W tém miejscu śpiéw Władysia przerwał dalszą rozmowę:

Hej! panowie ciarachowie,
Co też chodzi wam po głowie;
Wam się zdaje, że sukmana,
Nie weszłaby i na pana.

A na chłopie choć sukmana,
Jednak śpiewa: dana, dana!
A na panie kusy fraczek,
I dlatego nieboraczek!

Cała izba aż się zatrzęsła, tak śmiechem zadowolenia buchnęło zgromadzenie patrzących; a Wojciech podnosząc w górę małego śpiewaka, wyrzekł tonem wzruszonym:

— O! paniczu, mój mały kochany drużbo, czemuż mi Pan Bóg nie dał takiego syna? Patrz, jakby ci to ładno było za Sierpnia. — I Wojciech to mówiąc, włożył swoję niebieską czapkę na głowę malca. Władyś przekręcił ją na bok, i junacznie głową potrząsając, mówił:

— Prawda, że byłoby mi ślicznie, a jakby kto wlazł mi w drogę, tobym tylko krzyknął: umykaj! bo Sierpień idzie! a do tego brwi i czoło zmarszczył, to każdyby uciekał za dziesiątą granicę.

— Dobrze paniczu, tak zawdy trzeba być hardym, byle poczciwym. O! *rychtyk* ci się *podało* Sierpniem urodzić, a jabym cię tak pieścił, tak szanował, że chybaby ino ptasiego mléka ci brakowało.

— A toby mi dobrze było u was!

— O! dobrze, dobrze, mój złoty paniczu.

— No, puśćcie mnie, to wam jeszcze coś zaśpiewam.

— Wojciechu, nie bałamućcie mi dzieciaka—odezwał się pan Józef.

— O! żeby ino można, mój drogi Panie!

— Pan Dobrodziéj—odezwał się z lisią miną Ziemba—*ino* połakomił sąsiada takim ładnym paniczem. Chociaż nigdy chłopskie dziecko nie wyrówna szlacheckiemu, a Wojciech tak pragnący na syna.....

— Ej! co tam—przerwał z niezadowoleniem Łaza—wywodzicie takie gadki, jakbyście nie wiedzieli, ila kum mają zawdy frasunku, że Bóg mu uskąpił syna.

— No, to dobrze paniczu—odezwał się Sierpień stawiając malca na ziemi i patrząc na niego z uczuciem prawdziwie ojcowskiém—śpiewaj jeszcze paniczu, bo Bóg świadkiem, że mi jakoś tak dziwno, jakby mi się i śmiać i płakać chciało. O! Boże jedyny!

I starzec rozrzewniony pocałował w rękę pana Józefa, z zadowoleniem pokręcającego wąsa. Muzyka znowu się ozwała, wszyscy się uciszyli, a Władyś zaśpiewał na nutę smętną, jakby żalem i skargą przejętą jednego z tych krakowiaków, tak znanych dla naszego ucha, co i miłe a zarazem bolesne wydobywa z piersi westchnienie. Poznał Wojciech dobrze mu znaną piosnkę, którą

nieraz w pochodach wojskowych pokrzepiał strudzone siły, a obracając się do pana Józefa, ze łzą błyszczącą w oczach zawołał:

— Panie, jak mi Bóg miły, to nie dziecko, to prawdziwy anioł: bo mi tak wszystko żywo przed oczy staje, jakbyta nie było kiedyś, ino dzisiaj. O Boże, Boże! Paniczu, drogi paniczu, co chcesz to bierz ze mnie, ino śpiewaj choćby do jutra, choćby *bez* noc całą.

Władyś na znak dany przez ojca stanął na środku izby, około niego uklękła Basia z Jankiem pieszcząc i całując po rękach. Pan Józef z Sierpniem usiedli na ławie, daléj trochę Łaza i Ziemba, a wokoło uszykowała się reszta ciekawych, wieńcem głów opasując małego śpiewaka.

Władyś zuchwało przekręcając czapki na bakier i przytupując nogą, cienkim, ale dosyć przyjemnym głosem śpiewał:

Hej! tam w karczmie za stołem,
Siadł na ławie Jan stary,
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary: i t. d.

Podczas śpiewu, wszystkie wzruszenia, które poruszały duszę Sierpnia, malowały się na jego twarzy: czasem zwiesił głowę, jakby mu się przemknęło niemiłe wspomnienie, czasem podniósł ją dumnie w górę, przytupnął nogą, uderzając w takt pięścią po stole, czasem głośno powtarzał ostatni wiérsz każdéj zwrotki; a gdy Władyś ukończył śpiewanie, on rozkładając ręce i w uścisku obejmując chłopaczka, zawołał:

— Basiu! co ino jest wódki w komorze wszystko przynieś: i placki i sér i co znajdziesz, bo przy takiéj uciesze to warto wszystko oddać, co ino człek ma przy duszy. O paniczu, o mój drogi kochany panosko! teraz będziem pić, jeść i bawić się. Daléj Basiu, spiesz się, a ty zięciu zagrasz, bo i my trochę poskakawa.

Niedługo i kieliszek zaczął krążyć między wszystkiemi, bez względu czy kto należał lub nie do wesela. Władysia ledwo nie uduszono w tłoku, tak go wszyscy obsypywali całowaniem i pieszczotami.

P. Józef wąsa kręcił; Łaza z poczciwym uśmiechem skrobał się w głowę; Ziemba na wszystkich poglądał zpodełba, a Wojciech to Władysia całując, to p. Józefa po rękach, to w głowę nizko mu się kłaniającego Janka, ciągle wołał na Basię.

— Dawaj Basiu, nie żałuj, bo to twoje wesele. U Sierpniów nigdy skąpo nie bywało, to i teraz nie będzie, kiedy mi Bóg taką zdarzył uciechę. Jédźcie i pijcie moi ludzie, moi sąsiedzi.

A gdy przy napitku i jadle i gwar się zaczął powiększać, Janek wziął za skrzypki i w żwawym oberku puścił smyk po strunach. Wszystko co żyło pobrało się w pary: na przodzie Władyś z Basią, za niemi p. Józef z jedną z starościn, daléj Wojciech, Łaza i inni w parach bez końca, że tylko przy drzwiach zostało się troszkę osób przypatrujących, i sam Ziemba z chytrym uśmiechem na przodzie przy muzyce.

Brzękły podkówki i taniec się rozpoczął, a potém długo wesołe pokrzyki z szumem wiatru przebiegały między sadami i chałupami wsi świątnickiéj. Starsi nienależący do tańca przypatrywali się wesołym pląsom i gwarzyli między sobą powiadając:

— Oho! jak Świątniki Świątnikami, tak jeszcze nie było takiego wesela i *właśnie* już nie będzie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HAGAR NA PUSZCZY.

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa
A wkoło pustynia. Do Ciebie Jehowa
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw Panie! by niebo nademną wychłodło,
I skały granitu zmień Panie na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż, Jehowo! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni pana mojego, ni ród?
I nigdyż już, nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi, i płacze mój syn.
Jam Panie kochała, i była kochaną,
Szczęśliwą. To słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Izmael—bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Izmael opada jak kwiat.
Ja tobie, o Panie! natenczas się kłaniam,
I syna mém ciałem przed wiatrem osłaniam,
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku:
Dławionéj gazelli to wrzask.
A wkoło szakale oczyma mi świécą,
I wyjąc uchodzą, bo myślą, żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask!

I nieraz na białym szkielecie wielbłąda,
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda:
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potém w mój zawój uderzy skrzydłami,
I drugim zakracze na łup.

I nieraz gdy usnę, ja niosę.... O Boże!
Izmael się zachwiał, iść dalej nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył: o Panie! on pragnie,
O! Panie! twa łaska niech ku mnie się nagnie,
Tyś wielki! tyś mocny, tyś Bóg!

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada!
I usta spalone do ust mych przykłada.
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody! och rosy,
Kropelkę, kropelkę choć dżdżu!

K. W.

KILKA SŁÓW

O STANIE DZISIEJSZYM MEDYCYNY WE FRANCYI.

PRZEZ

Dra Med. Ludwika Koehler.

(Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, dnia 25 stycznia 1852 r.).

Jest to w naturze człowieka, iż stanowisko zapatrywania się na rzeczy odnosi zwykle do siebie samego; dopiéro na porównaniu i wnioskach ztąd wyprowadzonych, opartych na usposobieniu indywidualném, stawia cały budynek następnych dowodzeń i axyomatów swoich. Gdy zaś z lat upływem, znużony na drodze pracy i doświadczenia, przestaje już poić wzrok chciwy w błyskotkach ponęty przyszłości; gdy raczéj wspomnienia tylko stają się duszy pokarmem: wszelkie wrażenia zmian, wynikające choćby nawet z koniecznéj następstw kolei, skoro uderzają nagle nieprzygotowany umysł, przejmują go niechęcią i tęsknotą, czynią go niesprawiedliwym w wyrokach swoich, a zawsze nazbyt surowym sędzią w ocenianiu dostrzeganych różnic i przeobrażeń, choćby takowe napotykane były na drodze ulepszeń i prawdziwego postępu.

W takiémto usposobieniu umysłowém, w podróży podjętéj niedawno celem poratowania zdrowia, przebiegałem główniejsze stolice. Zatrzymującemu się tu i owdzie, przez czas mniéj więcéj długi, stręczyła się obficie sposobność widzenia i uważania najrozmaitszych przedmiotów. Z tego natłoku różnorodnych wrażeń, skreślić pokrótce zebrane myśli i uwagi, zamiarem było niniejszéj rozprawki. Lecz chciawszy opisać wszystko z kolei, w miarę nasuwają-

cych się przedmiotów, jakkolwiek byłoby rzeczą najwłaściwszą, bo najprostszą: doprowadziłoby do ustępów i zboczeń, niezawsze w ścisłym związku z medycyną zostających; powiodłoby daleko poza szczupłe granice zarysu, jaki sobie założyłem, zamierzając powiedzieć słów kilka wyłączniéj o dzisiejszém stanowisku medycyny we Francyi, czyli właściwiéj w państwa tego stolicy.

Wprawdzie i tak jeszcze, poczynając to małe sprawozdanie wprost od opisu wrażeń doznanych w Paryżu, nie uniknę zarzutu niedokładności układu: bo dziś zapewne ilekroć jest mowa o postępie nauk lekarskich w ogólności, pod żadnym względem niegodzi się już pomijać krainy Niemiec, a mianowicie téż szkoły wiedeńskiéj i pragskiéj, które w ubiegłych lat dwudziestce, z długiego uśpienia wyrwane, jakby nowemi siłami skrzepione, nowém i pełném chluby zajaśniały życiem; które jeśli tak daléj na drodze czystego doświadczenia, niekrzywionego marzeniami przesadzonych teoryj, postępować będą, niepospolite rokują dla nauk korzyści. Bochdalek, Pitha, Hamernik, Jaksch, Arlt, Szkoda, Rokitański, Dlauby, Patruban, Dumreicher, Moisissowicz, Hebra, Sigmund i tylu innych, zpośród których pod względem praktycznego znaczenia pzywiodę tu jeszcze słusznie wielbionego Oppolzer: wszystko znane nazwiska mężów znamienitych, przyjaźnie odbijające się o ucho nasze, nakazujące spodziewać się coraz większych, coraz świetniejszych zdobyczy na coraz uprawniejszém polu naukowego postępu. Lecz w przelocie tylko nawiedziłem te kraje, i nie śmiałbym obszerniéj rozwodzić się nad tém, czego sam dokładniéj zbadać nie miałem dostatecznéj sposobności.

Do Paryża przybyłem w porze najniewłaściwszéj, bo w czasie feryj, w czasie zawieszenia wszelkich kursów naukowych, kiedy nawet służba szpitalowa po większéj części zastępczo tylko wykonywaną bywa. Jakkolwiekbądź, po dwudziestu trzech lat upływie, zawitawszy do téj tak zwanéj świata stolicy, uległem mimowolnie wrażeniom, często przykre i bolesne budzącym uczucia. Dlatego głównie téż może nie wszystko nowe zdawało mi się dobrém, nie każda zmiana poprawą lub ulepszeniem, nieporównanie zaś częściéj mniemałem dostrzegać niepowetowanéj straty dawnego. Najdotkliwszém wszakże było uczucie, kiedy wiedziony pamięcią wdzięczności, szukałem mężów, którzy dawniéj zasilali i kształcili mnie nauką i doświadczeniem swojém. Połowa niemal tych świateł, gorejących jasnym płomieniem u zenithu Paryża, już była zgasła i przeszła do wieczności! Wprawdzie odblask siły ich gieniuszu, niegdyś skupiony

w pojedyncze ogniska pełne połysku i chwały, nie przestał i dziś jeszcze przyświecać téj szczęśliwéj dziedzinie nauk, wśród któréj rozlał się on teraz w bardziéj powszechnego światła szerokie strumienie. Paryż albowiem nie przestał być owém miejscem wyborowém, na którém teoryczne wiedze, praktyczne znalazłszy zastosowanie swoje, strzegą niezrównaną sposobność do ukształcenia, do wydoskonalenia nabytych wiadomości. Tu z każdym dniem, z każdą chwilą gromadzą się i rosną niepojęte skarby sztuki; tu nauki rozpostarły swoje panowanie. Prawdziwie uderzającém jest powszechne ubieganie się i wysilenia pojedynczych, ku wzbogaceniu i rozwinięciu umysłowych pojęć; a wśród tak ogólnego popędu i dążenia, głównie może nauki przyrodzone dosięgły szczytu doskonałości, odniosły palmę chlubnego zwycięztwa, i ubiegłszy współzawodniczki swoje w dociekaniu i zbadaniu tajemnic przyrody, przodkując innym, torują drogę do należytszego uważania i poznania rzeczy. W tymto zakresie niepodobne niemal dopiętém zostało; i jedno nowe, nowsze wywołuje odkrycie. Może nigdy zaciekłość badawcza nie była większą, nie poruszyła jednocześnie tylu dzielnych w zawodzie mężów, do ubiegania się z takiém poświęceniem i z taką korzyścią. Ale też może nie masz drugiéj metropolii, w któréjby do takiego stopnia rząd zdawał się wchodzić w zapasy z usiłowaniami każdego pojedynczego dla pożytku dobra ogólnego ludzkości, dla postępu nauk w powszechności. Anglia, ta błoga ziemia, na któréj szczyt gieniuszu ludzkiego zastosowany do przemysłu społem, wywołał brzemię niepojętych dostatków, stał się źródłem pomyślności i dobrego bytu całego narodu, zlał dobrodziejstwa ogólnéj oświaty na każdego członka społeczeństwa: Anglia, albo raczéj jéj stolica Londyn, pod dopiéro wymienionym względem uważana, nie może się równać z Paryżem. Tu bowiem poświęcenie jest indywidualne, zupełne i bezwarunkowe; tam zaś wszystko ma swój cel stanowczy i jedno tylko dążenie, do przemysłu skierowanego, do dobra bytu ogólnego.

Na tém polu chwalebnego ścierania się, sztuka lekarska, jako część najważniejsza nauk przyrodzonych, niepospolite zajęła miejsce; a zaszłe tu zmiany z upływem lat zaledwie trzydziestu, prawdziwie są uderzające i godne podziwu. Różnica dzisiejszego stanowiska medycyny we Francyi, dzisiejszego pojmowania i wykonywania téj sztuki, znamionuje się głównie nagłém przejściem z jednéj ostateczności w drugą. Dawniéj ściśle hołdownicza systemom, od czasu śmierci Broussais'go, tyle z wielu miar zasłużonego męża, medycyna i chi-

rurgia francuzka stały się wyłącznie eklektyczne: uzasadnione na ścisłém badaniu i ocenieniu przyczyn i skutków, na zastosowywaniu sposobów leczenia do każdego pojedynczego przypadku, nie ulegając już bezwarunkowo żadnemu układowi czysto teorycznemu. Zapewne dziś nie przyjdzie na myśl nikomu, szukać jedynéj przyczyny chorób w zadrażnieniu błon szluzowych kanału kiszkowego, na pokonanie którego tylko lancet i pijawka pozostawały jedynemi środkami zbawienia. Wszędzie natomiast napotykamy przeważną dążność usiłowania lekarskiego do uzasadnienia zebranych wiadomości drogą badań i dochodzeń na polu anatomii patologicznéj, nauki obszernéj i niewyczerpanéj jak cała przyroda; nauki wykrywającéj jak niesłychanie różne, jak zmienne i zwodnicze mogą być przyczyny chorobnych pojawów; nauki, która celem pewniejszego dopięcia wielkiego założenia swego, użyła dziś w pomoc całéj potęgi mechanicznych, fizycznych i chemicznych wiedzy.

Wysokie udoskonalenie mikroskopu zastosowane do badań i dostrzeżeń lekarskich, otworzyło nowe zródło odkryć; przeistoczyło dotychczasowe wyobrażenia o składzie drobiazgowym całego organizmu; wpłynęło przeważnie na stan znajomości fizyologicznych; wykazało nowe zasady histologii, morfologii i teratologii: któreto oddzielne gałęzie nauki, nie pozostały znowu bez wpływu stanowczego na rozwinięcie nowych zasad patologii, a w następstwie na całe postępowanie zastosowania praktycznego.

A lubo koryfeusze francuzkiéj medycyny przyznają jednozgodnie, że niekoniecznie, że nieznawsze, ani też z matematyczną pewnością, pośmiertne zjawienia stanowią i świadczą chorób powodu; że bardzo często znachodzimy w miejsce szukanych przyczyn, same tylko następstwa i skutki: to przecież pomimo takowego przekonania, skłaniają się oni w praktycznym zawodzie zanadto może do zbyt materyalnego hołdu anatomii patologicznéj, przez co samo dzisiejszego ich eklektycyzmu w medycynie, ani bezwarunkowo wolnym, ani czysto filozoficznym, jakim go sami być mienią, nazwaćbym nie śmiał. W ogóle jednak objawia się wszechstronnie potrzeba zasad pewnych, praktycznych, duch, że tak powiem pozytywizmu (positivisme), odrzucający wszelkie marzenia teorematów i sofisteryi, duch dowodzący najlepiéj czasowego stanowiska wyobrażeń i pojęcia naukowego.

Lecz z tak nabytém doświadczeniem powstać musiało i przekonanie, iż najczęściéj zbyt jednostronne uważanie rzeczy chybia zamierzonego celu. Konieczność wyświecenia i zbadania ostatecznych

przyczyn i skutków, zrodziła konieczność i równie silną potrzebę umiejętnego uchylenia wpływów i następstw szkodliwych, wywołała konieczność zwrócenia większéj uwagi i zajęcia się usilniejszego około kształcenia i uzasadnienia bardziéj wyrozumiałego postępowania terapeutycznego.

Nauka farmakologii, farmacyi, materyi lekarskiéj, cała część terapeutyczna medycyny w ogólności, długo we Francyi nie były przedmiotem szczególniejszego zamiłowania; nie osiągnęły téż one nigdy ani wyrównywającego, ani odpowiedniego stopnia udoskonalenia. W ostatnich czasach dopiéro, kiedy już umilkły zacięte spory zasad medycyny tak zwanéj fizyologicznéj; kiedy umysł wolniejszy od uprzedzeń potrafił zmierzyć i ocenić bezstronnie, jak szkoły Pinela i Broussais'go szczupłe zakreślały granice tym gałęziom umiejętności lekarskich: wtenczas dopiéro obudziła się silnie wszechstronna dążność do podźwignienia téj części nauki długo zaniedbanéj, a przecież stanowiącéj jednę z główniejszych podstaw medycyny praktycznéj. Do takowego przywrócenia pierwiastkowego jéj znaczenia i właściwéj wartości, główniéj może przyłożyli się w ostatnich lat zakresie: Récamier, Magendie, Fouquier, Chomel, Marjolin, Andral, Louis, Trousseau i wielu innych, tak dalece, iż chwilę obecną słusznie uważaćby można za epokę przesilenia we Francyi, za epokę jakby przewodnią do czasu, w którym może bardziéj olbrzymie pojęcia potrafią nadać wyższą, wznioślejszą postać budowie dzisiejszych umiejętności, stawiając je na równi z naukami dokładnemi.

Tak jak medycyna w obszerniejszém znaczeniu zyskała nieporównanie przez dokładniejszą znajomość anatomii patologicznéj, przez nauki pomocnicze w ogólności: tak téż znowu i inne gałęzie téj sztuki, podniosły się w Paryżu do stopnia udoskonalenia, na jakim dotąd może nigdy jeszcze nie stały. Zwyczaj coraz powszechniejszy rozdrabniania pracy, zajmowania się wyłącznego zgłębianiem bardziéj cząstkowych przedmiotów: wpłynął stanowczo na wydoskonalenie ogółu. Skutkiem takowego dążenia, potworzyły się mnogie szczepy lekarskich wiedzy, z których każdy pojedynczo wzrosł potężnie w znaczeniu swojém, a stanowiąc sam przez się nową i odrębną niemal naukę, zdaje się dobijać pewnego stopnia usamoistnienia. Ztąd téż wynikło, iż na niwie uprawianéj przez tylu wysoko usposobionych mężów, zakwitł plon bogaty. Tak Velpeau, Roux, Sichel, Demarrés, Tavignot, Blanchet, Carron de Villars i wielu innych, poświęciwszy wyłącznie okulistyce prace i badania swoje, nadali nowy popęd i tak szczytne powodzenie téj części umiejętności lekarskich we

Francyi, iż śmiało ona dziś z ościennemi narodami współzawodniczyć już może. Tak ortopedia, przyswojony szczep obcy, rozwinął się bujnie na ziemi francuzkiéj, a pod przewodnictwem panów Bouvier, Pravaz, Guerin, Duval, Mallet i innych, nabrał niepośledniego wykształcenia. Akuszerya, gynaecologia, paediatryka zajaśniały nowym blaskiem niezaprzeczonego postępu; a choroby umysłowe, choroby skóry, posunięte zostały do stopnia nieznanéj szczytności przez prace i usiłowania nieśmiertelnych mężów, któremi Francya słusznie chlubić się może, którym cała ludzkość hołd wdzięczności oddaje. Pinel, Esquirol, Voisin, Falret, Trélat, Leuret, Moreau, Baillarger, Alibert, Biet, Cazenave, Royer, Gibert i tylu innych mężów, słynne zjednali sobie imię, i takowe do późnéj przekazali potomności.

Lecz w jeszcze drobniejszych poddziałach i rozgałęzieniach nauk, napotykać można równie okazałe zdobycze zabiegłości i usiłowania rozumu ludzkiego. W chorobach piersiowych, w chorobach serca, wątroby, w chorobach przewodu kiszkowego, mianowicie też dróg urynowych, poczynione odkrycia sprowadziły niepłonne korzyści dla cierpiącéj ludzkości. Ile zaś litotrycya sama winna wykształcenie swoje wyłącznym dążeniom i niezmordowanéj pracy mężów, jak Civiale, Amussat, Heurteloup, Leroy d'Etiolles, Segallas, Pravaz, Rigal i innych; nikomu zaiste obcém być nie może. Otystyka nawet nie pozostała w tyle: Dêleau, Menière, Colombat, nie zwolnili w chwalebném usiłowaniu niebezpożytecznego wzbogacenia téj części nauki, dotąd mało przystępnéj i wielce zaniedbanéj.

Wśród zbiegu tylu przyjaznych okoliczności, olbrzymi postęp jaki zrobiła nauka chirurgii, jeśli zdawać się może mniéj zadziwiającym, to niezaprzeczenie ani mniéj chwalebnym, ani mniéj znamienitym nie jest. W świetném zaś powodzeniu dotychczasowém, zgotowaném ciągłém i nieprzerwaném następstwem tylu niezrównanych mistrzów sztuki; podtrzymywaném dzielnie głośną zasługą mężów, jakiemi są: J. Cloquet, Roux, Amussat, Velpeau, Gerdy, Jobert de Lamballe, Malgaigne, Guersant, Robert i wielu innych, dziedziczących z kolei chlubne przewodnictwo: świetniejszą przyszłość jeszcze rokować jéj zdaje się młoda generacya lekarzy francuzkich, która ożywiona duchem nieśmiertelnych wzorów, wszelkie pokonywając trudy i przeszkody, śmiałym posuwa się krokiem na drodze badań i doświadczenia. Téj właśnie tak silnéj dążności przynależy wyłączna zasługa, wysokiego kształcenia pojedynczych części pomocniczych nauki, mianowicie też anatomii chirurgicznéj, któréj ostatniemi czasy uczone prace panów Blandin, Velpeau i Malgaigne nieprzewidywaną

dawniéj zgotowały powagę i znaczenie. Od téj pory anatomia przestała być suchą nauką pamięci, chirurgia zaś wątpliwością i domysłem. Odtąd anatomia chirurgiczna stała się nierozłączną towarzyszką każdego lekarza, przewodniczącą mu bezustannie w trudnym jego zawodzie praktycznym; i, że własnych słów autora użyję: „*Avec l'anatomie ordinnaire, celle que Vous appellez anatomie descriptive, avec l'anatomie générale Vous arriverez à faire la medecine et la chirurgie comme Vos devanciers et comme vos maîtres. Pour avancer d'un pas plus ferme, vous aurez besoin d'une anatomie nouvelle, celleci ressort des autres. Elle en est en quelque sorte le resumé, le corollaire. Comme son but est d'éclairer sans cesse au lit du malade, elle a pris le nom d'anatomie médico-chirurgicale et mérite le nom d'anatomie du praticien.*"

Z innéj strony znowu, dociekiwania chemiczne wykrywające własności cudowne eteru, chloroformu i innych ciał zrządzających podobne zjawienia, uszlachetniły i podniosły chirurgią; a spełniając miarę najżarliwszych marzeń ludzkich, przywiodły sztukę lekarską do szczytu dumnych usiłowań i zabiegów człowieka. Bo cóż wznioślejszego nad możność odjęcia, usunięcia, ukojenia bólu! *Divinum est opus sedare dolorem!* To nadludzkie, szczęśliwe odkrycie, budząc szlachetną dumę w duszy każdego, zlewa słodki balsam pociechy w serca tych wszystkich, którym z powołania, smutna konieczność nakazuje wśród niesionéj pomocy, boléć nad nieuchronném cierpieniem chorego. Lecz odtąd, od chwili nieocenionéj zdobyczy gieniuszu ludzkiego, ból znikł z widowni utrapień na ziemi, ustało przerażenie na myśl samą okrutnych operacyj chirurgicznych, a błogie dobrodziejstwo nauki i sztuki, spłynęło obficie dla zdumiałéj i wdzięcznéj ludzkości.

Ależ i w sposobie postępowania lekarskiego, w tak zwanéj terapii chirurgicznéj, niemniéj ważne i stanowcze pozachodziły dziś zmiany. Nóż przestał być środkiem jedyno-zbawczym: dziś celem głównym usiłowań każdego, jest jak lecząc zachować, jak ochronić od szpetnego kalectwa, jak oszczędzić i cierpień i blizny, w ostateczności tylko ostrza chwytając. Bo prawdziwéj zasługi nie upatrujemy już w zręcznem i uczoném krajaniu, lecz w umiejętném i dobrze zrozumianém użyciu środków właściwych. Leczyć, uzdrawiać, stało się godłem dzisiejszego chirurga-operatora. Obecnie wykonywanie chirurgii praktycznéj, opiera się na dokładniejszém poznaniu, zgłębieniu powodów i przyczyn, na zastosowaniu uproszczonych środków,

których użycie, nastręczyło oględne i dobrze wyrozumowane doświadczenie. Świadczą tego, usilna dążność upojedynczenia technicyzmów, usunięcie przedawnionych nawyknień i przesądów, zastąpionych pomysłami bardziéj potrzebie odpowiedniemi, a częstokroć przynoszącemi chlubę i zaszczyt bystréj przenikliwości rozumu ludzkiego. Owe niedawno tak konieczne, tak ścisłe postępowanie przeciwzapalne, owa *dieta minima*, owe krwi toczenie bez granic i miary, uległy dziś znacznemu przeobrażeniu. Ranny, skaleczały, operowany, uważanym jest w stanie nakazującym chronienia i oszczędzania sił jego żywotnych: bo utrzymaniem takowych na stopniu należytym, i prędzéj, i zupełniéj uzdrowienie osiągniętém być może. W miejsce mnóstwa dawniejszych narzędzi, najpowszechniéj wystarcza dziś zwyczajna bisturya i proste nożyce. Znikł po większéj części zatrważający zapas przyrządów, machin różnokształtnych, opasek i roje mastyków najdziwaczniejszego składu. Uproszczonym został cały sposób opatrywania w ogólności, wielkie znajdując poparcie w użyciu dextryny, w zastosowaniu gutta-perchy i kauczuku, w nowszém poznaniu nieocenionych własności kollodium, w zastąpieniu watą skubanki. Przesadne użycie kataplazmatów, okrywanie ran niemiarą skubanki, posmarowaną nieraz grubą warstwą maści, coraz rzadziéj postrzegać się daje. Słowem, cała akiurgia, a mianowicie téż część jéj desmurgiczna, w teraźniejszém upojedynczeniu niezaprzeczone odniosła korzyści i prawdziwie udoskonaloną nazwać się może. Za to znowu skuteczność zimnéj wody może niedosyć oceniona, nie potrafiła jeszcze zjednać sobie we Francyi tego znaczenia, na jakie ona rzeczywiście w wielolicznych wypadkach zasługuje. Albowiem zachwalone użycie zraszania ran, czyli naprowadzania strumienia zimnéj wody, spływającego nieprzerwanie z wysokości zastosowanéj do każdego pojedynczego wypadku, na części uległe gwałtownemu okaleczeniu, lub na obszerne rany; tudzież użycie lodu, jako środka tłumiącego czucie, uśmierzającego ból miejscowo, zalecane przez niektórych lekarzy, nie znalazły wielkiego poklasku, ani ogólniejszego naśladownictwa. Hydropatya zaś w obszerniejszém znaczeniu, nieśmiałym jeszcze postępuje krokiem; ogranicza się ona dotąd na kilku li tylko w tym celu urządzonych zakładach, niewychodzących poza szczupły obręb dotychczasowéj sfery działalności swojéj.

Uderzającém znalazłem wielkie zamiłowanie do nadzwyczaj częstego użycia środków z rzędu tak zwanych *revulsiva*, *derivantia*, mianowicie téż z gatunku gwałtownie działających, wstrząsających, wyżerających, właściwiéj *corrodentia*, *escharotica*, *cauteria po-*

tentialia i *actualia*. Długi szereg takowych, mieści się na liście terapeutycznego zapotrzebowania, począwszy od saletranu srébra i potażu gryzącego, tynktury jodowéj, proszku brata Kosmy, i przetworów arszenikowych, ciasta Dupuytrena, ciasta z solanu cynku Canquoina; ulubionego wapna wiedeńskiego, i tak zwanego *causticum Filhosi*, tudzież stężonych lub bezwodnych kwasów saletrowego, siarkowego, saletranu i octanu żywego srébra, aż do wody wrzącéj, młotka i żelaza rozpalonego, którego ostatniego z równie okazałym skutkiem jak niegdyś Larrey i Percy, dziś używa Jobert de Lamballe w śmielszém zastosowaniu, bo w leczeniu niektórych chorób macicznych. Wszystkie z tych środków naprzemian i z różném powodzeniem, znajdywały i znajdują ciągle wyłącznych wielbicieli i zwolenników swoich, którzy z pewnym rodzajem upodobania, uprzedzenia dosyć nawet bezzasadnego nieraz, udzielali pierwszeństwa tym dzielnym bodźcom farmakodynamii.

Rzeczywiście jednak, ważniejsze zmiany i ulepszenia poczynione zostały w leczeniu złamań, w uszkodzeniach kości, w cierpieniach stawów. Tu samo uproszczenie, jest już postępu dowodem. W wypadkach pomienionych opatrzenia czy stałe i nieporuszalne (inamovibles), czyli stałe i poruszalne razem (amovibles inamovibles), czyli też z gutta percha, lub nakoniec za pomocą przyrządów mechanicznych uskuteczniane: wszystkie noszą cechę główną dzisiejszéj chirurgii, tak właściwego i celowi odpowiedniego upojedynczenia. Wreszcie jak z jednéj strony nauka o ranach postrzałowych wzbogaconą i nowém doświadczeniem silnie popartą została: tak z drugiéj strony z działań operacyjnych resekcye kości zwróciły przeważnie uwagę tegoczesnych chirurgów. Wychodząc z głównéj zasady, jak możebnie oszczędzić kalectwa, jak uczynić go mniéj dotkliwém w dalszym życia zawodzie; nauka podała nowe sposoby niesienia zbawiennéj pomocy. Tu chirurgia złączyła zwycięzko usiłowania swoje z częścią wysoko udoskonalonéj mechaniki, zastosowanéj do potrzeb lekarskich (Prosthesis), która w Paryżu dosięgła wykształcenia dotąd niezrównanéj wyższości.

Wszakże przechodziłoby to zakres krótkiego zarysu, gdybyśmy chcieli obszerniéj naruszać mnogich szczegółów w przedmiocie o którym mowa; szczegółów albowiem z wielu miar uwagi godnych i zasługujących na dokładniejsze wspomnienie, znalazłbym tak wiele, iż łatwo one same stałeby się mogły obszernego dzieła osnową. Trzymając się zatém piérwszego założenia, wolę poprzestać na tych krótkich

ogólnikach i załączyć tu jeszcze kilka myśli ulotnych, jakich mi nastręczyło zwiedzanie główniejszych szpitali Paryża.

Paryż sam mieści w sobie oprócz 26 zakładów prywatnych czyli tak zwanych domów zdrowia (maisons de santé), 34 szpitali, częścią wojskowych, częścią cywilnych. Liczba tych ostatnich tak jest wielka, tak różnorodna, iż łatwo każdy stan, każdy wiek, każda płeć, powiedziałbym każdy rodzaj choroby w potrzebie właściwe i odpowiednie znajduje dla siebie schronienie. Dla niezamożnych, podupadłych, chorobą gnębionych, istnieją tu zakłady, do których wstępujący za małą opłatą zapewnioną sobie mają staranną pomoc lekarską i zaspokojenie wszelkich potrzeb i wygody życia. Dla mężczyzn i kobiét zgrzybiałego wieku są przeznaczone oddzielne dwa wielkie szpitale. Dwa inne służą tylko do zamieszczenia chorych umysłowych. W chwili stanowczéj macierzyństwa, każda rodząca w potrzebie znajduje pomoc i schronienie w wzorowo urządzonym domu dla położnic (La maternité). Do szpitala chorych dziatek (Hopital des enfants malades) nietylko wstęp mają niemowlęta i dzieci chore, częstokroć wraz z matkami z miasta przybywające, ale nadto i takie, ktore ze wszystkich innych szpitalów i zakładów publicznych tu nadsyłane zostają. Dom podrzutków (hospice des enfants trouvés) podejmuje dzieci nowonarodzone, opiekując się opuszczonemi aż do ich pełnoletności. Dla wieku zaś dojrzałego, po różnych częściach miasta liczne szpitale stoją otworem, i tylko choroby wymagające wyłącznych starań i opieki, lub choroby zaraźliwe przekazywano bywają do oddzielnych zakładów, jedynie w tym celu ustanowionych.

Wszystkie szpitale i zakłady dobroczynne zostają pod głównym zarządem oddzielnéj administracyi rządowéj, która pomimo niezmiernego funduszu 16,420,380 fr. jakim rozporządza, niezawsze znajduje się w możności, wszelkie bieżące opędziwszy potrzeby, zaprowadzać ulepszenia, których konieczność codzienne wykazuje doświadczenie. W r. 1827 ilość chorych po szpitalach Paryża dochodziła 53,000. Dziś administracya utrzymuje rocznie oprócz 12,000 starców i kalek, 83,000 chorych po głównych szpitalach, 4,600 podrzutków i sierot, 16,000 takichże wychowujących się na wsi, lub oddanych na naukę do rzemiosł, i nadto jeszcze udziela wsparcia 30,000 rodzinom podupadłym.

Chcąc być wszędzie, widzieć wszystko w czasie szczupło udzielonym, przechodzi siły człowieka; konieczność więc sama nakazywała w trudnym ograniczyć się wyborze. Nie wychodząc przeto poza ścisły obręb czynności, zacząłem pielgrzymkę po szpitalach Paryża, na

wstępie od zwiedzenia najznakomitszego jeśli już nie obszarem, to niezaprzeczenie powagą czasu i sławą swojego imienia; od szpitala *Hôtel Dieu*. Słynny ten zabytek VII wieku, dotąd nosi piętno czasu tak pod względem architektury, jako też i topograficznych stosunków swoich. Dobroczynna ręka postępu oświaty, pomimo niesłychanie wielkich ulepszeń i zmian już zaprowadzonych, nie potrafiła dokonać wszystkiego; a nie ustając w zbawiennych usiłowaniach, obecnie olbrzymie rozpoczęła prace w celu uzupełnienia tego wzniosłego przybytku cierpiącéj ludzkości.

Potrzeba przedłużenia bulwarków utwierdzających brzegi krętéj Sekwany, celem skanalizowania téj rzeki, zmusiła naruszyć zabudowania szpitalne, położone na południowym jéj brzegu. Przy wykonaniu tak ogromnego dzieła powzięto myśl szczęśliwą, zaradzić jednocześnie niedogodnościom, wynikającym ze szczupłości i położenia gmachu, głuszonego mnóstwem budynków upadkiem grożących, wyziewami rażących powietrze, i postanowiono wznieść nową część budowli na południowym brzegu rzeki; budowli, którąby uwolniła administracyą szpitala od konieczności uciążliwego przynajmywania lokalów za summę 36,000 fr. rocznéj opłaty. Pod nazwą więc szpitala północnego, *Hopital du Nord*, piętrzy się gmach obszerny, który wytworem i wspaniałością architektury, trafnym rozkładem i całém urządzeniem wewnętrznem, zwycięzko odpowié najwymyślniejszym żądaniom i śmiało stanie w rzędzie najpierwszych instytutów tego rodzaju. Koszta podjęte na wzniesienie samego budynku wynoszą 8,000,000 fr., fundacya każdego pojedynczego łóżka oznaczoną została na summę 15,000 fr. Przy takim ogromie nakładów, nie pominięto i na południowéj stronie, w dawném zabudowaniu, stosownych poczynić ulepszeń. Przez zwalenie starych murów, istniejących od czasów pierwiastkowego urządzenia klasztornego, dotychczasowy wchód główny do szpitala stał się okazalszym i dogodniejszym; a przez rozebranie licznych domostw, tłoczących naokoło gmachy szpitalne; przez zniesienie plugawych i ciasnych zaułków: świeże powietrze wolny przystęp znalazło, i dawne zwaliska zamieniły się na plac otwarty, odpowiedniejszy potrzebie. Oprócz pomienionych przekształceń miejscowości, oprócz zaprowadzonych zmian w dawnym rozkładzie sal i korytarzy, przybudowano jeszcze część nową w przedłużeniu skrzydła św. Koma, dotąd pomostem tylko z głównym gmachem złączonego. W szpitalu zaś samym usunięto to zupełnie łoża podwójne, zaprowadzając w ich miejsce wszędzie wyborne łóżka żelazne, osłonięte firankami z tkanin bawełnianych,

zaopatrzone w sienniki i materace dobrze wysłane włosem, wełną, nawet niektóre na sprężynach. W miejscu dawnéj podłogi ceglanéj tafelkowéj, istnieje dziś w całym gmachu posadzka dębowa, doskonale ułożona i schludnie utrzymana. Korytarze przestronne, widne, czyste, należycie przewietrzane, na każdém ze cztérech piętr tego budynku, zaopatrzone są drzwiami szklanemi i podwójnym przedsionkiem; przez co szkodliwemu przeciągowi powietrza najzupełniéj zagrodzono. Właściwy rozdział chorych po salach stosownie do różnicy płci, do rodzaju chorób, w ostatnich czasach dopiéro należyciéj zaprowadzonym tu został. Z sal dla chorych usunięto łóżka posługaczy, zaprowadzając natomiast oddzielne dla nich sypialnie. Z uwagi zaś, że wielka liczba chorych uleczonych, wychodząc ze szpitala o siłach wątłych i niepewnych, wraca do domu, do niedostatku, do nędzy, ulega nowéj i cięższéj niemocy, i w takim stanie zmuszoną jest powtórnéj pomocy szukać w szpitalu; przeznaczono wyłączne sale dla chorych rekonwalescentów z urządzeniem najodpowiedniejszém celowi. W zakładzie tak obszernym, dawniéj kąpiele prawie nie istniały wcale; dziś takowe, pomimo upowszechniających się kąpieli dla ludu na mieście; na potrzeby szpitala samego istniejące, odznaczają się wygodą, a nawet i pewnym rodzajem wykwintu. Słowem, pod względem ulepszeń materyalnych i chygienicznych *Hôtel Dieu* nie ustępuje dziś żadnemu innemu zakładowi Paryża. Nateraz mieści on właściwie tylko 850 łóżek, bo 400 innych znajduje się w gmachu przynajętym, w tak zwaném *Annexe* albo szpitalu św. Małgorzaty. W r. 1820, 10,284 osób leczyło się w tym szpitalu; w przecięciu pobyt każdego chorego wynosił 26 dni; śmiertelność była w stosunku jednego na 6ściu $^{50}/_{000}$; koszta utrzymania każdego pojedynczego czyniły dziennie 2 fr. 30 c.; lekarstwa zaś w przecięciu kosztowały przeszło 31 fr. na osobę. Następnie stosunki te uległy rok rocznie korzystniejszéj zmianie. W roku 1830 ruch chorych był 14.320: w przecięciu pobyt każdego pojedynczego zajmował dni 23; śmiertelność była 1go na 7,25, a koszta utrzymania czyniły 1 fr. 79 c. W r. 1840 liczba przebywających w szpitalu wynosiła 17.467; pobyt w przecięciu 19 dni; stosunek śmiertelności był 1go na 9.13; a koszta utrzymania 1 fr. 87 c. Obecnie ruch chorych jest mniejszy dla rozpoczętych prac około budowy gmachu szpitalnego, ale stosunek śmiertelności i koszta utrzymania, w porównaniu z poprzedniemi w nierównie korzystniejszém jaśnieją świetle.

Jakkolwiekbądź, przechodząc sale w których przed niedawnemi jeszcze laty niezrównany Dupuytren przenikał uczniów iskrą gieniuszu

swojego; gdzie czcigodny Sanson, uczony Breschet tłumnie wabili uczącą się młodzież; żal serce ogarnia, tęsknota duszę przejmuje. Dziś zasłużony Roux nieugięty lat brzemieniem, owładnął berło osierociałe po skonie wielkiego męża! Ale czy ten nieustraszony i słynny z biegłości swéj operator, na miejscu jakie on dziś zajmuje, odpowiada w całém znaczeniu wielkiemu powołaniu?—tego ja, dawny uczeń i zwolennik nieśmiertelnego mistrza, nie śmiałbym wyrzec bezstronnie. Czas lepiéj osądzi. Inni znakomici tego szpitala chirurgowie, są: Boyer syn, Denonvilliers, i Jobert de Lamballe; ten ostatni słusznie ceniony uczeń Richeranda, autor wielu szacownych dzieł, któremi wzbogacił nowoczesną chirurgią, rzucił większe światło w rozpoznaniu i leczeniu chorób kanału kiszkowego, chorób macicy i dróg urynowych. Jobert gorliwy krzewiciel użycia żelaza rozpalonego, należy do rzędu najcelniejszych chirurgów, jakiemi Francya dziś szczycić się może. Oprócz panów: Récamier, Guéneau de Mussy i Magendie, lekarzy honorowych zakładu, rozdzielona jest służba w oddziałach chorych wewnętrznych i klinika lekarska pomiędzy panów: Husson, Caillard, Honoré, Jadioux, Chomel, Louis, Rostan, Martin Solon i Guérard, wszystko ludzi niepospolitéj zasługi i głośnego imienia.

Drugi zakład do którego mnie wiodła pamięć powszechnie poważanego ojca Boyer, był szpital *de la Charité*. Przyjemnie zajęły mnie napotykane tu zmiany, tak pod względem rozprzestrzenienia gmachu, obecnie 500 łóżek wygodnie mieszczącego, jako też pod względem wewnętrznego wygodniejszego i zdobniejszego urządzenia; i tu zastałem wszędzie łóżka żelazne, posadzkę dylową, ogrzanie stosowniejsze i zaprowadzenie oddzielnych kąpieli, na których przedtém zupełnie zbywało. W XVIIIym wieku przez Maryą z Medyceuszów założony, szpital ten zostawał początkowo pod przewodnictwem kongregacyi św. Jana Bożego. Niewielki w pierwiastkowym zawiązku, uległ następnie rozmaitym zmianom i przeniesiony został w r. 1607, hojniéj uposażony, na miejsce, na którém dotąd istnieje. W nim od założenia, najsłynniejsi lekarze nieśli pomoc i pociechę cierpiącéj ludzkości. Tu nauczał Corvisart, któremu Francya winna zaprowadzenie dzisiejszéj kliniki szpitalnéj: a kiedy sędziwy Boyer utrzymywał i utwierdzał sławę oddziału chirurgicznego; w oddziałach dla chorych gorączkowych, rozlegały się głośne imiona panów: Fouquier, Chomel, Magendie, Rostan i Louis. Miejsce pomienionych mężów zajmują dziś u chorych wewnętrznych: Andral, ulubieniec tegoczesnéj generacyi zwolenników Eskulapa, mąż najszlachetniejszych przymio-

tów duszy i serca, mąż postępu, uistotniony obraz filozoficznego eklektycyzmu medycyny francuzkiéj; uczony Cruveiller, professor anatomii patologicznéj, który niezmordowaną pracą przyczynił się niemało do nadania nauce lekarskiéj właściwego jéj kierunku; Rayer autor dzieła: *Traité des maladies des reins et des altérations de la secrétion urinaire*, tudzież niemniéj ważnego: *De la morve et du forcin chez l'homme*; nakoniec najgorliwszy zwolennik i wielbiciel Broussai'go, głęboko uczony, ale rażąco uprzedzony Bouilland, dziś może jedyny zpośród znakomitych lekarzy francuzkich, którego terapią nawskróś tchnie jeszcze metodą antiflogistyczną, a o którym Magendio tak trafnie wyrzekł, że on nieumiarkowaném krwi puszczaniem, nietylko zapalenia nie znosi, lecz owszem sprowadza stan krwi gorszy od zapalnego.

Chirurgiczny zaś oddział tego szpitala, zostaje obecnie pod kierunkiem dwóch znakomitych chirurgów, pp. Velpeau i Gerdy. Usilnéj gorliwości i niezmordowanéj pracy piérwszego, szpital zawdzięcza dzisiejszą wziętość, naukę zaś postęp i wykształcenie swoje. Wysoko poważany Velpeau, tém jest dla *Charité*, czém był Lisfranc dla szpitala *de la Pitié* wówczas, kiedy mocą gieniuszu i talentu swojego w innéj stronie Paryża licznie gromadził młodzież chciwą nauki, a którego nienajmniejszą była zasługa w ciągłéj zostawać walce o piérwszeństwo sławy chirurgicznéj z najznamienitszym swojego czasu téj nauki przewodnikiem. Tak porównywając i wiedziony uczuciem wdzięczności, udałem się na miejsce tylolicznych wspomnień słynnego operatora. Szpital *de la Pitié*, położony w części najmniéj zaciesnionéj Paryża, w pobliżu ogrodu botanicznego i domu *de la Salpetrière*, przytułku dla zgrzybiałych kobiét i chorych umysłowych płci żeńskiéj, należy do rzędu piérwszych w stolicy; którąto wyższość zyskał zarówno szczęśliwym obiorem położenia topograficznego, wspaniałą architekturą, doskonałym rozkładem i urządzeniem wewnętrznem swych gmachów. Składa on się z kilku zabudowań zręcznie pooddzielanych obszernemi ogrodami spacerowemi, a większą część okien głównego budynku wychodzi na ogród botaniczny. Zaprowadzone tu ulepszenia, nie ustępują bynajmniéj tym, jakie po innych zakładach zwrócity już były uwagę moję. Miejsce Lisfranca i Sansona, tych świetnych dwóch ozdób szpitala, zajmują obecnie panowie Laugier i Michon, obadwa młodzi, ale chlubnie odznaczający się lekarze. Oddziały zaś chorych wewnętrznych, poruczone są opiece ludzi bardzo znakomitych, Serres i Piorry: obadwaj członkowie akademii i professorowie uniwersytetu. Piérwszy słynny anatom i hie-

gły fizyolog, drugi wielce uczony, udoskonaleniem pleximetryi wzbogacił naukę ważnym środkiem pomocniczym w ścisłém zbadaniu i rozpoznawaniu siedliska choroby.

Z kolei zwiedziłem szpital *Beaujon*, który śmiało zwać można najpiękniejszym zakładem tego rodzaju w Paryżu. Przez wykończenie nowych części zabudowań, szpital ten nietylko że dziś 500 łóżek zamieszcza, ale niezaprzeczenie wewnętrznem urządzeniem swojém, tak pod względem wygody rozkładu, jako też zdobności, czystości powietrza, i całéj administracyi, nie ma drugiego sobie równego. Od niedawnego czasu zaprowadzone tu ogrzewanie gazem, okazało się innowacyą godną powszechniejszego naśladownictwa. Widne, wesołe i szerokie krużganki zaopatrzone oknami, tworzą rodzaj olbrzymich szklarni, w których zimową porą znajduje ochronę mnóstwo pięknych, rzadkich nawet roślin, zdobiących w lecie obszerne podwórza, zamienione w ogród wspaniały. W zimie w świeżą zieloność przybrane krużganki, służą za miejsce przechadzki dla słabych i rekonwalescentów. Niegdyś uwielbiony père Marjolin pełnił tu obowiązki chirurga, dziś z niemałą chlubą zastępują jego miejsce: bardzo znamienity operator Robert i pan Hugier. W oddziale wewnętrznych chorych służba rozdzielona jest pomiędzy panów Renauldin, Bouvier, Legroux i Sandras. Stosunek śmiertelności w oddziale wewnętrznych jest 1 z 7miu; w oddziale chirurgicznych 1 ze 41. Pobyt każdego pojedynczego chorego w przecięciu wynosi 23 dni.

Następnie przebiegłem mały, 100 łóżek mieszczący szpitalik *Cochin*, gdzie Maisoneuve i Nonat zajmują się służbą lekarską. Piérwszy należy do rzędu celniejszych chirurgów operatorów, drugi niepoślednie zajmuje miejsce pomiędzy lekarzami stolicy. Przechodząc tu sale chorych, zajęło uwagę moję trafne użycie gutta-perchy w zastosowaniu jéj do złamań kości, sposobem przez pana Maisoneuve podanym. Niemniéj uwagi godnemi znalazłem przez tegoż lekarza uproszczony technicyzm w nastawianiu zwichnień, tudzież nowy sposób operowania fistuł pęcherzowo-pochwowych. W tym rodzaju straszliwéj niemocy, długo dla sztuki niedostępnéj, w czasach najnowszych dopiéro skuteczniejsza pomoc stała się możliwą, a zasługa wykrycia pewniejszych zasad działania operacyjnego przynależy się głównéj panom Jobert i Maisoneuve. Stosunek śmiertelności w tym zakładzie, w porównaniu z innemi szpitalami Paryża, bardzo jest korzystny: u gorączkowych 1 na 11; u chirurgicznych 1 na 28. Dzienne utrzymanie chorego kosztuje tu 2 fr., ale też żywność nieporównanie jest tu lepszą, jak po innych zakładach.

W zwiedzaniu dalszém nie mogłem pominąć szpitala *Necker*, od głównéj swéj opiekunki dotąd nazwę noszącego. Przed laty, sławny i tyle zasłużony Laenec tu święcił ludzkości pracę i naukę swoję; dziś słynny Civiale chlubną okryty siwizną zbawienną niesie pomoc w cierpieniach kamienia. Szpital *Necker* znacznie powiększony, przez wystawienie czterech oddzielnych budynków, obecnie na 400 łóżek urządzony został; tak, że ruch ludności przez rok 6,000 wynosi. Pod każdym względem urządzenie tego szpitala nazwać można wzorowém: dla chorych gorączkowych, dla zaraźliwemi chorobami dotkniętych, dla rekonwalescentów, odosobnienie zupełne zaprowadzone zostało. Żywność tu jeszcze lepsza, prawie jest wytworna, dlatego też dzienne utrzymanie chorego $2^1/_2$ franka kosztuje. Śmiertelność w oddziale wewnętrznych jest 1 na 11tu, w oddziale chirurgicznych 1 na 14tu.

W poblizkiém sąsiedztwie położony, istnieje od r. 1802 szpital dla dzieci, *Hopital des enfants malades*. Mieści on 560 łóżek, z których część w oddzielnych zabudowaniach przeznaczona dla dziewcząt, druga dla chłopców od 2 do 15 lat wieku. Dzieci dotknięte chorobami wszelkiego rodzaju, gorączkowemi, chronicznemi, chirurgicznemi, zaraźliwemi nawet, byle nie tak zwaną *tinea capitis*, bez wyjątku znajdują tu łatwy przystęp i troskliwą pomoc; 491 łóżek przeznaczonych jest dla wewnętrznie chorych, 69 tylko dla chirurgicznéj pomocy potrzebujących. Zapobiegając udzielaniu się i szerzeniu wszelkiéj zarazy, przy najmniejszém podejrzeniu obawę wzniecającém, chorzy przekazują się do budynków obszernemi ogrodami od reszty zabudowań zakładu pooddzielanych, z któremi oprócz tego wszelki związek i wspólnictwo najstaranniéj jest przecięte. Z wyłączeniem niektórych tylko sal, koniecznéj zmiany potrzebujących, wszystkie inno tego instytutu są dostatecznie przestronne, widne, wesołe i dobrze przewietrzane. Wszelako pomimo tak odpowiedniéj lokalności, pomimo najstaranniéj i drobiazgowie obmyślanych środków ochronnych, pomimo niezrównanéj gorliwości ze strony lekarzy, bezprzykładnego poświęcenia się dozorujących, przerażającą jest straszliwa śmiertelność jaka tu panuje, a która tylko w szpitalu podrzutków jeszcze okrutniejsze wykazuje stosunki. W r. 1850 szpital podejmował 3,950 dzieci; w przecięciu pozostawanie każdego pojedynczo wynosiło 43 dni. Śmiertelność zaś była 1 na 4ch. Jak po wszystkich niemal szpitalach we Francyi, tak i tu dozorowanie chorych powierzoném zostało siostrom miłosierdzia. Wyższość tak niesionéj posługi ludzkości, niezaprzeczenie nigdzie czystszém nie jaśnieje

światłem, nigdzie nie przedstawia się z większą godnością i chwałą. Poświęcenie się tak bezwarunkowe tych serc dobroczynnych, z troskliwością prawdziwie macierzyńską pełniących mozolne obowiązki powołania, jest godne podziwu; dlatego też ono słusznie jedna im szacunek i uwielbienie powszechne.

Od początku założenia tego zakładu, Jadelot i Guersant najznakomitsi lekarze dzieci, poświęcali tu usługi swoje. Nauczające ich kliniki nabyły niesłychanéj wziętości i zwróciły uwagę uczonego świata. Obecnie służbę lekarską wykonywają tu panowie Blache, Trousseau, Bonneau i Bodelocque, w oddziale chirurgicznym Guersant syn, a część ortopedyczną prowadzi słynny Jules Guèrin. Za jego to wpływem, zaprowadzone zostały w szpitalu pomienionym urządzenia do ćwiczeń gimnastycznych na bardzo obszerną skalę. Zastosowania gimnastyki, pod względem hygienicznym, pod względem leczenia niektórych cierpień natury skrofulicznéj, sprowadziły najzbawienniejsze skutki, przechodzące wszelkie oczekiwania.

Krótki zakres czasu nie dozwalał dokładniejszego przeglądu licznych innych jeszcze zakładów, mianowicie też jednego z największych i najwspanialszych, szpitala św. Ludwika. Wszakże i ten pomimo obszerności swojéj, znacznie jeszcze powiększonym został. Nie zmieniając dawniejszego przeznaczenia, dla chorych wyrzutowych skóry, łączy on dziś jeszcze znaczne oddziały wyłącznie przeznaczone dla chorych gorączkowych, dla chirurgicznych, a nawet i dla chorych wenerycznych. Lecz czém on się główniéj rozróżnia od wszystkich innych szpitalów Paryża, jest niezaprzeczenie zaprowadzona przy nim wielka poliklinika i urządzenie różnego rodzaju kąpieli. Zgłaszający się tu chorzy otrzymują radę i leki bezpłatnie, nie wyłączając w potrzebie stosownych kąpieli, którychto ostatnich administracya szpitalna udziela rocznie przeszło 50,000, oprócz 45,000 kąpieli parowych czyli fumigacyjnych i 2000 strumieniowych tak zwanych *douches*. W szpitalu tym 900 łóżek mieszczącym, ruch ludności stosunkowo nie jest wielki; rocznie zaledwie 8,000 wynosi. Śmiertelność w przecięciu jest 1 na 26; pobyt każdego chorego 32 dni. Tu, gdzie dawniéj Richerand, Alibert, Bielt, jaśnieli blaskiem chwały, dziś młoda generacya lekarzy dobija się zdobnych wieńców zasługi. W oddziałach chorych wyrzutowych Cazenave, Devergie, Basin, Gibert; w oddziałach chirurgicznych Malgaigne i Nelaton zaszczytnie wypełniają służbę im poruczoną.

Gdyby nie olbrzymia sława Ricorda, gdyby nie nowsze prace uczonego Vidal de Cassis, Auzias-Turenne i innych, będące jakby zwiastunami zupełnego przeobrażenia w dotychczasowém uważaniu istoty jadu syfilitycznego, nie byłbym wspominał o zakładach istniejących w Paryżu dla chorych tego rodzaju, chociaż takowe ze względu zaprowadzonych nadzwyczaj ważnych i pożytecznych ulepszeń, niemniéj stały się pochwały godnemi. Szpital zwany *Hopital du midi* z liczbą 400 łóżek, w którym obecnie Ricord i Vidal odbywają służbę lekarską, przeznaczonym został wyłącznie dla chorych mężczyzn. Dla kobiét ustanowiono dwa oddzielne zakłady, mieszczące w szpitalu śgo Łazarza kobiéty publiczne, w szpitalu zaś zwanym *de Loursine* kobiéty niezależne od nadzoru policyi. W tych ostatnich dwóch szpitalach lekarzami są Cullerier i Richet. W r. 1845 ludność szpitalna mężczyzn była 3,850, kobiét 2,903; czas pobytu w przecięciu wynosił u mężczyzn dni 30, u kobiét dni 50. Stosunek śmiertelności był u mężczyzn 1 na 203, u kobiét zaś 1 na 56.

Jednakże ta uderzająco wielka liczba chorych w latach następnych, cokolwiek zmniejszać się zaczęła.

W krótkości tak opisawszy dostrzeżone różnice i wielkie zalety dzisiejszego stanu ważniejszych szpitalów, nie należałoby pomijać milczeniem mnogich innych, a równie ważnych zakładów, jakiemi słusznie Paryż chlubić się może: wszelako naocznie sam nie mogłem przekonać się o niezaprzeczenie równéj, jeśli nie o większéj jeszcze ich świetności, dlatego wolałem w tym punkcie nieuzupełniony raczéj mój opis zostawić, jak szanowne zkądinąd, ale cudze powtarzać zdania. Kiedy jednak tyle już o zakładach dobroczynnych powiedzieliśmy, niechaj mi wolno będzie w końcu jeszcze dodać słów kilka o nowém urządzeniu dziś istniejącém w Paryżu, a zostającém w bardzo ścisłym związku z zakładami o których była mowa.

W sąsiedztwie szkoły lekarskiéj otwartym został instytut czysto naukowy, pod nazwą *Hopital des cliniques*. Rodzaj ten szpitala przeznaczony wyłącznie do usposobienia praktycznego i do wprawy uczącéj się młodzieży, składa się ze dwóch głównie oddziałów: chirurgicznego i położniczego, pod przewodnictwem słynnego Jules Cloquet i wysoko poważanego Paul Dubois. Wypadki najważniejsze chorób, pod względem naukowym na szczególną uwagę zasługujących, skwapliwie tu zbiérane i uczącym się przedstawiane bywają, przez co samo dana jest sposobność rozwiązywania najtrudniejszych zagadnień sztuki lekarskiéj. Z tym

zakładem łączy się jeszcze inna instytucya, może równie zbawienna, tak zwanéj szkoły praktycznéj, *Ecole pratique*. Uczestniczyć w niéj tacy tylko mogą uczniowie, którzy w examinach ze trzech lat naukowych otrzymali stopnie celujące. Jednak liczba uczniów jest ograniczoną i 150 przechodzić nie może. Z końcem każdego roku szkolnego, obowiązani są oni przed jury lekarskiém zdawać ustny i piśmienny examin; nieokazujący dostatecznego postępu wykreśleni zostają nazawsze z listy uczniów téj szkoły; ci zaś, co z chlubą przebyli swe proby, zyskują nagrody, z których trzy piérwsze, nadają im prawo uzyskania stopnia doktora bez opłaty. Zresztą, tytuł ucznia szkoły praktycznéj, łączy w sobie przywiléj bezpłatnego uczęszczania na wszystkie kursa wykładanych nauk przy uniwersytecie; daje wstęp wolny i z pierwszeństwem do sal anatomii praktycznéj, nakoniec przywiléj wyłączny do ubiegania się drogą konkursów o miejsca asystenta przy klinikach. Że zachęta i zamiłowanie do nauk przy takich urządzeniach, najwyższego szczytu dosięga, że tworzy i wykrywa prawdziwie uzdolnionych ludzi, to dziwić nikogo nie może. Właśnie owe to tak proste, tak praktyczne zapatrywanie się na przyczyny i skutki, jest może głównym powodem, iż przy najbogatszych zbiorach naukowych wszelkiego rodzaju; przy niesłychanie wielkiéj łatwości korzystania z nagromadzonych tu skarbów; przy steku tylu sławionych mężów, którzy tak chętnie, tak uprzedzająco użyczają każdemu ożywczych światła swego promieni: nauka tak silne znajduje tu żywioły, a istotne wykształcenie przechodząc z jednego pokolenia na drugie, wzrasta nieprzerwanie, wzmaga się i wzbija w potęgę, któréj dotąd nie sprostały jeszcze innych krajów stolice.

KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź na Ocenę Mowni, napisaną przez p. Kudasiewicza, *w Biblijotece Warszawskiéj na miesiąc marzec b. r. umieszczoną* (*).

Oceniający czyjąś pracę może sobie uczynić wybór w przedmiotach, ułożyć plan najdogodniejszy, i te oceniać szczegóły, które lepiéj odpowiadają jego umysłowemu uzdatnieniu i moralnemu usposobieniu; broniący nie ma téj swobody, musi się stosować do myśli swego przeciwnika i razy jedne po drugich odpiérać na tym stanowisku, jakie mu jego przeciwnik naznaczył. Téj niejako ogólnéj i ja poddaję się konieczności; układ Oceny za swój przyjmuję i krok w krok za nim jidę, przez co choć cokolwiek mozołu czytelnikowi usunę, gdy pojedyncze artykuły najłatwiéj się oku i umysłowi jego przedstawiać będą.

A. TERMINOLOGIJA.

Mownia, mównik, mówniczy.

Od czego pochodzi *mownia*? objaśnił pan Kudasiewicz; jidzie więc o to teraz, czy stosownie użyłem tego wyrazu zamiast *grammatyka*.

Podobało się ludziom na te miejsca i budowle, w których się rozmajite przedmioty przejistaczały, mieściły, lub działały, tak wyrazy urabiać, iżby samo jądro wyrazu wskazywało przedmiot pod uwagą będący, a końcówka jego *nia* oznaczała miejsce, w którym się rzeczy mieszczą, lub wyrabiają, i stąd powstały wyrazy: *wozownia, zbrojownia, czytelnia, kawiarnia, spiżarnia, młockarnia, cukrownia, kuźnia, drwalnia* i t. d. bez liku. Inni ludzie, którzy się udali na pole więcéj już umysłowe, szukając stosownéj nazwy na oddanie swych traktatów, rozpraw, ustępów z jakiéjś nauki, upatrzywszy związek i podobieństwo pomiędzy wyrazami dotykalnie zmysłowemi: *wozownia, zbrojownia*, mieszczącemi wozy, zbroje, a swémi traktatami, obejmującemi przepisy, prawidła nauki, nazwali je: *pisownią, składnią, wyrzutnią* i t. p. I nazwali prześlicznie, bo prze-

(*) Pisownia autora. *P. R.*

znaczeniem wozowni jest mieścić wozy, a przeznaczeniem pisowni obejmować prawidła dobrego pisania wyrazów. Czym więc ostatecznie są wyrazy: *wozownia, młockarnia, spiżarnia*, i t. d.; tym samym są: *pisownia, składnia*, i t. d. Jeżeli zatym wyrazy: *pisownia, składnia*, są dobre; *mownia*, jako nauka obejmująca prawidła całego języka, musi koniecznie dobrze odpowiadać swojemu przeznaczeniu. W nazwie za gramatykę *mownia* nie skrzyżowałem się; pan K. chodzący na pasku Józefa Muczkowskiego, popełnił wielką sprzeczność w nazwaniu adpozycyji *przydatnią*, jak to zobaczymy pod artykułem *orzeczenie*.

Jeżeli p. K. przypuszcza, że wyraz *mownia* może być nazwą mowni powszechnéj; dla czegoż nie ma być stosowny dla jednego języka, dla jednéj wyłącznéj mowy? Czyliż mowa powszechna, mowa całéj ludzkości w najogólniejszych własnościach swojich nie ma tych samych potrzeb, a stąd koniecznie tych samych zasad, które się w mowach szczególnych, czyli językach znajdują? Skoro temu twierdzeniu zdrowy rozum nie przeczy; nie odrzuci także nazwy *mownia*, którą nazwałem zbiór prawideł wyłącznie języka polskiego, czyli mowy polskiéj. P. K. jednak utrzymuje, że *mowa* a *język* to zupełnie co innego; mówimy albowiem *mowa ludzka*, a nie *język ludzki*; że język ma za podstawę *różnicę szczegółów*; *mowa*, *podobieństwo*. Wszystko to dobrze, ale zupełnie skąd inąd ten pojaw wynika. Mownia powszechna musi mieć koniecznie za podstawę podobieństwo, bo inaczéj nie obejmowałaby sobą wszystkich mów szczególnych, czyli języków; mownia szczególna zastanawia się nad mową szczególną, czyli jednym jakimś językiem, mającym sobie właściwe cechy, które go wyróżniają od innych. Że zaś mowę szczególną jednego narodu chętniéj nazywamy językiem, niż mową; to dla tego jedynie, abyśmy uniknęli dwójznaczności, bo mówimy także: *mowa pochwalna, pogrzebowa* i t. p. Okoliczność ta sprawiła, żeśmy języka użyli, najsilniejszego i może najpotrzebniejszego narzędzia do wyrabiania brzmień wszelkich, za nazwę saméj mowy. Nadto najniesprawiedliwsze mniemanie, aby wyrazu *mowa* za *język* nie używano. Czyż to nie słyszał kiedy p. K. wyrażenia: *za lasami, za górami inna mowa, obca mowa, tu już nie polska mowa, nie słyszę tu mowy ojczystéj, mowę ojczystą doskonalić potrzeba*? Czyż nie można znowu powiedzieć: *za lasami, za górami inny język, tu już nie polski język, obcy język, nie słyszę ojczystego języka, język ojczysty doskonalić potrzeba*? Słowem: *mowa, język* jest wszystko jedno, tylko że piérwszego do nazwania szczególnego języka rzadziéj używamy z przyczyn, jakieśmy nadmienili, i dla tego nabrał, że tak powiem, uroczystszego znaczenia.

Mocno się podziwiam, dla czego miałem źle postąpić, żem wyraz *mowa* objaśniał wyrazem *język*. Czymże miałem objaśnić? Czy biczem, rózgą, lub czym podobnym? Uchowaj Boże! Tu rózga byłaby najniestosowniejsza, albowiem zdrowy rozum radzi, że na odmalowanie pojęcia nieznanego trzeba wziąć pojęcia wiadome, które najbliższy mają związek z rzeczą nieznaną, bądź ze względu jich wewnętrznego znaczenia, lub przeznaczenia, bądź ze względu jich zewnętrznéj postaci, która jich jednorództwo pokazuje, i tak piérwsze z ostatniemi połączyć, aby w takim

związku z sobą i skupieniu najjaśniéj wykazały pojęcie niewiadome. Takiéj trzymając się zasady, *mowę* objaśniłem *językiem*.

Nazwy cudzoziemskie wszelkich nauk i umiejętności w językach europejskich bynajmniéj nie wynikły z potrzeby wspólnego języka, jak p. K. chce utrzymywać; ale z tego, że nauki wszelkie wykładano w języku łacińskim, bo ludy, wynurzające się ze świata starożytnego, lub dawno jistniejące, ale teraz dopiéro na widownią świata występujące, jeszcze do tyla nie wyrobiły swojego rodzimego języka, aby mogły w nim stosowną nazwą oznaczać naukę, z którą się dopiéro obeznawać miały od nauczycieli cudzoziemców. W jednym więc języku powszechnym, uczonym nazwy nauk musiały być cudzoziemskie. Język ten uczony tak wielki wpływ wywiérał, iż w nim dla ogólnéj oświaty pisano dzieła, czego mamy dowód na mnóstwie swojich pisarzy, których zaraz współcześnie, lub późniéj przekładano i dziś jeszcze przekładają. (Frycza Modrzewskiego, Ostrorogа, J. Kochanowskiego, Klonowicza, Sarbiewskiego, Janickiego, Długosza, Orzechowskiego i t. d.). Gdy narody ośmieliły się pisać w rodowitym języku, gdy od razu nie mogły przełamać wszelkich przeszkód; zostawiały do pewnego czasu mnóstwo wyrazów obcych, które powoli w upływie wieków ustępowały swojskim, i przyjdzie niezawodnie ta chwila, że zupełnie znikną, wyjąwszy w językach romańskich.

Jeżeli swojim poprzednikom składamy wdzięczność, że otrząsnęli język z wyrazów cudzoziemskich; dla czegóż, jidąc w jich ślady nie ma być nam wolno tego samego czynić? Widocznie historyczność i postęp tego wymagają; zatym kto uprawia jakąś naukę, kto poczuwa w sobie zdolność przełożenia wyrazów obcych, a nie czyni tego, ten źle się zasługuje ludzkości, nauce, językowi, bo nie rozumié tego, co się około niego dzieje:— on Chińczykiem.

Roda, rodni.

Utrzymuje p. K., że wyraz *roda* może być prześliczny i głębokiego znaczenia, jeśli jest w czeszczyznie. Zadziwiający warunek *„jeśli jest w czeszczyznie"*! Mimowolnie warunek taki każdemu ten wynik wyprowadzić każe, iż to, co się w polskim języku znajduje, nic niewarto. (Wyraz *roda* mamy w książeczce do nabożeństwa Śtéj Jadwigi (1); wy-

(1) Pan Maciejowski, niezmordowany, głęboki badacz i wyjaśniacz naszéj przeszłości, w tomie pierwszym *Piśmiennictwa Polskiego*, książeczkę do nabożeństwa po pierwszy raz przez Józefa Motty roku 1823 wydaną, powszechnie znaną pod tytułem Śtéj Jadwigi, nazywa *Książeczką Nawojki*. Na tym on swoje twierdzenie opiéra, że w dziele samym napotykać się daje kilkakrotnie nazwisko *Nawojka*; dodaje oraz, iż był jakiś *Nawój*, bo jego podpis znajduje się na starożytnym dyplomacie; skąd wniosek oczywisty, że pomieniona książka była własnością rodziny *Nawojów*, a mianowicie jakiéjś kobiéty *Nawojki*. Pomimo uderzającego na pozór podobieństwa, nie mogę się zgodzić, aby wyraz *Nawojka* był jimieniem własnym; wolę raczéj utrzymywać, iż jest jimieniem pospolitym. Rozważmy to bliżéj. Gdyby kobiéta, do rodu *Nawojów* należąca, była mężatką, nazywałaby się *Nawojowa*, a panna nosiłaby miano *Nawojówna:* wyraz przeto Nawojka, jako jimię rodowe, upada i jest tylko pospolitym, znaczącym taką kobiétę, która dużo nawojowała, nagrzeszyła; stąd sama w modlitwie nazywa się *nawojką*,

razu *rodni* w Wielkopolsce używają do nazwania *ospy naturalnéj*). Ale pomińmy to rozumowanie i jidźmy do rzeczy. Sądzi K., że wyrazem *roda* nie obejmiemy wszystkich pojęć, jakie maluje *natura*; że nie zdołamy przełożyć wyrazów: *naturalny, naturalnie, naturalność, naturalista*; że sam nawet Żochowski cofa się, bo mówi: „*szyk najnaturalniejszy*, nie *najrodniejszy*." Wyrazem *natura* malujemy najprzód pojęcie saméj siły twórczéj, nadanéj ciałom przez Najwyższego; powtóre, wszelkie tych ciał własności; potrzecie, zbiór rzeczy stworzonych. Dla czegóż nie możemy objąć powyższych pojęć *rodą*? Ale właśnie nie potrzebujemy tak obarczać wyrazu *roda*; nią albowiem oznaczymy pierwotną siłę twórczą, którą Bóg w jéj łonie, jako w rodzicy, złożył; a dopiéro drugim wyrazem *przyroda* oddamy pojęcie własności ciał i zbioru wszelkich rzeczy, które matka *roda* przyrodziła. Takim sposobem wyrazy: *roda, przyroda* najwłaściwsze otrzymają przeznaczenie.

Wstrzymanie się w kroku nie jest jeszcze jego cofaniem. Jidąc za przysłowiem: *Nie od razu Kraków zbudowano;* trzymając się zasady lekarzy, postępowałem ostrożnie, to jest: zapisałem lekarstwo po łyżeczce, któreby z wolna działało, a jednak aż do skutku. I rzeczywiście, nadspodziewanie nastąpił, bo p. K. woła: „Już *brat rodni, rzecz rodnia* dziko brzmi dla ucha. Jakże z tego tworzyć stopnie? może *rodniejszy, najrodniejszy*?" Powoli, tylko powoli, bez żadnych uniesień, bez żadnych uprzedzeń, a dojdziemy i ładu i składu. Ciekawym, dla czego ma brzmieć dziko: *brat rodni, rzecz rodnia, rodniejszy, najrodniejszy*, kiedy ucho nasze przyjmuje mile: *brat przyrodni, ospa rodnia, mężczyzna dorodny, syn nieodrodny, synowie najdorodniejsi*? i t. p. Następnie, dla czego wyrazów: *naturalny, naturalnie, naturalność, naturalista, nadnaturalny, nadnaturalność* nie możemy oddać przez: *rodni, rodnie, rodność, badacz rody* (*rodzista*? jak *słuźbista*), *nadrodni, nadrodnie, nadrodność*? Panu K. dziko brzmi *brat rodni;* chce więc koniecznie mówić: *brat rodzony*. Otóż powiadam, że *brat rodzony* z tym pojęciem, jakie dotychczas przedstawia, brzmi najfałszywiéj dla zdrowego rozumu. Pytam się p. K. jakiż więc ma być nietylko brat, ale wszelki człowiek? czy chce powiedzieć: *wylęgły* lub *wykluty*? To cokolwiek za nizko dla rodu ludzkiego! Unikając takiego poniżenia, popraw'my się i na braci jednego ojca i matki mów'my: *bracia rodni*, jak mówimy o braciach innego ojca, a jednéj matki: *bracia przyrodni;* przymiotnik zaś *rodzony* zostaw'my każdemu człowiekowi, boć zajiste każdy się rodzi, a nie wylęga, lub wykluwa.

Daléj się lęka, że wyraz *roda* zrobi zamieszanie z wyrazami *ród, naród, poród, uroda* i t. d. Próżna i dziecinna obawa! Wyraz *roda*

czyli grzesznicą. Do tego przypuszczenia upoważniają wyrażenia: *Ja grzeszny człowiek spowiadam się i t. d.*, lub: *Ja N. stawam przed obliczem i t. d.*, po modlitwach w dzisiejszych książkach się znajdujące, które najwyraźniéj wskazują, że *nawojka* dzisiejszą grzesznicę oznacza. Skoro tak jest, nie zmieniajmy *książki Stéj Jadwigi* na *książkę Nawojki*, bo być może, że się znajdzie jakiś pomnik, w którym znowu *Nawojkę* spostrzeżemy; a wtenczas trudnoby było odróżnić jednéj *nawojki* od drugiéj, lub dziesiątéj, boć ony wszystkie zaprawdę do siebie byłyby podobne.

stanie przed wszystkiemi i przytuli je do swego łona, jak matka kochająca swą dziatwę. A najbliższe jéj serca będzie *uroda*, ta pieszczocha, ta matczyna ulubienica, ta ślicznuchna, ta najurodziwsza jéj córa, którą wymuskawszy, wychuchawszy, wypieściwszy i ozdobiwszy wszystkiemi najpiękniejszemi przymiotami, na znak swéj miłości nazwała *urodą*, że ją najwięcéj umiłowała. I doprawdy! widać to po *urodzie*, że była jedynym okiem u matki rody, bo *uroda*—to przeczudny,—to najśliczniejszy wieniec uwity z wszystkich piękności.

Ostatecznie ubolewa p. K. nad daremną pracą w tworzeniu nowych wyrazów. Zgadł, że męka, tylko z innego powodu, — albowiem nie ma nic nad to boleśniejszego dla człowieka, kiedy ten, po zgłębieniu swego przedmiotu, w najlepszéj chęci prostuje dawniejsze uchybienia, a w nagrodę odbiera chłostę od innego, który, prześliznąwszy się po przedmiocie, czyni zarzuty, z których dla dobra rzeczy usprawiedliwiać się przychodzi. To dopiéro prawdziwa męka!

Przedjimek, za przyjimek.

Nie ubliżam bynajmniéj, iż pp. Tyszyński i Maciejowski piérwéj odemnie użyli *przedjimka* za *przyjimek;* lecz trzeba oddać sprawiedliwość, czyli poprawić p. K. który ma niby znać dokładnie dzieje języka, że Jan Nepomucen Kamiński najpiérwszy w Haliczaninie dowiódł i przekonał o potrzebie takiéj poprawy. Mając przed sobą i najsilniejsze przekonanie i taką powagę, nie widziałem potrzeby w obszerne wchodzić wywody; sądziłem bowiem, iż samo zwrócenie uwagi na tę okoliczność już będzie rzeczą dostateczną. Jednakże się omyliłem. Pan K., ażeby się utrzymał przy swojim, powiada, iż dawniéj kładziono przyjimek po wyrazie, z którym w związek ścisły wchodzi. To względna do czasu prawda, o czym się późniéj przekonamy na właściwym miejscu. Każdy widzi, iż dogadzam p. K., jak ktoś, co powiedział: „Do czasu Jozuego słońce chodziło, lecz, gdy ten rzekł: *stój słońce!* — to słucha jego rozkazów aż do dnia dzisiejszego, a ziemia się obraca." W innym miejscu depcze historyczność na prawdzie, na przekonaniu i dowodzeniu uzasadnioną; tu chce nią podeprzéć swoje widzimisię: czyż więc się godzi tak być sprzecznym samemu sobie? Kiedy jednakże koniecznie tak się upiéra, niechże nam pokaże choć jeden fakt historyczny, nie mówię już z obecnego języka, ale pozwalam mu nawet obrać tę chwilę, w któréj wyraz *przyjimek* powstał, i niech mnie przykładem choć jednym przekona, że piérwszy, który *przedjimek (praepositio) przyjimkiem* nazwał, w swojim działaniu opierał się na rodzie téj części mowy, na jéj posłudze w języku pełnionéj i na wyrazie obcym *praepositio*, który oddał przez *przyjimek*. Czy piérwszy twórca zwracał baczność na *praepositio*, tego rozstrzygnąć nie umiem; ale p. K. napisał go sobie w nawiasie, więc go widział: podziwiać się przeto bardzo należy, co spowodowało p. K. do takiego dowodzenia: czy nieprzełamany upór i chęć postawienia przeciwnika swojego w najniekorzystniejszym świetle? czy nie przejęcie się znaczeniem wyrazu *praepositio*? Skoro *prae* znaczy zawsze *przed*, skoro *praepositio* w znaczeniu właściwym znaczy: *przedstawienie, przeło-*

żenie; to też wzięty w znaczeniu przenośnym, czyli uważany za część mowy, nazywa się najwłaściwiéj *przedjimkiem.* Ale stąd nowa oględność, troskliwa pieczołowitość dla języków obcych i nieprzełamana trudność dla p. K. wynika, który nie umié sobie zaradzić, jak ma nazwać *l'article, Geschlechtswort?* Że swego stanowiska nie miałem obowiązku w ten szczegół wchodzić, bo ten był za obrębem mojego działania; teraz, jidąc w pomoc stronie pilniejszéj, wynurzam swoje zdanie. Niech p. K. nazwie *l'article, określnikiem,* a ręczę, że ta nazwa będzie stosowniejsza od dawnéj, że bez porównania więcéj mu wyrazi, niż w obydwoch językach: *l'article, Geschlechtswort* mówią i że mowę jaśniejszą uczyni.

Myli się p. K., gdy utrzymuje, że *przyjimek* urobiono analogicznie do wyrazów: *przymiotnik, przysłówek.* Do analogiji wyrazów trzeba analogiji pojęć; gdy te są inne, nazwy muszą być różne: inaczéj nie pełnią dobrze swego przeznaczenia. Między przymiotnikiem i przysłówkiem jest analogija, położyć je bowiem mogę *przed* lub *po,* to jest *przy;* stąd powiedzieć mogę: *dobry człowiek, dobrze widzi,* lub: *człowiek dobry, widzi dobrze;* przedjimka tu na żaden sposób włączać do nich nie można, albowiem ostatni musi poprzedzać jimię, do którego się odnosi, — nigdy zaś po nim następować, np. *Przed sobą macie prawdę, jak na dłoni.*

Muszę i to wyznać, iż tego nie pojmuję, aby piérwszą częścią składową przyjimka miało być *przydo.* Jeżeli to nie jest błędem druku, zatym musi być nielogicznym dezorganizmem nieterminologicznych wyrazów, niedelikatnemi fibrami w kupę jednę zbitych.

Modła.

Z dwojga złego cały świat wybiéra mniejsze; użyciem wyrazu *modła* usunąłem *deklinacyją* i *konjugacyją,* zatrzymując formę do innego celu, jak czytelnikowi *Mowni* wiadomo. Należy teraz pokazać, czym też bardzo w tym względzie chybił. Pan K. powiada, że wyraz *modła* ma piérwsze, czyli właściwe znaczenie *modlitwy;* drugie dopiéro *wzoru, formy, aryngi, ram, patrona* (do malowania ścian w desenie). W tym sąd jego zupełnie mylny, o czym powinny go były przekonać wyrazy cudzoziemskię, przez niego przytoczone, które najwyraźniéj mówią swojim znaczeniem, iż *model, wzór, aryngę, ramy jakieś, śródwagę do ustawiania muru,* to jest: *modłę,* a nie *modlitwę* malują. Wskazujemy teraz jak *modła* (wzór) przeszła w znaczenie *modlitwy.* W kościele rzymsko-katolickim do dnia dzisiejszego używa się pewna arynga, to jest: *modła* wszelkiéj modlitwy. Aryngę tę stanowią wyrazy: *przez Jezusa Chrystusa Pana naszego. Amen;* lub *Kirye elejson, Chryste elejson.* Gdy więc musiano w pewnym kształcie zanosić prośby do Boga, gdy ten kształt nazywano już wówczas modłą; nic więc dziwnego, że dla blizkiego zbiegu modły z modlitwą użyto w znaczeniu przenośnym rzeczy obejmującéj za objętą, czyli *modły za modlitwę.* Stąd dziś w znaczeniu właściwym: *modlitwę, modlitwy odmawiamy,* a w znaczeniu przenośnym *zasyłamy, wznosimy modły do Boga,* gdzie wyraz *modła* używa się tylko w liczbie mnogiéj.

P. K. robi wykrzyknik: „Niezadługo Polakowi będzie potrzebny słownik wyrazów, z którego się dopiéro znaczenia jich uczyć będzie mu-

siał." To oczywiście fonetyczny effekt, którym przeciwnika nie zagłuszyć, ale zabić usiłował. Jednakże tak nie jest, bo jistotnie ludzie się uczą wyrazów i jich znaczenia, najprzód ze słuchania mowy ustnéj, daléj z czytania dzieł, następnie ze słowników. P. K. znajdzie wyraz, o którym mowa, w słowniku Lindego, a zatym się zaspokoji; ale swojich wyrazów: *fonetyczny*, *fonologija* gdzie szukać każe? Oczywiście trzeba je sprowadzić z za granicy, czego sam dał przykład, bo aż z Japoniji za pośrednictwem jeografiji Ansarta, lub jakiéjś zapewnie encyklopedyji dostawił strożów języka. Oj! przecudowna to rzecz ta encyklopedyja! wszystkiego uczy dobrze, pięknie, prędko, nawet o stróżach języka nie przepomni. Niech żyje encyklopedyja, iż nas stróżami: *Kubo* i *Dairy* obdarzyła! jesteśmy teraz nie na żarty mędrsi.

Za nadto daleko uniosła nas encyklopedyja na swych skrzydłach; wracajmy więc do rzeczy. Wykrzyk p. K. w to godzi, że wyraz *modła* dawno wyszedł z użycia i najnieszczęśliwiéj za *formę* użyty, że go tylko w słowniku szukać trzeba, że tylko jeden: *autor nauki języka polskiego podług zasad Szreniawy* go użył; a zatym, że to rzecz czasem zakazana. Rozumiem, do czego to wszystko zmierza i Szreniawa ma słuszne prawo obruszyć się na p. K. Szreniawa, pomimo sobie właściwych tylko błędów, pisał i myślał samodzielnie; p. K. jako klijent, powinien wtenczas stawać w obronie swego pryncypała, gdy go ten zawezwie; przy innych okolicznościach nie godzi się Szreniawy na ostre wystawiać. Przedstawiając rzecz, jak jest w jistocie, powiadam, że najpiérwszy z pisarzy w tym wieku użył wyrazu *modła* w znaczeniu wzoru, formy: *autor Literatury w dziewiętnastym wieku* Za nim w ślad poszli: *autor przez p. K. przytoczony*, tudzież pp. *Kondratowicz*, *Maciejowski* i *Mecherzyński*. Dzieła, mianowicie ostatnich, krążą w rękach wszystkich; tym bardziéj znają je ci zapewnie, którzy poświęcili się uczeniu młodzieży. Nie chcę ujmować p. K., aby jich nie czytał, wolę raczéj przypuścić, iż chcąc dopiąć swego celu, naumyślnie jich przed publicznością ukrył. Tego jednak ani dla dobra nauki, ani nawet dla siebie nie powinien był czynić; publiczność albowiem wprowadzona na mylną drogę, uwiedziona dowodzeniami, a tym samym niejako pomówiona o niedbalstwo, że sama nie czyta dzieł obecnie wychodzących, tylko się chce dowiedzieć o jich wartości wewnętrznéj z czyjéjś oceny, gotowa wet za wet oddać i ostrym grotem boleśnie zranić.

Spadek.

Pan Józef Muczkowski słusznie się żalić będzie, że p. K. to mu przyznaje, do czego piérwszy, przynajmniéj jak sądzę, nie rości żadnego prawa: wié albowiem bardzo dobrze, skąd wziął wyraz *spadek* do swéj grammatyki; a zatym musi ze mną powtórzyć, że dopiéro Kopczyński, utworzywszy *przypadek*, usunął dawniéj używany *spadek*, który, jako krótszy, dawniejszy i mniéj mający znaczeń różnych, lepiéj tylko, a nie dobrze (najwyraźniéj mówię), odpowiada przeznaczeniu. Na dokończenie powtórzmy sobie myśl p. K. „Nie gońmy tak za wyrazami, a będziem mogli więcéj poświęcić czasu zbadaniu jistoty i treści rzeczy." Ta

myśl jest najpiękniejsza z całéj Oceny i ubolewajmy wszyscy, że p. K. nie miał jéj na ciągléj uwadze. Ależ i to się zdarza, że przypadki wtenczas po ludziach chodzą, gdy ci najmniéj się jich spodziewają.

Miot i Miotnik.

Zdanie jest odbiciem, czyli obrazem myśli naszéj, bądź przez nas samych w umyśle naszym utworzonéj, bądź przeniesionéj ze świata zmysłowego; wyrazy w zdaniu są podobnie obrazem pojęć myśl naszę składających: skoro więc p. K. zdania nie odrzuca, myśl przyjmuje; nie powinien był przeto odmówić jistnienia tak częściom zdania, czyli wyrazom, jako téż cząstkom myśli, czyli pojęciom, lub wyobrażeniom myśl składającym. Przecież, jako mający głęboko myśléć podług czyjegoś zdania tak mówi: „Dopóki co jest tylko w myśli, jest, jakby go nie było i na to nie potrzeba wyrazu; ten dopiéro staje się potrzebnym wówczas, gdy owa myśl uzewnętrznia się pewną formą i jakimś do siebie należącym znaczeniom." Rozumowanie p. K. do następujących wniosków prowadzi. Skoro to, co jest w myśli, jest, jakby go nie było; stąd więc wynika najprzód: że myśl, składająca się z niczego, jest urojeniem; powtóre, że myśl sama, ta już czcza mara bez pojęć, dopóki jest w umyśle, musi być koniecznie niczym. Słowem: świat umysłowy nie jistnieje u pana K. rzeczywiście; mimo to wszystko jednak rodzi mu się myśl uzewnętrzniona, wcielona, wyrazami oddana, najdotykalniejsza, czyli zdanie. Ale pytam się teraz, skąd powstać mogło zdanie, kiedyśmy o nim pojęcia w umyśle przypuścić nie chcieli? jakim sposobem możemy ujrzéć obraz przedmiotu odbity w zwierciedle, kiedy nie przypuszczamy samego przedmiotu przed zwierciadłem? Każdemu wszakże wiadomo, że obraz przedmiotu, a zatym i części go składających, odbity w zwierciedle musi miéć przed zwierciadłem sam przedmiot ze wszystkiemi częściami w skład jego wchodzącemi; za usunięciem się przedmiotu z przed zwierciadła, natychmiast niknie obraz jego w zwierciedle. Czymże jest przedmiot i obraz jego? Przedmiot przed zwierciadłem jest tym samym, czym myśl w umyśle; a obraz przedmiotu znowu jest tym samym, co zdanie. Skoro części przedmiotu przed zwierciadłem jistnieją i mają swoje nazwiska; zatym i części myśli, czyli pojęcia tę myśl składające muszą być i miéć także nazwy. Te właśnie okoliczności mnie spowodowały, że pojęcie główne, w myśli działające, nazwałem *miotem*, a wyraz w zdaniu, to pojęcie malujący, *miotnikiem*.

P. K. usiłuje dowodzić, że *miotnik* jest złym wyrazem, bo chociaż jest osobą działającą, niczego się nie dowiemy o jego działaniu bez słowa. To prawda, bez słowa nie dowiemy się o działaniu miotnika; ale proszę sobie zrobić jakieś pojęcie czynu bez działacza? proszę, choć na chwilę, przypuścić jistnienie skutku bez przyczyny? Zdrowy rozsądek na to się nigdy nie zgodzi; miotnik przeto, jako działacz, jako ten, który czynność miota, to jest sobą i z siebie ją wydaje, ma najodpowiedniejszą nazwę, bo dobrze maluje sobą przeznaczenie swoje. Dla czegóż jednak p. K. tak uporczywie obstaje za wyższością słowa? Oto ta przyczyna, jak słońce jasna, że dotąd wszyscy, powtarzając jedni drugich, pierwszeń-

stwo słowu oddawali, a „jidąc wyroków nakazem, w dészcz, w pogodę, było razem" bezpieczniéj. Wyraz *miot* był szczęśliwszy, uważał go bowiem tylko za zbyteczny.

Ponieważ w języku mamy wyrazy: *rzecz, rzeczownik,—przymiot, przymiotnik;* należało je koniecznie zbijać. Czyby to było dobrze, rzecz inna, ale przynajmniéj logicznie; pokazałaby się tu konsekwentność p. K. i głębokość myślenia, o którym się ktoś wysoko rozwodzi. Jeżeli wprowadzenie wyrazów: *miot, miotnik* na odmalowanie rzeczy różnych, a pewnym podobieństwem z sobą połączonych, ma być zbytkiem nagannym, ścisłości i jasności w nauce zawsze przeciwnym, gmatwaniną wyobrażeń elementarnych i mąceniem pojęć; to słowo w słowo, co do joty daje się ten wyrok zastosować do wyrazów: *rzecz, rzeczownik,—przymiot, przymiotnik.* Gdy o zbyteczności tych wyrazów pominął; zdrowy rozum powinien był go przestrzédz, aby o *miotniku* i *miocie* przemilczał.

W dalszym ciągu swojéj pracy wyraz *podmiot* przenosi nad *miot* z tego powodu, że podmiot myśl mówiącego miota. Gdyby przynajmniéj powiedział: że podmiot podmiata myśl mówiącego, byłoby niezawodnie analogiczniéj. Miotanie lepiéj przystoji miotowi, a podmiatanie, podmiotowi. Trzeba i to dodać, że w pojmowaniu: czym jest myśl, stojimy obydwa na krzyżowych drogach. Podług mojego sądu, *miot*, (czyli p. K. i Józ. Muczkowskiego *podmiot*), jest pojęciem szczególnym, w skład myśli wchodzącym; krótko mówiąc: miot jest częścią myśli. Podług niego *podmiot* (mój *miot*), znajduje się po za myślą, której usługując, jako subjekt, miota ją pod sąd słowem wyrażony. U niego są najwyraźniéj trzy rzeczy odrębne. Najprzód: podmiot stojący o swojéj mocy po za myślą; powtóre: myśl sama w sobie, nie wiém, z czego powstała, jak płocha wietrznica; potrzecie, sąd słowem wyrażony, również za obrębem myśli będący. Każda z tych rzeczy: *podmiot, myśl, sąd słowem wyrażony*, są przez siebie same odrębnie istniejące i działające na siebie, jako całostki, dajmy na to, w ten sposób: iż *pan podmiot* bierze *panią myśl* na ręce i miota ją przed *pana sąd*, aby ten zawyrokował, co się komu należy. Do takiego wyniku muszą każdego doprowadzić pana K. następujące słowa: „Daleko więc lepszy jest *podmiot*, który chociaż żywcem z łacińskiego przetłumaczony (*a NB. z Muczkowskiego wzięty*), ale wiernie, dobitnie i mile oddaje pojęcie subjektu, oznacza bowiem wyraz, *który (proszę uważać), myśl mówiącego miota, to jest poddaje pod sąd słowem wyrażony. To też jest najwyższym zadaniem subjektu.*" Niech p. K. wié o tym, że wyrazy lub pojęcia: *podmiot, myśl, sąd słowem wyrażony*, w sposób przez niego wysłowione, są, nie mówię trupami, bo i trup jest czymś; ale mrzonkami bez żadnego związku urojonemi i oddane wyrazami bez żadnego znaczenia: albowiem, co nie jistnieje w umyśle, nie może jistnieć w wyrazach, chociaż najfonetyczniéj (*najulubieńsze wyrażenie p. K.*) brzmiących. Jak człowiek składa się z duszy i ciała, tak myśl składa się z *miotu* (podług K. *podmiotu*) i *słowa*; jak człowiek, gdy utraca jednę ze swojich części, przestaje być człowiekiem, tak podobnie myśl, gdy od niéj zechcemy odłączyć części składowe, rozpłynie się w wielkie i niczym nie ujęte *nic*. Myśl zatym, ostatecznie określona przez K. jest wietrzną parą, w jego ustach tylko żyjącą, a podmiot (subjekt)

służalcem do miotania tego, co nie jistnieje ani w świecie zmysłowym, ani umysłowym. Wykonywa przecież ten upiór, jakby z ballad pożyczony, najwyższe swoje zadanie, o czym p. K. napisać nam raczył.

Objawnik, złącznik, przedmiotnik.

Objawnik dla tego się p. K. nie podoba, że objawnik tylko objawia; wolałby go zastąpić *orzeczeniem*, bo to orzeka. Daléj tak prawi: „Jeślić miot, albo nasz subjekt może mieć nazwę rzeczy, toć słowo o niéj coś rozpowiadające najwłaściwiéj, najtrafniéj i najłatwiéj nazwać *orzeczeniem*, gdzie wyraz *rzecz* jest punktem jego, bo predykat orzeka o jistocie pewien sąd, lub zaprzecza go całkowicie.“ Rozważmy, co to znaczy? Pan K. chce podług swego rozumowania, aby mój *objawnik* nazywał się *orzeczeniem*, oraz, aby i słowo nazywało się *orzeczeniem*. To wyraźnie piérwsza sprzeczność. Dla czego? Oto dla tego, „*bo predykat* (objawnik) *orzeka o jistocie pewien sąd, lub zaprzecza go całkowicie.*“ Wszakże wszyscy twierdzą, że słowo daje sąd i p. K. tak utrzymuje pod artykułem: *Miot, miotnik*. Tutaj nam prawi, że predykat znowu sądzi. To druga sprzeczność. Czy p. K. siebie nie rozumié, czy my się nie rozumiemy? sądźcie czytelnicy! Trudy nasze niech dla was staną się zabawką i wynagrodzą czas stracony.

Gdyby się choć cokolwiek p. K. zastanowił, że *łącznik*, jako znak pisarski oddawna jistnieje w mowniach, byłby mi nie przyganiał *złącznika*, albowiem zarazby spostrzegł, że dla pojęć różnych, trzeba różnych wyrazów, tam zwłaszcza, gdzie to z łatwością bez nadwerężenia języka da się uskutecznić: rozumowanie przeto o *łączniku* i *złączniku* jest rzeczywistym pleonazmem Oceny.

O przedmiotniku krótko kończy; ja, trop w trop za nim jidąc, powiadam: niech p. K. dowiedzie, że jeden z wyrazów: *przymiot, przymiotnik* jest w języku niepotrzebny; niech zdoła wszystkich przekonaniem nakłonić, aby je z języka usunęli: ja pod takim warunkiem chętnie wtenczas na ofiarę wyraz *przedmiotnik* poświęcę. Skoro tylko w języku nie ma *przymiotu, przymiotnika*; precz więc na bory i na lasy z *przedmiotnikiem*! To będzie logicznie! I jistotnie, tak zdrowy rozum wnioskować każe; mędrkowanie zaś, na naśladownictwie i urojeniu oparte, nie mogąc ujrzéć, a tym samym utrzymać należytego związku między rzeczami, chwieje się za najmniejszym powiewem wiatru i wydaje *przesądy naukowe!* Oho! już przewiduję, już nawet, zdaje się, słyszę z daleka jakiś dreszczem przejmujący szmer, szelest, jakiś szum i syk złowrogi dla siebie niefonetycznie grożący ciosami: „Co za szortskość języka, co za strupieszała scholastyczność!“

Orzecznik.

Tylko spaczone pojęcia i nieznajomość obydwoch języków w ten obłęd wprowadzić mogą, że *appozycyją* (appositio) przez *przydatnią* oddać można: że zatym *pozycyją* (positio) przez *położnią* najwierniéj się przetłumaczy. Ziomkowie! gdy dawać będziecie pieniądze, jako rękoj-

mią swojego kupna. nazywajcie je *zadatnią*, a nie *zadatkiem*; gdy o pozostałéj reszcie myślić będziecie, musicie powiedzieć: mam jeszcze *ostatnią*, *przydatnią*, *dodatnią* zapłacić, zamiast: mam jeszcze *ostatek*, *przydatek*, *dodatek* zapłacić. Tak K. uczy; u niego rzecz drugorzędna, niesamojistna musi mieć końcówkę *nia* w tym miejscu. Już widzieliśmy pierwéj pod artykułem *mownia*, rozumowanie p. K. o wyrazach, końcówkę *nia* mających, które tam są bardzo samojistnemi. Gdy więc te określenia wyrazów na *nia* zakończonych, zbliżymy do siebie i porównamy jedne z drugiemi, wypadnie największa sprzeczność, to jest; rzecz *samojistna*, o sobie stojąca i druga *niesamojistna*, podrzędna będzie jedno i toż samo. Że tak samo z siebie wynika, nie moja w tym wina; że tak jest rzeczywiście, nie zawinił także zupełnie p. K. Któż więc jest winowajcą? Józef Muczkowski, który *appozycyją* (appositio) przez *przydatnią* przełożył, a p. K. przysiągłszy *in verba magistri*, kierując się tą pochodnią naukową w ciemnościach, jak żeglarz na morzu igłą magnesową, za mistrzem swojim tylko powtórzył (1).

W dalszym ciągu mówi: „Sliczny on (orzecznik) jest, ale nie do tego, do czego go używa p. Ż. On tylko może być użytym do oddania tego pojęcia, o którym grammatycy nasi dotąd nic a nic nie wspominają, a który tymczasem jest potrzebą naszéj terminologiji grammatycznéj, to jest powinien być użyty do odrysowania odrębności rzeczownika, lub przymiotnika połączonego z podmiotem za pomocą łącznika *być*. Gdy mówię np: *Brat mój jest chory*. *Swiat jest dziełem Boga*. Tu *chory i dziełem* są orzecznikami wyrazów *brat* i *świat*." Nim się usprawiedliwię z nazwy *orzecznik*, wytknę obroty i taktykę wojenno-literacką. Pan K. jak z trójnoga, gromi naszych mówników, że nic a nic nie wiedzą o stosownym użyciu *orzecznika*; skąd każdy rozsądny człowiek tak zawnioskuje. Skoro nasi grammatycy nic nie wiedzą, więc także i J. Muczkowski. Ale ten rozsądny człowiek zupełnie się pomylił; bo właśnie, podług sądu p. K. jeden tylko Muczkowski wié doskonale (2), nikt więcéj. Dla czegoż go ukrył? Miałżeby nie wiedzieć, co jego mistrz pisze? To być nie może, bo ciągle jego mądrością krzepi swego ducha i fałszywe sądy wydaje. Może przez skromność dla mistrza i dla osłonienia go od pocisków nieprzyjacielskich przyjął *pro peccatis* na siebie jego rozum i naukę, aby się nim wsławił? To coś podobniejszego już do prawdy, bo Józef Muczkowski jest najnieszczęśliwszym kompilatorem ze wszystkich kompilatorów.

Gdyby p. K. nie dał się powodować naśladownictwu, gdyby pomyślał i zastanowił się; w okamgnieniu dostrzegł, że Ż. zna rodę predykatu, appozycyji, bo najwyraźniéj mówi o pokrewieństwie tych pojęć; że w gruncie rzeczy *objawnik* i *orzecznik* (predykat, appozycyja) jest toż samo i że tylko w różnych zwrotach mowy, przybierając inną suknią zewnętrzną potrzebowały innéj nazwy. Rozmajitość przeto toku zmusiła Ż. do nazwania predykatu *objawnikiem*, a appozycyji *orzecznikiem*. Że tak jest rzeczywiście, przykład nam to lepiéj wyjaśni, jakoto:

(1) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego* z r. 1849, str. 212.
(2) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego* z r. 1849, str. 201.

Paweł jest naśladowcą i obiecanym na przyszłość mównikiem. (Tu: *naśladowcą i mównikiem* są objawnikami).

Paweł, naśladowca i obiecany na przyszłość mównik, napisał dzieło. (Tu: *naśladowca, mownik* są orzecznikami).

W dwóch tych przykładach *miotami*, to jest: Pawłowi przyznane własności wewnętrznie się nie zmieniły; zaszła tylko różnica w oddaniu zewnętrznym z tego powodu, iż obok tego, czym *miot* jest, chcieliśmy się dowiedzieć, co ten sam miot działa: słowem, tu miot nic nie uronił ze swych przymiotów.

Słowo konane, jednotrójne.

Mamy przymiotniki: *uczony, ukochany, ulubiony*, które nie są jimiesłowami, chociaż z nich powstały, bo się odmieniają przez stopnie: *uczony, uczeńszy, najuczeńszy* i t. d.; mamy przymiotnik *miniony*, który powstał ze słowa *minąć*, przecież nie był jimiesłowem, bo jimiesłowem tego słowa jest *minięty;* mamy nareszcie przymiotniki: *biegły, rosły*, np. *biegły, bieglejszy, najbieglejszy człowiek; rosły, roślejszy, najroślejszy koń*, pochodzące od słów miotowych konanych, nie mogących zatym mieć jimiesłowów przymiotnych, (biernych): dla czegóż więc nie możemy mieć przymiotnika *konany* od słowa miotowego *konać?* Czy dla tego, że nikt dotąd nie użył wyrazu *konany?* Gdyby nasi przodkowie tak myśleli, nie mielibyśmy ze słów przymiotników powyższych urobionych. Widzi przeto p. K., że to życie, dalszy postęp, ciągły rozwój,—nie stagnacyja, nie trumna!

Mam się wytłumaczyć, co mnie spowodowało do użycia wyrazu *konany* za *niedokonany*. Wyrazem *niedokonany* tylko tyle malujemy, że rzecz jakaś nie jest dokonana; lecz jaka właściwie?—nie wiemy. Taki sposób określania jest najsłabszy, albowiem, po zaprzeczeniu przymiotu w rzeczy, żadnego jéj nie przyznaje, np. *kapelusz nie jest czarny*. Tu wiemy, że kapelusz nie ma przymiotu czarności, ale oraz, jaki ma właściwie, tego nam nie wypowiada; bo wcale za tym nie jidzie, aby kapelusz nie będąc czarnym, był biały; może być zielony, żółty, niebieski; słowem: sam tylko Bóg wié, jaki to będzie przymiot tego kapelusza.

Toż samo ma się rozumieć z wyrazem *konany*. Chcąc mieć pojęcie *niedokonaności*, trzeba mieć wyobrażenie *dokonaności;* lecz aby znowu wiedzieć, czym jest *dokonaność*, trzeba się najprzód zapoznać z *konanością*. *Konaność* pojęta wyjaśnia dopiéro znaczenie *dokonaności* i *niedokonaności;* przymiotnik zatym *konany* wprost urobiony z *konaności*, jako ze swego źródła, najściśniéj spełnia swoje przeznaczenie. Ostatecznie słowo *konane* jest takie, którego czynność trwa, dzieje się, odbywa się, kona się, płynie, ma życie bez końca; słowo *niedokonane* jest znowu podług swojéj nazwy takie, ktorego czynność nie trwa, nie dzieje się, nie odbywa się, nie kona się, nie płynie, nie ma życia, i dla tego, co ma znaczyć?—nie wiem. Zajiste! słowo *niedokonane*—to trup! to najfałszywsza nazwa! precz z nią więc do trumny! niech więcéj ani trunie!

Jednotrójne wyrażenie każe mi p. K. nazywać *formą nieosobistą zwrotną*. Nazwa ta jest wynalazkiem i własnością jego, bo w tym miejscu mistrza porzucił, czyli porzucić prawie musiał. Józefowi Muczkowskiemu nigdy się nie śniło o *jednotrójnym wyrażeniu*, czyli o tym, co wyrażenie jednotrójne *(przypuśćmy złe)*, sobą przedstawia i maluje, bo mu dotąd nikt téj własności, w naszym języku się znajdującéj, palcem nie pokazał, czego on koniecznie i wszędzie potrzebuje. Ale ponieważ w jego dziele znajdują się *słowa zwrotne i zajimkowe;* (1) otóż p. K. przez analogiją do słów zwrotnych i zajimkowych utworzył *formę nieosobistą zwrotną*. Gdyby powiedział, że *jednotrójne wyrażenie* na pojęcie i przedstawienie tego, co ma malować, nie bardzo szczęśliwa nazwa, bo wyraz: *jednotrójny* z dwóch się składa wyrazów; składanie zaś takie, jakby kołkiem zbijanie nie przystoji językowi polskiemu,—byłaby rzecz inna: wyznałbym szczérze, iż nie umiałem lepszego utworzyć i przyjąłbym najchętniéj przez kogokolwiek utworzony, byle lepszy, piękniejszy i stosowniejszy. Ale ponieważ każą mi wyrażenia, np. *Chce się przewodzić, a nie umié się; chciało się coś pokazać*, ale *nie umiało się* i t. p. nazywać *formą nieosobistą zwrotną*,—na to przystać nie mogę z powodów następujących. Wyrażenie: *forma nieosobista* to mi objawia, że nie ma żadnéj osoby, co jest nieprawdą, bo *chce się, chciało się* i t. p. wyraża wszelką osobę i liczbę, skoro się za nię kładzie. Daléj przymiotnik *zwrotny* tu najniewłaściwszy, bo np. *zwrotny człowiek* znaczy człowieka zręcznego; *koń zwrotny* znaczy konia zgrabnie i składnie robiącego ruchy za wolą swego jeźdźca. Cóż więc będzie *forma nieosobista zwrotna?* Jakiś upiór hasający w tańcu, dopóki kur nie zapieje. Cóż mnie teraz spowodowało nazwać *jednotrójnym wyrażeniem?* Ponieważ, dajmy na to: *mówiło się* swoją postacią zewnętrzną ma zupełne podobieństwo do osoby trzeciéj rodzaju nijakiego; a w wewnętrznym znaczeniu maluje mi wszelką osobę jakiejkolwiek liczby: dla tego usiłując obydwa te względy oddać jednym wyrazem, powiedziałem *jednotrójne wyrażenie*. Mimo to p. K. woła: „Wyrażenie *jednotrójne* za *formę nieosobistą zwrotną* jakąś czarną chmurą zasłania nam pojęcie dotąd znane i téj największe usiłowanie zedrzéć z umysłu nie jest mocne". — Czytelnicy! Gdyby Dobromysł Łazowski mówił nam coś o znanych pojęciach *wyrażenia jednotrójnego*, miałoby to wartość swoję; bo trzeba nam wiedzieć, że on piérwszy w swojéj pracy przy każdym słowie je umieścił, a oddzielnie mówiąc o nim, nazwał je *trzecioosobowym wyrażeniem*. W gruncie zatym rzeczy zgadzam się z p. Łazowskim, różnimy się tylko nazwą techniczną i innym nieco poglądem, tudzież obrobieniem. Ponieważ, jak widziemy, p. Łazowski ma pojęcie o wyrażeniu jednotrójnym; łatwoby można przypuścić, że, gdyby koniecznie obstawał przy nazwie trzeciooso-bowéj, miałby prawo powiedzieć: *Ż. zasłania nasze pojęcia dotąd znane*, bo rzeczywiście p. Łazowski zna te pojęcia, tylko je inaczéj nazywa. Że znowu p. K. nie ma pojęcia o wyrażeniu jednotrójnym, to się tak dowodzi. Józef Muczkowski nie ma wyrażeń jednotrójnych ani w nazwie, ani w rzeczy; więc i jego klijent mieć jich nie może. Józef

(1) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego* z r. 1849, str. 135.

Muczkowski ma nazwę *słów zajimkowych i zwrotnych;* p. K. nazwę słów takich przenosi na szczególny zwrot jego, mówiąc: to się nazywa *formą nieosobistą zwrotną* i ostatecznie tą rzeczą się wydaje, że nie ma pojęcia tego, o czym prawi.

Za jednym ciągiem jeszcze i tę okoliczność dodać muszę. P. K. napomyka tylko, że słowo nijakie nazywam *słowem miotowym*, a zatym, ma się rozumieć, najniestosowniéj. Pomijam usprawiedliwienie téj nazwy, bo kto pojął znaczenie *miotu, miotnika, przedmiotu. przedmiotnika*, ten sobie tę nazwę sam wytłumaczy; ale zwracam się do nazwy: *słowo nijakie*. Każdy z nazwy: *słowo nijakie* wyprowadzi następującą definicyją: *słowo nijakie* jest to najpewniéj takie słowo, które nic nie znaczy.

Podobnie w dalszym ciągu swéj Oceny p. K. jidąc śladem naśladownictwa, nazywa słowa, np. *chcieć, woleć, musieć* i t. p. *słowami niezupełnemi*. Proszę sobie wystawić, jeżeli można, pojęcie czynności niezupełnéj! proszę uważyć, czyli powyższe słowa nie przedstawiają same sobą swéj czynności zupełnéj; a przecież jich nazwa chce mi narzucać takie pojęcie, które na żaden sposób jistnieć nie może.

Gdyby jakikolwiek człowiek innego powołania, jako to: obywatel, urzędnik i t. p., miłością nauki powodowany, który język uważa tylko za środek udzielania wzajemnie myśli, wystąpił przeciwko mnie z podobnemi zarzutami, jakie się w całéj Ocenie znajdują; umiałbym sobie ten pojaw wytłumaczyć: to albowiem miałbym przekonanie, że go nazwy wprowadzone rażą, nad któremi myśléć nigdy nie potrzebował, a teraz, pilnując rzeczy saméj, zastanawiać się nie chciał. Lecz inna rzecz z panem K., który kiedyś podług czyjegoś wyrażenia ma się stać koryfeuszem wszystkich mówników; ten, mówię, (wyrażając się słowami psalmisty), dzień i noc ma swój zakon rozważać, chwasty głuszące usuwać, aby soków pożywnych nie wysysały i prostować ścieżki nauce. Oto jest zadanie całéj ludzkości, która we wszystkich rozgałęzieniach wiedzy ciągle je wypełnia, która tym samym wywiązuje się z obowiązków przez Stwórcę na siebie włożonych; oto jest zadanie pojedynczego człowieka zawodu, jeżeli zamierza godnie odpowiedzieć swojemu powołaniu!

Zdania ogólne i określone.

Przysłowie: *Goły, jak święty turecki*, rozumiem; ale zdań *gołych, prostych, rozwiniętych* pojąć nie mogę. Rozważajmy w szczególności. Skoro jest zdanie *gołe*, musi być jemu przeciwne *niegołe*; lecz, ponieważ sposób określania przez przeczenie jest najsłabszy, trzeba zatym powiedzieć jakieś zdanie chyba *obrosłe*. Skoro jest zdanie *proste*, musi być *nieproste*; więc znowu *krzywe*. Nareszcie zdanie *rozwinięte* powinno za sobą pociągnąć zdanie *zwinięte*; jednak tak nie jest, bo zdaniu temu odpowiada zdanie *gołe* podług zasad Józ. Muczkowskiego (1), który swoje najfałszywsze prawidła ustami p. K. w Ocenie pokątnie rozsiewa Warto jednak przypatrzyć się, bo p. Muczkowski cuda czyni i zdanie *gołe*

(1) Czytaj: *Grammatyka Jęz. Pol. Józ. Muczkowskiego z r.* 1849 *strona* 203.

rozwija, ale jak? zobaczmy bliżéj. Każdy zapewnie z czytelników już naprzód sądzi, że ten golec (*zdanie gołe*) jak wąż dusiciel w kłębie leżący, wyprężywszy całą swoję siłę, rozwinie się i wysnuje z siebie, co miał ukrytego, zolbrzymieje i w całéj majestatycznéj ukaże się postaci. Ale gdzie tam? nie zgadliście! P. Muczkowski aby cud pokazał, inaczéj się wyraża, a inaczéj działa; albowiem mówi, że golec się sam rozwija, a tymczasem on go sam owija bez myśli. Że tak jest, oto dowód: „Zdania składające się tylko z podmiotu, orzeczenia i bądź wyraźnego, bądź w orzeczeniu ukrytego łącznika *gołemi* nazywamy, np. *Bóg jest sprawiedliwy. Ojciec czyta. Rozwiniętemi* są zdania, kiedy do powyższych jistotnych czyli głównych wyrazów i inne dla bliższego jich określenia są przydane, np. *Przedwieczny Bóg jest sprawiedliwym sędzią. Mój najukochańszy ojciec czyta bardzo ciekawą książkę.*" (Gram. str. 203. § 353). Widziemy ze słów p. Muczkowskiego, jak na dłoni, że kiedy mu się podobało zdanie *gołe*, przeciwne temu powinno być zdaniu *owiniętemu*; to przynajmniéj byłoby cokolwiek mądrzéj, grzeczniéj i skromniéj.

Ponieważ dopiéro com wyrzekł, że bezmyślnie p. Muczkowski zdanie rozwijał, usprawiedliwiam się sam z tego zarzutu. P. Muczkowski dał nam przykład zdania *gołego* w wyrażeniu: *Bóg jest sprawiedliwy*; a znowu zdania *rozwiniętego* w wyrazach: *Przedwieczny Bóg jest sprawiedliwym sędzią*. Pozwólcie sobie, czytelnicy! usunąć z oka i umysłu zdanie *gołe*; wystawcie sobie, że macie tylko drugie rozwinięte; raczcie teraz z powicia, (czyli jak on mówi z *rozwicia*) wydobyć zdanie *gołe*, a niezawodnie musi się wam okazać koniecznie w następujących wyrazach: *Bóg jest sędzią*; a zatym zupełnie różne od zdania: *Bóg jest sprawiedliwy*, które J. Muczkowski wziął do rozwicia. Znam niektóre podania Lublina; otóż powiadam, że, gdyby sam djabeł mnie i J. Muczkowskiego rozsądzał, pewnieby mi słuszność przyznał.

Jidźmy następnie za wyrazami J. Muczkowskiego: „Rozwija się zdanie, kiedy do głównych jego wyrazów przybieramy inne od nich zawisłe, *podrzędnemi* zwane, któremi podmiot, albo orzeczenie, albo też oboje razem bliżej, czyli dokładniéj oznaczamy, lub uzupełniamy; a tak całe zdanie rozszerzamy, czyli rozwijamy i dla tego takie zdania *rozwiniętemi* nazywamy."

„Przez wyrazy określające rozszerza się, czyli rozwija zdanie, ale myśl, a zatym i sąd, coraz więcéj się ściesnia, bo każdy wyraz przydany do zdania z jistotnych tylko części złożonego wyrażenie ogólne coraz bardziéj ściesnia, czyli określa, np. *Ktoś puka. Ktoś puka we drzwi. Ktoś mocno puka we drzwi. Ktoś mocno puka laską we drzwi od pokoju.*" (Gram. str. 204, § 354). Wiemy, że zdanie jest obrazem myśli; co się zatym dzieje w zdaniu, toż samo dziać się powinno w myśli, bo inaczéj obraz nie malowałby dobrze przedmiotu. Skoro podług J. Muczkowskiego; „*rozszerza się, czyli rozwija zdanie*" zatym i myśl podług zdrowego rozumu rozszerzać się i rozwijać powinna: przecież „*myśl a zatym i sąd coraz więcéj się ściesnia*". Co za rażąca sprzeczność! Obraz odbity w zwierciedle więcéj przedstawia, jak sam przedmiot przed zwierciadłem. Sprzeczność taka nie skąd inąd wynikła, tylko z najniestosow-

niejszéj nazwy: zdanie *gołe* i *rozwinięte*, chociaż sam już mimowolnie wpadał na zdanie, czyli jak mówi: *wyrażenie ogólne*.

Czy p. Józ. Muczkowski tłumaczy z niemieckich autorów, (tak sam mówi w wydaniu Grammatyki z roku 1836); czy bierze ciszkiem z autorów polskich, za co go z nad Wiliji głos Jakubowicza dochodzi: *Vare! Vare! redde mihi legiones*. co znaczy po polsku: *Panie Muczkowski! Muczkowski! zwróć mi moję składnią, którąś, popsuwszy, wziął po raz pierwszy do wydania z r.* 1836 *i powtórzył w ostatnim bez żadnéj wzmianki*: w każdym razie najnieszczęśliwszy dobór czyni. W *Częściach Mowy* dowiodłem, jak niezręcznie i nieumiejętnie korzystał z Jakubowicza; teraz znowu wyzwany przez p. K. muszę tę prawdę, a gorzką prawdę dla dobra ogółu powiedzieć, iż p. Józ. Muczkowski, nie zgłębiwszy swych nauczycieli Niemców, ulepił taką plątaninę o zdaniach, iż z niéj razem z p. K. zdać sobie sprawy nie zdołają.

Dowiódłszy, że na żaden sposób przyjąć nazw: zdanie *gołe, proste* i *rozwinięte* nie mogłem, nazwałem je: zdanie *ogólne* i *określone*. Ale ta właśnie okoliczność spowodowała p. K. do krzywego rozumowania, że nazwę zdań przeniósł na nazwę części zdania, bo mówi: gdy miot jest szczególny, zdanie jest szczególne: gdy zaś miot jest wyrazem ogólnym np. *wszyscy, niektórzy, niejeden* będzie zdanie ogólne. Z takiego rozumowania to wynika, że: *rolnik uprawia ziemię*, będzie zdaniem szczególnym; a znowu: *rolnicy uprawiają ziemię*, będzie zdaniem ogólnym, co wbrew zdrowemu rozsądkowi się sprzeciwia. boć każdy najoczywiściéj widzi, że *rolnik* obejmuje sobą wszystkich rolników.

Ostatecznie czyni zarzut, że zdanie *określone* jest złe dla tego, iż nie wiadomo: czy ono określa się wyrazami, czy też innemi zdaniami. Jam temu nie winien, że panu K. pomimo najwyraźniejszego mojego oznaczenia, podoba się zdanie *określone* nie wyrazami, lecz innym zdaniem określać. Gdyby się zastanowił, że tu jest mowa o budowie wszelkiego zdania odrębnie dotąd uważanego; gdyby dobrze zwrócił uwagę na wewnętrzne znaczenie wyrazu *okres*, nie marnowalibyśmy napróżno czasu ani sobie, ani czytelnikom, jeśli nas czytać raczą.

W przejściu do drugiéj części na zamknięcie rzeczy o terminologiji niech mi wolno będzie cudze słowa przytoczyć. , Mieszanina kilku języków w jeden śmieszną bardzo i babilońską czyni mowę, i znakiem jest albo niepłodności w języku, albo lenistwa w pisarzu. Już kilka wyrazów Grammatyce właściwych podali nam dawni pisarze tak polscy, jak słowiańscy; za cóż jich nie użyć, jeżeli są tak dobre, jak cudzoziemskie? za co inszemi wyrazami ojczystego nie wzbogacić, zwłaszcza wiedzącemu prawidła, jak się nowe tworzyć mają? Tak Grecy, tak Rzymianie, tak wszystkie robiły narody; za cóż my Polacy téj sobie wolności dać nie mamy? Doświadczyć przynajmniéj nie zawadzi. Zastanawiając się jednak nad tym zdaniem, przewiduję największą burzę na nowe słowa, bo mię uczą tego przykłady wszystkich wieków. Kto rzeczy nie będzie mógł pogardzić; ganić i wyśmiewać będzie słowa, wystawiając je na szyderstwo przez trefne jich tłumaczenie i przez zmyślanie nowych, o których się grammatyce śnić nie będzie. Wszakże nowe słowa utrą się z czasem i zestarzeją bo wszystkie wyrazy musiały być kiedyś nowe. Słowa cudzoziemskie dk

Polaka dziksze są, niezrozumialsze i do spamiętania trudniejsze, jako niezwiązane z mową jego, niżeli najtrudniejsze słowa nowe, które z ojczystego języka są wyciągnione. Dzieciom zarówna jest praca nauczyć się jakiegokolwiek wyrazu swojskiego, czy cudzoziemskiego; ale rozumienie i spamiętanie bliżéj się łączy z ojczystemi, niż z obcemi słowami. Ci, którzy do obcych przyzwyczajeni są wyrazów, nie tak nowością obrażać się będą, jako pracą w nauczeniu się nowych wyrazów. Z czasem poznawszy, że te wyrazy są i zrozumialsze i prawdziwiéj, niż w cudzoziemczyźnie rzecz znaczące, szacować bardziéj i kochać będą nad cudzoziemskie ojczysty język. Dla ułatwienia jim pracy w rozumieniu i spamiętaniu nowych wyrazów, położy się stary cudzoziemski wyraz przy nowym ojczystym. Wszakże, ulegając przesądom, a bardziéj jeszcze czując niezmierną trudność i pracę w tworzeniu nowych słów dobrych, kilka słów starych cudzoziemskich zostawić będzie można, za które niechaj następne czasy znajdą nowe. Próżno tu niektórzy zarzucać będą przykład obcych narodów, nauki wszystkie w swojim języku piszących, a używających przecie cudzoziemskich wyrazów, technicznemi czyli naukowemi zwanych. Bo *najprzód* uczeni ludzie w tych samych narodach skarżą się na ten niewolniczy zwyczaj, jako na tamę rozkrzewienia nauk po kraju, i już wiele bardzo takich wyrazów, w Niemczech osobliwie, na ojczyste wyrazy poprzerabiano i coraz więcéj przerabiają. *Powtóre* włoski i francuzki język, a po części angielski, ponieważ poszły z łacińskiego tak, jak łaciński z greckiego; wyrazy tedy greckie lub łacińskie mogą być w nich zachowane: w języku zaś polskim, który ze słowiańskiego pochodzi, zachowane być nie mogą." I w innym miejscu. „Kto nie znał dawnych grammatyk, prędzéj mu nowa przypadnie do smaku. Im zaś kto z dawnemi grammatykami większą miał znajomość i przyjaźń, tym na przyjęcie nowéj mocniejszy w sobie uczuje opór. Dzieci w téj mierze najszczęśliwsze, byle od starszych bałamucone nie były." (*Układ Grammatyki wyciągniony z dzieła już skończonego.* Warszawa r. 1785, druk. Gröllo).

(Dokończenie nastąpi).

Fizyka dla niższych gimnazyów przez Wojciecha Urbańskiego. *Lwów.* 1851.

O tém, zeszłego roku wyszłém dziele, teraz dopiéro jesteśmy w możności podać wiadomość w kronice naszéj. Ubolewamy nad tém, bo o podobnych pracach publiczność nigdy zawczésnie uwiadomioną być nie może. Lecz nie nasza w tém wina; bo jakkolwiek starannie śledzimy bieg téj gałęzi literatury na wszystkich punktach, długo czekać musimy nim książka drukowana za granicami Królestwa, szczególniéj téż naukowa do nas zawita. Zapewne liczne są tego przyczyny; lecz do nich i to także dodać wypada, że pisma czasowe czy niechętnie, czy w braku referent

nie raczą zamieszczać w swych kolumnach mniéj więcéj obszernych zdań spraw o wychodzących dziełach naukowych. Z wielu względów mamy prawo na to się uskarżać, szczególniéj téż w interesie saméj publiczności, która nieraz w potrzebie nie wiedząc o dobrém swojskiém, z konieczności rzuca się do dzieł elementarnych zagranicznych, chociaż nieodpowiednich celowi.

Zboczywszy już trochę, niech nam będzie wolno przy téj sposobności dotknąć jeszcze jednego przedmiotu jeżeli nie żywotnego, to przynajmniéj ważnego dla naszego piśmiennictwa. W piśmiennictwie czasowém to szczególnego jeszcze dostrzedz można, że jeżeli pisma podają niekiedy obszerniejsze ocenienia, to zawsze wybierają dzieła tylko oryginalnie po polsku napisane: ztąd nigdzie prawie nie można znaléźć nawet wzmianki o tłumaczeniach. Zapewne dlatego, że redaktorowie poczytują takie dzieła za obce naszéj literaturze i z zupełną traktują je obojętnością. Nie tak się dzieje w innych literaturach, bogatszych niezaprzeczenie od naszéj; tam przetłumaczone dobrze dzieło naukowe znanego cudzoziemskiego pisarza, uważane jest za przyswojone, i z tego stanowiska zapatrując się redaktorowie nie omieszkują wskazać publiczności miejsca, jakie zajmuje to dzieło w ogólnéj naukowéj literaturze, ocenić jego względną potrzebę i przedstawić jaki brak zapełnia w rodzinném piśmiennictwie. Na to, zdaniem naszém, należałoby zwrócić uwagę, choćby nawet i dla téj przyczyny, że w skutek niedostatku podobnych ocenień, wiele pięknych i pożytecznych dzieł nieznanych naszéj publiczności zalega pułki księgarskie; szkoda jakiéj ztąd doświadczają i publiczność i osoby zajmujące się naukami jest aż nadto oczywistą. Tłumaczenia nigdy i nigdzie nie były przeszkodą dla dzieł dobrych oryginalnych, choć często, u nas, dobre tłumaczenie dzieła naukowego miléj się czyta od oryginalnéj pracy.

Do tego wstępu dała nam powód fizyka p. Urbańskiego, ona więc w części usprawiedliwić go winna. Zdaje się nam, że to jest *najlepsza fizyka* oryginalna, jaka w ostatnich czasach przybyła do literatury naszéj, i dlatego właśnie zasługuje na obszerną wzmiankę i więcéj szczegółowy rozbiór. Została napisaną dla szkół galicyjskich, a jak tytuł mówi, dla niższych gimnazyów, i w tym celu rozdzielona na dwie części, z których piérwsza ma służyć dla trzeciéj, a druga dla czwartéj klassy.

Przedewszystkiém zastanowić się wypadnie nad planem, jako różnym wielce od zwykle u nas przyjętego.

Autor traktuje naprzód o własnościach ogólnych, o stanach skupienia, o cieple, a nareszcie o ciałach prostych i ich składzie chemicznym, i to wszystko, zapewne stosownie do przyjętego w galicyjskich szkołach planu, przeznacza dla trzeciéj klassy gimnazyalnéj.

Do czwartéj zaś, zostawia celniejsze prawa mechaniki, prawa równowagi ciał ciekłych i gazów, głos, magnetyzm, elektryczność i światło. W końcu dodaje jeszcze wiadomości o ziemi i ciałach niebieskich.

Myśl tego układu, z małą odmianą przyjęta po większéj części przez pisarzy cudzoziemskich ma tę pożyteczną stronę, że więcéj odpowiada systematycznemu wykładowi nauki; całość zaś układu bardzo dobrze stosuje się do obowiązującego programu w szkołach galicyjskich.

W saméj rzeczy, jeżeli już potrzeba do wykładu fizyki w szkole dodawać mniéj więcéj obszerne wiadomości z chemii i geografii fizycznéj (zapewne dla braku oddzielnych godzin na te nauki przeznaczonych), to najwłaściwiéj po ogólnych własnościach materyi zaraz umieszczać ustęp o ciałach prostych i ich składzie chemicznym. Lecz że wiadomości choć najelementarniejsze z chemii, nie mogą się obejść bez poprzednich zasad nauki cieplika, przeto przegrodzenie wyżéj przytoczonych przedmiotów, rozdziałem o cieplíku nietylko za niestosowny, lecz przeciwnie za bardzo właściwy uważać należy.

Zresztą cieplik jako najważniejszy i bez którego wykład dalszych czynników natury prawie logicznym być nie może, cieplik mówię, powinien wyprzedzać wszystkie inne części właściwéj fizyki i do najniższych klass sprowadzanym być winien.

Na taki właśnie zarzut nielogiczności, zasługuje wyszła w r. 1846 w Wrocławiu Fizyka dla szkół wyższych przez prof. Brettnera, przetłumaczona przez prof. A. Karwowskiego z Poznania. W tém, pod innemi względami treściwie i dobrze obrobioném dziele, nauka o cieplíku aż po świetle została umieszczoną; w skutek tego, autor traktując o barometrach, a głównie o mierzeniu gór za pomocą tych przyrządów, przywodzi wzór na poprawkę słupa barometrycznego od cieplika, cytuje całą formułę Laplace'a, nic poprzednio nie powiedziawszy o działaniu cieplika, o temperaturze i t. d. Podobnych przykładów więcéj naliczyćby można.

Co się tyczy planu w przytoczoném dziele p. Urbańskiego tę jeszcze dodamy uwagę. Niezaprzeczenie do fizyki koniecznie są potrzebne pewne wiadomości z mechaniki, lecz te stanowią tylko pomocniczą część, i dlatego w kursach fizyki o ile można wypada się ograniczać do najniezbędniejszych pojęć, pomieszczać je z początku, licząc je niejako do wiadomości wstępnych, poprzedzających naukę o siłach natury. Autor przeciwną poszedł drogą; mechanikę włączył do części traktującéj o sile ciężkości, przeznaczonéj dla klassy IVtéj, i co ważniejsza, względnie do innych części właściwéj fizyki ten przedmiot w swém dziele zbyt obszernie wyłożył.

Przejdźmy teraz do niektórych szczegółowych spostrzeżeń, jakie nasunęły się przy czytaniu niniejszéj fizyki, zachowując w tém porządek odpowiedni układowi dzieła.

Autor na str. 11 mówiąc o ściśliwości i rozciągłości, i przytaczając działanie cieplika jako jednę z głównych powodów objawiania się tych własności, poświęca zawielki ustęp działaniu cieplika, podaje teoryą ciepłomierza, sposoby zamiany stopni różnych gatunków tego narzędzia; co tém bardziéj jest to rażącém, że w następującym rozdziale o stanach skupienia i cieplíku napróżno szukamy wykładu tych przedmiotów. Sądzimy, że podobne przestawienie nie jest stosownem. Podobnie zamieszczony na str. 14 sposób podwójnego ważenia Bordy, daleko właściwiéj stać winien po działaniu sił równoległych, przyczepionych do ramion ciężkiego drąga, t. j. str. 33; ten bowiem sposób opiera się na teoryi dźwigni.

§§ O spojności i przyczepności (zwykle zowiemy to przyleganiem) jako odmianach siły ciężkości, przenieśćby wypadało do téj siły zawartéj w kursie dla IV klassy przeznaczonym.

Przypominamy tu szanownemu autorowi, że sposób Jessopa wysadzania skał prochem, gdy nabój piaskiem się przybija, nie można tłumaczyć potrzebą czasu na udzielanie się ruchu od jednéj cząstki do innych przyległych; wystrzał kulą w szybę okna można stawić za przykład podobnego zjawiska, lecz zasadą takiego wysadzania skał jest uderzenie się ciał sprężystych. Wszak przy użyciu tego sposobu, gazy wywięzujące się z zapalonego prochu uderzają o przyległą warstwę piasku; to działanie kommunikuje się następnym warstwom i t. d., przyczém piérwsza warstwa pozostaje w miejscu, a tylko zwierzchnia powłoka piasku odskakuje, tak jak to widzimy przy uderzeniu kulek sprężystych.

Autor mówi obszernie o meteorach wodnistych (? wodnych), a o wilgotności, przyjętém powszechnie w hygrometryi wyrażeniu, zaledwie cokolwiek nadmienia, równie jak o sposobach dochodzenia stopnia wilgotności w powietrzu. I w ogóle powiedzieć można, że autor niniejszego dzieła, rozszerzając się nad zastosowaniami, zbyt treściwie a nawet pobieżnie traktuje prawa, zasady nauki. Podobna zamiana w kursie elementarnym miejsca miéć nie powinna, bo tu głównie idzie, ile można, o najdokładniejszy wykład zasad; zastosowania zaś są rzeczą podrzędną.

W nauce magnetyzmu naprzód stać powinien ustęp o wzajemném działaniu różnorodnych biegunów magnesów, a dopiéro potém zjawiska magnetyzmu ziemskiego; przez to i jaśniejszym i logiczniejszym byłby wykład zjawisk doń należących.

Co się tyczy galwanizmu i światła, autor nadzwyczaj krótko tę część wykłada: i chętnie poczytalibyśmy to za program, jak za sam wykład tych części właściwéj fizyki. Po przeczytaniu piérwszéj części dzieła spodziewaliśmy się i mieliśmy prawo wymagać obszerniejszego i dokładniejszego wykładu nauki o świetle i elektryczności, tymczasem znaleźliśmy wiele nazw, wiele definicyj, a wielki brak zasadniczych pojęć. Jestto zdaniem naszém główny niedostatek niniejszego kursu. Sądzimy, że szanowny autor podzieli nasze zdanie i zechce w następnych wydaniach zwrócić na to uwagę, i obrobieniem lepszém téj części swego dzieła przyczynić się do nadania mu większéj zupełności, całości, przez co wartość jego pracy prawie się podwoi.

Czytając ustęp o ciałach prostych i chemicznym składzie, prawdziwie smutek ogarnia; nie z powodu wiadomości chemicznych, które są aż nadto dostateczne, a może zbytnie w kursie fizyki, lecz z przyczyny saméj nomenklatury. Do tego przyszliśmy w chemii, że jedni drugich zrozumiéć prawie nie jesteśmy w stanie; co autor, to nowa nomenklatura i to jeszcze w książkach elementarnych. Przy takim kierunku chemicznéj nomenklatury nie spodziewajmy się osiągnąć błogich skutków. Znam miejsce, gdzie uczniowie w jednym i tymże samym zakładzie naukowym słuchając różnych technicznych nauk, a więc w ciągłych między sobą będąc stosunkach, toż samo ciało dwoma różnemi zwać muszą terminami. Na tém nie koniec; ciż sami uczniowie po wyjściu ze szkół, w dziełach właściwych wybranemu technicznemu zawodowi, natrafiają znów na nową chemiczną nomenklaturę. Istna wieża Babel! Trzeba miéć wiele silnéj

woli, aby się nie zrazić podobnym chaosem. Miejmy jednak nadzieję; czujemy wszyscy tę niedogodność, zamęt, wstrzymujący upowszechnienie tak pożytecznéj i koniecznéj dziś dla wszystkich przemysłowców i rolników nauki, a więc jeden tylko krok pozostaje: porozumienie się wzajemne, zgoda. O ile nam wiadomo, projekt dotyczący słownictwa chemii nieorganicznéj i organicznéj, po wzajemném zniesieniu wygotowany przez kompetentnych sędziów, już wkrótce u nas ogłoszonym zostanie; uczeni innych stron piszący po polsku zapewne (o czém niegodzi się powątpiewać) zechcą swém przystąpieniem przyczynić się do dokonania faktu, tyle ważnego dla postępu u nas chemii.

Lecz nietylko chemia, i fizyka gwałtem dopomina się o ustalenie swéj nomenklatury. Wprawdzie w fizyce nomenklatura mniéj ważną gra rolę; jednak nazywanie jednego przyrządu, jednéj siły, różnemi choć polskiemi wyrazami, nie przyczyniając się wcale do bogactwa języka, szkodliwém jest dla nauki.

Nie piérwsi o to się dopominamy; już dawniéj do publiczności w tym przedmiocie głos wznoszono; podawano nawet proby, lecz te grzesząc zbytnim puryzmem i manią spolszczania lub tworzenia nowych wyrazów, nie zyskały nigdzie potwierdzenia i pozostały w stanie uronionego pomysłu. Nie ubliżamy przez to autorom tych projektów, cenimy dobre ich chęci, bo zasługują na szacunek; chcemy jedynie przez to zwrócić uwagę, że termina naukowe, które oddawna wcieliły się do języka i w przemyśle upowszechniły, nie można dowolnie zmieniać, przekształcać; nie wypada wszystkiego naraz burzyć, aby coś niepewnego odbudować:—dziś nie czas potemu. Wielce więc pożądaną byłoby rzeczą, aby myśl rzucona nie pozostała bez echa, bodaj wielokrotnego.

Fizyka p. Urbańskiego ma wiele wyrazów różnych od przyjętych: jest siła *środkopędna* zamiast dośrodkowéj; jest promień *wiodący* zamiast wodzący; jest *ciężkość gatunkowa* zamiast ciężaru gatunkowego, i t. p. Jest sposób mówienia: iloczyn z wielkości siły w odległość jéj kierunku od punktu podpory; wtedy, gdy wszyscy uczyliśmy się: iloczyn z czego, przez co. Pomijamy tu nazwy samych przyrządów, bo te jako nieustalone, zupełną zostawiają dowolność autorom.

Zdając sprawę o dziele elementarném należy je wszechstronnie obejrzéć; a więc i o języku nadmienić nam wypada. W ogóle, w dziele p. U. język jest zbyt ciężki, peryody po większéj części zbliżają się do niemieckich. Wprawdzie trudno w naukowych dziełach ubiegać się za stylem, lecz to nie przeszkadza pamiętać, że nasz język i ucho nieciérpią niemieckiego kroju, ich poważnie-nudnych peryodów, i dzikiéj dla nas przekładni. Drugi zarzut pod względem języka jest innéj natury. Narody mówiące jednym językiem w różnych swych stronach mają swe prowincyonalizmy, lecz te ograniczają się jedynie do ustnéj mowy; pisana bowiem, jako będąca wyłącznością klass ukształceńszych, w każdym narodzie wszędzie jest jednaką. Dlatego w dziełach, mianowicie téż elementarnych, unikać wypada wszelkich prowincyonalizmów. W niniejszéj zaś fizyce natrafiamy *świeczeczka* zamiast świeczka; *ino co* zamiast zaledwie; *belka metalowego*, zamiast belki metalowéj; *przekonujemy*, zamiast prze-

konywamy; *linwa*, zamiast lina, sznur; *przestrzenia*, zamiast przestrzeń; *sztanga metalowa* zamiast pręt i t. d.

Wytknąwszy niektóre uchybienia co do wykładu i języka, winniśmy z przyjemnością wyznać, że szanowny autor tak swe dzieło wykonał, iż uczniowie nietylko ogólne zasady nauki, ale i liczne zastosowania w przemyśle pojąć są w stanie: ztąd kurs stał się wielce zajmującym i niezaprzeczenie może dać pochop młodym umysłom do dalszego kształcenia się w téj ważnéj gałęzi nauk przyrodzonych. Autor gdzie tylko można mówi o miejscowości, np. ustęp o średniéj temperaturze miejsca i wpływie Karpat na klimat; o wielu przedmiotach po raz piérwszy w naszych fizykach dotkniętych, np. ociepłanie pomieszkań parą, o piecach Mejznerowskich, o wpływie lasów na obfitość wody i t. p.

Zbiérając wszystko cośmy o dziele p. U. wyrzekli, miło nam powtórzyć, że ten kurs uważany względnie do swego przeznaczenia jest postępowym, zaleca się licznemi i ciekawemi przykładami, i gdy druga połowa lepiéj zostanie opracowaną, stanie się zdolnym do zapełnienia ważnego niedostatku podręcznéj fizyki dla uczącéj się młodzi.

Wydane dzieło ma bardzo wiele dobrych drzeworytów w texcie.

S. P.

ROZMAITOŚCI.

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

Zbiór napisów zambrowskiego kościoła. W Warszawie, 1799. W 12ce, kart nieliczbowanych 16.

Nie dla wartości bynajmniéj, ale dla osobliwości wymieniamy tę broszurkę: raz, że mamy sposobność wspomnieć o jéj autorze sławnym dziwaku; powtóre, z powodu formy approbaty cenzury ówczesnéj.

Ks. kanonik katedralny płocki Marcin Jasieńczyk Krajewski (ale bynajmniéj nie pisarz znany z dzieł wielu w czasach Stanisława Poniatowskiego), którego okoliczna szlachta tytułowała księdzem kanclerzem, oprócz bogatych prebend, miał i rodzinny niemały majątek. Głównie przemieszkiwał w Zambrowie, miasteczku dawnego województwa augustowskiego. Nie brakło mu nauki i dowcipu, ale dziwactwa jego wszystko kaziły. Oto niektóre wspomnienia o nim od osób, które go osobiście znały.

Mając w swojéj parafii wiele szlachty zagonowéj, w kazaniach i naukach swoich nie żałował dosadnych zwrotów i wyrażeń, które ucho nienawykłe wielce raziły. Ktokolwiek czy z Warszawy, czy z dalszych okolic przybył, ostrzegany przez przychylnych sobie, powinien odwiedzając księdza kanclerza szybko drzwi otworzyć, wpaść nagle i szybcéj jeszcze zatrzasnąć za sobą, aby, jak latem, muchy nie wpuścić do pokoju. Ktokolwiek téj rady usłuchał, był najmiléj witany.

— Jak to znać — mówił wtedy uradowany ksiądz kanclerz kłaniając się uprzejmie i z uśmiechem — że to pan lub pani z Warszawy, z edukacyą; ani muszki nie wpuszczono. Nie tak jak te moje moczymordy i ciemięgi, co to lizie jak smoła, drzwi na ścieżaj roztworzy, a tu rój much za nim jakby pszczoły z ula; albo zimową porą, to więcéj śniegu i zimna napuści, że nie dopalisz w piecu, a drzwi otworem, by w karczmie.

Kto nieprzestrzeżony wpuścił choćby jednę muchę, dopóty się nie przywitał, dopóki albo jéj nie zabił, albo nie wypędził.

Niepodobało mu się, że obywatelki zjeżdżające się na nabożeństwo, witając się dygały i całowały przed kościołem. W czasie więc odpustu, kazał ubrać cztery baby dziwacznie, i te przed drzwiami wchodowemi ciągle się witały, dygały i całowały, chłodząc się ogromnemi wachlarzami.

Sześciu rosłych i silnych dziadów, jako straż przyboczną trzymał przy sobie przybranych jednakowo. Biada! jeżeli kto w granicach kościelnych nieprzyzwoitość jaką popełnił. Ksiądz kanclerz tylko krzyknął, a straż dziadowska rozciągała winnego, i sypała oznaczone razy.

Lubił muzykę, znał się na niéj, ale nie umiał grać na żadnym instrumencie. Uprosił więc znajomego, aby mu w Warszawie kupił dużą pozytewkę, która za pokręceniem korby grała sztuki. W długie wieczory zimowe grał sam na niéj aż do znużenia; 2,000 złp. zapłacił zań, bo to w owe czasy była osobliwość. Przy kościele miał dobraną muzykę i sześć uczonych śpiewaczek. Ktokolwiek z dalszych stron przybyły usłyszał i melodye harmonijnie oddane i głosy dobrane, a zarazem tak dźwięczne, nie mógł utaić swego zadziwienia.

Przy dziwactwach swoich, było ksapłan przykładny i pobożny. Szlachta okoliczna bała się go i szanowała; dotąd pamięć jego w żywém podaniu zachowana: snadź że wpływ wielki wywierać umiał. Bogaty, miał słabość do skupywania rozmaitych towarów, i jeden z obszernych pokoi przeznaczył na skład takowych: tam też w szafach jakby sklepowych, ujrzałeś postawy sukna, sztuki płótna, galonów, dywanów i t. p. Niemały ich zasób zostawił po śmierci na pociechę swoim spadkobiercom.

Przyozdobiwszy wielce kościół, odnowiwszy z gruntu zabudowania gospodarcze plebanii i dom proboszcza a rezydencyą swoję, własnym *koncepiem* układał napisy polskie i łacińskie, i te wszędzie kładł, czyto na dzwonnicach, czy na facyacie kościoła, w kruchcie nad chrzcielnicą, nad wodą święconą, nad amboną, przy wszystkich ołtarzach, nad konfessyonałami: słowem, gdzie tylko miejsce potemu mógł znaléźć.

Napiso-mania Krajewskiego wszędy była widoczna. Przywiedziemy tu tylko niektóre.

Oto np. w piérwszéj izbie swego domu:

Co też tu po méj śmierci w tym domu będzie?
Karty, butelka, lub też zły rząd zasiędzie!
Będą biesiady pod pracy méj zasłoną,
Najpewniéj pustki me porządki pochłoną.

To poruszy! tam zajrzy! list przeczyta,
Tu wpadnie! wszędzie o wszystko się pyta.
Cóżto za natręt, kawał z niego szpiega,
By ogadywał, cudzy dom obiega.

Tu nie dom wjezdny, ani bawny hotel,
Po cóż tu do mnie wpadł ten nudny motel?

Nie interes go, ani przyjaźń wiedzie,
Przyszedł zjeść, wypić, a tu po obiedzie.

Brata i siostrę ślepo daje nam natura.
W wyborze przyjaźni, człek sam sobie rajfura;
Mocniéj się więc wiąże przyjaciel przez cię wzięty,
Niźli twój krewniak od natury napchnięty.

Pomijamy inne a liczne napisy po polsku i po łacinie na wszystkich budowlach gospodarskich, pustelni, w ogrodzie, na altanach: dostateczną daliśmy probę zdolności poetycznych Krajewskiego, który aby się uwiecznić, podał je do druku. Piar Tadeusz Bukowski, w 12 łacińskich wierszach i autora napisów, i same napisy pochwalił, a ks. Koźmiński cenzor ksiąg, takie dał na druk pozwolenie, w ośmiu następnych wierszach:

Chociaż wszędzie w *Zambrowie* napisów tak wiele,
Po drzwiach, izbach, dzwonnicach, w kaplicach, w kościele,
Że jednak w téj uczonéj, gdzie spojrzysz robocie,
Niémasz nic przeciwnego ni wierze, ni cnocie;
Nic im zatém do druku nie jest na przeszkodzie.
Owszem, być one mogą ku wielkiéj wygodzie.
Bo wziąwszy z nich kto jednę, drugą, trzecią parę,
Gdy napisze u siebie, rzecze: to jest w miarę!

Ks. *Jerzy Koźmiński* cenzor ksiąg *mp.*

Taka cenzorska approbata, przyznać musimy, że jest w naszéj bibliografii osobliwością.

Tenże ks. Marcin Krajewski jest autorem i wydawcą dzieła p. n. „Nabożeństwo parafialne, na codzienne, tygodniowe, roczne i przygodne podzielone i ułożone przez ks. Marcina Krajewskiego kanonika katedralnego płockiego, kawalera orderu św. Stanisława, proboszcza zambrowskiego i nowogrodzkiego, i do druku kosztem jego dla wygody parafiów podane." W Warszawie, 1800 roku. W drukarni księży Pijarów (8ka, str. 348 oprócz przedmowy).

Dzieło to z tego szczególniéj zasługuje na uwagę, że oprócz doboru modlitw i pieśni, ułożone tak, iż dla organistów jest niezbędnym przewodnikiem do wszelkiego nabożeństwa. Prócz tego, ksiądz Krajewski daje w niém przestrogi dla ludu i potępia wiele przesądów, które prostactwo wiejskie do świąt niektórych uroczystych przywiązywało. Ztąd dla piszącego o obyczajach domowych, jest wielce użyteczne. Książka ta, już dziś jest wielką rzadkością, choć zaprawdę, zasługiwałaby rzeczywistą wartością swoją na przedruk.

K. Wł. W.

Wiadomość historyczna o okopach starodawnych nad Wisłą między miastem Wyszogrodem, a wsią rządową Drwały, w powiecie i gubernii płockiéj, istniejących.

Wyobraźnia chciwie wydziera milczącym kartom historyi wspomnienia odnoszące się do odwiecznych pamiątek, bo bez nich, są one jak zgrzybiały starzec, który nie jest w stanie rozpowiadać swoich dawnych dziejów, słuchanych z upragnieniem i przyjemnością.
Józef Mączyński, w Pamiątce z Krakowa.

Opisując przed trzydziestu latami ziemię wyszogrodzką (1), niegdyś część Mazowsza składającą, a późniéj będącą dziesiątą częścią województwa mazowieckiego (2), uczyniłem krótką wzmiankę, iż nad Wisłą, między Wyszogrodem a wsią rządową Drwały (3), są okopy z dawnych wieków pochodzące. Wprawdzie wówczas zdaleka tylko wały te sterczące na górze nadwiślanéj widząc, zbywało mi na chwilach wolnych, jako zajętemu obowiązkiem publicznym, do ich bliższego rozpoznania; dziś, gdy przeszkoda ta usuniętą zostaje, postanowiłem zwiedzić szczęty te przeszłości: jakoż zamiar mój w dniu 16 maja 1850 roku skutek osiągnął.

Jadąc ze wsi Wilczkowa ku Wyszogrodowi spostrzegamy opodal drogi, w miejscu otwartém, równém i przestronném wznoszące się wyniosłe wały, puściznę po przodkach, jaką odkazali pokoleniom dalszym. Położeniem okopiska tego lub horodyszcza, jak już mówiłem, jest równina wywyższona nad otaczające ją obszary zbóż i roślinności wszelakiéj. Kształt warowni téj jest podłużny owal z stron północy i zachodu, wąwozami, dziełem przyrody utworzonemi, nader głębokiemi a suchemi otoczony, które się z innemi pomniejszemi w różnym kierunku łączą. Od

(1) Opis téj ziemi umieszczony został w *Pismach historycznych* W. H. Gawareckiego, w Warszawie, r. 1824, w drukarni Węckiego i Żawadzkiego wyszłych.

(2) Województwo mazowieckie przed rokiem 1794, zawierało w sobie dziesięć ziem, jakoto: czerską, warszawską, wiską, wyszogrodzką, zakroczymską, ciechanowską, łomżyńską, różańską, liwską i nurską.

(3) Drwały, wieś nad Wisłą, na prawym jéj brzegu, po większéj części od mieszkańców niemieckiego rodu zamieszkała, których b. rząd pruski sprowadziwszy z zagranicy, w téjże i wielu innych osadził. Niegdyś należała do kolegiaty św. Michała w Płocku. (Patrz *Wiadomość o téjże kolegiacie*, w Pamiętniku religijno-moralnym z r. 1841, T. I str. 404 umieszczoną). Za odjęciem posiadłości ziemskich duchownym po roku 1794, stała się własnością rządu. W roku 1824 liczyła dymów 37, dziś tyleż prawie posiada. Nadto jest tu przewóz przez Wisłę urządzony w gubernią warszawską. Położenie jéj jest w części górzyste, lecz ku Wiśle nachylone, gdzie jest piękna równina, napełniona ogrodami i sadami, które zewsząd wierzby i topole ocieniają. Nazwę téj włości głosi podanie dawnych tutejszych mieszkańców pochodzenia polskiego, iż tu niegdyś istniały bory wielkie, i od rąbania tu drzewa na opał, a może i budowę, nazwano tę osadę *Drwały*. Podobnie wieś Rembowo, albo Rębowo, z północnéj strony Wyszogroda leżącą nazwano, od rąbania drzewa dla dworu książąt Mazowsza, w zamku wyszogrodzkim zamieszkałych.

południa urwiska strome sterczące nad samym brzegiem Wisły, toczącéj swe nurty u podnóża ich, a od wschodu przekop kiedyś niepłytki, ubezpieczały, i niedostępną prawie czyniły odwieczną tę warownią. Wały porosłe trawą, są jeszcze wysokie na łokci cztery lub więcéj; lubo wnosić należy, iż obecnie znacznie muszą być niższe, jak niegdy były sypane, przez samo uleżenie się ziemi przez wieki ich trwania, jak niemniéj usuwanie się téjże czasowe. Wokół wynoszą kroków lub łokci 290; w środku jest wklęsłość, i w niéj dwa pagórki nasuwają domysł, iż tu stały niegdyś budowle zwalone czasem i wolą ludzi.

Byłato warownia silna miejsca położeniem, w obrębie któréj mieściły się budowle czy z muru, czyli téż z drzewa, trudno obecnie odgadnąć. Była ona dostateczna w wiekach młodości umysłowéj ludów tutejszo-krajowych, aby powściągnąć częste napady i wycieczki sąsiednie zamieszkujących kraje.

Pogląd z wałów jest najwspanialszy, bo żadna przeszkoda nie tamuje wzroku naszego. Tu spostrzegamy wkoło siebie rozległe pola, pełne roślinności, gdzieniegdzie sioła, i mało lepianki rozsiane w przestrzeni znacznéj. Od wschodu, odległe o wiorst trzy starożytne miasto Wyszogród, z dwoma kościołami przedstawia się, od południa mamy królowę naszych rzek, strumieni, i poników — Wisłę, pod nogami naszemi przepływającą, a wśród niéj trzy kępy oc enione bujnemi drzewami olch i wierzb wznosząc się okazale, majowych gajów dają obrazy.

Są i tam ludzie; na jednéj z nich obszerniejszéj wychylają się śród drzew trzy budynki. zamieszkałe przez lud pracowity, zdawna do ziemi naszéj z zagranic przybyły, płyn wody najwyżéj ceniący, i zawsze téż swoje siedliska nad tymże wznoszący. O jakże zachwycający krajobraz zarazem oczy nasze spostrzegają! a to tém więcéj, gdy o nim uprzedzeni nie byliśmy. Nie można było swobodniejszego miejsca obrać na stanowisko obronne, jak nam te reszty pozostałe z odległych wieków okazują, czém niegdy być mogło; dziś niestety! zniszczyła go siła czasu!

Przechodząc myślą naszą, kto i kiedy warownią tę utworzył, i biorąc roczniki krajowe za przewodnika, uważamy, iż okopy nad Wisłą wzniesione, sięgają najodleglejszéj epoki kraju polskiego. Sama ich niedostępność, bliskość głównéj rzeki, dla zapewnienia sobie tak nieodzownie potrzebnego płynu, a w razie potrzeby, pomocy i posiłku w ludziach i żywności: skłoniły pierwotnego założyciela do ufundowania w tém miejscu twierdzy, zasłaniać mającéj okolice od nieprzyjaciół.

Wprawdzie dzieje ojczyste, ile są dotąd wyjaśnione, nie czynią wzmianki o warowni téj; jednakże dają nam niejakie napomknienie o jéj bycie w dawnych czasach, szczególniéj w XI wieku.

Pouczają nas, iż Władysław Herman, panujący od roku 1081 do r. 1110 w Polsce, miał dwóch synów: z tych piérwszy Bolesław, zwany *Krzywousty*, ozdoba narodu i podpora rodzica; drugi z nieprawego łoża Zbigniew, niecny syn i wyrodny. Temu przyznanemu za dziecię królewskie, jeszcze za życia swego ojciec Władysław Herman, uczynił z krajów udział, który wkrótce po zgonie jego owładnął. Byłoto Mazowsze, z prawéj strony Wisły wówczas rozciągające się. Lecz gdy Zbigniew, nie przestając na rozporządzeniu ojcowskiém zapragnął, będąc z urodzenia

starszym od Bolesława brata i króla swego, władania Polski, i w tym celu łączył się z ludami okolicznemi, mianowicie Czechami, Prusami, Pomorzanami i Niemcami, na wydarcie z rąk prawego monarchy nienależącego sobie berła; przeto Bolesław znagłony został z nim rozprawić się orężem. Pokonany, musiał wrócić do posłuszeństwa. Acz mógł, jednakże dobrotliwy brat nie odebrał udziału krajów burzliwemu Zbiegniewowi, atoli podał mu warunki do wykonania, a między temi był główniejszy, aby zamek Galla, położony nad Wisłą zburzył (1). Lecz nieposkromiony Zbigniew w zapędach swoich, i ciągle niespokojny, najeżdżając z ościennemi kraje ojczyste, kraje brata swego Bolesława IIIgo dziedziczne, zgonem swoim smutnym przypłacił zdrady i knowane spiski; a wtenczas Mazowsze wróciło do całości, od której na czas odjęte było, przyszło pod berło Bolesława, a z nim i zamek ów stał się jego własnością.

Castrum Galli, albo zamek, twierdza Galla, wedle krajopisarzy byłato mocnia nad Wisłą, na prawym brzegu téjże rzeki, między Płockiem, a dzisiejszą twierdzą Nowogieorgiewską (Modlinem dawniéj) położona; dlatego tak zwana, iż ją Gallus fundował i ubezpieczył. Nie mogła być obszerną, bo wiadomo, iż w dawnych wiekach, aby warowniejsze były miasta lub grody, i aby je łatwiéj obronnym murem lub wałem opasać, musiały szczupłą przestrzeń obejmować ziemi. Lecz tę małą jéj objętość z jednéj strony Wisła, z innych wąwozy w rozmaitych kierunkach rozchodzące się, głębokie i prostopadłe mocniły, i bezpieczną czyniły przeciw wszelkim zamachom napastnika (2); i na to uwagę zwrócić przynależy, iż w owych czasach nie znano użytku broni palnéj, a tém więcéj strasznych wystrzałów armat i moździerzy, które wedle taktyki dzisiejszéj wojennéj, zburzyć są w stanie nawet najgrubsze mury, a cóż dopiéro ziemne usypy przeciwko nim znaczą?

Może z téj warowni, jako leżącéj w mazowieckim kraju, niespokojny Zbigniew czynił wycieczki, i tamował żeglugę na Wiśle (3), która jak niegdy, tak i dziś jest najpierwszą ożywczą sprężyną i środkiem handlu krajowego. Zapobiegając przeto nadużyciom jego, chciano mieć zburzoną tak niebezpieczną twierdzę.

Nie utrzymuję domysłów moich za prawdę rzeczywistą, lecz za przybliżoną do téjże podaję. W niedościgłych, dla niedostatku wiadomości,

(1) *Castrum Galli*, mówi *Chronicon Martini Galli*, wydania J. W. Bandtkiego, w Warszawie, MDCCCXXIV (1824) na str. 214, *quod Gallus fecerat, non destruxit* (Zbigneus). Na stronie zaś 213 téjże kroniki mówi: *Sed in cunctis obediturum, et castrum Galli destructurum.* Zamek Galla znajdował się w ziemi mazowieckiéj, która na lewy brzeg Wisły nie przechodziła. Zwyciężony od brata i króla Bolesława IIIgo Zbigniew uznał się podległym, i w obecności wielu dostojników poprzysiągł, że odtąd nie będzie bratu przeciwnym, i owszem we wszystkiém posłusznym zachowa się, a zamek Galla zburzy; lecz wiarołomny ten książę, przysięgi nie dotrzymał, i zamku Galla nie zniósł, i posiłków bratu przeciw Pomorzanom nie posłał. *Pamiętnika warszawskiego*, rok VI, T. XVI z r. 1820, str. 28 i dalsze.

(2) Dotychczas, acz się ziemia poosuwała za głównemi wałami, dają się spostrzegać ponad wąwozami szczęty innych wałów, oddzielnych od głównych okalających to miejsce. Czas i zaniedbanie wiele tu mogły zrządzić przemian.

(3) Podróżujący Wisłą na statku parowym, są w stanie widzieć te wały, wznoszące się na górze nadbrzeżnéj z prawéj strony rzeki.

badaniach dochodzić prawdy byłoby czas próżno i marnie trawić bez osiągnienia skutku. Co jest niedocieczoném, trzeba raczéj zostawić w wątpliwości, niż urojenia nowe za prawdę nieomylną głosić: bo, jak nieoceniony badacz rzeczy ojczystych wyrzekł: „Podobieństwa do prawdy, nie stanowią jeszcze pewności (1)." Aczkolwiek uzasadzam domysły moje na tém, iż przebiegłszy prawy brzeg Wisły z uwagą od Płocka do Zakroczymia i daléj za nim, nie znajdujemy nigdzie innego stanowiska wojennego, podobnego do silnéj obrony na tymże prawym brzegu Wisły, nad okopy między Wyszogrodem a wsią Drwałami istniejące; w témto właśnie położeniu ów zamek Galla miał się znajdować.

Jestto punkt obronny, wzniosłością wałów daleko widziany, w otwartém miejscu ufundowany. W teraźniejszym czasie od ludzi okolicznych zwane są te okopy *okrężnią*, nikt jednak żadnéj wiadomości o ich utworzeniu udzielić nie jest w stanie, bowiem nikt nie pamięta z sąsiednich siół, jakich sięgają czasów. Należą do dóbr Iłowa, z lewego brzegu Wisły położonych, jak niemniéj i kępy wśród wód Wisły wystające rozkosznie, podlegają téjże majętności.

Z zachodniéj strony o wiorstę lub odległéj spostrzegamy wieś Drwały, nad brzegiem Wisły mającą swoje zabudowania i ogrody.

Okopy te w czasach późniejszych nieraz stały się obroną w zamieszkach wewnętrznych kraju. Zdaje się, iż przystęp do nich był z strony wschodniéj, tojest z strony miasta; tu na przekopie mógł być most zwodzony na łańcuchach, i brama ostrokołem otoczona, i w tym sposobie ubezpieczona.

Wincenty Hippolit Gawarecki.

Rys historyczny szkoły technicznéj w Krakowie, od r. 1834 *do r.* 1852.

Nauki techniczne, olbrzymim krokiem postępujące na Zachodzie, rzucają swe światło i na nas, ale my je odpychamy i zatykamy na naszę szkodę oczy. Wywozimy skóry, wełnę, cynk za granicę, i sprzedajemy prawie darmo; ubieramy się potém w suknie z naszych surowych przerobione płodów i przepłacać je musimy!

Gdzież mamy zakłady, gdzież mamy fabryki, gdzież mamy towarzystwa na podobieństwo Anglii? Gdzież mamy ludzi, którzyby owemi zakładami kierować mogli?— Nie ma ich, a przynajmniéj ich dotąd nie było.

Tą myślą powodowany b. Senat rządzący wolnego miasta Krakowa i jego okręgu, założyć postanowił w Krakowie szkołę techniczną,

(1) Naruszewicz w *Podróży króla Stanisława Augusta IV* do *Kaniowa*, część I str. 12.

w miejsce znieść się mającéj szkoły licealnéj św. Barbary. Cześć mu za to dobroczynne dzieło! cześć tym, którzy myśl tę wykołysali!

W skutek odezwy nadzwyczajnych pełnomocnych kommissarzy trzech opiekuńczych dworów z dnia 16 sierpnia 1833 roku do Wysokiego Senatu wydanéj, tenże uchwałą swoją z dnia 3 października 1834 roku do nru 6886 D. G. S. zatwierdził plan nauk dla szkoły technicznéj i szkoły wydziałowéj z instytutem technicznym połączonéj, zarazem zanominował dyrektora i professorów w tymże instytucie pracować mających, i lokal w gmachu kollegiaty św. Barbary, tymczasowo przeznaczył. Pod dniem 20 października 1834 roku kommissarz rządowy przy instytutach naukowych, stosownie do wyżéj powołanéj odezwy Wysokiéj Kommissyi organizacyjnéj, szkołę malarską z instytutem technicznym połączył, która dla braku miejsca w kollegium św. Barbary, w dawnym swoim lokalu na jakiś czas zostawała. Nauki przeto w nowo zaprowadzonéj szkole technicznéj do końca roku szkolnego 1835, tojest do ostatniego lipca w gmachu kollegiaty św. Barbary przy Małym Rynku (1) odbywać musiano (2).

W roku szkolnym następnym ($18^{35}/_{36}$), rozpoczął instytut techniczny swe prace jeszcze w gmachu św. Barbary, z powodu, że gmach przy ulicy Gołębiéj, niegdyś z seminaryum akademickiego i bursy Żyzyniusza w jednę całość przeistoczony, uchwałą Senatu rządzącego z dnia 23 sierpnia 1835 wydaną, instytutowi naukowemu zwrócony, przez milicyą krajową jeszcze był zajętym.

Cząstkowe usuwanie się milicyi, jako też przedsięwzięta reparacya i odpowiadająca potrzebie szkolnéj w całéj budowie sal przemiana, nie dały się tak nagle uskutecznić. Dopiéro w połowie listopada, rozpoczęły się regularnie lekcye w gmachu przy ulicy Gołębiéj, obecnie przez instytut zajętym, a przez ojcowską Senatu nad nowo zaprowadzonym instytutem opiekę, dostatecznie, ile fundusze i czas dozwalały, wyrestaurowanym. Uczniów z początkiem roku szkolnego było w klassach szkoły wydziałowéj 289, na kursach technicznych 63, w szkole malarskiéj 27. Zgromadzenie professorów powiększyło się kilką indywiduami uczącemi, jak lista zgromadzenia professorów i nauczycieli w programmacie na tenże rok wskazuje. Do przedmiotów wykładanych w instytucie, przybyły w kursie III nowo zaprowadzonym: architektura, mechanika, geometrya wykreślna i analityczna, mineralogia i teorya gospodarstwa wiejskiego. Fundusze na opędzenie potrzeb szkolnych, kancellaryą, pomnożenie gabinetów, na doświadczenia chemiczne i fizyczne, w tym roku oprócz opłaty minerwalia (czesne) zwanéj, rocznie po 4 złp. w szkole wydziałowéj, a po 8 w szkole technicznéj przez uczniów składanéj i na użytek téjże szkoły przeznaczonéj, o 1,600 złp. jaką przedtém na najem lokalów szkolnych w kollegium św. Barbary i szkoły malarskiéj w gmachu przy ulicy Grodzkiéj (3),

(1) Gdzie dziś szkoła wydziałowa.
(2) Programmat szkoły technicznéj na rok $18^{34}/_{35}$.
(3) Dom narożny naprzeciw kościoła św. Jędrzeja leżący, dziś na koszary zajęty, był dawniéj szkołą malarską.

aż do przeniesienia szkół rzeczonych, do teraźniejszego gmachu instytutu technicznego, corocznie opłacał.

Z początkiem tegoż roku w miesiącu maju, zaprowadzono warsztat (narząd) stolarski, w celu wyrabiania nowych modeli machin, służących do wykładu mechaniki, jako też reparowania dawniejszych zepsutych, z uniwersytetu do szkoły technicznéj przeniesionych; wprawiali się nadto w nim uczniowie po godzinie codziennie w nabywaniu zręczności robienia modeli tak mechanicznych, jako też architektonicznych, do czego dosyć chęci okazywali. Przybyło tym sposobem do gabinetu mechanicznego kilka modeli machin bądź nowych, bądź reparowanych. Również i gabinet mineralny zbogaconym został zbiorami mineralnemi oryktognostycznym i ekonomicznym, sprowadzonemi z Heidelberga, 800 sztuk minerałów obejmujących. Do pracowni chemicznéj przybyło kilka narządów nowych, a gabinet chemiczny, pomnożył się znaczną liczbą utworów, jako też i naczyń. Szczupły gabinet zoologiczny liczył wówczas 60 ptaków i zwierząt, po większéj części przez uczniów szkoły technicznéj wypchanych, a botaniczny zwiększył się zbiorami roślin w czasie kilku wycieczek zebranych i zdeterminowanych. Do biblioteki zakupiono kilka nowych dzieł technicznych, a tak biblioteka jako też i gabinety, pomnożyły się darami osób instytutowi przychylnych i o wzrost jego troskliwych (1).

W roku trzecim istnienia szkoły technicznéj, a mianowicie w roku $18^{36}/_{37}$, przy dalszém się jéj rozwijaniu, zaprowadzono kurs IVty, w którym uzupełniono kurs nauk: architektury, mechaniki, matematyki wyższéj, geometryi wykreślnéj, mineralogii, chemii i teoryi gospodarstwa wiejskiego. Otworzono także w niéj szkołę handlową, jednym obsadzoną professorem. Zaprowadzono również kamieniorytnią, którąby mogła dostarczać wzorów i potrzebnych rysunków, jak niemniéj, w któréjby można było robić odciski skryptów professorskich (2).

Oddany ogród Laskiewiczowski w tymczasowe posiadanie instytutu, w drugiéj połowie miesiąca maja nie mógł być zaraz urządzonym jakby należało; zrobiono wszakże w nim tyle, ile w miarę szczupłego funduszu szkolnego, w tak późnéj porze roku zrobić można było. W roku tym zapisanych uczniów do instytutu było 370, a w szkole handlowéj 52. Nauki przyrodzone i na doświadczeniach oparte, wykładano z okazywaniem tychże o ile fundusze dozwalały, tak dla pożytku młodzieży, jako też dla przekonania publiczności o nieznanych naówczas korzystnych użyciach wielu płodów krajowych i zastosowaniu niektórych aparatów i modeli w praktyce; w tym celu np. urządzono apparat w laboratoryum chemicznem do zbierania gazu z węgla i oświecania nim pokojów i ulic, co w kilku wieczorach grudniowych w gmachu technicznym miało miejsce, w którym dwie sale, sień i ulica, przez wystawioną dużą lampę, gazem oświetlone były, czego nawet były Senat rządzący zażądał, w celu przekonania się, czyli węgiel krajowy (w Jaworznie i Dąbrowy)

(1) Program. r. $18^{35}/_{36}$.

(2) Takiem dziełem litografowanem jest: Nauka budownictwa dla uczniów szkoły technicznéj przez Felixa Radwańskiego professora.

na koks i na gaz użytym być może. Gabineta w tym roku wiele się powiększyły, jużto zakupionemi dziełami, już też różnemi darami.

W roku $18^{37}/_{38}$, szkoła techniczna czwarty rok swego bytu rozpoczęła. Do przedmiotów naukowych na szkołę tę przepisanych, zapowiedziano technologią i tokarstwo. Lubo szkoła w czwartym zaledwie roku swego istnienia nie mogła jeszcze stanąć na tym stopniu, na jakim są tego rodzaju zagraniczne instytuta, wydała przecież kilku kurs IV kończących, a do odpowiednich swemu powołaniu zatrudnień uzdolnionych młodzieńców.

Budżet téj szkoły o złp. 14,268 powiększono, tak, że całkowita summa na jéj utrzymanie do złp. 68,268 podniesioną została. Uczniów w tym roku zapisanych było 357, a w szkole handlowéj 38. Litografia trudniła się właściwemi wyrobami, a uczniowie znaczne w rysunku czyniący postępy, wprawiali się w stosowne do ich uzdatnienia roboty na kamieniu rylcem albo kredką. Biblioteka, gabinety, laboratorya, zaopatrzone znacznie zostały w książki, modele, machiny i apparata. (1).

Ażeby się przekonać o dobrych chęciach b. Senatu rządzącego i niektórych obywateli Krakowa (mówię niektórych, bo większa część nie pojmowała tego zakładu), dość jest przejrzéć grube stosy akt i korrespondencyj w tym celu przeprowadzonych. Sejm owéj rzeczypospolitéj w r. 1838, agitujący się właśnie, również wziął na uwagę obok innych instytutów naukowych i szkołę techniczną. Delegowany na sejm ze strony senatu, senator Sobolewski, odczytał sprawozdanie o stanie rzeczypospolitéj, a następnie przechodząc z porządku do stanu oświaty, tak się o szkole technicznéj wyraził: „Co do szkoły technicznéj, lubo szczupłość funduszów, które na uposażenie liceum św. Barbary służyły, a które na utrzymanie szkoły technicznéj obrócone zostały, nie pozwalały jéj dotąd nadać takiego rozwinięcia, jakieby z ważnego swego przeznaczenia mieć mogła; przecież starał się rząd krajowy, ażeby w miarę nastręczającéj się sposobności, dać jéj popęd ile możności na pożytek młodzieży wpływać mogący i posłużyć do usposobienia uczniów ku przyjęciu wyższych nauk, które w zupełném tego zakładu rozwinięciu wykładanemi być mają. Przygotowany w tym celu etat, znaczne wprawdzie przedstawia wydatki, lecz pożytki, które nam zakład ten rokuje, przeważają ofiarę, którą krajowi na ten cel złożyć wypada, bądź na uposażenie nauczycieli, bądź na opatrzenie gabinetów, bez których wykład téj natury nauk, nie mógłby przynieść oczekiwanych korzyści. Rząd krajowy uczynił kroki względem pozwolenia do uczęszczania uczniom z poblizkich cyrkułów Galicyi na nauki do tutejszych szkół technicznych i t. d."

Na co reprezentant Zygmunt Helcel w zabranym przez siebie głosie oświadczył: „Wspomniano jest w zdaniu sprawy o szczególniejszém ze strony Senatu dawanym popędzie szkole technicznéj; staranność tę rządu trafnie zwróconą do owéj szkoły, każdy z was pewnie szanowni reprezentanci wraz ze mną uwielbia, lecz byłoby do życzenia, abyśmy przecież i o rodzaju tego popędu i zastosowaniu go w całéj sferze oświa-

(1) Program. r. $18^{37}/_{38}$.

ty naukowéj, dokładniejszą powzięli wiadomość. Błogoby nam wtedy było dowiedzieć się, jak rząd wspiérał uczonych usiłowania, lub wysyłał kosztem publicznym za granicę wiele obiecujące indywidua, jak zagrzewał towarzystwa naukowe, przeznaczał nagrody za ważne literackie zadania, słowem, jak się starał, abyśmy zajaśnieli na téj jedynéj i szlachetnéj drodze, na któréj mieszkańcy tutejsi mogą się godnie obok innych krajów, a mianowicie obok sąsiednich, odznaczać." (1).

Oto jest obraz chęci i usiłowań tak rządu krajowego, jak również i sejmu. Wszystkie te usiłowania i te ku dobremu celowi dążenia, odniosły pożądany skutek. Szkoła techniczna z rokiem następnym 1838 powiększyła się o kurs Vty, i z każdym rokiem następnym ubogacana jakim nowym funduszem pieniężnym lub też książkami do biblioteki, stawała się szkołą więcéj do zagranicznych instytutów technicznych zbliżoną, i mogącą już w r. 1840 porządnie i obszernie nauki gałęzi technicznéj dotyczące w całéj wykładać obszerności.

Następuje rok 1841, a siódmy istnienia zakładu. Ogień wybuchły w bursie Jeruzalem, ulicą tylko od szkoły technicznéj oddzielonéj, pożerający dachy, ganki, schody téjże bursy, i zmuszający wychowańców w nocy do ucieczki, pożera również szkołę techniczną, niższy gabinet mineralogiczny, zoologiczny i technologiczny, salę malarstwa i niektóre kursa, tak, że lekcye w miesiącu ostatnim wykładane już być nie mogły (2). Wszelako troskliwość i ojcowska opieka Senatu, jak również gorliwość ówczesnego jéj dyrektora ś. p. Ludwika Kosickiego, przywróciły jéj byt, tak, że z końcem wakacyi, t. j. w październiku tegoż roku już nauki w gmachu technicznym wykładane były. W tym peryodzie zaprowadzono przy szkole technicznéj szkołę niedzielną dla rzemieślników, na sposób szkół w tym celu za granicą istniejących, którą szczególniéj zajął się p. Michał Łuszczkiewicz dr. fil. ówczesny professor fizyki, a dzisiaj szkoły technicznéj dyrektor.

Duch dzisiejszego wieku, mówi Maryus Wölfer, wymaga nietylko obeznanych z matematycznemi wiadomościami wysokich urzędników państwa, ale również rzemieślników. Szkoła ta wszelako nie utrzymywała się długo, dla braku w niéj uczniów; bo u nas jeszcze młodzież rzemieślnicza, na barbarzyńskich opiéra się tradycyach!....

Wedle ostatniego programmatu szkoły technicznéj z r. 1849 przekonać się możemy o stanie nauk i o sposobie ich wykładania. Rzeczto nader ważna, i dlatego umieszczam ją tu w całości, jak się w programmacie na ten rok znachodzi.

Instytut techniczny krakowski obejmuje w sobie: szkołę właściwą techniczną, szkołę sztuk pięknych, i szkołę muzyczną.

a) Szkoła techniczna przez wykład nauk i zastosowanie, przez połączenie różnych przedmiotów naukowych między sobą, sposobi uczniów do obranego na przyszłość przez siebie zawodu technicznego

(1) Dyaryusz sejmu wolnego miasta Krakowa r. $18^{37}/_{38}$.

(2) Pożar bursy Jeruzalemskiéj i szkoły technicznéj nastąpił z dnia 25 na 26 czerwca 1841 roku.

w różnych gałęziach: budownictwa cywilnego, inżynieryi cywilnéj, miernictwa, fabryk chemicznych lub zawodu rolniczego. W wewnętrznem swojém urządzeniu, dzieli się na 5 jednorocznych kursów; z tych kursa I, II a w części i III są przypotowawcze do nauk wykładanych w kursach wyższych. Wykład każdego przedmiotu naukowego tak w kursach niższych, jako też i wyższych, stanowi w sobie całość nauki. Na nauki w kursach I, II i III wykładane, wszyscy uczniowie bez wyjątku są obowiązani uczęszczać, na nauki zaś w kursie IV i V, według obranego przez ucznia na przyszłość zawodu technicznego.

Poświęcający się architekturze lub hydraulice, mają sposobność dalszego kształcenia się za granicą z funduszu śp. Leduchowskiéj, akademii krakowskiéj na ten cel legowanego.

Przyjmowanie do szkoły należy do dyrektora, oraz do tego delegowanych professorów, którzy przejrzawszy i rozważywszy świadectwa złożone przez ucznia przybywającego z innych szkół, lub odbywszy z nim stosowny examin, wskażą mu kurs lub nauki, na które w szkole technicznéj uczęszczać może. Umieszczona przy szkole nauka jeżdżenia konno służy do ćwiczeń gimnastycznych, z których uczniowie instytutu naprzemian z uczniami uniwersytetu co pół roku korzystają.

b) Szkoła Sztuk Pięknych. Pod nazwą akademii sztuk pięknych utworzoną została w r. 1817, statutem zaś z tegoż roku z uniwersytetem Jagiellońskim połączona, a przez kommissyą reorganizacyjną w r. 1833 do instytutu technicznego przeniesiona. Szkoła ta ma na celu kształcić młodzież na artystów w pełném znaczeniu, a mianowicie na malarzy i rzeźbiarzy. W niéj naucza się rysunków w całéj rozciągłości, począwszy od kreślenia linij, aż do umiejętnego obrazowania natury. Szkoła ta zaopatrzona jest w wzory właściwe do każdéj klassy; młodzieży dana jest sposobność dalszego kształcenia się za granicą z funduszu 3000 złp. budżetem krajowym na ten cel odkazanego, oraz z funduszu rocznego 4,000 złp. ś. p. Elżbiety Skotnickiéj, mającego być wypłacanym przez posiadacza galeryi obrazów, przez zmarłą na ten cel przekazanéj.

c) Szkoła Muzyczna, rozpoczynając od piérwszych początków i zasad muzyki, kształci na artystów śpiewu dramatycznego, śpiewu choralnego, organistów i członków orkiestry na instrumentach smyczkowych i dętych. W szkole téj mieści się dawna instytucya, bursą muzyczną zwana, w któréj czterech uczniów ma bezpłatnie naukę i mieszkanie w gmachu szkolnym.

Przedmiota i professorowie takowe w szkole technicznéj wykładający, są następni:

1) Religia, ks. Henryk Macke, kanonik honorowy; 2) kalligrafia, Nowakowski; 3) język polski, Jan Nepomucen Nowiński NN. WW. i Fil. Mr. C. T. N. K. autor wielu prac literackich nader ważnych, dotąd w rękopismach zachowanych, członek byłego Towarzystwa przyjaciół muzyki, w roku 1818 zawiązanego w Krakowie; 4) język niemiecki, Kazimierz Ramza (zmarł 1851 r.); 5) język francuzki, Gabryel Lauvernay; 6) język rossyjski, Hieronim Mecherzyński Mag. Fil; 7) historya i geografia, professor języka polskiego; 8) matematyka w całéj obszerności, w kursach niższych: Zaleski i Tomaszewski; w kursach wyższych

Paweł Brzeziński dr. fil.; 9) geometrya wykreślna, Teofil Zahałka, inżynier-mechanik, były uczeń szkoły centralnéj paryzkiéj i sekretarz Tow. Agr.; 10) historya nat. w trzech królestwach: Zenon Hałatkiewicz, magister farmacyi, autor dzieła: Światło jako ogniwo, jednoczące świat wewnętrzny z zewnętrznym, i wielu rozpraw pożytecznych; 11) chemia, Karol Mohr magister farmacyi; 12) mechanika, Paweł Brzeziński; 13) technologia, Teofil Zahałka; 14) budownictwo lądowe i wodne, Felix Radwański, autor wielu prac budowniczych, częścią ogłoszonych drukiem, a w większéj ilości spoczywających w rękopismach; 15) miernictwo, Józef Zaleski; 16) rolnictwo, Zenon Hałatkiewicz; 17) bachalterya, Antoni Polzer; 18) nauka handlowa, tenże; 19) nauka rysunku, Jan Wojnarowski; 20) litografia, Piotr Wroński (zmarł); 21) nauka stolarstwa, Ignacy Krupiński; 22) nauka jeżdżenia konno, Wincenty Boznański.

Szkoła Sztuk Pięknych.

1) Malarstwo, Wojciech Korneli Stattler C. T. N. autor wielu dzieł pod względem sztuki znakomitych; 2) rzeźbiarstwo, Henryk Kossowski; 3) rysunki krajowidoków, Alexander Płonczyński; 4) lit. i perspektywa, Felix Wroński.

Szkoła Muzyczna.

1) Śpiéw dramatyczny, Franciszek Mirecki C. T. N.; 2) granie na organach i śpiéw chóralny, Wincenty Gorączkiewicz; 3) granie na instrumentach smyczkowych, Wincenty Studziński; 4) granie na instrumentach dętych, Piotr Studziński.

W roku 1850 dnia 18 lipca, pożar niszczący połowę Krakowa, przedarł się i na ulicę Gołębią i powtórnie gmach szkoły technicznéj, jéj gabinetu i laboratorya w kupę gruzów zamienił. W tymże czasie, ś. p. Józef Podolski dr. fil. dyrektor téjże szkoły, dla poratowania nadwątlonego zdrowia, oddalił się z Krakowa na czas niejaki do kąpieli w Szczawnicy. Wiadomość o spaleniu się Krakowa przyspieszyła mu zgon, skróciła jego pełne pracy i wielkich nadziei życie (1). Nieba jednakże i tą razą nie zapomniały o szkole technicznéj, wkładając jéj kierunek w ręce z tylu miar szanownego męża Michała Łuszczkiewicza dra fil. C. T. N. Kr. Onto za usilném swojém staraniem, gmach dawnéj szkoły szczupły, podług nowego planu urządził, i do piérwszych gmachów pod względem architektury wyniósł. Łagodny jego charakter, umiejętne postępowanie z professorami i uczniami, jedna mu coraz więcéj przyjaciół, a zasługi i prace, niezapomniany wawrzyn wdzięczności u późnych pokoleń gotują!

(1) Józef Podolski urodził się w roku 1803 z ojca Jana i matki Magdaleny z Radomyskich Podolskich, we wsi Motkanicach w gubernii krakowskiéj; zmarł w Szczawincy dnia 30 lipca 1850 roku.

Jan Pietraszek
b. uczeń tegoż instytutu.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Wrocław, dnia 11 czerwca 1852 r.

Przejeżdżając tedy do Poznania, zatrzymałem się godzin kilkanaście, ażeby obejrzéć wystawę płodów przemysłu Szląska, i zdać Bibliotece Warsz. króciutką sprawę o niéj, jeżeli jeszcze zkądinąd nie odebrała dokładnego i szczegółowego opisu.

Rycina na czele listu tego umieszczona dowodzi, że Szlązacy w miniaturze chcieli naśladować budynek wystawy londyńskiéj, z tą różnicą, że tamten był z żelaza i szkła, a wrocławski jest sobie szopą drewnianą z boków oszkloną, i nakrytą cynkiem.

Jakkolwiekbądź, budynek ten zajmuje niemal tyle miejsca jak arsenał berliński, w którym, lat temu kilka, ostatnia wielka wystawa pruska odbyła się, a na któréj figurował i Szląsk jako prowincya państwa pruskiego.

Porównywając z pamięci to, com szląskiego widział na téj ogólnéj wystawie, z tém, na co dziś patrzyłem, wyznać muszę, iż Szlązacy ogromne od owéj epoki uczynili postępy we wszystkich gałęziach przemysłu. Zacznijmy od rolnictwa i jego surowych płodów.

Dawne niesie przysłowie, że Szląsk jest miodem i mlekiem płynący; dodać można, iż codzień staje się we wszystko bogatszym. Rolnictwo znajduje się w nader kwitnącym stanie: gdziekolwiek się spojrzy, wszędzie widać niwy w płodozmianach doskonale uprawione i błogie obiecujące zbiory. Do rozmnożenia bez liczby gromad owiec rasy udoskonalonéj, wydających śliczną wełnę w ogromnych massach, bydła rogatego prześlicznego, oraz koni wielkich, mocnych i pięknych, nietylko się rząd przyczynia z niezmordowaną usilnością, ale i towarzystwa właścicieli ziemskich, na akcye pozakładane prawie we wszystkich powiatach, dające wynagrodzenia gospodarzom za okazy najcelnieszych zwierząt domowych, które chętnie od innych nabywają i między sobą losują.

Nie mogłem się oderwać od dwóch sal wystawy, gdzie są rozłożone cudownéj piękności runa owiec z najcelniejszych owczarni szląskich. Każdy obeznany z przemysłem owczarskim, znajdzie tam zupełne zadowolenie; cóż dopiéro, gdy przejrzy maciory i tryki po owczarniach, i przekona się jak to wszystko jest utrzymane i prowadzone: nie dziw więc, iż wełna stanowi najznamienitszą część dochodów mieszkańców Szląska. Bogacą ich i płody rolnicze, jak zboże, buraki cukrowe, tytuń, len i konopie, które powszechnie tak są obfite i piękne, jak rzadko u nas się zdarza, i dlatego żal ściska serce na wspomnienie, że u nas przy téj saméj dobroci ziemi wszystkoby tak samo być mogło, a nie jest!! Nie dość, że Szląsk posiada taki ogrom płodów surowych; wyrabia je sam po większéj części, mianowicie wełnę, lny i konopie na sukna, płótna, a nasiona tłuste na oleje; skór surowych mało co wyprowadza, ale je wyprawiają w różnych kształtach. Od płodów surowych rolnictwa zwróciłem się do płodów surowych górniczych i lubo te są mi od dawnego już czasu znane, nie mogłem się przecież nadziwić tym bogactwom ogromnym mineralnym. Cóżto za rozliczne i jedne od drugich lepsze węgle

kamienne i koksy z nich produkowane. Co za obfitość i wydajność rud żelaznych, ołowianych, cynkowych i srébrnych. Ostatnie w górach Tarnowskich, niegdyś w czasie wojen ze Szwedami zalane jak nasze Olkuskie, zdołał Fryderyk Wielki mimo wojen w które był zaplątany i kłopotów pieniężnych osuszyć, i tysiące ludzi ma zatrudnienie w kopalniach i hutach, z których skarb publiczny znamienite ciągnie korzyści. Za minerałami surowemi następują wyrabiane z nich metale, żelazo, cynk, ołów i srébro. Żelaza i cynku krocie tysięcy centnarów wyrabia Szląsk: piérwsze w najrozmaitszych szynach, odlewach, blachach, drucie i innych wyrobach; drugi w tablicach na handel zewnętrzny, w odlewach cudownych, w blachach na dachy i na wyroby blacharskie, które są śliczne. Lat temu 30, kiedym się trudnił na wielką skalę fabrykacyą cynku, i takowemu odbyt zwiększyć usiłowałem, rzuciłem był Gaissowi myśl, aby odlewy z cynku robił. Usłuchał téj rady i unieśmiertelnił imię swoje odlewami z tego metalu, które za arcydzieła uważać można. Znaleźli się i w Wrocławiu naśladowcy artysty berlińskiego: oglądałem na wystawie dwóch kolosalnych hallabardzistów, hiszpańskiego i niemieckiego, Chrystusa naturalnéj wielkości ukrzyżowanego, kilka posągów podług starożytnych wzorów przez p. Wogt odlanych, które nic do życzenia nie zostawiają i zadziwiają swą taniością. Pomyślałem sobie, jakbyto było dobrze, gdyby w kraju naszym założono warsztat takich odlewów i w ten sposób nastręczono odbyt nowy dla naszego cynku.

Brakujące posągi w ogrodzie Saskim, możnaby tanio dopełnić, i w ten sposób prywatne ogrody ozdobić. Wszelkie posągi ku ozdobie szczytów domów robionoby z cynku, i wszelkie ozdoby do świątyń i domów, a to wszystko taniéj jak z kamienia, który w naszym klimacie jest nietrwały, kiedy cynk wieki przetrwa, i nie traci nigdy swéj wewnętrznéj wartości. Zachęcałem więc p. Wogt, aby zaraz w Warszawie założył warsztat odlewów takich cynkowych. Wyroby z żelaza wielki w Szląsku uczyniły postęp; maszyny rolnicze, narzędzia wszelkiego rodzaju rzemieślnicze, prasy hydrauliczne i maszyny do robienia cukru, i wiele innych tak z lanego żelaza, jako téż z kutéj i walcowanéj blachy, nic do życzenia nie pozostawiają tak pod względem dokładności roboty, jako téż cen umiarkowanych.

Pojazdy okuwają dobrze, i w ogólności robią lepiéj w Szląsku, jak dawniéj; tylko są jeszcze zaciężkie i niedostaje im elegancyi kształtów. Wagony do kolei żelaznéj, które już i po naszéj są używane i znane, znalazłem z pojazdów najlepsze.

Zadziwiający postęp widzieć się daje w fabrykacyi maszyn do przędzenia i tkania bawełny, lnu i wełny.

Wszelkie wyroby blacharskie są prześliczne: wanny z cynku, wydają się jakby ze srébra polerowanego. Toż powiedzieć można o wyrobach mosiężniczych, kotlarskich i dzwoniarskich. Sukna i płótna szląskie powszechnie są znane, mianowicie ze swéj taniości. W tych dwóch przemysłach, również jak w tkaninach bawełnianych, widać znamienite udoskonalenia.

Któż z uczęszczających do wód szląskich, nie widział i nie kupił ślicznych wyrobów szklanych, porcelanowych, fajansowych i glinianych?

Tegoroczna wystawa wrocławska odznacza się pięknością i wielkością tych wyrobów. W malowaniach na porcelanie są wielkie postępy, również jak w drukach na fajansie, a kształty tak wyrobów szklanych, jako też porcelanowych, fajansowych i glinianych, są coraz nadobniejsze; nadewszystko płody te odznaczają się taniością.

Znaczne miejsce na wystawie zajmują meble i różne wyroby stolarskie. Wszystkie z niezmierną pracowitością są wykonane, i zadziwiają przystępnością cen; szkoda tylko, że im brak prostoty i piękności kształtów, i śmiało twierdzić można, iż nasz Symler i kilku innych warszawskich stolarzy, daleko stoją wyżéj pod tym względem, ale sobie téż za to każą drogo płacić.

Widziałem i trumnę nader ładną i starannie wykończoną; tak jest schludna i kwiatami sztucznemi wszędzie ubrana, że aż chęć bierze w nią się położyć; nawet poduszka puchem wysłana, atłasem szytym pokryta, kwiatami jest uwita. Prawdziweto ostatnie schronienie dziewicy nadobnéj, zawcześnie z tego świata na drugi powołanéj.

Broń wszelka piękna i niedroga; toż samo powiedzieć można o wszystkich wyrobach ze stali. Roboty tokarskie i parasolnicze nader dokładne, kształtne i bardzo tanie.

Fabrykacya papierów, obić, oprawa książek, poszły w górę i zalecają się płody tych przemysłów taniością.

To samo powiedzieć można o wyrobach chemicznych.

Obuwie wszelkiego rodzaju lubo mocno szyte, a niektóre nawet bez szwów, i robione z dobrych materyałów, nie może się równać z warszawskiém pod względem kształtów i elegancyi; ale za to jest nierównie tańsze od warszawskiego.

Wyroby złotnicze i jubilerskie znalazłem zaciężkie i bez elegancyi, jaką się wyroby tego rodzaju innych stolic odznaczają. O wyrobach rymarskich i siodlarskich to samo powiedzieć można, co się rzekło o pojazdach.

Rękawiczki są piękne i tanie.

Wszelkie wyroby krawieckie gotowe z dobrych materyałów tak są tanie, że trudno pojąć, jak krawcy na swoje wyjść mogą. Bielizna gotowa pięknie szyta, z dobrych płócien; ceny mierne. Nie mogłem odgadnąć, co znaczą na wystawie wrocławskiéj futra amerykańskie? Wszakże to nie są płody ziemi szlązkiéj. Może poprzylepianemi na nich nader niskiemi cenami, chciano zwiedzających zachęcić do ich nabycia.

Widziałem na wystawie wrocławskiéj pierniki dwa sążnie długie, sążeń szerokie, a kilka cali grube; pytanie czyli smaczne, bo trudno było sobie taki kupić na skosztowanie i schrupanie.

Uderzyła mnie taniość cukru burakowego rafinowanego, w różnych gatunkach, a przecież w Szlązku czynsz z ziemi na któréj się buraki rodzą wynosi przeszło 200 złp. z morgu o połowę mniejszego od naszego. Drzewo opałowe jest droższe jak u nas, a robota nie tańsza. Warto, aby zagadkę tę nasi posiadacze cukrowni starali się dokładnie zbadać i rozwiązać, bo w tém leży cała pomyślność ich zakładów, wielkiemi kapitałami wzniesionych.

Otóż jest, co w poglądzie spiesznym dostrzegłem najważniejszego na wystawie wrocławskiéj. Przepraszam że tak mało; ale pomyślałem sobie: lepiéj coś jak nic; zresztą nie wątpię, że Biblioteka otrzyma zkądinąd dokładniejsze opisy, więc jedno drugiém się dopełni.

K. L. W.

P. S. Dziś król Jmć pruski przybył tu na obejrzenie wystawy. Wszystkie cechy i korporacye z muzykami na czele wystąpiły, i cała ludność miasta wyległa na powitanie monarchy. Oświecono miasto, poszedłem się przypatrzéć; ale po naszych uroczych oświetleniach łazienkowskich nie mogło mi się tutejsze podobać, chociaż i na wieżach kościołów światła błyszczały: nawet starożytny ratusz miejski, którego gotycka budowa oświetlona jak należy, cudownie wydawaćby się mogła, nie zrobił na mnie wrażenia.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORYA NATURALNA.

Zoologia.

Wiliam Spence, prezes Tow. entomologicznego londyńskiego, zagajając roczne posiedzenie jego w dniu 22 stycznia 1849 r., tak przemówił: „Ażeby całkowicie ocenić ważność entomologii pod względem krajowego gospodarstwa, wypada nam zważyć nietylko na krocie tysięcy funtów szterlingów, które tracimy corocznie z przyczyny szkód zrządzanych przez tak nazwaną muchę chmielową, przez skoczozłotkę warzywną *(Haltica oleracea)*, przez pendraki, zbożowego wołka i niezliczone owady po nieprzyjacielsku nachodzące śpichrze, pola, ogrody nasze; ale musimy obrócić wzrok i na osady nasze, jak np. na Australią, gdzie, jak p. Thwaite donosi, niekiedy cały plon kartofli pada ofiarą zniszczenia przez kartoflową pluskwę (?); albo na Indye Zachodnie, gdzie do niezliczonego tłumu owadów cukrową trzcinę zwyczajnie niszczących, jeszcze się teraz przyłączył na Barbadoes gatunek czerwca, którego okazy przysłał nam dr. Davy, gdy na téjże wyspie opisana przez Sir Roberta Schomburgk drobna mąkowka *(Aleurodes)* prawie wszystkie palmy kokosowe zniszczyła; albo na Indye Wschodnie, gdzie cały zbiór bawełny często dotkliwych klęsk doznaje z przyczyny niezupełnie jeszcze poznanego owada; albo na wyspę Ceylon, gdzie według listowych zawiadomień gubernatora lorda Torrington z przeszłego roku, pluskwa kawowa (gatunek czerwca mający być oranżeryjnemu *[Coccus adonidum]* bardzo podobny) w ostatnich latach tak szkodliwie wystąpiła, że w jednéj plantacyi, zbiór z 2,000 cetnarów, nagle spadł na 700: a dr. Gardner mówi że podobne straty w uprawie innych roślin zrządził ten sam owad, który oblega drzewa pomarańczowe, gruszlin *(Psidium)*, mirty, róże i t. d., tak, iż w botanicznym ogrodzie w Kalkucie nie ma ani jednego drzewa, któreby z powodu tego pasorzyta nie ucierpiało.

Z postrzeżeń przez Gardnera zebranych (w *Gardener's Magazine* z d. 7 paźdz. 1848 str. 667), zdaje się, że ta kartoflowa pluskwa przybyła na Ceylon z niektóremi drzewkami kawy mokańskiéj z Kantonu, a gdyby te drzewka były oczyściły się z robactwa, cejlońscy plantatorowie kawy

byliby pewnie uniknęli téj krajowéj klęski. Ale dlaczegóż tych prawideł przezorności nie przedsięwzięto? Dlatego, że ci plantatorowie kawy nie znali wcale entomologii. Gdy szwedzki naturalista Kalm w grochu, który z północnéj Ameryki przywiózł, ziarnowca grochowego *(Bruchus pisi)* odkrył, nadzwyczaj niepokoiła go myśl, iż niektóre z tych szkodliwych owadów mogłyby rozejść się, a on, może nie z umysłu, kochanéj ojczyźnie swojéj wielkiby cios zadał: i gdyby cejloński kawy plantator któremu kawowe drzewka przysłane zostały, miał był najmniejszą entomologii znajomość, byłby on te drzewka dokładnie wybadał, wiedziałby bowiem, jak łatwo z obcych krajów szkodliwe owady z żyjącemi roślinami wprowadzone być mogą.

Mamy więc w téj okoliczności uderzający przykład pożytku któryby uczenie entomologii we wszystkich szkołach, od najwyższych do najniższych, przynieść mogło. Każdy rolnik obeznałby się nietylko ze szkodliwemi owadami, ale i ze środkami przeciwko nim użyć się dającemi. Nadewszystko zaś życzyć należy, ażeby wszyscy w odległe wędrujący kraje, o ile można, zaopatrzeni byli w gruntowne wiadomości z nauki o owadach, ponieważ to w nieskończenie wielu przypadkach przyniosłoby im niezrównane korzyści.

W przemówieniu mojém z okoliczności przeszłorocznego zebrania się naszego, zwracałem na to uwagę, jak mało praktycznych tylko, a nie naukowo oświeconych ludzi, zdolnemi są oprzéć się szkodliwym owadom, które im zewsząd zagrażają, i już wtedy namieniłem o godnym uwagi fakcie, że znakomity entomolog francuzki p. Guérin-Méneville, zasadzoną na zbadaniu sposobu życia muchy oliwnéj *(Ducus oleae)* metodą uczynienia tego owada nieszkodliwym, corocznie o wartość 240,000 funtów szterlingów wydatek oliwy pomnożył oliwiarzom południowéj Francyi, którzy, pomimo praktyczną biegłość, każdego roku straszliwą ponosili szkodę. Teraz muszę jeszcze wspomnieć, że już przedsięwzięto środki, ażeby i dla naszych plantacyj chmielu, dzielną wynaléźć obronę przeciwko ich głównemu nieprzyjacielowi, chmielowéj muszce, albo właściwiéj mszycy chmielowéj *(Aphis humuli)*. Ale one nie znajdą się w usiłowaniach samych włościan, którzy tę klęskę krajową za gatunek miodowéj rosy uznają, którzy sądzą, że nieprzyjazna pora ją sprowadza, i którzy nieszczęście uważają za zesłane z niebios, przeciwko czemu człowiek nie może oręża podnosić: ale się znajdą w badaniach, które dzielny entomolog angielski p. Francis Walker, w przedmiocie sposobu życia téj mszycy przedsięwziął. Trudność co do tego przypadku, głównie w tém zachodziła, że nie wiedziano, w co ta mszyca znosi jaja, z których na wiosnę jéj płód się wylęga. Na chmiel nie mogły być zniesione, bo ta roślina co rok aż do korzenia umiéra. Teraz p. Walker doszedł, że samica składa jaja w jesieni na tarninę *(Prunus spinosa)*: na wiosnę wykluwają się z nich młode, a że drugiego pokolenia mszyce są skrzydlate, łatwo im przeto na chmiel przelecieć, na którego liściach osiadają stale, i wiadomym powszechnie sposobem nadzwyczajnie się tam rozmnożywszy, niszczą wnet roślinę wysysając z niéj soki. Jeżeli tedy tarń jedyną jest rośliną, na którą mszyca chmielowa jaja składa, musi ta plaga ustać, gdy w okolicach w których chmiel uprawiają, wszystkie krzaki tarniny wytępione zostaną.

A gdyby, mimo to, mszyce pojedyncze z odleglejszych okolic na chmiel się dostawały, łatwo byłoby je i z małym kosztem wyniszczyć, opatrując dokładnie plantacyą na wiosnę, jak to uczyniłem w r. 1838 w Worcestershire, gdzie kobiéty i dzieci z drabinkami do chmielnika zebrane, wszystkie mszyce palcami pogniotły, nic nie uszkadzając liści. Zważywszy, że wygubienie chmielowéj mszycy przyniosłoby niektórych lat skarbowi 200,000 funtów szterlingów, a cztéry razy tyle plantatorom chmielu, gotowa jest rzecz, że umiejętność, która do takiego wypadku doprowadza, i pod krajowo-gospodarskim względem niemałego jest znaczenia. (*T. 1850, nr. 128 z Annals & mag. of nat. hist. April 1849*).

* P. Nicolet zamierzył sobie badać krążenie krwi u owadów, na gąsienicach złatki żółtéj (*Cyphon lividus*), które dla swojéj przezroczystości bardzo się do tego celu nadają. Naczynie grzbietowe złożone jest ze dwóch części; z sercowéj, która ma kształt gruszki i opatrzona jest dwiema klapami, i z umieszczonéj przed nią aortycznéj, która podobną jest do wstęgi i idzie do głowy. Gdy ten organ rozszérzy się, krew silnie weń wpływa, a ściśnienie się części jego przedniéj, wpędza krew do aorty. Podług tego, naczynie grzbietowe odbywa funkcyą prawdziwie fizyologiczną, czyniącą zbytecznem krążenie *pseudo-waskularne*, jakiego domniemywa się p. Blanchard. Oprócz tego, wtryskiwanie krwi pomiędzy błony tchawic, zdaje się raczéj na przeszkodzie niż na pomocy być ukwaszaniu się tego płynu; bo jeżeli natura, dając owadom tchawice, miała przytém na celu szybko krew w zetknienie z powietrzem wprowadzać, naówczas nie mogłoby nastąpić szybkie gorenie, dla zbyt szczupłéj pomiędzy dwiema błonami przestrzeni, która w stosunku do mocno rozwiniętych komór, jest bardzo mała. (*Id. nr. 47 z Bibl. univ. de Geneve, Oct. 1849*).

W tymże przedmiocie Leon Dufour ważną ogłosił pracę (*Sur la circulation dans les insectes.* Bordeaux 1849 in-8vo 40 p.), znaną już po części z wyciągu drukowanego w *Comptes rendus*, Febr. 1849, a odtąd dalszemi postrzeżeniami rozszerzaną. (*Id. nr. 108*).

* P. Felix Dujardin, złożył Akademii um. Par. (21 paźdz. 1850) pracę, w któréj się zastanawia nad układem nerwowym u owadów. Dowodzi on w niéj: 1^{o} Że u niektórych zwierząt stawowatych znajduje się prawdziwy mózg, którego budowa i objętość w zależności zostaje z rozwojem umysłowych zdolności. 2^{o} Że ten mózg, czyli ten górny węzeł kanału pokarmowego, zawiera *corpora pedunculata* otoczone rzadkawą substancyą korową, która jest w mniejszéj ilości u owadów z większém pojęciem, a w większéj u tych, w których przemaga zmyślność; nakoniec u owadów które jedynie zmyślnością się rządzą, ona znajduje się sama tylko. 3^{cio} Że ta rzadkawa substancya sama jedna także tworzy zwoje tułowowe i odwłokowe (*ganglia thoracica & abdominalia*) które są wyłącznie dla zmysłościowych funkcyj przeznaczone. (*T. 1851, nr. 245 z L'Institut 877*).

* Ed. Ferris, *O siedlisku powonienia u zwierząt stawowatych.* Owady muszą mieć nader delikatny zmysł poowonienia; przemawia za tém wiele okoliczności. Nieraz przyniesie się samicę jakiéj zanocnicy do środka miasta, a wnet zwietrzają ją i przylatują z odległych miejsc samce

Każde ciało zwierzęce w zgniliznę przechodzące, osiadają roje gnilików (*Hister*), omarlic (*Silpha*), grobarzy (*Necrophorus*), much gromadnic (*Sarcophaga*), zaparstnic (*Calliphora*) i innych ścierwowych owadów. Niektóre z nich padają tylko na trupy psów i koni, które jedynie węchem od innych ścierw rozpoznać mogą. Nie ulega tedy wątpliwości, że owady powonienie mają.

Ale który organ jest siedliskiem tego w zadziwiający sposób delikatnego zmysłu? Pytanie to, dotychczas jeszcze bardzo niezgodnie rozwiązywane, autor zamierza sobie rozstrzygnąć stanowczo.

W tym celu rozważa on mniemania wszystkich badaczów dawniejszych i dochodzi nakoniec do przyjęcia, że organ powonienia może miéć swoje siedlisko w różkach.

Autorowie, mówi daléj, którzy różkom odmówili téj własności, zważali nadewszystko na rogowe najczęściéj usposobienie powierzchni tych organów; ale rozejrzyjmy je przez mikroskop, a postrzeżemy, że są gęsto okryte krótkiemi miękkiemi włoskami, tego gatunku puszkiem co ów, który wodnym chrząszczom z rodz. *Elmis*, *Parnus* i t. p. ułatwia zatrzymywanie powietrza służącego do oddechu. Podobnego używają, jak wiadomo, i kałużnice (*Hydrophilus*) do odnawiania powietrza oddychaniem zużytego. Różki zatém mają ustrój bardzo zastosowany do pochwycania powietrza i w niém zawartych materyj woniejących, które łatwo mogą przez pory dostawać się do środka tych organów, przerosłego nerwami łączącemi się ze zwojem mózgowym, tak, że w tém są zachowane wszystkie organiczne warunki przyjmowania zapachów.

Prawda, że się to nie da dowieść *a priori;* ale i przeciwnikom naszego zdania nie mniéj na takich dowodach zbywa; a dla mnie dosyć jeśli uzasadnię moje zdanie gruntowniéj, niż wszystkie inne dotąd w téj mierze objawione.

Każdy widzi, że różki mają położenie nader sprzyjające temu, ażeby jako organ powonienia służyły. Tworzą one, jak nos zwierząt wyższéj organizacyi, najwydatniejszą część głowy. Leżą bardzo blizko gęby, a u wielu familij mogą się z nią i stykać, tak, że owad wygodnie użyć ich może do rozpoznania swojéj żywności po zapachu.

Różki są narzędziami tak ważnemi, że się znajdują u wszystkich zwierząt stawowatych, wyjąwszy pająki, które téż zdają się wcale zmysłu powonienia nie miéć. Gdyby zaś służyły tylko do słyszenia (nie zważając na pośrednictwo zmysłu dotykania, którego im nie zaprzeczam), dlaczegóżby czerwie miały ich miéć cztéry, z których dwa tylko okazywałyby znamiona zmysłu powonienia? Czemuż ich nie ma u mrowiów (pająków), które przecież słyszą? Dlaczegóż znajdujemy je u tylu owadów, które zdają się być zupełnie nieczułemi na tony, a przynajmniéj nigdy nie dają się powodować przez słyszenie, a dają przez powonienie? Do czegóż owe osobliwsze, drgające poruszenia różków dogodniéj służyćby mogły, jak do lepszego pochwycania cząstek woniejących? Bo te poruszenia zastępują poruszanie powietrza, które u zwierząt kręgowych wciąganie jego przez nos sprawia.

Jeżeli zaś różki nie mogą być czém inném jak organem słyszenia, powonienia, lub barometrycznym, któryż naturalista nie przyzna im na-

dowszystko funkcyi organu powonienia, jeśli, co także być może, nie łączy się w nich kilka powyższych celów?

Rozumowania te pragnie autor poprzeć doświadczeniami. Uważał jak maleńki pszczołowaty owad z rodz. *Chalcis*, pragnąc za pomocą kolca swojego znieść jaja w płód galasówki *Diplolepis pallidus*, wyraźnie przykładaniém różków do powierzchni galasu rozpoznawał, gdzie go ma zakłóć, ażeby niechybnie w pomieniony płód trafić. Owadom w dziurach w piasku swój płód wychowującym, jak np. *Dinetus pictus*, *Bembex rostrata* i t. p. gdy wyszły, zatykał dziury piaskiem, i uważał że za powrotem *Dinetus* różkami rozpoznawał, gdzie jest ujście jego dziury, i tam grzebał. Ażeby się zaś upewnić że nie trafiał do miejsca pamięcią lecz powonieniem, autor okrywał wracającym wejścia do dziur ręką, któréj potu zapach, tłumiąc zapach z ich gniazd pochodzący, widocznie łudził te owady, tak, iż nie mogły pewnemi być, że ich dziura pod ręką się znajduje. Nie trafiły one nigdy do gniazda, gdy im przegrodził wstęp do niego pod ziemią, zasadzonym kwadracikiem z papieru, a zawsze trafiły gdy odjął papiér. Widział także jak *Leucopsis dorsigera* siadłszy na drewnianéj ramie okna, macała różkami wiele miejsc, nim w jedno z nich zakłówszy, jaje wpuściła. Okazało się, że zupełnie pod tym punktem znajdowała się w drewnie tocząca je gąsienica. Przytacza, że korowe chrząszczyki (*Bostrichus*) dochodzą powonieniem miejsc w drzewie najdogodniejszych im do zniesienia jaj; podobnie jak owady ścierwowe dochodzą do ścierwa. Przywodzi postrzeżenie p. Mittre, że samce chrząszczowatego rodz. *Cebrio*, dochodzą swoich samic w ziemi ukrytych, przykładaniem różków do jéj powierzchni.

Powiada, iż łatwo przekonać się na owadach śpilką przebitych, iż one w różkach siedlisko powonienia mają. Gdy utwierdzony tak na śpilce owad, osobliwie długie różki mający, np. pasikonik, lub który z koziorogich chrząszczowaty, uspokoi się, za przybliżeniem mu tylko do różków penzelka umoczonego w olejku terpentynowym lub innéj jakiéj mocno woniejącéj cieczy, obudza się w nim nagłe poruszenie. Z doświadczeń które na przekłótych owadach czynił, okazało się: 1^{od}) że rożek z odciętym wierzchołkiem mniéj jest czuły na woń, niż całkowity, a ten stosunek tém bardziéj w nim maleje, im więcéj stawów rożek utraca; w samych podstawowych prawie już nic zmysłu nie ma. Jeśli rożek jest z główką, po jéj utracie zdaje się i zmysł ginąć. 2re) Różki powleczone gummą, przestają czułemi być na powonienie. 3^{cie}) Autor nie zaprzecza i głaszczkom udziału w powonieniu, sądząc że różki służą do przyjmowania zapachów równie z odległości jak i z blizka; głaszczki zaś tylko z materyj blizkich, np. z pokarmów. (*T. 1851, nr. 312* z *Annales des sc. nat. T. XIV nr. 3, 1850*).

* Wesmael (w *Bullet. de l'Acad. roy. de Belgique, nr. 11, T. XVI*) pod napisem teratologii entomologicznéj zastanawia się nad potwornościami w gromadzie owadów, a mianowicie temi które mu świeżo wydarzyło się widzieć (1). Opisuje indywiduum gąsienicznika z gat. *Ichneu-*

(1) Już dawniéj opisał podobne w tomie III str. 337 i tomie VI str. 448 tegoż buletynu.

mon comitator, będące samcem z nogami i tułowiem samicy, i inne z gat. *I. nigritarius*, będące przeciwnie samicą z głową i rożkami samca. Mniema że na podobném zboczeniu natury, które *gynandromorfizmem* zowie, opiera się niejeden gąsieniczników gatunek.

Opisuje potém i na wizerunku przedstawia osobliwszą potworność majowego chrabąszcza, u którego prawy rożek rozdzielił się na trzy gałęzie, a to w taki sposób. Członek piérwszy rożka, ma zwyczajny kształt i wielkość, ale drugi tworzy wielki niemierzytelny łuk z którego przedniém dłuższém ramieniem zestawiają się trzy członki: dwa boczne większe i prawie równe sobie, a trzeci, środkowy, daleko od nich mniejszy. Tylko boczne kończą się główkami: jeden siedmiolistną daleko większą od zwyczajnéj, drugi czterolistną i od zwyczajnéj mniejszą. Z tylném, krótszém łuku ramieniem zestawia się trzeci członek rożka, kończący się także główką wielkości zwyczajnéj, lecz tylko czterolistną. Chrabąszcz, u którego tak potwornie ukształcił się rożek, miał oprócz tego niejakie zboczenia w budowie nóg.

Przytoczywszy autor kilka u innych chrząszczowatych owadów, nawet z rodzajów bardzo oddalonych od siebie, potworności, które różni entomologowie przed nim opisali, pragnie na drodze embryologii wytłumaczyć ich początek, kończąc wszakże uznaniem, że podwójne albo potrójne rozwidlenie rożka jest prawie to samo co wynikanie dwóch albo trzech gałązek z jednego oczka u drzewa, gdy przypadkowa jaka okoliczność sprowadzi do tego oczka nadzwyczaj wiele soku przed normalnym czasem. (*T. 1850, nr. 108*).

* Hr. Mannerheim, przy opisywaniu (*Bull. de la Soc. Imp. des naturalistes de Moscou. 22. 1849, nr. 1*) niektórych nowych Syberyjskich chrząszczów, wzmiankuje (str. 223) o postrzeżeniu p. Popowa, który zbierając motyle i ich przemianę badając, już w 1830 lub 1831 uważał, że *Euprepia hololeuca*, bez wpływu samca płodne jaja znosi. W r. 1846 p. Popow znalazłszy gąsienicę tego gatunku, umieścił ją w zamkniętém pudełku, gdzie zamieniła się w poczwarkę, a we 12 lub 13 dni potém wyszła motylem dojrzałym, płci samiczéj, i zaraz jaja nieść zaczęła. W 8 lub 10 dni od zniesienia jaj, powykluwały się z nich małe gąsienice. Potwierdziło się tym sposobem to, co p. Speyer (w Szczecińskiéj entomol. gazecie, 1847, str. 18) ogłosił względem innego motylowatego owada, *Talaeporia lichenella*, tudzież innych z fam. oszwicowatych (*Psychidae*), i co Lacordaire (*Intr. à l' entom. 2, 283*) mówi o *Liparis dispar*, że ta zanocnica do trzeciego pokolenia rodzić się może bez zapłodnienia. W przedmiocie téj ostatniéj, p. Popow pisze do hr. Mannerheim, że nieraz uważał iż jéj liszki ciągle trzymały się po parze, tojest jedna bardzo blizko drugiéj, tak iż patrzącemu na to przychodziła myśl, że były samcze i samicze, i że już w tym gąsienic stanie zapłodnienie odbywały.

P. Guérin de Méneville (*Revue et mag. de Zool.* 1850 *févr.*) przyznaje, iż to postrzeżenie p. Popowa jest ważném, i zostanie w historyi rozmnażania się owadów, ale jego wniosek o możności zapłodnienia gąsienic, jest zupełnie bezzasadny, ponieważ u owadów w tym stanie, są

tylko szczęty części rodnych, ledwie się postrzedz dające. P. Guérin odsyła przytém do innych w tymże przedmiocie postrzeżeń, pp. Bourcier i Duméril, w *Revue Zool.* 1847, na str. 266—268 ogłoszonych. (*T. 1850 nr. 134*).

* Wahlberg (*Öfversigt af Kongl. Vetensk. Akad. förhandl. Arg. 7 1850, pag. 225, 226*) pisze: „Oddawna już wiadomo że gąsienice pewnych motylów robią sobie, jak chrościki (*Phryganea*), rurki czyli pokrowce, w których żyją i które chodząc ciągną za sobą, i że do budowy tych pokrowców używają różnych materyałów i w różny układają je sposób, tak iż częstokroć z pokrowca poznać można jaki w nim gatunek mieszka. Pomiędzy motylami takiemi na największą zasługuje uwagę rodzaj oszwic (*Psyche*), nietylko dla kształtu pokrowca, ale i dlatego, że bezskrzydła samiczka po wylęgnieniu się zostaje w pokrowcu i jaja w nim niesie. W czasie krótkiego pobytu mojego w Gusum, we wschodniéj Gotlandyi, zeszłego lata, włożyłem kilka pokrowców gat. *Psyche graminella* w pudełko z nakrywką szklaną, ażeby je dokładniéj uważać. Po kilku dniach ujrzałem z rana wiele biało-żółtawych gąsienic ½ lin. długich, z wielką brunatnawą głową, w różnych kierunkach po dnie pudełka łażących, szczególnie na wierzchu pokrowców zebranych. Poruszały się żwawo na swoich nóżkach osadzonych od przodu, wysoko zadarłszy ogon do góry, i zdawało się jakby czegoś szukały. Po bliższem zastanowieniu się doszedłem, iż to były nowo wyklute gąsienice oszwic, jeszcze zupełnie gołe, ale już tę przyjmujące postawę, którą po zrobieniu sobie pokrowca zachowywać zwykły. Pudełko w którém się wylęgły, tak było umieszczone, że go dotykał róg białéj firanki od okna, a przy niém niebieska sukienna czapka leżała. W mgnieniu oka wszystkie się poubierały. Które zostały w pudełku, te używszy pyłu i resztek macierzyńskiego pokrowca, przywdziały szarą, inne na czapce niebieską, a które na firankę się wydostały, białą odzież. Gdy tak wynalazły materyał tyleż przydatny sobie co i naturalny, tojest zdźbła trawy, i równie szybko jak i umiejętnie porobiły z niego pokrowce, zaczęły być spokojniejszemi. Zmuszony zabierać się w dalszą podróż, nie mógłem kończyć tych postrzeżeń." (*T. 1852, nr. 460*).

* Przed wieczorem d. 25 sierpnia z. r. pani Kruzenstern przysłała mi z Warszawy do Królikarni dorosłą liszkę zanocnicy zwanéj widłogonem (*Cerura vinula*), zamkniętą w papiérowém pudełku. W przeciągu trzech godzin, tojest nim rąk moich doszła, gąsienica ta usnuła w pudełku swój oprzęd; ale pudełko było tak nizkie, że oprzęd dochodził do nakrywki i nieco przykleił się do niéj. Skutkiem tego, gdym odebrawszy pudełko, nagle je otworzył, część oprzędu od wierzchu zdarła się i została przy nakrywce, a przez wyrwany otwór można było widzieć liszkę, która natychmiast zajęła się łataniem dziury. Kilku nas z ciekawością patrzyło na jéj pracę. Mokrą przędzą, z pyszczka wydawaną przedzielała najprzód zbyt wielki wyłom na dwoje, potém w każdym przedziale dziergała oczka, i wnet ujrzeliśmy cały ów wyrwany otwór zapełniony siatką, a nim się wieczór skończył, oprzęd najdoskonaléj zaprawiony został. Dorobiona łata tak spoiła się z całością, że ani kolorem ani

miąższością nie różniła się od niéj; na zewnętrznéj tylko powierzchni jéj pozostały stérczące węzełki (1). (*A. W.*).

✳ P. Dennistoun na jednóm z posiedzeń brytańskiego stowarzyszenia (*Brittish Association*) w r. 1850 mówił o tkaninie z przędzy gąsienic, a mianowicie opowiedział jak na początku tego wieku porucznik Hebenstrejt w Mnichowie, długo nad tém pracował, ażeby użyć gęsienic do wyrabiania tkanek w rodzaju tak zwanego babiego lata, czyli pajęczynki która podczas jesieni w powietrzu pływa. Nakładł on na upatrzoną równinę liści sałaty i ponasadzał od spodu gąsienic dobranego gatunku i w stosownéj ilości, które karmiąc się na tym pastewniku, rozpościérały na nim odpowiednią rozległość tkanki. Pomienioną tkankę zdobił nawet rozmaitym deseniem, nadając go za pomocą pęzla umaczanego w oliwie, na podobieństwo znaków wodnych w papiérze. Już w przeszłym wieku po klasztorach malowano na takiéj tkaninie, lub odbijano na niéj ryciny blachą miedzianą. Kawałek, który p. Dennistoun pokazywał Stowarzyszeniu, przezroczystszy był od najdelikatniejszéj gazy, ale pływał w powietrzu za najmniejszém wzruszeniem. Pomysłu, ażeby takich tkanin do stroju użyć, nigdy nie przywiedziono do skutku. (*T. 1850 nr. 231 z The Athenaeum, 1190*).

✳ Na posiedz. Tow. nar. rolniczego w Paryżu (*Soc. nationale et centrale d'Agriculture*) d. 19 grud. 1849, entomolog francuzki p. Amyot czytał trzeci ciąg rozprawy w któréj roztrząsa prawodawstwo francuzkie w przedmiocie obiérania z liszek (2) (*échenillage*) drzew w sadach i lasach. Ustawa z d. 26 ventose roku IV, nakazuje obiéranie drzew z gąsienic przed 22 lutego każdego roku, a 471 art. nr. 8, kodexu karnego, przepisuje karę od 1 do 50 fr. na tych którzy nie zechcą stosować się do urządzeń w téj mierze. Możnaby jeszcze do tego przydać, mówi p. Amyot, art. 3 tytułu XI ustawy z 16 i 24 sierpnia 1790, polecający zwierzchności municypalnéj zapobiegać stosownemi ostrożnościami grożącym klęskom, jak np. zarazom na bydło i t. p., z któréj to ustawy, zdaje się, wynikło prawo dla zwierzchności municypalnéj rozciągania nakazu nawet do niszczenia chrabąszczów i wszelkich, jakieby okazały się szkodliwemi, owadów.

Przypuszczając takie téj ostatniéj ustawy tłumaczenie, możnaby rzec, iż prawodawstwo francuzkie, co do zwierząt i owadów szkodliwych rolnictwu, jest zupełne, i należałoby tylko życzyć stosowania go przez właściwe władze. Prosty obiegnik ministra rolnictwa i handlu do prefektów, dostateczny byłby do przypomnienia im praw i obowiązków co do tego przedmiotu.

Ale jedna zachodzi tu trudność. Obiegnik ministra finansów, z d. 11 kwietnia 1821 r. rozstrzyga, że ustawy o obiéraniu drzew z liszek nie stosują się do lasów, lecz tylko do drzew rozpierzchłych (Armand Dalloz *verbo* Forets, nr. 723), opiérając się na tém, że czynność obiérania

(1) Dnia 17 czerwca b. r. wyszła z tego oprzędu samica, i zaraz nieść zaczęła niezapł. jaja, których przeszło sto zniosła *A. W.*

(2) Liszkami (*chenilles*) nazywają się te gąsienice owadów, które na roślinach liście objadają. *A. W.*

liszek, nawet ograniczna tylko do brzegów lasu, kosztowałaby skarb tak znaczne summy, że rząd nie może myślić o stanowczém jéj przedsiębraniu. Cóżto więc za prawodawstwo, pyta się p. Amyot, które stosuje się tylko do właścicieli małéj liczby drzew, a opuszcza właścicieli większéj ich liczby? I na cóż się przyda obiéranie z liszek drzew rozproszonych lub też w sadach pod lasami, jeżeli nie ma uskuteczniać się nawet na brzegach tych lasów?

P. Amyot rozważa potém kwestyą obiérania liszek w sobie saméj i ze stanowiska naukowego. Nie idzie tu, mówi, o pożytek jaki miéć może właściciel drzewa obiéranego z liszek, że je tym sposobem ochroni przed zniszczeniem i liście albo owoce na niém zachowa. Jasna jest rzecz, że jego własny interes ten krok mu nakazuje. Karze się niedopełnienie obiérania, nie dlatego że szkodę przynosi właścicielowi który nie obiéra, ale dlatego że przypuszczamy, iż gąsienice objadłszy drzewa tam gdzie one nie były obrane, przejdą na drzewa sąsiadów i te poobjadają lub też, że stawszy się owadami dojrzałemi, poznoszą jaja w całéj okolicy, coraz bardziéj powiększając klęskę. Ale czy dowiedziono, pyta się p. Amyot, że to nastąpi jeśliby liszki obierane nie były? Pewną jest rzeczą, dodaje, iż w ogólności i prócz wyjątków które nie nadwerężają w niczém prawidła powszechnego, liszki nie opuszczają drzew w sadzie dla przejścia do innego, lecz że giną na drzewie na którém się urodziły. Co zaś do zapytania czy liczba liszek powiększa się następnego lata jeśli obiérane nie były, wszyscy je uważający wyznają, iż to jest wielce wątpliwém. Liszki które niszczyły mianowicie lasy, gdzie się ich nigdy nie zbiéra, zawsze na drugi rok znikają nagle; zbiéranie ich przeto było niepotrzebném do zrządzenia tego. Zdaje się że przyczynę ich nagłego wyginienia należy przyznać czynności zwierząt które je niszczą, a takiemi są ptaki, nadewszystko zaś gąsieniczniki (*Ichneumon*). Jak wielki udział gąsieniczniki mają w tém niszczeniu, trudno jest ściśle oznaczyć, ale on jest bez wątpienia niemały. Przypuszczając zatém, że tylko 2 na 3 są gąsienicznikami dotknięte (*inchneumonées*), wyniknie iż obiéranie liszek gubi na jednego nieprzyjaciela dwie przeciw niemu pomoce; tojest że kiedy natura potrzebuje dwóch liszek gęsienicznikami dotkniętych ażeby zniszczyć pokolenie jednéj zdrowéj; w obiéraniu są dwa trafy przeciw jednemu do zniszczenia raczéj gąsienicznikami dotkniętéj aniżeli zdrowéj liszki; na wynagrodzenie trafu trzeciego nie ma żadnego podobieństwa ponieważ ze zniszczenia liszki zdrowéj obieraniem, nie co innego wyniknie, tylko to samo co z zachowania trzech liszek nie obiérając, tojest wytępienie potomstwa liszki zdrowéj, czego tyle dokonywają gąsieniczniki które wyjdą ze dwóch innych liszek ile i samo zniszczenie liszki zdrowéj. Możnaby to wystawić w następującéj formule algebraicznéj. Oznaczmy pokolenie zdrowéj liszki przez x, i całość tego pokolenia zniszczonego przez gęsieniczniki które powychodzą ze dwóch innych liszek, także przez x. W razie nieobiérania, będzie $x-x=0$; w razie zaś obierania liszek, będzie $x - \frac{x}{2} = \frac{x}{2}$, co znaczy że obieranie, zamiast przeszkodzić rozmnażaniu się liszek, owszem je powiększa; a to złe podwaja się,

potraja, w pięćnasób wzrasta, jeśli zamiast stosunku podwójnego, liszki zarażone gąsienicznikami są w stosunku odpowiednio coraz znaczniejszym do liszki zdrowéj. Ułożono następujący w téj mierze syllogizm. Im więcéj jest gąsieniczników, tém mniéj liszek; im więcéj liszek, tém więcéj gąsieniczników: a zatém, im więcéj liszek, tém mniéj liszek; tak, iż gdyby to rozumowanie zostało przyjętém, trzebaby było uznać że prawodawstwo w przedmiocie obiérania drzew z liszek, zmierzałoby wprost przeciwko celowi który sobie zakłada, tojest ukaraniu właściciela sprzyjającego rozmnażaniu się liszek, i że dla osiągnienia pomienionego celu, zamiast karać tego który nie obiera, należałoby przeciwnie, karać tego który obiera, a kara taka, dodaje p. Amyot, byłaby bardzo niesłuszna; bo jeżeli obiéranie szkodzi sąsiadowi, dlatego że mu nieco przyczynia liszek na rok następny, sąsiad ten może się bardzo zabezpieczyć przeciwko szkodzie, gdy będzie obiérał sam, z wielką korzyścią drzew i tamtego i swoich.

P. Amyot szuka następnie przykładu w tym względzie u innych narodów, i uważa że w Anglii, w Stanach Zjedn. Ameryki, równie jak w Belgii i Niemczech, tojest w krajach w których największy postęp uczyniło rolnictwo, prawodawstwo nie mówi nic o obiéraniu drzew z liszek. Nakoniec bada początek tego prawodawstwa we Francyi, i dochodzi, że ustawa z roku IV jest tylko odnowieniem dekretu Parlamentu Paryzkiego z r. 1738 wydanego na wnioski prokuratora pełne najgrubszych błędów pod względem historyi naturalnéj, dekretu, który sam odnawia tylko podobne przepisy z czasów starożytnych i ślady ludowego przesądu wieków średnich.

P. Amyot na tém kończy, że zamiast domagać się przeglądu tego prawodawstwa, potrzeba, jeżeli nie wyrzucić je z kodexu, jako zabytek niewiadomości człowieka i resztki barbarzyństwa, to przynajmniéj zawiesić tymczasowo kwestyą, poprzestając na zachęcaniu do niszczenia szkodliwych owadów ze stanowiska prywatnego dobra.

P. Guérin Méneville i kilku innych członków powstali przeciwko tak niespodziewanym wnioskom; lecz gdy ta praca odesłaną została pod rozpoznanie kommissyi do któréj i oni wchodzą, przedmiotu nie roztrząsano, ażeby nie uprzedzać sprawozdania kommissyi. (*Revue et Mag. de Zoologie*, 1850 *nr. 2.*)

✳ Wiadomo że czasem spadają ciała organiczne z dészczem. Do objaśnienia tego zjawiska posłużyć może świeże wydarzenie, które prof. Plieninger w Stutgarcie ogłosił (*Würt. naturwiss. Jahresh. IV.* 3.). W późnéj jesieni (w listop.) pewnego poranku, po silnym południowo-zachodnim wietrze przez całą noc wiejącym, znaleziona została w jego ogrodzie, od północno-zachodniéj strony domu, na śniegu gąsienica ćmy *Ditephita euphorbii*, 1 cal długa, wpółodrętwiała i w tylnéj części ciała skaleczona. Nigdy takiéj gąsienicy nie znaleziono w mieście, musiał ją zatem wicher z pola na okolicznych górach przynieść. (*T.* 1850 *nr.* 1).

✳ J. B. Spencer upewnił się, że mleczny sok, który wydaje gąsienica torzyśniata (*Cossus ligniperda*), zawiéra w sobie czysty krochmal. Wysuszone krople tego soku, które gąsienica na szkło puszczała, ukazały przez achromatyczny mikroskop Rossego skład krochmalowy: polaryzujące światło na każdém ziarku czarny krzyżyk bardzo pięknie przedsta-

wiło. Widocznie gąsienica ta nie gryzie drewna w drzewie w którém osiadła, tylko sok jego wysysa. *(Id. nr. 47 z The Zoologist, nov.* 1849.)

* Następujący zaradczy środek przeciwko uszkodzeniom drzew, jakie osiadłe w nich gąsienica torzyśniata zrządza, dr. C. J. Cox przedstawił król. Tow. botanicznemu w Londynie.

Postrzegłszy że drzewo dotknięte jest przez te owady, które się zawsze u spodu jego pnia trzymają, potrzeba natychmiast ziemię, przynajmniéj na stopę głęboko naokoło pnia odgrzebać i całą obumarłą naokoło pnia korę poobdzierać. Ukażą się wtedy liczne podziurawienia, których wielkość, kolor i głębokość dokładnie zbadać należy. Jeśli są małe i świeże, owad siedzi w nich niedaleko od otworu i daje się drótem zabić i wyciągnąć; jeżeli dziura idzie kręto, tak że nie można drótem jéj dna dosięgnąć, potrzeba ją rozszerzyć narznięciem, które mniéj drzewu szkodzi, niż gdyby przez owad pogryzione było. Po oczyszczeniu ran, zasmaruje się je mieszaniną gliny z krowieńcem. Trzeba jeszcze po kilku tygodniach obejrzéć drzewo, czy nie ma w niém gąsienic, co ztąd łatwo poznać, że ich gnój z otworów wystércza. W celu zniszczenia jaj (1) i gąsienic zupełnie młodych, postępuje się tak jak z ogłodkiem (*Scolytus*).

Ażeby tego wygubić, odejmuje się najprzód cała zepsutą korę, tak ażeby odsłonić wejście do kanałów, w których się jego potomstwo mieści; a że te kanały zawsze idą do góry i powierzchownie, trzeba więc w tém miejscu końcem żelazka kawałek kory wykroić. W tenże sposób zburzyć można i boczne kanały, w których się znajdują całkiem młode gąsienice. Następnie przemywa się drzewo wapienną wodą, w któréj się nieco sadzy roztworzyło, i przez 14 dni ogląda drzewo. Próchno pod pniem, doprowadzi do odkrycia starych owadów, jeżeli te naszły.

P. Cox dodaje: że wprowadzeniem tego sposobu do swojego ogrodu, uratował w nim ozdobne wiązy, a sposób ten, jak widzimy, nie pociąga wielkiego wydatku: jeden robotnik może na dzień 8 do 10 drzew taką skrobaczką, jakiéj bednarze używają, opatrzyć. Moje wiązy, które przedtém zaledwie rzadki i nędzny liść okrywał, dzisiaj gęstością koron rózkosznie się zielenią. (*Ib.* 102 z *Annals & Mag. of. nat. hist. Dec.* 1849).

* Mól nazwany *Tinea ustella*, podług p. John Scott, osobliwsze niekiedy obiera sobie miejsca na pobyt: znajduje się w jednéj z kopalń kamiennego węgla, około 7 mil (Miles) od Glazgowa odległéj, a to w odległości ¾ do 1½ mili od wejścia do sztolni. Zwrócenie uwagi na tę okoliczność winienem p. Mac Intosh. Postrzegał on tam przez lat kilka tego mola, ale go nigdy nie mógł złapać, gdyż nader zręcznie wysuwa się zpod ręki. Zszedłem więc z p. Mac Intosh do kopalni węgla, wziąwszy z sobą siatkę na motyle. Długośmy błądzili w podziemiu nie osiągnąwszy celu, przy czém doznaliśmy wiele przykrości, bo trzeba było iść ciągle zgarbionym i bardzo się strzedz, ażeby głową o występujący kamień nie uderzyć. Nakoniec doszliśmy do miejsca w którém wiele motów było, a tam wkrótce napełniłem moje pudełka. W każdéj porze roku znaleźć można mole, ale tylko w miejscach wyczerpniętych kopalni i które przez długi czas opuszczone stały. Powietrze tam jest tak zepsu-

(1) Tak torzyśniat jako i ogłódek (*Scolytus destructor*) nadewszystko wiązy w ogrodach przyprawia o zanędznienie, a następnie o zupełny upadek. *A. W.*

te, że nasze pochodnie ledwie gorzały. W żadném miejscu w którém dziś pracują, mól nie dał się widzieć, i górnicy poświadczali że go tam nigdy nie widziano. Mól ten bardzo prędko lata i nie przylatuje do światła. Że się tam wylęga, można o tém wnosić z jego wielości i ztąd że miejsce jego pobytu jest tak odległe od wnijścia. Ale czém żyje gąsienica, trudno się domyślić. Motylki siedzą pomiędzy stoczonemi kamieniami, i ulatują gdy się w nie zaszoruje. Najpiękniejsze okazy mienią się ciemno-purpurowym kolorem i mają na sobie złoto-żółtą kreskę. *(Ib. nr.* 9 z *The Zoologist. Dec.).*

* Dr. Graells dyrektor muzeum histor. nat. w Madrycie, opisał (w *Revue de Zoologie*, 1840, *nr.* 12) nowy gatunek motylów nocnych z fam. bławatnic (*Saturnidae*), jako należący do fauny hiszpańskiéj. Autor tak go nazywa i odznacza:

Saturnia Isabellae.— Alis patentibus; anticis rotundatis; posticis caudatis, omnibus viridibus, subdiaphanis, basi lanuginosis marginibus nervisque purpureo ferrugineis; ocellatis, ocellis fenestratis, annulatis; in unoquoque annulo externo nigro; interno dimidio luteo dimidio purpureo, alarum anticarum limbo externo ex luteo et nigro quadrivittato; posticarum tantum trivittato. Corpore longe villoso. Oculis nigris, fronte, antennis, scapulisque luteolis; cervice tergoque purpurascentibus; abdomine ex luteo nigro et purpureo, obscure annulato: pedibus purpureis, femoribus lanugine flava longe ciliatis. Lat. alarum patentium 11 centim.

Larva ex albido punctatissima; fascia lata dorsali abdomineque rufescentibus; lateribus viridibus; segmentis tribus primis, antea ex atro purpureo luteoque maculato marginatis; caeteris, praeter duos ultimos rubello purpureo-annulatis; annulis e maculis oblongis niveis tuberculorum trium segmentorum priorum flaveolis; reliquis albicantibus.

Puppa brunnea, folliculata; folliculo laxo, pyriformi apice, foramine elastico dehiscente.

Gatunek ten jest przeto jedynym w Europie wyobrazicielem oddziału ogoniastego (*Caudatae*) téj okazałéj familii bławatnic, a z którego dotąd tylko następujące sześć gatunków: *Sat. luna, selene, cometes, diana, mimosae* i *isis*, wszystkie z obcych części świata, znane były.

P. Guérin-Méneville ogłaszając to, namienia że raz w Hiszpanii znaleziono szczątki tego motyla, a że szczątkami temi były kawałki połamanych skrzydeł których ogólny kolor taki jest jak u amerykańskiego gatunku *Bombyx luna*, wniesiono z tego, że *Bombyx luna* i w Hiszpanii się znajduje. Wyjaśnienie rzeczywistości należy się p. Graells, któremu już winniśmy odkrycie w Hiszpanii okazałego chrząszcza *Megacephala euphratica.* P. Guérin czyni jeszcze i tę uwagę, że wielkie powinowactwo między *Saturnia Isabellae* i *Sat. luna* któréj gąsienica żyje w Ameryce na orzechu, domyślać się każe iż i tego hiszpańskiego gatunku gąsienica żywi się liśćmi (włoskiego) orzecha (1). (*Ib. nr.* 47).

A. W.

(1) Piękny wizerunek tego okazałego gatunku (przedstawiający w dwóch położeniach motyla, gąsienicę, oprzęd i poczwarkę), znajduje się przy drugim zeszycie na rok 1850 Roczników Tow. entomolog. franc: (Pl. 8). *A. W.*

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

127. Dusza uważana jako myśl, słowo i znak. Psychologiczno-etymologiczne poszukiwanie Jana Nep. Kamińskiego. 8ka. Lwów. 1851. Drukiem E. Winiarza. Str. 214.

128. Listy Kazimierza Nestora ks. Sapiehy, w latach 1773, 1774, 1775 i 1776 do matki pisane z podróży za granicą. Z autografów zbioru J. Kraszewskiego. 8ka. Wilno. 1851. Druk J. Zawadzkiego. Napisów karta 1 i str. 114. (Oddruk z Athenaeum tom III, r. 1851).

129. Prelekcyje Wincentego Pola Dra Filozofii i Professora uniwersytetu Jagiellońskiego. Rzut oka na północne stoki Karpat. Z godłem:

... et haec meminisse juvabit.

8ka. Kraków. 1851. W drukarni Czasu. Str. 132. (Z drukowaną tabellą). Złp. 10.

130. Prelekcyje Wincentego Pola Dra Filozofii i Professora uniwersytetu Jagiellońskiego. Północny wschód Europy pod względem natury.

.... et haec meminisse juvabit.

Zeszyt I. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Str. 111. Złp. 7.

131. Ś. Ignacego Ćwiczenia duchowne czyli rekollekcie przez księdza Aloizego Belleciusza w języku łacińskim ułożone, a przez xiędza Antoniego Brescianiego w języku włoskim na nowo wydane. Przerobił (,) do użytku wszystkich zastosował i rozmyślaniami z pisma świętego o tajemnicach żywota Chrystusa Pana pomnożył xiądz ***. 12ka. Berlin. 1851. Str. XXXVI i 359. Złp. 13 gr. 10.

132. Ustawa celna dla Królestwa Polskiego. (Po rossyjsku i po polsku). 8ka. Warszawa. 1851. Druk Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości. Str. 643, i CLXXV. Rejestrów kart 6.

133. Wykład obudwu listów świętego Pawła Apostoła do Koryntyan, jako dalszy ciąg wykładu Pisma Świętego Nowego Zakonu przez ks. Waleryana Serwatowskiego. 8ka. Kraków. 1851. W wydawnictwie dzieł katolickich. Str. 190. Złp. 9.

1852.

70. *Cieny Gazet i periodyczeskich izdanii.* Cennik Gazet i pism peryodycznych na 1852 rok. 4ka. Warszawa. 1852. Druk J. Glücksberga. Kart 4 i str. 25.

71. Dra Józefa Dietla Professora kliniki lekarskiéj w uniwersytecie Jagiellońskim. O upuście krwi w zapaleniu płuc ze stanowiska kliniczno-fizyologicznego. Z dołączeniem tablic statystycznych o leczeniu zapalenia płuc bez upustu krwi w szpitalu dzielniczym na Wiedniu w Wiedniu, a do

Rocznika lekarskiego krakowskiego na rok bieżący przeznaczonych, z niemieckiego na język polski przełożyli Paweł Grzywiński i Jan Ulldowski. 8ka. Kraków. 1852. W drukarni Czasu. Str. X i 148. Złp. 7.

72. Dwanaście Obrazków dla małych dzieci przez Jana Stachowicza. 8ka podłużna. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Str. 16. (Z 12 rycinami kolorowanemi). Złp. 8.

73. Historya Naturalna w celniejszych wiadomościach zebrana i do pojęcia młodzieży zastosowana. Z 8 tablicami kolorowanych rycin. 16ka. Wilno. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 216. Złp. 9.

74. Jana Pawła Woronicza Homilie (,) nauki i przemowy dotąd drukiem nieogłoszone, z własnoręcznych pierwotworów autora zebrane. 8ka. Kraków. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. 97. Złp. 6.

75. Katalog książek polskich, znajdujących się w księgarni Henryka Natansona w Warszawie. Krakowskie-Przedmieście, 442. N. 1. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra. Str. 69. (Rozdaje się bezpłatnie).

76. Kazania na niedziele całego roku zebrane przez X. Maxymiliana Małopolskiego S. T. L. Zak. Kazn. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Druk J. Tomaszewskiego. Tom I, str. 306. II, 310. Złp. 12.

77. Kazania niedzielne, przygodne i mowy pogrzebowo. Ułożył X. Antonin Mieczkowski S. T. D. Dominikan. 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 304. Złp. 10.

78. Listy Annibala z Kapui, arey-biskupa neapolitańskiego, nuncyusza w Polsce, o bezkrólewiu po Stefanie Batorym i pierwszych latach panowania Zygmunta IIIgo, do wyjścia arey-xięcia Maxymiliana z niewoli. Z rękopisu biblioteki Brancacciana w Neapolu wybrał, przetłumaczył z języka włoskiego na polski i wydał Alexander Przezdziecki. Z dodatkiem objaśnień historycznych i kilku dokumentów, tyczących się téjże epoki dziejów polskich. Oraz z 10 podobiznami podpisów osób znakomitych. 8ka. Warszawa. 1852. Nakładem Ig. Klukowskiego, druk J. Ungra. Napisów kart 2, str. 275 i rejestru kart nieliczb. 8.

79. Mała Galerya obrazowa zwierząt domowych. Podarunek dla grzecznych dzieci przez Jana Stachowicza. 8ka podłużna. Wrocław (Bez roku. 1852?) Nakładem Z. Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Str. 20. (Z 12 rycinami kolor.) Złp. 8.

80. *Obrazcy polskaho jazyka, w prozie i stichach, dla Ruskich, izdannye P. D.* Wzory języka polskiego, prozą i wierszem, dla Rossyan, wydane przez P(iotra) D(ubrowskiego). 12ka. *S. Pietierburh.* 1852. (Druk K. Kraja). Str. XVI i 70.

81. O kąpielach płynnych i parowych, tak pod względem utrzymania zdrowia, jak również o użyciu ich w sztuce lekarskiéj. Przez L. Marczewskiego lekarza wolno-praktykującego. Z godłem:

In balneis, Salus!

8ka. Kalisz, 1852. Druk K. W. Hindemith. Kart 2 i str. 244.

82. Pamiętniki księdza Jordana. Obrazek Inflant w XVII wieku, przez Kazimierza Bujnickiego. Z godłem:

„Za dostatek mieli nic nie żądać, przestawając na tém (,) co z ojczystego kraju sobie sposobić mogli.“ Illzen, *Inflanty.*

8ka. 2 tomy. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. XVIII i 261. II, 263. Złp. 15.

83. Paradoxa koronne publice i privatim (,) potrzebne szlachcicowi polskiemu. Napisane roku 1603 12ka. Kraków. 1852. Nakład i druk Józefa Czecha. Przedmowy Augusta Bielowskiego str. XXI. i 152. Rejestru kart 2. Złp. 7.

84. Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię polską od roku 1808 aż do naszych czasów, przez Teodozego Sierocińskiego Professora Emeryta. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Adolfa Kretholow. (Nakład autora). Karta 1 i str. 116. Złp. 4.

85. Podróż do Persyj księcia Alexego Sołtykowa (.) Przekład Wojciecha Szymanowskiego. 12ka. Warszawa. 1852. Druk Jul. Kaczanowskiego. Str. 110. (Z 12 litografowanemi rycinami). Złp. 12.

86. Rycerz Lizdejko. Powieść z czasów panowania Jana Kazimierza. Z godłem:

Delicta Majorum immeritus lues
Romane, donec templa refeceris
Aedesque labentes deorum,
Et foedo nigro simulacra fumo.

Przez autora Listopada. 12ka. 3 tomy. Warszawa. 1851-1852. Druk Józefa Ungra Tom I, str 276, II, 286, III, 360. Złp. 20.

87. Wieczory Badeńskie czyli powieści o strachach i upiorach (;) z dołączeniem bajek i innych pism humorystycznych Józefa Maxymiliana hrabi z Tenczyna Ossolińskiego. Z autentycznych autora rękopismów w bibliotece imienia Ossolińskich dochowanych, wydał Józef Czech. 8ka. Kraków. 1852. Nakładem i drukiem Józefa Czecha. Str. VIII i 248. Rejestru karta 1.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

P. Zygmunt Kaczkowski młody pisarz, który tak świetnie odznaczył się powieściami swojemi na tle dziejów naszych, napisał nowy utwór p. n.: „Wesele na Rusi".—Zbiór powieści w 2ch tomach, drukuje B. M. Wolff w Petersburgu swoim nakładem.

— P. Tomasz Bartmański, znany już naszym czytelnikom, przygotował do druku rękopism: *Podróż na Wschodzie*, w 2ch obszernych tomach. Praca ta, gruntownie i sumiennie obrobiona, znajdzie niepoślednie miejsce w literaturze krajowej.

— Karol Libelt, cierpiący na zdrowiu, zamieszkuje na wsi i oddawna nie może się zajmować pracą umysłową.

— Poszyt piąty *Wizerunków polskich* Maxymiliana Fajansa wyszedł obecnie i zawiera portrety J. B. Zaleskiego, Januarego Suchodolskiego i Alexandra Przezdzieckiego, wraz z krótkim textem do 4go i 5go zeszytu. Portrety odznaczają się szczególniej trafnem podobieństwem, a karta tytułowa, skupia w ślicznej kompozycyi myśl kierującą zawodem każdego z trzech artystów: poety, malarza i badacza dziejów krajowych.

— P. Antoni Pietkiewicz znany pod pseudonimem Adama Pługa, ogłosił w naszych gazetach odezwę, iż zamyślając w miejsce Athenaeum

wydawać pismo zbiorowe p. n.: *Kwestarz*, wzywa do współpracownictwa piszących „by do skarbony jego kwestarza, ochoczém sercem po groszu złożyli."

— Teodor Morawski pisze *Historyą polską;* ma to być znakomita praca, ale żadnych dotąd z niéj wyjątków nawet nie znamy.

— *Karol Szajnocha*, który jako poeta, a szczególniéj jako historyk jedno z pierwszych miejsc w naszéj literaturze zajmuje, redaktor wybornego pisma *Dziennik literacki*, zastąpiony w téj redakcyi chwilowo przez Augusta Bielowskiego, wyjechał na wiejskie zacisze do cyrkułu tarnopolskiego (w Galicyi), gdzie pracuje nad historycznem dziełem w obszernych ramach p. n.: *Czasy Jadwigi i Jagiełły*. Jakkolwiek zbyt szczupłe znamy tylko wyjątki z tego nowego utworu pana Szajnochy, możemy jednak wyrzec zdanie, iż coś podobnego w dziale historycznym, mało posiada dotąd krajowa literatura.

— *Kirgiz* Gustawa Zielińskiego przełożonym został na język niemiecki przez A. *Bahna*. Przekład piękny, pochlebne znalazł w Niemczech przyjęcie.

— Nakładem J. Bernsteina księgarza wyszła: *Krótka historya naturalna dla rozrywki i nauki pilnych dzieci*. Ozdobiona 32 rycinami kolorowemi. Wykład jasny, język czysty, zalecają tę małą książeczkę, która z prawdziwym użytkiem dla dziatwy użytą być może, bo zaspokajając ciekawość młodzianego umysłu, podaje zarazem i naukę.

— Znany J. Szreder archiwista akt dawnych w Kaliszu, acz obciążony sędziwym już wiekiem, pracuje nad wykończeniem obszernéj rozprawy: *O cechach w Polsce*.

— B. M. Wolff w Petersburgu przygotował do druku przekład historyków naszych z języka łacińskiego na polski *Solikowskiego* i *Rudawskiego*.

— Zapowiedziany dawniéj *Zbiór poezyj Franciszka Żyglińskiego*, wyszedł w Krakowie nakładem wydawnictwa dzieł katolickich. *Czas*, dziennik krakowski, umieścił obszerny rozbiór tych poezyj.

— P. Antoni Celiński, obywatel ziemski z Kaliskiego, pracuje nad przekładem Dantego *Komedyi Boskiéj*. Życzyćby należało, aby literatura nasza była wzbogaconą tłumaczeniem tego arcydzieła.

— P. Józef Szaniawski archiwista akt dawnych sieradzkich, które obecnie są połączone z archiwum kaliskiém w mieście Kaliszu, wykończa opis szczegółowy *powiatu sieradzkiego*, który wkrótce, w ustępach niektórych podamy w piśmie naszém. Opis bowiem szczegółowy tak województwa, jak i powiatu sieradzkiego, z dodaniem dyplomatów w języku łacińskim i przekładem na polski, w obszernych ramach, późniéj w oddzielném dziele zamyśla ogłosić drukiem. Sądząc z tego, co już mamy, z przekonaniem możemy powiedzieć, że będzieto praca sumienna, a dla dziejów naszych wielce ważna.

— Znany poeta rossyjski Wasyli Andrzejewicz Żukowski umarł w Baden-Baden 24 kwietnia r. b. Kilka pięknych jego utworów, znamy z przekładu A. E. Odyńca.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Maj, 1852.

Maj 1852. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie $1^{s}\cdot 14^{m}\cdot 45^{s},7$ czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dészczu	śniegu
1		737.62	736.17	735.11	735 83	+ 6°.0	+11°.1	+12°.3	+ 9°.2	93.2	dészcz	dészcz	pochmurny	lek. pochm.	PdW.	PdZ.	Z	PdZ.	19.8	
2		736.36	737.25	739 54	741.56	8.0	9.4	6.5	3.6	97.3	dészcz	dészcz	dészcz	poch. dész.	PdZ.	PdZ.	PnZ.	Pn.	16.1	
3	☽.	743.38	744.89	746.42	747 69	2.2	3.0	4 3	3.8	93.0	pochmurny	pochmurny	dészcz kropi	pochmurny	PnW·	PnW.	PnZ.	PnZ.	0.8	
4		749.05	749.78	749.82	750.75	3.0	7.3	9.9	6.5	61.7	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	Pn.	PnW.	Pn.	Pn.		
5		751.57	752 40	752.47	753 07	4.3	8.2	9.4	6.0	60.5	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pr. pogodny	Z.	Z.	PnW.	Pn.		
6		753 50	753.43	752.83	751.61	4 1	10.5	11.5	5.4	54.5	napół pog.	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pn.	PnW.	PdZ.	W.		
7		751.24	750.80	749.87	749 73	4.0	8.5	10.2	6.3	55.0	pochmurny	napół pog.	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	Z.		
8		749.58	749.74	748.83	749.68	4.8	9.0	9.9	3.8	75.0	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pr. pogodny	Z.	PdZ.	PnW.	PnW.	1.4	
9		750 97	751.58	752.06	752 52	4.1	10.5	12 4	6.0	61.3	pogodny	pogodny	pochmurny	napół pog.	Pn.	Pn.	PnW.	Pn.		
10		753.02	752 42	750.52	749.82	6.3	12.7	15.7	11.6	43.2	pogodny	pogodny	smugi	pr. pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn		
11	☾.	749.48	748.87	746 58	746.07	8.6	15.0	19.0	15.5	52.5	pogodny	pr. pogod.	pr. pogodny	napół pog.	Pn.	PdZ.	PdZ.	Pn.		
12		748.00	749.43	750.56	750.35	11.0	12.3	11.7	9.6	75.5	lek. pochm.	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pd.	2.6	
13		750.39	749.77	747.58	747.50	7.6	14.2	16.7	10.6	77.5	pr. pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	PdZ.	4.0	
14		747.83	748.81	748.54	748.82	11 5	14.7	18.9	13.6	75.7	pochmurny	napół pog	pr. pochm.	lek. poch.	Z.	Z.	Z.	Pd.	1.8	
15		749.11	751.21	752.36	764.17	11.9	13.6	15 2	8.5	72.8	poch. dész.	pochmurny	poch. dész.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.0	
16		756.32	756 42	756.15	756.17	7.9	12.7	16.3	12.5	56.8	pr. pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
17		756.60	756.61	755.00	754.69	9 0	15.9	19.2	13.6	47.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	PnW.	PnW.		
18		753.74	753.37	751.58	751.03	11.4	17.8	21.2	13.5	46.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	W.	W.		
19	☽	749 65	749.08	747.75	747.52	11.2	17.2	18 2	12.7	59.5	pogodny	pr. pogodny	pr. pog. d.	pr. pogodny	PnW.	Pn.	PnW.	PnZ.	2.8	
20		746.50	747.05	747.63	747 65	12.9	16.7	18.7	13.2	71.0	lek. pochm.	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	PdZ.	1.6	
21		749.09	750.28	750.93	752 20	13.0	17.8	20.0	15.0	67.3	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	Pn.	PnZ.		
22		754.09	754.70	754.08	754.38	14.4	19.4	23.5	17.3	58.0	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.		
23		755.04	754.81	753.34	753.61	12 6	17.9	22 9	15.0	50.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	PnW.	W.		
24		754.18	754.28	753 19	753.33	14.6	20.2	25.1	15 4	43.0	pogodny	pogodny	smugi	pogodny	W.	Pd.	PdW.	W.		
25		753 14	753.04	751.37	751.01	14 9	21.4	23 8	16.2	48.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW·	PdW.	W.		
26	☽.	750.33	750.36	748.41	747 94	16.4	23 2	27 0	18.4	46.5	pr. pochm.	pochmurny	napół pog.	pogodny	Pd.	PnZ.	PnZ.	Z.		
27		746.23	746 34	744.96	743 38	18.0	22.9	26.3	19.1	65.3	pochmurny	dészcz gęsty	lek pochm.	pr. poch. d.	PnW.	W.	PnW.	Pd.	12.8	
28		742 63	743 92	742 60	741.86	14.2	16.0	19.0	15.9	91.7	pochmurny	napół. pog.	pr. poch. d.	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.		
29		741 92	742.94	742.63	743 23	15.1	19.0	21.4	17 8	75.8	mgła lekka	pr. pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	Pd.	PdW.	Pd.	Pd.		
30		743.14	742 72	740.50	740.11	15.8	21.5	25.7	20.3	65 7	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	Pd.	Z.	PnZ.	PnZ.		
31		739 42	741.64	746.07	749.12	19.2	20.7	13.7	10 1	68.5										
Śrc.		748.810	749.165	748.686	748.916	+10°.26	+14° 85	+16°.95	+11°.81	64.8									66.7	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.894	27	7.981
Najwyżéj dochodził — d. 17 o g. 10 r.	756.61	27	11.402
Najniżéj — — d. 1 o g. 4 w.	735.11	27	1.871
Średnia zmiana dzienna barometru	2.902		1.286
Największa zmiana dzienna barometru d. 30 kwietnia—1 maja o g. 10 r.	12.65		5.608
Średnia wysokość barometru jest niższą o od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	0.372		0.167
	749.266	27	8.148
Średnia temperatura Maja wynosi:	+ 13°.468 C.		+ 10°.774 R.
i ta jest niższą o	0.062 „		0.050 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	13.53 „		10.824 „
Największe ciepło dochodziło d. 26 o godz. 4 wiecz.	27.0 „		21.06 „
Największe żimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	2.2 „		1.76 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2 292 „		1.833 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 30—31 o g. 4 w.	12.0 „		9.60 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +22°.0 R. d. 26 po połud.
Minimum: 0°.2 „ d. 3 rano.

Ilość wody spadłéj z dészczu wynosi co do wysokości 66,7 milim. czyli 29,57 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 4,76 lin. par. od ilości jaka u nas w maju zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 64,8 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 7.70 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0.01 od normalnéj.

Dni pogodnych było 11, napół pogodnych 4, pochmurnych 16.
— dészczu 15 (d. 1, 2, 3, 8, 12, 13, 14. 15, 19, 20, 27, 28. 29, 30, 31).
— mgły 1 (d. 30).
— grzmotów 1 (d. 28).
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 28).

Wiatr panujący: Północny, Zachodni, Północno-Zachodni częste były Północno-Wschodnie.

Maj r. b. był dosyć pogodny, suchy, lubo w dészcz obfity, w początku znacznie zimny, w środku ciepły, w końcu gorący jak w porze letniéj, w ogóle co do temperatury zbliżał się do stanu normalnego. Najcieplejsze dni były 22, 24, 25, 26, 27, 29, 30; najmniéj ciepłe d. 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8. Z powodu zimna osobliwie w początku miesiąca, roślinienie bardzo się spóźniło, dopiéro za nadejściem dni ciepłych szybko postępowało. Pora wiosenna w tym roku znacznie spóźnioną była, wiatry północne były tego przyczyną. Dzień ostatni 31 odznaczył się znaczną zmianą temperatury; przed południem ciepło dochodziło do 17 stop. R, po południu tylko do 8 stop. tak iż w ciągu ośmiu godzin, termometr zniżył się o 9 stop. R.

D. 18, 27 pokazywały się plamy na słońcu.
D. 27 koło białe otaczało księżyc.



ŁUKASZ DREWNO

Burmistrz pomiędzy m. Starej Warszawy w roku 1624 zaślubiony miasto pod opieką N. M. P. i Sgo Benona

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA
O MOROWÉM POWIETRZU
W WARSZAWIE W ROKU 1624 I 1625.

PRZEZ

Alexandra Wejnert.

(Z rycíną).

Głód z wojny, a powietrze zwykło bywać z głodu,
Więc wojna niż to dwoje gorsza dla narodu.
Mars początkiem, śmierć końcem jest złego wyroku;
W wojnie początek z końcem w jednym prawie skoku.

Jan Owen.

Straszna ta klęska rodzaju ludzkiego, ta hydra lerneńska Polski, często nawiedzając krainę Lechitów, zabrała miliony ofiar, bez szczegółowych acz nader dla nas bolesnych opisów, zwłaszcza do epoki, którą kreślić zamierzamy. Przodkowie nasi uważając tę plagę za palec gniewu Bożego, nawykli byli poddawać się wyrokom Opatrzności, bez zajmowania się gruntownem zgłębianiem przyczyn tego nieszczęśliwego stanu kraju i mieszkańców. Lubo zbyt może pochlebnie dla Warszawy, jako dla rodzinnego naszego miasta, utrzymujemy, że w grodzie tym, piérwszy z całego kraju posiadamy z lat dawnych zarys szczegółowy téj klęski; opis jednak przez nas w treści następnéj, na mocy urzędowych dowodów skreślony, gruntowniéj o tém twierdzeniu czytających przekona.

„Główną chorobą w kraju naszym było dawniéj morowe powietrze, które powstawało z ciągłych niewygód dla licznych wojen, i z głodu, który po większéj części szarańcza sprawiała. Robactwo to w tak wielkiéj obfitości ukazywało się, iż swoim lotem słońce zaciemniało, a spadając na bujne niwy tak wysoko zalegało pola, iż konie brodziły w niém jak w gęstym piasku (1). Zgłodniały lud nakarmiony chlebem z jemioły, z ziół polnych i liści drzewa, puchnął na wiosnę i umiérał. Poczynała się ta zaraza od mocnéj febry, połączonéj z rozdęciami i kurczami, następnie krosty czarne i czerwone (bocii, carbunculi) obsypywały ciało; prócz tych oznak, następowało plucie krwią, obsypywanie wrzodami pod pachą i w dolnych częściach, a chory w dniach trzech lub pięciu umiérał. Przejmowano tę chorobę nietylko przez dotykanie, ale i przez oddychanie wyziewami zepsutemi."

„Powietrze zwykle wkradało się do Polski od strony Turcyi i Azyi. Poprzednie oznaki ukazania się téj srogiéj klęski były ognie nadpowietrzne, a po nich zaraz występowała mgła gęsta, przy mocnych wiatrach od południa i wschodu. Jedną z oznak zewnętrznych okazania się zarazy było także, jeżeli na wiosnę mało dżdżu padało z zimnem, a kwiaty prędzéj niż w czasie właściwym wschodziły. Stan dzienny atmosfery zwykle kilka razy zmieniał się; słońce naprzemian świeciło przy wschodzie jasnym, a zachodzie pochmurnym. Co zaś do osób, poprzednią oznaką téj choroby była wewnętrzna niespokojność i trwoga, która wszystkich ogarniała. Najpewniejszym dowodem istnienia powietrza była następująca próba: zbierano rosę w naczynia i dawano do wypicia psu pragnącemu; jeżeli ten zaraz po tém zdychał, było to niezawodnym znakiem téj klęski (2)."

„Środki ratunku od morowego powietrza były następujące: osady jedne od drugich oddzielano kordonem zdrowia, a do przekraczającego tę granicę zaraz strzelano. Po miastach zamykano zamtuzy (nierządne domy), łaźnie publiczne i szynki; po wsiach wszystkie karczmy. W miejsce napojów gorących pijano ziółka; gmin używał wywarzonego senesu z kwiatem burakowym i kminem, nadto warzył bzowe i kruszynowe skórki, a przecedziwszy popijał. Odmawianie pospołem modlitw po domach, uczę-

(1) W r. 1690 leżało na Rusi takiéj szarańczy na dwa łokcie wysoko, tak, iż niepodobna było jechać przez nią. *Janina*, str. Z 4.

(2) Umiastowski str. od 27 do 30, wydanie z r. 1591.

szczanie liczne do spowiedzi, odczytywanie dzieł medycznych były środkami duchowemi, używanemi dla odwrócenia téj klęski" (1).

Posiadając ogółowe wiadomości o morowém powietrzu w całym kraju, będziem mogli dokładniéj pojąć opis takowego w Warszawie.

Już od kilku lat z podziwem całéj Polski, straszna ta klęska nie istniała w stolicy, pomimo iż wszędzie w Koronie i Litwie grassowała, i pomimo, że po klęsce pod Cecorą 7 października 1620 r., oraz w skutek groźnéj wojny z Turcyą (1620—1622) wielka ilość różnych ludów schroniła się dla przestrachu do Warszawy, lub przez nią przechodziła w marszach wojennych. Wdzięczne miasto złożyło należne dzięki Najwyższemu, za tak oczywisty dowód łaski Jego; chcąc zaś przekazać potomności swoję cześć i uwielbienie, uczynionemi darami i piśmiennym dowodem uświęciło staropolską bogobojność w następującym dokumencie (2):

Anno Domini millesimo sexcentesimo vigesimo tertio, die Jovis quarta mensis Mai. Coram admodum reverendo domino Joanne Raciborski decano et officiali varsaviensi canonico pulthoviensi et actis praesentibus consistorii varsaviensis, comparentes personaliter Spectabiles Domini: D. Stanislaus Baryczka proconsul, Joannes Giza advocatus et Paulus Zembrzuski klucznik consul Antiquae civitatis Varsaviensis, suo et nomine totius consulatus ejusdem civitatis pro se et suis in eodem officio consulari successoribus, libere et publice recognoverunt: quod cum Majestas Divina ex singulari gratia et torrente misera-

Działo się roku Pańskiego 1623, dnia 4 maja we czwartek.

Przed przewielebnym Janem Raciborskim dziekanem i officyałem warszawskim, kanonikiem pułtuskim i niniejszemi aktami konsystorza warszawskiego, stawiwszy się osobiście prześwietni panowie: Stanisław Baryczka burmistrz, Jan Giza wójt, i Paweł Zembrzuski klucznik rajca, wszyscy miasta Staréj Warszawy, w imieniu swojém i całéj rady tegoż miasta dobrowolnie i jawnie za siebie i swoich następców w urzędzie radzieckim zeznali: że gdy Opatrzność Boska przez osobliwą łaskę i potokiem miłosierdzia Swego, całe miasto Warszawę

(1) Polska i Rus tom I, str. 103 i tom IV, str. 14.
(2) Znajduje się obecnie w dawnych aktach Warszawy.

tionis suae, universam civitatem varsaviensem omnesque incolas ejusdem, in frequentissimo populorum ad Curiam Sacrae Regiae Majestatis Domini Domini nostri Clementissimi commorantium, aliorumque commeantium et remeantium concursu, non sine maxima totius regni admiratione liberavit et protexit a contagione vehementis pestis ab annis aliquot per regnum Poloniae, potissimum vero in anno proxime praeterito millesimo sexcentesimo vigesimo secundo passim saevientis et in locis contiguis Warka, Praga aliisque villis et oppidis grassantis, ut nemo civium ea lue confectus fuerit, sed omnes divinae miserationis patrocinio protecti, salvi et citra infectionem aëris et corporum incolumes, non sine admiratione omnium permanserunt; proinde memores beneficiorum coelitus praestitorum et ut aeterne vicissim gratiarum actiones, Deo Optimo Maximo sine intermissione persolvantur, in vim perpetuae donationis, ducentos florenos polonicales summae principalis et lampadem ex puro argento altari et Altaristae Sacratissimi Corporis Christi, quod in Ciborio in eodem altari posito asservatur, ecclesiae Collegiatae S. Joannis Baptistae varsaviensi dederunt, donaverunt, fundave-

i wszystkich jéj mieszkańców, przy największym natłoku ludów, w rezydencyi J. K. M. P. N. M. przebywających i innych przechodzących lub powracających, z największém podziwieniem całego państwa, od zarazy srogiego powietrza, przez kilka lat w królestwie polskiém, szczególnie zaś w roku zeszłym 1622, bez różnicy srożącego się i grassującego, po miejscach przyległych w Warce, Pradze i innych wsiach i miasteczkach, uwolniła i ocaliła do tego stopnia, iż nietylko żaden z obywateli tym morem nie był dotknięty, ale nadto wszyscy zasłonieni tarczą miłosierdzia Boskiego, zdrowi bez zarażania powietrza i ciał, z powszechném podziwieniem nienaruszeni pozostali; z tych powodów, pamiętni dobrodziejstw z Niebios udzielonych, ażeby za to wieczne dziękczynienia, bezustannie Bogu Wszechmogącemu bez przerwy odbywały się, 200 złotych polskich jako kapitał, (1) tytułem wieczńój darowizny, oraz lampę z czystego srébra do ołtarza, i altaryście Najświętszego Sakramentu, jaki w cymboryum rzeczonego ołtarza przechowuje się, dla kościoła kollegiaty św. Jana Chrzciciela w Warszawie, na wieczne czasy dali, darowali, fundowali i zapisali w ten sposób, iżby kapitał

(1) Na dzisiejszą monetę około złp. 800.

runt et assignaverunt temporibus perpetuis ita, ut summa principalis penes spectabilem senatum Antiquae civitatis Varsaviensis remaneat, census vero annuos (ejusdem summae principalis ducentorum florenorum polonicalium) duodecem florenorum polonicalium, proconsul et consules pro tempore existentes, singulis annis pro festo Sancti Martini episcopi et confessoris reponere et solvere se et suos successores consules submiserunt et obligaverunt temporibus aeviternis sub poena excommunicationis. Deinde ut idem Altarista dicti altaris modernus et pro tempore existens, Sacrum missae Officium lectum de Sanctissima Trinitate, cum commemoratione pro beneficiis acceptis et oratione circa idem Officium in missali descripta videlicet: *Deus cujus misericordiae non est numerus* etc. circa praedictum altare, qualibet feria tertia septimanatim singulis annis celebret et adimpleat sub onere conscientiae suae tenea-tur et obligetur; petentes hanc donationem et fundationem admitti et roborari vique perpetuae firmitatis donari. Et Reverendus dominus Officialis eandem donationem admisit roburque perpetuae firmitatis habere

przy prześwietnym senacie Staréj Warszawy pozostał, do składania zaś i opłacania w terminie na św. Marcina biskupa i wyznawcę, procentów rocznych (z téjże summy złp. 200 pochodzące) wynoszących złp. 12, burmistrz i rajcy siebie i swoich następców w radzie, na wieczne czasy, pod karą exkommuniki zobowiązali i poddali (1). Następnie, ażeby altarysta wspomnionego ołtarza teraźniejszy i napotém będący, jednę mszą czytaną o Najświętszéj Trójcy, z wspomnieniem tych dobrodziejstw odebranych, i modlitwą w tymże mszale, oraz officyum jakie jest napisane w tych słowach: *Deus cujus misericordiae non est numerus*, przed rzeczonym ołtarzem odbywał i wykonywał, co wtorek każdego tygodnia przez wszystkie lata, pod odpowiedzialnością z sumienia swego ma być zobowiązany i zniewolony, upraszali; oraz, ażeby ta darowizna i uposażenie mogło być przyjęte, ukrzepione, i tytułem wiecznéj trwałości wzmocnione. Przewielebny zaś ks. officyał darowiznę tę przyjął, wieczną jéj moc nadał, swobodami kościelnemi obdarzył, oraz powyższą mszę czytaną do wykonywania w każdy wtorek co tydzień, każdo-

(1) Kapitał ten w r. 1641 znajdował się w ręku Łukasza Drewno, ówczesnego burmistrza miasta Staréj Warszawy.

decrevit, libertati ecclesiasticae adscripsit et Sacrum suprascriptum lectum, expediendum qualibet feria tertia cujuslibet septimanae singulis annis decrevit et ordinavit, ex eodem censu suprascripto duodecem florenorum polonicalium perpetuis temporibus; praesentibus tunc venerabilibus Jacobo Sierputowski mansionario collegiatae, parocho B. Mariae Virginis in Nova Civitate ecclesiae, et Gregorio a Sochaczow psalterista ecclesiae Collegiatae varsaviensis aliisque testibus ad praemissa ac me Simone Sawłowski, actorum consistorii varsaviensis notario (L. S.). Ex protocollo actorum consistorii varsaviensis sub sigillo Admodum Reverendi domini Joannis Raciborski decani et officialis varsaviensis suprascripti extractum. Simon Sawłowski actorum Consistorii varsaviensis notarius m. p.

rocznie, postanowił i rozporządził na wieczne czasy, z rzeczonego funduszu procentu 12 złotych; w przytomności naówczas wielebnych: Jakóba Sierputowskiego mansyonaryusza kollegiaty, proboszcza kościoła N. Maryi Panny w Nowéj Warszawie i Grzegorza z Sochaczewa psałterzysty kościoła kollegiaty warszawskiéj i wobec innych świadków powyższego, oraz mnie Szymona Sawłowskiego pisarza akt konsystorza warszawskiego. Wyjęto z protokułu akt konsystorza, pod pieczęcią przewielebnego dziekana i officyała warszawskiego wyżéj wspomnionego Jana Raciborskiego. (Podpisano) Szymon Sawłowski pisarz akt konsystorza warszawskiego ręką własną.

Wykryte przez nas wiadomości o téj klęsce w r. 1624 i 1625 panującéj, głównie czerpane są z regestrów Łukasza Drewno burmistrza na on czas powietrznego, a zarazem wójta Staréj Warszawy. Pozostawił on nam te szczegóły w dwóch osobnych woluminach (1), z których piérwszy w r. 1626 spisany, nosi tytuł następujący: „Regestr zmarłych *anni praeteriti* czasu burmistrzostwa mego w powietrze i distributi jałmużny oth J. K. M. i innych osób danéj d. 29 octobris 1624." Z dewizą: *„a peste, fame et bello libera nos domine* (2). Dzieło to przypisał w ten sposób: „Ich M. Panom, panu Hendrichowi Plumhoffowi: p. burmistrzowi Warszawy Staréj, z JJ. PP. Rajcy przy othdaniu powinnych chęci swych pracą regimentu swego ad ar-

(1) Znajdują się obadwa w oryginale w dawnych aktach miasta Warszawy. (2) Od powietrza, głodu i wojny, zachowaj nas Panie!

chivum podaje 1624, (podpisano) *Lucas Drewno vice Proconsul Antiquae Varsaviae m. p.*" Na początku tego woluminu jest nader ciekawy widok miejsca pod Warszawą, gdzie chowano zapowietrzonych (1). Przedstawia on ubocznie na pagórku burmistrza klęczącego i ofiarującego klucze Warszawy śmu Benonowi, będącemu w obłokach i modlącemu się *in pontificalibus* do Matki Boskiéj, tamże w wizerunku przedstawionéj. Następnie spostrzegamy w kolorach jeszcze dotąd bardzo widocznych, dobrze zachowanych, kopaczy przynoszących ciało zmarłego, przykryte całunem, potém okolicę Warszawy i dozór z straży rozciągnięty nad tém miejscem. Postawiona jest w głębi figura z godłem Zbawiciela, oraz żołnierz na czatach, który oddala wszelkie osoby nieroztropnie przekraczające kordon zdrowia oznaczony. Pomiędzy cmentarzem zapowietrzonych, a unoszącym się w obłokach śtym Benonem jest na małą skalę umieszczony widok Warszawy, otoczonéj murami, zdjęty ze strony bramy krakowskiéj. Pod całym widokiem napis następujący: *feci quod potui, potui quod Christe dedisti, improba fac melius si potes invidia* (2). Głównem zadaniem piszącego tę księgę było wyrachowanie się przed swoim zwierzchnikiem Henrykiem Plumhofem, z funduszów jemu powierzonych. W tym celu Łukasz Drewno zajął się przedewszystkiém spisem szczegółowym osób zmarłych w Warszawie na morowe powietrze, z wyrażeniem: wiele ginęło każdego dnia, jak się nazywały, ich stan i miejsce śmierci. Urzędnik ten miasta kończy regestr rzeczony podziękowaniem Bogu, w wierszach następujących:

Czynię Chryste dzięki Tobie,
Iżeś mię zachował sobie,
Tak z dobrego jako z złego,
Chwalilcie Boga swojego:

(1) Pomimo troskliwych poszukiwań nie mogliśmy wyśledzić, w któréj części dzisiejszéj Warszawy i jéj okolic z pewnością było to miejsce. Prawdopodobném jest, że koło gór, na których Zoliborz następnie był zbudowany, chowano katolików. Co do dyssydentów zaś wynalazłem dowód, iż za św. Trójcą, około zatém dawniejszego arsenału, w tém miejscu, gdzie następnie był rzeczywisty cmentarz a dziś szpital ewangielicki, chowano ich w czasie powietrza.

(2) „Zrobiłem co mogłem, mogłem to co Chryste udzieliłeś; bezczelna zazdrość zrób lepiéj, jeżeli potrafisz." Z tego napisu możemy sądzić o gorliwości, z jaką rzeczony burmistrz powietrzny starał się swemu powołaniu odpowiedzieć.

Bo co dobrze, z łaski Twojéj,
Co nie dobrze, z winy mojéj,
Gniewu Twego doznawamy,
Dlatego iż Cię gniewamy.
Na który często robiemy,
Przecie się nie polepszamy.
Polepszmyż żywota swego.
Znajdziem miłosierdzie Jego.
Wolajmyż o zmiłowanie,
Aza gniew Jego ustanie.
Zmiłuj się nad nami Boże!
Nikt nam tuszy nie pomoże,
Zmiłuj się Panie nad Pany!
I nad zeszłemi duszami.

Amen.

Ponieważ Zygmunt IIIci udzielił Łukaszowi Drewno zasiłek pieniężny dla zapowietrzonych i ich sierot, w ilości złotych pol. 5,600 (dziś około złp. 22,400), a nadto różni panowie złożyli także summę na ten cel w ilości złp. 614 gr. 25 ówczesnych; objął więc następnie tenże urzędnik miasta w rzeczonéj księdze wydatki szczegółowe z tychże funduszów, komu, na co, i w jakiéj ilości, najmniejsza kwota rozdaną została. W końcu są zamieszczone środki lekarskie chroniące od morowéj zarazy, z wyszczególnieniem recept, poczém następują wiérsze pod tytułem: *Dla melankoliej zabawa*, które na końcu są zamieszczone.

Drugi wolumen uważać należy za brulion piérwszego, gdyż główne spisy zmarłych i wydatków na zapowietrzonych są też same, a nawet rycina powyżéj opisana zupełnie podobna, z tą tylko odmianą, iż daleko mniéj dokładnie w niektórych częściach wykończona. Inne różnice jakie zachodzą między temi księgami są następujące: Na piérwszéj zaraz karcie w drugim egzemplarzu, widzimy inną dewizę skreśloną pomiędzy mnóstwem cugów kalligraficznie malowanych, w tych wyrazach:

Virtus ad ardua tendit (1).
Spes alit et fallit (2)
Ejus est nolle qui potest et velle (3).

Tytuł także zmienny opiewa: „*Anno Domini* 1624. *Regestr zmarłych miasta Staréj Warszawy w przymórek tak*

(1) Cnoty oznaką walczyć z trudnościami.
(2) Nadzieja żywi i zawodzi.
(3) Kto chce, ten może nie chcieć.

w murze, jak na przedmieściu Krakowskiem, na Długiéj ulicy, Freczie i Rybitwie, acuratissime a die 29 *Octobris ad* 28 *martii Anni* 1625 *spisany.*" Na drugiéj stronie tego tytułu następujące zdania czytamy: *Sive vivimus, sive morimur domini sumus* (1). *Mors ultima linea rerum* (2). Oraz wiersze:

W imię Twe Chryste zostawam,
Śmierci się nic nie obawiam,
W Tobie me wszystko pokładam ufanie,
Racz błogosławić Jezu Chryste Panie
Amen.

(podpisano) *Lucas Drewno.*
Vice gerens Antiquae Varsaviae mp.

Następuje rycina z podpisem wyżéj wspomnionym, i regestr szczegółowy zmarłych, zupełnie podobny do piérwszego tomu. Lubo na tytule wyrażono, iż spis tylko do d. 28 marca 1625 roku obejmuje pogrzebionych, jednak szczegóły okazują peryod téj klęski aż do włącznie 16 maja rzeczonego roku. W końcu znajdujemy następujące wiersze, których nie ma w 1 voluminie:

Dziękuję to mój Chryste Panie,
Iż tu dusza ma z żywemi zostanie,
Abym Cię chwalił póki dusza w ciele,
I służył Tobie zgoła na lat wiele.

Non enim mortui laudabunt te domine,
Neque omnes qui descendunt in infernum (3).

Nie znajdujemy w tym voluminie ani recept poniższych, ani wierszy; oprócz tego w wielu szczególach volumen piérwszy jest dokładniejszy i staranniéj wykonany od drugiego. Miarkując zaś po ofiarowaniu, jakie Łukasz Drewno napisał w voluminie piérwszym, przypisując go burmistrzowi Henrykowi Plumhoffowi i rajcom Staréj Warszawy: z pewnością wnioskować możemy, iż wykonał go i przygotował w zamiarze drukowania, co jednakże nie nastąpiło.

Epoka którą kreślimy, była z najkrwawszych i najdogliwszych dla Warszawy; trzy bowiem największe klęski dotykające ludzi nawiedziły stolicę, jakoto: pożar, powietrze i głód. Co do ognia, nie posiadamy innych wiadomości, jak tylko z voluminu

(1) Czyli żyjemy czyli umieramy, należymy do Boga.
(2) Śmierć jest ostateczną granicą wszystkiego.
(3) Nie wszyscy bowiem zmarli, ani ci, którzy się przenoszą do wieczności, chwalić Cię będą Panie.

piérwszego opisanego wyżéj, z którego przekonywamy się, iż pożar był tak wielki, że Zygmunt IIIci klęską nieszczęśliwych familij poruszony, złożył na ręce rzeczonego burmistrza powietrznego złp. 500 ówczesnych (dziś około złp. 2,000), dla rozdania pomiędzy najbardziéj potrzebujących (1). Burmistrz rzeczony dopełniając woli króla, rozdał takowe pomiędzy 20 rodzin, udzielając w stosunku następującym:

2 rodzinom po złp. 50.....100.
1 rodzinie... złp. 40.....40.
4 rodzinom po złp. 30.....120.
12 „ „ złp. 20.....240.

Razem jak wyżéj złp. 500.

Mówiąc o powietrzu jako głównym przedmiocie naszych podań, winniśmy przedewszystkiém historyczną jego część objawić. O ile z urzędowych regestrów przekonaliśmy się, mor grassujący w Warszawie w latach 1624 i 1625, powstał pierwotnie w krajach na południe graniczących z Polską. Uniesiony przez zetknięcie się osób w skutek przechodów wojennych, dostał się następnie w stronę południową Polski, a nakoniec do Warszawy. Powstanie jego głównie przypisują znacznéj ilości trupów, nie pogrzebanych po wielkich bitwach. Wiele mamy dowodów przekonywających, iż ciała poległych na polach cecorskich, ciała rodaków z całéj armii Żołkiewskiego, którzy śmierć chwalebną znaleźli na obcéj ziemi, w różnych miejscach Multan i Bukowiny, pozbawione ostatniéj posługi przez ówczesnych barbarzyńców tureckich, dały początek téj klęsce. Jeżeli dodamy do tego stratę Turków w wyprawie pod Osmanem w 1622 r. w ludziach 60,000, w wielbłądach 100,000, koni niezliczone mnóstwo (2), a stratę naszych do 20,000; wreszcie dodawszy ilość poległych z dwóch lat ciągłych utarczek, otrzymamy razem zastraszającą liczbę 400,000 trupów niepogrzebanych, co łatwo mogło było być początkiem morowéj zarazy.

(1) Nie piérwszyto pożar okropny w Warszawie w czasie panowania Zygmunta III; wiadomo bowiem z dziejów, że w roku 1607 około końca czerwca, wkrótce po sejmie w stolicy odbytym, wielki ogień w nocy wynikły pomiędzy budami na Starém Mieście, zniszczył w samym tylko rynku 22 domy, nie licząc kamienic i posiadłości po ulicach przyległych.

(2) Pamiętniki Radziwiłła. Athenaeum, szereg nowy, oddział II, tom IV, strona 24 i 29.

Zaledwie nieszczęsna wiadomość o téj klęsce przybyła do Warszawy, ówczesna władza (1) wysłała przez kursorów (2) 15 listów w stronę południową kraju, aby o zbliżającym się morze ku miastu mieć pewną wiadomość. Po potwierdzeniu jéj, król natychmiast postanowił ukończać wał koło miasta, jaki poprzednio po klęsce pod Cecorą zaczął być robiony (3). Przeko-

(1) Był natenczas burmistrzem Staréj Warszawy Jan Korb, a wójtem Łukasz Drewno następnie burmistrz powietrzny.

(2) Kursorowie bylito posłannicy, którzy bądź pieszo, bądź konno zastępowali instytucyą poczty, wówczas jeszcze w naszym kraju nieznanéj.

(3) Listy w tym przedmiocie pisane przez króla do magistratu Staréj Warszawy znajdują się w *Starożytnościach warszawskich* T. I, str. 251. Z rachunków zaś społczesnych urzędowych przekonywamy się, że w skutek téj klęski, władza miasta trzema środkami zaczęła przysposabiać obronę rezydencyi królewskiéj: 1^od^ przez okopanie Warszawy wałem uzbrojonym; 2^re^ przez pomnażanie amunicyi, prochu, kul, oraz dział do obrony; 3^cie^ przez zaciąganie uzbrojonéj piechoty. Co do 1^so^, wał rzeczony rozpoczęto kopać dnia 13 sierpnia 1621 r. i prowadzono pracę aż do 16 grudnia t. r. za pomocą szarwarku. Dla pilnowania wszelkich narzędzi roboczych, bądź żelaznych, bądź drewnianych, urządzoną była straż, do zmiany któréj wystawiono przy wale dom w rodzaju kordegardy. Dla dzielniejszéj obrony, urządzono koło wałów od strony miasta długie ławy, na których żołnierze siedząc lub stojąc, mogli byli strzelać zasłonieni będąc okopem. Najwięcéj robotników przy téj fortyfikacyi pracujących było Niemców, prawdopodobnie Holendrów, którzy w kilka lat następnie, 1624 r., już się sadowili na dzisiejszéj Saskiéj kępie. Wszystkie narzędzia do kopania i roboty wału, zakupywano we wsi naówczas Pradze. Zaraz po skończeniu pewnéj części okopu, zataczano na nim działa, jak równie i przy bramach miasta. Co do 2^so^. Dla przyrządzania hakownic, robiono koła i narzędzia potrzebne z dębiny. Do wyrabiania luf i kul, miasto zakupywało żelazo wozami na jarmarku; dwa te ostatnie wyroby strzelnicze, sporządzali wówczas w Warszawie kowale. Z rachunków urzędowych wypisujemy, że wyrobiono wówczas kul 993, co kosztowało złp. 12 gr. 21, dziś około złp. 50. Co do 3^so^. Aby posiadać jakąkolwiek straż miejską, magistrat przyjął 18 pachołków z dwoma dziesiętnikami. Ci ostatni brali żołdu złp. 1 gr. 15 na dni 10, a żołnierze zwani *pachołkami* na takiż czas złp. 1: czyli dziesiętnicy brali dziennie po 4 i ½ grosza, dziś około 18 groszy, a żołnierze po 3 grosze ówczesne, dziś około 12 groszy. Milicya ta ubraną była w kerezye z sukna modrego i białego, obszywane sznurkami i zapinane na haftki, uzbrojoną zaś była szablami, muszkietami, kluciami (pikami), opatrzona ładownicami, dardami (oszczepami). Za muszkiet jeden płacono 5 lub 7½ złotych ówczesnych. Całe uzbrojenie i utrzymanie téj milicyi kosztowało w ogóle złp. 759 gr. 7 ówczesnych, dziś około złp. 3,100. Z powodu ustąpionéj bojaźni o dalszy napad Polski przez Turków, magistrat Staréj Warszawy już dnia 24 listopada 1621 r. zmniejszył wspomnioną milicyą do liczby 8 pachołków, bez żadnych dziesiętników.

nywamy się z rachunków ówczesnych, że wał ten szedł w takim kierunku, w jakim go widzimy na planie Warszawy z r. 1667, w dziele naszém „*Starożytności Warszawy*" przedstawionym (Tom I str. 254) (1). Dla jego ukończenia musiano zająć zabudowania i budynki Nowéj Warszawy. W tym celu uczynioną została rewizya gruntów Nowomiejskich, pod kierunkiem Wiciołowskiego marszałka W. ks. Litewskiego, po któréj przyznano 19 właścicielom summę złp. 1,140 (dziś około 4,560 złp.) podług następującego rozkładu (2):

1. Krukowa słodownica w pół wałem zniesiona ma się znieść. Dano..... flor. 60
2. Czarnoczanka wdowa ma się przenieść na *babiznę* pod Dominikany. Dano..... flor. 90
3. Marcin Szwedo ma się przenieść na plac *czudzikowski*; dano mu na przeniesienie... flor. 100
4. Plac *golanczyński* na którym widerkaufu f. 40, lecz trzeba sukcessory kontentować.....
5. Plac *bukatowski*, *patres Societatis* i z drugim podle niego zapłacili i budynek zebrali na dwa place.....
6. Dom Nyrczyny przenieść na plac; od urzędu naznaczono..... flor. 60
7. Jan Chorążyk od urzędu nowomiejskiego ma mieć plac; na przeniesienie dano mu.... flor. 60
8. Sowa szewc ma plac; od urzędu naznaczono..... flor. 60
9. Stanisław Milnicki na *kiełbasińskiem* od dwóch domów, których urząd naznacza.... flor. 40
10. Stan. Trojanowicz na przeniesienie flor. 80
11. Ogród Dymitrowski przez budowania kontentacyi..... flor. 60

do przeniesienia flor. 610

(1) Szczątki ostatnie tych wałów zostały w części zniesione, dopiéro przed kilką laty w possessyi nr. 471, własnością niegdyś referendarza stanu Danielskiego będącéj; reszta tych wałów jeszcze się przedstawia w ogrodzie sąsiednim.

(2) Dlatego zamieszczamy tak szczegółowo dosłownie z rachunków ten zabór, iż przedstawia nam pierwsze i najdawniejsze wzięcie gruntów na użytek publiczny w Warszawie, oraz położenie dawnych posiadłości.

z przeniesienia flor. 610

12. Bachracki ma się przenieść na grunt miejski, ma czynsz dawać jako dawał; na przenoszenie ..... flor. 60

13. Szewc Postawa ma się przenieść na plac *słubski*; na przeniesienie ..... flor. 80

14. Dawno plac pusty .....

15. Janowi Czarnocie urząd ma dać plac; na przenoszenie dano ..... flor. 70

16. Adamowi Roskowi urząd ma dać plac; na przeniesienie dano ..... flor. 60

17. Stanisławowi Kulimosce urząd da plac; na przenosiny ..... flor. 60

18. Michał Magierosz ma się z rynku przenieść na *kurzentowskie*; dano ..... flor. 120

19. Stefanowi krawcowi urząd da plac: na przenosiny ..... flor. 80

20. Octobra od extraktu z ksiąg miejskich, dano ..... flor. 2

Summa flor. 1,142.

Pod tymże samym rokiem 1624, rachunki Staréj Warszawy obejmują następujące wydatki na sypanię okopu:

1. Dałem (1) poprawić 58 taczek starych; dałem od nich Niemcom ..... złp. 8 gr. 24

2. Od wożenia taczek ..... złp. — gr. 8

3. Za żelazo na blachę do taczek .... złp. 1 gr. 15

4. Za gwoździe ..... złp. — gr. 16

5. Jedénaście tarcic do tychże taczek po gr. 8 ..... złp. 2 gr. 28

6. Za 3 cebry i gwoździe znowu .... złp. 1 gr. 16

7. Szczesnemu za łopaty do wału ... złp. 3 gr. 24

8. Od noszenia beczek, cebrów do wału złp. — gr. 6

9. Janowi Psocie za dwa dyle ..... złp. 2 gr. —

10. Kazałem we Gdańsku na urząd zrobić dwie kary do wywożenia błota, kosztują ... złp. 23 gr. 10

do przeniesienia złp. 44 gr. 27

(1) Tak pisze ówczesny podskarbi miasta.

z przeniesienia złp.	44	gr.	27
11. 25 taczek w Gdańsku po groszy 35, złp.	29	gr.	5
12. Za komiegę (1) p. Alexandrowi Gizy dał p. Szlichting. . . . . złp.	80	gr.	—
13. Od wyciągania komiegi. . . . . złp.	5	gr.	—
14. Za 16 cebrów po gr. 8. . . . . złp.	4	gr.	8
15. Za nalewki (2). . . . . złp.	—	gr.	16
16. Od zasypania wału za Jeleniowym folwarkiem. . . . . złp.	4	gr.	12
Razem złp.	168	gr.	8.

Wał ten robiono z ziemi i chrustu, chrust zaś brano z kępy miejskiéj soleckiéj dziś *Saską* zwanéj (3); aby zaś dostawę tego ułatwić, ławnicy Staréj Warszawy udali się tamże, dla poczynienia stosownych rozporządzeń; w czasie téj delegacyi wypito trzy garnce wina. Uskutecznione okolenie Warszawy wymagało utworzenia pewnych miejsc, któremiby wejście do miasta zabezpieczono; ztąd powstały pewnego rodzaju rogatki *szlakami* wówczas zwane, których było trzy: 1e koło św. Krzyża, 2ie koło św. Trójcy (4) i 3cie u starosty warszawskiego (?) Oprócz ogółowego wału koło całego miasta, grodzono także wewnątrz niektóre pojedyncze ulice, a to za pomocą palów olszowych, dostarczanych z kępy miejskiéj (saskiéj). Wybór ulic mających się zapalować, zależał od kierunku powietrza, przy jakich więcéj grassowało.

(1) Rodzaj statku wodnego; zapewne na nim kary i taczki sprowadzano z Gdańska.

(2) Mylne mniemanie, jakoby ulica Nalewki w Warszawie została nazwaną od Nalewajki (który został pojmany pod Łubnianami przez Żołkiewskiego, odesłany następnie do Warszawy i tamże stracony) zostało w części tylko sprostowane przez śp. Lisowskiego w *Album Literackiém*, wydania Kazimierza Wojcickiego (tom II, str. 61). Początek bowiem nazwania cystern czyli źródeł, które zwano w r. 1617 *krynicami*, *zdrojami*, a późniéj dopiéro *nalewkami*, był pierwotny od naczynia zwanego *nalewką*, którém przelewano wodę z cystern do rur połączonych z sobą. Nalewki takie zwano w r. 1605 *samowarami*, a za jednę płacono w r. 1609 jeden grosz, w r. 1612 sześć groszy. Były one spojone kilkoma obręczami, i robione przez bednarzy.

(3) Wiadomość bliższą o powodach zaczęcia sypania tego wału w r. 1621 wyczytujemy w Pamiętnikach Albrychta Radziwiłła, zamieszczonych w Athenaeum rok 1848 T. IV, str. 26. (4) Dziś fabryka broni pod nr. 561.

Same te poprzednie zabezpieczenia od moru zbliżającego się, wymagały utworzenia pewnéj władzy, jużto mającéj wykonywać wyższe rozkazy, już téż bezpośrednio mającéj czuwać nad wszystkiemi szczegółami osób dotkniętych morową zarazą. W tym celu ustanowiono *burmistrza powietrznego*, którym został tylokrotnie już przez nas wspominany Łukasz Drewno wójt naówczas warszawski. Miał on sobie dodaną pomoc w osobach: Jana Piegłowskiego pisarza radzieckiego, Jakóba Szlichtynga rajcy i podskarbiego miasta, Jana Czorna osobnego szafarza, oddzielnego księdza do posług religijnych płatnego przez miasto, osobnego kucharza i t. p. Dla urządzenia służby wykonawczéj byli ustanowieni strażnicy, którzy nadzór mieli nad kopaczami i tragarzami, po największéj części ze sług ówczesnych miasta wybiéranemi. Służba ta wynagradzaną była oddzielnie prócz zwykłych pensyj, a to dla obudzenia w nich tém większéj pilności w pracach i trudach, wśród powszechnéj klęski miasta pomnożonych. Oprócz burmistrza powietrznego w Staréj Warszawie, był ustanowiony podobny urzędnik i w Nowéj Warszawie, który także miał sobie do pomocy dodaną straż.

Morowe powietrze zaczęło grassować w stolicy z początkiem października 1624. r. Do smutnych ofiar téj klęski, jakie ją w tém mieście rozpoczęły, należała właśnie zamężna córka spomnionego Łukasza Drewno, jéj mąż i troje wnucząt tego urzędnika, zgoła większa część całéj jego rodziny. Okropny cios jaki go dotknął, nie wprawił go jednak w dziką lub odrętwiałą rozpacz; owszem klęska ta, przy całém poświęceniu się wyrokom Niebios, obudziła w tym urzędniku wielką moc duszy charakteru staropolskiego, która podwoiwszy w nim gorliwość służenia swoim spółziomkom, może tysiące ofiar wydarła zabójczemu powietrzu. Dla wykazania statystycznego szerzenia się téj klęski, załączamy podług dat liczbę osób zmarłych w Staréj Warszawie:

do włącznie d. 29 październ. 1624 r.										
						osób	158			
dnia 30 październ. 1624 r.						osób	21			
						Razem osób	179			
dnia	2	listopada		1624 r.		osób	14			
„	3	„		„	„	„	21			
„	4	„		„	„	„	4			
„	5	„		„	„	„	22			
„	6	„		„	„	„	12			
			do przeniesienia			osób	73			

						z przeniesienia		osób		73
dnia	7	listopada		1624 r.		osób		14		
„	8	„		„	„	„		5		
„	9	„		„	„	„		14		
„	10	„		„	„	„		4		
„	11	„		„	„	„		6		
„	12	„		„	„	„		19		
„	13	„		„	„	„		10		
„	14	„		„	„	„		14		
„	15	„		„	„	„		13		
			do przeniesienia			osób		172		

	z przeniesienia		osób	172
dnia	16	listopada	1624 r.	osób	13
„	17	„	„	„	19
„	18	„	„	„	13
„	19	„	„	„	10
„	20	„	„	„	18
„	21	„	„	„	15
„	22	„	„	„	7
„	23	„	„	„	12
„	24	„	„	„	17
„	25	„	„	„	14
„	26	„	„	„	19
„	27	„	„	„	11
„	28	„	„	„	10
„	29	„	„	„	16
„	30	„	„	„	11
			Razem	osób	377
dnia	1	grudnia	1624 r.	osób	7
„	2	„	„	„	10
„	3	„	„	„	10
„	4	„	„	„	14
„	5	„	„	„	7
„	6	„	„	„	13
„	7	„	„	„	18
„	8	„	„	„	20
„	9	„	„	„	12
„	10	„	„	„	11
„	11	„	„	„	6
„	12	„	„	„	11
„	13	„	„	„	10
„	14	„	„	„	13
„	15	„	„	„	8
„	16	„	„	„	10
„	17	„	„	„	13
„	18	„	„	„	6
„	19	„	„	„	10
„	20	„	„	„	16
„	21	„	„	„	4
„	22	„	„	„	14
„	23	„	„	„	8
„	24	„	„	„	6
„	25	„	„	„	6
„	26	„	„	„	9
„	27	„	„	„	9
„	30	„	„	„	22
„	31	„	„	„	18
			Razem	osób	321

dnia	2	stycznia	1625 r.	osób	9
„	3	„	„	„	6
„	4	„	„	„	19
„	5	„	„	„	8
„	6	„	„	„	19
„	7	„	„	„	1
„	8	„	„	„	11
„	9	„	„	„	7
„	10	„	„	„	9
„	11	„	„	„	9
„	12	„	„	„	2
„	13	„	„	„	8
„	14	„	„	„	3
„	15	„	„	„	10
„	16	„	„	„	3
„	17	„	„	„	3
„	18	„	„	„	4
„	19	„	„	„	4
„	20	„	„	„	5
„	21	„	„	„	3
„	22	„	„	„	1
„	23	„	„	„	14
„	24	„	„	„	4
„	25	„	„	„	6
„	26	„	„	„	6
„	27	„	„	„	9
„	28	„	„	„	6
„	29	„	„	„	6
„	30	„	„	„	4
„	31	„	„	„	6
			Razem	osób	205
dnia	1	lutego	1625 r.	osób	4
„	2	„	„	„	2
„	3	„	„	„	4
„	4	„	„	„	5
„	5	„	„	„	5
„	6	„	„	„	2
„	7	„	„	„	1
„	8	„	„	„	3
„	9	„	„	„	1
„	10	„	„	„	3
„	11	„	„	„	2
„	12	„	„	„	2
„	13	„	„	„	3
„	14	„	„	„	1
„	15	„	„	„	1
„	16	„	„	„	3
			do przeniesienia	osób	42

	z przeniesienia	osób	42	
dnia 17	lutego 1625 r.	osób	2	
„ 18	„ „	„	2	
„ 19	„ „	„	2	
„ 20	„ „	„	14	
„ 21	„ „	„	2	
„ 22	„ „	„	2	
„ 23	„ „	„	2	
„ 24	„ „	„	4	
„ 25	„ „	„	3	
„ 26	„ „	„	4	
„ 27	„ „	„	4	
„ 28	„ „	„	7	
„ 29 (*)	„ „	„	0	
	Razem	osób	96.	
dnia 1	marca 1625 r.	osób	5	
„ 2	„ „	„	4	
„ 3	„ „	„	3	
„ 4	„ „	„	3	
„ 5	„ „	„	1	
„ 6	„ „	„	4	
„ 7	„ „	„	3	
„ 8	„ „	„	2	
„ 9	„ „	„	5	
„ 10	„ „	„	3	
„ 11	„ „	„	2	
„ 12	„ „	„	2	
„ 13	„ „	„	2	
„ 14	„ „	„	3	
„ 15	„ „	„	1	
„ 16	„ „	„	4	
„ 17	„ „	„	3	
„ 18	„ „	„	3	
„ 19	„ „	„	5	
„ 20	„ „	„	5	
„ 21	„ „	„	3	
„ 22	„ „	„	2	
„ 23	„ „	„	1	
„ 24	„ „	„	5	
„ 25	„ „	„	4	
„ 26	„ „	„	5	
„ 27	„ „	„	3	
„ 28	„ „	„	6	
„ 29	„ „	„	7	
„ 30	„ „	„	3	
„ 31	„ „	„	3	
	Razem	osób	105.	

(*) Rok 1625 nie był przybyszowy.

dnia 1	kwietnia 1625 r.	osób	1	
„ 2	„ „	„	3	
„ 3	„ „	„	4	
„ 4	„ „	„	6	
„ 5	„ „	„	7	
„ 6	„ „	„	3	
„ 7	„ „	„	3	
„ 8	„ „	„	4	
„ 9	„ „	„	2	
„ 10	„ „	„	3	
„ 11	„ „	„	5	
„ 12	„ „	„	4	
„ 13	„ „	„	6	
„ 14	„ „	„	4	
„ 15	„ „	„	1	
„ 16	„ „	„	3	
„ 17	„ „	„	1	
„ 18	„ „	„	14	
„ 19	„ „	„	5	
„ 20	„ „	„	12	
„ 21	„ „	„	9	
„ 22	„ „	„	8	
„ 23	„ „	„	6	
„ 24	„ „	„	12	
„ 25	„ „	„	9	
„ 26	„ „	„	10	
„ 27	„ „	„	10	
„ 28	„ „	„	6	
„ 29	„ „	„	9	
„ 30	„ „	„	12	
	Razem	osób	182.	
dnia 1	maja 1625 r.	osób	12	
„ 2	„ „	„	10	
„ 3	„ „	„	10	
„ 4	„ „	„	9	
„ 5	„ „	„	16	
„ 6	„ „	„	11	
„ 7	„ „	„	9	
„ 8	„ „	„	10	
„ 9	„ „	„	9	
„ 10	„ „	„	10	
„ 11	„ „	„	8	
„ 12	„ „	„	5	
„ 13	„ „	„	18	
„ 14	„ „	„	8	
„ 15	„ „	„	8	
„ 16	„ „	„	7	
	Razem	osób	160.	

Zebranie.

W październiku	1624 r.	osób	179
„ listopadzie	„	„	377
„ grudniu	„	„	321
„ styczniu	1625 r.	„	205
„ lutym	„	„	96
„ marcu	„	„	105
do przeniesienia		osób	1283.

z przeniesienia	osób	1283
W kwietniu 1625 r. . . .	osób	182
„ ½ maja „	„	160
Razem	osób	1625.
Potajemnie schowanych	osób	350
Z okolicznych folwarków ubogich	osób	400
Łącznie	osób	2375.

Z téj tabelli przekonywamy się statystycznie, że morowe powietrze najmocniéj grassowało w miesiącu listopadzie i maju, tojest na początku i przy końcu, najmniéj zaś porywało ofiar w miesiącu lutym, co przypisać może należy panującym przymrozkom (1). W każdym razie zastanowienia godną jest rzeczą, iż w ogóle, w czasie pory zimnéj i mroźnéj całe to powietrze grassowało w Warszawie, kiedy wówczas przyjętą było zasadą, że zimno wstrzymuje mor i zarazę. Badając powody zjawienia się téj klęski w stolicy, a nadto porównywając stan ówczesny miasta z jego wewnętrznem urządzeniem, za główne przyczyny powstania tego powietrza w tym grodzie można naznaczyć: wilgoć, nieochędóstwo wielkie miasta i brak nadzoru nad czystością miejsc publicznych. Ulice niebrukowane, wązkiéj szerokości, zupełnie zaniedbane oczyszczanie miasta przez władzę ówczesną, i pozostawienie go tylko własnéj pilności osób prywatnych: oto przyczyny dalszego szerzenia się moru, oto powody długiego jego trwania. Biorąc porównanie liczby zmarłych osób z ogólną ludnością miasta, przypuszczać należy, iż blizko 20ta część mieszkańców stała się ofiarą téj klęski. Porównywając zaś ilość dni trwania moru z ilością zmarłych, wypada, iż dziennie przeszło 12 osób ginęło wówczas z powietrza. Pozostawił nam jeszcze Łukasz Drewno wiadomość, że jednocześnie w Gdańsku w téj epoce padło ofiar 10,454, zatém blizko 5 razy więcéj jak w Starój Warszawie. Uważając wreszcie osoby co do wieku, płci i stanu, powietrze nie oszczędzało żadnego. Tak niemowlę jako i zgrzybiały starzec, tak niewiasty jako i mężczyzni, tak ubogi wyrobnik z pracy rąk żyjący,

(1) Spółczesne kroniki podają nam, iż zima ówczesna była nadzwyczaj łagodna.

jako i wielcy panowie opływający w zbytkach, stawali się pastwą téj klęski.

Mając ogółowe pojęcie o powietrzu i o służbie, przejdźmy do szczegółów. Wyżéj postanowiona władza do czuwania nad morowém powietrzem, zajęła się przedewszystkiém środkami, oddalania od miasta tak zapadłych na tę chorobę, jak równie i ciał zmarłych. W tym celu dla piérwszych wybudowano na kępie Polkowskiéj na Wiśle, nad brzegiem saméj rzeki, domki stosowne do zamieszkania i przebywania. Czynność tę miał sobie poruczoną Jan Horlemus szafarz miejski, któréj dopełnił z największym pośpiechem; jak się z tego przekonywamy, iż siedm domków na kępie rzeczonéj w jednym dniu wystawiono. (1) Dla zmarłych oznaczono osobne miejsce w polu, otoczone strażą, celem oddalania zbliżających się do niego, i uzbrojone szubienicą w razie ukarania lekkomyślnych. Znaczną ilość dołów wcześnie przygotowano, oraz jeden ogólny do chowania ciał. Głównym zamiarem władzy, postanowionéj do ratunku od powietrza było, niedopuszczanie zetknięcia się tak zmarłych, jako i osób chorobą zaraźliwą dotkniętych, ze zdrowemi mieszkańcami miasta. W tym celu, władza nadzorcza zajęła się najprzód wypędzaniem niechlujnéj ludności, zwłaszcza przybywających z okolic wszelkich żebraków; do czego ustanowiono stosowną służbę *wyganiaczy*. Dla uniknienia zaś nadużyć, mogących przy tém łatwo powstać, ubrano ich w suknie modre i czerwone, z krzyżem wielkim czarnym na piersiach i przepasaniem, jak kopacze na rycinie przez nas na początku spomnianéj są wystawieni.

Urządzono następnie osobne kuchnie przy domkach, gdzie cała żywność przez oddzielnego na to kucharza, była dla cierpiących gotowaną. W ogóle spomniona służba tak była skierowaną, iż wszelkie zespolenie zdrowych z choremi, utrzymywali tylko spomnieni kopacze, którzy zarazem byli tragarzami. Słudzy ci, widocznie odróżnieni ubiorem od innych mieszkańców, mieli oso-

(1) Nie piérwszyto raz kępa Polkowska służyła za schronienie mieszkańcom stolicy od powietrza; wyczytujemy w rachunkach Staréj Warszawy, że gdy w r. 1605 powietrze zaczęło grassować na Rybitwie, zmarłych na powietrze topiono w Wiśle, zaś chorujących na nie przeciągano na kępę za pomocą liny i czółna. Miasto pielęgnowało chorych na téj kępie, za pośrednictwem cechu rybackiego, i 8 osób żywiło, pomiędzy niemi niejaką Mikołajową Cieślinę. Czytaj: *Opis historyczny trzech kęp na Wiśle pod Warszawą*, str. 5.

bny domek w polu, gdzie chowano zapowietrzonych, i osobne nosidła z całunem przyozdobionym znakiem Zbawiciela, którym przykrywali ciała do pochowania w grobach. Tragarze ci roznosili także lekarstwa, bądźto dla zapadłych na tę chorobę, bądź też do oczyszczenia służące. Odświeżano powietrze za pomocą palonego prochu, ciała zaś zapowietrzonych posypywano ługiem. Z rachunków ówczesnych przekonywamy się, iż prochu wyszło funtów 552, płacono zaś po gr. 22 1/2 ówczesnych za funt. Z tych rozporządzeń poznajemy, iż służba kopaczy czyli tragarzy była najważniejszą, dlatego do dozorowania ich urządzono osobną straż, która także otaczała miejsca, gdzie zostawali zapadli na tę chorobę, lub też gdzie chowano trupów. Straż ta czuwała także nad wewnętrznem bezpieczeństwem mieszkańców i przestrzegała, aby nie wydobywano ciał, bądźto dla rabunku, bądź też dla przenoszenia na cmentarze przy kościołach. Obaczymy poniżéj, ile zbawienne było to rozciągnienie kontroli, zwłaszcza nad kopaczami. Ponieważ korzystanie z cudzego nieszczęścia nie mogło być wykorzenioném, nawet w tak okropnéj klęsce, a znaleźli się tacy przekraczający, którzy rabowali lub też lekkomyślnie nie wypełniali rozkazów władzy; zwierzchność przeto ówczesna postanowiła chłostą i śmiercią winowajców karać. Liczne musiały być egzekucye takich wyroków, kiedy z różnych miast musiano wówczas zawezwać do Warszawy znaczną ilość mistrzów czyli wykonywaczów sprawiedliwości. Co do wewnętrznego stanu zdrowia, w samém mieście następujące rozporządzenia władza przełożona poczyniła. Wszelkie rozkazy wydawano przy odgłosie trąb, domy zapowietrzone zabijano skublami, ulice całkiem zarażone zawarowano palisadami, bramy miasta zamknięto i straż przy nich pod nazwaniem *drążników* postawiono. Zajęto się następnie utrzymywaniem szczególnéj czystości wewnątrz miasta. W tym celu, wszystkie wieże, sklepy, ulice błotne i domy mieszkalne, rozmaitemi środkami oczyszczano. Do téj czynności w braku ludzi, dla zbierania błota z ulic, użyto po raz piérwszy więźniów w kajdanach zwanych *kajdanikami*, którym płacono za to po 3 lub 4 grosze ówczesne dziennie. Pod względem sposobów medyczno-administracyjnych, władza rozsyłała dla zapowietrzonych lekarstwa według poniższych recept, pomiędzy zaś środkami leczącemi używano także olbrotu *v.* wolbrotu; następnie przysposabiano i posyłano te medykamenta w znacznéj bardzo ilości, dla unikania częstych kommunikacyj z zapowietrzonemi; wreszcie należy-

tość za dostawione lekarstwa, składano na ręce kopaczy albo tragarzy. Miejsca do których nawet zbliżanie się było zakazane, oznaczono także krzyżami pomalowanemi czarną farbą. Podobnież dla zbiérania jałmużny wyznaczone osoby, posiadały także na czarno pomalowane puszki. Pod względem chowania ciał zapowietrzonych, przykrywano ogólne doły dylami, a potém ziemią. Ostrożność tę zachowano z dwojakich powodów: raz, iż zgłodniałe zwierzęta a szczególnie psy odkopywały doły i pożerały ciała; powtóre, dla uniknienia wyziewów szkodliwych, bo massę wielką ofiar kładziono w jeden grób. Pomimo tak dzielnych i sprężystych środków, powietrze stosunkowo rozszerzało się po Warszawie i w okolicach w następującym porządku: na Rybitwie (dziś ulica Rybaki) za kościołem Panny Maryi, przyulicach: Dziekańskiéj (dziś Trębackiéj), Mostowéj, na Dunaju, na Frecie (ulica Freta), na Krzywém Kole, w szpitalu św. Łazarza, na Długiéj ulicy, koło kościoła św. Trójcy, przy ulicach Miodowéj, Piwnéj, za wieżą okrągłą (?), za Kozią ulicą, w kaplicy ubogich pod wałem (dzisiaj Podwal), przed szkołą farską, na Senatorskiéj ulicy, koło św. Krzyża, w samym dworze królewskim, na dworze królewnéj, w stajniach zamku warszawskiego, w kozie nad Wisłą, koło kościoła św. Jerzego, w kuczy przedmiejskiéj (1), pod obozem (2), za bosakami pod wałem? w wieży kościoła ś. Jana, u orfanów, w giełdzie? za mennicą (3), u Sokołkowni przed bramą miejską, u nalewek (cystern), na kępie zamkowéj (4), podle i za zupą (solną), podle św. Ducha, za wałem św. Trójcy, w szpitalu św. Trójcy, w klasztorze św. Jerzego, w pustkach za mennicą, na wieży ratusznéj u surmacza (trąbacza), i u kks. Jezuitów. Pomiędzy budowlami prywatnemi, w których powietrze najwięcéj grassowało,

(1) Kucza albo kuczka oznaczała budkę, jakich znaczna liczba wówczas w mieście była. Ubóstwo mieszkańców nie dozwoliło większych stawiać domów.

(2) Zdaje się, iż tu jest mowa o obozie, jaki pod Warszawą był założony w roku 1607, kiedy Zygmunt III z Jezuitami chcąc działać przeciw rokoszanom i przeprowadzić obrady sejmowe dla dopięcia swoich zamiarów, sprowadził znaczną ilość kwarcianych i różne hufce panów możnych, które wynosiły około 12,000 żołnierzy i 12 dział.

(3) Mennica pierwsza w Warszawie była tam, gdzie następnie był pałac Kazanowskich, dziś w połowie posiadany przez JW. radcę stanu Simeona Werner pod nr. 369.

(4) Jest tu mowa o kępie Polkowskiéj, która nie miała stałego nazwania.

w spisach znajdujemy: domki Fukierowskie, domki Ormian tak zwane *Duchnowskie* na Długiéj ulicy (1) i dwory magnatów polskich następujących: Młodzianowskiego, Nowodworskiego wojewody rawskiego (2) nad Wisłą, podkanclerzego W. K. Litewskiego (3), starosty warszawskiego na Krakowskiém-Przedmieściu, Wojsławskiego, Nowomiejskiego, księcia Radziwiłła, starosty sandomierskiego, wojewody mazowieckiego (4), starosty zakroczymskiego, wojewody bełzkiego (5), wojewody krakowskiego (6), biskupa kujawskiego (7).

O osobach zmarłych z powietrza.

Pomiędzy licznemi ofiarami, jakie padły w owéj strasznéj klęsce w Warszawie, piérwsze, bo najdotkliwsze miejsce zajmuje rodzina samego burmistrza powietrznego, Łukasza Drewno. Oprócz bowiem pięciu osób, drogich dla jego serca a wyżéj wspomnianych, zmarł zięć jego Orłowski wraz z wnuczką, którzy przez wzgląd na zasługi ojca, pochowanemi tu zostali na cmentarzu przy kościele Panny Maryi. Pomiędzy innemi znakomitszemi osobami, znajdujemy w regestrach zmarłych na powietrze: instygatora W. Ks. Litewskiego († d. 6 marca 1625), diaka rotmistrza, Jana Korba burmistrza Staréj Warszawy w. r. 1624, a następnie wójta tegoż miasta w. r. 1625 († d. 29 kwietnia 1625 r.) O gorliwym tym urzędniku miasta takie wyczytujemy w pismach urzędowych świadectwo, iż był „zacnie szlachetny i chlebodawca wielki, który na szafarstwie swém ozdobił miasto Warszawę wieżami cudnemi; czujny w sprawach miejskich i pilny ten i o wójtowstwo pilnie się miastu starał."

Padł także ofiarą grassującéj klęski Jan Bucefał burmistrz Nowéj Warszawy († d. 25 kwietnia 1625 r.), który głównie kierował służbą, do zniszczenia powietrza w téj części miasta ustanowioną. Pomiędzy obywatelami znakomitszemi, liczbę ofiar tego moru pomnożyli: Michał Fukier właściciel kilku possesyj, Daniel co żupą solną zawiadował, podwojewodzy Bielawski z żoną,

(1) Marcin Duchnowski piwowar, podług rewizyi r. 1623 miał swój browar przy ulicy Długiéj.

(2) Stanisława Radziejowskiego h. Junosza. (3) Paweł Sapieha, (4) Jędrzéj Górski h. Nałęcz. (5) Rafał Leszczyński h. Wieniawa, zmarły r. 1637. (6) Jan Tęczyński h. Topor, zmarł r. 1638.

(7) Jędrzéj IV Lipski h. Grabie postąpił na biskupstwo krak. r. 1631.

kilku kk. psałterystów i czterech księży w klasztorze przy kościele św. Jerzego. Za powinność poczytujemy szczegółowo tu zamieścić liczne ofiary, jakie padły z powodu grassującego moru w samym zamku królewskim, aby przekonać czytających o słusznym powodzie wydalenia się króla z miasta. Oto ich liczba.

1. Ksiądz Stryjkowski doktor
2. Katerlia doktor
3. Marek muzyk
4. Syn Strzyżewskiego muzyka
5. Dziewka Wincentego muzyka
6. Żona kowala
7. Matias Kotlik szewc
8. Profos (1)
9. Żona woźnicy
10. Mieczowniczek
11. Bednarz
12. Hajduk
13. Odźwierny
14. Siodlarz
15. Trębacz i sługa jego
16. Pasztetnik
17. Palacz
18. Złotnik

Królewscy.

Zajmujący szczegół co do śmierci Katerli († d. 27 kwiet. 1625 r.) nadwornego lekarza króla Zygmunta III, z pamiętników spółczesnych Albrychta Radziwiłłą, w Athenaeum (Od. II, szereg nowy T. V, str. 5) znajdujący się, przytaczamy dosłownie: „Gdym powracał (pisze Radziwiłł) z podróży do Warszawy, spotkałem znajomego mi lekarza Katerlam zwanego. Dziwiło mię mocno, że gdym witając go rękę mu podał, on swoję usunął, wówczas on podawał pigułki królowi: byłoto w piątek, a w niedzielę umarł z zarazy tak jadowitéj, że innych przejęła i trzeba było spalić wszystkie jego rzeczy. Rok ten (1625) spokojny i wolny od wojny, lecz srogi był dla zarazy grasującej po całéj Polsce, która i królowi groziła. Krążyło to nieszczęście po różnych miejscach, a ze dworu wszyscy się prawie porozjeżdżali."

(1) Powinnością profosa było zapisywać i dopilnować aresztantów; nazywany jest także *rózgonos* v. *stopka*. Linde.

Lubo walny sejm zwołany był przez króla w r. 1625 do Warszawy, gdy jednakże morowe powietrze coraz bardziéj zaczęło się szerzyć, postanowiono przerwać obrady. Zygmunt III początkowo przebywał w Ujazdowie, a tylko na sessye przyjeżdżał do zamku. Kiedy jednak coraz większa ilość osób z dworu jego wymiérała, król z królową i dziećmi do Osiecka wydalił się, a gdy i tam morowa zaraza poczęła mocno grasować, monarcha przeniósł się aż do Ciemiernik dóbr Firlejowskich, gdzie do końca 1626 r. przebywał (1). Po ustaniu powietrza wrócił król do Ujazdowa, wtedy, gdy magistrat Staréj Warszawy w d. 20 lipca r. 1627 wysłał deputacyą do monarchy z zawiadomieniem, iż powietrze zupełnie ustało.

O środkach medycznych.

Dzieje literatury krajowéj przedstawiają nam pod względem medycznym więcéj zaspokajającą barwę co do morowego powietrza, jak same szczegółowe opisy téj plagi, pod względem nadzorczo-lekarskim. Pozostały do naszych czasów dwa dzieła, na ową epokę dokładne pod względem medycznym, bo opisują ogółowo stan chorobliwy całego kraju, z podaniem wszelkich recept i lekarstw, na rozmaite położenia osób i symptomata choroby. Jedno z tych skreślił Piotr Umiastowski z Klimont doktor medycyny i filozofii, ogłosiwszy drukiem w r. 1591 swoję pracę w języku ojczystym. Drugim pisarzem téj klęski był w r. 1620 Sebastyan Sleskowski; ten naśladując Umiastowskiego, podał do potomności pod względem medycznym także swoje opisy następnego powietrza, w narzeczu polskiém. W roku 1850 zbogacił swe pismo i literaturę naszą, niezmordowany w przysługach ważnych dla piśmiennictwa krajowego Kraszewski, wydając w Athenaeum (2) notatki lekarza, w czasie morowego powietrza w roku 1623 we Lwowie poczynione. Rzucają one wielkie światło na epokę, którą obecnie kreślimy, gdyż najprawdopodobniéj mor jaki we Lwowie panował w r. 1623, przez brak ostrożności w kommunikacyi, dostał się do Warszawy w następnych latach. Twierdzenie to tém więcéj staje się niecomylném, gdy porównamy po-

(1) K. Wład. Wojcicki w Pamiętnikach do panowań Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza tom I, str. 120—124.

(2) Tom II, str. 290.

dobieństwo skutków, rozporządzeń i recept poniższych, używanych w Warszawie z temi, jakich we Lwowie zażywano. Podług więc tego, mór jaki w Warszawie w r. 1624 i 1625 istniał był ową straszliwą dżumą, która tyle ofiar pochłonęła na niwach polskich, a któréj symptomata były następujące: słońość w gardle, pot zimny, uczucie gorąca wewnątrz, senność, ciężkość ciała, ból głowy, drżenie pod kolanami, zapalenie ciągłe, czerwoność oczu, womity nieustanne i gorzkie, oddech ciężki i kaszel, pragnienie wielkie, ogłupienie, język czarny, wrzody i gorycz w ustach.

Co do środków medycznych w Warszawie, lubo autor z którego najwięcéj czerpamy Łukasz Drewno, był aptekarzem z powołania w epoce, którą kreślimy, mniéj dbałym się jednak okazał na podanie do potomności wszystkich środków medycznych (1). Natomiast pozostawił w spomnionym tylokrotnie rękopisie dwie tylko recepty, z których *pierwsza* nosi tytuł *descriptio preservativae R. M. czo mi w Zamku dawano z apteki jako liaszkowy orzech na rasz z domu wichodząc uziwacz.*

Rp. Caricarum pingujum libras quinque.
Nucum juglandium excorticatarum libras tres et semis.
Baccarum juniperi recentium libras tres.
Foliorum rutae uncias sex.
Baccarum lauri excorticatarum uncias 12.
Radicis aristolochiae rotundae uncias 5 ½.
— helenii uncias 3.
— pimpinellae uncias 4.
— valerianae — 2.
— angelicae unciam 1.
Myrrhae drachmas 2.
Melis despumati libras 15.
Aceti rosarum rubrarum libram 1.
Fiat electuarium secundum artem.

Druga z proszku składająca się, spisana jest w tych wyrazach: *Pulvis sudorificus contra pestem.* Także ten dawno z piwem albo z winem:

(1) Prawdopodobném jest, że gorliwe zajęcie się ratunkiem umierających i bolejących, lub może brak dostatecznych wiadomości lekarskich, pozbawiły tego urzędnika miasta sposobności skreślenia opisu ówczesnego moru pod względem medycznym.

Rp. Radicis angelicae, gentianae, tormentillae, zedoariae, diptami, aristolochiae utriusque, enullae campanae aa. drach. 2.
Pulveris(ana) corticis citri.
— cinamomi aa. scrupulum 1.
Croci scrupulum semis.
Florum boraginis unciam unam et semis.
Fiat pulvis subtilissimus pro una vice scrupuli duo.

Z tych recept przekonywamy się, iż ogółowo leczono całe gromady, bez względu na konstytucyą ciała pojedynczych osób, lub zajść mogące przed chorobą przyczyny, zwiększające lub zmniejszające postęp słabości. Wedle świadectwa samego Łukasza Drewno, ostatniego proszku rozdał on 1000 trąbek (1), i bardzo wielu osobom do wyzdrowienia dopomógł.

Wreszcie, porównywając powyższe recepty z temi, jakie znajdują się w Umiastowskim, piszącym w r. 1591, przekonywamy się, iż następujące materyały medyczne, zarówno były używane do lekarstw za czasów Umiastowskiego i w r. 1625, a mianowicie: pimpinella, angelica, mirrha, acetum rosarum, gentiana, tormentilla, zedoaria, diptami, citrum acetosum, cortex citri, borax, szafran i cynamon. Czyniąc nakoniec porównanie pamiętników lekarza lwowskiego, z rękopisem Łukasza Drewno, natrafiamy w obudwóch szczególną chęć pisania wierszy; obadwaj albowiem w tak bojaźliwém położeniu, starali się w ucieczce do Stwórcy, poezyą swe mysli podać do potomności. Życzących posiadać obszerniejsze wiadomości porównawcze, co do morowego powietrza pod względem lekarskim, odsyłamy do autorów przez nas przytoczonych, ile że z łatwością po księgozbiorach mogą być udzielone (2).

O składkach.

Nader starannie urządzona służba, dla odwrócenia tak srogiéj klęski, zagrażającéj stolicy zupełną utratą mieszkańców, wymagała, jak to każdy przewidywać może, licznych i znakomitych funduszów. Miasto zaś, samo przez się było wówczas tak ubogie, iż pozbawione źródeł zaspokojenia zwyczajnych swych piér-

(1) Owczesne wyrażenie.
(2) Dzieło Umiastowskiego znajduje się w bibliotece Okręgu Naukowego Warszawskiego.

wszych potrzeb, nie mogło w najmniejszéj nawet ilości zaradzić bardzo licznym nadzwyklym wydatkom, jeszcze z każdym dniem mnożącym się. Są spółczesne dowody, iż były chęci dobre przewodniczących magistratem, ale na możności ich wykonania zbywało. Skarb miasta i jego dochody tak były w owych czasach kierowane, iż nigdy żadnych znakomitych pozostałości nie otrzymywano, dla zaradzenia w przyszłości nadzwyczajnym potrzebom. Trafiało się nawet bardzo często, że bądźto podskarbiowie, bądź burmistrze lub prezydenci, bądź nakoniec który z rajców zamożniejszych, swojemi funduszami mniejsze naglące potrzeby miasta zaspokajali. Nadto, przy grasującém powietrzu, mnóstwo dochodów miasta nadzwyczajnie zmniejszyło się, a inne, jakoto z wagi, młynów i postrzygalni, wcale nie wpływały. Wyjazd wreszcie króla z Warszawy był powodem, iż władza swoim kosztem dla bezpieczeństwa mieszkańców, musiała powiększyć piechotę miejską zwaną *hajdukami*, dodać jéj dobosza i rotmistrza, stosownie ubrać, wyżywić i t. p. potrzeby zaspokoić. W tak smutném położeniu zamożności miasta, jeszcze pewniejsza zguba groziła tysiącom mieszkańców. Jeżeli zkądinąd Zygmunt IIIci godzien nagany i zarzutów w swojém panowaniu, lata jednak 1624 i 1625 bez zaprzeczenia obejmują najpiękniejszą chwilę z jego rządów. Przekonany ten monarcha o niezamożności miasta, przez siebie na rezydencyą królów wyniesionego, widząc, iż oczywista zagłada grozi mieszkańcom, postanowił w najboleśniejszéj dla Warszawy chwili, dopomódz nękanym przez trzy najsroższe klęski: powietrze, głód i ogień. W tym celu, oprócz powyżéj wspomnionych . . . . . złp. 500 które wydzielił dla pogorzelców, przesłał przez Bazylego Godebskiego (1) naówczas swego pokojowego, na ręce Łukasza Drewno następujące summy:

1 raz	złp.	1,400
2 —	—	1,200
3 —	—	1,500
4 —	—	1,500
zatém ogół ofiary króla wynosił razem	złp.	6,100

(dziś około złp. 24,400). Zasiłek tak znakomity, rozdzielił Łukasz Drewno między Jana Czorna,

(1) Następnie starosta bielski r. 1632 i sędzia ziemski piński.

z przeniesienia złp. 6,100
Jakóba Wonartza, Jakóba Szlichtinga, burmistrza Korb i siebie; a to dla prędszego i właściwszego jego rozdziału pomiędzy najpotrzebniejszych. Z żalem przychodzi nam wyznać, iż w porównaniu z hojnością i wspaniałością króla, panowie i bogacze polscy, nadzwyczajnie mało swojemi dochodami przyłożyli się do ratowania ginących, w tak okropnych klęskach miasta. Ze smutkiem nawet przychodzi tu wspomnieć, że potrąciwszy ofiarę Pawła Gizy mieszczanina Warszawy w ilości złp. 160
i Wiesiołowskiego marszałka W. Księztwa Litewskiego w ilości . . . . . złp. 138 gr. 6
inni magnaci tak duchowni jak świeccy z całego kraju na sejm do Warszawy zgromadzeni, złożyli zaledwo tylko . . . . . złp. 316 gr. 19
Najboleśniejszém jednak dla potomności to doniesienie, na autentycznych dowodach oparte, iż w liczbie duchownych, ofiarę jakąkolwiek dla kalek składających, nie znajdujemy ani jednego biskupa, ani arcybiskupów, a nawet prymasa królestwa. Dodając ofiarę miasta zubożałego w ilości . . . . . złp. 41 gr. 19
ogół składek dla cierpiących wówczas złożonych,
wynosił summę . . . . . złp. 6,756 gr. 14
która rozdzieloną została stosunkowo pomiędzy najbardziéj cierpiących z pożaru, powietrza i głodu.

Zwróciwszy baczne oko na tak mały zasiłek z całego kraju, złożony dla tylu nieszczęśliwych mieszkańców, jakiż oddamy hołd w wdzięcznych wyrazach Bractwu Miłosierdzia, w Warszawie od roku 1592 istniejącemu, które z własnych funduszów, na ratowanie ginących w czasie tych klęsk w Warszawie, poświęciło aż złp. 9,000 ówczesnych, dziś około złp. 36,000 wynoszących! Cały kraj złożył . . . . . złp. 6,756 gr. 14
Samo zaś Bractwo Miłosierdzia poświęciło . — 9,000
zatém więcéj od całego kraju ówczesnych . . złp. 2,243 gr. 16
czyli dzisiejszych złp. 8,974 gr. 4. Oto ofiara godna potomności! oto ofiara do naśladowania! A my za szczęśliwych się poczytujemy, iż piérwsi jéj wielkość podajemy do wiadomości.

Prawdopodobném jest, iż Zygmunt IIIci z królową Konstancyą potajemnie wówczas wsparli rzeczone bractwo, aby mogło tak znakomitą ofiarę złożyć na ołtarzu cierpiącéj ludzkości. Następujące doniesienie z przedmowy do opisu tego bractwa, w roku 1628 drukiem w Warszawie wydanego (1), bliżéj o tém przekonywa w tych wyrazach: „Pamiętna to wielom, jako osobliwe zalecenie wzięło Bractwo Miłosierdzia w Warszawie z starania swego, czasu głodu y powietrza w roku 1625 y 1626, gdy na ubogich poratowanie ośm tysięcy abo dziewięć z skrzynki Łazarzowey wydało. Pan Bóg miłosierny, niech serca sług swoich w uczynkach miłosiernych zawzięte pomnaża, a ochoty w nich nieustaiącey, z skarbnice nieprzebranego miłosierdzia swego okwicie dodaie. Królestwo Ich MM. które iest naprzednieyszym filarem, ratunkiem szczodrobliwym y pomocą tego bractwa fundamentalną, wszelakimy błogosławieństwy niech hoynie bogaci, a przy zdrowiu dobrem, y panowaniu długiem, szczęśliwym, niech prowidencyą swoią Boską cieszy, fortuni, y zachowuie."

O karach i zabobonach.

Ogół składek w ilości złp. 15,756 gr. 14 ówczesnych wynoszący, obracany był także i na wynagrodzenie całéj służby natenczas ustanowionéj. Szczególnie najniżsi posługacze hojnie byli wynagradzani, aby usunąć wszelką demoralizacyą, zwłaszcza w takiéj klęsce, gdzie nadzór władzy zwierzchniéj miasta czuwającéj ogółowo, nie mógł z wszelką sprężystością w każdéj chwili, dozierać nad życiem i majątkami pojedynczych mieszkańców. Pomimo tego, znaleźli się wyrodki natury, poczwary piekielne, którzy korzystając z zamieszania i trwogi, dopuszczali się zdzierstw i rabunku. Wyżéj wspomnieliśmy, jak ważną usługę wykonywali kopacze i tragarze, w owéj klęsce morowego powietrza, i jak miasto, ustanowiwszy osobną straż do ich pilnowania, starało się tę służbę w należytym porządku utrzymać. Złość ludzka przemogła czujność władzy. Czytamy w rachunkach Łukasza Drewno, iż w d. 22 kwietnia 1625 r. czterech kopaczy powieszono

(1) Rzadki a może jedyny egzemplarz tego dzieła w Warszawie, znajduje się w księgozbiorze uczonego Ig. Zagórskiego, od którego łaskawie mieliśmy sobie udzielony.

za nadużycia, które tak są opisane; „Thu (d. 22 kwietnia) szie executia stała przesz urząd ze kopaczów łotrów, którzy nieprzystojnie chowając cziała ludzkie, conversatią swą ludzi zarażały jako y przedawaniem szath, *loties quoties* upominani y dlia Boga proszenij nicz niedbały, w domach brali zapowietrzonich nieprzistoinie i pośmiechy rozmajthe z umarłich czinilij, tucząc brzuchy swe i relegatią wzgardziwszy wroczili szie, sziubinczą skaranij." W rachunkach z r. 1625 napotykamy, iż spalono żywcem niejaką Grotowską, która jak się domyślać należy, podobnych a nawet większych łotrostw dopuszczała się. Do jéj spalenia użyto trzy wozy drzew, cztéry beczki smoły i znaczną ilość siana i słomy. W czasie palenia się stosu, poprawiano te materyały bosakiem dla prędszéj egzekucyi (1).

Oprócz łotrostw nie obeszło się także bez przesądów i guseł w takich klęskach. Z żalem przychodzi nam wyznać, iż te ostatnie nawet w ówczesnéj władzy miasta jeszcze panowały. Ponieważ zaś szczegóły tych przesądów malują nam ducha czasu owéj epoki, dlatego za powinność poczytujemy przytoczyć tu następujące zdarzenie: Dnia 27 lutego 1625 r. zmarła na powietrze pewna stara szklarka w swoim własnym domu; gdy ciało jéj w trumnie leżało, dziéwce pilnującéj zdawało się, że jéj pani po śmierci chustkę jadła. Przestraszona dziéwka uciekłszy z domu opowiedziała to synowi Jana, jednego ze sług nadwornych Łukasza Opalińskiego marszałka naówczas wielkiego koronnego. Służalec tego dygnitarza wiadomość tę tak zręcznie potrafił swemu panu przedstawić, iż Opaliński dawszy temu wiarę, polecił magistratowi ówczesnemu i władzy przełożonéj nad zapowietrzonemi, aby rzeczonéj staréj szklarce ucięto *rydlem* głowę. Łukasz Drewno poprzednio zasięgał rady rajców ówczesnych magistratu, czyli rzeczony wyrok wykonać; uzyskawszy jednak od nich potwierdzenie, ubliżający władzy dekret ten na osobie staréj szklarki rozkazał wykonać, zapisawszy wszelkie te szczegóły w swoich regestrach.

Pomimo ustania morowego powietrza w roku 1625, na wiosnę jednak roku następnego znów koło Łowicza ta klęska zjawi-

(1) Nie pierwszyto przykład wymiaru tak srogiéj sprawiedliwości napotykamy wówczas w stolicy, albowiem w rachunkach Staréj Warszawy z r. 1623 czytamy zapisany wydatek, iż w d. 18 grudnia t. r. żywcem spalono w tém mieście jednego złoczyńcę, na co wyszło drzewa za złotych pięć ówczesnych, dziś złotych dwadzieścia.

ła się. Przestraszone miasto wysłało kursora dla sprawdzenia téj smutnéj wiadomości. Po przekonaniu się o jego istnieniu, magistrat Staréj Warszawy zaczął obsadzać strażą, naprzód części miasta w stronie ku Łowiczu leżące, następnie obstawiono tą strażą szlaki koło św. Trójcy, gdzie naówczas był trakt do tego grodu prowadzący, wreszcie dla przerwania wszelkiéj kommunikacyi, porobiono stosowne ogrodzenia koło tych okolic Warszawy, któreby ją mogły ułatwiać z Łowiczem. Straż powietrzna zaczęła już odbywać swoje patrole w mieście od 9 maja t. r.; gdy jednak morowe powietrze znikło i ustało zupełnie w połowie maja, straż takową w d. 23 t. m. i r. rozpuszczono.

Skutki nędzy i powietrza nie zaraz z ustaniem przyczyn znikły. Znaczna liczba biédnych i schorzałych nie mając sił dostatecznych do zarobku, w największéj nędzy oczekiwała miłosierdzia ludzi i władzy. W takiém więc położeniu, pomimo najsmutniejszego stanu miasta i mieszkańców, magistrat ówczesny był zniewolony postanowić w r. 1625 tak zwany *szos miejski powietrzny* czyli składkę przez władzę rozpisaną na mieszkańców. Jak ubogie zaś było wówczas miasto, można pojąć z tego, kiedy ten zasiłek uczynił dochodu tylko złp. 67 (dziś złp. 268). Nadto starosta ówczesny warszawski, zniewolony ostatnią nędzą mieszkańców stolicy, podarował w r. 1626 cały swój dochód tygodniowy od Szotów *v.* Szkotów (1), jaki z bud ich i sklepów koło ratusza będących zwykle pobiérał. Dochód ztąd powstały dla nieszczęśliwych wynosił złp. 24 gr. 3½ (dziś zł. polskich 96 gr. 13½).

O głodzie.

W poprzednich epokach najczęściéj powietrze było skutkiem głodu (2), w tym czasie jednak który opisujemy, głód był właśnie skutkiem powietrza. Rozproszeni mieszkańcy miasta postra-

(1) Szoci v. Szkoci w skutek prześladowań w rodzinnym kraju, przybyli do Warszawy za panowania Elżbiety królowéj Anglii (1558—1602). Głównie trudnili się handlem; znakomitsi jednak z nich, ważne posługi dla miasta wypełniali na różnych urzędach, a niektórzy nawet przewodnicząc miastu, wielkie zasługi w tym grodzie położyli i uzyskali nobilitacye. Szoci handlujący pozakładali sobie budy koło ratusza staromiejskiego, i tamże bardzo długo trudniąc się tym przemysłem, w Warszawie bawili.

(2) Jak poświadcza uczony Maciejowski w dziele: Polska i Ruś tom I str. 163.

chem i morem, myśleli tylko o ratunku życia. Utrudniona kommunikacya miasta z okolicami, utrudniony dowóz żywności, słabo urządzona w tym względzie służba przy szlakach (rogatkach), zajmowanie się ratunkiem drugich, opuszczone zatrudnienia i rzemiosła, brak dochodów, upadek handlu i wszelkiego przemysłu, tak dalece wpłynęły na cenę żywności, iż najokropniejsza drożyzna i głód zaczęły panować w Warszawie. Do tego stopnia klęska ta dotknęła mieszkańców, iż tłumami i bandami chodzili żebracy po ulicach. Mamy dowód, iż tego rodzaju tłuszcze, idącego króla Zygmunta III zatrzymywały, krzycząc i żebrząc chleba. Najdotkliwsze jednak położenie było burmistrza powietrznego Łukasza Drewno. Ten bowiem, zatrudniony swemi obowiązkami dla cierpiących z moru, musiał nieraz wszystkie swe czynności opuścić, będąc otoczonym od gromady ludu wołającego i żebrzącego głośno o chléb lub pieniądze. Wiedziano o zasiłku króla i o jego wielkości, co tém więcéj powiększało ilość żądających z całego kraju; a kiedy w innych czasach, władza ówczesna miasta, tego jedynie środka używała na włóczęgów, iż tygodniowo kazała ich przez sługi miejskie wyganiać z miasta: obecnie z natury położenia, w żadnym przypadku nie mogła nawet chwycić się tego i tak błahego środka, dla uwolnienia się od téj plagi. Jedna klęska stwarzała drugą. Głód powiększony nie dozwalał ubogiéj klassie używać zdrowych pokarmów. Zgłodniali zniewoleni w niechlujnych pokarmach i bydlęcéj paszy szukać zaspokojenia potrzeb, zaczęli stawać się ofiarą chorób. Kogo więc głód nie zamorzył, to go pochłonęła śmiertelna słabość. Tłumy ludu przesuwały się jak cienie, jękiem konających lub cierpiących odznaczające się. Głód i powietrze stworzyły rozpacz, a ta osłabiając moc wszelkich zasad religijnych, wydziérała niejednemu ręką samobójczą życie. Ażeby dać wyobrażenie jak wielka drożyzna wówczas panowała, Łukasz Drewno zamieścił cenę wszystkich produktów, którą z jego regestrów dosłownie zamieszczamy:

	Gatunek i miara zbóż.	Średnia cena w drożyznie podług waloru pieniędzy w roku 1625		Średnia cena podług redukcyi na dzisiejszą monetę	
		złp.	gr.	złp.	gr.
1	Korzec żyta	4	15	18	„
2	— grochu	8	15	34	„
3	— krup tatarki	5	15	22	„
4	— kaszy jaglanej	8	15	34	„
5	Faska jarosławska masła	8	20	34	20
6	Beczka piwa warszawskiego . . .	4	„	16	„
7	— — wareckiego	6	15	26	„
8	Jaje.	„	1	„	4
9	Ćwierć wołu mięsa	8	15	34	„
10	— cielęcia.	1	15	6	„
11	Schab wieprzowiny	„	27 1/3	3	19 1/3
12	Korzec rzepy.	1	25	7	10
13	— owsa.	2	28 1/3	10	13 1/3
14	Wóz jednokonny siana.	2	6 2/3	8	26 2/3
15	Pęk słomy	„	5 1/2	„	22
16	Mały wóz drew (*)	1	1 1/3	4	5 1/3

O osobach odznaczających się wsparciem i udzieloną pomocą w tych klęskach.

Nie możemy godniéj zakończyć naszego opisu, jak skreśleniem heroizmu miłości bliźniego osób, które poświęcając swe życie dla ratowania ginących, same w każdéj chwili zagrożone były utratą własnego. Zdobywcy świata, krociami ofiar okupujący zwycięztwa, na polu sławy otrzymane, czémże równać się mogą z bohaterami miłości chrześciańskiéj, którzy bez narażenia życia pojedynczego nawet człowieka, poświęcając siebie samych w każdéj chwili, ocalają zdrowie i życie tysiąca ofiar, już będących w rękach klęsk, zagładą rodu ludzkiego grożących? Tamci krwią tysiąca ofiar ocalają resztę, ci krwią i znojem tylko własnym, tysiące osób przy życiu zachowują. Tamci narażając swe życie,

(*) Zwrócić należy uwagę, jak ceny produktów musiały być wówczas nizkie, kiedy zamieszczone w ostatniéj rubryce, taki głód sprawiały w mieście.

czasem przez kilka chwil i godzin w czasie morderczéj bitwy, zyskują laury zwycięztw, które ich do potomności przekazały. Jakiemiż wawrzynami mamy uwieńczyć czoła bohaterów miłości bliźniego, którzy nietylko przez kilka godzin, dni, nietylko w ciągu kilku tygodni, miesięcy, ale nawet przez kilkanaście lat narażają się w ocaleniu drugich, na utratę najdroższych dla nas skarbów życia i zdrowia ludzkiego? Za szczęśliwych się przeto poczytujemy, iż nam się dostało w udziale przekazanie potomności imion i czynów heroicznych z owéj epoki, które dopóty jaśnieć będą, dopóki tylko miłość bliźniego istnieć na téj ziemi nie przestanie.

W rzędzie osób, które poświęciły swe życie i dostatki w czasie powyższych klęsk w Warszawie, piérwsze miejsce zajmuje Krzysztof Wiesiołowski marszałek w. W. Ks. Litewskiego. Mąż ten, zrodzony z znakomitych i bogobojnych przodków (1), odziedziczywszy cnoty swych pradziadów, umiał nietylko je utrzymać, ale własném poświęceniem, własnemi dostatkami i krwią przydał do nich nieśmiertelny wieniec, w obronie życia mieszkańców Warszawy otrzymany. Za powinność uważamy życiorys tu jego przytoczyć, jako przykład cnotliwego i bogobojnego życia tego dygnitarza.

Piérwszy dowód wielkiéj ufności okazał naród Wiesiołowskiemu, wybrawszy go dwukrotnie na marszałka izby poselskiéj, raz w roku 1609, drugi raz w roku 1618. W ostatnim czasie już piastował urzędy stolnika litewskiego i ciwuna wileńskiego. Zostawszy dla zasług posuniętym na krajczego litewskiego, w r. 1620 był wyznaczony na kommissarza do rozgraniczenia województw podlaskiego i brzeskiego. Znakomite prace, prawość charakteru, zdolność niezwykła, zjednały mu wybór w roku 1623 na marszałka nadwornego litewskiego, a następnie i wielkiego tegoż księztwa. Żoną jego była Alexandra Sobieska córka Marka wojewody lubelskiego i dziada następnego króla polskiego. Jedyny owoc tego małżeństwa, córka Gryzelda, jedyne nadzieje Krzysztofa Wiesiołowskiego, podobało się Najwyższemu zabrać wcześnie do Swéj chwały. Cios tak okropny dla zbolałego ojcowskiego serca, zniósł on z mocą duszy i charakteru prawdziwego chrześcianina. Cierpiał jak każdy syn Chrystusa cierpiéć

(1) Ojciec bowiem jego marszałek także w. lit. wymurował i uposażył kościół w Białymstoku.

powinien, ubolewał nad okropną stratą jaka go dotknęła; nie zapomniał jednak, iż wyroki Pana Niebios, zsyłając na nas krzyże w téj wędrówce na ziemi, są prawdziwą próbą i hartem dla chrześcianina prawości i mocy duszy. Otoczony wielkiemi dostojeństwy i bogactwami, komuż godniéj mógł je poświęcać i dla kogóż godniéj użyć, jeżeli nie dla chwały Boga i na ratunek bliźnich? Poznał Wiesiołowski cel prawdziwy życia i swego położenia, wszystkie więc swe dostatki, trudy i bogactwa, po stracie tego, co mu było najdroższém na téj ziemi, postanowił poświęcić Bogu i bliźnim. W tym duchu działając, założył najprzód klasztor panien zakonnych pod regułą św. Brygidy w Grodnie, a nietylko funduszami go opatrzył, ale taką świetnością i dostatkami uposażył, iż rzadko panująca hojność mogłaby wyrównać w wystawieniu i utrzymaniu takich gmachów. Następnie, swym własnym kosztem z gruntu wybudował świątynie Pańskie: w Dąbrowie, w Chodorowie, w Łunnie, w Kwasowie i w Zawadach. W dalszych ofiarach Wiesiołowskiego znajdujemy, iż liczbę kapłanów w Białymstoku powiększył i uposażył, a wreszcie szpital żołnierski w Tykocinie założył. Tak znakomity i użyteczny zakład chcąc utrwalić Wiesiołowski, zapisał dla niego wiecznemi czasy dobra swe Dolistowo w Podlaskiém leżące, co na sejmie roku 1633 Rzplta potwierdziła. Powracając z królem Zygmuntem IIIcim ze Szwecyi, burzą morską z okrętem uniesiony, i przez dwa miesiące falami miotany, powrócił do domu wielce na zdrowiu ucierpiawszy, z powodu picia wody morskiéj, którą w braku zwyczajnéj musiał pragnienie zaspokajać. W licznych wyprawach za panowania Zygmunta IIIgo, jużto przeciwko rokoszanom, Moskwie i Inflantach, już téż przeciwko Szwedom i Turkom, nietylko sam osobistą walecznością odznaczał się, ale nadto liczny poczet wojska z sobą do boju przyprowadzając, dzielnie obraniał kraj od napadów nieprzyjacielskich. W czasie grassujących klęsk w Warszawie z pożaru, głodu i powietrza, dusza Wiesiołowskiego nie mogła być nieczułą na zagubę życia tylu mieszkańców. Zaledwo usłyszał o zbliżającym się morze ku stolicy, aliści piérwszy podał królowi projekt otoczenia miasta wałem, który, jak wyżéj wspomnieliśmy, po bitwie cecorskiéj zaczęło miasto z rozkazu króla stawiać. Brak dostateczny funduszów ubogiego miasta, które nie posiadało na pokrycie tak znacznego wydatku żadnych dochodów, stawał na przeszkodzie wykonaniu tego zbawiennego zamiaru. Niezrażony Wiesiołowski tą zaporą jego dobrych chę-

ci, darował miastu najprzód w gotowiznie złp. 1,200 ówczesnych (dziś złp. 4,800), a następnie nieugięty w poświęcaniu się dla dobra miasta, sam zajął się spisem i otaksowaniem nieruchomości i gruntów prywatnych, jakie miały być zajęte na wał tamże przeprowadzony. Wyżéj przytoczyliśmy, iż wydatek na to wynosił . . . . . złp. 1,142;
że zaś Wiesiołowski darował miastu . . . . — 1,200,

zatém resztę z téj ofiary. . . . . złp. 58,

obrócono na poratowanie ginących z powietrza, głodu i pożaru. Lecz nie tu jest koniec ofiar Wiesiołowskiego dla miasta. Szerzący się mor i głód, jęk konających, widok zmarłych, boleść cierpiących, krzyk wołających chleba, tłumy żebrzących, nie mogły nie wzruszyć i najskamienialszego serca. Wiesiołowski wszędzie obecny, wszędzie czynny, bądź sam swoją ręką, bądź przez nadsyłanie pieniędzy na ręce przełożonych nad miastem, starał się nędzę i klęskę zmniejszyć. Oprócz powyższego zasiłku pieniężnego, oprócz ofiar jakie w cichości utajonéj ręką litościwą rozdał, przesłał na ręce burmistrza powietrznego Łukasza Drewno zasiłek drugi najznakomitszy wówczas (patrz tytuł o funduszach) złp. 100 (dziś około złp. 400) dla rozdania pomiędzy ubogich. Kwota ta podzieloną została stosunkowo między zgłodniałych, zapowietrzonych i pogorzelców. Wyjednał potém Wiesiołowski u króla, iż wpływy z grzywien czyli kar za ówczesne przestępstwa oddano dla nieszczęśliwych. Dochód z tego źródła w ilości złp. 38 gr. 6 (dziś około złp. 152 gr. 24) był jednym ze znakomitszych darów w takiéj klęsce miasta nadesłanych.

Ostatnie chwile zgonu tego cnotliwego męża, były napiętnowane najwyższą wiarą i ufnością w Bogu. W śmiertelnéj już bowiem chorobie, mając się chlebem anielskim na drogę wieczności posilić, całéj mszy upadłszy krzyżem na ziemię wysłuchał i nie prędzéj się z niéj podniósł, aż gdy do kommunii przyszło, którą z obfitemi łzami przyjmował. Wreszcie ręce przy modlitwach złożywszy, psalmy pokutne nad sobą mówić rozkazał i przy takich pobożnych pacierzach skonał.

Takiemito czynami stał się pamiętnym Wiesiołowski w kronice Warszawy. Nie szukając chluby z swych cnotliwych uczynków, nigdzie w urzędowéj drodze nie czynił zapisów, lubo znaczne fundusze dla miasta poświęcał. Z obcych ust, z obcych ksiąg, z obcych zapisków i regestrów my to piérwsi podajemy,

a lubo kronikarze nasi zupełnie o tém milczą, chociaż tak obszernie opisali nam jego życie świątobliwe i polityczne, my jednak za szczęśliwych się poczytujemy, iż na mocy wiarogodnych dowodów dotąd w ukryciu będących, przesyłamy jego poświęcenie się do przyszłości, jako fakta heroizmu miłości bliźniego.

Drugim bohaterem w boju klęsk, jakie wówczas grasowały w Warszawie, śmiało naznaczyć można spomnionego tylokrotnie Łukasza Drewno burmistrza powietrznego. Wiemy już ile ran odniosło jego serce, przez utratę siedm osób najdroższych dla niego; wiemy już jak wzorowo służbę całą urządził, aby tysiącom mieszkańców ocalić życie: aleśmy nie obliczyli jeszcze jego poświęcenia bez granic, jego narażania się z utratą własnego życia, jego trudy i pracę, jego mozoł i troski, jego wreszcie gorliwość w tak wielkich obowiązkach! Pióro bowiem nasze jest zasłabe do obliczenia wyrazami tych poświęceń. Dwaj jego koledzy Jan Buccfał i Jan Korb burmistrze Staréj i Nowéj Warszawy, padli ofiarą swéj gorliwości. Ich śmierć nie zachwiała duszy Łukasza Drewno, bo przejęty zasadami religii Chrystusa, dawno już swe życie poświęcił bliźnim i ziomkom! (1).

Pomiędzy innemi dobroczyńcami znakomitemi, w czasie klęsk wówczas panujących, należy policzyć dwóch braci Gizów. Niejednokrotnie rodzina ta zasługiwała się w różnych ofiarach dla Warszawy, bądź w poprzednich epokach, bądź w następnych. W czasie który opisujemy, dwaj członkowie téj rodziny Paweł i Alexander szczególnie odznaczyli się. Piérwszy, oprócz licznych prac podjętych dla ratunku miasta i mieszkańców, lubo niezbyt zamożny, największą jednak po Wiesiołowskim złożył w pieniądzach ofiarę na ołtarzu cierpiącéj ludzkości. Summa przez niego dana w ilości złp. 160 (dziś około złp. 640), stosownie do jego żądania, została rozdzieloną pomiędzy najpotrzebniejszych. Jeżeli zaś porównamy ofiarę tego mniéj zamożnego obywatela, z darami magnatów polskich, wówczas w czasie sejmu w Warszawie zgromadzonych, którzy w bardzo małéj liczbie i to o 8 część mniejszą od niego (uważając pojedynczo) kwotę złożyli, ileż natenczas wartości ofiara Pawła Giza w oczach ludzkości nabiera?

(1) O innych znakomitych dla miasta uczynkach miłosiernych tegoż obywatela, następnie w osobnym artykule doniesiemy.

Alexander Gizo znakomite przysługi czynił miastu w różnych posługach, bądźto przy sypaniu wału, bądź też przy uzdrawianiu i pielęgnowaniu cierpiących. Wysłany do Gdańska po różne materyały potrzebne, z pośpiechem i z korzyścią dla miasta czynności téj dopełnił. Idąc zaś w ślady swego brata, lubo mniéj zamożny, równie dobroczynną ofiarę uczynił, wypożyczając miastu na lat 5 summę złp. 500, dziś około złp. 2,000 bez wymagania żadnego procentu. Jeżeli znów porównamy ten czyn miłości obywatelskiéj, z uczynkami panów możnych obecnemi wówczas w Warszawie, którzy żadnéj tego rodzaju ofiary nie zrobili dla miasta: miłosierdzie Alexandra Gizy nabiera bardzo wielkiéj wartości. Za godnych tu wspomnienia i przejścia do wdzięcznéj potomności uważamy jeszcze tych, którzy jeżeli nie ofiarami pieniężnemi, to własną pracą narażającą ich życie na zagubę, zasłużyli się miastu i rodakom w tak okropnych klęskach. Imiona: burmistrza Staréj Warszawy w roku 1625, Henryka Plumhoffa, rajcy i podskarbiego tegoż miasta i roku Jakóba Szlichtinga, szafarza i rajcy tegoż miasta i w tymże roku Horlemusa, i dwóch szafarzy burmistrza zapowietrzonych: Jana Czorna i Jakóba v. Garcen, jaśnieć muszą promieniami miłości bliźniego, obok imion zdobywców świata, którzy krwią ludzką okupując zwycięztwa, przeszli zarówno z innemi do potomności.

Wynędzniałe miasto tak okropnemi klęskami, nie mogło ani pomyśléć w epoce którą kreślimy, o jakichkolwiek zakładach dla polepszenia dobrego bytu mieszkańców. Za godną zatém potomności, możemy uważać jedyną ofiarę, jaką Stara Warszawa uczyniła pewnemu drukarzowi, który przypisawszy temu miastu kalendarz przez siebie wydrukowany, uzyskał w r. 1625 z funduszów miasta tytułem *kontentacyi* złp. 30 ówczesnych, dziś około złp. 120 (1).

Dla melankoliej zabawa.

W ten mor pod cieniem sladszy, ach mój mocny Boże,
I w tych leciech myśl moja skrócić się nie może.
Niedawno temu barzo dość pamiętne czasy,
Jakom z młodością swoją chodził dziwnie w pasy,

(1) W rachunkach Staréj Warszawy nie mogliśmy wynaléźć nazwiska tego drukarza. Podług urzędowych podań, pierwsze kalendarze dla dobra służby zakupiło toż miasto w r. 1612.

Czytałem i poety, mawiał z filozofy.
A przecieżże u mnie rozum bardzo płochy,
Przecie trafić nie mogę aby się zgadzali,
Bo jedni mędrowali, a drudzy bajali.
Jako Circes bogini głowy odmieniała,
Jako morska syrena nadobnie śpiewała,
Tak iż onem śpiewaniem marynarze spiła,
A potém je uśpiwszy marnie potopiła.
Jako tu olbrzymowie po światu bujali,
A jako też Harpije za niemi latali,
Jako Atlas swą mocą, niebem wszystkiém robił,
Jako Herkules Hidrę lubo smoki pobił.
Co czynią Satyrowie z koziemi rogami,
A co też Pegazowie z szkaplemi nogami,
Albo oni Chimery, oni Tantalony,
Co w obłokach latali wszędy na wsze strony;
A jako się wybłąkać z takich plotek właśnie,
Wierzmy, iż kot za uchem niejednemu wrzaśnie,
Myśląc o tém, a przecie mało z tego zbytku,
Wynaléźć człowiek może słusznego pożytku.
Owi zaś filozofy siła napisali,
A rozumy ludzkiemi prawie zamieszali (1),
Że i sami snadź potém tak się dorządzili (2),
Że w wielu trudnych rzeczach barzo zabłądzili.
A tak, jeśli nie będzie łaski Twojéj Panie!
Wierę to na drugiego trudne rozeznanie.
Więc że modro powietrze lata powiadają,
Księża, dziadowie, baby często je widają (3),
Wszitko to u mnie dziwno, aż mi włosy wstają,
Zamyśliw o le siedzę, a w dzwony srząkają,
I tak w myślach stroskany, uśpiony przez chmurę,
Śniło mi się, a jam wszedł na wysoką górę,
I widziałem inszych dość, pod cieniem siedzące,
Narzekając na ten świat okrutnie płaczące,
A oni łamią ręce srodze narzekając,
Z onéj góry żałośnie aż w sam dół patrząc,
I widziałem na ziemi ano się lud wali,
Starzy, młodzi, bogacze, wielcy i téż mali;
Taczają się korony, padają infuły,
Z kapłańskiemi birety walają się stuły,
Lecą proporce, tarcze, podle nich pobici,
Oni zacni rycerze sławnie zuamienici,
Doktorowie ćwiczeni, aptekarze z niemi,
Cyrulicy, balwierze, odmiana nie mieni,

(1) Autor mówi tu o Marcinie Lutrze.
(2) Dorządzić się czego, ściągnąć na się. *Linde.*
(3) Widzą.

Dziatki, panny i panie, nadobni młodzieńcy,
Taczają się główki ich po ziemi i z wieńcy.
Pisarze, prokuratory i rytmopisowie,
Z teologi jednako, a któż to wypowie?
Między niemi biegając niewiasta odrana,
Chuda, blada, straszliwa, szpetnie oszemlana,
A w ręku marną kosę tak straszliwą nosi,
Że ją one nędzniki jako trawę kosi.
Pojrzałem, a ono wsze miasta pusto stoją,
Zwierzęta się biegając nikogo nie boją,
Psy wyją, bydło ryczy, słysząc włosy wstają,
Jakież głosy żałosne ze wszech stron powstają?
We trzcinie bączy (1) huczą, a puchacze w lesie,
Że się aż pod obłoki głos straszliwy niesie,
Trącają się o lasy (2), a nazad wracając,
Jakoby dwaj wołali, więtszy strach dawając;
A głosu człowieczego nigdzie z żadnej strony
Już tam było nie słyszeć, tylko same dzwony.
Ocknąłem się strwożony, napoły zemdlony,
Przejrzę, pięcioro dziatek widzę podle żony,
I spytam: długomil tu odpoczywał głową
W zaśnieniu? mężu miły! rzekła własną mową,
Z godzinać, lecz mi dziwno barzo spiku twemu,
Z kim gadanie twe przez sen? aże mię strach w domu.
Co za żałość w sercu twém i stroskanéj głowie?
Niech wiem, pilno cię proszę, w twéj zwyczajnéj mowie,
I o co się frasujesz w twoim odpoczynku,
Opowiedz, proszę mile, daj to w upominku.
I tak co we śnie było onéj spowiedziawszy,
W tem słowa rzekł: „ucieszna żono! zapłakawszy,
O nędzny nasz żywocie! marna bańko szklana!
Co się tu zawzdy błyszczysz jako malowana,
Która maluczkim wiatrem zachwiawszy się spada,
A potém w marnych śmieciech, już na wieki siada;
Piękna farba na wierzchu, wewnątrz gorzkość przykra.
Tak to na nas zakryła samołówka chytra,
Równo gdy jako kwiatek zakwitnie w południe,
Więc tu nadobnie pachnie i patrzeć nań cudnie,
Ale po chwili ujrzysz uschnąwszy się jeży,
A z marnemi śmieciami podle goni leży.
Także i my nędznicy pięknie się świecimy,
Jako kwiatki na polu, gdy się ubierzemy;
Patrzaj tego po chwili, a on farbę mieni,
Niedawno był rumiany, a już się zieleni,
Jako ona marnica przykrą machnie kosą,
Ale nas do stodoły jako snopie noszą.

(1) Bąki. (2) Autor przedstawia echo.

Owo krótka rozprawa tu nasze mieszkanie,
Jak na burzliwém morzu to pielgrzymowanie,
Jest jako dym przy ogniu, gdy się trochę świeci,
A potém się po wietrze jako mgła rozleci.
Rano kwitnął, a w wieczór żaby po nim skaczą,
Wrony klują, kokosze rozgrzebując gdaczą.
O mizerna szklenico napoły stłuczona!
Która masz być po chwili we błoto wrzucona,
I czémże się masz pysznić? jaka twoja chluba?
Jeśli złoto, pieniądze, lubo droga szuba,
Wejrzysz w twój kres, długoli w tém się chlubić będziesz?
Wnet po chwili z tarcice w skrzyneczce usiędziesz.
Cóż ci pomogło srébro! cóż pomogło złoto?
Coć już teraz nie stoi i za marne błoto.
Kiedy cię mizerna śmierć tak chlusnęła kosą,
Leżysz w nędznéj koszuli, a to inni niosą,
Już oni twoi słudzy, teraz cię dźwigają,
Jako owego karwu (1), co go łupić mają (2).
Już miasto węgierskiego, smołęć w gębę leją,
Więc wrzkomo jedni płaczą, a drudzy się śmieją.
Powiadając złycz też (3) był, niechaj z Bogiem żyje,
Skąpiec był rychły, teraz z nas który utyje.
Gdzież one wirydarze (4)? one twoje sadki?
Coś się po nich przechadzał, a za tobą dziatki,
Urywając po kwiatku, który pięknie pachnął;
Szpetnie cię pan Majeran po zawojku machnął,
Że leżysz jako drzewo i woniа niecudna,
Zalatuje od ciebie i twarz barzo brudna.
Jużbyś w różanéj wódce i wsitek opływał,
Nie pomożeć, byś się też balsamem umywał;
Ani kamienna wódka z mączką nie poradzi,
Woszczek, łojek, miodek, choć to pięknie gładzi,
Kamfora i z dragantem i mastyką zmieszani,
Co więc panom pomaga, wdowom i z pannami.
O mizerny żywocie! o nieszczęsna chwilo!
I czémże się masz chlubić nędzna marna wiło (5)
Bujając po tym świecie? jako paw' gdy pierzę,
Tu ku pięknemu słońcu nadobnie rozszerzy,
A potem go wnet ujrzysz odartego marnie,
Jeden mięso obraca, drugi pierze garnie.
Omnia sunt hominum tenui pendentia filo (6),
Na jawiem się przypatrzył co na myśli było.

(1) Karw, wół stary, leniwy. *Linde.*
(2) Dwa te wiersze zupełnie co do słowa są przytoczone z dzieła Reja: *Wizerunek własny żywota człowieka poczciwego.* 1558 r.
(3) Złym był też. (4) Wirydarz-a ogród. *Linde.* (5) Wiła-y, głupi, szalony. *Linde.* (6) Wszystko co jest ludzkie snuje się na wątłéj nici.

Ano nasze sąsiady słudzy moi niosą,
Których omylna goła (1) podcięła swą kosą.
Dziatki jem Pan Bóg pobrał przed ichże oczami,
Starzy, młodzi padają jak widziemy sami,
Już się ich pochowało w grób ze dwa tysiące,
A do tego zaś czasu dusze stękające,
Ubodzy pod murami pod wały stękają,
A drudzy po ulicach prędko umierają.
Ciało ach! na mię wzdryga a jeżą się włosy,
Od takiej mi żałosnéj i smętnéj rozkoszy.
A toć jest ta przyczyna iż tą kosą marnie,
Ta sprosna okrutnica wszystkie stany garnie,
I tąmem się zasnąwszy troszeczkę był strwożył.
Proś Boga, abym jeszcze tu na świecie pożył,
I tę pracę odprawił co na mię włożona,
Z upodobaniem Bogu wprzód, potém i doma,
U ichmościów z zasługą godną dziękowania,
Jakoż żałować nie chcę nic mego starania,
Ty się ma żono nie trwoż, do Boga wołajmy,
Jemu służmy od Niego pociechy szukajmy
i Jemu dziękujmy:
Przez pięć ran Chryste Twoje,
Dwanaście dusz i żonę moję,
Żeś zachował z łaski swojéj,
Nie z żadnéj zasługi mojéj,
Czyniem z serca dzięki Tobie,
Żeś nas nie położył w grobie,
Po trzykroć w toni będących,
Wejrzałeś na nas proszących,
Racz nas dłużéj błogosławić,
Bym imię Twe mogli chwalić.
Amen.

(1) Śmierć.

WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Ciąg dalszy).

VII.

Zabiegi ludzkie.

„Bo któż losem rządzi?
Człowiek myśli i układu,
A Bóg wszystko sądzi."

Wiesław.

Jak tylko się ukończyło wesele Janka z Basią, wszystko pomału wróciło do dawnéj ciszy, spokojności i zwykłych wiejskich zatrudnień. Wojciech krzątał się około obór i stodoły; Janek codzień rano wyjeżdżał z pługiem lub radłem w pole przysposabiać rolą pod siéw wiosenny, a Basia strojna powagą mężatki i nową czapką, miejsce czepca zastępującą, kręciła się jak fruczka po państwie podległém swojéj władzy, złożoném z izby, sieni, komory i śpiżarki.

Często tylko zmuszona była swarzyć się z niesforném poddaństwem, reprezentowaném przez kury, kaczki, gęsi, trzodę, gdy które z nich nieproszone wlazło do izby i zaglądając z żarłoczną chciwością w miski lub garnki na szafie stojące, zrzuciło jaki przedmiot na ziemię. Wówczas Basia z niecierpliwością obracała się szybko od komina, a chociaż winowajca, szczególniéj jeżeli to był

kogut lub kura, z krzykiem i gdakaniem uciekał między współtowarzyszy, na środku izby wyszukujących resztek rzuconego jadła, aby się uchronić przed gniewném okiem swojéj pani; nie uszedł jednak ostrego, z pogróżką połączonego połajania, które często, szczególniéj jeżeli stłuczenie czego nastąpiło, zamieniało się w rzeczywistość, tojest w ogólne wszystkich, bez względu czy winny lub niewinny, wygnanie z izby na podwórze.

Zabawnie wtenczas było patrzéć, jak Basia uzbrojona miotłą pędziła przed sobą ku otwartym do sieni drzwiom chmarę różnoplemiennego ptastwa z gęgiem, gdakaniem, kwakaniem, między którém odznaczała się niezgrabna postać o białéj szczecinie wieprzka, odzywającego się grubém chrząkaniem, niby taktowe uderzenie bębna w orkiestrze. Jaki taki podbiegał pod ręce kryjąc się pod łóżka lub ławy, wieprzek zwracał się ryjem do ładnéj gosposi, jakby się dziwił tak niegościnnemu obejściu; ale wszystkie te wybiegi nic nie pomagały: groźna miotła tylko mignęła i cała wrzaskliwa rzesza bez ładu i porządku, jak groch z kapustą wypchnięta do sieni, tłocząc, popychając i skubiąc się wzajemnie, z trzepotem skrzydeł przeskakiwała na wyścigi wysoki próg, rozbiegając się po całém podwórzu.

Wojna taka każdego dnia się powtarzała, bo ruchliwa zgraja, skutkiem jesiennéj pory do zimy się zbliżającéj, pozbawiona żeru na dworze, coraz więcéj cisnęła się do pomieszkań ludzkich, w których i ciepło i jedyne już dla siebie znajdowała pożywienie.

I tak dzień upływał spokojnie bez troski, bo wszyscy w chałupie Sierpnia zajęci pracą, wieczorem tylko razem zgromadzali się w jedno grono, i gwarząc to o tém to o owém, zajmując się przygotowaniem sieczki lub obroku dla dobytku, albo naprawą różnych drobiazgów gospodarskich, spożywszy wspólnie wieczerzę i po doprowadzeniu zwykłego we wszystkiém porządku, układali się z pacierzem na ustach do spoczynku, aby z pokrzepionemi siłami na nowo mogli się oddać czekającéj ich jutro pracy.

Wszystko więc okazywało, że szczęście zdawało się mieszkać w skromnéj chacie Sierpnia: i tak też było w rzeczy saméj, bo i czegóż do szczęścia ziemskiego mogło jeszcze brakować? Janek całém postępowaniem usprawiedliwiał pochlebną o sobie opinią daną przez swatów: pana Józefa i Łazę; pracował, szanował i słuchał Wojciecha, kochał Basię, która mu się całą wzajemnością niepokalanego serca odpłacała, a Wojciech spoglądając

na szczęście jedynaczki i statek przybranego zięcia, nieraz w modlitwie dziękował Bogu, że go nie opuścił, że mu dał taką pomoc w zatrudnieniach gospodarskich, i takiego opiekuna dla ukochanego dziecka.

Wierny więc uczynionemu ślubowi i w chęci podziękowania i zaskarbienia nadal tak widocznéj łaski Boskiéj, we dwa miesiące po odbytém weselu, Sierpień zajął się fundacyą krzyża: zwiózł stosowny na to materyał, wydłubał wypisane przez Władysia litery na poprzecznem ramieniu: *Błogosław nam Boże*; a u spodu: *Wojciech Sierpień fundator dnia* 10 *grudnia* 1820 *roku prosi o łaskę Boga dla dzieci*; i wymalowany czerwono, wkrótce przy zbiegowisku całéj ludności wiejskiéj i stosownéj ceremonii kościelnéj, wkopany został za wsią przy drogach przecinających się z sobą, a przez lud zwanych rozstajnemi.

Przybyli na ten obrząd proboszcz miejscowy i pan Józef, zaproszeni potém zostali do chałupy Sierpnia, za któremi weszli Łazowie, Ziemba z wnukiem i kilku innych sąsiednich gospodarzy: bo zwyczaj kazał, aby przy tak pobożnéj fundacyi i o ludziach nie zapominano i uraczono przecieć jakim takim poczęstunkiem.

Kilka więc garncy wódki, pozlewane w różnéj wielkości flaszki i butelki, przygotowano dla spodziewanych gości. Dla proboszcza i p. Józefa z synem, rozchodziła się z komina woń świeżo upieczonego kapłona, a serwetka biała okrywała znany nam stół pod oknem, z wszelkiemi prostemi przyborami do jedzenia, zdając się oczekiwać przybycia więcéj szanownych gości.

Pomimo jednak, że się izba prawie przepełniła nowo przybyłemi, i że kieliszek już niejednę odbył koléj, zgromadzeni żadnym wybrykiem wesołości nie znieważyli religijnéj uroczystości, w imieniu któréj zebrali się w tak znacznéj liczbie.

Jakąś powagą nacechowane były i wzajemne obejście się, i prowadzone rozmowy: jakby każdy jeszcze zostawał pod wpływem pobożnego wrażenia, odebranego przy kościelnéj ceremonii poświęcenia i wkopania krzyża.

Wojciech z Basią i Jankiem krzątali się około gości, zachęcali, prosili częstując wódką, plackiem pszennym i serem, szczególniéj troskliwe dając baczenie na proboszcza i pana Józefa z synem, zajadających już smacznego kapłona.

— Niech Dobrodziéj spożywa z Bogiem—mówił Sierpień z odkrytą głową chyląc się ku kolanom proboszcza—i panosko

niech nie gardzi chłopską pieczenią, bo choć nie ma w niéj pańskich wymysłów, ale cóżta na to poradzi: Dobrodziéj z panoskiem muszą wybaczyć, bo to trudno u chudego pachołka czego lepszego się spodziewać. A panicz, panie Władysiu, jédz paniczu, jédz, u starego Sierpnia nie braknie niczego; mało będzie tego ptaka, choć ja mówiłem Baśce, żeby i kaczkę upiekła, bo przy pomocy Boskiéj téj *gadziny* dosyć się wala po podwórzu, to mój paniczu znajdzie się co innego w komorze Sierpniowéj: bo jak Sierpnie Sierpniami, to nikt jeszcze zpomiędzy tych kątów głodnym nie poszedł do domu. Basiu!—mówił daléj do znajdującéj się niedaleko córki—nie żałuj dla ludowiny poczęstunku: są kiełbasy, kiszki, wędzonki; dawaj moje dziecko, nie żałuj, bo to piérwsza i może ostatnia starego twego ojca *intencyja* na twoje szczęście, moja Basiu. A może ty będziesz lepiéj od Boga wysłuchana jak ja grzeszny człowiek, boć nieraz i modlitwami i nabożeństwem i *fundacyją* figur naprzykrzałem się Przenajświętszemu Ojcu co jest w niebiesiech o zmiłowanie się nad naszą *familiją*, ale wszystko nic nie nadało i.....

— Cicho Wojciechu, nie bluźnij—przerwał proboszcz z powagą — człowiekowi należy się tylko pracować i prosić Boga o opiekę i o miłosierdzie nad naszemi grzechami, ale nie roztrząsać sprawy i rozporządzenia Boskie, i w każdym razie mieć zawsze na uwadze słowa modlitwy naszego Zbawiciela: „Bądź Twoja wola Panie, jako w niebie tak i na ziemi."

— O! sprawiedliwie Dobrodziéj mówi—odezwali się słuchacze, jeden przed drugim cisnąc się do kolan proboszcza; a Sierpień dodał:

— Święte słowa Dobrodzieja, aleta i niedziwota, choć człek we frasunku i powié co przeciwnego: bo jakoś i sercu zaraz lżéj, jak się gęba wygada. Aleta nie o tém teraz gadka, bo to po próżności człek zaraz jakoś smutnieje, a dzisiejszy dzień to dla Baśki i Janka ofiarowany, toby źle wróżył, żeby w nim nie było wesołości. Ot lepiéj paniczu zaśpiewaj nam tę piosnkę:

Hej tam w karczmie za stołem

co to panicz tak *ładno* śpiewał na weselu Basi, że aż człowiekowi dziwne działy się rzeczy.

— Dajcie pokój Wojciechu—odezwał się pan Józef—nie zaprzątajcie chłopcu głowy niepotrzebnemi rzeczami. Posyłam go do szkół do Warszawy, to więcéj powinien myśléć o książce, jak o piosnkach i o śpiewaniu.

— Ej! z przeproszeniem Wielmożnego Pana—odezwał się Łaza z niskim ukłonem—przecióż w tém grzechu nie ma, że człek w śpiewaniu wspomni se o starych rzeczach.

— Dajcie pokój, mój kumie—odrzekł Wojciech—panosko ma *racyją*, bo wy nie byliście tyla w świecie, to nie wiécie, jak co idzie. Zapomnij mój paniczu takiego śpiewania, ale go kochaj i nie *zabaczaj*, że stary Sierpień taką miał z niego uciechę.

— Dobrze mój Wojciechu—odezwał się mały Władyś, junaczą przybierając postawę—dobrze, nie zapomnę, i jak wrócę, to choćbym wąsy miał jak sum, to jak wam zaśpiewam, to mi sami włożycie waszę niebieską czapkę i uściskacie jak syna rodzonego.

— O! uściskam, mój paniczu, i choćbym się ruszać nie mógł, to jeszcze znajdę tyla siły, żebym się mógł z tobą ucieszyć, kochany paniczu, i włożę czapkę, włożę.—W tém miejscu westchnąwszy boleśnie, cichszym głosem dodał jakby do siebie: O! Boże! czemużeś mi nie dał takiego syna!

Stojący na boku Ziemba uśmiechnął się na to szyderczo; Łaza wzruszywszy ramionami potrząsł głową, jakby z niecierpliwości, a proboszcz dodał:

— Mój Wojciechu, Bóg najlepiéj wié co robi.

* * *

I wkrótce gdy się rozeszło zgromadzenie, znowu w chałupie Sierpnia wróciło wszystko do dawnéj jednostajnéj spokojności. Janek młócił w stodole, albo jeździł do lasu lub do miasta ze zbożem, Sierpień zawsze coś znalazł do dłubania w domu, albo téż towarzyszył zięciowi, a Basia szczęśliwa, wesoła, z gotowaniem, praniem lub drobiem wieczne miała zatrudnienie.

Nie byłoto jednak życie, jakiego Janek łaknął i jakiego się spodziewał, gdy jeszcze obraz jego w marzeniu spoczywając, odziany był całym zapałem poetycznego uniesienia. U poety bowiem rzeczywistość wszystko niszczy, gdyż nie znajduje nic takiém, jakie mu się przedstawiało w myślach snutych na tle wrzącego czucia i bujających na skrzydłach wyobraźni daleko od ziemi i od téj prozy, przykuwającéj nas do potrzeb codziennego życia.

Gdyby bowiem poeta raz znalazł na świecie urzeczywistnienie owéj gorączki szamoczącéj mu duszę, byłbyto dowód, że już słabym lotem wzniósł się myślami nad ziemię, że boski ogień poezyi wytlił się w duszy, i pozostałemi zgliszczami po wypalenisku dozwala mu tylko pełzać torem zwyczajnych ludzi, i przestałby być poetą. Bo czyż myśli i wyobraźnia poety są z tego świata?

Czyż one nie są podniesione do tak wielkiéj nieraz potęgi, że rzucone na podziw ludziom, zdają się być Boską mową i Boskiemi myślami?

Czyż poeta nie goni ciągle za ideałem piękna, ową marą zbyt działalnéj swéj duszy, wyrywającéj się ciągle ze związku z materyą, a dążącéj do ogniska z którego wzięła początek; za ową marą, która jako w człowieku, chociaż dąży do objawu w cielesnéj formie, tak jednak jest odziana barwą nietutejszą, nieziemską, że gdy w pochodzie tym zrealizuje się w czyn odpowiedni sobie, wnet utraca cały urok, którym wprzódy błyszczała, i otrząsając ze skrzydeł swoich wszystko co ludzkie, co ziemskie, znów w duszy poety obleka się w nowe szaty, i jak mdłe światełko świecci zdala, wabiąc go na nowo ku sobie, aby go znowu powitać równym zawodem.

Takieto przeznaczenie, taki los każdego poety. Biédny człowiek, którego wola Stwórcy myślą i czuciem postawiła nad drugiemi: bo zapominając o zlepku gliny, w którym się dusza kołacze, najczęściéj wszystkiemi jęczy bólami: serca, duszy i ciała. Szczęśliwy, jeżeli uniknął największéj dla siebie nędzy—materyalnego niedostatku.

W Janku więc jako poecie (jeżeli czytelnik pozwoli kiedy na to, aby chłop mógł być poetą), wszystko to, cośmy powyżéj powiedzieli, musiało wpływać na sprawy codziennego życia; objaw tylko tego na zewnątrz, był naturalnie odpowiednim jego prostocie i zupełnemu brakowi jakiegokolwiekbądź wykształcenia.

Janek jak przyrzekł w dzień swatów, zupełnie się zrobił człowiekiem: w dzień powszedni pracował, święta tylko i niedziele poświęcając wyłącznie towarzystwu Basi.

Lecz nie było na nim widać szczególnéj jakiéjś radości, któréj się należało spodziewać po spełnieniu tego, czego tak gorąco pragnął; owszem, zdawało się nawet, że więcéj spoważniał, jakby posmutniał, bo i figle i żarty nietyle się go trzymały, i o skrzypcach prawie zapomniał, i do karczmy między ludzi ciężko go było namówić.

Wojciech, Łaza i pan Józef, cieszyli się z tej odmiany, powiadając, że się Janek *utemperował*; on jednak nieraz tęskne westchnienie wydobywał z piersi, a matka patrząc na ukochanego i poczciwego syna, jak przyszedłszy do domu i wsparłszy głowę na ręku, wodził w milczeniu oczami po ziemi, pytała się:

— Co tobie Janek? czy-ta we dworze masz jaki frasunek, co teraz tak trudno wydobyć z ciebie jaką gadkę?

— Nic mi matusiu—odpowiedział Janek—ino mi jakoś tak dziwno, żebym uciekł na koniec świata, het! ta Bóg wié gdzie daleko.

— Oj! dziwny z ciebie chłopaczysko! Taką poczciwą bierzesz dziewuchę, i z wianem, i z takiéj *familii*, i zrobiłeś się teraz nikiéj mruk; uciekanie mu do głowy przychodzi nikiéj głupiemu? Ej! Janek, nie obrażaj Pana Boga, i zważaj przecie na to, że i ja przy tobie na stare lata znajdę przytulisko, i nie będę się wyciérać po cudzych kątach i między cudzemi ludźmi.

— Nie bójcie się, matusiu, ja téż ino na to zważam, bo...

— A cicho, dzieciuchu— przerwała matka, oglądając się z niespokojnością — jakby kto usłyszał, toby Bóg wié co przypuścił do głowy, i możeby się wszystko na niczém skończyło.

Rozmowa taka aż do czasu wesela Basi raz tylko miała miejsce, bo tylko ten jeden raz Janek się tak otwarcie wygadał, albo może ten jeden tylko raz był tak zniechęcony czekającą go przyszłością.

Czasem były chwile, że i na skrzypcach trochę pobrzdąkał, i więcéj rozgadał się o Basi; ale to nie na długo, bo wnet przybierał niezwykły dawniéj poważny wyraz twarzy, i ucinając żartobliwą rozmowę albo zawieszając na gwoździu skrzypce, odzywał się jakby do siebie:

— Już teraz trzeba zabaczyć i o śmianiu, i o żartowaniu, i o skrzypcach, a myśléć o chlebie; bo póki się samemu było, to tracha, jak padło, tak padło; ale kiedy się pojmie kobiétę, to trzeba myśléć o statku i zabieganiu wedle gospodarstwa. — I ciężko westchnąwszy, znów się zatapiał w dumaniu.

Taki stan rzeczy pozostał aż do chwili wesela. Każdy z lepiéj mu życzących nie mógł się dosyć nadziwić, jak się w Janku wszystko na dobre zmieniło; ale nikt nie wiedział, co się w jego duszy działo, a czego i sam nie umiałby z pewnością określić. Nie było to jednak niestałością ani lekkością charakteru, jakiemi zarzutami niejeden możeby chciał obarczyć biédnego Janka, ale skutkiem poetycznego jego usposobienia, które wszystko idealizując, nic przedstawiając nic w formach rzeczywistych, zupełnie inaczéj rzeczy pokazywało, jak je mógł od świata otrzymać.

Dlatego, póki połączenie jego z Basią zdawało się być prawie niepodobném, cały zajęty myślami szczęścia, jakiegoby doświad-

czał będąc jéj mężem, w szaloną wpadał wesołość, ilekroć udało mu się być razem w towarzystwie krasnéj dziewoi. Gdy znikły przeszkody, gdy to marzone szczęście już niemal przy nim stanęło, przekonał się dopiéro, że posiadanie Basi nie jest samą tylko rozkoszą taką, o jakiéj przedtém dumał; że tam w obowiązkach małżonka jako gospodarza domu mieści się tyle kolców i głogu, jakich dawniéj nie znał, jakie mu dopiéro przy chłodniejszéj rozwadze, gorączkowém uniesieniem przytłumionéj, w całéj stanęły nagości. Wszędzie słyszał podnoszące się rady i napomnienia, które mu matka i każdy powtarzał:

— Teraz Janku musisz się ustatkować; o graniu trzeba zabaczyć, a wziąć się do pracy, bo przy żonie łatwo o dzieci, a dzieci raz-wraz chleba wołają. Pamiętaj także wszystkie niepotrzebne wymysły porzucić, bo co ujdzie parobczakowi, to *nieładno* wydaje się u gospodarza. Pamiętaj Janku, że dotąd wolno ci było *nikiéj* ptakowi latać po świecie, po weselach, po karczmach, po graniach różnych, ale teraz wszystko to trzeba zabaczyć, bo to wszystko jako gospodarzowi jużby było i *nieładno*, i chleba nie przyniosłoby do domu. Pamiętaj Janku, że żonę się nie bierze dla saméj *ino* uciechy, bo choćta bez niéj nie będzie, ale zawdy więcéj frasunku i starunku jak rozkoszy: *nikiéj* nieprzymierzając jak w tygodniu, co sześć dni jest ciężkiéj pracy, a jedna ino niedziela, a i w tę często dészcz pada, że człek wolałby, żeby to nie było święto, aby mógł pójść do jakiéj roboty.

Janek wszystkiemu temu nadsłuchując, w początkach nie mógł się wydziwić, że mu ludzie przyszłe jego szczęście tak dziwnie przedstawiają, jakby ono nie było takiém, jak je pojmował i pieścił w duszy swojéj.

Późniéj, przy chłodniejszéj rozwadze, pomału z każdym dniem więcéj zaczął odkrywać, że w tém wymarzoném szczęściu mieszczą się istotnie i owe kolce, o których ludzie wspominali, a o jakich wprzódy ani pomyślał; dlatego czując konieczną potrzebę odmiany całego siebie i pożegnania się z tém wszystkiém, co go przedtém tyle robiło swobodnym, spoważniał, posmutniał, jakby zawczasu układał się do roli, która go w przyszłości czekała.

Miłość jednak dla Basi, choć to dziwném zdawać się będzie, nic na swojéj potędze nie straciła; była tylko więcéj spokojniejszą, nietyle gorączkową i szamotaną wichrem bujnéj jego wyobraźni: jak płomień lampy, gdy rzucany na wszystkie strony cią-

giem poruszanego powietrza, przeniesiony zostanie w miejsce osłonione, i paląc się spokojnie, i żywiołu nietyle niszczy, jaki mu daje życie, i migotaniem nie razi przypatrujących mu się oczu.

Miłość ta najlepiéj się objawiła, gdy dnia jednego Basia przy żniwie okropnie się przypadkiem skaleczywszy, krzycząc z bólu i ze strachu nagle zemdlała; wówczasto Janek sądząc w piérwszém zamieszaniu, że Basia umarła, w taką wpadł rozpacz, takiéj znów samym sobą wrzawy narobił, że otaczające osoby były pewne, że Janek oszalał. Lecz rozpacz Janka zupełnie była naturalną, bo gdy zobaczył Basię martwą i zbroczoną, w jéj utracie widział i stratę owego czekającego go szczęścia, które wobec zemdlonéj dziewoi z całym dawnym urokiem poezyi błysnęło mu przed duszą, i podwójnéj znowu nabrało wartości.

Gdyby w tym uroku zawsze się przyszłość do Janka uśmiechała, niby mu do życzenia nie pozostawało; ale czyż tak mogło być? Czyż nasza ziemia zasłana jest samemi kwiatami poezyi? Czyż ich nie stara się przygłuszać pokrzywa i oset prozy!

Dnie więc do wesela przechodziły Jankowi rozmaicie: czasem w osmutnieniu i jakiéjś tęsknocie za przeszłością, czasem cokolwiek weseléj, zawsze jednak we wszystkich jego sprawach przebijała się wielka zmiana, która przez nikogo właściwie niepojęta, uważaną była za ustatkowanie się i przyjście Janka do rozumu.

W dniach przygotowawczych do uroczystości weselnéj i w samo wesele, Janek na chwilę stał się znowu dawnym Jankiem: tańczył, śpiewał, rozśmieszał żartami, ale oko badacza łatwoby dostrzegło, że w tém wszystkiém nie ma owéj swobody, owéj naturalności, która niegdyś cechowała wszystkie jego czyny, i że więcéj wygląda na pieśń pożegnalną minionéj bezpowrotnie przeszłości, jak na prawdziwe weselenie się dawniéj tyle uciesznego Janka.

Po weselu zmiana całego usposobienia Janka z każdym dniem była widoczniejszą: stał się cichym, łagodnym, posłusznym wszelkim rozkazom Sierpnia, jak człowiek, co się poddał zesłanemu nań nieszczęściu, i bez szemrania w pokorze chrześciańskiéj znosi los, jaki mu okoliczności zesłały.

I nic dziwnego:—jak u poety. Codzienny widok Basi, owa tyle wabna rozkosz, przedstawiająca mu się dawniéj tylko w marzeniach niepodobnych do urzeczywistnienia, wszedłszy w rutynę

codziennego życia, musiała tém samém stracić cały urok poetycznego uniesienia i wyrodzić ten niesmak, to niezadowolenie, jakich doświadczamy po zawiedzionéj nadziei.

Janek więc smucił się, choć sam nie wiedział dokładnie dlaczego. Czuł, że kocha Basię, a jednak zdawało mu się, że ona temu winna, iż nie ma takiego szczęścia, jakie mu się zdawało że przy niéj otrzyma, jakie marzył, gdy bujał po świecie niezwiązany ślubami małżeńskiemi. Stary Wojciech zmianę Janka uważał bardzo naturalnie, i ciesząc się z tak poczciwego i kochanego zięcia, mówił:

— Dobrze powiedział kum Łaza, że kto się ożeni, to się odmieni: bo i z Janka taki się zrobił potulny chłopaczysko, że ino go do rany przyłóż. O! Ziemba miał dobry nos, że pragnął go na zięcia: byłby też nim orał nikiéj szkapiną.

Gdy Wojciech tak się cieszy, serce Basi instynktowo przeczuwało, że Janek nie jest dla niéj takim, jak zdawało się, że nim będzie, sądząc po jego tak czułém i stałeczném przywiązaniu, gdy była jeszcze dziewuchą. Wprawdzie nie mogła mu nic zarzucić: ani braku przywiązania, ani sposobu obchodzenia się z nią, ani własnemu jego postępowaniu; ale czuła, że ta zmiana więcéj jest smutkiem chociaż nieodgadnionym, jakby żalem że się z nią połączył, niż naturalną przemianą z przekonania wypływającą.

Smucił się więc Janek, smuciła się i Basia, starannie przed ojcem smutek swój ukrywając; lecz ten im więcéj duszę jéj opanowywał, tém więcéj odstręczała od siebie Janka, jako coraz większą upatrującego różnicę między dzisiejszą ponurą, małomówną Basią, a dawniejszą tyle uroczą dziewuchą.

I tak małżonkowie w kilka miesięcy po ślubie w coraz większém żyli od siebie oddaleniu; wprawdzie bez wyrzutów, bez swarów, ale i bez tego wzajemnego zlania się w jedność, jakie nam małżeństwa dobrze dobrane przedstawiają.

Tak znowu ubiegło kilka tygodni, i oziębłość między małżonkami tak się nareszcie stała widoczną, że nawet zwróciła uwagę Sierpnia. Zapytany Janek i Basia złożyli to wszystko na przywidzenie ojcowskie, i choć uspokoili troskliwość Wojciecha, zostali jednak zawsze w jedném od siebie oddaleniu.

Nareszcie Basia nie mogąc już dłużéj wytrzymać, czyszcząc jednego dnia z Jankiem w stodole pszenicę na targ do miasta, gdy po upływie blizko całéj godziny i jednego prawie słowa do siebie nie przemówili, nagle położywszy przetak na klepisku, sama oparła

się o zapolnicę i zasłoniwszy oczy fartuszkiem, rzewnym zalała się płaczem.

Janek z początku nie zrozumiał co znaczy tak nagłe poruszenie Basi, lecz gdy po łkaniu poznał że płacze, zbliżył się do niéj i wpół ujmując zapytał:

— Basiu, co tobie jest? czegoż płaczesz? czyś chora, czy cię tatuś połajali? Basiu! gadajże przecie; moja Basiu i czegóż płaczesz?

Ale Basia tylko łkaniem odpowiadała na zapytania Janka; czém ten poruszony przysunął ją bliżéj siebie i mówił daléj:

— Moja Basiu, i czegóż płaczesz? ja cię tyla kocham.....

— Albo to prawda?—przerwała Basia z jednym zawsze płaczem—żebyś ty mnie kochał, toby ja tak nie płakała, toby ty więcéj zważał na mnie.....

— Basiu, a do ciebie co znowu przystąpiło?—odezwał się Janek zmieszany cokolwiek takim dość trafnym zarzutem—Czyż cię nie szanuję? czy tatuś mogą na mnie powiedzieć jakie użalenie? Zkądże ci znowu takie rzeczy przyszły do głowy, czy to my nie z kochania pobrali się z sobą?

— Juścić ja-ta wiem że z kochania, ale teraz to wszystko inaczéj. Dawniéj, mój Boże—mówiła Basia odejmując fartuszek od oczu i z załamanemi rękoma smutnie potrząsając głową—to gdzieśmy się zeszli, trudno nam było nagadać się z sobą; zawsze w *gadce* umiałeś co nowego wywieść, że ludzie wydziwić się nie mogli, jak nam gęby do rozgadek nastarczy. Dawniéj *kaj* ino ja byłam, kaj się obróciłam po świecie, czy do karczmy, czy do kościoła, *zawdy* ty mnie znalazłeś i ludzie wtedy tyla mieli z tobą uciechy, tyla zawdy było śmiechu, że się-ta o wszystkiém zabaczało: a teraz...—W tém miejscu Basia znowu zasłoniła oczy fartuszkiem i zalewając się łzami, mówiła daléj: - O mój Boże jedyny! o Matko Boska cudowna!....

— Moja Basiu—przerwał rzewnym głosem Janek—prawda, masz *racyją*: wszystko tak było jak powiadasz, ale teraz jakoś mi się wszystko tak *przeinaczyło*, tak mi jakoś dziwno..... Ale moja Basiu ja cię zawdy jednako kocham, ino widzisz..... ot... tak... sam nie wiém, czy-ta złe jakie do mnie przystąpiło, czy co? czy urok? czy Boskie nasłanie?

— O! dobrze ludzie mówili—odezwała się Basia—że u ciebie wszystko jak wiatr, nikiéj jaki głupi; ale jakbyś takim *zawdy*

miał jak dzisiaj zostać, tobym wolała się zatracić, wolałabym się utopić, jak *zawdy* chodzić w takiém zmartwieniu jak dzisiaj. Kiedyś mnie zagubił, bo te oczy dosyć się teraz po nocy napłakać nie mogą, to idź se lepiéj gdzie w świat między ludzi, kiedy ci tak źle przy Baśce, jak masz mi robić tyla zmartwienia. Ja przecież nie z majątku chciałam ciebie, *ino* z prawdziwego pokochania, a ty zabaczasz o tém i codzień taki się robisz dziwny, jakbyś nie wszystko miał dobrze w głowie. Jeżeli nie masz baczenia na mnie i na ludzi, to zważaj se na Boga, i jakbyś nazawdy miał zostać takim, to lepiéj ruszaj se w świat, żeby cię i oko moje nie widziało, a ja i tak przecież nie zginę, przecież dam sobie radę.

Scena ta przerwana wejściem Wojciecha nie została bez wpływu na Janka. Oziębiona znacznie jego miłość nagle ożywioną została wyznaniem tak szczerém prawdziwego przywiązania i wspomnieniem owych błogich chwil, w których mu się obecność w tak czarodziejskiéj przedstawiała barwie, w jakiéj marząc o niéj nie śmiał nawet spodziewać się urzeczywistnienia. Przytém pogróżka utracenia życia, jak również i zachęta do odstąpienia Basi, gdyby miał i daléj równie obojętnym pozostać, sprowadzając naturalną myśl utraty tego, co z taką wytrwałością i po tylu przeszkodach zaledwie zdobyć potrafił, wywołując wrażenie nowe zupełnie, przedtém mu nieznane: stało się dla jego ziębnącéj miłości jakby iskrą elektryczną, która raptownie wstrząsając całą moralną stroną, przynajmniéj na jakiś czas zdołała przywiązanie jego do Basi dawnym poruszyć ogniem i życiem.

Tak też było w rzeczy saméj: Janek udobruchany ucałowawszy Basię, po licznych wzajemnych wymówkach z odwoływaniem się do minionéj przeszłości, przyrzekł więcéj już nie być takim nurkiem milczącym, i cały wieczór tak był wesołym i swobodnym, jak za dawnych czasów: bo i pośpiewywał, i żartował, i wygrywał na skrzypcach skoczne obertasy, o czém zdawało się, że już zupełnie zapomniał.

Basia cała promieniła szczęściem, a stary Wojciech z matką Janka, która po jego ożenieniu wraz z nim do synowéj się przeniosła, nie mogąc pojąć tak raptownéj przemiany, chociaż podzielali dzieci swych niezwykłe uweselenie, nie bez pewnéj obawy poruszając ramionami odezwali się do Janka:

Co tobie Janek się zrobiło, żeś taki wesoły? czyś się upił czy co?

— Oj! opiłem się, opił—odpowiedział Janek chyląc się do nóg rodziców—ale kochaniem, mój serdeczny tatusiu i moja droga matusiu.—Starzy wzruszyli tylko ramionami nie mogąc Janka zrozumiéć, ale więcéj nie badali ciesząc się zobopólném szczęściem ukochanych dzieci. Stan jednak taki rzeczy w umyśle tak niespokojnym jak Janka, nie mógł się długo utrzymać. We dwa miesiące po odbytéj scenie z Basią, pomału znowu wróciła dawna tęsknota, dawny smutek, tém straszniejszy dla Basi, że w wymówkach poprzednio użytych nie znajdowała już tyle skutecznego środka, jak to się jéj raz tak pomyślnie udało. Gdy Basia robiła porównanie przeszłości z teraźniejszém jego postępowaniem, Janek słuchał, wzdychał, skrobał się w głowę, a ujrzawszy łzy płynące po ładnym jéj buziaku, tuląc do siebie odpowiedział:

— Cicho Basiu, cicho moje dziecko, nie płacz: przecież ja cię jednako zawsze szanuję, i już lepszéj szczerości dla nikogo nie będę miał, jak mam dla ciebie. Ale widzisz, ty tego nie rozumiész, ty tego nie wiész, co się we mnie dzieje; a choćbym ci opowiedział, gdybym umiał, wszystko jak mi się przewraca w głowie, tobyś się może i nie śmiała, i powiedziała, że Janek napiękne ogłupiał. Bo widzisz, że i ja *se* nieraz tak myślę: chociaż Boga chwalić mam wszystko co mi potrzeba: i dojadek uczciwy, i okrycie na siebie, i ciebie moja Basiu, i matusia już się nie walają po świecie, a jednak takie dziwności chodzą mi po głowie, tak mi smutno kaj ino spojrzę, tak mi się zdaje, że w dawności wszystko było lepiéj, że czasem gdybym nie zważał na siebie i na tatusiów, to *ino ino* cobym się nie rozpłakał. Dlatego moja Basiu nie miéj złego serca dla mnie; przecież może Bóg to wszystko jako odmieni, bo jakby tak na *zawdy* miało pozostać, to chyba przyszłoby człekowi oszaléć. Moja Basiu, moje dziecko, nie płacz już, nie płacz.— I Basia uspokojona chwilowo, z nadzieją w sercu oczekiwała zmiłowania Bożego, a Janek z małemi odmianami jednym zawsze pozostawał.

I czyż mogło być inaczéj? U poety, u téj nieszczęsnéj istoty goniącéj zawsze myślami za ideałem piękna, wszędzie go się domyślającéj, a nigdzie nieznajdującéj wiernéj kopii utworu swojéj wyobraźni, każde wrażenie póty działa, póki młode i świeże; raz poznane, traci prawie całą swą dzielność, zaledwie stając się słabym odblaskiem owego piérwszego wywołanego przez siebie uczucia.

Dlatego też przywołane przez Basię wspomnienie dawnéj ich miłości, owych błogich bez końca pogadanek, jako nowość dla

Janka tak rzewnie przez Basię przedstawiona, i w nieznaną mu dotąd formę słów ujęta, raz piérwszy silne zrobiła wrażenie; więcéj użyta przestawszy być nowością, zamieniła się dla Janka w nudzącą wymówkę. Gdyby Basia była dzieckiem naszéj cywilizacyi, poznawszy tak chorobliwe usposobienie swego męża, wyrozumowaną zalotnością, pobudzaniem zazdrości lub innemi podobnemi środkami, używając koleją dzielnych tych broni, możeby umiała na jednym stopniu utrzymać gasnący zapał dawnego kochanka; ale Basia prosta córa wioski, poprostu myśląca i działająca, czując tylko że się jéj serce ściska na każdą myśl o powiększającéj się dla siebie obojętności Janka, naprzemiany to smutniała, to się gniewała, albo też nieraz gdzie na uboczu doskonale się wypłakała, a tém samém jeszcze go więcéj od siebie odstręczała.

Janek bowiem patrząc na Basię, zobaczywszy albo oczy od płaczu zaczerwienione, albo pełną dąsów, całą spochmurniałą, zmarszczywszy brwi z niezadowolenia, mówił do siebie:

— Co ta kobiéta chce odemnie? co ona dokazuje? Widać, że się jéj już naprzykrzyłem, bo żeby ona miała dla mnie dawne kochanie, toby nie chodziła tak po izbie nikiéj ślepa i głucha, *ino* by zważała co się ze mną dzieje, i miałaby jakie ulitowanie. A tu ona ani spojrzy na mnie, ani powié co przyjemnego: wszystko ino stronami. Mnieby się prawie ptak napłakał, a ona żadnego nie daje pocieszenia. O! niech cię Bóg kocha, i niech ci da jakie upamiętanie, bo człekowi wypadnie chyba w świat pójść na potyrkę.

Uwagi takie, już kilka razy były przez Janka robione w milczeniu, aż dnia jednego Janek jakoś więcéj rozgniewany kilkodniowém posmutnieniem Basi, potrząsnąwszy z gniéwem głową i szepnąwszy w myśli:

— Nigdzie żadnéj przyjemności: ni z kim pogadać, ni się użalić; a róbta sobie co chceta — nagle wybiegł z izby i prosto pobiegł do karczmy.

Wypadek chciał, ponieważ to było wieczorem, że znalazł tam dwóch parobczaków dawnych swych towarzyszy, którzy powracając z miasta, gdzie kosy kupili, wstąpili na odpoczynek i na pokrzepienie się kieliszkiem kartoflówki. Rozpoczęło się zaraz witanie, żartobliwa gawęda, jak zwyczajnie między młodemi, i gdy po jednym i drugim kieliszku coraz się więcéj języki zaczęły rozwiązywać, Janek chociaż nie pijany, ale zupełnie rozweselony, po

godzinnéj zabawie powrócił dopiéro do domu. Zapytany przez Basię z pewnym rodzajem gniewliwego wyrzutu za tak nagłe oddalenie się:

— I gdzieżeś-ta był tak długo, żeśmy z wieczerzą na ciebie czekali aż na piękne wystygła?

— Gdziem był, tom był — odpowiedział z równém ofuknięciem Janek — bo tobie wszystko jedno, kaj ja się obracam. Poszedłem tam, kaj mnie nic nie smuci, kaj mi weseléj, kaj ludzie nie tak jak ty na mnie się boczą.

Janek to powiedziawszy, zaczął sobie poświstywać przechadzając się po izbie, potém zdjął skrzypki ze ściany gotując się do grania. Ale zaledwie brzdąknął kilka razy palcami po strunach, zaraz dał się słyszéć niecierpliwy głos Basi:

— Czy ty oszalał, czy co? Tatuś i matusia już dawno się pokładli, i gdy ludzie o spaniu myślą, to jemu pogwizdywanie i chodzenie wtedy dopiéro do głowy przychodzi. Nie było latać Bóg wié gdzie, tobyś był grał co ino sam chciał; a to oczywiście coś mu do głowy przystąpiło!

Janek nic nie odpowiedział, oczy mu się tylko od tłumionego gniéwu iskrzyły, i ze złością cisnąwszy skrzypce na łóżko, siadł na skrzynce wspierając głowę na ręku.

— Oj! udało mi się, udało — mówił sam w sobie Janek — bodaj takiego ożenienia nikt nie zaznał na świecie: ni w domu żadnéj uciechy, ni wesołości. Kiedy człowiekowi i to i owo przyjdzie do głowy, że go *ani weź* do rozgadki, zaraz wszyscy na niego: a czegoś taki nurek, a czego się smucisz? Kiedy *znowuj* człek się zacznie weselić, to mówią, że się opiłem. Jak pójdę trocha między ludzi, to mnie przezywają żem latawiec i zaraz: kajżeś był, cożeś robił? Chcę pograć trocha na skrzypcach, juścić w krzyk: czy ty oszalał, czy zgłupiał, czy ci co do głowy przystąpiło? A to wszystko ino dlatego, że nie ma w domu dla mnie żadnéj przyjaźni, że Basia ze wszystkiém się odmieniła, i anita trocha nie jest taką, jak była dziewuchą: wtedy wszystko się jéj podobało, a teraz byle co, to zaraz jest z przeszkodą.

O! biédny ja biédny! Przyjdzie się chyba człekowi zmarnować, bo tak teraz mi wypadło, nikiéj nie przymierzając szkapinie, co ją spętają i jeszcze za nogę na postronku uwiążą, żeby ino tam chodziła, kaj się ludziom podoba. Oj! Baśka, Baśka! zagubiłaś mnie napiękne! Powstajesz *zawdy* na mnie, że ja nie taki jak da-

wniéj byłem; mój Boże! jakże tu być takim, kiedyś ty się ani umywała do dawnéj Baśki, co za kawalirstwa miałem tyla dla niéj kochania. Wtedy zawdy ino ze śmianiem i wesołością patrzała na mnie, a oczy to nikiéj gwiazdy w nocy, tak kochaniem świeciły; a teraz co? to się boczy, to płacze, a zawdy: a tego nie rób, a owego nie rób. A czy Boskie nasłanie, żeby.....

— I czegóżta tak mruczysz? — przerwała w tém miejscu Basia, już leżąca w łóżku. przytłumionym głosem, żeby śpiących rodziców nie pobudzić — nie możesz iść spać?

Janek tylko potrząsł z niezadowoleniem głową i mruknąwszy pod nosem:

— Ot nie mówiłem: jedno *zuzdy* w gębie i *juści* — i wyszedł z izby na noclég do stodoły.

Naturalnie po takiéj scenie małżonkowie coraz się więcéj od siebie oddalali. Basia gryzła się. martwiła, po nocach szczerze płakiwała, a wycieczki Janka do karczmy coraz częstszemi i dłuższemi się stawały, na które czasami zabierając i skrzypce, nieraz dobrze podchmielony wracał późno do domu.

Gdyby Basia stan swego cierpiącego serca, swego żalu za zawód w miłości, w dobranéj formie słów mogła była Jankowi przedstawić i siłą rozumowania okazać całą przepaść, do któréj sam dążąc, tak nieoględnie i ją pociągał za sobą; być może, że Janek wezwawszy całą siłę woli możeby się i upamiętał, i choć z trudnością wszedłby na drogę prawości i wiernego wykonywania przyjętych obowiązków, jaką każdy poczciwy człowiek postępować winien. Gdyby znów Janek umiał się głębiéj zastanawiać, możeby także sam poznał właściwą przyczynę swego niezadowolenia i choć nie z serca, ale z głowy wyprowadzając każdy czyn domowego pożycia, Basi dałby szczęście, a sobie przynajmniéj wewnętrzną radość z dumy wynikającą, że w tak niebezpiecznéj z samym sobą walce stał się zwycięzcą, i dał dowód potęgi silnéj woli. Ale Basia i Janek oboje nieuczeni, więcéj czujący jak rozumujący, jeżeli przemówili do siebie, to zawsze z wyrzutami, z fukiem, z gniewem; co naturalnie jeszcze więcéj zniechęcając, zdawało się z każdym dniem większy robić rozdział w przywiązaniu między małżonkami.

Taki był stan rzeczy do chwili rozpoczynającego się na nowo przerwanego opowiadania. Widzimy więc Basię zmartwioną, smucącą się, a Janka na bardzo złéj drodze, bo dążącéj do rozpusty. Czy jednak cofnie się z niéj lub coraz szybszym krokiem

posuwać się będzie do widocznéj zguby? — w dalszych wypadkach to zobaczymy. Ale zaiste szeroka to droga co wiedzie do zatracenia, a wązka i pełna cierni, prowadząca do cnoty i prawości.

Trzebaby więc, aby Janka uderzyła jakaś idea nowa tak wielka i piękna, że poruszywszy całą jego duszą w dążeniu do celu przez siebie wskazanego, zamknęłaby zarazem konieczność zupełnéj siebie odmiany.

Czy jednak myśl taka dla prostéj głowy Janka znaleźć się potrafi? Czy on ją zrozumié i pojmie i będzie miał dosyć siły do pójścia w każdym razie za jéj rozkazem? Nie uprzedzajmy wypadków, a te słów kilka dlategośmy przedstawili, aby przynajmniéj zawcześnie wyrok potępienia nie padł na biednego Janka, jeżeli w przyszłości na potępienie zasłuży.

Całe to postępowanie Janka, tyle zmartwienia Basi przynoszące, osłonione było największą tajemnicą. Raz, że Wojciech potulnością i ochoczém wypełnianiem prac gospodarczych jak najlepiéj się uprzedził względem urwipołcia Janka, jak go niegdyś nazywał; powtóre, że Basia przez wstyd i wrodzone uczucie własnéj godności, nietylko żadném słowem nie zdradziła moralnego cierpienia, ale nawet wszelkie pod tym względem, choćby najmniejsze, starała się usuwać podejrzenia.

Zresztą i bywanie Janka w karczmie nie było tak częste i po większéj części trafiało się z soboty na niedzielę, jako w porze poprzedzającéj dzień wolny od wszelkiéj pracy.

Kilka razy tylko się zdarzyło, że z bałamuceniem zawadził o dzień powszedni, z którego naturalnie, chociaż przy najszczerszém wyznaniu prawdy łatwo się wytłumaczywszy, nie wzbudził niczém obawy Wojciecha.

Sierpień więc nic nie wiedząc i niczego się nie domyślając, spokojny o los jedynéj córki, przemyśliwał tylko dzień i noc, jak zamiar osadzenia synowca na swojém ojczystém gospodarstwie przyprowadzić do skutku, żeby i Basia biedy nie znała, i ojcowizna, stare Sierpniów gniazdo, w cudze nie przeszła ręce.

Ziemba zaś jak jastrząb, gdy bujając w powietrzu krąży dokoła i upatruje z wysoka zdobyczy, aby się na nią rzucić z największą szybkością, milczkiem, w cichości, z chytrością lisa a węchem ogara, śledził każdy krok tak Sierpnia jak i Janka. Piérwszego, żeby mógł odgadnąć właściwe względem rozporządzenia majątkowego zamiary; drugiego, żeby lepiéj poznać i w razie potrzeby

stosownych użyć środków do wyzucia z drugiéj połowy własności, na całość któréj czyhał z taką wytrwałością.

Piérwsze niczém nieskażone Janka postępowanie cokolwiek go trwogą przejęło; ale Ziemba nie był z tego rodzaju ludzi, aby lada czém zaraz się zrazić, i pomyślawszy w duchu: poczekajmy, „kto chce psa uderzyć, to kij znajdzie", czekał cierpliwie. Ale gdy drugi i trzeci miesiąc upływał, a w Janku żadnéj zmiany nie dopatrywał, bo co się działo w nim samym, tego nikt nie wiedział; gdy robione mu oświadczenia z gotowością wszelką pożyczenia pieniędzy spełzły na niczém, bo Janek szlachetną uniesiony dumą powiedział, że ma swego tatusia Sierpnia i do niego tylkoby się udał z takim interesem: Ziemba coraz się więcéj zaczął niecierpliwić, nie tracąc jednak nadziei, że prędzéj późniéj, tym lub owym sposobem musi swego dopiąć. Dowiedziawszy się zatém o częstszém nawiedzaniu karczmy przez Janka i tém samém o powolném zwracaniu do dawnego trybu życia, aż się rozśmiał z radości i zacierając ręce, wyrzekł sam do siebie:

— Bogu dzięki, kiedy się zaczęło, to i pójdzie daléj, a ludzie gotowi potém powiedzieć, że ja go zgubił; ale to wszystko *bez* zazdrość, bo że ja staranniejszy i ubiegnę drugich, kiedy Pan Bóg kogo za zbytki i grzechy karząc zabiéra mu majątek, to zaraz wszyscy na mnie, jak na psa cudzego. Ojl wié Pan Bóg co robi, i dlatego tak mi jakoś radośno... tak mi ucieszno...—i Ziemba ująwszy się ręką za serce, aż się rozśmiał głośno, jakby konwulsyjnie.

Ale radość z tego doniesienia nie była długą, bo na drugi dzień dowiedział się, że Wojciech zaprosił do siebie pana Józefa, proboszcza, Łazę i miejscowego wójta gminy, aby zrobić rozdział majątku i wprowadzić jeszcze za życia w wykonanie dawno względem swego synowca ułożony zamiar.

Ziemba na tę wieść ledwo nie zemdlał. Zbladł cały, wargi mu się zatrzęsły, oczy aż zaświeciły ogniem dawno w nich niewidzianym, i ściskając pięść zawołał ze wściekłością:

— Szelma nie taki człowiekl i powiadają, że Sierpień poczciwy? A bodajeś.... kiedy tak o mojéj krzywdzie czyli o krzywdzie mego wnuka myślisz; ale poczekaj, z Ziembą taka się sztuka nie uda: ja znam prawo, ja ci pokażę, co to Ziemba znaczy.

I cały trzęsąc się ze złości, ujął kij w rękę i udał się prosto ku chałupie Sierpnia. Byłoto w jego życiu drugie zdarzenie: jedno, kiedy straciwszy przez pożyczkę pieniądze lat kilka ciułane porwał się do ekonoma, i dziś drugie, kiedy widząc się już blizkim celu

kilkoletnich marzeń, nagle zagrożony został zupełną ich utratą. W obu wypadkach wychodząc z granic zwykłéj mu ostrożności i umiarkowania, szedł za głosem poruszonych namiętności: w piérwszym przypieczętował skórą, w drugim sądził jednak, że nie mogąc już dłużéj czekać, powinien stanowczo w imieniu małoletniego wnuka wystąpić i bez żadnych ogródek zadać stanowczy cios wszelkim projektom Wojciecha.

Idąc, miał czas cokolwiek ochłodnąć i upamiętać się, a chociaż wewnątrz burzyło się w nim wszystko, powierzchownie zdawał się być zupełnie spokojnym, jedném tylko febryczném trzęsieniem warg odpowiadając poruszonym namiętnościom.

Gdy otworzył do Sierpnia drzwi, został Basię zajętą porządkowaniem w izbie, zapewne na przyjęcie spodziewanych gości. To go do reszty oburzyło, bo chociaż słabą, lecz miał jeszcze nadzieję, że otrzymane doniesienie może być prostą tylko bajką.

Widokiem czynionych przygotowań wątpliwość została rozwiązaną, tém bardziéj, gdy przy wejściu usłyszał polecenie Wojciecha, aby stół dobrze wytarto, bo na nim będą pisać.

Ziemba widząc, że to nie przelewki i spodziewana zdobycz wymyka mu się prawie z ręki, musiał użyć całéj mocy duszy i zbieranego po świecie doświadczenia, aby nie wybuchnąć z wrzaskiem i przekleństwem na mniemanego winowajcę, i o ile można w spokojności i umiarkowaniu całą rzecz załatwić. Do takiego uspokojenia się chwilka czasu dostateczną była; ale mimo największéj usilności nie mogła wywrzéć tak wielkiego wpływu, aby w ruchu i w mowie Ziemby nie wyrażało się choć w setnéj części to, co się wewnątrz niego działo.

Jak tylko wszedł do izby, nie powiedziawszy nawet zwykłego wszystkich włościan pozdrowienia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", stanął na środku izby i przyjrzawszy się wszystkiemu, po pauzie milczenia przemówił, ale głosem jakby nie swoim:

— A kogożto się sąsiedzie dzisiaj w gościnę do siebie spodziéwacie?

Ton mowy, gest twarzy Ziemby tak były dziwne, tak niezwykłe, tak gburowatością swoją nawet oburzające, że Sierpień w piérwszéj chwili oniemiał, nie rozumiejąc nawet, co się to znaczy, sądząc, że Ziemba albo się upił, albo zwaryował. Ale gdy tymże samym tonem drugi raz usłyszał powtórzone pytanie, gdy w części zaczął się domyślać powodu tak niemiłych mu nawie-

dzin; Wojciech zmarszczył brwi i z powagą cechującą każde jego poruszenie, odpowiedział:

— A i cóżto wam mój sąsiedzie po téj ciekawości? Co wam na tém zależy choć się dowiécie, kto będzie dziś u mnie?

— Co mi na tém zależy?—powtórzył jednym tonem Ziemba, ale nagle powstrzymując się w wzrastającém uniesieniu, mówił daléj coraz spokojniejszym głosem, jakby inny Ziemba rozpoczął rozmowę, a inny ją teraz prowadził.—Widzicie, mój sąsiedzie, juścić musi mi coś na tém zależéć, kiedy was o to zapytuję: bo ja słyszałem, *ino* nie wiem, czyta można wierzyć ludzkim gadkom, bo przecież wy mój sąsiedzie macie swój rozum, swoję kalkulacyą i przecież....

— No i cóżeście słyszeli?—przerwał z widoczną niecierpliwością Sierpień.

— A dziwne rzeczy, mój sąsiedzie, ale to nieprawda, bo wy nie krzywdziciel, wy zawsze Boga macie w sercu, wy pamiętacie.....

— Ale coście słyszeli?—zawołał powtórnie Sierpień uderzając w stół pięścią z taką gwałtownością, że aż Basia ze strachu krzyknęła.

Ziemba cały także gniewem zawrzał i krztusząc się, jakby go dławiły słowa, które określały myśl tak dlań niemiłą, zaledwie odpowiedział trzęsącym głosem:

— Oto tom słyszał, że wy ojcowiznę chcecie zapisać swemu bratunkowi, a własne dzieci ukrzywdzić.

— A wam co djabli do moich dzieci? Czyto nie moje, czy co?

— Ani słowa że wasze, ale ja mam wnuka po waszéj córce a swoim synie, i nie dam mu krzywdy zrobić.

— Co? ty stary trupie!—wrzasnął stary Sierpień—a zasie tobie od mojéj pracy, bo....

— Zasie albo i nie zasię, bo wy Sierpień a ja Ziemba, a kiedy wy dbacie *o familią*, to i moja także nie ostatnia....

— Co? twoja *familia* i zgniłego jabłka niewarta! Urodziłeś się może gdzie pod płotem, i w co se ty *dufasz*? Może w krzywdę ludzką? może w te *prowizyje*, co złoty pożyczysz, a pięć odbierzesz;.... może.

Prawda w oczy kole. Ziemba słowami temi dobodzony do żywego stracił całą powstrzymywaną dotąd cierpliwość, i jak ten dzik w kniei, co już nie patrząc na skutki i tylko rąbie kłami na

prawo i lewo, przerwał nagle Sierpniowi i wyciągając przed siebie ręce, jakby niemi groził, zawołał:

— Ty stary ośle, ja ciebie i całą twoję *familiją* mam u siebie pod podeszwą w bucie, i.....

— Co, ty?—zawołał Sierpień w gniewie wyszłym ze wszelkich granic, z twarzą nabrzękłą żyłami, z których zdawało się, że krew tylko co nie tryśnie—ty se będziesz pysk uciérał moją familią? O Matko Boska cudowna! a ty światowcze, obieżyświecie, pańszczyzniaku, ty w moim domu będziesz mi z taką gadką wyjeżdżał.....

I tak w słowach buchając gniewem, Sierpień choć staremi, ale jeszcze krzepkiemi rękoma porwał Ziembę za bary, wypchnął naprzód do sieni, a potém ująwszy jedną ręką z tyłu za szyję, tak, że z dławienia Ziemba aż oczy wytrzeszczył, a drugą silnie oparłszy o plecy, wyrzucił na podwórze jak wiecheć słomy, dopomagając jeszcze uderzeniem kolana.

Ziemba tak szybko i niespodzianie napadnięty, nie miał nawet czasu do obrony, i dopiéro się opamiętał, jak wypchnięty z sieni siłą samego rzutu podbiegł kilka kroków podwórzem, utykając głową na kupie wpół zgniłego słomska. Tu dopiéro wrócił cokolwiek do przytomności, wydobył czapkę głęboko utkwioną, sam się otrzepał co z większa z oblepiających go nieczystości, i podchodząc pod drzwi sieni zasuwą wewnątrz zapartych, grożąc pięścią wołał:

— Poczekaj ty stary ośle! Poznasz dopiéro Ziembę co on znaczy i czyja będzie górą: czy twoja, czy moja! Przecież ja cię jeszcze dostanę kiedy w swoje pazury, to cię tak zbiję, tak sponiewieram, a potém rzucę na ziemię i póty będę deptał, aż *para* z ciebie wyjdzie. Chce ci się ojcowiznę dla Sierpnia zostawić; ja nie dam, ja pójdę w prawo, ja i dwieście i trzysta złotych stracę, a muszę postawić na swojém, i Ziemba wyżéj stanie jak wszyscy Sierpnie. Już nietylko ludziom, ale się i Bogu ze swoją dumnością naprzykrzyłeś, bo i syna nie masz i dostałeś takiego zięcia, co ci wnet wszystko na marność z doma wyprowadzi; ale ja mam wnuka i zobaczymy, kto będzie lepszy: czy Ziemba, czy Sierpnie *szpitalniki*.....

Dalsze słowa jego przerwane zostały nieprzewidzianym wypadkiem, jakby się wszystko przeciw niemu uwzięło: bo gdy Basia przelękniona nieznanym dotąd tak wielkim gniewem ojca, zasunąwszy zasuwę i zasłaniając drzwi sobą, ze łzami w oczach błagała, żeby nie wychodził, i żeby się tak strasznie nie gniewał; Ja-

nek będący wówczas w stodole usłyszawszy krzyki, a nie rozumiejąc co mogą znaczyć, wszedł na podwórze na sam koniec mowy Ziemby.

Jednocześnie z krzykiem jego usłyszał w sieni płacz Basi i głos Sierpnia:

— Baśka puść, Baśka nie zastępuj. On ma krzywdzić moję *familją*? ja jemu wszystkie kości połamię. Puszczaj, żebym i ciebie po próżnicy nie skrzywdził.

W jednéj chwili poznał, że jakaś nadzwyczajna zaszła kłótnia, ale o co, dlaczego? Nie mając czasu badać, przystąpił do Ziemby właśnie wtenczas, kiedy wymawiał:

— Co mi znaczy twoja familija? u mnieta trzoda co się wala po gnojowisku, to lepsza, jak cała twoja familija.

I zwracając starego zapamiętalca twarzą ku sobie, zapytał się głosem gniewnym:

— I cóżto wam nasza familija zawiniła? Ruszajcie z Bogiem do domu pókiście cali, bo.....

— Co i ty tu urwipołciu będziesz dojadał?—przerwał Ziemba z podwójną wściekłością— poczekaj, ja cię tu zaraz nauczę—i prawie nieprzytomny, raz drugi dopiéro w życiu doznając tak gwałtownego uniesienia, musiał mu uledz bez żadnéj oględności na skutki; porwał więc Janka za gardło, chcąc na nim wywrzéć całą wściekłość swego gniewu. Ale Janek choć usposobieniem duszy podobny był do naszych poetów, siłą jednak fizyczną o wiele ich przewyższał; dlatego zręcznie wysunąwszy się z rąk szalonego starca, ujął go przy piersiach za koszulę i kamizelę, trząsnął jak gruszką, wywrócił na ziemię i wlekąc przez podwórze ku otwartym wrotom, wrzeszczał:

— A ty stary niedołęgo, żebym nie zważał na twoje stare lata, tobym cię zbił na kwaśne jabłko; ale że mam Boga w sercu, to masz ino tyla na pamiętne, żebyś wiedział, coto jest nas wtykać do naszéj familii i wydziwiać na nią.

Przy ostatnich słowach Janek dowlókł Ziembę aż do saméj drogi, i tam dopiéro postawiwszy za nogi, mówił daléj:

— Ruszajcie *se* do domu i niech wasza noga u nas nie postanie, bo ja nie będę krzywy, jakbyta z wami inaczéj jako wypadło: ruszajcie, ruszajcie.

Stary Ziemba uczuwszy tak wielki dowód siły, już się nie zrywał do bicia, chciał coś przemówić, ale tylko mu wargi zadrgały od gniewu i wściekłości, i ze ściśniętemi pięściami zaledwie wybełkotał:

— Poczekajta, zapłacita mi za wszystko; czyto ja pies, żeby mną tak poniewierać? Poczekajta, nauczę ja was co to Ziemba znaczy.

I jeszcze jakiś czas podobnie odgrażając, czego Janek nie słyszał, bo zaraz po tak niegościnném obejściu się z Ziembą ruszył ku domowi, stary sponiewierany lis poprawiwszy w szamotaniu rozmamanego odzienia, na którém widoczne pozostały znaki podróży przez okólnik Sierpnia, zaczął szybszym krokiem jak zwykle postępować drogą.

Tak więc Ziemba, choć taki mądry spekulant, choć umiejący dobrze kryć się z gniewem jak z radością, słowem ze wszystkiemi odbieranemi wrażeniami, dwa razy dopiéro przez długi swój żywot nie umiał panować nad wzbudzoną namiętnością, i ulegając jéj z całym szałem szalonéj nierozwagi, w obu razach i przykrą i bolesną odebrał naukę.

Scena ta tak rzadko trafiająca się między starszemi gospodarzami i jedynie wywołana tyle drażliwą sprawą, jeżeli traicznie zakończyła się dla Ziemby, niemniejszy wpływ wywarła i na Sierpnia, podwójnie udręczonego takiém poniewieraniem i lekceważeniem swojéj familii, którą on wyżéj kładł nad wszystkie w okolicy, a nawet i w całym kraju, nie wyłączając prawie i szlachty, i objawioną przeszkodą w utrzymaniu jednéj zawsze świetności nazwiska Sierpniów, i gburowatém wtrąceniem się Ziemby w interes, który uważał jako wprost od siebie jedynie zależący. To wszystko, połączone z gniewem, jakiemu tak silnie dotąd jeszcze nie uległ nigdy w życiu, przy usposobieniu z natury prędkiém i porywczém, poruszając burzą całą moralną stronę, musiało równie oddziałać na cały fizyczny organizm Sierpnia.

Gdy Janek wrócił do chałupy zastał Basię z płaczem dalej zajętą uprzątaniem dla spodziewanych gości, a Sierpnia z niespokojnością chodzącego po środku izby.

Aż przykro było spojrzéć na poczciwego, chociaż prędkiego starca, jak w jednéj chwili zmienił mu się tyle dawniéj poważny i szlachetny wyraz twarzy. Oczy niby mgłą pokryte zdawały się nic nie widzieć, jakby słupem stały; twarz sina prawie nabrzękła, brwi zmarszczone, nad któremi czoło raz-po-raz nowemi pokrywało się zmarszczkami, włosy rozczochrane jasno wskazywały o wewnętrznem cierpieniu i walce, jaka się toczyła w sercu Wojciecha. Chodził w milczeniu, kiedyniekiedy sięgając ręką ku głowie, jakby tam cała

się boleść mieściła; czasem usiadł na ławie, znów się przeszedł, spojrzał przez okno i tak ciągle bez końca.

Janek z Basią z przerażeniem przyglądając się niespokojności ojca, którego nigdy takim nie widzieli, sami nie wiedzieli co robić, jak sobie radzić. Nareszcie Sierpień odbywszy kilkorazowy kurs po izbie, jakby znużony, usiadł na ławie przy łóżku i jedną ręką ująwszy się za głowę, a drugą wyciągając ku dzieciom, która mu zaraz bezsilnie opadła, zawołał nawpół niezrozumiałym głosem:

— Wody, wody!

Basia z Jankiem natychmiast poskoczyli ku cebrzykowi, lecz jakaż była ich rozpacz i przerażenie, gdy Sierpień zaledwie wymówił wyraz: wody, zachwiał się wtył i padł nieżywy na łóżko. Basia z krzykiem rozdzierającym serce rzuciła się ku umierającemu ojcu, Janek stanął jak wryty na środku izby, a Wojciech wszelkie okazywał znaki, że go atak apoplektyczny uderzył.

Gdy tak tylko krzyk Basi rozległ się nad umierającym Wojciechem, roztworzyły się drzwi do izby i wszedł pan Józef. Jeden rzut oka wszystko mu wyjaśnił, czémprędzéj kazał przynieść byle jaką brzytwę, i przy pomocy Janka i Basi zlewającéj ciągle ojcu głowę zimną wodą, zajął się puszczeniem krwi.

Tymczasem na krzyk Basi przybiegła jedna i druga sąsiadka, a zobaczywszy martwego Wojciecha, poczęły lamentować co tylko gardła starczyły:

— A mój mocny Boże! takiemu człowiekowi tak nagle umrzéć bez spowiedzi, bez *kommunii*. A Matko Boska!

Za jednemi przybiegły i drugie, a wkrótce cały okólnik, sień i izba przepełniły się zbiegłym zewsząd ludowiną. Wszyscy wzdychali boleśnie, każdy nie mógł odżałować zmarłego, a szczegóły śmierci powtarzane z ust do ust, wkrótce się rozbiegły po wsi całéj, ma się rozumiéć z tysiącznemi najdziwaczniejszemi dodatkami.

Na prośby pana Józefa wyparowana z izby cała chmara nieproszonych gości zaczęła się rozchodzić pomału do domów w rozprawie o wypadku, przystając po drogach, błoniu i pod chałupami.

Wieść szybko doszła i do Ziemby, który w piérwszéj chwili tak dotykalnéj znikomości życia ludzkiego, ogromnie się przeraził, bo pomyślał sobie, że jego to samo kiedyś także czeka. Późniéj jednak, gdy piérwsze wrażenie minęło, omało z radości w ręce nie klasnął, pomyślawszy sobie w duchu:—Ot, widoczna Opatrzność Pana Boga. Kiedy starego djabli wzięli, to z tym młokosem jakoś już łatwiéj sobie poradzę; ino czy tylko to tak jest jak ludzie mówią:

bo ludzie lubią strasznie bajki roznosić.—Gdy jednak spotkawszy się ze znajomą nam już Frankową, która przejęta niekłamanym żalem, opowiedziała mu, że Wojciecha trochę się wprawdzie dotrzéźwili, ale ino patrzéć jak Bogu ducha odda; że Janek zaprzągł do wozu z wasągiem, i co koń wyskoczy, pojechał do proboszcza, żeby go przygotował do wieczności: Ziemba nie mógł już wątpić o prawdziwości pogłoski, zawczasu namyślając się nad sposobem działania w imieniu swego wnuka, gdy Wojciecha mogiła przykryje. Jeszcze był w najlepszym zapale rozmowy, tak bowiem nie mógł się nasycić opisem wszystkich szczegółów nieszczęśliwego wypadku Sierpnia, gdy zobaczył z największym płaczem i lamentem wychodzącą z sieni Basię i z rozpaczą tarzającą się po ziemi:

— O! mój tatusiu, drogi, kochany! O! mój Boże jedyny!—wołała nieszczęśliwa Basia—O! cóż ja biédna siérota teraz se poczne....

— Musiał Wojciech umrzéć—odezwała się Frankowa—kiedy Basia tak wykrzykuje. O, jak to idą za nią kobiéty.

I ciekawa kobiéta nie pożegnawszy się nawet z Ziembą, dyrdakiem pobiegła ku chałupie Sierpnia. Ziemba jeszcze chwilkę postał z twarzą zwróconą ku miejscu, w którém przed godziną niespełna, tak poniżającego doznał obejścia; jakby nasycić nie mógł uszu płaczem rozpaczliwym Basi, a oczami chciał przeniknąć ściany, i napaść ich widokiem umierającego Sierpnia.

Po téj niemiéj scenie, okrywającéj mu pomarszczoną i chytrą twarz, jakby tryumfem zwycięztwa nad zawistnym mu nieprzyjacielem, Ziemba potrząsając ręką w pięść ściśniętą ku chałupie Sierpnia, mówił sam do siebie przytłumionym głosem:

— A co, lepiéj ci teraz? a czyja teraz góra? Wyrzuciłeś Ziembę ze swoich śmieci i potém go wywlekali jak psa na drogę; teraz Ziemba was wyrzuci, i jak raz wywlecze, to w ludzkiéj pamięci ani Sierpień nie postanie już w gadce, ino wszystko znaczyć będzie Ziemba i zawdy Ziemba i juści. A ty zgnijesz, w ziemię się obrócisz, boś o Bogu nie pamiętał, boś zabaczyć chciał, że mój wnuk Jaś, to i twoim jest wnukiem; boś mnie obnosił między ludźmi, żem oszukaniec, że dużo biorę prowizyje, żem chytry, i Bóg już wié nie co. Ale Bóg nie chce, żeby kto bez niewinność cierpiał, i jakeś se już nadto dziś ze mną pozwolił, to i Panu Bogu się naprzykrzyło, i ot! zaraz karę zesłał.

W mowie téj pomieszanéj z Opatrznością Boską własnych samolubnych widoków i srogiéj zemsty, Ziemba przewidując wszystkie

następstwa z tak nagłéj śmierci Sierpnia, doszedł do swoich gospodarskich zabudowań.

Mały wnuczek Jaś bawił się z dużym psem na podwórzu. Dziadek przechodząc koło niego, rzucił okiem dumy na tę przyszłą latorośl odrodzić się mającego Ziembów nazwiska, a poniżenia hardych Sierpniów, i usiadłszy na ławie przed domem, zdawał się z zachwyceniem przyglądać niewinnym igraszkom dzieciny.

Chłopaczyna wiele podobny do Basi, ciągnął psa za uszy: to siadał na niego jak na konia i poganiał małym batożkiem, to mu niby wędzidła zakładał w pysk, a psisko choć niekiedy mruknął, z największą jednak cierpliwością poddawał się nie nader mu przyjemnéj zabawie. Nareszcie znudzony wyrwał się zpod chłopaczka, który jakby na ukaranie zbuntowanego czworonoga, w biegu poczęstował go uderzeniem z bicza słabéj swéj ręki.

— Dobrze robisz Jasiu — odezwał się Ziemba z radością do chłopca, z frasunkiem poglądającego za uciekającym psem — dobrze robisz, że chociażeś mały, a nie dasz grać sobie na nosie; chodź tu do mnie, mój wnuku, mój mały i kochany Ziembo; wszak prawda żeś ty Ziemba?—zapytał stary sadzając wnuka na kolana.

— A juści że Ziemba—odpowiedział chłopaczek.

— A czy ty wiész co to Ziemba znaczy? — mówił stary daléj z prawdziwém zajęciem przypatrując się ładnéj buzi wnuka — to nie Sierpnie, nie Federaki, ani Wypłosy; oni co mają, to z dawien dawna od ojców i dziadów, a twój dziaduś urodził się biédny, i od ojców w jednéj prawie wyszedł koszuli, a dzisiaj Bóg mu w pracy tak pobłogosławił, że majątkiem wszystkich zakasuje. Widzisz, twój dziaduś jest teraz najpiérwszy we wsi, bo tamtego (to miało znaczyć Sierpnia) już Bóg za grzechy ukarał; więc i ty po mnie będziesz najpiérwszy, a po tobie twoje dzieci, wnuki i tak het! a ja zawdy będę pracował, zabiegał, to połowę tych *szpitalników* głupich wygnawa ze wsi.....

— A po co dziadusiu? — zapytało naiwnie dziecko—przecież oni nic nam nie krzywi.

— Krzywi moje dziecko, bo zawdy na nas złém patrzą okiem; zawdy im się zdaje, że Ziemba gorszy od nich. Ho! ho! ino się dostaniem do Sierpniów śmieciska, to wszystko zaraz będzie inaczéj, to do starego Ziemby i szlachta będzie zaglądać, i proboszcz, i pan Józef.....

— Czy i ten mały Władyś, co to był na weselu Janka?

— A jakże, mój kochany wnuku, i Władyś i każdy kogo tylko będę miał w pomyśleniu: bo widzisz, jak na nas teraz ludzie niewiele zważają, tak potém dopiéro będą szanować, i jak teraz wszystko ino Sierpień i Sierpień, tak potém wszystko Ziembowie będą znaczyć.

— A to dobrze będzie dziadusiu.

— O! dobrze, zobaczysz. Sprawię ci taką samą czapkę jak tamtego modrą, bo mnie tam staremu nie uchodzi tak się przystrajać, i będziesz taki Ziemba, żeta do ciebie żaden Sierpień ani się umywać będzie. Patrzaj, o, tak będziesz wyglądał. — Przy tych słowach, stary włożył własną czapkę rogatywkę granatową na głowę malca.

— A to dobrze, a to ładno mi będzie — mówiła dziecina z zadowoleniem, poprawiając nowy przystrój głowy — ale kajże się podzieją wtedy tamten dziaduś, Sierpień?

— O! tamtego moje dziecko już nie ma, już.....

— A cóż im się takiego zrobiło? — z przerażeniem zapytał Jaś.

— Co zrobiło? a umarł, moje dziecko — odpowiedział z zadowoleniem Ziemba, w zapomnieniu sądząc, że każdy tak uważa nagłą śmierć szanowanego przez wszystkich starca.

— Jakto? dziaduś umarli? — zapytał z boleścią chłopczyk zeskakując równemi nogami z kolan dziadka — a i cóż im się zrobiło? przecież rano byłem u ciotki Jankowéj i nic mi nie mówili.

— Tak, tak, umarł; ale to fracha moje dziecko, bo ty nie Sierpień, ino Ziemba, to.....

— A! mój dziaduś kochany — w bolesnym płaczu mówił chłopaczek — a! mój jedyny dziaduś. O! mój dziadusiu, pozwólcie, ja pójdę do ciotki, ja jeszcze popatrzę się na dziadusia Sierpnia. Mój dziadusiu, mój złoty jedyny dziadusiu!

Ziemba niebardzo ucieszony objawionym żalem wnuka, w piérwszéj chwili nie chciał pozwolić, ale namyśliwszy się, że za powrotem dzieciaka, chociaż cokolwiek będzie się mógł dowiedzieć o szczegółach tyle go obchodzących, zezwolił na oddalenie, polecając mu tylko jak najprędszy powrót. Dzieciak z płaczem ciągle wymawiając: — o mój dziaduś kochany! o mój jedyny dziaduś umarli; o! Boże, Boże! — pobiegł drogą ku zabudowaniom Sierpnia. Ziemba zaś popatrzywszy chwilkę za biegnącym w płaczu wnuczkiem, odezwał się:

— Oj! głupi dzieciuchu, płakać, że kto umiera! A niech umiera; dlaczego *se* nie umiał na długi żywot zasłużyć u Pana Boga. Ale to przejdzie, bo co młode to głupie; jak dojdzie do lat, to nabierze takiego rozumu, co i mnie zakasuje; już ja w tém zawczasu go będę

uczył, jak ma się między ludźmi obracać, i będzie z niego Ziemba co się nikaj między ludźmi nie powstydzi. Ino żeby mi go Pan Bóg wychował, bo choć Boga chwalić zdrowia mu nie brakuje, aleto różne po ludziach chodzą przypadłości, a jakby mi go Pan Bóg miał zabrać..... och! — i w tém miejscu Ziemba cały aż się wzdrygnął, a obejrzawszy się wokoło wzrokiem ponurym, jakby w obłąkaniu, że aż dreszcz przejmował, mówił dalój znacznie zniżonym głosem:— Jakbym go miał stracić, już niechbym lepiéj wszystko postradał czegom się dorobił, jak.... miał doczekać takiego zmartwienia. Da Bóg niedzieli, zaraz dam na nabożeństwo do Opatrzności Boskiéj na jego intencyą; boćto mój majątek, to moje wszystko, to cała moja pociecha.—I przed izbą podumawszy jeszcze chwilkę, wszedł późniéj do chałupy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWA EPOKA
LITERATURY HISTORYCZNÉJ POLSKIÉJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

---

b) ODDZIAŁ SYSTEMATÓW.

(Ciąg dalszy).

Rogalskiego: Panowanie Jana III i Dzieje Krzyżaków.

Pominiemy lat dwieście i przejdziemy do czasów króla Sobieskiego. Tutaj czeka na nas trzeci historyk (1).

Do opisu panowania Jana IIIgo mamy pełne garści materyałów, które jeszcze się mnożą pod ręką; więc obraz tego wieku i tych ludzi co za Sobieskiego znaczyli w Rplitéj, może być i musi być dobrze i pięknie skreślony.

Gdzieindziéj brak materyałów na przeszkodzie; tutaj dosyć schylić się, żeby je napotkać. To też historya Jana IIIgo nie może być tak bardzo domysłami zepsutą, jak powieść np. o czasach Krzywoustego, albo jakiego Leszka. Za Rplitéj po-Zygmuntowskiéj, już każdy szlachcic był świadkiem i sędzią tego, co się działo; kiedy za Piastów, ten obowiązek pełnili tylko kronikarze i kanclerze, wydając dyplomaty książęce.

(1) Dzieje Jana III Sobieskiego, króla polskiego, W. Ks. L. przez Leona Rogalskiego. Warszawa. Nakład Gustawa Leona Glücksberga księgarza. Druk S. Strąbskiego, w 8ce, str. 535.

Na nieszczęście w dziele pana Rogalskiego nie znajdziem także obrazu, a to dla wcale odmiennych przyczyn, jak w Krajewskim albo w Gołębiowskim.

Stareto już i nawet dosyć znane imię w bibliografii polskiéj: Rogalski wydał niezawodnie sam kilkadziesiąt dzieł i dziełek, bardzo rozmaitéj treści. Dawniéj nawet pisywał wiersze. Tłumaczył po największéj części, teraz i oryginalne dzieło pisze, ale jeżeli kto z autorów naszych zasłużył na zarzut zbytecznéj pracowitości, to niezawodnie pan Rogalski. W jego rękach piśmiennictwo stało się prędzéj jakiémś zatrudnieniem mechaniczném jak pracą szlachetną, podnoszącą umysł i serce; niepodobna jednakże winić za to autora. Jeżeli mu czasu zbraknie na samodzielne własne badania, używa go przynajmniéj z pożytkiem literatury, bo tłumaczy i przerabia dzieła czasami ważne, czasami mniéj znaczące, ale zawsze jak dla nas niepróżne zajęcia, więc pożądane. Owszem, są nawet prace pana Rogalskiego w swoim rodzaju piérwsze w naszéj literaturze, za które mu należy się szczerze wdzięczność: mówim o *Dziejach Krzyżaków*.

Dlatego, że Rogalski nie należy do literatów jako literatów jedynie, i charakterystykę jego skreślić trudno. Człowiek najlepiéj się zawsze wydaje w oryginalnych badaniach: tam się dopiéro pokazują jego zdolności i jego myśli kierunek. Ale Rogalski ma styl dosyć ożywiony, uczył się historyi pod mistrzem wielkim, a przynajmniéj żył podaniami jego szkoły; pracuje teraz za nowéj już epoki, w czasie, w którym się wszystkie pojęcia o sztuce i dziejach zmieniły: pan Rogalski więc jest już postępem względem Krajewskiego i Gołębiowskiego. Rogalski rozumié sztukę dziejopisarstwa i wié jakie są wymagania epoki; nie ma tylko czasu sam tworzyć, a przerabia zwykle, i dodajmy do tego przerabia niezawsze wzór szczęśliwy, więc grzeszy, ale z dobrą wolą, czego nie mieli i Krajewski i Gołębiowski. Tamci starali się przynajmniéj i sądzili, że chociaż w części odpowiedzieli założeniu swojemu; co do Rogalskiego, wié on sam najlepiéj, jakie są wady jego prac dziejowych. W każdym razie, luho nieszczery, o całe morze talentu wyższy jest od poprzedników swoich.

Tak i w dziejach Sobieskiego. Rogalski przerabiał dzieło sławne francuzkiego ministra, który, już można to seryo powiedzieć, pisał o Polsce tak, jak w bajce ślepy rozprawiał o kolorach. W inném miejscu wskazaliśmy już wady pana hr. Salvandy, i grubą jego nieznajomość stosunków naszych (1); powtarzać się tutaj nie

(1) Athenaeum Kraszewskiego 1850. Tom IIgi, w recenzyi dziełka: *Dzieje panowania Michała Wiszniowieckiego* i t. d.

będziemy. Wszystkie wady dzieła pana Rogalskiego popłynęły prosto z historyi Salvandego; wszystkie jego zalety, jakie są w téj przeróbce polskiéj, są własnością już naszego autora. Nam tylko to dziwno, czemu pan Rogalski za kanwę do swojéj tkanki nie wybrał raczéj *l'abbé* Coyer, jak Salvandego? Coyer znał lepiéj Polskę jak pan minister. Coyer czerpał z listów Załuskiego, sam badał i sam układał dzieło swoje; kiedy Salvandy kompilował francuzkich pisarzy o Polsce, jak np. Soligaca i psuł ich jeszcze, nie rozumiejąc ani praw, ani ducha narodu. Coyer podawał nam swoję pracę z piérwszéj ręki, a Salvandy już z drugiéj i trzeciéj, więc wykoszlawioną do niepoznania.

Główną więc wadą, którąśmy widzieli w przerobieniu polskiém dzieła Salvandego, jest ten ogólnie ton pochwalny, z jakim się autor zawsze o Sobieskim odzywa. To wielki panegiryk z XVIIIgo wieku dla zwycięzcy zpod Wiednia, w którym nie ma i cienia wad bohatéra. To nie historya. Jeżeli tak pojmował postać Jana IIIgo Salvandy, nie powinien był tak ją przedstawiać autor polski, bo nie mógł nie wiedzieć i o złéj stronie wybranego przez siebie bohatéra.

Francuz romansowy upiększał dzieje czułemi frazesami, a zwłaszcza pod niebiosa na każdym kroku wynosił piękność M. Kazimiery. Te uniesienia powinnyby zniknąć w przekładzie.

Nareszcie pan Salvandy bardzo wiele faktów opuszczał, i nie dziwim się temu wcale: zkądże miał je brać, a gdyby i miał, zkądże znowu zdolność potrzebna, żeby je dobrze wybrać? Tak np. powieść zaczyna być nieco ciekawszą, więcéj ożywioną od czasów wstąpienia na tron Jana IIIgo; ale czémże jest powieść przed rokiem 1674?—zbiorem fraz wymownych i rozumowań, ale nie faktów. Pan Salvandy robi tylko jakieś napomknienia. Widzimy dopiéro Sobieskiego w Paryżu, i ni ztąd ni zowąd wraca on z bratem już z Konstantynopola do Zamościa, gdzie się matka jego zamknęła, *niewiasta cnót spartańskich.* Nie wiemy jak się dostał z Paryża do Carogrodu. Daléj na elekcyi Jana Kazimiérza, młody Sobieski pojedynkuje się z Pacem. Za co? gdzie? z jakim Pacem? także nie wiemy. Bystro migają te piérwsze lata zawodów wojennych młodego kasztelanica krakowskiego: dopiéro był rok 1651, a na drugiéj stronnicy już rok 1653 i 1654, nawet 1660. Cały ten okres lat dziesięciu najmniéj, autor zamknął w opisie kilkudziesięcio-wierszowym i zamknął całą powieść swoję znowu napomknieniem, że w *parę lat potém* został Sobieski chorążym wiel. koronnym.

Dzieła Jana IIIgo na tronie, to oczywiście dzieje Rplitéj, więc nie zbraknie do obrazu rysów; ale co właśnie zasługuje na większą uwagę, to dzieje Jana Sobieskiego chorążego wojsk koronnych, marszałka i hetmana. Salvandy nie wskazał na trudy młodego Jana za lat dziecinnych i nie pokazał jego zasług; jednakże on już za czasów ostatniego króla Wazy, ważną rolę odgrywał. Chorążym koronnym był tylko, a bił się na Ukrainie pod buławą Czarnieckiego i króla, już po wojnie szwedzkiéj. I w czasie wojny szwedzkiéj, czytelnik radby coś wiedział o bitwach młodego kasztelanica krakowskiego. Te właśnie jego dawne zasługi pokazałyby nam, co spowodowało króla, że mu piérwszy oddał stopień i dygnitarzem zrobił Rplitéj. Tamby miejsce było ukazać na serdeczne stosunki Sobieskiego z panną d'Arquien, boć to fakt, że się oni oboje jeszcze przed ślubem Zamojskiego (w roku 1657) kochali, czego jednak nie zna pan Salvandy, powtarzając fałszywą powieść o poznaniu się Jana już z wdową po wojewodzie sandomierskim. Tamby znalazło się miejsce na określenie charakteru Jana, namiętnego, zazdrosnego, ambitnego. Późniéj już nawet, kiedy ten młody jeszcze chorąży koronny został hetmanem, jak niedbale wystawiony jego zawód wojskowy! Salvandy w ogólnych terminach rozpowiada, że Sobieski był tu, był tam, a nie mówi nic co zrobił. Taki bój, który jak np. pod Podhajcami wsławił hetmana w Rplitéj, prawie pominiony. Widzimy wszędzie usiłność autora, żeby nam przed oczy stawić bohatéra; ale doprawdy nie wiemy, czemu Sobieski ma być tym bohaterem: i dlatego kiedy późniéj w ręku jego widzim buławę, doprawdy nie rozumiemy powodów, dlaczego bohatér ma być hetmanem wojsk Rplitéj, dlaczego potrafi zwyciężać nieprzyjaciół ojczyzny? Odrazu zjawia się król na scenie, a gdzież był człowiek? gdzie młodzian? gdzie mąż dojrzały?

Stosunki hetmana z królem Michałem wystawione są nadzwyczaj stronniczo.

Pan Salvandy zrobił Sobieskiego wodzem, politykiem, literatem, artystą, wszystkiém czém chcecie. Nadał mu bardzo sielankowe przymioty. Ten namiętny hetman miał być najszczerszym obrońcą swobód szlacheckich i nigdy przeciw nim nie powstawał. Jeżeli walczył na stronie M. Ludwiki przeciw Lubomirskiemu, to działał rozsądnie, jak mądry obywatel: dla téjże samej potém przyczyny rzucał w łono Rplitéj zarzewie niezgody, kiedy synów swoich otaczał jakimsiś królewskim blaskiem, jakby się do niego porodzili. Ten hetman był najpopularniejszym człowiekiem Rplitéj: jego samo odezwanie się godziło massy, tłumiło walkę w łonie prawodawczego sej-

mu. Oskarżano go o spiski na Michała; ale Sobieski tylko stanął, uzbrojony w cnotę swoję, a sejm potwarców kuł w kajdany, i lud szalał z radości i wołał hetmanowi: „niech żyje!" Tyle razy te sceny powtórzone w panu Salvandym, że niejedenby uwierzył; chociaż gdyby się zastanowił chwilkę, zobaczyłby i to, że lud najmniejszego powodu nie miał się unosić, a przynajmniéj zasług hetmańskich nie wskazał autor, i nie usprawiedliwił niczém téj popularności Sobieskiego. Ileto on razy przemawiał, ileto razy sejm, Rplita, szły za jego zdaniem w dziele pana Salvandego! Pytanie się rodzi, czy Jan IIIci stracił wymowę kiedy osiadł na tronie, bo za czasów jego królowania w Polsce, wszystko szło w Rplitéj na opak: nikt go nie słuchał, a Sobieski żadnego prawa nie przeprowadził, żadnego pomysłu swojego w czyn nie wcielił. Gdybyć użył on téj wymowy chociaż do najdroższéj Marysieńki swojéj! Hetman mową wojsko do boju zachęcał i gromił bunty, wymową obronił się od zarzutu zbrodni stanu, wymową nabył popularności. Nie dziw téż: Sobieski ciągle czytał i czytał Moliera, Kornela, Paskala. Pan Salvandy widzi go ciągle z książką w ręku: w boju pod Chocimem, pod Wiedniem, pod Parkanami. Powiada, że król Jan IIIci wiele się do rozwoju literatury polskiéj przyczynił (?). Jednocześnie bijąc się z bisurmanami, zajmował się malarstwem, filozofią i muzyką. Filozofia czcze słowo w ustach Polaka XVIIgo wieku, a muzyka i malarstwo! Mój Boże! co tutaj fraz wymownych, żeby w pięknem świetle wystawić bohatéra! Z pilną ciekawością Sobieski zgłębiał doświadczenia i odkrycia spółczesnych, jakoto: Gassendego, Huygensa, Wallisa, Dekarta i t. d. Zajmował się téż roztrząsaniem sekt wylęgłych na łonie kościoła: Kwakrów, Menonistów, Prendamitów i t. d. Musimy wierzyć tym wszystkim podaniom pana Salvandego, bo powtórzone są po kilka razy. Tylko nam zły duch szepcze,.... że to zabardzo idealny obraz, w którym nie ma wcale Polski XVIIgo wieku.

Autor francuzki nie wyłożył dziejów Polski za Sobieskiego, ale dzieje spółczesnéj jemu polityki francuzkiéj. Rplita o tyle wchodzi do jego objaśnień, o ile tego potrzeba do historyi intryg i wojen Ludwika XIV. Uroił sobie Salvandy, że wpływ tego *wielkiego* króla owładnął zupełnie naszym zakątkiem ziemi, że Sobieski był tylko poprostu narzędziem Ludwika. Posuwa się nieraz do komicznego zapomnienia. Rozpowiada z najszczérszą wiarą w swoje przekonanie, że dziejów polskich za Sobieskiego zrozumieć niepodobna, bez obrazu intryg wersalskich (u Rogalskiego str. 117), i z dumą francuzką głosi, że Ludwik prawie *buntownika* w Sobieskim upatrywał

(u Rogalskiego str. 118). Uroił sobie daléj w Polsce jakieś stronnictwo francuzkie, ale to sercem i duszą zaprzedane Francyi, niewolnicze i drugie austryackie, które wyprowadza na scenę. Myślałby kto, że w saméj rzeczy cesarz i Ludwik XIV mieli w Polsce stronnictwo, które się nawet nazywało sprzymierzeńcem tego albo owego monarchy. Tymczasem jedni chcieli u nas wojny z Turcyą, drudzy jéj nie chcieli; podług tego wzrastała nadzieja Austryi albo Francyi w Rplitą: i sam przecie Salvandy widział, że Polska postępowała jak chciała, że nie odbierała rozkazów z Wiednia ani z Paryża. Prędzéj było u nas stronnictwo dworu i przeciwdworskie, a i między temi bywały odcienia: jedni szli za popędem Maryi Kazimiéry, drudzy trzymali się króla, albo innych poddmuchów. Na to formowanie się stronnictw w narodzie wpływały więcéj niechęci osobiste, jak wpływ obcy. A stworzyć Austryaków i Francuzów w Polsce, podnieść ich do znaczenia politycznego w historyi, znaczy naprzód odbierać samowolność Rplitéj, a potém fałszować dzieje.

Pan Salvandy do takiego jest stopnia Francuzem, że do obrazu panowania Sobieskiego plącze i edykt nanteński, i powieści o romansach w Wersalu, i anegdotkę o jakimsiś panu Brisacier, synu niby naturalnym Jana IIIgo. Nie rozumiemy dlaczego to wszystko, ale Salvandy rozumiał, bo Polskę za jakąś prowincyą pośrednią wielkiego króla (grand roi) uważał. Żywi się téż pamiętnikami pana Choisy i gazetami francuzkiemi z czasów Ludwika XIVgo; ale nie ma wcale pojęcia o źródłach polskich. Listy Załuskiego zna tylko z nasłychu: to téż są rozdziały obejmujące okresy po lat 6 czasu (np. okres od roku 1676—1682), o których niczego dowiedzieć się prawie nie można. Czasem wzmianka zrobi się o sejmie, ale ten sejm trwa np. pięć miesięcy, i wszystkiego o nim dziesięć wyrazów. Za to anegdotki są, jak o walce studentów z żydami o kozubalec, ale za to opis wyprawy wiedeńskiéj obszerny. Rok téż 1683 zajmuje przeszło sto stronnic, kiedy całe życie Jana IIIgo od roku 1629 do 1696, mieści się tylko na stronnicach 192. Do historyi wyprawy wiedeńskiéj miał Salvandy piękne źródło: listy króla do Marysienki, które sam na język francuzki tłumaczył. Dzięki tym listom, a raczéj ogromnym z nich wypisom, nie ma tam w całym tym opisie rażących błędów historycznych; owszem, rozdział ten dosyć przyjemnie się czyta, i wygląda jak poemat o wyprawie wiedeńskiéj, bo napisany z pewną uroczystością i rozrzewnieniem; ale co rzecz nadzwyczajna, nie ma w tym opisie scen czułych, rozumowań romansowych, których tyle po całéj książce pana Salvandy.

Jest jeszcze jedna dobra strona w dziele francuzkiém; zachował ją pan Rogalski w tłumaczeniu. Opis bezkrólewia po Janie IIIcim obszerny i dokładny, jest powieścią historyczną w ścisłém tego słowa znaczeniu. Dramat tam na większą skalę rozwinięty i pełen życia. Już nie mówim o błędach historycznych, ale tam wykończony, prawdziwy i piękny obraz kilku chwil życia Rplitéj. Jak całe dzieło pana Salvandy nikczemne, tak opis bezkrólewia wybija się na czoło przedewszystkiemi miernościami literackiemi. Jest tam i znajomość prawa polskiego i charakteru narodu. Tylko to nieszczęście, że koniec ten cały panowania króla Sobieskiego, pan Salvandy przepisał z Bizardiera, autora dzieła: *Histoire de la scission en Pologne dans* 1696. Nie mówimy, żeby Salvandy użytkował z Bizardiera, żeby go przytaczał w texcie i żywił się jego podaniami; ale on go żywcem wypisywał, słowo w słowo, bez najmniejszéj zmiany, czasem tylko co wyrzucił i zmniejszył obraz. Byłoto bezwstydnie przepisać całego autora, a nie przyznać się wcale do kradzieży. Salvandy jednak liczył na to, że we Francyi nie poznają się na tém, bo mało znają Polskę i źródła jéj dziejów; i pewno do dziś dnia Francuzi się na tém nie poznali, a dzieło Salvandego położyli w rzędzie znakomitych utworów literackich. Nie wiedzą o ile w tém wszystkiém było złéj wiary, ile błędów, pretensyj, niedołęztwa w całéj pracy. Dla Francuzów dosyć wiedzieć o Sobieskim, że bił się pod Chocimem i Żórawnem, że chciał być w synach udzielnym książęciem w Prusach i w Multanach; ale dla Polaków te wiadomości nie wystarczą i tłumaczyć ich nie było warto. Z całego dzieła zostanie tylko dobry obraz bezkrólewia w roku 1696—7; ale i ten obraz wychodzi za ramy historyi Sobieskiego. Jan IIIci skończył życie, a co się po nim działo, niesłusznie nosi tytuł jego panowania, w Rogalskim. Jestto epilog do żywota wielkiego wojownika, to prawda, bo jestto historya upadku jego rodziny, jego dzieci; aleto zawsze już nie dzieje czasów Jana IIIgo, które w panu Salvandy nie znalazły historyka.

Nie możem i tego zamilczéć, że w bardzo wielu miejscach, Rogalski niechcący pogmatwał wypadki i ludzi, i to do takiego stopnia, że zsyłać się na jego dzieło w żaden sposób nie można, jeżeli dba się o pewność historyczną. Takto piszą się dzieje, kiedy idzie o samę tylko powierzchowność. Autor polski powinien był wady cudzego opowiadania sprostować, błędy radykalne usunąć i najmniéj dwa razy tyle oryginalnego textu przysporzyć. Nie zrobił tego, i potworność dzieła pana Salvandy razi oczy. Miał tyle materyałów pod ręką

i miał klucz do nich, na którym autorowi francuzkiemu zbywało; w całym ciągu pracy nie widać jednak, żeby pan Rogalski jakich innych źródeł używał. Cytuje tylko z początku rękopism ciekawy króla Jana o zaszczytach rodziny Sobieskich, drukowany przed kilką laty w Athenaeum Kraszewskiego (z roku 1842), a potém broszurę, czyli raczéj instrukcyą, którą dał kasztelan krakowski panu Orchowskiemu za granicę. I jedno i drugie łatwo wpadło pod rękę tłumaczowi, bo wydane zostało tak niedawno. Gdyby autor polski przejrzał choć cokolwiek pisma o czasach Jana IIIgo, byłby rozumowanie zastąpił faktami. Gdyby wczytał się w to pomniki i zastanawiał się sam nad ludźmi; gdyby ocenił trafniéj charakter i zasługi Sobieskiego, jak to mógł zrobić Salvandy: byłby usunął z pisma swojego wszystko, co tylko trąciło tonem pochwalnym i panegirycznym. Nawet wyboru nie potrzebował robić co do źródeł. Mielibyśmy książkę więcéj wartującą, nawet oryginalną w części, ale nie przerobienie ladajakie nic wartego oryginału.

Błąd swój wynagrodził pan Rogalski choć w części przez dodatki, któremi uzupełnił swoje dzieło. Dodatki te w saméj rzeczy zbogaciły skarbiec historyczny, ale i one należą zupełnie do oddziału materyałów. Panu Rogalskiemu liczy się tylko wdzięczność, że dał je poznać z nieznanych rękopisów.

Dyaryusz prawdziwy, bo bez imienia autora, wszystkich rzeczy i dziejów, które w Polsce się działy od śmierci Jana IIIgo króla polskiego aż do obrania Augusta IIgo jest osobną broszurą, zawierającą najmniéj ze sześć arkuszy druku (od stronnicy 412 do 516). Zawiera dzień za dniem, ciekawe wiadomości o epoce, którą Salvandy przepisał z Bizardiera, i jest doskonałém uzupełnieniem ostatnich rozdziałów książki pana Rogalskiego. Ciągnie się aż do dnia 5 lipca 1697, a więc przez rok cały. Nie ma tam historycznego talentu, jak w każdym dyaryuszu, który oderwane zawiera szczegóły, ale znać po wszystkiém, że ktoś pisał te szczegóły blizki głównego teatru i rozważny bardzo spostrzegacz. Nie zna on tajemnic stanu, nie zna intryg panów, ale notuje wszystko co widzi i słyszy. Wiele dokumentów urzędowych, uniwersałów, ogłoszeń na piśmie, jak np. obietnice starających się stron, spisuje on żywcem do swojego dyaryusza. Pisze wciąż językiem makaronicznym.

Gdyby pan Rogalski wydał ten jedynie dyaryusz, jużby zasłużył się dobrze historyi swojego kraju. W istocie, tyleśmy się naczytali rozmaitych dyaryuszów, tu i owdzie drukowanych, ale żaden z nich nie objaśnił nam tyle tajemnic swojéj epoki. Wielka szkoda, że

dyaryusz ten nie wyszedł w oddzielnych odbitkach; przyłączony do dzieła o panowaniu króla Sobieskiego, ukrył się jakby za osłoną i stał się droższym, bo dla niego trzeba razem szukać i nabywać do bibliotek przerobione dzieło p. Salvandy.

Za tym dyaryuszem idą inne dodatki i uzupełnienia, jak opis bitwy pod Montwami, skreślony przez samego Sobieskiego w liście do żony, jeden list jego romansowy do Marysienki, kiedy jeszcze żoną hetmańską nie była, wypisy z Oconnora, z Collektanei Sękowskiego i t. d. Wszystko to mniéj ważne.

Kończy znowu dzieło: *Drugi dyaryusz negocyacyj Jaśnie Wielmożnych, Wielmożnych Ichmościów Panów Posłów od Rpltéj do Króla Jegomości, obranego Fryderyka Augusta, cum denunciatione wyprawionych z Warszawy 15 julii roku* 1697, który jest jakby dalszym ciągiem piérwszego dyaryusza, i uniwersał króla Augusta z dnia 11 października 1697 przeciw Contemu: rzeczy bardzo ciekawe.

Kiedy się wyda historya bezkrólewia po Janie IIIcim napisana przez Bizardiera w tłumaczeniu polskiém, całe dzieło pana Rogalskiego, li tylko dla tych dwóch dyaryuszów, któreśmy przytoczyli i uniwersału, poszukiwane będzie przez historyków (1).

* * *

Jak dzieje króla Sobieskiego są tylko przerobieniem książki p. ministra Salvandy, tak i *Dzieje Krzyżaków*, które także wydał Leon Rogalski są przerobieniem dzieła niemieckiego de Fahla. Więc jak w tamtém miejscu nic naszych rodzinnych historycznych źródeł, tak i w tém dziele ich nie znać. P. Rogalski nie bada samodzielnie, a widocznie za cel życia wziął sobie, rzucić w łono społeczeństwa naszego wiele różnostronnych wiadomości. Te wiadomości ma dopiéro przetrawić w sobie nauka polska, żeby wyciągnąć z nich pożywne soki dla wyrozumienia przeszłości (2).

Dzieje Krzyżaków odniesione do ogółu historyi narodowéj, jako dzieje prowincyi jednéj i jednego stanu mieszkańców (bo Krzyżacy na Pomorzu byli tak stanem oddzielnym, jak gdzieindziéj szlachta albo mieszczaństwo), należałyby właściwie do monografij polskich. Ale z drugiéj strony zważywszy, że tam, w tych dziejach tkwi histo-

(1) Tłumaczenie to wychodzi w Wilnie, z objaśnieniami i przypisami, nakładem znanéj chlubnie z pięknych przedsięwzięć literackich księgarni Rubena Rafałowicza. (2) Dzieje Krzyżaków oraz ich stosunki z Polską, Litwą i Prusami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych, czerpane z najlepszych źródeł i ozdobione 12 rycinami. Warszawa. 1846. Nakład i druk Orgelbranda. 2 tomy.

rya powstania i rozwoju, siły, a wreszcie i upadku potężnego wpływu obcego narodu; zważywszy, że Krzyżacy stanowili prawdziwe państwo: obraz ich wzrostu i śmierci stanowić będzie piękny i żywy systemat dziejowy. Dlatego i o tém dziele p. Rogalskiego mówim pod *systemataмi*.

Gdyby ta praca była oryginalną, zasługiwałaby na szczegółowy rozbiór i studya; ale tak, jak jest, podaje nam tylko zbiór faktów często w niejasném, a często w nieprawdziwém świetle wydanych. Czuł to autor i dlatego w przypiskach piérwszego tomu obiecywał oddzielne dodatki, w których rozprawiał o znaczeniu Prus dawnych podług Szulca i o zakonie braci Dobrzyńskich: dał téż jeszcze rys chronologiczny historyi litewskiéj i wiadomość o kronice Piotra Duisburga. Byłyto narodowe, polskie wiadomości, czerpane ze źródeł naszych. Samo z siebie wynika, że podane w nich zdarzenia i wnioski były wprost przeciwne wywodom i wnioskom textu dzieła oryginalnego. De Fahl sądził o ludziach i wypadkach na Pomorzu ze swojego niemieckiego stanowiska; nie miał wcale współczucia dla narodowych polskich żywiołów, które tak długo opiérały się Krzyżakom. De Fahl gotów był nawet zaprzeczyć narodowości ziemi, i widzieć w niéj wszystko gotyckie, jako pozostałość dawnych plemion niemieckich. De Fahl nie zważył siły krajowców, a na Krzyżaków patrzał jak na lud błogosławiony, który wśród *barbarzyńskie* słowiańskie plemiona niósł ziarno cywilizacyi. Ztąd jednostronny jest i nie może być inaczéj. Autora polskiego było zadaniem wystawić tę walkę dwóch wrażych pierwiastków na Pomorzu, ze strony słowiańskiéj narodowéj. Autor polski winien był dzieje naszych Krzyżaków poprzedzić wiadomością o ziemi, o jéj historyi. Musiał badać życie jéj ubiegłe przedhistoryczne, wskazywać na stosunki, które ją z innemi pokoleniami lechickiemi łączyły. Musiał wystawić nam obraz wpływu *polskich* książąt i królów na te strony, wskazać jak wojował okolice około ujścia Wisły i Prusaków Bolesław W., który w Ossie bił słupy żelazne. Autor polski powinien był rozwinąć historyą rozszerzania się chrześciaństwa na Pomorzu i nakreślić uroczy obraz św. apostoła Wojciecha. Daléj musiałby nam opisać powierzchowność téj ziemi i jéj wewnętrzne życie, wskazać na ślady jéj cywilizacyi, które pozostały, odkreślić jéj widok od widoku innych ziem leskich. Tego jednakże nie ma nic w Rogalskim, bo nie ma nic w de Fahlu.

Nagle zamiast tego uczonego ustępu, któryby nas wiele oświecił, a który naturalnie wieleby mozołu kosztował autora, po ustępie o wojnach krzyżowych, czytamy życiorysy piérwszych mistrzów za-

konu, naprzód malutkie, potém coraz rozciąglejsze od czasu, jak stale usadowili się na Pomorzu. Autor polski mówi, że Krzyżaków wezwał do Polski Konrad książę mazowiecki, któremu nie udał się wcale zakon braci Dobrzyńskich. Tak objaśnić wielki fakt historyczny, to zbyt mało do niego przywiązywać wagi. Taki ustęp dla Niemca dobry, który historyą Pomorza gdańskiego zaczyna od czasu, kiedy ujrzał tam braci swoich krzyżowych, ale niedobry dla Polaka, który chce mieć całą historyą Pomorza. Można odpowiedzieć na to, że autor polski chciał dać li tylko dzieje Krzyżaków. Dobrze to jest, ale żadna historya tak odrazu się nie zaczyna: wczoraj nic jeszcze nie było, a dzisiaj jest i naród i jego dzieje.

Ustęp o wojnach krzyżowych, który zaczyna się od Grzegorza Hildebranda i soboru w Clermont, wcale tutaj nie na miejscu. Co te rzeczy mają za związek z dziejami naszemi? Gdyby autor polski wydał tę historyą krucyat w oddzielnéj broszurce, nie zasłużyłby na te wyrzuty, które mu robimy. Rzecz to zawsze ciekawa a tak mało znana u nas, te dzieje wypraw krzyżowych! Klassyczne dzieło Michauda upowszechniłoby się u nas chociaż w skróceniu (bo cały ten ustęp do Dziejów Krzyżaków jest tylko skróceniem Michauda); ale tutaj wolelibyśmy inne szczegóły, nas więcéj obchodzące, nad te powieści o Saladynach, Barbarossach i Ludwikach. Cały ten ustęp dlatego napisany i gwałtem przyczepiony do dzieła, żeby nauczyć nas, kiedy, jak i dlaczego powstał w Palestynie zakon krzyżowy. Ale ta wiadomość tak mało ma związku z ziemią pomorską i z historyą jéj, którą nam tytuł obiecuje, że mogłaby być rozwiniętą na dwóch, trzech stronnicach, a ogólny interes nicby na tém nie stracił.

Ale pominąwszy to główne opuszczenie, trudno przebaczyć p. Rogalskiemu drugich. Pojmujemy, że trudną rzeczą mu było zrobić wstęp narodowy do dziejów Pomorza: na to trzeba było badaczem być, a p. Rogalski przerabia tylko i tłumaczy. Pojmujemy, że obraz cywilizacyi Pomorza, przed pokazaniem się na ponadwiślu Krzyżaków, wymagał wyższych, twórczych zdolności; ale kiedy już Krzyżacy usadowili się, kiedy zaczęli walkę z narodowością słowiańską podbijanéj ziemi, walkę, która trzy wieki przetrwała i srożyła się z niesłaną wściekłością ze stron obydwóch: nie pojmujemy dlaczego autor szedł tak ślepo za de Fahlem i nie przerabiał go wcale. Dziwnie to uderza: na Pomorzu walczą przeciw Niemcom naczelnicy słowiańskiego ludu, a mają niemieckie nazwiska; walki te odbywają się pod osadami, nad jeziorami i rzekami, które mają niemieckie na-

zwiska. Zdaje się, że to Niemcy bili się z Niemcami, że tam na Pomorzu srożyła się druga jakaś wojna domowa. Tylko nazwiska takich wodzów i książąt, jak Świętopełk i Mestwin brzmią po polsku, a reszta wszystko niesłowiańskie. Autor wiedział, że źle robi i chciał się zasłaniać powagą Szulca i źródłami polskiemi; ale kiedy uwięził to swoje przekonanie w dodatkach, o których mówiliśmy, dopuścił się ogromnego błędu. Tekst poprawiał w dodatkach: to się znaczy, że w tekście wszystko złe, a w oddzielnych rozprawach popomieszczonych w końcu drugiego tomu, wszystko dobre. Tak dwa dał nam dzieła, dwie historye: jednę prawdziwą, a drugą nieprawdziwą. Wystawił nam posąg dwulicowy Janusa.

A jednakże tutaj, jak mało potrzeba było pracy, jak mało zastanowienia, żeby dzieło wielkiéj zasługi dla literatury ojczystéj zbudować! Sama książka Szulca: O znaczeniu Prus dawnych, którą ceni tak autor, nastręczyłaby mu wiele drogich wskazówek. Jakkolwiek wiele tam jednostronności, jednostronności wprost przeciwnéj téj, jaka znajduje się w Voigcie, jaka jest w de Fahlu, bo polskiéj; ale powtarzamy, wiele tam wskazówek. Już z tego samego, co Szulc tam powiedział, wziąwszy z ostrożnością należytą jego wywody, dałby się utworzyć mały obrazek cywilizacyi Pomorza przedchrześciańskiéj i przedkrzyżackiéj. Jednostronność taka pochwalna w uczuciu godności narodowéj, ale nie w historyi, bo zaciemnia podania. Ale pominąwszy i Szulca, w ostatnich czasach tyle pokazało się dyplomataryuszów, tyle pomników, które rozświetlają tę pomorską przeszłość, że doprawdy, grzechem nie znać ich; tém bardziéj, kiedy się o Krzyżakach pisze. Dzieje Kujaw, kraju tak blizko związanego z Pomorzem, tak z nowéj strony przedstawione są w Dyplomataryuszu Rzyszczewskiego; Stronczyński we Wzorach pism dawnych wydrukował kilka donacyjnych przywilejów Konrada maz. z r. 1228—30: jeden z nich osadzający Krzyżaków w ziemi chełmińskiéj, znany był dotąd w treści z dzieła Naruszewicza; wydał też i wiele innych dyplomatów, które rozwidniają stosunki Krzyżaków z Polską: że potrzeba było ręką tylko schylić się do ziemi, żeby znaleźć to, czego się szukało nadaremnie. I dawniejsi autorowie, jak Łojko i Naruszewicz, dostarczyliby ciekawego materyału; ale w każdym razie nic nad dyplomataryusze, któremi dzisiaj tak obficie zbogaciła się nauka.

W Dziejach Krzyżaków nie widać więc nic polskiego życia. To też kiedy nadchodzi epoka zawiązania się towarzystwa jaszczurki, kiedy wybiła godzina wyjarzmienia się ziemi zpod Niemców, kiedy Pomorzanie poddali się Polsce i królowi Kazimierzowi: z dzieła p. Ro-

galskiego sądząc, zdaje się, że to ucisk niemiecki popchnął ich do tego gwałtownego kroku. W poddaniu się Pomorza widzim tylko akt czystego egoizmu: źle nam było, nie możem być samodzielni, postarajmy się zatém, żeby nam pod inną opieką było lepiéj. A jednak, w tym akcie hołdu Pomorza było coś i rodowego uczucia. Posłowie ziem tamtych w Piotrkowie i w Krakowie przemawiali do brodatych senatorów Jagiellońskich po polsku; Słowianie pomorscy przypomnieli sobie, że zdrada krzyżacka rozerwała na kawałki pierwotną ich ojczyznę. Nasze *Dzieje Krzyżaków* naturalnie tych tajemnic wcale nam nie objaśnią, bo ich nie ma także w de Fahlu.

Jaka to nieoceniona szkoda jednakże, że w tych krwawych, stanowczych zapasach nie widzim nic pierwiastku rodowego? Przyjmujemy na dobrą wiarę to, co Niemcy o nas pozmyślali. Mamy np. obraz, że już dawniejsze wypadki pominiem, sporów Mikołaja Tungena z królem Kazimierzem Jagiellończykiem; widzim wdzierstwo Wincentego Kiełbasy i Jędrzeja Oporowskiego, ale to już wpływ polski, więc postronny; a nam o to głównie chodzi, żeby ocenić pobudki tego np. oporu Tungena, żeby dowiedzieć się, jakie spółczucie znajdował on w zniemczałéj ludności warmińskiéj. Po jego śmierci tylko napomknięty wypadek, że król Kazimiérz chciał syna swojego Fryderyka (potém kardynała) osadzić na biskupstwie warmińskiém, tak, żeby Heilsberg trzymał razem z Krakowem; ale Łukasz Wejselrod się utrzymał. Nowsze badania p. Adryana Krzyżanowskiego wykazały, że ród Wejselrodów był słowiański, czysto polski, pochodzący od dawnych rodzin przedkrzyżackiego Pomorza, że w tym rodzie nic a nic krwi niemieckiéj nie było. Jeżeli to prawda, to lepiéj przez to samo odkreślają się stosunki Łukosza do Krzyżaków: wiemy dlaczego był on wrogiem zakonu, wiemy dlaczego trzymał z Polską. Wejselrod interesuje nas i z tego względu, że był rodzonym wujem Kopernika. Sam astronom odegrywał rolę wielką na Pomorzu i stał jakby na czele stronnictwa polskiego, odcinając się żwawo Krzyżakom. Wejselrod i Kopernik nie byliśo więc Niemcy, którzy przeciw innym Niemcom broń podnieśli w obronie praw swoich: byliśo razem i Polacy, którzy mieli spółczucie dla wielkiéj ojczyzny ukoronowanéj w Krakowie. Téj strony walki nie ma w Rogalskim. Nawet nie ma imienia Kopernika. Kiedy po śmierci biskupa Luzyańskiego (ten i nazwisko nawet ma polskie), wójt hejlsbergski obowiązując się niemieckich prałatów wypędził ich z miasta, które zajął na imię króla polskiego, mimowolnie myśl się rodzi, że to także musiał być jaki Pomorzanin, a Rogalski podaje nam imię jego niemiec-

kie. Były na Pomorzu rodziny polskie: Bażeńskich, Mortęskich, Konopackich, Czemów, Kostków, Wejherów., których Niemcy pochrzcili po swojemu nazywając: Baysen. Mortangen, Konopat, Zehmen, Sternberg i t. d. Tak wielu dawnych biskupów pomorskich, wielu obywateli występujących przeciw zakonowi w XIVtym do XVIgo wieku Niemców z nazwiska, Polakami być mogło. Trzeba to było przewidzieć i dzieło niemieckie poprawić. Kosztowałoby to zachodów, ale jakaż inna byłaby wartość pracy historycznéj! Dla tego, co najmniéj, musiałby autor polski odbyć podróż na Pomorze, i przejrzéć chociażby tylko archiwum kapituły warmińskiéj, które zebrał, uporządkował, i w osobne tomy oprawił Krasicki, złożywszy tym sposobem nowe *acta Tomiciana*, niemniéj jak tamte ciekawe.

Od czasu zupełnego owładnięcia Pomorzem przez Niemców, zaczęła się reakcya niezmierna przeciw słowiańskiemu żywiołowi. Wiele miast i osad w tamtych stronach, winno swój początek Niemcom, bo z Westfalii i znad Renu, ciągnęli tutaj nad Wisłę w zbrojnych massach rycerze i osadnicy. Ludność ta napływowa była tak niezmierna, że pomimo trzechsetletniéj unii krajów tych z Polską, wyraźne ślady niemczyzny pozostały na Pomorzu. Ale przed Krzyżakami i cienia Niemców na ponadwiślu gdańskiém nie było. Historyk zatém Pomorza naszego, powinienby wystawić nam obraz postępnego wynarodowiania się ziemi: nie krajowcy przemieniali się na Niemców, ale rząd wprowadzał nowe zasady, jakby nową krew wlewał do żył narodowych. Zniemczano nazwiska ludzi i osad, a myśmy tych ludzi mieli za Niemców, a osady nasze stare uważano za nowe niemieckie. Rys tego odstępu od jedności z Polską, przez lat przeszło sto, aż do czasów Kazimiérza W., objaśniłby nam i ten fakt dziwny o życiu Pomorza, że w Rzplitéj polskiéj tworzył oddzielną małą Rzplitą przez przeciąg trzech wieków. Byłato myśl, byłato jakaś dążność do samoistności plemiennéj; jeżeli więc Niemcy nic złego nie zrobili na Pomorzu, to już przynajmniéj za to nie możemy im być wdzięczni, że nas rozdzielili w uczuciu narodowém, że z jednego ludu, dwa zrobili. Prawda, że Pomorze stanowiło coś odrębnego zawsze od Polski, że Bolesław W. chrzcił je orężem, że tameczne ludności zawsze się na nas z Prusakami łączyły i napastowały granice mazurskie; ale historya Krzyżaków, winna nam była i te szczególności żywota tych ludów na jaśnię wystawić.

W Dziejach Krzyżaków, myśmy nietyle szukali historyi Niemców, którzy ujarzmili spółbratymców naszych, ile historyi tych pobratymców. Pan Rogalski zupełnie to z widoku pominął. Dlatego książka jego ciekawa i obfita w wypadki, mało ma danych do dziejów wewnętrznych narodu. Nawet niewiele tam czytamy o prawach, któremi się Krzyżacy rządzili na Pomorzu względem swoich poddanych. Autor niemiecki daje nam poznać formę zakonu, wskazuje na stosunki mistrzów prowincyonalnych z wielkim, rozwija systemat ich zazdrości, knowań i intryg; ale jest nad to coś nierównie pożądańsze w historyi Krzyżaków. Autor polski nie powinien był nigdy tego zapomnieć, że pisze w Warszawie i to dla ziomków Zyndrama z Maszkowic i Oleśnickich, bohaterów zpod Grunwalda.

W dziejach Krzyżaków pruskich potrzebna jest naturalnie powieść i o Mieczownikach inflanckich: te dwa zakony razem się w jednę całość splotły na całe prawie dwa wieki. Ale historya Inflant, równie jak historya Pomorza, wchodzą jako oddzielne ustępy do historyi całéj Polski: to przedmiot dla przyszłych monografij. Plączą się te dwie historye li tylko przez Krzyżaków, ale jedna i druga płynie osobném korytem, każda sama w sobie stanowi całość. W dziejach naszego Pomorza, te ciągłe zboczenia z Inflant pod Gdańsk, zpod Królewca pod Rygę, nużą tylko uwagę bezpotrzebnie. Jużcić główne życie zakonu biło zawsze na Pomorzu, więc z konieczności wypadło, że artykuły o Inflantach są i mniejsze i nietyle nas pouczają o przeszłości ziemi łotewskiéj. Gdyby autor polski rozumiał to położenie rzeczy, byłby te Inflanty zupełnie z tekstu swojego wyrzucił. Wszakże i tak nie powiedział nam wcale więcéj, jak zacny kasztelan inflancki, stary Hylzen, przed stą laty. Instynktowo jednak czuł i de Fahl tę prawdę, że Inflanty przypadkowo zetknęły się z Prusakami, kiedy historyą Krzyżaków rokiem 1525 zakończył. Z tą chwilą upadku zakonu pruskiego winien był snuć daléj osobną nić historyi w odrodzonéj niezawistości Mieczowych rycerzy. Ale o dalszych losach Inflant i Kurlandyi, de Fahl powiedział tylko półtoréj stronniczki; byłto jednak okres lat kilkudziesięciu, doprowadzony aż do poddania się Kettlera Polsce. Dawniéj biegł pędem niewolniczym za Prusami, a tutaj nawet nie rozwinął obrazu upadku zakonu Inflant. Pan Rogalski naśladował de Fahla. Faktem pokazał, że dzieje Mieczowych nie płyną wcale z historyi naszego Pomorza.

Mówiliśmy o tém, czego książce pana Rogalskiego niedostaje, żeby nas zupełnie zaspokoiła. Powiemy teraz o zaletach tych Dziejów krzyżackich; ale tym razem wszystko, co tylko w nich znajdziemy dobrego, odniesiemy do oryginału, nie do tłumaczenia. Autor polski przerabiał de Fahla po swojemu, tojest, to w nim jedynie zmienił i rozwinął albo opuścił, co mógł, o czém miał pewne wiadomości pod ręką, i to w chwili, w któréj pisał.

Dzieje Krzyżaków przedstawiają obraz chronologiczny wypadków. Autor zamknął wszystko w życiorysach pojedynczych mistrzów, ale życiorysy te wypełnił, zrobił je wcale zajmującemi. W piérwszych chwilach zakonu na ziemi naszéj, zdaje się, że jesteśmy świadkami boju, jaki dzisiaj Francuzi prowadzą w Algieryi. Co rok tam nowe wyprawy, nowe zdobycze, nowe osady, nowe powstania, które uśmierzać potrzeba. To jakaś dorywcza, błędna walka, jacyś błędni rycerze w pancerzach i przyłbicach. Nie widać wprawdzie z opisu autora marsowych postaci: Pomorzan po ich odwadze, Krzyżaków nie poznasz po chytrości, ale bo nie jestto i artystyczny obraz, to nie malowidło. Ale za to z drobiazgową punktualnością autor wyliczy ci wszystkie pożary, wszystkie budowane i niszczone twierdze, wszystkie przymusowe nawrócenia, wszystkie zdrady krzyżackie, morderstwa zakonu, nie widząc, że to co kréśli, jest zbyt okropne. Ale nie dziw: na Pomorzu była walka ras i plemion; jedno mające siłę i Europę za sobą, chciało zgnieść drugie, które tylko ufało swojemu męztwu i dobréj sprawie, a gdzieniegdzie i opiece bogów, którzy zamilkli. Te wielkie wojny wytępienia odbywały się wszędzie jednakim sposobem, zawsze na wielką skalę, dawniéj jak i dzisiaj; odbywać się będą i potém, po nas, jeżeli takie wojny będą możebne. Potém, kiedy się rozbujało na Pomorzu życie, kiedy zgnębiona ziemia poznała się na własnéj sile i widziała, że ślepo uległa; widzimy w dziejach Krzyżaków ciekawą historyą wojen i związków z Polską, ciekawsze rysy towarzystw wyswobodzenia, najciekawsze dzieje upadku moralnego zakonu. Kiedy zakon umierał, nierząd okropny panował w całych Prusiech: miasta walczyły z rycerzami, rycerze z w. mistrzem, mistrz z Polską, kapituły z biskupami, biskupi z zakonem, Niemcy z ludnością miejscową. Wpośród tak ożywionego obrazu, rysują się wybitnie postaci historyczne: biskupi warmińscy i chełmińscy, należą całkiem do dziejów Polski; pomezańscy i sambieńscy walczą to z Rzplitą, to z władzą swoją—zakonem.

Dat massa, wypadków massa, a wszystkie są zupełną nowością dla literatury historycznéj polskiéj. Jużcić nie możem porównać historyi de Fahla z dziejami Voigta, opowiedzianemi na wielką skalę: tam obraz kolosalniejszy, lubo więcéj jeszcze niemieckością i stronnością przyćmiony. Ale w każdym razie, pan Rogalski Dziejami Krzyżaków wypełnił próżnię oddawna już panującą w naszéj historyi, próżnię, która dzisiaj bardziéj jak kiedykolwiek poczuwać się daje. Pokolenie Stanisławowskich literatów i poprzednie i następne po niém, nie zwracało w to strony uwagi. Jeżeli pracował kto dla Prus, to jaki Niemiec spolszczony, przywiązany do pamiątek ziemi, i to zupełnie prywatnie, bez odgłosu, bez obudzenia współczucia nawet w szlachcie pomorskiéj, która miała swoje sejmiki, generały i senat, a któréj wiele praw sięgało jeszcze czasów krzyżackich. Byłto jaki Lengnich, Lauterbach, Hartknoch. A przecież i w naszéj literaturze była chwila, że Krzyżakami się zajmowano: Stryjkowski znał ich dobrze, Murinius napisał kronikę Pomorza i mistrzów przedrukowaną w Bibliotece Starożytnéj Wojcickiego, Hylzen potomek inflanckich rycerzy pisał o mistrzach Mieczowych, więcéj jak o ziemi, która łotewską była.

Dzieło pana Rogalskiego wystawia nam historyą, że tak się wyrazim, wojenną, dyplomatyczną Pomorza. Pod tym względem, zaspokaja tymczasowo wszystkie oczekiwania. Jednakże na tém nie koniec: myśmy powinni mieć jeszcze Voigta po polsku, ale Voigta przejrzanego, poprawionego podług źródeł naszych, oczyszczonego z niemieckich wtrętów. Historya Voigta tak przerobiona, byłaby wzorem dla innych monografij polskich.

Książki elementarne.

Do systematów dziejowych policzym jeszcze elementarze, tojest książki traktujące o dziejach polskich dla młodzieży.

Jestto rzecz bardzo pożądana w każdéj literaturze takie książki elementarne. My ani ilością, ani dobrocią pochwalić się nie możemy. Nowe usiłowania nic nie wydały w tym względzie, coby zaspokajało potrzeby, chociażby w pewnéj mierze. Z dawniejszych prób znamy tylko dwie książeczki prawdziwie klassyczne, które wybornie służyć mogą dla swego celu: nie idzie prze-

cież za tém, żeby nie starać się jeszcze o coś dokładniejszego. Mówimy o historyi Wagi, ale w ostatniém przerobieniu z 1824 r. i o Dziejach, do których autor skreślił dwanaście krajobrazów. Piérwsza książka dla starszych dzieci jest prawdziwym systematem dziejów: ma tablice genealogiczne książąt polskich, ruskich, litewskich; zawiera dzieje krain połączonych, albo sąsiadujących z Polską; przedstawia nietylko byt polityczny zewnętrzny, ale i wewnętrzny, społeczny Rzplitéj. Pod koniec obrazy pojedynczych panowań nawet rozwinięte dosyć, w takiéj pełni, że prawie nic do życzenia nie zostawiają. Druga książka jest przewybornym elementarzem, ale dla małych dzieci, i zawiera wszystko, co tylko zainteresować je może i ciekawość obudzić: jest powieść tam o zwyczajach i obyczajach, ubiorach, powozach, a co nadewszystko, styl prosty, tak przemawiający do przekonania i duszy małoletnich czytelników.

Elementarze historyczne polskie oceniał już przed nami w jednéj z rozpraw swoich autor Ksiąg Bibliograficznych. Od czasów jego namnożyło się więcéj tych dziełek i pism, które zasługują także na ocenienie i przegląd. Mamy zamiar w innym artykule powiedzieć obszernie o tych przewodnikach dla młodzieży; oprócz nowych, weźmiemy pod miecz krytyki i dawne: znajdzie się tam niejedna uwaga, którą pominął autor Ksiąg Bibliograficznych. A potém my będziemy patrzyli na te dziełka z innego stanowiska, jedynie ze stanowiska praktyczności ich i użytku dla młodzieży, sztuki z jaką pisane być powinny, żeby w sobie przedstawiały zupełną całość wewnętrznych i zewnętrznych dziejów; wtenczas, kiedy autor Ksiąg o których mówim, w swoim przeglądzie miał inne cele i więcéj wskazywał na błędy historyczne, które weszły do elementarzy i niepotrzebnie mąciły głowy dziecinne, więcéj szukał opuszczeń i wskazywał złe daty, jak pisał recenzye. Wtenczas obszernie zastanowim się nad tym przedmiotem. Tutaj nam wypada wspomnieć o elementarzach, które w téj nowéj epoce światło dzienne w naszém mieście ujrzały. Tam więcéj o nich powiemy; tutaj o tyle, ile wypada dla związku literackich faktów.

W naszych czasach książkę taką ułożył Michał Baliński (1). Nie rozumiemy celu pisania, jeżeli autor znając prace poprzedników, nie ma zamiaru zrobić co od nich lepszego. Jeżeli książka

(1) Historya polska przez Michała Balińskiego. Warszawa. 1844. Nakładem G. L. Glücksberga, druk Strąbskiego. 8ka. Str. 248, i wstępu str. VII. Złp. 10.

gorsza od dawniejszych, to po co czas tracić? P. Baliński mógł jednak dobrą książkę napisać, i to bez żadnych poprzednich poszukiwań albo przygotowań. Kto już tyle lat zajmował się pracą około dziejów polskich, ma podostatkiem faktów w głowie na elementarną książkę i dawno już powinien był mieć swój systemat gotowy. Człowiekowi badającemu ciągle lat kilka te stare urywy przeszłości, mimowolnie do głowy przychodzą myśli, że tak a tak wartoby, tak a tak możnaby obraz dziejów wypracować. Niepotrzeba się schylać, szukać systematu, on sam się znajdzie, sam się uprzędzie jak należy. Jeżeli się coś kolosalnego buduje dla ogółu, dla uczonych, jeżeli to coś ma stanowić nowy przybytek dla nauki, ma odkrywać nowe światy, a przynamniéj nowe zjawiska: wtenczas co innego: wtenczas trzeba myśléć, bo od tego myślenia zależy przyszłość całego dzieła i jego wartość. Ależ w książkach elementarnych, dla człowieka, który ma lat trzydzieści zasług na polu poszukiwań historycznych? — Tylko siąść trzeba i pisać.

W elementarzu p. Balińskiego nie znać nawet tego, żeby autor w sobie jakie pojmowanie dziejów wyrobił tak, żeby je potrafił odlać w pewien systemat dla dzieci. Jużcić każda książka historyczna, będzie książką historyczną i zawiérać fakta; ale tu o to nam idzie, że książka p. Balińskiego nie przedstawia całości dziejów, i więcéj się bawi światem faktów: a te fakta poplątała tak niezręcznie, że oprócz samych imion, wojen i lat, nic tam nie widać. Jesteśmy pewni, że żadne dziecko polskie z téj książki nie nabierze ciekawości do obszerniejszego poznania dziejów. Trzeba to raz zrozumiéć, że chronologia i fakta są dobre, ale że dopiéro poświęcający się nauce i kochający ją, zrozumié w pełni tę harmonią lat i faktów. Dla dzieci potrzeba koniecznie powieści, koniecznie obrazu. Bolesław Chrobry co słupy kuje żelazne po rzekach, zniknie, nie odrysuje się w wyobraźni dziecinnéj, jeżeli autor powié tylko, że to z Rusią, to z Niemcami wojował. Jadwiga czémże będzie, jeżeli autor powié, że wstąpiła na tron po ojcu mocą ugody, i że nową dynastyą zaczęła dla Polski? Małyto obraz Bolesława w dziejach krajobrazowych, ale jaki pełny! W stosunku więcéj tam o nim, jak o innych królach; więcéj, jakby wypadało na obszerność książki. To téż dzieci pojmą i pokochają łatwo tę postać Bolesława W., którym autor rozpowiada, jak się przed Niemcami uniżać nie chciał w Mersburgu, jak cesarza przyjmował w Gnieznie, jak św. Wojciecha polubił i wyprawiał na Pomorze, jak szczerbcem w zło-

tą bramę uderzał, jak kraj objeżdżał z dwunastą panami, jak polował, jak kraj zaludniał, jak się ukoronował. Toż samo o Jadwidze: interes wzrośnie, kiedy autor rozpowié dzieciom, jak była piękną i młodą, jak ją Wilhelm rakuski kochał, jak księżniczka poświęciła się dla kraju i dla wiary, jak przestraszyła się kiedy jéj piérwszy raz rzucono myśl o Jagielle, jak potém ślub nastąpił i koronacya króla Władysława, jak ten dziki Litwin nagle przemienił się w bojaźliwego i pełnego przesądów pana. Takie obrazy wybrane z historyi uderzają jakąś wielkością, pięknością, majestatem; wywiérają wpływ na umysł dziecinny i nigdy, nigdy nie wygluzują się z pamięci. Około nich, już gruppować się powinny inne, mniéj wybitne postaci.

U p. Balińskiego są i te fakta, bo jużcić ich opuścić żadna historya nie może; ale tam tylko głuche o nich wspomnienie na zimno i nie ma obrazu. Jeżeli autor powié, że Jadwiga oddała rękę Jagielle i poda sam fakt, a potém że Jadwiga biła się na Rusi i odbierała z rąk Węgrów czerwieńskie grody wtenczas, kiedy mąż był na Litwie: dla dzieci taka Jadwiga będzie toż samo, co jakby powiedzieć Małgorzata, Krystyna. Jak jedna, tak druga i trzecia mało znaczyć będą i wbijać się w pamięć, kiedy całą zasługą ich będzie fakt jeden, albo sucha data. Inaczéj się pisze historya dla dzieci, inaczéj dla dorosłych. Co w historyi za wagę mieć będą dla młodego pokolenia dzikie imiona Demostenesów, Romulusów, Cezarów, kiedy jednych wielkość, drugich zbrodnia nie staną dzieciom na myśli jak mary?

O całą wysokość wspaniałego zamku od biednéj chałupy zagrodnika, niższą jest w takich powieściowych szczegółach książka Balińskiego od Dziejów krajobrazowych.

A same fakta jakże są podane w Balińskim? Pobrane na chybił trafił, piérwsze lepsze, z piérwszéj lepszéj książki. Zdaje się, że jakby autor wziął Bandtkiego, Wagę z r. 1824, albo kogokolwiek i wypisywał z nich. Są rzeczy ważniejsze a pominięte, są mniejszéj wagi, a opisane. Stanowisko książąt nawzajem do siebie z czasu podziału Polski, słabo, nadzwyczaj słabo odznaczone. Leszek Biały a Czarny, a Bolesław Wstydliwy, doprawdy, nie wiemy, czy sympatyzować z niemi, czy ich potępiać. Nawet Łokietek, Kazimiérz W. zbyt zimno wyglądają z ram książki p. Balińskiego. Systemat podziałów od r. 1139, ciągnący się aż do Jagiełły i daléj, jest w takiémże samém pomieszaniu, i nieładzie faktów. Biją się książęta jedni z drugiemi, nie wiemy za co,

po co, dlaczego?—nie wiemy jaki ich stosunek, jakie związki familijne? Do tego na nieszczęście nie ma żadnych tablic genealogicznych, jakże mają pojąć to wszystko dzieci?

Trzeba też zauważyć, że prawie wszyscy poprzednicy p. Balińskiego, źle pisali dzieje Lechii podzielonéj na księztwa. Im się zawsze śniło jakieś królestwo i król w Krakowie, który panował nad *całą* Polską, a książęta szlązcy, poznańscy, płoccy, gdańscy, kujawscy, ruscy, byli tych królów nieposłusznemi hołdownikami. Tak nie jest jednak, tego widoku nie przedstawiają nam dzieje. Arcybiskup w Gnieznie więcéj jedność Lechii wcielał w siebie, jak np. Leszek Biały, albo syn jego Bolesław. W Krakowie panowała młodsza linia: stryjowie i starszego pokolenia bracia, niełatwo słuchać chcieli rozkazów z Krakowa, a nawet o tém wcale nie myśleli całe swoje życie. Bolesław W. z różnych żywiołów złożył wielkie państwo polskie, które się orężem trzymało aż do Krzywoustego, poczém się rozpadło na składowe pierwiastki. W tém rozumieniu rzeczy, Kraków nie był tak stolicą całéj Polski, jak Poznań, Kalisz, albo Wrocław. Trwała walka lat długo, dopiéro Łokietek pierwszeństwo przyznał Krakowu, a niewiele brakło, żeby stolicą został Poznań. Gdyby który książę mazowiecki znękał Łokietka i zjednoczył Lechią jak on ją zjednoczył, kto wié, czyby stolicą Lechii nie był Czersk albo Płock na pograniczu pruskiém, zamiast Krakowa na pograniczu Węgier.

Dzieje Lechii w podziałach trzeba więc inaczéj wykładać jak wykładano je dotąd. W Polsce ówczesnéj było coś podobnego do świętego państwa: cesarz na czele, to niby naczelny książę w Krakowie, ale inne stany cesarstwa, jak Saksonia i Hessya niepodległe; tak w Polsce niepodległe Czersk i Wrocław pod cieniem lekkiego bardzo poddaństwa.

Nie można zatém przywiązywać historyą Polski od r. 1139 do historyi li tylko Krakowa. Trzeba przechodzić chociaż pokrótce dzieje książąt i księztw, rozwijać systemat podziałów. Oto w danéj epoce np. było tyle systematów, tojest tyle rodzin żywo związanych jedną polityką: tu gruppa szlązkich, tu oddzielna gruppa mazowieckich, tam kujawskich. W tych gruppach te a te miasta były stolicami książąt, któremi byli ci a ci; potém narysowaćby potrzeba postaci znaczniejszych książąt, czyto potęgą, czy zdolnościami, czy niespokojnością charakteru i wskazać na powody ich niechęci pomiędzy sobą. Każda gruppa miała coś z sobą wspólnego, a coś oddzielnego od drugiéj gruppy: za ojcem

szli synowie i ziomkowie, a tak się wyradzała w różnych dzielnicach Polski jakaś polityka rodzinna, która miała swoje cele, charakter i historyą. Pokaże się wtenczas, że np. w r. 1200 tyle było w Lechii podzielonéj księztw, a tyle grupp, takie a takie było życie książąt. Rozwidni się wtenczas w umyśle dzieci i lepiéj one pojmą, zkąd te częste wojny, gdzie leżały powody tych ciągłych nieporozumień domowych?

Monografie wiele uczą ludzi dojrzałych, nowe okolice nam ukazują; ale historya dla dzieci w okresie Lechii podzielonéj, ma być koniecznie zbiorem krótkich monografij.

Otóż wracając do p. Balińskiego, cała jego książka pod żadnym pozorem nigdzie wymagań nie zaspokaja, a w rozwoju dziejów XII—XIV stulecia, zamiast światła, cienie rzuca na przeszłość. Sąto jakieś wypisy, jakieś ogryzki z przeszłości. Zdaje się, że p. Baliński nic nie korzystał z prac poprzedników. Jako znamię całego postępu nauki, wchodzi do téj historyi wiadomość z Maciejowskiego zaczerpnięta, że Lachowie przybyli do nas z Saksonii w wiekach przedhistorycznych, tojest w II do VI w., i że uorganizowali społeczność naszę po szlachecku, tojest, kastowo, z niemiecka. Jeżelić p. Baliński przyjął już za pewnik te wywody Maciejowskiego, należało mu skreślić za nim stan obywatelstwa polskiego za czasów Wielkiego Bolesława; wtenczas dzieje pierwotne zamknęły się, a wszystko stanęło na nowéj podstawie, podług warunków nakreślonych z góry przez największego człowieka, jakiego kiedykolwiek wydała Polska. Ale nie widać tego w dziełku, zatém cały ten wywód pochodzenia szlachty naszéj od Lachów do niczego nie wiedzie i niepotrzebny, chyba dlatego wtrącony, żeby nie dzieciom, ale ludziom dojrzałym, którzy książkę p. Balińskiego czytać będą, dać poznać, że autor obeznany jest z nowemi badaniami, które odkryła nauka. Oprócz téż tego jednego faktu, nie ma nic w całém dziełku p. Balińskiego o wewnętrznéj historyi narodu. W zewnętrznéj, są nawet myłki, które w innem miejscu wytkniemy. Wszystko darować można, ale błędów w historyi elementarnéj darować nie można. Dowodzi to jakiéjsiś nieoględności, naturalnie pomimowolnéj.

W dziejach zewnętrznych zatém, książka p. Balińskiego o wiele niższą jest od Historyi królów i książąt polskich Wagi z r. 1824. Pomnożyła sobą tylko spisy bibliograficzne. Takie książki łatwo pisać, aby tylko systemat obmyśléć; ale p. Baliński nic nie pomyślał, kiedy pisał. To zaraz widać.

Inny pisarz z pewném artystyczném pojęciem wziął się do wystawienia takiego obrazu, jakiegośmy oto w téj chwili pożądali. Ale artyzmem trącą tylko ramy, w które ustroił swój obraz: naśladował on myśl autorki Pielgrzyma w Dobromilu. Otóż wyobraził sobie, że staruszek pewien, dawniéj wojak i legionista nawet, który wiele bywał i wiele widział na świecie, za kątek do śmierci i kawałek chleba spokojny, bawi małą drużynę dzieci powiastkami z historyi narodowéj. Jak pielgrzym, tak i ten wojak bywalec skreślił w swoich opowiadaniach cały rys dziejów: tamten jako prosty człowiek mniéj wiedział, a mówiąc do dzieci gospodarza wiejskiego, mniéj im prawił szczegółów ciekawych, jak nasz wojak, który ma więcéj treści, a zatém i więcéj nauki. Od piérwszego wejrzenia zaraz to poznać można. Pielgrzym jeszcze dawał rady hygieniczne, gospodarskie, chodził z dziećmi na spacery i uczył ich historyi świętéj; a wojak wyłącznie opowiada dzieje polskie na *Domowéj zagrodzie*. Otóż ta jedynie postać wojaka, jest artystyczną i dramatyczną w całéj książce p. Miniszewskiego. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, piérwsze stronnice z talentem skreślone. Autor ma dość talentu do powieści, ale nie do historycznych. Historyi wcale nie zna, to widać w części elementarnéj jego Domowéj zagrody (1).

Jeżeli to prawda co mówią o autorze, że dzieło swoje napisał bez żadnego poprzednio przygotowania, jakby na zadany temat w przeciągu dwóch tygodni w tutejszéj bibliotece rządowéj, to dziwić się nie należy, że książka niedojrzała. Takie dzieło elementarne mógł napisać w dwa tygodnie Baliński, mógł każdy inny badacz, który, jak powiedzieliśmy, studyował długo nad przeszłością Polski; ale nie mógł tego zrobić w żaden sposób autor taki, jak p. Miniszewski, który pisząc Domową zagrodę, sam się uczył historyi. To téż więcéj książka jego dowodem jest niezmiernéj łatwości pisania, z jakiéj pomiędzy nami słynął p. Miniszewski. Cóż z tego, że język piękny i styl ożywiony, kiedy rzeczy fałszywe? Autor nie znał faktów historycznych, a jakże miał pojąć całość, zrozumiéć stronnictwa w Polsce, które wystawia, walkę wzajemną dwóch sił, dwóch oddzielnych pojęć? To

(1) Domowa zagroda. Rysy z dziejów polskich w opowiadaniu powieściowém dla młodzieży, napisał Józef Alex. Starża. Warszawa, w drukarni Strąbskiego. 1847 r. T. I, str. 282. T. II, str. 220. Przedmowa datowana w Dzierzązny 1845 r.

też wiele błądzi nietylko już w przedstawianiu faktów, ale w ich ocenianiu, które u niego dowolne jest, co nie jest wypływem namysłu, krytyki, rozwagi, ale jakiéjśćiś dyktatorskiéj zarozumiałości. Jeżeli kto, to p. Miniszewski nie mógł pisać historyi bez poprzednich studyów nad ludźmi i rzeczami.

Wskażem kilka uchybień i co do faktów i co do rozumienia rzeczy, bo rozszerzać się nad tym przedmiotem nie możem.

Wolski kanclerz został za Zyg. Augusta kasztelanem krakowskim, to chyba Dębiński; po nim nastąpił zaraz w urzędzie Jan Zamojski; tutaj dwie osoby pomieszane w jedno (Tom 2gi str. 21). Tenże Zamojski miał starać się dla siebie o koronę po Batorym (tamże str. 27 — 29). Dwie daty uwolnienia arcyksięcia Maxymiliana są: 1579 i 1589. Jan Kazimiérz miał być biskupem warmińskim. Regimentarzami przeciw Chmielnickiemu mianowani: Władysław Ostroróg wojewoda sandomierski, drugi Mikołaj Ostroróg podczaszy koronny i Alex. Koniecpolski. Rzecz dziwna, że dwóch Ostrorogów cytuje p. Miniszewski; na błędzie się nie poznał. Wojewoda sandomierski Ostroróg byłto Władysław Dominik książę Zasławski na Ostrogu. (Jednak mylą się nasi autorowie elementarni i księcia zwą zawsze Ostrorogiem, również jak na sejmie r. 1569 księcia Ostrogskiego także zwą Ostrorogiem, tak jest nawet i w Wadze przerobionym w r. 1824). P. Miniszewski potém wielką jakąś wagę przypisuje Karolowi Ferdynandowi biskupowi płockiemu, o którym mówi, że gdyby był na tron wybrany po Władysławie IV, byłby zbawił Rzplitą, bo rozumiał plany brata, a te plany były zbawienne. Jan Kazimiérz niecierpiał Władysława i szedł w kontr im; obrali go różnowiercy, którzy bali się biskupa jako księdza. To nowe rzeczy dla nas i nie wiemy dlaczego różnowiercy więcéj ufali Janowi Kazimiérzowi, który był Jezuitą, a miał być biskupem warmińskim (autor tu poplątał dwóch braci: J. Kazimiérza z Olbrachtem). Niecierpiał zaś brata Jan Kazimiérz, bo za jego sprawą siedział dwa lata w więzieniu we Francyi, tojest przez jego opieszałość, czy słabość. Radziejowski daléj gotuje drogę do tronu królowi szwedzkiemu, który ma spełniać plany Władysława. Wielkopolanie, którzy poddali się Karolowi pod Ujściem, wchodzili w plany i zamiary Radziejowskiego i t. d. Daléj jest o tém, jak Częstochowa opierała się Szwedom i jak postanowiono, żeby koronacya N. Panny w tamecznym kościele powtarzała się regularnie co lat sto; jak Jan Kazimiérz wrócił do Warszawy po zawarciu

pokoju z Prusami, Danią i Moskwą, jak książę Jeremi powinien był zostać demokratą! (str. 105), jak konfederacya gołąbska podnieść chciała monarchizm w Polsce, i t. d.

Massa błędów w nazwiskach, faktach, pojęciach. Autor błędnie wypisywał, albo ze źródeł bardzo podejrzanych. Gdyby książkę swoję po jéj napisaniu pokazał komuś więcéj się na tém znającemu, wiele błędów dałoby się jeszcze poprawić. Ale cały ton i rozumowanie błędne: już to grzéch pierworodny książki. Autor wcale nie rozumié ostatnich chwil Rzplitéj i dlatego co krok, to się potyka fatalnie.

Taka historya nikogo nie nauczy nic, a massę błędów rzucić może w młodociane umysły. Taki elementarz jakim jest książka Balińskiego, oprócz kilku niedopatrzonych błędów, przynajmniéj ogólnych dziejów nie skrzywi; jeżeli nie nauczy historyi, to przynajmniéj poda dzieciom niektóre prawdy: następstwo królów, daty ważniejszych wypadków, co już samo stanowić może jéj stronę dodatnią.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODRÓŻ PO FRANCYI.

PRZEZ

Dra T. Trippliua.

WSTĘP.

Francya, *la belle France*, jak ją wielomówne jéj dzieci nazywają, ma być wyłącznym przedmiotem niniejszego oddziału ze wspomnień moich podróży. Przyzna mi każdy, jak drażliwém jest opisywać przedmiot znany ogółowi, albo też wiadomy mu przez ciągłe nim zajmowanie się. Z nowego stanowiska obejrzéć go potrzeba, wywołać na widownią nowe szczegóły, pokazać w czém mylne zapatrywanie się dotychczasowe, żeby potrafić nim zająć korzystnie i miéć ojcowską pociechę autora: zadowolenie z dziecięcia bez uprzedzeń i zbytecznéj miłości własnéj. Dlatego téż obawiam się, czy praca obecna wyglądaną będzie z tą niecierpliwością i czytana z tą ciekawością, jaką się poprzednie zaszczycały. Obawę, a raczéj pewność moję pod tym względem uzasadniam na trzech głównych powodach:

Piérwszy, a o nim już powyżéj nadmieniłem, iż opisuję Francyą, o któréj czerpią u nas ciągłe wiadomości z płodów jéj piśmiennictwa, dziennikarstwa i wyłącznych opisów, których jednak w ojczystéj mowie nie tak wiele posiadamy.

Drugi, że wielu z nas w tym kraju przebywało. Trzeci nareszcie wypływa z trudności ustalenia stanowiska, z jakiego na jéj polityczne położenie zapatrywać się można. Zaczęsto kształt jego zmieniając, nie daje rękojmi, odbiera wiarę w trwałość zasad i wyobrażeń, wiążących społeczną jéj budowę, i temu przypisać należy, że ów kraj tak umiejący rozszerzać panowanie swoje

umysłowe świetnością języka, płodami literatury, ruchliwością dowcipu, smakiem form, pomysłowością mody, nie tak już nas obecnie zajmuje jak dawniéj; nas, najgorliwszych jego zwolenników!....

Mimo to nie chcę odrywać od wspomnień moich sześciu lat spędzonych na ziemi francuzkiéj; chętnie pragnę się podzielić z czytelnikami wrażeniem i spostrzeżeniami, jakie na mnie wywarło to wszystko, czemu się przyglądałem zblizka i uważnie.

Znaczny to peryod życia mojego! Wywarł on wpływ niezaprzeczony na ciąg jego dalszy i na teraźniejsze usposobienie; a prawda nakazuje mi wyznać, że wiele zawdzięczam pobytowi w tym kraju, w którego zakładach naukowych kształciłem się, i gdzie niejeden człowiek niezatartemi głoskami wpisał się w moje serce. Na owe zaś główne powody, mogące ujemnie oddziałać na sprawozdanie z wrażeń i postrzeżeń moich, a zwłaszcza na dwa piérwsze, nieco obszerniéj odpowiedzieć muszę, chcąc zwrócić uwagę czytelników na to, co głównie mną kierowało w napisaniu tego ustępu z wędrówek.

Co do piérwszego. Zacznę od téj powszechnie znanéj, ale zdrowéj zasady, że każdy przedmiot inaczéj wygląda zdaleka jak zblizka, i że jak z jednéj strony z płodów piśmienniczych francuzkich, a zwłaszcza z romansów i powieści, któremi się u nas tak nielitościwie karmią, nie można powziąć dokładnego wyobrażenia o obyczajach we Francyi; tak z drugiéj strony artykuły dziennikarskie, a nawet poważniejsze prace, poświęcone opisowi jéj stosunków politycznych, społecznych, urządzeń naukowych, przemysłowych i t. d. dostatecznie z nią obznajmić nie zdołają. Trzeba być wtajemniczonym w domowe życie rozmaitych warstw społeczeństwa, z których się składa naród ten jednolity pod pewnym względem, pod drugiemi zaś względami rozpadły na nieskończoną liczbę wydatnych niejednolitości; trzeba przez długi czas oddychać powietrzem Francyi, i nietylko w Paryżu własnemi oczyma potwierdzić ogromną różnicę między ubogą ludnością wiejską, a proletaryatem miejskim; trzeba być wplątanym w koło jéj codziennych dziejów, uznać na miejscu dolegliwość cierpień, słuszność wymagań od chaty aż do zamku, od poddasza do pałacu, znać wiele indywiduów, typów wiele, żeby powziąć o niéj dokładniejsze wyobrażenie. A i to jeszcze zupełnie dokładném nie będzie!...

Co do drugiego: wielu z nas zapewne przebywało w tym kraju, ależ jak różne do niego zwabiały nas powody, potrzeby i dążności, jak różne z pobytu tego wynikały następstwa i korzyści!

Zamożniejszych synów kraju naszego wabią głównie do Paryża: potrzeba odświeżenia umysłu, przewietrzenia się, chęć zabaw i rozrywek, ponętne wieści o cudach *Chaumière'y* i wdziękach Aspazyi w téj stolicy pracy i rozpusty, bogactwa i nędzy, wielkości i drobiazgów. Czasem téż smakowniejszy popęd nabrania maniery i téj czysto francuzkiéj gadaniny, tak często u nas za dowcip starczącéj; czasem tęsknota do fraka od Humana, do truflowanych potraw w *Café de Paris*, i niczém niepohamowana żądza stracenia za granicą na uczciwéj naszéj pszenicy zarobionych pieniędzy. Chopin, opera włoska, pani Sand, kapelusze i obuwia paryzkie, polka drżączka, polka mazurka, wabią do siebie urodne i bogate córki naszéj krainy.

Ci lub te, coby w celu kształcenia się dla swojego i ziomków pożytku udać się tam pragnęli, po większéj części nie mają zasobów lub sposobności odbycia téj podróży. Przemysłowcy, spekulanci, kupcy i różnego rodzaju agenci dążą do Francyi, jako do źródła nieprzebranych pomysłów, wynalazków, towarów, mód, drobiazgów i nowych nowości. Zajęci i zwarunkowani powołaniem swojém, tojest aby osiągnąć największe korzyści i zyski, obracają czas na to, co im tylko zapewnić je może; przyspieszają jak najbardziéj powrót z nowemi sposobami wprawiania pieniędzy naszych w obrót wschodnio-zachodni, szybszy jak obrót ziemi koło osi swojéj, bo grunt jakoś pozostaje na miejscu, gdy krew jego i pot na zachód się przelewa.

Zapędzony burzą losu lub pragnieniem polepszenia go sobie, niejeden młodzieniec zawita do Francyi ogołocony ze środków do życia, nie posiadając sposobów zdobycia ich sobie łatwą, do sił swoich fizycznych i moralnych zastosowaną pracą. Taki biédny młodzieniec albo musi się poddać znojom, wyczerpującym zasoby życia, by nie umrzéć z głodu, lub téż w wierze jakiéj szlachetnéj a na niczém pewnem nieuzasadnionéj, wegetując z łaski pracujących braci, musi zatracać od dnia do dnia w gronie jemu podobnych, poza towarzystwem praktycznych ludzi, wszelką wiedzę istotnych sprężyn życia i prawdziwych węzłów społeczeństwa.

Otóż na te trzy główne i odrębne obozy rozpada się cała liczba rodaków bawiących we Francyi; i żadnéj nie ma styczności pomiędzy jednym a drugim, najmniejszéj nawet pomiędzy piér-

wszym a ostatnim, bo ludzie szukający zabaw, skwapliwie unikać będą czoła zasępionego cierpieniem, lub twarzy znojem znękanéj.

Poza temi trzema wyliczonemi obozami, bawi wprawdzie we Francyi jakaś liczba rodaków, poświęcająca się szczerze naukowości lub sztukom: ten się kształci na lekarza, ów na farmaceutę, tamten na inżyniera, na mechanika lub przemysłowca, inni pracują w szkołach malarskich lub rzeźbiarskich. Czasem też zjawi się jaki lekarz spragniony odświeżyć sobie w dni kilkanaście zapomniane od lat tyluż sposoby leczenia, lub też przekonać się, czy ten lub ów jest istotnie jasnowidzącym.

Nie ma też prawidła bez wyjątku. Niejeden z bogatych widząc przed sobą szeroko otwarte gościnne wrota, prowadzące do słuchalni, księgozbiorów lub muzeów, wstąpi w nie czasem i zasmakuje w nauce, tak wdzięcznie i łatwo do pojęcia wkradającéj się; niejeden przemysłowiec zajdzie do fabryki i umiejętniéj się wpatrzy w jéj ruchy i ułatwienia; niejeden w znoju pracujący, znajdzie w współzawodniku przyjaciela, i pod strzechą jego, w gronie rodziny, nabierze szacunku dla poczciwych ludzi z pracy żyjących. Ale to pewna, że bezczynny marzyciel, choćby najszlachetniejszą łudził się wiarą, najpiękniejszemi nadziejami kołysał duszę, nigdy nie pojmie ducha, języka nawet narodu, ani w lat kilka, ani w lat kilkanaście, jeżeli z urojeń swoich nie zstąpi do pracy, a przynajmniéj ruchu. A takich niemało pomiędzy nami, i to wielkie nieszczęście! Siły niewiele probowane tępieją, albo też odrazu bezrozumnie wprawione w ruch nagły, niespodziany, ze szkodą dla ogółu działać mogą.

Najczęściéj tedy wywiezione z Francyi wyobrażenia o wartości Francuzów są powierzchowne, niedostateczne, lub też wizionerstwem, teoryzmem, chorobliwie nacechowane. Przemysłowiec, spekulant, modniarka, kupiec, muszą w pewnym względzie chwalić kraj i naród, z którego czerpią zasoby własnego bytu, uzasadnionego na owéj tyrance świata, tyle szczęścia i pieniędzy kosztującéj,—na modzie. Człowiek, który się długo z biédą we Francyi pasował, lub co w niéj lat kilkanaście bezczynnie spędził, ocenia wartość lat strawionych opodal od własnego kraju, w społeczeństwie tak zwaném oświeconém, według cierpień, któremi zapłacił za przyjemności tego towarzystwa, owéj oświaty i cudzéj ziemi powietrza! Wraca nieraz uzdolniony w fachowości niemogącéj znaléźć zastosowania na naszym gruncie; wraca

z rozrzewnieniem na ziemię rodzinną i zdolności tylu trudami zdobyte, w tylu cierpieniach rozwinięte chce obrócić na dobro, poświęcić na korzyść swojéj kolébki; a tu często kraj jego własny, jeszcze potrzebować go niemogący, zużytecznić tych zdolności nie potrafi.

Że więc sławi ziemię, gdzie za uczciwą pracę znalazł kawałek chleba honorowego, to łatwe do pojęcia; że ją czasem i przechwala, kiedy rozpacz biédne serce rozżali:—to rzecz do darowania!

Najsilniejsze są wrażenia, doznane w porze najzdolniejszéj do ich odebrania; a choć słabości ludzkie często prowadzą do potępienia tego, co dawniéj było kochaném: szlachetniéj jest pochwalić w uniesieniu zgryzionego serca *to*, za co się długo cierpiało.

Inni wiele cierpieli, mało widzieli, nic się nie nauczyli we Francyi, ale ją chwalą i nad nią się unoszą: bo to Francya, *la belle France*, owa kolebka mądrych, mężnych ludzi, których sława nie przebrzmi tak prędko, chociaż dzwon głoszący ją przytłumionym odzywa się brzękiem. Mniemają, że samo powietrze tak silnéj i wszechstronnéj cywilizacyi wcisnąć się musi porami w skórę, w krew i w nerwy, chociażby o tém mózg, ów sumienny kontroler czynności umysłowéj wcale nic nie wiedział. Przez kontrabandę przekradła się tajemnica cywilizacyi w te poczciwe serca; ale dalibóg bez wiedzy kontrolera umysłowego, bez woli i pracy wśliznąć się nie potrafi zdolność służenia bliźnim.

Nie samemi tylko przesadzonemi pochwałami grzeszymy w ocenianiu ludzi i miejscowości, narodów i krajów; grzeszymy także zbytnią, nieuzasadnioną, czasem sumienną, a częściéj jeszcze najniesumienniejszą naganą.

Nie mówię o tych oszczercach jeżdżących po obczyznie dlatego tylko, żeby albo mimowoli własném niedobrém usposobieniem ściemniać, przeinaczać co im się przedstawia, lub téż systematycznie wyszukiwać złej jedynie strony i głosić o niéj światu. Ileżto chorobliwych umysłów poczytuje sobie za zaszczyt ganić to, co inni chwalą, lub mają za sławę pozostać przez całe życie wiernemi jednemu płocho wyuczonemu zdaniu; ileżto nareszcie przewrotnych serc lubiących pływać na to, co inni cenią i ubóstwiają! A zresztą niejeden oddający się wyłącznemu zawodowi temu lub owemu, mógł w nim widzieć samo złe, i wyrokując o wszystkiém z jednego punktu widzenia, sumiennie, a przecie

niesłusznie mógł potępić wszystko. Mało kto o tém wié, a przecież prawdą to jest odwieczną i często powtarzaną, że człowieka trudno zbadać, kiedy go się ciągle, bezustannie nie mierzy z sobą samym; a trudno znów znać samego siebie bez długiego przestawania z bliźnim i bez doznawania owych poczciwych chwil sumiennego, głębokiego rozmysłu, który jest rosą rozumu, słońcem serca, niebem sądu naszego.

Co do trzeciego powodu: nie chcę być obwinionym o chęć obudzania na nowo współczucia dla téj ziemi, ani też o chęć schlebiania popędowi obecnemu, zanadto może nieprzychylnemu dla dawnego przedmiotu uwielbienia. Zmalenie współczucia dla konstytucyjnéj monarchii Ludwika Filipa, dla kapryśnéj Rzplitéj Cavaignaca, Lamartina i synowca wielkiego człowieka, wywołały dwie przyczyny: wewnętrzna i zewnętrzna. Piérwsza leży w ruchliwéj niestałości kierunków społecznych kraju tego, którym żadnego kresu domniemanego i celu dodatniego naznaczyć nie można. Wprawdzie ostatecznie wyrokować o losach ziemi jakiéj z dziejów jéj kilkoletnich nie wypada: rok w życiu człowieka pojedynczego, to zaledwie dzień w życiu zbiorowego. Przebiegłszy jednak uważniéj historyą Francyi od lat kilkudziesięciu i według niéj spojrzawszy na to, co się dzieje i co dziać się może, trzeba przyznać, że gdy często następstwa nie odpowiadały założeniom, gdy nieraz bez potrzeby, krew tylu ofiar zrumieniła bruk paryzki: niegodzi się wierzyć w tryumf jakiego systematu, w przewagę idei, coby się głębiéj w mieszkańców téj ziemi wkorzenić zdołała.

Krwawe przejście Wielkiego Napoleona przez Europę, nadzieje, któremi się łudzili najgorliwsi jego sprzymierzeńcy, nawet opór bohaterski co go osłabił na Południu, a pod którym uległ na Północy, przyczyniły się tém bardziéj do rozpowszechnienia imienia francuzkiego. Byłato poniekąd druga, głośniejsza połowa podstawy, na któréj naród ten pretensye czy też prawa do przodkowania drugim ugruntować sobie mniemał. Znajomość prawie powszechna w Europie świetnego a dowcipnego języka Francyi, smakowanie w obfitéj, choć często nieodpowiadającej celowi literaturze, sympatyczny ów rozum francuzki, *esprit*, *spryt* (tak się najlepiéj da przepolszczyć), szlachetna energia w działaniu, rycerskość wrodzona, ruchliwość nieustająca: służyły mu poniekąd za rękojmię polegania na wrażliwéj bierności innych ziem europejskich. Mógł śmiało współzawodniczyć z dumnym Albionem, pra-

gnącym zawładnąć tak handlem jak i umysłowością stałego lądu; przewyższyć Niemcy zanadto w sobie zatopione, zamało obdarzone sympatycznym owym urokiem myślenia i działania. Oczy wszystkich obrócone były na Francyą, jak na słońce. W niéj jak na zegarku, według słów dowcipnego niemieckiego autora, zawsze można było zobaczyć najwłaściwszą godzinę wypadków europejskich. Za Ludwika Filipa przewaga umysłowa Francyi doszła najwyższego szczebla, mimo przesadnych i często niemoralnych piśmienniczych utworów, mimo kramarskiego ducha zamożniejszéj ludności. Pękło jedno ogniwo i sztuczna mechanika, runęła. Wstrząśnienie wywołane tą przemianą rzeczy, a któremu logiczną naznaczano dążność i przypisywano ważność nietylko szczegółową, silnie odezwało się w zwolenniczych krajach Europy. Gdy jednak zamiast organizacyi zobaczono dezorganizacyą; zamiast zgody—stronnicze niesnaski; zamiast dążności—chaos: ofiary, naśladowcy, zwolennicy i myśliciele przekonywać się zaczęli, że ten wzór nieporównany złożony z ludzi, pełen wad ludziom właściwych ma także ujemną stronę. Chwilowa, jakby wulkaniczna energia Francuzów, z nią idąca w parze drobiazgowa wrażliwość i płoche lekceważenie, brak prawdziwie chrześciańskiéj podstawy, zgody i ufności: dozwoliły Francyi zejść z piedestału przewodnictwa i zamknąć się w wypadkach wewnętrznéj działalności. Pierzchnął urok przewagi nawet aż do piśmiennictwa, aż do gadatliwego ich narzecza. Otóż jest piérwsza przyczyna, którą nazwałem wewnętrzną.

Druga poniekąd na korzyść, poniekąd na niekorzyść innych narodów da się wyrozumiéć. Przekonawszy się, że wzór nie odpowiedział ich oczekiwaniom, zmuszone były spojrzéć na siebie i w sobie obliczyć żywioły własnego życia, przypatrzéć się innym narodom prócz Francyi. Koniecznością spowodowany ten pogląd czy doprowadził ich do uznania własnych zasobów i do chęci obrócenia ich na korzyść działalności w rodzinnych podstawach czerpiącéj źródło, czy téż przekonać zdołał, że nietylko Francya ma prawo przewodniczenia; dosyć, że od czasu zmalenia wpływu teoryi i piśmiennictwa znad Sekwany, zaczyna się zwrot bardziéj miejscowy, we własnych lub téż bliższych siebie wspomnieniach śledzący popędu do życia umysłowego. I otóż druga przyczyna, którą nazwałem zewnętrzną, ale mimo jéj względnéj słuszności niegodzi się bezwarunkowo potępiać ojczyzny Henryka IVgo, Moliera, Hocha i Napoleona. Zasługi położone przez Francyą w roz-

woju ogólnéj oświaty są niezaprzeczone; a urzeczywistnienie natychmiastowe i smakowniejsze jak w Anglii olbrzymich pomysłów przemysłu ludzkiego, rozwinięcie oświaty materyalnéj, część stosowalna i utylitarna jéj piśmiennictwa, nie wspominając o wzroście olbrzymim wielu sztuk i rzemiosł: nadają jéj prawo niezaprzeczone do służenia za wzór podziśdzień wielu innym społeczeństwom. Trudno jednemu człowiekowi wygórowanemu nad innych utrzymać się przez cały ciąg życia na tym samym stopniu doskonałości lub potęgi: czemużby narody miały być nieskończenie szczęśliwsze od jednostek składających go? Francya przez czas dość długi godna była przewodniczyć w bardzo wielu względach wszystkim innym narodom; ale że nie zbudowała swéj wielkości na podstawie czysto chrześciańskiéj, zstąpić z niéj musiała, i tylko w pewnych, daleko mniéj licznych względach, warta służyć za wzór innym społeczeństwom.

W czém jeszcze Francuzi zasługują na poważanie u ludów, to wykazać właśnie będzie zadaniem tej książki. Sześć lat strawionych we Francyi w ciągłéj a blizkiéj styczności z wszystkiemi klassami społeczeństwa, w ciągłéj walce z wszelkiemi rzeczywistościami życia, choroby i śmierci, nadaćby winny pewną wartość memu sądowi. Nikt o tém nie wątpi, że bezstronnie będę wyrokował o narodzie, w którym żadnego nigdy nie pokładałem zaufania, a któremu jednakże jako szkole, *indywidualnie* wiele winienem.

I.

Podróż z Barcelony do Perpignan.

Już nam znika Barcelona za wysoką bramą *Puerta de Francia*, i droga prowadzi przez ogrody przecudnéj świeżości i woni, a potém ciągnie się wzdłuż brzegu morskiego, ale nieraz tak blizko, że cię aż piana szumiącego oceanu obryzgnie.

Taka droga ciągnie się aż do samego Mataro, miasta odległego o 3 mile od Barcelony i 15,000 ludności liczącego. Jestto właściwie tylko rękodzielnicze miasto, ale znajdą się w niém i starożytności i ma wodę mineralną bardzo skuteczną, oraz dobry hotel.

Jeszcze za Mataro nie tracimy z oka oceanu, ale tu już, pod Arenys del Mar, miasteczkiem słynném z swych kuźni kotwiczych, brzegi morza są otoczone wysokiemi skałami. Jednym z najpię-

kniejszych punktów téj bogatéj w drzewa i w żyzną ziemię krainy jest miasto Callela. Wznosi się ono na wysokiéj skale i używa cudnego widoku na Pyrenee i na morze Śródziemne. Z drugiéj strony obszernéj, kwiecistéj i żyznéj doliny rzeki Fordera (nad którą leży miasteczko tegoż nazwiska, sławne z wysokości wież swoich) droga skręca się w wewnątrz kraju i wiedzie między góry, pokryte najrozkoszniejszych drzew bujną wegetacyą. Za temi górami i gajami, w których umyślnie wstrzymywaliśmy konie, aby się lepiéj przypatrzéć tym cudom natury: powojom jak kapelusze, bzom tak pachnącym, że głowę zawracały, pomarańczom i tysiącznym akacyom; za tą mówię górą i za gajem spostrzegamy Geronę pośród obszernego błonia, a otoczoną licznym pocztem pagórków.

Gerona, dawna *Gerunda* Rzymian, leży na wzgórzu otoczoném rzeką Ter. Niegdyś sławną była warownią, nim ją Francuzi zniszczyli. Liczy 14,000 mieszkańców, posiada kilka rękodzielni jedwabiu, ale przedewszystkiém słynna jest z swéj czysto-gotyckiéj katedry, w któréj spoczywają zwłoki bohaterskiego kommendanta Alvarez, i ze swéj kollegiaty pyszną ozdobionéj wieżą, a mieszczącéj w sobie kości św. Narcyza patrona Gerony. Wielki tu ruch panuje wszędzie; przed każdym domem siedzą kobiéty i dziewczyny zatrudnione wyrabianiem koronek, lub téż tkaniem sieci, wszędzie usłyszysz klekotanie warsztatów tkackich, trzaskanie młotów i tłuczenie holendrów w papierniach.

Jest tu i papiernia parowa z dwiema maszynami bez końca, nadzwyczaj zajmującemi. Papiér tu ciągnie się z massy, do któréj dokładają znaczną część włókna aloësowego, taniego bardzo w Hiszpanii artykułu, przez co i papiér taki do druków równie dobry jak i inny papiér ze szmat, jest tanim nadzwyczajnie. Ryza, tojest 500 arkuszy papieru formatu gazety *Indépendance*, tylko cokolwiek cieńszego i ciemniejszego, kosztuje złp. 15.

Gerona nim została wziętą przez Francuzów i częściami w powietrze wysadzoną, trzymała się znakomicie przeciw nim i straciła w swéj obronie połowę mieszkańców. Wiele doświadczyło oblężeń to bohaterskie a nieszczęsne miasto; w przeciągu jednego stulecia wycierpiało ośm długotrwałych oblężeń. Do najsławniejszych należy oblężenie, którém dowodził w r. 1653 marszałek francuzki Hoquincourt. Trwało ono dni 62; ale marszałek odstąpić musiał. Nieprzeliczone chmary *mosquitów*, tojest wielkich, jadowitych i skrzydlatych komarów zwaliły się na wojsko oblegające i zmusiły je do ucieczki. Ten fenomen poczciwi mie-

szkańcy za cud uważają. i łasce patrona swego św. Narcyza przypisują.

Od Gerony pnie się droga wolno i kręto aż do Coll de Oriols, pasma pagórków, zkąd po raz piérwszy przyjemnie zostałem zadziwiony widokiem całego łańcucha wschodnich Pyreneów, owéj potężnéj srébrnéj krystalizacyi, lśniącéj jak zwierciadło w promieniach słońca.

Łańcuch pagórków oddziela od siebie dolinę Teru od doliny Fluvia, któréjto rzeki wody oblewają obszerną nizinę Ampurdan. Tu na podnożu pyrenejskiego przedgórza leży miasteczko Figueras, a na sąsiedniéj górze wznosi się sławna, na rozkaz Ferdynanda VI wystawiona cytadella, zwana: *Castillo de San Fernando.* Jestto istotnie jedna z najpotężniejszych twierdz Hiszpanii i Europy. Mury i baszty ciosane z kolosalnych bloków zastanawiają swym ogromem: jedne piętra są nad drugiemi, jak olbrzymie jakie tarassy. Tyle zaś jest miejsca w tych bombo-trwałych tarassach i magazynach, że 16,000 wojska trzymać się tu może całe dwa lata, byleby miało żywność.

W wschodzącém słońcu pławił się stary śnieżny Canigou, wskazujący nam drogę do Francyi; już za wałami cytadelli zniknęły wieże miasta Figueras, przebiegamy gaik oliwny barwiący dolinę Ampurdan od Figueras aż do samego krańca Pyreneów. Jeszcze jedna dolina zewsząd granitowemi skałami opasana, kwitnąca wszystkiemi barwami, a nad nią wyniesione jakieś miasteczko. To Junquera ostatnie miasteczko hiszpańskie; tu po raz ostatni wizujemy nasze paszporta. Ale już za Junquera góry skaliste zarosłe ogromnym dębem; zimno, nad naszemi głowami wiszą lawiny śniegu, i każdéj chwili spaść mogą. Jesteśmy w Pyreneach, to łatwo poznać: już się widokrąg na poziom ścieśnił, najeżył stromemi skałami; patrzysz pomimowolnie w górę i końca nie spostrzeżesz tych opok, chyba w krainie wiecznych śniegów.

Na lewo, na wysokiéj i łysej skale gród jakiś potężny, licznemi działami najeżony wspina się w powietrze, a na baszcie tego grodu powiewa trykolor francuzki.

Trykolorze francuzki! powiem ci tu szczerze zaraz przy wstępie do kraju nad którym powiewasz, a czasem i nie powiewasz, żeś nigdy nie wzbudzał we mnie uniesienia: ani gdym cię spostrzegł w obcych krajach na szczycie masztu, ani gdym cię niegdyś widział w Calais i Boulogne na wałach miast, odmawiają-

eych choremu cudzoziemcowi przytułku. Bo widok twój przedstawia mi zaraz ludzi targanych chciwością, pogrążonych w materyalizmie, zmiennych w przyjaźni, a zasłaniających się przed wyrzutami piękną barwą kawałka płótna.

Tak jest: twierdza Bellegarde wzbudzała w méj duszy tylko smutne myśli, jakieś tęskne przeczucia. Wzrosły w pracy, od lat dziecinnych jedyny pan mego losu, mierzący się ciągle z rzeczywistością życia i z siłami pracującéj ludzkości, żyjąc długo w krajach, w których się wykazały skutecznemi pewne gruntowne własności charakteru: nie mogłem żadnym sposobem tak się na ślepo pokochać w Francuzach, których znalazłem po największéj części miałko wykształconych, i tém więcéj posiadających zarozumiałości, im mniéj byli zdolni sądzić o prawdziwéj wartości serca lub rozumu ludzkiego.

Takie już wówczas miałem wyobrażenie o Francuzach; w dalszym ciągu tego dziełka wykaże się, o ile się myliłem lub o ile dobrze odgadywałem.

Warownia Bellegarde broni przejścia przez Pyrenee, znanego pod nazwiskiem Col de Perthus, a na jego podnóżu leży coś nakształt wioski, czyli raczéj osady. Jedna ją składa ulica, przedzielona zaraz z wejścia na część hiszpańską i francuzką mostem przez strumyk rzuconym. Na tym moście stoją dwie kolumny: na jednéj z nich lew Kastylii, na drugiéj kogut Gallii: to granica, to wioska Perthus. Już nas czujni celnicy Francyi wzięli w swe obroty, już nam rzeczy przetrząsają. Mało ich było, jak zwyczajnie u wojskowych, ale i te podpadały bardzo ścisłemu przeglądowi. W osobnym tłumoczku znajdowały się moje papiéry i książki.

— A nie masz tam zagranicznych przedruków dzieł jakich francuzkich?—spytał się grzecznie jeden z tych panów, *le douanier bouquiniste*, protektor literatury krajowéj.

— Deklarujesz pan wobec tu zgromadzonych świadków, że żadnych nie zawiéra przedruków ta paczka?—spyta daléj poczciwy celnik.

— Ja nic nie deklaruję, ani nie przeczę; może się coś wśliznęło zakazanego: przekonaj się pan, ot tłumoczek otwarty—rzekłem z obawy, ażeby nie przyszło do jakiego procesu lub do szykany, bo o to nietrudno z celnikami francuzkiemi.

Pokazało się wkrótce, że *douanier bouquiniste*, protektor literatury krajowéj, nie umiał czytać. Tymczasem zbliżył się

do mnie poważnym krokiem w świetnym mundurze i kapeluszu srébrnym galonem obszytym, brygadyer żandarmeryi francuzkiéj, i spytał się uprzejmie: Kto i zkąd jestem, dokąd jadę?—Oto mój paszport, jadę do Perpignan.

Poszedł go wizować brygadyer do swego biura, a ja oddaliłem się od szopy celnéj, gdzie woźnica, eskorta, celnicy francuzcy i hiszpańscy, żandarmerya obu narodów najnieznośniéj z sobą w katalońskiém, zupełnie mi nieznaném i brzydkiém narzeczu fraternizować zaczęli.

Wstąpiłem na wysokie wzgórze i boleśnie wzruszony spoglądałem na południe; tam, gdzie modre szczyty gór Gerony migoczą się i wyzierają zpomiędzy grupp granitów pyrenejskich.

Żegnałem cię piękna Hiszpanio, żegnałem was biedne dzieci ogrodów Hesperyjskich, w nieszczęściu jeszcze tak dumne, od lat tylu pokoju wyglądające, a poświęceniem swych zasad okupić go niechcące. Żegnałem was z ściśniętém sercem, obiecując sobie, że was jeszcze raz ujrzę, gdy kosztować będziecie owocu tylu poświęceń i wytrwałości.

Już deklaracye podpisane, paszporty wizowane, rzeczy upakowane, konie przeprzęgnięte, eskorta wynagrodzona. Daléj do Francyi! Jesteśmy na najwyższym punkcie wąwozu zwanego Col de Perthus. Na lewo od strony północnéj stanęły przed nami w groźnym szeregu oświetlone rzęsistym promieniem północne Pyrenee. Ostatnie góry Hiszpanii zanurzyły się szybko poza ich szczytem granitowym. Bądź zdrowa Andaluzyo, Murcyo, Walencyo i Arragonio! a czekaj mnie Nawarro, Kastylio i jeszcze raz Andaluzyo!

Szybkim krokiem spadamy po wybornéj drodze w żyzną, bogatą dolinę Roussilionu.

Tak jak Alpy w środku Europy, tak Pyrenee w zachodnim jéj krańcu, są wrotami prowadzącemi do Hesperyjskich ogrodów. Wprawdzie Katalonia i Langwedocya nietyle się różnią od siebie jak Bawarya i Lombardya; ale jednak i pomiędzy piérwszemi krainami przyroda już innym zupełnie znamionuje się charakterem. Katalonia chociaż o całe pięć stopni geograficznych wyżéj ku północy zbliżona jak Andaluzya, niewątpliwie południową cieszy się naturą. Wzdłuż całego brzegu morskiego kwitnie tam aloes i figa indyjska, drzewo świętojańskie, oliwne i figowe wszędzie najpiękniéj wyrasta; w ogrodach Katalonii w zimie jeszcze udają się pomarańcze, a w dwóch dziedzińcach klasztornych Barcelony,

wysmukła palma pyszni się swą dumną koroną. Drzew oliwnych co niemiara nawet jeszcze w chłodnych dolinach Ampurdanu.

Nic już z téj południowéj wegetacyi z drugiéj strony Pyreneów. Dolina Perpignanu tylko o trzecią część stopnia wyżéj położona od doliny Ampurdanu, taką posiada wegetacyą, jaką się i Burgundya lub francuzka Szwajcarya cieszy. Wprawdzie tu i owdzie zoczysz kilka jeszcze plantacyj oliwek, migdałów lub fig, lecz te do nizkiego tylko dochodzą wzrostu; widać, że to nie ich ojczyzna, że tu zpod lepszego przesadzone nieba. Tylko morwowe drzewo dobrze się udające w całym Roussilionie, przywoła jeszcze w pamięć cudną huertę Walencyi; ale zresztą jeden rzut oka przekona każdego, że daleko ztąd do ogrodów Hesperyi. Mnóstwo pięknych, naturalnych łąk, północną wegetacyą przypominających, zdobi wprawdzie hrabstwo Roussilionu, ale podobne zobaczymy i u nas, choć mniéj okazałemi barwami obdarzone. Krajobraz ten musi zastanowić, zwłaszcza w porównaniu z Prowancyą, o pół stopnia wyżéj leżącą, a jednak wegetacyą swoją do południa daleko więcéj zbliżoną. Ale to w oczy wpadające zjawisko nie tak trudno wytłumaczyć, jak się zdaje. Powietrze Prowancyi opławiane morzem Śródziemném czerpie swój cieplik z powiewów dochodzących aż z Afryki; Roussilion zaś i część Langwedocyi w mroźnych wiatrach pyrenejskich tracą część życia pochodzącego z wewnątrz ziemi. Alpy morskie zasłaniają Prowancyą od zimnego wiatru północnego; Langwedocya zaś staje się pastwą tegoż, góry bowiem Ceweńskie i Owerniackie są zbyt nizkie, ażeby zdołały odeprzeć natarczywość zdaleka wymierzoną. Ale téż Langwedocya właśnie tym okolicznościom pozornie niekorzystnym zawdzięcza swą świeżość i żyzność, udzielającą jéj tyle powabu. Klimat jéj jest więcéj umiarkowanym: rzadko kiedy wielkie gorąco lub dotkliwe zimno nawiedza Langwedocyą; bardzo rzadko żary piekącego Mistralu niszczą świeżość liścia, i tumanami drobnego a gęstego pyłu obsypują ziemię, liście i kwiaty.

Droga z Col de Perthus do Perpignanu bardzo jest przyjemną: schodzi ona gzygzakiem po stromej ścianie góry raz w lewo, drugi raz w prawo. Raz mamy przed oczyma olbrzyma Canigou i północne Pyrenee, drugi raz wielką płaszczyznę hrabstwa Roussilionu i morze Śródziemne. Ale za wyniosłością Boulen zwaną, morze nagle się zapada, i już nie wyziera ani w Perpignan, ani

później na drogę z tego miasta do Montpellier; Pyreneów zaś widok towarzyszy nam wszędzie.

Wjeżdżamy na skrzypiący, łańcuchami brzęczący, zwodzony most twierdzy; już jesteśmy w długiéj i krętéj bramie, już i w miasto wjechaliśmy. Odbierają nam paszporty, by je przesłać do prefektury, gdzie nam będzie wydany paszport tymczasowy, służyć mogący na cały pobyt we Francyi. Paszporta zaś zagraniczne bezzwłocznie odsyłają z prefektury departamentu, do prefektury policyi w Paryżu.

Perpignan, położone na płaszczyznie, dość brudném jest miastem, i nic nie posiada godnego widzenia.

Stajemy przed hotelem *du Midi*, i z wielką trudnością uzyskujemy mieszkanie. Wielki bowiem był ruch w mieście: dwustu przeszło oficerów najróżniejszych broni z armii afrykańskiéj zjechało się tutaj do Perpignan, dla osądzenia generała francuzkiego Brossard, obwinionego przez ministeryum wojny o nadużycie zaufania i przekupstwo w sprawie traktatu Tafny, który generał Bugeaud zawarł w r. 1837 z emirem Maskary Abd-el-Kaderem.

Wiadomo, że traktat ten przyznający Abd-el-Kaderowi monarchiczną władzę nad najznaczniejszą częścią Algieryi, zawartym został w celu osiągnięcia pokoju w reszcie prowincyi. Znękaną była długotrwałą wojną armia francuzka; szybki jak błyskawica oręż Abd-el Kadera nie dał jéj nigdzie wypoczynku: wniwecz obracał swemi niesłychanie śmiałemi i niespodzianemi ruchami, wszystkie z największą odwagą i mądrością przeprowadzone zamiary Francuzów, i zmusił ich do ofiarowania pokoju swemu dzikiemu wrogowi. Generał brygady Brossard upoważniony od naczelnie dowodzącego generała Bugeaud, prowadził układy z Abd-el-Kaderem, mało napozór dbającym o pokój z Francuzami, lub o samych Francuzów. Ale chciano okupić pokój wszelkiemi ofiarami. Brossard wystawił położenie Abd-el-Kadera jako nadzwyczaj świetne, bogactwa jego jako wielkie, wpływ jego na umysły ludów arabskich jako nadzwyczajny. Zawarto tedy traktat z walecznym, energicznym i przebiegłym Arabem. Oddano mu trzy-czwarte części całéj posiadłości Algieryi, przyznano mu tytuł emira czyli niezależnego księcia, pod tym jedynie warunkiem, żeby nowy emir trzymał w klubach niesforne plemiona Kabylów Jurjuryi i innych okolic i zasłaniał nadbrzeża Algieryi, na których Francuzi założyli osady i kolonie, od napadów hord zbójeckich. Ale co najlepsze, dla ułatwienia emirowi

zwycięztwa nad niesfornemi Beduinami i Kabylami, obdarzono go porządnym parkiem artyleryi i ammunicyą, wystarczającą na lat kilka; nadto pozwolili swym inżynierom pozakładać w jego państwie warowne zamki i wyszukać wszystkie słabe a ważne miejsca dla ich ufortyfikowania. Tak dalece zawierzyli Francuzi z przyrody tak nieufni, słowu śmiertelnego wroga ich narodowości i wiary.

Wiadomo, że Abd-el-Kader umiał korzystać z nadanéj mu powagi i potęgi ze szkodą swych chrześciańskich protektorów. Przez kilkanaście miesięcy posługiwał się Francuzami, nauczył się ich taktyki i wojennych przebiegów, a potém zbogacony w siły materyalne i intelektualne, niespodzianie na nich napadł, i omało co nie wypędził z Afryki. Teraz dopiéro spadły łuszczki z oczu Francuzów. Bugeaud obwiniony o zawarcie niekorzystnego traktatu, składa winę na swego podwładnego Brossarda, oskarża go, że był przekupionym, i w grożącém świetle wystawił położenie emira. Brossard aresztowany i pod sąd oddany. Sąd obecnie odbywa się w Perpignan. Bugeaud zwołuje stu świadków, zpomiędzy oficerów wszystkich broni i narodowości. Tyluż przyzywa i Brossard. Mogłeś widzieć w téj gromadzie oficerów z piechoty, jazdy, artyleryi, strzelców afrykańskich, zefirów, żandarmów maurytańskich, spahisów, Maurów, Murzynów, Arabów, służących w wojsku francuzkiém. Wszystkie hotele były pozajmowane, wszystkie kawiarnie napełnione oficerami najrozmaitszych wzrostów, barw, narodowości i cer nawet. Zgiełk na ulicy, bo wszyscy w tém małém mieście zadowoleni z niespodziewanych wzruszeń i widoków, patrzyli tylko na synów i pseudo-synów Afryki, ogorzałych, buńczucznych, pieniędzmi szafujących. W jednéj z najpiérwszych kawiarń, siedział sędziwy szeik Mustafa Ben Ismail, ośmdziesięcioletni starzec, a rangę generała w wojsku francuzkiém posiadający, kommandor legii honorowéj, z swym sztabem i najmłodszym synkiem zaledwie lat 10 mającym, brunatnym z cery jak kasztan i w biały burnus, w którym jak widemko wyglądał, ubranym. Mnóstwo go otaczało i bawiło młodszych Arabów w służbie francuzkiéj i oficerów francuzkich z armii algierskiéj.

Byłto sędziwy starzec; biała jak mléko a gęsta, starannie uczesana broda, spadała mu po pas na piersi, tak, że zasłaniała dekoracye i bogaty haft purpurowego kaftana. Burnus nosił bieluteńki, do głowy odzianéj w batystowy czepiec złotym sznu-

rem przytwierdzony. *Dziabbadony* miał zielone, szerokie, do kolan spadające, a na nogach buty z czerwonego, bogato złotem haftowanego safianu.

Ten Arab miał dostojną, dobrocią i energią tchnącą twarz; już w późnym wieku szczerze Francuzów pokochał, walczył ciągle w ich obronie, i w ośmdziesiątym siódmym roku życia swego zginął bohatersko na placu boju. Abd-el-Kader, w którego ręce dostało się ciało sędziwego szeika, kazał mu ściąć głowę, i dla zastraszającego przykładu, na włóczni po duarach arabskich obnosić.

Kilku było młodszych muzułmanów, także dekorowanych, w orszaku szeika Mustafy Ben Ismaiła, ale ci mniéj mi się podobali, bo odstąpili od dobrych zwyczajów, które im religia nakazywała:—od skromności w mowie i w napoju; owszem klęli po francuzku od najbrzydszych słów jak prawdziwi poganie, a pili haniebnie. Zadziwienie ztąd moje wyjawiłem jednemu wojskowemu lekarzowi z armii afrykańskiéj, siedzącemu około stołu, na którym odbywała się orgia ponczowa.—„To nie synowie puszczy i duarów, ci panowie poczynający cywilizacyą od klątw i pijaństwa, to Maurowie; wielka pomiędzy niemi a Arabami różnica. Maur z wielką łatwością przejmuje nałogi europejskie, a cnót nie nabędzie; zupełnie odwrotny stosunek z Arabami: Arab niełatwo na naszę przejdzie stronę, lecz gdy przejdzie, cnót swych nie pozostawi w duarze." Trafne było zdanie mego kolegi; sto miałem sposobności przekonać się o tém późniéj.

A propos procesu generała Bugeaud przeciw generałowi Brossard, winienem tu dodać, że słabszy został tu poświęcony mocniejszemu.

II.

Z Perpignan do Narbonne.

Z pół godziny przed zajściem słońca za śnieżne pasmo Pyreneów, opuszczam Perpignan przez okazałą bramę *Notre Dame*, najeżoną wieżami, wieżyczkami i niezliczoném mnóstwem zębatych strzelnic. Piękny to pomnik architektury gotycko-normandzkiéj. Dążymy ku Montpellier przez Narbonne i Beziers, ale przedewszystkiém przez Rivesaltes, miasteczko słynne z dobroci swych

win, a w żyznéj okolicy o dwie mile od Perpignan położone. Podróżuję w towarzystwie dwóch tuzinów uczestników najrozmaitszych płci, wieków i stanów, rozdzielonych jak można najsumienniéj na *Impériale* i *Cabriolet*, w *Coupé intérieur* i rotundzie jednego z najstarszych i najcięższych dyliżansów Francyi i Nawarry. Miejsca właściwie było tylko na 20 osób, i w tym komplecie wyjechaliśmy z domu pocztowego; ale za miastem w piérwszéj oberży czekało nas jeszcze czterech, listą dyliżansową nie objętych passażerów. Konduktor kazał stanąć i wciągnął dwóch przybyszów na *Impérial*, jednego zapakował do *Intérieur*, pomimo protestacyi innych passażerów, a czwartego używszy do téj operacyi rąk i nóg wcisnął gwałtem pomiędzy cztéry ogromne mamki, podróżujące z pokarmem do Montpellier dla wyszukania sobie miejsca. Takie się bezprawia działy jeszcze we Francyi i w chwili gdym do niéj przybył w r. 1839, i w chwili gdym ją ostatecznie opuścił w r. 1848.

Dobrze przynajmniéj, że nam do *Coupé* nie wciśnięto jakiego nieproszonego gościa, ale tego byłby się nie odważył zrobić konduktor. Miejsca w *Coupé* są najdroższe: jest ich tylko trzy: jedno dla konduktora, dwa dla gości. Konduktor ma tu swoję korbę do hamulca, którą obraca prawie bezprzestannie gdy dyliżans idzie z góry, i odkręca znów, gdy idzie pod górę. Siedzimy tedy w *Coupé*: konduktor, ja i ksiądz jakiś w średnim wieku, długiego nosa, ciemnego oblicza, i chudéj, suchéj postaci, jedném słowem, byłto ksiądz Południa.

Konduktor wsadzając nas na miejsca przeczytał nazwiska nasze, przekrzywiając je należycie według francuzkiego zwyczaju. Mnie nazwał doktorem Troplein, panią jakąś nazwiskiem Verandat, *Madame* Ver-à-soie, a księdza Annesson, *labusiem* Hanneton. Ztąd gniéw i reklamacye, mianowicie ze strony księdza, bardzo obrażonego w swéj godności z tego porównania go do chrabąszcza. Ale wszystko nareszcie ucichło. Słońce zapadać zaczęło, wieśniacy wracają z pól do chatek brzydkich, niemalowniczych, z kamienia nieociosanego, po największéj części na piętro wzniesionych, a łupkowym kamieniem pokrytych. Wieśniacy noszą tu jeszcze owę katalońską jaskrawą czapkę, do długiéj szlafmycy podobną, *a gorro* zwaną; ale zresztą manta katalońska i przepaska ustąpiła bluzie w całéj Francyi tak upowszechnionéj, że wszelki strój narodowy z niéj zniknął. Dyliżans suwał dosyć szybko po dobrze utrzymanéj szosie, chociaż go niebardzo tęgie

dandrygi francuzkie ciągnęły. Zpod rogatego kapelusza i czarnego płaszcza strzelał na mnie ksiądz Annesson, niepewny czy warto się wdać ze mną w rozmowę, czy nie; francuzka ciekawość przemogła nareszcie. Łabuś wiedząc już, że jestem lekarzem, zaczął z medycznéj beczki: mówił wykwintnie, ostrożnie i dobrze, i postępując najdelikatniéj wywiedział się jednakże w krótkim czasie gdziem się urodził, zkąd przybywam, dokąd i po co jadę, i to chwaląc mnie w wyrazach pełnych namaszczenia za zamiar wypoczęcia na ławach uniwersyteckich po trudach wojennych, przeżucia razy kilka otrzymanych wrażeń, nim je przetrawię i część najlepszą we własną zamienię substancyą.

— Zapał religijny jeśli trwa jeszcze, to tylko dlatego, że massa narodu nie przesiąkła dotąd wiarą w swe własne siły, nie przeszła ową zarozumiałością, która największą jest nieprzyjaciołką religijnéj wiary; ale mniejsza o tę tam rzewność religijną, objawiającą się częstokroć i w najgorszych sercach, u bałwochwalców nawet; tu idzie o świetność, o potęgę téj wielkiéj ojczyzny, którą my nazywamy ogólnym kościołem, a ta ucierpiała bardzo wiele w Hiszpanii od czasu zniesienia inkwizycyi i klasztorów, od konfiskaty dóbr kościelnych. Kościół dzisiaj nie jest potęgą, lecz proletaryuszem żebrzącym jak inny jaki zakład dobroczynny o swą istność.

Teraz dopiéro pojąłem do czego zmierzał ksiądz Annesson kapłan religii, ale przedewszystkiém urzędnik powszechnego, w uosobnieniu najsubtelniejszém pojętego kościoła; i kwestyi téj bardzo drażliwéj daléj nie rozwijałem, bo na tém polu daleko mniéj byłem mocnym jak ksiądz Dobrodziéj, mający pod wszystkiemi względami bardzo jasne wyobrażenia o swym osobistym interesie. Ksiądz francuzki posiada pełną wiedzę swych obowiązków i pełni je, jeżeli nie w duchu chrześciańskim, to przynajmniéj z skrupulatnością rafinowaną; ale téż obok téj wiedzy obowiązków, czuwa ciągle w duszy księdza francuzkiego wiedza praw, przywilejów, powinności, zaszczytów i swobód jemu i kościołowi należnych. Broń Boże! żebyś mu w czémkolwiek naruszył własności, nie oddał tego co mu się należy, zaniedbał w najmniejszéj rzeczy kościoła dla religii: wówczas ujrzysz w księdzu nie kapłana boskiego, lecz prostego stróża kościelnego, umiejącego upomnieć się *ungue et rostro* o swój materyalny interes.

Abbé Annesson wywiadywał się, co się tam dzieje w Hiszpanii z owym *padrem* Cyrillo biskupem Ptolomaidy i spowiednikiem Don

Karlosa, co porabia ksiądz Merino i święty braciszek Saturnino. Ja odpowiedziałem: że *padre* Cynillo ów biédaczek o którym z takiém pogardliwém politowaniem ksiądz Annesson mówił, jest dobrym świętym księdzem, który infanta już oddawna nakłaniał do zaniechania swych pretensyj, tyle krwi niewinnéj kosztujących; zaś poczciwości człowiek ksiądz Merino, choć ma lat przeszło 60 i przytém dwie ruptury, i choć go na konia wsadzać muszą i do niego przywiązywać powrozami: chętnie jednakże ugania się dniem i nocą za gwardzistami narodowemi królowéj Izabelli, a chętniéj jeszcze ich wiesza, poczciwiec. Miły zaś *frayle* Saturnino niedawno z oddziałem bandytów otoczył dom brata swego oddanego sprawie donny Izabelli i spalił go wraz z jego żoną i pięciorgiem dzieci; ale podczas téj operacyi klęczał, bił się w piersi i prosił, aby Bóg raczył wybaczyć grzesznikowi, którego sroga sprawiedliwość ludzka już dosięgła.

— Oh! jakato silna wiara w tych dzikich, namiętnych ludziach! Przyznaj Pan, że jest coś poszanowania godnego w téj zawziętości — rzecze dumnie ksiądz Annesson.

— Człowiek, przejęty prawdami przez Chrystusa objawionemi, dzikim być nie powinien; kapłan poświęcający życie największego zbrodniarza jest potworem, mój dobry księże—odpowiedziałem. A *Abbé* Annesson widząc, że się na jedno nie zgodzimy, życzył mi dobréj nocy, w płaszcz się systematycznie otulił, paciérz zmówił i usnął snem sprawiedliwych.

Tak jest: we Francyi południowéj, nawet pomiędzy kapłanami więcéj znalazłem nietolerancyi, fanatyzmu i zawziętości, jak pomiędzy wieloma księżmi hiszpańskiemi. Księża Karlistowscy, zakonnicy czy świeccy, doznawali serdecznego spółczucia ze strony duchowieństwa francuzkiego w prowincyach południowych. W samém Montpellier przeszło 200 takich księży żyło w swobodzie i opływało w dostatki; przez szpary patrzano na ich częstokroć bardzo niemoralne życie, na ich prawdziwie gorszącą gnusność i zawziętość.

Ksiądz zasnął; konduktor korbą kręcił i po katalońsku szwargotał z pocztylionem; ja owioniony jakimś nieprzyjaznym wiatrem, zasnąć nie mogłem. W Rivesaltes przeprzężono konie, i tu jeszcze pocztylioni, wieśniacy, a nawet pocztmistrze po katalońsku mówili, i na dwóch czy trzech innych stacyach jeszcze toż samo. Zniecierpliwiony tém narzeczem, którego ani słowa nie pojmowa-

łem, pytam się konduktora, rychło staniemy we Francyi, przynajmniéj w kraju, w którym lud po francuzku mówi.

— Ho, ho! daleko ztąd do takiego kraju: tu mówią po katalońsku, w Langwedocyi po langwedocku, w Prowancyi po prowensalsku, w Aveyront po owerniacku, w Nawarze po basku, w Bretanii po bretońsku. Nie każdy Francuz zna język francuzki: ledwo trzydziesta ich część go rozumié, ledwo setna nim mówi, ledwo dziesięcio-tysięczna nim pisze; pozna to Pan później. Raz, zdarzyło mi się widziéć jedénastu Francuzów razem, z których jeden drugiego nic a nic nie rozumiał. Był w tém szanownem gronie: Roussiliończyk, Langwedok, Prowansal, Nawarrczyk, Owerniak, Bretończyk, Normandczyk, Burgończyk, Alzaczyk, Lotaryńczyk i Wallon. Nigdym w mojém życiu nie widział coś ciekawszego, jak ów gabinet naturalny, złożony z Francuzów niemówiących po francuzku i nierozumiejących się pomiędzy sobą. Było to w czasie wojen cesarskich, gdzie najróżnorodniejsze żywioły narodowe częstokroć w skład jednego plutonu wchodziły— ciął daléj konduktor, stary wojskowy, który raz się rozgadawszy, przestać nie był w stanie.—Ale i dziś pod tym względem nie poprawiła się oświata; chłop nasz przymuszony pracować z wielką usilnością, żeby choć trzeci procent wydobyć z téj urodzajnéj ziemi, nie ma czasu kształcić się, a nawet dzieci swe, zdolne pomagać mu w uprawie gruntu i podczas żniwa, niechętnie posyła do szkółki. Chłopa francuzkiego pod względem naukowości, ani równać można do chłopa niemieckiego; ale znów z drugiéj strony, choć mniéj posiada oświaty książkowéj, duszę ma szlachetniejszą każdy Francuz od Niemca. Wojsko niemieckie bez kaprala z kijem obejść się nie może; a najgorszy nasz rekrut, bohaterem jest jeszcze w porównaniu z najlepszym niemieckim żołnierzem. A tak z méj mowy najoczywiściéj wykazuje się, że choć wielu Francuzów po francuzku nie mówi, lub tak źle mówią, jak krowa hiszpańska: przecież duszą i męztwem każdy tu urodzony człowiek wyższym jest od cudzoziemca, chociażby się ten nawet za drogie pieniądze nauczył po francuzku. *Voilà ce qui est prouvé et bien prouvé.*

Tak skończył swą mowę konduktor, spojrzał się na mnie z tryumfem, dumny jak indyk z swéj wymowy, i znów zaczął kręcić korbą jak mógł najspieszniéj, bo z góry zjeżdżaliśmy w obszerną dolinę.

To dolina Narbony, błyszcząca wszystkiemi odcieniami kolorów majowych w świetle świeżo wschodzącego światła słonecznego. Rozkoszne są te łany pokryte purpurowym kwiatem koniczyny (Trifolium incarnatum. Lin.). i różowo kwitnącą esparcetą (Onobrychis sativa. Lanck.), urozmaicone szmaragdowym liściem topoli, wiązu i dębu, i przyprószone śniegiem drzewa owocowe. Ach! to dawno nie widziane rośliny Północy! Tak wyglądają okolice rodzinnéj zagrody mojéj, tylko okazalsze; skowronek nuci tęskniéj, i bocian ukochany przyjaciel méj krainy, stąpa po łące poważnym krokiem, a połowica jego na wysokiém drzewie strzeże zadatków przyszłego potomstwa.

Witajcie mi drzewa i kwiaty Północy, znużonego żarem Południa przyjmijcie pod cienie wasze! Chłódźcie Eole północne krew wrzącą wspomnieniami uroczych ogrodów Hesperyi, abym nie zatęsknił nigdy do stron dalekich, do widowni lat młodości mojéj.

Zbliżamy się do miasta; to Narbona, dawna *Narbo Martius*, *Julia Paterna*, *Colonia Decumanorum*, dziś stolica departamentu. Z jednéj strony jeziorem styka się ze Śródziemném morzem, a z drugiéj kanał przezwany południowym (du Midi) łączy ją z oceanem. Narbona piérwszą była kolonią wysłaną r. 121 przed Chrystusem z Rzymu do Gallii, liczyła 40,000 mieszkańców i zawierała traktaty kupieckie z Konstantynopolem i Alexandryą. Późniéj była stolicą królów saraceńskich przez lat 45, i wiele pomników z czasów rzymskich i maurytańskich w sobie zawiéra. Dziś Narbona jest tylko miastem zaledwie 11,000 ludności mającém, bo dała się wyprzedzić innym późniéj powstałym, co z czasu i sposobności lepiéj korzystać umiały. Ale dlatego Narbona nie jest ogołoconą z zakładów świadczących o rozwości umysłowéj mieszkańców: biblioteka, ogród botaniczny, muzeum, szkoła żeglugi, towarzystwo archeologii i estetyki; wszystkie te zakłady kwitną i udzielają miastu choć szczupłemu, uroku wyższéj umysłowości.

Jak niegdyś Kreta w Grecyi, tak dziś we Francyi słynie okolica Narbony z pracowitości pszczół tamecznych i z dobroci miodu. Kształtem zewnętrznym, poczciwe te pszczoły nie różnią się wprawdzie od naszych, chyba tylko świetniejszą barwą. Zdają się, jak gdyby z listków złota były ulepione; ale miód za to, wszystkie inne mi znane przewyższa smakowitością. Przesiąkły aromatami, jak gdyby zaprawiony jakiemi subtelnemi olejkami, cztery razy do roku w różnych porach zbiera się tutaj, a za każdym razem

innemi pachnie kwiatami i inne nawet posiada własności lekarskie, bardzo cenione przez ludzi nielubiących wymysłów farmaceutycznych.

Najwięcéj pasiek i ulów napełnionych sławnym miodem narbońskim znajduje się w poblizkich górach *Corbières*. W tychże górach, uczony geolog Tournal odkrył kości skamieniałe przedpotopowych zwierząt, nie bez interesu dla nauki.

Samo miasto nieokazałe; mieszkają w niém tylko ci, co sobie pałacyków i willij w poblizkości wystawić nie mogli. Francuzi południowi najbardziéj lubią się skupiać na spacerach, publicznych placach i kawiarniach; w familijném życiu odosobniają się jak mogą najbardziéj; gościnności nie pojmują: ani owéj kosztownéj, hucznéj jak na Północy, ani owéj taniéj, wesołéj jak w Hiszpanii. Lękają się wydatków, komerażów i plotek; żyją w domu jak mruki, ale w kawiarniach i w salach posiedzeń, rozwijają życie i czynność, któremi ich natura obdarzyła.

Narbona, siedlisko arcybiskupa, posiada gotycką katedrę wcale piękną, ale co do okazałości i bogactwa, równać się niemogącą z katedrami hiszpańskiemi, nawet trzeciego rzędu. Na 35 kobiét, ledwo jeden był mężczyzna w kościele; wnioskować z tego należy, że we Francyi kobiéty nabożniejsze. Tak też jest w istocie: mężczyzni jeśli chodzą do kościoła, to po największéj części dlatego tylko, żeby ich żony w wierze i w religijnych obowiązkach nie ostygały.

Po dwugodzinnéj wycieczce po Narbonie, wracam do hotelu dyliżansów, gdzie właśnie konduktor krzyczy:—*En route Messieurs! en route! le quart d'heure de grâce s'est écoulé; en route!*

Zostawiwszy połowę obiadu, zapłaciwszy zaś za cały, wsiadamy. Labusia już obok mnie nie ma: został widać w mieście, a kto inny jego miejsca nie zajął. Niezmierniem z tego zadowolony, rozpiéram się do woli po bezsennie strawionéj nocy. Ale szczęście mi niedługo sprzyjało. Wyjechawszy za miasto i przedmieścia, zapuszczamy się w drogę żywemi płotami gęsto zarosłą, gdzie na prawo i lewo, wpośrodku pól i ogrodów, pełno nadobnych willij, pałacyków, małych folwarków i karczemek. Stajemy przed jedną z tych karczemek, na któréj szyldzie napisane: „*Au St. Chrysostome. Vin, lait, miel, frommage, pain, foin et avoine, et rien de plus, jamais!*" Gospodarz karczemki stał przed szanownym tym zakładem z mnóstwem kuferków, pak i pa-

czek. Było to jegomość dostojny, objętości dwurocznego słonia, ozdobiony na płaszczu, paltocie i spancerku, wstążką orderu legii honorowéj. Już niemłody, miał cokolwiek szpakowate, kędzierzawe i krótko strzyżone włosy, faworyty gęste jak szczotki, ale krótko, na czerstwych policzkach na wysokości linii ustnéj zatrzymane; wąsy w górę zaczesane, groźnie sterczące; w brwiach najeżonych, w oczach wielkich sino-niebieskich żywość, bystrość, cały ocean przytomnéj, ciągle czuwającéj roztropności i nieufności zarazem; w ustach niepohamowana gadatliwość i wyraz przebiegłości; w brodzie fioletowo wygolonéj, choć ogromna krnąbrność i siła woli, ale w nosie nieproporcyonalnie małym, coś drobnostkowością i egoizmem tchnącego.

Poznałem zaraz z piérwszego wejrzenia, że to musi być *un vieux de la vieille* i nie omyliłem się, bo skoro go tylko zoczył nasz konduktor stary podoficer, zaraz zaczął mu oddawać ukłony wojskowe i witać słowami: „*Salut capitaine!*" Na co mu jegomość z wstążkami odpowiedział:

— *Bonjour mon brave, bonjour, faites monter mes paquets*, tylko ostrożnie, bo tam same szkła, jak to widzisz z kieliszków wymalowanych na wieku i z wyrazu *fragile*, wypisanego na nich bardzo kaligraficznie.

— *Connu, connu* mój kapitanie; żeby te paki zawiérały kule i kartacze, toby kapitan malował na nich kieliszki, lękając się, żeby się nie potłukły. Znamy się na tych figlach, ale to nic nie szkodzi taka ostrożność, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże; nie obawiaj się kapitanie o te séry i plastry miodu, dowieziemy je zdrowe do twych dzieci do Montpellier.

— Słuchaj konduktorze, niech mnie djabli biorą, tak jak się nazywam kapitanem Bourdan z gwardyi grenadyerów konnych, to *Rivsaltes*, najszlachetniejszy *Rivsaltes*, a nie bomby, kartacze, placki i séry. Ostrożnie z niemi, na Bogal Każda butelka warta trzy franki, a jest tego z pięćdziesiąt, co stanowi summkę nie lada.

Wciągnięto paki na dyliżans, kapitan jeszcze raz, może po raz dziesiąty, polecił swemu zastępcy w karczmie, żeby nikomu na kredyt nic nie dawał, w rachunkach się nie mylił na swoję niekorzyść, gościom częstym dawał lepsze, przypadkowym gorsze jadła i napoje, żeby psy regularnie wypuszczał na dziedziniec, łapserdaków pieszo podróżujących nocną porą do domu nie wpuszczał, ognia pilnował, krowie ocielonéj dawał pić *biało* (to jest otręby z wodą), koniom krew puścić kazał, dziewki z oka nie

spuszczał, i nareszcie przeżegnawszy dom i pole, wpakował się nie bez wielkiéj trudności do *Coupé*, którego ogromną postacią zajął więcéj daleko jak dwie-trzecie miejsca.

Już miała ruszać ciężka maszyna, ale ją wstrzymał kapitan tubularnym *halte la;* wychylił głowę za okienko dyliżansu i rzekł do gospodarza swego: „Słuchaj stary *Jean Pierre*, zostawiam ci i wszem to wobec głoszę, wzywając na świadka Boga i tu przytomnych ludzi, zostawiam ci stary grzeszniku w mym domu: pięćset funtów siana, sto garncy owsa, pięćdziesiąt butelek starego pieczętowanego, 150 młodego pieczętowanego, dwa antałki pikiety, ośmdziesiąt funtów séra, trzydzieści miodu, sągów drzewa cztéry, dwa konie, jedénaście krów, cztéry cielęta, pięćdziesiąt dwa ułów pszczół i dziesięć franków na nieprzewidziane przypadki. Słuchaj stary grzeszniku, ani mi się upijaj, ani się nie daj oszukać; dziéwki trzymaj w rygorze, żandarmom nigdy nic więcéj jak pół butelki wina, funt chleba i ćwierć funta séra, ognia pilnuj, pieniądze ściskaj. Wybiéram się na cały tydzień, ale może jak bomba już jutro tu wpadnę; a niechże cię jasny piorun trzaśnie, bądź zdrów stary panie Pietrze: wiédz, że interes służącego jest interesem pana, czyli raczéj, że interes pana jest interesem... Ruszaj w imię Boga! Ach! co to za biéda miéć syna notaryusza w uniwersytecie; dalibóg oddam go do wojska, niech służy Ludwikowi Filipowi, *au Roi po-po, au Roi pu-pu, au Roi lai-lai, au Roi populaire, au Roi citoyen!*“

Nim skończył kapitan Bourdon, pocztylion zaciął konie, a *Jean Pierre* stał ciągle z gębą otwartą, udając może większego głupca niż nim był w istocie.

— Coś papa Bourdon w niedobrym humorze?—odezwie się konduktor do ogromnego przybysza, ocierającego pot czoła jedną ręką, a zażywającego tabakę drugą.

— Oto—na spostrzeżenie odpowié nasz podróżny—ciekawym w jakim byłbyś humorze, gdyby ci syn zrobił w jednym roku 115 franków, 75 centymów długu, a przytém stracił jednę inskrypcyą (wpis uniwersytecki), co pociąga za sobą stratę trzydziestu franków i całego kwartału czasu?—odpowié kapitan —To niemała klęska, *sabre de bois* dla mnie.

— Nie wiem, kapitanie, wiem tylko, że syn mój niewiele starszy od pańskiego, jest porucznikiem artyleryi, i żem nigdy grosza złamanego na wychowanie i na spłacenie długów jego nie wydał.

— *Cré nom de Dieu!* —krzyknął kapitan i gniew na jego wyraziściéj twarzy błysnął jak piorun na zachmurzoném niebie— *cré nom de Dieu*, ale twój syn składał przysięgę *au Roi Po-po!*

— A my składali przysięgę *au Roi Fi dom*, pamięta kapitan, już w roku trzynastym, po abdykacyi w Fontainebleau, a Bóg tam wié ile przysiąg jeszcze składać będziemy. U nas grunt rzeczy: —żeby nie było biédy w kraju: reszta to fraszki, mniejsze lub większe fraszki, ale dalibóg zawsze fraszki w porównaniu z nędzą osobistą i z nędzą w kraju.

Stary sierżant trafił jakoś staremu kapitanowi właśnie w cetno; zamilkł téż odrazu stary wiarus jak trusia i uciekł się do fortelu, którym Francuzi chcąc nie chcąc kończą nieraz wszystkie dysputy na politykę zakrawające: zaczął nucić Marsyliankę pod nosem wprawdzie tylko, ale wyraźnie. Zrazu i konduktor siedział cicho, potém wolniuchno nosem, nie otwierając ust wtórował, potém jakoś zwrotka wyraźniéj wydzierać mu się zaczęła z ust ściśnionych, nareszcie ni ztąd ni zowąd kapitan i sierżant razem zaryknęli stentorowskim, choć djablo chrapowatym głosem: *Marchons! marchons!* i już była zgoda w obozie. Kapitan sięgnął po butelkę do *sac de voyage*, odkorkował ją, napełnił dobrym *Rivesaltes* szklankę, bez któréj nigdy nie miał zwyczaju puszczać się w podróż, i rzekł: *à Vous vieux de la vieille!*

A wychylił dobrze.

— *Me voilà donc enfin en France!*—krzyknąłem pomimowolnie głosem, jak gdyby z procy wyrzuconym.

— *Tiens!* powié kapitan, *mais voici donc un tiers*, tak jak gdyby mnie jeszcze nie był widział.

Rozumié się samo przez się, że po króciuteńkich objaśnieniach, młody, z dalekich krain przybyły kolega, przyjętym był *à bras ouverts* do grona starych wiarusów, niedowierzających, egoistów, ale doprawdy z zapału szlachetnego w wielu względach jeszcze nieogołoconych. Strona żołnierska w tych starych zabytkach czasów bohaterskich zupełnie była czystą i nietkniętą, egoizm jeszcze w nich do tego stopnia nie owionął pamięci, żeby w niéj nie pozostała pewna serdeczność względem dawnych towarzyszów broni, lub dla ich dzieci.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O BURZACH GRADOWYCH W KRÓLESTWIE POLSKIÉM.

PRZEZ

Józefa Sapalskiego.

Przyroda otwiera przed nami księgę, w której sam Stwórca myśl swoję nakreślił.

Nie masz podobno kraju na kuli ziemskiéj, któryby nie ulegał nadzwyczajnym zjawiskom fizycznym. W jednych bywają silne i niszczące trzęsienia ziemi i wybuchy wulkaniczne, w drugich niesłychanéj siły i potęgi orkany, w innych znowu ulewne deszcze i grady. Nasz kraj lubo nie może się policzyć do okolic gdzie panują trzęsienia ziemi lub wybuchy wulkanicznéj lawy, wszakże często podpada burzom gradowym, a niekiedy i trąbom powietrznym.

Jedna z największych plag, która każdego lata trapi naszych rolników, a przez podrożenie żywności, daje się czuć we wszystkich gałęziach przemysłu krajowego, jest bez wątpienia gradobicie, prawie zawsze połączone z silną burzą, która szerokiemi pasami niszczy lasy i wywraca budowle, te nawet, które według wszelkich zasad budownictwa były wzniesione. O ile nam możność w zebraniu faktów dozwoliła, poszczególnimy tu wypadki, zaszłe w dziewięciu latach, tojest od roku 1843 do 1851.

Okolice w których panowały burze.

Śledzącemu pilnie i z uwagą wypadki gradobić, oraz bieg i kierunek chmur gradonośnych, potrzeba wskazuje nasz kraj po-

dzielić na okolice, w których bezpośrednio i odrębnie przebiegały burze. Burze gradonośne, szczególnie te, które przypadają w okolicach: północnéj, zachodnio-północnéj i wschodniéj, do których także policzyć można okolicę zachodnią, zwykle nie zajmują wielkiéj przestrzeni i nie tak są częste.

W okolicy *północnéj* chmura gradowa w kierunku od zachodu północnego czyli od morza Baltyckiego, roku 1843, dnia 13 czerwca przebiegła powiaty augustowski, sejneński i kalwaryjski.

W okolicy *zachodnio-północnéj* chmura gradowa w kierunku od zachodu ku wschodowi, roku 1845, dnia 9 lipca, przebiegła wązkim pasem powiaty: przasnyski, pułtuski, stanisławowski, aż do łukowskiego położonego w okolicy wschodniéj.

W okolicy *zachodniéj* podobnież w kierunku od zachodu ku wschodowi, roku 1849, dnia 17 sierpnia przebiegła powiaty kaliski, koniński, łęczycki i gostyński.

Inne jest wcale położenie okolicy *południowo-zachodniéj*: mając przed sobą góry Karpackie, Bieskidy, Małe Karpaty, góry Olbrzymie, Luzackie, Kruszcowe, najwięcéj jest wystawiona na potężne i niszczące burze, które przechodząc szerokiemi i długiemi pasami w okolicę *południowo-wschodnią*, sieją bardzo często niezmierną massę gradu.

Roku 1848, dnia 19 i 20 czerwca chmura gradowa przebiegła powiaty: wieluński, sieradzki, piotrkowski i opoczyński, olkuski i stopnicki, zkąd przeszła w okolicę południowo-wschodnią, tojest: w powiat sandomierski, kielecki, opatowski, radomski, lubelski, zamojski i hrubieszowski.

Roku 1849, dnia 17 czerwca, druga chmura gradowa przebiegła w téjże okolicy południowo-zachodniéj, a mianowicie powiaty: wieluński i sieradzki, piotrkowski i opoczyński, z których przeszła w okolicę południowo-wschodnią, jakoto: część radomskiego, opatowskiego, i nieco lubelskiego, i jednocześnie w okolicę zachodnią, gdzie przebiegła cały powiat rawski, część warszawskiego, szczególnie okrąg czerski (1), część stanisławowskiego; daléj poszła w okolicę wschodnią, tojest powiat radzyński, którego nawiedziła stronę północną, łukowski cały, siedleckiego gminy południowe, a bialski prawie cały.

(1) Jak widać z dostrzeżeń zebranych przez *Magiera* od r. 1804 do 1828, oraz z pism peryodycznych, okolice Czerska w powiecie warszawskim najwięcéj ulegały gradobiciom.

Jeszcze w téj saméj okolicy południowo-zachodniéj chmura gradowa roku 1851, dnia 12 maja przebiegła powiaty olkuski, opoczyński i miechowski, z których przeszła w okolicę południowo-wschodnią, jakoto: w powiat sandomierski, kielecki, opatowski, lubelski, zamojski, krasnostawski i hrubieszowski.

Oczywistą więc jest rzeczą, że okolica wschodnia i zachodnia, oraz południowo-wschodnia, prawie zawsze bywają, nie miejscowemi chmurami gradonośnemi niszczone, ale naszłemi z okolicy południowo-zachodniéj. Burze zaś miejscowe, które przebiegają po kilka mil wzdłuż i poprzek, mniéj więcéj zdarzają się we wszystkich okolicach, kończąc gradobiciem w jednéj lub kilku gminach.

Według zebranych wiadomości od roku 1843 do 1851, gradobić było w okolicy północnéj 21; zachodnio-północnéj 20; zachodniéj 39; południowo-zachodniéj 54; południowo-wschodniéj 52; wschodniéj 24 (1).

Średnia więc liczba gradobić przypada na rok jeden w okolicy północnéj 2,3; zachodnio-północnéj 2,2; zachodniéj 4,3; po-

(1) Gradobicia były w następujących powiatach:

a) *Okolicy północnéj.*

maryampolski	3
kalwaryjski	6
sejneński	3
augustowski	4
łomżyński	5

b) *Okolicy zachodnio północnéj.*

włocławskim	5
lipnowskim	4
płockim	2
mławskim	3
przasnyskim	1
pułtuskim	3
ostrołęckim	2

c) *Okolicy zachodniéj.*

kaliskim	7
konińskim	2
łęczyckim	4
gostyńskim	6
łowickim	1
rawskim	8
warszawskim	6
stanisławowskim	5

d) *Okolicy południowo-zachodniéj.*

wieluńskim	10
sieradzkim	9
piotrkowskim	8
opoczyńskim	9
olkuskim	11
miechowskim	2
stopnickim	5

e) *Okolicy południowo-wschodniéj.*

sandomirskim	5
kieleckim	3
opatowskim	7
radomskim	5
lubelskim	11
zamojskim	7
krasnostawskim	7
hrubieszowskim	7

f) *Okolicy wschodniéj.*

radzyńskim	8
łukowskim	6
bialskim	2
siedleckim	8

łudniowo-zachodniéj 6; południowo-wschodniéj 5,7; wschodniéj 2,6.

W téjże epoce było dni w których szkodliwy grad padał w miesiącach: kwietniu 1; majowych 10; czerwcowych 38; lipcowych 31; sierpniowych 18.

Średnia zatém liczba dni w całym kraju przypada na miesiąc kwiecień 0,1; maj 1,1; czerwiec 4,2; lipiec 3,4; sierpień 2.

Począwszy od połowy maja do połowy sierpnia, grady spadają zwykle połączone z silnemi burzami i uraganami. Od połowy sierpnia do 1go września rzadko pada grad, jednak bywa dla plonów szkodliwy (1).

Wedle dostrzeżeń zebranych w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém, od roku 1843 do 1851 było burz gradowych w miesiącu kwietniu 10; maju 4; czerwcu 7; lipcu 9; sierpniu 4.

Średnia zatém liczba przypada na kwiecień 1,1; maj 0,4; czerwiec 0,7; lipiec 1; sierpień 0,4.

Rzecz godna uwagi, że kiedy w powiecie warszawskim od r. 1843 do 1851 było dni 6, w których grad poczynił wielkie szkody; w saméj Warszawie w téjże epoce w ogrodzie botanicznym jedynie raz spadł wielkości laskowego orzecha d. 18 lipca 1851 r.; zresztą bywał nie większy od ziarnka grochu (2).

Pasy chmur gradonośnych.

Tessier, jeden z uczonych francuzkich, opisując burzę gradową, która roku 1788, dnia 13 lipca, powstała w południowéj Francyi w *Touraine* około *Loches* i ciągnęła aż do *Utrechtu*, powiada, że chmura gradonośna posuwała się w dwóch oddzielnych i równoległych pasach w kierunku od południowego wschodu, do

(1) Był przykład, że w marcu 1823 r. padał grad w Warszawie, a d. 4 września t. r. między Szczucinem i Stawiskami (p. łomżyński), na przestrzeni 3½ mili pokrył pola na kilka stóp wysokości. Tegoż dnia padał w Kurzelowie w Krakowskiém, poczém wielkie nastąpiło zimno.

(2) Znajdujemy w dostrzeżeniach meteorologicznych *Magiera*, że grad większy od laskowego orzecha padał w Warszawie r. 1820, d. 19 maja o godzinie 2 po południu i leżał do 9 w wieczór; r. 1822, d. 16 lipca o godzinie 3 po południu, wyrównywał wielkości włoskiego orzecha. Spadł on nie na wszystkich ulicach: na jednym końcu ulicy Długiéj padał, na drugim wcale nie.

północnego zachodu. Jeden z tych pasów miał długości 175 mil francuzkich (licząc na stopień 25), drugi 200. Szerokość piérwszego, tojest zachodniego, wynosiła 4 mile; drugiego 2. Przestrzeń między dwoma temi pasami wynosiła 5 mil, i pokryta była chmurami. które skrapiały okolice obfitym dészczem. Burza ta podług dokładnych obliczeń ubiegała na godzinę 16½ mil. Grad w jedném miejscu padał od 7 do 8 minut.

Pas chmury gradowéj u nas, który jak można wnosić nadciągnął z W. K. Poznańskiego dnia 17 czerwca 1849 roku w powiat wieluński i sieradzki, i przebiegł do granic gubernii grodzieńskiéj, wynosił na szerokość mil geograficznych (licząc na stopień 15) od 7 do 8, nie licząc w to krawędzi pasa od strony południowéj i północnéj, które przebiegając ponad okolice, zlewały je niesłychanemi potokami deszczu, jak to miało miejsce od strony północnéj w Warszawie, a od południowéj w Modrzejowicach (p. radomski). Długość pasu poczynając od granic W. K Poznańskiego do granic gubernii grodzieńskiéj wynosiła mil geograf. 75. Jeżeli weźmiemy za epokę godzinę 5tą po południu, jako początek burzy w gminach Zajączki, Rudniki (wieluński), położonych na granicy W. K. Poznańskiego i godzinę 10tą w nocy końca jéj w gminie Litewnik, położonéj na granicy gubernii grodzieńskiéj: można wnosić, iż chmura w ciągu jednéj godziny ubiegła mil 15. Grad w daném miejscu padał od 5 do 10, i od 10 do 15 minut.

Grad niekiedy pada w nocy i z rana.

Niegdyś utrzymywali znakomici nawet meteorologowie, że grad w nocy wcale nie pada; późniejsi uwierzyli, że pada, ale dodają, iż bardzo rzadko. U nas, w epoce od roku 1843 do 1851 padał o godzinie 4 z rana dnia 21 lipca 1843 roku w gminie Kupiska powiecie łomżyńskim, i wyrównywał wielkości kurzego jaja. W nocy dnia 9 lipca 1845 roku w powiatach przasnyskim i pułtuskim, a stanisławowskim i radzyńskim o 3 z rana; w łukowskim o 4 z rana. O godzinie 2 i 3 z rana dnia 20 czerwca 1848 roku, w powiatach: wieluńskim, sieradzkim, piotrkowskim, opoczyńskim, opatowskim i radomskim. a w nocy o godzinie 11 w lubelskim, zamojskim i hrubieszowskim. Roku 1851, dnia 11 sierpnia o godzinie 8 z rana, padał w gminie Piesia-Wola w powiecie radzyńskim.

Wielkość spadłego gradu.

W przedziale od roku 1843 do 1851 grad padał w królestwie polskiém rozmaitego rozmiaru: począwszy od wielkości laskowego orzecha do włoskiego; od wielkości kurzego jaja do gęsiego; od 1 cala średnicy do 2 cali, i od 16 łutów do 24. Bryły większe od gęsich jaj niewszędzie padały i bardzo rzadko. I tak naprzykład: roku 1849, dnia 17 czerwca, w gminie Kłobucku (wieluńskim) gradówki przewyższały wielkość jaj gęsich, a w gminie Budziszewo (piotrkowskim) wielka liczba ze spadłych gradówek ważyła po funcie jednym. Roku 1844, dnia 25 czerwca w gminie Charlejów (radzyński) w godzinę po spadnięciu, mnóstwo gradówek ważyło po funcie jednym z ćwiercią. Gradówki wyrównywające wielkości kartaczy, granatów, głowy małego dziecka, spadały w roku 1848, dnia 20 czerwca, w gminie Mieleszyn (wieluński); w roku 1849, dnia 17 sierpnia w gminie Woli Świnieckiéj (kaliski); w roku 1848, dnia 20 czerwca w gminie Bolesławicach (sieradzkim); w roku 1850, dnia 2 sierpnia w gminie Ocina (kaliski). W roku zaś 1843, dnia 30 maja o godzinie 1 po południu, w gminie Kłobucku we wsi Białéj (wieluński), spadła bryła lodu, która, wedle brzmienia raportu wójta gminy, wyrównywała wielkości kuchennego szaflika.

Wprawdzie przykład taki jest uderzający, ale dla meteorologów nie stanowi nowości, gdyż w roku 1823 na początku lipca, w gubernii wileńskiéj spadłe gradówki ważyły po kilka funtów. Znajduję w *Meteorologii Kaemtza*, że w Hiszpanii w Casorta roku 1829, dnia 15 czerwca, między spadłym gradem, który poniszczył dachy i porujnował domy, wiele gradówek było takich, co ważyły po 4 funty. Roku 1822, dnia 8 maja spadły w Węgrzech w czasie burzy bryły lodu, które miały długości 3 stopy, tyleż szerokości, a 2 wysokości. „Bryły te — dodaje *Kaemtz* — widocznie pokazywały, iż spadając pozlepiały się w powietrzu.“ Podobnéj wielkości grad niegdyś spadł blizko Seringabatman, w końcu panowania *Tippo Sahiba*. W Rossyi, w powiecie tambowskim, niedaleko Nowopokrawska w roku 1829, dnia 1 czerwca, w czasie burzy gradowéj spadła na róg chaty bryła lodu nie okrągła, lecz kątowa, wielkości przetaka. U nas w roku 1823, dnia 5 sierpnia we wsi Dobkiszkach w powiecie kalwaryjskim, spadł grad, między którym, wedle urzędowych doniesień, były gradówki ważące po 4 funty,

a we wsi Cyganowie w czasie burzy gradowéj, spadła bryła lodu, która miała ważyć blizko *centnar*.

Nakoniec spadłe massy lodu podczas burz gradowych, wyrównywające wielkości słoni, o czém wspominają dawne kroniki, jako wychodzące za obręb rzetelnych zjawisk, odsyłamy do powieści *Tysiąc nocy i jedna*.

Czas, przez który grad pokrywa ziemię.

Niekiedy grad pokrywa ziemię warstwą bardzo grubą i leży dość długi czas: roku 1844, dnia 25 czerwca spadły grad o godzinie 8 po południu w gminie wola Skrumowska w powiecie lubelskim, pokrywszy ziemię na $^1/_2$ łokcia, leżał do rana. W Kocku spadł o godzinie 6 po południu, a jeszcze na drugi dzień zrana o godzinie 9 pokrywał pola na pół łokcia.

Kształt gradu.

Powierzchnia i kształt gradu bywają rozmaite. Prawie zawsze pada okrągły, rzadziéj nieco podługowaty, zawsze jednak z powierzchnią chropowatą, a czasem najeżoną kolcami. Taki grad padał w Wilnie roku 1817 dnia 6 lipca. Z podobnemi kolcami i nieco podługowaty widział *Tessier* roku 1788, dnia 13 lipca we Francyi. Bardzo rzadko pada w kształcie piramidalnym lub soczewki. W kawałkach z kątami jak porąbany cukier padał dnia 18 czerwca 1848 roku w Mławie. Sześcienny padał dnia 26 kwietnia 1822 roku w Borowie w okręgu czerskim, a dnia 17 lipca wśród wielkiéj burzy w Krasnem padał grad podobny z kształtu do rozkwitającego pączka *centyfolii*.

Eliasz de *Beaumont* utrzymuje, że gradówki czasem mają kształt małych piramid z kątami i współśrodkowemi kulkami. *Delcros* inżynier francuzki, badając przez lat kilkanaście stan zewnętrzny i wewnętrzny gradówek, znalazł, że różnorodny kształt gradu pochodzi od pękania na ziemi przez silne spadanie, lub od uderzania się jednych o drugie w powietrzu. Pierwotny kształt gradu, twierdzi on, nie jest inny, tylko kulisty. Gradówki obejmują wewnątrz małe jądro, otoczone drugiém jądrem śnieżném, nieprzezroczystém, na którém widać ślady warstw współśrodkowych. Massa złożona z promieni rozchodzących się od środka ku powierzchni i pokrywająca śnieżkę jest przezroczysta, przy świetle oka-

zuje się mniéj białą i koloru błękitnawego, nakształt zbitego lodu. Powierzchnia gradówki zwykle najeżona ostrosłupami. W końcu *Delcros* temi słowy kończy swoje uwagi o kształcie gradu: „Wyobraźnia moja błąkając się od téj zmarzłéj bryłki lodu, zaszła aż do epoki tworzenia się pierwotnego kuli ziemskiéj, i zdawało mi się, żem widział rozwijający się przedemną cały obszerny system formacyi kulistéj."

Wreszcie wedle dostrzeżeń *Pouillet'a*, temperatura gradówek wynosi od 0,5 do 4° niżéj zera.

W gradówkach znajdowano obce ciała.

W środku gradówek znajdowano niekiedy obce ciała, jak naprzykład części roślinne, a mianowicie źdźbła słomy lub trawy, albo co większa ciała mineralne, które zapewne bywają porywane wichrem z ziemi i unoszone w wyższe warstwy powietrza, gdzie się tworzy grad. W Islandyi, kiedy po wybuchach wulkanicznych spadną grady, w gradówkach dostrzegają czasem wulkaniczny popiół.

Ale przedewszystkiém ważném jest zjawiskiem, że w gradzie spadłym w Orenburgu, znaleziono, powiada *Kaemtz*, *piryt* i *wodnik niedokwasu żelaza*. Gustaw *Rose* mineralog i geolog chcąc bliżéj zbadać ów fenomen, nie mógł zebrać pewnych i dokładnych faktów.

Roku 1822 na początku czerwca w Irlandyi w hrabstwie Moyo spadł grad na przestrzeni 4 mil kwadratowych, którego jądro było z metalicznéj massy. W nadesłanych chemikom paryzkim ziarnach, znaleziono *siarczyk żelaza* krystalizowany w dwunasto-ściany pięciokątne. Wystawione na płomień lampy paliły się ogniem, wydając zapach siarki, a pozostała po spaleniu reszta, łatwo się rozpuszczała w kwasie wodochlorowym, z którego roztworu przez sinek żelaza i potażu, tworzył osad błękitny, co niezawodnie okazywało obecność żelaza.

Były także przykłady, że jednocześnie z gradem spadły kamienie meteoryczne. Roku 1815, dnia 29 maja o godzinie 4 popołudniu w Wilnie, po przejściu burzy gradowéj znajdowano między gradem na ziemi i po dachach *kamyki* koloru ciemnosiarczanego i kawowego, za potarciem lub złamaniem którego z nich dawał się czuć mocny zapach siarki. W roku 1817, d. 3 marca niedaleko Manhejmu w czasie okropnéj burzy gradowéj, spadła z łoskotem *bryła ognista*, poczém także dał się czuć zapach siarki.

W Czechach roku 1823, dnia 28 czerwca, w czasie gwałtownéj burzy i grzmotów, spadły wraz z nadzwyczajnie wielkim gradem *ziarna*, które chciwie pożerały kury; ludzie nawet po ugotowaniu jedli je jak kaszę. Przypominały one smak ryżu. Badacze utrzymywali, że to są *Ranunculus ficaria*. Mieszkańcy pod przysięgą zeznali, że już trzeci raz w dzień św. Piotra spadają podobne ziarna (1).

Wnoszę, że obce ciała spadłe z gradem lub znajdowane w gradówkach, szczególnie siarczyk żelaza, powinny zwrócić uwagę tych badaczy, którzy utrzymują, że aerolity są drobnemi okruchami wielkich rozbitych planet. Podobną uwagę już robił *Pictet* fizyk genewski, który także analizował ziarna metaliczne, znalezione w spadłym gradzie w Irlandyi.

Zmiany barometru i termometru przed burzą i w czasie burzy.

Prawie zawsze barometr w czasie burzy gradowéj opada, a nawet opadaniem swojém zapowiada burzę, jak to miało miejsce we Francyi. Burza nastąpiła d. 13 lipca 1788 r., a już dnia 11 opadł barometr w Bruxelli, Midelburgu i Rochelli, dnia 12 w Bawaryi, a 13 z rana w Holandyi. Były wszakże przykłady, że podczas burzy podniósł się barometr, co zależało, jak *Kaemtz* utrzymuje, od kierunku wiatru.

Termometr w czasie burzy gradowéj zwykle opada i to bardzo znacznie, nie przechodząc jednak pod zero. Dowodzą tego dostrzeżenia meteorologiczne czynione przez lat 10 w Monachium, Genewie, Padwie, gdzie o godzinie 2 po południu, kiedy wskazywał termometr *Celsyusza* 20°, a drugi raz 30°, przy powstaniu burzy gradowéj spadł nagle bardzo nizko. W dostrzeżeniach meteorologicznych *Magiera* znajdujemy, że w roku 1822, dnia 16 lipca o godzinie 3 po południu termometr *Reaumur'a* wskazywał 24°, a przy spadaniu gradu opadł do 16°.

(1) Roku 1821, dnia 15 września, wpośród wielkiéj burzy, zupełnéj ciemności i piorunów, na pokład okrętu angielskiego stojącego na kotwicy przy Neufundland, spadł w wielkiéj massie grad *muszli*.

Szum przy spadaniu gradu.

Szum, który przy zbliżaniu się burzy gradowéj i w ciągu spadania gradu daje się słyszéć, był już dostrzegany przez *Arystotelesa* i *Lukrecyusza*. O tym szumie mówią także tegocześni meteorologowie, dodając, że niekiedy jest tak silny, iż nie słychać nawet huku grzmotów; o czém szczególnie wspomina *Tessier* w opisie burzy we Francyi 1788 roku, dnia 13 lipca, a *Kalm* w Moskwie 1744 roku, dnia 30 kwietnia.

„Szum ten, powiada *Kaemtz* w swéj meteorologii, powstaje zapewne przez silne ścieranie się w powietrzu gradu, lub téż przez potężne starcie się przeciwnych sobie prądów wiatru, przezco nawet grad zaczyna padać prostopadle. Ci zaś, którzy więcéj zwracali uwagę na ten pustoszący meteor, dostrzegli, że kiedy po nagłych przerwach silnego wiatru, powstanie gwałtowny wicher, spada ogromna massa gradu z towarzyszeniem błyskawic i piorunów. W przerwach podobnego wichru, grad spada prawie poziomo, następnie zaczyna padać przeplatany deszczem i przybiera kierunek zupełnie ukośny, a nakoniec pada prostopadle."

Trąby powietrzne i orkany.

Trąby powietrzne i orkany bez deszczu i gradu, bywają u nas, lecz nadzwyczajnie rzadko. Na szczególną uwagę zasługuje trąba powietrzna, która miała miejsce roku 1722, dnia 5 sierpnia o godzinie 7 po południu w Kaszycach około Pułtuska. Najprzód pokazała się od zachodu czarna chmura z grzmotami, podobnemi do pękających granatów. Nadciągnąwszy do Kaszyc, wlokła się przez pola, łąki, role, a cokolwiek w drodze napotkała, częścią obaliła lub wypaliła, częścią z sobą uniosła, wyrzucając chwilowo siarczyste kule. Przeprawiwszy się przez rzekę Narew, utworzyła z dymu pokład; woda wrzała dziwnym sposobem i rozstępowała się, jakby po wrzuceniu w nią wielkich rozpalonych kamieni.

Druga trąba powietrzna powstała roku 1819, dnia 10 sierpnia o godzinie $2\frac{1}{2}$ po południu między Jarochowem i Mazewem w powiecie łęczyckim. Niewielka chmura kiedy spuściła się na grunta mazewskie, groch na polu zupełnie spaliła, owies z korze-

niem powyrywała, na łąkach kamienie ważące po dwa centnary z ziemi wyrwała i wyniosła w górę. Posunąwszy się do wsi Głogowa, dwie murowane stodoły ze stu kopami zboża wysadziła w powietrze, wozy w górę porwała, drzewa z korzeniem powyrywała. W Kopytkowie cały dom uniosła także w powietrze. Z niéj było słychać huk, szum i siarkę.

W roku 1845, dnia 10 lipca w gminie Szeromin w powiecie płockim, trąba powietrzna ze szczętem zniosła budowle, w których konie i bydło przez rozwaliny zostały pozabijane; w lesie drzewa z korzeniem powyrywała, a między temi trzydzieści sosnowych, które można było uważać za stuletnie; kamienie po kilka centnarów ważące jak piłkę po polu taczała, przez co zboża zupełnie na pniu zostały stratowane.

Roku 1851, dnia 12 maja o godzinie 4 po południu w powiecie miechowskim we wsi Charznicy, kiedy w całéj okolicy wrzała burza gradowa, orkan prawie wszystkie budowle w ruiny zamienił, konie i bydło pozabijał, w polu pług z końmi uniósł w powietrze i pogruchotał. W chwili tak nagłego i niespodzianego wypadku, siedmiu ludzi zostało niezmiernie pokaleczonych, a jeden postradał życie.

Orkany niewypowiedzianéj siły często bywają w Ameryce, szczególnie na wyspach Antylskich. Nazywają je tam powszechnie *Tornados*. Z dostrzeżeń czynionych przez lat 157 na wspomnionych wyspach, średnia liczba przypada ich na miesiące: czerwiec 1; lipiec 4; sierpień 17; wrzesień 11; październik 10.

Jeden orkan w Indyach Zachodnich, szczególnie na wyspie Martynice, roku 1817 zrządził szkód na 24 miliony franków, przyczém tysiąc osób utraciło życie.

Śledząc wszelkie wypadki i następstwa trąb powietrznych, widać, że zwykłe burze przeistaczają się w trąby. Przedewszystkiém zbierają się dwie chmury: jedna górna nieruchoma, druga dolna wolno się posuwająca, która w swym biegu spotyka się z chmurą górną. Ponieważ chmury te naładowane są jednoimienną elektrycznością, zatém wzajemnie się odpychają: tojest dolna chmura odpycha górną w wyższą sferę, a górna odpycha dolną ku ziemi, któréj niższe warstwy opadają tak nizko, iż za pośrednictwem kurzu, piasku lub wyniosłych drzew, wchodzą z ziemią w granicę wzajemnego na się wpływu elektryczności. Ztąd to pochodzi, że częstokroć nagle przebiegając elektryczność przez środek drzew, pali je na węgiel, wysusza, soki zamienia w parę,

która swoją sprężystością rozsadza na najdrobniejsze cząstki drzewa. Takiemu starciu się żywiołów towarzyszą płomienie wypalające, kule ogniste, dym siarczany, który po zjawisku daje się czuć czasem kilka dni, a rozmaite przedmioty, szczególnie płócienne, pokrywają się rdzą.

Trąba czyto na wodzie, czy na lądzie, nic innego nie jest jak tylko łącznik, który utworzył się między chmurą a ziemią, i służy za przebieg silnemu strumieniowi elektryczności, podsycanéj wyładowywaniami wyższych warstw dolnéj chmury burzowéj. Różnica między zwyczajną burzą, a burzą z trąbą powietrzną, zależy od obecności tego przewodnika. Gdyby nie było téj trąby, a raczéj przewodnika, burza rozładowałaby się drogą błyskawic i piorunów. Trąba zatém powstaje w skutek zbliżenia się chmury do ziemi, oraz różnoimiennéj ich elektryczności. Zbliżenie się zaś chmury do ziemi, pochodzi od jednoimiennego naelektryzowania się chmur górnéj i dolnéj, które przez to się odpychają. Na morzu chmura zamiast podnoszenia piasku, kamieni, podnosłoby wodę w kształcie słupa, który tu także stanowić będzie łącznik. Dlategoto marynarze zwykli mówić, że chmura pije wodę.

Taką teoryą tworzenia się trąb powietrznych, teoryą wsparta doświadczeniami w gabinetach fizycznych i przyjętą przez cały świat uczony, podał znakomity naturalista *Peltier*.

Wpływ położenia geograficznego na burze.

Z najzawilszych, najtrudniejszych pytań podanych do rozwiązania w tegoczesnéj meteorologii, jest zagadnienie: czy położenie okolic wywiéra wpływ na wielość burz i ich jakość? Najznakomitsi meteorologowie, użalają się na brak dowodów, z którychby można wyprowadzić wniosek oparty na doświadczeniach, stwierdzonych nauką. W saméj rzeczy, epoka zebranych tu wiadomości o burzach gradowych jest zbyt mała: nie można więc położyć wniosku chociażby zbliżonego do prawdopodobieństwa; nadto składane raporta przez wójtów gmin, z których najwięcéj czerpaliśmy wypadków, donoszą przedewszystkiém o tych burzach, które zrządziły szkody, słowem o gradobiciach.

Lewis Weston Dylbwyn w tablicach swych meteorologicznych, robi uwagę, że okolice obejmujące wapienne górotwory, bywają częściéj nawiedzane silnemi burzami. *Blavier* w swéj statystyce mineralogicznéj i geologicznéj, czyni wzmiankę, że w departamen-

cie Mayenne, kiedy się chmury burzowe zbliżą nad pewne wioski, szczególnie wieś Niort, gdzie są skały dyorytu (zieleńca,) wnet rozpraszają się w różne strony. Dyoryt jest mocno spojny, zawiéra w sobie mnóstwo żelaza wpływającego na igłę magnesową.

Okolice pokryte górami i poprzerzynane dolinami, podobnież mają związek z ilością burz. *Scheuchzer* mówi, że w pewnych dolinach alpejskich, szczególnie rozciągających się w kierunku od zachodu ku wschodowi, jak naprzykład Walis, Glarus, grad w ciągu lat 20 wcale nie padał; a *Leopold Buch* dodaje, że wychodząc z owych dolin na płaszczyznę około Borgofranco, prawie każdego roku pada.

W Cressier położoném wyżéj jeziora Neufchatel, grad bardzo często pokrywa winnice; w Ligniers zaś, wiosce rozciągającéj się u stóp góry Chaumont, a położonéj wyżéj o 1,200 stóp od Cressier, pada tylko dészcz pomieszany niekiedy z drobnym gradem.

W Clermont około Auvergne, u stóp rozciągającéj się góry powszechnie bywają burze gradowe, a wioski tam znajdujące się, jakoto: Blanzat, Chateaugué, Sayat, prawie co rok ponoszą klęski od gradobicia. Przeciwnie, podług słów *Savign'a*, proboszcza wioski Vernet położonéj na górze, grad między Mont d'Or i Puy-de Dome bardzo rzadko bywa, tak że w ciągu 23 lat, raz szczególnie go widział. Okolica wiosek Blanzat, Chateaugué, Sayat, oddalona jest od parafii Vernet tylko na pół mili drogi, z tą różnicą, że piérwsza położona jest niżéj o 1,200 stóp.

Widzę potrzebném nadmienić, że wysokie góry także nie są wolne od burz gradowych. *Saussure* powiada, że w czasie swego pobytu przez dni 15 na górze Col de Géant, wyniesionéj nad poziom morza 10,000 stóp, widział jak padał grad, kiedy w okolicach robiąc obserwacye przez 140 dni dostrzegł, że raz tylko padał grad wielki, a 11 razy krupy.

Balmat będąc na górze Montblanc, lecz nie na samym wierzchołku, był świadkiem raz w nocy wielkiéj burzy gradowéj. *Paccard* na téj saméj górze u wierzchołka znajdował pod śniegiem duże gradówki.

Roku 1822, dnia 12 lipca na górze Monte Rose wyniosłéj 14,000 stóp nad poziom morza, *Zumstein* patrzał na burzę gradową z silnym wiatrem. *Welden* dodaje, że podobne burze na górach alpejskich szkodliwe są dla wegetacyi roślin, bo kiedy po dolinach padają deszcze, na górach bywają grady lub śniegi. *Peytier* na Pyreneach był także świadkiem burz gradowych.

Straty poniesione w Królestwie Polskiém od burz gradowych.

Przychodzę teraz do przedmiotu najwięcéj nas obchodzącego, ale zarazem i smutnego; przychodzę do wykazu strat poniesionych przez burze gradowe. Pożary, pomór bydła, owego dzielnego motora gospodarstwa wiejskiego, gradobicia: oto są jedne z największych klęsk, które kraj nasz częstokroć ponosi. Pomór bydła, miéjmy nadzieję, może przy usiłowaniach sztuki lekarskiéj, a raczéj przez umiejętne utrzymywanie i hodowanie, z czasem przestanie ubożyć rolnika (1). Pożaru, tego pożerczego żywiołu, przy ostrożności, przy urządzeniu stosownéj na ten cel administracyi, przy rychłém użyciu środków zapobiegających szerzeniu się ognia, można jeśli nie uniknąć całkiem, to przynajmniéj zmniejszyć opłakane jego skutki; nareszcie dzięki ekonomii politycznéj, dzięki władzom krajowym za urządzenie instytucyi, która w pomoc przychodzi poszkodowanym.

Burzy gradowéj nic nie zdoła wstrzymać: na nic ostrożności, niczém usiłowania pragnących ocalić mienie. Patrzcie, oto przed chwilą te łąki zielone, te kłosy bujne, błoga nadzieja rolnika, te harmonijne barwy kwiatów, wabiące oko przechodnia, w ciągu kilku minut zostały ze szczętem zniszczone, wbite w ziemię, z błotem zmieszane. Te sosny, te dęby odwieczne, szumiące, pyszne wyniosłością i siłą, odarte z liści, gałęzi i kory, a jednym powiewem porywającego wichru, uraganu, z korzeniem wyrwane, zgniecione. Widzieliście tu budowle ręką ludzką wzniesione, które miały wiele lat przetrwać, w mgnieniu oka wyrzucone ze swych posad, złamane, zgruchotane, rozniesione. A tam konie, bydło, trzody owiec pasące się po łąkach, dzikie zwierzęta po polach i lasach, dzikie ptastwo pokrywające jeziora, stawy, rzeki, padły pod ciosami gęstych kul gradu. Ryk burzy, głuchy szum ścierających się w powietrzu brył lodu, wycie wichru, trzask lasu, łoskot walących się budowli, to istny obraz zgrozy i zemsty, pobojowiska i zniszczenia; a uderzające pioruny, ciągły hurkot grzmotu, przerywane migotanie pałających błyskawic, jakby przywtórzały téj złowieszczéj katastrofie, téj, że tak powiém, piekielnéj, szatańskiéj walce żywiołów. Patrzcie jeszcze na ten widok:

(1) Dziwna rzecz jednak: ciągle wynajdują sposoby leczenia chorób bydła, a nie starają się tym chorobom zapobiegać drogą stosownego utrzymywania, hodowania i pojenia bydła.

oto macie następstwa po krwawéj, usilnéj pracy rolnika; oto macie zawiedzione nadzieje jego, oto macie nakoniec łzy, boleści, ciężkie westchnienia i jęk zrujnowanych rodzin.....Och! niech kto inny kończy ten obraz, obraz surowości, obraz upadku; dreszcz pióro mi z rąk wytrąca.

Biorę do ręki *Memoires de l'Academie des sciences* z r. 1790: odrzucam kartę 273 i znajduję, gdzie *Tessier* powiada, że w południowéj Francyi roku 1788, dnia 13 lipca, jedna burza gradowa, wedle urzędowych wykazów, spustoszyła 1,039 parafij, przez co poniesiono strat na 24,629,000 franków.

Straty ponoszono w Królestwie Polskiém podczas burz gradowych z silnemi uraganami, mieszczą w sobie: zboża zniszczone na pniu, obalone zabudowania, lasy wytrzebione, konie, bydło, owce tak na polach jak i walącemi się budowlami pozabijane lub pokaleczone, drób' od gradu pobity i t. p. (1).

Pominę tu wszelkie szkody poczynione w gminach do wysokości 5, 10, 15, 20 tysięcy rubli srébrnych, a wspomnę niektóre tylko z tych, co poniosły straty na większe summy, jak naprzykład: w powiecie lubelskim gmina Kozłówek roku 1848, dnia 20 czerwca na rsr. 24,379; w powiecie wieluńskim gmina Panki roku 1849, dnia 17 czerwca na rsr. 33,405; gmina Kłobuck na rsr. 45,000 (tu spadały bryły większe od gęsich jaj); w powiecie łukowskim gminie Prawda, na rsr. 33,904; w powiecie bialskim gminie Biernaty Szlacheckie, na rsr. 25,928; w gminie Kobylany, na rsr. 42,574; w gminie Łosice, na rsr. 52,178; w gminie Konstantynów, na rsr. 75,574; w powiecie siedleckim w gminie Zbuczyn, na rsr. 75,000.

A cóż dopiéro za straty są tych gmin, i to bardzo wielu gmin, które z kolei rok po roku przez lat dwa lub trzy, były nawiedzane od burz gradowych? Cóż powiécie o takich klęskach gradobicia, które w jednym roku, co mówię, w jednym miesiącu się powtarzały, jak to miało miejsce w powiecie włocławskim gminie Koneck roku 1850, dnia 28 maja i dnia 3 czerwca; w powiecie olkuskim, gminie olkusko-siewierskiéj roku 1848, dnia 12 i 20 czerwca; gminie Leśniów roku 1851, dnia 19 i 26 lipca, w mieście Pilicy roku 1848, dnia 20 i 24 czerwca.

Roku 1848, dnia 19 i 20 czerwca, burza gradowa w jednéj gubernii radomskiéj, w któréj, jak opiewa raport Rządu Guber-

(1) W powiecie stanisławowskim około Latowicz, roku 1849 po burzy gradowéj znajdowano mnóstwo zwierzyny po polach, lasach i stawach.

nialnego, poprzednich lat chybiły urodzaje, zniszczyła sto gmin i miast, które poniosły strat na rsr. 384,765.

Roku 1849, d. 17 czerwca, wedle wykazów rządów gubernialnych, przez gradobicia i silne burze poniosły szkody powiaty:

Wieluński. . . .	rsr. 252,550	Opoczyński . . .	rsr. 109,120
Sieradzki	— 745	Opatowski. . . .	— 3,000
Piotrkowski . . .	— 247,916	Łukowski . . .	— 500,000
Rawski	— 71,017	Siedlecki . . .	
Warszawski . . .	— 22,752	Radzyński . . .	
Stanisławowski .	— 53,049	Bialski.	
Radomski	— 84,524		

Roku 1851, d. 12 maja, w gubernii radomskiéj w 158 miastach i wsiach, burza gradowa przyprowadziła do upadku 4,488 rodzin przez poniesienie strat na rsr. 101,742, a mianowicie: w zasiewach 95,208, w budowlach 6,534; w samym powiecie kieleckim wynoszą szkody na rsr. 9,690. W gubernii lubelskiéj ta sama burza w 37 gminach pozbawiła sposobu do życia 1,500 rodzin, a szkody zrządzone wynoszą 149,908 rsr.

Słowem, w epoce od roku 1843 do 1851, w epoce, którą objęliśmy niniejszą rozprawą, burze gradonośne zrządziły szkód na rsr. 2,933,438; dodawszy do téj summy poniesione straty także od gradobicia roku 1840, dnia 24 sierpnia, w powiatach hrubieszowskim i zamojskim na rsr. 90,050 (1): a zatém przez lat 10 w przecięciu, przypada na 1 rok strat rsr. 302,348 kop. 80; oprócz szkód wynikłych z gradobicia roku 1851 w gubernіach warszawskiéj, płockiéj i augustowskiéj, w których, jak widać ze sprawozdań, były straty, lecz nie są pokazane w liczbach (2).

Dodajcie do téj summy: stracone korzyści, procent od wyłożonych kapitałów na kupno zboża, na zasiéw, na odrestaurowanie budowli lub postawienie nowych; dodajcie jeszcze podwyższone ceny produktów niezbędnie potrzebnych do życia we wszystkich warstwach społeczeństwa; nakoniec nędzę, łzy i jęk zrujnowanych rodzin, a zobaczycie, jak wielka, jak przerażająca wzrośnie cyfra, która w każdém szlachetném sercu wzbudzi przykre i bolesne uczucie!

(1) W roku 1840, 1841, 1842 jak zawsze były gradobicia.

(2) Liczba ta z lat 10 bez porównania byłaby większa, gdybym się trzymał wykazów szczegółowych.

Wykaz szczegółowy, obejmujący straty poniesione od gradobić od r. 1843 do 1851.

W gubernjach	W latach									W ogóle
	1843	1844	1845	1846	1847	1848	1849	1850	1851	
	Ruble srébrem									
warszawskiéj....		48,645	51,283	3,282	21,735	239,048	648,031	57,250		1,069,274
radomskiéj.....		121,050	62,837	3,239	11,982	384,765	196,644	45,850	101,742	928,559
lubelskiéj.....		43,386	75,025	1,635		56,510	500,000	2,600	149,908	829,064
płockiéj.....			21,500	5,000	1,870	22,439	18,700	200		69,709
augustowskiéj....			7,912	11,586		4,828	12,306	200		36,832
Razem.....	69,104	213,081	218,557	24,542	35,587	707,590	1,375,681	106,100	251,650	2,933,438

Uwaga. Poszczególnionych strat z r. 1843 nie ma. W roku 1851, jak widać ze sprawozdań rządów gubernialnych, gradobicia miały miejsce w gubernii warszawskiéj, płockiéj i augustowskiéj, ale straty nie są pokazane w liczbach.

Teorya tworzenia się gradu.

Zródła rodzą strumienie, a te rzeki. Niech sternik w górę płynie jak tylko można, jeszcze nie znajdzie początku,

Linneusz. Empir de la Nature.

Powiedziałem już, że grad jest jedną z największych plag dla rolnictwa; nie koniec na tém: jest jeszcze jedném z najtrudniejszych do rozwiązania zadań, w tegoczesnéj atmosferologii. Każdemu, nawet nie z powołania meteorologowi, przychodzi na myśl pytanie; zkąd powstaje w dniach skwarnych w chmurach tak wielkie zimno, zamieniające wodę w lód?

W odpowiedzi na podobne pytanie, pragnę ile możności ograniczyć się na wyjaśnieniu krótkiém, wszakże jasném i zrozumiałém, tak, by objąć ogół przedmiotu, i dojść do zamierzonego celu. Że grad powszechnie pada w miesiącach gorących, utworzono ztąd liczne a dziwne wnioski, które nie będziemy powtarzać. Jedną teorya *Volty*, jedynie *Volty*, tłumaczy wszelkie zjawiska towarzyszące tworzeniu się gradu.

Jakim sposobem w upały, w warstwach atmosfery położonych daleko niżéj od granic wiecznych śniegów tworzą się bryły lodu? jaką drogą w owych warstwach następuje zimno? Teorya czyniąca zadość wszystkim podobnym zjawiskom, polega na warunkach następujących:

1) potrzeba, ażeby działanie promieni słonecznych na powierzchnię górną chmury, ułatwiło parowanie;

2) potrzeba, ażeby było suche powietrze ponad chmurą, jak to *Saussure* i *de Luc* kilkakrotnie doświadczeniami stwierdzili;

3) potrzeba, ażeby odbywało się parowanie pęcherzyków wodnych, przechodzących w stan sprężysty, usiłując oddalić się jedne od drugich;

4) potrzeba, ażeby stan elektryczny chmury, przyspieszył parowanie.

Przy takich warunkach, utworzą się śnieżki, które są zarodkiem gradówek. Bytność warstwy powietrza suchego jest konieczna dla utworzenia się śnieżek, gdyż bez takiego stanu, para wodna zgęszczałaby się w miarę jéj tworzenia się, i wyrzucałaby wielką ilość cieplika utajonego, a tém samém oziębienie nie zwiększałoby się.

Dla utworzenia się i powiększenia gradu, potrzebna jest także koniecznie jednoczesna bytność dwóch chmur jedna nad drugą, z których górna powstaje w skutek zgęszczaniu się pary, wznoszącéj się z chmury dolnéj. Obie te chmury silnie są naelektryzowane, tojest: dolna *ujemnie*, górna *dodatnio*.

Teraz aby łatwiej pojąć jak ze śnieżki tworzy się grad, *Volta* kładzie za przykład znane w fizyce zjawisko tańcujących *djabełków Kartezyusza*. Jeżeli do konduktora elektromachiny przytwierdzimy poziomo jeden krążek metalowy, a drugi bezpośrednio złączymy z ziemią, tak, iżby zewnętrzne powierzchnie obu tych krążków w pewném oddaleniu były od siebie; następnie jeśli położymy na dolnym krążku gałki ze rdzenia bzowego, natenczas po nadaniu obrotu elektromachinie, gałki zaczną do góry skakać.

Ruch ten oscyllacyjny gałek niétrudno wytłumaczyć. Krążek górny połączony z konduktorem jako dobrym przewodnikiem, staje się częścią konduktora, przez co rozkład elektryczności idzie w nim ciągle ujemny. Gałki bzowe na dolnym krążku mając związek z ziemią, a zatém rozkład elektryczności idzie w nich ciągle dodatni. Ponieważ krążek górny jest naelektryzowany ujemnie, pociąga więc gałki będące w sferze elektrycznego działania do siebie, które są naelektryzowane dodatnio. Górny krążek ściągnąwszy dodatnią elektryczność z gałek, odpycha je do krążka dolnego, gdzie powtórnie elektryzują się dodatnio i powtórnie są pociągane elektrycznością ujemną górnego krążka. Doświadczenie to nosi także imię gradu elektrycznego.

Właśnie podobne działanie odbywa się ze śnieżkami w chmurach. Utworzone śnieżki na górnéj powierzchni chmury dolnéj, są naelektryzowane ujemnie tak jak i chmura, dlatego odpychane są do góry. Górna chmura jako naelektryzowana dodatnio przyciąga je i elektryzuje swoją elektrycznością, a zatém i śnieżki stają się naelektryzowane dodatnio, przez co napowrót są odepchnięte do dolnéj chmury, w któréj już cokolwiek głębiéj się zanurzają, zkąd znowu odpychane są do góry. Z powodu różnoimiennéj elektryczności dwóch chmur, śnieżki są w ciągłéj oscyllacyi, co może trwać kilka godzin. Że śnieżki mają dość nizką temperaturę, otaczająca je woda przez dotykanie się oziębia, i na powierzchni ich omarza, przez co tworzą się bryłki lodu, które w objętości swéj powiększają się i pokrywają współśrodkowemi warstwami. Takim tedy sposobem tworzą się gradówki.

Nakoniec, kiedy grad przez kilkakrotne przeskakiwanie z dolnéj do górnéj chmury i z górnéj do dolnéj, znacznie się powiększy, tak, że elektryczność nie będzie w stanie go utrzymać: spadnie na ziemię w bryłkach lodu rozmaitego kształtu, wielkości i objętości. Oczywiście, że im silniejsze będzie napięcie elektryczności różnoimiennéj dwóch chmur, tém liczniejsze będą przeskakiwania gradówek, przez co obmarzając w każdém przejściu wodnemi cząstkami, staną się większe. W miarę powtarzających się przeskakiwań, napięcie elektryczności w chmurach przez wzajemne łączenie się stopniowo słabnie, aż nakoniec siłę przyciągającą i odpychającą, siła ciężkości gradówek przewyższy. Przeskakiwanie to potwierdza się jeszcze i tém, że zawsze przy spadnięciu gradu, bywa słyszany w chmurach szum podobny do stukotu mnóstwa suchych ziarn grochu uderzających się o siebie. Szum ten dowodzi jasno, że gradówki w chmurach w przechodzie swym spotykając się z sobą, ścierają się jedna o drugą.

Wprawdzie niektórzy fizycy czynią zarzuty teoryi *Volty*, jednak nie podają lepszéj i pewniejszéj, a teoryą professora z Como stawią w rzędzie najcelniejszych pomysłów, albowiem ma ona tę zaletę, że zadość czyni wszelkim zjawiskom towarzyszącym tworzeniu się gradu. Takto wielcy prawodawcy w naukach przyrodzonych, chociaż niekiedy przez brak na jaw wyprowadzonych wielu ukrytych zjawisk, mogą i uchybić w formie wyjaśnienia, w zasadzie nigdy, albo prawie nigdy. *Volty* teorya, przeszło lat 70 stoi na piedestale, jako świecznik naukowy, a żaden z badaczy przyrody, przy mnóstwie nowych odkryć na polu badań i doświadczeń nie przyszedł do téj potęgi, by ją strącić do rzędu pamiątek historycznych. Dotąd zgadzają się wszyscy, że źródłem tworzenia się gradu jest elektryczność, któréj niezwyczajne napięcie przy spadaniu gradu, nawet bez burzy daje się dostrzegać w powietrzu.

Z téj więc zasady wychodząc, powiemy w dalszym ciągu, jakby należało zapobiedz, iżby elektryczność tę, jako główną przyczynę gradobić, pozbawić siły, która staje się powodem tylu strat na tym padole płaczu i śmiechu, nędzy i rozkoszy, ciemności i światła.

KRONIKA LITERACKA.

Odpowiedź na Ocenę Mowni, napisaną przez p. Kudasiewicza, *w Biblijotece Warszaw. na miesiąc marzec b. r. umieszczoną.*

(Dokończenie).

B. O POMYSŁACH.

Stopniowanie jimion.

Kopczyński widząc, że prawie wszelkie rzeczowniki zmieniać mogą swe jądro z dodaną końcówką dla wydania różnego przymiotu w téj saméj rzeczy, nazwał je wyrazami *zdrobniałemi*, których końcówką jest *ek, ik. eczek, iczek; zgrubiałemi* z końcówką *ysko, isko*, od najwybitniejszego przymiotu małości i zgrubiałości. U Kopczyńskiego więc najwidoczniejsze jest stopniowanie rzeczowników, ale nazwą swą wskazujące tylko przymiot małości i zgrubiałości. Okazał się on w téj mierze człowiekiem myślącym i głęboko czującym swój język, chociaż w swym czasie, jako pierwszy nie mógł podołać wszystkiemu. Cześć mu i uwielbienie za to, co zrobił. Bo dał popęd do myślenia swym następcom. Gdy jednak w podobny sposób zmieniane rzeczowniki wiele przymiotów sobą jednocześnie obejmują, np. *konik* znaczy konia pięknego, zgrabnego, ślicznego, rączego, młodego, małego, wielkiego nawet, byle jego wielkość nas zachwycała i t. d. bez liku; nic zatym dziwnego, że podobną własność języka nazwałem *stopniowaniem*, to jest, że tak się zmieniają, iż swoją przemianą swoje rozliczne przymioty najdobitniéj, najwyraźniéj malują. Co za bogactwo! co za czucie głębokie piérwszych twórców języka, którzy jednym wyrazem przemienionym tyle pojęć od razu malować nas nauczyli. I czyliż to cieniowanie nie najlepiéj nazwać stopniowaniem? Sam Kopczyński innéjby dziś nazwy nie nadał. Chociaż w swym czasie nazwał takie wyrazy zdrobniałemi i zgrubiałemi; nie podciągnął jich jednak pod żadne prawidło i wtenczas sama nazwa z wymienieniem kilku przykładów wystarczała.

Lecz, co w jego czasach było dobre, to dla następców niedosyć; dla tego wziąłem tę rzecz pod ściślejszą rozwagę, i wyrobiłem, jak jéj dotąd,

muszę wyraźnie powiedzieć, nikt lepiéj ani obrobił, ani stosowniéj nie nazwał. Stopniowanie rzeczowników—to wielkie bogactwo języka,—to wielka bezdeń językowa! Na téj wielkiéj rzece trzeba umieć rozpoznać, co płynie głównym korytem, a co jéj odnogami, łachami; co się zatrzymuje po przystaniach i rozmajitych zakrętach. Tu, aby wypłynąć szczęśliwie, trzeba koniecznie dwoch sterników: dokładnéj znajomości języka, nabytéj ciężką pracą i trudem, tudzież uczucia z mlékiem z piersi wyssanego i nauką ustalonego. Nauka sama jest tu martwa, bo nie ma w sobie żadnéj wiary, żadnego natchnienia, któreby ciągle w ucho szeptało: nauko! szukaj, badaj, a znajdziesz skarby! Samo znowu uczucie marzy, przeczuwa coś, jakby jakiś sen, ale nieoświecone nauką, wyda tylko same marzenia, same błędne światełka, które za najmniejszym podmuchem wiatru nikną i przepadają. Wsparty i umocniony temi dwoma przewodnikami puściłem się na tę rzekę, gdzie poznałem, że pięć stopni, które naznaczyłem, płyną samym nurtem języka, w całéj jego rozciągłości; inne zmiany mają swoje ostoje w przystaniach i łachach. Co więc żyje w całym języku, to stanowi główne prawidło; co znowu objawia się w niektórych okolicznościach, to jest wyjątkiem.

P. K. tego wszystkiego nie rozważył i nie mógł, mówię najwyraźniéj, rozważyć; dla tego pochwycił szczegółki i niemi wojuje. I tak powiada, że *Bóg* nie da się stopniować. Skoro sam wié, na cóż za przykład przytacza? Daléj mówi, że wyraz *bożek* już ma inne znaczenie; i o tym wiemy, lecz jeszcze nie wygrał, bo między *Bóg* i *bożek* z bardzo daleka zaczerpuje się podobieństwo. Jistoty Najwyższéj w naszym rozumieniu stopniować nie można, bo jakżeż to stopniować mamy, czego sami najpotężniejszym myślem śmiertelnika uchwycić nie możemy. Bóg jest więc święty u nas i nietykalny; mimo to jednak wyraz *bożek* zewnętrznie powstał z piérwotnego wyrazu *Bóg*. Ten, który piérwszy rzekł: *bożek*, tak niezawodnie rozumował: „Czym mój Bóg jest dla mnie, tym samym jest Bóg pogański, ten ociosany głaz, lub drewno dla poganina. Ja mam prawdę za sobą, bo Bóg mój jest prawdziwy i rzeczywisty; poganin wyraźnie trzyma się fałszu, ale ma najmocniejszą wiarę w swego boga i w głazie go widzi. Ja wnikam w myśl jego, ja znam jego wiarę w bóstwo fałszywe, któremu cześć oddaje; przecież jego boga, który jest ciałem martwym, ze swojim Bogiem porównać mi się nie godzi; z tego powodu bóstwo jego nazywam *bożkiem* na znak, że on w niego tak wierzy, jak ja w swojego Boga prawdziwego, ale oraz niech wié, że jego bóg jest *bożkiem*, to jest: *małym bogiem*." I niezawodnie wyraz *bożek* powstał wtenczas w języku naszym, gdy się chrześcijaństwo u nas rozszerzyło i oświeciło swoją nauką. To tylko chrześcijanin mógł wyrzec *bożek* i pozwolić sobie zbliżyć do wyrazu Bóg.

Końcówki *ek*, *ka*, *ko* nie zawsze malują przymioty dobre, bo niekiedy także pogardliwe, mówi p. K. i daje przykłady: *Pietrek*, *Szymek*, *Bartek*, *Maciek*, *Marynka*, *Franka*. Pan K. nie rozumié rzeczy, powiadam bez żadnéj ogródki. Najprzód trzeba te wyrazy podług tych sądzić, którzy jich pomiędzy sobą używają. Tak zmienionemi imionami nazywają starsi włościanie parobków, czyli po naszemu się wyrażając, wszystkich bez wyjątku ludzi młodych, kawalerów; następnie ludzie żonaci używają

pomiędzy sobą tych nazw w przyjacielskim tonie. Czyżby ci ludzie używali tych wyrazów, gdyby to miało być pogardą? czyżby swojich synów i córki najukochańsze takim pośmiewiskiem okrywali? To być nigdy nie może i nie jest, a na dowód radzę p. K. przeczytać: *Obrazki Wiejskie* Jana Kantego Gregorowicza, gdzie się niezawodnie nauczy, że *Wojtek, Bartek, Szymek* w karczmie, lub na okrężnym wyrzeczone, mają więcéj powabu, przyjemności, téj serdecznéj szczerości, niż *panie Adolfie* w salonie przez zęby na zimno przecedzone. I dla tego lud prosty stoji tu na zupełnie dobréj drodze, bo w duchu swojego języka urabia te wyrazy, które żadnéj zgrubiałości w jego sercu i ustach nie oznaczają. Że zaś lepiéj wychowanym co innego do głowy przyszło; temu ani lud, ani język nie winien. Powtóre, piérwotnikami tu są: *Szymon, Maciéj, Bartłomiéj;* gdy do nich dodasz końcówkę stopnia, otrzymasz: *Szymonek, Maciejek, Bartłomiejek* i t. p., to jest: stopniowanie. Toż samo ma się rozumiéć o wyrazach: *dziadek, babka, ciotka* i t. d. Daléj p. K. mówi: „mamy końcówki *uś, usia, dzio, cio, cia, cię, unio, unia, ulo, ula, ulko, ulka, uleńka* i mówimy: *Piotruś, Maciuś, Bartuś.* Lud prosty ślicznie zdrabnia *chléb* na *chlebuś.* Mamy daléj: *Stefcio, stryjcio, dziadzio, babcia, ciocia, dziadunio, matusia, matula, matunia, matuleńka, Marynia, Frania, Franulka, Franuleńka, Franusia.* Tego wszystkiego w stopniowaniu p. Ż. nie zobaczysz, a przecież to jest w języku." O święta prostoto niewiadomości! stanąłaś w jednéj przystani języka, wprawdzie bezdennéj, a, kręcąc się w miejscu, sądzisz, że obejmujesz rzekę całego stopniowania! Podaj rękę, a wydobędę cię z téj dla ciebie zaczarowanéj teni i pokażę ci samę rzekę!

Głębokie i delikatne uczucie, jakie ludy słowiańskie w malowaniu przymiotów w sobie rozwinęły, objawia się najwidoczniéj na jimionach chrzestnych i pokrewieństwo oznaczających. Miłość, uszanowanie, powaga, grzeczność, delikatność parły to uczucie, które, nie mogąc poprzestać na nazwie piérwotnéj, tworzyło coraz nowe i jeszcze daléj bez końca tworzyć będzie, a nawet takie, o jakich nam się dziś ani śni jeszcze. Okażmy to przykładami. Wyraz *mać*, najpiérwsza nazwa, wydał z siebie stopnie *matka, mateczka.* Sam piérwotnik się zużył i przyjął nawet inne znaczenie; stopień więc drugi *matka* go zastąpił i do dnia dzisiejszego pełni ten obowiązek. Lecz to dla słowiańskiego uczucia nie dosyć; urabia więc sobie nowy wyraz *matula*, a z niego stopnie: *matulka, matuleczka.* Lecz to nie dosyć; wydobywa więc z swéj piersi przepełnionéj: *matunia*, a z niego stopnie: *matuńka, matunieczka.* Lecz to nie dosyć; zdobywa się na wyraz *matusia*, a z niego stopnie: *matuśka, matusieczka.* Czy już koniec? O nie jeszcze! Uczucie nasze udaje się do stopniowania bezwzględnego przymiotników, pożycza od nich sobie końcówek i wywodzi na świat nowe wyrazy: *matuleńia*, z którego stopnie: *matuleńka, matuleńieczka.* Lecz to nie dosyć; spostrzegamy znowu *matachna*, z którego stopnie: *matusieńka, matusieńieczka.* Może tu koniec? O! mylicie się! To toń niezgłębiona, w któréj uczucie nasze bujając, chwyta obcy wyraz *mama*, z którego tworzy stopnie z innym znaczeniem: *mamka, mameczka.* Lecz to nie dosyć, bo mamy *mamunia*, skąd stopnie: *mamuńka, mamunieczka.* Lecz to nie dosyć; jidzie więc *ma-*

mula, skąd stopnie: *mamulka*, *mamuleńka*. Lecz to nie dosyć, bo jest *mamusia*, skąd stopnie *mamuśka*, *mamusieczka*. Lecz to nie dosyć, bo przybrany wyraz w końcówki stopniowania bezwzględnego przymiotników w nowym stroju przedstawia się *mamulenia*, skąd stopnie *mamuleńka*, *mamuleneczka*. Lecz to nie dosyć, bo tuż za nim postępuje *mamuchna*, skąd stopnie: *mamusieńka*, *mamusieneczka*. Przypuśćmy na chwilę, żeśmy już wszystko aż do dna wyczerpali; wyczerpnięcie przecież to jest względne, bo następne pokolenia dla siebie wyrobią inne nazwy na wyraz *matka*, bo i sam już spostrzegam: *mamcia*, *mamucia* i t. p. Otóż widzimy, że tu stanąć nie można; jednakże to wszystko nie sprzeciwia się mojemu stopniowaniu, ale z nim harmonijną zgodę stanowi. Albowiem wszystkie wyrazy: *mać* (z innym dziś znaczeniem), *matula*, *matunia*, *matusia*, *matulenia*, *matuchna*, *mama*, *mamula*, *mamunia*, *mamusia*, *mamulenia*, *mamuchna*, należy uważać za jimiona zastępujące wyraz piérwotny *mać;* składają tym samym zbiór wyrazów do etymologiji należących, których się z użycia, lub słownika uczyć musiemy i są niejako piérwotnikami, o których mownie to tylko powiedzieć może, że dla niéj są wyrazami piérwotnemi, czyli stopniem piérwszym zasadniczym. Tak urobiona zasada przez naród wchodzi w obręb mowni, która z niéj, jako z zasady wywija następne cztéry stopnie, czyli wskazuje prawidła na stopniowanie rzeczowników, jak tu dla krótkości na drugim i trzecim stopniu musieliśmy się ograniczyć, chociaż należało wszędzie dodać stopień czwarty i piąty, to jest: *matczyna*, *matczysko*, *matulina*, *matulisko* i t. p. Wyrazy przeto: *mać*, *matula*, *matusia* i t. d. wyrobiły się w kole rodzinnym z powodu uczucia, o jakim już wspomnieliśmy, i są wyrazami względem siebie jednoznacznemi; a wyrazy: *matka*, *matulka*, *matusieczka* i t. d. będąc stopniami z piérwszych urobionemi przelewają się z przystani szczególnéj w główne koryto języka, płyną razem ze wszystkiemi innemi wyrazami, i wyprowadzają p. K. z toni zaczarowanéj. Pan K. żąda obszernego wyłuszczenia téj rzeczy; jestem posłuszny i tłumaczę się daléj. Że wyrazy: *matka*, *matula*, *matusia*, *matunia*, *mamunia* i t. d. oznaczają tylko *matkę* i są jednoznaczne; potwierdzają też samę prawdę inne w języku wyrazy różne, które tylko jednę i téż samę rzecz znaczą, jako to: *klacz* i *kobyła; baran* i *tryk; byk*, *buhaj*, *bujak*, *mędak* i *stadnik*.

Ponieważ powiedziałem, że jimiona ludzkie chrzestne i pokrewieństwo malujące, takie z czasem powstaną, których dziś nie znamy; usprawiedliwiam się teraz ze zdania wyrzeczonego wyżéj bez żadnego dowodu. Znakomity nasz pisarz Gregorowicz tak się wyraził: „Czy ty uważasz Poldziu, jak Walerka bez żadnego gustu zawsze się ubiéra? (Obrazki Wiejskie T. IV, str. 317). Co wyraz *Poldzia* ma właściwie oznaczać? nie wiem; domyślam się tylko, że może być: *Apollonija*, *Leopolda*, *Paulina*,—lub może się nawet mylę. Mimo to, nie potępiam go, bo jest dobry, na analogiji z innemi wyrazami, w téj saméj przystani znajdującemi się urobiony. Czy autor sam go sobie utworzył, czy go gdzie zasłyszał w kole rodzinnym? to wszystko jedno; dosyć, że jest wyraz *Poldzia*, który uczucie mówiącego wydało. Uczucie to, mianowicie matkami, do tego stopnia miota, iż ony jimiona swojich najukochańszych pieszczotek

tak zmieniają, że tylko od nich samych dowiedzieć się możesz, jakie jest właściwie jimię; ale to jimię, aczkolwiek do niepoznania przetworzone, jest zawsze tylko stopniem piérwszym, służącym za zasadę do jego stopniowania. Pan K. ponieważ sobie z *kunktatorstwa* (jego wyraz) czyni igraszki, nie zgłębił, nie odróżnił wyrazów przez samo uczucie wyrobionych od wyrazów, które są stopniami; dla tego powstało wielkie zamięszanie w jego głowie, dla tego nie zgodził się na stopniowanie rzeczowników, bo go sam znaléźć nie mógł, a Muczkowski Józef tu mu nie przewodniczył; dla tego więc koniecznie wyrzec musiał: „Tego wszystkiego w stopniowaniu p. Ż. nie zobaczysz, a przecież to jest w języku." Daléj w skutku swojego usposobienia, musiał, ale to koniecznie musiał stopniowania zaprzeczyć i bardzo ubogiego w rodzinę *Jana* wystawić: „Przedstawiamy rzędem zmianę końcówek wyrazu: *Jan, Janek, Janeczek, Janio, Janisko, Jasiek, Jaś, Jasiunio, Jasiczek, Jasineczek, Jasisko, Jasiątko.* W tym wykazie ani tych wszystkich końcówek widać, które p. Ż. podaje, ani tak mało jak u niego. Czegożeśmy przez to chcieli dowieść? Oto, że zjawisko zmiany etymologicznéj wewnątrz wyrazu pozostającego przy swojim znaczeniu, żadnym nie jest stopniowaniem." P. K. skończył, ja teraz mówię. W wykazie wyrazu *mać, matka* i t. d. wszystkich wyrazów daleko więcéj widać, niż p. K. podaje w swojim przykładzie: *Jan* i t. d. Czegożeśmy przez to dowiedli? Oto, że p. K. zmiany etymologicznéj wyrazów nie umié odróżnić od wyrazów stopniujących się, że jich wszystkich wynaléźć nie zdołał; a tym samym nie może przypuścić, aby stopniowanie jimion rzeczownych jistniało: a przecież jest, bo z rody języka je otrzymaliśmy, a tak widoczne i wyraźne, jak jasne jest słońce na niebie.

W dalszym ciągu zbijając, że końcówki *yna, ina* nie malują nędzy i słabości jistoty, przytacza przykłady; *okruszyna, dębina, baranina* i t. p. Mimochodem wspominam jego obawę, iż *matczyna, mamina* mogą być przymiotnikiem i rzeczownikiem, boć takich zdarzeń dosyć naliczyć się daje w języku, np. *rada* (rzeczownik i przymiotnik); *stróż* (rzecz. i słowo); *broń*, (rzecz i słow.) i t. p; zwracam uwagę na: *okruszyna, dębina, baranina.* Kto tak piérwszy wyrzekł, głęboko myślał, bo nędzę w nich widział; albowiem czymże są cząstki chleba, lub innych rzeczy, jeżeli nie nędzą, nie mogącą dać pożywienia? cząstki więc te, okruchy te nazwał *okruszyną.* Drzewo wielkie, całe, w kłocu, w sztuce nazwał *dębem, sosną, brzozą, klonem*; lecz to samo drzewo popłatane w części, w kawały, pozbawione, że tak powiém, swojéj rody, swego życia, a zatym przywiedzione do nędzy, nazywa się *dębiną, sośniną, brzeziną, kloniną* i t. p. Podobnie młode drzewa otrzymały tę nazwę, ponieważ, nie przyszedłszy do swéj dojrzałości zupełnéj, muszą w sobie słabość zawiérać. Ostatecznie najpiękniejsze mięso: *baranina, wieprzowina* i t. d. czymże jest, jeżeli nie błotem, nie trupem? Słowem, baran, któremu życie odebrano, zamienia się w nędznego barana, czyli *baraninę*; a zatym pobudzającego do litości. Ta niezawodnie okoliczność pobudzała naszych piérwszych twórców języka, iż nędznego barana i mięso baranie nazwali *baraniną*; a myśl cała wyraźnie pokazuje, o czym jest mowa.

Niech p. K. myślą przebiegnie wyrazy z końcówką *yna, ina*; niech raczy wniknąć w jich rodę cokolwiek głębiéj: a niezawodnie się przekona, że powodem, choć odległym, zawsze była słabość, nędza, które za sobą politowanie pociągały, a które oddawano w końcówce *yna, ina*. Jeżeli wyrazy przez analogiją tworzone z końcówką *yna, ina* pobudzają do litości; wyrazy stopniujące się tęż samę własność na téj saméj zasadzie objawiają. Kto jednak na końcówkę tylko patrzy i z niéj rozpoznaje wyrazy, temu oczywiście najfałszywsze wnioski wypadną. Gdyby komuś przyszło na myśl tak zawnioskować: ponieważ stopnie drugie i trzecie przymiotników stopniowania względnego zawsze się na *szy* kończą; stąd wynika, iż wszelki wyraz z końcówką *szy* jest stopniem drugim, lub trzecim, to jest: ponieważ wyrazy; *słabszy, twardszy, najlepszy* są stopniami wyższemi, więc i wyrazy: *pieszy, dyszy, słyszy, uszy, myszy, ruszy, otarłszy, uciąwszy* są także stopniami. Czy język tu winien, że ma różne wyrazy z podobnemi końcówkami? czy ten, kto taki wniosek wyprowadził? Osądźcie sami. Ależ powiécie zapewnie: to niepodobieństwo, aby ktoś tak utrzymywał! to są czyste żarty! Na nieszczęście, muszę odeprzéć, że to nie żarty, że to prawda! bo takich rozumowań, niestety! mnóstwo spostrzegać się daje.

Nakoniec mówi p. K. „Końcówka *sko* nie znamionuje zawsze zwiększenia przedmiotu, ale sama czasami politowanie wyraża, np. *biédne matczysko*! W wyrazach *panisko, panosko* końcówka ta jest obojętnego znaczenia." To prawda, że: *biédne matczysko*, politowanie oznacza, ale skąd ta końcówka, nie zaś *yna*? Ta zagadka tak się rozwięzuje. Końcówkę *yna, ina* język przeznaczył do oznaczenia słabości wewnętrznéj, w samym już przedmiocie leżącéj, a zatym od niego nieodłącznéj. Końcówkę zaś *ysko, isko* do wyrażenia zarysów niezgrabnych, silnie nasze uczucie uderzających. Człowiek, uderzony jakimś zewnętrznym wielkim nieszczęściem, zmienia natychmiast rysy twarzy zwyczajne i przybiéra okropne, które nas przerażają. Uczucie nasze przejmuje się tym przerażającym obrazem człowieka silnego budową i mocą, przecież złamanego zewnętrznym ciosem; a chcąc wyrazić, czego samo doznaje, musi powiedzieć: *nieszczęśliwe człowieczysko, biédne matczysko*, Człowiek ten był silny sobą, ale jego nieszczęście silniejsze, bo go zwaliło; dla tego więc wyraz *człowieczyna* na odmalowanie tego obrazu wcale byłby niestosowny.

Obojętności wyrazów w języku nie pojmuję, bo za nią jidzie obojętność pojęć, która wynika z niezrozumienia rzeczy. Zdaje mi się, że każdy uczuje różnicę odcieni w następujących przykładach: *Biedny Adolf upadnie pod ogromem nieszczęść*. i: *Biédne Adolfisko upadnie pod ogromem nieszczęść*. W piérwszym przykładzie *Adolf* oznacza człowieka silnego wolą i charakterem duszy, odpiérającego gromy, które w niego uderzają, ale on stoji, jak skała, nieporuszony. W drugim przykładzie ten sam *Adolf*, chociaż walczy jak lew, chociaż odpiéra od siebie z męzką wytrwałością wszelkie pociski, jednak już sam wątpi o wygranéj; dla tego musielismy powiedzieć: *biédne Adolfisko*, wynurzając swe politowanie z bliskiego upadku jego. Tak ja pojmuję stopniowanie rzeczowników!

O liczbie podwójnéj.

Istotnie dla tego liczbę podwójną wprowadziłem, że istnieje w ustach ludu, ale i dla tego, że może wszyscy używać jéj będziemy. Pisarze nasi dzisiejsi, skreśliwszy obrazy i charaktery najwyższéj warstwy towarzystwa naszego, zaczynają się spuszczać do coraz niższéj, a nawet, chociaż w ogóle jeszcze nie wyraźnie, jeszcze nieśmiało, i do najniższéj w oświeceniu zaglądają warstwy, to jest: do ludowéj. Można powiedzieć, że w téj mierze wyprzedził wszystkich p. Gregorowicz w dziele: *Obrazki wiejskie*. Doskonale on uchwycił mowę ludu prostego, prześlicznie i najwierniéj ją oddał z temi samemi zboczeniami i uchybieniami, jakie lud usty swemi wyraża. Tu spostrzegamy bardzo często formę podwójną, użytą w znaczeniu liczby mnogiéj. Lecz kto temu winien? Zapewnie że nie lud, ale ci, którzy mu w téj mierze przewodniczyć przestali; dla tego do nas należy się poprawić i uchybienia sprostować, aby potomność nad nami się nie litowała! Zważmy jeszcze i tę okoliczność. Jeżeli dziś, przy szybszéj zamianie myśli, wiele sposobów i zwrotów mówienia, w jednéj prowincyji krążących, przechodzi w zakres języka piśmiennego, co jest bardzo słusznie, sprawiedliwie i mądrze; dla czegoż ma się wykluczać i nie mieć tego prawa liczba podwójna, żyjąca w ustach najliczniejszéj klassy całego narodu? Gdy tak wszystko za nią przemawia, utwierdziło się we mnie to mocne przekonanie, żem nie uchybił, gdym ją w mowni pomieścił, albowiem moment historyczny jéj przyjęcia napowrot do języka piśmiennego najwyraźniéj już nadszedł. Nie sprawi ona najmniejszego uszczerbku liczbie mnogiéj, która, powiadam, chociaż z innego powodu, także jeszcze jeden obowiązek na siebie przyjąć musi. Z resztą, komu się liczba podwójna nie podoba, niech ją opuszcza; to mu wolno, bo jest jednostką. Mowni inne przeznaczenie; jéj obowiązkiem jest wszystkie pojawy w języku wymieniać, obrabiać, objaśniać i w to głównie godzić, aby ogółowi dogodzić, a nie pojedynczéj jednostce, lub jakiéjś uprzywilejowanéj kaście. Pojedyncze jednostki—to samoluby obstające przy swojim widzi mi się; mównik, godnie odpowiadający swemu powołaniu—to sędzia polubowny mówiący z powagą: Ustąp' bracie, bo w téj rzeczy, o którą tak zacięty bój toczysz, twój brat ma słuszność. Godłem jego:

Ego fungar vice cotis, acutum
Reddere quae ferrum valet, exsors ipsa secandi.
Munus et officium, nil scribens ipse, docebo.
.....
Quid deceat, quid non, quo virtus, quo ferat error.
Haratius de Arte poëtica.

O pisaniu ym, im *za* ém *w przymiotnikach niyakich.*

Ponieważ p. K. przyznał, że pisarze Zygmuntowscy *ym, im* pisali; ponieważ sam wyrzekł: „To, że przed *m* nie pochyla się nigdzie samogłoska *e* w jimionach, jest niezbitą prawdą"; stąd wniosek oczywisty wy-

nika, iż nie mam się z czego usprawiedliwiać. Tu zatym tylko na sofizmaty p. K. muszę zwrócić uwagę, aby jich bezzasadność widoczną uczynić.

1) Dowiadujemy się od p. K. że duch języka i duch pisowni jest zupełnie co innego. Dotąd wiedzieliśmy, że mowa ustna i pisana jest obrazem myśli. Skoro są obydwie obrazem rzeczy jednéj, muszą mieć podobieństwo; a tym samym duch jeden je przenika. Z resztą Kopczyński, którego broni, tak powiedział: „w języku polskim jak się mówi, tak się prawie pisze."

2) „W pisowni, mówi p. K. nie można się zasłaniać duchem języka tworzącego formy, układającego po swojemu brzmienia, ale trzeba mieć na uwadze dogodność i łatwość wprowadzonych znaków, oddających też brzmienia i formy w najjaśniejszym odróżnieniu." To sofizmat obosieczny, raniący swego autora, bo język tworząc brzmienia, patrzy współcześnie na łagodność. I dla tego dogodniejsze, łatwiejsze i stosowniejsze jest brzmienie *ym*, *im*, niż *ém*; stąd też przez wieki pisano *ym*, *im*. Dopiéro Kopczyński tę nowość do szczegółu zastosowaną wprowadził i współcześni jego nierozważnie (z przeproszeniem) przyjęli, a p. K. jeszcze nierozważniéj i płoszéj popiéra.

3) „Gdy Kopczyński podał prawidła odróżniania w jimieniu przymiotnym przez pisownią innych przypadków, odrzuciła je powszechność, jako niepotrzebny ciężar pamięci." Albo osłonienie siebie od pocisków strony przeciwnéj tę myśl podyktowało, albo niewiadomość tak zarozumiale wyrokuje. Iluż to dzisiejszych pisarzy używa w piśmie: *wielkimi mężami, szanownymi urzędnikami*, chociaż ci sami niezawodnie mówią: *wielkiemi, szanownemi urzędnikami*? Czyż oni do powszechności nie należą? Co większa! czyż nie są znakomitościami i przedstawicielami téj powszechności? Podług p. K. są wyjątkiem gdzieś na uboczu, bo piszą: *Trudno sobie dać radę z tymi upartymi krytykami*. Końcówki *ymi*, *imi* ustalił Kopczyński; kąkól ten zaczął śmiało wyrywać najpierwszy Feliński; w jego ślady poszli inni: przecież dotąd nie wypiołli tego chwastu z pszenicy; p. K. jednak z jakiegoś powodu pokrywa to wszystko wyrażeniem: „odrzuciła je powszechność."

4) Za innych nie odpowiadam, tylko siebie bronię. Pan K. chwyta omyłki drukarskie i niemi zasłaniając się, wpada sam z sobą w sprzeczność. Wyznał, jakośmy wyżéj widzieli, że *e* nie pochyla się pod *m*; jednakże, aby ułudnie dopiął swego, głosi, że Ż. pisze *é* kreskowane w słowie *jjem*. W uwadze o słowie *jeść* (Mownia str. 128, 129), trzykroć znajduje się powtórzony wyraz *jjem* i raz jeden rzeczywiście przez omyłkę znajduje się *é* ściśnione; p. K. czy nie widzi, czy nie chce widzieć, pisze więc: „Żochowski w słowie *jjem* kreskuje *e*." Bolesna rzecz dla nauki, gdy krytycy, że się tak już wyrażę, łapiuchami zostają!

5) Nie pojmuję nietylko praw fonetyki, ale żadnych praw, w których logiki nie ma; nasz przecie autor mówi: „Pochylanie się z powodu fonetycznego i pochylanie się z powodu logicznego także pewną stanowi różnicę."

6) Więcéj bez wątpienia ludzi wyraża swe myśli głosem i przesyła w siebie uchem, niż pismem i okiem; p. K. dla mniejszéj częścia poświęc

ogół i wbrew jidzie duchowi języka. Dla odróżnienia spadków i uniknienia dwójznaczności w myśli każe *é* pisać; pozwalam, ale jakże to *é* kreskowane w głosie odróżni od *y*, kiedy te brzmieniem są równe? Dał nam przykład, gdzie podług niego, napisawszy *é* kreskowane, unikniemy dwójznaczności; i na to jeszczebym pozwolił: lecz jakże tam postąpi, gdzie pod żadnym względem *é* kreskowanego napisać nie można? On przykład sztuczny wymyślił i, że tak powiem, sforsował go do swego widoku; ja mu go przytaczam z pisarza, a zatym nie swój, nie indywidualny: *„Niechaj tedy Bóg, jako źrenice oka, strzeże W. K. M.; niechaj skrzydłami wszechmocności swojéj okryje i osłoni majestat panowania twego; niechaj na stolicę królestwa twego szczęśliwie prowadzi i postawi, abyś ją rządził rządem Bogu miłym,* RZĄDEM *nie jednemu, nie dwiema, ale wszystkim poddanym swym* POŻYTECZNYM; *rządem takim, którymbyś u przyjaciół miłym i przyjemnym, u nieprzyjaciół strasznym był."* (Gośliecki w mowie do Zygm. IIIgo). Tu wyraz: *pożytecznym* odnosi się do wyrazu *rządem*; dla odróżnienia go jednakże od spadków trzecich: *wszystkim poddanym swym* nie można na żaden sposób w nim *y* na *é* zamienić, bo wyraz *rząd* jest rodzaju męzkiego. I czyż przez to myśl Goślickiego opacznie wzięto? Pewno, że nie. Jednak, aby i tego uniknąć, czyż nie możemy użyć innego toku, kroju, zwrotu? czyż jesteśmy w nie ubodzy? Także nie! Gdyby p. K. zamiast wyrażenia: *tym wszystkim*, położył wyrażenie: *przez to wszystko*, które miał pod ręką w przykładzie przez siebie przytoczonym: uniknęlibyśmy najniepotrzebniejszéj gadaniny.

7) P. K. utrzymuje, że szóste spadki z końcówką *ém* są delikatnym przejściem do modły rzeczowników i daje przykład: *To pan zdaniem mojém, kto przestał na swojém*, tudzież wyrazy: *komornėm, pogłównėm*. Najprzód trzeba przypomnieć, że Jan Kochanowski niezawodnie napisał: *To pan zdaniem moim, kto przestał na swoim*, o czym p. K. sam się przekona, gdy zajrzy do wydania piérwotnego dzieł tego autora. Dalej wié każdy, że mnóstwo znajduje się wyrazów w języku naszym, które mają postać przymiotników, a oznaczają rzeczy, i do takich należą wszystkie jimiona własne na *ski* i *cki* zakończone; jednak nie potrzebują występować z swéj piérwotnéj postaci i przybierać innéj. Następnie, jak części mowy nieodmienne, brane w znaczeniu rzeczowników, np. to *ale*, to *nie*, to *tak* i t. p. nie potrzebują się zmieniać; tak podobnie wyrazy: *swoje, komorne, pogłówne*, tylko u p. K. zrywają się i wzlatują do przemiany w rzeczowniki; albowiem nikomu innemu dotąd o tym się nie śniło. Wreszcie, gdy przypuścimy na chwilę, że *komornėm* ma podobieństwo z *ziarnem*; że to podobieństwo zdąża do kształtu rzeczownikowego; wypadnie stąd, jidąc rakiem, to jest wstecz, na spadek piérwszy: *to komorno, to pogłówno, to swoje;* na drugi: *tego komorna*, tego *pogłówna, tego swoja* i t. p. Mówię: koniecznie wypadnie: *to komorno*, jak *ziarno, wiano, gumno*, bo współgłoska przybierająca twarda musi miéć po sobie samogłoskę *o*. Zasady przez p. K. rozwinięte do takich wypadków na przyszłość doprowadzają. Widocznie zapomniał o sobie, gdy tę myśl pisał: „Nam na przyszłość niewolno jest żadnych praw (*dodać trzeba: niedorzecznych*), rozciągać, bo ta nie nasza, a po swo-

jemu, nie po naszemu urobi się zawsze, lecz pomagajmy pisownią naszą (*swoją*) rozumowi do odróżniania wątpliwości, aby pismo było obrazem języka." Przypominamy, że w tym ustępie dowodzimy ciągle fałszywych zasad i sprzeczności widocznie rażących. Gdybyśmy zamiast wyrazu: *komornem, pogłównem*, mieli przytoczone rzeczowniki: *zimno, gorąco*, tudzież: *piękno, ciemno, ujemno*, które się dziś, jako konieczne, w dziełach pojawiają; gdybyśmy widzieli, że autor Oceny tworzy wyrazy: *komorno, pogłówno* na zasadzie analogiji wyrazów: *zimno, piękno* i t. d., a nie nicuje przymiotników na rzeczowniki, i to jeszcze poczynając od spadku szóstego, co się wbrew zdrowemu rozsądkowi sprzeciwia: musielibyśmy sobie w duchu powiedzieć: „Tu p. K. ma prawdę za sobą; tu nakazał nam wieczne milczenie." Lecz zupełnie inaczéj postąpił. On, przenicowawszy przymiotniki na rzeczowniki, zniszczył piérwsze; gdy tym czasem wyrazy: *gorąco, zimno, piękno, ciemno, ujemno*, po swojim utworzeniu się, nie zniweczyły i nie wykluczyły z języka przymiotników: *gorący, zimny, piękny, ciemny, ujemny*.

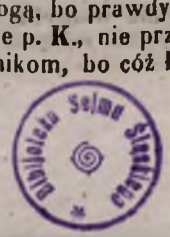
8) Na początku tego artykułu czytaliśmy u p. K.: „*Należałoby już dzisiaj starannie rozróżnić te dwa całkiem pojęcia, mianowicie ducha języka i ducha, że tak powiem, pisowni. Każdy z nich ma swoje państwo, nad którym drugi żadnéj jurysdykcyji nie rozciąga.*" W końcu zaś tego samego artykułu mamy: „*aby pismo było obrazem języka.*" Już samo zbliżenie tych zdań wyraźnie pokazuje niemoc rozumowania i chwiejność logiki p. K., która równie tak się objawia w jego wywodach rozumowych, jak w przytaczaniu dowodów historycznych. Zdeptał on tu ducha języka, za nic poczytał całą historyczność, która przez wieki na trwałych zasadach się opiéra, aby błędowi obecnemu poklasnął. Chwilowa sława!

Pisownia słowa jeść *w czasie teraźniejszym.*

Jak daleko język polski się rozciąga, wszędzie w mowie ustnéj najwyraźniéj się wybija podwójne *j* w czasie teraźniejszym słowa *jeść*, to jest: *jjé, jjész, jjem, jjéta, jjéwa, jjécie, jjemy*. Wyjmuje się tylko trzecia osoba liczby mnogiéj, w któréj brzmienie ustne jedno *j* wydaje, to jest: *jedzą*. Jest to pojaw tak wyraźny, tak oczywisty, tak uchem dotykalny, iż go nawet dla ziomków dowodzić nie potrzebuję, bo każdy z nich: czy oświecony nauką, czy prosty wychowanek rody wyssał z mlékiem ten pojaw języka, i żadna go okoliczność nie zmusi, aby wbrew swemu uczuciu i nieodgadniętemu dla siebie samego przeczuciu wymówił bez przycisku, to jest: *jem*; on niezawodnie powié z natężeniem na współgłoskę *j*, aby jéj brzmienie podwoił, to jest: *jjem*, jak mówi: *ssę*. Podwójne więc *j* w czasie teraźniejszym słowa *jeść* najwyraźniéj żyje w ustach każdego Polaka, czyli w jego mowie ustnéj. Jakież tu moje było zadanie? Oto, prawdę żyjącą w mowie ustnéj wyrazić pismem, aby o jéj życiu nie tylko ucho, usta, ale nawet i oko świadczyło; aby stwierdzić, że to, co jestnieje w umyśle, maluje się w mowie i piśmie; aby pokazać, żem nie uchybił, ani przeciw zdrowemu rozumowi, ani przeciw przepisom Kopczyńskiego, który mówi: *Mowa jest dwojaka: ustna*

i pisana; przez obydwie zarówno malujemy, że tak rzekę, to, co myślemy. Jakim zaś sposobem dowiodłem, że należy koniecznie podwójne *j* pisać: *jjé, jjész, jjem, jjéwa, jjéta, jjécie, jjemy;* dla czego osoba trzecia liczby mnogiéj stanowi wyjątek, że się pisze jedno *j*, to jest: *jedzą*, odsyłam czytelnika ciekawego do *Mowni*, w któréj znajdzie zaspakajające dla siebie objaśnienie (Mownia, str. 126), chociaż p. K. inaczéj o tym prawi i na nieszczęście tylko, bez sensu prawi; na dowód czego oto jego słowa: „Z przedstawienia obrazu wyrabianego słowa *jeść* za pośrednictwem słowa być (którego [obrazu] prawdopodobnéj wierności nie zaprzeczam wcale), nie widziemy, aby gdzie na początku występowało lub mogło występować podwójne *j*, lub do jednego *j* od słowa *jeść*, drugie ze słowa *jest* przybywało; mimo to więc, że samo przedstawienie jest dowcipne, wcale do tego na nic nieprzydatne, gdyż nam tu nie o formę końcówek, które nateraz są obojętne, ale o *jj* chodzi." Usunąłem na bok wszelkie uprzedzenie, wyparłem się miłości własnéj, dołożyłem wszystkich usiłowań na uchwycenie myśli w przytoczonym ustępie; jednakże ze wstydem wyznać muszę, że dla mnie jest to gromadka wyrazów, z któréj ten domysł wyprowadzić zdołałem, że p. K. nie pozwala pisać dwóch *j* w słowie *jjem*, i właśnie ten domysł tylko mnie spowodował, iż swojego zdania w téj rzeczy bronię. Wy przeto czytelnicy osądźcie sami, czy moje pojęcie tak słabe, iż nie może przeniknąć i zbadać myśli mojego przeciwnika, czy téż p. K. naumyślnie go w ciemność ustrojił, by w téj tajemniczéj, zagadkowéj szacie więcéj powagi i uroku sprawił.

Po okazaniu rozumowaniem, że koniecznie pisać powinniśmy *jjem*, gdy wymawiamy *jjem*, to jest: najwyraźniéj brzmienie podwójne *j* oddajemy w mowie ustnéj; przystąpiłem do dowodu historycznego na poparcie dowiedzionego twierdzenia, aby pokazać, że i w tenczas, gdy jeszcze pisowni zastosowywać dobrze nie umiano, już objawiały się usiłowania w zbliżaniu pisma do mowy. Otóż przykład historyczny przezemnie przytoczony popiéra prawdę, któréj rozumowanie dowiodło i na jaśnią wyprowadziło; czyli, gdy się wytłumaczymy zwrotem p. K. co filozofija rozwiązała i w prawdę zamieniła, to samo historyja w tym względzie sprawdziła i poświadczyła, że tak dawno już było. Śmiało zaręczyć mogę, iż w badaniach, jakie dotąd czyniłem nad językiem, nigdy inaczéj nie postępowałem i dla tego nie potrafi mi nigdzie p. K. pokazać, abym bez poprzedniego wyrozumowania wyłącznie polegał na dowodach historycznych. Gdy zaś zechce bezstronnie patrzéć, przekona się, że u mnie rozumowanie jest główną posadą rzeczy, a historyczność, ostateczną jego pieczęcią do dokumentu przyłożoną. Takie jest moje zapatrywanie się na rzeczy w zakresie działania obranym i dla tego nigdy historyczności na pośmiech nie wystawiłem. P. K. dał najwyraźniejsze o sobie świadectwo, że nie wié warunków, pod jakiemi można historyczne dowody przytaczać i z nich korzyści odnosić; dla tego téż kilka dał przykładów na pozór podobnych. Przykłady te przecież są błędne i dowodu na żaden sposób stanowić nie mogą, bo prawdy za sobą przez rozum dowiedzionéj nie mają. Działanie p. K., nie przekonywając o rzeczy, uszczerbek przynosi dawnym pomnikom, bo cóż łatwiejszego, jak w starych pi-



sarzach niejednostajność pisowni pokazać? Cóż dziwnego, że starzy pisarze się wahali, kiedy my dziś doskonale się w téj mierze chwiejemy!

Skończywszy swoje rozprawianie o dowodach historycznych, tak mówi p. K.: „Następnie odwołuje się p. Ż. do tradycyji ustnéj i mówi: że brzmienie to w podaniu ustnym wieki przetrwało, i że dopiéro p. Skibiński w Rozmówkach p. Bocquel, szanując je (to podanie), piérwszy dobrze pisać zaczął." Tu mam sobie za obowiązek przedewszystkim nadmienić, iż p. K. użył strategiki literackiéj i rzecz z innéj strony przedstawił, czego, jako sprawozdawca, czynić nie powinien. Podanie ustne, które było początkiem badania, położyłem na miejscu piérwszym. Ono było dla mnie źródłem, z którego rozumowanie wypłynęło; za rozumowaniem dopiéro poszedł przykład historyczny, jako wskazówka pismem stwierdzona, że i dawniéj tak mówiono, gdy to w piśmie oddać usiłowano. P. K. najprzód mówi o historyczności, a dopiéro późniéj o tradycyji, przez co wprowadza w błąd czytelników, którzy bardzo łatwo przypuścić mogą, iż z pochwyconego przykładu starego chcę dowodzić jakiéjś tradycyji dawno zamarłéj; a zatym cały obrot rzeczy w innym zupełnie przedstawił się świetle.

Tradycyją, o któréj tu mowa, przeszło dziesięć milijonów ust codziennie głosi i daje o niéj świadectwo, że żyje i żyć będzie, dopóki tylko tych stanie, którzy ją dotąd w mowie ustnéj przechowywali. Nie ma ona ani jednego nieprzyjaciela, bo każdy członek téj dziesięciomilijonowéj rodziny wymawia ją swemi usty, a słyszy ją uchem; więc ma najsilniejsze o jéj jistnieniu przeświadczenie. Gdy jednak jidzie o oddanie jéj na piśmie,—inna rzecz! cała postać się zmienia! z przyjaciół powstają zastępy najsroższych przeciwników wołających: „Największa niedorzeczność pisać *jjem* przez dwa j! To obłęd jakiegoś szaleńca"! O zapewnie, że obłęd! ale nie jego; dla tego całą jego odpowiedzią: O Ty Wielki Panie! daj upamiętanie; zdejm' łuskę z jich oczy, wléj w nich wzrok proroczy; niech zawsze tak piszą, jak mówią i słyszą!

W liczbie przeciwników znajdujem p. K., który podanie ustne całym oceanem płynące porównywa do rzeki w piasek zapadającéj, który z podziwienia wyjść nie może, jak jeden tylko p. Skibiński mógł je uchem zasłyszéć i pismem oddać? Wzywam tu na świadectwo historyją czynów, nauk, sztuk i rzemiosł; niech ona powié, kto poczynił wszelkie odkrycia i wynalazki,—massy, czy pojedynczy ludzie? Ona ani jednego świadectwa nie przytacza za massą, wszystkie jidą na uwielbienie i cześć pojedynczych jednostek, a na korzyść moralną lub materyjalną mass całych! Massy zasiadają zawsze do gotowéj uczty, poją się rozkoszą i używają darów bożych; gdy tymczasem jednostka, która jim te gody sprawiła, częstokroć marła głód, żywiła się nędzą, pojiła się łzami i tyła zgnilą wilgocią, bo ją okryli obelgami, a za pomieszkanie dali jéj bezpłatno komorne, z którego wychodzić nie mogła. Kiedy historyja wszelkie wynalazki jednostkom przyznaje; dla czegóż więc w tym razie miałoby się stać inaczéj? dla czego nie mamy przyznać p. Skibińskiemu, że on piérwszy spostrzegł, czego inni przed nim nie widzieli? Gadanina przeto p. K. zupełnie, jako bezzasadna, upada.

Aby jeszcze widoczniéj okazać bezzasadność dotychczasowéj ogólnéj pisowni słowa *jeść*; aby przekonać, że p. K. nie trzyma się prawdy, ale tylko strony mocniejszéj, weźmy sobie przykład następujący. Przypuśćmy, jeżeli to być może, iż ktoś zamierza zjeść znaczną ilość soli; przypuśćmy, iż tę jednę myśl swoję, odrębnie wziętą, pismem chce wyrazić i trzyma się pisowni p. K.: niezawodnie więc napisze: *dobrze się najem soli*. Pytam się teraz, prosząc o bezstronność, czy każdy czytający tak tę myśl zrozumié, jak ją piszący pomyślał? Pewno, że nie! albowiem będzie mnóstwo takich, co pomyślą: prawda, że teraz *dobrze się najem soli*, bo roboty co niemiara a najemników ani weź, trzeba tęgo solić (dobrze płacić), i jeszcze dostać nie można! Otóż skutki niestosownéj pisowni! Gdy zaś napiszemy: *dobrze się najjem soli* i *dobrze się najem soli*; każdy na piérwszy rzut oka pozna, że w piérwszym przykładzie jest mowa o zjedzeniu soli, w drugim o trudności w najmie.

Po wszechstronnym obejrzeniu rzeczy pod rozbiorem będącéj, utwierdziłem w sobie to najmocniejsze przekonanie, iż mam prawdę za sobą, iż się wcale nie mylę, gdy piszę: *jjem, jjesz, jjé, jjemy, jjecie* i dla tego zawsze tak pisać będę, naśladując poetę, który, aby uniknąć dwójznaczności słowa *wyć* ze słowem *jeść* wyniknąć mogącéj, najwyraźniéj dwa *jj* napisał: „Pono, nim słońce wzejdzie, rosa oczy *wyjje*"; a panu K. zostawiam na wzór innego, który napisał: „Przysłowie nasze doskonale tę rzecz maluje, że nim słońce wzejdzie, rosa oczy *wyjé*. Oj! prawda, odezwano się chórem, że *wyjé*, bo już dziś, codzień to lepiéj dogryza."

O słowie posiłkowym mieć *i czasach teraźniejszo-przeszło-i przyszło-przyszłych.*

Że słowo *być* jest piérwotne, zgadza się p. K; przeczy tylko, że nie może się posiłkować drugim, bo przestałoby być piérwotnym, znalazłszy obok siebie jakieś inne współpiérwotne. Na tak błahe zarzuty odpowiadać, jest to Tantala i Danajid cierpienia ponosić! Ale cóż robić? léjmy wodę w bezdenne naczynie!

Piérwsi twórcy języka w trzech głównych ostojach czasu, to jest: teraźniejszego, przeszłego i przyszłego, wyrobili dla słowa *bytu* wyrazy: *jestem, byłem, będę*. Na tym widocznie stanęli, bo potrzeba nazywania innych czynności w drugą jich stronę zwróciła, aby również na rozmajite czynności wynaléźć w trzech chwilach czasu odpowiednie znaki. Do tego działania użyli słowa *być*, którego końcówki już urobione, a nawet samo słowo przenosili do słów innych; stąd słowo *być* słusznie otrzymało nazwisko posiłkowego, i na tym skończyła się piérwsza epoka tworzenia słów. Tak urobione dotąd słowa nie wystarczały późniéjszym potrzebom, bo rozwój myśli daleko obszerniejszego zakresu wymagał. Jak sobie więc zaradzono? Oto pochód rozwijania się dalszego w drugiéj epoce zwrócił się od słów innych na powrot do słowa *być*, które się wyraźnie posiłkuje słowem *mieć* w jimiesłowie: *mający być*. Tego jimiesłowu *mający być* żadna dotąd mownia nie pominęła, nazywając go jimiesło-

wem czasu przyszłego, (chociaż to nazwisko jest niestosowne), i w tym względzie postąpiła bardzo dobrze; w tym zaś uchybili wszyscy, że tego rozwoju słowa nie posunęli do wszystkich czasów. Czego oni, czy nie widzieli, czy uczynić nie śmieli, to ja spostrzegłem, a tym samym uzupełniłem całą modłę słowa, a gwiazdą przewodniczącą, przyświecającą mi w tym postępowaniu były jimiesłowy: *mający być*, *mający mieć*, *mający kochać* i t. p. których pp. grammatycy wyprzeć się nie mogą. Oni wszyscy zaczynali jiść za duchem języka; jam poszedł, dokonałem dzieła w téj mierze i wystawiłem wszelkiego słowa obraz modły zupełny, jaki się dotąd w języku rozwinął. Widziémy z tego, że w piérwszéj dobie czyli epoce tworzenia się słów, słowo *być* zasila i końcówkami swemi i samym sobą wszelkie słowa; w dobie drugiéj słowo *mieć* przybywa na pomoc słowu *być*, tudzież wszelkim innym: jest więc słowem posiłkowym. Że zaś słowo *mieć* jest jedynym słowem posiłkowym w dobie drugiéj, to jest najsilniejszym dowodem, że ono, a nie inne posiłkuje nietylko innym, ale nawet samemu sobie, czego żadne inne słowo dokazać nie może, np. *mający być*, *mający mieć*, *mający pisać*; *mam być*, *mam mieć*, *mam pisać* i t. d.

Pozwalamy sobie rozwój słów w takim przedstawić obrazie. Słowo *być*, jako rodzic słów wszystkich, daje swym dzieciom życie, moc, wychowanie i dzielność, jakie samo posiada; słowa więc inne, jako dzieci żyją z początku zapomogą rodzica, ale wzmógłszy się na siłę, same myślą o dalszym rozwoju, bo je znagla potrzeba, dotąd rodzicowi nieznana. Najstarsze z rodzeństwa słowo *mieć*, poczuwając się do obowiązków wdzięczności, przyjmuje ciężar opiekuństwa, wspiéra ociężały wiek rodzica, samo sobie wystarcza i swojéj pomocy młodszym braciom udziela.

Starałem się najdotykalniéj okazać, że tylko słowo *być* i *mieć* mogą nosić nazwę posiłkowych; jednak na potwierdzenie tego rozważmy: jakie warunki téj nazwie przystoją; jak zrozumiano, gdy po piérwszy raz wyrzeczono: *słowo posiłkowe*. Słowa *być* i *mieć*, wchodząc w złożenie słów innych, zupełnie tracą swoję rodę, swoje wewnętrzne znaczenie, np. *będę mówił*, *będę miał mówić*. Chociaż oko widzi, a ucho słyszy słowa *być* i *mieć*; przecież umysł nasz pojmuje tylko słowo *mówić*, którego czynność w przyszłości ma się spełnić,—nic więcéj; o żadnéj tu bytności lub posiadaniu, czyli mieniu nikt nigdy nie pomyślał i myśléć w podobnych zdarzeniach nie będzie. Otóż najwidoczniejszym znamieniem słów posiłkowych jest utrata własnego jistnienia, gdy w pomoc jinnym przychodzą. P. K tego nie rozważył, dla tego zaprzeczył posiłkowania słowu *mieć* i połączył je ze słowami: *zamierzać*, *pragnąć*, *chcieć* i t. p., dowodząc, że roda wszystkich taż sama. Zobaczmy to w wyrażeniach np. *mam mówić*, *zamierzam mówić*, *pragnę mówić*, *chcę mówić*, *mam pójść za mąż*, *pragnę pójść za mąż*. Czyż to wszystko jedno? Każda panna śmiało powie: *mam pójść za mąż*; zwrot drugi skona w jéj ustach i rumieńcem wstydu ją obleje. W wyrażeniu *mam mówić*, nie widzę mienia, bo to jest słowo rzeczywiście posiłkowe; w następnych przykładach każde słowo w złożeniu będące objawia swoję indywidualną czynność; a zatym nie pomaga, ale współdziała: słowa przeto *mieć* nie mo-

żna na żaden sposób do nich włączać. Gdy się przypatrzymy cokolwiek rozważniéj, spotrzeżemy wielkie podobieństwo w działaniach słów do działań ludzi na świecie, słowem: ujrzemy też same cnoty, tęż dumę, butę i miłość własną w słowach, co i w ludziach. Słowa *być* i *mieć* są to prawdziwie najszczersi przyjaciele, niosą oni pomoc bliźniemu, poświęcają się dla niego; ale zapierają się nawet swego jistnienia, aby nie dać uczuć, że oni to zdziałali; słowa znowu *zamierzać*, *pragnąć*, *chcieć* i t. p. są to owi głośni przyjaciele, z pomocą jawną w ustach, a z ukrytym własnym interesem w sercu, którzy w tym jedynie celu pomagają, aby, jak mówi przysłowie, przy cudzym ogniu swoję pieczeń upiekli, nie dbając na to, czy się kto czasem nie sparzy.

P. K. ciągle mnie skierowywa na drogę, po któréj, jak to wyraźnie widać, sam się jeszcze kroczyć nie nauczył. Wszystkie czasy słów, posiłkujących się słowem *mieć*, czyli czasy z rozwoju dalszego w drugiéj dobie wynikłe, każe mi nazywać *formą omowną*. Przypatrzmy się bliżéj, co też to ma znaczyć ta *forma omowna*. Tak mistrz pana K. Józef Muczkowski o niéj mówi: „Jeżeli do wszystkich osób, liczb i czasów sposobu oznajmującego słowo posiłkowego *mieć* sposób bezokoliczny *być*, lub innego jakiego słowa dodamy, utworzymy czasowanie *omownym* zwane dla tego, że stan lub czynność, którą wyrazić chcemy, kilką słowami opisujemy, czyli omawiamy."

„Słowo w sposobie bezokolicznym przy czasowniku *mieć* położone, w grammatyce słowem *celniejszym* nazywamy. I tak w wyrażeniach: *mam czytać*, *miałem pisać*, słowa: *czytać*, *pisać*, są celniejszemi."

„Wszystkie te czasy wyrażają postanowienie, zamiar, a zatym przyszłość niepewną, która się do obecności, przeszłości, lub przyszłości odnosi. Dla tego też czasy téj odmiany nazywamy czasami *przeszłemi względem obecności*, *przeszłości* lub *przyszłości*." (Grammatyka Jęz. Pol. przez Józ. Muczkowskiego, 1849 r. str. 173 § 283).

Nie wdaję się w szczegółowy rozbiór definicyji *formy omownéj*, objawiam tylko swoje uczucie, jakie się w méj duszy z niéj zrodziło, słowami J. N. Kamińskiego, a czytelnicy łatwo sobie dopełnią resztę obrazu; „Kto w swoję pamięć kładzie słowa, których z dna jistoty rzeczy głęboko nie zrozumié i sobie wyobrazić nie może; tego pamięć,—iż tak powiemy,—cmętarzem, w którym same tylko trupy chowa; które chociaż przypomnieniem wygrzebać może, przecież mu ony nigdy z martwych nie wstaną; bo, jako nieżywe, do duszy jego duszą swoją przemówić nie mogą." (Dusza uważana jako myśl, słowo i znak. Str. 150).

Wszystkie okoliczności wymienione nakazują mi pozostać przy nazwie czasów *przeszło-teraźniejszo*, *i przyszło-przyszłych*, których definicyją znajdzie czytelnik w Mowni (str. 137 § 197).

O czasie zaprzeszłym i warunkowym.

Józef Maks. Ossoliński po utracie wzroku przełożył na język polski dziesięć ksiąg Liwijusza. Przekład ten odznacza się wiernością, dosadnością, treściwością wyrażenia, mocą, czystością i jędrnością języka, a mianowicie tokiem prawdziwie na duchu języka naszego opartym. Krótko

mówiąc,—jest to doskonały wzór prozy polskiéj. Z pewnością ręczyć mogę, że, gdyby czasy zaprzeszłe były taką koniecznością w języku naszym, jaką są w łacińskim, pewnieby jich nasz tłumacz nigdy nie pomijał. Ale i tu znajdujemy małe zboczenia i tu gdzie niegdzie pozostały czasy zaprzeszłe, które należy uważać za niedostrzeżone, albowiem tych, które pozostały, nie stale używał tłumacz, o czym p. K. przekonać się raczy, gdy zechce oryginał z przekładem w kilku lub kilkunastu miejscach porównać, a trudy te nie będą bez korzyści.

Gdyby p. K. wniknął w myśl autora, gdyby definicyją czasów warunkowych względnych i bezwzględnych lepiéj poznał (Mowna str. 137 § 197); nie potrzebowałby znaków zapytania na papiér przelewać, bo te znikłyby w jego przeświadczeniu i usunęłyby dla niego dotychczasową zagadkę. A że sam nie umié używać czasu zaprzeszłego, oto dowód z tego artykułu: „Zgodziłbym się na to, aby téj jego formy nie nazywać czasem zaprzeszłym, bo to jest służalczym tłumaczeniem obczyzny do naszego języka nieprzystającym: ale *wolałbym był*, gdyby autor, zamiast nas raczyć swojemi czasami warunkowemi bezwzględnemi, warunkowemi względno-bezwzględnemi *był słowo powiedział* o czasach względnych."

O przedjimkach stanowiących przejście do przysłówków i o przysłówkach wśród, około, wzdłuż, podług, zamiast, względem, nakształt.

W tym ustępie zwrócę uwagę na główniejsze okoliczności, aby wyjaśnić, że p. K. przysiągłszy *in verba magistri*, ani na krok postąpić daléj nie chce; aby pokazać, żem niczego bez namysłu nie napisał.

„Co do przyjimka *dla*, mówi p. K. gdy twierdzenie autora na żadnéj zasadzie nieoparte, dosyć mu zaprzeczyć, to już walny przeciwdowód." Zdanie to naprowadza mię na myśl, iż autor Oceny do rzędu tych ludzi należy, którzy cudzą ręką zarzewie grzebać lubią i przysłowie to dla upartego mogłoby być walną przeciwodpowiedzią; lecz ponieważ nam jidzie o wyjaśnienie prawdy, zadosyć uczynię gorącemu żądaniu i wyzwaniu.

Wyraz *dla*, uważany dotąd za przedjimek jest właściwie spadkiem drugim liczby pojedynczéj rodzaju nijakiego rzeczownika *dle*, który jako jimię wyszedł z użycia, a tym samym zaginął. Szczątki jednak jego, czyli niektóre spadki żyją dotąd w języku, to jest: w wyrazie *dla*, tudzież w wyrazach: *podle, wedle, wpodle (po-dle, we-dle, w po-dle)* i pokrewieństwo między niemi objawia się najwidoczniejsze; albowiem *dla* jest spadkiem drugim, a *wedle, podle, wpodle* są spadkami czwartemi, spojonemi w jeden wyraz z przedjimkami je poprzedzającemi. Z powodu, że to *dla* jest spadkiem drugim, mówiono dawno: *tego dla*, jak dziś mówimy: *tego pola*. A ponieważ w języku naszym wolno dziś przełożyć wyrazy i powiedzieć: *pola tego*; toż samo dawno czyniono i mówiono *dla tego*. Wyrażenie to, jako szczątek rzeczownika, skostniało, stało się martwe i pozostało w postaci: *dla tego*, nie mogąc się przemieniać więcéj w wyrażenie: *tego dla*. P. K. tego wszystkiego nie zrozumiał, nie wiedział, jaką jest częścią mowy wyraz *dla* i stąd najnierozważniéj dowodził pod artykułem: *Przedjimek za przyjimek*, mówiąc: „wiadomo

bowiem, że dawniéj i przyjimki niektóre po jimieniu kładziono, np. *tego dla*, zamiast *dla tego*." (Muszę tu nawiasem napomknąć, że w obronie artykułu: *Przedjimek za przyjimek* wyraz *dla* spowodował mię do następnego zdania: *To względna do czasu prawda, o czym się późniéj przekonamy na właściwym miejscu.* Tam nie chciałem uprzedzać czytelnika, dopóki sama rzecz nie przyjdzie; dla tego zezwoliłem niejako na to, co p. K. twierdził). Pytam się teraz, czy spadek drugi jakiego rzeczownika, np. *pola, miasta, drewna, dziecięcia* i t. d. może być przedjimkiem? (przyjimkiem). Z największą pewnością odpowié każdy, że nie; a zatym drugi spadek *dla* także być nim nie może. Czymże są dzisiaj szczątki rzeczowników w rozmajitych spadkach pozostałe: np. *do cna, z dawien dawna, wniwecz, z wysoka, hurtem, nurkiem, chyłkiem, na bytu, na wznak, bez liku* i t. p. jeżeli nie przysłówkami? wyraz więc *dla*, będący takimże szczątkiem, tylko przysłówkiem być może i jest nim rzeczywiście.

Wyprowadźmy teraz napomknięte pokrewieństwo wyrazów: *dla, wedle, podle, wpodle*, bo samo jich podobieństwo, jak podobieństwo nazwisk ludzkich, nie jest żadnym dowodem tożsamości jednéj rodziny. Szukajmy rodowodu. Przedjimki: *z, do, od*, rządzące spadkiem drugim, tę pokazują własność, iż nietylko rzeczowniki rządu jich słuchają np. *pole, ziele, serce; z pola, z ziela, z serca; do pola, do ziela, do serca; od pola, od ziela, od serca*: ale nadto dziś martwe, bo niezmienne przysłówki na rozkaz tych przedjimków budzą się, zmartwychwstają i przyjmują końcówki spadku drugiego, np. *wysoko, z wysoka; daleko z daleka; dawno, z dawien dawna; od dawien dawna; tyle, do tyla* i t. p. Trąćmy także tą czarnoksięzką różczką wyraz *podle* (wpodle); a natychmiast drgnie życiem i przybierze końcówkę spadku drugiego, np. *poszedł podle, wpodle; wrócił z podła.* Czyż teraz wyraz *podła* nie jest tym samym, co i *dla*? Czyż ony nie są spadkami drugiemi i dla tych samych przyczyn? Czy wyrazowi *podła* złożenie jego przerywa pokrewieństwo z pojedynczym *dla*? I to nie, bo natychmiast musielibyśmy wyznać, że, dajmy na to, między wyrazami: *dział działu* i *podział podziału, most mostu* i *pomost pomostu*, i t. d. zniszczyło się pokrewieństwo. Skorośmy okazali, że wyrazy: *dla, wedle, podle, wpodle* są szczątkami jednego rzeczownika; skorośmy się przekonali, że wyraz *dla* jest przysłówkiem: wyrazy przeto: *wedle, podle, wpodle*, jako spadki czwarte, są także przysłówkami.

Wiem, że na tę prawdę tak oczywistą, tak jasną p. K. rozprawiający o przedjimkach nie zgodzi się, chociaż znowu ten p. K. prawiący w artykule: *o pisowni słowa jeść*, przystać koniecznie powinien, jeżeli swojich myśli za czczy dym i mamienie poczytywać sobie nie życzy. Tę dwufarbność w jednym ciele pokazują jego słowa. Gdy chce przekonać, że *przeciw* jest przedjimkiem, tak mówi: „Daléj sam ten wyraz od słowa *przéć* pochodzi, niby: *przeczyć, zapierać*, mogł być rzeczownikiem niegdyś, bo są ślady w języku, iż się odmieniał przez przypadki z przyjimkiem, np. Petrycy mówi: *Jest z przeciwia rozumowi*, za: *sprzeciwia się rozumowi*, ale od najdawniejszych czasów za przyjimek uchodził nietylko u nas, ale i u innych pobratymczych języków." Jak się

tu przedstawia p. K.? Widziemy go najwierniejszym wyznawcą powagi, jakakolwiek ona jest; on tu wcale nie myśli, myśléć nie chce, i tak daleko w tym naśladownictwie utonął, iż go przykład z Petrycego zupełnie przeciwny jego dowodzeniu z téj toni wydobyć nie zdołał. Mówiąc o przysłówku *mimo*, tak się wyraża: „*Mimo* nie jest przysłówkiem dzisiaj, ale przyjimkiem. W grammatyce dzisiejszéj, powtarzam zawsze, nie chodzi nam o to, czym co było i być mogło, ale czym jest." Jaka treść tych wyrazów? Oto następująca. Ponieważ nam i poprzednikom naszym pp. grammatycy (Panie odpuść jim), w głowę wkuli, że podobne wyrazy są przedjimkami; my dziś nie mamy prawa jéj odgważdżać; oni już dobrze umyślili, kiedy tak powiedzieli. Po co mamy się pytać, badać, czym to lub owo było, albo jest, kiedy wiemy, jak się to nazywa, to dosyć. Skoro się nazywa przysłówkiem, przedjimkiem, to już pewnie jest przysłówkiem lub przedjimkiem. *Risum teneatis amici!*

Lecz p. K. nie zawsze tak sądzi; słyszeliśmy go w artykule: *o pisowni słowa jeść*, tak mówiącego: „Historyja nauk powiada nam w ogóle, jak co było, i że nie mogło być inaczéj, jak było, ale nie mówi wcale, jak być powinno; to filozofija rozwięzuje, podobnie jak dzieje wykazują nam czyny dopełnione, ale daleko do tego, aby ony miały być dla nas bezpośrednią nauką moralności." Czemuż, mówiąc o przedjimkach, nie poszedł drogą filozofiji, którąby mu czystą prawdę pokazała i niezawodnie do tych samych wypadków, co i mnie, doprowadziła? Czy nie mógł? czy nie umiał? Tego rozwiązać nie potrafię; ale to wiem, że, gdyby poszedł, chybiłby swego celu. Jakiż cel jego, jeśli nie wykrycie prawdy? P. K. jéj wyjaśnienie zostawił komu innemu; sam zaś zamierzył w interesie całéj archandryji (wyrażenie Trębeckiego) pobić, zetrzéć, zniweczyć, w proch obrócić Ż. na wszystkich punktach. Dla tego téż, gdzie Ż. dowodzenia swoje przykładami historycznemi podpiéra, tam mu trzeba rzucać w oczy filozofiją i deptać nogami przytaczaną historyczność; gdzie Ż. jidzie drogą rozumowań i przychodzi do wypadków prawdziwych, których jednak ogół dziś z nim nie podziela, tam go uderzyć całą powagą historyczności; gdzie Ż. wyprowadzi wniosek prawdziwy, tam mu go zaraz przekręcić, jak to ma miejsce przy przysłówku *nie* i *bez*. Co większa, sprzeciwia się nawet samemu sobie, aby dopiął swego, co wyraźnie pokazał przy przysłówkach: *wśród, podług, zamiast, nakształt*, które, chociaż właściwą jim nazwę przyznaje, przecież zamieszcza do przedjimków. Tak on mówi: „*przysłówki i wyrażenia przysłówkowe* mogą pełnić usługę przyjimków, to nie nowina, ale te przysłówki przez zwyczaj, długie używanie i przedawnienie w takim stosunku i takiéj attrakcyji do jimion stanęły, iż już jich dzisiaj do przysłówków policzać nie można." Słowem postanowił wybierać te miejsca, te wyobrażenia, na które ogół inaczéj się dotąd zapatruje i zbijać je czymkolwiek, bez wyboru, choćby fonetycznemi wyrazami—i wygrana będzie pewna, bo *vox populi*. To jistny Żojil dziś zmartwychwstający!

O rządzie przyjimków (przedjimków) podwójnym.

Przedjimki wewnętrznym znaczeniem malują jakieś ogólne miejsce, które, ażeby wyraźnym i pewnym uczynić, trzeba przedjimki określić

rzeczownikiem. Określenie to nazywa się powszechnie rządem dla tego, iż przedjimki, stosownie do swojéj rody różnych wymagają spadków jimienia, którym je określamy, np. *do kościoła, przez kościół, za kościołem, przy kościele.* Własność ta przedjimków, które po sobie różnych spadków wymagają, nazywa się rządem, i słusznie, o czym nikt nie wątpi; stosunek więc przedjimków do jimion najwidoczniéj okazany.

Rozważmy teraz stosunek przedjimków do słowa. Przedjimki nierozłącznie z jich określeniami należy uważać za miejsca, za ostoje dla wszelkiéj czynności. I inaczéj być nie może, albowiem żadnéj czynności bez miejsca, czasu i jakości pomyśléć nie możemy, to jest: musiemy wiedzieć koniecznie: *gdzie, kiedy* i *jak?* czynność się odbywa. Prawo to ogólne, powszechne często się tam zwłaszcza przemilcza, gdy czynność, wykonywając się w swojéj ostoji, do drugiéj zmierza, np. *dążę do kościoła.* Tu mówiący przemilcza ostoję działania, z któréj dążenie wykonywa, jako wiadomą; on wié już o tym, że, skoro jest czynność, musi być jéj ostoja, jéj *konieczne gdzie:* wymienia więc drugą ostoję, do któréj zmierza, aby w niéj był, aby ją zamienił na ostoję swojego działania, to jest: *dążę do kościoła, abym w nim był, abym działanie swoje w kościele wykonywał.* Podoba mu się obie te ostoje wymienić: jednę, w któréj działa,— drugą, w któréj ma działać, powié: *Z domu dążę do kościoła.* Nie chce wyrazić żadnéj ostoji, opuszcza je i mówi: *dążę,* bo ogólne *skąd* i *dokąd* łatwo się domyślają. Czynność więc wyrażana słowem ze względu do przedjimków może się znajdywać w dwoch zastosowaniach, to jest: albo może się mieścić w ostojach przedjimkami oznaczonych, albo może być po za obrębem tych stanowisk, do których swą czynność kieruje. Na obydwa te względy wyrobił język odpowiednie przedjimki, np. *dążę z domu, dążę do domu* i t. p. Ale rozmajitość przedjimków do wskazania tych dwoch względów nie jest naszym zadaniem; zwracamy się przeto wprost do swojego.

W języku naszym jest kilka takich przedjimków, które w obydwoch zastosowaniach do słowa ostać się mogą, to jest: są ony taką ostoją dla słowa, w któréj to swą czynność wykonywa; jak są również ostoją, gdy słowo, działając w innéj przemilczanéj ostoji, (jakeśmy wyżéj widzieli), do niéj, jako do swego drugiego środka, czynność swą kieruje. Przedjimkami temi są: *pod, nad, przed, za, między, w, po, na, o.* Gdy przedjimki te w takim się znajdują stosunku do słowa, iż działanie jego, odbywając się po za jich obrębem, dopiéro do nich zmierza; wtenczas ony wymagają określeń w spadku czwartym, czyli niemi rządzą: gdy znowu czynność słowa odbywa się w miejscu, temi przedjimkami wskazanym; natenczas jedne z nich wymagają określeń w spadku szóstym, drugie— w siódmym, np.

SŁOWO ZA OBRĘBEM PRZEDJIMKÓW, OKREŚLENIA JICH W SPADKU CZWARTYM.	SŁOWO W OBRĘBIE PRZEDJIMKÓW, OKREŚLENIA JICH W SPADKU SZÓSTYM,
Kopie pod ziemię.	*Kopie pod ziemią.*
Leci nad miasto.	*Leci nad miastem.*
Biega przed bramę.	*Biega przed bramą.*
Pędzi za góry.	*Pędzi za górami.*

Wiózł za rzekę.	*Wiózł za rzeką.*
Jedzie między drzewa.	*Jedzie między drzewami.*

LUB SIÓDMYM.

Rzuca w ogród.	*Rzuca w ogrodzie.*
Lézie w błoto.	*Lézie w błocie.*
Strzela w pokój.	*Strzela w pokoju.*
Pnie się po drabinę.	*Pnie się po drabinie.*
Pisze o pieniądze.	*Pisze o pieniądzach.*
Niesie na wschody.	*Niesie na wschodach.*
Kupuje na targ.	*Kupuje na targu.*

W danych przykładach widziemy też same słowa, też same przedjimki i określenia. Czymże się różnią? Tym jedynie, że w piérwszych przykładach czynność zdąża do przedjimków, jako do swojéj ostoji; w drugich przykładach czynność się odbywa w przedjimkach, jako w swojich stanowiskach. Skoro przy okoliczności dążenia do miejsca, przedjimki rządzą spadkiem czwartym; przy okoliczności miejsca, w którym się czynność odbywa, rządzić powinny także jednym. Przecież tak nie jest, bo jedne z nich, jak widziemy, rządzą szóstym,—drugie siódmym. Tak różny rząd z jednego wynikający powodu zrodził we mnie pytanie: skąd taki pojaw wyniknął w języku? I rozwiązałem je wpływem języka łacińskiego na polski, opierając swoje dowodzenie na rozumowaniu. Cóż robi p. K.? Prawi o obsurdach, których nie popełniłem; wyśpiewawszy jeremijadę nad językiem łacińskim, odrzuca jego wpływ, (w jakim zaś sposobie? to późniéj zobaczymy) i na usprawiedliwienie tego rządu różnego tak mówi: „Dla tego przyjimki rządzą przypadkami, ale niemi samemi znowu rządzą słowa; dla tego jeśli te słowa mają przy sobie pojęcie spoczynku, przyjimki wtedy z przypad. 6tym lub 7mym kłaść się muszą, a z 4tym mimo rządu przyjimków, jaki mają, nie mogą.” I w drugim miejscu: „Z tego widać, iż język w urabianiu form przypadkowych i dobieraniu do przyjimków stosownych przypadków, szedł za poradą wewnętrznego instynktu, za natchnieniem własnego ducha, tylko praw fizyjologicznych głosu słuchającego; a w wytworze swojim wewnętrzym żadnych napływów, lub zewnętrznych nanosin do rady nie wzywał. Owszem artykułował brzmienia swoje organicznie do zasad fonetyki, symfoniji, harmoniji i lojiki. Tych wszystkich zasad stale sformułować nie można do każdego danego przypadku, ale jich przewagę wszędzie ujrzysz w mechanizmie naszego języka.” Jakaż więc stanowcza przyczyna wpłynęła na rząd w dwie różne drogi się rozchodzący? Oto jakiś instynkt wewnętrzny, jakieś zasady fonetyki, symfoniji, harmoniji, lojiki, których sformułować nie można! I ty, lojiko! mistrzyni, przewodniczko w myśleniu, jakże nisko stanęłaś! Wszakże tu należysz do zasad, które się w żadne prawidła ująć nie dają! Żal mi ciebie, biedna lojiko! ale zapewnie to twoja wina, żeś się nie postarała o lepsze względy dla siebie. Tyś powinna dawać ład, skład, porządek, a tym samym życie prawdzie, a teraz służysz za zasadę marzeniom, które wołają: „po co chcieć ściągać wszystko do jedności formy, która jest dopiéro w grobie, a tam gdzie życie płynie, jest rozmajitość!” Leżysz w grobie biedna lo-

jiko i dla tego nieład życiem nazywają. Bez ciebie w zapale nawet zapomniano, że tu nikt nie zamierzył ściągać wszystkiego do jednéj formy, tylko wskazać, dla czego ten pojaw w języku dwiema drogami popłynął; widzisz więc, że wyjaśnienie prawdy jest grzechem!

Przypatrzmy się teraz, w jaki sposób p. K. ogranicza wpływ łaciny na nasz język. Tak on mówi: „Trzeba nam wiedzieć, że jeśli język polski z częstych bardzo a koniecznych historycznie stosunków z łaciną, winien jéj swoje syntaktyczne wyrobienie, to nie form przypadkowych, a tym bardziéj rządu przyjimków." Co do składni, zgoda z nami, bo wyraźny wpływ łaciny widać w tych wyrażeniach p. K. np.

„*Książka* 18tu lat pracy *winna być* godnie *rozpoznaną*."

„*On* tylko *może być użytym* do oddania tego pojęcia."

„Co do wyrazów *wśród, podług, zamiast, nakształt* i innych, które już autor nie *przejściowemi wyrazami* do przysłówków, ale *przysłówkami* tylko *być sądzi*, nadmienię te uwagi."

„*Winno być* do niéj *przywiązane* brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić, czyli uzewnętrznić nie da, jeśli *ją* jakoś nie nazwiemy."

„*Abstrakcyja* w tym podziale *podniesiona jest*, że tak powiém, do kwadratu."

„Radbym jakoś sprowadzić myśli *moje* do pewnych w téj mierze obrębów."

„Pomagajmy pisownią *naszą* rozumowi do odróżniania wątpliwości."

To jest czysty tok łaciński; po polsku tak należało powiedzieć:

Książkę 18tu lat pracy *winniśmy* (lub *należy*) godnie *rozpoznać*.

Jego tylko *można użyć* do oddania tego pojęcia.

Co do wyrazów: *wśród, podług, zamiast nakształt* i innych, które już autor nie *za przejściowe wyrazy* do przysłówków, ale *za przysłówki uważa (poczytuje)*, nadmienię te uwagi, (albo: *nie przejściowemi wyrazami* do przysłówków, *ale przysłówkami mianuje*.)

Powinniśmy do niéj *przywiązać* (lub *powinno się* do niéj *przywiązać*) brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić, czyli uzewnętrznić nie da, jeśli *jéj* jakoś nie nazwiemy.

Abstrakcyją w tym podziale *podniósł*, że tak powiem do kwadratu.

Radbym jakoś sprowadzić myśli *swoje* do pewnych w téj mierze obrębów.

Pomagajmy pisownią *swoją* rozumowi do odróżniania wątpliwości.

Zobaczmy teraz, czy język łaciński nie wpłynął na formy spadków. Gdyby tak było, jak recenzent utrzymuje, mówilibyśmy: *Na egzamenie tłumaczono Plata i Cycera, słuchano o Ceresie i Junie, tudzież rzucono kilka pytań o poemie Homerusa;* przecież mówimy: *Na egzaminie tłumaczono Platona i Cycerona, słuchano o Cererze i Junonie, tudzież rzucono kilka pytań o poemacie Homera*, gdzie wyraźnie to spad-

kowanie opiéra się na rodzie języka łacińskiego. W wyrażeniu: *czyta Horacyjusza i Wirgilijusza*, jest duch języka polskiego; a znowu w wyrażeniu: *czyta Horacego i Wirgilego lub Wirgila*, wieje duch łaciny, chociaż z końcówką przymiotnikową. Czyż *byłem doma* nie jest łacińskim: *fui domi*; co większa, w wyrażeniu nawet: *w domu* zobaczy łacinę, kto patrzéć umié. Jidźmy daléj, P. K. słowy zaprzecza wpływu łaciny na przedjimki polskie, a czynami przekonywa inaczéj, na co dajemy z niego przykłady. jakoto: „Autor tworzy *seń* rodni. Aby nam przypomniały znaczenie *doń* przywiązane. Wszedłszy *weń*, stracił swoję odrębność." Czyż wyrażenia: *seń*, *doń*, *weń* nie przywodzą nam na pamięć łacińskich: *mecum*, *tecum*, *secum*, *nobiscum*, *vobiscum*? Co większa, łacińskie bez porównania mają widoczniejszą wyższość nad polskiemi, bo oznaczają spadek i liczbę; polskie nie wyrażają ani liczby, ani rodzaju, ani nawet spadku, jeżeli przedjimki rządzą spadkiem podwójnym. Co więc prawda, to nie grzéch; trzeba zatym oddać *suum cuique*. Dla tego dobrzy nasi pisarze, umiejący czuć rodę swego języka, unikają takich zwrotów, które tylko myśl zaciemniają.

Dotąd wskazałem wpływ łaciny we wszystkich punktach, przez p. K. wytkniętych, nie pomijając nawet przedjimków, do których sam recenzent dostarczył przykładów. Czegóż więcéj potrzebuje? Skoro własne jego przykłady pokazują, że łacina wpływała na przedjimki polskie: dla czegóż nie miała tego samego działania na jich rząd wywrzéć? i rzeczywiście najwyraźniejsze zostawiła ślady swojego wpływu, jak to widocznie w Mowni okazałem, czego tu powtarzać nie widzę potrzeby.

Mówi daléj p. K. „Jeśli łacina działała na język polski, to nie działała, przyznamy, w téj napiętości na język np. ruski i inne. Jeślić w nich formy przypadkowo są te same, co u nas, choć nieco różne, jeślić przyjimki u nich rządzą temi sami przypadkami, co u nas, gdzież jest wina łaciny?" Mając przed oczyma język polski, mówiąc do ogółu, wziąłem fakt historyczny najwidoczniejszy, o którym stary i młody wié doskonale; to jest: chwilę wprowadzenia chrześcijaństwa, a z nim oraz łaciny. Fakt ten dla mnie wystarczał, bo, powtarzam, miałem na celu język polski, a nie słowiańskie. Lecz ponieważ mnie teraz p. K. znagla wyjść na rozleglejsze pole, muszę mu wskazać źródła, z których się dowié, że łacina wpływ mogła wywiérać na całą Słowiańszczyznę. Niech raczy sobie z uwagą przeczytać: *Wstęp Krytyczny do Dziejów Polski* przez Augusta Bielowskiego; co większa nawet, niech przebiegnie, chociażby dla rozerwania umysłu: *Przygrawkę do nowéj poezyji* przez Józefa B. Zaleskiego; a niezawodnie się przekona o silnym wpływie Rzymian na Słowiańszczyznę i na odwrot, sięgającym aż do morza Czarnego; z tych dzieł się nauczy, że Słowianie, czym się szczycić powinniśmy, nie siedzieli sobie spokojnie,—ot tak,— podług przysłowia, jak u Pana Boga za piecem!. Wzajemne więc stosunki polityczne i ciągłe zapasy, na tak rozległéj linii odbywane, dały przystęp zwrotom języka, które aż do naszych czasów przetrwały.

Zwróćmy jeszcze uwagę na wyrażenie się p. K. następujące: „Z tego powodu i dziś wałęsają się po języku naszym wyrażenia, w których nie umiémy zdać sobie sprawy z rządu przyjimkowego, a które nam przy-

pominają piérwotny rząd, dopóki stałego nie nabrały, np. *jiść za mąż, wsiadać na koń.*" Wyrażenia te sięgają piérwszego zaczęcia się naszego; malują sobą dwie główne czynności przodków naszych, wskazując zwyczaje, obyczaje, sposób życia i działania; dla tego więc ony, chociaż język ustalił późniéj końcówki spadków, ani uległy, ani nie ulegną nigdy żadnéj zmianie, aby nie utraciły wyłącznego znaczenia, jakie do nich przy kolebce narodu przywiązano. Wyrażenia przeto: *jiść za mąż, wsiadać na koń*, mając przeznaczenie dla siebie odrębne; są święte i nietykalne; nie są więc żadnemi włóczęgami: kto zatym mówi o nich, że się wałęsają; ten nie rozumié rzeczy. Wałęsa się to tylko, co wlecze życie bez celu, bez czego wybornie obejść się możem, co nawet koniecznie na cztéry wiatry usunąć i wygnać potrzeba. Takiego wałęsającego się jeszcze włóczęgę, który się i do p. K. przywąkrojił, mamy w następującym jego ustępie: „Autor nie przejściowemi wyrazami do przysłówków, ale *przysłówkami* tylko *być sądzi*." To *przysłówkami być sądzi* jest intruzem, czyli niepotrzebnym wtrętem; musiemy go przeto koniecznie z języka raz na zawsze wyprosić czyli wykluczyć.

C. *Co do układu i sposobu przedstawienia dzieła.*

Ustęp ten stanowi część trzecią i składa się z samych, jakby dogmatycznych wyroków, dla tego na główniejsze zwrócę uwagę, które mogą więcéj ogół obchodzić, tudzież pokazać sposób zapatrywania się p. K.

1) „Język jest niezgorszy, tylko bezużytecznemi neologizmami najeżony i nie ma dosyć jędrności i należytéj ścisłości naukowéj", mówi p. K. Tak się nawet przy poprawie ćwiczeń dzieciom mówić nie powinno, bo się z tego niczego nie nauczą. Są to słowa bez treści,—nic więcéj; pokazują ony, że recenzent sam nie wié, na czym właściwie dokładność, dobroć i wysłowienie w języku polega. Nie wykładam tu teoryji stylu, nie potrzebuję szeroko się rozwodzić, przytoczę przykłady z Oceny autora; niech sami czytelnicy rozważają, jeżeli chcą, zalety stylu p. K. i wyprowadzą sobie wnioski; niech i oni pomyślą nad łomigłówką."

„Każde pismo dydaktyczne ma być postępem nauki, albo z powodu przybytu nowych, nieznanych dotąd pojęć i pomysłów, albo z powodu rozjaśnienia miejsc wątpliwych i nowych dowodów na stare twierdzenia lub hypotezy, albo nareszcie z powodu nowego systemu i układu znane (?) dotychmiast prześcigającego jasnością wyrażenia (?) loiczną kolejnością rozwijanych wyobrażeń i treściwym zbiorem wszystkiego, co znane w przedmiocie obrabianym" (?). (Str. 560).

„W zbiegu powagi złotego (?) czasu piśmiennictwa, świtającego, z postępem pisowni nie wahamy się ani na chwilę przejść pod sztandar ostatniego (?), aby nam dziwactwa i uporu nie przypisywano." (Str. 570).

„Z przedstawienia obrazu wyrabianego (?) słowa *jeść* za pośrednictwem słowa *być* [którego (obrazu) (?) prawdopodobnéj wierności nie zaprzeczam wcale]. nie widziemy, aby gdzie na początku występowało lub mogło występować podwójne *j*, lub do jednego *j* od słowa *jeść*, drugie ze słowa *jest* przybywało; mimo to więc, (?) że samo przedstawienie jest dowcipne, wcale (?) do tego na nic nieprzydatne, gdyż nam

tu nie o formę końcówek, (?) które nateraz są obojętne, ale *jj*, chodzi" (?). (Str. 571).

„Dlatego przyjimki rządzą przypadkami, ale niemi samemi znowu rządzą słowa; dla tego jeśli te słowa mają przy sobie pojęcie spoczynku, przyjimki wtedy z przyp. 6 lub 7 kłaść się muszą, a z 4 mimo rządu przyjimków jaki mają, nie mogą" (?). (Str. 576).

Szyk najnaturalniejszy, czyli najrodniejszy nazywa *szykiem mieszanym*, i w tym względzie zgadza się z swoją definicyją, bo niekiedy tak układa, chciałem powiedzieć, tak miesza wyrazy, iż jak w łomigłówce sztuczki, tak w jego okrosie trzeba wyrazy przymierzać, przykładać jedne do drugich, aby uchwycić i zgadnąć to, jeżeli jeszcze można, co właściwie zamierzył powiedzieć.

2) Karci mię w ogólności za niedokładne definicyje, a w szczególności wymienia, że zamiast definicyji *wyrazu* dałem jego opis. (Mownia str. 2). Gdyby sprawiedliwie sądził, gdyby się trzymał swego niejako godła: *Książkę 18stu lat pracy winniśmy należycie rozpoznać*; znalazłby definicyją *wyrazu* (Mownia § 206), oraz by się dowiedział, co mnie spowodowało, żem ją tak daleko usunął. Nie broniłby braku metafizyki w wyrazach: „Wiadomo bowiem jest, że chęć sama za uczynek nie stanie, ale prócz rzeczy, albo jéj obrazu w głowie, winno być do niéj przywiązane brzmienie głosowe, jakiś kształt fonetyczny, bez którego rzecz pozostanie rzeczą w myśli, ale się wyrazić, czyli uzewnętrznić nie da, jeśli jéj jakoś nie nazwiemy." (Str. 578). Nie ganiłby jéj zbytku w słowach: „Następnie zawiele metafizyki i uwag niepotrzebnych w elementarzu grammatycznym, a niektóre tak ciemne, jak nauka o działaniu ducha (§ 209) i w następnych paragrafach przy tworzeniu się myśli, iż, przepraszam za wyrażenie, ale (?) trzebaby je podać poprzednio do przetłumaczenia na polskie, bo w niéj prócz miotów i jaźni, żadnéj nie dojdziesz myśli." (Str. 580).

3) „Podział mowni na mownią zewnętrzną i wewnętrzną jest nadzbyt abstrakcyjny', któryto podział tym jest niewłaściwszy w nauce grammatyki, abstrakcyji oderwanéj od człowieka i zewnątrz niego jako przedmiot postawionéj. Tu bowiem abstrakcyja w tym podziale podniesiona jest, że tak powiem, do kwadratu, a uczący się, chcąc go zrozumieć, musiałby dopiéro z niéj pierwiastek kwadratowy wyciągnąć." (Str. 578). To dziecinna słów igraszka, dowodząca słabości myślenia; bo, gdybyśmy nawet przypuścili, iż podział mowni na zewnętrzną i wewnętrzną, *(na etymologiczną i składnią)* jest abstrakcyją podniesioną do kwadratu; to przecie w kwadracie rozwinięty staje się widoczniejszy, niż w pierwiastku. Dowcipniéjby uczynił, chociaż nie rozumniéj, gdyby wprost podział ten nazwał wyciągniętym pierwiastkiem z abstrakcyji. Pokazałby przynajmniéj, że, jak jéż zwinięty, ze wszech stron zręcznie i boleśnie kłóć umie. Z resztą najnieszczęśliwsze zrobił porównanie. Rzeczy do porównania wzięte muszą mieć podobieństwo. Skoro podział mowni jest abstrakcyją; wynoszenie do potęg i wyciąganie pierwiastków musi być abstrakcyją,— inaczéj porównania nie będzie. Matematyk zaś powiada: wynoszenie do potęg i wyciąganie pierwiastków są

najjaśniejszą rzeczywistością; kto je zatym chrzci mianem abstrakcyji,— ten plecie fałsz wierutny.

4) Mający znać dzieje języka, jak to gdzieś komuś podobało się bez namysłu dla zaokrąglenia okresu słówko pochwalne wystrzelić, nie wié wcale, jakie zasługi w słowie położyli, mianowicie: Kopczyński, który ma modeł 4; Mroziński— sześć; Sierociński — trzy (trzecia i czwarta Kopczyńskiego zbita w jednę); Deszkiewicz—sześć z jednym podwzorem; nawet Józef Muczkowski w ostatnim wydaniu ma modeł sześć, lecz jich pożyczył, ile mi się zdaje, od Cegielskiego. Ilość modeł Kopczyńskiego i p. K. taż sama, ale tylko ilość, albowiem modły i jich cechy zupełnie różne. U Kopczyńskiego zasada modeł jest jedna i stała. Co większa, p. K. patrzy tylko na trzecią osobę czasu teraźniejszego liczby pojedynczéj; co się dzieje daléj w słowie, wcale go to nie obchodzi. Niech sobie inni głowy łamią, bo to wyjątki, zboczenia, zwyczaj narodowy: dosyć, że modeł jest cztéry, nie dziesięć.—a co krótsze, to lepsze. Na téj zasadzie mógłbym śmiało powiedzieć, że jedna jest modła na słowa i ręczę, że byłaby lepsza od 4 p. K., boby sobą objęła słowa niemodelne: *wiem, umiem, powiem* i t. d. których p. K. nie umié pomieścić w modle właściwéj. Doprawdy tuśmy podobni do dziécięcia, które, zasłoniwszy sobie oczy, woła na swojich towarzyszów: szukajcie mnie! szukajcie! Z tych przeto powodów nie zadziwia mnie jego wyrażenie: „Prócz tego niedokładnie obrobiony przedmiot."

5) Definicyją bezwzględnego stopniowania przymiotników tak ściągnąłem, iż po za jéj obrębem znalazły się przykłady, które przecież sobą obejmować powinna. P K. mi je pokazał; z nich więc na przyszłość będę korzystał i tak definicyją zmienię, aby swojemu odpowiedziała przeznaczeniu. Jestto więc jedyne ziarnko, jedyna rzeczywista ofiara na ołtarzu Mowni złożona, z któréj plon wyrośnie. Zadziwia mię jednak niemało następująca okoliczność. Wiadomo, że stopniowanie bezwzględne przymiotników i stopniowanie rzeczowników po piérwszy raz pojawiły się w *Częściach Mowy* na horyzoncie mówniczym; obydwa te stopniowania mają jedno i toż samo źródło, jedne i też same zasady; wiadomo nam także z Oceny p. K. iż na żaden sposób nie chce uznać stopniowania rzeczowników: gdyby zatym myślał sam przez siebie; zdrowy jego rozsądek nie powinien był zezwolić, aby także bezwzględne stopniowanie przymiotników w mowni polskiéj jistnieć mogło. Za hypotezę uważa stopniowanie rzeczowników, za hypotezę poczytywać powinien bezwzględne stopniowanie przymiotników, bo są to jednego ojca i jednéj matki dzieci; co większa, są to zrosłe bliźnięta, których rozrywać nie można. Kto tu nie chce być sprzecznym samemu sobie, musi albo oboje odrzucić, albo oboje przyjąć. Innego tu nie ma środka; zostawiamy więc panu K. wóz i przewóz.

Za najstosowniejszą sposobność uważam tu dodać, iż ks Józef Łoziński w dziele [*Grammatyka Języka Ruskiego (Małoruskiego)* Przemyśl 1846 r.], skreślając prawidła tego narzecza, upatrzywszy podobieństwo i też same własności przymiotników w obydwoch narzeczach, nazywa także to stopniowanie *bezwzględnym* na str. 71 i przytacza źródło, z którego czerpał, za co mu publiczną składam podziękę. Com ja zoba-

czył w polskim, to on spostrzegł w języku ruskim i tym dowiódł, że rzecz doskonale pojmuje. Pan Józef Muczkowski w wydaniu drugim (r. 1836) tę własność przymiotników nazywa: *Natężliwe przymiotników zakończenia* (str. 87), najmniejszéj nie czyniąc wzmianki o stopniach. W wydaniu dopiéro trzecim (r. 1849) już występuje nazwa: *Bezwzględne stopniowanie za pomocą pewnych zakończeń przymiotników*, (str. 85); już są więc stopnie, chociaż niedokładne, ale źródło, skąd napój zaczerpnięty, przemilczane podług zwyczaju, rody i sposobu postępowania autora. P. K. sądząc zapewnie, że ugodzi swego mistrza, gdy będzie na mnie powstawał za stopniowanie bezwzględne przymiotników, opuścił ręce i wstrzymał swój wyrok; a tak p. Muczkowski widocznie mię osłonił od jednéj niesprawiedliwéj chłosty, za co mu także dziękuję, powtarzając sobie: nie ma tego złego, któreby na dobre nie wyszło.

6) Ponieważ tryb bezokoliczny jest najdawniejszy w każdym słowie, wypadało o nim najprzód mówić; ponieważ znowu ten tryb, chociaż najdawniejszy, nie może pokazać sobą wszystkich cząstek wyraźnych, słowo składających, np. *pleść, bość, paść, tłuc, przeć, widzieć;* trzeba było szukać innéj gałęzi, w któréjby pierwiastki jądra słowa były widoczne. Tą gałęzią pokazała się trzecia osoba rodzaju męzkiego liczby pojedynczéj czasu przeszłego, np. *plót-ł, bód-ł, pad-ł, pas-ł, tłuk-ł, par-ł, widzia-ł.* Drugą więc rzeczą pod względem dawności jest czas przeszły, ale do rozwicia całéj modły otrzymuje piérwszeństwo nad trybem bezokolicznym; dla tego za zasadę modeł wzięty stawa na miejscu piérwszym, a tryb bezokoliczny ze swojim starszeństwem po nim jść musi. Nie moja zatym wina, że p. K. moje działanie nazywa sprzecznością, że nie może się domyślić „jakie to części słowa w trybie bezokolicznym się znajdują." Wszystkie, odpowiadam, tkwią w trybie bezokolicznym, jak w żołędzi cały dąb przyszły! Tryb bezokoliczny w porównaniu—to człowiek niemowlę, które nic, a nic nie pokazuje, czym na przyszłość będzie, bo jego władze w nim jeszcze leżą uśpione; czas przeszły—to człowiek mąż, który działaniem swym dał poznać, że jest filozofem, bohaterem, lub niedołęgą wiecznie przeczącym!

7) Cały układ w składni, jaki uczyniłem, pozostawię nietknięty, jeżeli zdołam wykończyć na obszerniejszy rozmiar, z tą jedyną odmianą, iż przykłady za każdym znakiem przestankowym tuż się dołączą, czego w Mowni ze względu na krótkość uczynić nie mogłem. Zostawiam panu K. zupełną wolność bronienia Józefa Muczkowskiego, który, mam to najmocniejsze przekonanie, nie wiedział, dla czego składnią szyku na ostatnim umieścił miejscu.

8) Zdaje się, jakoby p. K. żałował, że mało naganił pracę moję w szczególności; z tego powodu w końcu pomija usprawiedliwienie zdania wyrzeczonego i same daje wyroki: że wszystko złe, bez związku, dolepiane, zszywane, potrzebujące przekładu na polskie, (Na Boga zaklinam! aby nie językiem recenzenta); najgorsze zaś złe, że potępia drugich, przez co uczy zarozumiałości i mędrkowaniu. Słowom wszystkim, na wiatr wyrzeczonym, trudno opór stawić; niech więc lecą i głoszą sławę p. K. te zatym tylko odeprę, które mają pozór zasady.

Składnią rządu, a mianowicie słowa obrobiłem zupełnie z nowego stanowiska; sięgnąłem głębiéj, pojawy zewnętrzne wyjaśniłem działaniem ducha naszego, który jest główną jich sprężyną. Wydobyte na jaśnią przyczyny stały się podścieliskiem niewzruszonym dla pojawów zewnętrznych, które, jako wyniki, zgromadziłem razem w następnych paragrafach (§ 303, 304) i objaśniłem przykładami. Jakiż sąd pana K. o tym wszystkim? Oto, prócz miotów i jaźni niczego nie zrozumiész, żadnéj nie znajdziesz myśli. Równie się wstydzę za p. K., jak nad nim ubolewam; nigdy albowiem przypuścić nie mogłem, aby przeciwnik, pragnąc ugodzić w nieprzyjaciela, tak śmiertelne samemu sobie zadawał ciosy! Przyznaje on, na co się zgadzam zupełnie, że nauki o działaniu ducha nie pojmuje; mimo to jednak spodziewam się, że bezstronni czytelnicy za to winić mnie nie będą. Powiada daléj, że *jaźń* i *mioty* rozumié; tego najuroczyściéj zaprzeczam, bo, jak wyraźnie pokazał w artykule *Miot*, że najmniejszego nie ma o nim pojęcia; tak podobnie o wszystkich przedmiotach, które rozbierał, wsteczny i opaczny sąd rozwinął. I nie mógł inaczéj; obrał sobie bowiem za gwiazdę przewodniczącą tego, o którym, za Krasickim jidąc, powtórzyć można: *widzi ślepy kulawego*. Pan Józef Muczkowski w upływie lat 24 (od r. 1825 do 1849) wydał aż pięć grammatyk! Wyraźnie mówię, wydał, albowiem nie pisał, tylko przepisywał do każdego wydania i niezręcznie kompilował na téj niwie kolejno po sobie pracujących; jest więc wydawcą cudzéj pracy bez żadnego kosztu: dla tego wydania te nie mają myśli cechującéj samodzielność autora i tylko po tym je poznasz, że noszą na sobie jimię i nazwisko Józefa Muczkowskiego, który częstokroć nie raczy nawet słówkiem, wspomnieniem nagrodzić autora, chyba, gdy mu się co złego zdaje, bo to książka elementarna; zarazby się podług p. K. młodzież zrywała do mędrkowania i uczyła bez dna rozumować.

Taką znakomitość grammatyczną obrał sobie p. K. za głównego przewodnika przy ocenianiu mojéj pracy; nie dziwimy się przeto, iż wyrok jego tak okrutny zapadł na Mownią. Co większa, musiemy go nawet uniewinnić, bo, jidąc za naśladowcą, czyż mógł co innego objawić? Naśladowca w potędze musi tak powtarzać, naśladować, przestrajać i całą rzecz przedstawiać, jak jego mistrz mu poleca dyktuje. Gdyby nie szedł tą drogą, stałby się drugim Żochowskim, który samochcąc taką sobie łaźnią sprawił.

Łaźnia taka, powtarzam,—to fraszka, bagatela, furda nawet, jak się Maks. Ossoliński zwykł w podobnych okolicznościach wyrażać; ale ta myśl okropnieby mię bodła, dręczyła, dokuczała i piekła, gdyby choć na chwilę przypuścić można, że sąd p. K. jest odgłosem wszystkich bez wyjątku mojich współziomków. O! wtenczas, wierzajcie mi, wolałbym nigdy nie zaznać teki, którą dziś dla swojego recenzenta zamykam. Może on teraz, jak ów niegdyś Warro, znaléźć słowa pociechy u swojich przyjaciół; niechaj go obsypią za to oklaskami, że po tak strasznéj klęsce jeszcze nie upadł na duchu i nie zwątpił o ocaleniu swojéj i jich sprawy.

Feliks Żochowski.

ROZMAITOŚCI.

O życiu i pismach don Leandra Fernandeza de Moratin hiszpańskiego autora dramatycznego, oraz kilka słów o stanie teatru hiszpańskiego od początku XVIII wieku do jego czasów.

Przeszły już były świetne czasy teatru i piśmiennictwa kastylijskiego, przeszła epoka Kalderona, Lopeza Vegi, Rojasa, Moreta, Solisa Tirsa de Molina; a lubo z jednéj strony wielkie te imiona wzniecały zawsze słuszny zapał w hiszpańskiéj powszechności, uwielbiającéj wzniosłe ich pomysły, dla których o błędach zapominała: z drugiéj strony zrodziły one zastępy naśladowców, pigmejczyków, rwących się do dzieł olbrzymich, nieodpowiednich całkiem ich siłom, którzy przejęli wszystko złe, wszystkie wady swych wzorów, nie pomnąc, że ani gieniusz, ani żadne wyższe zalety nie usprawiedliwiały ich zdrożności. Mnożyły się przeto potworne dzieła, treścią, dążnością i językiem.

Inna przytém okoliczność jeszcze zgubniéj wpłynęła na teatr hiszpański. Krwawe wojny o następstwo za Filipa V, i ponury charakter tego monarchy, nie dozwalały dworowi zajmować się sceną lub jéj postępami. Szukano przeto u obcych tego, co u siebie tworzyć dopiéro trzeba było, i wprowadzając do dworskiego teatru *Buen retiro* i pierwszego madryckiego *Canos del Peral*, włoską truppę *los Trufaldines*, wyrugowano z nich niebacznie obok utworów tuzinkowych pismaków, i arcydzieła dawnych mistrzów, zaszczyt i chlubę narodowego piśmiennictwa.

Wstąpienie na tron Ferdynanda VI i przywrócenie pożądanego pokoju żadnéj nie przyniosło korzyści hiszpańskiemu teatrowi. Monarcha ten, lubiący sztuki piękne i tych, co im się poświęcali, powierzył dyrekcyą swych teatrów i zabaw słynnemu wówczas włoskiemu śpiewakowi Carlo Broschi, człowiekowi, zdaniem współczesnych, niepospolitych zdolności, który sprowadziwszy z kraju swego piérwszych mistrzów muzyki, malarstwa i dekoracyi, nie szczędząc przytém skarbów pana swego,

rozwinął w urządzanych przez siebie festynach i widowiskach niesłychany i bajeczny blask i przepych, połączone z najwykwintniejszym i najwyszukańszym smakiem.

Gdy takowe zabawy odbywały się w salonie zwanym *de los Reinos*, posadzki jego pokrywały się przepysznemi kobiercami, ściany draperyami ze złotéj tkaniny, zwierciadłami, płaskorzeźbami i malowidłami. Oświetlenie odpowiadało téj wspaniałości. Kapela wystrojona była w szkarłatne mundury ze srébrnemi galonami. W jednéj z oper śpiewanych na teatrze, przedstawiono raz kryształową dekoracyą; w innéj znowu okoliczności oświecono salę 200ma świecznikami. W operze *Armida placcata* widziano rozkoszną okolicę z ośmioma fontanami z prawdziwéj wody i wodotryskiem na 60 stóp w górę bijącym. Pomiędzy drzewami latało mnóstwo ptaszków, których śpiewy i świegotania do niepoznania były naśladowane. Bogactwo sprzętów, ubiorów i przyborów teatralnych, wspaniałe ubiory chórzystów (których wchodziło 200 mężczyzn i 50 kobiét), widok wojsk i licznych hufców kawaleryi, słoniów, wozów, machin wojennych, broni, oznak; muzyka wojskowa, sztuczne ognie, które po skończeniu widowiska palono na scenie, (przyczém, aby dym nie dokuczał widzom, oddzielano ich od sceny szklaną ścianą z dwóch tafli, w fabryce *San Ildefonso* ulaną): wszystko to godném było wielkiego monarchy, co w taki sposób używając swych bogactw, rozsiewał zamożność pomiędzy uboższe warstwy poddanych.

Poeci, którzy pisywali przez ten czas opery, serenady i intermezza, byli: *Pico de Mirandola*, *Piotr Metastasio*, *Miglia Vacca*, *Guiseppe Bonechi* i *Paolo Rolli*. Opery śpiewane w *Retiro* i *Aranjuez* były następujące: *La Clemenza di Tito*, *Angelica e Medoro*, *Il Vellocino d'oro*, *Polifemo e Galatea*, *Artas ferse*, *Armida placcata*, *Demofoonte*, *Demetrio*, *Didona abbandonatta*, *Siroe Niteti*, *Il re pastore*, *Adriano in Syria*. Serenady: *L'assilo d'amore*, *la Festa chinese*, *la nascita di Giove*, *le Mode*, i t. d. Intermezza: *Il Cavalier Bertoldo*, *la Burla da vero* i t. p.

Taki był stan teatru dworskiego. Zobaczymy teraz, jakim torem poszedł teatr ludu, teatr hiszpański.

A najprzód: teatrem w Hiszpanii nazywano wówczas plac obszerny, opasany potrójną galeryą, drewnianemi przegrodami na loże podzieloną. Z tych największa w głębi (*gallinero*) była dla kobiét; pod temi galeryami były wzniesienia; na dole bliżéj sceny kilka rzędów ławek, a za niemi znaczna przestrzeń (*patio*) dla tak zwanych *mosqueteros*, tojest publiczności pieszéj. W razie dészczu, rozpościerano ponad galeryami ogromny namiot. Jeśli dészcz się wzmagał, *mosqueteros* zwykle chronili się na gradusy pod galeryami; przy tłoku jednak, i to czasami nie pomagało, a wtedy publiczność się rozchodziła i widowiska nie kończono. Dekoracye stanowiły draperye i festony ze starego adamaszku, jedyne, jakich było potrzeba do tak zwanych komedyj *de capa y espada*. Do sztuk *del teatro*, czyli z wystawą, używano dekoracyj malowanych na płótnie, kulisów i przystawek, jakich sztuka wymagała. W takich razach, podwyższano opłatę przy wejściu. Światła nie potrzebowano, bo teatr zaczynał się o 3ciéj po południu w zimie, a o 4téj w lecie. Niepotrzeba téż było le-

pszych teatrów dla dziwacznych a częstokroć nawet bezecnych dzieł ówczesnych dramatycznych autorów, pomiędzy któremi ledwie na wzmiankę zasługują *Zamora* i *Cannizares*. Ten ostatni zwłaszcza odznaczał się obfitością i łatwością w pisaniu. W 80ciu jego drukowanych pseudo-komedyach, znajdujemy komedye historyczne, czarodziejskie, mitologiczne, religijne; pisywał także tak zwane *zarzuelas* (krotochwile) i *Autos sacramentales*, rodzaj dyalogów religijnych.

Smutny ten stan rzeczy zwrócił na chwilę uwagę Ferdynanda VIgo. Polecił on porzucić drewniane rusztowania, a natomiast wystawił dwa wygodne teatra: *de la Cruz*, i *del Principe* (1745 i 1747 roku), gdyż trzeci *de los Cannos del Peral* jeszcze w początkach panowania Filipa Vgo przybrał był regularniejszą postać. Wszystkie trzy oddał pod zarząd korregidora Madrytu i na tém skończyła się monarsza opieka.

Stanęły przeto wygodne i okazałe teatra, lecz powierzchowna ta zmiana bardzo mało a raczéj nic nie wpłynęła na wystawę i wewnętrzne ich urządzenie; pozostały się draperye adamaszkowe i perkalikowe, sufler jak dawniéj błąkał się po scenie, siadając to z przodu, to z tyłu, to z boku aktorów w okrągłéj swéj czapeczce. Alcalde, czyli kommissarz, rozsiadał się przed sceną z pisarzem i dwoma algazysami: orkiestrę wiecznie składało pięciu skrzypków i kontrabas, a do śpiewek zwanych *princesus* w zakulisowym języku, wyłaził z gitarą stary grajek na scenę. I ubiory nie odznaczały się ani blaskiem, ani wiernością. Dość powiedzieć, że Semiramida wychodziła do publiczności w papilotach, kolczykach, staniku *glacé*, rękawach z potrzebami i jedwabnéj mantylce, fartuszku, robronie i trzewikach na korkach. Juliusz Cezar na perukę z pakuł sadzał nieodstępny swój wieniec laurowy, kapelusz z piórami miał pod lewą pachą, do tego ogromna tkana kamizelka, kurtka aksamitna, trykoty, szpada z perłowéj macicy, i krawat obszywany koronkami. Arystoteles (duchowny) *en abbé*, w peruczce, okrągłéj krymce, kurtce pod szyją zapiętéj, kołnierzyki, trzewiki ze złotemi sprzączkami, i pastorał w ręku.

Zamieszanie i nieład ogarnęły do szczętu hiszpańską scenę. Tłum bazgraczy już nawet nie trzeciego rzędu, naśladowców Zamory i Cannizaresa zupełnie nią zawładnął. Zarzucono nietylko dawnych autorów, ale nie chciano nawet słuchać głosu tych, którzy na to rozprzężenie powstawali. Główną przyczyną tego był nietyle zły smak publiczności, (którą głównie pospólstwo składało), jak raczéj duch stronnictw, władających krytyką, a który najskuteczniéj na współczesnych działania swe wywierać może. Rozmaite były te stronnictwa, odznaczające się różnemi znakami u kapelusza. Nie dbając o wartość sztuki, upierała się publiczność tego lub owego teatru o zasadę, wygwizdywała rzeczy dobre autorów przeciwnych teatrów, przyjmując z zapałem najlichsze utwory swoich pisarzy. Starcia takowe żywsze wzbudzały zajęcie, gdy ich przedmiotem był człowiek a nie imię. Kto przeto żył garnął się do pióra, będąc pewnym, że cokolwiekby utworzył, mógł zawsze rachować na zawziętych przeciwników i żarliwych przyjaciół.

Pomiędzy nadużyciami teatralnemi najbardziéj raziło przedstawienie: *Autos sacramentales*. W jednóm zwiastował anioł Gabryel Najświętszéj Pannie (którą grała sławna *Mariquita Ladvenant*) wcielenie

słowa, a na wyrazy: „*Quomodo fiet istud quoniam virum non cognosco?*" uczciwie po kastylsku wyrąbane, przerywały widowisko świętokradzkie i nieprzyzwoite wykrzykniki, z których niejedna biedna matka zapóźno poznawała, że nie było jéj po co sprowadzać z sobą córki. To znów kobiéta z monstrancyą w ręku chodziła po scenie śpiewając: *Tantum ergo*. Wiosna, żądze, pory roku, ciało, grzéch, łaska, cedr, róża, niedziela, poniedziałek, wtorek, wdzięk, świat, powonienie: słowem wszystkie rzeczowniki ze słownika brano za osoby do tych potwornych baśni. To znowu św. Paweł uczył św. Magdalenę fechtowania, albo mówiono, że Samarytanka mieszka przy ulicy *del Pozo*, że Chrystusa Pana ukrzyżowano przy *trzech krzyżach*, to doradzano św. Augustynowi żeby poszedł do szpitala *de San Juan de Dios* i t. p.

Zaczynała jednak w powszechnéj pomroce ukazywać się jutrzenka odrodzenia sztuki w Hiszpanii. Coraz liczniejsze głosy powstawały na wszystkie te nadużycia. Wreszcie *Mikołaj Moratin*, autor kilku lepszych dramatycznych prac, które właśnie dlatego powodu przez rozpuszczonych aktorów odrzucone zostały, stanowczo oświadczył w 1762 roku, w peryodycznem ówczesném piśmie: *El Pensador*, że *Autos Sacramentales*, tak Kalderona jak i inne są widowiskami niegodnemi narodu oświeconego i katolickiego. Następca przeto Ferdynanda, Karol IIIci, osobném rozporządzeniem wzbronił ich przedstawiania i raz nazawsze uwolnił od nich teatr hiszpański.

W tymże samym czasie *hr. Aranda* zajmował się szczerze madryckiemi teatrami. Urządził w nich policyą, a ta usuwając wrzaskliwych podżegaczy stronnictw, uwolniła publiczność od narzucanych gwałtem sympatyj. Protegował znakomitych autorów swego czasu i piérwszy wprowadził prawie gwałtem dzieła poważniejszéj treści na scenę, mimo sarkań i niezadowolenia aktorów, którym istniejący stan rzeczy zdawał się być najlepszą rękojmią pomyślności i powodzenia. Za jegoto czasów ukazywały się obok wzorowych utworów *Moratina*, *Lopeza*, *de Ayala*, *Jovellanosa i Sedana* autorów tragicznych, i piękne tłumaczenia zagranicznych słynnych pisarzy. Dla komedyi nic nie uczyniono; podnoszące się uczucie piękności nie pozwalało Hiszpanom znosić na scenie dzieł, wówczas komedyami się mieniących *Zarzuele* (krotochwile), którym pod nazwą *Sainetes*, potrafił nadać miejscową i charakterystyczną barwę twórca ich *don Ramon de la Cruz*, przyjmowane były z powodzeniem, na które w saméj rzeczy zasługiwały. Jednocześnie książę *Grimaldi* utworzył poza murami Madrytu kilka letnich teatrów, które starannością wystawy i doborem nawet aktorów przewyższały nietylko prowincyonalne, lecz nawet madryckie teatra.

W roku 1770 skończyło się prezesostwo hr. Aranda i zamknęły się teatra Grimaldi. Madryckie zaczęły zstępować z drogi, którą tak szczęśliwie postępowały i wpadać w dawne usterki. Popęd jednak raz już był nadany, a chwilowa ta przerwa nie mogła żadnych już zgubnych wywrzeć skutków. I tak, pomimo wielu starań, niepodobna było znowu wprowadzić na scenę *Autos Sacramentales*, do których teraz publiczność czuła odrazę. Naśladowcy Kalderona znikali jak meteory, zostawiając pole reformatorom hiszpańskiego teatru. W r. 1788 ukazała się na scenie

piérwsza komedya oryginalna hiszpańska, wedle zasad sztuki napisana. Byłato: *El sennorito mimado* (wypieszczone paniątko) Iriartego. W ślad za nią ukazało się mnóstwo dzieł nowéj szkoły, i lubo niezawsze wzorowe, służyły przynajmniéj za dowód kształcącego się smaku w Hiszpanii. *Jovellanos*, *Cienfuego*, *Huerta*, *La Cruz*, *Gorostoza d. Juan*, *Melendez*, y *Valdes*, *Commella*, *Cadalgo*, *Norona*, sąto imiona autorów, którzy z pomyślnym skutkiem nowym postępując torem, postawili dramatyczną sztukę w Hiszpanii na wysokiém i zaszczytném stanowisku.

W tym także czasie między reformatorami sceny ukazał się *don Leandro Fernandez de Moratin*, o którego ojcu tak chwalebną uczyniliśmy wzmiankę.

Ponieważ życiorys tego męża może nam posłużyć za dalszy ciąg historyi teatrów w Hiszpanii; obszerniéj tu przeto rozpiszemy się o nim.

Don Leander Fernandez de Moratin, potomek szlachetnéj asturyjskiéj rodziny, urodził się w Madrycie dnia 10 marca 1760 r. Ojcu swemu *don Mikołajowi de Moratin*, o którym wyżéj była wzmianka, winien był nietylko moralne, lecz i literackie wykształcenie. Jakoż, żaden mistrz lepiéjby go po téj ścieszce wówczas poprowadzić nie potrafił. Przyrodzenie obdarzyło go przytém niepośledniemi zdolnościami i skłonnością do poezyi, gdyż w szóstym czy siódmym roku już pisywał wiersze; a że staranność przewodników wyrównywała zdolnościom ucznia, nic więc dziwnego, że w 18tym roku życia otrzymał nagrodę, przeznaczoną przez akademią hiszpańską za najlepszy poemat heroiczny, o zdobyciu Granady. Niemało to zadziwiło ojca, który pragnąc zapewnić synowi swemu utrzymanie, niepodlegające żadnym zawodom, radził mu lepiéj uczyć się złotnictwa, niż poświęcać się autorstwu i literaturze; ukradkiem przeto pisał młody wieszcz swe dzieło, i pod obcém nawet podał je nazwiskiem. Utracił w roku następnym ojca, a tak zostawszy sam podporą matki, biédnéj wdowy, pracą rąk swoich jako jubiler, zaradzał szczupłym obojga potrzebom. Wkrótce jednak i ją zabrała mu śmierć; wtedy udał się do stryja swego jubilera królewskiego. Nie zaniedbywał jednak tak przedtém jak i teraz piśmienniczych swych zatrudnień, do czego niemało także przyczyniały się znajomość i stosunki przyjazne, jakie go łączyły z *don Juanem Antonim Melon* i ojcami *Estala* i *Naverete*. Ci ostatni byli lekarzami, wszyscy zaś ludźmi znamienitych zasług i zdolności. W następnym konkursie powtórną otrzymał nagrodę hiszpańskiéj akademii za satyrę na nadużycia, wkradające się w piśmiennictwo hiszpańskie. Przedstawił ją pod tytułem: *Leccion poetica*, a autora jéj pod Anagramem. Przykro było jednak położenie Moratina, gdyż wciąż pracą rąk na utrzymanie swoje zarabiać musiał. Ztąd wszelkiemi sposobami starał się o położenie odpowiednie zdolnościom, ażeby mógł stosowniéj poświęcać się muzom; a że powszechnie znanemi już były jego wartość i zasługi, udzielono mu przeto za wstawieniem się *don Gaspara Melchiora de Jovellanos* posadę sekretarza przy ambasadorze francuzkim hrabi *de Cabarrus*, wysłanym przez rząd roku 1787. Niezadługo potrafił zjednać sobie zaufanie swego przełożonego. Z nim bawił w Paryżu i powrócił do Hiszpanii; w téj stolicy zapoznał się blizko ze sławnym komikiem włoskim *Goldonim* i prowadził korrespondencyę z li-

teratami: *Jovellanos, Llaguno, Cean. Fornez, Signorelli* i *Conti*. Wtenczas już zaczął probować sił swoich jako pisarz dramatyczny, i lubo nie jemu samemu należy się palma reformacyi sceny hiszpańskiéj, niezaprzeczenie jednak mało który ze współczesnych sprostał mu w licznych jego zaletach. Po dwakroć oddawał i odbierał z teatru dla niewiadomych nam przyczyn komedyą swoję *El viejo y la Ninna* (starzec i dziewczyna), w któréj założył sobie wykazać niedogodności z małżeństw zawierających się częstokroć pomiędzy osobami nierównych lat. Publiczności znany on był wówczas tylko z wyżéj wzmiankowanych dzieł i z broszurki prozą p. t.: *Derroto de los Pedantes* (Porażka pedantów) wydanéj bez nazwiska autora w 1789 r. dla wyśmiania ówczesnych złych poetów, wedle planu sławnego *Viaje al Parnaso* (Podróż do Parnassu) Cervantes'a. Otrzymał pod te czasy za odę napisaną na wstąpienie na tron don Carlosa IVgo dochody z probostwa w arcybiskupstwie *Burgos*, wynoszące 300 dukatów. Szczupły ten dochód nie odpowiadał potrzebom Moratina; ale polepszyła się wkrótce jego dola. Przedstawiony przez *don Francisca Bernaben* i *don Ludwika Godoy, don Manuelowi Godoy*, bratu ostatniego, otrzymał za jego staraniem probostwo w *Montora*, przynoszące tyleż co i poprzednie, nadto 600 dukatów rocznego dochodu z biskupstwa *Oviedo*. Wtenczasto ukazał się publiczności na właściwém stanowisku dramatycznego autora, dając do teatru i do druku w r. 1790 Starca i dziewczynę, a dwa lata późniéj, komedyą *la Comedia nueva*, dzieło równie dowcipne jak oryginalne, wolne od wszelkich niedokładności dzieł współczesnych komicznych. Powodzenie, jakiego doznawały sztuki jego, powinno było dać nowy popęd do literatury dramatycznéj. Pragnął wprzód jednak poznać obce sceny, i dlatego żądał pozwolenia do podróży; otrzymawszy je, udał się do Francyi, Anglii, Holandyi, Niemiec, Szwajcaryi i Włoch. Zwiedził w nich wszystkie główne miasta, i zatrzymał się na czas dłuższy w Bolonii. Rękopism podróży swoich pozostawił w Paryżu u *don Manuela Silvela*, nigdy go nie ogłaszając. Wreszcie w roku 1796 po długiéj i przykréj wyprawie, wylądował szczęśliwie w *Algesiras*. Nagrodziła mu wszystkie przeszłe trudy wiadomość, że przyjaciel jego *don Juan Antonio Melon*, w czasie jego niebytności wyrobił dlań posadę sekretarza do tłumaczenia języków. Przybył więc w początku lutego roku następnego do Aranjuez i Madrytu dla objęcia swéj nowéj posady, zwiedziwszy przedtém Kadyx, Sevillę, Kordobę i inne miasta Hiszpanii. Tutaj zaczął się oddawać naprzemian zatrudnieniom swego urzędu i literaturze. Uczęszczał do don Juana Tineo na tertulie, tojest na zgromadzenia osób poświęcających się sztukom pięknym, które Moratin żartami nazywał *Sociedad de Acalófilos*. Wyprawiając podobnież w wolnych chwilach w domku swym letnim w *Pastrana*, w roku 1798 ogłosił drukiem swe tłumaczenie *Hamleta Shakspeara* z uwagami, według zasad ściśle klassycznych, od których nigdy nie odstępował. Wierne to a jednak słabe tłumaczenie niemało mu przynosi zaszczytu, co oryginalne sztuki jego, w których objawiają się niepospolite zdolności dramatyczne i styl ozdobny i jędrny, lub inne jego prace metryczne w różnych epokach dokonane, z których część drukiem ogłoszona, część podziśdzień niewydana. Potrafił rząd ocenić usiłowania Moratina w celu

ulepszenie sceny narodowéj, mianując go najpiérwéj członkiem towarzystwa do poprawy teatrów, a następnie prezesem tychże. Niedługo jednak piastował Moratin piérwszą tę godność, a wcale nie przyjął drugiéj, zważywszy, że powołaniem jego było bardziéj kierowanie powszechnością ze sceny, jak kierowanie samą sceną.

Główne przyczyniły się do jego sławy ciągle z powodzeniem grywane dzieła jego. W roku 1803 przedstawiono w teatrze de la *Cruz* komedyą *El Baron*, przerobioną z krotochwili (zarzuela), napisanéj jeszcze w 1787 r. Krotochwila ta znacznie powiększona i pod stałe prawidła podciągnięta, satyra na panoszących się dorobkowiczów, z podobnym zapałem jak i inne utwory jego przyjętą została. Towarzystwo teatru *Canos del Peral*, obruszone pierwszeństwem, jakie Moratin udzielał teatrowi *de la Cruz*, wszelkiemi sposobami chciało szkodzić autorowi; a dowiedziawszy się, że istniała komedya na ten sam przedmiot napisana p. t. *la Lugarena orgullosa* (dumna mieszczka), pospieszyło się z jéj wystawieniem, starając się z jednéj strony stawić konkurencyą Moratinowi, a z drugiéj utworzyć mu stronnictwo przeciwne. Lecz wszystkie te zabiegi ustaliły tylko, jak to z początku przewidywano, wziętość i tryumf prawdziwéj zasługi. *La Lugarena orgullosa* sztuka bez barwy i interesu upadła za piérwszém przedstawieniem, kiedy tymczasem *el Baron* podziśdzień wznieca zapał publiczności madryckiéj. Następnego roku przedstawiono podobnież w teatrze *de la Cruz* komedyą *la Mojigata*, oddawna napisaną, w któréj szydził z bigoteryi i udanéj serdeczności starych świętoszek. Krytyka i publiczność zarówno dobrze ją przyjęły, a zawiść nie śmiała nawet podnieść ohydnéj głowy przeciw takiemu powodzeniu. Żadna jednak ze sztuk Moratina nie wzbudziła takiego zapału jak *el Si de las Ninas*. Wszystkie odcienie krytyki i stronnictw z jednakowém o niéj wyrażały się uwielbieniem. Miała 26 przedstawień po sobie następujących, którym tylko nadchodzący post i zamknięcie teatrów koniec położyć mogły; cztéry wydania sztuki drukowane, tegoż samego roku rozerwane zostały. Tém bardziéj rozjątrzeni zawistni, nie mogąc zgubić go w opinii powszechnéj, starali się zaszkodzić mu przynajmniéj w opinii jego protektora Manuela Godoy. Nie osiągły wprawdzie ich intrygi pożądanego skutku, lecz Moratin już z przyrodzenia nieśmiały, zniechęcony wreszcie ciągłemi zasadzkami, jakie na niego zastawiano, postanowił porzucić literaturę dramatyczną i zaniechał obrobienia cztérech czy pięciu komedyj, których plan już był skreślił. Zamierzał wyłącznie poświęcić się obowiązkom swego urzędowania, kilku wiernym przyjaciołom i uprawie ogródka, który wraz z domem nabył przy ulicy *Fecencarral*, zbierając przytém powoli materyały do dzieła swojego: *Origines del teatro Espanol* (pierwotne dzieje teatru hiszpańskiego). Na niczém natenczas nie powinnoby było zbywać napozór człowiekowi skromnemu, bez żądzy i chciwości, oddanemu tak miłym i niewinnym zatrudnieniom; ale los właśnie z téj strony zbroił na niego przeciwności, z któréj najmniéj mógł się ich spodziewać.

Nadszedł wreszcie rok 1808 obfity w ważne wypadki, spowodowane wkroczeniem Francuzów do Hiszpanii. Upadł przywłaszczyciel; na tron wstąpił książę Ferdynand. Powstała Hiszpania dla zmycia zniewagi jéj

monarsze wyrządzonéj. Nieprzyjaciel porażony pod Baylen, murami Saragossy i Walencyi, cofnął się za Ebro i porzucił Madryt. W takich okolicznościach sądził Moratin, że może mu zaszkodzić przyjaźń łącząca go z Manuelem Godoy i innemi osobami mniéj lub więcéj skompromitowanemi, i, bez żadnéj rozwagi, z Francuzami opuścił dwór w towarzystwie przyjaciela swego *Józefa Antoniego Conde* i skrył się naprzód w swym letnim domku w *Pastrano*, zkąd się następnie schronił do Witoryi. Następstwem tego nierozważnego kroku było fałszywe położenie, w jakiém się przez dalszy ciąg wojny znajdował. Wrócił z Francuzami do Madrytu pod koniec tegoż roku i napowrot w r. 1812 cofnął się z niemi do Walencyi, a wreszcie do Peniscola. Na chwałę Moratina zapewnić jednak nam wypada, że w prawém i szlachetném sercu jego nie powstała nawet myśl zdrady przeciw monarsze. Szedł machinalnie ścieszką, jaką los go prowadził, i nietylko że nie brał czynnego udziału przeciw obrońcom praw Ferdynanda VII, lecz nawet całym swym wpływem bronił stronników tego monarchy, którzy dostali się w ręce Bonapartystów. Urząd głównego bibliotekarza, udzielony mu przez tych ostatnich, a o który bynajmniéj ze swéj strony nie ubiegał się, nie mógł go pod żadnym względem czynić podejrzanym. Wstawiał się za niektóremi z patryotów z *don Manuelem Silvela*, alkadem dworu i członkiem junty kryminalnéj madryckiéj, człowiekiem godnie wypełniającym obowiązki swego urzędowania. Jednakowy sposób myślenia i zgodność uczuć, zrodziły między niemi przyjaźń wzrastającą z postępem czasu, a téj nic następnie zachwiać nie zdołało. Trudno było wymagać, ażeby w tak trudnych okolicznościach miał wolny umysł do pisania, i dlatego, pomimo usilnych nalegań, ledwo na nim wymożono, żeby dał do teatru i druku swoje tłumaczenie Szkoły mężów, *la Escuela de los Maridos*, ukończone jeszcze w 1808 roku, z komedyi sławnego Moliera, pod tym samym tytułem powszechnie znanéj. Dochody jego co chwila się zmniejszały; z rozstrojoném zdrowiem i umysłem, znękany tylu trudami i niespodziewanemi wypadkami, postanowił w skromném jakiém zaciszu przepędzić resztę skołatanych dni swoich. W téj myśli poddał się wojskom hiszpańskim w Peniscola, zkąd uciekłszy przybył do Walencyi, podobnież w ręku Hiszpanów zostającéj i jako człowiek z czystém sumieniem przedstawił się tamecznemu wojennemu naczelnikowi. Ten uprzedzony o Moratinie, że był zagorzałym Bonapartystą, obszedł się z nim surowo i kazał go odstawić wraz z innemi przestępcami feluką do Barcelony. Tam go łaskawiéj przyjęli baron *de Eroles* i markiz *Casacagigas*, oraz Franciszek Xawery *de Castanos* i markiz de *Campo Sagrado*, komendanci placu, którzy po sobie następowali w Barcelonie.

Tymczasem wojna od sześciu lat prowadzona z zaciętością, w któréj Hiszpanie rozwinęli wszystkie zasoby poświęcenia w obronie swego kraju, zbliżała się do końca; i kiedy z jednéj strony wojska hiszpańskie pędząc przed sobą już nieliczne wrogów hufce, docierały granic francuzkich, z drugiéj złączone siły państw północnych groziły upadkiem cesarstwu Bonapartego. Runęło wreszcie: wstąpił Ferdynand na tron przodków swoich i Europa zaczęła oddychać po krwawych trudach i niezliczonych znojach. Powracająca spokojność zachęciła Moratina

do powtórnego przekładu z francuzkiego komedyi Moliera p. t. Doktor z musu *El Médico á palos*, przeznaczoną na dochód artysty dramatycznego Filipa Blanco, z którym podobnież łączyły go stosunki przyjazne. Ztámwszystkiém w tak smutném znajdował się położeniu, że mu częstokroć zbywało na opędzenie piérwszych potrzeb życia. Szlachetny monarcha nie dozwolił pozostawać mu długo w tak opłakanym stanie i oddawszy go pod sąd, który niewinność jego wyjaśnił, wszystkie zasekwestrowane dobra i dochody powrócić mu rozkazał. Nie na tém skończyły się dlań oznaki łaski monarchy: w kilka lat późniéj ofiarowaną mu została wysoka posada ze znaczną pensyą. Lecz Moratin z umysłem silnie skołatanym zeszłemi wypadkami i niedolą, wszędzie upatrywał zasadzki i podstępy, i pomimo najsilniejszych nalegań, ofiarowanéj sobie godności przyjąć nie chciał. Ścigająca go obawa nie dała mu pozostać w Barcelonie, gdzie żył lubiony i poważany od wszystkich co go otaczali, i gdzie do wszystkich teatrów wolne miał wejście.

Opuścił Barcelonę na trzy lata w 1817 r. bawiąc przez ten czas w Paryżu przy *Juanie Antonim de Melon*, i w Bolonii przy *Antonim de Robles y Monnino*. Towarzystwo było niezbędnym warunkiem życia Moratina, gdyż za powrotem do Barcelony mieszkał ciągle razem z *d. Manuelem Garcia de la Pradu*, a za okazaniem się morowego powietrza w Barcelonie, schronili się obadwaj do Bayonny, ztąd po niejakim czasie udał się Moratin do Bordeaux do przebywającego tamże *Manuela Silvela*. Roku 1824 przedał ukończone swe dzieło: *Origines del Teatro Espannol, Wincentemu Gonzales Arnao*, który wydał je w następnym roku w Paryżu. Roku 1821 przeniósł się z Silvelą do Paryża. Zdrowie i siły jego już i tak nadwątlone, szybko niknąć zaczęły, i 21 czerwca roku następnego, po krótkiéj słabości, skonał na rękach swego przyjaciela, w wieku lat 68, miesięcy 5, do ostatniéj prawie chwili używając przytomności umysłu. Spadkobierczynią swego majątku zostawił wnuczkę Silwela. Domek i ogród letni w Pastrano zapisał dworskiéj ochronie ubogich dziatek, 2,800 fr. rocznego dochodu Julianowi *Aquilino Perez*, i mniéj lub więcéj znaczne kwoty pieniężne dalekim swym krewnym.

Każdy pojmie zasługi Moratina, gdy powiemy, że był chlubną ozdobą świetnego już wówczas kastylijskiego Parnassu. Wyrównał w zdolności, a przeszedł w dobrym smaku ojca swego Mikołaja Moratina, którego pamięć, jako dobry syn, przekazał potomności w przedmowie i życiorysie zamieszczonym przy zebranych dziełach jego, a wydanych 1821 r. w Barcelonie.

Maurycy Hulpert.

Legenda o Wideradzu pod Wieluniem.

Na rogu Rynku i ulicy Barycz, w piwnicy Jędrzeja Kiełbasy, siedziało dwóch ichmościów za dzbanem piwa.—„Nie! założyłbym się o gąsior miodu, że nie przyjedzie nasz podchorążyc!" —„A ja o dziesięć przeciwko jednemu, że go tylko co nie widać!

— Gdzie zaś panie Idzi, dészcz jak z wiadra, a wiatr, jak wycie psów przed pomorem!

— To nic nie znaczy! mało znasz naszego pana Olewińskiego, onby i do piekła po sznitek wina poleciał!

— Ale, ba! Ten djabeł wideradzki może mu być na przeszkodzie!

Jeszcze sławetny Kiszka z haustem piwa nie połknął ostatniego wyrazu, kiedy nagle otworzyły się z trzaskiem drzwi austeryi i wpadł jegomość z czupryną podgoloną i harapnikiem w ręku. Jego kontusz amarantowy przemokły od deszczu, wyglądał jak czaprak wypłowiały na koniu, a bóty żółte napełnione wodą, zamieniły się na ranne pantofle.

— Ha, nasz *Illustrissimus Vexillifer*. Ha, nasz *Dominus in Olecin, Niedzielsko, Ruda, Widerad*s etc. etc.—zawołali chórem pan Idzi i jego przyjaciel kuflowy, sławetny Kiszka.

— Do stu tysięcy Tatarów! żadna łaźnia nie sprawiła mi takiéj waporyzacyi, jak ten dészcz z wichrem i gradem; chociażby mnie i z wierzchu nie oblewał, byłbym jednak przemokły do nitki!

— Ale wierzymy temu, wierzymy!

— I cóż tu sami dwaj porabiacie?

— At sobie, jak zwykle po dziennéj pracy przyszliśmy na szklankę piwa i śpiewamy naszę wieluńską piosnkę:

Pan Marek na Wideradzu,
Był kasztelanem w Sieradzu;
A że nie opłacał sługi,
Djabeł go porwał za długi.

— I w rzeczy saméj—przerwał pan Olewiński, otrząsając swą czapkę i wyżymając żupan—w tym Wideradzu musi siedzieć jakiś djabeł; ot i teraz... Ale ho! ho! nie taki to ja dudek!... znam się na historyi, jak żaden z waszych jurysprudentów... To Tatarzy narobili tego bigosu... wiadomo bowiem, że oni byli w tych okolicach r. 1240 i we dwadzieścia lat potém i odtąd, jak ojciec mój ś. p. sprawił im tu frycówkę, tak i djabeł wideradzki poszedł na suche lasy!...

— Oj prawda—rzekł Idzi, pokręcając wąsa i głaszcząc czuprynę —jeszcześ Jaśnie Wielmożny Pan, jak to powiadają trzymał koszulkę w zębach, kiedyśmy tutaj z ś. p. ojcem JWgo Pana ścigali tych wrogów chrześciaństwa!

— A i ja byłem na piérwszéj wyprawie—przerwał mu sławetny Kiszka—i dosyć daliśmy się im we znaki, ale pod Wideradzem okropnąśmy ponieśli klęskę, i oto z tą raną—tu podniósł gęsty kosmyk na głowie i pokazał głęboką bliznę—zaledwieśmy w 15 koni zdążyli do Wielunia i zatarasowali się bramą dąbrowską, gdyż przed krakowską i szlązką bramą były mosty zniesione; chmara zaś Tatarów puściwszy się za nami, a błoto już dobrze ku wieczorowi, wleciała po większéj części do kanałów, rozumiejąc, że je można na koniu przeskoczyć i tak je napełniła trupami końskiemi i ludzkiemi, że aż rzeczka Bobrek wezbrała!

— Ale cóż do stu tysięcy Tatarów, z wierzchu mokro, a w gardle sucho!—krzyknął p. Olewiński.

Hej czémprędzéj dajcie wina,
Poki staje Olewina!
Niech djabeł porwie mą duszę,
Jeśli garnca nie wysuszę!

Pani Kiełbasowa z miną na ten raz niezupełnie wróżącą gościnność, wyniosła z komory sztof półgarncowy węgierskiego wina i postawiwszy go na stole, skwapliwie skryła swe wdzięki w sypialnéj komnacie.

— Cóż za djabeł—krzyczał za odchodzącą pan Olewiński—zawsze mi gąsior garncowy stawiała, a teraz nie wiem, czy kwartę przyniosła; dziś mam ochotę cały antał wypróżnić!...

— Eh! przecież znajdzie się wino u naszego Kiełbasy—odparł sławetny Kiszka—a ponieważ my dziś uprzedziliśmy JWgo *Vexilliferum Velunensem*, *Heredem in Olevin*, *Videradz*, *Niedzielsko*, *Ruda* etc. etc. parą garncami piwa, przeto nie możemy jemu być *socii ad trahendum vinum*!

— Ho! ho! ho! nic z tego! Jako *commilitones i commilitares* mojego ś. p. ojca musicie *ad extremum suspirium* i jego nieodrodnemu synowi assocyować. „Hej *czemprędzéj dajcie wina, póki staje*" i t. d.

Na to powtórne hasło p. Olewińskiego, otworzyły się drzwi pobocznego alkierza i p. Kiełbasa w towarzystwie swéj żony i córki wtoczył się do oberży. P. Kiełbasowa trzymała męża pod prawą pachą, a córka ze smolném łuczywem w ręku, kierowała jego lewą nogę, która jakby niechętna podróży, zawsze mu w tyle zostawała. Kuczbajowa jego kiereja z prawéj strony wytarta, lśniła się jakby pociągniona pokostem, i razem z głową, na któréj ani jednego włosa nie było, tworzyła słup szarego marmuru, przedziwnie szlifowanego. Ale wąsy długie wypomadowane szpikiem wołowym spadały mu na piersi jak dwa ślimaki zpod nosa, dla których się tyle razy musiał na prawo obracać, ażeby się od łuczywa nie zapaliły, ile razy dla bólu artrytycznego chwytał się za lewą nogę.

— A! upadamy do nóg p. Kiełbaso!...

— A! najniższy sługa p. Olewiński.

— Przyszedłem Acińdziejowi podać rachuneczek; bo od śmierci ś. p. ojca, co już prawie... a tak, tak... co już prawie będzie... około lat?... jak mi się zdaje... Hm... jak się panom zdaje?... Żono, jak ci się zdaje, bo jeszcze Krzychuy nie było na świecie...

— A to przypadło—odezwał się p. Idzi *Jurisconsultus—anno milesimo ducentesimo sexagesimo quinto*, a teraz jest: *annus salutis mundi milesimus ducentesimus octogesimus tertius*, a zatém będzie... hę...

— A zatém będzie—odezwał się sławetny Kiszka prokonsul—5 od 3, dwa!...

— Ale gdzie zaś—przerwał p. Olewiński—przecież 3 od 5 jest dwa; a pięć od trzech nie mogę! pożyczam od liczby decymalnéj, a zatém 5 od 13... ośm.

— Ośm!—zawołał dygotając na swych artrytycznych nogach p. Kiełbasa—tak, rychtyg jest 18 lat, jak umarł p. chorąży, czy podchorąży ziemi wieluńskiéj i ostrzeszowskiéj, a od téj chwili JWny sukcessor ciągle pije moje wino na kredyt; oprócz 307 grzywien groszy pragskich, które po

ś. p. ojcu zostało na remanencie: lecz oto jest rachuneczek—To mówiąc, podał p. Olewińskiemu zwiniątek papieru, a p. Kiełbasianka zawczasu odkomenderowała lewą nogą w tył. Błyskawica gniewu mignęła w oczach regenta i burgrabiego, p. Olewiński skłonił głowę na piersi jak zbrodniarz, któremu dekret śmierci przeczytano.

— Eh co tam, mości chorąży! zadumałeś się i zasmuciłeś, jakbyś drugi raz był na pogrzebie swego ojca—rzekł *Jurisconsultus* głaszcząc swe wąsy.

— To prawda—odrzekł z westchnieniem Olewiński—że nie mogę już drugi raz być na pogrzebie mego ojca, ale zdaje mi się, że jestem na pogrzebie méj żony i dzieci.

— Dajmy pokój pogrzebom, póki sami jeszcze żyjemy—zawołał sławetny Kiszka—jeśli nie będziemy mieli jak zwykle wina *Illustrissimi Vexilliferi*, to również dobrze pić możemy i z naszéj kieszeni.

— Hej! wina a conto *Proconsulis Vielunensis*!—Hej! wina a conto *Jurisconsultis Vielunensis*!—zawołał pan Idzi.—Hej! wina a conto *Jurisprudentisae notarii Vielunensis*—zawołał wpadając raptem pan Świnka, również jak i pan Olewiński przemokły od deszczu. Przybycie czwartego kolegi od kufla, rozjaśniło nieco zachmurzone czoło trzech piérwszych; jednak pan Olewiński, jak z cyrografem na swoję duszę, z ową fatalną kartką chodził niespokojny i mało pił wina; wreszcie korzystając z gwaru swoich towarzyszy, usiadł w kącie, i jak Kopernik na Krakowskiém-Przedmieściu siedzący, zasnął z kartką i ze szklanką w ręku. Chrapanie rozległo się po całéj izbie. Towarzysze ostrzeżeni tém hasłem spoczynku, poszeptali, mrugnęli po sobie, i wymknęli się cichaczem z oberży.

Około północy, dźwięk młotem o blachę miedzianą przy bramie Krakowskiéj dał poznać, że wychodzący z miasta życzy otworzyć bramę.

— Kto tam!—zawołał odźwierny, wychyliwszy nieco głowy przez szczupłe okienko.

— To my *Juris prudens*, *Juris consultus* i *proconsul Vielunenses*!

— Bodajeście karki pokręcili—mruknął pod nosem odźwierny. —Hej! Bartku! leć co żywo do zamku, bo klucze każe zawsze do siebie odnosić pan starosta.

— Przecież teraz przyjechał pan kasztelan, to starosty władza upada—odezwał się pan *Jurisconsultus*.

— Ech! gdzie tam Panie; daj Boże, gdyby starosta samego kasztelana nie zamknął—odrzekł drapiąc się w głowę odźwierny.

— Czy nikt przed godziną nie przejeżdżał tędy konno z miasta?—zapytał prokonsul.

— Nikt Panie, żywa dusza od 18téj godziny jak bramy pozamykano i jak lunął ów deszcz fatalny, po którym jeszcze szumią strumienie.

W pół godziny, znów ten sam dźwięk wywołał odźwiernego z łóżka.—Kto tam!

— Dziedzic na Olewinie.

— Bodajeś zginął w téj godzinie! Leć Bartku po klucze do zamku.

Długo musiał czekać pan Olewiński, nim mu otworzono bramę, gdyż most był zwiedziony i w zamku wszyscy już spali; jednak wyrwawszy się z murów miasta, puścił w galop kucyka, który jakby zgadywał myśl swego pana, wiatrem zaczął lecieć do domu; ale tuż koło Wideradza rozległ się głos ponury jakby z grobu:

Takżeto pan Olewina
Wysuszył dziś garniec wina?
Za to na wieki z hołotą,
Żłopać odtąd będzie błoto!

Grom piorunu nigdy nie był dla niego straszniejszym; włosy się najeżyły, kołem stanął język, a kucyk dał dęba, i z miejsca się ruszyć nie mógł. Przy blasku błyskawicy, która co chwilę migała, spostrzegł dwóch strasznych murzynów, którzy go chwycili w powietrze i z góry kilka razy ciskając w błoto, zanurzali aż po uszy, a trzeci pluskał się gdzieś tam w błocie z kucykiem.

Na dworze olewińskim cichość głęboka panowała, kiedy nagle babka pani Olewińskiéj:—Anioł Pański zwiastował!—wrzasnęła.—Słyszysz Wichno tętent koni? Wideradz, Wideradz!

— Oto ja służebnica Pańska—odezwała się pani Olewińska.—Wideradz, Wideradz!

— A słowo ciałem się stało—krzyknęła wpadając do ich sypialni kucharka—czy widzicie Panie, jaki koń skrzydlaty tętni po dziedzińcu?—Wideradz, Wideradz!

Księżyc wypłynąwszy z obłoków, dozwolił im ujrzéć kucyka, który wyrwawszy się z torfowéj topieli, latał po dziedzińcu szukając ręki, któraby mu stajnię otworzyła.—Wideradz, Wideradz!—wrzasnęły wszystkie trzy razem, a na to hasło, zerwali się wszyscy słudzy i dzieci z łóżek.—Wideradz, Wideradz!—piszczały dzieci, tuląc się do łona matki i prababki.—Czy widzisz mamo, jaki djabeł straszny z rogami i z ogonem biega za tym koniem skrzydlatym?—I w rzeczy saméj przez szparę okiennicy, ujrzeli pana Olewińskiego, który z harapnikiem w ręku latał za kucykiem, aby go złowić.

Ta trójka hultajska, aktorowie téj sceny, nie powrócili razem do miasta; jeden tylko *proconsul* zjawił się nagle w komnacie swéj żony, i wyjaśnił, że go Wideradz przez całą noc męczył. *Jurisconsultus* w Niedzielsku zbudził wszystkich wieśniaków nad ranem, wrzeszcząc na całe gardło, że go Wideradz dzień i noc męczył. A *Jurisprudens* stanąwszy w Rudzie oznajmił, że od tygodnia trzymał go Wideradz w błocie. Nazajutrz więc rozmaite gruchnęły wieści o Wideradzu, i na to się wszyscy zgodzili, że wczoraj wieczorem, jeździł on na kucyku pana Olewińskiego. To tylko pewna, że kucharka pani Olewińskiéj umierając, testamentem zapisała na kościół rudzki 5 grzywien groszy szerokich pragskich, ażeby w czasie supplikacyi dodawano: „Od powietrza, głodu, ognia, wojny i od Wideradza, zachowaj nas Panie!"

C. Leonowicz.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Sorbina. W owocu jarzębiny wykrył Pelouze nowy pierwiastek cukrowy, który nazwał sorbiną. Otrzymał go zaś w następujący sposób:

W końcu miesiąca września zebrał powyższe owoce, utłukł je i przez płótno wycisnął. Sok otrzymany zostawił przez 13 do 14 miesięcy w naczyniach glinianych. W ciągu tego czasu tworzyły się w nim rozmaite osady i roślinność, ale nad tém wcale się nie zastanawiał. Ciecz dobrowolnie przejaśnioną zlał z wierzchu, odgotował w wolnym ogniu do gęstości ulepu, z którego osadziły się kryształy ciemno brunatne, te zaś za oczyszczeniem dwukrotném węglem, utraciły powyższą barwę. Za następném zgęszczeniem tegoż samego ulepu powstała nowa ilość kryształów, które tak łatwo jak i piérwsze oczyścić się dały.

Z trzech rozbiorów zupełnie czystéj *sorbiny*, która po spaleniu nie okazała najmniejszéj pozostałości, doszedł P. że to ciało składa się z 40,00 węgla, 6,66 wodorodu, i 53,34 kwasorodu.

Sorbina łączy się z solą kuchenną, z którą wydaje kryształy, te zaś uważane za pośrednictwem drobnowidu, zdają się być sześcianami.

Powyższy pierwiastek (sorbina) jest bezbarwny, smaku słodkiego, zupełnie takiego, jak ma cukier trzcinowy. Kryształy jéj są zupełnie przezroczyste, twarde, trzeszczące w zębach na podobieństwo cukru lodowatego. Woda rozpuszcza ich podwójną swą wagę; przeciwnie zaś wyskok wrzący bardzo mało, a ztąd za oziębieniem osadzają się kryształy ośmiościenne. Roztwór zgęszczony sorbiny jest podobny do ulepu z cukru zwyczajnego; ale po przyzwoitém rozrzedzeniu wodą i dopełnieniu innych warunków, nie okazuje on żadnych śladów fermentacyi (1), nawet po wystawieniu go przez 48 godzin na ciepło 20° do 30°C.

(1) Przed kilką laty donieśliśmy w Bibliotece Warszawskiéj, idąc za powagą dziennika *Erdmanna i Marschanda* (*Journal für praktische Chemie*) o otrzymywaniu wódki z jarzębiny. Gdy teraźniejsze doświadczenia Pelouza zdają się temu przeczyć, może przeto być, że w jarzębinie obok sorbiny znajduje się i cukier owocowy, lub też sorbina w pewnych okolicznościach w niego się przemienia. Rzecz ta zasługuje na wyjaśnienie. *J. B.*

Kwas siarkowy roztworzony wodą nie zmienia wcale sorbiny, i nie sprawia tego, aby zafermentować mogła. Kwas siarkowy stężony działa mocno na nią, ubarwia ją na żółto-czerwonawo, i za miernem ogrzaniem zmienia w ciało czarne węglistego pozoru, które nie było dochodzone przez p. P. Kwas saletrowy stężony lub roztworzony połową swéj wagi wody, ogrzewany z sorbiną, wywięzuje obfite czerwone pary, i tworzy kwas szczawiowy, w postaci pięknych bezbarwnych kryształów zupełnie czystych. Roztwór sorbiny ogrzewany z alkaliami ubarwia się mocno na żółto, i wydaje woń cukru przypalonego. Niedokwas ołowiu rozpuszcza się na gorąco w sorbinie, z którą wydaje roztwór żółty zapachu cukru przypalonego. Sorbina rozpuszcza wodan niedokwasu drugiego miedzi, a z roztworu tego bardzo mocno pięknie błękitnego, osadza się powoli osad czerwony niedokwasu 1go miedzi: winian miedzi i potażu, podobnież się zachowuje z sorbiną, czyto na gorąco, czy też na zimno. Sorbina ogrzewana na blasze platynowéj, lub palona na węglu rozżarzonym zachowuje się jak cukier zwyczajny, tojest roztapia się, żółknie, wydaje mocny zapach cukru przypalonego, i pozostawia obfity węgiel. Przy wolném ogrzewaniu, wychodzi z niéj para wodna lekko kwaskowata, poczém zmienia się w kwas ciemno-czerwony, który nazwano kwasem sorbinowym (jarzębinowym) (1). Kwas ten nie rozpuszcza się w wodzie, ani w wyskoku, ani też w kwasach słabych, ale jest bardzo rozpuszczalny w potażu, sodzie i amonii. Z zasadami solnemi mineralnemi tworzy sole, z których wiele ma barwę żółto-czerwonawą.

Wreszcie p. P. tak kończy swoje sprawozdanie:

Wynalezienie sorbiny w jarzębinie nie jest rzeczą w nauce drobiazgową, bo zapewne znajdzie się to ciało w owocach kwaśnych i słodkich innych roślin téjże saméj gromady. Może być, że wykryją, iż ta istota nadaje niekiedy smak słodki cieczom, które uległy fermentacyi wyskokowéj, lubo dotychczas przypisywano to nadmiarowi cukru ze względu na ferment. Sorbina od cukru różni się tylko tém, że nie przechodzi w fermentacyą wyskokową, ale jest słodką, a w własnościach swych innych, jest podobną do cukru owocowego czyli glukozu. Należy zaś do ciał obojętnych, jak cukier, guma, mączka i t. d. (Treść z pisma *L' Institut* z 17 marca 1852 r.)

✱ *Usiarkowanie kauczuku.* P. Payen czytał w Akademii umiejętności paryzkiéj rozprawę o wulkanizowaniu kauczuku. Treść jéj tu przytaczamy.

Przypisują p. Hankock fabrykantowi angielskiemu wynalezienie w r. 1843 powyższego sposobu, nazwanego *wulkanizowaniem kauczuku*, za pośrednictwem którego, to ciało nabiera szczególnych własności.

Utrzymując przez 2 do 3 godzin pasek kauczukowy gruby na 2 do 3 milimetrów w siarce roztopionéj w cieple 112° do 116° C.; ciecz ta wsiąknie w dziurki jakby woda lub wyskok, a pasek ważyć będzie więcéj 15 do 20 na sto. Żadna zaś inna zmiana widocznie nie nastąpi w własnościach kauczuku, bo można go tak urabiać i spajać, jak poprzednio:

(1) Dawniéj kwas jabłkowy otrzymywany z jarzębiny, nazywano także, lubo niewłaściwie, kwasem jarzębinowym. *J. B.*

rozpuścić w jego rozpuszczalnikach zwyczajnych, ale wtedy mniéj jest dziurkowatym. Skoro dłużéj w cieple 150° do 160° C. utrzymuje się kauczuk przy napawaniu siarką, zrobi się twardym i kruchym.

Jest jeszcze inny sposób wulkanizowania kauczuku, polegający na zanurzaniu pasków kauczukowych w mieszaninie złożonéj z 100 części siarczyku węgla, 2,5 chlorku piérwszego siarki. Ciecz wchodząc w kauczuk, sprawia jego pęcznienie. Ponieważ części zewnętrzne byłyby bardzo zwulkanizowane i kruche, należy kauczuk wyjąć z roztworu po 1 lub 2 minutach, a potém zaraz namoczyć go w wodzie. (Treść z pisma *L'Institut* z 31 marca, 1852 r.).

* *Szczegóły tyczące się dyamentu znalezionego w Nizam, większego niż dyament zwany Regent*, przez kapitana Fitzgerald. Przed 12 lub 14 latami, znaleziono w kraju Nizam wielki dyament wśród dosyć szczególnych okoliczności. Kawałek z niego ukruszony, sprzedany został za 70,000 rupij. Główna zaś bryłka jest własnością księcia Nizamu.

W następujący sposób odkrycie to nastąpiło. Dyament ten spostrzeżono nasamprzód w rękach dziecka indyjskiego, które się nim bawiło, a nikt nie odgadł jego natury. Ofiarowano 8 *annas* rodzicom tego dziecka, którzy byli biédni; a to obudziło ich podejrzenie, i sprawiło, iż starali się objaśnić o rzeczywistéj wartości ciała, które uważali za prosty kamień. Z tych objaśnień okazało się, że to był prawdziwy dyament i to jeden z największych, znanych w dzisiejszym czasie.

Wymiary tego kamienia w miarach angielskich, są:

Długość.	2 cale, 45
Największa szerokość. . .	1, — 35
Grubość średnia.	0, — 92
Ważył zaś	1164, gran. 50
A ciężar gatunkowy miał	3, gran. 70

Przypuszczając, że przy szlifowaniu dyament ten straci około połowę swéj wagi, ważyć będzie po obrobieniu jeszcze około 138 karatów; gdy dyament zwany Regent waży 136¾ karata, a dyament W. księcia toskańskiego 139 karatów. Gdyby zaś nie był odtłuczony, ważyłby po wygładzeniu 155¾ karata, czyli trzymałby środkowe miejsce między dyamentem toskańskim i rossyjskim, ważącym 195 karatów, który także pochodzi z Indyj.

Zapewne powyższy dyament musi być bardzo piękny, gdy za odłamek dano 70000 rupij; w tym razie wyrachowano, iż wart będzie 3,836,450 franków. (Treść z pisma *L'Institut* z d. 14 kwietnia, 1852 r.).

* Z prac p. Damour pokazuje się, że metal *Donar* (Donarium), o którego odkryciu donieśliśmy w Bibliotece Warszawskiéj, powinien być z listy pierwiastków wykreślony; ponieważ ciało zwane *donaryn*, okazało się być toryną. (*L'Institut* z 5 maja, 1852 r. w treści).

J. B...a.

FIZYKA.

James Thomson w następny sposób stwierdził ważny wniosek z teoryi wypadający, że temp. topienia się lodu zniża się w skutek sztucznego ciśnienia. W tym celu użył termometru bardzo dokładną mającego podziałkę (dlatego, że przy ciśnieniu wynoszącém 10 atmosfer różnica temp. dopiéro okazuje się w $^1/_{10}$ części stopnia), w tym termometrze na miejsce merkuryuszu brał eter siarczany, płyn rozszerzający się 8, 9 razy mocniéj od merkuryuszu, a posiadający gęstość 20 razy mniejszą. Aby termometr ochronić od uszkodzenia zalutował go w mocnéj szklanéj rurze. Wodę uciskał za pomocą sympiezometru Oersteda, napełnionego kawałkami lodu i wodą, a mającego w środku wyżéj opisany termometr. Przed rozpoczęciem ciśnienia, termometr wskazywał 67 podział, przy ciśnieniu 10—12 atmosfer termometr opadł do 61 podział., a po usunieniu ciśnienia wrócił do 67 podział. To powtarzało się za każdém ponowieniem ciśnienia. W ten więc sposób stwierdzono, że temp. ścinania się wody zniża się wyraźnie od ciśnienia kilku atmosfer, a mianowicie 8 atmosfer sprawiają zniżenie temp. 0,106° F., ciśnienie 16 atmosfer zniżają o 0,232° F. Teorya przewidziała ten wypadek dając na te ciśnienia, zniżenia temperatur równe 0,109 i 0,227° F. (*Bibl. de Genèv. Nov. 1850).*

* Dotąd wiadomém było, że gorenie ciał obudza wydzielanie się elektryczności wolnéj; teraz Hankel przekonał, że w płomieniu istnieją dwa przeciwimienne stany elektryczne w różnych częściach płomienia, podobne do tych, jakie znajdujemy w blaszkach zynkowej i miedzianéj; i skoro opór płomienia w przewodnictwie elektryczności dozwoli im utworzyć obwód zamknięty, te dwa stany mogą być powodem strumienia galwanicznego. Przy swych pracach doświadczał płomieni z wyskoku i eteru, a do zbadania strumienia powstającego w płomieniu z powodu wielkiego jego oporu dla elektryczności, używał multiplikatora o bardzo wielu zwojach. Aby się przekonać że w płomieniu rzeczywiście mają miejsce znaczne napięcia przeciwimiennych elektryczności, dosyć połączyć lampę o podwójnym ciągu nalaną wyskokiem z ziemią i dolnym krążkiem kondensatora, a jednocześnie w płomieniu jéj utrzymywać blaszkę platynową, kommunikującą z górnym krążkiem kondensatora. Ostatni krążek przybiéra ujemną elektryczność. Ustalając połączenie lampy z górnym krążkiem, a blaszki z dolnym i z ziemią, górny krążek staje się dodatnio-elektrycznym. Ilość jéj jest tak znaczną, że może na kilka linij odsunąć od siebie blaszki złote wiszące w elektroskopie Bonenberga. Bequerel wyjaśnia to różnicą temperatur, na jakie wystawioną jest blaszka rozpalona i metal z którego wyrobioną jest lampa: jednakże według poszukiwań Hankela, mniemanie to utrzymać się nie może.

Napięcie elektryczne płomienia jest bardzo różne i zależy od kształtu i wielkości płomienia. To okazać można za pomocą małego płomienia palącego się wodorodu. Naczynie szklane z którego wywiązywał się wodoród, opatrzone było krążkiem metalowym złączonym z ziemią; gdy w czasie palenia gazu blaszkę platynową w poziomém położeniu nad płomieniem trzymaną, zbliżamy do końca płomienia, kondensator z nią

złączony wskazuje ciągłe zwiększanie elektryczności, a dotykając się końca płomienia kondensator okazał największe dodatnie napięcie. Skoro zaś blaszka weszła w płomień, elektryczność zmniejszać się zaczęła, a prawie w środku płomienia zmieniła swój znak. Łącząc koniec multiplikatora z lampą, a drugi trzymając na kilka linij nad płomieniem, igła wskazała 1°; przerywając i zmieniając kierunek strumienia igła wskazywała 15° do 16°. Przytém strumień biegł po płomieniu z góry na dół, tojest od blaszki platynowéj nad płomieniem ku lampie przez płomień. Siła strumienia zależy od wielkości płomienia i żywości gorenia. Kierunek jego zmianie ulega; bywa albo z góry na dół, lub z dołu do góry płomienia, gdy końce platynowe drutu multiplikatora stawiamy w różnych jego częściach. (*Bibl. Genève. Maj*).

✳ M. August dostrzegł, że igła metalowa swobodnie zawieszona w bliskości obracanéj tafli szklanéj machiny elektrycznéj, po kilku oscyllacyach przybiéra szybki ruch obrotowy. Kierunek ruchu przeciwny jest względem kierunku obrotu tafli; ztąd ruch igły zmienia się gdy ją ustawiamy nad, pod, z prawéj lub lewéj strony osi obrotu. Chcąc aby to zjawisko było wyraźném, potrzeba aby poduszki machiny leżały na poziomie osi i nie kommunikowały się z ziemią. Przyczyną tego zjawiska jest przyciąganie elektryczne wywierane między taflą a igłą metalową, którego maximum ma miejsce w kierunku ukośnym między osią obrotu igły, a częściami tafli przyległemi poduszce, a więc najmocniéj naelektryzowanemi.

Za tém tłumaczeniem przemawia uważanie tego zjawiska w ciemności; wtedy bowiem daje się widzieć koło świetne z dwóch łuków niezupełnie równych złożone: jeden bliższy tafli koloru czerwonego, powstały z elektryczności ujemnéj, wyrzucanéj przez koniec igły; drugi żółtawy z elektryczności dodatniéj kształtu pędzla, płynie z przeciwległego końca igły. Linia przechodząca przez środki tych dwóch łuków i oś obrotu igły nie jest prostopadłą, lecz ukośną do powierzchni tafli.

Czyniąc to doświadczenie, należy machinę obracać z jednostajną prędkością, a przytém pamiętać należy, aby przez pewien czas przed doświadczeniem machina nie była w użyciu, czyli, aby powietrze otaczające, nie było zbyt naelektryzowane.

✳ Matteucci śledząc przewodnictwo ziemi dla strumienia galwanicznego przekonał naprzód, iż stosunek przewodnictwa żelaza do miedzi jest jak 1: 5.152; że zwiększenie spółczynnika oporu w skutek podniesienia temp. dla żelaza środkuje między 0,00467 a 0,00437 na każdy stopień ciepła; że przewodnictwo wody morskiéj przy temp. +11°,5 C. jest 2,134,172 razy mniejsze od przewodnictwa żelaza, a 100 do 120 razy większe od wody rzecznéj lub źródlanéj. Następnie wykonał kilka doświadczeń w celu oznaczenia przybliżonego przewodnictwa glin, piasków, głazów i t. d. względnie do wody, i wywiódł wniosek, że krążenie elektryczne po skorupie ziemskiéj, przypisywać należy wodzie zawierającéj ślady soli i oblewającéj cząstki stałe, poprzedzielane między sobą mniéj lub więcéj znacznemi przestworami, tworzącemi w zetknięciu z elektrodami warstwy przerywanego przewodnictwa.

Oznaczył także wpływ, jaki na przewodnictwo warstw ziemskich wywiera rozległość, kształt samych warstw, powierzchnia elektrodów,

stopień przewodnictwa cienkiéj warstewki przylegającéj do elektrodów, nakoniec długość warstwy ziemi uważanéj przy różnych warunkach. Ztąd otrzymał takie wypadki:

Przewodnictwo warstwy ziemi, uważane względnie do przewodnictwa jakie daje takaż sama warstwa ziemi odosobnionéj, z temiż samemi elektrodami, tém jest większe, im użyta warstwa posiada większą długość, a mniejszą sposobność do przepuszczania elektryczności.

Powiększając powierzchnią elektrodów albo otaczając ją cienką warstwą ciała dobrze przewodzącego elektryczność, np. piaskiem napojonym wodą słoną lub siarczanem miedzi, zmniejsza się znacznie opór warstwy ziemskiéj, niekiedy sprowadza się do połowy, a nawet i części trzeciéj.

Opór warstwy ziemi, w ogóle zmniejszający się z jéj grubością, pozostaje prawie jednaki od 10 do 100. 200 metrów, a nawet do 8 kilometrów; począwszy od téj liczby aż do 77 kilometrów opór jakkolwiek o małą ilość, wyraźnie się pomniejsza stosunkowo do przyrostu długości.

Opór warstwy ziemskiéj długiéj na 77 kilometrów, środkującéj między wszelkiemi elektrodami, prawie wyrównywa oporowi warstwy wody grubéj na 0,5 metra, zawartéj w naczyniu odosobnioném.

Warstwy wody morskiéj długie od kilku metrów do 8 kilometrów, stawiają zawsze jednakowy opór. W wodzie rzecznéj opór zmniejsza się szybko z powiększaniem długości warstwy, a przy 100 metr. tak jak 8 kilometr. okazał się jednaki. (*Bibl. de Genève. Mai*).

* Od pewnego czasu dostrzegano w kilku domach w New-York szczególne zjawisko elektryczne: zbliżając rękę do klamki, do ramy złoconéj zwierciadła, lub do innego metalowego przedmiotu, szczególniéj téż dobrze połączonego z ziemią, wyskakiwały znaczne iskry. W jednym takim domu, który zwiedził Loowis, dziecko za dotknięciem klamki, doznało tak silnego uderzenia, że się mocno przestraszyło; a kobieta chcąca za pomocą rury głosowéj przesłać polecenie, doświadczyła w usta bardzo nieprzyjemnego elektrycznego wystrzału, i chcąc uniknąć ponawiania się tego uczucia, musiała zawsze poprzednio dotykać się rury ręką. W niektórych domach wyładowania elektryczne były tak silne, jak z dobrze nabitéj butelki lejdejskiéj.

Loowis po staranném zbadaniu wszelkich okoliczności wniósł, że elektryczność wywiązuje się z tarcia obuwia o kobierce rozesłane w pokojach. Bezpośrednio przekonał się, że tarcie skóry o materyą wełnianą a szczególniéj o kawałek kobierca rozdziela naturalną elektryczność, przyczém na skórze zbiera się dodatnia, a na wełnie ujemna elektryczność. Aby jednak z téj przyczyny mogła powstać aż iskra, potrzeba szczególnie sprzyjających okoliczności.

Kobierzec, a przynajmniéj zwierzchnia jego powierzchnia, musi być z saméj wełny i mocno zbity. Zwiększenie grubości przyczynia się do lepszego odosobnienia kobierca.

Kobierzec, równie jak i posadzka, powinny być bardzo suche, aby w miarę powstawania elektryczność nie mogła uchodzić. To właśnie rzadko ma miejsce, chyba w pokojach mocno ogrzewanych podczas zimy. Najobfitszą była elektryczność w domach dobrze zbudowanych i ogrze-

wanych piecami w porze chłodnéj; w czasie dni ciepłych, można było otrzymywać zaledwie słabe ślady elektryczności. Podeszwa winna być także suchą i tarcie przez nią wykonywane dość mocne.

Osoba, która raz lub dwa razy przeszła po pokoju, przez tarcie nogami, tak mocno była naelektryzowana, że po przybliżeniu palca do przedmiotu metalowego dobrze złączonego z ziemią, wydawała iskrę.

Powyższe źródło elektryczności jest zapewne przyczyną wielu zjawisk, które dotąd uważano jako pochodzące z ciała ludzkiego, czyto w skutek działania fizyologicznego, czy w skutek tarcia powierzchni ciała o jedwabne lub sukienne ubranie.

Zdaje się, że najprostszym środkiem usunienia nieprzyjemności, jakie tak mocne wywiązywanie elektryczności przy sprzyjających okolicznościach atmosferycznych sprawia mieszkańcom podobnych domów, byłoby utrzymywanie powietrza pomieszkań w pewnym stopniu wilgotności, za pomocą naczyń z wrzącą wodą lub innego podobnego przyrządu. Zresztą przytoczony środek miałby i tę zaletę, że poprawiałby niezbyt przyjazne zdrowiu warunki, powstające z oddychania w zimie zbyt suchém powietrzem. *(B. d. G. Jouillet).*

* Plücher bańkę szklaną, opatrzoną takimże korecznikiem, napełnioną różnemi gazami przytwierdzał do bardzo delikatnych szalek, a następnie przybliżając do niéj elektromagnes, oznaczał za pomocą ciężarków przyciąganie wykonywane przez elektromagnes na gaz doświadczany. Z podobnych poszukiwań wypadło, że magnetyzm gatunkowy kwasorodu, uważany względnie do magnetyzmu żelaza branego za jedność, wynosi 0, 0035. Ta liczba zgadza się ze znalezioną dawniéj przez Faradaya dla tego pierwiastku. Kwasoród utraca swój magnetyzm w gazach z któremi wchodzi w połączenie chemiczne. Magnetyzm kwasorodu, niedokwasu 2go azotu, i innych magnetycznych gazów, proporcyonalnym jest do gęstości tychże gazów. Gaz magnetyczny przez pewien czas przyciągany przez biegun elektromagnesu, po zmienieniu w tym ostatnim położenia biegunów objawia bardzo wyraźne odpychanie. Ztąd Plücher wnosi, że gazy podobnie jak stal, posiadają siłę zatrzymującą rozłożony naturalny magnetyzm. *(L' Institut. Sept).*

* Tyodall przekonał się, że woda spadająca ciągłym strumieniem do innego naczynia napełnionego także wodą, nie wywołuje ani kulek powietrznych, ani żadnego dźwięku: skoro jednak oddalimy otwór z którego płynie strumień wody tak daleko, aby koniec żyły wodnéj przerwał się i porozdzielał się na krople, wtedy na wodzie w naczyniu ukazują się bulki powietrza i dźwięki bardzo zmiennéj mocy. Okazał także, że poruszanie z dostateczną chyżością ciał stałych w wodzie w kierunku poprzecznym, podobne powoduje zjawiska. Przyczyną tych fenomenów, według Tyndalla, jest próżnia tworząca się za spadającą kroplą lub ciałem poruszanem; powietrze zawierające się w tych bezwodnych miejscach popychane zrazu w kierunku ruchu kropli lub ciała, w końcu podnosi się nad powierzchnię wody, pęka i tym sposobem wywołuje dźwięki. *(L' Institut. Nr. 924. Sept.).*

S. P.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

88. *Christoph Schmid's Kleine Erzählungen mit einem vollständigen deutsch-polnischen Wörterbuche versehen, herausgegeben von J. E. 16. Warschau, 1852. Verlag von B. Lessmann, Druck v. St. Strąbski.* Str. 104, kart 2 i słownika str. 38. Złp. 2 gr. 15.

89. Dyrektor Ambrożewicz. Gawędy Michała Kątkowskiego. 16ka. Wilno. 1852. Druk J. Zawadzkiego. Oddział I str. 139, II 110. Złp. 8.

90. Głos duszy. Zbiór nabożeństwa katolickiego, mieszczący w sobie: Kilka sposobów słuchania Mszy Ś., Nabożeństwo na Wielki Tydzień, Nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszéj, do Najświętszéj Maryi Panny, do Świętych Aniołów Bożych, Nowennę o śmierć szczęśliwą, Modlitwy na główniejsze uroczystości roczne, oraz Pieśni kościelne. Z godłem:

Czujcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokusę. Duch-ci wprawdzie jest ochotny, ale ciało mdłe. (Mat. XXVI, 41).

Proście a będzie wam dano: szukajcie a znajdziecie: kołaczcie a będzie wam otworzono. (Mat. VII, 7).

I wszystko o cobyście prosili w modlitwie wierząc, weźmiecie. (Mat. XXI, 22).

Wydanie nowe poprawne. 16ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 736. Złp. 11.

91. Kazanie o wielkości powołania życia zakonnego, w dzień Ś. Franciszka Salezego, przy professji Panny Kazimiéry Balińskiéj, miane w kościele PP. Wizytek w Wilnie 1852 roku, przez X. S. Kozłowskiego, M. S. Th. Rektora Seminarjum Dyecezalnego Wileńskiego. 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 23. Złp. 1.

92. Historya nowożytna. Ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki, aż do rewolucyi francuzkiéj. Przełożył na język polski L. J(enicke). 2 tomy. 8ka. Warszawa. 1852. Nakład II. Natansona, druk Ungra. Tom I, kart nap. 2, str. IX i 328. II, str. X i 424. Złp. 18.

93. Marynka Czarownica (.) Opowiadanie mojéj piastunki. Przez Bronisławę Kamińską. 16ka. Warszawa. 1852. Druk Strąbskiego. Str. IV i 224. Złp. 5.

94. Podania i baśni ludu w Mazowszu (z dodatkiem kilku szląskich i wielkopolskich) spisał Roman Zmorski. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk Nischkowskiego. Str. XIV i 199. Złp. 8.

95. Rok Chrystusowy czyli rozmyślania na każdy dzień roku o życiu i nauce Pana naszego Jezusa Chrystusa przez X. M. Awanciua. Z łacińskiego przerobił i do użytku wszystkich zastosował Xiądz ***. Wydanie drugie. 12ka. Berlin. 1852. W księgarni Behra. Złp. 13 gr. 10.

96. *Sokraszczennaja Niemieckaja Grammatika. (po Heinziusu).* 8. Wilno. 1852. Druk J. Zawadzkiego. Str. 152. Złp. 2 gr. 20.

97. Wody lekarskie Sczawnickie opisał Michał Zielenlewski Doktor Medycyny, Chirurgii i Mag. Akuszeryi, Adjunkt Kliniki położniczéj Uniwersytetu Jagiellońskiego. 8ka. Kraków. 1852. Nakładem autora, czcionkami drukarni Czasu. Nadpisów i przedmowy str. liczb. VII i 127.

98. Zaraza. Obrazek obyczajowy. Przez Adama Pługa. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Kart nap. 2 i str. 255. Złp. 6 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

K. Wł. Wojcicki zamierzył wydawać *Archiwum domowe* do dziejów i literatury krajowéj, złożone głównie z rękopismów dotąd zupełnie nieznanych. Dla badacza dziejów krajowych, domowego żywota przodków naszych i literatury, znajdą się tu bardzo ważne zasoby. W zbiorze tym obszernym, którego najmniéj sześć tomów rocznie wyjdzie, mieścić się będą i przedruki dzieł nadzwyczaj rzadkich, ale tylko takie, które są konieczne do poznania zarysów dawnego wewnętrznego życia; wszakże przedruk tych pomników nie zajmie i ¼ części całego Archiwum.

— Pisma krajowe doniosły w r. z. o wyjściu dwóch tomów dzieła pod tyt.: *Opis Królestwa Polskiego* pod względem historycznym, statystycznym, przemysłowym, handlowym i zwyczajów. Dalszy ciąg tego dzieła, tojest tom IIIci już prasę opuścił, i za wykończeniem rycin, głównie dotąd wydanie tamujących, natychmiast prenumeratorom doręczonym zostanie. Tom ten obejmuje opis powiatów: opatowskiego i sandomierskiego, również jak poprzednie bogatych w piękne krajobrazy, pomniki historyczne, rękodzielnie i zakłady przemysłowe. Lud dawnéj ziemi sandomierskiéj niepoślednie téż między resztą współbraci trzyma miejsce; opis więc téj części kraju dla wszystkich obojętnym nie będzie.

— Księgarz S. *Orgelbrand* wkrótce wyda pierwsze poszyty Historyi powszechnéj *Cantu* (ogromnego dzieła, bo z 10 wielkich tomów złożonego).

— Księgarz Henryk Natanson ogłosił: „Wybór przekładów z wzorowych pisarzów zagranicznych" i wydał na początek powieść z szwedzkiego Fryderyki Bremer p. n.: Sąsiedzi, we 2 tomach. Następnie wyjdzie powieść Lady Fullerton w 2 tomach p. n.: *Zamek Grantlej*, a w dalszym ciągu mają być wydane przekłady z oryginałów najsławniejszych powieściopisarzy angielskich, amerykańskich i. t. d. Przedsięwzięcie to kierowane myślą i smakiem wykształconego nakładcy, powinno znaleźć w czytającéj publiczności i zachętę i współczucie.

— Władysław *Syrokomla* pisze wielki poemat p. n.: *Kanonik Przemyski*. Głównemi osobami działającemi jest Orzechowski i Rej. Część większa ukończona. Obecnie pracuje nad *Wędrówkami po moich stronach*; jest to opisanie Nieświeżskiego i całéj Radziwiłłowszczyzny. Nadto tłumaczy Heldenstejna, który wyjdzie w zbiorze historyków B. M. Wolffa w Petersburgu.

— A. E. *Odyniec* ukończył swój dramat w 5 aktach wierszem, pod nadpisem: „Barbara Radziwiłłówna."

— T. Glücksberg w Wilnie drukuje Filozofią Max. *Jakubowicza* w trzech tomach.

— Maxymilian Fajans wykończa dwa następne poszyty *Wizerunków Polskich*; między innemi będą portrety Szopena, Jana Królikowskiego artysty dramatycznego, Rastawieckiego autora Słownika Malarzy polskich i Mappografii, Michała Oczapowskiego i t. d.

— W drukarni Piotra Pillera we Lwowie wyszły: „Sprawa ortografii polskiéj w Galicyi," przez Franciszka Rychlickiego z Wilczéj Woli, w 8ce; tudzież: „Kartofle i machiny parowe," przez *tegoż*.

— W b. m. rozpoczął się w drukarni uniw. w Krakowie druk dzieła, pod tyt. „Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich", napisany przez ks. Ludwika Łętowskiego biskupa Joppejskiego, dziekana kap. kat. krak. Wielkie to dzieło składać się będzie z trzech tomów, z których 1szy będzie miał napis: „Biskupi krakowscy", dwa zaś ostatnie: „Prałaci i kanonicy krakowscy". W tomie pierwszym, mającym przeszło 40 arkuszy druku objąć, umieszczone są przy każdym biskupie po r. 1500 dyplomata i transumpta, z wypisem daty i przedmiotu, a często i ciekawszych szczegółów.

— R. Zmorski przygotował w dwóch dużych tomach przekład: „Pieśni serbskich" rymowanym i miarowym wierszem.

— W tłoczni Winiarza we Lwowie wyszło: „O nomenklaturze chemicznéj; wyjątek z najnowszego dzieła Regnaulta: *Cours elementaire de Chimie*, przetłumaczył i do nomenklatury chemicznéj zastosował J. P. M. Duniecki" Lwów. 8ku. Str. 17.

— Wspomniany w zeszycie kwietniowym na r. b. Biblioteki Warszawskiéj: „Zbiór spraw kryminalnych, zebranych w sądach i archiwach krajowych" przez L. Tripplina, a wychodzący w Wrocławiu nakładem księgarza Schlettera, zawierać będzie między innemi: 1) Sprawę przeciwko Kazimierzowi Łyszczyńskiemu, straconemu w r. 1689. 2) Sprawę między księciem Adamem Czartoryskim gen. ziem podol. a Janem Komarzewskim generałem i Franciszkiem Ryxem starostą, oskarżonemi o zamysł otrucia księcia Czartoryskiego. 3) Zgon dwóch ostatnich książąt mazowieckich. 4) Sprawy przeciwko czarownicom: a) relacya naocznego świadka stracenia razem 14 mniemanych czarownic, w drugiéj połowie XVIII wieku: b) inkwizycye i wyroki wydane przeciwko czarownicom w r. 1699, 1719, 1731 i 1732. 5) Sprawę Patkula. 6) Zamach Piekarskiego na życie Zygmunta Iligo, i wiele innych spraw i nieznanych dotąd wypadków historycznych, objaśnionych nowemi dokumentami.

— Ukazał się już, wydany przez Tytusa hr. Działyńskiego *Rodowód Szydłowieckich*, cały z przedmową i dopisem w języku łacińskim ogłoszony. Ma on właściwie tytuł: *Liber Geneseos Illus. familiae Schidlovicíae* MDXXXI (Typis Crapelet, via dicta de Vaugirard, 9.) Cena Złp. 120. Książka ta wyszła w małym arkuszu, na grubym papierze, ma razem 17 kart druku bez liczbowania i 17 tablic rycin. Druk i ryciny należą do najpiękniejszych wyrobów swego rodzaju. Naprzód idzie tytuł, z dużym w pośrodku wizerunkiem herbu Szydłowieckich, Odrowąż, naśladujący suadź wstępną kartę

rękopisu z r. 1531, który ze swoim textem i z 12 rycinami stanowi główny przedmiot niniejszej publikacyi. Następuje przedmowa p. hr. Działyńskiego, pisana w Kórniku r. 1848. Dowiadujemy się z niej, iż ogłoszony teraz rękopis, wraz z całym skarbcem innych starych kodexów, jeszcze przed 30 prawie laty zakupiony został przez p. Dz. za 2,000 dukatów. Po przedmowie zaczyna się text rękopisu z r. 1531, drukowany dla większego podobieństwa do oryginału pismem gotyckiem, obejmujący na 5 kartach (10 str.) bardzo zwięzły rodopis Szydłowieckich, który ogranicza się skromnie na wyszczególnieniu głośniejszych jego członków, kwitnących w kilkudziesięcioletnim przeciągu czasu od Kazimierza Jagiel. do jego syna Zygmunta 1go, a w następującym szeregu 12 rycin w większej części osobiście wyobrażonych. Te dwanaście wizerunków, jak sam wydawca w dalszym dopisie wyraża się, stanowią wszelką wartość tego dzieła. Piękność całéj obrazowéj części wydania, ozdobność jego powierzchowności, nic do życzenia nie pozostawiają.

— W drukarni Zakładu narod. Ossolińskich wyszły: „Obserwacye należące do koni i stad polskich," napisane r. 1705 przez Jerzego Dzieduszyckiego.

— Nestor słownikarzy polskich, sędziwy starzec, pastor Mrongowius w Gdańsku, który przed rokiem wydał „Śpiewnik" dla użytku ewangelików polskich, wygotował nowe wydanie Słownika niemiecko-polskiego, który wyjdzie nakładem księgarni Borntraegera w Królewcu.

— W letniém półroczu w uniwersytecie wrocławskim Dr. Kraliński wykłada: 1) literaturę słowiańską; 2) literaturę polską; 3) grammatykę polską dla Polaków; 4) grammatykę polską dla Niemców; 5) ćwiczenia dla uczących się pisać i mówić po polsku. P. lektor Fritz wykłada zaś: 1) grammatykę polską łącznie z ćwiczeniami dla uczących się pisać i mówić po polsku i 2) początki języka rossyjskiego.

— W posiadaniu p. Kraszewskiego znachodzi się bardzo ważny rękopis do dziejów kościoła katolickiego w prowincyach ruskich i do historyi literatury. W formacie arkuszowym obejmuje on dwa duże tomy o 513 i 734 stronnicach, a ma napis: *De rebus gestis in provincia Russiae S. Hijacinthi Odrovonsii Ordinis Praedicatorum historicus commentarius etc. p.* Clemente Chodykiewicz. A. MDCCLXIV. Tom 1szy zawiéra cztéry księgi traktujące: I. O przybyciu św. Jacka do Polski. II. O braciach pielgrzymujących. III. O stanie zakonu Kaznodziejskiego na Rusi. IV. O ogóle zakonu Kaznodziejskiego w Polsce i Rusi. Siedm dalszych ksiąg tomu 2go opisują szczegółowo klasztory dominikańskie we Lwowie, Mościskach, Jaworowie, Żółkwi, Busku, Brodach, Podkamieniu, Lachowicach, Konstantynowie i t. d. aż po Kijów i Mińsk. W ten sposób skreślona jest historya 79 klasztorów z przytoczeniem dokumentów fundacyi i innych ważnych aktów. W końcu jest rozdział o mężach sławnych zakonu Kaznodziejskiego. Wylicza nadto porządkiem abecadłowym przeszło 160 imion, po większéj części literaturze zasłużonych. Rękopis ten może dla historyi kościelnéj i historyi lit. bardzo znamienitem stać się uzupełnieniem.

— Druk tomu 4go: „Wiadomości historyczno-krytycznych Józefa Maxym. Ossolińskiego, w drukarni Zakładu tegoż imienia znacznie już postąpił. Odbite są na czysto żywoty następujące: Hozyusza, Dantyszka,

Niemojewskiego, Modrzewskiego i Kryckiego; wkrótce wydrukowane będą i dalsze. Tom tego dzieła znacznie pomnoży szereg biografij pisarzów polskich, i poda o wielu z nich wiadomości takie, jakie tylko wielostronna nauka i długoletnie poszukiwanie razem zebrać i przedstawić są w stanie.

— Komuissya archeologiczna w Petersburgu (Komissia dla razbora driewnich aktow) zamierza zająć się wkrótce pracą nadzwyczajnie dla dziejów pożądaną, t. j. wydaniem II i IIIgo tomu Kodexu dyplomatycznego Dogiela, które dotąd w rękopisie zostają. Tamże ma się ukazać Skarbczyk poetów polskich. Pierwszy tom zawierać będzie poezye Kazimierza Brodzińskiego, następne zaś wszystko, co tylko znakomitszego aż do najnowszych czasów w dziedzinie poezyi pojawiło się.

— Antoni Oleszczyński od lat kilku pracuje nad monumentalną ryciną Kopernika; będzie też to, śmiało powiedzieć można, najpiękniejsza rycina polska. Dla jéj wykonania p. Olesz. robił długie studya nad życiem wielkiego astronoma.—Pierwsza rycina już ukończona na stali, w wielkim arkuszu, zajmuje we środku popiersie Kopernika wedle portretu z r. 1530. Na tle portretu dwanaście figur zodyaku znaczą powołanie astronoma. Ramy obrazu ułożone w guście *renaissance*, a w nich autor zamiast kopiowanych, jak zwykle bywa, ozdób, zamieścił dzieje naszéj astronomii. Jest w nich 38 figur prześlicznie wykonanych. Na wierzchu anioł w promieniach i napis: *Sta sol ne movere*, trzyma księgę z wyrytemi nazwiskami celniejszych astronomów od Ptolomeusza, aż do Lagranża i Arago: na lewo Brudzewski mistrz Kopernika w towarzystwie kilku spółczesnych figur. Na prawo Heweliusz rysujący na niebie tarczę Janiny, przed którym ukazuje się cień Sobieskiego. Obok: wydawcy dzieł, kommentatorowie i mecenasi Kopernika. W drugim rzędzie przy figurach czterech królów założycieli i protektorów uniwersytetu Jagiellońskiego, figura St. Jabłonowskiego wydawcy dzieł Kopernika, i druga St. Staszyca, jako męża, któremu pomnik warszawski Kopernika najwięcéj poniekąd winniśmy. W trzecim rzędzie dwie poważne postaci ks. Poczobutta i Jana Śniadeckiego otoczone gronem słuchaczy, w środku kilka osób współczesnych Kopernikowi, a po bokach z jednéj strony Puzynina, założycielka obserwatoryum wileńskiego, z drugiéj Adryan Krzyżanowski obrońca narodowości i biograf uczonego astronoma. W czwartym rzędzie: we środku medal Kopernika, obok ośm najcelniejszych znanych jego portretów, jakoto: ze zbioru Cichowskiego, z Muzeum brytańskiego, z edycyi Gassendego, z Walhalli bawarskiéj, ze zbioru Lubomirskiego i t. d. Co nadewszystko uderza, że z tłumu osób figura Kopernika odbija wydatnie, tak, jako gieniusz jego zabłysnął w poczecie astronomów, i że obraz aczkolwiek tak pełny, nie jest bynajmniéj przeciężony ozdobami, ani nie traci całości i harmonii. Druga rycina odpowiedniéj wielkości, ma zamieszczać dom Kopernika, kościół w którym był pogrzebany, i objaśnienie pierwszéj. P. Oleszczyński odrywany pracą zarobkową od dzieła swego, pracuje nad niém już trzy lata, i nie ma nadziei ukończenia drugiéj ryciny tak prędko. Oprócz tego, zajęty on jest obecnie sztychami prześlicznych obrazów do Album Wilczyńskiego.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Czerwiec, 1852.

Czerwiec 1852. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ᵍ· 14ᵐ· 45ˢ·, 7 względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1		751.62	752.27	752.73	753.72	+11°.4	+14°.3	+17°.0	+13°.2	55.7	lek. pochm.	pogodny	pr. pochm.	pogodny	Z	PnZ.	Pn.	PnZ.		
2	☽.	754.80	754.96	753.84	753.72	12.9	17.6	21.2	14.3	51.3	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	pogodny	PnZ.	Z.	Z.	Pn.		
3		754.20	754.39	752.85	752.69	14.5	19.8	23.4	17 6	49.2	pogodny	pogodny	chm. miej.	pr. pogodny	Pd.	Z.	PnZ.	W.		
4		752.28		750.58	750.56	15.1		21.3	13.1	58.0	pogodny		lek. pochm.	pochmurny	PnW.		PnW.	PnW.		
5		750.70	750.23	749.91	750 09	13.8	16.4	14.5	12.3	67.5	pochmurny	chmurki	poch. dész.	lek. pochm.	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
6		749.55	749.86	749.09	749.41	12.3	18.5	20.6	16.5	60.5	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	smugi	Z.	Z.	Pn.	Pn.		
7		750.17	750.25	748.97	749 64	16 0	21.0	24.7	16.4	67.3	lek. pochm.	pr. pogodny	dészcz gęsty	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	PnW.	2.3	
8		749.20	749.09	746.90	747.45	18.9	22.5	27.3	19.7	67.0	pr. pogodny	pogodny	chm. miej.	pogodny	W.	PdW.	Pd.	PdW.		
9	☾.	746.45	745.58	742.75	740 69	20.2	25.4	28.3	21.3	60.7	pogodny	pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
10		739.58	738.33	737.06	737.95	19.7	24.3	15.7	15.3	82.8	lek. pochm.	poch. dész.	poch. dész.	pochmurny	PdZ.	Pd.	PnZ.	Z.	10.0	
11		740.75	742.35	742.74	744.36	17.0	19.5	24.4	16.5	67.0	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	poch. dészc.	Z.	Z.	Z.	PnZ.		
12		744.35	744.16	742.71	741.52	18.7	21.2	24.2	18.8	67.5	poch. dész.	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	PdZ.	PdZ.	PnZ.	Pn.		
13		737.95	740.08	742.14	743.48	13.9	16.2	19.6	12.0	79.0	poch. dész.	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.	9.8	
14		744.40	743.74	741.73	740.50	13 9	18.5	21.7	14.2	65.0	pogodny	napół pog.	lek. pochm.	pr. pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		
15		738.95	738.60	737.80	739.03	13.3	19.6	21.9	15.2	63.7	pr. pogodny	lek. zamat.	pr. pogodny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	Pn.	PnZ.		
16		740.69	741.97	743.40	745.47	14.7	19.1	20.8	14.3	65.5	pr. pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
17	☽.	748.18	749.29	748.97	749.78	14.7	21.3	25.5	17.8	54.2	Pogodny	pr. pogodny	pr. pogod.	pr. pogodny	Z.	PdZ.	Z.			
18		750.49	750.65	748.53	748.59	17.5	23.8	27.4	19.0	52.3	Pogodny	pr. pogodny	smugi	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
19		747.20	746.25	744.76	744.54	19.0	25.7	29.6	21.9	56.0	Pogodny	pogodny	smugi	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
20		745.98	747.30	748.68	749 56	18.1	20.0	19.4	13.7	71.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PnZ.	Z.		
21		750.03	750.08	749.71	750.19	16.0	21.8	20.7	14.8	67.0	lek. poch.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	Pn.		
22		749.90	749.46	748.45	748.35	12 3	20.8	26.4	18.4	58.3	pr. pogodny	napół pog.	lek. pochm.	napół pog.	PdZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
23		746.97	747.54	748.25	749.01	17.6	23.0	24.7	18.7	64.7	pochmurny	pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	Pd.	Z.	Z.	Z.		
24	☽.	749.32	748.81	747 39	747.12	18.2	25.4	25.7	19.7	72.3	pochmurny	napół pog.	poch. dész.	pochmurny	Pd.	PdW.	PdZ.	PdZ.	11.0	
25		747 77	748.46	748.36	749.33	17.7	19.5	18 5	17.6	81.7	pochmurny	pr. poch. d.	pr. pochm.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.	20.5	
26		749.61	749.63	748.83	749.33	12.9	17 2	20 3	15.7	74.5	smugi	pr. pochm.	pr. pogodny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	Pn.	4.2	
27		750.42	750 55	750.56	750 82	13.6	18.8	22.0	16.5	64.0	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	napół pog.	PnW.	Z.	Pn.	PnW.		
28		750.13	749.23	746 53	745.87	17.1	22.4	24.5	17.0	65.0	smugi	pr. pochm.	pochmurny	dészcz	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.	4.0	
29		744.82	746.97	748.79	750.38	16.2	17.7	22.4	14.3	77.8	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.	17 8	
30		750.56	751.15	749.27	748.57	16.1	21.3	25.6	17.9	68 7	pogodny	napół. pog.	pr. pochm.	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pn.	1.8	
śre.		747.567	747.629	747.076	747.391	+15°.78	+ 20°43	+22°.64	+16°.46	65.18									81.4	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.416	27	7.326
Najwyżej dochodził — d. 2 o g. 10 r.	754.96	27	10.621
Najniżej — — d. 10 o g. 4 w.	737.06	27	2.736
Średnia zmiana dzienna barometru	2.723		1.207
Największa zmiana dzienna barometru d. 30 maja—1 czerwca o g. 6 r.	12.20		5.408
Średnia wysokość barometru jest niższa o	1.181		0.524
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	748.597	27	7.850
Średnia temperatura Czerwca wynosi:	+ 18°.827 C.		+ 15°.062 R.
i ta jest wyższa o	1.276 „		1.021 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	17.551 „		14.041 „
Największe ciepło dochodziło d. 19 o godz. 4 wiecz.	29.6 „		23.68 „
Najmniejsza temperatura była d. 1 o godz. 6 rano.	11.4 „		9.12 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.692 „		2.153 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 9—10 o g. 4 w.	12.6 „		10.08 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +25°.3 R. d. 24 po połud.
Minimum: +7°.2 „ d. 1 i 2 rano.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości 81,4 milim. czyli 36,08 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 8,01 lin. par. od téj jaka u nas w czerwcu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 65,17 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10.38 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0,05 od normalnéj.

Dni pogodnych było 6, napół pogodnych 11, pochmurnych 13.
— deszczu 13 (d. 4, 5, 7, 10, 11, 12, 13, 21, 24, 25, 26, 28, 30).
— grzmotów 6 (d. 7, 10, 12, 24, 25, 28).
— błyskawic bez grzmotów 3 (d. 8, 12, 24).
Wiatrów mocnych 2 (Pn. PdW.).
Wiatr panujący: Zachodni.

Czerwiec r. b. był pogodny, suchy i bardzo ciepły osobliwie przy końcu; średnia jego temperatura jest przeszło o jeden stopień R. wyższa od normalnéj. Najcieplejsze dni były: 8, 9, 12, 18, 19, 23, 24, 28, 30; najmniéj ciepłe d. 1, 5, 13. Pod względem pogody czerwiec zbliżał się do stanu normalnego. Deszcze padały często i obficie. Dzień 24 a osobliwie noc z d. 24 na 25 odznaczały się częstemi grzmotami, błyskawicami, piorunami i deszczem ulewnym kilkakrotnie padającym, ilość wody spadłéj w przeciągu 12 godzin wynosiła 11 lin. par. tojest blizko trzecią część ilości wody z całego miesiąca.

D. 1, 22, 27, 30, ukazywały się plamy na słońcu.

WYCIĄG ZE WSTĘPU DO DZIEŁA:

OBRAZ LITWY (*).

PRZEZ

Józefa Jaroszewicza.

Najdawniejsze wzmianki o plemionach letońskich. Na 300 z górą lat przed naszą erą miał wiedzieć Pitheasz sławny marsylski żeglarz, że za ujściem Renu, daléj na wschód, mieszkają *Ostiowie.* Tak nam donosi Pliniusz, żyjący 400 lat poźniéj od Pitheasza (1). Gdybyśmy w nazwisku tego ludu upatrywać mogli poźniejszych *Estów*, byłbyto najdawniejszy ślad bytności narodów letońskich w północnéj Europie; bo rzeczywiście śród Estów, Wendów, i Finnów, albo w ich sąsiedztwie, na południowych i wschodnich brzegach morza Baltyckiego szukać nam Letów w poźniejszych wiekach wypada. Lecz zostawmy to przypuszczenie owym badaczom, co na domysłach budując, lada podobieństwo brzmienia biorą już za dowód historyczny; przenieśmy się raczéj do czasów bliższych ery naszéj i zbierzmy podania Rzymian i Greków, ażali nie znajdziemy w nich jakiéj pewniejszéj o naszych przodkach wzmianki.

Zostawili nam wprawdzie starożytni pisarze niemało wiadomości o wielu krajach i ludach północnéj Europy; jednakże

(*) Zajmując się przygotowaniem nowego wydania Obrazu Litwy, udzielam czytelnikom Biblioteki Warszawskiéj ten wypis z przerobionych pięciu pierwszych §§ mojego dziełka. Wdzięczny będę jeśli się znajdzie taki, co dostrzeżone uchybienia w tych wstępnych badaniach sprostować zechce. Byłoby to z korzyścią dla nowego wydania.

(1) Pliniusz IV, 5, 14.

o plemionach letońskich, pod poźniejszemi ich nazwiskami, długi czas żadnéj u nich wzmianki nie było. O jednych tylko Herulach, wątpliwego cokolwiek pochodzenia, których jednak za Letów, na zabytkach ich mowy opiérając się, bierzemy; o Herulach, mówię, wplątanych w stosunki z państwem rzymskiém, a ztąd lepiéj Rzymianom i Grekom znanych, cokolwiek więcéj z tego źródła wiemy. Pomiary ogromnego państwa rzymskiego za Cezara i Augusta czasów przedsiębrane, mogły wprawdzie wyjaśnić siedziby ościennych, ale nie tak odległych ludów (2). Pliniusz pisząc około 78 r. po Chr., zajął się był zebraniem wiadomości o krajach i ludach północnych, Wiedział on ze słuchu o morzu Baltyckiém, o Wiśle i wyspach bursztynowych (glesariae Insulae). Od niegoż dowiadujemy się, że Rzymianie znali nawet drogę lądem od Karnuntum nad Dunajem, do ujścia Wisły, zkąd za czasów Nerona, jakiś wędrowiec stanu rycerskiego sprowadził w znacznéj ilości bursztyn, którego przy igrzyskach w Rzymie użyto. Wylicza wreszcie narody na wschód Wisły siedzące, lecz między niemi żadnego jeszcze nazwiska plemienia letońskiego nie upatrujemy, chyba że jego *Scirrow* za poźniejszych Kurów czyli Kuronów weźmiemy (3). Tacyt o 19 lat od Pliniusza poźniejszy,

(2) W czasie pomiaru państwa rzymskiego, który się rozpoczął z polecenia Juliusza Cezara, a trwał do Augusta, wysłany na północ *Theodotos*, skończył swą pracę na lat pięć przed naszą erą. *(Aethici Cosmogr. ed. Gron. p. 26. int. Geogr. edit. a Henrico Stephano 1577, p. 107).* Czy za krańce państwa miernik ten zaglądał, nie uczą nas geograficzne wiadomości Rzymian, ale wspomnieć o nim zdało się nam na tém miejscu z tego powodu, że w kronice biskupa pruskiego Chrystyana, we XII wieków poźniéj żyjącego (pisał około r. 1237) miały się znajdować wyjątki z podróży jakiegoś wędrowca *Diwojnesa*, który także za czasów jakoby Augusta wysłany dla mierzenia krajów północnych, dziennik swój zostawić miał w Płocku gdzie umarł, a Jarosław proboszcz katedry płockiéj, wyjątki z tego dziennika po rusku pisane, Chrystyanowi udzielił. Mówią o tém poźniejsi kronikarze pruscy, Szymon Grunau i Łukasz Dawid, którzy też kilka wyjątków z owéj kroniki Chrystyana do swoich kronik wcielili. Jakkolwiek cała ta relacya nie ma podobieństwa do prawdy, bo chociażbyśmy nawet przypuścili, że to nie był dziennik miernika, ale jakiś może nieznany nam dzisiaj egzemplarz latopisu Nestora, w którym o owym pomiarze mogła być wzmianka, boć Płocka w pierwszym wieku po Chrystusie, a nawet długo jeszcze potém nie było; jednakże dziwna rzecz, że nazwiska obu mierników są z sobą w związku, bo jak jedno z greckiego *theos*, tak drugie z litewskiego *diewas*, co w obu językach znaczy Boga, są utworzone.

(3) Pliniusz IV, 12, 27; XXXIII, 11, 2.

mówi już wyraźnie o Estach, gdzieś koło ujścia Wisły, bo w kraju bursztynowym osiadłych, co nam przypomina poźniejszą ogólną nazwę letońskich ludów (4); lecz ten dziejopis wspomniawszy kilką słowy o ich wierze, niedostatku u nich żelaza (5) i skrzętniejszém zajmowaniu się rolnictwem niż było u Germanów, dodaje: że z obyczajów podobni są do Swewów, z mowy do Bretonów, a bursztyn swoim językiem nazywają *glesum* (6). Taki opis Tacyta mimowolnie naprowadza na domysł, że albo jakiś germański lud obok Estów letońskich siedział jeszcze wówczas nad Bałtykiem, albo całą tę wiadomość miał dziejopis od Germanów, którzy kraj wschodni i bursztyn swoim językiem *Estum* (Ost, wschód) i *Glesum* (od Glas, szkło) nazwali, a mowę tamecznego ludu do również sobie niezrozumiałéj mowy Bretonów porównywali (7). Widzimy zatém, że i Tacyt niewiele nas nauczył.

W mnóstwie nazwisk przy opisie stron północnych przez Ptolomeusza (około 160 r. po Chr.) przywiedzionych, natrafiamy

(4) Tacitus de moribus Germaniae c. 45.—Litwę ze względu na położenie dzielono na Żmujdź, po litewsku Ziemaycioj czyli Żomojt, t. j. kraj dolny, od wyrazu *żemes* nizki, i na Auksztotę, właściwą Litwę czyli kraj górny, od *auksztej*, górny. Ostatnie nazwisko strony litewskiéj dało powód niektórym, że już w Ostyach Pitheasza i Estach Tacyta Auksztotów t. j. górnych Litwinów widzieć chcieli, kiedy Ostiów jako nadbrzeżnych, raczéj Żmujdzinami nazwaćby wypadało. Komu się podoba, wolno bawić się podobną etymologią.

(5) Wzmianka o niedostatku żelaza przypomina nam Żmujdzinów, którzy, lubo dobrze już żelazo znali, jednak do lemieszów drewnianych tak byli przywykli, że jeszcze za Zygmunta Augusta, z uporem do uprawy roli ich używali. Zwyczaj ten musiał bardzo dawnych sięgać wieków.

(6) „. . . Ergo jam dextro Svevici maris litore Aestyorum gentes alluuntur: quibus ritus, habitusque Svevorum lingua Britannicae propior. Matrem deum veneratur, insigne superstitionis, formas aprorum gestant. Id pro armis omnique tutela: securum deae cultorem, etiam inter hostes praestat. Rarus ferri, frequens fustium usus. Frumenta ceterosque fructus patientius quam pro solita Germanorum inertia, laborant. Sed et mare scrutantur, ac soli omnium succinam, quod ipsi *Glesum* vocant, inter vada atque in ipso litore legunt. *(Tacitus l. c.)*.

(7) To podobieństwo mowy Estów do mowy Bretonów napomknięte u Tacyta, dało powód do uczonych badań i różnych wniosków i domysłów, a przy pomocy wyrazów od *lit* albo *let* zaczynających się, dopatrzono Litwinów i w Anglii i w Armoryce czyli późniejszéj Normandyi. (*Szaffaryka Starož. słow. I, 874 id. Zeuss. Jahrbücher des Vereins für meklenburgische Geschichte und Alterthumskunde p. 577—578. Maciejowski, Pierwotne dzieje Polski i Litwy str. 23—25*).

już na kilka letońskim stronom właściwych. Wymienione u niego rzeki *Chronos*, *Rubon*, odpowiadają Niemnowi i Dźwinie zachodniéj, a w jego Boruskach, Golindach, Sudenach i Kareotach, godzi się upatrywać, pod temiż lub podobnego brzmienia nazwiskami znane i poźniéj ludy *pruskie*, *kurońskie*, *Sudawów*; tylko o Litwie i Litwinach nie masz tu jeszcze wyraźnéj wzmianki (8). Również ich nie wymienia Alańczyk Jornandes (r. 550 po Chr.), chociaż mówiąc pod r. 370 o północnych zdobyczach Ostrogockiego Ermanryka, niemało narodów nadbałtyckich, przez Nestora poźniéj powtórzonych, wylicza; między któremi jego *Karis* odpowiadają Nestora *Korsom* czyli *Kuronom*, a *Boiski*, *Boruskom* czyli *Prusakom*; trudno bowiem w Jornandesa *Athuolas* upatrywać Litwinów, przypuściwszy, że to wyrażenie nie jest u niego zepsute (9). Nie zapomniały i w następnym wieku letońskio ludy o Ostrogotach; dowodzić tego może owe poselstwo r. 495 wyprawione od Estów z darami bursztynu do króla Teodoryka: co właśnie w rok po powrocie Herulów nad Jurę przypadło, jeśli tylko tę wędrówkę za fakt pewny przyjmiemy.

Dotąd więc nie było jeszcze literalnéj wzmianki o samych Litwinach, chociaż nazwiska ich pobratymców Kuronów i Prusaków już się dawno ukazywały. Toż samo milczenie postrzegamy jeszcze i w pisarzach następnych kilku wieków. Einhard biograf Karola W. żyjący w IX wieku, zna tylko kraj *Estów*, który na Prusy, Litwę i Inflanty rozciąga (10). Pod koniec tegoż wieku Other i Wulfstan, przez Alfreda W. króla Anglii wyprawieni, zwiedzając nadbrzeża Bałtyku, wszystkie kraje plemion letońskich, podobnież ogólnym tylko wyrazem *Estum* oznaczają, chociaż ostatni, obyczaje, z litewskiemi po części zgodne, mieszkańców dolnéj Wisły opisał (11). Również Adam Bremeński (r. 1076), a za nim geograf bawarski (r. 1100) widzą tylko Estów na południowym brzegu Bałtyku; prócz tego piérwszy z nich Estonią, Kurlandyą i Samlandyą z Prusami, nawet na wyspach osadza (12). Przyczynę tak długo trwającego milczenia dawnych pisarzów o kraju i narodzie litewskim upatrują dzisiejsi badacze naszych starożytnych czasów: to w ukrywaniu się imienia Litwy pod ogólném nazwiskiem Prusaków (13), to w nadawaniu zbyt rozległych

(8) Ptolomeusz III. 5. (9) Jornandes de reb. Goticis XIII. (10) Einhard in vita Caroli M. 12. (11) Nestor Schlezera II, 6, 7. (12) Adam Bremeński de Situ Daniae p. 220—221. Geograf Raweński u Poteckiego fragm. histo. et geogr. XXXVI, 4. (13) Baliński w Starożytnéj Polsce.

granic krainie Kuronów, która jeszcze u Duisburga, a zatém w XIV wieku, sięgała Niemna, Kurońskiéj zatoki i Prus (14). Wszystko to bardzo być mogło, jednakże i tę jeszcze godziłoby się dodać przyczynę: że Litwa w małéj tylko przestrzeni dotykając morza, a może nawet w dawnych czasach przez Kuronów od niego odcięta, za to zaś więcéj niż Prusy i Inflanty w głąb kraju posunięta, dłużéj téż, niż jéj nadbrzeżni pobratymcy, przed ciekawością obcych ukrywać się mogła.

Nie idzie jednak za tém, żeby Litwa nawet wtenczas, kiedy obcy pisarze nic jeszcze o niéj nie mowią, pod właściwém sobie nazwiskiem sąsiadom nie była znaną. Trudno bowiem zgodzić się na to, jak niektórzy chcą utrzymywać, że Litwa nazwanie swoje winna dopiéro była jakimś różnoplemiennym służebnym drużynom, które na trzy wieki przed naszą erą, otrzymawszy jakoby w Grecyi *Laitów* nazwisko, we cztéry po téj erze, jako *Licianie* czy *Litycianie*, składały nadgraniczne pułki rzymskie, w VII zakładały państwo litewskie *Letowicion* w Armoryce czyli Normandyi, a rozsypane po Europie pod imieniem *Litów*, w państwach franko-germańskich niemieckiéj, nad Baltykiem zaś Rusów przemocy uległy; nakoniec niewiadomo, czy od Sasów czy Russów uchodząc, bo jedno i drugie jest przypuszczane, przedarłszy się w XI wieku z orężem w ręku *a pieniędzmi w kieszeni* do okolic trockich, od wzgardzonego imienia swego *Litów*, *Liudow*, stan niższy społeczeństwa u Niemców i Russów oznaczający (gdyż to miało być dla nich korzystniéj?) nową swą ojczyznę Litwą nazwały (15). Prawda, że dopiéro w kronice kwedlenburgskiéj, (z po-

(14) J. L. rzut oka na dawność litewskich narodów, r. 1808 str. 25.

(15) Wszystko to znaléźć można w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy p. Maciejowskiego str. 68, 69, 100, 105, 405, 411, 412, 421 i t. d. Do tych pracowitych, ale dla początkowéj historyi Litwy, kto wie czy pożytecznych, bo tylko na upatrzoném podobieństwie głosek opartych badań, powodem był p. Szaffarzyk, który w swoich Starożytnościach słowiańskich (I, 375) pierwszy rzucił pytanie: czy nie zachodzi jakie pokrewieństwo między narodowém imieniem Litwa, a staroniemieckiém nazwiskiem *Litus*, *Letus*, szczególną klassę ludzi służebnych oznaczającém? Owi Laites, Lites, Liciane, Litlcianie p. Maciejowskiego, z brzmienia do wyrazów Litwa, Litwin, tak podobni, żadnéj historycznéj nie mają podstawy. Gdyby zaś i były jakie tego nazwania różnoplemienne z Germanów, Słowian i Litwinów złożone drużyny, z niemi wszakże franko-germańskich Litów i Lassów (co jedno znaczyło) bratać nie można. Litowie bowiem i Lassy, nie z obcego ujarzmionego pochodzili ludu, ale mieli swą ojczyznę, składali cząstkę na-

czątku XI wieku) pojawia się po raz piérwszy, pismem wyrażone imię Litwy. Powiedziano tam, iż S. Bruno r. 1000 poniósł śmierć męczeńską od pogan na granicy Litwy i Rusi (16). To jednak bynajmniéj nie obala powyższego naszego twierdzenia. Ojciec słowiańskich latopisców mnich kijowski Nestor, pisał wprawdzie w wieku dopiéro XII, lecz z miejscowego podania, a może i z dawniejszego jakiego latopisca wiedział o rzeczach daleko ważniejszych. Onto wymieniając, jakie narody jeszcze przed przybyciem na północ Słowian (wiadomo, że tę wędrówkę Nestor przy-

rodu, tylko w niższym umieszczoną stanie, t. j. po Edilingach i Frilingach (nobiles, ingenni *v.* ingenniles) i nie obcym językiem, ale narodowym; może od *Last, letzte, Lüthe v. Leute* (ciężar, pośledni, lud pospolity) Lassami albo Litami nazwani, pod względem praw porównani byli z ludźmi królewskiemi i kościelnemi (homo regius, fiscalinus, ecclesiasticus), i z Aldionami włoskiemi. (*Pertz. I, 361; II, 668, 669. Specul. Saxon. art. 44, § 7. Corpus juris Germanici wyd. 1738, p. 37, 39, 63, 77, 175, 474, 581, 669, 781, 785, 803, 1155. J. L. Polska wieków średnich I, str. 258, 259 i do niéj poprawki).* Nie przyjmując Litów, tém bardziéj śmiesznem byłoby dzisiaj powtarzać z Erazmem Stellą i Kojałowiczem wywód imienia Litwy od Allanów (Lit-Alani-Litvani) a jeszcze śmieszniéj z Duisburgiem od wyrazu prusko-litewskiego *letas* prosty, głupi, któryto epitet jakoby ztąd przeszedł w nazwę i kraju i ludu, że kiedyś przed wieki, część Prusaków dała się namówić, do wyniesienia się z ojczyzny i zamieszkania w Litwie: „Letvo, denotat hominem simplicem, quia ab aliis persvasus, patriam reliquit terram" *(Petri Duisburg Chron. Prussiae).* Toż samo powtórzył Pretorius i Hartknoch. Komu się podoba, może jeszcze jeden wywód pochodzenia nazwiska Litwinów znaléźć w artykule p. Sękowskiego, umieszczonym z okoliczności wydanego tłumaczenia Odyssei na język rossyjski przez p. Bazylego Żukowskiego w Bibliotece do czytania (*1849, luty str. 74, 75*), i zapewne niemało się zdziwi, gdy się dowie, że w Herodota Antropophazach t. j. ludojadach, kryje się nazwisko Litwinów. P. Sękowski powiada, że wtenczas, kiedy Herodot swoje dzieje spisywał, t. j. na 4 wieki przed naszą erą, Gotowie już szeroko panowali na północy; że ten dziejopis grecki, prawie wszystkie swoje wiadomości o Scytyi otrzymał od swego przyjaciela Tympy, peloponczkiego Greka, który był *epigraphos* czyli nauczycielem albo dozorcą u króla Scytów, prawdziwego jednak Gota, bo nazwiskiem Erika, Orika, a zatém Henryka; że Tympa znając po gocku, wszystkie scytyjskie imiona własne objaśniał Herodotowi gocką mową, a ten przekładał je na wyrażenia greckie. Takim więc sposobem i gockie nazwanie Litwinów, Lit-citis, znaczące w gockiém ludojad, zamieniło się u Herodota w Antropophaga. Biedni Litwini więc i za Herodota czasów nie mieli własnego, ale od Gotów narzucone sobie nazwisko, a choć takowe więcéj ich poniżało, niż od służebnych Litów pożyczone, wiernie go jednak dla pożnych zachowali potomków!

(16) In confinio Russiae et Litvae. (*Pertz V, 80*).

puszcza), a zatém około IVgo wieku zajmowały południowe i wschodnie nadbrzeża Baltyku, obok ludów po większéj części wspomnianych już przez Jornandesa (Czud. Merya, Mordwa, Muroma, Wer, Perm, Peczora, Jam), wyraźnie kładzie *Litwę*, *Żymegołę* (Semigalia), *Kors* (Kurony), *Sielgołę* (Letgalia v. Leti) i *Prusaków*. Jak zatém letońskie ludy Kurony, Łotwa i Prusacy, tak i Litwini, których Nestor od Żmujdzinów nie odróżnia, byli narodem miejscowym, od wieków pod tém nazwiskiem Słowianom znanym.

Pochodzenie Letów i stosunki ich najdawniejsze z innemi ludami. Czy plemiona letońskie zkądinąd w te strony przyszły, czy już od czasów niepamiętnych też same co dzisiaj zajmowały siedziby? sąto pytania, na które przy zupełnym braku historycznych danych, nic pewnego odpowiedzieć nie umiemy. Powszechniéj przeważa zdanie tych, którzy jak Celtów, Słowian i Germanów, tak również i Letów biorą za przybyszów z Azyi, ze starego Iranu, krainy między Kaspią, Indyjskim oceanem, rzeką Indus i Eufratem położonéj. Domysł swój opierają szczególniéj na poznaniu natury mowy owych ludów, w któréj pierwiastki indogermańskiéj chcą upatrywać. Na poparcie tego domysłu i nasi badacze starożytnych dziejów ojczystych przywodzą za dowód: że i w języku litewskim znajdują się oryginalne nazwania przedmiotów, których Litwa nigdy nie wydawała, jak np.: *Lutas* lew, *Szlapis* słoń, *Stumbras* bawół, *kupranugaris* wielbłąd (co jednak jest tylko opisem postaci zwierzęcia od *kupra* garb, *nugara* grzbiet), *Bezdzionа* małpa, *Silkai* bawełna, *Auksar* złoto, *Warys* miedź; że i w dawnych mytach litewskich dostrzegać można powinowactwo z religijnemi Indyan wyobrażeniami, i że wreszcie zachowuje się z pogańskich czasów między ludem podanie: jakoby pałac słońca znajdował się na Wschodzie, gdzie leżała kraina święta i błoga, dziedzina przodków litewskich zwana *Auszluma Żeme*, t. j. kraj wschodu (17). Zdaje się więc, że już na tym wywodzie, mającym dość wyrozumowaną zasadę, przestać możemy; ale mówiąc o pierwiastkach Litów, nowe się nastręczają pytania: dlaczego w mitologii litewskiéj obok indyjskich, jeszcze greckie i rzymskie wyobrażenia religijne postrzegać się dają, i dlaczego język litewski nietylko w szczególnych wyrazach, ale nawet pod względem składni, iloczasu i innych grammatycznych prawideł,

(17) Narbutt Dzieje narodu litewskiego I, str. 126.

do mowy Greków i Rzymian ma podobieństwo (18)? Odpowiadając na te pytania, jedni w powszechności tylko przez domysł twierdzili: że zetknięcie się ludów letońskich po ich przyjściu z Azyi do Europy z Grekami, wywołało silny wpływ nietylko na ich mowę, ale i na wschodnio-religijne ich wyobrażenia, które się upiększyły wykształconą Greków i Rzymian mitologią (19); drudzy zaś pragnąc okoliczności, szczególniéj wpływu greckiego, bliżéj oznaczyć, usiłowali nas przekonać, że Budyni, przodkowie jakoby Litwinów (20), naród szczepu kolcho-indyjskiego, w wędrówce swéj zmieszał się między Donem i Dnieprem z Gelonami, potomkami helleńskich nad morzem Czarném osadników, a z tego zlewku dwóch różnoplemiennych ludów utworzony naród litewski, po przeniesieniu się swojém na północ, do poźnych wieków w swych mytach i mowie pierwotnego pochodzenia zachował ślady (21). Lecz odłożywszy to i temu podobne domysły na stronę, niejednego to zastanowi; dlaczego w mowie litewskiéj spotykają się rzeczywiście wyrazy, które nietylko z brzmienia, ale i wewnętrznego znaczenia zupełnie odpowiadają takimże wyrazom łacińskim? Nie zagłębiając się w wyszukane jakieś wywody, zdaje się nam, że z wielkiém podobieństwem do prawdy możemy sobie tę okoliczność w ten sposób wyjaśnić: iż owe okruchy łaciny, a nawet greczyzny (22), wrzucili do mowy litewskiéj Heru-

(18) O tém podobieństwie mowy litewskiéj do greckiéj i rzymskiéj, pisali: Vater, Sprache der alten Preussen etc. Michelon Litvanus de moribus Litvanorum etc. wyd. Elsev. p. 265. Hartknoch, Alt und neues Preussen s. 97, i w rozprawie: de lingua veterum Prussorum p. 78, 108. Jenisz, w przedmowie drugiéj do słownika litewskiego Milkego. Ks. Xawery Bohusz O początku narodu i języka litewskiego, r. 1808. Czacki o prawach polskich i litewskich I, str. 50. Narbutt Dzieje II, str. 272, 273.

(19) Szaffarzyk, Starożytności Słowiańskie I, str. 218, 360, 371. Maciejowski w Bibliot. Warsz. 1841. Kwiecień str. 173. 174.

(20) Dowiadujemy się od p. Sękowskiego (*l. c. str. 138 i d.*), że w sagach normandzkich często jest wzmianka o *Utgardzie* mieście *Utów*, *Udów* czyli *Wutów*, i że podobnież nazywają siebie *Wotjaki* czyli *Wotyni*, którzy wedle pisowni Herodotowéj są *Wudyni*, *Budyni*. Postrzeżenie to nie jest do odrzucenia, tylko że w takim razie pierwotnych Litwinów do rodu fińskiego wypadałoby policzyć, gdyż Wotjaki do tego właśnie należą plemienia. Ale nie wiem, czyby się na to zgodził p. Narbutt, który, jak się zdaje, Budynów swoich w rzędzie narodów fińskich nie kładzie.

(21) Narbutt: Dzieje T. I, w różnych miejscach. T. II, str. 67, i d., 271 i d. (22) Niesłusznie utrzymywał Bielski pod koniec swojéj kroniki, że w języku litewskim najmniejszego nie masz śladu łaciny (*A. Wiszniewski*

łowie, którzy po kilkowiekowym w państwie rzymskiém pobycie, obeznawszy się z mową tameczną, wprost z tego państwa i potém od dolnéj Elby, w różnych czasach wracali do pobratymców Letów, dla zajęcia siedzib swoich naddziadów. O tych wędrówkach Herulów mamy świadectwa spółczesne (23); podania zaś ludowe głoszące również, że kiedyś w dawnych czasach osiadali w Litwie z dalekich stron przybysze, nie do samych Gotów, Sasów, Skandynawów i Waragów, ale i do owych Herulów zastosowane być mogą. Lecz na taki wywód nie zgodziliby się dawniejsi nasi pisarze. Dostrzeżone ślady łaciny w mowie litewskiéj, stały się dla nich niezaprzeczonym dowodem, że przybyszami owemi byli niewątpliwie rodowici Rzymianie, którzy porzuciwszy Włochy czy za Nerona, czy za czasów Atylli, to morzem od Baltyku, to znowu jakoby od brzegów Euxynu przez Ukrainę, Podole i t. d. pod wodzą Palemona (może zresztą i historycznéj postaci) przerobionego na Publiusa Libona, dostali się do Litwy i tam nad morzem założyli Lipawę, a przy ujściu Dubissy, Nowy Rzym czyli Romowe. Że zaś trudno było cały na-

Hist. liter. VII, str. 125), lecz i p. Maciejowski zawiele przypuszcza, twierdząc, że mowa litewska składa się szczególniéj z łacińskiego i polskiego języka, tylko że ostatni przeważa. Za dowód przywodzi słownik Konstantego Szyrwida (*Pierwotne Dzieje str. 184, 543*). Dla przekonania przytaczam tu wszystkie wyrazy do łacińskich podobne, jakie się tylko i w rzeczonym słowniku i w żywéj mowie znajdują, a których wcale niewielka pokaże się liczba; takiemi są: Bóg, Deus, *diewas;* bąkam, bubio, *baubiu* v. *bubiju;* bluję, vomito, *wemiu;* brona, occa, *aklecias;* bronuję, occo, *akieju;* buk, fagus *v.* esculus, *eskulus;* ciągnę, traho, *trankiu;* dawny, vetus, *wetuszas* v. *senus,* przypomina senilis; droga ubita, callis, *kielas;* gont, scandula, *skindelus;* waga, pondus, *pundas;* jarzmo, jugum, *jungas;* z kości słoniowéj, eburneus, *eburinis;* mruczę, murmuro, *murmu;* mąż, vir, *wiras;* młody, juvenis, *jaunas;* morski, marinis, *marinis;* orzę, aro, *arju;* oś, axis, *asis;* ość u kłosa, *akuoras*, może od acus, kolec; owca, ovis, *awis;* pokrewieństwo, *gintis* może od gens, genus, ród; powietrze, aër, *oras;* przybywa czego, augescit, *auga;* ród, genus, *gimine;* starzec, senex, *senis;* starość, senectus, *senistė;* stopa, ślad, *pedas* v. *peda* może od pes, noga; ul, alveus, *awilis;* ząb, dens, *duntis;* żart, jocus, *juokos*, ztąd i kuglarz *juokadoris;* złączam co, conjungo, *sujungu.* Wszystkiego zatém, nie licząc pochodnych, jest trzydzieści kilka wyrazów do łacińskich podobnych. Przykład podobieństwa języka litewskiego do mowy greckiéj, znaleźć można w drugiéj przedmowie Jenischa do słownika Milkego.

(23) Przywiedzione są te świadectwa w pismie mojém: O Herulach pobratymcach Litwinów.

ród od Rzymian wyprowadzać (choć po części do tego zmierzał ten wymysł), spokrewnili go przynajmniéj z nimi, upatrując w towarzyszach Palemona protoplastów najznakomitszych rodzin litewskich: Prospera Cezaryna herbu Kolumny, Ursyna i Hektora herbu Roża; niepotrzebnie tylko między tych improwizowanych Rzymian wcisnął się Julian Dorsprung herbu Centaur, z nazwiska swego (może Dornsprung, Thiersprung albo Thorsprung) widocznie na Skandynawa zakrawający (24). Wszystko to się pisało w widokach oczywiście heraldycznych, a zatém nie wcześniéj jak po sejmie horodelskim.

Letów uważamy za naród samobytny. Dowód na to mamy w ich mowie, która sama z siebie będąc rodowitą, posiada téż na oznaczenie nauk, sztuk, rzemiosł, sprzętów rycerskich i rolniczych, i nieskończonéj liczby przedmiotów umysłowych i zmysłowych, oryginalne sobie właściwe i z nizkąd niepożyczane wyrazy. Wszakże przez ocieranie się i mieszanie z innemi ludami, Letowie dość wcześnie silnego doznawszy ich wpływu, i język swój do tyla przepełnili słowami z mowy Gotów, Finnów, Niemców, a szczególniéj Słowian wziętemi, że prawdziwie dziwić się nietrzeba, jeżeli niektórym przyszło na myśl, uważać Letów: już za szczep słowiański, już germański lub gocki, który około IV czy V wieku zlawszy się z Estami i Finnami, znany być począł pod imieniem: Scyrrów, Hirrów, Herulów, Widywaryów, Widdów, przodków jakoby Litwinów (25). Że taka mieszanina w dzisiejszéj mowie Letów oczywiście postrzegać się daje, to rzecz niezawodna; lecz to jest tylko jéj zepsuciem, bo pierwotnie taką nie była, a nawet i dzisiaj mogłaby być znacznie oczyszczoną, gdyż owe przybrane, szczególniéj z białoruskiego i polskiego narzecza wyrazy, a tych jest najwięcéj, są tylko naddatkowym zasiłkiem w późniejszym czasie wtrąconym; Litwin zaś dobrze swój język znający, ledwo że nie na każde z owych słów obcych, swoje narodowe znajdzie wyrażenie (26).

(24) Kronika Bychowca u Narbutta. Dzieje II, str. 269. Joan. Lasicii de Diis Samagitarum, wyd. Elzew. p. 292. Stryjkowski Kronika p. 57. Kojałowicz, Hisło. Lit. I, p. 3.

(25) Keppen o początku języka i o literaturze narodów litewskich w Dzienniku wileń. 1828 nr. 1. M. Baliński w Hist. miasta Wilna, 1836; późniéj jednak w Starożytnéj Polsce odstąpił p. Baliński tego mniemania.

(26) Ks. Xawery Bohusz O początku narodu i języka litewskiego, 1808, w Roczn. Tow. Warsz. Przy. Nauk. 1811, t. VIII, str. 152 i t. d. Narbutt: Dzieje II, str. 281.

Pierwotnie więc Letowie byli narodem samobytnym, ale w kolei czasu tak silnemu ludów obcych ulegli wpływowi, że ten wpływ nietylko w ich języku, ale i w stanie ich socyalnym, jak niżéj zobaczymy, niezatarte po sobie zostawił ślady. Pewniejsze historyczne data odnoszą się do ich stosunków z Gotami. Już w roku 235 naszéj ery, król Gotów *Friedlief* I miał zdobywać kraje, wzdłuż południowych brzegów Baltyku położone, zkąd Goci robili najezdnicze wycieczki do Mezyi i Tracyi (27). Jak obszerne było panowanie Ermanryka Ostrogotów króla, jużeśmy wyżéj o tém wspomnieli. Ztąd téż zapewnie poszło, że Alfred W. w swoim anglo-saskiém tłumaczeniu Orosiusa, granice państwa gockiego na wschód rzeką Donem, na zachód Renem, na południe Dunajem, a na północ morzem Białém oznaczył (28). Czy pamiątka władzy Ostrogotów, Grotungów zachowała się na Żmujdzi w miasteczku nadmorskiém Kretyndze, trudno dowodzić; zwłaszcza, że i od wyrazu litewskiego *Akrotos* znaczącego okręt, mogło otrzymać swoje nazwanie; lecz to zawsze zostanie faktem, że przemocy Ermanryka doznały wówczas (r. 370) wszystkie plemiona letońskie. Może więc już od owego czasu tak się wraziło w pamięć Litwinów nazwisko Gotów, że u nich każdy, co i późniéj niemiłą pamięć po sobie śród Litwy zostawił: Skandynawczyk, Niemiec czy Słowianin pod rządem ruskich Waragów i wreszcie Rusin, zarówno Gotem (Gudas) był nazywany.

Po klęskach zadanych Ostrogotom przez Bolamira wodza Hunnów (r. 375 i d.), wiele narodów na północy, a w ich liczbie zapewne i Lety, dawną swą odzyskały niepodległość. Zdaje się, że w téj niepodległości utrzymały się nawet przez całe trwanie przemocy Hunnów, bo nie ma przekonania, żeby ci tak daleko z téj strony na północ sięgali (29). Śmierć Atylli (r. 453) i upa-

(27) Jornandes de reb. Got. I, 99. Saxo Grammatyk p. 12. P. Sękowski już na 6 wieków wprzódy robi Gotów władcami ludów letońskich (*v. przyp. 15*); my tak daleko nie sięgamy, i zostawiamy innym sprawdzenie wywodów na etymologii głównie opartych.

(28) I, 19, Fischer: Gesch. des dent. Handels, I, str. 193—195.

(29) Mówią dziejopisowie, że Atylla miał pod swą władzą Scytyą i Germanią: „Potentissimorum gentium dominus, qui in audita ante se potentia, solus scythica et germanica regna possedit." (*Jornandes c. 49, p. 684. Priscus p. 64, 65*). Mówią nawet, że podbił wyspy oceanu i królestwa Skandynawii otoczone i poprzerzynane wodami morza Baltyckiego. (*Gibbon de la decad. de l'Empire Romain. w tłumaczeniu Guizota VI, p. 249*); nie wymieniono jednak owych ludów wschodnio-północnych, do których, podług Jornandesa, władza Ermanryka sięgała.

dek monarchii Hunnów (r. 407) czy miały jaki bezpośredni wpływ na losy plemion letońskich?—nie wiemy. To jednak pewna, iż w tych czasach i cokolwiek później daje się postrzegać między temi ludami pewien ruch siłą, już wewnątrz nich zrodzoną, już zewnątrz działającą sprawiony, który wprowadzając śród Letów różnorodne żywioły obczyzny, niemało mógł wpłynąć na przekształcenie ich politycznego i socyalnego bytu. Ruch ten rozpoczynają Herulowie, którzy zostając w służbie rzymskiéj, lub pogranicze tego państwa czasowo zamieszkując, to się znoszą ze swemi braćmi na północy (po r. 527), to częściami zupełnie do nich wracają, lub też nowe dla siebie u dolnéj Elby zajmują siedziby (r. 493, 552), zkąd znowu w VIII wieku, w czasach przewagi Karola W. czy do Prus, czy do Litwy się przenoszą. Ciż Herulowie pod koniec V i na początku VI wieku, szukając przyjaznych stosunków z Eurykiem Wizgotów i Theodorykiem Ostrogotów królami, gdzieś od oceanu wyprawiają posłów do Bordo i Rawenny. W tychże czasach i w podobnym celu, zwiedza Włochy poselstwo Estów, jak o tém jużeśmy wyżéj wspomnieli, niosąc bursztyn w darze gockiemu władcy Italii; gdy tymczasem inni Prusacy, łącząc się z Anglo-Sasami, Frajzami, Rugami i Duńczykami, płyną do Brytanii, szukając tam łupów i osiadłości (30). Są ślady, że w tychże prawie czasach i w innéj stronie, plemiona letońskie nie siedziały spokojnie. Kurony i Łotysze posuwając się coraz daléj ku północy, wzdłuż brzegów morza Baltyckiego, wypierają Finnów czyli Czuchnów z ich dawnych siedzib i przymuszają ich przenosić się za prawy brzeg Dźwiny; tylko Angary w dawnych swych Kilegundach zostali i zmieszali się z Łotwą i Kuronami. Ale śród tego ruchu spotkały się ludy letońskie z groźnym dla siebie wrogiem: bylito Normanny, Skandynawi, wojownicze Danii, Szwecyi i wysp przyległych mieszkańcy, którzy swéj przewagi i wpływu, choć nieliczne, wiekami jednak niezatarte śród Letów zostawili ślady.

Starożytne źródła dziejów skandynawskich niemało mówią o wyprawach tych północnych ludów do nadbrzeżnych siedzib letońskich. Początek tych wypraw sięgać ma VII wieku, lecz wyraźniejsze ślady zjawienia się ich na brzegach Żmujdzi nie przechodzą połowy wieku IX. Według podobieństwa do prawdy,

(30) O Herulach pobratymcach Litwinów str. 29, 34, 35, 36, 40, 46, 65, 68 i źródła, które tam przywodzę.

najdawniejsze Skandynawów wycieczki oparły się o Sambią i Rusznią czyli okolice dolnego Pregla i Niemna; lecz wkrótce potém do dalszych stron letońskich, a nawet fińskich już lądem od Niemna, już morzem ze Szwecyi i Danii trafiać musieli. Takie Skandynawów handlarsko rozbójnicze drużyny (bo oba te cele łączono z sobą), które pod naczelnictwem wybranych wodzów (*Witlingów*), szukały albo zysków kupieckich, albo łupu i panowania na obcéj ziemi, a niekiedy nawet służby aż w Carogrodzie, znane były pod nazwiskiem *Waryngów*, *Waragów*, może od staroniemieckiego wyrazu *Warge*, znaczącego i łotra i zbiega (31). Właśnie pod témże nazwiskiem zna ich i Nestor, który wspomniawszy o najazdach Waragów, donosi nam: że tym wojownikom i łupieżcom płacili dań w IX wieku, oprócz różnych ludów fińskich; Litwa, Neroma, Semigoła i Kors (32). Tu więc u tego latopisca powtórnie Litwa po imieniu jest nazwaną. Jak daleko w głąb kraju rozciągała się władza Waragów, z pewnością oznaczyć nie możemy. Powiadają, i może tak było rzeczywiście, że w naszych stronach naprzód koło Płotel na Żmujdzi się rozgościli, zkąd brzegami Niemna, Jury, i Niewiaży wnętrznych sięgali okolic. W ułomku życia św. Brunona (apostołował r. 1000) czytamy: że Nethimer książę ruski czyli normandzki, panował w dzisiejszéj Żmudzi i Kurlandyi (33). Jeżeli w akcie darowizny Ody wdowy poMieczysławie I (r. 994 lub 995) krainę Rusów, stanowiącą tam granicę Polski od wschodu, weźmiemy za ziemię Jadźwingów (34): tedy daleko za Niemen władza się ich rozciągała; a jeżeli znowu to prawda, że podróżnik islandzki Snore Sturlesohn mógł w XII jeszcze wieku

(31) Narbutt. Dzieje III, str. 83.

(32) Daniłowicza Latopisiec, str. 81.

(33) Pertz, VI, 579, 580. P. Maciejowski utrzymuje, że Nathimer jest słowiańska nazwa Nieczmierz i że téj nazwy Norman nie przyniósł z sobą lecz jéj nabył panując tu nad Litwą pomieszaną ze Słowianami. (*Pierwotne dzieje, str. 186*). Że Słowianie wsród Łotwy mieszkali w Inflantach, są na to dowody, lecz żeby normandzkie nazwisko zakończone na *mer* lub *mir*, koniecznie od Słowian było pożyczone, nie chciałbym za rzecz pewną powtarzać, kiedy nazwiska z podobném zakończeniem były bardzo upowszechnione między Ostrogotami, np. Widimir, Walemir, Theodomir; kobiece: Waladimesia; zdarzały się i u Franków, np. Klodomir, a nawet u Olonnów np. Bolamir. Prędzéj zwyciężony od zwycięzcy, niż ten od zwyciężonego, a takiemi podczas przemocy Gotów byli Słowianie, pożyczy nazwisko.

(34) Tygodnik wileń. t. II, str. 5. J. L. Polska średnich wieków, t. II, str. 67, 73 i d.

cokolwiek rozumieć osadników koło Velni i Trik (ma to być Wilno i Troki) (35), więc i z téj strony ludność skandynawska dość daleko rozbiegła się po kraju. Ale czy to była jeszcze wówczas ludność panująca, czy już spokojni pod władzą litewską osadnicy, o tém wędrowiec zamilcza. Ostatnie jednak zdaje się potwierdzać czy mnich Meinhard, który r. 1158 z piérwszemi kupcami niemieckiemi do Inflant przybył i Łotwę nawracał, czy téż kto inny, co te strony w XII wieku poznał i opis geograficzny krajów Inflantom przyległych papieżowi Innocentemu II podał; powiedziawszy bowiem: że Ezelia, Inflanty i Łotwa zostawały pod panowaniem Russów, Litwę, o któréj wyżéj wspomina, nietylko pod tę uległość nie podciąga, ale owszem uważa za kraj wielki i potężny (36). Pamięć przybycia Skandynawów w te strony zachowała się w podaniu gminném o osiadaniu śród Letów wędrowców z za morza, a ślady ich pobytu, zwłaszcza na Litwie, upatrzyć można: w nazwiskach rzeczy, osób, urzędów, i godności (37); w tak nazwanych mogiłach olbrzymów (Milžiniu kopaj) do których lud różne przywiązuje tradycye (38) i wreszcie w niektórych mytach. Zdaje się, że stosunki Litwy ze Skandynawami zmniejszać się zaczęły od czasu, gdy około r. 862 albo raczéj podług lepszéj chronologii 852 nad-Ilmeńscy Słowianie i inne sąsiednie im ludy, wezwali do siebie z Rusi, t. j. ze Skandynawii trzech

(35) Czacki, I. str. 8.

(36) Chron. Ord. Thent. w Mathaci Annales med. aevi, T. V, p. 701, 703. Fischer: Gesch. d. deut. Hand. I, str. 417. 418.

(37) Zobaczymy niżéj, że laska pogańskich na Litwie kapłanów, zwała się ze skandynawska buthstukas, butas. Niektóre familijne nazwiska przypominają wyraźnie pochodzenie gockie, jakoto: Ejmund, Ejsymunt, Dodigold, Dowmunt, Dowgird, Gastold, Gintowt, Mongird, Mindolf (tak Stryjkowski Mendoga raz nazwał str. 17), Misztold, Milwid, Narbutt, Norwit, Skirmund, Wikind. Ich brzmienie bardzo odbija od właściwych litewskich: Jagałło, Jundziłł, Kulwiec, Rymgałło, Swidrygałło, Sągałło, Radziwiłł, Swirtun, Styrpejko, Szukszta i t. d. Niektórzy jednak nazwiska zakończone na *gird*, *min*. *mund*, do litewskich policzają. *(E. hr. Tyszkiewicz: O kilku nowo odkrytych monetach litewskich, w Athenaeum 1845 r. zeszyt IV, str. 12, 13).* Również w skandynawskiéj mowie szukać należy źródłosłowu wyrazów: Tiwun, Bojar a może i Kunigas, lecz o tém na swojém miejscu obszerniéj powiemy.

(38) Co do mogił zwanych *Milžiniu kapaj* (Olbrzymów mogiły), o których wspomniano w Starożytnéj Polsce pp. Balińskiego i Lipińskiego, str. 580, p. Maciejowski pewnieby w nich nie upatrywał normandzkich pamiątek, kiedy utrzymuje, że Litwini dlatego nazwali olbrzymów Milžinis, iż

braci Waregów: Roryka, Synousa i Truwora, a przynajmniéj odtąd nie była już wystawiona na tak częste jak wprzódy najazdy Normanów. Wielu nawet z nich może pod tę porę opuściło Litwę szukając lepszego szczęścia w bogatszych stronach słowiańskich nad Wołchowem i Dnieprem. Ci zaś z dawnych zdobywców, co na miejscu zostali, splątani spólnym z krajowcami interesem, a mniejsi liczbą, wsiąkli powoli w ludność miejscową i zamienili się w krajowców, zostawiwszy tylko w niektórych nazwiskach familijnych ślad pierwotnego pochodzenia. Tak zazwyczaj kończyli wszędzie Normanie: w północnéj Francyi, w Kalabryi, Sycylii, Anglii i Rossyi, co może posłużyć za dowód, że ci niespokojni, odważni i boju chciwi wojownicy, pomimo poetyckiego entuzyazmu który ich ożywiał, na niższym znajdowali się stopniu kultury od mieszkańców krain przez siebie zhołdowanych. W takim też stosunku musieli być i względem dawnych Litwinów, których za takich barbarzyńców, jak nam ich przedstawiają kronikarze nasi i obcy, wcale brać nie myślimy. Najzuchwalsze morskie i lądowe wyprawy, krwawe boje, pożogi, brańce i łupy, od dzieciństwa zajmowały serce i umysł Normana: o nich we śnie i na jawie marzył, one bytu jego głównym były żywiołem, co też sprawiło, że w wojennem rzemiośle nie miał sobie równego, lecz w cnotach pokoju niezawodnie z Letem równać się nie mógł. W części więc dlatego, a w części i z tego powodu, że w niewielkiéj zazwyczaj drużynie śród obcych osiadał, prędzéj cudzą przyjmował, niż swoję narodowość innym narzucał.

Inaczéj się rzecz miała ze Słowianami. Ludy te z powodu wyższéj swojéj cywilizacyi, czy w pokoju, czy w wojnie, czy jako zwycięzkie, czy zwyciężone, zawsze na Letów silnie wpływały. Wpływ ten odbił się jużto w języku, już w prawach i zwyczajach, już wreszcie w wewnętrznych socyalnych porządkach. Najbliższemi sąsiadami byli Mazowszanie, Czarno-Rusini i liczne plemiona Krywiczan. Od południa i wschodu jakby wieńcem otaczały te ludy kraje letońskie. Lecz i śród Letów † to od bardzo

Milczanie, jedno z plemion polskich mieszkające nad Łabą, z którem zetknęli się jakoby Litwini, tak się im dało we znaki, iż od jego imienia dali nazwisko olbrzymom *(Pierwotne dzieje, str. 408)*. Czy Litwini mieszkali kiedy koło Milczan, rzecz do dowiedzenia; że zaś Skandynawowie byli na Żmujdzi i na Litwie i niezawodnie dali się Litwinom we znaki, to fakt niewątpliwy. Ale każdemu wolno mieć swoje zdanie. O mytach pożyczonych u Skandynawów, powiemy przy religii pogańskiéj Litwinów.

dawna okazywały się osady słowiańskie. Winidy czy Wendy, cząstka tego samego zapewne ludu, który od I już wieku po Chr. obszerne zajmując posady, dotykał południowych brzegów Baltyku, a w IX za Ostiami miał swoje siedziby, Wendowie ci jeszcze w XIII wieku mieszkali śród Kuronów i Łotwy. W dawniejszych czasach może nawet gęste były ich osady w Kurlandyi i Inflantach, kiedy w piérwszéj rzekę, koło któréj mieszkali, Windą czyli Windawą nazwano, drugie zaś u Łotyszów nosiły nazwisko ziemi Wendów, *Wedde żeme*. Wyparci zpod Rygi, przenieśli się Wendowie do Letgalów czyli Łotwy i tam miasto Wenden założyli, gdzie ich jeszcze r. 1224 od Niemców i Łotyszów odróżniał spółczesny kronikarz Henryk Łotwak (39). Ponieważ i część Finnów czyli Czuchnów z któremi od północy stykały się kraje Letów, pośród Łotwy została, z takowego więc pomieszania się z Łotyszami Słowian Wendów i Finnów, wyrodziła się niezawodnie owa różna od innych Litwinów cecha, Łotwy obyczajów, fizyognomii i wreszcie narzecza, bardziéj niż inne pierwiastkami z mowy Finnów i Słowian przyjętemi, zarzuconego.

Dotąd idąc za śladem najdawniejszych wspomnień historycznych, mówiliśmy o Letach w powszechności, widzieliśmy jakie są mniemania o ich pochodzeniu, i jakie ich były najpiérwsze z obcemi stosunki. Zdaje się, że z tych wszystkich badań mogliśmy już powziąć przekonanie, dodające mocy wyżéj przytoczonemu twierdzeniu: że Letów pomimo ich zmieszania się z innemi ludami i pomimo utworzenia się kilku ich narzeczy, w rozmaitym stopniu obczyzną skażonych, uważać zawsze należy za naród samobytny, pochodzeniem i mową od Germanów, Finnów i Słowian różny. Od wieków dzielili się Lety na kilka pobratymczych plemion, jakoto: Herulów, Prusaków, Łotyszów z Kuronami, Jadźwingów i Litwinów ze Żmojdzią. Nim zatém wyłącznie zajmiemy się Litwą i Litwinami, choć pokrótce o tych plemionach letyckich wspomnieć nam jeszcze wypada.

Heruli. Przodkami Herulów mieli być Hirry (?), którzy sami siebie jakoby nazywali *Juhrei*, *Juhrelei*, albo *Girej Girelej*, od wyrazów *giria*, *girre*, *girelis*, znaczących: puszcza, las, leśny. Mówią, że ich pierwotne siedziby były na Żmujdzi wzdłuż Niemna do brzegów Baltyku (40). Herulowie równie jak Skirry, Anti-scyrry i Turcylingi, których wywodzą z kraju War i Thidos

(39) Henrici Leton. Origines Livoniae etc. wyd. 1740, s. a. 1203, str. 44, s. a. 1224, str. 173, 174. (40) Narbutt Dzieje IV, str. 376, 378.

(Czudy) w trzecim wieku ery naszéj (r. 245) ukazali się spólnie z Gotami w granicach państwa rzymskiego. Jużeśmy na inném miejscu wyłożyli obszerniéj, jakie były Herulów z tém państwem stosunki i czyny ich wojenne: jak pod dowództwem Rugianina Odoakra przy pomocy Scyrrów i innych barbarzyńców, zachodniemu państwu położyli koniec (r. 475-489), i jak nakoniec wyparci ze Scyrrami przez Gotów, opuścili Włochy i na północ wrócili (41). Scyrry, zapewne fińskiego plemienia, zaszli, jak mówią, około r. 500 do Hirryi (Rewal, po estońsku *Tullin*, może starożytnych *Thule*) Turkilanii (Abo) i Kirelii nad odnogą finlandzką położonych; Herulowie zaś oparli się u dolnéj Elby nad Baltykiem w blizkości Rugii. Dlatego może nie wrócili odrazu do swych pobratymców, że i tu znaleźli ludy niezupełnie obce dla siebie, a takiemi byli Lutycy czyli Weletaby nad Peną mieszkający. Między tym bowiem szczepem Słowian, a plemionami letońskiemi zachodziły oddawna już jakieś stosunki, przynajmniéj pod względem religijnym; bo jak na Litwie i u Prusaków, tak i u Lutyków kapłani jednostajne *krewów* nosili nazwisko, a posążki bóstw lutyckich mają na sobie imiona bóstw litewskich i żmudzkich i modlitewki żmudzkie. Takie więc powinowactwo religijne, mogło w tych stronach zatrzymać Herulów. Podania powtórzone przez kronikarzy naszych o owym Palemonie czy Palimonie, który z 500 drużyny, od ujścia Niemna dostał się w głąb Litwy, dały powód do domysłów, że to mogli być Herulowie. Mówią zatém, że unikając przemocy Karola W. i gwałtem narzucanéj wiary, pod koniec VIII czy na początku IX wieku z Meklemburga lub dolnéj Saxonii uszli w części morzem do swoich braci nad wschodnim Baltykiem, i po obu stronach dolnéj Dźwiny, między Łotwą osiedli; co téż owemu podobieństwu narzecza letgolskiego, do mowy Herulów miało dać powód; w części zaś przenieśli się do Słowian Wendów nad Odrę, zkąd znowu pewien ich oddział (ów Palemon z towarzyszami) udał się w drugiéj jakoby połowie X wieku do Litwy i osiadł między Niemnem, Dubissą i Jurą w dzisiejszym rosieńskim powiecie. O tych wędrówkach Herulów nie mamy wprawdzie dostatecznych w dziejach dowodów, być jednak może, że przynajmniéj jedna z nich około r. 777 miała miejsce. Niemałe bowiem jest podobieństwo do prawdy, że kiedy cząstka

(41) O Herulach pobratymcach Litwinów, tamże zebrana wiadomość o ich obyczajach i religii.

Saxonów uchodząca przed Karolem W. przybyła do Estyi czyli Prusyi i wpłynęła na urządzenie Prusaków; wtenczas również unikając przemocy Franków i Herulowie z okolic Werli, od dolnéj Elby, mogli się przenieść w strony Pregla, Niemna dolnego lub Dźwiny. Co się tyczy reszty Herulów pozostałych nad Odrą, mianowicie w Luneburgu prowincyi Marchii Brandenburskiéj, takowa doznawszy przewagi Słowian i z nimi w części zmieszana w ostatkach przetrwać miała do początku przeszłego wieku (42).

Prusacy. Dwa ludy znane u obcych (43) pod ogólném nazwiskiem Prusaków (44), różnego jednak pochodzenia i mowy, a tyl-

(42) Narbutt: Dzieje II, str. 120, 131, 136, 142. III. str. 103, 104, 163, 165. Tamże dodatek XI, gdzie wypisany Ojcze-nasz luneburskich Herulów z dzieła Bekmanna: Historische Beschreibung der Chur und Mark Brandenburg. Berlin. 1751. Th. I, s. 83 bardzo różny od tego, jaki z Lasiusa przywiedliśmy w pismie o Herulach str. 3. Jakie nastręczają się wątpliwości względem autentyczności herulskiego Ojcze-nasz i pobratymstwa Herulów z Litwinami, znaleźć to można w pismie J. L.: Rzut oka na dawność litewskich narodów. Wilno, 1808 r.

(43) Sami mieszkańcy Prus, polskiego i letońskiego pochodzenia, nie nazywali siebie, przynajmniéj w dawnych czasach, Prusakami, ale przybierali nazwiska od szczególnych prowincyj, których było 11 czy 12, jakoto: Kulmia czyli ziemia chełmińska, Pomezania tojest prowincya nadgraniczna od *po-mežas*, Pojezania czyli kraj po rzekę Jessę, Warmia, Galindya, Natangia, Bartnia, Sudawia, Samlandya czyli Sambia, Nadrawia, Szalowia od wyrazów *szalin* opodal lub *szalis* okolica i Sudargia (*Narbutt: Dzieje II, str. 153, 358, 369*). Düsburg, Sudargii nie wymienia. Nawet sąsiedni Litwini nie dawali im Prusaków a krajowi Prus nazwiska, lecz gdy potrzeba było o nich mówić, wymieniali prowincyą. Tak uczynił Mendog ustępując Krzyżakom r. 1257 Nietrowe (Nadrowii), a r. 1259 Szalowe (Szalawii). Drugiéj z rzędu prowincyi nie nazwaliśmy Pomorzem, albo z mazowiecka Pomozanią, jak ją p. Szulc chce mianować (*O znaczeniu Prus, w Bibl. Warsz. 1845. wrzesień i osobne wydanie*). Chociaż bowiem ta ziemia sąsiednia z Pomorzem gdańskiém, kilka razy oznaczoną była imieniem Pomorza, jak nas o tém p. Szulc ostrzega (*l. c.*), wszakże zwyczajne jéj nazwisko było zawsze Pomezania. Nawet Krzyżacy wyrazu tego nie przemienili na Pommern, jak to uczynili z Pomorzem gdańskiém, ale zachowali dawne miano Pomezanii. Ziemi téj, która węższym tylko bokiem dotykała morza, i kronikarz Albert nie nazywa Pomorzem, owszem od Pomorza odróżnia: „In Prussia vero (mowa o Pomezanii) quae ultra Poloniam et ultra Pomeraniam" (*v. Voigt'a Gesch. Preus. I, 460*). Dlaczego w dyplomatach Rzyszczewskiego nie natrafiamy nigdzie nazwiska Pomezanii, choć w aktach z lat 1264 i 1272, gdzie mowa o biskupie i dziekanie kwidzińskim, mogła być o niéj wzmianka?—wyjaśnienie tego zostawiam innym.

(44) Voigt, w swoim: Handbuch der Gesch. Preussens Th. I, s. 49; nazwisko Prus wywodzi od Po-Russen, t. j. że Polacy swoich północnych

ko spólnością bałwochwalstwa, przed wieki z sobą bliżéj złączone, dzisiejsze zaludniały Prusy. Północną część Prus ponad morzem zajmowali Litwini pruscy, i ten cały pas kraju był niejako przedłużeniem Żmujdzi, południową zaś pruscy Polacy. Gdzie w całéj długości była granica zetknięcia się obu tych ludów, trudno dzisiaj oznaczyć, bo się w kolei czasu zmieniać musiała. Że jednak osady Litwinów pruskich pierwotnie nierównie daléj sięgały, niż w XIII wieku, mamy na to dowody nietylko w dziejach zapisane, ale i do ziemi, że tak powiem, przykute; dochowały się bowiem, choć z czasem spolszczone lub zniemczone, litewskie nazwiska okolic, stojących i płynących wód, które niezaprzeczone składają świadectwo o pobycie niegdyś litewskiego na téj ziemi plemienia. Wulfstan IX wieku żeglarz, poznał przy ujściu Wisły Estów: byli to Litwini, bo niektóre ich zwyczaje przez niego skreślone, w części i później śród pruskich Litwinów postrzegać się dały, jak zaraz niżéj zobaczymy. Strona ta nadwiślańska była Ukrainą pruską, *po-meżas*, a ztąd Pomezanią nazwana. Należące do Pomezanii morze błotne, z trzech odnóg wiślanych

sąsiadów Prusaków i ich kraj, tak nazwali dlatego, iż graniczył z Rusią czyli że był po Ruś, ponieważ Russy czyli Waragi przed 800 laty panowanie swoje aż do Prus rozciągali. Inni zaś, a podobno i tenże sam Voigt (zob. *Maciejowski Pierwotne Dzieje str. 415*), nie w Russach, lecz w ramieniu Niemna, zwaném Rus, który do zatoki morskiéj Rusny czyli kurońskiego hafu wpada, upatrują źródło nazwiska Borussyi czyli Prussyi. Ależ widzieliśmy, że już Ptolomeusz wspomniał o Boruskach obok Galindów i Sudenów, czyliż więc i wtenczas już nazwisko to było w związku z Rusną lub Rusami? Być może: posłuchajmy tylko co mówi p. Sękowski, który w całéj północno-wschodniéj Europie, już za czasów Herodota upatrując panujących Gotów, w ich też języku szuka źródłosłowu nazwiska Prus. Podług p. Sękowskiego: wyrazy *Bo*, *Boh*, *Bogg*, we wszystkich narzeczach gockich znaczą wielko-luda, olbrzyma. Wszędzie gdzie Goci władali, nazwiska krajów, a nawet rzék od tych wyrazów zaczynały się. Ztąd jedna ze starożytnych siedzib Gotów *Boje-Heim* albo *Bo-Heim*, znana jest w przekładzie niemieckim pod nazwiskiem Riesen-Gebirge, t. j. górnéj okolicy wielko-ludów; ztąd Dniepr, u Greków Borlstenes, wymawiał się po gocku Bo-ruis-dana, t. j. wielkich Rusów rzeka; ztąd i sami siebie, dla oznaczenia zapewne swojéj potęgi, nazywali Wielkiemi-Russami, Bo-Russy, gdyż Rus toż samo znaczy co Got. Kraj zatém przez nich zamieszkały był Bo-Russią, a tych Borussyj mogło być kilka. Były więc Borussyą i Prusy, bo i te do nich należały (*Biblioteka do czytania 1849, luty*). Możeby ten wywód lepiéj niż każdy inny trafił do przekonania, gdyby go tylko badania nad pierwotnemi dziejami Gotów i ich mową, potwierdzić mogły.

utworzone, zwało się u pisarzy krzyżackich jeziorem *Hejlibo* (45), co wyraźnie pochodzi od litewskiego wyrazu *Gillibe*, znaczącego głębia; Polacy zaś z tego zrobili *Chelba*. W zniemczałéj Pojezanii leżące niedaleko Frisch-Hafu miasteczko Perschken, po polsku Parcin, od tychże pisarzy krzyżackich zwane Portigalen (46), przypomina z podobném zakończeniem wiele wyrazów litewskich (47). Wszystko to dowodzi, że posady Litwinów pruskich, kiedyś okolic ujścia Wisły dotykały. Lecz i z innych stron daléj od morza niż chciano przypuszczać, znajdziemy ich ślady. Adam Bremeński piszący w XI wieku, Ruś i Polskę daje za granicę Sambii (48). Jeżeli to wskazanie nie jest mylne, więc Sambia z jednéj strony oblana morzem, z drugiéj otoczona Litwą, z trzeciéj dotykać się jeszcze musiała Rusi grodzieńskiéj, a z czwartéj Polski, czyli tych okolic, gdzie leżą Biskupice, Lipka i inne miejsca przez lud polski zamieszkane (49). Podług tego zatém pisarza, Sambia gniazdowe siedlisko Litwy pruskiéj, nie ograniczała się poźniejszą ziemią królewiecką, ale obejmowała przynajmniéj znaczniejszą część Sudowii, Galindyi i Bartnii. Lecz i w XIII a nawet po XIII wieku Pregel (50) nie był jeszcze ostateczną granicą litwinów pruskich. Podług przywileju wydanego w Toruniu r. 1243 przez Wilhelma papiezkiego legata, rzeka Alla czyli Łania, wpadała do Pregla w kraju jeszcze litewskim (51). Kraj zatém z lewéj strony Pregla był wówczas jeszcze osiadły Litwinami, bo wiadomo, że Alla nie z prawéj, ale z lewéj strony łączy się z Preglem przy Wehlau. Również między Allą i rzeką Angerap czyli Angigrabbe, która także z lewéj strony, ale nierównie wyżéj wpada do Pregla koło Insterburga, musiały być osady litewskie, do których liczby należały Darkiainy (52). Samo nawet nazwanie rzeki Angerap, którą Gwagnin nazywa Angigrapa,

(45) Szulc l. c. (46) Voigt II, s. 340. (47) Np. *gałas*, granica, koniec, *pirmigalas* przód nawy, *atgalas*, nazad i t. d. (48) „Samland contigua Prussis" de situ Daniae p. 138. (49) Szulc l. c.

(50) Pregel w częściach wyższych zwał się po litewsku Prigore, z czego Niemcy zrobili Pregel, przy ujściu zaś jeszcze r. 1231 nazywano go Lipiec (*Gebhardi Geneal. Gesch. T. I, s. 209, cf. Szul. l. c.*). Czy ta ostatnia nazwa była polską czy litewską? trudno oznaczyć, gdyż w obu językach można upatrywać jéj źródłosłów; w wyrazach polskich: lipa, lipiec, lipień ryba, i litewskich toż samo znaczących: liepa, liepas, lipinis.

(51) Acta Borussiae T. II, str. 613.—Dreger nr. 158, p. 242.—Voigt II, s. 469, cf. Szulc l. c. (52) Po niemiecku Darkhenen. Szulc l. c.

pokazuje początek litewski; gdyż *angis grabbe* znaczy wężowy rów. Jak daleko litewskie osady rozciągały się ku południowi, z pewnością dzisiaj oznaczyć już niepodobna; że jednak po całéj Natangii były rozrzucone, dowodzi tego dokument Jakobsona z r. 1444, który mówi o parafianach w téj ziemi Litwinach i Polakach (53), jako też postanowienie księcia Alberta, którém r. 1545 dla Litwinów ten kraj zaludniających, katechizm na ich język przełożyć polecił (54). Jeżeli jednak w kolei przemian, którym uległy Prusy, zmniejszyły się osady litewskie, a nawet przy coraz bardziéj pomnażającéj się liczbie Polaków a potém Niemców, z czasem zupełnie w zachodnich tego kraju stronach znikły; z tém większą siłą występuje narodowość litewska na wschód od Pregla. Tu cała massa ludności była letycką, szczególniéj zaś w Sambii, Nietrowie, Szalowie i Sudargii, gdzie Krzyżacy mimo wszelkich usiłowań, przenarodowienia wprowadzić i języka litewskiego przytłumić nie mogli (55). Wspomniany wyżéj Wulfstan znalazł Estyą czyli Prusy podzielone na drobne królestwa z licznemi miastami. Napojem ubogich był miód sycony, bogatszych mleko; znali też i piwo. Ciała zmarłych umieli zamrażać, i w takim stanie przez kilka miesięcy zachowywać, potém je z wielą rzeczami do podróży potrzebnemi palili. Przy pogrzebach opijali się i odprawiali konne gonitwy, upędzając się o rzeczy zmarłego, na milowéj przestrzeni porozkładane (56). Adam Bremeński mówi o Saubach czyli Prutzach, że słyną ludzkością, dają pomoc nieszczęśliwym, gardzą złotem; skór i zapachów (bursztynu) dostarczają; mięsem i mlékiem żyją; są modrawi, ogorzali, włosem obrośli, kryją się w bagnach i wszyscy są wolni, bo żyją bez panów i rządców (57). We trzy wieki poźniéj piszący Duisburg (r. 1326) rozdziela Prusy na 11cie narodów, z których Sambi ludnością, a Sudawi potęgą i dostatkiem inne przemagali. Narody te, powiada Duisburg, czciły słońce i księżyc, ubóstwiały zwierzęta i ptaki, którym poświęcały gaje i wody; lecz wierzyły w nieśmiertelność duszy. Z ciałem zmarłego palono u nich konie, sługi, odzież, żeby swym panom i po śmierci służyły. Najwyższym kapłanem był Kriwe; Romnowe w Notangii jego siedlisko. Prusy,

(53) Dzieje kościoła katolickiego w Prusiech. (54) Szulc l. c.
(55) Ostander notae ad cap. 2. Actor. Apost.—Hartknoch: Neu und alt Preus. p. 90. (56) U Jana Potockiego Fragm. histor. et geograph. sur le Scithie et Sarmatie XLII. 8. (57) De Situ Daniae p. 223—227.

Litwa i Inflanty słuchały jego wyroków. Część łupów wojennych jemu oddawano. Kriwe duchy zmarłych wywoływać umiał. Prusacy w odzieniu skromni, wodę, miód i mleko końskie za napój używają; podczas biesiad oddają się pijaństwu; do łaźni nie wszyscy chodzą, a wielu pływanie i jazdę konną na chwałę bożą obraca. Żonami kupczą i jak sług ich używają; są przytém gościnni. Za zabójstwo jeśli morderca sam sobie życia nie odjął, prawo odwetu musi koniecznie nastąpić (58). Taką tylko mamy najdawniejszą wiadomość o Prusakach, przed i wkrótce po opanowaniu ich przez Niemców, bo wiadomo, że w drugiéj połowie wieku XIII jak Prusacy rodu polskiego, tak i Litwini pruscy, ulegli przemocy Krzyżaków i swą samodzielność stracili. Dzieje ich obszernie wyłożyli Voigt w swéj historyi Prus, i Narbutt w Dziejach Litwy (59).

Łotysze i Kurony. Łotysze, którzy sami siebie *Latwis* a kraj swój *Latweżu żeme* (łotewska ziemia) nazywają, najdaléj ku północy posunięci, do jednego z Litwinami należąc rodu, oddzielnego tylko narzecza używają, do mowy jakoby herulskiéj najbardziéj zbliżonego. Litwin niełatwo rozumié Łotysza, co ztąd zapewne pochodzi, że język ostatniego, oprócz przybranych słów czuchońskich, ze wszystkich dyalektów letskich najobficiéj przepełniony jest wyrazami słowiańskiemi (60) Dzisiaj mieszkają Łotwacy w Kurlandyi, po lewéj stronie Dźwiny w Semigalii (żeme gałas, ziemi koniec), w hrabstwie Piltyńskiém i po prawéj stronie Dźwiny nad rzeką Lebą, w części Inflant zwanéj Letgołą (*Latwin gals*, Łotwy koniec). Rozciągają się zatém po obu brzegach Dźwiny dolnéj, a na wschód sięgają Połoczczanów. Prócz tego natrafiamy ich siedziby i w Litwie nad kurlandzką granicą, szczególniéj w parafiach luterskich Szajmy i Birze, i wreszcie w kilku osadach nad hafem kurońskim w Prusiech (61). Chori, Kors albo Kurony, dla blizkości narzecza i osiedlenia, za jeden naród z Łotwą uważani być mogą. Mieszkali oni i dotąd mieszkają ponad morzem po obu stronach rzeki Windawy, prawie od ujścia Niemna do ujścia Dźwiny. Ustąpili im niegdyś tych miejsc, jak wiemy, Finnowie i Wendy. Szczupłe są nasze wiadomości o dawnych Kuronach i Łotwie. Z życia św. Ansgarego, które zaraz po

(58) Petri de Dusburg Chron. Prussiae III, 4, 5. (59) Narbutt: Dzieje, III, str. 378 i d. (60) Narbutt: Dzieje II. str. 463. II. str. 388.

(61) Stender. Litt. Gram. u Narbutta Dzieje II, str. 396.

r. 865 przez jego dyakona Ramberta było spisane, dowiadujemy się: że Kuronowie mieli dwa bogate miasta: Apulia i Seburg, które tak miały być ludne, iż piérwsze do 15u, drugie zaś do 7miu tysięcy wojownika wystawić mogło. Apulia może odpowiada żmujdzkiemu Ampille, niedaleko Kłajpedy czyli Memla położonemu, a może też dzisiejszemu Piltynowi; drugie zaś brzmieniem swojém zbliża się do znanego dotąd Selburga nad Dźwiną (62). Jeżeli już w tak ludnych żyli miastach, wnosićby wypadało, że na znacznym też stopniu byli kultury. Tymczasem Adam Bremeński wystawia nam jeszcze Kuronów jako naród dziki, bałwochwalczy, wszakże w złoto obfitujący, a zatém handlowy, wróżbami zaś w całém świecie wsławiony (63). Z Niemcami, którzy w XII wieku brzegi Inflant zwiedzać zaczęli, prowadzili handel zamienny; pieniądze im dawane odrzucali i woleli za swój towar przyjmować różne drobne małéj wartości rzeczy, jakoto: noże, wstążki do kapeluszów, śpilki i t. d., a szczególniéj sól i jakąś kosmatą tkaninę, przez Niemców *welmal* zwaną; często nawet za te przedmioty swojemi pieniędzmi płacili (64). Łotwacy jak i inne ludy letońskie ulegli Russom czyli Normandom; płacili im dań w wieku IX, a ś. Bruno, jak wiemy, widział u nich r. 1000 normandzkich władców. Pod Russów panowaniem zastali ich Niemcy w XII wieku, lubo stopnia téj uległości nie znamy. Mówią jednak, że u nich Meinhard, który był piérwszym w tych stronach biskupem, tylko za pozwoleniem jakiegoś księcia połockiego r. 1186 apostołował w Inflantach. Księciem tym miał być Włodzimiérz, ale pod oznaczonym rokiem takiego w Połocku nie było. Z początku nawracanie Łotwy i Kuronów nierównie łagodniejszą niż w Prusiech szło drogą. Aby ich do chrześciaństwa łatwiéj przyciągnąć, usiłowano wyobrażenia chrystyanizmu przez sceniczne nawet widowiska między niemi upowszechniać (65); lecz i tu skończyło się podobnie jak w Prusiech. Już

(62) Maciejowski: Pierwotne Dzieje str. 77, 367.

(63) Adam Bremeński de Situ Daniae p. 223 i d.

(64) Franz Niestädts Nachrichten bei Arnds Liefländ. Chron. Th. II. Halle, 1753, s. 3.—Liefl. Chron. Th. I, § 11, s. 12. Th. II. § 11, s. 3. — Fischer Gesch. d. deut. Handels I, s. 324, 420.

(65) Oto są słowa kroniki inflanckiéj pod r. 1204, § 14 w tłumaczeniu Arndta: „Deuselben Winter führte man mitten in Riga ein sehr wohlgeordnetes Prophetenspiel auf, so die Lateiner Comödie nennen, damit die Heidenschaft die Anfangsgründe des christlichen Glaubens, auch durch einen

w XIII wieku, z mniejszém tylko wyplenieniem narodu, nawrócono pogan orężem i ostatecznie pod władzę Niemców podbito. Jak powierzchownie jednak obeznawać musiano neofitów z zasadami nowéj wiary, już z tego wnieść możemy, iż w żadnéj stronie łotońskiéj nie pozostało tyle szczątków wyraźnéj czci bałwochwalczéj, ile ich między Łotwą dodziśdnia jeszcze postrzegać można. Ten fakt zadziwiać nas w rzeczy saméj powinien: bo i rząd miejscowy od XVI już wieku usiłował język łotewski zamienić w piśmienny, nakazując książki religijnéj treści po łotewsku wydawać, i światli pastorowie inflandzcy nie zaniedbują zapewnie przepisów wiary chrześciańskiéj z gorliwością wykładać, i wreszcie żaden Łotysz do konfirmacyi czyli bierzmowania przypuszczonym nie bywa, jeśli się dokładnie katechizmu na pamięć nie wyuczy. Wszystko to jednak, jak się pokazuje, było i jest jeszcze niedostatecznem do przełamania wiekami wkorzenionych nałogów. Jakoż lud ten zachowuje dotąd niektóre święta z pogańskich czasów datujące; ma swoich wieszczków do spełniania pogańskich obrzędów, ma ołtarze poświęcone *Ziemeńikasowi*, inaczéj zwanemu *Mahias Kungs* (dosłownie pan domu), opiekującemu się domostwem i dobytkiem, któremu różne składa ofiary; co większa dostrzedz miano, iż niedawno jeszcze cześć słońcu oddawał (66).

anschauenden Glauben lernen möchten. Der Innhalt dieses Spiels und der Comödie, ward durch einen Dolmetscher sowohl den Neubekehrten als den Heiden, die dabei Zuschauer abgaben, aufs Umständlichste, erklärt. — Wie aber die gewaffneten des Gedeons mit den Philistern stritten, wurde den Heiden bange, sie möchten mit todtgeschlagen werden, und fingen an auszureissen (*cf. Fischer l. c I, s. 418—419*).

(66) Ciekawą wiadomość o tych praktykach pogańskich między Łotyszami, umieścił Paweł Karlblom pastor inflancki z Ermes, w miejscowych pismach peryodycznych. Oto są główniejsze szczegóły: Łotysze mają różnego rodzaju wieszczków i czarowników, o których mniemają, że są w stosunkach z duchami ziemnemi, którym w pewne dni roku składają ofiary i że mają moc czynienia źle i dobrze każdemu, kto przepisy ich wierzenia zaniedbuje lub zachowuje. Dla nich spadają z nieba kamienie, za pomocą których cudów jakoby dokazują. Choroby ludzi i bydła, narzucone przez nieprzyjazne duchy, zamawiają przy szeptaniu i dmuchaniu, solą i wódką. Z temi gusłami łączą niekiedy Ojcze-nasz, lub jakie miejsce z pisma św. albo psałterza. Wieszczek taki umierając, przekazuje swą nauke i władzę przysposobionemu przez siebie uczniowi, bo jeśliby tego nie uczynił, nie byłby wolnym od związku z duchami. Łotysze w niektóre dni wstrzymują się bardziéj od zatrudnień gospodarskich niżeli w niedzielę, gdyż mniemają: że praca w dzień św. Gertrudy (15 listop.) sprowadza węże do

Po téj krótkiéj wzmiance o Herulach, Prusakach, Łotwie i Kuronach, nim przystąpimy do Litwy, wypada nam cokolwiek obszerniéj zastanowić się nad Jadźwingami, którzy w tak ścisłym z Litwą zostają stosunku, że chociaż zaczęto już odmawiać im rodowości litewskiéj, i choćby nawet na obronę téj rodowości niewiele powiedzieć się dało, zamilczeć o nich nie możemy.

Jadźwingi. Wywodem pochodzenia Jadźwingów (Jatwiagów, Jatwieziów) zajmował się niejeden z dawniejszych naszych kronikarzy i dziejopisów i niejeden z nowszych badaczy. Z wyjątkiem jednego, wszyscy niemal na to się zgadzają: że oni do

domu; w dzień św. Wawrzyńca (10 sierp.) pożary, a we dwa dni czwartkowe przed Wniebowstąpieniem, grady. Poprzednik naszego autora Paweł Emil Sokołowski, który w parafii ermeńskiéj przez lat 47 był pastorem, opowiadał mu przed śmiercią, że w początkach wstąpienia swego w ten obowiązek, byli jeszcze czciciele słońca i że ołtarze ich poniszczył w lesie hamelnickim. Sam autor dowiedziawszy się, iż Łotysze w jego parafii oddają cześć duchom opiekującym się gospodarstwem, zwanym *Mahias kungs* (wspomina o nich i p. Narbutt I, str. 32), i że uważając ich za duchy złośliwe, dla ich ułagodzenia i zrobienia przychylnemi sobie, dwa razy do roku: na św. Jerzy (23 kwiet.) i św. Michała (29 wrześ.) składają im ofiary i to nocą, a sam gospodarz jest ofiarnikiem; wyprawił się 13 maja 1836 r. na niszczenie tych zabytków pogaństwa. Jakoż przy kilkunastu dworach chłopskich (Gerinde), odosobniono zwyczajem kurlandzkim zbudowanych, znalazł miejsca ofiarne Mahias-Kungs'om poświęcone. Większa część tych ołtarzy była w ogrodach, inne zaś na polu, przy łąkach, w gajach, albo pod starożytnemi drzewami, a wiele z nich było mocnym płotem ogrodzonych. Nizki zrąb przykryty broną, lub zwalone na kupę kamienie, stanowiły samo miejsce ofiarne. Świeża krew, pierze i kości z drobiu, świadczyły, że na niektórych i w tym roku na św. Jerzy składana była ofiara. Prócz tego widziano tam jako przedmioty ofiarne, porozrzucane kawałki czerwonéj włóczki, nowe i stare monety miedziane, fertyngi, drobną monetę srebrną, ale niekiedy, jak mówiono pastorowi, bywały i talary. Na jednym tylko ołtarzu znalazł bułeczkę chleba jeszcze z przeszłego roku. Bobu i grochu, jadła przez duchów nielubionego, nie składają w ofierze, ale za to czasami kaszę, jaja, kawałki mięsa i nasienie rozsady, aby się kapusta rodziła. Z badań czynionych na miejscu przekonał się pastor, że sposób składania ofiar bywał rozmaity: jedni na wierzchu ołtarza wylewali samą tylko krew drobiu z dodaniem pierza i kości; drudzy zakopywali pod ołtarzem żywych kogutów, inni znowu składali pod kamienie kawałki mięsa i jaja. Zpod wielu ołtarzy po rozrzuceniu zrębu i kamieni wyłaziły ropuchy; autor jednak nie wié, czy i te były jakiéj czci przedmiotem. Niektóre ołtarze były już oddawna zaniedbane, i tak zarosłe trawą, chróstem i drzewem, iż żadnego do nich nie było przystępu. Z wielką tylko trudnością dali się wieśniacy skłonić i to nie wszyscy, do

jakiegoś innego nie lechickiego należeli szczepu; ale gdy przyszło oznaczyć gdzie była ich kolebka, zdania tak dalece między sobą się różnią, że przejrzawszy to wszystko co o tém dotąd powiedziano, podobno w rezultacie to miéć będziemy: iż Jadźwingowie będą dla nas jeszcze narodem niezupełnie odgadnionym. Kolejno upatrywać chciano przodków Jadźwingów to w Kostobokach, to Jazygach i Sarmatach, to w Getach i Prusakach, to w Gotach i Skandynawach, to wreszcie w Słowianach. Każdy z badaczy mniemanie swoje starał się poprzéć jakim dowodem; najczęściéj jednak wszystkie te śledzenia kończą się na do-

ułatwienia przystępu siekierą, ale i to wtenczas dopiéro, kiedy sam pastor piérwszy tego dał przykład; lubo i tak robota szła leniwo, bo zabobonne wyobrażenia przejmowały ich zgrozą i strachem. Ten sam strach okazywali, gdy oczyszczone miejsca zaorywać im kazano. Byli jednakże i tacy, co stanowczo oświadczyli: że się do niczego nie dotkną i koni swoich do orania nie użyją; co większa, nogą nawet stąpić na miejsca ofiarne nie chcieli; jeden zaś z nich prostoduszne zapytał się: w co się teraz ich konie obrócą, kiedy Mahlas Kungs zniszczono? Prawdziwie czytając to, zdaje się nam, żeśmy na Żmudzi w czasach Witolda i Jagiełły. Po zrównaniu z ziemią ołtarzy, wziął się pastor do nawracania czarowników i wieszczków łotewskich, którzy rzeczywiście byli niejako kapłanami zachowanego dotąd bałwochwalstwa, i pięciu z nich przywiódł do tego, że publicznie w kościele wyrzekli się swoich błędów. Mówiąc o trudnościach jakich doznał w wytępianiu przesądów pogańskich, wyznaje pastor Karlblom, że duchowny w téj walce powinien nieraz przybrać dyktatorską św. Bonifacego władzę, samo bowiem nauczanie z ambony, nie zawsze i nie u wszystkich pożądany owoc przynosi. Jakoż trzymając się tego prawidła, przy pomocy siekiery i pługa wytępił (w swojéj parafii) pamiątki dawnego bałwochwalstwa (*Inland. Jahrg. 1836. Nr. 39 o zniszczeniu pogańskich miejsc ofiarnych w parafii ermeńskiéj—Mittheilungen und Nachrichten für die evangelische Geistlichkeit Russlands. Dorpat. 1839. B. I 4 Heft p. 22. Środki zwalczenia zabobonów ludu i t. d.*) Tak właśnie czynili nasi katoliccy duchowni i dlatego téż dzisiaj w Litwie i na Żmudzi mniéj postrzegamy owych zabytków dawnéj wiary, a nigdzie prawie takiéj wyraźnéj czci pogańskiéj, jaka się dotąd może w niektórych zakątach Łotwy praktykuje. Może odosobnienie wiejskich mieszkań w Inflantach, niemało się do tego przyczynia, że jak z jednéj strony pogaństwo łatwiéj się ukryć może, nie będąc wystawione na ciekawy wzrok sąsiada; tak z drugiéj, trudniéj go téż odkryć nawet miejscowym pastorom. Jednakże i inne jeszcze mogą być przyczyny, dla których dłużéj w tych stronach przetrwała pamięć dawnych przodków wiary, a z tych niemałéj jest wagi i to: że pastorowie innego zazwyczaj będąc narodu, innego wychowania i sposobu życia i myślenia, nie zawsze znajdują spółczucie u swoich wiejskich parafian; przez co pomimo może najlepszych chęci, nie mogą miéć wielkiego wpływu na ich wykształcenie, i nadto: że dla zbytniéj rozciągłości tamecznych parafij, pastorom nie-

myślach, a przynajmniéj wątpliwych faktach. Przejdźmy pokrótce te rozmaite mniemania i zobaczmy, co z tego wszystkiego więcéj do przekonania przemawiać będzie. Zostawiwszy na stronie Kostoboków, o których nic pewnego nie wiemy (67), zaczniéjmy od Jazygów.

Jazygowie, Jasiges Sarmatae, Jasiges Metonastes, Vagi, przez starożytnych pisarzy wspominani (68), lud błędny, ze sposobu życia i obyczajów do Tatarów podobny, którego szczątki w Węgrów zamienione, pod imieniem jednak Jazygów zachowały się dotąd nad Cissą; Jazygowie mowię, przez podobieństwo swego nazwiska, dali powód: że wielu od nich zaczęło wyprowadzać Jadźwingów, którzy, czyto już przed naszą erą z niewiadomych powodów, czy téż około r. 377 po Ch. przez Hunnów z Węgier jakoby wyparci, w nasze dostali się strony (69). Ten wywód

tylko trudno wglądać zblizka w domowe życie parafian, ale nawet często nie są w stanie nieść im najpotrzebniejszych duchownych usług, zwłaszcza w godzinie śmierci. Szkoda, że pastor Karlblom, niszcząc między Łotwą oszczątki pogaństwa, nie zachował nam więcéj szczegółów, tyczących się czci Mahias Kungs'ów. Ciekawi bylibyśmy czytać modlitwy, a może i pieśni, jakie z obrzędem łączono. Sąto materyały do wyjaśnienia dawnych wyobrażeń ludu, a tych materyałów właśnie niewiele jeszcze posiadamy.

(67) Ptolomeusza geografa Kostoboki i Juliana Capitolina Costobohy, tak niby od sąsiednich Słowian dla czczenia wielu Bogów (Czastobohi) nazwani, mieli to być Jadźwingi, którzy za czasów wzmiankowanych pisarzy, a zatém już w II i III wieku, zajmowali jakoby polesie nadbużańskie. Chcą nawet między wyrazami Czastobob i Jazycznik (bałwochwalca po rusku), a Jazwing, Jatwing upatrywać jakieś podobieństwo (*Naruszewicz: Histo. I. 125. Narbutt Dzieje II. 166, 167, 170*). O tém plemieniu zupełnie słowiańskiém, miał wiadomość i Wapowski, kiedy o Brześciu Litewskiem powiada: że leży w Czystobokach. (*Dzieje Kor. Pol i W. Ks. Lit. Księg. II, str. 198 w tłumaczeniu M. Malinowskiego*).

(68) Owidyusz, Ammian Marcellin, Strabo, Pliniusz, Florus, Tacyt i Ptolomeusz, mówią o Jazygach, chwalą ich jazdę i łuczników, i obszerne im naznaczają koczowiska, bo od morza Azowskiego po za Karpaty do Cissy. Zapewne w różnych czasach te miejsca zajmowali.

(69) Naruszewicz Hist. I 125. IV, 82. Narbutt: Dzieje II. 166—170, każą Jadźwingom przed Hunnami do nas uchodzić. Szaffarzyk w Starożyt. Słowian. I, 283—285, w tém się różni, że tych Sarmatów już na 400 lat przed naszą erą na Podlasiu osadza, a panowanie ich do Karpat rozciąga. Śladem Szaffarzyka poszedł p. Maciejowski, lecz poźniejszych sięgając czasów, Sarmatów Jadźwingów robi od r. 97 — 400 po Chr. władcami Neurów i Tacyta Liglów Nahanarwalów czyli Nahonarwalów, którzy niczém innem nie mieli być, tylko Słowianami nad Nurcem i Narwią zamieszkałemi, a ztąd i o różnolicowéj narodowości Jadźwingów wyprowadza wnioski.

Jadźwingów od Jazygów, albo w powszechności od Sarmatów, znalazł niejako wsparcie w kronice Kromera, gdzie autor wspomniawszy również o pochodzeniu Jadźwingów od Jazygów Metanastów, dodaje (nie zaręczając wszakże za pewność): iż za jego czasów miały być na Litwie i na Rusi jeszcze szczątki tego narodu, który zupełnie innego niż Słowianie i Litwini używał języka, a tak do żadnego z tych dwóch nie należał narodu (70). Lecz biorąc rzeczy ściśléj, samo podobieństwo i to jeszcze niezupełne nazwisk dwom ludom służących, jestże już dostatecznem do zbratania ich między sobą? Jeśliby takich tylko trzeba było dowodów, toćbyśmy równém prawem, wezwawszy tylko na pomoc wędrówki narodów od Kaukazkich Zechów i Lasów, wyprowadzić mogli Czechów i Lachów, a od germańskich Lazów i Litów, Lachów i Litwinów. Gdybyśmy przynajmniéj mieli choć mały jaki oszczątek mowy tego ludu, rzecz miałaby się wcale inaczéj; ależ magiarski język dzisiejszych Jazygów, nie był mową Jazygów Metanastów, a tém bardziéj Jadźwingów. Śród takich właśnie niepewności zabłysła jakaś nadzieja, że ta zagadka da się nakoniec rozwiązać. R. 1709 w komitacie węgierskim terontalskim, niedaleko miasta św. Mikołaja w dobrach p. Nákó, znaleziono w ziemi, przy kopaniu winnicy, różne kosztowności, a między innemi puhar złoty lub temu podobne naczynie, mające na sobie napis greckiemi literami oddany. Napis ten dawał się łatwo odczytać, lecz najbieglejsi starożytnicy niemieccy Schönwisner, Al-

Tenże autor utrzymuje, że niegdyś na Podlasiu mocne były ślady sarmatyzmu, jak to widać z nazwisk osad i mężów jatwiazkich, w okruchach dziejów nam dochowanych. (*Pierwotne Dzieje str. 361—420*). Nam się jednak zdaje, że nie mamy jeszcze przekonywających na to dowodów, bo w nazwiskach owych nie sarmackie brzmienie (którego, nie znając mowy sarmackiéj, nawet oznaczyć nie możemy), ale inne przebija się.

(70) „Quanquam feruntur, adhuc tenues quaedam eorum reliquiae superesse in Litvania et Russia, *diversa prorsus a Slavis et Litvanis lingua utentes*" (*Kromer. Polonia etc. ed. Coloniae. 1589, p. 51. 6*). Wątpię, czy za czasów Kromera, prócz Cyganów, mógł jaki inny podobny lud znajdować się w Litwie lub na Rusi. Sam Kromer jednak wyznaje: że nie wie, czy Jadźwingów uważać ma za Jazygów Metanastów, których resztki pod témże imieniem zachowały się w Węgrzech nad Cissą, czy za naród zupełnie inny (*l. c.*). W innem zaś miejscu dodaje, że również nie wie, czy Jazygowie Metanasty, Daków i Pannonów sąsiedzi, ztamtąd do nas, czy ztąd do Węgier przeszli (*l. c. p. 147, b.*). Widzimy, jak się wahał Kromer z oświadczeniem swego zdania, mówiąc o pochodzeniu Jadźwingów.

ter; Hammer i czeski Szaffarzyk dojść nie mogli, do jakiego języka należą wyrazy. Dopiéro nasz rodak p. Tadeusz z Wolan Wolański, który od lat trzydziestu poświęca się badaniom starożytności słowiańskich i wyczytywaniu runicznych i innych odwiecznych napisów, w wykładzie swoim okazał, że napis ten w mowie litewskiéj przez Jazygów był ułożony. I w rzeczy saméj, ktokolwiek rozumié język litewski, przyznać musi, że ów napis, czytany rozumié się w ten sposób, jak go pan Wolański czytać każe, rzeczywiście słowami litewskiemi, choć niezupełnie z grammatyką i sensem zgodnie, jest wyrażony (71). Rozjaśniła się więc ciemność, jesteśmy u kresu naszych badań! Jazygowie wydobyli się z pod zbyt ogólnego nazwania Sarmatów (72), bo się okazują być Letami, a Jadźwingowie już teraz niezawodnie od nich pochodzą, a tém samém również letyckiego są rodu. Wstrzymajmy się jednak na chwilkę w naszym zapędzie. Nie odmawiaj-

(71) Wiadomość o tym napisie winniśmy p. Narbuttowi, który ją umieścił w Tygodniku Petersburskim z r. 1846, nr. 25. Znaleziony w Węgrzech puhar, ma się znajdować dzisiaj w Wiedniu, w zbiorze składającym gabinet starożytności cesarsko-królewskich. Napis oryginalny czyta się jakoby w ten sposób:

Wuld Zoopau tese duge,
Toige bu taul Zoopau,
Tagrogetzige taise.

P. Wolański stosując się do dzisiejszéj mowy litewskiéj, tak go wyczytuje i tłumaczy:

Walda Zupau teise dauge,	Rządź Zupanie prawnie, wielce,
Taigi tagul bus Zupan,	Takim bądź Zupanie,
Tagro-Getzyge taise.	Tagro-Jadźwingi zrobili.

Znawcy litewskiego języku łatwo postrzegą, że pierwszy wyraz *walda* nie jest położony w trybie rozkazującym jak chce p. Wolański, ale w czasie teraźniejszym oznajmującego. Co się zaś tyczy wyrazu *tagro*, jeżeli za przykładem p. Wolańskiego pozwolimy sobie małéj zmiany, i położymy na to miejsce *taure*, co znaczy po litewsku kielich, kubek; pozbędziemy się zagadkowych Tagrów, a przybędzie wyraz do przedmiotu, o którym mowa, stosowny. Warto, żeby jaki miłośnik rzeczy ojczystych będąc w Wiedniu, postarał się widzieć ten zabytek starożytności i takowy nam dokładnie opisał, z dołączeniem jak najwierniejszéj podobizny napisu.

(72) Nie wiemy, czy starożytni Sarmatowie sami siebie tak nazywali, czy też otrzymali to miano od sąsiadów. Szukano znaczenia téj nazwy w języku greckim, i zrobiwszy z Sarmatów Sauromatów, powiedziano, iż tak się nazywają od jaszczurczych oczu. Tym sposobem byłoby im dane nazwisko od Greków. Autor artykułu: „Najdawniejsze zabytki mowy polskiéj" umieszczonego w Bibliotece Polskiéj (styczeń r. 1827), utrzymuje, że dotąd na Kaukazie wyraz Sarmata znaczy górala, od słów *sar* góra i *mat*

my p. Wolańskiemu zasług, do jakich ma prawo przez swą niezmordowaną pracowitość w mozolnych badaniach; lecz kiedy nam jest wiadomo, jak nieraz zbyt jest śmiałym w domysłach, i jak często trudne do uwierzenia gotów wyprowadzać wnioski, kiedy przez miłość Słowiańszczyzny nawet Eneaszowi mówić i pisać po słowiańsku każe: któż nam zaręczy, że po litewsku i Jazygom nie kazał przemówić. Póki więc autentycznéj podobizny owego nadpisu nie ujrzę, sąd mój w téj mierze w zawieszeniu zostawiam, a tymczasem do innych przechodzę wywodów.

Mateusz herbu Cholewa (r. 1144+1166.), Wincenty syn Kadłubka (r. 1218+1223), Boguchwał czy też Baszkon w niektórych kodexach (sięga r. 1273), którzy kroniki swoje wtenczas pisali, gdy Jadźwingowie bytu politycznego jeszcze nie stracili, jednostajnie pochodzenie z Prus im przyznają (73). Wszyscy oni powtarzają że: „*Polexiani* (t. j. Jadźwingi, Podlasianie) byli *Getarum seu Prussorum genus*", gdyż Getami a niekiedy i to właściwiéj Gotami (jak na nagrobku Bolesława W.) nazywano wówczas Litwinów pruskich. Gdyby wzmiankowani kronikarze wiedzieli o tém, że Polak Jadźwinga tyleż zrozumié co Kaszuba, Pomorczyka, Czecha lub Rusina, czyżby go Getem nazywał? Owszem widoczna, że do tego wyrazu przywiązywano wyobrażenie obcéj nie słowiańskiéj narodowości; tém bardziéj, że nie o Getach południowych, którzy już dawno w massie ludów słowiańskich zniknęli, była tam mowa, ale o Getach albo raczéj Gotach, co tak szeroko niegdyś w tych stronach panując, ludowi z którym się mieszali, po ustąpieniu swojém nazwiska też swoje Gotów i Borussów, przynajmniéj w ustach sąsiadów zostawili w puściznie; bo wyznać trzeba, że wywód nazwy Prusaków czyli Borussów od gockich wyrazów Bo-rus, co znaczyć ma wielki Rus (Rusem zaś był i Got i Skandynawczyk), do przekonania dość trafia (74). Wszakże wymienieni kronikarze nie byli piérwszemi, co mieszkańców ziemi Jadźwingów za jedno z Rusami czyli Borussami brali. Mniemanie to sięga nierównie dawniejszych czasów. Jadźwingowie

mąż, tylko nie dodaje w jakimto języku kaukazkim, bo tych jest kilka, jak kilka różnych narodów: Gruzyni czyli Georgianie, Czerkiesy, Abhazy, Lesginie, Osety i t. d. Nazwisko Horwata, może złożone z wyrazów *hora* góra i *wataha* drużyna, a przerobione na Chrobata, Kroata, czy nie będzie toż samo co kaukazki Sarmat?

(73) Mateusz II, 15. III, 31. Wincenty c. 19. Baszkon z kodexu willanowskiego, tłumaczenia Kownackiego 1822.

(74) Sękowski w Bibl. do czyta. 1849. Luty.

w X wieku niezawodnie już dotykali granic Polski, ale wówczas znani być musieli jeszcze tylko pod ogólném imieniem Borussów lub Russów. Przekonywamy się o tém z opisu granic Polski w darowiznie Gniezna i innych krajów polskich przez Odę wdowę po Mieczysławie I w Rzymie r. 994 lub 995 stolicy Apostolskiéj uczynionéj, gdzie powiedziano, że Polska z północnéj i wschodniéj strony graniczy z Prusami i Russami (75).

Kiedy więc takie u nas było najdawniejsze o pochodzeniu Jadźwingów mniemanie, cóż dziwnego, że Długosz (pisał około 1455), a za nim Miechowita (r. 1517) starali się jeszcze wyraźniéj rodowość tego ludu nielechicką oznaczyć. Jakoż piérwszy z nich powiada: że Jadźwingowie pochodzeniem, mową, wiarą i obyczajami wielkie mają podobieństwo do Prusaków, Litwinów i Żmujdzinów (76), drugi zaś wyliczając dyalekta litewskie, kładzie w ich rzędzie i narzecze Jadźwingów (77). W tém się tylko obaj między sobą różnią: że Długosz nie wié, czy za jego czasów byli jeszcze gdzie Jadźwingowie, drugi zaś twierdzi, że zostały ich szczątki z tych, co mieszkali koło Drohiczyna; czemu jednak trudno wierzyć, bo jeśliby i tak było, tedy gdzieindziéj nie koło Drohiczyna wypadałoby ich szukać. Za Długoszem i Miechowitą poszedł Stryjkowski (78), ale Kromer dotknąwszy się tegoż przedmiotu, choć powtarza słowa Długosza, policzającego Jadźwingów i Słoweńczyków do ludów pruskich, sam jednak waha się w oznaczeniu ich rodu, owszem wyznaje: że nie wié, czy ich brać za Jazygów Metanastów, których resztki koło Cissy w Węgrzech zostały, czy za inny jaki naród; miesza wreszcie wszystko co dotąd o Jadźwingach wiedziano, donosząc, jakośmy wyżéj wspomnieli, że na Litwie i Rusi zostało jeszcze cokolwiek Jadźwingów, którzy jednak zupełnie innego niż Słowianie i Litwini używają języka (79). Wszakże pomimo tego, że w miarę

(75) Muratori antiquit. medii aevi T. I, p. 381, z wyjaśnieniem tego zapisu przez J. L. w jego dziele: Polska wieków średnich, T. II, str. 67, 73 i d. (76) „Gens autem Jacwingorum natione, lingua, situ, religione et moribus magnam habet cum Lithvanis et Pruthenis, et Samogitiis conformitatem, cultui idolorum et ipsa dedita." (*Kronika wyd. Lips. 1711, str. 394*).

(77) „Linguagium lithvanicum est quadripartitum, primum linguagium est Jaczvingorum, ut horum, qui circa castrum Drohiczyn inhabitarunt, et pauci supersunt." Inne trzy narzecza podług Miechowity są: litewskie ze żmudzkiem, pruskie i łotewskie. (*Sarmat. Europea*).

(78) Stryjkowski, Kronika p. 55, 167.

(79) Kromer wyd. koloń. 1589, p. 51, 147.

oddalania się od epoki bytu Jadźwingów, mąciło się pierwotne o ich pochodzeniu wyobrażenie; zawsze jednakże przemagało zdanie, na najdawniejszych kronikarzach oparte: iż do prusko-litewskiego należą plemienia. Jakoż i autor *Dziejów Litwy i Rusi do czasów unii* nie wahał się utrzymywać: że Jadźwingowie w północnéj części ich kraju *Sudawami* zwani, byli *niezawodnie* szczepu letońskiego, choć piękniejszém wejrzeniem, a nawet wyższą materyalną cywilizacyą, różnili się od Litwinów (80). Nie samo więc Długoszowe przekonanie i nas skłoniło w piérwszém wydaniu Obrazu Litwy, do uważania Jadźwingów za szczep letońskiego plemienia; wzorem dla nas nie był sam Długosz, ale najdawniejsi kronikarze i zdanie świeżego historyka, któremu nikt zapewne badawczego ducha i zdrowéj krytyki odmówić nie zechce.

Takie było powszechniejsze mniemanie o pochodzeniu Jadźwingów, kiedy dwóch z najnowszych pisarzy zaprzeczyło im wszelkiéj rodowości letońskiéj; trzeci zaś chcąc godzić rozdwojone zdania, dostrzega w Jadźwingach pierwiastków kilku razem ludów. Zobaczmyż więc, co w téj mierze powiedzieli pp. Szulc, Sękowski i Maciejowski. Piérwszy z nich nie wątpiąc zgoła, że Jadźwingowie byli Lechami, twierdzenie swoje wspiera całym zapałem erudycyi i krytyki swojéj; lecz głównie dowód swój opiera na kronice Baszkona podług starożytnego odpisu zachowanego w archiwum królewieckiém, gdzie zamiast wyrazów: „sunt autem Polexiani *Getarum*...“ czyta się: „*Lechitarum* seu Prussorum genus (81).“ Miejsce to posłużyło autorowi nietylko do policzenia Jadźwingów w rzędzie plemion lechickich, ale nawet (przy innych jeszcze rozumié się źródłach) wszystkich niemal bez różnicy Prusaków. Gdybyśmy tychże wyrazów tyczących się Jadźwingów, z odmianą tylko jednego (zamiast Lechitorum, Getorum) nie mieli w dawniejszych od Baszkona kronikach, i gdybyśmy nie wiedzieli, że żadna z kronik naszych, tylu zmianom i przerobieniom co Baszkona nie uległa, trafiłby może do naszego przekonania autor

(80) J. L. Dzieje Litwy i Rusi do unii. 1844, str. 105—107. Już i Henning Sudawów i Jadźwingów brał za jeden naród (*de Jastg. p. 85*). Za letońskiém ich pochodzeniem oświadczył się i p. Felix Zieliński w Opisie latopisu Hipotiewskiego. (Bibl. Warsz. 1845. Październik, str. 17).

(81) Szulc, O znaczeniu Prus, przywodzi Zbiór Sommersberga T. II, c. 49 i Voigt'a I, str. 56.

nader interesującego dzieła o *Znaczeniu Prus*, gdyż wyznać potrzeba: że dla nadania lechickiéj barwy i krajowi i ludowi Jadźwingów, nie zaniedbał uczony badacz korzystać z każdéj okoliczności, jaka mu się tylko czyto w dziejach, czy w dyplomatach, czy wreszcie w nazwiskach miejsc i osób w których dopatrzył brzmienie lechickie, nastręczyć mogła. Wszakże pomimo tego przynajmniéj w części pogodzi nas p. Maciejowski z p. Szulcem, jak się to zaraz niżéj pokaże. Z przeciwném zupełnie zdaniem wystąpił p. Sękowski. Oparłszy swoje badania na starożytnych dziejach Gotów, ich mowie i sagach skandynawskich, i wysnuwszy z tego to przekonanie: że w odległych wiekach, w czasach jeszcze Herodotowych, panowanie i przeważny wpływ Gotów rozciągały się szeroko po całéj północno-wschodniéj Europie, w Jadźwingach nie inny lud tylko Gotów upatruje; dla lepszego zaś dowodu przytacza: że wyrazy: *Jet*, *Jatwing*, *Jot*, *Jut*, *Gete*, *Gita*, *Got*, i *Gud*, bez różnicy w sagach skandynawskich użyte, są tylko zmianami słowa *Got* (82). Nim jednak to odkrycie było zrobione, zajął się p. Maciejowski rozwiązaniem kwestyi pod sporem będącéj, a godząc rozdwojone zdania, oświadczył: że nikt się nie pomyli upatrując w Jadźwingach czy sarmackie, czy lechickie, czy wreszcie letońskie pochodzenie, jeżeli tylko tę lub ową narodowość części, nie zaś całemu przyznać zachce narodowi; co tak dowodzi: Jadźwingowie, mówi p. Maciejowski, byli ludem troistego plemienia, który zrzeszywszy się pod ogólną, dotąd nieodgadnioną nazwą, wsiąkł następnie w massę otaczających go Litwinów, Rusinów i Polaków, aż się nakoniec cały spolszczył, z téj snać przyczyny, że pierwotne kraje Jadźwingów głównie ludność polska zamieszkiwała (83), do któréj się następnie sarmacka (84), a nakoniec ruska i litewska przyłączyła (85). Sarmaci mieli się w te strony dostać w czasach jeszcze przedhistorycznych, około 419 r. przed naszą erą (86), a na poparcie tego faktu miano dostrzedz ślady sarmatyzmu w nazwiskach osad i mę-

(82) Sękowski l. c. mówi na str. 107 o Jadźwingach.

(83) Mielito być owi Tacyta Ligowie Naharwale czyli Neury (v. przyp. 69) t. j. niby Nadnarwianie i Nadnurzanie, polsko-mazowieckie jakoby plemię, już w r. 97 po Chr. w tych stronach osiadłe.

(84) Podług Szaffarzyka I, str. 284.

(85) Maciejowski. Pierwotne dzieje str. 420.

(86) Szaffarzyk l. c.

żów jatwiazkich (87). Wszystko to bardzo dobrze, tylkoż godzi się zapytać, do jakiego narodu policzyć mamy Sarmatów w skład ludności Jadźwingów wciśnięty? Bo nazwisko Sarmatów, jak się ze wszystkiego okazuje, było zbiorowém i do różnych zapewne ludów, ze sposobu tylko życia do siebie podobnych, stosowaném. Jaki był ich język? Czyto po nich zostali Połowcy, Pieczmiegi lub jaka inna tatarszczyzna (88)? Czém nas wreszcie historycznie przekonać można, że Sarmatowie dlatego iż w IV wieku zupełnie znikli z dziejów europejskich, koniecznie się przenieść mieli ze swemi wozami, trzodami i tabunami, nie w stepy zadońskie lub zawołżańskie, ale do lasów podlaskich, na błota narewskie i biebrzańskie? Zdaje się więc, że bezpieczniéj będzie Sarmatów zostawić w pokoju. Lecz jeżeli na ich miejsce postawimy Gotów, albo raczéj późniejszych Skandynawów, którzy od południowych i wschodnich brzegów morza Baltyckiego, posuwając swoje panowanie w głąb krajów letońskich, z Litwy lub Prus dostać się mogli do Jatwiezyi: przypuszczenie p. Maciejowskiego o troistéj różnoplemiennéj narodowości ziemi Jadźwingów, da się zrozumieć. Bo jeżeli zaprzeczyć już dzisiaj trudno, żeby część ludności tych stron nie była słowiańską, wielkiém jednak jest podobieństwem do prawdy, że ona uległa przemocy Jatwingów, jakiemuś oddzielnemu szczepowi, lub drużynom Skandynawów, tą nazwą oznaczonym (jak Witingi, Waringi, mogli być i Jatwingi); przemocy owychto Rusów, w donacyi Mieczysława spomnianych, którzy wciskając się do Litwy, przez długi tam pobyt już w części mogli się zlitwinić, a osiadając w coraz nowo napadanych to litewskich, to słowiańskich ziemiach, albo do reszty litwinieli, albo słowaczéć zaczęli. Południowi Jadźwingowie mieszali się z Rusią, środkowi z Mazurami, w stronie północnéj ku Sudawii, w miarę oddalania się od Mazurów, przemagał coraz bardziéj li-

(87) Maciejowski l. c. czego trudno dowieść nie znając języka sarmackiego, a wiedząc z drugiéj strony, jak latopiscy niemiłosiernie nieraz kaleczyli imiona własne.

(88) Podług Herodota, koczowiska Sarmatów były na wschód Donu powyżéj morza Azowskiego o 15 dni drogi nad Scytami czyli Skolotami, z któremi ich łączyła mowa, choć niezupełnie czysto-scytyjska. Sarmatowie zatém mogli być jednego ze Scytami szczepu, którzy się tém od innych odznaczali ludów, że pili mleko końskie, a dla pozyskania nagrody, urzynali głowy poległym nieprzyjaciołom. *(Herodot ks. IV, 2, 64, 117)*; co wszystko na tatarszczyznę bardzo zakrawa.

twinizm, póki w Zapuszczańskiém i daléj w Prusiech nie stał się wyłącznem. Ci przybysze, zaborcy, stanowili zapewne wówczas czoło narodu, byli niejako szlachtą, kunigsami, bojarami (Boi-uärwielki mąż). Ichto nasi kronikarze nazwali królikami, kniaziami, wodzami, których nieraz po kilkudziesięciu ginęło w walkach z Rusią i Polską. Onito wyłącznie szczególném odznaczali się męztwem od reszty czerni, która piszących o zaciętych Jadźwingów bojach, mniéj zajmowała. Z takiego stanowiska uważając Jadźwingów, nietrudno byłoby już pojąć, dlaczego niektóre wsi i rzeki ich kraju noszą nazwiska słowiańskie, dlaczego w imionach ich wojowników, to normandzkie, to litewskie, to wreszcie słowiańskie przebija się brzmienie (89), a zawsze bardzo różne od brzmienia nazwisk połowieckich (90).

(89) Za skandynawskie nazwiska uważałbym: Stekind, Stegut, Skomont, od którego i osada w Sudawii Skomontno pochodzić może. Zalitewskie oprócz Jundzillo i Jaszczołta: Mintella (od *mintu* żywię siebie), Pestiło (od *pestis*, kania); Szurpa (od *szurpoć*, najeżony); Szutr (od *szutras*, zwinny). Słowiańskich jest najmniéj, może: Mudiejko, Nebjast, Borut. Pozostałe dwa nazwiska: Aukat i Komat, nie wiem do jakiego rzędu wypadałoby policzyć.

(90) Wspomniałem o Połowcach, bo i tych dzieci stepów niegdyś sarmackich czy podgórza kaukazkiego, chciano z Letami, a tém samém i z Jadźwingami spokrewnić. Powtarzano nawet, jakoby język litewski dochował się do naszych czasów w dawniejszych siedzibach połowieckich, przy ujściu Dniepru, między Tatarami cerkieiskiemi czyli białogrodzkiemi, dokąd chyba może jaki Tatarzyn litewski go zaniósł. (*Stryjkowski str. 167. Gwagnin Kron. lit. str. 3, i Opisanie ziemi ruskiéj, str. 30. Kojałowicz Hist. lit. l. p. 25. Narbutt, Dzieje II, str. 157—165*). Nie ma już dzisiaj wątpliwości, że Połowcy i Pieczyngi byli tureckiego szczepu, a ich język komański, mowa szczególniéj Połowców, zbliżał się bardzo do dzisiejszego dyalektu konstantynopolitańskiego. Słownik i grammatykę połowiecką ułożone przez Petrarchę r. 1303 dla Włochów, którzy z tym ludem handlowe mieli stosunki, wydał z rękopismu weneckiego Klaproth r. 1828 w t. III, str. 122—254, swych: Memoires relatifs à l'Asie (*cf. J. L. Polska wieków średnich, t. II. Omyłki do poprawienia, str. IV*). Ale gdybyśmy i tego zabytku mowy połowieckiéj nie mieli, same nazwiska ich wodzów, nieraz dziwnie zbliżone w brzmieniu do imion używanych dotąd w stepach Kirgiz-kajsackich (*Alexego Lewszyna: Opisanie Kirgiz-kajsackich ord i stepów, T. II*), porównane z nazwiskami mężów jatwiazkich, o różném pochodzeniu obu tych ludów, każdego przekonać mogą. Tych nazwisk połowieckich mnóstwo przywodzi latopisiec ipatiewski połączony z wołyńskim; częściéj wspominane są: Aepa, Akusz, Azup, Baszkord, Biabok, Basty, Barak, Boniak, Blebbars, Byrcz, Czuhaj, Czernieres, Czułbuk, Eltuk, Etcb, Harsznałok, Izali Bilukowicz, Itohł, Izaj, Kamos, Koucak, Ko-

Na tém kończymy dzisiaj nasze badania o pochodzeniu Jadźwingów. Czas i okoliczności może odkryją nowe ślady, nowe jakie źródła, które za lub przeciw naszemu będą mniemaniu. Zdaje się nam jednakże, że w jakikolwiek sposób rzecz się ta wyjaśni, pierwotnych, niezmieszanych, i nieprzenarodowionych Jadźwingów, trudno będzie za Lachów poczytać.

Z nazwiskiem zniknęli już w naszych stronach Jadźwingowie. Inne ludy zajęły ich miejsce i depcą kamieniem okładane groby jatwieżkie po całém Podlasiu rozrzucone. Lecz naród, którego męztwo podziwiali sąsiedzi, a nawet wrogi; naród prawdziwie heroiczny, który, bez wiarołomstwa Krzyżaków, niedbalstwa Polaków, przewagi Rusi i jakiéjś ku niemu odrazy samych Litwinów, świetniejszą zapewne odegrałby rolę: naród mówię taki zasługuje bez wątpienia na to, abyśmy go bliżéj poznali. Zobaczmy więc gdzie właściwie były Jadźwingów siedziby, jaki był ich stan socyalny i religijny, jakie obyczaje w pokoju i wojnie, czém się od innych odróżniali ludów, od jakiego czasu zaczęli się ukazywać na scenie dziejowéj i jakie nakoniec politycznego ich losu były koleje?

blak, Kuzab, Kiltanop, Kuman, Kutlak, Koc, Kozef Sotanowicz, Kunjaczuk, Kozubur, Kołob, Kza, Kołdeczy, Koban, Koczan, Kotlan, Osałuk, Selcluk, Subor, Sarnak, Sekel, Semohur, Tinrak Osułkowicz, Thły, Totur, Towłaj, Tareb, Toksob, Urus, Zdwak i t. d. Czemu tyle nazwisk jatwiazkich nie można było zebrać; bardzoby się przydały do naszych badań. Nic zatém wspólnego, jak się pokazuje, nie mieli Połowcy ani z Litwą, ani z Jadźwingami, chociaż książęta zapewne haliccy podsunęli im połowiecką osadę. Mogło to nastąpić albo po roku 1223, gdy Połowcy od Tatarów z okolic dolnego Dniepru wyparci, szukali schronienia u książąt ruskich, i często już odtąd przebywali śród obozów książąt halickich i wołyńskich, którzy właśnie aż za Bielsk podlaski rozciągali swoje panowanie (*Karamzyn, Hist. Ross. III, str. 215*); albo też po wyprawie na Jadźwingów r. 1251 Daniela, któremu Połowcy dopomagali. Główna wieś téj osady, przy granicy dawnego Podlasia w powiecie brzeskim położona, jako też i dwór, dotąd zowią się Połowcami. Oprócz tego jednak, okoliczni wieśniacy témże nazwiskiem oznaczają mieszkańców wiosek: Suchory, Stawiszcze, Piszczała, Hola *v.* Hoła, Suchodół i Wólka połowiecka, może dlatego, że kiedyś wszyscy do dworu połowieckiego należeli. Dzisiaj żadna już cecha szczególna Połowców tych nie odróżnia od sąsiednich Rusinów, tylko powtarzane dotąd między ostatniemi przysłowie: *Połowciów siem siot, a odin tolko wot*, nie nader korzystnie świadczy o ich przemyśle rolniczym lub zamożności wiejskiéj.

WIECZÓR PRZY KOMINKU.

(Opowiadanie).

Mieszkam na samym krańcu Królestwa; naturalnie mógłby kto wnioskować, że na pograniczu Wielk. Ks. Poznańskiego, Prus starych, dawnéj rzeczypospolitéj krakowskiéj lub Galicyi. Inaczéj jest przecie. Z okien domu mego patrzę na kraj, którego nazwa jest zagadką dla wszystkich, którego granic próżnobyś szukał na najdokładniejszéj karcie Europy, a jest zamieszkały przez naród, o którego nazwie przed kilką laty nikt nie słyszał. Nie znam ja ani kraju tego, ani jego mieszkańców; lecz czegoż nie przebije siła podania? O tym więc kraju, jak o oazach poza Atlasowych, krążą różne powieści; jednę z nich przytoczę.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, że w kraju tym panuje potężne plemię Rudólfa z Habsburga, tego protoplasty wielkiego rodu, co zstąpił ze szczytu gór tyrolskich, by osiąść jeden z najpotężniejszych tronów Europy. Niezmierne są posiadłości domu tego: od dawnéj siedziby Daków, prawie do bram świętego miasta ciągnie się dziedzina jego; dwunastu językami mówią wassale potężnego władcy; na jednéj głowie spoczywa dyadem Cezarów, korona Stefana, Podiebrada, longobardzkich królów, a szereg mitr książęcych i hrabiowskich koron, zamyka biret proboszcza salcburskiego. W wielkiéj liczbie tytułów mieści się także spadkowa korona Luzinianów, i królestwo Lodomeryi, które widzę z okien moich, a o którego położeniu geograficznem i jego mieszkańcach nieco wspomnę.

Lodomerya tedy, *alias* Wladimiria, jestto kilkanaście wsi ponad granicą rossyjską leżących, wązkim paskiem równoodległe od Drużkopola ku Brodom ciągnących się. Wielkiemi wassala-

mi tego królestwa jest kilku szlachty, a lud tę krainę zamieszkujący zowie się *Ruteny*. Jest on słowiańskiego pochodzenia, były więc i urządzenia słowiańskie; lecz z nazwą, którą przed kilką laty dostał, zmieniły się i stosunki dawne, bo z wieczystego dzierżawcy, został on właścicielem ziemi. Ztąd w każdéj wsi wznosi się krzyż kamienny uświęcający tę emancypacyą, i powstała uroczystość téj nowéj narodowości, nazwana Święty Maj, czyli rocznica, w któréj kommissarz cyrkułowy ogłosił owéj ludności, iż ziemia, która dotąd należała do większych właścicieli, stała się własnością dzierżawców.

Takito kraj na wschód, południe i północ otacza wioskę w któréj mieszkam. Jedyny tedy wylot na zachód. A że z Zachodu cywilizacya, to téż w piérwszéj majętności jaką napotykam, na gruzach starego dworca stanął piękny pałacyk wśród ogrodu i gustownych zabudowań, a wewnątrz nagromadzono wszystko, na co zamożność zdobyć się może, ale nie zamożność cpissyera, ale znawcy i artysty. Z tego początku wnieśćby można, że to koteż jakiego lorda, albo willa kosmopolity; — wcale nie: bo choć miejsce starego dworca zastąpił ładny pałacyk, to zwyczaje zostały staropolskie. Jak w starym dworze drzwi sieni otworem stoją, bo gospodarz rad odwiedzającym; jak w starym dworze gościnność i prynuka do lampki węgrzyna; jak w starym dworze sług i siérot pełno. Patryarchalne obejście w domu, swoboda na wszystkich twarzach; a ilekroć myślące czoło gospodarza osiądzie troska, to w wesołém oku nadobnéj towarzyszki życia, czerpie pociechę i zachętę. Na tę zgodę domową patrzą poważne staropolskie twarze, błyszczą ich pamiątki na ścianach, spoczywają na licznych pułkach ich sława i dzieje. I cóż dziwnego, że częstym gościem tam jestem, że nieraz wśród długich wieczorów jesiennych zapomnę o spóźnionéj porze? Bo wszystko co mnie otacza w harmonii, bo wszędzie na pamiątce oko moje spocznie, bo jak się chcę nauczyć, to tam jechać muszę.

Jednego z takich wieczorów obsiedliśmy komin i rozmawialiśmy o nowém dziełku autora Listopada, któremu dał nazwę *Nie bajki*. Wszyscy w tym utworze znajdywali dużo fantazyi, a gospodyni domu nie ze stanowiska filozoficznego, ale z usposobienia wrażliwego, przeczyła istnieniu nadnaturalnych wypadków. Każdy z nas na poparcie tego zdania: „że są rzeczy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się naszym filozofom" coś opowiadał, aż przyszła koléj i na mnie, i zaraz na dowód, że

moje opowiadanie nie wymysł, zacząłem od historyi, jakim sposobem doszło to wydarzenie do uszu moich.

Przed laty kilkunastu prowadziłem handel drzewem towarnem z domem handlowym Bressler et Comp. w Szczecinie, a naczelnik tego domu p. August K....., odwiedzał mnie raz do roku dla zrobienia obrachunków. Kilkoletni stosunek, dobra komitywa w jakiéj żyliśmy, zawiązały między nami zażyłość z liczbami związku niemającą; to téż p. K..... nie robił sekretu przedemną, opowiadał postęp swoich interesów, pewny, że rad będę pomyślnym skutkom jego zabiegów handlowych. Jako dowód poczynionego kupna, pokazywał mi kontrakta i listy. Jeden z takowych zawierał korzystne bardzo propozycye od jakiegoś właściciela z Pomeranii, który się zwał baron F..... (poprzestanę na literze początkowéj jego nazwiska, bo zapewne żyje dotąd). Otóż baron F..... był głową majoratu, chociaż żył starszy brat jego, a to odziedziczenie i majątku i tytułu braterskiego, winien był następującemu wypadkowi.

Było to jakoś w roku 1813; gwiazda potężnego władcy Zachodu blednąć poczęła; w śniegach Rossyi zginęły dzielne jego zastępy; z niedobitkami cofał się ku Renowi. Na odgłos téj porażki, młodzież uniwersytecka Niemiec, naczytawszy się Rozbójników Szyllera, zelektryzowana proklamacyami słynnego naówczas partyzanta majora Schilla, zapałem pięknéj królowéj i opowiadaną wszędzie bohaterską śmiercią królewicza Ludwika pod Saafeld, ruszyła tłumnie w szeregi obrońców uciśnionych Niemiec, i młody baron F..... naówczas uczeń w Jena, zaciągnął oddział ochotników i sam stanął na ich czele. Miał on towarzysza lat swoich dziecinnych i prac akademickich, a tym był syn pastora parafii, w któréj leżały dobra barona, a zwał się Ernest Klejst. Najściślejsza przyjaźń łączyła ich od lat najmłodszych: jedne gusta, jedne nadzieje; nic dziw więc, że razem i wojaczkę rozpoczęli.

Któż nie zna szczegółów téj pamiętnéj wojny? któż nie przyzna, że od kampanii we Włoszech nigdy szczytniejszemi pomysłami nie jaśniał gieniusz wielkiego bohatera? Wstrzymywał téż zwycięzkie zastępy koalicyi, śmiałemi ruchami dwoił swe siły i wolno ustępował ku Renowi. We wszystkich spotkaniach téj pamiętnéj kampanii brali udział oba przyjaciele; to téż obadwa byli już oficerami w pułku huzarów i świetna przyszłość otwierała się przed niemi.

Byłoto już gdzieś niedaleko Renu, w téj krainie dawnego rycerstwa, gdzie co wzgórze to zamczysko, a o każdém straszna legenda. Przednia straż korpusu Blüchera spotkała silny rekonesans francuzki, i wszczęła się zacięta walka, która przeciągnęła się ku wieczorowi. Pułk w którym służył młody baron i Ernest, trzy razy w dniu tym szarżował; Ernest odniósł lekką ranę pałaszem i przedstawiony został do krzyża.

Słońce schylało się już ku zachodowi, kiedy obaj przejeżdżali pobojowisko, szukając miejsca gdzie stały ambulanse, a to dla opatrzenia Ernesta. Mnóstwo trupów i rannych okrywało plac boju; młodzieńcy ze wzruszeniem patrzyli na męczarnie tylu ofiar, kiedy zpoza krzaków doszło ich przytłumione boleścią wołanie:

— Na Boga! dobij mnie! dobij!

Zwrócili się więc w kierunku głosu i ujrzeli oficera od dragonów francuzkich rozciągniętego na ziemi. Ogromne cięcie w głowę otworzyło mu czaszkę; zranioną piersią obficie krew uchodziła, a on ją tamował trawą, którą rwał wkoło siebie. Niemłodyto już był człowiek, wydatnych rysów twarzy, na któréj dawne blizny widać było. Z rezygnacyą starego żołnierza widział zbliżający się koniec; czuł, że ratunek byłby próżny, chcąc więc uniknąć męczarni, wołał, żeby go kto dobił. Na widok téj twarzy konwulsyjnie wykrzywionéj, na to pasowanie się ze śmiercią, zgroza przejęła obu młodzieńców i zaraz baron zawołał na przyjaciela:

— Erneście! sprowadź ambulans.

— Nie tego żądam od ciebie—wołał Francuz—dobij mnie, bo męczarnie cierpię!—Ale młody oficer powtórzył zlecenie przyjacielowi, a kiedy ten pędem poskoczył za wyszukaniem pomocy, baron zsiadł z konia, chustką starał się zatamować krew rannemu, wzywał do cierpliwości i zapewniał, że pomoc niebawem nadejdzie; ale Francuz zdał się nieczuły na to wezwanie, bo kiwnął ręką i rzekł do pochylonego nad nim młodego oficera:

— Słuchaj młodzieńcze! nie piérwszato kampania moja, nie piérwsza i rana: znam ja się na tém; wiém, że ratunku dla mnie nie ma, jeżeli więc masz uczucie ludzkie, uwolnij mnie od cierpienia: błogosławić ci będę.

Wzdrygnął się na to młodzieniec.

— Ja nie kat, nie zbójca—mówił—żebym zabijał bezbronnych; ratować cię chcę, ale nie dobić.

— Jakiś ty niewinny!—mówił Francuz — dziesięciubym mózg roztrzaskał, gdyby mnie o to prosili, a ty się obawiasz jednego dobić! O! gdybyś wiedział, com ja w twoim kraju dokazywał, co ja twoich rodaków na tamten świat wyprawiłem; może którego z twoich krewnych.... przyjaciół!.....

Na te wyrazy krew zawrzała w żyłach młodego oficera, miał bowiem kuzynkę, którą kochał namiętnie, a która wpadłszy w ręce Francuzów, w skutek zniewagi jakiéj doznała, postradała zmysły. Jak szalony poskoczył do konia, drżącą ręką wyciągnął pistolet z olstra, kiedy go ktoś za ramię powstrzymał. Obrócił się i ujrzał Ernesta, który zdziwiony jego zaognionym wzrokiem:

— Co robisz?—zawołał—ambulans nadchodzi!

Jakoż wkrótce głuchy turkot zbliżającego się wozu i przeciągły jęk rannych zapowiadał nadchodzącą pomoc, i ostudził mściwy zapał młodzieńca. Francuz z uśmiechem prawie patrzał na barona, kiedy dobywał pistolet; ale gdy zobaczył, że Ernest nie dopuścił zbrodni i potém z pomocą chirurgów, położywszy go na noszach, pomagał nieść do ambulansu; wtedy wpadł w wściekłość: lżył, przeklinał Ernesta, a w końcu już leżąc na wozie:

— Bodajeś zginął z najdroższéj ci ręki!—zawołał i upadł na posłanie, a wóz ruszył naprzód.

Boleśnie wzruszeni, długo w milczeniu jechali oba przyjaciele i późno w noc o tym wypadku rozmawiali. Na drugi dzień ruszyło wszystko naprzód, a w kilka dni późniéj przeszli wielką rzekę i byli w téj Francyi, która tak długo ciężyła nad Niemcami. Co dzień prawie toczyła się walka i coraz w głąb kraju posuwały się ogromne zastępy koalicyi; a kiedy z wyniosłości Montmartre ujrzeli Paryż, radość armii pruskiéj była nie do opisania: bo oni najwięcéj krzywd mieli do powetowania. To téż wódz ich domagał się tryumfalnego wejścia dla wojska swego; a kiedy wspaniałomyślny cesarz Alexander zgodzić się na to nie chciał, wtedy Blücher oświadczył, że jeżeli mu nie dozwolą wejść rogatkami Paryża, wejdzie wyłomem przy łunie pożaru. Jeżeli stary wódz upojony szczęściem nie zachował miary w uniesieniu radości, jakież uczucia musiały być młodéj jego armii? Nie dziw więc, że i nasi dwaj przyjaciele upojeni zwycięztwem, w rozkoszach téj nowéj Kapui zapomnieli o drobnym epizodzie rannego oficera dragonów.

Długo gościli w Paryżu, gdzie młody baron odebrał wiadomość o śmierci ojca. Był więc teraz głową familii, pociechą stra-

pionéj matki, opieką młodszego rodzeństwa; umyślił téż opuścić służbę i zamieszkać rodzicielski zamek. Przedstawił to swoje przedsięwzięcie przyjacielowi, i namawiał go, żeby z nim powrócił w rodzinne strony. Ernest pochwalał zamiar jego; co zaś do siebie, jakkolwiek nigdy dawniéj o karyerze wojskowéj nie myślał, teraz, kiedy miał już i stopień i oznakę honorową, nie chciał opuścić służby: bo kiedy dla młodego dziedzica szerokiéj fortuny, wojskowość byłaby niejako rozrywką, to syn biédnego pastora upatrywał w niéj sposób do życia. Z niewypowiedzianym smutkiem usłyszał baron to postanowienie przyjaciela, robił więc co mógł, żeby go nakłonić do wyjścia ze służby, bo do ich stosunków dziecinnych, do koleżeństwa szkolnego, przybył nowy łączący ich węzeł — braterstwo w boju. Długo opierał się tym namowom Ernest, aż widząc głęboki smutek przyjaciela, nabywszy przekonania, że towarzystwo jego było niejako warunkiem pomyślności dla barona, przyrzekł podać się do dymissyi. Po kilku miesiącach pobytu we Francyi opuścili Paryż, a że się rozłączyć nie chcieli z ulubionemi końmi, które ich unosiły wśród niebezpieczeństw, wolno więc podróżowali.

Jednego dnia ku wieczorowi, ujrzeli wśród mnóstwa akacyj wznoszącą się ładną oberżę; stanęli przed nią, żeby dać wypoczynek koniom, i wkrótce przy butelce Johannisberga siedząc przed domem, rozmawiali z gospodarzem oberży. Kampania ostatnia była przedmiotem ich rozmowy, a z toku jéj poznali obaj młodzieńcy, że są gdzieś niedaleko miejsca, gdzie ratowali owego rannego oficera dragonów. Myśl zwiedzenia raz jeszcze placu boju, gdzie Ernest odznaczył się, nasunęła się obu młodzieńcom i zaraz ją do skutku doprowadzili. Wzięli przewodnika, który nie wiedząc, że mówi z naocznemi świadkami tu zaszłéj bitwy, opowiadał im przez drogę najdrobniejsze jéj szczegóły. Po niedługiéj przechadzce poznali błonie, na którém pułk ich szarżował; nieco daléj kępę drzew, zpoza których Francuz wzywał ich pomocy, a w końcu miejsce, gdzie Ernest przedstawiony dowódzcy korpusu dostał pochwałę i zapewnienie nagrody. To wspomnienie wywołało uścisk przyjazny, naturalne przypomnienie niebezpieczeństwa na jakie narażeni byli i strasznego przekleństwa Francuza. Przewodnik choć się z ich mowy mógł domyśléć, że byli aktorami w dramacie przez niego opowiadanym, ciągnął dlatego narracyą, wskazał palcem na wzgórze przed niemi będące i rzekł:

— Tam stały kolumny francuzkie.

Wzrok obu młodzieńców idąc w ślad za kierunkiem ręki, zatrzymał się na niedużym zamku, co zawisł niejako na stromej skale. Promienie zachodzącego słońca łamały się na blaszanym daszku wieżyczki i małych szybach wązkich okien, a herbowna chorągiewka kręciła się za powiewem wiatru. Nie byłato ruina, ale na pustkę coś wyglądało, bo wązka, głęboko wyżłobiona droga wijąca się po górze, w wielu miejscach kamieniami zawalona i cała trawą porosła była. Dziedziniec zamku murem był obwiedziony, ale w sklepionéj bramie połowa wrót na dolnéj tylko wisząc zawiasie, chwiała się od wiatru; szyby okien w wielu miejscach wybite nie odbijały promieni słońca; chwast porastał mur obwodowy, ostry dach budynku świécił gdzieniegdzie dziurami, w fosach i na blankach pasły się kozy i owce, a dwóch chłopaków, zapewne pasterze téj małéj trzody, rozciągnięci na trawie igrali z psami. — Zapewneto ślady ostatniéj kampanii—pomyśleli oba przyjaciele, i pytali przewodnika:

— Czyto Francuzi zniszczyli ten zamek? i dlaczego tak dobry budynek, w tak ładném miejscu dotąd pustką stoi?

— Nie ludzkato ręka zniszczyła go—mówił przewodnik;— dzieckiem ja byłem, kiedy zamek był zamieszkany, ale nie mógł w nim wysiedzieć właściciel dzisiejszy, bo straszne w nim rzeczy się działy. Długo nie zważał na to pan zamku, aż kiedy żona jego zachorowała z przestrachu, jedyna córeczka konwulsyj dostała; wtedy opuścił piękną naszę krainę i gdzieś w piaskach Luzacyi zamieszkał.

To wspomnienie o strachach wprowadziłoby każdego w ciekawość, a cóż dopiéro ucznia uniwersytetu niemieckiego, co się naczytał fantastycznych powieści i legend, którego ideałem bohaterowie Rozbójników, co sobie wymarzył jakiś świat rycersko-idealny, co strojem dziwacznym, miną butną, niby German średniowieczny zda się wyzywać świat cały.

Z zajęciem téż oba młodzi wypytywali przewodnika o szczegóły tych nadzwyczajnych wydarzeń; a ten im prawi: że przed wiekami mieszkał tu Widam z Hochbergu, który wróciwszy z krzyżowéj wojny, zastał młodą małżonkę, fałszywie uwiadomioną o jego śmierci, żoną innego; a że Widam nie uznawał innéj władzy nad sobą prócz Boga, za którego grób walczył w Palestynie, a spory wszelkie mieczem rozstrzygał: niedługo się téż namyślał, zebrał wazałów, dobył zamek szczęśliwego rywala,

zamordował go własną ręką, niewierną żonę osadził w więzieniu zamkowém i głodem zamorzył, a potém, jakby na ubłaganie jedynéj władzy, która karać mogła potężnego burgrafa, mnichem został.

I odtąd duch nieszczęśliwéj ofiary przechadza się po salach zamku; przeciągłym jękiem wzywa pomocy i straszy śmiałków, co tu poważą się zamieszkać.

— Jak zmrok nastaje — mówił przewodnik — nikt się do zamku zbliżyć nie śmié, bo niejednemu na złe to wyszło.

Kiedy to mówił, słońce w téj chwili schowało się za górę, a młodzieńcy uważali, że dwa pastuszki spiesznie zganiali rozpierzchłą trzodę i oglądając się na zamek, zstępowali z góry.

Jakaś myśl szalona przyszła widno obydwom do głowy; spojrzeli na siebie jak ludzie nawykli czytać w oczach swoich, a kiedy Ernest zawołał:

— Słuchaj Wilhelmie! walczyliśmy z ludźmi, ale to nie jednemu przytrafiło się w tych czasach; wojną z duchami zakończymy naszę karyerę wojskową.

— Zgadłeś myśl moję, kochany Erneście — mówił baron — będzie to nowy przedmiot, którym uprzyjemniać będziemy długie wieczory zimowe. Chodźmy do oberży, wybierzmy się jak należy, i noc przepędźmy w starym zamku; zobaczymy, czy wiarołomna żona Widama zaszczyci nas swoją wizytą.

Przewodnik z uśmiechem niedowierzania słuchał rozmowy młodzieńców i szedł za niemi do oberży; ale kiedy stanąwszy na miejscu oświadczyli i gospodarzowi i służbie dziwny swój zamiar, przestrach wszystkich był wielki: gospodarz zaklinał obu przyjaciół, żeby zaniechali téj niebezpiecznéj wyprawy, a i stary Hanz, dawniéj sierżant w pułku huzarów, dziś sługa swego porucznika, ze łzami w oczach prosił go, żeby odstąpił od swego zamiaru. Bo Hanz urodzony w Olbrzymich górach, od dzieciństwa karmiony powieściami o strachach, jak paciérz umiał balladę o złotym osiołku w Kinau i o Kunegundzie z Kunastu, i wierzył w to co opiewa, jak w zbawienie duszy. Ale próżne były prośby obu: Ernest kazał przynieść kosz, włożono w niego dwie świéce w lichtarzach i dwie zapaśne, daléj zimną kolacyą, a kiedy usłużny oberżysta postawił kilka butelek wina, Ernest spojrzał na etykietę:

— Nie tego — zawołał wesoło — przecież zapowiadacie nam odwiedziny pięknéj damy: tuzin więc dobrego *Liebfrauenmilch* włóż do kosza.

Gospodarz westchnął na te niewczesne podług niego żarty; nie uszło to uwagi Ernesta, z umysłu więc dodał:

— Ale może piękne widmo zechce posilić się także żołnierską naszą kolacyą? Dla damy trzeba coś słodkiego, a więc *Strohweinu* butelkę jeszcze.

I śmieli się do rozpuku obaj młodzi, a stary Hanz mrucząc pod nosem, wkładał do kosza oprócz kolacyi i napitku: dwie fajek i kapszuk z tytuniem, talią kart, a w końcu parę pistoletów nabitych; potém wziąwszy kosz, przy bladém świetle letniéj zorzy postępowali we trzech ku zamkowi.

Zawalona kamieniami droga w wielu miejscach przykrą była do przebycia; z niemałym téż trudem przeszli ją i stanęli na dziedzińcu. Ernest wziął kosz z rąk starego huzara, który wolałby, jak mówił, uderzyć na czworobok gwardyi Napoleona, jak wejść do tych zaklętych murów. W dużéj i wysokiéj sieni zapalili świécę, i po kamiennych stromych wschodach weszli na górę; zaraz bez oporu baron otworzył drzwi na lewo, i znaleźli się w dużéj sali. Ogromny komin kamienny, cały w rzeźbie, miał nad gzymsami herb poczwórny; wyżéj nieco w ścianę wpuszczony portret jakiegoś rycerza: widać krzyżowca, bo na pancerzu błyszczało znamię zbawienia, a przy pasie wisiał różaniec zakonny. Długie pióra szyszaka ocieniały twarz rycerza, a w małym otworze usuniętéj przyłbicy świeciło parę ócz jak dwa karbunkuły. Byłżeto portret owego Widama krzyżowca....., mordercy..... i pokutnika? Ta myśl nasunęła się obu młodzieńcom; długo téż przypatrywali się téj namiętnéj postaci, a potém obszedłszy dokoła pustą salę, weszli do mniejszéj nieco, widno biblioteki, bo wokoło były pułki, na nich nieco książek i pargaminów.

— Tubyśmy nocować mogli—mówił Ernest do przyjaciela—ale usiąść nie ma na czém; szukajmy daléj.

I obchodząc wokoło, ujrzeli drzwi wązkie, zaryglowane, które z ciężkością otworzyli; a kiedy przestąpili próg, Ernest podniosłszy świécę do góry:

— Otóż mamy, co nam potrzeba—zawołał uradowany, wskazując na kilka sprzętów stojących w tym pokoju.

Sprzętami temi był stół z czarnéj dębiny, misternéj roboty, kilka wysokich krzeseł z nizkiém siedzeniem, daléj klęcznik między dwoma wązkiemi oknami, w rogu łóżko na wzniesieniu, bronzową ballustradą otoczone. Wszystko w tym pokoju miało cechę dawności: zbutwiałe obicie gobelinowe przedstawiało jakąś

scenę mitologiczną, na wypukłym suficie błyszczały złocenia, wpośrodku wisiała lampa metalowa, okna okiennicami starannie zamknięte, sztabami żelaznemi przytwierdzone były. Jakiś zaduch pleśni napełniał pokój; widać dużo dawniéj niż reszta zamku miejsce to nie było zamieszkałém. Niemiłe wrażenie zrobiło to wszystko na baronie, więc radził przyjacielowi szukać innego schronienia; ale Ernest ze wstrętu przyjaciela śmiał się i mówił wesoło:

— Właśnie to miejsce najstosowniejsze do naszéj wyprawy; bo te mocno zaparte okna, te sprzęty odwieczne, w końcu nietykalność w jakiéj dotąd zostały: wszystko mi wnosić każe, że zapewne tu okrutny Widam musiał więzić niewierną małżonkę, a strach lepiéj strzegł to ustronie od zniszczenia, niż rygle i zamki. Siadajmy...! śmiało!...

Z utajoną niechęcią dopomagał baron przyjacielowi w ustawieniu stołu, siedzeń, prowizyi; zasiedli naprzeciw siebie, dwie świéce gorzały na stole, pistolet spoczywał pod ręką każdego, a oni nalawszy szklanki zanucili hymn burszowski, i dobranemi głosy znane *Gaudeamus igitur* rozlegało się po salach zamku. Któż nie wié, że pieśniami urozmaicają akademicy niemieccy bankiety swoje? To téż długo śpiéwali obydwa przyjaciele; po każdéj pieśni spełniali kielichy, w końcu na znak braterstwa spletli ręce, a kiedy Ernest wykrzyknął:

— *Schmolis!!!*

— *Fiduit!* — odrzekł baron i wychyliwszy do dna uściskali się.

— Pamiętasz Wilhelmie — wołał Ernest — jak ten utrapiony Francuz, któregośmy ratowali, szereg złorzeczeń, jakiemi mnie utraktował, zakończył przekleństwem, żebym zginął z najdroższéj mi ręki? Któż więc ma być zabójcą moim? Jużciż nie stary mój ojciec; nie jakaś zdradzona kochanka, bo nasze Niemki czułe, sentymentalne, ale nie mściwe; nie ty, mój drogi, boby się wprzód świat skończył, nimbyśmy jako wrogi wystąpić mieli: z czyjéj więc ręki mam zginąć? pytam.

Zamyślił się, a po chwili z wesołością, którą podwajały częste toasty:

— Bierz go djabli! — zawołał — i jego przepowiednie, a my zagrajmy lancknechta.

I tak naprzemian, to rozmawiając, to pijąc, grali.

Po niejakim czasie Ernest spojrzał na zegarek:

— Północ dochodzi — zawołał — to godzina duchów; może téż przecie pokaże nam się ładna żona Widama.

I odsunąwszy karty sparł się łokciem na stole i z fantazyą pijanego wyzywał duchy, przypominał wydarzenia kampanii, rozkosze Paryża, a mowa jego była coraz bardziéj przerywana, niektóre wyrazy niezrozumiałe; było to niejako drugi peryod pijaństwa. Nie uszło to uwagi barona, który, mocniejszą mając głowę od przyjaciela, z przykrością widział, że go przytomność odchodzi; różne mu też naumyślnie zapytania czynił, na które z początku urywkowo odpowiadał Ernest, potém stopniowo coraz rzadszemi były odpowiedzi, nareszcie żadnych nie odbierał, a baron spojrzawszy na niego widział, że oparł głowę na poręczy krzesła i zasnął. Strach go przejął widząc się sam w tym starym gmachu; spoglądał trwożliwie dokoła, potém świécę objaśnił, pistolet odwiódł i sam z myślami dumał. Cichość panowała wokoło, którą przerywał przyspieszony oddech Ernesta i krzyk nocnego ptaka gdzieś w dali. Baron sparty na ręku nieruchomy siedział, kiedy zdało mu się, że słyszy jakiś szelest w bibliotece. Zimny pot wystąpił mu na czoło; instynkt zachowawczy kazał mu szukać obrony, drżącą ręką sięgnął po pistolet i z bijącém sercem czekał...

* * *

Słońce już było weszło, a promienie jego z ciężkością przebijając gęstą zasłonę zwilżonych rosą gałęzi akacyj, zazierały ciekawie do okna mieszkania gospodarza oberży, w któréj Hanz i reszta służby oczekiwali powrotu zuchwałych młodzieńców. Powstał też zaraz skrzętny gospodarz, a troskliwy o swoich gości, poszedł obudzić Hanza i dowiedzieć się, czy wrócił baron z przyjacielem; ale jakież było zadziwienie jego, kiedy odebrał odpowiedź, że ich dotąd nie ma. Zamyślił się nieco:

— Panie Hanz! — mówił po chwili — po smacznéj kolacyi i mojém *Liebfrauenmilch* pewnie zasypiają twardo; oj! będą żartować za powrotem z obawy naszéj. Ale mniejsza o to, ja tymczasem każę przygotować śniadanie, bo zapewne niebawem wrócą.

I zaraz ruch był w oberży, bo służba miejscowa zajęła się przygotowaniem śniadania dla młodzieńców, a Hanz i towarzysz jego czyścili ulubione wierzchowce obu przyjaciół.

Godziny mijały, wyglądał często ku górze zamkowéj troskliwy gospodarz, stary Hanz niemniéj niespokojny stał od dwóch godzin z założonemi rękoma i oka nie spuszczał z wijącéj się zamkowéj drogi, ale kiedy 8ma wybiła, a młodzieńców nie było:

— To coś nadzwyczajnego—zawołał—pójdę do zamku.

Gospodarz dzielił widać jego obawę, bo oświadczył, że towarzyszyć mu będzie; i zaraz Hanz i masztalerz barona przypasali szable, pistolety olstrowe za pas wętknęli, gospodarz wziął stary sztuciec, dwóch hausknechtów, jeden siekierą, drugi widłami uzbroili się i tak ruszyli ku zamkowi.

Przeszli wązką dróżyną, któréj zakręty znał dobrze Hanz, bo ją już przebywał dwa razy, a kiedy stanęli na dziedzińcu zamkowym, uformowali szyk bojowy: Hanz z pistoletem w ręku i szablą na temblaku szedł w awangardzie, masztalerz i dwaj knechty stanowili korpus, a pochód zamykał przezorny gospodarz oberży. W tym szyku przeszli wschody i zaraz otwarte drzwi na lewo wskazały im drogę poszukiwań. Przeszli więc salę, stanęli w bibliotece; po krótkim przeglądzie Hanz odkrył małe drzwiczki, zakręcił więc klamkę, ale drzwi zaledwie się uchyliły, bo jakiś ciężar wewnątrz zawalił je. Pchnął więc silnie stary huzar, drzwi z łoskotem uderzyły o framugę i zaraz krzyk zgrozy i podziwienia wydali obecni, bo przy drzwiach, nurzając się we krwi własnéj leżał zabity Ernest: jegoto ciało zaparło wejście. Na środku pokoju stał stół z resztkami kolacyi, koło wywróconego stołka leżał baron blady, jakby go życie opuściło. Poskoczył Hanz do niego, spojrzał na głowę, potém rozwarł suknie, ale pierś jak i głowa żadnéj nie przedstawiały rany; położył rękę na sercu, a kiedy słabe uderzenia przekonały go, że żyje:

— Wody!—krzyknął—wody prędko! to tylko zemdlenie!

I zaraz wszyscy krzątali się koło chorego, trzeźwili go, a kiedy otworzył oczy, stary Hanz boleśnie ręce załamał, bo to był wzrok waryata. Zrobiono naprędce nosze, czterech go dźwigało na nich, a jeden z knechtów biegł przodem do oberży, żeby wysłać po pomoc lekarską i zawiadomić sądową władzę blizkiego miasteczka o popełnioném morderstwie.

Lekarz i urzędnicy sądowi jednocześnie prawie przybyli, a z niemi wielu ciekawych, bo wieść o zaszłym wypadku w zamku rozeszła się po okolicy. Kiedy w skutek puszczenia krwi, osłabiony obfitém jéj ujściem chory, usnął, urzędnicy sądowi udali się do zamku, i tam, obejrzawszy ciało biednego Ernesta, przekonali się, że kula weszła prawym bokiem, przeszyła serce i strzaskała rękę, ale nic im nie wskazywało mordercy. Czekali przebudzenia chorego, żeby się od niego o prawdzie dowiedzieć.

Ku wieczorowi obudził się, spojrzał spokojniejszym wzrokiem na siedzącego koło łóżka Hanza, a kiedy doktor wchodząc otworzył drzwi, chory widząc w przyległym pokoju dużo ludzi, pytał, co był za powód tego zbiegowiska. To zapytanie upewniło doktora, że zmysły odzyskał, i pomału, z obawy powtórnego attaku uwiadomił go, że żądają od niego zeznania o strasznym wypadku, który go o zemdlenie przyprowadził. Chwilę pomyślał chory, a potém najprzytomniéj prosił, żeby wprowadzono członków sądu i obecnych. Zaraz napełniła się sypialnia, a on zaczął od znanych nam już wypadków, tojest epizodu oficera od dragonów, daléj wyprawy do zamku, potém kolacyi, pijatyki i snu Ernesta.

— Siedziałem tedy strachem przejęty—mówił baron—fantastyczne widziadła przesuwały mi się w myśli, i kołysany dziwném jakiémś marzeniem, usnąłem. Nie wiem jak długo trwało uśpienie, kiedy zdało mi się, że słyszę szelest w bibliotece, potém stąpanie, a po chwili postać wynędzniała, blada, niby zagłodzona żona Widama, ukazała się na progu. Twarz miała zapadłą i gorączkowy wzrok dziwnego był blasku, a nieruchome oczy zdały się z ciężkością mieścić rozwarte powieki. Sznur pokutniczy opasywał ją, i suknia była zakonnego kroju, a włosy w nieładzie okrywały ramiona. Wolno zbliżyła się do stołu, jedną ręką wzięła świécę, drugą dotknęła mnie po ramieniu:

— Chodź za mną!—rzekła.—Ja, jakby pchany nieznaną potęgą, nie szedłem, ale sunąłem raczéj w ślad za nią. I tak przez puste sale i krużganki spuściłem się na dół gdzieś w lochy podziemne, które przebywszy znalazłem się w grobach zamkowych. Postać w bieli podniosła świécę do góry, a ja ujrzałem dużo wspaniałych trumien rzeźbą i złoceniem błyszczących; potém wywiędłą ręką wskazało mi widmo jednę na boku stojącą, skromniejszą od innych; zbliżyłem się do niéj, postać biała zrzuciła wieko, a ja ujrzałem owego oficera dragonów. Też same rany, to spojrzenie straszne; powstał z trumny:

— Poznajesz mnie?—zapytał grobowym głosem; a wylękły wzrok mój musiał wymownie mówić, że go poznaję, bo po małym przestanku:— Nie chciałeś mnie dobić!...—wołał—wahałeś się!... a wiészże kto ja jestem?.... Jam uwodziciel twojéj narzeczonéj, teraz waryatki,...szalonéj!...—I śmiéch piekielny wyszedł ze zranionéj piersi Francuza. Krew mi się ścięła w żyłach na to wspomnienie, chciwy zemsty podniosłem pistolet, ściągnąłem cyngiel...

i zaraz huk wystrzału wstrząsnął sklepienia starego zamku i zbudził mnie z uśpienia. Błędnemi oczyma spojrzałem przed siebie; jakiż widok, o Boże! uderzył oczy moje! Przedemną był Ernest blady, skrwawiony, z wysileniem tulił pierś zranioną, chwiejącym krokiem zatoczył się po pokoju, i głosem, którego nigdy nie zapomnę:

— Sprawdziło się przekleństwo! — zawołał i upadł nieżywy, a mnie zmysły opuściły i nie wiém, co się daléj stało...

Tu przestał, niespokojnie patrzał na obecnych. Doktor i Hanz zbliżyli się do łóżka.

— Kto mnie tu przyniósł? — pytał — gdzie ja jestem?.... co wy za jedni?...— wołał nieszczęśliwy, i szalony wzrok wiódł dokoła. Potém z krzykiem przeraźliwym wyskoczył z łóżka, a gdy go pochwycono, to gryzł, drapał przytrzymujących, że go aż związać musieli.

Opowiadanie tego niewinnego morderstwa byłato jedyna chwila przytomności dla nieszczęśliwego młodzieńca; odtąd szaleństwo go nie opuściło i w tym opłakanym stanie zawieziono go do rodzinnego zamku, gdzie starania doktorów tyle mu ulgi przyniosły, że z szalonego został nieszkodliwym waryatem.

* * *

W roku 1836, tojest w lat blizko dwadzieścia trzy po tym wypadku, interesa handlowe zawiodły p. Augusta K... do domu barona F..., brata i spadkobiercy nieszczęśliwego zabójcy Ernesta; a że już od lat kilku pan K... bywał w okolicy, gdzie mieszkał baron F..., słyszał więc nieraz opowiadaną tragiczną historyą starszego brata jego; nigdy jednak z nim o tém nie mówił, nie chcąc odnawiać bolesnéj rany.

Zwykłe odwiedziny pana K... były w zimie, jako porze wyróbki drzewa; kiedy jednak skończył się kontrakt, a baron nowe czynił propozycye, przybył w lecie i dłużéj jak zwykle gościł. Z chełpliwością właściciela oprowadzał gospodarz gościa swego po ogrodzie, który był i ładny i obszerny, i opowiadał projektowane upiększenia, a słuchający unosił się nad pięknemi widokami i staranném utrzymaniem parku. Tak rozmawiając doszli do miejsca, gdzie ogród z lasem się stykał, a pan K... widząc wznoszący się mały pawilonik osnuty pnącemi krzewami, nie mógł podziwienia swego ukryć, że tyle razy bywając w domu barona nie wiedział o jego istnieniu; pytał więc ciekawie, przez kogo ten ładny domek zamieszkały? Ale baron niechętnie i krótko odpowie-

dział na to pytanie i zwrócił kroki w inną stronę. Zastanowiło to pana K...: wniósł, że zapewne to miłe ustronie kryje skarb jaki, którego strzeże zazdrość barona. Przez delikatność nie zadawał mu więcéj pytań i w milczeniu szedł obok niego po ścieszce, wijącéj się pomiędzy cienistemi klombami. Na jednym zakręcie, o kilkanaście kroków przed nimi stał wiąz ogromny, a pod jego cieniem siedział ktoś pochylony i kijkiem kreślił drogi po drobnym piasku. Na ten widok, dziwne jakieś wzruszenie wystąpiło na twarz barona, wahał się czy ma iść naprzód; ale jedyna ścieszka tuż koło drzewa przechodziła; niepodobna było ominąć go.

W milczeniu szli tedy obydwa, a pan K...miał czas przypatrzéć się siedzącemu pod drzewem. Byłto człowiek średniego wieku; długa broda i ogromne wąsy zakrywały mu połowę twarzy, na nizko ostrzyżonéj głowie kaszkiecik wojskowy spoczywał, a na ramionach miał dołman huzarski suto wyszywany. Siedział na darniowéj ławce, i, jak mówiłem, coś po piasku kreślił. Tuż za nim, z rękoma założonemi stał starzec barczysty, czerstwy; długie wąsy i starannie uczesane faworyty jak śnieg były białe, a wysokie czoło zmarszczkami i blizną miał zorane. Za zbliżeniem się barona podniósł rękę do furażerki, wyprostował się, wzrok wlepił w niego i w téj postawie czekał widać zapytania; a kiedy baron postępując spiesznie:

— Jak się ma?—spytał, wskazując głową na kreślącego po piasku.—„Spokojny" była krótka odpowiedź, i nie zmieniając postawy stał nieruchomy starzec. Po chwili siedzący pod drzewem podniósł głowę, niespokojny wzrok zatrzymał na baronie.

— A cóż Karl?—zapytał—kiedy przyjedzie? powiédz mi.

— Niebawem, mój drogi, niebawem—mówił baron.—Pisze mi, że go interesa zatrzymują w Berlinie, ale teraz już je załatwił; przybędzie uściskać cię.

Radość wystąpiła na twarz pytającego, zerwał się z ławki, zwrócił się do starca.

— Słyszysz!—zawołał. Wraca!... mój drogi Ernest wraca!... A więc to nieprawda co mówili, że zginął, że go zabił przyjaciel..... O! pójdziem znowu do wojska... dzielny Blücher poprowadzi nas... zdobędziem Paryż....pobijem Francuzów.....

I kijkiem, niby pałaszem wywijał, potém kaszkiecik na ucho nasunął, i nastroiwszy żołnierską postawę, maszerował. Starzec nawykły do tego widoku, badawczém okiem śledził kroki jego; baron boleśnie westchnął i odwrócił głowę, a pan K....

patrzał z politowaniem na biednego maniaka. Krótka była chwila wesołości, bo zaraz usiadł, głowę na pierś opuścił, chwilę podumał, a potém dziwnie dźwięcznym głosem zanucił pieśń jakąś, ale tak smutną, że baron wzruszony uchwycił za rękę gościa swego:

— Chodźmy — zawołał — nie mogę znieść tego śpiewu! — I szli spiesznie w milczeniu, dopóki smutne tony słychać było; a kiedy z oddaleniem ucichło śpiewanie, baron stanął, pot z czoła ociérał, a potém odwracając się do towarzysza przechadzki:

— Wiészże pan, kto ten nieszczęśliwy? — pytał.

— Domyślam się! — odrzekł zapytany.

— A więc znana panu opłakana historya jego?

— Opowiadano mi ją ze wszelkiemi szczegółami; nigdym jednak panu o tém wspomnieć nie śmiał.

— Od lat już dwudziestu kilku — mówił smutnie baron — jest on w tym stanie obłąkania, a ja jednak oswoić się nie mogę z tém nieszczęściem. Ile razy mnie widzi, zawsze pyta o przyjaciela, ja mu odpowiadam, że przybędzie; wtedy przychodzi chwila pociechy i radości, jakiéj pan byłeś świadkiem, a potém jeszcze cięższy smutek, zawsze zdrowiu jego zgubny. To téż doktorowie każą unikać mi widzenia się z nim i ztąd wahanie się moje, kiedym go ujrzał siedzącego pod drzewem. Polubił on ten mały pawilonik, który zwrócił pana uwagę; w nim téż go umieściłem ze starym sługą, który go nie odstępuje.

— Ten stary — pytał pan K..., — czy to nie ów sierżant, o którym powiadają, że go znalazł zemdlonego w owym nadreńskim zamku?

— Onto, on — odrzekł baron — jedyna to istota, którą lubi i któréj słucha biedny Wilhelm; to téż jak stary zachorował przed kilką laty, brat mój widząc się pozbawionym jego towarzystwa, wpadł w wściekłość i w tym stanie zostawał, póki nie wyzdrowiał chory. Ależ poczciwy Hanz już bardzo stary; jak mi go braknie, nie wiém doprawdy, kto mi go zastąpi.

I smutny, długo w milczeniu postępował baron, a potém zawołał z żalem:

— Mój Boże! któżby mógł myśléć, że uczucie ludzkości, że niesiona pomoc cierpiącemu, będą nagrodzone takiém upośledzeniem moralném!... taką męczarnią!...

Ale tajemne są sądy Boskie, a nam z pokorą należy przyjąć Jego wyroki. *S. K.*

LATOPIS MIASTA ŻYWCA,

WIADOMOŚCIĄ HISTORYCZNĄ O SZLĄZKU, A W SZCZEGÓLNOŚCI O KSIĘZTWACH OŚWIECIMIE I ZATORZE

POPRZEDZIŁ

Stanisław Hrauss.

(Dokończenie).

---

4. Stanowcze oddzielenie Oświecima i Zatora od ziemi cieszyńskiej.— Nieprawość a swawolność książąt oświecimskich, zatorskich i toszczyńskich. — Anarchia w Oświecimie. — W Polsce jako w państwie nadzieja porządku i bezpieczeństwa. — W zajazdach pierwszy początek i powód połączenia Oświecima, Zatora i Żywca z Polską napowrót.

Po zejściu r. 1344 Jana oświecimskiego, scholastyka kapituły krakowskiéj, który piérwszy, jak się zdaje, kościelne sprawy w ziemi oświecimskiéj uporządkował, objął Kazimiérz III książę cieszyński, Oświecim, a r. 1345 oddał go synowi swemu Janowi II.

Małżonka Jana Salomea de Reus et Sonneberg opuściła r. 1384 nierządnie żyjącego książęcia, który jéj uczynił zapis *dotalicii nomine* 5000 grzywien groszy pragskich na mieście Zatorze, na warownym grodzie Wołek, na wsiach: Spytkowice, Przeciszów i Przewóz, ubezpieczonych (1).

(1) Sommersberg T. III.

Jan II nadał także dziesięcinę mucharskiemu probostwu, a zeszedł ze świata r. 1402 (1), w którym Oświecim znów odpadł do Cieszyna, gdzie wówczas Przemysław albo Przymko po skonie Kazimiérza III r. 1356 rządy sprawował.

Przemysław podzielił się r. 1357 z bratem swym Konradem książęciem na Olszy, spuścizną po Bolesławie Kozlickim pozostałą tém prawem, aby Konrad Kozle i połowę Bytomia posiadł, połowa zaś wtóra ziemi bytomskiéj, daléj Toszcz i Gliwice, miała do niego należéć. Córkę po nim pozostałą mieli wspólnie 3000 grzywnami srébra uposażyć, zagodziwszy także wierzycieli zeszłego książęcia (2).

Przemysław otrzymał za wierne swe usługi około królów czeskich: Jana, Karola IVgo i Wacława: Falkenberg, Neusztadt i Grotków, a po śmierci brata swego Wielki Głogów. Wziął także od Spytka wojewody krakowskiego, Orłów i Górz w zastaw.

Podzielił dzierżawami swemi dwóch synów: Bolesław objął Cieszyn, Wielki Głogów, Górów i połowę Bytomia; Przemysław zasię posiadł Oświecim, Zator, Kenty i Żywiec.

Młody Przemysław chcąc na leciech zeszłego i chorobą złożonego ojca Przymka, którego lud od noszów, na których go noszono, Noszakiem nazywał, na Nowy Rok 1401 nawiedzić; został, przejeżdżając przez las gliwicki do Cieszyna, od sześciu zbójców pod hersztem Maciejem Chrzanem szlachcicem z Czech, z naprawy Janusza mistrza, książęcia raciborskiego, zdradą zabitym (3).

Tenże Janusz, człowiek okrutny, a w Czechach dla usług świadczonych Wacławowi IV znienawidzony, pełnił na Karlsztynie urząd burgrabiego. Janusza tedy siostrę (4) pojął był za żonę Bolesław, syn Przemysława starego, i zapisał jéj na dożywocie Oderberg. Dowiedziawszy się jednakże o jego okrucieństwach w Czechach Bolesław, rozwiódł się z Małgorzatą nie chcąc być pokrewnym oprawcy (5). To dało powód, że Janusz mistrz żywo dotknięty zniewagą tą, a przeniesieniem składu solnego

(1) Sommersberg T. III, p. 335. (2) Sommersberg T. I. p. 805.

(3) Długosz, a po nim w wyjątkach Kromer i Bielski opisują obszernie ów napad zbójecki, jako też rodzaj wymierzonej kary.

(4) Gebhardi: Genealogie T. III, str. 88.

(5) Właściwa zaś przyczyna, że była niepłodną. Gebhardi Genealogie T. III.

z Raciborza do Cieszyna, mniemając się być w prawie swojém nadwerężonym, w zemście się zanurzając, nasadził Macieja Chrzana właściwie na Bolesława, lecz Chrzan o śmierć Przemysława przyprawił.

Jeden tylko dworzanin ratował się ucieczką i smutną odniósł wieść staremu książęciu Przymkowi, który nie spoczął piérwéj, póki Macieja Chrzana nie dostał pod moc swoję, i na nim krzywdy syna swego nie pomścił.

Za wielkim zachodem bowiem dowiedziano się o ukryciu Chrzana w zamku morawskim jednego z panów przedniejszych; jedni mówią, że to był Stary Tyczyn, drudzy, że Helfsztyn. Tam czatował na niego dworzanin, wysłaniec książęcy w 60 koni, i zniósłszy się z załogą, Chrzana na polowanie wywabionego, pojmał i do Cieszyna odstawił.

Rodzaj kary wymierzonéj na Chrzana, może dać miarę o wyobrażeniach owoczesnych o wymiarze sprawiedliwości.

Przymko kazał ukuć konia z blachy, wewnątrz ogień rozniecić, a na rozpalony koń onego zbójcę posadzić, aby sobie tył i nogi piekł. Tak sprawionego oprowadzało cztérech oprawców po całym Cieszynie, a przy każdym rogu ulicy wyrywano mu rozżarzonemi klészczami mięso z brzucha i plec, dopókąd wśród tych katuszy nędznego ducha swego nie wyzionął.

Między Przymkiem a Januszem stanął pokój r. 1407, a r. 1410 (1) umarł Przemysław Stary.

Janusz zaś walczył z własnéj woli w rycerstwie polskiém przeciwko Krzyżakom r. 1414 (2). Poprawiwszy żywota swego fundował kościół kollegialny w Raciborzu r. 1416, a w pokorze i w pokucie przed r. 1428 Bogu ducha oddał.

Zamordowany książę Przemysław oświecimski pozostawił małżonkę Jadwigę, księżnę z Brzegu, z małym synem Kazimierzem, który Oświecim odziedziczył. Odtąd ziemia oświecimska nigdy nie przeszła więcéj do Cieszyna.

Kazimiérz uczynił zapis ojcu Maciejowi ołtarzyście w Zatorze do Wniebowstąpienia N. M. P. 5 grzywien srébra, które z Żywca brano. *De dato in festo post nativitatem B. M. V.* 1432 (3).

(1) Gebhardi: Genealogie T. III, str. 110.
(2) W aktach dekanatu żywieckiego w odpisie.
(3) W aktach kościelnych dekanatu żywieckiego.

Zrzekłszy się swych praw do cieszyńskiéj ziemi r. 1414, którą objął Bolesław, syn starego Przymka, Strzelę sprzedał, a sam poległ w bitwie pod Rybnikiem r. 1433. którą Bolesław opolski i Mikołaj raciborski, o graniczną sprawę spór tocząc, zwiedli, a gdzie książę raciborskie na placu się ostało.

Synowie Kazimiérza objęli na się dzierżawy tém prawem: że Przemysław Toszcz i Żywiec, Wacław Zator, a najmłodszy Janusz Oświecim i Kąty odziedziczył. Krom tych trzech synów, miał Kazimiérz córkę Zofią, którą poślubił Victorynus opawski książę, r. 1450 (1).

Książęta rozwiązły wiodąc żywot, za nic sobie ważąc prawa Boskie i ludzkie, a wojując także z kościołem, exkomunikowani, podkopali z gruntu powagę prawa w dzierżawach swych, sprowadzili anarchią, a z nią dając Polsce, jako państwu, powód przywrócenia powagi prawa i bezpieczeństwa, utracili piérwsi z Piastów szlązkich ziemie swe, a ztąd zniweczyli nawet możność istnienia dalszego familii swojéj.

Jakoż zaledwo objęli dzierżawy swe książęta oświecimskie, a jużciż wplątali się do siewierskiéj wojny z kardynałem Zbigniewem Oleśnickim biskupem krakowskim.

Wacław bowiem, syn Bolesława cieszyńskiego, objąwszy Cieszyn r. 1442. sprzedał księztwo siewierskie małoletnim braciom jego należące, za zezwoleniem matki Eufemii Zbigniewowi biskupowi za 6,000 grzywien srébra r. 1445. Jednakże książęta Mikołaj raciborski i Bolesław opolski sądząc, że małoletnim dwom książętom, Przemysławowi i Bolesławowi krzywda się dzieje, starali się kupno ono unieważnić. Książęta oświecimskie zgadzając się z nimi na to, wyruszyli do Siewierskiego, chcąc biskupowi zabronić posiadania. Biskup zaś wysłał podkomorzego Piotra Szafrańca, aby się mocą w posiadanie wdarł.

Gdy tedy tak w Polsce jak w Szlązku łupiono i kraj niszczono, stanęła wreszcie ugoda w Głogowie r. 1445 między Bernardem i Bolesławem opolskim z jednéj, a Zbigniewem biskupem z drugiéj strony. Jednakże pokoju nie przywrócono, kiedy po dwukrotnie powtórzonéj ugodzie, dopiéro r. 1447 godząc się książęta: opolskie, raciborskie, cieszyńskie i oświecimskie stanowią, z zastrzeżeniem sobie sądu króla Władysława na przypadek powrotu z wyprawy, aby wspólne sądy w Skawinie

(1) Gebhardi: Genealogie T. III, str. 108.

z polskiéj, a w Oświecimie z szlązkiéj strony, skargi i spory rozstrzygały. Zgodzono się także na główną zasadę wydania tak łupieżców, jako też łupów; również na to, aby książę Wacław r. 1447 z własnego zagodził młodszych braci, poczém ci 17 lutego t. r. odstąpili (1).

Podczas tych rozruchów złupiono krakowskich kupców, z wrocławskiego targu na św. Jan powracających, w ziemi oświecimskiéj na 2,000 złp. Winowano wtedy o to książęcia Janusza.

W czasach tych niespokojnych jednak szerzyło się osiedlanie Niemców w ziemi zatorskiéj, a książęta udzielali gminom miejskim i osadom prawa niemieckie. Dyplomata te począwszy od drugiéj połowy XIVgo wieku są już w ziemiach szlązkich niekiedy w niemieckim pisane języku.

Od książęcia Przemysława dostąpiło Żywiec miasto odnowienie przywileju r. 1448, gdyż dawniejszy zabrali nieprzyjaciele z sobą do Lednicy, zamku zbójeckiego w górach Bielawach, między Trenczynem a Morawą położonego. Ztamtąd bowiem wypadali pod koniec XIVgo wieku w czasach zajazdowych dwaj bracia Ryczo i Hync (Henryk) łupiąc na Szlązku i Morawie miasta i wsie; podobna tedy przygoda padła na Żywiec.

Przywiléj ten, dający dokładne wyjaśnienie stosunków miejskich, jest co do treści jak następuje (2).

(1) Sommersberg T. III, mant. dipl.

(2) Dyplom ten znajduje się w aktach magistratu żywieckiego. Privilegium. Wir Primislaw Herzog zu Auswitz und Herre zu Tost, bekennen offentlich mit diesem Briff allen und jeglichen, die ihn sehen, oder hören, lesen, dass zu uns kommen seynd, unsere getreuen lieben Inwohner unsrer Stadt Seubusch, die ganze Gemeind arm und reich, und haben unterrichtet und vorgelegt, wie dass ihnen ihre Handschrift durch Feinde genommen ist auf die Lednic, dessen uns laut der obigen Handfeste Wort zu Wort eine Ausschrift gezeigt haben, die wir verglichen, gesehen und gehört haben. Nun haben wir, obgenannter Fürst und Herre ihre fleissigen Bitten und getreuen Dienste angesehen, die sie uns manigfaltiglichen gethan haben, und ihnen die Handfeste auf die obengenannte unsre Stadt Seybusch in Kraft und Macht dieses Briefes erneuert, und bestättigen nach der Ausschrift der alten Handfeste Wort für Wort bedentendlichen. Also dass wir obgenannter Fürst und Herre geben und erlauben den obgenannten Bürgern und Inwohnern zum Seubusch unsern getreuen lieben alle Stadtrecht, mit allen ihren Rechten und Genüssen Nutzbarkeiten, Fruchtgenussen mit allen Zugehorungen, mit welchen Worten sie genannt werden mögen, zu haben, zu halten, zu genüssen, und mit gerublichen Rechten zu besitzen in allem dem

Dozwolił miastu wszelkich praw miejskich, z wszystkiemi prawami używania i pożytkowania wszystkich przynależytości, jakiemiby tylko słowy mogły być objęte, a to w téj saméj rozciągłości i znaczeniu, w jakiém miasto stołeczne jego Oświecim te prawa używa i użytkuje.

Nadał miastu sioło „Kabat z lasem miejskim wraz z przynależytościami, w granicach między dwiema rzekami, Kimlichowicą i Sienną położone, w którém siec, paść, rznąć i rąbać mogą, ile im się podoba. Pozwolił także miastu w środy i piątki w rybnikach książęcych ryby łowić, dla stołów swych.

Ustanowił, aby ani wieśniak, albo inny wolny, ani sołtys, nie trzymali ze szkodą miasta w obrębie jednéj mili: krawca, szewca, rzeźnika, piekarza lub słodownika; aby nikt po wsiach lub w okręgu żywieckim mytów nie zakładał, lecz wszystko niósł i prowadził na targ do miasta; aby wszelkie kary i ciąże, tak jak

Mass und Gestalt, als unsre Hauptstadt Auswicim hat und besitzet in allen Maasse geniessen und gebrauchen ganz und vollkomentlichen Niss-Recht aufs zu nenem verliehen. Verleihen wir der obgenannten Stadt Seubusch den Flecken und Winkl genannt Kabath mit Burgerwald in seinen Gränzen gelegen mit ihren Zugehörungen, zwischen den zween Flüssen, nämlich Kimlichowic, und Schenna bis zu den vordersten Laiden, den die obgenannte Stadt Seybusch, und alle Inwohner daselbst von Alters bis jezt, und von Alters vergangenen Zeiten gehabt haben und daher gehalten haben, und der vorgenannte Winkl Kabath mit dem Walde, in sein jetzigliehen Aren und Rainsteinen soll seyn, also dass niemand sie daran hindern soll im Genusse. Auch verleyhen wir obgeschriebener Fürst und Herre arm und reich, dass sie ohn allen Einspruch und Wiederrede grasen, welden, schneiden, hauen gemeiniglich sollen und mögen. Auch verleyhen wir der obgenannten Stadt Seupusch und Inwohnern, dass sie frey an Freytagen und in der Mitwoche sollen in unsern Wasser fischen zu ihrem Tischen. Auch verleyhen wir der obgenannten Stadt Seupusch den Viechweg zu schücken, zu enden und zu machen, als von ihren Viehwegen eigen und frey, so viel als sie mögen und wollen. Auch verleyhen wir vorgenannter Stadt Seupusch, dass kein Landmann oder sonst gemeener Herre und Schultheiss wider die Stadt nicht soll halten keinen Schuster, Fleischer, Schneider, Bäcker, Kratschem, Malzmacher, das gut wäre darinnen, mit allen Rechten einer Meile. Auch verleihen wir obgeschriebener Fürst und Herre der Stadt Seupusch, dass niemand in den Dörfern weder in dem Lande und Gebieth Seupusches keinen Mauth nicht soll machen noch halten, sondern zum Markte führen und tragen in die Stadt Seupusch. Auch verleyhen wir der Stadt Seupusch und geben mächtiglichen zu thun und zu lassen alle Stadt-Busse, und Errungen, als die obgenannte Haupstadt Auswicim oder die andern Staedte haben, zu nehmen und anwenden an der Stadt Beste. Auch verleihen wir der Stadt Seupusch

w książęcém mieście Oświecimie ku dobru i pożytku miasta obrócone były. Pozwolił miastu, mieszkańcom i mieszczanom na dziedzictwie i ziemi swéj rybniki i ogrody zakładać, i pożytek, jakiby jeno wymyślić mogli, z wszech rzeczy ciągnąć; takoż pozostawił miastu, wszystkim i każdemu zosobna, używającemu praw miejskich, wolną moc urządzania myta; odpuścił też miastu ku mnożeniu szczęścia i powodzeniu dusz, poduszne. Nakoniec najłaskawiéj nakazał, aby ani wieśniak, albo mieszczanin, ani gospodarz, albo gość, bądź swój, bądź obcy nie mogli być przyjęci do innéj gospody, albo domu innego, nie zapłaciwszy lub nie ugodziwszy się wprzódy za to, co w innéj spożytkowali.

Dla bezpieczeństwa i mocy tego pisma dodano pieczęć książęcą.

Pisano w Toście i Oświecimie w dniu po narodzeniu Najświętszéj Panny r. 1448. Przytomni temu byli: Czaków z Płotnic, marszałek; Adam Kyczka; Krzysztof de Zommentig, Żegota ze Słupska; Mikołaj z Czechowic; Herrmann z Chotulin, i Michał z Raciborza, pisarz nadworny.

und Inwohnern und Bürgern, dass sie ihre Erbe besser machen, und zu bereiten mögen, mit Teichen, Hofstätten und andern Genussen und Vogtbarkeiten, und alles was sie zu ihrem Nutzen auch Genussen mögen anserdenken. Auch verleyhen wir der Stadt Seupusch allen und jeglichen, die so das Stadt Recht gebrauchen mit allen ihren Gütern und Habe an Zoll hin und wieder eine freye Macht; auch zu einem ewigen Seelgeräthe, und möglicher Mehrung unserer Seelen Seligkeit und Schicksal in unsrer genannten Stadt Senpusch lassen wir frey und ledig. Auch verleyhen wir der Stadt Seypusch drey Tischheller von dem S.... hauern, dass sie mit denen Wäge, Stege, Brücken, Stangen ewigen bessern. Zulezt verleihen wir obbeschriebener Fürst und Herre der Stadt Seupusch, dass je kein Landmann, Bürger, Gastwirth oder Gast, er sey Inwohner oder Ausländer, in keine gemene Herberge genommen, Geld verzehren und nicht bezahlend er in eine andere Herberge käme oder eingehen wolle, so verbiethen wir und wollen gnädig, dass keiner einen solchen in sein Haus aufnehmen wolle, wenn er noch gut machen kann, so lang bis das vorige wird bezahlt seyn, und ihm genug geschehe. Darumb wir obgeschriebener Herre und Fürst, dass dieser Brief Sicherheit habe, unser fürstliches Amtsiegel, und Bekenntnuss zu diesem Brief lassen anhängen. Sigillirt und geschrieben zum Tost und Auswicim nach Nativ. Mariae im tausend vierhundert vierzig und achten Jahr. Dabey seynd gewesen unser getrener lieber Tschokof v. Plotnic, unser Marshal. Adam Kyczka von Plausnig; Christoph v. Zommentig; Żehota von Slupsko; Nikiel von Tschechowic Herrman von Chotulin, und Michal von Ratibor unsers Hofes Schreiber, dem dieser Brief von uns befohlen war, und den wir hiemit firmirt haben und extradirt.

R. 1449 sprzedaje Wacław oświecimski książę, opatowi tynieckiemu poradlne i krowne z niektórych wsi zatorskiego księztwa. W tymże roku Przemysław, Wacław i Janusz książęta uwalniają dzierżawy opactwa tynieckiego od wszelkich ciężarów: „Wolne są a *stationibus, et quibuscunque exactionibus, vulgo pomocne ac wojenne, ab omni jure ducali, Dacia, tributo, Suffragio, nec non a Crowne, poradlne ac wojenne.*“

Wsie należące do opactwa Benedyktynów tynieckich były w ziemi zatorskiéj następujące: Turza wieś, Jurczyce, Polanka, Łącze (Lincze) wielkie, Łącze małe, Kleczu połowa należała do opactwa, a druga miała dwóch sołtysów szlacheckich Korczaków, z któremi klasztor w XIVtym wieku długie wiódł spory. Rybołowstwo i bobry w rzece Skawinie należały także do zakonu (1).

Już wtedy, a nawet może o dwa wieki wcześniéj, stało gospodarstwo w ziemi zatorskiéj na tym samym stopniu, jak dzisiaj; z tą różnicą wszakże, że dzisiaj poznikały już barcie, bobry, a sokoły do polowania wprawne. Takoż o kopalniach ołowiu, i o innych kruszcach, które dawniéj dobywano, nie ma teraz ani śladu (2).

Prawie pomimo woli swojéj wciągnięte zostały książęta w wojny z Polską i najazdy nieustanne, a to z następnéj przyczyny.

Dierzsław hérbu Radwan, mając spadek niemały po wuju swym Wojciechu arcybiskupie gnieźnieńskim, przyjął kilka rot jazdy i piechoty, zamysły swe tając; pozwan od króla Kazimiérza o powód uzbrajania, odpowiedział, że nic przeciwko ojczyznie wszczynać nie myśli.

Jakoż nagle wieść się rozchodzi o najściu nocném warownego Zatora; jako do twierdzy, po kamieniach przed murami nawalonych wdarł się, a nie znajdując oporu miasto złupił, bo się wcale na pokoju ubezpieczano r. 1438.

To Dzierzsław na Zatorze wskórawszy, w piérwszym zapędzie naszedł Berwald i Lanckoronę, a w niebytności załogi, bo na czaty zbójeckie była wyszła, wziął oba zamki, kraj cały ztamtąd aż po rzekę Białą łupiąc.

(1) Szczygielski: Tinecia seu etc. Ex authentico libro Benef. Cracov. dioec. p. 148, 176.

(2) Dyplomata w zbiorze Sommersber. umieszczone str. 807, 808. T. I.

Wtenczas Janusz książę oświecimskie ściąga do siebie zbrojne hufce Gielsa i Skrzyńskiego, którego był Berwald i gród Turzec, napada nocną porą na Dzierzsława nad Sołą, u Siewiora obozem rozłożonego, i do ucieczki przywodzi. W Krakowie oddał potém Dzierżek królowi Zator i Berwald z tém, aby mu 1,000 grzywien srébra za straty zwrócono.

Król wysłał tedy podkomorzego Szafrańca dla zajęcia Zatora i Berwaldu, lecz książęta oświecimskie założyli protest przeciwko temu, a król nie chcąc wojny z Czechami, jako panami lennemi Oświecima, dał moc Szafrańcowi, aby ugodę z Oświecimem zawarł, wedle któréj złożyć mieli książęta 2,000 złp., poczém do ich rąk, a osobliwie do Wacława Zator i Lanckorona powinny powrócić. Berwald jednak, gdzie był stek rozbójców miał królowi puścić, i być z bracią swą młodszą, Przemysławem i Januszem, hołdownikiem króla polskiego.

Ta wymuszona ugoda i najazdy Dzierzka Rytwiańskiego stały się powodem książętom oświecimskim do najazdu Podgórza krakowskiego. Przemysław bowiem z Toszczu i Janusz z Oświecima wywiedziawszy się, że zaraza morowa, która r. 1452 (1) Wielkopolskę nawiedziła, także na Podgórzu szerzyć się poczęła, a ktokolwiek może z życiem uchodzi: zebrali 900 zaciężnych, jezdne i piesze, i pomknęli się przez Skawinę do Myślenic i Wieliczki. Sprzymierzona zaś z niemi Skrzyńskiego banda złupiła klasztor Cyżyce aż ku Szońcowi podchodząc.

Wielkie oni łupy z sobą z wyprawy téj uprowadzili, bo natenczas dwory szlacheckie opuszczone, bez obrony stały otworem. O czém, gdy wieść do Piotra Szafrańca doszła, że najezdnicy owi nim obmawiali się, uprosił króla, by mu zatargi one na rzecz własną oddał, nie mieszając się w nie, by na Polskę wojny nie ściągać: co téż król uczynił. Szafraniec zebrał tedy 500 ludzi, wyruszył do Osieka, o na wzgórzu przy folwarku Malcu na Bendzinie okopami zabezpieczywszy się, po oświecimskiéj ziemi wojnę roznosząc, aż pod bramy miasta Oświecima podstąpił, póki mu Janusz nie przyrzekł, krom dawnych 2,000 złp. doplacić jeszcze 800 za szkody.

W takim więc ciężkim razie postrzegłszy się książęta, opamiętali się, i o pokój traktowali z Szafrańcem. Ten zaś położył im nad wszém, aby wobec świata publicznie oświadczyli, jako

(1) Długosz L. XIII. ad a. 1452.

ani on, ani król nie dał przyczyny do wojny; aby niewolnika wszelkiego na wolność puścili. A że to w zimie było, zawarto więc rozejm na 6 miesięcy do sierpnia, poczém mieli się książęta dopraszać u króla pokoju.

Tak książęta zagony łupiezkie w ziemię krakowską zapuszczając, a boskie i ludzkie prawa mając w poniewierce: srogo także nawiedzali w najeździe tym dobra klasztorne opactwa tynieckiego, a między innemi Skawinę. Był wówczas opatem tynieckim Matyasz Skawinka, mąż znamienity, na dworze króla Kazimiérza Jagiellończyka sekretarzem, a gorliwy obrońca praw duchownych i klasztornych, bowiem utracone dobra uzyskał zakonowi napowrót. Opat więc tyniecki pozwał książęta oświecimskie przed sądy dyecezyi; gdy jednak książęta wyrokiem kościoła pognębieni w obronie niby praw swoich jęli się miecza: stało się, że listy papiezkie przeciwko książętom występnym wojujące, pogorszyły położenie książąt.

Jakoż aby interdykt papiezki doszedł rąk książąt, nie stawających uporczywie do sądów, wysłał biskup krakowski Strempiniusz z opatem tynieckim Maciejem Skawinką, ojca Marcina zakonnika do książąt, który wypełniając rozkazy papiezkie uderzony zelżywie od jednego z dworzanów książęcych, wkrótce życia dokonał (1).

Zbrodnie te a bezprawia nie uszły kary, jakoż niezadługo wyrokami sądów kościelnych potępieni książęta, obiecali poprawę i zadośćuczynienie szkód poczynionych.

Więc od Szafrańca zawojowani, a potęgą kościoła ukorzeni książęta udali się do króla, który nareszcie nakłonił się do pokoju, warując sobie wypłatę 2800 złotych, z których książęta do sierpnia uiścić się mieli, inaczéj bowiem miał król wziąć Oświecim w zastaw. Jakoż ujrzano r. 1453 wojsko przed Oświecimem, a Janusz ratował się ucieczką. Udał się znów do króla, ale ten żądał, aby książę stanęło pod opieką Polski i hołdowało królowi. Cały rok przeminął na układach bezskutecznie, dopóki się Janusz nie przekonał, że Podiebrad czeski nie może bronić jego sprawy.

(1) Szczygielski Tinecia seu historia etc. p. 89 seqq. Roku oznaczonego dokładnie u Szczygielskiego nie ma, wszakże przytacza on fakt powyższy w żywocie opata Mathiasza Skawinki, który, jak się pokazuje, od r. 1451 do 1477 tę godność piastował. Ponieważ zaś fakt ten nie mógł się stać przed nastaniem tego opata, ani po r. 1457, bo potém żadnego najazdu książęta nie czynili: musiał zatém interdykt nastąpić w wyprawie z r. 1452, tém bardziéj, że dobra klasztorne spustoszono.

Począł tedy żywić tę myśl, czyby nie mógł Oświecima odzyskać napowrót. Rozumiał on, że mu się najlepsza nagodziła sposobność do tego wówczas, kiedy król zaprzysiągłszy w Piotrkowie r. 1455 koronę i sprzymierzywszy się do 2 lat z Przemysławem toszczyńskim i z książęty opolskiemi, odjechał do Litwy na łowy.

Lecz Jan Kuropatwa z Łaniuchowa Śrzeniawczyk, który natenczas trzymał zamek oświecimski, miał się na baczności, i ściągał posiłki z Krakowa, tak, że Janusz uderzywszy niespodzianie na Oświecim, odgromiony odstąpił.

Upatrzył sobie tedy Janusz w górach obwaliny grodu Wolko pod Ponikiewem, kazał je uprzątnąć i naprawić. Gród Wolko zburzon już był od Kazimiérza książęcia, ojca Janusza r. 1415, a byłato jaskinia opryszków karpackich. Na przyległéj górze grodowi, na Bukowcu, obrąbawszy się na lesie, rozstawiał czaty zbójeckie. Tamto chciał Janusz zbiérać skarby, któremiby mógł wykupić Oświecim. Pomagali mu w tém rzemiośle Bożywoj Skrzyński z Turzéj-góry i Włodyga Skrzyński, brat jego wraz z żoną Katarzyną z Berwaldu i Lanckorony.

Kuropatwa dawał o tém wiadomość do Krakowa, czém poruszeni senatorowie polscy i dworzanie królewscy, z Janem Tenczyńskim wojewodą krakowskim wyruszyli ku Wolce, i oblegając kilka dni ów gród, zmusili oblężonych głodem do poddania. Janusza zaś zapytano się, czyby nie sprzedał Polsce Oświecima, na co tém chętniéj zezwolił, im w przykrzejszém zostawał położeniu. Tą miarą tedy wróciła się ziemia oświecimska, jakoby po długiém oderwaniu swojém znowu do dzierżaw polskich; a zaraz na początku r. 1455 obowiązała wszystka szlachta oświecimska wiarę i posłuszeństwo królowi polskiemu przysięgą. Janusz jednak książę wichrzył jak wprzódy.

Byłoto na schyłku r. 1455, kiedy podczas wojny z Krzyżakami zebrała się banda łotrów zbójeckich na Szlązku, któréj przewodzili Jan i Kawka Sweberzowscy bracia, także za sprawą Jerzego Stosa Morawianina, zapuszczając pustoszące zagony w ziemie olkuskie i sławkowskie, pod pozorem jakoby jemu i jego bandzie żołdu zaległego, w Prusiech pod królem zasłużonego, nie wypłacono.

Do onéj bandy tedy zbójeckiéj nacisnął się Janusz książę, obwarował górę, Żebraczym zwaną, nieopodal Oświecima zameczkiem, by miéć Oświecim na oku, gdzie był wówczas Jan Syno-

wiecki starostą. Ztamtąd roznosili łupieztwa i rozboje na wszystką okolicę. Umocnili także obronnie górę Wapienną, niedaleko Dobczyc, a ku temu i Mysłowice zamek.

Nareszcie uznano Sweberowskiego żądania za słuszne, a chcąc także Janusza do pokoju przywieść, zawarto z nim nową ugodę o sprzedaż Oświecima, za zezwoleniem braci Przemysława toszczyńskiego, a Wacława zatorskiego książęcia. Summę kupna oznaczono na 50,000 grzywien *latorum grossorum pragensium, numeri polonicalis*, 48 *grossos in qualibet marca computando, in vim totalis ac integrae solutionis. Datum feria V post Cinerum a.* 1457 (1).

W ugodzie téj, jako dobra książęce wymienione są: miasta Oświecim i Kąty z mytami i młynami, także wsie: Bielany, Łącki, Babice, Lipnik, Osiek, Brzeście, Monowice i Dwory (2).

Po zejściu r. 1458 Wacława książęcia zatorskiego, który r. 1453 (3) udał się pod opiekę króla Kazimierza Jagiellończyka, z zachowaniem sobie jurysdykcyi, objął Janusz zatorską ziemię.

R. 1475 zagodził Przemysław książę toszczyńskie spór graniczny z Przemysławem cieszyńskim, zagroziwszy karą 2,000 zł. niedotrzymującego pokoju (4). Również zawiéra Przemysław z książęciem cieszyńskim i z Podiebradzkim Wiktorynem książęciem Monsterbergu ugodę sukcessyjną.

Jednak pomimo téj ugody posiadł po skonie 1484 r. Przemysławowym Janusz toszczyńskie księztwo, a mając z Barbarą, córką Mikołaja opawskiego, jednę tylko córkę, przedał r. 1494 Janowi Albrechtowi królowi polskiemu także zatorskie i toszczyńskie księztwa za 80,000 florenów węgierskich (dukatów), warując sobie dla siebie i małżonki swéj dożywotnie posiadanie. Dostawał rocznie 200 grzywien srébra, i 16 bałwanów soli z krakowskich salin (5).

W późnym wieku już będąc, zabitym został od Myszkowskiego za to, że mu wodę ku pędzeniu młynów potrzebną, do rybników swych spuszczał. Myszkowski ratując się ucieczką, późniéj od króla uzyskał przebaczenie.

Barbara księżna opuściwszy ziemię zatorską r. 1498 przeniosła się do Karniowa (Jägerndorf.)

(1) Sommersberg T. I, 808

(2) Jeszcze do 1800 r. należały dobra te do kamery austryackiéj; potém przeszły na własność prywatną.

(3) Sommersberg T. I, 810.

(4) Sommersberg T. I, 735. (5) Sommersberg T. I, 811.

II.

LATOPIS MIASTA ŻYWCA (*).

1. *Dolina żywiecka. — Ród góralski Żywczaków. — Ruch miejscowy.*

Dolina żywiecka jest największą z zamkniętych międzygórskich dolin na zachodniém skrzydle Karpat. Legła ona w ostępie trzech pasm górzystych, a mianowicie otacza ją na południu pasmo węgierskiego czyli orawskiego Beskidu od źródeł Soły aż po Babią-górę; od zachodu odgranicza ją od Szlązka, od źródeł Wisły, Beskid szlązki; od północy tak zwany andrychowski albo polski Beskid, a od wschodu w końcu łęk poprzeczny, który od górskiéj kępy Babiéj-góry przechodzi ku północy, ku polskiemu Beskidowi, rozgraniczając górny obszar Soły, od obszaru górnéj Skawy.

W ostępie tedy tych działów granicznych legła głęboka zaciszna kotlina, która się przeciągnęła za biegiem Soły i wpadającéj do niéj Koszarawy w kształcie podłużnéj doliny. Wody te zlewają się z sobą pod miastem Żywcem, w miejscu, gdzie niegdyś Turzy gród, albo zamek Turzec leżał.

Od źródeł słonych, znajdujących się w okolicy źródłowisk rzeki Soły, otrzymała ona niezawodnie nazwisko swoje.

Nizka przełęcz, którą Beskid orawski na południu opada, odkrywa żywiecką dolinę ku południowi, a zakrycie jéj wyniosłym polskim Beskidem od północy, przyczynia się niemało do jéj ocieplenia.

Na tę południową przełęcz, przypadają odwieczne szlaki handlowe, prowadzące z doliny Wisły w górę Sołą na dolinę Wagi.

Ku północy prowadzą trzy szlaki od Żywca na dolinę Wisły. Piérwszy, stary, do Białéj miasta. Drugi szlak wodny za biegiem Soły do Kąt, który jest wyłomem, poczynającym się około wsi Ładziele, gdzie jest przystań dla flisów, a zkąd już począwszy, Soła w poprzeczną wstępuje dolinę.

(*) W opisie geograficznym i etnograficznym doliny żywieckiéj poszedłem za wykładem zeszłorocznym uniwersyteckim pana pr. Pola.

Trzeci nakoniec szlak prowadzi na grzbiety polskiego Beskidu z Żywca do Andrychowa, okolicą bardzo górzystą, przypadającą na górę Kocierz; z tym ostatnim szlakiem łączy się bity gościniec, prowadzący na wschód w dolinę Skawy.

Prześliczny jest pozór téj doliny, bo wszystkie górzyste pasma, w których ostępie legła, są okryte jednostajnemi lasy, a żyzne porzecza i spłaziste równie kotliny, poszły pod pług.

Malownicze zabrzeża saméj Soły, okryte dębami i mieszanym lasem, świadczą o miejscowém ociepleniu doliny, a świeża zieloność jéj łąk, świadczy jeszcze o jędrnym oddechu gór. Postęp zaś rolnictwa i przemysłowego życia, przyłożył się także niemało do okraszenia przyrodzonych wdzięków téj górskiéj krainy, po któréj także i historya nasza nie przeszła bez śladów.

Gospodarstwo miejscowe widzimy bowiem tu już w odległéj starożytności na wysokim postawione stopniu, tak w saméjże dolinie żywieckiéj, jako téż i w północnych częściach oświecimskiego i zatorskiego księztwa, do których Żywiec należał.

Wszystkie prace około naprawy i spławności rzek przedsięwzięte w dolinie Wisły, zwykliśmy odnosić do czasów Kazimiérza W. Na dolnym wszakże obszarze Soły znajduje się cała okolica daleko dawniéj sztucznie nawodniona strugami, które do niéj wpadają, a która widocznie przypomina kanalizacyą doliny lombardzkiéj (1).

W groble, tamy i śluzy znajdujemy tu ujętą tak zwaną „Królewską wodę", która sztucznie rozprowadzona zalewa wielkie stawy. Te wodą zalane i użyznione namułem, dają wielkie pożytki naprzemian z ryb i z posiewów pszenicy dla dworów, kiedy przeciwnie hodowaniem potrzebnego narybku do tych stawów, zajmuje się cała ludność miejscowa, która stosownie do posiadania swego, pomniejsze sadzawki na téj saméj utrzymuje wodzie.

Jak tedy na dolnéj Sole gospodarstwo rybne świadczy o wysokim stopniu starożytnéj cywilizacyi, tak nosi na sobie cechy dzisiejszego przemysłu ruch pracowity w dolinie żywieckiéj na górnym obszarze Soły, gdzie huty szklane i żelazne, fabryki sukienne, walcownie, papiernie, blechy płócienne zatrudniają ludność miejscową.

(1) O takiém bowiem gospodarstwie świadczą dyplomata z r. 1327, a 1457 w zbiorze Sommersberga T. I, str. 807, 808 zamieszczone.

Pod względem etnograficznym osiadł żywiecką dolinę oddzielny ród góralski, zwany Żywczakami.

Żywczaki, czyli górale od Żywca i Ujsoła, osiedli kotlinę górnéj Soły, i wpadających doń rzek i potoków na przestrzeni doliny żywieckiéj i rzeczki Koszarawy, biorącéj swój początek pod górską kępą Babiéj-góry na podbabiu. Od górali szlązkich, osiadłych na źródłowiskach Wisły, a zwanych Wiślanami, oddziela ich grzbiet Beskidu szlązkiego.

Od Babigórców, albo górali suskich oddziela ich łęk poprzeczny, którym się łączy Beskid orawski z Beskidem polskim, a który się najbardziéj zniża pomiędzy wioskami Koceń i Las, tak, iż właściwie ten jedyny punkt służy za linią przeprawy z doliny żywieckiéj do doliny suskiéj.

Ku północy przesunęły się najdaléj siedziby Żywczaków wzdłuż tego wyłomu, który pomiędzy szlązkim i polskim Beskidem prowadzi do rzeki i do miasta Białéj pogranicznéj.

Żywczaki wraz z Babigórcami zdają się należéć do najstarożytniejszych rodów góralskich; poświadcza to i miejscowe ich uobyczajenie i przeludnienie tych okolic, i roślinność miejscowa, która w porównaniu sąsiedniéj, nierównie większym uległa zmianom. Nawet Nowotarzanie i Podhalanie są w znacznéj części tylko osady późniejsze Żywczaków i górali od Babiéj-góry, których za centralny punkt siedzib góralskich uważać należy na zachodniém skrzydle Karpat.

Obszar żywieckiéj doliny wraz z przyległemi zboczami granicznych Beskidów i wyłomem północnym ku Białéj, zajmuje mil □ 17.

W 13 parafiach znajduje się kościołów 18, filij 7, kaplic mszalnych 2; przy nich księży 25; 2 szkoły trywialne a 1 parafialna.

Wsi 78, a ludność całéj doliny 76,700; ludność zaś miasta Żywca 4,700.

II. *Turzy gród i zajazdy.—Poświęcenie się Komorowskiego za królewicza.—Żywiec Komorowskich dzierżawą.*

Na Turzéj górze, u któréj stóp Soła płynie, na górze szerokim wód rozpławem uczynionéj, stał gród Turzec. Miejsce zaś, kędy gród stał, jak wszędzie w Polsce grodziskiem, tak i tu w górach późniéj Grojcem nazwano.

Ztamtąd i z Berwaldu, najeżdżali obyczajem zbójeckim r. 1457 Bożywój i Włodyga Skrzyńscy wszystką okolicę, wojnę wszędy roznosząc. Na uśmierzenie onych zbójców, zebrał Mikołaj Pieniążek starosta krakowski szlachtę cyżycką, wezwawszy także Piotra Komorowskiego orawskiego grabi na pomoc. Przywiedli oni nakoniec Bożywoja i Włodygę r. 1460 do pokoju, warując sobie zwrócenie kosztów wojennych; aby się zaś tém bardziéj na pokoju ubezpieczyć, zburzono Lanckoronę.

Jednakże niezadługo umocnili sobie bracia obwaliny starego grodu na Wolce, obrąbawszy się także na przyległéj grodowi górze, na Bukowcu, na czaty zbójeckie zasiadając. Wówczas Pieniążek starosta krakowski, z cyżycką i orawską szlachtą nadchodzą r. 1462 wspólnie z Brzetysławem Dmosickim ze Śpiżu onych łotrów, oblegając ich na Bukowcu, gdzie wszystkich, krom Bożywoja, ujęto zbójców. W Krakowie Włodygę i Katarzynę w sukniach męzkich, w butach i ostrogach, na gardło w grodzie skazanych, powieszono. Żywieckie i berwaldzkie hrabstwo stało się tedy własnością królewską, którą potém król Kazimiérz Piotrowi Komorowskiemu z następnéj oddał przyczyny.

Panowie węgierscy, uprzykrzywszy sobie rządy Macieja Korwina, upraszali r. 1471 Kazimiérza Jagiellończyka, aby syna swego 13letniego Kazimierza dał narodowi za króla. Kazimiérz ufając obietnicom, jakie mu osobliwie arcybiskup strzygoński czynił, wysłał młodego królewicza z wojskiem do Węgier, który nie znajdując pomocy u Węgrów, osadziwszy Nitrę i Stropków, przed nadciągającym Maciejem uchodził. W ucieczce téj przyjął go Piotr Komorowski liptowski i orawski grabia do grodów swoich, za co go potém Maciéj Korwin z kraju wywołał, odebrawszy mu grody: Ilawę, Likawę, Chradek, Rosenberg, Żabiniec, Staryhrad, Liptowę i Orawę.

Orawska stolica, wzdłuż doliny Wagi, stała się własnością rodziny Abaffi, a późniéj przeszła na własność familii Turzów. Liptowską zaś stolicę posiadł Jan Korwin, syn naturalny Macieja.

Za takie więc usługi świadczone królewiczowi, oddał Kazimiérz Jagiellończyk Żywiec Komorowskiemu.

Tenże zastawszy lud ciemny i gruby, jął fundować kościoły, zagodziwszy scholastyka kapituły krakowskiéj, że także nadal jak wprzódy, pobierać będzie dziesięciny.

Podług *liber taxationum* pobierał scholastyk krakowski z następnych wsi dziesięcinę:

Vetus Żywiec debet	scotos	14	latos	grossos	60.
Novum Żywiec seu Rudza et Sparysz	—	9			
Pietrzykowice	fertones	23	—	—	23.
Zabłocie mediam marcam			—	—	11.
Moszczanice.	scotos	8	—	—	32.
Radziechowa	—	8	—	—	32.
Cięcina	—	8	—	—	32.
Łękawice.	—	8	—	—	32.
Rychwałd, gdzie podług errekcyi fundował Komorowski kościół	—	8	—	—	32.
Wieprz minor	—	8			
Wieprz major	—	8			
Lipowa	—	8			

Media marca, fertones 23, scotos 87 latos grossos 254.

Zapis ten był powodem, że nie dbano o powodzenie dusz, albowiem scholastyk jednym wikaryuszem wszystką okolicę opatrywać dawał.

Nie uskuteczniwszy wszakże zamiarów swych Komorowski, pan dobry, a żywieckiéj dolinie wielce zasłużony, zeszedł ze świata r. 1476.

Pomni na pamięć przodka, wystawili Piotrowi w kilkadziesiąt lat późniéj potomkowie nagrobek, którego napis następny (1).

Epitafiu. Magnifici Domini Petri Comorowski de Komorow, Comitis Araviae et Liptoviae Żywyecz sepulti, cum filiis suis Joanne et Alexandro. Qui obiit anno salutis nostrae 1476.

Mole sub hoc jacco tumulatus Comorocentis Petrus,
Qui comes Araviae Liptoviaeq. eram,
Cor mihi virile animosumque natura dedit,
Victoriaeq. Mathiae Pannoniae regis pars imodica fui.
Interea Casimiro nato regis duce Polon. Panonia. intraute,
Profligatumq. per Ungaros ad sua castra misi,
Iucolumemq. patri Casimiro regi reportavi,
Hoc percipiens Mathias rex se movit in iram.

(1) Napis ten i następny, które tu dosłownie zamieszczam, znajduje się nad drzwiami zakrystyi na czerwonym marmurze.

D. O. M. | Gnosus. et. Mancq. D. Joannes Spytek | De Komorow. et. in. Żiwiecz ho: | nestis: foeminae: et Annae Walaskow: | nae. cojugi. optatiss: et benemerenti | quae. etiamsi. civis. Crac: nec. locu ples. esset. tame. pietate. pudorc. vi | tae. moruq. integritate. et. coeteris. | virtutib. adeo. dotata. ut. ea. sibi. prae. | coeteris. nobilib. foeminis. uxore. elc | gerit. monumentu. hoc. erigi. curavit. | In. quo. ut, viva. simul. vixit. ita mor | tua. juxta requiesceret. Obiit anno. | Salutis. M. D. LXXX. aetatis XXXVI. die XV. mensis Julii.

Cuncta mihi abripuit, e castrisq. abscedere jussit,
Hinc a Casimiro rege Polonlae Żiwyecz dotatus,
Cum filiis meis Joanne et Alexandro sum tumulatus.
Igitur quicunque es immemor mei aevi,
Precor pro me digna vota, velis reddere Jovi,
Etquicunq. vacuum veneris ante sepulchrum,
Dicere non te pigeat, molliter umbra cubet.

Herbem Komorowskich były trzy błękitne rzeki w białém polu, z czapką u wiérzchu, z któréj wystawała psia głowa z wywieszonym ozorem.

Po zejściu Piotra, któremu śmierć dwóch synów wydarła, objął Mikołaj brat jego, również od Macieja Korwina z Węgier wywołany, Żywiecczyznę wzdłuż rzeki Soły, wraz z Lanckoroną w posiadanie.

Udał on się na dwór Macieja Korwina, dopraszając się przywrócenia do utraconych swych dzierżaw w liptowskiéj i orawskiéj stolicy, dając, jakoby w zamian za nie, Żywiec i Lanckoronę. Król węgierski chętnie się na to zgodził, upatrując w tém oczywistą dla Węgier korzyść, gdyż tym sposobem stałby się panem drogi wiodącéj do Polski.

Gdy więc o zdradzie téj doszły wieści Kazimierza Jagiellończyka, odprawującego natenczas sejm w Piotrkowie, wysłał Spytkę Jarosława wojewodę ruskiego, także Mikołaja Wątróbkę wojewodę bełzkiego, do Komorowskiego, by go od przedsięwzięcia tak zgubnego dla Polski odwieść, bowiem Turzec i Lanckorona były kluczem do ziemi krakowskiéj.

Na skargi Komorowskiego, że żywieckie hrabstwo złą jest zamianą za utracone dobra orawskie i liptowskie, przyobiecano mu od króla wynagrodzenie w innych dobrach, któreby stracie w Węgrzech poniesionéj wyrównywały, z warunkiem oddania Żywiecczyzny królowi.

Jednakże Komorowski zadaleko posunąwszy się w układach z królem węgierskim, nie cofnął się od raz powziętego zamiaru. Ztąd poszło, że za rozkazem króla, Jakób Dembski starosta krakowski, wyruszył z wojskiem, aby zbrojno tak ważny dla Polski punkt posiąść. W wojnie téj Lanckoronę zburzono, a gród Turzec przez 50 dni dobywany zburzon ze szczętem, więcéj nie powstał z gruzów (1).

(1) Dzisiaj na grojcu nie ma śladu tego, co było. W r. 1839 kopano w tém miejscu i odkryto mury podziemne zapadłe; także dobyto mnóstwo kul kamiennych, z których trzy znajdują się, wraz z grotem tamże znalezionym, w zbiorze archeologicznym biblioteki uniwer. Jagiellońskiéj.

Komorowski ratując się ucieczką do króla Macieja Korwina, nie odzyskawszy tam ani utraconych dóbr napowrót, ani przyobiecanych posiłków, stracił wszystką nadzieję.

* * *

Odtąd już za jedyne źródło do historyi familii Komorowskich, a zatém co do historyi wewnętrznego urządzenia Żywca, co do praw miejskich, obyczajów goralskich, także do ponawianych dosyć często wypraw opryszków karpackich i zajazdów tak Komorowskich, jako też Wielopolskich, za jedyne źródło poczytać należy owę wyż przezemnie wymienioną kronikę Żywca Jędrzeja Komunieckiego; gdyż wszystkie napisy, pomniki i nagrobki Komorowskich, wyjaśniające niejeden zwyczaj i wypadek w rodzinie téj zaszły, zgorzały, wyjąwszy dwa przezemnie przywiedzione Epitafia w r. 1711 wraz z kościołem żywieckim.

Nadmienić tu wypada, iż kronika ta jest ważnym zabytkiem, a nawet stanowiącym źródło do ogólnego toku dziejów narodu polskiego, wśród tak nielicznych pozostałych nam z otrętwienia XVIII wieku zabytków; z niéj czerpać można daty co do rzemiosł, podziału cechów, a późniéj co do missyi ks. Jezuitów, które opisuje dokładnie z całą wiernością i drobiazgowością kronikarską. Żałować tylko wypada, że wydaniem tego tak znakomitego pomnika historycznego, nie zajął się żaden z naszych uczonych, chociaż to nieobojętną jest rzeczą, starać się o to, by w dawném społeczeństwie polskiém wskazać właściwe miejsce gminnemu pierwiastkowi i miejskiemu, by wynaléźć drogi i sposoby, któremi germańskie prawa i zwyczaje miejskie wchodziły do miast i wsi polskich.

Ważność pod tym względem miast ziemi zatorskiéj i oświecimskiéj, jako na zetknięciu się z tą ziemią, na któréj żywioł nieniemiecki najwyraziste wybił piętno swoje, położonych, jest aż nadto widoczną, a do śladów historycznych pod tym względem, tak okwite posiadamy źródło piśmienne.

Podany przezemnie latopis żywiecki, poprzedzony wiadomością historyczną o Oświecimie i Zatorze, może być uważany jako wstęp do owéj kroniki Komunieckiego, z któréj mógłbym wprawdzie, mając tłumaczenie niemieckie pod ręką, przytaczać wyjątki; nie chcąc wszakże w niczém psuć wierności i charakteru téj kroniki, wolałem poprzestać na tém, oczekując rychło kto posiadający tę kronikę w oryginale, nie umieści, niejako w dalszym ciągu mojego latopisu, wyjątki z niéj uporządkowane, dające dokładny i wierny obraz całości.

WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

VII.

Zabłęgi ludzkie.

(Ciąg dalszy).

Gdy tak Ziemba oddaje się przedwczesnéj radości spełnienia planu dawno już układanego, tymczasem Sierpień po silném upuszczeniu krwi, zupełnie wrócił do przytomności. Przybycie pana Józefa ocaliło poczciwego, chociaż dumnego starca, który jak tylko otworzył oczy i mniéj więcéj poznał co się około niego działo, natychmiast objawił chęć przygotowania się duchownego na drogę wieczności.

Niedługo dał się słyszéć głos dzwonka oznajmujący przybycie proboszcza z Panem Jezusem; każdy klęczący w upokorzonéj postawie przyjmował tego posłannika niebios, a gdy rozpoczęła się spowiedź, wszyscy ustąpili z izby. Smutnyto widok patrzéć na człowieka stojącego już na przejściu do innego życia; ale jakież mimowolne wzbudza w nas poszanowanie i uwielbienie, z największą czcią połączone, jeżeli taki pokrzepiony na duszy wszystkiém tém, co tylko religia dać może człowiekowi, z męztwem chrześciańskiém, z pogodą umysłu, niemal z uśmiechem na twarzy patrzy na zbliżający się koniec.

Ten sam widok po przyjęciu kommunii wobec zbiegłego zewsząd ludu przedstawiał nam Sierpień. Blady jak trup po znaczném upuszczeniu krwi, ze zmoczoną w zimnéj wodzie chustką na głowie,

leżał biedny starzec na łóżku trzymając rękę mówiącego proboszcza, którą często do ust przykładał.

W nogach siedział pan Józef, w środku klęczała Basia patrząca z niespokojnością w oblicze ojca, a Janek wprost Sierpnia podparty ręką na krawędzi łóżka, z boleścią wodził oczami po wszystkich. Pomimo udzielanych napomnień przy saméj spowiedzi, pomimo dokładnego przedstawienia znikomości rzeczy ludzkich i marności światowych, proboszcz ciągle udzielał jeszcze stosowną naukę, opartą na prawdach ewangelicznych, któréj Sierpień słuchając z największą uwagą, przerywał tylko kiedy niekiedy potwierdzającym wyrazem: —prawda, prawda; a jużcić; tak, tak, i t. p.

— Widzicie więc moi kochani—kończył proboszcz—jakto człowiek nigdy nie powinien zapominać o Bogu, bo nie wié ani dnia, ani godziny, kiedy go Bóg z tego świata powoła. Pracować, aby być użytecznym dla swojéj rodziny i całego społeczeństwa ludzkiego; żyć uczciwie, nikogo nie krzywdzić, modlić się i bez szemrania przyjmować z pokorą tak złe jak dobre od Boga zesłane, przytém dopomagać, ile tylko można bliźnim swoim: oto są obowiązki każdego chrześcianina, każdego prawdziwego wyznawcy nauki Chrystusa. Reszta wszystko: zbiéranie pieniędzy, rozkosze światowe, ubieganie się za zaspokojeniem wszystkiego tego, cò tylko nęci nasze zmysły, co dogadza cielesnéj naszéj naturze, jest próżnością, marnością, którą niestety! najczęściéj gdy już śmierć stoi nam w oczach, dopiéro prawdziwie poznajemy. Z prochu człowieku powstałeś i w proch się obrócisz; pieniądze, godności, zaszczyty, znaczenia, wszystko zostawisz na ziemi, a z jedną tylko duszą pójdziesz do Boga, tak jak i ten ubogi żebrak, po jałmużnę rękę wyciągający. Czyż więc warto, aby człowiek dla takich marności nurzając się w kale brudów ziemskich, tém samém gubił duszę i zadawał fałsz własnéj zacności, własnéj naturze i oddalał się od oblicza Boga, na którego obraz i podobieństwo został stworzony? Chrystus Pan powiedział: „kto się wywyższa, będzie poniżony“, a wy Wojciechu zanadto wiele myśleliście o swojéj familii, zanadto byliście nieraz hardzi, zanadto wywyższaliście się; dlatego Bóg was tak ciężką karą dotknął, bo w obliczu Boga wszyscy od najmożniejszego pana aż do ostatniego biedaka, wszyscy jedno znaczą i jednakowo są uważani. Bóg na strasznym sądzie nie będzie się pytał czém ty byłeś człowieku, jakie na ziemi miałeś godności, jakie majątki, z jakiéj pochodzisz familii; tylko jak żyłeś: czy poczciwie jak Bóg przykazał i użytecznie dla bliźnich, czy téż jak to

zwierzę całą rozkosz czujące w zaspokojeniu chuci zwierzęcych? Pokora chrześciańska jest jedyną drogą do nieba, ale nie wywyższanie się nad drugich. Szatan tylko był pełnym pychy i dumy: miałżeby człowiek iść za jego przykładem?

— Prawda, prawda dobrodzieju—odezwał się osłabionym głosem Sierpień—a ja do pana Józefa zawdy mówił panosko; czy i to grzéch, dobrodzieju?

— Jeżeli mój Wojciechu mówiłeś tak przez dumę, to grzéch....

— O, mój Wielmożny Panie —przerwał Sierpień wyciągając ręce do pana Józefa—wybacz staremu, któremu się zdawało, że nad jego familią nie ma już lepszéj na świecie: ani między chłopami, ani między szlachtą; wybacz, wybacz—mówił daléj z największą serdecznością całując podaną sobie rękę—bo człek był strasznie głupi, a to wszystko marność. Jak ja stanąłbym przed obliczem Boga, gdyby ta człek był z taką dumnością poszedł do wieczności? Wszak prawda dobrodzieju, że człowiek mógłby nawet zbawienia nie dostąpić.

— Wielkie są grzechy człowieka, ale wielkie i miłosierdzie Boga; zawsze jednak zbawienia nie będzie mógł człowiek inaczéj dostąpić, tylko zupełnie oczyszczony ze wszystkiego, co tylko od ziemi, od materyi pochodzi. Dlatego też człowiek tak żyć powinien, aby z przychodzącym stopniowo rozumem, z każdą chwilą czystszym, lepszym się stawał: bo nie wiemy dnia, ani godziny, ani chwili nawet w któréj Bóg nas do siebie powoła. A wy Wojciechu, czy jesteście zupełnie oczyszczeni? czy serce wasze i dusza samym tylko Bogiem i wiecznością są przepełnione? czy w nich nie gości jeszcze jaka myśl ziemska, jaka zawziętość?

— Mój dobrodzieju, chociaż późno, bo dopiéro przy śmierci poznał człek, że familia to niewiela znaczy.....

— Powiedźcie że nic nie znaczy, zgoła nic, mój Wojciechu— przerwał proboszcz—bo czy familiant, czy nie familiant, jednakowo przez Boga będą uważani.

Wojciech przez chwilę w milczeniu zdawał się rozważać słowa proboszcza, i po małéj pauzie odezwał się:

— Tak, juścić nie, to prawda, boć to nie Boski, ino ludzki wymysł; otóż Dobrodzieju jak to poznałem, jak to dokumentnie Dobrodziéj mi przełożył, tak mnie zaraz opuściło to, co człek dawniéj ino zawdy miał na myśli, żeby bratanka osadzić na ojcowiznie, i teraz wszystko pójdzie do równości między Buśkę i.....— jakby z ciężkością dodał—i wnuka mego młodego Ziembę.

W tém miejscu Basia aż zalkała głośnym płaczem, a Wojciech kładąc rękę na jéj głowie mówił daléj:

— I czegóż Basiu płaczesz? nie płacz; niedługo to się znowu zobaczewa, bo człekowi życie to ino się mignie: nikiéjby kto z bicza trzasnął. Bóg ci dał takiego opiekuna co cię kocha i szanuje, to choć starego ojca nie będzie, to Janek będzie i mężem i ojcem.....

— O! będę mój tatusiu—zawołał rozczulony Janek i ukląkł tuż przy Basi, coraz się więcéj od płaczu zanoszącéj—Chybaby mnie Bóg odstąpił, żebym *bez* całe życie nie miał waszych słów na baczeniu.

— Mój synu i moja Basiu, niech was Bóg błogosławi—odezwał się Sierpień cokolwiek unosząc się na posłaniu—a zawdy żyjta z sobą tak, jakbym na was patrzył: bo ja se uproszę u Wszechmocnego Boga i będę z tamtego świata na was często poglądać. Nie płacz Basiu, przecież masz poczciwego męża i obrońcę dla siebie. Jak to on dzisiaj ujął się za naszą familią i nie dał krzywdzić Sierpniów. Będziesz miała moje dziecko dobrego dla siebie opiekuna, bo kiedy on tak umié szanować naszę familią i wié co to ona znaczy między ludźmi, to i ciebie uszanuje i zawdy każdemu tak jak dziś Ziembie o.....

— Wojciechu — przerwał proboszcz — czyż nawet na progu wieczności nie zapominacie o próżności, i zawsze wam familia będzie siedzieć w głowie i na ustach?

— O mój Dobrodzieju— odezwał się Sierpień całując proboszcza po rękach—przepuśćta już ten ostatni raz staremu, boć to nie łatwo *bez* jednę godzinę *wyperswadować* se to z głowy, co człek nauczny był tyla lat miéć zawdy na baczeniu i w *aprensyi*. Chociażto wszystko co Dobrodziéj mówił o *familii* trudno zaraz tak dobrze pomiarkować, ale widać, że familia nic nie znaczy, skoro Dobrodziéj tak powiada; a że człek spotka się z nią często w gadce, to sama lazie do gęby, choćby się-ta i nie miało tego w pomyśleniu. Bo mój Dobrodzieju, nasza familia to nie lada jaka; już od dawnych lat.....

— Człowieku upamiętaj się—przerwał proboszcz—czyż z myślą i sercem przepełnionemi próżnością światową masz stanąć przed obliczem Boga?.....

— Przepuść Dobrodzieju, przepuść — przerwał rzewnym głosem Sierpień—człek grzeszny. Matko Boska cudowna Częstochowska ratujże mnie, ratuj!

— Prawda, że Bóg jest miłosierny, i podług serca sądzić będzie o człowieku; ale jeżeli to serce przepełnione jest nienawiścią ku bliźniemu i z taką nienawiścią stanie na tamtym świecie: to w takim razie będzież można spodziewać się zmiłowania Boskiego, kiedyć sam Bóg przykazał kochać bliźniego jak siebie samego?

Wojciech z niespokojnością poruszył się na łóżku i ciężko odetchnąwszy, cichym głosem, jakby się wstydził tego co mówił, odezwał się po małéj pauzie:

— Kiedyta mój Dobrodzieju nie mogę; a kiedy człek bez całe życie swoje co miał w pomyśleniu, to i w mówieniu, a trudno żeby w gębie miał tak, a w sercu inak: ja Dobrodzieju nic na to nie poradzę, bo on bez cały czas jak ino poswatał się z naszą familią.....

W tém miejscu Wojciech nagle uciął i spojrzawszy na proboszcza błagającym wzrokiem, jakby go prosił o przebaczenie, po małéj pauzie mówił daléj:— Jak ino syna z nieboszką Marysią ożenił, tak od tego czasu zawdy mi stoi na zdradzie, zawdy jest moim nieprzyjacielem, i zawsze radby mi złe zrobić; to i jakże do takiego człowieka być z przyjaźnią?

— Chrystus Pan—przemówił proboszcz—nakazał abyśmy miłowali nietylko przyjacioły, ale i nieprzyjacioły, abyśmy za złe dobrem się wypłacali; bo jeżelić tylko dla dobrych jesteśmy dobremi, to jakoż nasza zasługa? czyliż takiemi nie są i faryzeusze? Dlatego Chrystus Pan nauczał, abyśmy starali się być tak doskonałemi, jak jest doskonałym sam Ojciec w niebiesiech, co tak dla złych jak dobrych jedném przyświeca słońcem i jedne dla ich użytku pomieścił w ziemi dary, powiadając: że człowiek starać się tylko winien jak najwięcéj dobrego robić dla braci bliźnich swoich, a zemstę zostawić Panu Bogu. A taka wasza zawziętość do Ziemby czy to nie zemsta? czy to może podobać się Panu Bogu, który wymaga tylko czystego serca, przepełnionego najczystszą miłością, aby człowieka otoczył swojém błogosławieństwem? A nie mając tego błogosławieństwa, czy można się spodziewać zbawienia? Czyż człowiek samowolnie nie dąży do zguby, oddając się prawie sam w ręce szatanowi?

— O Dobrodzieju — odezwał się nawpół z płaczem Siorpień—cóż ja poradzę, kiedy tak serce moje *zawzięło* się....; ale Dobrodzieju módlcie się, proście Boga, to może Bóg jako odmieni. Moi ludzie—mówił daléj obracając się do dzieci klęczących i pana Józefa—mój Pano.... mój Wielmożny Panie, módlcie się moi ludzie,

prośta naszéj Najświętszéj Panny Maryi, żeby się za mną grzesznym człowiekiem wstawiła, i żebyta człek o zawziętości zabaczył.

Jak tylko Sierpień przestał mówić, natychmiast proboszcz ukląkł, a przy nim p. Józef, i rozpoczął głośne odmawianie modlitwy, przez wszystkich w niewyraźnym szepcie powtarzanéj. Na całym Wojciechu znać było wielkie wzruszenie: oczy to zamykał, to wznosił do góry, jakby myślą zagłębiał się sam w sobie, albo szedł z nią do Pana nad Pany. Przez usta poruszane powtarzaną za proboszczem modlitwą wydobywało się często westchnienie, a ręka podnoszona do głowy lub serca, jakby chciała z nich wydrzéć i zamęt myśli i nienawiść bliźniego, ciężko potém opadała na łóżko.

Pięknyto, uroczysty, chociaż bardzo bolesny widok odmawianéj modlitwy przy łożu umierającego. Jakżeż wtenczas czujemy się małemi, jak nędznemi istotami; jak obiegłszy myślą po świecie widzimy całą marność, a nawet śmieszność zabiegów ludzkich, goniących kosztem sumienia i z podeptaniem praw miłości bliźniego za dostatkiem, godnościami, dumą i innemi fraszkami, które wobec takiéj chwili tak nikną, tak gasną, jak płomień małego kaganka przy wschodzącém słońcu, gdy potokami światła obrzuci nieba i ziemi obszary.

Wszyscy téż zgromadzeni przy łożu chorego Wojciecha czuli widać to dobrze, bo klęcząc z podniesionemi do góry oczami, takie wyrażali przejęcie się wielkością uroczystéj chwili, tak wszyscy podnieśli się duszą do Boga, jakby ziemi nie było pod ich nogami; że spojrzawszy na nich, mimowolnie prawie padłbyś na kolana i w głębi skruszonego serca powtarzałbyś ostatnie słowa modlitwy sędziwego kapłana: „Panie! spójrz z wysokości swoich niebieskich na słabe Twoje stworzenia, napełnij ich serca miłością i tém uczuciem, jakiém był przejęty Jezus Chrystus, gdy przebaczał swoim nieprzyjaciołom, mówiąc: „Panie wybacz im, bo nie wiedzą co czynią.“ Gdy kapłan wymówił ostatnie słowa modlitwy, uchylił kornie głowy i wszyscy nachyleni w milczeniu szli daléj za śladem pobożnych swych myśli; wówczas Sierpień zalewając się łzami, łkając przemówił:

— Dobrodzieju!..... kochany panie!.... moje dzieci!.... Bóg i Najświętsza Marya zmiłowali się nad grzesznikiem.... Nie mam do nikogo zawziętości..... i żeby tu był sąsiad Ziemba, tobym mu nogi ucałował..... Bóg wam zapłać za wasze modlenie..... a ja grzeszny człowiek..... o Boże, Boże! wybacz grzesznikowi....

Całował po rękach proboszcza, a Janka z Basią błogosławił polecając ich pamięci małego wnuka Jasia, który wszedłszy do izby w czasie modlitwy, stał przy łóżku jakby odurzony, nie mogąc się utulić w coraz więcéj podnoszącym się płaczu.

Wtém drzwi się otworzyły i wszedł doktor z poblizkiego miasta, po którego pan Józef natychmiast po przybyciu do Sierpnia właśnie posłał konie z bryczką. Obejrzawszy chorego nie pozwolił daléj przedłużać sceny tyle wzruszającéj i wzbronił przywołania Ziemby, po którego już chciano posłać, oświadczając, że lubo atak był silny, przy puszczeniu jednak krwi i dalszych środkach lekarskich, a mianowicie przy zupełnéj spokojności, można być niemal pewnym wyzdrowienia chorego. Nadzieja wstąpiła w zbolałe serca przytomnych. Lekarz zajął się przyrządzeniem stosownych lekarstw, z któremi przybył już zaopatrzony. Janek z Basią wypełniali z pilnością wszelkie wydawane im w tym względzie rozporządzenia, a Sierpień znacznie uspokojony przymknął oczy i zasnął.

Zgromadzeni ludzie zaczęli się pomału rozchodzić. Jaś mały udarowany kawałkiem sera przez ciotkę Basię z poleceniem odwiedzenia jutro rano chorego dziadusia, ruszył z drugiemi, i w izbie Sierpnia przed chwilą tak gwarnéj, zaległa zupełna cichość, przerywana tylko stłumionym szeptem mówiących i cichém stąpaniem krzątających się po izbie domowników.

Gdy tak po scenie pełnéj wzruszeń i boleści Sierpień ujęty snem sprawiedliwego, spokojnym i regularnym oddechem pokrzepia zwątlone siły; Ziemba tymczasem pełen niespokojności przechadza się po izbie oczekując przybycia małego Jasia. Słońce od pół godziny już skryło się w zachodzie; szary zmrok spuścił się na ziemię przytulając do niéj ciszę wieczorną, przerywaną tylko dalekiém rechotaniem żab i coraz słabnącą wrzawą zabierającéj się do spoczynku wioski.

Córka i żona Ziemby zajęte były słaniem łóżek na nocleg, a on jak jaki duch błąkający: to wychodził na podwórze, to przechadzał się po izbie ustami szepcząc pacierze, a myślą rozpamiętując wrażenia z dnia ubiegłego. Nareszcie postawszy małą chwilkę przy oknie, jakby wypatrywał przybycia oczekiwanego wnuka, z niewyraźnym szmerem na ustach, zdradzającym wewnętrzną niecierpliwość, wyjął klucz z kieszeni skórzanego pasa i wszedł do komory, zamykając za sobą drzwi starannie.

Byłato niewielka izdebka z małém, kratami żelaznemi opatrzoném okienkiem, zapchana beczkami i faskami różnéj wielkości, między któremi pełno znajdowało się zużytych już rupieci gospodarskich. Na środku stały trzy skrzynie, kłódkami dużemi zaopatrzone, a na drągach u belek zawieszonych mieściły się pierzyny, poduszki i kożuchy tak męzkie jak i kobiéce, na pewność zaciągniętéj pożyczki

w zastaw oddane. Ziemba z małym kagankiem wszedłszy do komory, zasunął okienko kawałkiem deski, rodzaj zasuwy formującéj, podniósł światło w górę przepatrując troskliwie, czy wszystko w właściwém jest miejscu, i tak popatrzywszy chwilkę, przemówił sam do siebie:

— No, Boga chwalić wszystko dobrze, a wszystko to przez człowieka starunek i zabieganie. Bóg oczywiście pobłogosławił, i za Jegoto łaską przenajświętszą, człek się tyla dorobił, co zakasował i Sierpnia i wszystkich Szpitalników. Aby ino Bóg dał teraz zdrowia i długiego życia, to się będzie czém na starość obrządzać.... Tu przyszła Ziembie na myśl mniemana śmierć Sierpnia, wzdrygnąwszy się więc cały, cichym głosem mówił daléj — Boćto człek nie wieczny; ot i ten stary ani się spodziewał, żeby mu się oczy zamknęły. Aleto oczywista kara Boska: wyrzucił mnie z izby, poniewierał nikiéj psa; własnego wnuka, własną krew, a chciał skrzywdzić, ot i Bóg nie dopuścił, bo Bóg sprawiedliwy.—Mówiąc to, uchylił czapki, i w pokornéj postaci mówił daléj:—Ale ja Bogu dzięki nie taki, bo i nie poniewieram nikogo, chociażta ludzie Bóg wié nie co na mnie wydziwiają, i z pokorą katolicką wszystko znoszę, i zawdy mam na baczeniu małego Jasia i wszystko to ino tak dla niego zabiegam: boć po mojéj śmierci..... aleć jeszcze czas o tém będzie myśléć—mówił daléj po raptownem ucięciu mowy, spowodowaném mimowoli nasuniętą przykrą myślą niechybnego zgonu—boćto człek jeszcze krzepki, i drugie tyla lat mogę żyć co się już przeżyło. A niech ino *wlazę* w Sierpniową zagrodę, dopiéro *se* spocznę, bo póki zdrowie służy, to trzeba pracować jak Bóg przykazał.

Ukończywszy ten faryzeuszowski panegiryk, postawił kaganek na skrzyni, i obejrzawszy się dokoła czy go czasem kto nie wypatruje, otworzył jednę skrzynię. Do połowy zajęta była świąteczném ubraniem, które wyjęte, okazało na dnie kilkadziesiąt sznurków różnéj wielkości korali i kilka dużych medali złotych, przez zamężne żydówki noszonych.

Drugie dwie skrzynie napchane były chustkami, sukmankami i wełnianemi szorcami kobiét, sukmanami męzkiemi, kożuchami i inném kosztowniejszém, już do zbytkownego stroju wieśniaków służącém ubraniem. Byłato wszystko zdobycz zdarta z biédniejszych włościan, którzy przyciśnieni koniecznością, nieśli na zastaw do Ziemby co kto miał w domu najlepszego, aby choć za trzecią część wartości, otrzymać w pożyczce parę złotych na sól i podatek, albo ćwiartkę zboża na chléb w ciężki dokuczający przednowek. A że

z biédy zawsze biéda wyrasta, biédacy dobrawszy jeszcze co się dać podobało Ziembie, pozostawiali fanty przyniesione na wyłączną jego własność, napełniając serca goryczą, a usta klątwą na bezlitośną chciwość lichwiarza.

Popatrzywszy chwilkę na tyle kosztowności, które w spieniężeniu przedstawiały wartość przeszło pięciuset złotych, Ziemba z ukontentowaniem na twarzy i jakby odpowiadając na mimowoli szepczące mu sumienie o łzach i przekleństwach ludzkich, które napełnianiu tych kufrów towarzyszyły, mówił półgłosem:

— I to przecież coś znaczy, a ludzie płakali i przeklinali; ale psie głosy nie idą pod niebiosy, bo czy ja kogo ciągnął, żeby przychodził do mnie z fantem o pożyczenie? Dlaczego każdy nie taki starowny jak ja, toby Bóg każdemu jak mnie pobłogosławił; ale ludzie więcéj myślą o zbytkach jak o zabieganiu, to i cóż ja im winien? Jak *se* kto pościele, tak się i wyśpi.

Popatrzywszy jeszcze chwilkę, dodał zamykając kufry:

— Jutro mają być Josek i Uryś z Klimontowa, trzeba im wszystko poprzedawać, bo czegóż to ma się niszczyć w zamknięciu; zawsze lepiéj pieniądze mieć w schowaniu, nie tak łatwo *lazą* w oczy, a zbierze się za nie kilka rubli. Szkoda, trzeba było wczoraj sprzedać, pewnie już się-ta więcéj z nich nie wyciągnie, a ludzie jak często napotykać będą żydów u ozieka, to Bóg wié co se do głowy przypuszczą. No, ale jutro pewnikiem koniec się zrobi.

Ziemba znowu obejrzawszy się troskliwie po wszystkich kątach i omacawszy zasuwę u okienka czy dobrze zasłonia, przystawił małą drabinkę, za beczkami troskliwie ukrytą, do głównéj belki wpoprzek komory pod pułapem idącéj, i wysunął z niéj jakiś stary łachman wkrąg zwinięty. Z konwulsyjnym ruchem zaczął go odwiązywać i odjąwszy parę szmat zabrudzonych i potarganych, podciągnął ku sobie małą czworograniastą z czarnéj blachy skrzyneczkę, bez przykrycia, pełną rubli i pięciozłotówek. Gdy ujrzał tyle nęcący dla siebie widok, oczy takim sypnęły ogniem, jakby mu kto w osady pokładł węgle rozżarzone, ręce drżały febrycznie, a głowę mimowolnie zwrócił za siebie: tak się lękał świadka tajemnéj swéj czynności.

Wpatrując się potém w rozłożone przed nim srébro, z zapałem olbrzymiego węża ładującego się do skoku na zdobycz, Ziemba nie mógł się dosyć nacieszyć tyle lubym mu widokiem. To delikatnie przesuwał palcami po monecie, żeby brzęku nią nie robić, to sztuki więcéj nowością błyszczące brał pod światło, wpatrując się w nie z zapałem kochanka, czytającego miłość w oczach ulubionéj, to je

przykładał do ust, czoła i piersi, to znów cały przytulał się do skrzyneczki, jakby ją chciał wcielić w siebie: słowem bawiąc się i pieszcząc jasno wyobrażał człowieka, co dla pieniędzy wszystkoby oddał, a nawet duszę djabłu zaprzedał, gdyby w téj chwili stanął za nim i brzęknąwszy kiesą, uczynił podobne przedstawienie.

Po małéj chwili i w milczeniu odbytéj scenie, Ziemba wsunął znowu skrzyneczkę, i obwiązując ją łachmanami, mówił półgłosem:

— Przeniosłem ją wczoraj z ogrodu, bo Kubę kilka razy spotkałem pod płotem, jak się ciekawie *przypatrował*. Kto wié, czy mnie kiedy nie wypatrzył; ale jutro jak tylko poprzedaję fanty, razem wszystko zaniosę do pszczół między ule, to już tam niczego nikt nie dojdzie, bo tu trzymać niebezpieczno. Może Maryna albo kobiéta dopatrzyć się przypadkiem i mnie ukrzywdzić, albo się i wygadać; a po co ludzie mają wiedzieć, wiela ja mam swojéj pracy? A ta praca chociaż ciężka była, ale teraz *letko*, uciesznie, wesoło. O! aż człek zdrowszy, kiedy se pomyśli, że ma przecie jaką taką groszowinę w domu, bo bez pieniędzy to źle, bardzo *źle* na świecie. Wolałbym żeby mi Bóg życie odebrał, jak te parę złotych, co przy Boskiéj i Najświętszéj Maryi Panny pomocy, człek se pomału uzbierał.

Niedługo Ziemba schowawszy drabinkę i podsłuchawszy pod drzwiami, czy kobiéty już śpią, lub czy go nie szpiegowały, cichaczem wemknął się do izby. Zaraz zwrócił się do posłania Jasia, ale go jeszcze nie było w domu. Niespokojny o tyle ukochanego wnuka, zadmuchał kaganek, i wziąwszy kij w rękę, ruszył na wieś po chłopaczynę. Niebo całe zasłane było czarnemi chmurami, czasem tylko gdzieniegdzie wymknęła się gwiazda, ale tylko chwilkę poświeciwszy, znów się kryła w ciemnych płynących falach.

Wiatr czasem zaszumiał po gałęziach licznych sadów, okalających każdą wsi siedzibę, a zakręciwszy pyłem i kurzem z drogi zebranym, hasał po kalenicach słomianych, wyrywając mniéj utwierdzone do łat snopki.

Ciemność tak była przerażająca, że drogi trudno było rozeznać; ale Ziemba znajomy dobrze miejscowości, choć wolno, szedł jednak krokiem pewnym, a dowiedziawszy się od jednego z powracających włościan, że mały Jaś wypłakawszy się przy umierającym dziadku, poszedł potém z innemi do karczmy, i uspokojony przez szynkarkę, zasnął na jéj posłaniu: obrócił kroki ku miejscu wskazanemu. Darmo chłopaczyna rozespany prosił i płakał, aby go nie ruszano z pościeli, darmo szynkarka obiecywała wszelką nad nim opiekę; Ziemba

rozgniewany doświadczoną o chłopca niespokojnością, która go na ciemnicę wywołała z domu, skarciwszy surowo wnuka, a nawet uderzywszy kilka razy postronkiem lekko przez plecy, wygnał go z izby, i z płaczącym przyszedł do domu. Mały Jaś równie rozgniewany na dziadka, jak tylko wszedł do sieni nie udał się do izby, tylko po drabinie dostał się na górę, i mimo wołania Ziemby, ułożywszy się w sianie, wkrótce twardo usnął.

— Kiedyś taki uparty— mówił Ziemba pozasuwawszy starannie drzwi i zabierając się do spania, to śpij tam dzieciuchu, bo tam i siano jest, i chłodniéj, i muchy nie tak lazą do gęby.

I niedługo cicho się zrobiło w domostwie Ziemby; ciemność na dworze coraz się powiększała, a wiatr z większym szumem hasał między zabudowaniami wiejskiemi.

Tak więc dwaj starcy zbiegiem okoliczności zbliżeni do siebie, tyle różni uczuciem serca i w praktycznem życiu pojmowaniem własnéj znaczności, jednakim snem ujęci wypoczywali po dniu walki, która się o mało śmiercią jednego nie zakończyła. Spał sprawiedliwy Sierpień wolny od dumy i zawiści, z jakich się otrząsł w uniesieniu religijném: spał również twardo i samolubny Ziemba; lecz gdy u piérwszego wypogodzone czoło i mały na ustach półuśmiéch świadczyły o czystości duszy i sumienia; u drugiego choć przez sen dopatrzyłeś się łacno téj obłudy, fałszu i hipokryzyi, jakiemi cechował każdą myśl i czyn z nich wychodzące. Północ tymczasem dochodziła ostatecznego kresu, wiatr z coraz większym szumem wył między budynkami, a Ziemba marzył jakieś sny niemiłe, bo często wybąkiwał słowa niezrozumiałe, niespokojnie przewracając się na łóżku.

Ciężko oddychając, przedstawiała się Ziembie w marzeniu cała kłótnia odbyta z Sierpniem. Zdawało mu się, że w szamotaniu z przeciwnikiem słyszy gdzieś około siebie płacz małego Jasia wzywającego ratunku, i gdy z rozpaczą i boleścią w sercu chce biedz wnukowi z pomocą, Sierpień go przytrzymuje nie dając ani jednego kroku postąpić naprzód. Darmo Ziemba wydziéra się, darmo ostatnich sił dobywa, ale wszystko napróżno; niezwykła siła zatrzymuje go w miejscu, a tu płacz dziecka pełen jęku i rozpaczy ciągle się rozlega wskróś przejmując serce. Ziemba ostatnie robi wysilenie, wydziéra się z żelaznéj ręki Sierpnia, już jest blizki ukochanego wnuka, już wyciąga do niego ręce, za chwilkę przytuli do serca: gdy się czuje uchwycony za gardło przez Janka; chce krzyknąć, głos mu niknie w piersi, chce się bronić, ale czuje coraz większe dławienie, siły go zupełnie opuszczają, a jęczący płacz dziecka staje się coraz bo-

leśniejszy, coraz cichszy, jakby pełny wyrzutu, jakby ginął wraz z życiem małéj dzieciny. Dławienie tymczasem u Ziemby z każdą chwilą się powiększa; już się i bronić nie może, czuje jak mu oczy o mało nie wyskoczą z głowy, a czaszka ledwo nie pęknie. Prosi myślą Boga chociaż o chwilkę odetchnienia wolną piersią i świéżém powietrzem, choć o kilka takich odetchnień, choćby zresztą o jedno, ale wszystko napróżno: ćmi mu się już w oczach, zaczyna szumiéć w uszach, wokoło niego wznoszą się jakieś krzyki, przeraźliwe stukanie, hałas. Pogląda i okropny uderza go widok: zdaje mu się, że patrzy na swoje domostwo jak ze wszystkich stron oblężone przez ludzi z dzikiém wejrzeniem, rozpada się na drobne kawałki. Jedni rąbią siekierami, drudzy plądrują po komorze rozrywając między siebie rzeczy z takim mozołem zgromadzone, inni nareszcie wydobywają ową skrzyneczkę z pieniędzmi i rozsypują je między tłum niżéj się rojący. Słyszy brzęk pieniędzy, widzi jak sypią się ruble i pięciozłotówki, chce krzyczéć na rabusiów, ale głos zamiéra mu w ustach; chce poskoczyć ku nim—nie może; z rozpaczą załamuje ręce, chociaż okropne dławienie gardła co chwila zdaje się go życia pozbawić. Spogląda ku niebu, jakby od Boga wzywał ratunku i widzi ukochanego wnuka, jak w kornéj postawie z anielskiém obliczem i ze złożonemi do modlitwy rękoma unosi się w powietrzu nad jego zabudowaniami i płynie w górę coraz wyżéj i wyżéj. Ziemba wyciąga ku niemu ręce, ale Janek zaczyna go szarpać, trząść, wrzeszcząc w uszy: „Ziembo, Ziembo, wstawajcie.“ Pada wysilony na ziemię, czuje coraz większe szarpanie i jeden ciągły ten sam głos „wstawajcie, wstawajcie!“ Nareszcie sen okropny znika i wraca do przytomności.

O! nie był to sen:—wszystko się to działo na jawie. Ziemba istotnie widzi Janka jak go wpół trzyma i wlecze po ziemi. Izba pełna dymu, cała bucha płomieniem. Wrzawa, trzaskanie ognia, wycie wichru dokoła się rozlegają. Powała w kilku miejscach z łoskotem się zapada, sypiąc zarzewiem i węglami. Wszystko trawi żywioł niszczący, sienią już wyjść niepodobna. Janek dociąga chwiejącego się Ziembę ku oknu, wypycha go otworem i sam poparzony, zabrudzony wyskakuje za nim na podwórze.

Pomiędzy płomieniem palących się budynków, po stosie upadłych z dachu łat i krokwi, prawie niosąc wyprowadza Janek Ziembę ku drodze, gdzie żona i córka zanosząc się od płaczu, z rozpaczą poglądają na zniszczenie całego posiadanego mienia.

Ziemba owiany świeżém powietrzem, jak tylko mógł zebrać myśli, zaraz zapytał:

— A Jaś, gdzie mój wnuk kochany? Ludzie ratujcie! bójcie się Boga, może on został na górze?

— Mój sąsiedzie—odezwał się jeden z gospodarzy, gdy kobiéty w miejsce odpowiedzi głośnym odezwały się płaczem—mój sąsiedzie, waszego wnuka ofiarujcie Panu Bogu.....

— Więc się spalił?—przerwał z przerażeniem Ziemba; a widząc, że mu nikt na to nie odpowiada, a kobiéty z coraz większym płaczem tulą się do siebie, popatrzywszy po wszystkich wzrokiem obłąkanym wyjąkał skłaniając głowę na piersi:

— O Boże! o Boże! a ja go sam wczoraj przygnał z karczmy do domu, chociaż niebożątko jakby przeczuwał co go czeka, prosił, żeby go zostawić. O Boże! wszystko mi zabrałeś: i moję pociechę i tyla pracy i te kilka groszy co ich wczoraj z ziemi wydobyłem i jakby na swoję szkodę przeniosłem do komory. O Boże zmiłuj się nademną!

Ziemba wyszeptawszy do siebie powyższe słowa, usiadł na ziemi przy żonie i córce, okrywając się podaną sobie płachtą, w które opatrzyła litość zgromadzonych włościan w jednych zaledwie koszulach wyratowanych pogorzelców. Tymczasem ogień dokonywał zupełnego zniszczenia. Drzewo i słoma z jakich zwykle składają się zabudowania wiejskie paliły się z szaloną wściekłością. Wiatr dął wyrzucając daleko płomieniste snopki ze strzech i grożąc zapaleniem innych sąsiedzkich zabudowań. Każdy rozpaczał. Kobiéty i dzieci na wyścigi znosiły wodę w konewkach i garnkach: jedni odbierali, drudzy siedząc na dachach zlewali je obficie, broniąc tym sposobem od zajęcia; słowem, kto żył każdy się krzątał i czynem lub radą wstrzymywał postęp pożaru.

Jeden tylko Ziemba niemy, blady jak trup, z rozczochranym włosem na głowie, zdając się nic nie widzieć ani słyszeć, z trzęsącemi od zimna i przerażenia wargami, przypatrywał się z rozpaczą płonącéj siedzibie, w któréj przed dwiema zaledwie godzinami pasąc oczy widokiem tylu dostatków, cudne snuł marzenia przyszłego wyniesienia swojego rodu z postawieniem się na czele wsi całéj i przy dobrém mieniu spokojnego bytu w starości. W dwie godziny wszystko się zmieniło: i Ziemba ów bogacz pokorny w postawie, a dumny myślą, ze słowami świętemi na ustach, a z hipokryzyą i fałszem w sercu, pod maską miłości bliźniego i mniemanéj opieki Boga z tysiącem łez i przekleństw ludzkich na sumieniu, siedzi na ziemi prawie nagi, przeziębły, patrząc jak płomień obraca w perzynę i ukochanego wnuka Jasia i całe mienie z takim mozołem przez lat tyle zbierane.

Wkrótce wszystko uległo zniszczeniu, gwałtowne bowiem dęcie wiatru szerząc postęp pożaru w jednéj chwili objęło płomieniem całą siedzibę Ziemby, paląc co tylko się w niéj znajdowało z taką szybkością, że gdyby nie pomoc Janka, który siedząc przed chałupą piérwszy ogień wypatrzył, byłby Ziemba wroz z kobiétami i drobiem, trzodą, bydłem, końmi i wszystkiemi porządkami gospodarskiemi niezawodnie się spalił.

Ogień nie przepuścił niczemu: za budynkami poszły płoty, ule ze pszczołami, sad z owocowém drzewem okalający chałupę, słowem w niespełna godzinę z zamożnego Ziemby stał się nędzny starzec napół nagi, okryty cudzym łachmanem, a z jego mienia została tylko kupa gruzów, popiołu i niedopalonych kawałków drzewa, z których buchający dym wijąc się po wsi całéj zdawał się opowiadać ukaranie Ziemby, jakiém Bóg sprawiedliwy prędzéj czy późniéj ludzi podobnych jemu dotyka (1).

I biédny grzesznik nawpół żywy, z okiem ciągle wlepioném w zgliszcza gasnącego pożaru, bez dachu, gdzieby mógł resztę smutnéj nocy przepędzić, bez odzienia, bez kawałka chleba na jutro, bo mu tylko na własność kawał ziemi z zieleniejącém zbożem pozostał, i bez litośnego współczucia, gdyż miłości u ludzi samolubstwem nie mógł uzyskać:—siedział ciągle w milczeniu, ani jedném słowem nie wydając tłumu myśli, które nim całym poruszały. Nareszcie jak dziecko posłuszne rozkazowi, usłyszawszy nad sobą wymówione słowa:

— Chodźcie do nas, bo tatuś jak się *przecknęli* i dowiedzieli się o waszém nieszczęściu, kazali was z waszą kobiétą i Maryną sprowadzić do siebie; chodźcie.

Ziemba powstał, a ujrzawszy przy sobie Janka pomagającego mu powstać, aż zadrżał z przerażenia. Cały okropny sen sprawiony wdychaniem w siebie dymu, stanął mu w myśli; odpychając więc rękę poczciwego chłopaka, przemówił:

— Człowieku, ulituj się! nie duś, miéj Boga w sercu, nie duś, już nie będę stał więcéj na twojéj zdradzie, *ino* nie duś!

Aż okropnie było patrzéć na tak ciężko ukaranego grzesznika, odzywającego się myślą zaczynającego działać sumienia.

Wymówiwszy te słowa, odwrócił się twarzą od Janka i postąpił parę kroków, jakby w ucieczce chciał szukać ratunku. Oto-

(1) Cała opisana scena pożaru, jak również główniejsze wypadki i osoby działające w naszém opowiadaniu są ściśle prawdziwemi.

czony dopiéro żoną i córką, wrócił do przytomności, i pojąwszy zrobione mu przedstawienie, głosem rzewnym, w którym się wyraźnie już skrucha przebijała, odezwał się:

— Sierpień, stary Sierpień przygarnia mnie do siebie? Och Boże! a ja..... Czy *ino* nie bez kpiny; ale cóż mu przyjdzie ze mnie, kiedy mi Bóg wszystko zabrał.

I nie mogąc jeszcze zrozumieć téj wielkiéj nauki Chrystusa, aby dobrem za złe oddawać, i bez zysku coś zrobić dla drugiego; Ziemba otuliwszy się starą płachtą, boso, z gołą głową, w towarzystwie żony, córki i Janka, ruszył wolnym krokiem ku zagrodzie Sierpnia. Wojciech przebudzony ze snu i czując się znacznie lepiéj, leżał na łóżku odmawiając głośno pacierze. Jak wszedł Ziemba do izby, podniósł się cokolwiek i wyciągając rękę, przemówił:

— Bóg wam zapłać mój sąsiedzie, żeście nie pogardzili moją chudobą; wszystko oddajcie Panu Bogu i tak se poczynajcie, jakbyście byli we swojéj własności.

Ziemba chciał coś odpowiedzieć, ale głos zamarł mu na ustach i boleśnie westchnąwszy, siadł na ławie przy piecu, a przy nim kobiéty. I cisza zaległa gościnną izbę Sierpnia; dwaj bowiem przeciwnicy przygnieceni ręką Opatrzności, nie przemówiwszy do siebie już i jednego słowa, więcéj we wzajemném utonęli milczeniu: jakby rozważali wypadki dnia ubiegłego, które powstałe pod wpływem wzburzonych namiętności, na łonie religii znalazły tak chrześciańskie rozwiązanie.

Niedługo za staraniem Basi, jako-tako odziane zostały kobiéty. Ziembę ubrano w kamizelę Sierpnia, bo jak powiedzieliśmy, pogorzelcy zaledwie w jednych tylko koszulach zdołali się wyratować z pożaru; a gdy Janek wciągnął do izby sporą wiązkę słomy, wszyscy zajęli się przygotowaniem do spoczynku.

Zanadto jednak czułe serce Janka poruszone zostało silnemi wrażeniami, aby mógł myśléć o spoczynku ciała, gdy dusza wrząc rozdrażnioném czuciem, gnała myśli jakby wichrem w poetycznéj jego głowie. Siedząc na ławie przed chałupą, oparty plecami o ścianę, z gołą głową i z osmoloną twarzą patrzał w niebo, po którém dosyć często czarne przepływały chmury. Milcząc, przyglądał się temu wzniosłemu widokowi, któremu towarzyszyła urocza cisza wioski, przerywana wyciem wiernego psa Ziemby nad pogorzeliskiem, i małym dalekim gwarem wieśniaków, w gawędzie rozchodzących się do domów.

Janek przywodząc sobie do myśli to kłótnię z Ziembą, to jego odgróżki, to chorobę Sierpnia tak nagłą i nauki proboszcza, to znowu żal Basi i wiarę ojca w jego do niéj stateczne przywiązanie, a nareszcie okropny pożar, z którego zaledwie swoją przytomnością wyratował Ziembę, gdy tyle ukochany przez niego wnuk w płomieniu śmierć znalazł okropną; Janek rozważając sobie to wszystko i łącząc z dziejami własnego postępowania, nieraz z lekkiém widoczném wzruszeniem wydobywał z piersi westchnienie, jakby sumienie dręczyło wyrzutami pełne czucia jego serce. Wtém dała się słyszéć rozmowa wracających od pożaru dwóch włościan, i w miarę jak się zbliżali drogą ku chałupie Sierpnia, stawała się coraz wyraźniejszą, tak, że w cieniu siedzący Janek dokładnie mógł słyszéć:

— Oczywiście mój sąsiedzie kara Boska—mówił jeden—jak przyszło tak i poszło: krzywda ludzka nigdy nie wyjdzie na pożytek; i ta choć nie zaraz, bo Bóg cierpliwy czeka, żeby się człek poprawił, ale zawdy prędzéj, późniéj nie minie ukaranie. Ot na ten przykład Ziemba: długo wojował, krzywdził, brał *prowizyje*: grosz dał a złotówkę odebrał. Ludziska płakali, przeklinali, on nic na to nie zważał, i aby ino zarobić, to reszta wszystko u niego było fracha; i cóż?—poszło wszystko z dymem. Pan Bóg jakby śladu nawet nie chciał zostawić z takiego krzywdziciela, jakby się na wszystko zagniewał co do niego należało, nietylko że nie przepuścił niemym stworzeniom, chociaż cóżta było winno takie biedactwo? nietylko mój sąsiedzie zesłał ogień na wszystkie budynki, na sad i ule ze pszczołami, ale i wnuka wziął mu do swojéj chwały; i żeby nie Janek, toby z Ziemby, z jego kobiety i Maryny możeby do tego czasu i węgla już nie zostało.

— Oj! prawda mój sąsiedzie— odezwał się drugi cokolwiek przystając dla wzajemnego uczęstowania się tabaką—że człowiek ani wié, kiedy spadnie na niego ukaranie Boskie. Ot wczoraj Ziemba każdegoby z nas z duszą zapłacił, a dziś gorszy od dziada proszącego; bo ni dachu, ni ubrania, ni pożywienia, i choć mu gruntu dosyć zostało, ale cóż? przecież go kawałka nie ugryzie, i żeby nie Sierpień...

— Ale wiécie co, mój sąsiedzie—przerwał piérwszy—chociaż Wojciech hardy, ale uczciwie se począł.

— Oj! prawda, i pomyśléć se o tém, to tak dziwno się człekowi robi, że aż.....

— No, mój sąsiedzie, nie ma w tém żadnéj dziwności, bo Sierpień dobry katolik i juścić, i zawdy mu to Pan Bóg wynagrodzi.

— Ej! mój sąsiedzie, wielebyta o tém można jeszcze mówić. Co prawda to prawda, Sierpień poczciwy człowiek, ani słowa, ale że zahardy, to nie ma gadania: zawdy siebie miał za piérwszego we wsi. Ojcowiznę chciał oddać bratankowi (1), żeby i po nim Sierpień nastał. Baśkę wydał za Janka; ale zobaczycie, że póki stary Sierpień żyje, tota wszystko jeszcze się trzyma kupy, ale jak oczy zamknie, ojcowizna rozleci się po świecie jak pierze: bo Janek do karczmy, do uciechy, do tańca to dobry, ale nie do roboty, i poradziłby nie takiemu *ino* majątkowi.....

— Ej! pomału, pomału to się przecie może ustatkuje. Janek ma Boga w sercu i wié, że nie szanować cudzéj pracy, to grzéch śmiertelny, a po dzisiejszém ukaraniu Ziemby to powinien przecie przyjść do rozumu.

— Ha! dałby to Bóg, ale jeżeli nie *zabaczy* gorzałki, to wspomnicie moje słowo, że źle będzie z Jankiem.

— A może to być; a szkodaby było chłopaczyska, bo to dobry i uczciwy dzieciuch.

— Ani gadania, mój sąsiedzie, ani gadania; niech go Matka Boska Częstochowska ma w swojéj opiece.

Rozmowa idących włościan coraz niewyraźniejszą się stawała, aż pomału zupełnie ucichło. Janek słuchając to bladł, to czerwienił się: serce tak mu biło gwałtownie, że zdawało się wyskoczyć z piersi; a gdy ostatnie wyrazy włościan rozpłynęły się szmerem niewyraźnym w ciszy wieczornéj, on zsunął się z ławki na kolana i nawpół z płaczem mówił rzewnym głosem:

— O! Boże, Boże! o Matko Boska cudowna! o ja biedny sierota co poradzę z sobą? We mnieta w głowie tyla siedzi dziwności, a kajsić tu—biorąc się za serce mówił daléj—tak czasem ściska, że człek o *zdrę* co nie zwaryuje. Moja Basiu, mój tatusiu, miéjcie nademną zmiłowanie. O! Boże, Boże! ratujże mnie, ratuj!

I długo jeszcze potém podobnie urywanemi słowami Janek wyrażał przytłaczającą go boleść serca, aż nagle zerwał się raptem z kolan, chwilkę pomyślał i radośnie powiedziawszy:

— Wiém co zrobię, Pan Bóg może się nademną ulituje— wszedł do sieni zamykając ostrożnie drzwi za sobą.

(1) Czyli synowcowi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PODRÓŻ PO FRANCYI.

PRZEZ

Dra T. Tripplina.

(Ciąg dalszy).

III.

Béziers.—Pézénas.—Montpellier.

Dobryto był człowiek ten pan Bourdon dawny kapitan wojsk cesarsko-francuzkich. Wszystkiém się interesował dopóki był młodym, to też zestarzawszy się o wszystkiém wiele wiedział i mógł mówić rozsądnie. Gospodarstwo szczuplutkie, bo zaledwie włókę kwadratową ziemi zajmujące, tak umiejętnie prowadził, że z niego rok rocznie, z pszczół i krów 5000 franków czystego dochodu, z wielkim wprawdzie mozołem wydobywał. Pięknyto procent od kawałka gruntu, kosztującego zaledwie 37,000 franków; ale co to kosztowało pracy, znoju i zachodu, nim ten mały kawał w własnościach swych, cząstka po cząstce rozpoznano; nim się tu założył sad, owdzie pole, a tam łąka; nim system irrygacyjny zaprowadzonym został skutecznie; nim się udało zakupić u sąsiadów strużkę od rzeczki płynącéj w pobliżu; nim się drzewa zasadziły, domek postawił, konsens na szynk wyrobił! *Grand Dieu!* zaręczał kapitan do żywego rozczulony wielkością dokonanych przedsięwzięć— *Grand Dieu!* pięć lat mego życia poświęciłem na przeistoczenie tego kawałka gruntu, na ów raj, któryś pan oglądał; a co najtrudniejszém było do osiągnięcia, tego pan

pewno nie odgadniesz za nic w świecie. Ale panu powiem odrazu, zaspokoję pańską ciekawość. Najtrudniéj było założyć pasiekę. Może pan myślisz, że to z powodu niełaski ze strony pszczół? Nie, bynajmniéj:—to z przyczyny niechęci sąsiadów. Zaraz panu rzecz wyłuszczę w trzech wyrazach. Według jakichsiś niespisanych, lecz zwyczajem oddawna ogólnie uświęconych praw, u nas w kraju, gdzie wszystko pod krédkę biorą, ledwo nie powietrze: niewolno właścicielowi gruntu zakładać w zagrodzie swojéj tyle ulów ile mu się podoba, tylko tyle i tak wielkich, ile w pewnym stosunku na przestrzeń wypada; a to dlatego, żeby się pszczoły nie przekradały na grunta okoliczne i tam nie wyssysały sąsiadom kwiatów. Nie bacząc na to prawo, postawiłem sobie na mym gruncie dwa razy większą ilość ulów, niż mi się z prawa należało. Spostrzegli to dobrzy sąsiedzi, zmówili się z sobą, i nuż mnie skarżyć przed sędzią pokoju. Wołają mnie, staję przed trybunałem. Oskarżenie mi przeczytano, oskarżyciele w liczną kupę zebrani stoją i skargę popierają. Sam się bronię, sam bez pomocy adwokata, w ozdobnéj, tkliwéj, przeświadczającéj mowie i z dowodami niezaprzeczalnemi w ręku. Mowa moja drukowaną była w dzienniku towarzystwa rolniczego w Narbonnie: mogę ją panu z drukowanego przeczytać od deski do deski.

Istotnie nieubłagany kapitan nim się spodziałem, wyciągnął papiér drukowany z kieszeni i odetchnąwszy, zaczął czytać co następuje:

„Panie sędzio i kochani sąsiedzi, co mnie oskarżacie o krzywdy wyrządzone ogrodom waszym przez pszczoły moje! Święta religia, którą wszyscy w tym kraju wyznajemy, głosi nam że ludzi na to Bóg stworzył, aby się mnożyli i rozkrzewiali po ziemi. Ród ludzki mnoży się, ale ziemia nie rośnie jak pączek w maśle, ani się rozciąga jak gumlastyka, tylko w téjże saméj pozostaje wielkości. Dlatego téż aby wystarczyła na wyżywienie coraz liczniejszego rodu ludzkiego, staramy się uszlachetniać nasz padół, użyzniać zaspy, piaski, błota, jary i krzemieniste grunta, a nakłaniać już użyznione pola do wydawania daleko obfitszych i lepszych płodów. Bóg nam téż łaskawie przychodzi w pomoc i pozwala, żeby pod ręką umiejętnego ogrodnika nawet rośliny z Jego wszechmocnéj dłoni wyszłe, wyborniejszą jeszcze postać przybierały i lepsze wydawały owoce. W dobrym bycie przecież się nawet sama trawa i krzewy polne uszlachetniły, okazalsze i słod-

sze kwiaty przybrały. Patrzcie panie sędzio i kochani oskarżyciele na ten pęk kwiatów polnych, co go mam w ręku; widzicie te kłosy purpurowéj koniczyny na trzy cale długie, owe esparcety wielkie jak centyfolie, wyki gdyby motyle, kopry, anyże, piołuny, dziewanny, rozchodniki, lilie: — wszystkie polne kwiaty, a tak piękne i pełne, jak w oranżeryi, ogrodnika ręką pielęgnowane dostojne córki Flory. Patrzcie panowie przez lupę na te kwiaty, a spostrzeżecie, że i pęcherzyki zawierające słodycz, większe jak u pospolitych niepoprawnych kwiatach tego samego rodzaju, rosnących na innem miejscu. U mnie każdy kwiat wyda, nim opadnie i ustąpi owocowi, kilka kropli miodu do mego ula, a mam ich tyle poprawnych, uszlachetnionych, ile jest piasku nad morzem; jedna część gdy okwitnie, wnet druga jeszcze piękniejsza, kielich rozwijać zaczyna. To też i pszczoły moje nie lada pszczoły, tak mało podobne do waszych, jak moje kwiaty i woły do waszych, — jak ja tłusty, ogromny i czerstwy, do was chudych, śniadych i znękanych. Proszę spojrzéć na te pszczoły, które wam tu w staréj latarni przyniosłem; pewno żem ich nie wybiérał, tylko te z sobą zabrałem, które mi się piérwsze nawinęły. Ot jakie lube stworzenia, pełne zdrowia, życia i piękności; widać, że to uszlachetnione plemię, że to poprawna rasa! Sam Bóg krajowi temu z niczego innego niewsławionemu powierzył pszczołę, dawną mieszkankę wyspy Krety; a my dar ten cenić winniśmy, bo plonem pracy i zabiegów tego lubego owadu sprowadzamy dostatek do kraju, i wypowiadamy skuteczną wojnę płodom ziem ościennych, a nawet zwalczamy własnościami do naszego miodu, w pewnych porach roku przywiązanemi, mannę Kalabryi, rumbarbarum chińskie i trzcinę cukrową kolonij zamorskich. Zaszczyt nam robi pszczoła narbońska we wszystkich aptekach Europy, a my, cośmy światu całemu udzielili pojęcie o godności człowieka i jego swobodach, targnąć się chcemy na wolność i godność naszych dobrych pracowniczek, określać ich liczbę, nie dozwalać życia jak tylko pewnéj liczbie na metr kwadratowy, rachować je i liczyć jak psy lub barany, i może jeszcze na każdą głowę pszczoły, nakładać podatek klassyczny od zarobkowania?“

Ogromna tu sensacya — przerwie sobie kapitan Bourdon — nastąpiła pomiędzy włościanami: jedni klaskali w ręce, drudzy ocierali pot z czoła, trzecim łzy jak groch z rozczulonych spadały oczu. Ja spostrzegłszy, że tu właśnie czas kuć żelazo i nadać mu

kształt dowolny, stentorowskim krzyknąłem głosem, nadając mu patetyczność nieporównaną:

„Francuzi! do tegoż przyszło w naszym kraju, żeby ja Bourdon (*bourdon* znaczy *bąk* po francuzku), żeby bąk stawał w obronie rasy pszczolnéj i to przeciw ludziom! Ach, wierzajcie mi, jeśli tak długo potrwa, to się doczekamy, że lis przeciw wam ludzie będzie bronił zająca, i niebawem cały świat obróci się do góry nogami i pogrąży was w nieszczęściu. Oskarżać me niewinne pszczoły, że się do waszych przekradają ogrodów! ach, to niesłuszność krzycząca! Albo im to źle w méj zagrodzie, albo czyż znajdą w waszych takie wyżywienie? Takżeto idziecie z postępem oświaty w waszych gospodarstwach? Nie, nietylko me pszczoły są zadumne, żeby się na wasze łakomiły kwiaty, ale nieraz widziałem jak wasze pszczoły całemi chmarami osiadały w mych ulach, bo u was głodu doznają i zazdrosném patrzą się okiem na me dobrze tuczone piękne owady. Lecz daleka odemnie myśl sobkostwa: jestem tutaj nietylko dlatego, żebym obronił me pszczoły od napaści na ich sławę i byt godzących, ale także dlatego, żebym wam kochani sąsiedzi udzielił *gratis* tajemnice sposobów, któremi podwyższyłem me gospodarstwo i uszlachetnić zdołałem nasze pszczolnictwo tyle wzniecające w was zazdrości i niepokoju. Każdy z was to samo zdoła osiągnąć, byleby siał i sadził w swoich gruntach kwiaty i krzewy poprawnéj wartości. Nasienią dostać można u mnie za umiarkowane ceny, a rad zupełnie *gratis*.“

„Skończyłem, zdając się na sąd prześwietnego trybunału.“

I takim sposobem obroniłem me pszczoły, sprzedałem w jednym miesiącu za 2,000 franków nasienia koniczyny, esparcety i innych ziół aromatycznych, zyskałem sobie współczucie sąsiadów, którzy odtąd przychodzili często po rady *gratis* i konsumowali za pieniądze me wina i miody: słowem, stałem się głośnym i modnym. Towarzystwo rolnicze narbońskie umieściło moją mowę w swym pamiętniku i obdarzyło mnie, w nagrodę za emancypowanie pszczół zpod tyranii wieśniaczéj, medalem srébrnym, na którym przedstawiono pszczołę i wypisano napis: *L'abeille de Narbonne à son protecteur Bourdon.*

— Aha! panie doktorze! to mi to kraj, w którym człowiek, słowem publicznie wyrzeczoném, zdoła w minut kilka zyskać tyle i takich korzyści! To pole dla intelligencyi, dla światła i dla zasługi, to mi zawód dla pracowitych i obywateli. I tém się właśnie różni kraj nasz od wielu innych, że żadne ulepszenie, żaden

wynalazek, żadna zasługa ujść nie zdoła ucha publiczności, wiedzy rządu: bo gdy Bóg obdarzy Francuza rozumem, to mu najczęściéj udzieli i dobry język, i zbytnią go nigdy nie obciąża dozą skromności, niepozwalającéj rozwinąć się przyrodzonéj ambicyi.

— O pewno kapitanie! co do samochwalstwa, toście niezawodnie przeszli wszystkie inne narody — rzekłem najnaiwniéj w świecie, jak mi się często, niestety! wydarza.

— Tak jak je przeszliśmy w wielu godnych pochwały rzeczach — odpowié pan Bourdon, i nie dając się zbić z tropu, mówi ciągle daléj:—Otóż i Béziers tam na widnokręgu, otóż wjeżdżamy do raju langwedockiego.

— Jakto kapitanie? ta kupa szarych, niekształtnie napiętrzonych kamieni, gdzie nie sterczą ani zamki, ani wieże kościołów, gdzie żadne drzewa nie wyzierają z poza murów, dachów i tarassów, to Béziers? miasto o którém mówicie, że gdyby Bóg mieszkał na ziemi, mieszkałby w Béziers.?

— Tak, to Béziers, to raj nasz życiodawczy. Nie wiem czy w mieście są baszty, wieże i ogrody wiszące, ale wiem, że okolice przechodzą żyznością najżyzniejsze strony południa; że w samém mieście na 17,000 mieszkańców jest przynajmniéj 30 ludzi władających milionem; że pieniądz tu na dobre poręczenie zawsze pewny, a procent mały. Słynie nasze Béziers z win, wódek, konfitur, jedwabników i węgli ziemnych.

Wszystko prawda, co mi kapitan o przymiotach ubóstwianego Béziers mówił, ale i to prawda, że prócz pałaców, zamków ukrytych po części w nieprzejrzanych ogrodach, a otaczających przedmieścia, samo miasto nie przedstawia zachwycającego ani téż wesołego widoku. Ruin wprawdzie wyszukałem kilka rzymskiego, gotyckiego i maurytańskiego pochodzenia: resztki dawnych murów i baszt, amfiteatru i wodociągu. Okropne przechodziło koleje to miasto. W V stuleciu ery ch. zdobyte przez Gotów na Rzymianach, w IX stuleciu Karol Martel odebrał je Maurom hiszpańskim, a na początku XIII stulecia w wojnie Albigeńskiéj okrutny Szymon hrabia Montfort zdobył Béziers i wyrznął w tém mieście przeszło 60,000 mieszkańców. Późniéj podczas prześladowań wymierzanych przeciw protestantom, Béziers znów zostało widownią częstych okrucieństw i ofiarą kilku oblężeń. Bywały i sławne konsylia w Béziers w dawnych czasach; warto także dodać, że miasto leży już w Langwedocyi, w miejscu gdzie kanał langwedocki łączy się z rzeką Orbe.

Garnizonem stał w Béziers najpiękniejszy pułk kawaleryi francuzkiéj, karabinierów konnych. Konie różnéj maści, ale wszystkie rosłe i krwi szlachetnéj normandzko-angielskiéj; ludzie wyborowi, mundur świetny, szafirowy z wyłogami ponsowemi i spodnie czerwone; puklerz i hełm powleczony mosiądzem, broń kirasyerska: wysoki karabin z bagnetem. Piérwszyto raz w życiu widziałem kawaleryą francuzką, o któréj koniach i sztuce jeżdżenia z opowiadań niekorzystne powziąłem mniemanie; ale prawdziwie, przyznać muszę, że mnie pułk karabinierów konnych Francyi nad wszelkie spodziewania zachwycił. Późniéj jednakże rozpoznawszy się bliżéj z armią francuzką wyznać musiałem, że tylko mała część jéj kawaleryi, i to wyłącznie ciężka kawalerya, pięknemi szczyci się końmi. Kawalerzysta na nich okazale wygląda, zwłaszcza że kulbaczy konia i ujeżdża na przednich nogach, co podwyższa wysokość jego o cali kilka.

W Béziers jedliśmy śniadanie, wyborne europejskie śniadanie za franków trzy, złożone z wyśmienitych befsztyków, kotletów baranich, ryb morskich, zwierzyny, sałat, przypraw, z najwyszukańszych legumin, i z winem St. Georges aromatyczném jak Bordeaux, a daleko mocniejszém *à discrétion*. Szczęśliwa ta okolica obfituje w wszystko, co tylko smakowi miłe, a zdrowiu pożyteczne!.

Około 1éj po południu opuszczamy Béziers i na Pézénas dążymy do Montpellier, odległego tylko o ośm i pół mili.

Kapitan Bourdon tylko co siadł do dyliżansu, zaraz znów zaczął opowiadać i brzęczéć:

— A tak zbliżamy się do miłego Montpellier; ściągają się czarne chmury na firmamencie mego ukochanego syna. Doprawdy nie chciałbym być w jego skórze, bo coś mi się zdaje, że spotkanie będzie dla niego nienajmilsze. Ale téż proszę sobie wystawić: w jednym roku zrobić 115 fr. 75 centymów długu, przytém skręcić łeb jednéj inskrypcyi, co pociąga za sobą stratę trzech miesięcy czasu i trzydziestu franków! Niecierpię dłużników: już to i Napoleon powiedział, że kto zaciąga długi, to zastawia część swéj przyszłości!!

— Ale i Napoleon zniewolony był zaciągać długi, gdy mu nędza dokuczała—odpowiadam kapitanowi.—Księżna Abrantes opowiada nam, że Napoleon Bonaparte dymissyonowany generał a przyszły cesarz Francuzów passował się z biédą, i raz nie miał

czém zapłacić śniadania w kawiarni chińskiéj. Raz nawet od swego dawnego adjutanta Junot pożyczył pieniędzy na zapłacenie butów, a wiadoma jest przecie powszechnie pożyczka kilku luidorów od aktora Talmy.

— Bóg wié czy to prawda — odpowié Bourdon.—Księżna Abrantes nie napisała ewangelii, to rzecz pewna; często się mijała z prawdą, przechwalając się w sposób dosyć śmieszny. Przecież się tém chełpiła, że w Malmaison Napoleon będąc już konsulem dożywotnim, kochał się w niéj na zabój; a przecież całemu światu wiadomo, że Napoleon miał gust dobry, a księżna Abrantes nigdy piękną nie była. Potém jeśli Napoleon zaciągał długi od Junota, toć późniéj stotysięczny procent za nie płacił. Niech sobie będzie jak chce, ja do tego stopnia dłużników nienawidzę, że nigdy nikomu złamanego grosza nie pożyczę: to mój system i system wszystkich porządnych ludzi naszego kraju.

— Pan zapewne widząc potrzebującego woli darować, jak pożyczyć —ozwę się.

— Darować, darować! a niechże pana!... Darować? nigdy! Pożyczać źle, ale i darować niedobrze, może nawet gorzej. Darować! *comme Vous y allez! Cré nom d'un petit bon homme!* A mnie kto co darował? Wykuć sobie musiałem jak z kamienia wszystko co posiadam; uczciwą pracą wszystko zarobiłem, ryzykując sto razy me życie w bojach, w znoju i w ciągłéj bezustannéj czynności. Darować! dalibóg nie pojmuję co pan pod tym wyrazem rozumiész. Kiedy jestem w kościele, to dam *susa* do skarbonki, czasem i żebrakowi dam idąc za popędem mego miłosiernego serca, choć wiem, że źle robię, bo jestem członkiem towarzystwa przemyśliwającego nad sposobami wytępienia żebractwa. *Aide toi, et Dieu t'aidera*: pomagaj sobie, a Bóg ci dopomoże, to moje godło. Darowizną zuboża się i dawca i obdarzony, bo mu się przez to odbiéra piękna wiara w skuteczność pracy i szlachetne zadowolenie, pochodzące z niezawisłości. Ja lepiéj powinności moje względem bliźnich pojmuję: daje im pracę, nastręczam ją, wyszukuję, gdy mnie o co proszą. Powiem panu do jakiego stopnia pojmuję filantropią. Otóż niedawno udał się do mnie stary wiarus z cesarskich czasów, żołniérz z pańskiego kraju, może go pan znasz? Imię mu Jakób, a nazwisko kończy się jakoś na vich?

— Może Szczypczykiewicz?—zapytałem.

— A tak, tak! Jakoś Sipsiguievich. Lampasy ma żółte u spodni, wąsy ogromne, nos cokolwiek zadarty, oczy małe, ale bystre jak zapalone cygara; przytém *une fisionomie un peu forte pour ne pas dire un peu diablement forte*, fizyognomią cokolwiek djabelsko-dziarską.

— To, to! zdaje mi się że go znam, to zapewne Jakób Chrząszczewicz?

— *Cré nom de bataillon*! alboż się można tak nazywać! Ale co kraj to obyczaj, może się i tak nazywał. Dosyć, że raczył mnie odwiedzić tam w méj karczmie pod świętym Chryzostomem, *bouche de miel*, i wypiwszy dwie butelki *rivesaltesu*, wszedł ze mną w rozmowę. Przypomniał mi, że w téj i w owéj bitwie byliśmy z sobą razem, że się grenadyery konne dobrze bili, prawie tak dobrze jak ułani polscy w których służył, i na zdrowie cesarza Napoleona raczył wychylić jeszcze dwie butelki, zjeść półtora funta séra i ośm jaj na twardo ugotowanych, a na obiad dla mych czterech parobków przygotowanych. Poczciwy człowiek, niebrakło mu ani serca, ani apetytu. Potém gdy przyszło do zapłaty, zaczął coś szukać w kieszeniach, ale nic w nich nie znalazł, tylko przypomniał sobie, że w tydzień wydał owe 16 franków, które mu rząd na cały miesiąc daje, i że mu nic nie pozostaje jak stara pięcio-frankówka, którą on uważa za numizmat dlatego, że popiersie *du petit Caporal* na niéj wybite, i że trudnoby mu było rozstać się z nią z tego powodu.

A la bonne heure! stary wiarusie, nie rozstawaj się z popiersiem tak ci drogiém, ale mi to odrób, coś mi wypił i przejadł na zdrowie oryginała twego popiersia. Wiem, że każdy z was coś umié zrobić: jeden z wiciny uplecie matę, drugi sieć zrobi, trzeci plecie koszyk, inny wóz naprawi; oh! wiem że tęgo pracować umiécie, gdy chcecie. — Naszego wiarusa wbiło to w ambicyą, oczy mu się zaiskrzyły. Wstał, bluzę zdjął i udał się na łąkę, gdzie właśnie mych czterech parobków siano kosiło. Odegnał od łąki owych parobków, kazał im ostrzyć kosy, a sam porwawszy jednę, jak nią zacznie machać i machać umiejętnie tuż nad ziemią, silnie i potężnie, to dalibóg nic podobnego nie widziałem w życiu, jak mu szła praca dobrze i prędko. W półtrzeciéj godziny zwalił mi całą łąkę, którąby moje parobki i w czterech nie byli skosili; potém rozrzucił trawę grabiami tak ślicznie, że na jednę stopę nie padło więcéj ani mniéj jak na drugą. Nakoniec spojrzawszy na zachodzące słońce, powiedział, że jutro o téj

saméj godzinie siano musi być w stodole, sam zaś poszedł spać na bojowisko na słomie. Nazajutrz skoro świt, już mój wiarus na łące przerzuca siano, potém daléj sporządzać wóz, wstawiać szprychy do drabin, podpierać drzewa, znów przerzucać siano, potém sporządzać śluzę; parobków użył na wyszlamowanie sadzaweczki, potém znów przerzucił siano, a słońce paliło żarem okropnym, i trawa schła jak na piecu piekarskim. Nareszcie nadszedł wieczór, daléjże wszyscy razem: i ja, i parobcy, i dziéwki na łąkę; nim jeszcze słońce zapadło, trzydzieści pięć centnarów najwyborniejszego siana było w stodole. A dobrze przewidział wiarus: słońce krwawo zapadło, i dészcz lunął w nocy, i trwał dni kilka; wielką byłby mi wyrządził krzywdę, gdyby moje siano było pozostało na łące. Nie koniec na tém; wiarus skończywszy z sianem, jął się do koni, wychędożył je, wystrzygł, do kowala poprowadził, przekuć je kazał w nowy sposób; potém mi posporządzał szleje, szorki i siodło. Istotnie przez te trzy dni nie przebrał miary ani w piciu, ani w jedzeniu, ani téż nawet niewiele mówił; czwartego dnia swego pobytu, byłato niedziela, ubrał się czysto, poszedł do kościoła, mszy wysłuchał z przykładném nabożeństwem, wrócił do mnie, i zjadłszy dobre śniadanie, bom szczerze mu był rad za jego usługi i dolewać nie przestawałem, porwał kij i tłomoczek i pożegnał mnie.

— Jakto panie Jakóbie, opuszczasz mnie? Zostań, zostań; tyś dobry pracownik. Rząd daje ci 16 franków zadarmo, ja ci dodam wszelkie wygody i 14 franków: będziesz miał o sześć franków więcéj na miesiąc, jak najlepszy z mych parobków.— Ale on odpowiedział:

— Dobrzeto na raz jeden, panie kapitanie, ale na długo, tobym i tu stęsknił. Idę do Montpellier, gdzie mnóstwo moich panów pomiędzy uczniami medycyny; obiecali mi tam miejsce, będę im usługiwał: lepiéj jakoś ze swojemi choćby w biédzie, jak z obcemi choćby w dobrym bycie.

Z największą trudnością zezwolił na przyjęcie dziesięciu franków na drogę, i zaraz połowę téj kwoty przehulał z dziéwkami i parobkami w méj karczemce. Potém sobie poszedł serdecznie rozczulony, i krzycząc *vive l'Empereur!* Teraz jest infirmierem w szpitalu wojskowym w Montpellier, w sali oficerskiéj, gdzie zawsze kilku z pańskich rodaków leży, bo ich tam przysyłają z wszystkich departamentów południowych, niestety! prawie zawsze na śmierć, bo na suchoty bardzo łatwo zapadacie. Nieda-

wno tam umarł na tęż samą chorobę doktor jeden polski tu w Béziers osiedlony, bardzo dobry doktor: żałują go tu wszyscy. Wkrótce jednak przybędzie na doktora inny Polak do Béziers. Ależ oto i Pézénas!

Pézénas w pięknéj, żyznéj okolicy, otoczone pagórkami, wyborném winem gęsto pokrytemi, ledwo 8,000 liczy mieszkańców, ale z powodu licznych fabryk i nadzwyczajnéj ilości winnic, sławne na całą Francyą a nawet na Europę. Tutaj ustanawia się cena win rok-rocznie, a cała ją Europa przyjmuje jako prawo. Jeszcze za czasów rzymskich Pézénas słynęło z win, kaparów i z wełny. Od dwóch wieków nowa przybyła temu miejscu sława: *Molière* tu przedstawiał w jeszcze istniejącéj sali ratuszowéj piérwsze sztuki dramatyczne; tutaj w *Malade imaginaire* wyszydzał fakultet medyczny montpellijski, do którego ja po pokarm umysłowy dążyłem. Niech ci jednakże będzie lekką ziemia, o przedziwny gieniuszu! coś mnie tyle razy w mém życiu uśmieszył, zabawił i nauczył. Niejednego wyleczyłeś hipokondryka i mizantropa twemi dowcipami: miałeś tedy prawo szydzić z lekarzy, co tylko niesmacznemi miksturami i dotkliwym bólem leczyć umieją, a często jeszcze nie wyleczą.

Przebywamy rzekę Hérault, od któréj cały departament bierze nazwisko; wpada ona do morza Śródziemnego pod Agde, tylko o dwie mile od tego miejsca. I to zamożna mieścina, chociaż tylko 4,000 liczy mieszkańców; wiele tu handlu, fabryk i niemało wrzawy, a wszędzie kraj dobrze uprawny i żyzny.

Kapitan Bourdon jeszcze nie zamilkł, owszem, widząc mnie chętnie słuchającego, opowiadał kto mieszka w owym zamku na lewo, w owéj willi na prawo; jak ten się majątku dorobił, a tamten go stracił; czemu *Monsieur* Martin nazywa się dziś *Monsieur* de St. Albin, a dlaczego panna de Mont Sévérin poszła za pana Doulasse. Wszystko wié, o wszystkiém mówi, ale przedewszystkiém zna to wszystko, co daje piéniądze i wziętość, a co je odbiera.

Ta część Francyi, to istny ogród! Każdy kawałek gruntu spożytkowany i dobrze uprawny. Wielkich, szczytnością porywających krajobrazów nie posiada, ani też lud nie znamionuje się poezyą: pracowity, dosyć ugrzeczniony; w staraniach o chléb codzienny skąpo rozdzielony na tak wielką ludność, stracił żywość i wesołość, z któréj w dawnych czasach słynął.

Jeszcze kilkanaście kilometrów prawie wyrównywających naszym wiorstom w długości, a stajemy na wysokim pagórku, zkąd

odrazu odsłania się widnokrąg bardzo obszerny. Na lewo niezbyt wysokie, ale ciemno-zieloném gęstém drzewem pokryte *Cevenny*, na prawo roztacza się morze Śródziemne, naprost ku wschodowi na nizkiém wzgórzu pośród ogrodów i plantacyj, rozrzuconych zamków i willij, miasteczko jakieś sino-szare z niewysokiemi wieżami, jak stos ruin i opok.

To Montpellier! tak, to Montpellier, siedlisko muz i nauk, przytułek, w którym chciałem spocząć po wielu burzach i trudach, w którym pragnąłem używać wspomnień czasu, tak prędko w świetnéj poezyą i pięknością Hiszpanii uszłego, przeżuć razy sto i tysiąc doznane rozkosze.

— Nie tak sobie wystawiałem Montpellier. Wyobraźnia malowała mi to siedlisko muz założone przez Maurów, białém jak śnieg, pełném wysmukłych minaretów i drzew wykradających się zpośród śmiejących się ogrodów—rzekłem do kapitana Bourdon.

— Nie! takiemi nie są miasta naszéj południowéj Francyi: zawsze ten sam koloryt brudno-kamienny. Świątynie u nas skromne, niczém nieimponujące zdaleka, wewnątrz tylko zawierają ozdoby, a domy chociaż z pozoru niekształtne, w środku piękne i wygodne, zamożnemi ludźmi zaludnione.

Coś mi serce okropnie ściskało; utaić przed sobą nie mogłem, że *la belle France* nie zachwyciła mnie dotąd wcale: tyle w niéj egoizmu i chciwości, tyle prozaiczności w tym niegdyś tak poetycznym Langwedoku!

Smutne mnie ogarnęły myśli. Spostrzegł się na tém mój towarzysz, ale przyczyn mego smutku nie pojął.

— Coś Pan zamyślony i smętny—rzecze kapitan Bourdon— ale wierz Pan staremu bywalcowi, szczwanemu lisowi, słyszącemu jak trawa rośnie: nie lękaj się Pan w Montpellier biédy. Tam ludzi naukowych cenić umieją, chociaż ich nie przepłacają pracy, bo ich jest wiele; każdy rad się zbliżyć do tego ogniska nauki i czerpać z niego żywioł dla rozumu. Ja z méj strony ofiaruję panu pomoc, tojest dobre rady i rekomendacye; kredytu nie, bo pożyczać nie lubię, anibyś pan chciał zasięgać go u kogokolwiekbądź. Ho, ho! znam ja pana, pod tym względem jesteś nieubłaganie dumnym, sam sobie dotychczas wystarczałeś. Ludzi nie poważasz w ogóle dosyć, żebyś im coś chciał być winien, a przyjaźń cenisz zanadto: nie chciałbyś jéj zrywać lub kalać jakiemiś tam stosunkami piénięznemi. Już Pana wstręt ogarnia na samo wspomnienie tych rzeczy, brr! widzę to jasno. Mnie dosyć spojrzéć na twarz człowieka, żeby widzieć, co się w jego duszy dzie-

je. Jak widzę człowieka zdrowego, wesołego, spoglądającego śmiało i odważnie na mężczyznę, z uszanowaniem na kobiétę, z rozrzewnieniem na dziecko, a z uniesieniem na piękną przyrodę i na niebo: oho! wówczas znam jego przeszłość i przepowiedzieć mogę jego przyszłość; niezawsze ona będzie wolną od zawodów i zmartwień, ale zawsze wolną od skarg i wyrzutów. Wiem, że tacy ludzie pielęgnujący uczucie piękna ciągle w swéj duszy, wolą zginąć, jak ugiąć się pod owemi tak zwanemi koniecznościami życia, w których słabe, mdłe, pospolite natury, utracają codziennie jego urok. Nie troszczę się tedy o pana, da sobie pan radę w Montpellier, zwłaszcza za pomocą przyjaciół, których umiész zyskiwać z łatwością. Ani téż pana nie zapraszam do domu mego w Montpellier, w którym mieszka *madame* Bourdon z mym urwisem synem i pannami Bourdon memi córkami. U nas tu na Południu nie ma zwyczaju przyjmować gości w domu: dobrzy przyjaciele widują się na spacerach, na esplanadzie, w kawiarni i w *foyer* teatralném. Zresztą mam tam w domu dwie młode córeczki: jednę piętnasto, drugą szesnastoletnią, a ładne jak pszczółki. Panbyś to traktował zwyczajnie jak dzieci; naiwnie, wesoło, serdecznie, a tu między nami naiwność i serdeczność tak są rzadkiemi przymiotami, że wielki wywierają urok, zwłaszcza na młode kobiéty. Ot! gotowa się która z nich w panu pokochać, a najpewniéj żeby się obie rozkochały. Tak, nie znając interesów majątkowych pana kochanego, przytém wiedząc, że jesteś cudzoziemcem, trudnoby mi było zapraszać pana do familii mojéj. Ale się dlatego będziemy widywali. Codzień przesiaduję z ośm godzin na esplanadzie i w *Café de Pavillon* kiedy jestem w Montpellier; spotykać się będziemy często tu i owdzie. *A propos*, panie doktorze, wjeżdżamy do Montpellier! Widzi pan ten wielki gmach na prawo?

— Ten na którym wypisano: *Institut orthopédique?* Cóż w nim nadzwyczajnego?

— Tu panie doktorze przed tym domem lat temu kilka, zastrzelonym został najświetniejszy chirurg Francyi, Delpech, przez swego własnego pacyenta.

— Ach przypominam sobie wszystkie szczegóły tego okropnego morderstwa, dokonanego przez człowieka młodego, bogatego, z takim rozmysłem szatańskim.

— Tak panie, z tego strzelił okna i w tym się zastrzelił oknie dokonawszy zbrodni. Wiele fakultetowi montpellijskiemu

ubyło przez stratę Delpesza, ale też niejeden pojął od czasu jego śmierci, że niedosyć być dobrym lekarzem, lecz trzeba być przytém i dobrym człowiekiem. Delpech wiele zawinił względem młodego swego mordercy.

Przedmieścia miasta Montpellier nie są powabne z téj strony; wlekliśmy się niemi przez kwadrans, nareszcie dyliżans zajechał do hotelu Messażeryi, prawie równo z zachodem słońca.

Kapitan Bourdon zaręczając mi, że zachwycony jest moją znajomością i że ją będzie uprawiał *à sa manière* na esplanadach i w kawiarniach, pożegnał mnie. Nikogo nie znałem w Montpellier prócz dra Broussonet, z którym w Barcelonie przez dni 15 jedno zajmowaliśmy mieszkanie. Ten mnie wprawdzie usilnie prosił, abym stanął u niego, jeśliby mnie przypadkiem los zawiał do Montpellier; ale że ten los aż zanadto prędko się wydarzył, i żem od czasu mego pobytu we Francyi południowéj poznał, jak oni tam gościnność pojmują: wolałem stanąć w hotelu, do którego dyliżans zajechał i pójść nazajutrz złożyć wizytę doktorowi Broussonet. I dobrzem też zrobił, żem na pamięć méj barcelońskiéj znajomości niewiele liczył.

Mieszkam tedy w jakiéjś izdebce niebardzo wykwintnéj na drugiém piętrze, i smutno mi bardzo. Na miasto żadnego widoku, tylko na dole na placyku wysadzonym morwowemi drzewami, tańczy lud montpellijski przy odgłosie szałamajki i bębna.

I cóż tańczy? Może jakie namiętne fandango, jakąś wściekłą tarantelę?

Bynajmniéj! tańczy najszkaradniejszego langsamer—walzera, jakiegom kiedykolwiek widział wykonanego na Bierknejpie w Niemczech.

— Francyo, Francyo! gdzie jesteś?—krzyknąłem do żywego zgorszony tym widokiem *langsamera* w Langwedoku.

— Francyo! gdzie jesteś? Co nam to o tobie gadali! Czemu młodość naszę żywili ponętnemi obrazami przedstawiającemi cudzoziemczyznę w tak świetnych a kłamliwych barwach? Czemuście budzili naszę wyobraźnią, drażnili naszę ciekawość?! Nie bylibyśmy zalali Europy gorzkiemi łzami!.....

Położyłem się spać na łożu wysokiém, wypchaném słomą kukurydzy. Znużony byłem; myślałem, że natychmiast kamiennym snem usnę, ale mi piskliwy *langsamer* niemiłosiernie w uszach tętniał; nawet wtenczas, kiedy szałamajka i bęben ucichły, kręciły się jeszcze przed oczyma wyobraźni dzieci Langwedocyi ubrane w pół-fraczki na cienkich nóżkach. Gdym nareszcie usnął,

taniec ten niemiecki ciągle mnie prześladował: widziałem jakieś wielkie pająki hasające na długich cienkich nogach, przedrzyźniające mnie, pokazujące mi czerwone języki; widziałem ogromną jak słoń pszczołę z twarzą kapitana Bourdon, zbiérającą miód na najpyszniejszych kwiatach naszego ogródka w Pińczowie; widziałem i biédnego Delpesza w chwili, gdy go pistoletem zabijał młody pacyent, któremu serce wycinał. Takie mnie fantastyczne sny ścigały piérwszéj nocy pobytu mego w Montpellier.

IV.

Szpital Śgo Eligiusza w Montpellier.

Z powrotem słońca nad widokrąg, fantastyczne sny przestały mnie nękać. Światło zawsze było moim przyjacielem, dlatego téż może ciemności żadnego rodzaju znieść nie mogę. Wstaję tedy bardzo rano i wojskowym obyczajem ubieram się natychmiast od stóp do głów. Ale co tu robić tak rano, kiedy całe prawie miasto we śnie pogrążone? Naprzód zapoznać się z fizyognomią miasta, potém pójść do szpitala wojskowego, gdzie zapewne rannych i chorych znajdę rodaków.

Miasto w szczegółach doprawdy niewiele przedstawia godnego widzenia, prócz kilku gmachów publicznych, które późniéj opiszemy, i prócz swych promenad nad wszystkie wyobrażenia pięknych, o których w właściwém miejscu więcéj powiemy. Nie brakuje wprawdzie wielkich domów, w których mieszkają bogate rodziny legitymistów, poswarzone z Ludwikiem Filipem i dlatego trzymające się zdala od zgiełku na ustroniu; ale gmachy te z zewnątrz okopcone, ponure, żaluzyami bezustannie zasłonięte, wyglądają raczéj jak mauzolea czasów przeszłych, albo jak siedziby zaklętych duchów. Niektóre ulice cokolwiek odległe od środka miasta, całe zajęte były owém smutném, zimném, niegościnném przedmieściem St. Germain; tu mieszkało z czterdzieści rodzin, których nazwiska pachnęły krucyatą i emigracyą. Na wielu z tych domów napis: *Sainte Vierge conçue sans péché priez pour nous*, ale na gankach żadnych nigdy kwiatów, w oknach ciemnemi zasłoniętych kurtynami żadnych wysokich, bladych, czarnookich, wachlarzem rozmawiających aniołów. Nie, niestety! to nie Hiszpania, choć to jeszcze Południe!

Prawie wszystkie te ulice są wązkie i kręte, a domy pięciopiętrowe, silnie zbudowane, lecz z zewnątrz niczém nieozdobne. Wewnątrz tak jak u Arabów, są piękne ogrody, pyszne, wykwintnie przystrojone sale. Brzydki system tajenia bogactw i serca w téj dzielnicy arystokracyi urodzenia. Inną dzielnicę zajmuje arystokracya pieniężna. Domy jéj na ludnych, szerokich, magazynami napełnionych znajdują się ulicach. To *la Chaussée d'Antin* miasta Montpellier, błyszczące nie herbami, lecz bogactwem, mniéj może dobrym smakiem jak przepychem, znamionujące się większą gościnnością, ale nie mniejszą dumą.

Szpital cywilny i wojskowy świętego Eligiusza jest gmachem potężnym, w którym bez żadnéj trudności tysiąc chorych wygodne może znaléźć pomieszczenie. Coś uroczystego w tych pawilonach poważnych, cichych, wysokich, kolumnami ozdobionych, a zamykających w sobie trzy wielkie dziedzińce i ogród. Czterdzieści kilka sióstr miłosierdzia nadzór tu ma nad służbą i administracyą; ksieni piastująca tę godność, od lat trzydziestu opuściła świat z własnego natchnienia, i to będąc młodą, bogatą, szlachetnie urodzoną panną, i cały swój majątek i całą swą przyszłość oddała ubogim chorym. A fanatyczną, tępą rozumem, bigotką z serca nie była ta dama, tyle poświęcająca dla Boga i ludzkości, bo nawet w szaréj szacie klasztornéj świetniała rozumem i jakimś cudnym wyrazem roztropnéj dobroci.

Wiele téż używała poszanowania. Wysocy dygnitarze odwiedzający szpital, nawet książęta z domu królewskiego, gdy miasto i szpital odwiedzali, składać zwykli byli ksieni sióstr miłosierdzia uszanowanie i dziękować za wyborny porządek panujący w całym zakładzie. Orleanów nie lubiła ksieni sióstr miłosierdzia, i nieraz im uszczypliwością w odpowiedziach dokuczyła.

Piérwsza sień szpitala przedzieloną była na dwie połowy sztachetami żelaznemi i bramą. Obok tych sztachet okienko prowadzące do loży szwajcara, a z tego okna wyzierał stary cerber, dawny jakiś wojak z cesarstwa, twarzą oprawną w ogromne faworyty i nakrytą malutką wojskową furażerką, z oczami napiętemi jak pistolety do wystrzelenia gotowe.

Poznał we mnie osobę nigdy jeszcze niewidzianą i spytał: Co tu pan chcesz?

— Jestem lekarzem, wczoraj do miasta przybyłem, pragnę zwiedzić szpital.

— Dobrze, dobrze!—odpowié wiarus odsuwając mi ze środka skobel—wejdź pan do wnętrza i spocznij na ławce; wnet tu przybędą uczniowie pełniący służbę *externów* w szpitalu.

Czekałem tedy. Od czasu do czasu wchodzili czarnookie Francuziki, z wąsikami na rumianéj twarzy i wesoło rozmawiając biegli daléj, do chorych i umierających. Nareszcie wszedł jeden, także z teką pod pachą, wysoki, blady, z twarzą cierpieniem napiętnowaną i już niemłody. Za tym pospieszyłem, pewny, że mnie do zamierzonego celu doprowadzi. I nie omyliłem się. Przeszedłszy schody, korytarze i sale, stanęliśmy przed jedną i do niéj weszliśmy. Smutny tu mnie widok czekał. Zaraz przy wstępie ujrzałem wybladłe, śmiercią tknięte lica passującego się ze śmiercią znajomego. Stanąłem przy łóżku i ubiegającego życia resztki w niespokojnéj umierającego kolégi szukałem ręce. Już puls prawie nie bił. Obok inny leżał nieznany mi, także na suchoty chory, jeszcze żywy, jeszcze nie konający, ale niedaleki kresu życia. Przemówił do mnie, widząc, że się zajmuję umierającym, a gdy się dowiedział że go znałem, wyrzekł ze smutkiem: „On szczęśliwy, ma tu brata i kilku kolegów, ja zaś żadnego tu nie mam dawnego znajomego. O mych rodzicach i krewnych nie mogę mówić z nikim, coby ich znał: przykro jest tak umierać."

Tak jest: stęsknieni umierającym zazdrościli, nie śmierci, lecz świadków dawno przeszłych czasów.

Na inném łóżku siedział stary, prawie sędziwy wojskowy z siwiuteńką głową i z wąsami białemi, a czerstwą twarzą, w któréj jak na śpiżu malowały się uwaga, mars i jakiś głęboki, rozczulający smutek. Siedzi z książką w ręku i zdaje się w nią patrzéć. Ale istotnie nie patrzy, bo całkiem niewidomy: oczy mu zjadło zapalenie ócz egipskie. Tylko młody oficer na poblizkiém łóżku leżący, na lewém ramieniu rozparty, a ręki prawéj pozbawiony czyta z téj książki; niewidomy starzec stronnice przewraca, gdy młody kaleka do ich końca dojdzie. Jakąto książkę czytają z takiém zajęciem?.... Szczęśliwa książka, która z tak dalekiéj ziemi do tych odległych okolic świata doszła i koić umié chwile tęsknoty!

W całéj sali leżało 20 chorych, po większéj części służących w legii zagranicznéj lub téż ex-wojskowych; siedmiu było francuzkich oficerów. Kilku było na tyfus chorych, majaczących lub téż już konających; muchy krążyły chmarami około nich: zły to znak doprawdy, śmierć zapowiadający.

Na samym końcu sali, tuż obok ołtarza pod oknem stało łóżko, na którém siedział z związaną głową i ręką lewą w temblaku, młody, piękny, ale wynędzniały oficer. Na kolanach trzymał reisbrett, a prawa ręka na nim kreśliła kontury jakiéjś powabnéj młodéj kobiéty z wysokim grzebieniem, z mantyllą na głowie, i z wachlarzem w ręku.

To Andrzéj, takjest, to mój poczciwy kolega z Hiszpanii Andrzéj, a ta postać to niezawodnie owa tajemnicza donna Julia, za którą tyle cierpiał i o mało co życia nie stracił przez powieszenie.

— Andrzeju! ty tutaj, i znów pokrajany, postrzelany, pocięty, a zawsze rozkochany?

— Tak bracie! ja tutaj, a ty wracasz z tego boskiego kraju, w którym lepsza połowa mego jestestwa pozostała; wracasz świéżo jeszcze przesiąkły wonią hesperyjskich ogrodów, jeszcze ogorzały promieniami słońca Hiszpanii. Ach pozwól niech cię serdecznie uściskam, ach jaka szczęśliwa niespodzianka!

— Naściskajże mi się dowoli, kochany Jędrusiu, ale powiédz mi na Boga, gdzież tę nową zdobyłeś bliznę na głowie i tę ranę w ramię lewe? Dalibóg krótsze od prawego.

— A krótsze w istocie. Wszystkiego się dowiész, tylko przedewszystkiém powiédz co robi Flinter, Kersausie, Vigo? Daléj, gadaj, błagam cię.

— Flinter zdrów, kocha cię jak Orestes Pylada, a broni jak Achilles Patrokla. Kersausiego rannego sprowadziłem do Francyi, a Vigo? przecież wiedzieć musisz z gazet, co się z nim stało w Walencyi.

— Nie wiém; wiém tylko, że Walencya oblężona. Chorowałem mocno, dzienników przez kilka tygodni nie czytałem, i cóż z generałem Vigo?

— Zemścił się na nim za ciebie lud Walencyi, i srogo się zemścił niestety! Potargano go w kawałki tak, jak niegdyś Quesadę w Madrycie.

— Ach to zanadto srogo, w istocie—rzekł poczciwy Andrzéj i szczérym żalem przejęty zapłakał rzewnie—to zanadto srogo, on mnie wprawdzie chciał zgubić, ale miał do tego powody. Tak srogiéj nie pragnąłem zemsty, Bóg moim świadkiem. Los jego zakrwawi serce tego anioła, którego cudne formy kreślić całą mą rozrywką.

— Teraz wiész wszystko, i uspokój mą ciekawość: gdzieś zdobył tę bliznę a postradał z ćwierć łokcia ramienia?

— Półpięta cała tylko; dowiész się potém całego toku rzeczy. Piękna to była operacya: Lallemand ją wykonał; to kartacz hultaj pod Mostaganem. A dragoni żałowaliż mnie?

— I tam znów aż do Algieryi bogowie cię zanieśli? Zlituj się, jeszcześ się nie nasycił wojną, kapitanie?

— Już ja nie kapitan, mój drogi doktorze—powié ze smutną miną Andrzej.

— Tém lepiéj, że cię przynajmniéj awans nie minął, majorze!

— Tak awansowałem, ale z pieca na łeb: z kapitana dragonów hiszpańskich na podporucznika piechoty legii zagranicznéj w Algierze. Zająłem w niéj dawne stanowisko, którem posiadał pięć lat temu w chwili, gdy nas pod generałem Bernellem królowéj Izabelli darowano.

— Wielki Boże! i te upokorzenia nie wyleczyły cię przyjacielu z chęci wojowania dla obcéj sprawy?

Gdy jeszcze rozmawialiśmy, wchodzi do sali liczny hufiec lekarzy, a na ich czele gienialny operator Lallemand, ozdoba Francyi, książę chirurgii, jak go zwano.

— Patrz jak cię mierzy oczyma ten czerwony, gruby z czarną brodą; patrz jak w ciebie wlepił wzrok ów blady podtatusiały z wygoloną twarzą. To twoi dawni koledzy—rzecze Andrzej.

Za chwilę byłem w ramionach dawnych współuczniów. Jak mnie serdecznie witali i przedstawiali kolegom, nawet professorowi, co nam był opatrznością w Montpellier, ojcem naszego rozumu! Podobnych chwil uroki słodzą męczarnie lat kilku. Już samotnym nie jestem na tym świecie, wstąpiłem jednym krokiem w grono rodzinne piérwszych przyjaciół.

Ta piérwsza wizyta w szpitalu, w którym od téj chwili prawie bez przerwy codziennie przez lat półtora kilka godzin trawiłem, miała się wpisać niezatartemi śladami w mą pamięć. Światłem i cieniem, radością i smutkiem, odbiła się głęboko w méj duszy. Już kończył swą wizytę professor Lallemand, gdy znać dały Siostry Miłosierdzia, że generał kommenderujący dywizyą departamentu, zmierza do sali na inspekcyą z licznym pocztem wojskowych lekarzy, intendentów i adjutantów. Niebawem téż nadszedł generał margrabia Piré w świetnym mundurze gwiazdami okryty. Professor Lallemand dyrektor kliniki chirurgi-

cznéj, do któréj należały sale cywilne i wojskowe, nieoficerskie i oficerskie, przyjął generała z godnością, na jaką nietrudno się z dobyć lekarzowi francuzkiemu, wszędzie wysoko cenionemu. Margrabia Piré żołnierz restauracyi, zwolennik starszéj gałęzi Burbonów, przez lat ośm czekał ich powrotu i nie chciał służyć Ludwikowi Filipowi. Ale straciwszy swój majątek w podróżach, grze i wystawności, a nie mogąc się doczekać Henryka Vgo, wstąpił napowrót do służby, i w niéj się odznaczał bezprzykładną surowością, a tém dotkliwszą, że z niezmierną łączyła się dumą.

Przebiegał tedy salę od łóżka do łóżka pan generał, pytając się professora bez żadnego względu na uczucie pacyenta o stan jego choroby: czy bardzo słaby? czy żyć może? czy zdatnym będzie do służby? Pytał się nawet każdego chorego, czy ten mógł lub nie mógł odpowiadać o jego narodowość; Francuzów grzecznie witał, ale cudzoziemcom oczywiste okazywał lekceważenie. Odbywszy rewizyą od piérwszego do ostatniego pacyenta, pan generał stanął w środku sali, i z taką wyruszył mową w stylu Napoleońskim:

— Panowie! na dwudziestu chorych w sali oficerskiéj, trzynastu jest cudzoziemców, a z tych trzynastu, zaledwie czterech w służbie francuzkiéj pozostających. Zła proporcya, bardzo zła. Budżet wojny dokłada dwa franki dziennie na utrzymanie cudzoziemca w szpitalu wojskowym. Pozostaje ich zaś w przecięciu 300 w całéj Francyi w szpitalach wojskowych, co znaczy 600 franków codziennéj straty dla budżetu wojny. Czemu panowie tak często chorujecie? Niegdyś odznaczaliście się silném zdrowiem, wytrwałością: czemu dziś jest inaczéj? Zniewieścieliście oczywiście może dlatego, że się zająć nie umiécie, że się rozpaczy i gnusności oddajecie. To źle! W pracy i czynności cała wasza przyszłość, całe szczęście. Nakłaniam do poprawy. Inaczéj, marszałek Soult minister wojny, będzie się widział zniewolonym wyzuć panów z tak kosztownego dla budżetu przywileju opiekowania się waszém zdrowiem.

Biédni cudzoziemcy zgruchotani byli tą srogą, upokarzającą przedmową; żaden z nich nie śmiał podnieść głosu w własnéj obronie: trudno choremu na łożu złożonemu cudzoziemcowi domagać się sprawiedliwości od dygnitarza przemawiającego w imieniu ministra. Znalazł się jednak opiekun chorych pomiędzy samemi Francuzami. Spojrzał on okiem jak niebo pogodném, otuchę wlewającém na nas wszystkich umierających, chorych i zdrowych, a tak porażonych surowemi słowami pana generała, i rzekł:

— Panie generale, w imieniu moich pacyentów, moich uczniów i w obronie honoru Francyi, ja tutaj głos mój wznieść winienem. Francya gdy gościnność udziela swym nieprzyjaciołom, wymawiać jéj niezwykła; wstydzić się winna cała od Pyreneów aż do Rodanu, od oceanu aż do Śródziemnego morza, gdy jeden Francuz głos podniesie na swego gościa i przyjaciela.

Takiemi życiodawczemi słowami pokrzepił świetny professor Lallemand, członek instytutu, kommandor legii honorowéj, serca skrzywdzonych cudzoziemców, a rumieniec wstydu i zapalczywego gniewu wstąpił na lica margrabiego. Byłby się może do szpady porwał, gdyby nie siostry miłosierdzia, co choć w ogóle legitymistki, uznały przecież w téj chwili, że prawda, honor i ludzkość są tym razem całkiem na stronie obrażonych cudzoziemców i ich zacnego protektora.

Zejść nie chciał jednakże z placu pan margrabia bez pozostawienia po sobie jakiego śladu swego pobytu, a zarazem dowodu nienawiści przeciw rekomendowanym mu przez ministra osobom, i po niejakiéj chwili rzekł:

— Nie wiedziałem, że dziś lekarze stali się adwokatami i deklamatorami; dobrze będzie o tém rząd zawiadomić. Ale *à propos*, doszły mnie słuchy, że panowie cudzoziemcy tutaj w szpitalu dla kuracyi przebywający bardzo są głośni w swych wygodnych łóżkach, i ciągle rozprawiają pomiędzy sobą swym językiem niezrozumiałym dla Francuzów; co naprzód niebardzo grzecznie, potém niewygodnie dla tych, co razem z niemi leżą w jednéj sali, a głosów tych zrozumieć nie mogą. Możeby w interesie *naszych* rodaków dobrze było odłączyć cudzoziemców na osobną salę? Podaję ten projekt do rozsądzenia panu Lallemand, który z taką sumiennością umié przejmować się położeniem powierzonych mu pacyentów.

Już pan Lallemand chciał odpowiedzieć, ale ubiegł go stary jeden major francuzki, *un vieux grognard*, leżący w łóżku, który rzekł:

— Nie wiem kto się mógł żalić na cudzoziemców za to, że przemawiają do siebie własnym językiem: to pewnie nie żołniérz francuzki.

— Prawda! prawda!—odpowiedzieli wszyscy bez wyjątku oficerowie francuzcy leżący w swych łóżkach.

Teraz pan margrabia zbladł jak dworak z pantałyku zbity, jaszczurczém rzucił spojrzeniem na starego majora i spytał o jego nazwisko.

— Oto mój adres! — rzekł spokojnie major, podając adjutantowi generała kartkę wizytową — za dwa tygodnie da Bóg będę zdrowym i gotowym....

Panu generałowi dotarły te słowa do téj kryjówki serca, w któréj jest złożone pojęcie, że szlachcic przedewszystkiém winien być człowiekiem dobrego tonu; przybliżył się więc grzecznie do majora, oddał mu kartkę wizytową i rzekł półgłosem:

— Panie majorze, dopóki jesteś w wojsku, szanuj szlify generalskie, nawet gdybyś niecierpiał osoby je noszącéj. Gdy ochłoniesz z gniewu, wyzdrowiejesz i przestaniesz być mym podkomendnym, sam mi przyniesiesz twój bilet, a wówczas pomówim z sobą.

Jeszcze nie na tém skończyły się sceny w téj sali, która powinna była być świątynią pokoju, a była widownią tylu i tak sprzecznych a żywych namiętności. Otwarły się oba skrzydła drzwi i weszli niemi chłopcy kościelni w czerwone komże ubrani z dzwoneczkami w ręku, potém pod baldachinem niesionym przez dziadów ksiądz z Panem Jezusem, nareszcie organista i orszak pobożnych sióstr miłosierdzia.

Ostatnie dano namaszczenie rodakowi, który zazdrościł umierającemu, a teraz umarłemu koledze.

Wszyscy klękli, nawet i dumny margrabia, uczony professor i hardy major: wszyscy się ukorzyli i w głębokiém milczeniu przeczekali na klęczkach wzruszającą ceremonią religii, tyle do serca przemawiającą. A potém modlili się za duszę wyrywać się poczynającą z powłoki ziemskiéj i hołd złożyli temu, który umrze i za chwil kilka stanie przed najwyższym sądem.

Otóż jestem we Francyi i wiem gdzie mam szukać jéj egoizmu, jéj honoru i jéj religii, i nie dziwię się już, że jedno, drugie i trzecie istnieć może w jedném społeczeństwie obok siebie, razem w jednéj klassie, a nawet w jednéj osobie. Dodać jednak muszę dla zaokrąglenia rozdziału, że w kilka tygodni major wziął dymissyą i postrzelonym został przez generała; że Francuzi za miesięcy kilka odłączeni byli od cudzoziemców i otrzymali rozkaz przerwania z niemi wszelkich styczności; że w rok potém marszałek Soult wyzuł cudzoziemców nieliczących się w służbie francuzkiéj z przywileju używania w wypadku choroby korzyści szpitala wojskowego i zaszczytu pogrzebów wojskowych.

A tak egoizm jednak zwyciężył!

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIELKI PAN.

POWIASTKA.

NAPISAŁ

Włodzimierz Wolski.

Tedy vzpomineyme casu davnych
Vzpomineyme doby velebné,
V nichž se nàm tech postav veleslavnych
Jako sosen v lesich nasich pne.

Vocel (Mec i Kalich).

I.

Było sobie wielki Pan,
Dzień w dzień wypił wina dzban.
Miałci malowany dwór,
Tysiąc koni, dwieście sfór,
Rój hajduków, strzelców, sług,
Dwie kapele, gości huk.

Biały żupan nosił wciąż,
Złotéj szabli kręty wąż
Od kamieni drogich lśniał,
Jakby oczu tysiąc miał.
A kolasą w koni sześć,
Gdy się wkoło kazał wieźć:
Każdy pan brat czapkę zdjął,
Chłopek każdy w duszy klął.

Wielki Pan dość młody był,
Bladych lic, lecz pełen sił.
Nieraz kiedy bywał sam,
Myślał: cóż że wszystko mam?

Jestem jak ten w polu bróg:
Wszystkich moich zabrał Bóg,
Świat wokoło i ja sam.
Na djabłaż mi to, co mam!—
Nie próżnował winą dzban,
Gdy tak myślał wielki Pan.

A przy dworze owym żył
Stary szlachcic, w łaskach był.
Walny lizacz kufli, mis,
Zwał się Wyga, herbu Lis.
Widząc, że tak panu czczo,
Myśli: ja rozruszam go.
Rzekł więc: „Jaśnie Pan czy zgadł,
Jak na koncept dziwny wpadł
Cześnik? Aż mi szkoda słów!
Toć szlachciura mściwy ów,
Że mu chamów każem bić,
Jaśnie Pana, łotr, śmié łżyć!

— „Łżyć? Ej! myśl co mówisz Waść,
Boć co z reszty może spaść!"

—„Jasny Panie! toć nie sen!
Po sejmiku cześnik ten
Śmiał do braci szlachty rzec:
Że wolałby dać się spiec,
Pieczonego djabła zgryźć
I z dziadowską torbą iść,
Niż gdyby Jaśnie Pan doń,
Dłoń wyciągnął, podał dłoń!—
Gdyby też, wypadki są,
Chciał za żonę córkę twą?"
(Tak zagadnie łowczy go).

A tu cześnik nagle: „Co?
Córkę córkę?... Waścin żart
Razem z wami djabła wart.
Zaubogi chaty próg,
By swat pański wstąpić mógł.
Zresztą, wolę dziewkę tę
Pierw w śmiertelném widzieć złe,
Boże odpuść! niźli w tém
Panie bracie, gnieździe złém.
Prawda, że nalewał w czub,
I że marny jego ślub
Tyle w uchu wagi ma,
Co szczekanie złego psa.

I choć niby, mówią to:
Szlachcic z panem braćmi są,
Ale zkąd szlachecka złość,
Śmié dotykać pańską mość?
Więc luminarz naszych stron,
Co to równych stanem żon,
Z tylu dziewic, panów z pań,
W krwie magnackiéj czeka pań,
A tak trudno chęć mu mieć,
Szlachcianeczki miałby chcieć?
Cóżby na to nagle rzekł,
Antenatów cały stek,
Antenatek cały rząd,
Na ten w pańskiém łożu trąd?
Brzęczysz Wasze, jakby ul,
Radzę także buzię stul!"

— „Jasny Panie! trudno znieść!"

— „Przestańże Waść, przestań pleść!"

— „Bo gdy ludzie tacy źli"....

— „Do stu czartów! milczeć mi!"
Nagle wstając, pan mu wrzasł,
Ręką ujął się za pas,
I w podłogę tupnął tak,
Że na ziemi został znak.
Wyga głowę schylił w dół,
I szczękami tylko żuł.
Wzdychał, sapał, jakby miech,
Snadź coś trawił: strach czy śmiéch;
Prędzéj drugie, bo pan znów
Mniéj już gniéwnych użył słów:

— „No, a piękna-ż dziewka ta?"

— „Jaśnie Panie! jakby skra!"

— „Piękna, mówisz. Wiém, że Waść
Lubisz konie; jaką maść?"

— „Gniadą, panie jasny!"

— „No, jakiéj maści dziewczę to?"

— „Jaśnie Panie! ciemny włos,
Mała rączka, kształtny nos,
Zęby perły, z ognia wzrok,
Biała i szesnasty rok."

— „Kiedy gniadą lubisz maść,
To ze stajni weź-że Waść
Na podarek gniadych pięć,
Za tę dobrą ku nam chęć.
No, a teraz można precz!

— „Panie z panów jasny! Lecz
Gdyby pierwszy z jego sług,
Jakiém słówkiem drasnąć mógł.
Czasem-bo się wypsnie rzecz....“
— „Potém o tém! Teraz precz!“

Odszedł dworus. Wielki pan
Kazał podać wina dzban,
Popił i najeżył wąs:
Twarz mu bladą oblał pons,
Potém pobladł, aże strach!
A od stąpań trząsł się gmach.

II.

Dwa miesiące przeszły już,
A to czasu kawał!
Wielki pan i wszérz i wzdłuż
Chodził, to znów stawał.
Płowy, potém szary mrok
Na komnatę spada.
— „O! tak, tak.... szesnasty rok.“
Nagle pan zagada.
— „Cha! przeklęty Wyga ów!
Dawniéj puhar, dawniéj łowy
Nie trapiły serca, głowy:
Człek był smutny, ale zdrów!
Dziś do czarta i pioruna!
W sercu pożar, w głowie łuna!
Nieraz, gdy na łowach wpadł
Tuż pognany na mnie dzik,
Wkoło przestrach, wkoło krzyk;
Czyliim zadrżał, albo zbladł?
Teraz, gdy jął szatan kusić,
Nielepiéj-ż to było zmusić,
Porwać dziewkę, zawieść, gdzie
Djabeł nie wynajdzie sam,
I tam rozmiłować się,
I swobodnie szaleć tam.
Całe życie teraz marne
Zlać w lubości jednym śnie,
Śnić o oczach, że tak czarne
I na jawie patrzeć w nie.
Gdyby zaś kto śmiał się żalić,
To go zrąbać, to go spalić,
Bo tak mogłem, bo mój stan
Nie zna przeszkód, bo ja pan!

By wywołać wilka z lasu,
Nie tak wiele trza hałasu.
Gdy szlachciura marny śmiał
Do żywego dopiec mi;
To on wzbudził gniéw i szał,
To on winien, żem tak chciał,
Po co gada, na co drwi?

Lecz w ubogiéj gdy komnatce
Widzę smutne dziewczę to,
Jak ku świętéj Boga Matce
Wznosi modłów czystych woń;
Czemu oko zajdzie łzą,
Czemu zadrży męzka dłoń?
Zkąd tak nagle i tajemnie,
Głos nieznany zabrzmi we mnie:
Jak opryszek chciałeś podle,
Dzikich pragnień tłumić zdrój,
Na herbowém twojém godle
Krwawy napis dodać: zbój!
Wszak u mego tam klejnota,
Co to zawsze świecił wprzód,
Stoi rzymski napis: *cnota*,
A gdzie znamię moich cnót?"

I pan chodził po komnacie
W białym swym żupanie,
A w obrazach, co na ścianie
Patrzy przodków szereg długi.
Zbrojnych i w kościelnéj szacie.

Gdzie złocone znów podwoje,
Różne bronie, różne zbroje.

Wszystko mężnych to zasługi,
Krwią je swą broczyli.
Oszczep, Piastów co pamięta,
Ku tarczy się chyli.
Tu kolczuga, tu rozpięta
Cała zbroja pod przyłbicą,
Owdzie kopia nad zbrotcą.
Tam tatarski przybór cały:
Lśnią kołczany, strzały, łuki,
Tam demeszki i buńczuki
Od klejnotów połyskały.
Owdzie rzędy dwa tureckie,
Owdzie miecze tkwią niemieckie,
A przy końcu godła sławy,
Buzdygany i buławy.

Wraz pan stanął przed obrazem,
Topiąc w niego wzrok ponury.
Było przodek jego, który
Zginął w więzach bisurmana.
I choć coraz większy mrok,
Groźna postać kasztelana
Jakby żywa, lśni żelazem.
Zda się mężny, bystry wzrok
Samym blaskiem wroga depcze.

Pan odwrócił nagle lice,
Zapłonęły mu źrenice.
Znowu chodzi, znowu szepcze:
— „Nadaremne moje chęci,
Próżno sercu robię gwałt,
Już nie wyjdzie mi z pamięci
Tej dziewoi cudny kształt.
On się wszczepił w istność moję,
Jak w dębinę wrasta mech,
Ja zeń czerpię życia zdroje
I zapału święty dech."
Stanął, pot mu z czoła ciekł,
Chwilę milczał, nagle rzekł:
— „Mam lirnika, który śpiewa
Cudne pieśni. Gdy nastroi
Dźwięczne struny, czy je zrywa?
A pieśń smutna lub wesoła
Czy się przy mnie śpiewać boi?
Mam się dręczyć wciąż i smucić!
I ja lirnik: chcę zanucić
Jak w dziewicy białolicej,
Co ma tęskny wzrok anioła,
Królewic się rozmiłował.
Prawda, prawda, że to dalej
Smutku lirnik nie żałował,
Bo się krótko miłowali.
Gdy niestały gaszek młody,
Dziewczę kona gdzieś w klasztorze.—
Dość mam smutku, chcę swobody,
Więc też inną śpiewkę złożę."
Nagle czapkę na stół ciska,
Z oczu zamiar jakiś błyska:
Już mu czoło namysł daje,
Już go w pewność uśmiech zmienia;
Lecz znów nagły cień powstaje
Zamyślenia czy zwątpienia.
Coś go trapi, coś go dąsa,
Bo wykrzyknął, kręcąc wąsa:

— „Cha! A gdyby za złe wzięli,
To do djabła afekt bratni
Całéj mojéj paranteli.
Z méj gałęzi, jam ostatni!
Gdyby jednak w chęci złéj
Cześnik wtedy jeszcze trwał,
Lekceważyć gdyby śmiał:
Hola! mimo córki twéj,
Niechno Waszmość się nie drażni.
Aniś śnił o takiéj łaźni,
Jakąbym ci sprawił, stary!
Ja-ć karmazyn dobréj wiary!"

Do podwojów pobiegł wraz,
Tam pachołków cały rój.
„Wołać Wygę!" nagle wrzasł,
Aż śród starych brzękło zbrój.

III.

Już na północ kury piały,
Księżyc bujał się w jeziorze,
Bór szeleścił, sad przy borze,
A we środku dworek biały.
Daléj,—kilka chat, co szare
Tu i owdzie się rozbiegły,
Przy nich szemrzą grusze stare,
Słychać młyna szum odległy.

Zatętniło nagle w boru,
Przez płot nagle ktoś przeskoczył,
Potém sadem zwolna kroczył
Aż pod samo okno dworu.
A w tém oknie, co się całe
Otworzyło, jakby czarem,
Błysły na tle nocy szarém
Jak dwa z kwiatów wieńce białe,
Dwa ramiona. Potém, chwila!
Cała postać się wychyla,
Wiotko, giętko bieleją.

Lubisz brzozę, gdy płacząca,
Ze smukłego zwiesi drzewa
Gałęzisty strój przezroczy;
I tak gnie się, tak omdlewa,
Kiedy w stawie go umoczy?
Księżyc, jakby na meczecie,

Lśnił pół-licem z za drzew ciągu,
Jakby kształtną twarz posągu,
W promieniste światła siecie
Ujął białą twarz postaci.

Nocy, nocy, tyś macocha
Dla spojrzenia, co nie kocha,
Co się zbędzie w ciżbie miejskiéj
Ułud tkanki czarodziejskiéj
I wspomnienie jéj utraci.
Lecz niech czoło twoje świeci
Ciszy wiejskiéj urokami,
Lecz chciéj darzyć twoje dzieci,
Jakby matka—pieszczotami.
To na cieniów twych pościeli
Choć wesołość sposępnieje,
Lecz się smutek rozweseli,
A marzenie wyświetnieje.

Wychylona postać biała,
Coś powoli zaszeptała
Do przybysza, który w ciemnéj,
Długiéj burce osłonlony,
Jakby jaki duch podziemny
Stał posępny, zamyślony:

— „Cóż mnie począć, mnie, niewieście
Że wciąż smutni tak jesteście?
Czym już niedość nagrzeszyła,
Że szlachecka ja dziewica,
Tylem z Wami słów mówiła,
A bez wiedzy to rodzica.
Więc zlitujcie się nademną,
Pożegnajcie—to daremno!

Wy Pan wielki, ja uboga,
Tak! Wy w radość niebogaci,
Lecz ja modlę się do Boga
Za cierpiących wszystkich braci.
Więc pomodlę się ze łzami
Za Wasz smutek, za Was, bracie!
Choć zapomnieć mnie zdołacie,
Będę modlić się za Wami."

— „Łatwiéj tobie znieść cierpienie,
Lecz mnie trudniéj już, Heleno!
Nie znam ceny, którą ceną
Można kupić zapomnienie.
Gdy znasz sposób niepamięci,
Nie wymodlisz mi sposobu:

Męzkie serce, gdy co święci,
To już święte mu do grobu!"
I Heleny spojrzeń śledzi.
Ona w swém okienku stała
Jak kapłanka owa biała,
Która w duszy udręczeniu,
Kiedy pragnie myśl spowiedzi,
Płomienieje nam w sumieniu.
To rozdrażnia, to osłania
Tajne rany zadawniałe,
A oblicze ma tak białe,
Ta kapłanka przekonania.

Jakoś smutno okiem rzucił,
Przykrą pewno myśl odpycha.
Nagle burkę z siebie zrzucił,
Mówił prędko chociaż zcicha:
—„Wszak o dworskość jam niedbały,
Czcze jéj miękkie świegotanie;
Bo nie młodzik ja niestały,
Co mu starczy lubowanie.
Lecz w twéj świętéj niewinności,
Czy twa młoda myśl ogarnie
Całą prawdę méj miłości,
Jéj płomienie i męczarnie?
Może pojmiesz—więc posłuchaj.....

Miałem w borach mych bagnisko,
Niedostępna gąszcza głucha;
Staréj baszty tam zwalisko,
Jak przeszłości smutną marę,
Podnosiło gruzy szare.
Nieraz gdy się gnało zwierza,
Dobrze mając go na oku;
To już ani rusz ogarów
Skoro bagnisk tych dotarły:
Tylko żarły się, a darły.
Ale dalej, jak od czarów,
Szczuj, zabijaj—ani kroku!
Wiejska gawiedź wciąż prawiła,
Że tam złe ma swoje leże:
Smutnabo też ustroń była!

Myślę: zniszczę starą wieżę,
Ogniem strachów z niéj dostanie,

W zrębie boru, na polanie
Będzie nowe potém sioło.
Więc na staje dobrą wkoło,
Sosny legły jak pokosem,
I potrójnym drzewa stosem,
Starą basztę obłożono.
Ot, po strachach było pono,
Gdy ćma puciek, nietoperzy,
Sów—frunęła z starej wieży.

Płomień bucha, i czerwoną
Wstęgą ima szare mury:
To wystrzela raz do góry,
To wężami ognistemi
Z dymem pełznie aż po ziemi;
To spojony nagle w kupie,
W krwawym pasie, w żółtym słupie,
Wściekłym chwyta ją uściskiem,
Ślizga, gnie się nad zwaliskiem.

Wreszcie wszystkie swe płomienie
Skupia w jedno rozjątrzenie:
Trzeszczą belki, rozetlone
Węgle z wiatrem lecą wkoło;
Lecz zwalisko niewzruszone,
Śród płomieni wznosi czoło.
I ni cząstka starej wieży
Nie runęła—płomień pała,
Płomień gaśnie;—znowu stała
W osmalonej swej odzieży.

Więc żal było mi zwaliska,
Myślę: niech zostanie sobie,
I nie sioło, lecz kaplicy
Mur bielony dziś połyska,
Jak nić biała przy żałobie,
Złotym krzyżem przy wieżycy."

Wraz mu oczy zmiękły rzewnie,
I zabrzmiały słowa śpiewnie:

— „Tak Heleno! Jak wieżyca
Ocalona śród pożaru,
Dusza moja samotnica,
Pośród szumu, huku, gwaru,
Czczych uniesień grzązkie gniazdo,
Rozkiełznana i zdziczała,
W ciągłej nocy, żadną gwiazdą
Nieolśnionéj—głucho spała.

Jak kaplica z białym murem,
Gdzie blask krzyża słońce wita,
Przy zwaliska tém ponurém
Biała postać twoja swita.
Śród grzmiącego mego dworu,
Jam się tułał, jak śród boru.
Noc,—śnieg z wiatrem w oczy szczypie,
Sosny straszą jak zjawiska;
Pośród sosen coś połyska,
Może wilków chciwe ślepie.
A wędrowiec sam, bez broni,
Wkoło puszcza i wyboje:
Gdzie przyjaznéj szukać dłoni,
Gdzie pomocy, dziewczę moje?"

Cichych, kształtnych kwiatów stroje,
Pocieszają wody mętne:
Lilli wodnéj wieńce smętne
Na jeziora ciemnych falach,
Jak pociechy łzy po żalach,
Miękkie liście rozkładają.
Gdy myśl smutna u ploseuki,
To smutniejsze pewno dźwięki,
Co jéj słowom pomagają.
Więc wrażliwa myśl dziewczęcia
Zrozumiała bluszczu zgięcia,
Gdy po gruzach pnie się—szary—
Lecz wnet serce myśl zagłuszy,
I powstaje w młodéj duszy
Myśl pociechy i ofiary,
Taka tęskna i tak miła,
Jak łagodny wdzięk oblicza,
Jako głowa ta dziewicza,
W ciemnych włosów wonnym cieniu,
Co nieznacznie się schyliła
Ku obliczu i ramieniu.
Te choć silne,—nagle drżały,
Bo w téj piersi rozuzdanéj,
Która w żądze była chora,
Niewinności wonie wiały.
Tak—ciemnawa drzewa kora,
Gdy ją powój rozkochany
W liście, w kwiatów strój obleje,
Zapachnieje, wybieleje.

IV.

— „Panie! dawno piał już kur.
Snadź dzieweńka temu gwoli,
Siwek czeka przy topoli
A kolasę-m cofnął w bór.“
— „Więc Waść żwawo prowadź tam,
A w kolasie odjedź sam!“
— „Co? sam Wyga, Panie Jasny?
Nie pojedziem samotrzeci?
To—piechotą będzie szła?
— „Pilnuj Waszmość skóry własnéj,
Co snadź świerzbi już Waszeci:
Rób co każę, zresztą szał!“
— „Ależ, widzę—nie przelewki
Jasny Panie! Dla téj dziewki
Tyle marnych ceregieli!“
— „Jak Waść słówkiem jeszcze strzeli
I zaprawi słówko jadem;
To, dalipan, płazem skroję,
Aż się Waści przyśnią troje:
Dziad i pradziad z prapradziadem!“
— „Jasny Panie! śmiałbym prosić.
Jedno słówko—toć nie zbytne!“
— „Do stu czartów! rzekłem dosyć!
Bo naprawdę nosa przytnę!“

Wyga żwawo poszedł wprzód,
Tylko cicho coś mamrota;
Pan za cugle konia jął,
Zapiął burkę, wskoczył, spiął,
Sunął strzałą wedle płota;
Ale potém zwolnił chód,
I zawrócił, kędy sad
Zdala w mroku nocnym bladł.
I tak długo w miejscu stał
I wzrok tęskny wodził wdal,
Jakby było jemu żal
Chwil uroczych, jakby chciał
Ciąg utworzyć z wrażeń tych,
Nieprzerwany nigdy czar.
Bo na ustach siadł mu śmiech,
Ten ułudny, luby dar,
Którym szczęście uczcić chce
Tych, co mogą wierzyć w nie.

Bo choć biada długo dręczy,
Losu tęcza niech zaświta:

Niebo śmielszéj nie ma tęczy,
Jak jéj wstęga różnolita.
W chmurnéj duszy, gdy połyska
Jéj barwisty łuk wspaniały:
W świetle jego i zwaliska
Dumniéj będą wyglądały.
A promienne światła skronie,
Patrząc w serce, co tęskniło,
Gdy rozjaśnią to ustronie,
Gdzie najciemniéj przedtém było;
Wtedy głos nieblański dzwoni
Ponad tęsknq, dawną ciszą,
Puchy światła, dźwięki woni,
Ciągły urok w niém kołyszą.
Śród tęczowych, kształtnych zgięci,
Szczęście wszystkie barwy zmieści,
Tam wielkości szkarłat nęci,
Tam różowa miłość pieści.

Gdy więc dusza zwolna zmierzcha,
Szczęsny, co swą barwę chwyta!
Bo ta tęcza różnolita
Lśni cudownie, ale pierzcha!
W sercu jednak, śród cierpienia
Gdy zabłyśnie, gdy zadźwięknie:
Jakże duszę rozpromienia,
Jakże postać barwi pięknie!

Tęczo szczęścia! Czemuż, czemu
Dla jednego świetniąc jasno,
Wszystkie barwy twoje gasną
I zostawiasz cień drugiemu?
Dla nas, ziemskich sióstr i braci,
Takiż wyrok głosu twego:
Za twą radość,—ból drugiego,
Za śmiéch—łza drugiego spłaci?

Patrzcie! Jezdziec urodziwy,
Taki dumny, tak szczęśliwy,
Cwałem pędzi w nocnéj ciszy.
Jak mgła lekki, rumak chyży,
Ledwo słychać że zadyszy;
Coraz prędzéj, coraz bliżéj,
Coraz bliżéj, coraz ciszéj,
Bieli, pędzi w nocnéj ciszy.

Strzałą przemknął rów głęboki
I bagniska grzązki pasek;

Choć zpod kopyt kłębi piasek,
Głuchną w piasku rączc kroki.
Już, już widać, czernią śliwy,
Grusze czernią w blizkim sadzie;
Lecz u jeźdzca myśli w zwadzie,
Jeszcze nie wie niecierpliwy:
Czy zawrócić, czy mknąć dalćj.
Coś go ciągnie, coś go nęci,
Oko błyszczy, oko pali,
Serce tęskni, serce smęci.

Uniesienie niedość wniosło
Snadź ochłody,—więcej łaknie;
Szczęściu zawsze-ż skrzydeł braknie,
By do nieba wprost uniosło?

Chwilkę jezdziec dumy roił,
Koń ni parska, ani liga,
Zda się jeźdzca myśl rozdwoił,
Niecierpliwość w krwi mu bije:
Tylko nogą grzebnie częściéj,
W łuk wygina kształtną szyję.

Nagle cały wyciągnięty,
Jak na Wiśle żagiel wzdęty,
Z wichru świstem naprzód ściga.
Tylko szabla krzywa chrzęści,
Tylko żupan biały miga.

Na nim jezdziec wraz się widzi
Jakiś śmielszy, jakiś większy.
O! bo szczęście wszystko piększy,
Tylko blada wszystko hydzi.

Już zabielał dworek w cieniu,
Zwalnia kroku rumakowi;
Myśli, pieści się w marzeniu,
Jak ją ujrzy, co jéj powié?

V.

A tam w sadzie, gdzie w uboczu
Gęstsze cienie drzewa kładą,
Chodził młodzian z twarzą bladą,
Jasnych włosów, ciemnych oczu.
A te oczy—błyskawice,
Oświetlały blade lice.

Nad młodzieńczą jego wargą
Jeszcze wąs nie błądził śmiały,
A już oczy jakąś skargą,
Skargą bólu spoglądały.

Snadź nietylko myśl, marzenie
Potrząsało umysł młody,
Mary nie ćmią ócz pogody,
Myśl da czołu natężenie:

Widać serce w nim już grało.
I zranione zabolało,
A zbolałe z tego wzroku,
Jak skaliste duo z potoku
Czasem smutno spoglądało.

Pięknie! gdy na młodém czole
Wianek ułud lśni ogniście!
Choć w nim róża i zakole,
Lecz lśni lilia promieniście.

Smutno! kiedy kwiaty zbladną,
Kiedy z wieńca wraz opadną,
Na samotne spojrzéć liście!

Młoda krew drży w skroni twojej,
W życiu tobie, jakby we śnie;
To-ć liść żaden nie przystoi,
I w wawrzynie ci zawczośnie!

Któż ten młodzian, dziecko prawie,
Który cierpi już na jawie?
Co go dola już zaznała
Z fałszem życia, z czczym pozorem,
Co ułudy gwiazda biała
Już mu pierzchła meteorem?

Z wiatrem igra mu włos płowy,
Szybkim krokiem wkoło zmierza;
Byłto krewniak cześnikowy,
A miał imię Kazimierza.

Żył mu rodzic, miał i braci,
Szlachta rzkomo niebogaci;
Lecz bogate gniazdo stare
W dobrą sławę, dobrą wiarę.

Cześnik z ojcem towarzysze
I na radzie i we zbroi,
Jeszcze z Sasem szli na ostre.

A gdy w wojnie krwią się pisze,
W ogniu wroga przyjaźń spoi:
To dozgonną masz z niéj siostrę,
Z którą-ć tylko śmierć rozdwoi.

Ich też domu koligatka,
Cześnikowi rękę dała;
Lecz Heleny gładkiéj matka,
Na tym świecie rankiem trwała.

Miło, kiedy choć dziewczyna
Cieszy ojcu smutek wdowi;
Lecz bez syna jak bez wina,
Źle staremu wojakowi.

Boć to męzki umysł wszelki
W chłopca chęci rad się wciela;
Trudniéj z córką mu niebogą....
Ni przyuczyć do szabelki,
Ni do konia włożyć kogo!

Więc też cześnik chorążego,
Co mu synów Bóg dał dosyć,
Jął w przyjaźni imię prosić,
By powierzył mu jednego.

Chorążemu los nie skąpił,
I chudoba mu dostatnia;
Lecz do serca prośba bratnia
Głosem żalu silnie zmierza...
Więc mu oddał Kazimierza,
Aby ojca dla-ń zastąpił.

Cześnik wielce umiłował
Dorodnego wychowańca.
Chłopiec, wierę, się wychował
Do różańca i do tańca.

Oczy—w bystry strumień płyną;
Jakby topól smukły, giętki:
Umysł żywy, namysł prędki,
Z koniem, z szablą.... dawaj ino!

Teraz... ledwo z szkolnéj ławy
Wyjrzał na ten świat ciekawy,
Pono niedość dla téj głowy,
Nim chorągwi strój przywdzieje,
Koń a rola, kord a łowy.

Umysł młody i hartowny
Lubił zmarłych ludów dzieje:
Znał Cezara komentarze,
I Plutarcha głos wymowny.
Miał przytomne przodków twarze,
I wiadome mu koleje
Ziemi własnéj.

Serce miększe było może,
Bo gdy ludu słyszał pienie,
Hymn pokory: „Święty Boże!"
To wilgotne krył spojrzenie.

Cześnik pisał rodzicowi:

—„Gdy kto konia nie znarowi,
Rzadko schybi w jakim względzie:
Miał być rzecznik, wojak będzie.
Gracz do korda, mur na hestrze,
Lepiéj w zbroi, niż w pelestrze!"

A niejeden raz bywało:
Słonko już się nachylało
Na jeziorze złocąc trzcinę.
Siadła córka przy kądzieli,
Cześnik w duszy się weseli.
I spojrzeniem jakby matki,
To spogląda na dziewczynę,
To spogląda na Kaźmierza.
Wtém zawoła: „A wieczerza
Waszmość Panno? Do dom, dziatki!"

Zadrżał Kaźmierz po tém słowie,
Gdzie ich cześnik razem łączył;
Jakiś żar mu płonął w głowie,
W sercu nieba zdrój się sączył.

Kiedy dziećmi się bawili,
Śpiewka szczęścia brzmiała miléj;
Lecz młodzieńcem odkąd wrócił,
Wraz i śpiewkę swą zasmucił.
Bo piękniejszą od niéj dziewkę,
I cudniejszą jemu śpiewkę
Czarne oczy zanuciły.
I anielski wdzięk uśmiechu,
I woniący kwiat oddechu
Młode serce rozogniły.

A dziewońka?—Jak dziewońka,
Co nie pomni pieszczot matki.

Jéj uczuciem: Bóg, piosenka;
Jéj pieszczotą: niebo, kwiatki.

Kocha ojca, kocha brata,
Bo tém zwała go imieniem;
I motylem myśl jéj lata,
Dźwięku echem, kwiatu cieniem.

On ognisty, lecz nieśmiały,
Próżno pragnień mary gonią;
On się poi lilii białej
Tylko blaskiem, tylko wonią.

Zda się, bystry wzrok cześnika
Wychowańca myśl przenika.
Gdy na córkę patrzy swoję,
Wraz mu w oczy spojrzy żywiéj:
A ci młodzi tak szczęśliwi,
Tacy piękni są oboje!

Cześnik obok młodéj pary,
Szczęścia napój szczodrze pije;
Bo przy młodych, wojak stary
W młodym wdzięku ich odżyje.
Myślom dwojga tak radosna
W zdrojach oczu jasność wtórzy,
Bo nie wiedzą, że i wiosna
Nie uchroni się od burzy.

Masz uczucia w sercu promień
A lat życia dziewiętnaście;
To skocz nieraz lepiéj w płomień,
Niźli miłuj się w niewiaście.
Choć jéj dusza, jak łza, czysta,
Choć jak ponik, przezroczysta:
W słońca wschodzie on szeleści,
Wabnie pląsa w światła ślady,
Lecz tak marzy, gdy go pieści
W ciszy nocy księżyc blady.

I nie wiedział młodzieniaszek,
Jak Helenę umiłował;
Aż szczęśliwszy drugi gaszek
Pod jéj okno przywędrował.

Jak? zkąd poznał tę dziewicę?
Kto jéj tyle dał śmiałości?—
Otóż szczęścia tajemnice,
Które stwarza dla miłości.

Już rozmowy ich niejednéj
Z szablą w dłoni Kaźmiérz słucha;
I szaleje umysł biedny,
I rozpaczy mara głucha
Szarpie serce, hukiem gromu
Jęk dotkliwych razów głuszy.
Blada, blada młodéj duszy,
Gdy już może zajrzyć komu!

By dać poznać jéj męczarnie,
Na to chłopiec był zadumny:
Lepiéj żywcem wleźć do trumny!
Przed cześnikiem wydać marnie,
To już zemścić się opacznie.
A nuż gaszek dziewczę zgubi,
Nuż ją porwie nim zaślubi....
Blada, blada, gdy nieznacznie
Z twarzy znika śmiéch weselny,
Kiedy zemsty wróg piekielny
Z młodém sercem wojnę zaczuie!

Chodzi, błądzi w nocy cieniu:
Ogień z smutkiem tli w spojrzeniu,
A zgryzota tkwi na czole.
I zalśniało mu oczyma.
Że przysięgi swéj dotrzyma,
Gdy chce mówić: „Nie pozwolę
Na zhańbienie téj dzieweńki,
Póki starczy mojéj ręki,
Co wypełni serca wolę."—
Z boku szabla mu zabrzękła,
Ale w oku coraz smętniéj:
Czy łza cicha w rzęsy wsiękła?

A wtém nagle coś zatętni...
Schyla gałąź, co mu wadzi:
Ktoś na siwym koniu sadzi.
Czarna burka, żupan biały,
Z szabli iskry połyskały.

Wraz pierzchł smutek chłopcu z czoła.
Jak do lotu orzeł młody
Śmiało spojrzał i zawoła:

— „Jak na syna wojewody,
Ponoć gach ten zazbyt tkliwy:
Dwakroć nocą mierzyć błonia,
Dwakroć pragnie być szczęśliwy!
Piérw naprawę, szczęście potém!"
Jednym susem był za płotem,
I za cugle schwycił konia.

VI.

— „Hola, hola! Gdzie i poco
Koło sadu późną nocą?“

— „No, no, z drogi zejdź mi Waść,
Bo do rowu możesz wpaść!“

— „Hola, mości paliwodo!
Ni pogróżki mnie ubodą
Ani żarty samochwalcze.
Ja szkodnika łatwo zwalczę,
Co to z sadu, w ciemnéj nocy,
Darmo dostać chce owocy.“

— „No, no,—młody zuchu, dość!
Bo i mnie téż porwie złość!“

— „A mnie, myślisz, ujmiesz zgodą?
Mów, kto jesteś, paliwodo?“

— „Wara! milczéć, chłopcze ty,
Do stu czartów, bom już zły,
Bo ci godło nazwy méj
Szablą wpiszę w głowie twéj!“

— „No, no, nieszurz Waszeć się:
Marne słowa mnie nie zmogą.
Lecz chcesz w szable? Daléj w nie!
Ale nie tu, bo tu kogo
Zbudzić możem. Tam w pobliżu
Stary cmentarz przy tym krzyżu:
Tam zmierzymy szabli moc,
Droga widna, jasna noc!“

— „Zgoda! Ależ pono to
Kawał drogi?“

— „No więc co?“

— „Więc Waść piechty będziesz iść,
A ja wszakże konia mam.“

— „W samą porę zdążę tam.“

— „Lecz ja z konia muszę zleźć.
Gdy się z Wami będę bił,
Na szlachetną szabli broń;
Chcę być równych z wami sił.
Młodszyś Waszmość, siądź na koń!“

— „Nie szafujcie zbyt szczodrotą
Czczéj dworskości;—doléźć mogę.“

Lecz Pan wielki w dalszą drogę,
Z Kazimierzem szedł piechotą.

I na tręzli siwka trzymał,
A koń parskał, koń się zżymał
I niechętnie lazł za panem.

Zaczął tęsknić zwiastun brzasku
Światłem wątłém, przerywaném;
Zapaśnicy brnęli w piasku,
Jak widziadła dwa milczące.

A wkoło nich pola nasze
Trawą ciemno zieleniące;
Piękne, gdy je bór opasze
W niebieskawych sosen strachy.
Bo i suche nasze piachy
Wdzięcznie żółty pas unižą,
Gdy obejmą Narew chyżą,
Gdy im płynie u wybrzeży
Bug, lub szara Wisła bieży.

Lecz są takie ziemi szmaty,
Kędy wcale nieradośnie;
Gdzie dziewanny mdławe kwiaty
I jałowiec ciemny rośnie;
Albo z trawy suchéj, płowéj,
Wyjrzy głóg i krzak cierniowy.

Pośród takiéj szmaty lichéj,
Osypany wałem z ziemi,
Smęci wiejski cmentarz cichy
Mogiłami zielonemi.

Czy wędrowca lekka stopa,
Śród tych mogił gdy zagości,
Pojmie ilu plemion chłopa
W matce ziemi leży kości?
Czy ich żywot opłakany
Biedny cmentarz ten wypowié?
Nawet wielki krzyż drewniany,
Co spogląda na pustkowie?

Patrz, pod chwastem i pod trawą,
Gdzie mogiłka dla dzieciny,
Nieśmiertelnik żółci łzawo—
I stroskana dłoń niewiasty
Zasadziła krzak wierzbiny.
Daléj...same zioła, chwasty:
Tam łopianu liść dziwaczny,
Tu kolczate ostu ziele,
Tam pokrzywa wieńce ściele; —

To po śmierci! A nieznaczny
Pęd ich życia, cierń ów czarny,
Głóg lub suchy chwast cmentarny.

— „Ot tu miejsce!"—Kaźmiérz rzecze.
„Wiążcie konia, bo uciecze!"

Pan mu na to:—„Jedno słowo:
Gdy nałoży kto z nas głową,
Pomnij Waszeć:—twe wyrazy
Dały pochop do obrazy."

Kaźmierz żwawo:—„Przecz gadacie?
Pora w szable, panie bracie!"

Kord uchwycił i zdaleka
Wprzód w powietrzu go sprobował;
Zgiął o ziemię, wyprostował,
I już gotów, już go czeka.

Panu ogień błysł w źrenicy,
Zrzucił burkę, kręci wąsa,
I demeszka w dłoni pląsa;
Już się zwarli zapaśnicy.

A obadwa siebie godni:
Miny śmiałe, nie junacze;
Wzrostem, twarzą tak dorodni,
Nie partacze to, a gracze!

Raz po razie brzęczy, dźwięczy:
To przy głowie, to nad głową.
Raz po razie dźwięczy, brzęczy,
Lecz nie młyńcem, ni krzyżową,
W oczach obu, w ręku obu
Więcéj sztuki i sposobu.
W ich żylastéj wprawnéj dłoni,
Szabla w szablę głośniéj dzwoni.

Już niejedna krwią rumiana
Krésa; krésa—to nie rana!
A splątane dwa oręże
Skoro ujmą się ostrzami;
Jak dwie żmije, jak dwa węże
Sieką, błyszczą zygzakami.

Raz pan więcéj ma zapału,
Cofa wroga do cmentarza;
Znów, jak się to graczom zdarza,
Ów nastaje nań pomału.

Jeden, drugi się nie zmęczy;
Snadź nie krésy im na celu.
Raz po razie brzęczy, dźwięczy,
Lecz wtém użył pan fortelu.

Bo gdy wschodu promień żywszy
Nagłym blaskiem spadł na ziemię:
Pan był w cieniu, więc zmieniwszy
Boczne cięcie, krol w ciemię.

Pomieszany tą zaczepką,
Kaźmiérz odparł zazbyt krzepko,
Bo niebacznie się odsłonił:
Krew trysnęła mu na czoło.

A Pan wielki się ukłonił,
Spuścił szablę; lecz wesoło
Rzecze Kaźmiérz: „Choć krew cieknie,
Toć się rana potém zlepi;
A już skończyć—to niepięknie:
Na drugi raz tnijcie lepiéj,
Więc do korda!"

Znów oręże
Skoro ujmą się ostrzami,
Jak dwie żmije, jak dwa węże
Sieką, błyszczą gzygzakami.

W chłopca oku nie ten zapał,
Co za krwi i bólu nieco
Dziko wrogaby rozdrapał.
Szlachetniejsze iskry świecą,
Bo nzacni oko męztwa,
I upartą chęć zwycięztwa.

Coraz bliżéj się stykali,
Raźniéj wpada stal do stali.
Pan się cofa, Kaźmiérz woła,
Mierząc z boku cięciem chyżém:
— „No, Waść teraz ustrzeż czoła!"

Strąca szablę jemu krzyżem,
Utnie skośnie—żupan biały
Krwawe krople obryzgały.
Biała czapka z głowy spadła,
Mgła na chwilę w oczy siadła,
Całe ciało przeszły dreszcze.
Myślał Kaźmiérz, że nie żarty,
Lecz szlachecki łeb uparty.

Pan gdy otarł krew ciekącą,
Nagle spytał nawpół drwiąco:
— „No cóż? będziem grali jeszcze?“

— „Choć mi w głowie wre jak w piekle,
Wasza rana więcéj warta.“
Rzecze Kaźmiérz.

— „Lecz u czarta!
O co rąblem się tak wściekle?“
Pan zapyta,—„bo nie wierzę,
Wy obrazę inną macie:
Mówmy szczerze!“

— „A więc szczerze!
Znam Was dobrze, panie bracie!
Wy pan, dziedzic wojewody,
Ja szlachcica syn z zagrody
I w cześnika goszczę domu,
Bom mu krewniak. Lecz tu wolę
Krew mą przelać, ale sromu
W zacnem gnieździe nie dozwolę.

Cześnik nie wié, że panienka
Szepce z Wami u okienka;
Żeście dla czczéj krotochwili,
Czy dla wdzięków jéj powabnych,
Już biédaczkę usidlili
W siatkę waszych słów jedwabnych.

Kiedy słaby zmysł niewieści,
Ja pilnuję domu cześci.
Boć nie pora to, ni sposób,
U szlacheckich, zacnych osób,
Gdy szanowna cnota dziewki,
Nocą smalić do-ń cholewki.
W domu ojca kto nie gości,
Nie śle swata,—zdrada blizka!
Cześnik nie Wasz podstarości,
Ni Helena Wam zbyt nizka.

Podsłuchałem, mówię śmiele,
Waszych rozmów; a to wiele
Szeptać z Wami w porze nocnéj;
Jéj nie chciałem wstydzić biednéj,
Ale z gachem dość-em mocny
Bój rozpocząć—choć sam jedny!

Więc stan równy czy nierówny,
Wręcz zapytam: panie bracie!

Jaki afekt w sercu macie
Dla Heleny cześnikównéj,
Dla przezacnéj mojéj krewnéj?"

Głos na ustach mu zamiera,
O cmentarny mur się wspiera,
Oko błyszczy, lecz twarz blada;
A pan nagle doń przypada,
Chwyta za dłoń, głos brzmi rzewny:

— „Panie bracie! żeś mi w czaszkę
Szablą płatnął i naznaczył,
Żeś mnie zelżył, jam wybaczył:
Lecz za marną brać igraszkę
Afekt dla téj gładkiéj pani,
To obraza,—bo to dla niéj!
Waszmość może nadto młody,
I nie pojmiesz w swoim gniewie,
Jak pokorne przy téj dziewie
Serce syna wojewody?
Przede szlachtą, pokryjomu
Cześnik dla mnie był oszczerca;
Zelżył zacność mego domu:
Jam obrazę wziął do serca.
Bo bezkarnych ze mną żartów
Być nie może, do stu czartów!
Lecz anioła gdym zobaczył,
Jam zapomniał i wybaczył.
O! w gorącéj kąpan wodzie
Pan brat cześnik na zagrodzie.
A nuż, gdyby memu swatu,
Jak rzekł, dał harbuza z batu;
To powolność moja cała
Już na wieki rozburzona,
Choć afektem serce pała,
Co ja poczną, a co ona?
Więc..."

Lecz Kazimierz mu przerywa.
Mowa jego prędka, żywa,
Z rozburzonéj płynie piersi:

— „Gdyśmy szczerzy, bądźmy szczersi!
Chociaż dziwnie się poznałem
Z tak mościwym panem bratem;
Duszą całą, sercem całém,
Chcecie, ja wam będę swatem.
Gdy ja stanę przed cześnikiem,
Nie ofuknie mnie on krzykiem."

I do pana wraz podchodzi,
I w prawicy jnż prawica;
Bliżéj patrzą sobie młodzi
W dziarskie, chociaż zbladłe lica.

I ciekawie spoglądali,
Jakby oceniali siebie.
Obaż wiedzą, że na niebie
Jednę gwiazdę ukochali?

Oczy obu po raz piérwszy
Czuléj z sobą się poznały;
Wzrok jednego coraz szczerszy,.
Tamten smutny, ale śmiały.

Bo choć ulżyć serca męce,
Próżno Kaźmiérz chce swobodą;
Lecz, gdy szczerze ręka w ręce,
Oczy szczerszą spojrzą zgodą.

— „Zgoda, zgoda, panie bracie!
Macie ufność moję, macie!"

— „Gdyśmy zgodą zakończyli,
Im bój krwawszy, tém z nią miléj!"

— „A więc zgoda, zgoda szczera!
Ale rany djable pieką,
I czas pono do felczera;
Ou tu u mnie niedaleko:
Siądź Waść na koń!"

— „Wam trza sporzéj!"

— „Siądźmyż razem, gdyśmy chorzy!
Mniéj będziemy ciężyć ciałem,
Krwi mniéj mamy, więc na konia!"

Wsiedli oba i hop cwałem
Przez zarośla łąki, błonia.
Siwek parskał rozjuszony,
Jak wiatr pędził przez zagony.

VII.

W alkierzyku pachną kwiatki,
Cicho, miło. Pośród cieni
Tylko lampka się promieni
Przed obliczem Boga Matki.

Smukłe dziewczę krasnéj twarzy,
Zlekka wsparte na klęczniku,

To się modli, to znów marzy,
W wonnym, cichym alkierzyku.
Niezasłane w głębi łóżko
Lśni tak świeżo, lśni tak biało.

— Biédneż, biédne me serduszko!
Co się teraz z tobą stało!
Ciągle-ć smutek ćmi ponury,
W oku łzy gorące świécą:
Święta Panno z Jasnéj-Góry
Módl się za twą służebnicą.

Ojciec nie wié, Kaźmiérz nie wié,
Gdy im wyznam, już się trwożę;
Oszczędź, oszczędź w swoim gniewie
Mnie sierotę, wielki Boże!
Choć on prosi, choć on błaga,
Nie opuszczę ja rodzica;
Nad me siły ta odwaga:
Biédna, biédna ja dziewica!"

Łzy ociéra białą dłonią,
Młode serce silnie bije,
Wkoło cisza, wkoło wonią
Lilie, róże, konwalie.

VIII.

Słońce, jakby oko łzawe
Tlące szklisto w licu chorém,
Tonie w chmurach. Przede dworem
Cześnik smutno siadł na ławę,
Utęsknionem okiem śledzi
Po gościńca żółtym pasie.
A Helena przy nim siedzi,
Tém złudniejsza w młodéj krasie,
Że tchnie dziecka szczerość z lica,
A już w oku tajemnica.

Cześnik ostro wąsa kręci,
I poprawia wciąż kontusza;
Snadź mu jedna myśl w pamięci,
Więc się jedną trapi dusza.

Przecz niepokój i tęsknica,
Ćmi sędziwość cnego lica;
Jego szramom czy nie lepiéj,
Gdy je męzki spokój krzepi?
Lecz gdzie męztwo w licu żyje,

Gdzie te dziarskie wąsy siwe,
Pono w piersi zawsze bije
Serce mężne, ale tkliwe.

— „Spójrz sam, dziewczę!"—starzec woła—
„Aśćki oczy bystro płoną.
Spójrz tam smugiem od wądoła:
Toćto jeździec jakiś pono.
Chłopiec, panie, dni już kilka
Wpadł jak kamień do jeziora;
Na niedźwiedzia, dzika, wilka,
Toć, u licha, to nie pora!
Do rodzica-ż mu tęskniło?
Wyrzec słówko—toć był w stanie!
Czy mu u nas się przykrzyło
Nie kochamyż go, mospanie?
W pierwszém pierzu ledwo ptaszę,
Z gniazda lecieć wraz gotowe;
Ale czekaj ino, Wasze!
Kiedy wrócisz, zmyję głowę!"

Nagle starzec ku dziewczynie
Wzrok i słowa bliżéj zwróci:

— „Boćże przecie on nie zginie,
Boćże przecie do nas wróci;
Wtedy ostro, pani siostro!
I nie bacząc na łzy czyje,
Jakem poczciw, głowę zmyję!
Ale Aśćka jakoś płonie.
Cha, cha, widzę koło młyna
Coś tumani; widzę... konie...
Widzisz dziewczę?"

Lecz dziewczyna
Wpół rumiana i wpół blada,
Ledwo piersią oddech chwyta,
Ledwo z trwogi nie upada;
Ale milczy,—bo kobieta!

Jak te kwiaty, co w dnia blasku
W szat swych kryją się osłonę,
Lecz gdy pieści zwiastun brzasku,
Przez rozwarte ich kielichy
Dojrzysz barwną ich koronę;
Tak w mgle czystych marzeń tleje
Pierwszy serca płomień cichy,
Niech go żal, niech łzy podsycą,

Próżno tłumisz go, dziewico!
On namiętniéj zajaśnieje.
A gdy wionął wiatr bojaźni,
Serce zadrży ci w pośpiechu,
Cichy płomień lśni wyraźniéj
Łzą w pozornym twym uśmiechu,
Bólem w dźwięcznéj głosu nucie.
Ale w duszę twą dziewiczą,
Perłę rosy tajemniczą
Gdy wlał czucia świt—przeczucie;
To ci blaski jego spłyną,
Szepcąc: nie bój się dziewczyno!
W niepokoju szczęście marzy
A radością smutek darzy.

Widać, widać, jak od krzyża
Trzech się jeźdźców kłusem zbliża;
Dwaj zostali, jeden wprzody
Zwróci konia kole wody
I tnie łąką w stronę gumna.

Ależ nieco od kłopotu
Pono spadnie mina dumna.
Stanął, kędy wał zielony
Gęstą siatką żywopłotu.
Wróć się jeźdźcze! Nie z téj strony
Do cześnika trafisz drogą!
Lecz u jeźdźca dziarska mina;
Nagle w kabłąk się przegina,
Ulży trenzli, spiął ostrogą,
Kilka kroków puści cwałem,
Już przy wale....klasnął, cmoknął,
I...hop! stanął poza wałem.

— „Niech go kaci! jakże skoknął",
Nagle zabrzmiał głos wojaka,
„Bywaj, bywaj Kazimierzu!"

A pan Kaźmierz zawadyaka,
Gdy mu szpaczek dęba smali,
Jakby, panie, na talérzu,
Na dwóch nogach zwraca szpaka—
I w wolniejszym, równym biegu,
Gładko, pięknie czesze daléj.

— „A witajże, mości zbiegu!
Marnotrawny panie synu!
Lecz zkąd na nim? Niech go kaci!
Tak się błyszczy, tak szkarłaci?"

Patrzy cześnik i dziewczyna:
Na czapeczce z karmazynu
Płynie obok białéj kity
Żupan biały, a pas lity
Granatowy kontusz spina.
Szabla lśniącą spada tęczą
Na amarant od czapraka.
A na koniu rzęd złocisty,
Kółka, sprzączki—świecą, brzęczą,
A koń, klejnot wody czystéj,
A u jeźdźca mina jaka!

Cześnik wąsów srożyć ima,
Lecz gdy jeździec z konia skoczy,
Radość błysła nad oczyma
I łzą cichą zaszły oczy.

— „A zkądżeto wróciliście
Tak szkarłatnie i siarczyście?"

Kaźmiérz ściska za kolana,
I przeprasza stryja pana.
Potém blade swoje lica
Ku Helenie gładkiéj skłoni
Smutno, tęskno..... Drży dziewica,
Czuje, jak się nagle płoni
Nie jutrzenką tą zaranią,
Co raj serca na twarz złoży,
Lecz rumieńcem tym zmieszania,
Co twarz pali, serce trwoży.

Kaźmiérz zacznie: „Stryju panie!
Czasem dziwnie przygoda
W przekór ludzkiéj woli stanie
I przygody inne doda.

Ot pędziłem był za kotem—
Pal do niego!—już farbował;
Pal raz jeszcze! gdym spudłował,
Gdzieś mi zniknął. Wtém nad błotem
Stado kaczek wpada w oko:
Nuż za niemi na bagnisko!
Nie wiedziałem, że tam ślisko
I zdradliwie i głęboko.

Więc wbród; nogą w dno uderzę,
Niby twardo..., stępel wbiję,...
Jak na dłoni kaczki.... zmierzę,
Wtém ugrzązłem aż po szyję.

Choć nie tracę animuszu,
Lecz mnie błoto djablo ziębi,
Nogi grzęzną coraz głębiej,
Woda bębni koło uszu.

Próżno ziół się mokrych czepię,
Głos oddźwięknie, to się zgłuszy;
A wokoło, jak na stepie,
Ani śladu żywéj duszy!"

— „Gdzieżeś Waść tak wpadł do nory?
Toć nie w boru!"

— „O nie zblizka!
Jam się het zapędził w bory
Kędy same już bagniska.
Więc... już źle z méj duszy władzą,
Lecz coś przerwie nagle ciszę:
Zabrzmi rogu odgłos żywy
I gałęzi łoskot słyszę.
Pędzi łania, za nią sadzą
Tuż ogary i myśliwy.
Nuż doń wołać: ratuj bracie,
Ratuj!—Nie wiem co się stało.
Sen, noc, w głowie mi szumiało,
I bujałem jak na morzu.
Wtém zbudziłem się w komnacie,
Na kominie węgle tlały
I ktoś siedział przy mém łożu.
Patrzę: smukłéj był urody,
Czapka biała, żupan biały..
Toć mnie pamięć nie omija,
Toćże to syn wojewody,
Pan stu włości, sąsiad stryja."

— „Co u licha? Waściu zbawca
Ow buńczuczny marnotrawca?"

— „Gdy mu niosę dank wdzięczności,
Mówiąc z rana o podróży,
On mi na to: „Kto tu gości,
Panie bracie, gości dłużéj.
Nie dziękujcie, jam dłużnikiem,
To Bóg zrządził, żeście cali.
Toćże rodzic mój z cześnikiem
Pod namiotem jednym spali.
Więc, mospanie, jam nie chłystek,
I zanadtom cześnikowi
Mój szacunek oddał wszystek,

Bym go nie dał krewniakowi.
A gdy Waszmość niecierpliwy,
Gwałtem do dom ciągnie chętka,
U mnie, panie, rada prędka:
Ja nie puszczę, jak Bóg żywy!
Darmo drogi szukać śladu!"

Więc na łowach i w rozmowach
Człek się dla mnie odkrył cały,
I tak jakoś gadu, gadu,
Serca nam się pobratały."

A wtém cześnik:... „O! do kaszy
Zuchto panie! a przy czaszy
Serce miewa na języku!"

— „Toż, przezacny mój cześniku,
Jam serdecznie się zasmucił,
Że się stryj na-ń czasem sroży.
On swój wózek z złych bezdroży
Już do lepszéj drogi zwrócił.
Nie ukrzywdził zbyt nikogo,
Bo mu zazbyt była drogą
Ojców pamięć..."

— „Tere fere!
Waści młode serce szczere
Rade w innych stać obronie.
Nie prorokuj Waść zawczasu—
Co ma wisieć—nie utonie,
Wilk powróci znów do lasu.

O! i Aśćka raka spiekła,
Bo i Aśćka takoż rzekła,
Że w kościele pan wielmożny
Tak pokorny i nabożny
I że gładki jest z oblicza.
Co wam, dzieci, do panicza?"

Wtém w Heleny wzrok uderza
Bystre oko Kazimierza,
Myślą w duszy głąb' się nurza
I o prawdę całą pyta.
Ona stoi jakby wryta.
A naprzemian w licu: róża,
Lilia biała, malwa blada,
Znowu róża. Gdy on bada,
Prawdę duszy w oku czyta.
W sercu bólu wrą płomienie,

Ale wiara słowa—świętą!
Zabłysnęło mu spojrzenie,
I spółczuciem i zachętą.

Rzekł:—„Cześniku, możem zbłądził.
Sąd mój młody; lecz, na Boga!
Toćże bacznie jam go sądził.
O! nie sercem, co miłuje,
Ale jak szczerego wroga
Wróg szlachetnyby osądził;
A po sądzie sercem całem
Jak brat brata go miłuję.
Więc wybaczcie, stryju panie!
Ja tu nie sam przyjechałem,
On tam czeka przy polanie:
Odmówicie-ż mu gościny?"

— „Waści we łbie pono świta,
Czy Waść wątpi, kiedy pyta?
Czy jéj komu odmówiono?"

— „Lecz, cześniku, toćże pono
Pierwsze jego odwiedziny."

— „Cóż Waść myślisz, panie młody!
Toć w téj chaty nizkie progi
Wstępowali wojewody
Na kołacza kęs ubogi."

— „Wiem, cześniku mój mościwy!
Lecz racz słuchać prośby innéj:
Wszakże będąc dla-ń gościnny,
Będziesz równie dla-ń prawdziwy.
Kiedy z czcią on pierwszy bieży,
To obrazy, gdy ją macie
Zapomnijcie, jak w komnacie
Siądziem razem do wieczerzy."

— „Co Waść taki świegotliwy?
Jać obrazy osobliwéj
Nie mam, lecz mi krwie téj szkoda.
Rodzic jego, wojewoda,
Kiedy ino był starosta
Już był człowiek co się zowie!
A gdy zacni są ojcowie,
Smutno, że im syn nie sprosta!"

— „Więc na znamię zgody świętéj,
Gdyby z winnym Wam respektem

Wyznał, jakim czczym afektem
On rzetelnie jest przejęty?“

— „Przy polewce się nie zmienię,
Będę słuchał...“

— „W wielkiéj cenie
Jemu dobre wasze słowa,
Bo po Bogu i Helenie,
Wam najwięcéj czci on chowa.“

— „Co, co? niechno Waść powtórzy,
Co trzy po trzy Waść bańdurzy?
Komu afekt, co to znaczy?“

— „Miłościwy cześnik raczy
Bez zbytecznéj alteracyi
Wręcz wysłuchać méj oracyi.
Tak! syn pana wojewody,
Co śród dalszych znana światów
Gloria jego antenatów,
Ponad przeszłych wieków torem,
Dziwnie pańskim lśniąc splendorem,
Swojéj matki cudne lice,
W konterfekcie mając zdobne,
Kiedyś ujrzał był dziewicę,
Kubek w kubek doń podobnę.
A zobaczył ją w kościele,
Bo nabożnych cnót ma wiele.
Odtąd wzrok od konterfektu
Nie mógł podnieść bez afektu,
Serce mając wskróś przeszyte,
Strzałą syna Afrodite.
Poprzysięga, tylko onę
Gładką pannę wziąć za żonę.

Cnych płomieni jego gwiazda
Z przezacnego idzie gniazda,
I nadobne stworzą sploty
Połączone dwa klejnoty.
Tam—krzyż bieli na purpurze,
Tu—dwie kopie lśnią w lazurze;
A więc o to sprawa chodzi:
Wojewodzic, pan stu włości,
A szczególny mój dobrodziéj,
Pewny waszéj gościunności.
Mówiąc: z tego konterfektu
Cześnikówna jakby zdjęta.
Czy ubliży Wam respektu?
Czy ujrzawszy konkurenta,

Cny cześniku, pośród gości
W smak on wpadnie Jegomości?
Czy, gdy powié, że przymioty
Téj dziewoi już go mogą
Same wieść po drodze cnoty,
Gdyby szedł był inną drogą.
Taki afekt ku niewieście,
Wy do serca swego weźcie!

Mnieć przysyła—chorążyca,
A krewnego Wam szlachcica,
Bym cześniku mój mościwy,
Waszéj myśli prawdę zgłębił,
Przez trafunek osobliwy
Dlań u stryja dziewosłębił.
I ułożył z panem bratem,
Czy mnie godnym uzna swatem?
Dixi."

— „Waść bizunów warty,
By powtarzać czyjeś żarty!
Wilk chce w lisa się farbować,
I tu ze mną śmié kuglować.
Śle mi w Waści popleczuika,
Pyta niby gościnności.
Drzwi się pod nos nie zamyka;
Bo gość w domu z Bogiem gości.
Lecz wiédz, pański podkomorzy,
Cześnik drzwi dziś nie otworzy.
Precz z panami! Ja napaści
W odwiedzinach nie chcę razem;
Płocha, marna młodość Waści
Winna, że ci ujdzie płazem.
O! chcą rozum mieć kurczęta,
Służą komuś za igraszki.
Wstydź się Wasze!"

— „To nie fraszki,
To nie kłamstwo, prawda święta!"
Nagle Kaźmierz śmielej woła.

Zrzuci czapkę a od czoła,
Sina szrama w włosach ginie.
Myśl cześnika gniewem zdjęta,
Więc nie widzi; lecz dziewczynie
Jakby serce się rozdarło.
I troskliwe siostry słowo
Drżące usta już otwarło,
Już ku niemu podbiedz pragnie.

Lecz mrok jakiś ponad głową
Smukłą lilię zaćmi, nagnie;
Jakby obłęd patrzy okiem,
Nagle krzyknie i omdlewa.
Jak ów anioł, co to mrokiem
Na mogiły dziewic spływa,
Kaźmierz ze łzą do-ń się rzuci,
Lecz służebna już ją cuci.
Łzą mu w oku się zakręci
Serca siostry popęd żywy.

— „Patrzaj stryju miłościwy,
Snadź w jéj sercu i w pamięci
On nabożny panicz gości!"
Ale gniewne starca słowa:
— „Toćto podstęp, niecna zmowa,
Myśl rodzica podejść zdradnie.
Waść—co mi tam! Lecz w tkliwości
Swéj ta dziewka niech przepadnie!
Przecz bogdankę moję, Boże!
Wcześnieś zabrał do Twéj chwały,
Przecz me oczy nie dojrzały,
Co wzrok matki dojrzeć może
Za me grzechy snadź, o Panie!
Zsyłasz na mnie ukaranie.
Lecz załacno i zażywo
Ta niewiastka jest kochliwą.
Bez rodzica-to wyboru!
Trza zhartować tkliwą duszę
W rekollekcyach, postach, skrusze—
Do klasztoru! do klasztoru!"

Kaźmierz do nóg mu się ściele:
— „Ojcze, ojcze! to zawiele!
Toć nie było w naszym domu,
Broń że Panie! cienia sromu.
Ot, w kościele się poznali
Raz i drugi—traf, przygoda
Że się zacnie miłowali:
Toć on młody, ona młoda.
Czysty płomień nie wygaśnie,
Gdy w klasztorze ją zamkniecie;
Co Wam winno biédne dziecię?
Na jéj matkę, coś miłował
Stryju!".. Lecz wtém cześnik wrzaśnie:
— „Któżto Waści łeb zrysował?"
— „E, ta szrama, toć kruszyna!
Et, ni żartem, ni prawdziwie...

Niby mała rąbanina...
Lecz i ja-m go ciął uczciwie!"

— „Ciąłeś Waszmość?"

— „Ciąłem tęgo!"

— „A gdzie?"

— „Po łbie!"

— „No, a kogo?"

— „Muszę milczéć pod przysięgą,
A w szlacheckiém słowie srogo,
Nelża złamać!"

W chłopca oczy
Cześnik długo swoje wlepił.
Żal z uczuciem w piersi rośnie:

— „No! że Waści nie oślepił
Cud! bo rąbnął djablo skośnie!"

Lecz wtém starca pierś wezbrana
Z oczu łzą na wąsy pada;
Kaźmierz ściska mu kolana,
I spojrzeniem łzawém bada.
W łzach tych oba się pojęli,
Bo synowiec błagał śmielej:

— „Stryju! bądźcież lepszéj chęci,
Na co marne udręczenie?
Wola Boskiéjto opieki
Snadź przeznacza tak Helenie—
A ta wola niech się święci!"

Starzec zcicha rzekł: „na wieki!"

IX.

Mrokiem—lepiéj ci w spokoju
Cichy dworku modrzewiowy!
W szare chaty z za lip stroju
Patrzysz sobie tak wesoło,
Jakby starzec siwéj głowy
Na skupioną dziatwę wkoło.

Teraz światło w twych okienkach,
Wkoło rejwach, krzątaniny,
Cześnik gdéra jak na mękach,
Boćto, panie, odwiedziny.
Od lamusa do piwnicy,
Od piwnicy do apteczki
I narady i rozmowy,

Szepty, śmiechy, płacze, sprzeczki:
Bo téżto nie lada głowy
Cześnikównej i klucznicy.
Ledwo słychać głos Kaźmierza,
Co za sobą gości wiedzie.
Jużci prawie jest wieczerza,
Niepokaźna to—nieznaczna,
Niezbyteczna, ale smaczna:
Aż oblíźniesz się, sąsiedzie!

Ciche dworki z licem białém!
W modrzewiowe wejdzie ściany
Gość: pan, szlachcic i ubogi,
Zawsze będzie obdzielany
Duszą całą, sercem całém,
Czém wystarczą wasze progi.
A gdy runą wasze ściany,
Nowe dworki zalśnią biało:
Będąż z serca tak gotowe
Przyjąć gościa duszą całą
Jak wy, dworki modrzewiowe?

Już na ganku cześnik czeka,
A pan kłania się zdaleka.
Starzec nieco sfrasowany,
Wiedzie gości w nizkie ściany.
Ale pańskie to fortele
Słówkiem skromnie naprzód strzelić,
W którém gładko coś się powie,
Potém głasnąć, rozweselić;
A gdy radzi już gościowi,
Mówić mało, słuchać wiele.
Cóż gdy serce, co nie radzi,
Szczerze w oku ci zalśniło,
To-ć się wszystko tak ugładzi,
Udobrucha, że aż miło!

Zdawna szczerość w szlachty kole.
Na dębowym, gładkim stole
Węgrzyn złoci im puhary
A rej wodzi cześnik stary.
Poszramiona twarz mu sucha,
A w postaci widać zucha;
Jak dąb stara a żylasta,
Ponad innych głowy wzrasta.
I niedarmo na sejmiku
Wciąż wołają: praw cześniku!

Pan mu siedzi po prawicy,
A zwyczajne ma ubranie:

Żupan biały, lecz w żupanie
Obacz spinkę u petlicy!
Toć za drogie jéj kamienie
Dwa folwarki w równéj cenie.

W jego twarzy męzkie wdzięki,
Rysy ostre, silne szczęki
I policzki wystające;
Ależ czarne oczy lśniące,
Jakież światło w nich się mieni,—
Czucie z smutkiem je zbratało,
Jakby cudnych swych promieni
Oko lubéj mu dodało.

Od Cześnika w lewo głowa,
Domne czoło Kazimierza,
Twarz młodzieńcza i surowa,
Oczu bystry blask uderza
Nie ten, co to igra żywy:
Lecz już ostry, przenikliwy.

Ale czyj przy końcu stoła
Kontusz pyszni się papuzi,
Twarz pulchniutka a wesoła,
I rumiany nos kobuzi?
Choć w puharze nektar złoty,
Wciąż na gąsior okiem miga,
I zarzuca wciąż wyloty,
Muska łysa—pan brat Wyga.

Cześnik prawi: —„At, mospanie!
Dwaj tu młodzi, więc kazanie!
Gdy magnacka krew młokosa,
Niech ostrożnie będzie z nosem,
Boć ten w górę nie pnie nosa,
Co zwycięzca nad swym losem,
Pracą głowy lub krwie swojéj,
Z ojców mianem gloryą spoi.
Jeszczeć, panie, gdy w kontuszu,
To i podnieś w górę uszu!
Lecz pocieszni błazenkowie,
Co to na nich pstre kawałki,
Z boku szpadka, pyza gładka,
Ni to wąsa, ni źdźbła włosa,
A pstry czepiec tkwi na głowie—
I to w górę piąć chce nosa:
A do budy, świszczypałki!
Wasza miłość choć tam hucznie
Żywot pędził a buńczucznie,

Grzmiał i putał, lecz Mospanie
Toćże widzę was w żupanie.
Ot i *dixi!* Lecz sąsiedzie,
Gdy z magnatów ród kto wiedzie
A na myśli mu niewiasta,
Niech się łączy z swoim stanem.
Boć szlachecka żona z panem,
Wlazłszy między matadory,
Toć się trocha tam i szasta!
Miłéj parce czas niespory.
Kędy Jaśnie Oświeceni
Niech się magnat z swoją żeni.
Jeszczeć miło czas przeleci,
Gdy dziatkami Bóg obdarzy;
Lecz, broń Panie, niéma dzieci,
Nuż małżeństwo się poswarzy,
Nuż kłopoty i frasunek.
Djablo licha pogadanka,
Djablo kruchy to rachunek:
Ja pan wielki, ty szlachcianka.
Więc kulawo szczęście chodzi:
Ona służka, on dobrodziéj!...
Choć mi zaszczyt nad zaszczyty,
Że z téj nazwy, co tak droga,
Et in sago et in toga,
Naszéj sprawie pospolitéj,
Czy potomek żąda ręki
Dziewki mojéj—szczére dzięki
Składam; lecz wy magnat sobie,
A ja szlachcic na chudobie.
Chcesz się z biédą spolić ściśléj,
Sprawa, wierę, to nielada!
Niech się jeszcze Waść namyśli,
Otóż, panie, moja rada!"

— „Ja słowami nie szafuję,
Lecz cześniku, ja miłuję.—
Jeszcze-ż pan brat nie dowierza?"

A wtém zabrzmiał głos Kaźmierza:

— „Czy możniejsza szlachta traci
Gdy się z niższą koligaci?
To-ć to, panie, z jedną żoną
Całe plemię zyszcze pono.
Niech zawezwie! Na sejmiku
Tysiąc krzyków w jego krzyku.
Jakby drzewa wiatr po lesie
Dęciem w jednę stronę kłoni.

Na ruch jeden jego dłoni
Tysiąc dłoni się podniesie.
Tylko panek ów przewodny,
Niech za serce sercem płaci,
Niech się stara, by był godny
Cnych afektów panów braci.
Idąc prosto, nie z ukosa,
Niech i zadrze w górę nosa,
Bo-ci szlachta nie jest dziatwą,
Boć nad jednymto powiatem
Nie tak skoro, nie tak łatwo
Być przewodnym panem bratem:
Waszeć słowa to, cześniku."

— „Święta Panno Częstochowska,
Erudycya-ż w tym młodziku,
I dar dziwnéj elokwencyi:
Toć Pales raby piotrkowska
Nie wycięła téj sentencyi."
Wyga szepta niby zcicha,
I wysącza pół kielicha,

Kaźmiérz znowu:—„Niech Waszmoście:
Cześnik i przezacni goście
Mi wybaczą, że choć młody
Głos podniosłem—alem swatem,
Więc już starszym panem bratem.
Stryju panie! w dłoń puhary,
Na co próżne korowody?
Piję zdrowie młodéj pary!"

I choć puhar swój wychylił,
Lecz na słowa się wysilił;
Choć mu ostrzéj lśnią źrenice,
Ale bledsze coraz lice.

Cześnik nieco marsem słuchał,
Lecz się potém udobruchał;
Dotknął czarą pana czary,
„Vivat! szczęście przyszłéj pary!"

Ale któżto tam przez szpary
Wciąż zazléra do komnaty,
Rąbek czyjéj białéj szaty
W mroku bieli się niepewnie?
To Helena w szacie białéj.

Czemu w duszy jéj tak rzewnie
Kazimiérza słowa brzmiały?

Czemu jakiś żal stłumiony
W czarnych oczach łzami spływa;
Toćże tam jéj narzeczony,
Jego pamięć, w sercu żywa!

Ale w głosie Kazimierza
Jakiś rozdźwięk ją uderza;
Jéj żal śmiechu, co się żali,
Bolu, co się w słowach tłumi:
Chociaż inni nie poznali,
Lecz kobieta poznać umie!
I w jéj młodéj wyobraźni
Ta braterska postać znana,
Jakoś jaśniéj i wyraźniéj
Barwą dzięków jéj ubrana.
A twarz blada z szramą siną,
Obok dumnéj twarzy pana,
Choć i tamta porąbana,
Lecz ta młodsza. Ej dziewczyno!
Bujasz myślą, póki pora.
Czekaj! W smutne jutro twoje,
Rajem wspomnień będzie wczora,
Które w lekkich marzeń roje,
Zwijaj, stulaj, póki pora,

Cho! już głośny rum u stoła.

— „Vivat cześnik"—pan zawoła,
„Panie bracie! w ręce czyje?"

— „Jasny Panie toćże w moje"
Hukuie Wyga. „Niechaj żyje!"
Zawołało głosów troje.

— „Kochajmy się, dzieci moje!"

— „Kochajmy się" znów wrzasnęli.

Kaźmierz smutniéj czy weseléj,
Gdy głos przebrzmiał po toaście
Szepnął: „aby nie w niewiaście!"
Biesiadnicy nie słyszeli,
Ale od drzwi toć złudzenie
Jakby ciche szło westchnienie.

— „Cny cześniku, przecie zgoda!
Toć dopiéro teraz żyjem".
I weselszym głosem doda:
„A z trzewika nie wypijem?"

— „Cho! za-rychło coś mospanie!
Niech wam na dziś puhar stanie!"

Więc rad nie rad pan się skłoni
Cześnikowi i dłoń w dłoni
Z Kazimierzem przed nim stawa.

— „Cny cześniku! jeszcze sprawa!
Mości Wygo! niech Waść wyzna,
Zkądeś w łbie swym ubrdał wieście,
Że mnie cześnik zelżył w mieście?
Toć dla Waści nie pierwszyzna
Takie brednie wyssać z palca.
Więc cichaczem na dywanie
Pono skarcić trza zuchwalca."

Wyga kornie:—„Jasny Panie!
Choćby się też i zmyśliło,
Odtąd prawdy robię *votum*;
Lecz gdy gracko się skończyło,
Bonus finis bonum totum.
A wam zacny gospodarzu,
Najświetniejszy luminarzu,
Powiem, żem-ci ja za młodu
Palestrował; lecz zawodu
Nie kończyłem, bo on cały
Między butle a szpargały.

Gdy od drugich mądra głowa,
To od pierwszych djable słowa.
Pierwsze, dobre na gorąco,
Ale drugie pyłem trącą.
Bierz je djabli, lecz w pamięci
Coś się zawsze tam zakręci.

Wiem, prababka wasza z rodu,
To się Prusem znamionuje,
A i mego dziada matka,
Prusem się też piecżętuje.
Toć być musi koligatka.
Bo prababek owych dzieci
Krwią związani—toć już mus,
Boć Prus drugi, czy Prus trzeci,
Zawsze, ci to jednak Prus.
Więc z namysłem się nie chwalę,
Cny cześniku panie! Ale
Mówią: szpaczek Wyga stary.
A więc zdrowie młodej pary!"

— „No Kaźmierzu! napełń czaszę.
Mości Wygo, zdrowie wasze,
Bo wam djablo we łbie czmera."

— „Konfuzya, radość szczera!"

— „Bracia, dzieci, zgoda szczera!"
Cześnik rzewnie już zawoła—

I zabrzmiało dookoła:
„Hej panowie bracia, zgoda!"

A w powolném cześnik słowie:

„Bodaj was też moi młodzi!
Rzecze,—już to nie mnie czasy,
Słońce człeka już zachodzi.
Lecz wam w duszy tyle krasy,
Serce u was tak na wierzchu,
Że mi widniéj w moim zmierzchu.
Obym z stopni mego grobu
Mógł tak zawsze ujrzéć obu!

Przy was zda się, żem znów młody,
Pierś wre ogniem, hufiec świeci.
A my w tańcu i w zawody,
Do stu biesów—całą ławą
Tniemy w lewo, sieczem w prawo!
Bóg wam zapłać moje dzieci!
Już minęły te koleje,
Teraz wasze przyjdą dzieje.

A więc zdrowie Wasze za to!
Twoje chłopcze, mój jedyny!
I Waściue—byś dziewczyny
Nie zlnaczył mi bogato.
Bo jéj rodzic w swéj zagrodzie,
Stary żołnierz na chudobie
Równy panu wojewodzie!
W kaszę dmuchać nie da sobie.
Czy rozumiesz panie zięciu?"

Młodzi do nóg mu się ścielą,
On Kaźmierza ma w objęciu,
A za rękę pana trzyma.
Oczy wszystkich się weselą,
Choć łzy płyną im oczyma.
Nawet Wyga, stare.licho,
W kącie łzę obciera cichą.

X.

Tęsknośc duszę twą sierocą
Wiąże—jakby pasmem czaru;

Czyliś słuchał wtedy nocą
Lasów szumu, borów gwaru?
Widział—jak dąb drzemie stary,
Jak dziwacznie śni wierzbina
I podsłuchał—jak do pary
Z olch szelestem drży osina?
Przy srebrzystym białodrzewie
Jak buk chwieje liść ciemnawy,
A cień liści w strugi zlewie,
Jak marzenia twoje—łzawy.

Choć nie zoczysz śladu ludzi,
Nie samotne twe godziny;
Bo drzemiący gaj się budzi
Na tęsknoty odwiedziny.

W chwili swego snu pieszczoty,
Pod twą stopą kwiaty mdleją,
Choć ich wonie nocne wieją
Jakby tchnieniem twej tęsknoty.

Oko zwilży się niechcący,
Pierś westchnienia darmo tłumi,
Gdy szept gaju szeleszczący
Zda się boleść twą rozumieć.

Lecz gdy blada duszę mroczy,
Gdy do serca rozpacz pnie się,
Wzrok twój mało w gaju zoczy:
Idź w gęściejszym dumać lesie.

Błądź po boru, gdzie z żałobą
Cień konarów zwiesi jodła;
Gdzie iglastą sieć rozwiodła
Smukła sosna ponad tobą.

Drzej się śmiało, gdzie gąszcz głucha
Kędy świerku ciemno ramię;
Gdzie pod stopą twą się łamie
Mech pożółkły, gałąź sucha.

Gdzie malina strol dzika
Grząskich bagien brzeg ponury;
Kędy kawał tylko chmury
Znaczy drogę samotnika.

Łam gałęzie gniewną dłonią.
A gdy gąszcz już nieprzebrana:
Nagle tęższą, dziksżą wonią
Westchnie twoja pierś stroskana.

Lub poczekaj, gdyś odważny:
Bo niedługo się zanurza
W ciszy nocy bór poważny,
Czekaj! Toć go zbudzi burza!

Ten spokojny sosen szaniec,
Wnet gałęzie swe rozpuści;
Z wiatrem sunie w wściekły taniec,
Gdy grom zajrzy do czeluści.

Ruch namiętny, gorączkowy,
Dziko wkoło zaszaleje;
Dąb sędziwéj schyli głowy,
A łzy brzoza biała leje.

Jodła smutna trzeszczy w gniewie,
Z kolców kropie deszczu sączy;
Choina młoda, topiel grzązka,
Trawy listek, mchu gałązka:
Wszystko w jednym dzikim śpiewie,
W hymnie burzy się połączy.

W sercu, w duszy ci szalało
Jak w tańczących drzew tych kole;
Młodą duszę twą zbolałą
Wpij w przyrody nagłe bóle,
Słuchaj burzy!

Burza wyła,
Grzmot i piorun naokoło.
Pędzi Kaźmierz—młode czoło
Kąpie w wichrze, w deszczu burza.

Goście padli już na łoże,
Duszno, przykro mu w komorze.
Młoda dusza dała wiele,
Bo marzenia i wesele
Dla cudzego dobra dała
I nad gorzką swoją stratą,
Łzy ni jednéj nie wylała.
Ależ w sercu piekło za to!
Gdy go anioł już nie łudzi.

Precz od ludzi!—w dzikie bory!
Bo nieznośnie duszy chorej
Między ludźmi—precz od ludzi!
W bory!—Kiedy pędzi sadem,
Zdradne owe okno minie,
Nie zamknięte! W téj godzinie
Kto zeń patrzy licem bladem?
— „Ty, Heleno?" wraz zapyta.

Wtém dłoń miękka dłoń mu chwyta,
Ust pieszczotę na niéj czuje
I łez dwoje—i przemija
Cichy słowa szept: „dziękuję!"

Wraz przymknęło się okienko.
Chłopiec zadrżał, zda się ręką
Anioł dotknął—usty żmija.
W drżące dłonie stulił lica,
Rzekł boleśnie: czarownica!
Dumał chwilę, serce bije
Rychléj, mocniéj; z marzeń zdroju
Złudne krople myślą pije.

Lecz trucizna snadź w napoju,
Bo mu serce żarem pali.
Pierzchnął urok mgłą na fali,
I znów brzmiało w duszy choréj:
Precz od czarów! daléj w bory!

Biegnie, pędzi.—Burza wyje,
Wiatr mu z deszczem czoło myje.
On zgryzioną myślą bada,
I na jeden cios ogarnie
Wszystkie bóle i męczarnie
Z których wstaje rozpacz blada.
A gdy w młodém sercu nieci
Zimną dłonią swe płomienie:
Błędném ogniem ciągle świéci
W dalszych bólach—jéj wspomnienie.

Pędzi, bieży po murawie.
Wreszcie burza zda się prawie
Od własnego nużyć szału.
Pędzi piaskiem i sam nie wié,
Że jest obok tego wału,
Przy tém czarném krzyża drzewie,
Gdzie niedawno krwią zbryzgana
Szabla z szablą się złożyła,
Gdzie od szabli pierwsza rana
Krew gorącą ochłodziła.

Na mogiłce, kędy wrota,
Postać wiejskiéj jakiéjś baby
Nuci śpiewkę, dźwięk sierota,
Z chórem burzy—drżący, słaby
Płynie, niknie, i Kaźmierza
Rozbolały słuch uderza.

— „Nędza z biédą do nas idą.
I któż nędzę z biédą zmoże?
Czemu zsyłasz, panie Boże
Ciągle na nas nędzę z biédą?"

— „To-ć uszyłam ci sukienkę,
Położyłam cię w trumienkę,
Zakopałam cię do dołku,
Przecze-ś zmarła mi, aniołku!

Chyba koniec z łzami memi,
Kiedy sama się położę
Obok ciebie w matce-ziemi.
Bo na świecie, Panie Boże,
I źli ludzie, i wciąż idą:
Bieda z nędzą, nędza z biédą."

I przebrzmiały piosnki dźwięki,
Tylko słychać łzy a jęki.

Jak przesila się choroba,
Tak w młodego bólu serca—
Lada pięknych ócz żałoba,
Lada marny śmiéch—szyderca
W otchłań duszę młodą wtrąca,
Gdzie się kala konająca.

Lecz gdy biada ludzkiéj doli
Jakby swoja w niéj zaboli,
Gdy myśl wielka lub ofiara
Nie ustraszy duszę młodą:
Te z otchłani wraz ją wiodą,
I na gruncie swéj zacności
Już jéj stawią dom przyszłości.
Jak w chorobie—w jednéj chwili
Młode serce się przesili.

Chłopcu ogień lśni w źrenicy,
Jakby mówił słowy temi:
Toć biedniejsi męczennicy
Niż ja błądzą po téj ziemi.

Wtém dwie bliźnie błyskawice
Zalśnią w groźnym burzy mroku;
Ujął Kaźmierz za szablicę,
Co brzęczała mu u boku,
I rzekł, patrząc w nawałnicę:

Serce-ć tkliwie się ochoci,
Chcesz miłości—raz zaświta,

Wierz w nią, pij woń, gdy rozkwita,
Ow przecudny kwiat paproci.

Miłość dziewki?—Cień marzenia
Gdzie przeczucie nieba gości.
Tocże bliższe mej miłości
Ludzka blada i cierpienia.
A gdy płonna miłość słowa,
Szabla ostra, ręka zdrowa!

Klął przy krzyżu, dumo chwilę,
Kładzie szablę na mogile,
I modlitwy myśl skrzydlata
Z rozbolałych ust wylata.

— „Panno święta! toć twe lica
W ostrzu szabli ryte złotem:
Spraw, niech cnoty mi klejnotem
Będzie w ręku ta szablica!
Boć to Matko wszech miłości!
Jedna drużka mej młodości.

Z nią ślub serca dziś mnie brata
I przysięgam Matko Pana!
Że gdy wezwie zła prywata,
Będzie w pochwach nieskalana;
Lecz ciąć będzie w krzyża znamię
Gdy skrzywdzony rąk załamie.

Więc ślubuję wiarę Tobie,
Że szabelko cię nie złożę
Chyba czystą na mym grobie:
Tak mi pomóż Panie Boże!"

Wstaje z ziemi. W nieba szlaku
Wtem piorunu wąż pogoni,
Huk i cisza!... Z szablą w dłoni
Stoi Kaźmierz, młoda głowa
Tam na krzyża wsparta znaku,
Pewność włada mu oczyma.
Komu piorun świadkiem słowa,
Ten przysięgi swéj dotrzyma.

XI.

Sam ksiądz biskup pary młodéj
Szczęsne dłonie stułą złączył.
Ależ gody były, gody!
Wyga prawił, że nie z ziemi,

Chyba z nieba złocistemi
Kropelkami węgrzyn sączył.

Niedość, panie, powiat cały!
Z województwa kasztelany,
Wojscy, łowczy, starostowie,
Podkomorzy, chorążowie,
O! i szlachty zjazd niemały
Pije, hula naprzemiany.

Świéca jasno się paliła
Młodéj parze: dobra wróżba!
Lecz się parka zasmuciła,
Że po ślubie piérwszy drużba,
Pan chorążyc w obce strony
Pierzchnął, jakby oparzony.
Tylko Wyga się uśmiechał,
Że chorążyc tak odjechał.

Cześnikowi w smak to nie szło,
Nie chcąc zostać u Jéjmości,
Że żywota część podeszłą
Będzie pędził w samotności.

Księżyc pięć kroć zmienił lica,
Ni ua oko chorążyca!
Cóż u licha! Gdzież on bywa?
I coś stary podejrzywa.

* * *

Upłynęło parę latek.
Bóg-ci państwu nie dał dziatek,
Ale żona kasztelana
Jeszcze gładsza od dziewicy
A jéj śnieżna gładkość znana
I u dworu aż w stolicy.
Jakby, panie, odrodzony
Pan kasztelan obok żony,
Nie zagląda już do dzbana.

XII.

Smutno ziemi, kiedy susza
Macierzyńskie łono pali:
Trza jéj burzy, trza jéj fali.
Smutniéj kiedy ludzi dusza
W jakimś marnym śnie się nurza
Lub w gorączki piąsa szale.
Ją ochłodzą inne fale:
Okrzyk wojny, ludzi burza!

Wojna, wojna! Ziemią całą
Stu trąb głosem zahuczało.
Lecz na czyje młode lice
Wkłada głośny wieniec z liści,
Komu sława czysta iści
Bohaterskie obietnice?
Czyje imię w krwawym krzyku,
Coraz głośniéj, pędzi, rośnie?
Toć niedarmo to, cześnikn!
Łzy ci w oczach lśnią radośnie,
Toć niedarmo stare kości
Jeszcze wieczesz rad do tańca.
I gorąca chęć Waszmości,
I poświęcisz wszystko dla niéj,
Stać przy boku wychowańca,
Gdy on dzlarsko tam hetmani.

Piękna żona kasztelana
Jakoś smutna, zadumana,
Na dźwięk młodéj owéj sławy.
Wzrok na męża wznosi łzawy.
Kasztelana myśl wyniosłą,
Łzawe oko to przeszyje,
Toć wojenne mu rzemiosło,
Krwi dziedzictwem w tętnach bije
Toć nie boju wir daleki,
Ale ona, bez opieki
Tkliwą duszę jego smuci;
Kto wie, z teściem czy powróci?

Lecz nie dla łez to Jéjmości
Rzuca żonę, urząd, włości,
I po pańsku z hufcem zmierza
Pod znamiona Kazimierza.

Różne wojny są koleje:
Na cześnika ręku mdleje
Mężna jego zięcia głowa.
A z ust cicho płyną słowa:

— „Tam! Helena! biédna wdowa!
Nie ma dzieci, jam ostatni
Z mego rodu.—Uścisk bratni
Kazimierzu!—Teściu, ona,
Ta sierota".. .. słowo kona.
Tylko usta jeszcze drżały,
Bóg wziął duszę do swéj chwały.

XIII.

Wielka pani była to!
Samych włości miała sto.
Białolica, młodych lat.
Choć jéj dziatek nie dał Bóg,
Gach nie wstąpił za jéj próg
I nie zdjęła wdowich szat.

Pośród pysznych komnat swych,
Jak w więzieniu żyła łzą;
Blade lice, tęskny śmiech,
Chyba wspomnień dotknął mgłą.

A nabożnych pełna cnót,
Dzień w dzień kroki smutne śle,
Gdzie mogiły smęcą dwie
U cmentarza wiejskich wrót.
Brzóz płaczących cienie dwa
Dotykają gładkich płyt,
Tam w marmurze napis ryt
Z blaskiem słońca dziwnie gra.

Tu jéj rodzic, tam jéj mąż,
Śpią w wieczystym śmierci śnie;
Łzami groby skrapia wciąż,
I przyklękłszy, modły śle.
Daléj, krzyż drewniany stał,
Gdzie mogiły nizkie tam,
Zdala od nich—czernił sam.

Czemu bólem serce drga,
Gdy u krzyża wdowa ta?
Czemu jakiś gorzki śmiech
Wstrząsa piersią, tłumi dech.
W łzawém oku czemu lśni
Gorączkowy, dziki błysk?
Jakby wspomnień dziwnych ścisk
Stała pamięć dawnych dni.

Czemu, gdy chce odejść już,
Zda się płynie gdzieś zza mórz
Młoda postać bladych lic:
Wzniosłe czoło dumą lśni,
W dziarskiéj dłoni szabla tkwi,
Jakby w cieniu ze dwu świéc
Z ciemnych oczu jasność lśni:
Twarz ta znana śmieje się.

Boże, Panie! zmiłuj się.
Wraz niewiasta błędny wzrok
To na krzyża zwróci znak,
To w daleki pośle mrok.
Darmo szuka błędny wzrok,
Tu mogiły jednéj brak.
Pośród obcych, innych ziem
Śpi bohater wiecznym snem.

Zniszczał, runął biały dwór.
Dzisiaj sosen gęsty bór
Ciemne swe rozściela mgły.
Ale cmentarz ten-ci sam,
I mogiły na nim trzy,
I napisy jeszcze lśnią.

Lecz wędrowcze tam się zbliż,
Gdzie drewniany stary krzyż
U spróchniałych stoi bram.
Jeśli marzeń zacnych dech
Wzrusza młodą duszę twą,
Na tym krzyżu zżółkły mech
Odwilż młodą twoją łzą.

SPOMINKI HISTORYCZNE I ARTYSTYCZNE.

V.

Sztuki piękne za Władysława Jagiełły, przy schyłku XIVgo wieku. Muzyka, malarstwo, złotnictwo. Niespracowany w dochodzeniach pomników i zabytków historycznych przeszłości rodzinnego kraju, Alexander hr. Przezdziecki, wykrył w ostatnich czasach niepospolitéj ważności materyały dziejowe, odnoszące się do czasów panowania króla Władysława Jagiełły. Sąto rachunki podskarbiowskie przychodów i wydatków królewskiego domu, które, jako w najrozmaitszych szczegółach stosunków i potrzeb ówczesnego potocznego życia dotykające, jasne rzucają światło na wewnętrzne domowe pożycie w tamtéj epoce. Część ta właśnie ogólnych dziejów krajowych najsłabiéj przedtém bywała badaną: zlekceważyli ją dawniejsi dziejopisarze; przekazaną więc jest staraniu i usilności pracowników nowszych, którym każdy tym końcem niosący objaśnienie materyał, wielce pomocnym i pożądanym się staje. Do liczby takowych należą niezaprzeczenie z odznaczeniem rzeczone księgi wydatków króla Jagiełły; wkrótce téż zapewne uczony hrabia z zwykłą swą gruntownością obznajomi z niemi publiczność, w wszelkich przez nie a różnorodnych potrąconych przedmiotach. Jedna z ksiąg tych, życzliwie mi w wyciągach udzielona, obejmująca rachunki przychodów i wydatków królewskich, prowadzona przez podskarbiego Hinczka w dwóch latach 1393 i 1394: „Regestrum Domini Hinczconis Vice Thesaurarii ad annum primum suae intromissionis in Vice-Thesaurarium, videlicet anno D. 1393"; księga ta mówię podaje wcale mnogie, a tém cenniejsze, że dotąd nieznane wskazówki, co do ówczesnego stanu i kwitnienia sztuk nadobnych w Polsce. Zebrać je przeto i do ogólnych sztuki naszéj dziejów zaciągnąć, skwapliwie przedsiębierzemy.

Muzyka. Okazuje się, że pod te czasy król Władysław i królowa Jadwiga trzymali na dworze swym muzykantów: piszczałków czyli fletników *fistulatores*, trębaczy, tojest grających na trąbach *tubicinatores*, oba więc te rodzaje instrumentów dętych, nadto cytarystów, *citaristae*; że podobne kapele utrzymywali także książęta litewscy, jak niemniéj możni panowie krajowi.

R. 1393 otrzymują kolędy sześć grzywien piszczałkowie i cytarzyści króla i królowéj pani: „Item. Fistulatoribus et citaristis Regis et Domine Regine pro kolenda honore solito ex m(andatu) D.(omini) R(egis) VI marc."

Piszczałkom czyli fletnikom księżnéj Ziemowitowéj z rozkazu króla 2 grzywny: „Item. Fistulatoribus Ducissae Semoviti ad m. R. II marc."

Piszczałkom i trębaczom królewskim w drogę za królem do Wielkiéjpolski: „Item. Fistulatoribus D. Regis ad viam post Regem versus Poloniam magnam, ad m. D. R. III marc.—Item. Fistulatoribus. D. R. similiter III marc."

Piszczałkom pana Scibora z rozkazania królowéj: „Item. Fistulatoribus D. Sciborij ex parte D. Regine ad m. eandem D. Regine II marc."

Wychodzą nawet na jaw nazwiska trzech takowych piszczałków królewskich: *Aulon*, *Nespechon* i *Sinczo*. Dwom piérwszym kazał król wypłacić podróżne, wysyłając ich do księcia Witołda: „Item. Duobus fistulatoribus D. Regis *Auloni* et *Nespechoni* missis per D. Regem ad Ducem Witholdum, ad viam IV marc.—Item. *Sinczoni* fistulatori pro balista (kuszą), et ejus attinenciis ad mandatum D. Regis II marc."

W r. 1394, z rozkazania królewskiego dane było sukno czerwone i żółte łokci 21 cytarystom ruskim: „Item. P. XXI ulnis panni rubei et flavei dati cyredis cytharistis ruthenicis ad v. D. R. VI marc. X scot."

Malarstwo. Że sztuka malarska znaną i znacznie rozwiniętą była już pod tę porę w Polsce, mamy na to wcale liczne dowody. W Krakowie istniejący z dawna cech malarski, za panowania właśnie Jagiełły w początku samym wieku XVgo otrzymał dokładniejsze urządzenie i prawo. Malowano już wtedy obrazy treści historycznéj, kościelne i wizerunki. Pruszcz widział jeszcze w katedrze krakowskiéj nad ołtarzem św. Kazimiérza obraz współczesny nawrócenia Litwy przez Jagiełłę, tudzież fundacyi akademii krakowskiéj przez Jadwigę; szczęśliwém, pomimo tylu klęsk a odległości

czasów zrządzeniem, dochował się podziśdzień w Nowym-Sączu okazały portret króla Władysława w r. 1409 malowany; inny portret jego posiadała królowa Jadwiga, przed ślubem jeszcze jéj przywieziony; był w Trokach wizerunek współczesny księcia Witołda; w kaplicy Grecką zwanéj katedry krakowskiéj, malowania ścienne i obrazy ołtarzowe odnoszą się do téjże epoki, a przedstawiać mają oblicza królów, zwłaszcza téż Władysława Jagiełły. Z zaciemnień owéj przeszłości występują nawet niektóre nazwy samych malarzów, jak o tém w innem miejscu mieliśmy i miéć jeszcze będziemy sposobność mówić obszerniéj. Tak wzmiankowani są w aktach radzieckich krakowskich pod r. 1374 jako tameczni malarze i mieszczanie: *Krzystof* i *Marcin*; też akta przechowały umowę z malarzem *Mikołajem* o malowanie sklepienia u P. Maryi r. 1397. Co więcéj, król Jagiełło miał na swym dworze malarza Litwina rodem *Jakóba Wężyka*, co wizerunki królewskie i różne zdarzenia malował, a chwilowo r. 1392 z pracy ociemniał. Wszystko to przemawia jasno, a wątpić nie można, że przy usiłowaniach dalszych nowe coraz odkryją się napomknienia i twory same. Tak i obecnie rzeczone rachunki podskarbiowskie pouczają nas, że w r. 1393 król Władysław sprowadził był malarzy ruskich, którym poruczył przyozdobienie kościoła Święto-Krzyzkiego na Łyséj-górze, tudzież sypialni swojéj na krakowskim zamku. Na ich czele był jak się zdaje niejaki *Władycz*, *Władicze*, a było ich podobno jedénastu, przez lat dwa około powierzonych im prac bawiący; musieli zaś wielce być królowi mili i pożądani, kiedy opatrywał wykwintnie potrzeby ich życia i do samego odjazdu miał o nich staranie. Wykonywali oni naprzód roboty w kościele na Łyséj-górze w r. 1393 i części roku 1394, w tymże zaś roku pracowali podobnież w Krakowie na zamku w sypialni królewskiéj, poczém tego jeszcze roku do swego kraju odjechali.

R. 1393 zakupiono dla malarzy na Łyséj-górze pracujących beczkę wina czerwonego, inną białego: „Item. Pro duabus barillis vini rubei et albi pictoribus pingentibus in Lisecz ad mandatum literale D. R. sex marcas.“

Tegoż roku posyłano tamże do Liszca do kościoła św. Krzyża dla robót malarskich farby i złoto, płacono utrzymanie w gospodzie malarzy. „Item. Pro rubrica missa cum auro ad Sanctam Crucem in Lisecz XX scot. — Item. Pro auro percusso vid(elicet) dicto Klepane slotto ad ecclesiam Sancte Crucis in Lisecz dato et misso summa II marc.—Item. Pro coloribus diversi generis propter indigentias

pictorum ad ecclesiam in Lissecz emptis et pro expensis per eosdem pictores factis in hospitio XVI marc.“

R. 1394 wysyłano dla malarzy w kościele Św. Krzyzkim na Łyséj-górze robiącym figi, migdały, ryż, rodzynki i cynamon. „Item. Pro ficubus, amigdalis, rijszijo, rosinis et cinamonio pictoribus ad Sanctam Crucem Lissecz. II marc.“

Płacono za utrzymanie w gospodzie Rusinów z malarzami przybyłych. „Item. Pro exemtione de hospitio ruthenorum qui cum dictis pictoribus venerant, ad vocem D. R. in Niepolomicze factam IX gr.“

Dla malarzy w Liszcu posyłano wino: „Item. Facta ratione cum cauponibus pro vino“..... w różne miejsca, a między innemi „in Lissecz pro pictoribus“.....

Kupowano dla nich farby i naczynia, do prac już malarskich w sypialni króla na zamku krakowskim i jeszcze u ś. Krzyża. „Item. Pro 4 talentis cynobrii ad depingendum dormitorium D. Regnis in castro Cracoviensi 1 Sexag.— Item. Pro vasis scilicet oleis et in quibus colores varii per pictores ruthenicos servantur 1 scot. XIV de. — Item. Fer. 4 p. diem Assumptionis per II talent. cinobrii ad depingendum dormitorium D. Regis in castro Cracoviensi III fer. Item. Pro IV libris cynobrii ad depingendam Ecclesiam Sancte Crucis in Lissecz rei d. libr. p. fl. I marc.“

Po ś. Michale tegoż roku 1394, zatém już w jesieni, opłacono koszta utrzymania w gospodzie *Władycza* z innemi malarzami ruskiemi, kupiono dla nich 11 koni i 11 futer czyli szub, pokryto wreszcie koszta powrotu onych do swego kraju. „Item. Fer. 3 ipso die s. Michael. Archangeli. Pro exemcione de hospicio *Wladicze* cum aliis pictoribus Ruthenicis VI marc. III ff.—Item. Pro 11 equis (konie) datis ad mandatum D. Regis Ruthenis pictoribus, dormitorii in Castro Cracoviensi V marc.—Item. Pro 11 pelliciis (futra, szuby) eisdem pictoribus 11 marc.—Item. Pro expensis eisdem cum reversi sunt ad proprium II marc“.—Tyle wyśledzić się dało, co do owych malarzów ruskich w kościele łysogórskim i na zamku krakowskim malujących. O *Jakóbie Wężyku* nie ma w rzeczonych rachunkach wyraźnego wspomnienia, chociaż pod te czasy znajdował on się jeszcze w Krakowie, a późniéj dopiéro wyniósł się do Sokala, gdzie na resztę żywota osiadł. Wszakże natrafiamy tu podobnego nazwiska dworzanina albo pokojowca, *cubicularius*; czyli zaś byłbyto tenże sam malarz *Wężyk*? — w obecnym stanie wiadomości zaręczyć przecie nie można. „Item. Hermano et *Wansziconi* cubiculariis pro

calceis (obuwie) et cirotecis (rękawice) ad mandatum D. Regis vocale gr.

Złotnictwo. Księga rachunków przerzeczonych z dwóch lat 1393 i 1394, przekazuje atoli najzasobniejsze wskazówki względem świetnego pod te czasy w kraju naszym rozwoju sztuki jubilerskiéj i złotniczéj, przywodząc mnogie tego rodzaju kosztowne królewskie obstalunki w przyborach, stroju, roztruchanach, puharach, misach i innych naczyniach, w ozdobach zbroi, pasów, bogatych siodeł i rzędów i t. p., wszystko w złocie i srebrze; zwłaszcza też wymieniając z nazwiska wielu artystów samych, w kraju naszym w mieście Krakowie zapewne osiadłych i pracujących. Ciekawym będzie poszczególny ich wykaz, jaki z rozpierzchłych spominków o każdym z nich, tudzież o ich robotach, zebrać i ułożyć się nam udało.

1) *Janusz z Olkusza*, czy może *Hanusz Ilkusz*, rozmaicie pisany lubo pewno ta sama osoba: *Hanusso Ilcuss* dictus *Ilkuser*, *Hanusszo Ilkusar*, *Hanuscho Ylkussar*, *Hanusso Ilcusz*. *Hanusz Ilcus*. Bywał on jak się okazuje wielce zatrudniony przez króla. R. 1393 otrzymywał obstalunki następujące: „*Item. Hanussoni Ilcuss* aurifabro pro paratione cuppconis. (kubek, puhar) deaurati III marc.— Item. Aurifabro dicto *Ilkuser* pro labore duorum Cupconum Regalium ex mandatu D. Regis III marc.—Item. Pro paratione Cupconis novi alti *Hanusszoni Ilkusar* Aurifabro D. Regis III marc.—Item. Pro paratione aliorum duorum cubconum *Hanussoni Ilkus* Aurifabro III marc.—Item *Hanuschoni Ylkussar* aurifabro pro paratione cornuum (rogi), cubconum et specialiter unius aurei cubconis, cum attinentiis selle (siodło) consorti ducis Semoviti, et reformatione cinguli (pas), Regine XXXI marc.“ Obstalunki przywiedzione pod r. 1394. „Item. Pro paratione V Scutellarum magnarum (misy), et vasis dicti patenicze D. Regis *Hanussoni Ilcusz* XV marc.—Item. Fer. 5 prox. *Hanus Ilcus* aurifabro pro paratione bine scutelle magne, Instrumentorum yosziczky duplicum et puklonum ad attinencias selle D. Regine Ungarie XXV marc.“

2) *Sijnai.* R. 1393. „Item. Aurifabro *Sijnaij* a labore unius Cornu regalis IV marc. et pro reformatione cantri (dzban) magni argentei 1 marc.“

3) *Rolle.* R. 1393. „Item. Pro paratione duorum Caputiorum Regalium (nakrycie głowy, czapka, czepiec) aurifabro dicto *Rolle* racione mercede ipsius III marc. III ff.“

4) *Mikołaj Mensterberg* czy *Munsterberg.* R. 1393. „Item. In sequenti septimana fer. 3 post diem s. Dorothee. Pro paratione

duorum cubconum Regis *Nicolao Mensterberg* aurifabro III marc. III fer.“ Tenże r. 1394: „Item. *Nicolao Munsterberg* aurifabro pro paratione IV dosthuchanorum (roztruchany) et reformatione unius cubconis antiqui IV marc.“

5) *Arnold.* R. 1393. „Item. *Arnoldo* aurifabro pro paratione cornuum, unius cubconis et reformacione Scutellarum Regalium XI marc.“ Tenże r. 1394. „Item *Arnoldo* aurifabro pro paratione unius cubconis et reformatione patencze et cornuum antiquorum Regalium II marc.“

6) *Hanusz* czyli *Janusz Sax*, zapewne *Saxończyk.* R. 1394. „Item. *Hannusz Sax*: aurifabro pro paratione IV cupcon. argenteorum deauratorum IX marc.“

7) *Hanusz* czy *Janusz Sweyn.* R. 1393. „Item. *Hanussoni Sweyn* pro paratione duorum cubconum II marc. III fer.“

8) *Kunczlo.* R 1394. „Item. *Cunczloni* aurifabro pro paratione duorum cantrorum, puklonum in pretextis sericeis, ad frena et attinentias Sellarum D. Regis et D. Regine Ungarorum et pro paratione feruncze et naconcze ad cingulum gladialem (pas mieczowy) D. Regis, nec non puklonum ad alium cingulum ipsius D. R. XIII marc. XVI scot.“

9) *Jan Swinde.* R. 1394. „Item. *Swinde Johanni* aurifabro pro paratione X scutellarum, duorum flasculorum (flasza) et duorum cubconum, que omnia simul pondebunt IX marc. puri argenti XXX marc.“

10) *Marcin Czech.* R. 1394. „Item. *Martino Bohemo* aurifabro pro paratione duorum cubconum et instrumenta de auro puro ad linguas draconum (języki smocze) V marc. 1 f.“

11) *Andrzej.* R. 1394. „Item. *Andree* aurifabro pro paratione attinenciarum ad sellam D. Regine de argento deaurato, et reformatione unius cornu. VII scot.“

Do powyższych z téj epoki złotników, przypada jeden jeszcze w inném równoczesném źródle natrafiony, w księdze podobnież rachunkowéj „Regestrum Distributo Cracoviensis D. Cristini Canonici Cracov. 1393—1395.“

12) *Mikołaj Klaws.* „*Nicolao* dicto *Claws* aurifabro, in Castello Castri laboranti metquarto.“

Otóż co o rozwoju sztuk w kraju naszym za króla Jagiełły w tak krótkim zakresie czasu, bo w ciągu niespełna dwóch lat tylko, wyśledzić się dało z owego arcyważnego dokumentu rachunków podskarbiowskich królewskiéj szkatuły. Przybywają ztąd nowe dowo-

dy, jak dalece sztuki w dawnéj Polsce od wieków już odległych upowszechnione i znamienicie uprawiane bywały. Nie może to już dziś ulegać najmniejszemu zaprzeczeniu, a wątpić o tém mogłaby jeszcze tylko szczególna chyba obca niechęć, lekkomyślność, czy téż gruba rzeczy dziejowych niewiadomość. Nie idzie przecież za tém, że i my wiemy już o tém wszystko: bardzo wiele pozostaje nam do odkrycia, bo dzieje sztuki przeszłości krajowéj z zapomnienia odgrzebywać dziś przychodzi, a pokrywa je po większéj części prochami wieków obciążony całun grobowy. Śledząc daléj troskliwie pomniki i wszelkie zabytki czasów ubiegłych, zdobędą się nowe wiadomości, zasoby, odszukają same sztuk najcenniejsze może twory.

E. Rastawiecki.

Regestra wydatków królewskich w Krakowie i w okolicznych zamkach, z końca XIV (1388 — 1395) i początku XV wieku (1403—1417).

W regestrach tych przedstawia się nader szczegółowy i ciekawy obraz domowego życia przodków naszych. Znajdujemy w nich:

1) Wzmianki o rozmaitych, często nieznanych wydarzeniach; i szczegóły z podróży króla i królowych, i pobytu ich w zamkach około Krakowa.

2) Wymienione osoby składające dwór królewski, lub mające jakąkolwiek styczność z dworem.

3) Szczegóły o zbrojach i porządkach wojennych.

4) O koniach, powozach i porządkach stajennych.

5) O sztuce złotniczéj, i o innych rzemiosłach w kraju.

6) Cokolwiek o malarstwie.

7) O muzyce ówczesnéj, złożonéj z *flecistów* (fistulatores), z *trębaczy* (tubicinatores), z *lutnistów* (citariste), i *bębniarzy* (timpaniste).

O malarstwie, muzyce i złotnictwie dał wiadomość baron Rastawiecki w powyższym rozumowanym artykule.

8) O ubiorach, zwłaszcza męzkich, i rozmaitych przedmiotach i porządkach do ubrania służących. Król Władysław Jagiełło nosił się wprawdzie tylko w czarnym i w szarym kolorze, ale używał mnóstwo sukni rozmaitego kroju.

9) O kuchni, artykułach żywności, korzennych przyprawach, ziołach, napojach, oraz sprzętach kuchennych i domowych.

10) O sposobie życia, częstowaniu się wzajemném, zwyczajach dworskich. Król pościł o chlebie i o wodzie co piątek; trzymał wiele Rusinów i Litwinów przy dworze, zwłaszcza przy koniach, sokołach i psach myśliwych.

11) Ceny wszystkiego wyrachowano na różne monety, i wzajemny stosunek tych monet i tych cen do siebie.

12) Dość liczny zbiór *słów polskich z pisownią XIVgo wieku*, z których ułożyłem słowniczek.

Sądzę zatém, że wydrukowanie wyciągów z tych regestrów po łacinie, wraz z tłumaczeniem polskiém i objaśnieniami, posłuży wielce do obeznania się z tak odległą epoką dziejów naszych; zwłaszcza, że możemy dodać do tego kilka listów w ruskiém narzeczu do Władysława Jagiełły pisanych, i inne dokumenta oryginalne dotyczące tegoż króla.

Pisałem w Falentach,
d. 10 sierpnia 1852 r.

Alexander Przezdziecki.

KRONIKA LITERACKA.

Krajowe obrazki i zarysy, skreślił Leon Kunicki. *Warszawa. Nakład księgarni Zawadzkiego i Węckiego. Wilno. Drukiem Józefa Zawadzkiego.* 1852. *W* 12*ce. Str.* 227.

Zdaliśmy już sprawę z piérwszego dziełka p. Kunickiego: *Dwór i dworki*; przychodzi nam mówić o nowym utworze p. n.: *Krajowe obrazki i zarysy.*

Tło, na którém maluje swoje obrazki p. Kunicki i kreśli zarysy, jest stare nasze Podlasie, a głównie nadbużne okolice. W szczupłych ramach zawiera je zwykle, i ze starannością, jak malarz miniatur, wykończa.

Każda postać, która zpod pióra młodego pisarza występuje jest brana z życia, i dlatego ma w sobie tyle prawdy, tyle właściwéj cechy, że nietylko ujmuje dorazu czytelnika, ale zarazem i przywiązuje do siebie. Postaci te sąto już figury ludowe, jak Dyak, Daniłko flis, Stary sługa, już zbliżone do ludu lub należące do ziemiańskich dworów. Jak przedstawione postaci pełne są prawdy, tak i obrazki rysowane z natury. Jakżeżto piękne wybrzeża nad Bugiem, gdy śniegi stopnieją, a lody pokrywające rzekę, „poblizkie jeziorka i rzeczki ujdą gdzieś daleko, pozostawiwszy powierzchnie wód czyste jak zwierciadło; gdy wierzby i topole piérwsze zielone zaczną puszczać pączki, i świeżą, czystą woń rozsiewać po nadwodnych brzegach.” Po téj rzece galary i tratwy spływają, pluskając drygawkami; nocleguią na brzegu i ogniska palą wesołe flisaki. Po wybrzeżach Bugu rozrzucone wioski, i w nichto znajduje zasoby p. Kunicki do swych zarysów: czy opowiada smutne dzieje życia Daniłka flisa, czy podaje rzewny wizerunek *Dyaka*, który do najpiękniejszych w tym rodzaju utworów należy, czy nam w zarysie daje kilka obrazków z pożycia domowego we dworkach ekonomskich, które mogłyby posłużyć do skreślenia obszernéj powieści. Nie znajdzie tu czytelnik żadnych dramatycznych wypadków, treści powieściowéj intrygowéj, ani zdarzeń zadziwiających osobliwością swoją: bo tu prosty wiejski żywot w różnych zmianach malowany. Ludowe postaci bierze p. Kunicki z mieszkańców nadbużnych ruskiego plemienia, a tak ściśle językiem i oby-

czujem splecionych z naszém, jako najwięcéj pobratymcze sobie. Podlasie to, czyli Pod-lasze nasze dawne, od wieków osiadłe ruskim rodem, którego język w istocie swojéj spolszczał, i stanowi jakby ogniwo pośrednie między narzeczem ukraińskiém a polskiém.

Oto *prażnik* mamy we wsi jednéj czyli odpust; „a nadzieją jego cieszyły się po siołach okolicznych *mołodyce*, bo będą się mogły stroić, kupować paciorki, obrazki i *mentaliki* w kramach, umyślnie w ten dzień z miasteczka przybyłych i rozstawionych, i potańczyć z parobkami w karczmie. Cieszyli się gospodarze i *baby*, bo ochoczéj przy półkwaterku wódki w karczmie będą się mogli nagadać z licznie zebranemi z sąsiednich wsi kumami i krewnemi. Kłopotał się ksiądz proboszcz, przygotowaniem na przyjęcie licznych spodziewanych księży, sąsiadów i gości. Pocił się dyak cerkiewny, przystrojeniem i oczyszczeniem zawczasu cerkiewki. Z upragnieniem wyglądały *prażnika* dziady i baby żebrzące, miejscowéj i sąsiednich wiosek, gdzie wywodząc rozmaite pieśni, sowitéj spodziewać się mogli jałmużny. A oto, od samego prawie wschodu słońca po drogach wiodących z rozmaitych stron do wsi, ciągną gromady pobożnych. Gospodarze i parobcy w dużych czapkach baranich, w nowych sukmanach i butach: baby owinięte w świeże, białe *rańtuchy*, z małemi dziećmi na rękach; *mołodyce* w białych koszulach z *życzką* i paciorkami u szyi, w pstrych chustkach na głowach, idące boso, a niosąc *czerewyki* z życzkowemi kokardami w ręku, które dopiéro przed samą włożą cerkwią: słowem każdy w najlepszém o ile być może odzieniu, spieszy w stronę cerkiewki, któréj dzwony bezustannie o rozpoczęciu nabożeństwa głoszą."

„Przed cerkwią cały ruch, całe życie objawia się prażnika. Przy drodze około cmentarza otaczającego cerkiew kilka kramów, szałasów płótnem nakrytych, z medalionikami, krzyżykami, bohomazami, piszczałkami i t. p. wabią mnóstwo ciekawych i kupujących. Niemniejszy także odbyt mają obwarzanki przez żyda lub żydówkę z poblizkiego miasteczka sprzedawane; garnki, sita i inne gospodarskie narzędzia, a nawet sery i mleko z miejscowego lub sąsiedniego dworu wysłane, które wystrojona w jaskrawe kokardy szafarka, siedząc na wysokim wozie, spieniężа. Daléj gwar targujących i *dziwujących* się, odgłos piszczałek już kupionych lub dopiéro probowanych, śpiewy i prośby dziadów, pieśni z wnętrza cerkiewki wychodzące, i odgłos dzwonów zlewają się w jeden ogromny chaos, rozchodzący się daleko po błoniach i polach."

„W téj ogólnéj panoramie, na szczegółowe sceny warto zwrócić uwagę: oto, przy tym kramie młody i raźny parobek targuje sznurek niebieskich paciorek: po wielu obracaniach i obejrzeniach na wszystkie strony tego sznurka, po długiém skrobaniu się w głowę, gdy wreszcie targ został dobity, odwrócił się i zawołał: *Maryno! czujesz?* I świeża choć ogorzałéj twarzy dziewucha, przybliżyła się z tłumu do niego i zapytała: *„czoho choczesz"?—„Na tobi hostyńcia, Maryno"* odpowiedział parobek, i oddał jéj podarek z giestem pełnym prostoty, dalekim od gracyi naszych salonowych narzeczonych. *„Boh wam zapłać"* odpowiada z rodzajem pewnego wstydu dziewczyna, biorąc jedną ręką dar narzeczonego, a drugą zasłaniając sobie oczy".

Daliśmy tu mały obrazek prażnika wiejskiego, skreślony słowami autora, aby czytelnik mógł poznać, jak badawczo wpatrywać się on umiał i chwytać najdrobniejsze odcienia do zarysów swoich. To też z tą troskliwością miniaturzysty p. Kunicki wykończa każdy swój obrazek, i w zbyt nieraz szczupłe ramki, przedmiot godny rozmiaru większego, skupia. I to w pewnym względzie mamy za wadę w naszym młodym pracowniku, bo niezawsze jak należy postać wybraną rysuje. Nie jesteśmy zwolennikami ani zbytniéj gadatliwości, ani owéj umiejętności rozciągania przedmiotu drobnego na liczne tomy; ale wymagamy, aby przedmiot wybrany był należycie oddany i wyczerpany. Niezawsze jednak umié go wyczerpnąć p. Kunicki, chociaż mu niebraknie ani na zbadaniu go, ani na oddaniu artystyczném.

Dyak to obrazek cudny, wykończony jak *Danilko flis*, *Stary sługa*, *Rezydent domowy*, i *Salony wiejskie*. *Krewni* i *Stare panny*, to dopiéro lekkie szkice, jakby materyały wątłe do obrazku, a nie mogące wypełnić żadnego obrazka. Panna ekonomówna, to powiastka największego rozmiaru w całym zbiorze p. Kunickiego, ale nie powiemy, że utwór ten trzyma przed innemi pierwszeństwo. Jeżeli wiele ustępów odznacza się świeżością pomysłu, odmalowaniem zręczném i opracowaniem pięknych postaci ludowych; to nie ma téj całości artystycznéj, jaką widzimy w *Dyaku* i innych.

Mała ta książeczka musi zwrócić uwagę prawdziwie miłującego ojczysty język i literaturę; bo jeżeli z jednéj strony nadaje jéj niepoślednią wartość treść sama, z życia narodowego pochwycona, to z drugiéj i obrobienie przedmiotów artystyczne, niewiele pozostawia do życzenia, a język czysty, obrazowy, zwięzły, dodaje więcéj jeszcze barwy i uroku.

Życzyć należy, aby te *Krajowe obrazki* i *zarysy* mogły być zapowiedzią niezwodną prac dalszych, w obszerniejszym zawodzie p. Kunickiego.

K. W. W.

ROZMAITOŚCI.

WSPOMNIENIA KONCERTOWE.

Kellermann.— Panna Barbier-Christiani.— Mahler.— Servais.—Kossowski.— Biernacki.— Serwaczyński.— Ludwika Barwolf.— Krzyżanowski.—Volange.—Panny Dulcken.—Tropiański.—Małgocki.—Libera me Domine *Quattrini'ego.—Święty Boże Dobrzyńskiego.— Troschel.— Panna Danielewicz.*

Któreś z pism peryodycznych dziennych w Warszawie wychodzących donosiło niedawno, że w przeszłym roku było w naszém mieście dziewiętnaście koncertów. Kto wié, jak trudno u nas przychodzi dać koncert choćby dlatego tylko, że trudno o słuchaczów, a raczéj o kupujących bilety wejścia; ten zrozumié ile prac, zachodów, mozołów, a w końcu zawodów dziewiętnaście koncertów wywołać musiało! Ale mniejsza o to: nie bez mozołu nie przychodzi, a więc nietylko danie koncertu, ale i opisanie go nawet. To gorsze, że niepotrzeba i roku, by się pamięć koncertu zatarła. Dosyć miesiąca, dni kilku nawet, by zapomnieć o istocie, która przejęta miłością sztuki i koniecznością obrania sobie zawodu, chciała jedno z drugiém połączyć: jęła się muzyki, a napracowawszy się nad nią jaki lat dziesiątek, znajduje często najzupełniejszy swych nadziei *zawód*, —została zapomnianą. Dopóki się koncert agituje, objawia się jakiś ruch w pewnych kółkach towarzystwa, w pewnych koteryach; obawy, nadzieje, życzenia, zabiegi, niechęci, przedwczesne sądy, wszystko to w grę wchodzi. I jeszcze po koncercie trochę pogadanki i uwag nad sposobem prezentowania się publiczności, parę wniosków o przyszłości muzycznéj koncertanta, czasem kategoryczny wyrok w tém lub owém piśmie wywołujący zwykle niezadowolenie jednych, zlewnięcie obojętności drugich: oto co z większéj części, z wszystkich niemal koncertów zostaje. A i to nakoniec gdzieś przepadnie do tego stopnia, że wielu osób przytomnych koncertowi nie wié po niejakim czasie, czy on nawet miał miejsce. To rzecz naturalna; wrażenia się zacierają wzajemnie: które silniejsze, to dłużéj zostanie. Więc rzeczą jest koncertanta żeby o tém pomyślał, bo sam nie zapomni, choćby chciał nawet. Dla niego każde wystąpienie pu-

bliczne ma wagę ery w jego życiu, bo odliczywszy długie lata najczęściéj mozolnych przygotowań, kosztujących nielada pracę, wytrwałość; odliczywszy zabiegi i kłopoty przedkoncertowe, (których jednak baszowie muzyczni nie doświadczają już nakoniec), pokaże się jeszcze, że w chwili decydującéj wolałby niejeden rzucić się na armaty, że wolałby się pod ziemię schować, jak się mówi, niż przejść drewnianą lub płócienną granicę, która go od sali koncertowéj oddziela. Sala pełna dodaje mu otuchy; zupełnie pusta odważny gniéw zapala; ale sala z rzadka publicznością posiana—przeraża: półśrodki zawsze mało warte. Więc nim zmuszony afiszem granicę ową przekroczy, zachwieje się kilka razy, wysunie stopę i cofnie ją znowu, jak musiał robić Cezar, gdy nad Rubikonem stanął. Ale Cezar spokojnie wszedł do wiekuistego miasta (szczęście jego, że to nie w naszych czasach, boby mu się może nie udało), a koncertant! Naraz w niego tysiąc ócz strzela, a jeśli go puklerz oklasków w téj chwili nie osłoni, zginął! tak mu się przynajmniéj zdaje. To téż każdy mniéj więcéj stara się o przyjazne i silne dłonie. Czasem i to niewiele pomaga, a rotowy ogień spojrzeń ciekawych, obojętnych, czasem zazdrosnych, jakby było o co, ciągle go razi. Ach przez litość! przesłońcie go ścianą choćby tak wątłą jak pajęczyna, rzadką jak siéć rybacka lub koronka damska, wątłą jak zasługa modnych kompozytorów, pół życia za nią odstąpić gotów i jeszcze grać wam będzie. Ale darmo: widzieć chce każdy, to do słuchania konieczne, a nieraz ciekawsze; więc patrzą, jak zbierając wszystkie siły, nadrabiając miną biédny koncertant ima się czynności, którą zapowiedział; czynności, powtarzamy, bo cóż w takim razie więcéj być może? A jak Cezar wysyłał wojska, by mordowały przeciwników; tak nieraz koncertant uważając wszystkich za wrogów, wysyła na nich tłumy tonów, sięgając niemi do najodleglejszych sali zakątów, albo się mści na biednéj muzyce, nową rzeź niewiniątek wyprawiając. Mniéj mściwy, a więcéj nad sobą umiejący panować charakter, przez innego rodzaju próby przechodzi. Przytomni okiem i uchem śledzą każdy ruch, każdą nitkę misternéj tkanki kompozycyą zwanéj, chłoną życie i uczucie z niéj wiejące, a ciągle narzekają że mało; niepomni, że życie całe prawie zbiegło się do głowy, by ją ochronić przed naciskiem kłopotów chwili, a uczucie podobne do owéj rośliny, zamykającéj ukryte w swym kielichu skarby za zbliżeniem się ciekawego. Zaiste, najfałszywszém położeniem dla wielu muzyków jest chwila, w któréj im własną grą nadstawić przyjdzie; inaczéjby ich osądzono gdyby ich podsłuchano samotnych w objęciu sztuki, albo gdy w przyjacielskiém nieliczném kółku oddać się mogą myśli swobodnie bujającéj. To téż żeby ją przywołać, pozbyć się przymusu, różnie różni do koncertu się gotują; ten jagodą znaną ludziom od czasów Noego (jeżeli nie pierwéj jeszcze) męztwo w sobie krzepi; ten cztery żywioły Szyllera na pomoc przyzywa (Punschlied), ów zimną wodą, krew zimną utrzymuje i t. d. A każdy mniéj więcéj podobny do owego pajazzo Nep. Kamińskiego, który tańczył, hejsa! wykrzykiwał i silił się na koncepta, by zarobić na grosz, by miał za co umierającą żonę pochować i dzieci swoje od głodnéj wyratować śmierci. Bo bieda i rozpacz umieją maskę przywdziać; znałem matkę, co zmarłe niemowlę swoje pod jedwabną wynosiła salopą, by je komu do pogrzebania podrzucić.—Ale mówmy o czémś

weselszém, o muzyce. Nieprawdaż? kto gra, ten szczęśliwy! A po wszystkiém co było komedyą, wzrosłą na trosce i westchnieniach jak na drożdżach, czytamy, że w Warszawie tyle a tyle koncertów było, z tém samém uczuciem, jak gdybyśmy czytali: zjedzono tyle a tyle wołów. Widoczna, że rzeczy idą naturalnym trybem; wół musi prawie być zjedzonym: trzeba mu było być czém inszém, to mógłby do jedzących należéć. Kto daje koncerta i liczy na nie, ten prawie musi być zawiedzionym; trzeba mu było należéć do tych, co słuchać są przeznaczeni, toby zyskał słuchając darmo, albo nie słuchając wcale. Ale wszyscy słuchać nie mogą, boby nie mieli kogo; więc koncerta są, były i będą. Szkoda tylko, że koncerciści mogąc się obejść bez ukształcenia, jak im to Kremer w swoich Listach z Krakowa wmawia (a dowody jego silne być muszą, gdy mu tylu uwierzyło); szkoda powtarzamy, że się bez chleba powszedniego obejść nie mogą i nie żyją samém tylko słowem Bożém, choć po większéj części tak wyglądają, jakby tém tylko żyli. To też najczęściéj giną strawieni konsumpcyą; niekoniecznie tą, która niszcząc chorego, lekarzom i aptekarzom grosza napędza; nie tą, którą urzęda municypalne puszczają w dzierżawę, bo na jednéj i drugiéj ten i ów utyć może: ale trawią się własną myślą, palą własnym ogniem, własną niszczeją troską. O niejednym z nich po niejakim czasie powiedzieć można to, co poeta o upiorze wyrzekł: co to za człowiek?—umarły! Ale i to rzecz całkiem naturalna! Więc nie ma na co narzekać, tém bardziéj, że każdy z nas trawiąc się sam w sobie, innym pożywienia dostarcza i tém więcéj, im z większém działa poświęceniem, i, by do muzyki wrócić, im czuléj gra i śpiewa, bo to się znaczy, że się tém serdeczniéj innym oddaje. Strasznyto kannibalizm cząstka po cząstce się pożerać, by resztę do jakiegoś tam czasu utrzymać. A takiém wszyscy żyjemy życiem. Niezmierna ilość prac duchowych ginie w jakiéjś otchłani, przerabia się i pod nową formą wnikając w tysiączne życia, do nowéj pracy, do nowego przerabiania się gotowa staje; istna metempsychoza. Więc jak w naturze materyalnéj, tak i w duchowéj nic nie przepada, tylko się przekształca, oddziaływa na siebie, pobudza się wzajemnie i niszczy. Tak poeta natchnąć może malarza, budowniczy snycerza, muzyk recenzenta. Recenzya też do sztuki należy: tego już dowodzić niepotrzeba, nie każdemu przynajmniéj; ta, którą tu spisać zamierzamy będzież pobudką czy zniszczeniem? O to mniejsza, bo jedno i drugie symptomatem jest życia, inną jego formą, a życie niszcząc nawet—buduje, choć i budując—niszczy znowu.

Ale nie o owych dziewiętnastu koncertach mówić mamy, bośmy już o niektórych mówili dobrze przed rokiem (Bibl. War. na luty 1851). Od owéj daty wiele upłynęło czasu: nowe wyniósł nazwiska i w otchłani je pogrążył; pozwólcie je sobie przypomnieć, rozważyć, jaką kto dań do wspólnego złożył dobra, ile wpłynął na ogólne życie i pojęcia. Zmiana być musi, bo nic nie stoi. My sami w ostatnim artykule rozprawiając o duchu Bożym, posłannictwie artystów, wielkości sztuki, tu zaczynamy od statystyki i chleba. Brnąc coraz daléj w to arytmetyczne i realne usposobienie, policzmy imiona koncertantów, i by łatwiéj do końca trafić, skupiamy ich w gromadki około instrumentów, którym się poświęcali. Otóż z fortepianistów mieliśmy pannę Zofią Dulcken, panią Fechner, panów

Krzyżanowskiego, Volange i Mahler; ze skrzypków pp. Serwaczyńskiego, Bieroackiego i dziesięcioletnią (jak mówiono) Ludwikę Bärwolf. Panna Izabella Dulcken melofonem nas czarowała, p. Tropiański swój klarnet dał słyszeć; basetlę zalecali: panna Barbier-Christiani, pp. Servais, Kossowski, Kellermann. Śpiew najubożej był przedstawiony, nie dlatego jednak, by pani baronowa Rupplin temu winna była, ale dlatego, że żadna śpiewaczka więcéj, ni żaden śpiewak do nas nie zawitał, wyjąwszy tych, co zasilić naszę operę włoską przybywali; wiadomo o nich, że to zawsze są *prime donne, primi nomini*, więc o nich nie mówimy, nie mogąc nic zganić. Ale tak polscy jak włoscy artyści opery płci obojga, a nawet kilka amatorek oddawali swe głosy na usługi cierpiącéj ludzkości w kilku wielkich instrumentalno-wokalnych koncertach; i gdyby osoby zliczyć, pokazałoby się, że śpiew najszerzéj się rozwinął w koncertach danych u nas w czasie, który wspomnieniem niniejszém objąć pragniemy. Za to my tu nad nim rozszerzać się nie myślimy, ani nawet nad wszystkiemi koncertami poszczególę, bobyśmy cały poszyt biblioteki War. w rekwizycyą zabrali, i brakłoby miejsca na jaki artykuł o brukach lub o sztuce ubierania się dam do twarzy. Byłaby to szkoda, któréj wyrządzić nie jesteśmy zdolni, przekonani o ścisłém łączeniu się z sobą wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiéj, i o konieczności ich opracowywania. Bo złe bruki mogą śpiewających na utratę głosu narazić, dlatego, że narażają język (lubo i tak wielu ich wymawia jakby języka nie mieli), a niestosowne lub nie do twarzy ubranie, może śpiewaczkę o *fiasco* przyprawić. Uwalniamy się też z góry od cytowania dat wszystkich: to rzecz gazet i kalendarzy, a chcielibyśmy wyżéj się podnieść; nadto, idąc za nabierającą wziętości w dziedzinie nauk historycznych metodą nową, pozwolimy sobie zacząć od ostatnich koncertów rzecz naszę, a więc od wiolonczelisty Kellermana, nie obowiązując się jednak pilnować porządku. Fantazya przecież modna jest dzisiaj w świecie muzykalnym.

I oto o Kellermanie nie mamy co powiedzieć, a przynajmniéj mało co więcéj nad to, cośmy w ostatniém naszém wspomnieniu mówili. Najważniejszém z nowych spostrzeżeń jest to, że p. Kellerman pisze się piérwszym wiolonczelistą króla duńskiego; to nas wprowadza na domysł o istnieniu jakiéjś hierarchiczności między wiolonczelistami duńskiemi (snadź wielo przywiązują ludzie wartości do sztuki, skoro artystów sortują). Że p. Kellerman jest piérwszym, można mu tego powinszować; zawsze to coś znaczy, choć nietyle co piérwszy minister: lubo i do tego przyjść może, jak się już w Hiszpanii zdarzyło kiedyś gitarzyście. Panna Barbier-Christiani wiolonczelistka dworu duńskiego... Jakto? więc w Danii żadnéj nie ma piérwszéj wiolonczelli w téj chwili? boć i panna Christiani piérwszą być musi, jak nią istotnie być godna, choćby drugiéj nie było; co tém prawdopodobniejsze, że wiolonczelistek na świecie bardzo mało, a tak znakomitych pewnie mniéj jeszcze. Ton ma piękny, a nawet silny; intonacyą w ogóle czystą, mechanizmu cokolwiek mniéj niż potrzeba jéj niekiedy, a raczéj niż sama od siebie wymaga, a do tego prześliczną basetlę. Gdy jéj każe w swém imieniu przemawiać, to miło posłuchać: i pięknego śpiewu i rozlicznych akcentów, wyjąwszy w rytmie mazura, a nawet niektórych biegników; a wszędzie dojrzéć można pewną samodzielność, tę nie-

omylną cechę prawdziwych artystów. Samodzielność ta lubi się objawiać niespodziewanemi rzutami fantazyi niechętnéj więzom, jakie jéj fantazya kompozytora narzucić pragnie, wybuchem gwałtownego smyczkowania, lub nagłą zmianą w szybkości ruchu muzycznego. Już to taka mania wirtuozów; zawsze się im zdaje, że autor nie pojmował swego dzieła dokładnie, i biorą na siebie pokazanie jego piękności, ale pod warunkiem, że je przerobią, pokurczą, rozwloką i z autora zrobią swego najniższego sługę. Ale cóż robić! ręka rękę myje, noga nogę wspiera; panna Christiani pokazała nam nieznanego u nas a znakomitego kompozytora Offenbacha (Modlitwa i Bolero), więc Offenbach musiał choć w części ponieść koszta.

Razem z panną Chr. występował p. Mahler fortepianista, „członek cesarskiego konserwatoryum w Wiedniu". Znów jakaś godność czy tytuł, ale tak niejasny, że i ucznia znaczyć może, choć ucznia nie znaczy; bo widocznie p. Mahler o własnéj stąpa sile w świecie muzykalnym, co do wykonania przynajmniéj, lubo nie tak ona wielka, by go mistrzem zrobiła. Odbierzcie mu kilka biegników ulubionych, odbierzcie melancholią ogólny koloryt gry jego, zastępujący bogate życiem uczucie: a z mechanizmu nic podobno nie zostanie godnego uwagi, z cieniowania nic pociągającego. Unosić się więc nie ma nad czém, ale słuchać można z przyjemnością, mianowicie gdy na dźwięcznym fortepianie każe *jaskółkom* lotném skrzydłem rozcinać powietrze, albo huczéć *burzy*. Wprawdzie łatwo się pomylić i wziąć jedno za drugie: tak podobne do siebie obie te kompozycye, a z wieloma innemi do znanego utworu Willmersa: *Sehnsucht am Meere*. Z kompozycyj pana Mahler wspominamy jeszcze duet na fortepian i wiolonczellę, wykonany przez autora i pannę Christiani, z którą na kontraktach wileńskich i warszawskich losy koncertowe dzielił. Duet to wcale zgrabny, osnowany na naszéj muzyce domowéj, i tém milszy, że nam przypomniał zapomniane już poniekąd polonezy Michała Ogińskiego. Zapomniane, mówimy, mimo nowéj ich edycyi wydanéj niedawno w Petersburgu, ozdobionéj jeszcze winietą, przedstawiającą tańczących polonéza, ale niesłychanie drogiéj, bo złp. dwadzieścia; to zawiele, mianowicie obok niewyczerpanego jeszcze wydania wiedeńskiego, trzy razy tańszego. Ale wróćmy do duetu pana Mahler. Wszystko szło jak najlepiéj, dopóki nie nadeszły krakowiak i mazur; tylko po znanych motywach i zapowiedzeniu domyśléć się ich mogli słuchacze, bo krakowiak wyszedł na anglęza, a mazur zrazu jaki taki, od połowy jął zmykać jakby go kto gonił i skrył się nareszcie w końcowe duetu formuły, jakby się wstydził czego; to pewnie ze złości, że tak nieosobliwie się z nim obchodzą. Jużto zwykle cudzoziemcy nawiedzając nas, chcą nam okazać, że uznają naszę narodowość, jakbyśmy tego potrzebowali, a może dworują nam tylko. Bóg ich tam wie! dosyć, że nam to śpiéwają (a jakim językiem), to grają najczęściéj mazura (szczęście, że skakać nie każą), a my się z tego cieszymy, jakbyśmy go lepiéj od nich zagrać lub zaśpiewać nie umieli. Boże odpuść i zapłać im za dobre chęci jeśli je mają!

Mówiliśmy wyżéj, że miło było posłuchać nawet niektórych biegników panny Christiani, a więc nie wszystkich. Cóż dziwnego? to się nawet i Kellermanowi, chociaż piérwszemu wiolonczeliście dworu duńskie-

go niezawsze udaje. Jeden tylko Servais piérwszy wiolonczelista króla belgijskiego mistrzem się okazuje w pokonywaniu wszelkiego rodzaju trudności. Mistrzowstwo gry jego nigdy niezachwiane pod względem mechanicznym, daje mu swobodę niezmierną w pojmowaniu wykonywanych kompozycyj; a że to są najczęściéj własne jego utwory, zawsze zgrabnie utoczone, przyzwoicie prowadzoną przygrywką zręcznie podparte i wykazujące doskonałą znajomość instrumentu głównego: więc niepodobna, by zadowolony słuchacz nie powiedział sobie: Servais, to piérwszy z piérwszych wiolonczelistów. Ma jednak i on swoję ujemną stronę wedle naszego widzenia. Niezmierna łatwość z jaką pokonywa największe trudności, chłodnym go nieco robi, zbyt panem samego siebie; a ztąd przebija się w grze jego pewne lekceważenie nie słuchaczów, ale rzeczy wykonywanych, muzyki nawet, że tak powiemy; nic go prawie nie uniesie, nic nie rozpłomieni. Widać, praca jego była tak niezmierna i sumienna i taką zdolnością wrodzoną poparta, że znikła zupełnie, zostawiając miejsce prostocie i igraszce, w dobroduszność nieraz przechodzącym. Dodajcie do tego uczucie i melancholiczny ton basetli, a będzie z tego lekka humorystyka, rys przeważny kompozycyj Servais'go, któreśmy dotąd poznali, rys uszlachetniony chwilami tkliwości, co właśnie humorystykę dokładniejszą czyni. Więcéj łez nie zaszkodziłoby jéj wcale.

Kto chciałby niemi słuchaczów swoich zatopić, to Kossowski Samuel, ostatni wiolonczelista o którym tym razem mówić mamy, którego ktoś nazwał Servais'm polskim, a drugi i trzeci ktoś powtórzył, a wszyscy ktosie nie pojmowali, że jeśli Kossowski ma jakie zalety, to zapewne nie z tego rodzaju, które Servais'go wywyższają. Od ktosiów rzecz do gazet się dostała, a jakże się dziwić naszym gazetom, które dla chwały narodowéj i pożytku duchowego ziomków powtarzały to, co urzędowe i nieurzędowe (1) gazety zagraniczne niemieckie i słowiańskie krzyczały, a co się da streścić w tych kilku wyrazach: nie ma jak Kossowski!? I przybył nareszcie długo wyglądany i dał dwa koncerta. Na piérwszym pełna

(1) Tojest te, które się wyłącznie muzyką zajmują, i te, które niektóremi tylko jéj symptomatami feilleton swój zasilają. Że w tych ostatnich nie zawsze sprawozdania muzyczne powierzane bywają ludziom specyalnym, dowodzi wszechstronności i emancypacyi dziennikarstwa; że zatém istotnéj, treściwéj, pouczającéj krytyki szukać tam nie można, dowodzić niepotrzeba. Przyznać téż należy, że i same te pisma do tego nie mają pretensyi, i mówią dlatego tylko, że im mówić wypada. Że jednak i specyalnym pismom przez specyalnych ludzi redagowanym, niezawsze ufać można, przekonał się każdy, kto je czytywał czas jakiś, i miał sposobność sąd swój do ich sądu przymierzyć. Gdy chodzi o rzeczy ważne i znakomite dzieła, znajdą się ludzie wytrawni z głębokim poglądem, erudycyą stosowną; ale takie artykuły jak i powód do nich rzadkie bywają. Słynęły z nich niegdyś Cäcylia w Moguncyi pod redakcyą Webera, berlińska, gdy przez kilka lat pod kierunkiem była Marxa, ale nad wszystkie lipska *Allgemeine musikalische Zeitung*, przez lat pięćdziesiąt przez firmę Breitkopfa i Härtla wydawana. Ustała i ta w 1848 r.: tak polityka głowę zawróciła Niemcom słynnym z muzykalności i zamiłowania w teoryi i badaniu. Z francuzkich zasługę położyło niegdyś *Revue et gazette musicale* Fétisa, ale po przeniesieniu się jego na dyrektora konserwatoryum w Bruxelli straciło wiele, choć od czasu do czasu przez byłego redaktora i kilku zdolnych ludzi zasilane. W ogóle mówiąc o całéj literaturze peryodyczno-muzycznéj za granicą, powiedzieć można, że niemiecka ciężka, sucha, drobiazgowa, ale po większéj części bezstronna. Francuzka lekka, ele-

sala teatralna zabrzmiała oklaskiem powitania, tak powszechnym i przeciągłym, jakby każda dłoń z zapałem w drugą bijąca, do rodzonego brata artysty należała. Tak też było w owéj chwili; alboż to nie ma węzłów równie silnie jak krew ludzi łączących, iskier świętych, co w okamgnieniu wszystkie serca obiegną i poruszą? Alboż człowiek nie jest piérwéj obywatelem niż artystą? Więc te poklaski, to dowód serdecznéj sympatyi, wiary w gieniusz domowy, żądza zbudzenia słodkich marzeń, czasem smutnych pamiątek. Kogo przyjął taki poklask, jaki się tylko ludziom zasłużonym i ustalonéj wziętości zwykł dostawać, ten bez zasług być nie może, choćby chwilowych, przechodnich, może ze sztuką nic wspólnego niemających, albo bardzo mało. Pamięć takiego przyjęcia powinna w sercu przyjmowanego wzbudzić myśli i dążności, gdyby można przypuścić, że ich nie miał jeszcze, bo niezmierna odpowiedzialność ciężyć na nim zaczęła. Kto ufa swéj zasłudze, szczęśliwy w takiéj chwili! ale biada mu, jeśli natychmiast dowieść jéj nie potrafi. Udałoż się to Kossowskiemu?

Nazajutrz po koncercie spotkało się dwóch ludzi. Jednemu z nich naiwni od czasu do czasu pragnęli narzucić katedrę krytyki muzycznéj, dlatego, że śmiał głośno zdanie swoje wypowiadać nie oglądając się na nikogo, ani na siebie nawet, i że mu się zdawało, że pojął różnicę między *f* i *fis*. Drugi pracował zupełnie w innéj gałęzi, ale że ładnie kiedyś tańczył (co mu podobno karyerę zrobiło), a tańczy się z muzyką, i posiadał wiolonczellę o któréj mówił, że ją chłop robił, ale że za nią nie przyjąłby najlepszéj basetli Servais'go, więc mu się zdawało, że się zna na muzyce, szczególniéj gdy o basetlę chodzi. A niezłe widać miał serce, bo się tamtemu piérwszemu na szyję rzucił i składając dłonie jak do modlitwy, zawołał: „A niechże Duch Święty zstąpi na ciebie, byś nam godnie opisał cośmy czuli wczoraj na koncercie, bom widział, żeś i ty bił *bravo!* I pobiegł daléj nie czekając odpowiedzi, tak jéj był pewny. A więc i drugi poszedł w swoję drogę. Niebawem ktoś go ciągnie za połę: „A co Kossowski? *zmiłuj się!* zbiczuj go *bez miłosierdzia!* a też to straszna rzecz! nieprawdaż?.... Widziałem, jakeś się wczoraj złościł!" Hmhu!—była odpowiedź nagabanego, bo tamten biegł na jakiś kwartet, jak mówił i pilno mu było, boby nie miał kto wiolonczeliście kart przewracać i kiwać nad nim głową w takt; grał przytém na harmonijce, którą od czasu panny Dulcken melofonem nazywał, i biegły był w wydobywaniu tonów z grzebienia, które żona jego passyami lubiła. Zafrasował się biédny recenzent i spotkawszy nas na ulicy, zwierzył się kłopotu swego, a my czytelniku, tobie.

Dla nas z tego tyle korzyści, że to nas uwalnia już od bliższego wchodzenia w zasługę pana Kossowskiego; dwoiste owo spotkanie odbiciem

gancka, grzeczna, choć niekiedy w poważniejszym artykule przyznaje wartość tego ballastu pisma. Że się do purytanizmu muzycznego nie skłoni nigdy duch narodu i literatury bieżącéj, zaręcza; zalecają np. w piśmie muzycznem okulary od popiołu i dymu na kolejach żelaznych chroniące, bo wzrok do muzyki potrzebny! Sądy w pismach ulotnych polskich, niech charakteryzuje kto chce. Specyalnych dziś nie ma, choć dawniéj przy mniéj rozszerzonem wychowaniu muzycznem, wychodziły pod redakcyą K. Kurpińskiego, a potém Józefa Cichockiego.

jest zdań sprzecznych pod tym względem. Tak samo zupełnie było przed siedmioma laty, gdy Kossowski już po raz drugi z Berlina do nas zawitał; więc aby się nie powtarzać, pozwalamy sobie odesłać ciekawych do tego, cośmy wówczas napisali (Bibl. Warsz. 1845, t. I). Że jednak coś się przez ten czas zmienić musiało, więc i my kilka wyrazów dodamy. W wykonaniu, p. K. zyskał cokolwiek na czystości intonacyi: pewniejsza jest teraz; w mechanizmie taką odrobinę, że nie ma o czém mówić. Jestto widoczne, że do téj strony techniki instrumentu nie ma usposobienia z natury, boć musiał pracować. Do effektów, jakie lubił dawniéj z basetli wydobywać, dodał jeszcze jeden, ale nie estetyczniejszy od niektórych dawniejszych. Nazwać go nie umiemy, ale przyrównawszy go do brzęczenia owadów skrzydlatych, może go przypomnimy tym, którzy słyszeli, i opiszemy tym, którzy go nie znają. W śpiewie, za pomocą którego dawniéj podbijał serca, bodaj czy p. K. nie stracił, bo przesadza tkliwością: zbył się wszelkiego jędrności pozoru, jakby mniemał, że wiolonczella tylko łzawe akcenta wydać umié, a każdy śpiéw koniecznie *adagio* być musi. W cóż się zamienił dzielny Szopena mazur (dzieło 6te nr. 1szy), w co krakowiak gracki w wieńcu melodyj słowiańskich?

Niech p. K. posłucha dobréj rady, jeśli wyrazy nasze do niego dolecą, i przestanie przekręcać charakter melodyj, bo charakter właściwy mieć muszą, więc niech wszystkim jednego nie narzuca. Niech pomni, że im melodya rozleglejsza, tém więcéj urozmaicenia potrzebuje, bo ztąd właśnie płynie ów charakter ze sprzeczności w częściach uwydatnienie zyskujący. Niech przestanie być jednostronnym i odda się rodzajom muzyki za klassyczne uznanym, a mianowicie autorów, którzy rozumieli dobrze wiolonczellę; to mu umocni smyczek i przekona go, że rozmaitość akcentu siłę jego stanowi; to mu wreszcie mechanizm wszechstronny wyrobić musi. Niech porzuci czcze igraszki smyczkiem, dobre dla ciemnéj gawiedzi, nie publiczności oświeconéj, pragnącéj prawdy uczucia. Igraszki te stosownie zażyte, mogą jednak zająć np. w karnawale weneckim, który tym razem postny nam się cokolwiek zdawał, może po Kątskim i Kellermanie. Nadto niech p. K. wyrzecze się swych kompozycyj dotychczasowych, niech przyszłe staranniéj wypracowywa, nada im formę, rozmaitość ducha; a gdy zechce nam spleść jaki wieniec melodyj, bez zadania sobie pracy w jego układzie: niechże go przynajmniéj kompozycyą nie nazywa, ale poprostu pot-pourri;—to skromniéj i prawdziwiéj.

Tak zrobił p. Nikodem Biernacki, gdy nam dla urozmaicenia bogatego programem koncertu, zagrał „Pot-pourri z pieśni gminnych". Wielu przytomnych piérwszy raz wówczas słyszało kołomyjkę i to wykonaną z zapałem, jaki się ma zwykle dla pieśni, która nam w dzieciństwie niańczyła, bo p. B. jest Galicyanin rodem. Dziwna rzecz! w kołomyjce nawet skrzypce rosły w siłę, któréj im w innych utworach brakło. A przecież mimo braku téj siły, jakże wysoko podnosił się p. B. duchem i mechanizmem, wykonywając np. koncert Spohra i Sen Artôta! Dwa te ostatnie numera jego koncertu, zyskały mu wszystkie głosy, jeśli poprzednio wszystkich jeszcze nie pozyskał. Spohr pokazał się głębokim, szerokim, szlachetnym, poważnym mistrzem, jakim jest właśnie w kompozycyi i wykonaniu; Artôt, któregośmy krótko przed śmiercią jego słyszeli wykonywa-

jącego utwór, który p. B. także wykonywał, Artôt wskrzeszony został przez naszego ziomka: dzielny, namiętny, tkliwy, fantastyczny! Niepodobna się tu omylić; p. B. jest dziś znakomitym, a będzie wielkim skrzypkiem. Ale mu gwałtem dzielniejszego tonu trzeba, czy też skrzypiec innych (1).

A że mówimy o skrzypkach, nie możemy pominąć p. Serwaczyńskiego, jednego z weteranów szkoły skrzypcowéj, który wystąpieniem na korzyść ubogich dowiódł miłości bliźniego i miłości dla sztuki. Szczęśliwy, że prócz rozkoszy artystycznych nic od niéj żądać nie potrzebuje, choć ma prawo żyć z kościoła, kto kościołowi służy.

O dziesięcioletniéj Ludwice Bärwolf, o któréj mówią powszechnie że już daleko zaszła na drodze, którą wielcy skrzypkowie chodzić zwykli, nie powiedzieć nie umiemy, bośmy jéj nie słyszeli. Mamy za zasadę unikać koncertów dzieci, gdy do naszych rodaków nie należą, bo w dzieci-*artystów* nie mamy wiary. Nie skutek to uporu, ale przekonania, opartego w części na doświadczeniu, w części na rozumowaniu. A gdy nam mówią, że dziecko gra jak człowiek dojrzały, to sobie myślimy: że to już nie dziecko duchem przynajmniéj, jeśli jeszcze laty, i smutno być świadkiem jakiegoś zbłąkania natury. Chyba, że muzyka niczém jest dla ducha, skoro go i dziecko przedrzeźnić może; a to znów nie zgadza się z całém naszém pojęciem o życiu, duchu i sztuce. Więc raczéj nie wpływać między Scyllę i Charybdę, niż tu lub tam się rozbić.

Sięgnijmyż teraz pamięcią koncertu p. Ig. Krzyżanowskiego. Ziomek to nasz, Krakowiak rodem, uczeń zrazu tamtejszych nauczycieli, daléj konserwatoryum paryzkiego; artysta, który choć nie umiał tego rozgłosić, umiał zwiedzić o własnych siłach najznakomitsze Europy strony, dać się poznać mocą swego talentu i zjednać sobie dobre imię u tych, którzy wiedzą, co się należy prawdziwemu artyście, żyjącemu więcéj w sobie i swéj sztuce, niż służącemu jéj manierom i próżności ludzkiéj. Więc nieliczne musiało być grono tych, którzy go ocenili, bo tylko częsty rozgłos choćby najsztuczniejszy, choćby najwidoczniéj szarlatański, wziętość u nas zjednać może. Że jéj p. K nie zyskał, niemniéj dlatego prawdziwym artystą został, a może czystszym od wielu innych, którzy umieją zabiegać,

(1) Może wreszcie i tych samych, ale *dostrojonych*. Dostroić narzędzie smyczkowe znaczy się części jego tak urządzić, by wszystkie razem złożone, wydawały w drzewie samém tylko pewny ton, który sobie korrektorowie za podstawę biorą. Wielu z nich, a więc i skrzypków uważają to za chimerę, ale tak nie jest, jak dowodzą badania szczegółowe przez uczonych francuzkich (np. Savart'a) podjęte i praktyka artystów. Tak w Kur. Warsz. 1837, nr. 345 czytamy podziękowanie Artôta za dostrojenie i wyregulowanie jego skrzypiec przez warszawskiego korrektora Kanigowskiego. Po tém poważném świadectwie gdy dodamy, że nasi artyści, jak Bielawski, Baranowski i Frankenstein grywali lub grywają na skrzypcach roboty lub korrekty Kanigowskiego, że Artôt, Ghys, Ernst kupowali od niego smyczki, że prócz wzmianek krajowych i zagraniczne pisma zachwalały lakier pomysłu jego: oddajemy tym sposobem co się zasłudze należy. Skrzypce jedne z najlepszych jakie Warszawa posiada z fabryki J. C. Rogerius ucznia Mikołaj Amati (Brixia, 1695) własność p. Kanigowskiego i korrygowane przez niego, za wysokocenne przez znawców uznane, mogłyby w potrzebie używane być do koncertów przez artystów, którzy własnych tak doskonałych nie mają, a mniemamy, że właściciel nic przeciw temuby nie miał ,bo, jak nam wiadomo chętnie już ich użyczał.

by sławę do hałasu zmusić. Świat to praktycznością nazywa; niepomny, że to ocieranie się o niego zaraża serce brudem, a przynajmniéj strząsa ideały jak liście z drzewa powiéw jesiennego wiatru, i zostaną nagie konary. Artysta tego rodzaju jak p. K. mniéj wykonywaniem błyszczy, bo gra choć nieraz znakomicie, ale nigdy dlatego tylko; lecz by została myśl jakaś, jedno z uczuć na widownią weszło. Ale taki artysta jest zawsze kompozytorem sumiennym, głębokim, samoistnym; tak też p. K. Jego prace nie opierają się na bawidłach i świecidełkach (choć umié i to pokazać gdy zechce), ale z męzką dzielnością wysnute są z duszy: więc treść ich poważna i szlachetna potrzebuje znawcy, by być ocenioną, wsłuchania się, by być pojętą. Szczególniéj odnosi się to do prac większego rozmiaru, z których dwie na swoim koncercie nam przedstawił i które choć nazwę fantazyi noszą, nic z fabrycznemi tego nazwiska wyrobami nie mają wspólnego. Jedna z nich osnuta na pieśni o Żołkiewskim, przeznaczona jest do wykonania z pomocą chóru; że to pięknie byćby musiało, wnosimy z owéj modlitwy Rossiniego, którą Kątski z podobnąż pomocą na swoich koncertach w Warszawie wykonywał. Inne drobniejsze kompozycye p. Krzyżanowskiego znane są pewnie, a przynajmniéj znanoby być powinny tym, których domowe rzeczy obchodzą, i choć z rozgłosu tym, którzy Bibl. Warsz. z 1850 r. t. III czytali, a w niéj sprawozdanie nasze o pracach niektórych polskich kompozytorów; lubo wiemy, że jeśli liczba piérwszych bardzo mała, co rzecz smutna, to drugich pewnie nie większa: co dla piszącego i opisywanych także niepocieszające.

Z cudzoziemców oprócz wspomnianego wyżéj p. Mahler, słyszeliśmy na fortepianie p. Volange Belgijczyka, który z Servais'm do nas zawitał i jako biegły wirtuoz dał się nam poznać, i pannę Zofią Dulcken, mniéj wprawdzie panującą nad fortepianem niż jéj kuzynka Bohrer, którą niedawno podziwiała Warszawa, odznaczającą się jednak. Ztómwszystkiém nie myślimy zastanawiać się nad nią i p. Volange; cóż bowiem mówić o zdolnościach średnich na dzisiejsze czasy, gdy znakomitsze nawet powszedniéć już zaczynają, gdy pamięć tak mało zatrzymała wrażeń, że zbierać ich nawet nie ma ochoty! Nawet melofon Izabelli Dulcken kryje się w mgle zapomnienia, ale go gwałtem wywleczemy do światła, by mu się jeszcze przypatrzéć. Myśmy tak chciwi nowości: oto instrument nowy, a z nim nowa rozkosz dla świata! Gdzie tam! toćto zwyczajna harmonika ręczna, któréj brzmienie rozlega się po tylu ulicach Warszawy, po tylu przedpokojach i pokojach; tylko, że to harmonika uszlachetniona, ulepszona, powiększona, a nadewszystko czyściéj wystrojona. Wystawcie sobie ten instrument w ręku młodego dziéwczęcia, a raczéj zawieszony na jéj giętkiéj szyi; wystawcie sobie jak go z wdziękiem trzymając chwieje się w tę i owę stronę niby trzcina powiewna; dodajcie do tego mechaniczną biegłość bez porównania wyższą, niżeliście kiedy na harmonice widzieli i słyszeli, nakoniec zgrabny przekład czy tam układ kilku fantazyj ze znanych tematów i z towarzyszeniem fortepianu: a będziecie mieli obraz melofonu i tego, czém się wydać musiał. Głos podobny do głosu narzędzi dętych drewnianych; jakkolwiek do wielu odcieni w sile jest zdolny, nigdy ich głosu nie zastąpi w orkiestrze, bo ma i skalę dosyć ograniczoną, (jak miał przynajmniéj melofon panny D. lubo temu łatwo zaradzić) i nie

może być tak wyrazisty jak w tamtych bezpośrednio tchnieniem człowieka ożywianych, a długo słuchany głos ten zbyt brzmi miękko, zbyt jest syczący, by mógł zajmować. Nie mniemamy też aby się upowszechnił, z powodu manipulacyi odrębnéj przy użyciu jego potrzebnéj. Fis-harmonika i Eoli-melodykon upodobnione pod tym względem do znanego powszechnie fortepianu, przystępniejsze więc dla wielu, niebardzo się jednak rozszerzyły. Więc i melofon minie podobno jak tyle różnych narzędzi muzycznych, które kiedyś wiele hałasu narobiły, ale w użycie nie weszły, jako nie przedstawiające nic nowego w głosie i zasadzie, a więc i w charakterze. Zresztą narzędzia dęte, które melofon naśladuje, tak ważnym zaczynają dziś ulegać ulepszeniom, że tém silniéj z muzyką się splotą, i tém lepiéj potrzebom jéj dogodzą (1).

Szczególniéj pomoże to klarnetowi, lubo i teraz gdy p. Tropiański gra na nim, zdaje się on należéć do tych narzędzi, którym nic lub mało co braknie. Ton słodki, tkliwy jak pieszczota: to śmiały jak mąż czujący swą siłę, to ledwie słyszalny jak westchnienie, a zawsze szlachetny, jest może dowodem dobroci klarnetu, który p. Tropiański posiada, niemniéj jednak dowodem jest wielkiéj sztuki zadęcia, nie tak pospolitéj i łatwéj jakby się zdawało. Bo klarnet, to jedno z najkrzykliwszych narzędzi dętych, gdy kto nad niém panować nie umié. Gra pełna intelligencyi i expressyi zaleca p. Tropiańskiego, i by został nienagannym, potrzeba mu wyrzec się jednego tylko effektu, którego nazwać nie umiemy, bo podobno nie ma nazwiska jako nieużywany, a polega na przesuwaniu palca nad jedną z dziurek klarnetu. Ton przez to staje się chwiejący i jakiemuś *mlaskaniu* podobny, co, zdaniem naszém, z dobrym smakiem się nie zgadza.

Z wielkich koncertów instrumentalno-wokalnych, których kilka było, niech nam wolno będzie wyróżnić jeden tylko i to ostatni. Nie dlatego jednak, by tamte bez interesu były, ale dlatego, że ten wszystkie pod tym względem przewyższał, więcéj miał numerów, nowsze w ogóle mówiąc, i daleko potężniejszemi przedstawiony był siłami, dlatego też i rozmaitszy; a oprócz tego wszystkiego odznaczał się kompozycyami rodaków jeśli nie co do liczby, to co do rozmiaru i polotu. Ostatni ten szczegół jest nam prawie najważniejszy, bo jeśli wysoko cenimy pracę i zdolność do wykonania zwrócone, wyżéj stawiamy zawód kompozytora. Raz dlatego, że jego twórczość wykonanie poprzedza i powód mu daje, drugi raz dlatego, że ważniejszą jest i rzadszą rzeczą pomyśléć i stworzyć, niż zrozumiéć i odtworzyć. A dotąd jeszcze mimo licznych na tém polu pracowników naszych (obacz Doręcznik muzyczny), zaledwie jednego na stu zagranicznych słyszéć możemy. A przecież w sztukach pięknych doszli już ludzie do tego przekonania, że narodowość jest jednym z najważniejszych ich przymiotów, bo nietylko prowadzi za sobą nowość pomysłów, ale i oryginalny pogląd na wszystko czego dotyka. Zaledwie widzimy potrzebę ostrzedz, że nie mówimy tutaj o nędznym zlepku nieudolnie w łachmany muzyczne odzianym, co jednak, niestety! zarozumiałość, bez-

(1) Kto ciekawy dowiedzieć się czegoś więcéj, niech w Doręczniku muzycznym poszuka w słowniku wyrażenia: Narzędzia muzyczne dęte.

czelność, ciemnota podają za kompozycye oryginalne i narodowe; ale o tém, co istotnie godne tego nazwiska. Wówczas nietylko szlachetniéj i zręczniéj zrobione jest wszystko co trzeba było, ale nawet nie ma naśladownictwa cudzych manier, bo się to nie zgadza z oryginalnością, nie ma mozolnego zszywania pomysłów choćby i własnych, boć to zawsze się rozłazić będzie. Nie przeto wymagamy tu arcydzieł, bo teraźniejszość podobno nigdy ich nie posiada, żywiąc się pracami przeszłości, a swoje pod uznanie przyszłości oddając; ale pragniemy tworów z których przemawia samoistność, sumienność, pojęcie rzeczy, władanie techniką, a więc uczucie i wiedza. Oboje mogą być niedojrzałe i błądzić, ale czują swoję siłę, a gdy się wyrobią, to arcydziełami mogą przyszłość zasypać. Jużto zawsze większéj nadziei jest człowiek rozumujący, choćby paradoxa popierał, niż inny powtarzający potulnie za panią matką paciérz. Lecz sile i wiedzy trzeba dać czas i miejsce, by się rozwinąć mogły; trzeba im publicznie się pokazać, by téż bracia mogli powiedzieć co o nich trzymają. To téż gdy który wirtuoz-kompozytor występuje, zwykł swoje twory przedstawiać, bo pewnie nikt inny pod opiekę ich nie weźmie; bliższa koszula ciała niż sukmana. Ale cóż zrobi biedny kompozytor, gdy mu do wykonania jego pracy dziesięciu własnych palców i jednego narzędzia niestarczy, gdy pisze na orkiestrę, gdy mu potrzeba śpiewaków solowych i chóru? U nas to wszystko znajduje się tylko przy teatrze i na jego usługi (1), teatr zaś wszędzie, a więc i u nas mało przystępny dla kompozytora, bo każda dyrekcya woli być pewną swego niż ryzykować, bo jéj obowiązkiem jest utrzymanie mnóstwa osób. Nie jedynym przecież: drugim jest trafne pojęcie potrzeb publiczności, obudzenie powszechnego interesu, uznanie domowych talentów, a mniemamy, że spełnienie tego obowiązku wiele ułatwia spełnienie piérwszego. Z radością téż widzimy, że od niejakiego czasu dyrekcya naszych teatrów na tę drogę weszła: — oto dowody.

Koncert ów, który dał nam powód do tych uwag, rozpoczął się uwerturą pana Małgockiego. Przy jéj zaczęciu zaraz można było poznać,

(1) Gdzieindziéj w krainach istotnie muzykalnych, każde większe nieco miasto ma orkiestrę i śpiewaków dostateczną liczbę, by wykonywać twory licznego nawet obsadzenia wymagające. Miasta wielkie tak są pod tym względem zamożne, że w kilku miejscach równocześnie to samo czynić mogą. Gdzie brak muzyków z powołania, tam amatorowie stają w szeregi. Więc i u nas mogłoby to być jako tako, boć przecie na tylu muzykalnych coś dałoby się zebrać, lubo o orkiestrze amatorskiéj marzyć niepodobna. Ale trzeba uznać potrzebę zjednoczenia sił rozproszonych i zacność wspierania się wzajemnego, a nadto pozbyć się dwóch uprzedzeń: żądzy błyszczenia jako *solista*, jak gdyby tylko *solo* było muzyką godną słuchania; i fałszywego wstydu wystąpienia publicznego, jeśli nie na ubogich; jakby artyści niemi nie byli! Wtenczas muzykalne życie pewnieby się u nas podniosło. Dowodem Wilno, w którém niespracowany Moniuszko przywodząc połączonym artystów i amatorów siłom, robi więcéj i częściéj, niż pięć razy ludniejsza Warszawa. W niéj ledwie gdzieniegdzie zbierze się kwartet amatorski, lub chór nieliczny głosów ludzkich, szczególniéj gdy się dam do uczestnictwa nie wzywa. A przecież tyle ich śpiewa! Wiele z nich nigdybyśmy może nie posłyszeli, gdyby nie istniały włoskie arye, z których, mówiąc nawiasem, ani słowa nieraz nie rozumieją. *Se peut-il qu'il y aie des chants polonais?*

że autor posiadł ów wielki instrument orkiestrą zwany; wydobył zeń kilka tak świeżych effektów, że za nowe ujśćby mogły, ale ich zawiele używał. Gdyby zadaniem téj uwertury było otworzyć jakąś uroczystość publiczną, pewnieby nie mogła silniéj być instrumentowaną, a i takby jeszcze przeładowaniem grzeszyła. Ogólny więc jéj koloryt jest siła nie pomysłów, ale siła z massy dźwięku pochodząca, a tak często i długo używana, że prawie w monotonią przechodziła. Więcéj sprzeczności—bo to uwydatnia szczegóły; więcéj cieniowania—bo to urozmaica obraz i lepiéj prawdę przedstawia; więcéj umiarkowania—bo siła w porę użyta, większy skutek czyni. Formie téj uwertury prócz rozwlekłości wstępu nic zarzucić nie można; podobna jest używanéj powszechnie, a nie tak to młody kompozytor zwykł nowéj dla swych pomysłów wyszukiwać, a raczéj nie zwykła ona w pierwszych pracach pokazywać się oryginalną. Bo to potrzebuje niezmiernego wyrobienia, owładnienia z góry całości i odlania jéj jednym niemal zapędem, a nadto poglądu oryginalnego na świat, popoglądu zapowiadającego nowość samém przedstawieniem tematu. Ten, który p. Małgocki za osnowę do swéj uwertury wybrał, z jakiejś piosenki ma być wzięty. Może tak nie jest, ale choćby tak było, oryginalności na przeszkodzie nie staje: bo rzecz dobrze już nawet znana może być w oryginalny sposób przedstawioną, a używane w kompozycyi na orkiestrę prowadzenie tematu tak może być rozliczne, że łatwo je odznaczającem się zrobić. Przecież o wydatności przedewszystkiém pamiętać trzeba, a téj tu i owdzie brakło panu M. z powodu zbyt massowego orkiestry użycia. Drobne to wady w porównaniu z zasługą widoczną z całości; autor zbyt dobrze włada orkiestrą, zbyt dobrym jest muzykiem, by nie polubił prac tego rodzaju; i może doczekamy się chwili, że wolno nam się będzie pochlubić kotlistą naszym, jak się chlubi niejedna z zagranicznych orkiestr ludźmi do jéj składu należącemi, a oddającemi się kompozycyi.

Jedném z trudniejszych dla orkiestry zadań jest naśladowanie effektów jakiego narzędzia, bez jego pomocy; tak każdy z instrumentów używanych mniéj więcéj ma własny, wydatny charakter. W tym właśnie przypadku jest fortepian. Trudność ta, powiedzmy szczerze niepodobieństwo, wyszło na jaw w przekładzie znanego marsza żałobnego z Sonaty Szopena (op. 35) dokonanym przez p. Quattrini na orkiestrę, śpiów solowy i chór z tekstem: Libera me domine de viis inferni etc. Rozpoczynające akkorda naśladujące dzwon pogrzebowy nie mogły miéć tego rozdźwięku, jaki mają w oryginale: za to ciąg dalszy odział pieśń Szopena uroczystością i głębokością, jakiéj fortepian nie sprosta. Szczególniéj też część druga i trzecia powierzone głosom solowym, mimo skręcenia w inną niż w oryginale tonacyą (tamta byłaby zawysoką dla śpiewających), pięknie się wydały. Dwie te części zawsze się nam zdają ostatniém pożegnaniem ulatującéj na łono wieczności duszy, roztkliwionéj żałością pozostałych; prawieby do nich powrócić chciała widząc łez, słysząc łkań tyle. Bolejąc nad niemi zdaje się im opowiadać błogi odtąd spokój i nadzieją pragnie utulić smutki mające wkrótce się ozwać. Szopen umiał litować się nad temi, co pozostali i płakać po tych, którzy ich wyprzedzili. Dziś i on już do ich liczby należy; niech dusza jego używa spokoju jedynego, jaki

istnieje, a muzyka jego niech jak największéj liczbie tych, co za nim pójdą, przygrywa:—ziemia lżejszą im będzie. W téj pracy pana Quat. miło nam Polakom widzieć uznanie wielkiéj straty, jakąśmy w osobie Szopena ponieśli i podziękować mu że nam ją przypomina. Smutnato przysługa, a jednak istotna; wszak boleść rada karmi się łzami, a w tym marszu Szopena tyle łez smutku ze łzami nadziei zmieszanych! A więc do każdego muzykalnego o Szopenie wspomnienia melodya tego marsza konieczną się zdaje. Tak zrobili Niemcy, gdy pod przewodnictwem Hillera wyprawili muzyczno-pogrzebową uroczystość pamięci Szopena, tak zrobił p. Dobrzyński w marszu swoim na uczczenie pamięci wielkiego ziomka napisanym. Może go w jaką smutną rocznicę posłyszycie.

Wspomniawszy już raz pana Dobrzyńskiego przeskakujemy mnóstwo numerów dopiéro co rozpoczętego przeglądem koncertu, by pomówić o hymnie religijnym tego autora, ułożonym na głosy solowe, chór i orkiestrę, z prostéj naszéj pieśni Św. Boże i t. d. wysnutym; z pieśni prostéj, ale tak wielkiéj i głębokiéj, jak prostota natchniona. Któż jéj nie zna, skoro od tylu wieków rozlega się po naszéj Polsce od chatek do pałaców? Błogosławiona pierś, z któréj tyle modlitwy i pokory muzyką się wyrwało! wielkieto serce, które umiało zestrzelić w sobie boleść całego ludu: pękłoby od niéj, ale ją pieśń wyniosła i na progu Pana złożyła jako ofiarę, a miliony do coraz nowych pokoleń należące, mnożą ją swą boleścią i żebrzą litości. Czyjażto pierś, czyjeżto serce? Gdybyście zapytali historyi o wielkich zbrodniarzy, albo o tych, co posiadają sztukę mordowania tysiąców, a wyciskanie łez milionom, to skwapliwa historya na każdéj karcie sto imion wam pokaże; ale nie wié o dobroczyńcy, który pieśń stworzył, by ludzkość miała czém odetchnąć, czém łzy otrzéć. Oto czém dotąd była historya!—oby się poprawiła. Trudno jednak jéj będzie dawne zatrzéć winy, bo tak zapomniała, że może nieraz daremnie szukać będzie.

Wojciech Sowiński muzyk, Polak rodem, w dziele zbiorowém: *la Pologne et les Polonais (Paris,* 184....) mówi, że muzykę do pieśni Św. Boże przypisują niejakiemu Marcinowi Lwowianinowi organiście króla polskiego Zygmunta Augusta, a tekst ma być pomysłu Kochanowskiego z Czarnolesia; ale tego niczém nie popiéra. Artykuł jego o muzyce w Polsce wyraźnie wzięty jest z Przyjaciela Ludu z 1837 r. i skrócony z zamieszczonego tam ustępu pod tytułem: Kilka słów o muzyce kościelnéj, poprzedzonego wprawdzie wizerunkiem Marcina Lwowczyka, bez objaśnienia jednak zkąd go wzięto, i bez żadnéj wzmianki co do obchodzącéj nas w téj chwili pieśni. Jasna rzecz, że i Sowiński nie wié na czém swój domysł opiéra, a ze wszystkiego co wiemy o Marcinie Lwowczyku, nic wnosić nie można. Urodził się on r. 1540, a umarł 1589, jak nas uczą różni pisarze nasi, a niektórzy dodają, że jest autorem pieśni nabożnych na rok cały. Pytanie, co tu znaczą *pieśni*: tekst czy muzykę? Być może że tę ostatnią, bo że był w muzyce biegłym, na to się zgadzają wszyscy; ale byłyż kiedy wydane, widział je kto? Na te pytania ani Wiszniewski, ani Wojcicki bogaci zwykle w szczegóły hymnologii dotyczące, odpowiedzieć nie umieją. Siarczyński (Obraz panowania Zyg. III) opiérając się na Zimorowiczu mówi, że Leopolita Marcin byłto muzyk sławny i organmistrz) a to co inne-

go znaczy niż organista) (1), kwitnął za Zyg. Augusta w naukach i sztuce swéj biegły, nowe instrumenta muzyczne wynalazł: a w szkołach lwowskich towarzyszem był Tucholczyka, który tam przez lat pięć był prefektem. Z Siarczyńskiego widać, że i Zimorowicz opiéra się na Starowolskim, który *in elogiis centum illustrium Poloniae scriptorum* ∫ LVI mówi „że lubo wielu jego (Marcina Lwow.) ziomków w Rzymie się ćwiczyło, *a nawet nowe instrumenta muzyczne wynajdywało*, jakoto Krzysztof Kircher, Adam Warka, Mosiążek, i t. d. żaden jednak do téj sławy w Polsce nie przyszedł co Marcin, który prócz domowéj nauki, tojest w akademii krakowskiéj, żadnego nie miał innego nauczyciela". Że Starowolski znawca i teoretyk muzyczny wysoko cenił Marcina, widać z jednego miejsca w *Erotemata musices* etc. Crac. 1650, gdy podając przepis używania konsonansów, mówi: jak też robi Marcin Lwowianin jeden z najdoświadczeńszych naszych kompozytorów (ut videre est in compositionibus Martini Leopolitae musici nostratium consumatissimi). Oto już wszystko, co o Marcinie wiémy, a ze wszystkiego nie widać, czy był istotnie autorem muzyki do pieśni Św. Boże. Ambroży Grabowski w książce pod tytułem: „Dawne zabytki miasta Krakowa", mówi str. 170, że za czasów Zygmunta Augusta (r. 1566) żył Martinus Andrepolitanus, który był oraz mansyonarzem przy kościele Panny Maryi. Podobieństwo przydomka mogło uwieść Sowińskiego, jeśli co o tym drugim Marcinie wiedział, a przykład téj pieśni jaki w nutach podaje, pominąwszy błędy drukarskie łatwe do sprostowania znającemu się na rzeczy, ma jeszcze inne usterki widocznie już nie drukarskie, które nie mogły wyjść zpod pióra takiego mistrza, za jakiego Starowolski Marcina Lwowczyka podaje. Uderzająco to jednak, że Grabowski na liście muzyków Zygmunta Augusta nie znalazł go, skoro go nie wymienia (2). Szczęśliwym okolicznościom

(1) Starowolski mówi *organarius*, co u słownikarzy różnych znaczy i organistę i organmistrza.

(2) Nie ma jak notatki, bo pamięć zawodna; a jednak nie możemy się opędzić posz ptom naszéj pamięci, utrzymującéj, że bliższa wiadomość o melodyi do Święty Boże znaleźć się powinna w dziełku Sobestyana z Fulsztyna (nauczycielem był Marcina Lwowczyka) *Opusculum musices noviter congestum*, czy też w jedném z pism Marcina Kromera (de concentibus musices quos chorales appellamus i musica figurata), które z wymienioném wyżéj dziełkiem Sobestyana z Fulsztyna wydrukowane być miały. Krak. 1534. Wprawdzie Sowiński mówi w miejscu wyżéj przywiedzionem, że muzyka którą załącza, wypisana jest z kantyczek XVI wieku; nie określa jednak bliżéj i dlatego wierzyć mu nie można. Na czém pamięć nasza przypuszczenia swoje opiera powiedzieć nie umiemy; gdyby się jednak nie myliła, to pieśń Święty Boże byłaby jeszcze starożytniejsza, i nie dziełem Marcina ze Lwowa, który się dopiero w r. 1540 urodził. Żeśmy zaś dotąd nie sprawdzili, nie nasza, lecz okoliczności wina, które nam nigdzie nie dały widzieć dzieła Sebastyana z Fulsztyna. Nie należyć ono pewnie do białych kruków, ale rzadkie być musi niezmiernie, a przynajmniéj nieodszukane, jako mające tylko o muzyce mówić. Jestto przedmiot dosyć obojętny dla historyków, a może zbyt specyalny, by chętnie za nim gonili. Bez zgłębienia go atoli zdaniem naszém, że je poważamy się tu objawić, nie będziemy nigdy mieli ani dokładnego obrazu literatury naszéj, ani rozwoju sztuk pięknych u nas, ani więc znajomości istotnéj domowego życia ludu naszego. Mieliśmy tylu znakomitych rodaków i cudzoziemców poświęcających się muzyce u nas, i dla nas; każdy historyk rzeczy domowych pisze o nich, a raczéj jeden drugiego przepisu-

zdając wynalezienie autora pieśni nas zajmującéj, przyjrzyjmy się jéj bliżéj. Starożytności nikt jéj nie zaprzeczy, kto zna historycznie rzeczy muzyczne. Z niéj, jak i z tylu innych pobożnych szczególniéj pieśni dawnych i dotąd przechowanych widać, że podanie umié obronić od zatraty nietylko tekst, ale i melodyą do niego, może jedno i drugie zmieniając w drobiazgach, w głównem zachowując. Więc niedaremnie poeta powiedział:

O pieśni gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty!...

Pieśń jak mowa, jak obyczaj sprzęga odległe czasy, a nawet silniéj od nich; bo gdy obyczaj gubi dawne szaty, mowa się gładzi, rozszerza i przemienia: to pieśń jako tekst zachowała pamięć pogańskich czasów, jako melodya prawie nie zmieniła się przez wieki. Mówimy prawie, bo tu i owdzie lekkie spotykamy jéj odmiany, które dalekie od zatarcia cech tożsamości melodyi, są tylko wypadkiem miejscowego lub chwilowego usposobienia śpiewających, albo kaprysem, może dowodem nawet, że w niéj choć już ulanéj da się pomieścić jeszcze mnóstwo odcieni tego rodzaju, jakie deklamacya do tekstu wprowadzić zdoła. Że nieraz jedna i ta sama okolica różne może mieć sposoby śpiewania, dowodem melodya owa do pieśni: Święty Boże. Dosyć porównać wydany w Krakowie Śpie-

je, ale kto widział ich prace, znajdąż się kiedy? Wprawdzie i pod tym względem coś zrobiono (Wiszniewski prawie tu jedyny), ale co znajome potrzebuje roztrząśnienia i ocenienia, a mnóstwo odszukania. Więc niech dla pracowników naszych na polu badań o rzeczach polskich nietylko malarstwo, snycerstwo i architektura, słowem to, co się da namacać, sztuką będzie; bo dźwięk jest także dowodem życia. Ludzie zapominają, że słuch równie jak wzrok im potrzebny, jakby się im tak łatwo było obejść bez niego!

Widząc z téj strony tyle braku, zapragnęliśmy go choć odrobinę usunąć, o ile nam słabe dozwolą siły. Zbierając więc stosowne materyały należało przedsiębrać w tym celu wycieczki po kraju, a to rzecz niełatwa z różnych powodów, przynajmniéj nie dla każdego. Wielu i szczęśliwych trzeba okoliczności np. by pozwolono tu i owdzie poszukać. To cię wezmą za podejrzanego ajenta przed którym kryć się należy, tó za człowieka, który z próżnéj ciekawości byle powód sobie wynalazł dla przezierania cudzych kątów, to za szalonego, który szuka kwiatu po świątu. Nieraz szczęśliwe odkrycie pójdzie wniwecz albo się zamieni w drobnostkę. Tak się nam stało z dziełem Sebastyana z Fulsztyna, celem gorliwych poszukiwań tak dla teoryi ówczesnéj, jak dla owéj pieśni Święty Boże. W jednym z klasztorów mimo zaręczeń i zaklęć uczonego ojca bibliotekarza, mimo oburzenia na nieufność i natarczywość, udało się nam zyskać nakoniec pozwolenie na przejrzenie biblioteki. Ale ojciec bibliotekarz zwłócząc dzień cały to dla nabożeństwa, to z powodu lekcyi dla młodszéj braci, to potrzebą posiłku i wytchnienia, zapowiedział z góry, że tylko pół godziny czasu zostawia na szukanie, a i tak poświęca czas drogi na dzieciństwa; tém bardziéj, że przekonany jest o daremném poszukiwaniu czegokolwiekbądź *in materia musices*, i tylko dlatego, by nas zawstydzić i nauczyć ufności w słowa starszych. Przerażeni tą jego surowością ze zwątpieniem w sercu jęliśmy się przeglądu. Uczynny ojciec postawił kałamarz jak maźnicę z wielkości i tego co w sobie zawierał, pióro zacięte jak do wykłówania zębów, dla kompletu zaś kawał żółkłego papieru oddarł z jakiegoś rękopisu. Szczęściem, że zaopatrzeni we własne materyały piśmienne, nie potrzebowaliśmy kłopotać się gościnnemi, i dalej do czytania regestrów. Ojciec bibliotekarz stanął założywszy ręce, a na jego twarzy zbierały się groźne chmury, mające spaść burzą na upartego szperacza, jeśli nic nie znajdzie Ale znalazł, a gdy nic nie mówiąc

wnik ks. Mioduszewskiego z Chorałami Gorączkiewicza tamże wydanemi, a oboje z melodyą jak ją lud w warszawskich śpiewa kościołach. Mimo wszystkiego, coby się na niekorzyść miast wielkich powiedzieć dało o czystości serc i żywiołu narodowego zachowaniu, pieśń nasza i ks. Mioduszewskiego (być może, że ją z naszych podań notował), podobniejsza prostotą do téj, jaką Sowiński napisał; Gorączkiewicza gładsza i płynniejsza, jakby wykształceńsza; więcéj może błagająca, mniéj jednak jest silna i serdeczna, jeśliby się tak powiedzieć godziło. Pieśń jakiéj się p. Dobrzyński (Wołynianin rodem) w dzieciństwie swojém nasłuchał i do hymnu użył, jeszcze więcéj jest miękką; bo łącząc potoczystością tonów pośrednich główne, zaciera ich raptowne spadki; ale stała się tym sposobem dogodniejsza do kombinacyj harmoniczno-kontrapunktycznych, którym poddana być miała. A w téj pracy mistrzowstwo pana D. na jaw wyszło, bo pieśń oddawana kolejno każdemu z czterech głosów solowych albo całemu chórowi za podstawę, w innych coraz stosunkach harmonicznych występuje: tojest, tych samych używając tonów, w innych się tonacyach widzi. Utrzymać się przy tém wszystkiém w świeżości, zachować płynność i naturalność, nie każdemuby się udało z równém szczęściem. Tém to trudniéj, że budowa owéj melodyi mimo prostoty wiele ma własnego charakteru i każdéj, by téż mniejszéj z nianie opór stawia; i owszem wszystko jéj towarzyszące do nagięcia się ku sobie zmusza. Oto w czém pomogły kompozytorowi owe płynące stopień po stopniu tony, dozwalając

zapisywał tytuły, ojciec zawsze hm-kał tylko. Nareszcie, o fortuno! Sebastyana z Fulsztyna *Opusculum musices* w regestrze zabłysło; porwał się ze swego miejsca tryumfujący poszukiwacz, a ojciec bibliotekarz ciekawie się przysunął i czytał uważnie.—„A! tak! to było kiedyś, ale dziś nie ma; ojciec Anzelm zabrał przed dwudziestoma laty jeszcze i gdzieś zatracił, a potém umarł."—„Ale zmiłuj się Ojcze, katalog ma dopiero lat dziewięć!"—A wtém zegar na klasztornéj wieży ozwał się poważnie. „Mój panie, ja tu dla głupstwa siedzieć nie myślę: natrapiłeś mnie dzień cały i teraz gdy godzina minęła nie dasz spoczynku. Możesz tu pan sobie zostać, ale ja pójdę."— Dobrze ojcze. „Ale po czém wleźć? ni schodków ni drabinki, a to wysoko pewnie będzie, a potém tu niewolno nikogo obcego zostawiać; jużeśmy na tém źle wychodzili." I miał się ku drzwiom nielitościwy bibliotekarz z miną tak determinowaną, że trudno było co robić innego jak błagać. „Jutro, kochany panie, jutro, ale dziś już późno; pan wiesz—dodał łagodniéj widząc że upór jego zbił z terminu nalegającego—teraz już wszyscy w refektarzu a *tarde venientibus ossa.*" Dziś piątek ojcze—mówił żałosnym głosem na kurytarzu już stojący, wypędzony z biblioteki jak Adam z raju, szperacz. „Mamy ryby"—śmiejąc się i kręcąc kluczem w zamku, odezwał się duchowny. „Do jutra."—Niestety, jutra nie każdemu dożyć, albo dosiedzieć na miejscu, gdy kto na cudzym wózku jeździ.—Podobnych awantur więcéj moglibyśmy opowiedzieć, lubo i gościnność i usłużność jak dotąd chwalić sobie możemy, mianowicie księży Benedyktynów puńtuskich i duchownych kollegiaty łowickiej.

A kiedyśmy już publicznie wyznali nasze zamiary i kłopoty, odzywamy się do wszystkich, którzy je uznać zechcą, a których oko między wyrazy nasze zabłądzi, by nam pomagali, bo ustne prośby tylko obietnice wywoływały niespełniane zazwyczaj, a listowne bez odpowiedzi zostawały. Jeden tylko p. Łukaszewicz wówczas jeszcze bibliotekarz księgozbioru imienia Raczyńskich w Poznaniu, inaczéj postąpić raczył. Dzięki mu za to. On jeden czuł potrzebę podobnéj pomocy, tém bardziéj, że go także zawiodła, na co się też w swojéj Historyi szkół w Polsce użala.

zastosować do siebie akkorda, które ściśle wiązały to, co chwilowo odległe z większą trudnością bez nich spoićby się mogło.

Przeprowadzając tę melodyą przez kilka warstw głosu ludzkiego, przedstawił kompozytor tyleż warstw ludzkości; każdy wiek, każda płeć znalazły właściwe sobie wyrażenie, bo któż nie potrzebuje wołać: zmiłuj się nad nami? A jak różne są boleści stopnie do westchnienia i modlitwy podżegające, tak różne uczucia chwile kompozytor uwydatnił w towarzyszących tematowi głównemu głosach ludzkich lub narzędziowych. Tak zręcznie przeplatał chór i sola, śpiéw i przygrywkę; tak różnych odcieni siły używał; tak umiejętnie stopniowo harmonią się posługiwał: że jeden i ten sam temat wciąż słyszany, wciąż świeżym się zdawał, nowe odcienia uczucia budził, starczył na poemat cały. Poemat ten zyskał oryginalną formę; świętość pieśni mu ją natchnęła, cześć nie dozwoliła jéj opuścić, a zdrowe pojęcie zadania dokonało reszty. Oto jak się temat opracowywać powinien, oto co stworzyć można z pieśni narodowéj i znanéj wszystkim oddawna!

Chcąc zdać sprawę z rozlicznych wrażeń jakie nas przejmowały podczas wykonywania tego dzieła, musimy wyznać, że wielkość pieśni uznajemy za tak niezmierną w krótkim rozmiarze, tyleśmy razy w różnych epokach życia przy niéj kruszeli we łzy się rozpływając, tyle wiąże się z nią pamiątek smutnych lecz drogich: że może błędnie, ale szczerze uznajemy tę pieśń za coś tak potężnego, że w tylu znanych nam pieśniach podobnéj nie widzimy; wątpićbyśmy prawie chcieli o istnieniu drugiéj równie wielkiéj. Dla tych wszystkich, którzy w naszém są położeniu, praca pana Dobrzyńskiego niezawsze zadowolenie przyniosła. Zdawało się nam tu i owdzie dostrzedz chłodniejsze miejsca od innych, zamało przejęcia się, a raczéj nie z równą siłą niezmierności zadania. Przyjęty przez kompozytora system przeprowadzania tematu, zmuszał go do zastanawiania się zimnego; to spłoszyło pobożny zapał, a bez niego niepodobna utrzymać się ciągle na téj saméj wysokości: wyobraźnia choćby téż najsilniejsza zastąpić go nie może. I owszem, mniemamy, że ona to dramatyzując uczucie, osłabia je tylko, bo potężny liryzm nie może się rozpadać na okruszyny dramatyczne, które go stanowią, jako pochłonięte przezeń; nie ma się więc na czém oprzéć, by przejść w natchnienie: słabnie rozdrabniając. Czysty i ściśliwy liryzm uważamy za potężniejszy od dramatu pod względem wielkości wrażenia, jakie jeden i drugi sprawia. Piérwszy niezawsze dokładniejszy bywa, ani tak rozciągle się rozwija, ale dosadniéj, treściwiéj przedstawia. Ztąd najpotężniejsze miejsca w dramacie te bywać zwykły, w których uczucie zestrzelone lirycznością się wygłasza, albo w jéj rodzaj jeden, patetyczność, przechodzi. Więc w poemacie lirycznym dramatyczne ustępy zawsze słabiéj wyglądać będą, mówiąc w ogóle, mianowicie gdy jedno i to samo przedstawiają, i obok siebie. To samo uczucie, które wstanie z obrazu dramatycznego ze skończoną przedstawionego prawdą, dałoby się streścić w jednę chwilę potężną lirycznością, kilkoma rysami przedstawić, i będzie podniesieniem siły, która oczywiście ciągle wzrastać powinna. Postępowanie odwrotne, wprowadzając dramatyzowanie tego, co już liryzm jak najpotężniéj wygłosił, osłabia interes

a w najszczęśliwszym razie staje się pewnego rodzaju pleonazmem. Zastosujmy to do pieśni, która nas zajmuje.

Potęga jéj zdolna w prostocie oryginalnéj unieść na sobie modlitwę każdego wieku i stanu, modlitwę wszystkich stanów i wieków razem połączoną, a więc tworząca z niéj najpotężniejszéj liryczności wyraz, czyni ją tém samém jakby historycznym obrazem dramatu, który w życiu ludzkiém ozwanie się téj pieśni poprzedził. Kto ją posłyszy, zgadnie odrazu ile cierpień, utrapień i trwogi być musi tam, gdzie się taka pieśń podnosi. Tém bardziéj, że tekst błagalny sam z siebie wszystkie fazy modlitwy przedstawia, więc na tyleż wspomnień doświadczeniem w życie wpisanych, naprowadza. Ale przygody już minęły, a modlitwa obecna z pamięcią na nie wprawdzie, ale nie o nich, lecz o przyszłości mówi. Pod nawałem boleści, które nasyciły całe epoki życia, nikną i muszą niknąć drobne przypadłości utrapień, przygodnemi okolicznościami sprowadzone. Tak gdy nam wojna na myśli staje, nie liczymy ran odniesionych, nie mierzymy krwi wylanéj, nie widzimy płonących osad, nie litujemy się popłochu bezbronnego ludu ani rozpaczy rodzin żałobą okrytych; słowem, nie dramatyzujemy sobie obrazu wojny, ale wszystkie te nieszczęścia i wiele innych zbieramy w jedno pojęcie klęski, jeśli niezmiernéj dla pojedynczych, niezmierzonéj dla ogółu. Cóż dopiéro, gdy nie jedna klęska, ale kilka ich razem wspomnieniami nas naciśnie, wywoła jakby spowiedź powszechną cierpień życia całego i całego ludu! Wtenczas wstaje w duszy naszéj jakiś zamęt, skrzyżowanie obrazów—szczegóły nikną. A gdy w to chaos spojrzysz, jak we mgle nic nie wyróżnisz prócz jednéj wielkiéj boleści, rozpaczy tak wielkiéj, że pamięć jéj sama taką pieśń jak nasze Święty Boże wywołać może i musi; do tego zdolna tylko siła prostoty. Dlatego powiedzieliśmy wyżéj: błogosławionato pierś, wielkieto serce, które taką pieśń stworzyły: bo musiały boléć niezmiernie własném i cudzém cierpieniem. Mniemamy więc, że to owe błyski dramatyczne, któreśmy w pracy pana Dobrzyńskiego dostrzegli, ogólne osłabiły wrażenie. W lamentacyi tegoż autora wykonanéj roku zeszłego w Wielki Piątek w kościele Śgo Jana w Warszawie, tenże sam kierunek ku dramatyzowaniu dostrzedz można było, ale jeszcze więcéj rozwinięty. Więc wyobraźnia u pana Dobrzyńskiego silniejsza jak uczucie?—Nie, ale jéj zwykł dozwalać polotu tam, gdzieby ją w uczucie wcielić powinien. Że to umié, dowodem jeden ustęp hymnu w mowie będącego, gdzie chór jakby po przepaściach harmonii się przewijający z coraz nową siłą, rys za rysem, chwila za chwilą przegląd nieszczęść odbywa. Co do nas, praca ta pana Dobrzyńskiego najpotężniéj na nas działała, gdy się chórem tłumaczył; tak dalece pieśń ta dla mass przedewszystkiém stosowną się być zdaje, jako wyrażenie na oznaczenie cierpień i modlitwy ogółu wynalezione. Nie idzie za tém, byśmy wymagali wszędzie chóru; i owszem, ustępy solowe muszą miéć także swoję dzielność, mają swoje cechy, i potrzebne są do urozmaicenia muzycznego poematu. Ale do formy chóru takeśmy już w téj pieśni nawykli, że tak najsilniejsza się nam zdaje, jak téż nią jest w istocie. Mimo licznego dosyć obsadzenia w wykonaniu o którém mówimy, wielmożność tematu niezupełnie jeszcze na wiérzch wyszła. Brakło jeszcze potężnego *unisono* wszystkich głosów i narzędzi, które do tego

stosowne. Wprawdzie chór na głosy rozłożony, głębiéj i filozoficzniéj rzecz przedstawia niż *unisono*, ale ono prościéj a potężniéj. Taki jest stosunek między temi dwoma sposobami użycia chóru, jak ów, któryśmy wykazali wyżéj między lirycznością i dramatyzowaniem, z właściwemi przecież względami. Takie *unisono* szerokie na sam koniec zachowane, byłoby zdaniem naszém do najwyższéj potęgi liryzm podniosło, całą jego zestrzeliło siłę; tém pewniéj, że *unisono* tłumu artystów niczém nie razi, czém niemuzykalny i nieoględny lud w kościele wykracza.

A gdy o kościele mowa, to dodamy tu jeszcze, że piérwsze wykonanie tego hymnu przed wielkim ołtarzem u śgo Jana mniéj zająć mogło słuchaczów, bo zarazem i widzami byli pracy wykonywających, mniéj zgodnéj z powagą miejsca. Czemuż przy tak kosztownóm a niedawném odnawianiu całéj téj świątyni, nie pomyślano o rozprzestrzenieniu chóru dla muzyki! Słuchać i widzieć razem, jestto niekiedy odwracać baczność, rozdzielać ją, a więc tępić wrażenie. Co innego w sali koncertowéj: tam patrząc nawet, można nie widzieć.

Szczęśliwato myśl wprowadzenia w ten sposób pieśni ludu w sztukę, a z nią i sztuki do kościoła. To jest muzyka, którą każdy pojmie, bo ją od urodzenia słyszy i wyrazy jéj rozumie, jako ojczystą wypowiedziane mową. Bo nie zapominajmy, że tekst i muzyka do niego, są nierozłączne nawet w liryczności, a oboje dopiéro stanowią pieśń zdolną z podwojoną potęgą podżegnąć ducha. O ileż słabsze dla ogółu po téj pracy pana D. wydadzą się utwory najznakomitszych nawet mistrzów, gdy im tekst łaciński podłożą, albo melodyą choćby nie wiem jak doskonałą, ale nietyle zrosłą z życiem! Wyższość obojga niedopiéro dziś spostrzegać się daje. Tak: (że nie wymienimy innych autorów, którzy tę myśl pielęgnowali) w spisie muzykaliów będących kiedyś w posiadaniu kościoła dzisiejszego księży Benedyktynów w Pułtusku, między polskich kompozytorów nazwiskami czytamy: Lencki z Myszeńca pieśń: U drzwi Twoich stoję Panie, *ex F. uv* (erturę?), *a vocum* 7 z klarnetami. Co to było, trudno powiedzieć, bo muzykalia spisem tym objęte, w końcu XVIIIgo wieku pożyczone zostały za kwitem opatowi zgromadzenia w Horodyszczu (podobno na Wołyniu) i dotąd jeszcze do dawnych posiadaczy nie wróciły. Czy kiedy wrócą? czy nie zginą nazawsze? Może już i nie istnieją, bo książkę choćby tylko o muzyce mówiącą, każdy więcéj szanuje niż nuty, szczególniéj pisane, a do tego dawne. W Częstochowie np. porobiono z nich tekturki na teki do nut z zagranicy świeżo sprowadzonych. Barbarzyństwo!

Rozszerzywszy się tyle nad jedną pieśnią, albo z jéj powodu, nie mamy już ochoty długo rozpowiadać o reszcie koncertu, choćby się jeszcze wiele i co ważnego nawet powiedzieć dało. Ale nas już nie zatrzyma i *Stabat Mater* Rossiniego w połowie religijne, w połowie teatralne; mówiliśmy już o niém nieco, gdy za sprawą przebywającego u nas Litolfa, wykonane było w téj saméj sali (patrz Dziennik Krajowy). Ani nas zatrzymać zdołają różnéj wartości dzieła innych kompozytorów wokalnych, z różném wykonane szczęściem; ni talentem Zimmermana przedstawione na flecie filigranowe solo Briccialdego, ni twardo na wiolon-

czelli p. Szablińskiego brzmiąca Serwais'go Romanesca, ani nawet część nonetu Spohra, w którym dęte narzędzia ożenione ze smyczkowemi (nie zapomnijmy między niemi o skrzypcach Baranowskiego), to solo naprzemian, to razem występując, wiodły słuchaczów po różnych fantazyi kompozytora skrętach i przypomniały nam rodzaj tak bardzo gdzieindziéj upowszechniony, tak mało u nas znany; ani nakoniec *Addio*, śpiéw kompozycyi naszego Troschla i wykonany przezeń z towarzyszeniem czterech wiolonczelli. W szczególe ma on tę wadę, że tekst jego włoski, a w ogóle zbyt wiele monotonii, bo i głos śpiewającego i głosy towarzyszących basetli zbyt do siebie podobne były kolorytem, a nadto numer ten koncertu najnieszczęśliwiéj pomieszczono między dwoma; w piérwszym wiolonczella główną grała rolę, w drugim znakomitą. W innych ramach utwór ten inaczéjby wyglądał, a zyska niezawodnie zmianą tekstu na polski; wtenczas może i jednostajność barwy stosowniejszyby się wydała. Niech p. Troschel stara się przelać słuchaczom najwłaściwszemi do tego środkami swój zapał do sztuki. Dowiódł go szanując człowieka, który styrał swój wiek na posługach artystycznych. Gdyby nie pp. Troschel i Dobrzyński, jakżeby wyglądała ze strony muzykalnéj jubileuszowa uroczystość pana J. Elsner (1)! Ale i to drobne rzeczy w porównaniu z tém, co być było winno. Dajmy temu pokój: to do wspomnień koncertowych nie należy. Ale należy do nich imię panny Danielewicz, która występując na fortepianie w naszym teatrze, w odegranych kompozycyach Kątskiego Ant. i Goryi, dowiodła i mechanizmu i czucia, i poparła nadzieje, jakie przytomni na owéj uroczystości Elsnera o jéj przyszłości muzycznéj powzięli. Młodość poczynająca, chciała uświęcić swemi siłami owe chwile, w których część wielbicieli Elsnera hołdy mu swoje składała. Niech młodość pracuje, by także kiedyś na uznanie przyszłych zasług zarobiła.

(1) Marsz p. Dobrzyńskiego na tę uroczystość ułożony, wyszedł z litografii, nakładem Ig. Klukowskiego w Warszawie.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

K. Wł. Wojcickiego powieść obyczajowa w 2ch tomach p. n.: *Powieść domowa*, w r. b. drukiem ogłoszoną zostanie.

— W dalszym ciągu księgarza Natansona: „Wyboru przekładów z wzorowych pisarzów zagranicznych" wyszła powieść Lady Georginy Fullerton: *Zamek Grantley* w 2ch tomach (ogólnego zbioru tom 3ci i 4ty). Następnie wyjdą: pani Bremer, *Córki prezydenta;* Bulwera, *Familia Caxton;* Dickensa, *Dawid Copperfield* i t. d.

— Nakładem J. Bernstejna księgarza wyszło użyteczne dziełko p. n.: „Dra E. J. Arnolda krótkie powiastki dla wprawy młodzieży w polskim i niemieckim języku," przez znanego z wielu pism dla nauki młodzieży Teofila Nowosielskiego.

— P. Rulikowski młody obywatel z Ukrainy, zaczął opisywać Ukrainę powiatami, uważając każdy pod względem statystycznym, geograficznym i historycznym. Szczegółowo opisuje lud tamtejszy, jego zwyczaje, obyczaje i charakterystykę. Zbierał sam podania i pieśni, których liczba 2,000 przechodzi. O téj ważnéj, szacownéj i użytecznéj pracy, obszerniéj zdamy sprawę w następnych zeszytach.

— Druk powieści J. I. Kraszewskiego w 4ch tomach, p. n.: *Złote jabłko*, nakładem S. Orgelbranda już się rozpoczął.

— W Peszcie bogaty księgozbiór Jankowicza nabyli głównie na publicznéj licytacyi hr. Teleky i baron Pronay. Pierwszy kupił pierwszą węgierską książkę, która wyszła w Krakowie r. 1469. Wiadomo, że Węgrzy w XV wieku uczęszczali na akademią w Krakowie, a regestra *Bursae Cracovien.* z r. 1500 podają 328 uczących się tam Madziarów.

— Przed kilką miesiącami dzienniki rossyjskie doniosły o otwarciu na nowo Cesarskiéj bibl. publicznéj w Petersburgu. Oddział rękopisów tego wspaniałego księgozbioru, liczy przeszło 20,000 sztuk. Między innemi zwracają uwagę: Ewangelia słowiańska zwana Ostromira z XI wieku; Fragment listu Śgo Pawła pisany w wieku V; Ewangelia grecka cesarzowéj Teodory, pisana literami złotemi i srebrnemi na pargaminie purpurowym; rękopisy wschodnie z Ardebilu i Ahałcyku. Z drukowanych dzieł są tam: Psałterz moguncki z r. 1457; Pismo św. z r. 1462; słynne pierwsze wydanie włoskie Dantego, z rycinami (1480); okazałe wydania Elzewirów; zbiór dzieł o Rossyi w językach zagranicznych, i zbiór historycznych dzieł kupca Larina.

— Do nader ważnych materyałów historycznych, jakie w tych czasach uczeni nasi na wszystkich punktach zbierają i przyszłemu dziejopisowi przygotowując, takowe częścią w porządnych rękopiśmiennych zbiorach, częścią zaś drukiem ogłaszają, należą następujące zgromadzone w Poznaniu: Korrespondencye rozmaitych posłów angielskich przy dworze polskim z lat od 1629 do 1714. Kopie korrespondencyj Stefana Batorego z cesarzem Rudolfem II z r. 1578—1580. Wypisy z ówczesnéj gazety lejdejskiéj. Negocyacye Polski z Rossyą za Jana Kazimierza. Relacya wyprawy francuzkiéj pod Gdańsk w r. 1733, przez naocznego świadka. Pamiętniki wła-

snoręczne Jundziłła prof. botaniki przy uniwersytecie wileńskim od r. 1761 aż do niedawnych czasów. Wszystkie te wypisy starannie zrobione i chronologicznie rozłożone, napełniają kartonów 40.—Korrespondencya Piotra de Noyers sekretarza królowéj Ludwiki Maryi, oddana została do druku i w znacznéj już części odtłoczona.

Również zebrano dla przyszłego dziejopisa następujące materyały: Dyaryusz podróży p. Roe ambassadora angielskiego z Gdańska do Warszawy, a w nim wiadomość o negocyacyach jego z Zygmuntem III w czasie sejmu r. 1629.—Korrespondencye tyczące się elekcyi Władysława IV, wyprawy jego pod Smoleńsk, i przeciw Turczynowi nad Dniestr.—Projekta zaślubin księżniczki Elżbiety palatynowéj.—Listy: Franciszka Senderson agenta angielskiego w Gdańsku; Roberta Jard sekretarza przy pośle sir Peter Wyche z r. 1669; ks. Brunelli sekr. króla Jana III.; p Hyde ambas. ang. przy dworze polskim z r. 1676; Tomasza Parker agenta w Gdańsku r. 1679; J. Robertsona z r. 1703; Jakóba Scott r. 1714—1715; Edwarda de Fink r. 1725, 1726; Jana Robinsona r. 1705—1706; Jakóba Jefferyes posła przy Karolu XII z lat 1707—1709; Hr. Staer r. 1710; Jakóba Maukenzie r. 1710-1711.

— Nakładem księgarni zagranicznéj w Lipsku wyjdą: „Jeremi Wiśniowiecki", dramat z XVII wieku; i „Dzieje Polski pod panowaniem króla Michała" (Klimakter IV), przez Wespazyana Kochowskiego. Z wizerunkiem króla Michała. (Księgę 1 i 2 przełożył śp. J. D. księgi 3, 4, 5 spolszczył i przyp. objaśnił A. Mosbach).

— Towarzystwo *Matícy czeskiéj* liczy obecnie 3,694 członków. W r. 1851 przystąpiło do niego 746 nowych członków. Nakładem téj *Matícy* wyszło teraz dzieło prof. Czelakowskiego, p. n: „Filozofia słowiańska w przysłowiach." Jestto zbiór przeszło 14,000 przysłów we wszystkich narzeczach słowiańskich, a osobliwie w czeskiém. Kosztuje 2 złr.

— *Acta Tomiciana* w dwóch razem zebranych tomach, nakładem hr. T. Działyńskiego z Kurnika, w drukarni Poplińskiego już wyszły zpod prasy. Sąto dwa grube folianty pięknie wydane, ozdobione na tytule śliczną ryciną Zygmunta Starego, zdjętą z medalu i opatrzoną licznemi przy końcu objaśnieniami. Pan Działyński dedykował to dzieło synowi swemu, oddającemu się z chwalebną, a między obywatelskiemi synami rzadką gorliwością naukom, szczególniéj historyi i literatury polskiéj.

— W Kallszt w Morawii wykopano naczynie pełne srébrnéj monety polskiéj z r. 1598.

---

† Dnia 1go sierpnia b. r. w Krakowie rozstał się z tym światem mając lat 68: Aloizy-Rafał Estrejcher b. professor i rektor uniwersytetu Jagiellońskiego.

† Dnia 12 sierpnia b. r. w Warszawie, po krótkiéj słabości zakończył życie: Abraham Paprocki nadzorca szkół elementarnych wyznania Mojżeszowego, nauczyciel szkoły Rabinów, autor kilku dziełek w języku polskim, napisanych dla Izraelitów.

† Dnia 21 sierpnia b. r. w Warszawie, zgasł na panującą epidemią, przeżywszy lat 65: Adryan Krzyżanowski professor emeryt b. uniwersytetu warszawskiego.

† Dnia 23 sierpnia b. r. w Warszawie umarł na grasującą epidemią: Felix Bentkowski, naczelnik Archiwum Głównego Król. b. dziekan i professor b. uniwersytetu warszawskiego. Urodził się w Lubelskiém w m. Lubartowie, dnia 27 maja 1781 r. Żył lat 71.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Biblioteka Jagiellońska

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIÉM.

Lipiec, 1852.

Lipiec 1852. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie $1^{s.}$ $14^{m.}$ $45^{s.}$, 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1	(☽).	750.33	750.58	751.08	752.13	+17°.0	+20°.8	+22°.7	+16°.4	73.2	pr. pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	poch. dész.	Z.	Z.	Z.	Z.	1.5	
2		753.25	754.00	754.43	755.80	16 4	19.5	21.0	14.2	63.8	pr. pogodny	napół pog.	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnZ.		
3		757.39	757 86	756.77	756.94	12.7	19.5	23.7	15 8	62.7	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	Z.	Z.	Z.	—		
4		756.41	756.15	754.63	754.18	17.1	22.8	23.3	17.3	59.5	pogodny	napół pog.	lek. zamat.	pochmurny	—	PnZ.	PnZ.	Pn.		
5		752.93	751 63	750.61	750 53	14.4	19.4	20.2	15.4	62.5	pochmurny	pr. poch. i d.	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.	3·4	
6		748.95	746.92	746.76	747.63	14.7	19.4	16.4	11.9	78.8	pogodny	napół pog.	pochmurny	lek. pochm.	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.	4 2	
7		748.19	749.48	749.79	750 67	13.3	17.4	23.5	18.7	74.7	Pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
8		752.22	752.51	751.93	751.52	17.0	21.5	24.7	20.4	58.5	Pogodny	pogodny	pochmurny	napół pog.	PnW.	PnW.	PnW.	Pn.		
9	(☾).	751.36	750.77	749.07	750.21	17.1	22.0	25.2	18.1	66.5	Pr. pogodny	napół. pog.	pr. pogod.	smugi	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.		
10		751.04	750.98	750.25	750.75	15.6	21.6	25.5	20.1	57.5	lek. zamat.	pr. pogodny	napół pog.	pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	Pn.		
11		751.24	751.25	749 51	749.98	19.0	25.5	29.4	22.1	51.0	smugi	pogodny	pr. pochm.	smugi	Pn.	PnZ.	PnW.	Pn.		
12		750.43	750.45	749.20	750.52	17.3	24.0	28.6	19.2	64.8	pogodny	lek. pochm.	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	PnZ.		
13		750.80	750.86	749.81	751.51	18.3	22.8	26 4	19.4	59.2	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		
14		752.90	753.23	752.03	751.05	15.9	22.2	26.9	19.2	48.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pd.	PdZ.	Pd.		
15		750.00	750.06	748.85	749.60	17.9	25.0	24.9	19.3	61.5	pr. pogodny	lek. poch. d.	pr. pochm.	pochmurny	PdZ.	PnZ.	Pn.	PnW.	1.2	
16		750.25	750 31	741.96	749·33	15.4	22.2	25.2	19.4	48.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnZ.	Z.		
17	(☽).	749.40	749.44	747.86	748.21	18.8	23.5	28.4	20.6	54.0	pogodny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnW.	Z.	PnW.		
18		747.77	748.18	747.26	748.25	18.1	23.8	26.6	17.8	51.5	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
19		749.23	749.70	749.94	751.18	14.2	18.5	22.3	14.8	54.8	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		
20		752.61	753.16	752.72	753 57	14.1	17.8	20.7	14.0	55.2	pogodny	pr pogod ny	smugi	pr. pogodny	W.	PnW.	PnW.	W.		
21		753.63	752.89	750 75	749.59	14.0	20.4	23.9	15.3	54.3	smugi	napół pog.	pogodny	pogodny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		
22		747.64	747.06	745.34	744.10	14.2	18.7	15.5	14.8	84.0	pochmurny	dészcz	deszcz	pr. pogodny	Pd.	PdZ.	PnZ.	Z.	18.0	
23		742.99	741 01	744.08	746.13	14.6	18.3	23 8	16.7	77.2	poch. dész.	napół pog.	napół pog.	pochmurny	Z.	Pn.	Pn.	PnZ.	2.7	
24	(☽).	747.43	748.25	748.75	749.61	14.4	18.9	21.9	17 9	69.8	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	PnZ.	PnW.	PnZ.	Pn.		
25		750 43	750.64	749.35	748.84	15.6	18.4	22 5	18.0	66.5	pr. pogodny	napół pog.	pr. pogodny	pr. pochm	PnW.	Pn.	Pn	PnW·		
26		747.72	747.36	746.66	746 51	14.8	21 4	21.2	15.4	73.2	pr. pochm.	pr. poch. d.	pochmurny	pr. pochm.	Pn.	W.	PnW.	PnW.	1.2	
27		745.82	746 07	745.15	745 79	13.4	20.2	20.2	15.5	80.0	lek. poch.	pr. pogodny	dész. ulewn.	pr. pogodny	PnW.	W.	W.	PnW.	7.4	
28		745.84	746 17	745 40	746.83	15.2	21.2	24.7	16.4	62.3	lek. pochm.	napół pog.	napół pog.	pr. pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	PnW.		
29		747.80	748 14	747.44	747.76	12.6	19.3	21.8	17 6	61.0	pogodny	pogodny	pr. pogodny	napół pog.	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.		
30		748.67	749.12	747.68	748.38	13.0	20.4	24.3	16.3	60 5	pr. pogodny	napół pog.	napół pog.	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.	2.3	
31	(☾).	748.50	748 41	747.24	747.48	15.5	20.7	25.4	18.3	64.0	lek. zamat.	lek. zamat.	napół pog.	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
Śre.		750.102	750,182	749.332	749.825	+15°.54	+20°.87	+23° 57	+17°.30	63.2									41.9	

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	749.861	27	8.410
Najwyżéj dochodził — d. 3 o g. 10 r.	757.86	27	11.957
Najniżéj — — d. 23 o g. 6 r.	742.99	27	5.365
Średnia zmiana dzienna barometru	1.985		0.880
Największa zmiana dzienna barometru d. 21—22 o g. 6 r.	5.99		2.655
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	1.062		0.471
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	748.799	27	7.939
Średnia temperatura Lipca wynosi:	+ 19°.32 C.		+ 15°.456 R.
i ta jest wyższą o	0.66 „		0.528 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	+ 18.66 „		+ 14.928 „
Największe ciepło dochodziło d. 11 o godz. 4 wiecz.	29.4 „		23.52 „
Najmniejsza temperatura była d. 6 o godz. 10 wiecz.	11.9 „		9.52 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	1.900 „		1.520 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 21—22 o g. 4 w.	8.4 „		6.72 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +24°.3 R. d. 11 po połud.
Minimum: +6°.6 „ d. 3 rano.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości 41,9 milim. czyli 18,61 lin. par.; czyli o 19,94 lin. par. mniéj od ilości jaka zwykle u nas w lipcu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 63,2 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 10.43 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest mniejszą o 0.07 od normalnéj.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 13, pochmurnych 8.
— deszczu 10 (d. 1, 5, 6, 12, 15, 22, 23, 26, 27, 30).
— grzmotów 6 (d. 6, 11, 15, 22, 26, 27).
— błyskawic bez grzmotów 5 (d. 6, 15, 17, 22, 26).
Wiatrów mocnych 5 (3 PnZ., 2 Pn.).
Wichrów 2 (2 Pn.).

Wiatr panujący: Północno-Wschodni, częste były północne.

Lipiec r. b. był pogodny, suchy, gorący, przeszło o pół stopnia R. cieplejszy jak zwykle. Pierwsze siedm dni były ciepłe, następne dziesięć gorące, ostatnie dwanaście równie ciepłe. Dni najcieplejsze były: d. 8, 9, 10, 11, 12, 13, 14, 15, 16, 17, 18; najmniéj ciepłe d. 7, 20, 22. Dwa dni t. j. 7 i 22 do południa były ciepłe, po południu zaś chłodne. W tym miesiącu zwykle panujący wiatr jest zachodni, w tym roku był północno-wschodni i ten był przyczyną suchego stanu powietrza. Deszcze padały rzadko i nie obficie; wody z deszczu spadło o połowę mniéj jak zwykle.

Od dnia 8 zaczęła się w Warszawie szerzyć epidemia *cholery*.

D. 3, 19 widziano plamy na słońcu.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE TRZECIM

Z R. 1852.

Materyały historyczne.

Stron.

Swewi są Słowianie, a Germanowie nie są wyłącznie Niemcy. Przez *W. A. Maciejowskiego*..... 1

Latopis miasta Żywca, wiadomością historyczną o Szlązku, a w szczególności o księztwach Oświecimie i Zatorze poprzedził *Stanisław Krauss*..... 53, 445

Wiadomość historyczna o okopach starodawnych nad Wisłą między miastem Wyszogrodem a wsią rządową Drwały, w powiecie i gubernii płockiéj, istniejących. Przez *Wincentego Hippolita Gawareckiego*. 163

Rys historyczny szkoły technicznéj w Krakowie od r. 1834 do r. 1852. Przez *Jana Pietraszka* b. ucznia tegoż instytutu..... 166

Wiadomość historyczna o morowém powietrzu w Warszawie w roku 1624 i 1625, przez *Alexandra Wejnert*. (Z ryciną)..... 197

Wyciąg ze wstępu do dzieła: Obraz Litwy. Przez *Józefa Jaroszewicza*... 393

Spominki historyczne i artystyczne: Sztuki piękne za Władysława Jagiełły, przy schyłku XIV wieku. Muzyka, malarstwo, złotnictwo. Przez *Ed. Rastawieckiego*..... 555

Regestra wydatków królewskich w Krakowie i w okolicznych zamkach, z końca XIV i początku XV wieku, przez *Alexandra Przezdzieckiego*..... 561

Biografia.

Stron.

O życiu i pismach don Leandra Fernandeza de Moratin hiszpańskiego autora dramatycznego. oraz kilka słów o stanie teatru hiszpańskiego od początku XVIIIgo wieku do jego czasów. Przez *Maurycego Halpert*..... 364

Opisy i podróże.

Podróż ze Szkocyi do Anglii, przez dra *T. Tripplina*. (Dokończenie).... 16
Podróż po Francyi, przez dra *T. Tripplina*..... 292, 481

Literatura.

Bibliografia polska. Zbiór napisów zambrowskiego kościoła. W Warszawie. 1799. Przez *K. Wł. W.*..... 169
Nowa epoka literatury historycznéj polskiéj. Oddział systematów. Rogalskiego: Panowanie Jana III i Dzieje Krzyżaków. Przegląd przez *Juliana Bartoszewicza* (Ciąg dalszy)..... 267

Powieści.

Wiejskie zarysy, przez *Jana Kantego Gregorowicza*. VI. Swaty. VII. Zabiegi ludzkie..... 79, 239, 464
Legenda o Wideradzu pod Wieluniem. Przez *C. Leonowicza*..... 372
Wieczór przy kominku. Opowiadanie przez *S. K.*..... 429

Poezya.

Hagar na puszczy, przez *K. U.*..... 117
Wielki Pan. Powiastka. Napisał *Włodzimiérz Wolski*..... 502

Sztuki piękne.

Wspomnienia koncertowe. Kellermann. — Panna Barbier-Christiani.— Mahler.— Servais.— Kossowski.— Biernacki.— Serwaczyński.—Ludwika Bärwolf.—Krzyżanowski.—Volange.—Panny Dulcken.—Tropiański.—Małgocki.—*Libera me Domine* Quattriniego.—Święty Boże, Dobrzyńskiego.—Troschel.—Panna Danielewicz..... 566

Rozbiory.

Odpowiédź na Ocenę Mowni, napisaną przez p. Kudasiewicza, w Bibliotece Warszawskiéj na miesiąc marzec b. r. umieszczoną. Przez *Felixa Zochowskiego*..... 138, 337
Fizyka dla niższych gimnazyów przez Wojciecha Urbańskiego. Lwów. 1851. Przez *S. P.*..... 154

Stron.

Krajowe obrazki i zarysy, skreślił Leon Kunicki. Warszawa. 1852. Przez *K. W. W.* 563

Nauki lekarskie.

Kilka słów o stanie dzisiejszym medycyny we Francyi, przez Dra Med. *Ludwika Koehler*..... 119

Nauki przyrodzone.

O burzach gradowych w Królestwie Polskiém, przez *Józefa Sapalskiego*.. 317
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Fizyka, przez *S. P.* 380
Chemia, przez *J. B...g*..... 377
Historya naturalna: Zoologia, przez *A. W.*..... 177

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj o wystawie przemysłowéj szlązkiéj w Wrocławiu, od *K. L. W.*..... 173

Kronika bibliograficzna..... 189, 384

Doniesienia literackie..... ..... 191, 385, 587
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiém:
za miesiąc maj r. b..... 193
— — czerwiec r. b..... 389
— — lipiec r. b.... 589

Sprostowanie.

W zeszycie z m. lipca b. r. Bibl. Warsz. na str. 118, podpis autora poezyi: Hagar na puszczy, *zamiast* K. W. należy poprawić: *K. U.*

